

Peter F. Hamilton

# Upadek Smoka

*Fallen Dragon*

Tłumaczenie

Krystyna Chodorowska



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W dawnych czasach pracownik działu bezpieczeństwa strategicznego korporacji Zantiu-Braun okazałby się w tym barze mile widzianym gościem. Dostałby pierwsze piwo na koszt lokalu, a bywalcy słuchaliby z podziwem jego opowieści o życiu na innych planetach. Jednak to samo można by powiedzieć o każdym miejscu na ziemi w połowie dwudziestego czwartego wieku. Blask międzygwiazdnych wypraw przemijał powoli, niczym urok starzejącej się aktorki.

I jak zwykle powodem okazał się brak pieniędzy.

W tym barze również się nie przelewało. Lawrence Newton dostrzegł to, gdy tylko wszedł do środka. Lokal nie był odnawiany już od wielu dziesięcioleci. Podłużny pokój urządony w drewnie, skorodowany dach z blachy węglowej podtrzymywały grube krokwie, wzdłuż ściany biegł długi kontuar, za którym świeciły matowe neony reklamujące od dawna nieprodukowane marki piwa i lodów. W górze obracały się wielkie wiatraki, których data gwarancji minęła już kilka stuleci temu, prymitywne elektryczne silniki brzęczały, z wysiłkiem poruszając duszne powietrze.

Tak właśnie wyglądała obecnie Kuranda. Miasto leżało wysoko na skalistym płaskowyżu ponad Wybrzeżem Cairns i przez wiele lat przynosiło krociowe zyski jako jedna z najpopularniejszych pułapek na turystów w Queensland. Spoceni, spaleni słońcem Europejczycy i Japończycy przejeżdżali kolejką podniebną ponad lasem tropikalnym, podziwiając bujną roślinność, następnie ruszali do sklepów z pamiątkami i restauracji znajdujących się przy głównej ulicy. Później wsiadali w starożytną linię kolejową jadącą wzdłuż Doliny Barrona, by podziwiać skaliste urwiska i białe spienione wodospady.

Turyści wprawdzie wciąż przybywali do miasta, aby podziwiać naturalne bogactwa Queensland, jednak obecnie byli to przeważnie członkowie rodzin korporacyjnych, skierowani przez Z-B do swej nadmiernie rozbudowanej bazy w porcie kosmicznym, której obecność zdominowała Cairns zarówno fizycznie, jak i gospodarczo. Ci ludzie nie mieli zbyt wiele pieniędzy, nie byli też zainteresowani wydawaniem ich na koszulki zadrutowane w oryginalne wzory aborygenów, ani na trąbki didgeridoo, ani na ręcznie rzeźbione wisiorki symbolizujące ducha tej ziemi, przez co sklepiki przy głównej ulicy Kurandy w końcu zbankrutowały, aż zostały tylko najtańsze - a one same w sobie zniechęcały do zwiedzania

okolicy. Obecnie ludzie wysiadali na terminalu kolejki podniebnej i szli prosto na urokliwy dworzec kolejowy w stylu lat dwudziestych dwudziestego stulecia, zupełnie ignorując pobliskie miasteczko.

Dzięki temu lokale pozostawały wyłącznie do użytku miejscowych, a oni skwapliwie z tego korzystali. Nie mieli tu nic innego do roboty: Z-B przywoziła ze sobą własnych techników - wykwalifikowaną siłę roboczą, ludzi z dyplomami i doświadczeniem w inżynierii kosmicznej. Lokalne inicjatywy na rzecz promocji zatrudnienia obejmowały wyłącznie najgorsze prace manualne. Żaden mieszkaniec Kurandy nie podjąłby się takiego zajęcia - nie ta kultura.

Dzięki temu bar wydał się Lawrence'owi wręcz idealnym miejscem na spotkanie. Stanął w drzwiach i uważnie obejrzał wnętrze lokalu, podczas gdy nad jego głową z hukiem przelatywała formacja helikopterów wsparcia taktycznego TVL88, zmierzających na teren ćwiczebny koło Port Douglas na północ od miasta. W barze siedziało kilkunastu klientów, kryjąc się przed palącym południowym słońcem; wysocy, barczyści mężczyźni, o nalanych, zaczerwienionych od piwa twarzach. Kilku grało w bilard, jeden samotny pijaczek kiwał się przy barze, reszta siedziała w małych grupkach wzdłuż przeciwległej ściany. Mózg Lawrence'a działał w pełnym trybie bojowym i natychmiast odszukał potencjalne drogi ewakuacji.

Mężczyźni patrzyli w milczeniu, jak przybysz podchodzi do baru i zdejmuje z głowy słomkowy kapelusz o idiotycznie szerokim rondzie. Poprosił barmankę o puszkę piwa. Mimo że był w cywilu - niebieskie szorty do kolan, luźna koszulka z napisem „Wielka Rafa Barrierowa” - jego wyprostowana sylwetka i krótko przystrzyżone włosy zdradzały w nim żołnierza Z-B. Wszyscy miejscowi to wiedzieli, a on wiedział, że oni wiedzą.

Zapłacił za piwo gotówką, kładąc na kontuarze kilka dolarów pacyficznych. Jeśli barmanka zauważyła, że jego prawa ręka i przedramię są większe, niż powinny, to nie skomentowała tego. Mruknięciem dał jej do zrozumienia, by zatrzymała resztę.

Człowiek, z którym przyszedł się spotkać, siedział samotnie, zaraz przy wejściu na zaplecze. Pognieciony kapelusz, równie wielki jak Lawrence'a, leżał na stole obok piwa.

- Nie mogłeś wybrać jakiegoś lokalu bardziej na uboczu? - spytał porucznik sztabowy Colin Schmidt. Jego gardłowy niemiecki akcent sprawił, że kilku bywalców rozejrzało się wokół, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Odpowiada mi to miejsce - odparł Lawrence. Znał Colina od dwudziestu lat, które spędził w dziale bezpieczeństwa. Obaj odbyli szkolenie podstawowe w Tuluzie. Dwóch dziewiętnastoletnich żółtodziobów przeskakujących w nocy przez płot, by wyrwać się do

miasta, do klubu i na dziewczyny. Kilka lat później, po kampanii w Quation, Colin zapisał się na szkolenie dla oficerów - był to z jego strony oportunistyczny manewr, który jakoś nie zaprocentował. Nie wykazywał dość zaangażowania, nie miał też tyle udziałów, co inni młodzi oficerowie. W ciągu piętnastu lat powoli awansował poziomo, a ostatecznie skończył w dziale planowania strategicznego jako utytułowany chłopiec na posyłki inteligentnych programów, zarządzający oprogramowaniem do alokacji zasobów.

- Co to za sprawa, że nie mogliśmy o niej pogadać w bazie?

- Chcę dostać przydział dla swojego plutonu - oznajmił Lawrence bez ogródek. - Możesz mi to załatwić?

- Jaki przydział?

- Na Thallspring.

Colin popił z puszki. Gdy znów się odezwał, jego głos był przyciszony, jakby pełen poczucia winy.

- A kto w ogóle wspominał o Thallspring?

- Właśnie tam ma się odbyć kolejna realizacja aktywów. - W tej samej chwili ponad dachami przeleciała kolejna grupa TVL88. Wirniki pracowały w normalnym trybie. Hałas był na tyle głośny, by wprawić w drganie skorodowany dach. Wszyscy odruchowo zerknęli w górę, gdy huk na chwilę zagłuszył rozmowy. - Daj spokój, Colin, chyba nie będziesz mi wmawiał, że to zastrzeżona informacja? Kto niby miałby ostrzec tych biednych sukinkotów, że ich najeżdżamy? To dwadzieścia trzy lata świetlne stąd. Wszyscy w bazie wiedzą, dokąd się wybieramy. Większość miejscowych także.

- Dobra, dobra. Czego konkretnie chcesz?

- Przydziału do grupy zadaniowej w Memu Bay.

- W życiu o nim nie słyszałem.

- Wcale mnie to nie dziwi. Mały gówniany obszar pełen przemysłu morskiego i bioprzemysłu, jakies cztery i pół tysiąca kilometrów od stolicy. Stacjonowałem tam ostatnim razem.

- Ach! - Colin rozluźnił dłoń zaciśniętą na puszcze. - Co tam jest?

- Z-B przejmie wszystkie produkty biochemiczne i maszyny, tylko to jest na liście aktywów. Pozostałe rzeczy... cóż, zostawia to pewne pole dla działalności prywatnej, jeśli ktoś wykazałby się odpowiednią zapobiegliwością.

- Cholera, a myślałem, że jesteś uczciwszy ode mnie. Kiedyś chyba mówiłeś, że chcesz zgromadzić wystarczająco dużo udziałów, by zostać oficerem na statku?

- Tak, ale minęło dwadzieścia lat i przez ten czas dochrapałem się ledwie sierżanta. I

to tylko dlatego, że Ntoko nie wrócił z Santa Chico.

- Santa Chico. Jezu, ja pierdolę. Zapomniałem, że też tam byłeś. - Colin potrząsnął głową na samo wspomnienie. Współcześni historycy porównywali Santa Chico do wyprawy Napoleona na Moskwę. - Okej, załatwię ci przydział do Memu Bay. Co będę z tego miał?

- Dziesięć procent.

- Niech będzie. Ale od czego?

- Od tego, co tam znajdę.

- Tylko nie mów, że znalazłeś ostatni odcinek *Kierunek: chory ząb*.

- *Kierunek: horyzont*. Ale nie, tyle szczęścia nie miałem. - Twarz Lawrence'a nawet nie drgnęła.

- Muszę ci zaufać, co?

- Musisz mi zaufać.

- Chyba dam radę.

- Jest jeszcze coś. Musisz zajrzeć do działu logistyki, w Durrell, w stolicy. Trzeba załatwić nam bezpieczny transport z powrotem - prawdopodobnie ewakuację medyczną - ale szczegóły zostawię tobie. Znajdź pilota, który nie będzie zadawał pytań o ładunek i zgodzi się go zabrać na orbitę.

- Znajdź mi takiego, który zapyta. - Colin wyszczerzył zęby. - To szczerwane gnoje.

- Musi być ze mną uczciwy. Nie dam się obedrzyć ze skóry. Jasne? Nie tym razem.

Colin natychmiast spowaźniał, widząc, ile ledwie skrywanego gniewu widnieje w grymasie przyjaciela.

- Jasne, Lawrence, możesz na mnie polegać. Jaka masa wchodzi w grę?

- Nie mam pewności. Ale o ile się nie mylę, to po plecaku na człowieka. Wystarczy, żeby kupić każdemu z nas po pakiecie menedżerskim.

- A niech mnie! Łatwe pieniądze!

Zetknęli się puszkami i wypili za to. Wtedy Lawrence dostrzegł, że trzech miejscowych kiwa porozumiewawczo głowami i wstaje od stołu.

- Przyjechałeś samochodem? - spytał Colina.

- Jasne, przecież mówiłeś, że bym nie jechał pociągiem.

- Idź już. Ja się tym zajmę.

Colin zmierzył nadchodzących wzrokiem, kalkulując coś szybko. Już od lat nie był na froncie.

- Do zobaczenia na Thallspring. - Włożył z powrotem swój idiotyczny kapelusz i wyszedł tylnym wyjściem.

Lawrence wstał i zwrócił się do trzech obcych z ciężkim westchnieniem. Wybrali sobie zły dzień na obsikiwanie terenu. Specjalnie wybrał ten bar, by ich spotkanie nie zwróciło uwagi nikogo z Z-B. Wyprawa na Thallspring była jego ostatnią szansą na przyzwoitą przyszłość. Nie miał już wielkiego wyboru.

Mężczyzna stojący na przedzie - oczywiście największy z nich trzech - uśmiechał się zaciśniętymi wargami, jak człowiek, który wie, że za chwilę wbije zwycięskiego gola. Jego towarzysze zostali nieco z tyłu. Pierwszy z nich był bardzo młody, ledwie dwudziestoletni, i popijał teraz z puszki. Drugi ubrany był w dżinsową kamizelkę ukazującą fosforyzujące tatuaże poprzecinane bliznami po nożach. Niezwyciężone trio.

Zawsze zaczynało się tak samo. Jeden z nich rzuci jakąś uwagę w rodzaju: „Myślałem, że wy, korporacyjni, jesteście za dobrzy, żeby z nami pić”. Słowa były w zasadzie nieważne - same odzywki miały tylko na celu podbudować ich ego, aż w końcu któryś zadał pierwszy cios. Ten sam idiotyczny rytuał odbywał się w każdym podrzędnym barze na każdej ludzkiej planecie.

- Nie zaczynajcie, chłopaki - powiedział obojętnie Lawrence, jeszcze zanim się odezwali. - Po prostu zamknijcie się i usiądźcie. Już sobie idę.

Wysoki mężczyzna przesłał swoim kumplom porozumiewawczy uśmieszek, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem, że stchórzy”, i parsknął pogardliwie.

- Nigdzie nie pójdziesz, korpochłoptasiu - wycedził i zamachnął się olbrzymią pięścią.

Lawrence odchylił się w pasie, odruchowo i szybko. Wyprowadził kopniak, a jego but wbił się wysokiemu w kolano. Jego kumpel w kamizelce chwycił krzesło i wycelował nim w głowę Lawrence'a. Grube prawe przedramię odbiło cios zaimprovizowanej maczugi. Noga mebla trafiła tuż nad łokciem, ale Lawrence nawet nie mrugnął okiem, nie mówiąc o jęczeniu z bólu. Napastnik zatoczył się w tył, zupełnie wytrącony z równowagi. Wyglądał, jakby trafił w litą skałę. Zagapił się na rękę Lawrence'a, a oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, gdy zamroczony alkoholem umysł poskładał wreszcie fakty.

W całym barze rozległ się zgrzyt odsuwanych krzeseł. Bywalcy ruszyli na pomoc kolegom.

- Nie! - wrzasnął mężczyzna w kamizelce. - Gość jest w Skórze!

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Młody chłopak sięgnął po duży nóż myśliwski przy pasie, pozostali otoczyli ich ze wszystkich stron.

Lawrence uniósł rękę, wyrzucając pięść w powietrze. Poczł delikatne falowanie w okolicy nadgarstka, gdy mięśnie perystaltyczne wypchnęły strzałki z magazynków do przewodów wylotowych. Tuż nad jego nadgarstkiem uformował się krąg niewielkich,

suchych otworów, z których wyjrzały czarne dysze. Potem wystrzelił z nich rój strzałek.

Wychodząc z baru, Lawrence odwrócił tekturową kartkę na drzwiach tak, by napis głosił ZAMKNIĘTE i zamknął za sobą drzwi. Upewnił się, że kapelusz jest nałożony prosto - pedantyczny gest miał pomóc ukryć gniew. Niech szlag trafi dział uzbrojenia. Ci gnoje nigdy nie ryzykowali zbytnej ostrożności, zawsze przesadzając w drugą stronę. Zanim wyszedł, zobaczył jeszcze, jak dwóch napastników leżących na podłodze wpada w konwulsje - poziom toksyny w strzałkach okazał się za wysoki jak na zwykłe obezwładnienie. Już niedługo miało się tu zaroić od policji.

Na werandzie siedziała jakaś para Latynosów, studiując laminowane menu. Lawrence uśmiechnął się do nich grzecznie i odszedł w stronę terminalu podniebnej kolejki.

\*\*\*

Gdy helikopter TVL77D wiozący Simona Rodericka, koordynatora współpracy korporacyjnej, nadleciał z cichym szeptem nad miasto, główną ulicę zdążyły już zatarasować karetki i radiowozy. Stały zwrócone do siebie pod najrozmaitszym kątem, blokując całą ulicę na odcinku trzydziestu metrów po obu stronach baru. Najwyraźniej nie było tu żadnych węzłów kierujących ruchem, pozwalającym przeprowadzić kierowców przez miasto. Bardzo to pasowało do jego upartego, archaicznego charakteru. Simon potrząsnął głową, rozbawiony panującym wokół chaosem. Kierowcy pogotowia nigdy nie mogli się oprzeć pokusie dramatycznego hamowania z piskiem opon. Jeśli ktoś z rannych potrzebował pomocy lekarskiej, to miał pecha - najbliższe pojazdy należały do policji. Ratownicy w zielonych kombinezonach z trudem przeciskali się ulicą z noszami, ich twarze były spocone z wysiłku.

- Boże, przecież to powinno być takie proste - poskarżył się Adul Quan, zajmujący siedzenie obok Simona. Funkcjonariusz wywiadu Trzeciej Floty przycisnął twarz do bocznego okna i spojrzał wprost na miasto. Nie lubił używać czytników sensorowych bezpośrednio współpracujących z układem nerwowym - twierdził, że przeskoki z jednego punktu widzenia do drugiego przyprawiają go o zawroty głowy.

- Powinniśmy im złożyć ofertę na kierowanie operacjami cywilnymi. Przynajmniej dajmy im system koordynacyjny AS i wprowadźmy ich w obecne stulecie.

- Wszyscy nasi ludzie mają wszczepiony jakiś system monitoringu medycznego na wypadek problemów - odparł Simon. - Możemy ich odnaleźć, gdziekolwiek by się znaleźli. Tylko to się liczy.

- Ale to byłby dobry PR, takie poświęcenie własnych zasobów dla dobra cywilów.

- Jeśli chcą naszej pomocy, to powinni objąć udziały, wnieść coś aportem i partycypować w działalności firmy.

- Tak, sir.

Simon usłyszał sceptycyzm w jego głosie, ale nie skomentował tego. Aby objąć obecne stanowisko, Adul zdobył dużo udziałów w Z-B, ale nawet to nie nauczyło go, co oznacza prawdziwe poczucie wspólnoty. Szczerze mówiąc, Simon podejrzewał, że nikt prócz niego tego naprawdę nie rozumie. Ale miało to w końcu ulec zmianie.

Simon wykorzystał swój DNI - bezpośredni interfejs neuronowy - by wydać autopilotowi serię poleceń, a maszyna zatoczyła koło nad małym okrągłym parkiem na końcu głównej ulicy. Zawracając w stronę zarośniętego chwastami parkingu dla ciężarówek, zauważył jeszcze, że jakieś dzieciaki wymalowały sprejem otwarte okno na skorodowanym dachu opuszczonego sklepu. Lekko wyblakły niebiesko-zielony symbol był na tyle duży, by spoglądać na helikoptery działu bezpieczeństwa strategicznego przemykające po tropikalnym niebie. Niczym idealnie namalowany portret, odprowadziło Simona wzrokiem, podczas gdy TVL77D wysunął podwozie i wylądował na wyschniętym błocie. Podmuch wirnika rozrzucił zgniecione puszki i opakowania po fast foodach. Kadłub wyłączył tymczasem szarawą powłokę używaną podczas lotu, znów przybierając barwę złowrogiej matowej czerni.

Znieruchomiał na moment, gdy turbiny zamierały powoli.

Jego osobisty AS wypuścił trawlersy, by przechwytywały cały e-ruch pomiędzy służbami ratowniczymi w lokalnej puli danych. Wybrane wiadomości były przesyłane wprost do jego DNI. W polu widzenia pojawiła mu się siatka wyświetlacza utrzymana w barwach indygo i niewidzialna dla ludzkiego oka, by nie zasłaniać niczego w fizycznym polu widzenia. Jednak mimo zalewu informacji wciąż brakowało mu podstawowych faktów. Nikt z obecnych na miejscu zbrodni nie wiedział, co się stało. Jak dotąd, mieli tylko jeden niepotwierdzony raport na temat szalejącego mordercy w Skórze.

Zerknął na jedną z siatek medycznych. Wywołał ją na wierzch i gdy wychodził z helikoptera, przed oczami wyświetliło mu się pięć wykresów w wysokiej rozdzielczości. Ręczne analizatory krwi używane przez medyków nawiązywały połączenie z bazą danych Szpitala Głównego na Cairns, porównując profile chemiczne, by zidentyfikować składniki trucizny.

Simon włożył staromodne okulary przeciwsłoneczne.

- Ciekawe - mruknął. - Widzisz to? - Wysłał kopie wyników z analizatora do AS w dziale ds. biobroni w Z-B. Komputer zwrócił pozytywny wynik - odnalazł odpowiednik trucizny. DNI Simona przesłał zabezpieczony pakiet do Adula.

- Toksyna ze Skóry - stwierdził Adul. - Przekroczono dawkę obezwładniającą. - Potrząsnął głową z dezaprobatą, po czym przyłożył do nosa membranę przeciwsłoneczną. -



Jedna ofiara śmiertelna, a te dwie reakcje alergiczne prawdopodobnie spowodują uszkodzenie nerwów.

- Tak, i to w najlepszym przypadku - zgodził się Simon.

- I to tylko pod warunkiem, że ratownicy zawiozą ich dostatecznie szybko do szpitala.

- Potarł brew, by usunąć cienką warstewkę potu. - Mam kazać przesłać antidotum do ambulatorium?

- Toksyna obezwładniająca nie potrzebuje antidotum. Po jakimś czasie usuwa się sama. Tak została pomyślana.

- Taka dawka bardzo obciąży nerki.

Simon spojrzał na Adula.

- Przyjacielu, pamiętaj, że przybyliśmy tu po to, by ustalić, co się stało i jak do tego doszło. Nie mamy obowiązku niańczyć upośledzonych umysłowo cywilów, którzy nie mają dość rozsądku, by uniknąć ataku.

- Tak, sir.

Znów ten ton. Simon pomyślał, że może jednak warto by ponownie rozważyć przydatność Adula jako funkcjonariusza bezpieczeństwa. W tej branży empatia stanowiła cenny dar, ale gdy zaczynała przechodzić we współczucie...

We dwóch przebili się poprzez labirynt pojazdów służb ratowniczych zaparkowanych wzdłuż głównej ulicy. Nieliczne przejścia zapchane były przez gapiów: miejscowych - ponurych i milczących - a także turystów - wystraszonych, ale i podekscytowanych. Wokół tarasu przy budynku zebrali się policjanci ubrani w szorty i czyste białe koszule, krzątając się skwapliwie i próbując udawać, że mają coś ważnego do zrobienia. Ich dowódca, wysoka kobieta około czterdziestki w pełnym granatowym mundurze, stała przy barierce, słuchając raportu młodego posterunkowego.

Osobisty AS Simona poinformował go, że dowódcą akcji jest kapitan Jane Finemore. Na siatce pojawiła się strona zawierająca opis jej dotychczasowej służby. Mężczyzna przebiegł tekst wzrokiem, po czym zamknął dokument.

Na widok nadchodzącej dwójki policjanci zamilkli. Kapitan Finemore odwróciła się, a w jej oczach pojawił się błysk pogardy, gdy dostrzegła liliową tunikę Adula, zdradzającą przynależność do floty Z-B. Na widok Simona w eleganckim garniturze, z marynarką przewieszoną nonszalancko przez ramię, szybko przybrała profesjonalnie obojętny wyraz twarzy.

- Czy mogę wam pomóc, koledzy?

- Obawiam się, że jest raczej odwrotnie, kapitan... ach, Finemore - uśmiechnął się

Simon, udając, że czyta jej identyfikator. - Przechwyciliśmy raport, w którym wspomniano, że człowiek w Skórze dopuścił się w tej okolicy jakichś wrogich działań.

Kobieta już miała odpowiedzieć, gdy drzwi baru otworzyły się gwałtownie i wybiegła przez nie ekipa ratowników z noszami. Simon przycisnął się do poręczy, pozwalając im przejść. Na szyi i ramionach pacjenta umieszczono różne bransoletki medyczne, na których migały lampki wskaźników. Mężczyzna był nieprzytomny, ale cierpiał na silne drgawki.

- Jeszcze tego nie potwierdziliśmy - zauważyła z irytacją kapitan Finemore, gdy ratownicy zniknęli z tarasu.

- Jednak takie sformułowanie znalazło się w pierwszym raporcie - naciskał Simon. - Chciałbym jak najszybciej ustalić jego prawdziwość. Jeśli ktoś w Skórze wyrwał się spod kontroli, trzeba go jak najszybciej unieszkodliwić, zanim sytuacja pogorszy się jeszcze bardziej.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła policjantka. - Postawiłam uzbrojony zespół wsparcia taktycznego w stan gotowości.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, ale uważam, że do tego lepiej nadałaby się jednostka antyrewoltowa z naszego własnego działu bezpieczeństwa wewnętrznego. Kombinezon typu Skóra daje posiadaczowi dużą przewagę nad pani zespołem.

- Uważa pan, że nie zdołamy poradzić sobie z tym sami?

- Po prostu oferuję wszelkie dostępne wsparcie.

- Dzięki wielkie. Nie wiem, co byśmy bez was zrobili.

Uśmiech Simona nie zmienił się ani na jotę, gdy stojący wokół policjanci zachichotali szyderczo.

- Jeśli mogę spytać: skąd pochodził pierwszy raport?

Kapitan Finemore wskazała głową bar.

- Z zeznań kelnerki. Chowiała się za kontuarem, gdy klient otworzył ogień. Nie oberwała żadną ze strzałek.

- Chciałbym z nią pomówić.

- Wciąż jest w szoku. Wysłałam specjalnie wyszkolonych ludzi, by ją uspokoili.

Simon użył DNI, by wysłać wiadomość przez swój osobisty AS. Kapitan nie miała DNI - budżet policji w Queensland nie pozwalał na takie ekstrawagancje - ale widział, że jej tęczęwki są zabarwione purpurą - wszczepiono jej standardowe komercyjne membrany optroniczne umożliwiające szybki dostęp do danych.

- Czy ktoś oprócz mnie widział tego człowieka w Skórze? Trudno mi uwierzyć, że ktoś taki mógł przemknąć niezauważony.

- Nie. - Kapitan zesztywniała, przeglądając tekst przesuwający się po membranach. - Mamy tylko to jedno zeznanie. - Mówiła teraz powoli, ostrożnie ważąc każde słowo. - Dlatego jeszcze nie zarządziłam odcięcia miasta.

- A zatem odnalezienie tego człowieka to priorytetowe zadanie. Im dłużej pani czeka, tym większy obszar trzeba będzie odgrodzić i tym mniejsze są szanse na powodzenie operacji.

- Radiowozy patrolują już główne drogi Cairns. Nasi ludzie obstawili też terminal kolejki podniebnej i stację kolejową.

- Doskonale. Mogę teraz przesłuchać kelnerkę?

Kapitan Finemore wpatrywała się w niego bez słowa.

Ostrzeżenie Simona zostało sformułowane bardzo jasno i wysłane z upoważnienia gubernatora stanu. Jednak przesłał je jako wiadomość prywatną, by umożliwić pani kapitan zachowanie twarzy przy podwładnych. No chyba, że postanowiłaby je upublicznić i spektakularnie zniszczyć własną karierę.

- W porządku, najgorsze już chyba minęło - powiedziała takim tonem, jakby robiła mu przysługę.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pani strony. - Simon otworzył drzwi do baru i wszedł.

Wewnątrz znajdowało się kilkunastu ratowników klęczących przy ofiarach naszprycowanych toksyną. Przekrzykiwali się nawzajem, zadając pytania i udzielając odpowiedzi.

Gorączkowo grzebali w torbach, próbując odnaleźć środki przeciwdziałające. Wokół walał się porozrzucany sprzęt medyczny. Ich membrany optyczne gęsto pokryte były skryptem dotyczącym potencjalnych metod leczenia.

Ofiary drżały i trzęsły się spazmatycznie, bębniąc piętami o podłogę. Pociły się obficie i pojękiwały, pogrążone w bolesnych koszmarach. Jedno z ciał zapakowano już do czarnego worka.

Simon widywał takie rzeczy już wielokrotnie podczas operacji realizacji aktywów - choć zwykle na większą skalę. Jedna Skóra zawierała dość amunicji, aby zatrzymać nadciągający tłum. Ostrożnie przeszedł pomiędzy ciałami, starając się nie przeszkadzać ratownikom. Policjanci i technicy oglądali ściany i stoły, dodatkowo potęgując ogólny chaos.

Kelnerka siedziała przy kontuarze w przeciwległym końcu baru, w ręku kurczowo ścisnęła szklanekę z whisky. Była kobietą w średnim wieku, miała pełną, mięsistą twarz i włosy ufryzowane w niemodną trwałą ondulację. Sprawiała wrażenie, jakby nic do niej nie docierało.

Simon z niesmakiem zauważył, że w jej DNA nie było ani jednego wirusowo wpisanego chromosomu. Biorąc pod uwagę, czym się zajmowała, brak w-wpisu oznaczał, że prawdopodobnie wykazywała niską inteligencję, miała kiepską fizjologię i żadnych ambicji. Ot, wieczna ofiara losu.

Obok niej siedziała na stołku jakaś policjantka, spoglądając na nią ze współczującym wyrazem twarzy. Simon pomyślał, że gdyby zapamiętała cokolwiek z owego rzekomego specjalistycznego szkolenia, to przede wszystkim wyprowadziłaby świadka z miejsca zbrodni.

AS nie zdołał odnaleźć nazwiska kelnerki - najwyraźniej w tym barze nie używano żadnych programów do księgowości i zarządzania. Nie mógł namierzyć nawet zarejestrowanego połączenia do puli danych - lokal miał tylko numer telefonu.

Simon usiadł na stołku obok kelnerki.

- Witaj. Jak się czujesz, eee...?

Kobieta spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Sharlene.

- Sharlene. To musiało być straszne przeżycie. - Uśmiechnął się do policjantki. - Chciałbym porozmawiać z Sharlene na osobności.

Kobieta obrzuciła go złym spojrzeniem, ale wstała i odeszła. Najprawdopodobniej poszła się poskarżyć kapitan Finemore.

Adul stanął za Sharlene, obserwując bar. Ludzie omijali go szerokim łukiem.

- Proszę powiedzieć mi, co tu zaszło - polecił Simon. - Bardzo mi przykro, ale muszę to wiedzieć szybko.

- Jezu. - Sharlene zadrżała. - Chciałabym o tym po prostu zapomnieć, wie pan? - Uniosła szklankę do ust, ale potem zamrugała ze zdziwieniem, bo Simon położył rękę na jej dłoni, przyciskając ją do kontuaru.

- Ten przestępca bardzo cię wystraszył, prawda?

- Jak cholera.

- To zrozumiałe. Jak widziałas, tego rodzaju człowiek może cię przyprawić o poważny fizyczny dyskomfort. Ja zaś mogę zniszczyć całe twoje życie jednym telefonem. Ale na tym nie poprzestane. Zniszczę też twoją rodzinę. Nikt z nich już nigdy nie dostanie pracy. Pozostaną wam tylko zasiłki i inne ochłapy przez całe pokolenia. A jeśli będziesz mnie dalej drażnić, pozbawię was nawet prawa do zasiłku. Chcesz razem z matką pracować jako kurwa dla żołnierzy Z-B? Bo tylko to wam pozostanie. Umrzecie przedwcześnie na Wybrzeżu, zarażone syfem i zajebane na śmierć.

Sharlene gapiała się na niego z otwartymi ustami.

- A teraz powiedz mi to, co chcę wiedzieć. Wysil ten żalony strzępek ciała, który nazywasz mózgiem, a może nawet dostaniesz nagrodę. Jak będzie, Sharlene? Będziesz mnie wkurzać czy zaczniesz współpracować?

- Chcę... chcę pomóc - wyjąkała kobieta.

Simon uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Znakomicie. A teraz powiedz: czy ten człowiek był ubrany w Skórę?

- Nie. Nie do końca. Miał tylko dziwne ramię. Widziałam je, gdy płacił za piwo. Było bardzo grube i miało dziwny kolor.

- Jakby się mocno opalił?

- Tak. Właśnie tak. Było ciemne, ale nie tak bardzo jak u aborygenów.

- Tylko ramię?

- Tak. Ale miał też jakieś zawory na szyi. Wie pan, jak u potwora Frankensteina, ale zrobione z ciała. Widziałam je, wystawały tuż nad kołnierzem.

- Jesteś pewna?

- Tak. Nie zmyśliłam tego. To był żołnierz Zantiu-Braun.

- I co się stało? Tak po prostu wszedł i wszystkich zastrzelił?

- Nie. Rozmawiał z jakimś gościem. Potem Jack i paru innych podeszło do niego, chyba szukali kłopotów. Jack już taki jest, ale to dobry chłopak. A potem już poszło.

- Ten człowiek wypuścił strzałki?

- Tak. Zobaczyłam, jak wyciąga rękę w górę i wtedy ktoś krzyknął, że facet jest w Skórze. Wskoczyłam za bar. Potem wszyscy zaczęli krzyczeć i padli na podłogę. Gdy wstałam, już tylko leżeli. Z początku myślałam... myślałam, że nie żyją.

- Wtedy wezwałaś policję.

- Tak.

- Widziałaś już wcześniej tego człowieka?

- Chyba nie. Ale możliwe, że już tu był. Przychodzi tu wielu ludzi.

Simon rozejrzał się wokół i siłą woli powstrzymał grymas obrzydzenia.

- Tak, z całą pewnością. A ten człowiek, z którym rozmawiał sprawca... widziałaś go kiedyś?

- Nie. Ale...

- Tak?

- On też był z Zantiu-Braun.

- Na pewno?

- Aha. Pracowałam w różnych barach na Cairns. Nauczyłam się rozpoznawać

żołnierzy, nie tylko po zaworach.

- W porządku. A zatem nasz strzelec przyszedł, kupił piwo i podszedł prosto do tego drugiego żołnierza, tak?

- Tak. To wszystko.

- Spróbuj sobie przypomnieć: czy któryś z nich był zaskoczony widokiem tego drugiego?

- Nie. Ten który przyszedł pierwszy, pił sam przy stoliku, jakby na kogoś czekał.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłaś.

Gdy wyszedł z baru, kapitan Finemore obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

- Co się stało?

- Nic - odparł Simon. - To nie była Skóra. Sprawca używał jakiegoś pistoletu rozbryzgowego. Szkoda, że chemik nie przyjrzał się uważniej strukturze molekularnej, gdy próbował ją zretrosyntetyzować.

- Szkoda? - kapitan zacisnęła usta w wąską kreskę. - Mamy tu jednego zabitego, a reszta może nigdy nie wyzdrowieć.

- A zatem pewnie ucieszy panią wiadomość, że już sobie idziemy. - Simon wskazał na zatarasowaną ulicę. - Teraz wszystko należy do pani. Ale jeśli będzie pani potrzebować pomocy przy namierzeniu Strzelca, to proszę dać znać. Naszym chłopcom przyda się odrobina prawdziwego treningu.

- Będę o tym pamiętać - odparła Finemore.

Podobnie jak przedtem, policjanci i cywile rozstępowali się przed Simonem z milczącą wrogością. Szybko przeprowadził procedurę uruchomienia TVL77D i poderwał go ze spieczonego błota. Jego osobisty AS twierdził, że żadna Skóra nie została pobrana ze zbrojowni na Cairns bez autoryzacji.

- Sprawdź to - polecił Adulowi. - Chcę wiedzieć, kto łązi po okolicy w Skórze.

- Jakiegoś żołnierza napadli w barze. Myślisz, że to naprawdę takie ważne?

- Sam incydent - nie. Ale fakt, że nie zarejestrowano braku Skóry - już tak. Poza tym ciekaw jestem, dlaczego dwaj żołnierze mieliby się spotykać w takiej norze.

- Tak, sir.

\*\*\*

Baza Trzeciej Floty Zantiu-Braun znajdowała się na miejscu starego Międzynarodowego Portu Lotniczego Cairns, na północ od miasta. Już od dawna nie latały stamtąd komercyjne linie - głównym środkiem transportu była kolej magnetyczna TranzAus, transportująca pasażerów i towary na północ z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę.

Płytę postojową zajmowała teraz eskadra helikopterów, a także kosmolotów z napędem scramjet i kilka samolotów ponaddźwiękowych, ciemnych i przypominających kształtem rakiety. Osiem ciężkich samolotów turbośmigłowych pozostawało do dyspozycji cywilnej straży przybrzeżnej i służb ratowniczych, obejmując teren aż do Nowej Gwinei. W efekcie, przestrzeń powietrzna ponad Cairns należała do najbardziej ruchliwych miejsc w Australii, nie licząc Sydney, gdzie znajdował się węzeł komunikacyjny pozostałych linii. Syntetyczne paliwo wysokowodorowe zastąpiło naturalne paliwa płynne - było wprawdzie bardziej ekologiczne, ale i droższe w produkcji. Wzrastające koszty spowodowały, że kwestia podróży kosmicznych cofnęła do sytuacji z dwudziestego wieku - stały się domeną rządów, korporacji i bogaczy.

Gdy turystyka masowa zamarła, a rolnictwo zostało praktycznie wyeliminowane za sprawą żywności hodowanej w kadziach i pogarszającego się promieniowania ultrafioletowego, Queensland szybko zamieniło się w gospodarczą pustynię. Wtedy właśnie Zantiu-Braun otrzymała ulgi inwestycyjne z zerową stawką podatkową, by sfinansować działalność polegającą na odnowieniu operacji Ziemia-orbita.

W tamtych czasach ich działalność była czysto komercyjna. Kosmoloty frachtowe przewoziły moduły produkcyjne na stacje niskoorbitalne i wracały, wioząc cenne przedmioty wyprodukowane w warunkach mikrogravitacji; kosmoloty pasażerskie przewoziły tymczasem kolonistów na statki. Ale w roku 2307 wszystko się zmieniło. Realizacja aktywów nagle stała się priorytetowym zadaniem, a rodzaje produktów wywożonych na orbitę również uległy zmianie. Liczba kolonistów odlatujących z Cairns w ciągu dziesięciu lat spadła do zera - ich miejsce zajął personel zajmujący się bezpieczeństwem strategicznym. Systemy wsparcia Trzeciej Floty przejęły transporty przemysłowe.

Baza rozbudowała się gwałtownie, dokładając wciąż nowe baraki i kwatery małżeńskie dla żołnierzy z działu bezpieczeństwa strategicznego. Inżynierowie i technicy wybudowali sobie kilka rzędów nijakich molochów przypominających magazyny. Wokół wyrosły nowe hangary i warsztaty serwisujące helikoptery. Olbrzymie połacie rządowej ziemi wydzierżawiono, by służyły jako teren do ćwiczeń. A wszystkie te nowe nabytki wymagały odpowiedniej administracji. Szklano-marmurowe wieżowce wyrosły u stóp wzgórz, górując nad bazą i pobliskim oceanem.

Biuro Simona Rodericka mieściło się na najwyższym piętrze budynku Quadrill - najnowszej i najbardziej przytulnej enklawy menedżerskiej Z-B. Po wylądowaniu na dachu z miejsca udał się do swojego gabinetu, gdzie natychmiast musiał się zająć kolejną sesją planowania zebrań i narad taktycznych. Kierownicy przychodzili i wychodzili z jego biura,

jakby był to jakiś łącznik na korytarzu. Każdy z nich miał dla niego jakąś propozycję, skargę albo raport. W obecnych czasach tak bardzo polegano na sztucznej inteligencji, a jednak Simon nigdy nie mógł się nadziwić, jak mało można osiągnąć bez nadzoru człowieka. Większość ludzi potrzebowała po prostu solidnego kopniaka w tyłek, żeby nabrać motywacji i zacząć się zachowywać jak dorośli. Nawet neurotronowe perły z przełącznikiem kwantowym nie były w stanie tego zapewnić.

Po trzech latach spędzonych na miejscu Simon wiedział już, że po kampanii w Thallspring będzie musiał przedstawić zarządowi parę drastycznych zaleceń. Po czterdziestu pięciu latach ciągłej ekspansji dział bezpieczeństwa strategicznego był już pełen oficerów i specjalistów do spraw zarządzania i niemal załamywał się pod ciężarem własnych danych. Każde biuro codziennie generowało raporty i żądania; koordynowanie tych dokumentów, nawet z pomocą trasowania AS, stawało się coraz trudniejsze. Pętlowe zaangażowanie organizacyjne, czyli wstępna faza strategii zarządzania, zdawało się świetnym pomysłem, ale po czterech dekadach ciągłej optymalizacji oprogramowanie używane przez Trzecią Flotę stało się klasycznym zasobożercą - kolejnym niepotrzebnym obciążeniem. Od strony teoretycznej zaangażowanie pętlowe wyglądało znakomicie. Doświadczenie zdobyte podczas poprzedniej kampanii było wprowadzane na poziomie bazy. Na przykład: podczas ostatniej kampanii temu i temu plutonowi skończyły się woreczki z krwią instalowane w Skórze - i to aż dziesięć dni przed spodziewanym terminem zużycia. Tym razem dodano załącznik dotyczący specjalnych wymogów do profili logistycznych tychże plutonów. Kto mógłby kwestionować potrzebę właściwego zaopatrzenia oddziałów na linii frontu? Jednak dodatkowe woreczki z krwią trzeba było przewieźć na orbitę, co oznaczało więcej lotów, więcej godzin dla załogi i więcej paliwa - a wszystko to należało wpasować w aktualny harmonogram. Efekt domina, który za każdym razem wywoływał lawinę. Simon był przekonany, że całą strukturę Trzeciej Floty należy uprościć na tyle, że w praktyce oznaczało to rozwiązanie całej formacji i stworzenie nowej - od początku wykorzystującej nowoczesne procedury zarządzania.

Przez ostatnie cztery miesiące, od czasu, gdy planowanie kampanii na Thallspring rozpoczęło się na dobre, Simon koncentrował się na tym, by osobiście nadzorować kwestie praktyczne, na przykład harmonogramy przeglądu statków, liczbę Skór, dostępność helikopterów i podstawowego sprzętu. Jednak oznaczało to, że jego priorytetowe żądania i rozkazy należało wpasować w bardzo już nasyconą strukturę dowództwa, tworząc kolejną warstwę kierownictwa, którą AS zarządzający bazą z trudem integrował z resztą. Simon lubił myśleć, że jego interwencja przyspieszała ogólny proces, ale nie było sposobu, by to ustalić.



Próżność klasy rządzącej. Złudne poczucie, że może coś zmienić.

Adul Quadan zjawił się dopiero pod wieczór, gdy słońce schowało się za łańcuch wzgórz ciągnący się w pobliżu bazy. Simon stał właśnie przy oknie zajmującym całą ścianę, spoglądając na złociste promienie padające zza okrągłych wzgórz, podczas gdy ostatni z dowódców składał mu swój raport. Przed sobą widział coraz wyraźniejsze światła pasa startowego, przypominające siatkę ulic jakiegoś nieistniejącego miasta, wzywającą helikoptery do domu na noc. Na południu widniała neonowa korona Wybrzeża Cairns, wznosząca się na tle ciemniejącego nieba. W dole nad wodą właśnie otwierały się kluby, kasyna i bary; tanie automaty do gry i dziewczęta przesyłające żołnierzom dobrze wykalkulowane uśmiechy.

Bywały takie chwile, gdy Simon prawie zazdrościł im tego prostego życia: nic tylko walczyć, rżnąć i zapominać o całym świecie, choć była to dokładna antyteza jego przekonań. Ci ludzie nie musieli codziennie znosić takiego poziomu stresu. Był to jeden z powodów, dla których przydzielił strzelcowi z Kurandy wyższy priorytet, niż powinien - potrzebował jakiegoś pretekstu, by wyjść z biura.

Drzwi zamknęły się za ostatnim dowódcą.

- Masz dla mnie jakieś nazwisko? - spytał Simon.

- Obawiam się, że nie, sir - odparł Adul. - To wszystko wygląda bardzo dziwnie.

- Czyżby? - Simon wrócił do biurka i usiadł. Oczyszczył panele holograficzne ze skryptów i wykresów, spoglądając na agenta oczekującego poprzez przezroczyście szkła okularów. - Mów dalej.

- Zacząłem od zbrojowni. Skóry będące w naprawie wydały mi się dość oczywistym rozwiązaniem. Nasz człowiek mógł zabrać ramię, a komputer nadal pokazywał status kombinezonu jako „w naprawie”. Przesłuchał każdego technika. Przysięgali, że wszystkie kombinezony są kompletne. Żadnych brakujących ramion.

- Może to jeden z nich był tym strzelcem? - zasugerował Simon.

- Niemożliwe. Mógłby się wymknąć na jakieś pół godziny, zanim ktoś zauważyłby jego nieobecność, ale nie zdołałby dojechać aż do Kurandy. Mój osobisty AS sprawdził nagrania ze wszystkich kamer bezpieczeństwa. Wszyscy byli w bazie.

- W porządku. Kontynuuj.

- Kolejnym podejrzanym mógłby być żołnierz przebywający na ćwiczeniach, który odłączył się od grupy. To byłoby dość łatwe. Dzisiaj zaplanowano ćwiczenia w Skórach dla osiemnastu plutonów. Najbliższy teren ćwiczebny w okolicach Kurandy znajduje się sześćdziesiąt pięć kilometrów stąd. Wszystkie Skóry przybyły tam dziś rano, a mój AS

polecił wszystkim dowódcom plutonów, by natychmiast przeliczyli swoich ludzi.

- Nikogo nie brakuje?

- Ani jednego. Mam nawet listę żołnierzy, którzy nie zjawili się na ćwiczeniach. Trzech było rannych. Szpital potwierdził ich alibi. Dwóch miało wadliwe kombinezony i zostali odesłani do bazy. Zbrojownia potwierdza ich położenie.

- Ciekawe.

- Wtedy sprawdziłem nieboskan. - Adul wskazał głową holograficzne panele. DNI trasował pliki obrazów.

Simon przyglądał się obrazowi. Główna ulica Kurandy ukazała mu się w nieco wyblakłych barwach. Rozpoznał dach z namalowanym otwartym okiem. Wtedy już łatwo było ustalić, który z budynków to bar. Ulicą jechało parę pikapów, chodnikiem szło kilkoro przechodniów. Wokół jednego z nich zaczęła migać biała obręcz.

- To właśnie nasz człowiek - oznajmił Adul. - I Bóg jeden wie, jak wygląda naprawdę.

Simon powiększył obraz, czując, że coraz bardziej podoba mu się ta sprawa. Godny przeciwnik i tak dalej. Jakość obrazu pozostawiała wiele do życzenia. Małe satelity szpiegowskie używane przez Z-B do monitorowania całej Ziemi miały zapewniać jedynie ogólny obraz. Ich podstawową funkcją było nagrywanie w czasie rzeczywistym wszędzie, gdzie tylko mogły to robić w dużej rozdzielczości. Jednak nawet przy tak ograniczonej pamięci zdołał dostrzec pewną ciekawą rzecz.

- Duży kapelusz.

- Tak, sir. Cofnąłem się i śledziłem go od momentu, gdy wysiadł z pociągu na dworcu w Kurandzie. Cały czas miał go na sobie i ani razu nie spojrzał w górę.

- A ten człowiek, z którym się spotkał?

- Ten sam problem.

Obraz zmienił się, ukazując scenę nagraną osiem minut wcześniej. Klatka po klatce można było obejrzeć, jak jeep z napędem na cztery koła podjeżdża do baru. Kierowca wysiadł i wszedł do środka.

- Sklepikarze muszą mieć krociowe zyski na tych kapeluszach - mruknął Simon. Pochylił się naprzód, wpatrując w zatrzymany obraz. - Czy to nie jest czasem nasz jeep?

- Tak, sir - przyznał ciężko Adul. - Nieboskan zapisał numer rejestracyjny, 5867 ADL 96. Według programu do inwentaryzacji środków transportu ten samochód stał tu dziś przez całe popołudnie. Użyłem nieboskanu, aby ustalić, kiedy wyjechał i wrócił do bazy. Za każdym razem korzystał z bramy numer dwanaście, ustaliłem też dokładną godzinę. Przejazd nie figuruje w logach bramy.

- Czy logi bramy są chronione przez e-alfa?

- Nie, program do inwentaryzacji też go nie używa. Korzystają z szyfrowania trzeciego stopnia.

- A zatem są bardzo dobrzy - Simon z uznaniem skinął głową panelowi holograficznemu. - Założę się, że nie zdołasz też ustalić, kiedy strzelec wszedł do pociągu na Cairns ani kiedy wysiadł na terminalu.

- Mój AS już się tym zajmuje.

Simon wyłączył obraz i obrócił się na krześle, tak by patrzeć znów w stronę okna. Imponujące wiązki promieni znikły, pozostawiając jedynie zarys ostrych sylwetek na tle ciemniejącego nieba.

- Wiedzą, jak uniknąć nagrania przez nieboskan i potrafią posłużyć się sprzętem z bazy, nie pozostawiając śladu. Co oznacza, że mogą to być albo oficerowie posiadający wysokopoziomowy kod dostępu, albo bardzo doświadczeni żołnierze, którzy znają ten system na wylot. Ta kelnerka wzięła ich za żołnierzy.

- To nie ma sensu. Dlaczego dwaj żołnierze mieliby zadawać sobie tyle trudu tylko po to, żeby napić się razem piwa? Nie mogli przeskoczyć wieczorem przez płot i wyrwać się na Wybrzeże jak normalni ludzie?

- Dobrze pytanie. Najwyraźniej uznali te środki ostrożności za konieczne.

- Co mam teraz zrobić?

- Pracuj nad tym dalej. Ale jeśli najnowsze poszukiwania nie dadzą rezultatu, to nie wpadaj w rozpacz. I bądź w kontakcie z kapitan Finemore. Wątpię, by coś znalazła, ale nigdy nic nie wiadomo. Może w końcu stanie się cud.

- A zatem ujdzie im to na sucho.

- Nie wiemy, co zamierzali, ale tak, na to wygląda.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przez całą noc padał deszcz i gładkie, kamienne ulice Memu Bay były rankiem śliskie od wody. Niedługo potem, gdy tropikalne słońce wzniosło się nad horyzont, kamienne bloki zaczęły parować, sprawiając, że wilgotność stała się nieznośna. Jednak po południu powietrze ochłodziło, pozostawiając miłe uczucie świeżości.

Denise Ebourn wyprowadziła dzieci na zewnątrz, by nacieszyły się resztą dnia. Budynek przedszkola, w większości otwarty, osłonięty był dachem podpartym wysokimi, ceglanyimi kolumnami. Pnące rośliny oplatały kolumny i pełzły po dachu, zasypując rynsztok kaskadą szkarłatnych i purpurowych kwiatów. Przebywanie pod okapem nie było zbyt uciążliwe, ale podobnie jak jej podopieczni, Denise wołała znaleźć się na zewnątrz i cieszyć się wolnością.

Pobiegli poprzez przedszkolny ogródek, śmiejąc się, podskakując, pełni energii. Denise spacerowała pomiędzy huśtawkami i zjeżdżalniami, pilnując, by dzieci się nie przemęczyły ani nie robiły nic niebezpiecznego. Gdy upewniła się, że jej podopieczni zachowują się na tyle grzecznie, jak w ogóle pięciolatki potrafią, oparła się rękami o otaczający murek, który sięgał jej do piersi, i odetchnęła głęboko, patrząc na miasteczko.

Większość Memu Bay wybudowano na terenie napływowym w kształcie półksiężyca, na samym końcu łańcucha górskiego. Był to idealnie osłonięty naturalny port. Droższe domy znajdowały się na niskich zboczach porośniętych trawą wzgórz. Rzymskie wille i kalifornijsko-hiszpańskie hacjendy wyposażone w ogrody tarasowe w postaci długich stopni, które majestatycznie zstępowały ze stoków. Gdziekolwiek widać było lśniąca turkusową plamę basenu otoczonego przez wysokie topole i kolumnienki owinięte różami. Jednak większość obszaru miasta mieściła się u podnóża gór. Podobnie jak wszystkie nowe miasta, przecinał je szeroki bulwar obrzeżony drzewami, który następnie rozdzielał się na siatkę mniejszych dróg prowadzących na przedmieścia. Zarówno apartamentowce, jak i biura pomalowano na biały kolor, który aż lśnił w promieniach popołudniowego słońca, przecięty gdzieś przydymionymi szybami. Balkony aż opływały w wiszącą roślinność. Z płaskich dachów sterczały podobne do żagli panele słoneczne, leniwie obracające się w świetle i rzucające długie cienie na srebrzyste żeberka ciągnących się w dół wymienników ciepła. Oślepiającą biel miasta przelamywała zieleń kilku parków: zielone oazy pośród morza

bieli. Jeziora i fontanny błyszczały w słońcu.

Denise zawsze uważała, że ziemska roślinność ma dziwny kolor - paradoksalnie zdawał jej się nienaturalny. Spoglądając w głąb łąd zmrużonymi oczami, dostrzegała granicę zarysowaną na zboczach gór widniejących w oddali. Ziemska trawa rozprzestrzeniła się aż do krańców terenu wysterylizowanego strumieniem gamma. Dalej ciągnęły się połacie miejscowej roślinności, znikające we mgle na horyzoncie. Rośliny miały ciężkie bulwiaste liście i lśniące łodygi w kolorze błękitnej zieleni.

Denise wychowała się w głębi kontynentu - w prowincji Arnoon, gdzie kolonizacja miała niewielki wpływ na życie miejscowej flory i fauny. Doliny kolonistów uciekających przed cywilizacyjnymi ograniczeniami można było znaleźć na każdej granicy ludzkich imperiów. Żyli wśród pięknego, obcego świata, gdzie nawet rośliny mogły poważnie zaszkodzić nieostrożnym wędrowcom. Biochemia roślin na Thallspring nie obejmowała białek, które mogliby strawić ludzie lub zwierzęta z Ziemi, jednak w lasach na wyżynach można było napotkać wierzbowe włókna, które zbierali osadnicy. Po uprzedzeniu uzyskiwało się jedwabistą wodoodporną wełnę, bardzo cenioną przez mieszkańców miast. Nie było to bardzo zyskowne zajęcie, ale utrzymywało ich małą społeczność przy życiu. Byli to spokojni, małomówni ludzie. Denise miała szczęśliwe dzieciństwo. Odebrała bardzo gruntowną edukację, dostępną jedynie uczestnikom podróży kosmicznych, a jednocześnie pozostała silnie związana z własnym, przybranym światem. Ich życie było bezpieczniejsze, niż kiedykolwiek przypuszczała, właśnie dzięki pewnym prywatnym zasobom wiedzy, subtelnie kształtującym wszystkie podstawowe wartości, jakie wyznawali w życiu.

Życie płynęło spokojnie, póki nie zjawili się najeźdźcy.

Głośny chichot wyrwał ją z zamyślenia. Za jej plecami tłoczyło się kilkoro dzieci, wypychając przed siebie Melanie. Dziewczynka była najodważniejsza z grupy i w zasadzie nie potrzebowała żadnej zachęty. „Urodzona przywódczyni - nie to, co ten jej ojciec, burmistrz”, pomyślała Denise. Dziewczynka pociągnęła ją za spódnicę, śmiejąc się głośno.

- Proszę pani! - zawołała. - Niech pani opowie bajkę!

Denise dotknęła szyi, udając zaskoczenie.

- Bajkę?

- Tak, tak! - dołączyły się inne dzieci.

- Proooszę! - jęknęła Melanie, a jej usta zadrżały w wyrazie rozczarowania, jakby była bliska łez.

- No dobrze. - Denise pogłaskała dziewczynkę po głowie, a jej koledzy podnieśli tryumfalną wrzawę. Właśnie w takich chwilach, gdy czuła na sobie ich podziw i skupienie,

kobieta wiedziała, że warto było podjąć tę pracę.

Z początku dyrektorka przedszkola, pani Potchansky, miała pewne wątpliwości. Taka młoda dziewczyna, ledwie dwudziestoletnia, do tego wychowana gdzieś na kresach. Certyfikaty pedagogiczne były bez zarzutu, ale... Pani Potchansky twierdziła, że jest zwolenniczką starych, sprawdzonych i jedynych właściwych metod prawdopodobnie nieznanymi w prowincji Arnoon. Z ostentacyjną niechęcią zgodziła się przyjąć Denise na okres próbny, podkreślając, że wiele bardzo ważnych osób posyła dzieci do tego przedszkola.

To było rok temu. Od tego czasu Denise otrzymała już nawet zaproszenie na niedzielny obiad u pani Potchansky, wraz z jej rodziną. W Memu Bay był to niemal najwyższy dowód akceptacji towarzyskiej.

Denise usiadła na jednej z drewnianych huśtawek, chwyciła się łańcuchów i zrzuciła z nóg sandały. Dzieci usiadły przed nią na trawie, niecierpliwe i podekscytowane.

- Opowiem wam historię Mozarka i Endoliyn, którzy żyli bardzo dawno temu - u zarania dziejów galaktyki.

- Zanim zabiło czarne serce? - chciał się upewnić jeden z chłopców.

- Mniej więcej wtedy - potwierdziła. Już wiele razy opowiadała dzieciom o czarnym sercu galaktyki zachłannie pożerającym gwiazdy, niezależnie, jak bardzo Imperium Pierścienia starało się temu zapobiec. Dzieci piszczwały wtedy i wstrzymywały oddech ze strachu. - Imperium Pierścienia było wówczas u szczytu potęgi. Składało się z tysięcy różnych królestw, a wszystkie zjednoczone były w pokoju i harmonii. Jego poddani mieszkali na gwiazdach krążących wokół jądra galaktyki, biliony ludzi, a wszyscy szczęśliwi i zadowoleni. Mieli maszyny, które produkowały im wszystko, czego potrzebowali, i większość z nich dożywała kilku tysięcy lat. Był to bardzo pomyślny czas, a najszczęśliwszym z ludzi był Mozark, ponieważ przyszedł na świat jako książę w jednym z najpotężniejszych królestw.

Jezella uniosła rękę, machając gorączkowo.

- Czy ci ludzie byli tacy jak my?

- Mieli inne ciała - odparła Denise. - Niektóre rasy zamieszkujące imperium miały ręce i nogi tak jak my, niektórzy mieli skrzydła, a inni - cztery nogi, albo nawet sześć czy dziesięć. Niektórzy mieli macki, niektórzy przypominali ryby, a niektórzy byli tak ogromni i straszni, że ucieklibyście na sam widok. Ale wiecie, jak powinniśmy oceniać ludzi?

- Po tym, co mówią i robią! - zawołały przedszkolaki w odpowiedzi. - Nie po tym, jak wyglądają!

- Właśnie tak. Mozark pochodził z rasy, która była do nas trochę podobna. Miał

czworo rąk i oczy dookoła głowy, dzięki czemu mógł patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie. Jego skóra miała jaskrawozielony kolor i była twardsza od naszej, był też trochę niższy. Ale poza tym myślał tak jak my, chodził do szkoły i bawił się z kolegami. Był bardzo miły i miał wszystkie cechy dobrego księcia: był życzliwy i mądry, i rozsądny. Wszyscy poddani uważali, że to wielkie szczęście. Mozark zapowiadał się na dobrego władcę. Gdy był już dorosły, spotkał Endoliyn, która była najpiękniejszą kobietą, jaką dotąd widział. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Dzieci uśmiechnęły się z rozmarzeniem.

- Czy była księżniczką?

- Czy była biedna?

- Czy wyszła za księcia?

- Nie - odparła Denise. - Nie była księżniczką, ale należała do grupy, którą u nas nazywano szlachtą. Mozark poprosił ją o rękę. I tu właśnie zaczyna się nasza opowieść. Gdy księżę zapytał Endoliyn, czy zostanie jego żoną, ona nie odpowiedziała ani „tak”, ani „nie”, lecz zadała mu pytanie. Chciała wiedzieć, co zamierza zrobić, gdy zostanie królem. Bo widzicie, wprawdzie była bogata i miała wielu przyjaciół, jednak wciąż zastanawiała się, jakiemu celowi mogłaby się w życiu poświęcić. A zatem Mozark odpowiedział, że zamierza rządzić najlepiej, jak potrafi, być sprawiedliwym władcą, słuchać swoich poddanych i postarać się ich nie zawieść. Była to bardzo rozsądna odpowiedź, ale nie zadowoliła ona Endoliyn. Kobieta rozejrzała się wokół, popatrzyła na wszystko, co było w królestwie, wszystkie te cudowne skarby, i bardzo posmutniała.

- Dlaczego? - Dzieci aż westchnęły zaskoczone.

- Ponieważ wszyscy w królestwie widzieli to samo, robili to samo i lubili to samo. Nigdy nie widywano tam nic nowego. Jeśli wiecie wszystko i macie wszystko, to już nic nie jest w stanie was zaskoczyć. I właśnie to ją zasmuciło. Powiedziała Mozarkowi, że chce mieć króla, który będzie silny i odważny i nie zawaha się poprowadzić swego ludu w nieznaną. Nie zadowoli się po prostu kontynuowaniem tego, co zastał na miejscu, ani nie będzie próbował zadowolić wszystkich w każdej sytuacji. Nikt nie dokona takiej sztuki - nie da się zadowolić wszystkich naraz, najczęściej nie udaje się wtedy zadowolić nikogo. Powiedziała, że pokocha i poślubi tylko kogoś, kto zdoła ją zainspirować.

- To nieładnie - stwierdziła Melanie. - Gdyby księżę oświadczył się mnie, na pewno bym się zgodziła.

- Jaki księżę? - spytał szyderczo Edmund.

- Jakikolwiek. A wtedy zostałabym prawdziwą księżniczką i musiałbyś mi się kłaniać

w pas!

- Nie ma mowy!

Denise klasnęła w ręce, by ich uciszyć.

- W tym królestwie było inaczej. Nie tak jak na Ziemi w średniowieczu, gdzie każdy baron miał swoich chłopów. Arystokraci z Imperium Pierścienia musieli zasłużyć sobie na szacunek.

Edmund już chciał zaprotestować.

- Ale...

- Co z Mozarkiem? - spytała płaczliwie Jezella. - Czy poślubił Endoliyn?

- Z początku poczuł straszliwy zawód, że ukochana nie przyjęła jego oświadczyn od razu. Ale ponieważ był mądry i silny, postanowił podjąć to wyzwanie. Postanowił, że znajdzie coś, co ją zainspiruje, co będzie z pożytkiem dla wszystkich w królestwie. Kazał zbudować wielki statek, by podróżować po całym imperium w poszukiwaniu cudów, mając nadzieję, że któryś z nich odmieni życie jego poddanych.

Wszyscy w królestwie podziwiali ten statek i odwagę księcia, bo nawet wówczas niewielu ważyło się na takie przedsięwzięcia. Mozark zebrał zatem swoją załogę - najodważniejszych szlachciców, jakich znalazł - i pożegnał się z Endoliyn. Potem wystartowali tym cudownym pojazdem, lecąc prosto w niebo - teraz już nigdzie nie zobaczycie takich statków. Na tym firmamencie nigdy nie zapadała noc, ponieważ po jednej stronie widniało jądro galaktyki złożone z miliona lśniących gwiazd, a po drugiej znajdował się sam pierścień - wąska obręcz złocistego światła ciągnąca się od horyzontu do horyzontu. Lecieli naprzód, mijając te wszystkie gwiazdy, i trwało to kilka setek lat świetlnych, aż w końcu znaleźli się w tej części pierścienia, gdzie ich własne królestwo znano tylko z opowieści. Tam właśnie znaleźli pierwszy cud.

- Co takiego? - pisał jeden z chłopów. Koledzy szybko go uciszyli.

- Nazwa tej planety już dawno popadła w zapomnienie. Nazywano ją po prostu Miastem. Dla Mozarka miejsce to było równie mityczne jak jego własna ojczyzna dla mieszkańców tej planety. Lud, który tam mieszkał, postanowił poświęcić się tworzeniu jak najpiękniejszych budowli. Wszyscy mieszkali w pałacach posiadających własne parki, jeziora i rzeki, a ich budynki publiczne były majestatyczne niczym góry. Właśnie dlatego ich świat nazywano Miastem - każda budowla była tak wielka i wspaniała i miała tak wielką powierzchnię, że w końcu te konstrukcje zajęły całą ziemię - od pustyń po czapy polarne. Nie było ani jednego niezabudowanego skrawka. Powiecie pewnie, że to łatwe - przecież Imperium Pierścienia wynalazło maszyny, które potrafiły zbudować wszystko. Ale



mieszkańcy miasta nie chcieli, by to maszyny budowały ich domy. Uważali, że każdy powinien zbudować sobie własny. Wierzyli, że tylko wtedy można w pełni docenić jego majestat, jeśli wzniosło się go własnymi rękami.

Mozark i jego załoga wylądowali tam i długo wędrowali wśród tych fantastycznych budowli. Należeli wprawdzie do innego gatunku niż mieszkańcy Miasta, ale i tak potrafili docenić piękno tych konstrukcji. Były tam wieże, strzeliste niczym katedry, wznoszące się w niebo na wiele kilometrów. Kryształowe tunele oplatające górskie zbocza, w których hodowano wszystkie gatunki roślin znane na tej planecie. Proste, surowe budynki i inne, bogato zdobione, a także budowle, które niemal wtapiały się w krajobraz. Wizualne cuda, wszędzie, gdzie tylko spojrzeć. Mozark spędził tam wiele tygodni, zupełnie oszołomiony tymi widokami. Wydawało mu się, że to największe osiągnięcie, jakie może zaprezentować jakakolwiek rasa - zapewnić każdemu obywatelowi życie w podobnym luksusie, w otoczeniu takiego piękna. Ale w końcu zwołał swoją załogę na statek i oznajmił, że mimo całego swego majestatu Miasto na nic im się nie przyda. Wtedy odlecieli i wyruszyli w dalszą podróż wokół jądra galaktyki.

- Dlaczego? - pytały dzieci.

- Po pierwsze dlatego, że Miasto było już gotowe - wyjaśniła Denise. - A po drugie dlatego, że po pewnym czasie Mozark zdał sobie sprawę, jakie to nierozsądne. Wszyscy mieszkańcy Miasta musieli dbać o swoje budynki. Niektóre rodziny mieszkały w tym samym pałacu po dwadzieścia-trzydzieści pokoleń. Dokładali kolejne elementy, ale nigdy nie zmieniali jądra budowli, tego co nadawało jej określony charakter. Jedyne osoby, które rzeczywiście interesowało Miasto, to cudzoziemcy, istoty różnych gatunków przybywające z całego imperium, by podziwiać misterne konstrukcje i debatować nad ich znaczeniem.

Mozark wiedział, że ludzie potrafią zbudować wielkie i piękne budowle, ale potem nadchodzi czas, by zająć się czymś innym. Miasto było majestatyczne, lecz dekadentkie. Żył przeszłością, nie zaś przyszłością. Stanowiło kwintesencję wszystkiego, od czego Endoliyn tak bardzo pragnęła uciec. Nie miał wyboru, jak tylko ruszyć w dalszą drogę.

- Dokąd poleciał?

- Co się później stało?

Denise spojrzała na swój staroświecki zegarek. Był to męski model, zbyt masywny dla jej szczupłego nadgarstka. Jej dziadek starannie skalibrował jego kwarcowe wnętrza, by zsynchronizować ich ruch z dwudziestopięciopółgodzinnym cyklem doby na Thallspring.

- Musicie poczekać do jutra. Wtedy opowiem więcej.

Odpowiedział jej chór jęków i buczenia.

- To przecież jasne! - broniła się, udając zdziwienie. - Imperium Pierścienia jest bardzo rozległe. Podczas tej podróży Mozark przeżył mnóstwo przygód. Upłyną całe tygodnie, zanim opowiem wam o wszystkim, co go spotkało. A teraz pochowajcie zabawki z powrotem do kubelków. Do właściwych kubelków!

Dzieci, nieco udobruchane obietnicą dalszych opowieści na temat imperium, przeszły po trawie na plac zabaw, by pozbierać porzucone zabawki.

- Masz niezwykłą wyobraźnię, kochanie.

Za plecami Denise stała pani Potchansky i obrzucała ją lekko zatroskanym spojrzeniem.

- Imperium Pierścienia i mały zielony książę, doprawdy. Dlaczego nie poczytasz im czegoś z klasyki, choćby Pratchetta czy Tolkiena?

- Mam wrażenie, że są już trochę przestarzałe.

- To wielka szkoda. Może i są trochę archaiczne, ale to piękne historie. Naprawdę lubię tego Bilba Bagginsa. Mam nawet egzemplarz *Hobbita* w twardej oprawie wydany na Ziemi na dwusetlecie urodzin Tolkiena.

Denise zawahała się chwilę.

- Historie, które dla nich układam, mają swój morał.

- Zauważyłam to. Chociaż podejrzewam, że byłam jedyna. Jesteś niezwykle subtelna, kochanie.

- Czy to był komplement? - Denise uśmiechnęła się szeroko.

- Raczej zwykła obserwacja.

- Czy mam im przestać opowiadać o Imperium Pierścienia?

- Wielkie nieba, nic podobnego! - Pani Potchansky była wyraźnie zaskoczona. - Denise, wiesz przecież, jak dobrze potrafisz sobie radzić z dziećmi. Nie musisz naciągać mnie na komplementy. Obawiam się tylko, że któregoś dnia zostaniesz zawodowcem i przelejesz wszystkie te swoje barwne opowieści prosto do i-mediów. A wtedy - kto mi cię zastąpi?

Denise położyła rękę na ramieniu starszej pani.

- Nie zamierzam stąd odchodzić. Bardzo mi się tu podoba. Cóż mogłoby się zmienić w Memu Bay? - zapytała retorycznie, zanim ugryzła się w język.

Pani Potchansky spojrzała w górę na turkusowe niebo, a zmarszczki wokół oczu nagle ściągnęły się w grymasie złości i rozgoryczenia, dziwnie niepasującego do jej łagodnego charakteru.

- Przepraszam - powiedziała szybko Denise. Pani Potchansky straciła syna podczas ostatniej inwazji. Denise nie wiedziała o tym zbyt wiele, знаła tylko datę śmierci.

- Nie szkodzi, kochanie. Zawsze staram się skupiać na obecnej sytuacji. Nasze życie wcale nie wygląda tak źle - mamy chyba najlepsze warunki ze wszystkich skolonizowanych światów. To właśnie nasza zemsta. Nie mogą zniszczyć naszej natury. Potrzebują nas takich, jakimi jesteśmy. Czasem myślę, że to piękna ironia.

W takich chwilach Denise miała ochotę opowiedzieć tej miłej staruszce o wszystkim, wylać z siebie całą złość i wszystkie plany, które przywiozła ze sobą do Memu Bay, ale tylko uściskała swoją przełożoną.

- Nigdy nas nie pokonają. Przrzekam.

Pani Potchansky poklepała Denise po plecach.

- Dziękuję ci, kochanie. Tak się cieszę, że przyszedłeś do naszego przedszkola.

\*\*\*

Jak zwykle, kilkoro dzieci odebrano z opóźnieniem. Stary pan Anders przyszedł do wnuka, Francine Hazeldine, piętnastoletnia córka burmistrza, porwała na ręce swoją siostrę i obie wybuchnęły wesołym śmiechem. Peter Crowther nagłym gestem przyzwał swojego syna, by wsiadł do limuzyny. Denise dała dzieciom tabliczki do rysowania palcami, żeby nie nudziły się podczas oczekiwania.

Po wyjściu podopiecznych prawie przez kwadrans doprowadzała sale do porządku. Wytarła psychodeliczne wzorki z tabliczek, uporządkowała gry i zabawki, wkładając je do odpowiednich kubeków, ustawiła krzesła w rzędek i napompowała nieszczelny materac z żelopianki. Pani Potchansky przysłała, jeszcze zanim przedszkolanka zdążyła załadować kubki i talerze do zmywarki, i kazała jej wyjść wcześniej. Powiedziała, że w taki piękny dzień warto sobie pospacerować. Staruszka tym razem nie spytała podwładnej, czy ma chłopaka, ale Denise wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Zadawała to pytanie regularnie co trzy tygodnie, wspominając też o różnych miejscach, gdzie można poznać miłych chłopców. Denise nie znosiła tych rozmów - zawsze szybko zmieniała temat. Czasem przypominało to spędzanie czasu z własną matką.

Przedszkole było położone kilka kilometrów w głębi lądu, a zatem do mariny prowadziła stamtąd prosta droga z górki. W deszczowe dni Denise wsiadała do tramwaju jadącego przez główne bulwary, ale dzisiaj popołudniowe słońce nadal świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Szła lekkim krokiem po chodniku, pilnując, by iść w cieniu szerokich markiz sklepowych - miała na sobie tylko lekką sukienkę, a popołudniowe słońce nadal było na tyle silne, że należało go unikać. Trasa była znajoma, Denise znała też z widzenia kilka osób, które spotkała po drodze. Jakże zmieniła się w ciągu ostatniego roku: gdy po raz pierwszy przybyła do miasta, podskakiwała, słysząc pisk hamulców, a każda grupa liczniejsza

niż pięcioro ludzi przyprawiała ją o klaustrofobiczne lęki. Minęły jakieś dwa tygodnie, zanim poczuła się swobodnie, wchodząc do którejś z licznych kafejek Memu Bay i siadając tam z przyjaciółmi.

Nawet teraz nie mogła się przyzwyczać do widoku triad spacerujących po ulicach i dokładała wszelkich starań, by nie gapić się w ich kierunku. Memu Bay szczyliło się swymi liberalnymi tradycjami sięgającymi daty założenia miasta w 2160 roku. Jego założyciele opuścili Ziemię, twierdząc, że tamtejsze regulacje za bardzo krępują ich wolność osobistą, i postanowili wprowadzić w swoim nowym świecie bardziej oświeconą i swobodną atmosferę. Na wczesnym etapie kolonizacji popularne były komuny i spółdzielnie przemysłowe. Rzeczywistość z wolna zburzyła ten łagodny radykalizm - wspólne sypialnie zamieniono na małe apartamenty, a pakiety akcji stopniowo rozpraszano i sprzedawano, by pozyskać kapitał. Najbardziej charakterystycznym reliktem tego eksperymentu społecznego były trójmałżeństwa, których popularność przeżyła wszystkie inne hipisowskie tradycje. A jednak nawet one nie były tak powszechne jak dawniej. Modne liberalne poglądy i pierwsze gorące noce spędzone w trójkątach z wolna traciły blask, w miarę jak zbliżał się średni wiek, konieczność spłaty kredytów i innych rachunków, a także towarzyszące temu awantury. Rozwody takich małżeństw były szczególnie trudne i brutalne, a dzieci z takich związków często przysięgały, że nie powtórzą błędu rodziców. Obecnie trójmałżeństwa stanowiły mniej niż jedną czwartą wszystkich związków i zazwyczaj zawierały je dwie kobiety i jeden mężczyzna. Trójmałżeństwa gejów i lesbijek były jeszcze rzadsze.

Ruch uliczny osłabł nieco, gdy Denise wkroczyła do dzielnicy Livingstone nieopodal wybrzeża - tutaj ulice były węższe, rojące się od rowerów i skuterów. Była to najważniejsza dzielnica handlowa, pełna małych specjalistycznych sklepików, klubów, barów i hoteli. Ponieważ to głównie tutaj zjeżdżali się turyści, planiści postanowili odtworzyć w niej klimat starego miasteczka śródziemnomorskiego. Małe okna i wąskie balkony wychodziły na placyki zastawione stolikami i ocienione drzewami cytrusowymi. Z początku ten układ ulic trochę ją dezorientował, tak jakby ktoś celowo wybudował tu jak najbardziej skomplikowany labirynt. Teraz jednak poruszała się w nim jak tubylec. Marina pełna była jachtów żaglowych i łodzi spacerowych. W pewnej odległości od wybrzeża śmigali windsurferzy i narciarze wodni, zataczając kręgi, opływając się nawzajem, krzycząc i pokazując obsceniczne gesty. Stateczki pasażerskie wiozły na brzeg nurków, którzy popłynęli podziwiać rafę. Na horyzoncie widać było kilka wysepek, maleńkich koralowych punkcików obrośniętych ziemską roślinnością. Wyglądały wspaniale niczym punkciki tropikalnego raju na obcym oceanie. W rzeczywistości strumień gamma zabił wszystkie koralce, aż do głębokości trzech metrów pod powierzchnią.

Ekipy konstrukcyjne musiały obudować wysepki betonem, by nie rozpadły się zupełnie. Piasek trzeba było pracowicie przewieźć z białych plaż, a następnie posadzono rośliny podlewane z pomocą sieci irygacyjnej zasilanej przez zakłady odsalające. Wszystko dla turystów. Żywe korale żyjące w głębi wystarczały, by co roku przyciągać tysiące gości, podczas gdy marina dostarczała rozrywki miłośnikom sportów wodnych. Szeroki wachlarz sportów, a także relaksująca atmosfera miasta uczyniły z Memu Bay potężny magnes dla młodych mieszkańców Thallspring pragnących swobodnego odpoczynku daleko od stolicy i innych poważnych miast.

Tawerna Zepsuta Boja leżąca na samym wybrzeżu była popularnym przystankiem wśród turystów zmierzających do hoteli i kwater prywatnych. Nie była zbyt elegancka ani droga, ale lubili tam zaglądać żeglarze i instruktorzy nurkowania, co zapewniało lokalowi wielką popularność. Turyści siadali pod słomianymi markizami, patrząc, jak słońce chowa się za szczyt Vangi, i sącząc koktajle o dowcipnych nazwach serwowane w wysokich szklankach.

Po wejściu do środka Denise uniosła ciemne okulary na czoło. Kilku młodych mężczyzn zerkało na nią poprzez salę, uśmiechając się z nadzieją. Kobieta zignorowała zaczepki i podążyła w przeciwny kraniec tawerny, gdzie mieli na nią czekać koledzy. Wokół rozpoczął się cowieczorny targ mięsny. Wszyscy turyści byli w kostiumach kąpielowych albo w obcisłych podkoszulkach i obrzucali się nawzajem ciekawskimi spojrzeniami. Ponad połowa nosiła bransoletki Preferowanych Czynności Seksualnych. Niektóre z nich wyglądały jak złote azteckie wisiorki albo skomplikowane urządzenia ozdobione migającymi diodami. Inni woleli jednak dyskretne czarne obręcze albo po prostu wyświetlacze wbudowane w zegarki. Urządzenia niepostrzeżenie łaskotały w rękę, gdy w promieniu dziesięciu metrów pojawił się ktoś o identycznych PCS. Rozmowy cichły gwałtownie, kiedy uczestnicy zaczęli gorączkowo sprawdzać swe wyświetlacze.

Zobaczyła, że niektórzy z nich i tak sprawdzają wykresy, by zobaczyć, czy są z nią kompatybilni. Byli to zwolennicy opcji „wszystko dozwolone” - to właśnie oni nosili najbardziej ekstrawaganckie bransoletki.

Denise nie miała nic przeciwko jednorazowym przygodom, choć z nich nie korzystała, ale sam system PCS ją odrzucał. Uważała, że eliminuje z takiego związku wszystko, co ludzkie, a zarazem najprzyjemniejsze - cały proces odkrywania drugiej osoby.

Raymond Jang i Josep Raichura siedzieli przy tym samym stoliku co zwykle. I jak zwykle towarzyszyła im dwójka dziewcząt, młodych i niedoświadczonych, ubranych w kostiumy i sari. Ray i Josep nie potrzebowali bransoletek PCS. Dla nich ta część misji była

jak dar niebios. Gdy tylko przybyli do Memu Bay, zatrudnili się w jednym z przedsiębiorstw turystycznych jako instruktorzy nurkowania, co oznaczało, że codziennie spotykali się z młodymi dziewczynami, w wieku od kilkunastu lat do dwudziestu paru. Instruktorzy nurkowania byli zwykle szczupli i muskularni, ale Ray i Josep postarali się o idealny wygląd mezomorficzny, włącznie ze złocistą opalenizną. Denise z trudem rozpoznała w nich dwóch małych chłopców, których zapamiętała z Arnoon: jeden z nich był wysoki i chudy jak patyk, a drugi ledwie przechodził przez drzwi. Teraz te dwie sieroty zmieniły się w prawdziwy magnes na panienki i widać było, że rozkoszują się każdą sekundą. Co gorsza - dla Denise - misja obligowała ich do nawiązania swobodnych znajomości. Było to bardzo istotne dla następnego etapu ich planu.

Cała czwórka tak dobrze się bawiła, że Denise poczuła się niemal winna, wiedząc, że zaraz im przeszkodzi. Odkaszlnęła, by przyciągnąć ich uwagę. Dziewczęta natychmiast zmierzyły ją wrogim spojrzeniem, zastanawiając się, czy to konkurencja. Uznały, że raczej nie. Denise należała do tej samej grupy wiekowej co ich potencjalne zdobycze, była też szczupła i atletycznie zbudowana, co mogło oznaczać, że jest ich znajomą instruktorką. Jej niecierpliwy wyraz twarzy zdradzał, że jej towarzystwo nie może być zbyt przyjemne.

- Halo? - odezwała się w końcu jedna z nich, unosząc głos o oktawę, aż zabrzmiała w nim lekka kpina. - Znałyśmy się w poprzednim życiu?

Denise złapała się na tym, że nie ma pod ręką żadnej dobrej riposty. Piersi rozmówczyni były tak wielkie, że po raz pierwszy w życiu kobieta złapała się na charakterystycznym męskim odruchu: nie mogła oderwać od nich wzroku. Dziewczyna była chyba za młoda, by powiększyć je za pomocą w-wpisu?

- Cześć, Denise. - Ray wstał z krzesła i pocałował ją lekko w policzek. - Dziewczyny, to nasza współlokatorka Denise.

Turystki porozumiały się spojrzeniami.

- Cześć - powiedziały niechętnie.

- Musimy pogadać - dodał Josep i klepnął swoją podrywkę w pośladek. - To zajmie tylko chwilkę, a potem pójdziemy gdzieś na kolację, okej?

Dziewczyna zlizwała sól z krawędzi swojego kieliszka.

- Jasne, bardzo chętnie. - Potem odeszła z przyjaciółką, szepcząc coś porozumiewawczo. Kilka razy zerknęły ukradkowo w stronę chłopaków.

- Widzę, że ciężko pracujecie - stwierdziła Denise. Za każdym razem zastawała ich w towarzystwie nowych dziewczyn i powtarzała sobie, że wcale jej to nie przeszkadza. Za każdym razem w jej głosie brzmiała dezaprobata.

Ray odpowiedział uśmiechem.

- Tylko wykonujemy rozkazy.

Denise przygotowała się wewnętrznie i usiadła na jednym z opuszczonych stołków. W pobliżu nie było nikogo, a z systemu nagłośnienia płynął melodyjny dźwięk gitary. Wprawdzie policja Memu Bay jeszcze ich nie śledziła - ani nawet nie miała o nich pojęcia - ale trochę ostrożności jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

- Na dziś już spokój - powiedziała cicho. - Prime nie przechwyił żadnych zaszyfrowanych sygnałów w sieci kosmoku.

- Ale w końcu nadejdą - odparł Josep.

W jego głosie zabrzmiało zrozumienie - teraz przypominał dawnego Josepa. Musiał wyczuć jej frustrację - zawsze był bardziej wrażliwy emocjonalnie. Denise przesłała mu lekki uśmiech. Mężczyzna miał szeroką twarz, wysokie kości policzkowe i duże brązowe oczy. Gęsta szopa jasnych włosów była przewiązana cienką skórzaną opaską. Był to dawny prezent od jakiejś dziewczyny. Raymond z kolei miał okrągłe rysy i wąski nos, ciemne włosy przycięt krótko. A poza tym... Denise powiodła wzrokiem od jednego do drugiego. Raymond ubrany był tylko w stare zielone szorty, a dżinsowa koszula Josepa była rozpięta. Identyczne ciała. Czy dziewczyny, którymi dzielili się w łóżku, zwróciły na to uwagę?

- Wiem - odparła, próbując pozbierać myśli. - A u was co nowego?

- Coś się znalazło. - Ray wskazał na dziewczęta. - Sally mieszka w Durrell. Studiuje tam w college'u, na geologii.

- To obiecujące.

- Jest też pewien kontakt, który powinniśmy sprawdzić - ciągnął Josep. - Nazywa się Gerard Parry. Dzisiaj zapisał się na mój sześciomiesięczny kurs dla zaawansowanych. Trochę pogadaliśmy. Okazało się, że to tubylec. Pracuje w Teterton Synthetics jako kierownik dystrybucji.

Denise kazała sobie wpisać grupę komórek nerwowych służących do bezpośredniej komunikacji z lokalną datasferą. Była to przeróbka, której nie dało się jeszcze osiągnąć za pomocą ludzkich wpisów. Ta wiązka włókien nerwowych łączyła ją bezpośrednio z perłą, którą nosiła w pierścionku na palcu wskazującym. Program Prime wyszukał krótką charakterystykę przedsiębiorstwa Teterton, przesuwając indygowy skrypt w jej polu widzenia. Najwyraźniej był to lokalny zakład obróbki chemicznej zaopatrujący miejscowych producentów żywności w wyspecjalizowane witaminy i mieszanki proteinowe.

- Ten Parry zdawał się nam sprzyjać?

- To już musisz sprawdzić sama. Ale jako kontakt byłby bardzo użyteczny. Brakuje

nam jeszcze kilku substancji.

- Brzmi dobrze. Gdzie mogę go spotkać?

- Obiecaliśmy mu randkę w ciemno. Dzisiaj.

- O, Boże! - jęknęła kobieta. Pomyślała, że ledwie zdąży wrócić do domu żeby się przebrać.

- To miły gość - zaprotestował Josep. - Wrażliwy, czuły i ma wszystkie te cechy, na które laski tak strasznie lecą.

- Byle tylko nie był podobny do ciebie - odcięła się Denise.

- Auć. - Uśmiechnął się mężczyzna. - No, zaraz się przekonasz. Właśnie tu idzie.

- Co?!

Ray wstał i zamachał radośnie. Denise odwróciła się i ujrzała nadchodzącego mężczyznę. Był po trzydziestce, miał nadwagę i rzednące włosy. Uśmiechał się opanowanym uśmiechem zawodowego kawalera, który próbuje ukryć, jak bardzo jest zdesperowany. Na prawym nadgarstku miał szeroką bransoletę PCS z czarnego szkła. Kilka kobiet sprawdziło swoje wyświetlacze i szybko odwróciło wzrok.

Denise wstała, by go przywitać, i w tej samej chwili piętą prawej stopy nastąpiła mocno na palce Josepa.

Wróciła do domu dopiero przed północą. Do tego czasu gniew przeszedł w zmęczoną obojętność. Miała ochotę po prostu wrócić do siebie i zapomnieć o całym wieczorze.

Pomimo swego wyglądu Gerard Parry nie był złym człowiekiem. Potrafił poprowadzić rozmowę, a przynajmniej na temat miejscowych problemów, a nawet trochę posłuchać. Znał nawet parę kawałów, ale brakowało mu nonszalancji, aby opowiedzieć je, jak należy. Denise wyobrażała sobie, jak bardzo starał się je zapamiętać, gdy tylko usłyszał je w biurze.

Zaczęli od paru drinków w towarzystwie Raya i Josepa - ku wyraźnej dezaprobachie ich towarzyszek. Potem któraś z nich wspomniała o kolacji i wtedy się rozdzielili. Gerard zabrał ją do całkiem niezłej restauracji, gdzie miała wy badać jego sympatie polityczne. I wtedy wszystko wzięło w łeb.

Denise nigdy nie wiedziała, ile winy za takie katastrofy ponosiła osobiście. Było to bardzo dziwne, biorąc pod uwagę, że niemal zawsze potrafiła zaprzyjaźnić się z potencjalnymi rekrutami, jeśli tylko nie byli to samotni mężczyźni. Zadawała Gerardowi niezbędne pytania i różne inne, próbowała też okazać zainteresowanie jego życiem osobistym. Ale jej towarzysz szybko domyślił się, że nie jest zainteresowana długotrwałym związkiem, ani nawet płomiennym romansem. Mężczyźni zawsze potrafili ją przejrzeć. Pod koniec



wieczoru zarzucali jej, że jest za bardzo uczuciowa, zbyt chłodna albo zbyt wyniosła. Dwa razy szyderczo nazwano ją lesbijką.

Nie przeszkadzało jej samo to, że nie jest w stanie nawiązać znajomości, ale bardzo przeżywała, że nie może im powiedzieć dlaczego. Po prostu poświęciła się czemuś ważniejszemu niż oni, a nawet ona sama. Cel uświęca środki. Ale oni o tym nie wiedzieli. Dla nich stanowiła tylko zmarnowany wieczór.

Gerard Parry upił się bardzo szybko, zwłaszcza jak na kogoś tej postury. Rozmowa zmieniła się w rozgoryczony monolog, jak to nie ma w życiu szczęścia, bo kobiety widzą tylko jego tuszę, a potem nastąpiła seria retorycznych pytań o to, co ona i reszta kobiet właściwie chce od faceta. Podczas tej tyrady przewrócił na stół kieliszek z winem i poplamiał Denise sukienkę, a wtedy wstała i wyszła, nie oglądając się za siebie. Kierownik sali wezwał jej taksówkę.

Siedziała na tylnym siedzeniu pojazdu prowadzonego przez AS, starając się powstrzymać łzy, podczas gdy za oknami przemykało tętniące życiem miasto. Wewnętrznej siły nie dało się zainstalować równie łatwo jak fizycznej. To musiała już dostarczyć sama.

Program Prime nagrał zaszyfowaną emisję z bransolety Gerarda. Było to poważne naruszenie etykiety, która nakazywała wymieniać się transmisjami. Przeglądając dane, poczuła cień satysfakcji, widząc, co z niego za świnią. Nagle poczuła, że wcale jej nie szkoda, że zostawiła go tam samego, płaczącego w swoje wino.

Bungalow, w którym mieszkała z Rayem i Josepem, mieścił się na małym, porządnym osiedlu willowym, wybudowanym wzdłuż ujścia rzeki Nium, nieopodal centrum miasta. Oznaczało to, że rano dojazd do pracy zabierał dwadzieścia minut, ale czynsz był względnie niewielki. W nocy znad wody wiała bryza, na tyle silna, by ochłodzić pomieszczenia po otwarciu wielkich łukowatych okien. Przy ścianie budynku rósł krzew jaśminu - jego różowe płatki pachniały odurzająco.

Denise weszła frontowymi drzwiami i postawiła torebkę na stoliku w korytarzu. Przyłgnęła plecami do chłodnego gipsu, wyprężając kręgosłup i oddychając głęboko. Krótko mówiąc, był to strasznie gówniany dzień.

Światła w salonie były przyciemnione. Gdy zajrzała do środka, jej wzrok natychmiast padł na jedną z dziewcząt z Zepsutej Boi, leżącą na kanapie twarzą w dół i pochrapującą niespokojnie jak człowiek spity do nieprzytomności. Z sypialni Josepa dochodziły stłumione głosy i cichy chichot, a także znajomy rytmiczny odgłos. Josep, Ray i dziewczyna z dużym biustem właśnie poddawali się energicznym ćwiczeniom na żelopiankowym materacu.

„Wszystko będzie dobrze”, pomyślała Denise, gdy już znalazła się we własnym

pokoju i zamknęła drzwi. Z doświadczenia wiedziała, że dom jest dobrze wytłumiony i że w jej pokoju będzie panować absolutna cisza. Spojrzała na swoją spódnicę i stwierdziła, że trzeba ją od razu spryskać, by usunąć plamę po winie. Gdy włożyła ją do pralki i zaprogramowała odpowiedni cykl, przypomniała sobie o stercie czystego prania, które dziś rano wrzuciła do kosza, w tym wszystkie robocze ciuchy. Zamierzała je wyprasować po powrocie z przedszkola. A zatem kwadrans po północy stała w kuchni w szlafroku, zmęczona i całkowicie nieszczęśliwa, prasując bluzkę na jutro i nasłuchując piskliwych krzyków i orgiastycznych jęków odbijających się echem w korytarzu.

Jeśli karma rzeczywiście istniała, to już niedługo komuś we wszechświecie będzie musiała stać się potworna krzywda.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Lawrence Newton miał dwanaście lat, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczył chmurę. Wcześniej niebo Amethi widoczne w jasnym okresie zawsze było lazurowe od horyzontu po horyzont. Gdy wędrówka po orbicie prowadzącej wokół Nizany w końcu pogrążyła ją w ciemnościach, wówczas ukazywały się gwiazdy, które płonęły z nienaturalnie równomierną jasnością - tak czyste było to lodowate powietrze. A Templeton, stolica planety, gdzie mieszkał młody Lawrence, zawsze znajdowała się po przeciwnej stronie niż ten gazowy gigant. Chłopiec nie zdawał sobie sprawy, że w górze może znajdować się coś ciekawego. Pod względem krajobrazu i przyrody Amethi była przeraźliwie nudna. Nic nie poruszało się w górze, nic też nie rosło w mroźnej tundrze.

Firma McArthur Corporation, armator statku odkrywczego Renfrew, który przybył tu w 2098 roku, uznała, że to idealne warunki. Pod koniec dwudziestego wieku międzygwiazdna ekspansja przeżyła swój największy rozkwit. Wielkie przedsiębiorstwa i konsorcja finansowe zakładały wtedy dziesiątki kolonii. Każda planeta z atmosferą tlenowo-azotową była natychmiast zajmowana i kolonizowana. Jednak takie przedsięwzięcia pochłaniały mnóstwo środków. Obca biosfera produkująca cenną mieszanek gazów zawsze była wroga i trująca dla ziemskich organizmów. Czasem nawet śmiertelna. Zakładanie ludzkich osad w takich warunkach było bardzo kosztowne. W przypadku Amethi stało się jednak inaczej.

Technicznie rzecz biorąc, nie była ona planetą, lecz księżycem, jednak ewolucja miejscowych organizmów przebiegała bardzo standardowo jak na świat o takim rozmiarze. Zaczęło się normalnie - od zredukowania atmosfery, która powoli zmieniała skład, w miarę jak życie zaczęło wynurzać się z prazupy. Prymitywne organizmy dokonywały fotosyntezy, wytwarzając tlen. Ot, standardowy cykl spotykany w całym wszechświecie w podobnych warunkach.

Ewolucja biegła zwykłym torem, póki nie nadleciała asteroida przyciągnięta silnym polem grawitacyjnym Nizany. Dwieście milionów lat od czasu podziału pierwszej ameby morza były pełne ryb, a ziemia porośła roślinnością. Pojawiły się wielkie owady o skrzydłach miękkich jak puch ostu, a także małe stworzenia przypominające ziemskie płazy. Wszystkie wyginęły.

Eksplozja, która nastąpiła w wyniku zderzenia, wyrzuciła chmurę pyłu i pary, a ta

pokryła całą powierzchnię planety, tym samym powodując nadejście kolejnej epoki lodowcowej. Lodowce podążające w dół od czap polarnych zaczęły sięgać coraz dalej, aż w końcu spotkały się na równiku. Morza, oceany i jeziora oddały swą wodę jednemu wielkiemu lodowcowi, który wciąż się rozszerzał. Temperatura spadła na całej planecie, co w połączeniu z utratą wód i brakiem światła wyeliminowało w końcu wszystkie formy życia, z wyjątkiem najbardziej odpornych bakterii. Amethi powróciła niemal do pierwotnego stanu. Jednak teraz, gdy jedną piątą powierzchni pokrywał lód sięgający kilka kilometrów w głąb, a pozostała część była równie jałowa jak marsjańskie pustynie, nie pozostał żaden katalizator, który mógłby zapoczątkować zmiany. Amethi stała się światem uwięzionym w wiecznej hipostazie. Stan zamrożenia.

Dla członków zarządu McArthur stanowiła zatem idealny cel: miała atmosferę nadającą się do oddychania, ale żadnego miejscowego życia. Wystarczyło nieco podnieść temperaturę globalną, by zakończyć zlodowacenie i zrestartować zwykły cykl meteorologiczny.

Templeton założono w roku 2115. Z początku było to tylko skupisko prefabrykowanych igloo połączonych jedną drogą z pasem startowym wybudowanym z pomocą buldożerów na zamarzniętych diunach. Zakwaterowani tu inżynierowie i administratorzy otrzymali zadanie utworzenia samowystarczalnej bazy wytwórczej. Cały pomysł oparto na założeniu, że po dokonaniu początkowych inwestycji wystarczy już tylko dostarczać surowce i w efekcie uzyskać wszelkie możliwe produkty. Potem trzeba będzie jedynie importować ludzi i nowe projekty i ewentualnie rozbudowywać fabryki. Transport informacji pomiędzy gwiazdami nic nie kosztuje, a ludzie będą skłonni sami zapłacić za swoje bilety, by skorzystać z nowych możliwości.

W ciągu pierwszych trzech lat kosmoloty przywiozły ładunek z ośmiu statków. Po jakimś czasie zakłady przemysłowe, które były w stanie zaspokoić większość potrzeb rosnącej kolonii. Większość - ale nie wszystkie. Zawsze trafiały się jakieś skomplikowane układy albo związki chemiczne konieczne dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki, albo jakiś specjalny projekt, który mogła dostarczyć tylko Ziemia. Co jakiś czas gubernator Templetonu wysyłał prośbę o kolejne transporty, bez których produkcja byłaby opóźniona.

Obciążenie finansowe spowodowane przez Amethi nie było wysokie w porównaniu do większości innych kolonii, gdzie zespoły biochemików musiały nieustannie toczyć desperacką walkę z obcą biosferą. Tutaj wystarczył tylko TermalAtak - specjalny projekt klimatyczny. Pierwsze duże przedsięwzięcie w Templetonie polegało na budowie orbitalnej stacji produkcyjnej - Tarony. Została uruchomiona dopiero w 2140 roku. Prawie jedną trzecią

urządzeń trzeba było importować z Ziemi - od razu rozpoczęła lokalną produkcję silników odrzutowych do chwytania asteroid. Po orbicie Nizany wałało się tyle śmieci, że mogłyby dostarczyć TermalAtakowi dość materiału na ogrzanie kilkunastu światów. Pierwsze zderzenie nastąpiło w 2142 roku, gdy skamieniały kawałek skały żelazistej o średnicy ośmiu metrów spadł w sam środek lodowca Barclaya.

Na skutek eksplozji wyparował prawie kilometr sześcienny wody, a jeszcze większa ilość zmieniła stan skupienia. W ciągu tygodnia wszystko zamarzło na nowo. Obłok pary nie dotarł nawet do krawędzi lodowca, nim zbił się w płatki śniegu, twarde niczym pociski, i opadł jak grad.

Gdy już inżynierowie-planetolodzy zebrali i porównali dane ze wszystkich sensorów, oszacowano, że po stu jedenastu latach, licząc jedno zderzenie rocznie, atmosfera ogrzałaby się na tyle, aby spowodować topnienie lodowców i nie dopuścić do ponownego zamarznięcia. Wymagało to asteroid o masie cztery razy przekraczającej masę elementu testowego. Dysponując tak ostrożnie optymistyczną prognozą, koloniści przystąpili do budowy swego nowego świata. Zanim na świat przyszedł Lawrence Newton - w 2310 roku - zmiany gospodarcze i społeczne, które zaszły w ich dawnej ojczyźnie, istotnie zmodyfikowały charakter kolonii. Misja polegająca na terraformowaniu planet postępowała bez przeszkód, ale Amethi nie była już celem rozentuzjasmowanych pionierów poszukujących cichego zakątka pośród dzikiej, z wolna budzącej się przyrody.

\*\*\*

Szkolny autobus toczył się lekko wzdłuż głównej autostrady prowadzącej na północ od Templetonu. Grube opony dobrze trzymały się szorstkiego betonu pokrytego siateczką drobnych pęknięć. Dwadzieścioro pięcioro dzieci w wieku od dziewięciu do dwunastu lat trajkotało podekscytowanymi głosami albo rzucało w siebie papierkami po słodyczach, po czym chowało się za fotele, by uniknąć odwetu. Opiekunowie wycieczki, pan Kaufman i pani Ridley, siedzieli z przodu, starając się w miarę możliwości ignorować to, co działo się z tyłu pojazdu. Opuścili szkolną kopułę zaledwie przed dziesięcioma minutami.

Zapowiadał się długi dzień.

Lawrence siedział mniej więcej pośrodku. Miejsce obok niego było puste. Chłopak nie był zupełnym odludkiem, miał w szkole paru kolegów, a także kilku kuzynów i gromadkę dalszych krewnych. Ale żadnych bliskich przyjaciół. Nauczyciele określali go jako „niespokojnego ducha”. Nie brakowało mu sprytu - w końcu pochodził z rodziny Newtonów - ale jego inteligencja nigdy nie znalazła zastosowania w którymkolwiek ze szkolnych przedmiotów. Każde z jego świadectw zawierało tę samą uwagę: „mógłby się uczyć lepiej”.

W środowisku szkolnym panowała ostra konkurencja, a wszelkie wybitne osiągnięcia zyskiwały najwyższe pochwały; Lawrence za bardzo różnił się od swoich kolegów, by wpasować się w to środowisko. Nie był typem buntownika - właściwie był jeszcze za młody na tę etykietkę - ale pojawiało się mnóstwo sygnałów, że może szybko wylecieć ze szkoły, jeśli nie zmieni swego postępowania. Pośród mieszkańców Amethi praktycznie się to nie zdarzało. W przypadku rodziny członków zarządu było wprost nie do pomyślenia.

A zatem Lawrence siedział sam, nie zwracając uwagi na wygłupy kolegów, i patrzył na przemykające za oknami miasto. Po obu stronach autostrady wznosiły się ponure zaokrąglone ściany z nulltenu - wielkie płyty przezroczystej szarej ultracienkiej membrany używanej do wznoszenia kopuł. Standardową jednostkę stanowił prostokąt o szerokości czterystu metrów, produkowany przez fabrykę McArthur i wytwarzany całkowicie lokalnie. Był względnie tani i łatwy do wykorzystania - używano go w każdym mieście i miasteczku na tej planecie. Potrzeba było tylko kawałka płaskiego terenu, by go rozłożyć. Arkusz miał wbudowaną heksagonalną siatkę rurek z elastycznego węgla (wydobywanego na Tauronie), które pompowano żywicą epoksydową. To wystarczyło, by unieść lekki nullten w górę niczym olbrzymi balon, który jednak nie był w stanie oderwać się od ziemi. Brzegi arkusza należało szybko zakopać, ponieważ struktura molekularna membrany została zaprojektowana tak, by jak najlepiej utrzymywać ciepło. Powietrze wewnątrz bąbla szybko się ogrzewało, osiągając nawet temperatury zbliżone do tropikalnych, co dodatkowo unosiło konstrukcję. Na brzegach instalowano także duże cyrkulatory powietrza i wymienniki ciepła, również wyprodukowane lokalnie, dzięki czemu utrzymywano w środku stały klimat. Gdy kopuła została już wzniesiona, zabezpieczona i wyregulowana termicznie, wystarczyło tylko nawodnić i nawieźć ziemię przy użyciu ziemskich bakterii i gleba była gotowa do uprawy.

Większość kopuł w centrum miasta była komunalna. Miały ponad sześćset metrów średnicy, a w samym środku skupiska wznosił się jeden rząd wieżowców zapewniający dodatkowe wsparcie dla zaokrąglonych sklepień. Wokół bloków urządzono tereny parkowe, zaopatrzone w sztuczne jeziora i strumienie. Nikt z wyjątkiem najwyższej kadry kierowniczej nie jeździł do centrum samochodem - wszystkie kopuły łączyła sieć kolejowa. Prócz autobusu jedynymi pojazdami korzystającymi z drogi były dwudziestokołowe ciężarówki, maszyny agroformujące i cywilne pojazdy techniczne. Wszystkie radośnie uwalniały do atmosfery produkty spalania paliwa wysokowodorowego.

Pomiędzy kopułami poutykano fabryki - przysadziste konstrukcje ze szkła i aluminium. Płyty pokrywał zaschnięty kurz, gromadzący się tak od lat, w miarę jak ciepło i wilgoć wypelzające z miasta powodowały odtajanie zmarzliny. Nawet tutaj powietrze nie

było czyste, jak zresztą w każdym ludzkim mieście - unosiły się w nim cząsteczki zanieczyszczeń i gazów, które od setek tysięcy lat nie zaznały wolności; poruszone powiewem pędzących pociągów, pojazdów drogowych i wentylatorów zamontowanych w kopułach. Wzdłuż drogi ciągnęły się kępki ciemnozielonej trawy czepiającej się nieurodzajnej miejscowej gleby. Zdarzały się też szczeliny, w których płynęła woda skroplona na źle izolowanych panelach albo w szczelinach w nulltenie.

Nieco dalej od centrum miasta kopuły ustępowały miejsca rafineriom żywności - były to zakłady przemysłowe wielkości małych miasteczek, gdzie zbiorniki ciśnieniowe, wieże enzymowe i konwektory proteinowe przeplatały się ze sobą, tworząc sieć grubych przewodów. Gorące powietrze drżało na wysokości setek metrów ponad matowymi metalowymi dachami, a małe elektrownie jądrowe pompowały megawaty energii do całej sieci urządzeń, utrzymując społeczność Amethi przy życiu. Każda rafineria miała własny kamieniołom - olbrzymie kratery i pionowe ściany wydrążone głęboko w zamrożonej ziemi z pomocą buldożerów kierowanych przez AS. Karawany wielkich pikapów zmierzały w tę i z powrotem po rampach wbudowanych w ściany kopalni, wożąc setki ton cennych minerałów, by zasilić piece katalityczne.

Gdzieś tutaj kończył się rurociąg przecinający Dolinę Rackliffa. Ciągnął się przez jedną czwartą planety, aż do lodowca Barclaya, przenosząc jeden z najpotrzebniejszych surowców - wodę. Taniej było pompować ją rurami, niż wytapiać z miejscowej gleby. Zarówno kopuły, jak i rafinerie były chciwymi odbiorcami.

Lawrence patrzył na wszystkie te przedsięwzięcia z obojętnym zainteresowaniem i zastanawiał się, jak Templeton może wyglądać z kosmosu. Jak dziwny plastikowy kwiat o średnicy siedemdziesięciu kilometrów, który wykiełkował na obcej, jałowej glebie, gdy tylko atmosfera się ogrzała? Któregoś dnia miał pęknąć - membrany nulltenowe miały się rozwiać na wietrze, tak aby ziemskie rośliny wyhodowane w środku mogły się rozrosnąć po całej planecie. Dopiero mając przed oczami taki obraz, potrafił docenić ogrom tego przedsięwzięcia. Jednak zupełnie nie ogarniał wszystkich tych statystyk i obrazów, ani rzeczy, na które kładziono taki nacisk w szkole.

Za ostatnimi rafineriami tundra ciągnęła się aż po horyzont - brudna cynobrowa gleba przetykana tylko głazami i starymi, zapadającymi się wąwozami. Od czasu do czasu przecinały ją ciemne smugi. Lodowiec Barclaya wysał wprawdzie z powietrza większość wilgoci i spowodował gwałtowny spadek temperatury, jednak las pozostał. Drzewa już dawno wyginęły z zimna i z braku światła, ale drzemiący lodowiec raczej uspokajał powietrze, niż powodował zawirowania. Nie było tu wiatrów ani burz piaskowych, co zmieniło glebę w

twardą betonową pokrywą, trzymającą w zazdrośnym uścisku ziarnka piasku i cząsteczki kurzu.

W ciągu kilku stuleci po uformowaniu lodowca martwe, poczerńiałe rośliny Amethi wciąż stały wyprostowane w nieruchomym powietrzu. Teraz niszczył je już tylko czas, ponieważ nie działały tu żadne żywioły. W ciągu stu tysięcy lat nawet skamieniały las może osłabnąć. Drzewa korodowały z wolna, sypiąc czarnymi płatkami na otaczającą ziemię, aż w końcu całe pnie stały się niestabilne. Następnie cały kruchy pień łamał się z taką łatwością, jakby zrobiono go z czarnego szkła. W gęstszych lasach walące się drzewa często pociągały za sobą kilka sąsiednich, powodując lawinowe zniszczenia. Tam, gdzie były lasy, teraz rozciągały się połacie pokryte niskimi kopcami zastygniętego pyłu.

Dzieci w końcu ucichły, podziwiając nieznaną krajobraz - to tutaj rodziła się ich przyszłość. Pierwsze efekty TermalAtaku były już widoczne. Szczelinki i małe pęknięcia gleby wypełnione drobnymi arktycznymi roślinkami. Wszystkie zostały oczywiście zmodyfikowane z pomocą w-wpisów, by były w stanie wytrzymać nie tylko chłód, ale także długie okresy naświetlania i ciemności. Rośliny rosnące za ziemskim kręgiem polarnym, podczas długich męczących dni i równie niegościnnych nocy, rozwijały się w warunkach najbardziej zbliżonych do warunków na Amethi. Oznaczało to, że ich geny wymagały najmniej modyfikacji wirusowych, pomagających im przetrwać na tym niegościnnym pustkowiu.

Kilka z nich miało nawet kwiaty - małe bladoczerwone trąbki albo złociste kręgi. Największym osiągnięciem genetyków była modyfikacja sposobu zapylania, tak aby zarodniki były wyrzucane przez pylniki w nieruchome powietrze.

Obłok był na tyle lekki, że unosił się w powiewach lekkich amethiańskich wiatrów, delikatny jak obłok perfum, a jednak przyciągający owady.

Żadna z tych bylin nie potrzebowała opieki szklarniowej i przesadzania do gleby: ukorzeniały się same. Pierwsi nadzy ziemscy koloniści.

Rośliny koloru butelkowej zieleni mościły się w szczelinach, odsłonięte skały porastały zaś kępki koloru siarkowej żółci i cynamonowego brązu. Można je było znaleźć wszędzie - od ściany skalnego urwiska, aż po kamyczki rozrzucone w diunach węgla, na miejscu starych lasów. Porosty rozprzestrzeniały się po wszystkich kontynentach Amethi, zrzucone z automatycznie pilotowanych samolotów, by rozpocząć nowy cykl ekologiczny, rozwijając się szybko we wzrastającej temperaturze i wilgoci.

Lawrence'owi podobała się ta inwazja kolorów galopująca poprzez ponurą tundrę. Z pewnością był to dowód niezwykłego osiągnięcia i trochę podnosił go na duchu,



przypominając, że ludzie są zdolni do tak wizjonerskich przedsięwzięć. Zaczął się uśmiechać, pograżony w marzeniach, podziwiając okolicę, gdzie niemożliwe stawało się rzeczywistością. Łatwo było się tu rozmarzyć; żądania rodziny i szkolne restrykcje zostały z tyłu, a autobus jechał wprost w krainę wielkich możliwości.

Wzrok chłopca powędrował do góry. Lawrence drgnął i zmrużył oczy, zaskoczony. Gorączkowo przetarł szybę, która mimo swych właściwości izolacyjnych zaparowała od jego oddechu. Na niebie poruszało się coś bardzo dziwnego. Zastukał w szybę, chcąc pokazać kolegom, gdzie mają patrzeć. A potem, widząc, że nikt go nie słucha, uniosł rękę i znalazł uchwyt hamulca bezpieczeństwa.

Przeciwoślizgowe tarcze zadziały, a AS prowadzący autobus zatrzymał pojazd tak szybko, jak tylko pozwalały na to jego parametry techniczne. Przesłał też sygnał do systemu kierującemu ruchem, wprowadzając służby ratunkowe w stan gotowości. Czujniki zamontowane wewnątrz i na zewnątrz pojazdu wyszukiwały wszelkie ślady zagrożenia. Nie znaleziono niczego, ale AS nie mógł zignorować interwencji manualnej. Autobus szybko zwalniał, silnik i skrzynia biegów wyły alarmująco. Uczniowie polecili do tyłu, wcisnęli w fotele, gdy uruchomiły się pasy bezpieczeństwa. Wszędzie wokół rozbrzmiały krzyki. Pan Kaufman wypuścił z ręki ciastko i kubek z kawą, krzycząc:

- Na litość Losu!

Chwilę później autobus był już nieruchomy i cichy - był to stan równie alarmujący co gwałtowne hamowanie. A potem zabrzmiał klakson, a z przodu i z tyłu zapłonęły pomarańczowe światła. Pan Kaufman i pani Ridley spojrzeli po sobie w popłochu i wcisnęli guziki zwalniające uprząż. Czerwona lampka nad jednym z hamulców ręcznych migła gorączkowo. Pan Kaufman nie zdążył nawet zapytać, czyj to fotel, gdy Lawrence przebiegł koło niego, zmierzając w stronę przednich drzwi, które automatycznie się otworzyły. W biegu zapinał kurtkę.

- Co?... - wykrztusił tylko pani Ridley.

- Tam, na zewnątrz! - wrzasnął Lawrence. - W górze! W górze!

- Zaczekaj!

Nauczycielka krzyczała na próżno. Chłopiec zeskoczył już po schodach na jezdnię. Jego koledzy też mieli ochotę dołączyć do zabawy - otrząsnęli się już z szoku i teraz pognali za Lawrence'em. Stanęli na skraju piaszczystego pobocza, szybko zapinając kurtki i naciągając rękawiczki, by ochronić skórę przed kąsającym zimnem. Lawrence stał na przedzie, rozglądając się za dziwnym kształtem, który zobaczył wcześniej. Dzieci szeptały za jego plecami.

- Tam! - krzyknął w końcu, wskazując na zachód. - Tam, patrzcie!

Reprimenda zamarła nauczycielowi na ustach. W powietrzu unosił się wełnisty biały obłok - jedyny akcent przełamujący monotonię lazurowego nieba. Dzieci ucichły, wpatrując się w ten niewiarygodny cud.

- Proszę pana, dlaczego ona nie spada?

- Ponieważ na tej wysokości jej gęstość jest równa gęstości powietrza.

- Ale przecież to ciało stałe!

- Nie. - Uśmiechnął się mężczyzna. - Tylko tak się wydaje. Pamiętacie, jak patrzyliśmy na Nizaną, oglądając obrazy z teleskopu, i widać było chmury tworzące pierścienie burzowe? Pamiętacie, jak się kłębiły? To jest dokładnie to samo, tyle że znacznie mniejsze.

- Czy to znaczy, że tu też będą burze, proszę pana?

- Kiedyś, tak. Ale nie martwcie się. One też będą znacznie mniejsze.

- Skąd to się wzięło?

- Prawdopodobnie z lodowca Barclaya. Widzieliście na zdjęciach, jak topnieje. To właśnie jeden z efektów. Kiedy dorośniecie, zobaczycie znacznie więcej. - Pozwolił uczniom jeszcze przez chwilę popatrzeć na zwiastuna burzy, po czym zapędził ich z powrotem do autobusu.

Lawrence wszedł ostatni, niechętnie porzucając swoje odkrycie. Teraz pozostawało już tylko oberwać burę.

Nauczyciele jednak okazali się znacznie bardziej wyrozumiali, niż się spodziewał. Pani Ridley powiedziała, że rozumie, jak bardzo zaciekała go ta chmura, ale kazała mu obiecać, że odtąd poprosi o pozwolenie, zanim zrobi coś podobnego. Pan Kaufman skinął niechętnie głową, potwierdzając, że się z nią zgadza.

Lawrence zajął swoje miejsce, a autobus znów potoczył się naprzód. Reszta dzieciaków zapomniała na razie o zabawie i rozmawiała z ożywieniem o tym, co przed chwilą widziała. Lawrence od czasu do czasu włączał się do dyskusji, wtrącając różne swoje obserwacje i przypuszczenia. Dzisiejsze odkrycie zapewniło mu nieznanym dotąd respekt. Jednak przez cały czas starał się śledzić wzrokiem chmurę.

Ciągle myślał o tym, jaką drogę musiała przebyć, by się tu w końcu znaleźć. Okrążyła pół świata, mijając tyle nieznanymi terenów. Jakże to absurdalne, że ta chmura widziała w życiu znacznie więcej planet niż on sam. Lawrence ze wszystkich sił pragnął znaleźć się w górze razem z nią, szybując ponad łądami i opustoszałym dnem mórz, mijając rozpadający się brzeg lodowca, gdzie spojrzalby na strumień stopniałego lodu, wodospad tak szeroki jak

wybrzeże kontynentu. Jakież to byłoby cudowne. A jednak siedział teraz w autobusie i jechał na jakąś zapyziałą farmę wolnożycia, by uczyć się o ekologii, podczas gdy w innej szkole uczyłyby się latać. Życie jest niesprawiedliwe.

Farma, podobnie jak wszystkie zakłady przemysłowe na Amethi, wyglądała jak zgrzebne szklano-aluminiowe pudełko. Stała samotnie na zboczu łagodnie opadającej doliny, nad korytem wyschniętej rzeki. Arktyczne rośliny bardzo bujnie porastały niższe partie zboczy, szczególnie upodobały sobie pokryte szlamem koryto.

Kilkoro uczniów zwróciło na to uwagę, biegnąc z autobusu do ciepłego wnętrza zakładu. Lawrence wciąż szukał swojej chmury, która już jakiś czas temu zniknęła za horyzontem na północy. Zewnętrzne drzwi zamknęły się za wycieczką, a wtedy owionął ich powiew ciepłego powietrza. Wszyscy się tego spodziewali. Termalny przedsionek był standardowym wyposażeniem budynków na Amethi - była to wielka, nieszczelna śluza z recyklerami termalnymi zamiast pomp próżniowych, które miały za zadanie zapobiec obniżeniu temperatury wewnątrz kopuł. Tutaj nie miało to wiele sensu. Zakład nie był ani w połowie tak ciepły jak kopuły miejskie - zaledwie parę stopni powyżej zera. Nikt nie rozpiął kurtki.

Pani Segan, kierowniczka produkcji, wyszła im na spotkanie ubrana w ocieplany purpurowy kombinezon. Próbowwała ukryć irytację na widok kolejnej bandy dzieciaków łąjących po zakładzie i burzących jej harmonogram.

- To, co tu zobaczycie, nie ma żadnego odpowiednika w naturze - powiedziała, prowadząc wycieczkę w głąb budynku. Pierwsza część przypominała raczej fabrykę niż farmę - ciemne metalowe korytarze były po bokach obrzeżone oszklonymi oknami, przez które można było zajrzeć do jakichś kadzi. - Produkuje tu tłustoglisty. Chciałoby się powiedzieć „hodujemy”, ale prawda wygląda tak, że każde z tych stworzeń przychodzi na świat w wyniku klonowania.

Zatrzymała się przy oknie. Widoczne za nim pomieszczenie pełne było stojaków z tacami, na których ułożono lepką galaretkę przypominającą żabi skrzek.

- Wszystkie formy wolnożycia są całkowicie sztuczne - ich DNA zostało zaprojektowane przez Fell Institute w Oksfordzie, na Ziemi. Jak zapewne wiecie, im bardziej skomplikowany jest organizm, tym bardziej staje się podatny na choroby i innego rodzaju problemy. Tłustoglisty są zatem bardzo prostymi organizmami. Podstawę optymalizacji biologicznej stanowi całkowity brak zdolności reprodukcyjnych. To dla nas bardzo użyteczne, ponieważ te organizmy są niezbędne jedynie w tym konkretnym stadium terraformowania. Ich okres życia wynosi około dziesięciu lat, a zatem gdy tylko przestaniemy je produkować,

stopniowo wymrą same. - Uniosła słoje pełne galaretowatej substancji i podała ją najbliższemu stojącemu chłopcu. - Podaj to kolegom, i proszę, postarajcie się nie chuchać na te stworzenia. Wszystkie organizmy wolnożyjące przystosowane są do życia w temperaturach ujemnych. Wasz oddech jest dla nich jak ogień.

Lawrence zobaczył w słoju tylko masę przezroczystych jajeczek, z których każde osłaniało ciemny punkcik, maleńki jak główka od szpilki. Nie trzęsły się i nie drżały, jakby za chwilę coś miało się z nich wykluć. To przynajmniej byłoby ciekawe. Co za nudy.

Pani Segan przeprowadziła ich przez główną halę hodowlaną. Był to długi korytarz zastawiony rzędami białych plastikowych pojemników oddzielonych od siebie pomostami ze stalowych kratownic. Przewody ciągnące się w górze opryskiwały otwarte pojemniki glutową cieczą w regularnych odstępach. Powietrze pachniało cukrem i zmiażdżoną trawą.

- Każda z tustoglist jest właściwie miniaturowym reaktorem bakteryjnym - oznajmiła pani Segan, prowadząc ich wzdłuż pomostu. - Umieszczamy je w nowych sekcjach tundry, a one ryją w ziemi, żując martwą tkankę roślinną. Przetrawiona gleba pełna jest bakterii żyjących w ich wnętrzościach. To pozwala przygotować ją na zasadzenie ziemskich roślin, które potrzebują gleby nasyconej bakteriami do prawidłowego rozwoju.

Dzieci pochyliły się nad pojemnikiem, zainteresowane stworzeniami, które potrafiły jeść ziemię i wydalać grzyby. Dno pojemnika pokrywała lśniąca masa szarawych, wijących się powoli tustoglist. Miały mniej więcej piętnaście centymetrów długości i kilka szerokości. Uczestnicy wycieczki wydali z siebie okrzyki typu: „ooo!” i „fuuuj!”, wpatrując się w śliskie minipotwory.

- Czy to dlatego nazywają się „wolnożyjące”? - spytał ktoś. - Bo tak wolno się ruszają?

- Częściowo, tak - przyznała pani Segan. - Ze względu na temperatury, w jakich żyją, nie mają zbyt szybkiego metabolizmu, co sprawia, że ich fizyczne ruchy są równie powolne. Ich krew jest syntetyzowana na bazie glicerolu, dzięki czemu mogą żyć nawet w najzimniejszej glebie, nie zamarzając przy tym na kość.

Lawrence westchnął niecierpliwie, gdy przewodniczka cytowała statystyki, a potem zaczęła opowiadać o innych formach wolnożycia. Niektóre z nich, przypominające ryby, pływały w strumieniach, którymi topniejący śnieg spływał z lodowca Barclaya; inne były odległe spokrewnione z gąsienicami - ich zadaniem było przeżuwanie wielkich diun złożonych z granulek węgla pozostałych po lasach Amethi. Znów spojrzał na wielki pojemnik. W środku leniwie wiło się stado glist. I co z tego? Kogo, na Los, obchodziło, jakie stworzenia żarły glebę? Dlaczego nie zrobili chociaż ptaków albo czegoś ciekawego? Na

przykład dinozaurów?

Pani Segan podążyła naprzód, prowadząc za sobą grupę. Lawrence został z tyłu. Wyciągnął szyję, odchylił się do tyłu i spojrzał poprzez brudny szklany sufit, by sprawdzić, czy chmura już wróciła. Chwilę później potknął się o jakieś wzniesienie na kratownicy i, machając rękami, upadł na plecy. Próbując znaleźć oparcie, wywrócił płytkie plastikowe wiaderko, z którego wypadła cała masa dorosłych tługlist.

Odtoczył się od nich szybko - obrzydzenie wzięło górę nad bólem sztucznego kręgosłupa. Dorosłe osobniki miały około czterdziestu centymetrów długości i siedem-osiem centymetrów średnicy. Na oślep machały w powietrzu „główkami”.

Lawrence zerwał się na nogi, odruchowo sprawdzając, gdzie są nauczyciele. Nikt nie widział jego upadku. Spojrzał na tługlisty - jedyny dowód jego niezręczności. Schylił się i ostrożnie, powtarzając sobie w duchu, że wcale nie są groźne, spróbował podnieść jedną z podłogi. Była obrzydliwie zimna i śliska, przypominała w dotyku mokry dywan. Gdy ją podniósł, powolne falujące ruchy gwałtownie przyspieszyły. Zamiast wrzucić ją do pojemnika, Lawrence patrzył zafascynowany. Po chwili tługlista praktycznie miotła mu się w ręce. Upuścił ją na podłogę, a wtedy popęzła wzdłuż pomostu. W połowie ciała widać było purpurową obręcz w miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się jego palce.

- Aha - mruknął. - Wcale nie jesteście takie powolne.

Było to zresztą logiczne. Skoro w chłodzie poruszały się wolno, to w ciepłe mogły przyspieszać.

Pobiegł za resztą wycieczki.

- Alan! - syknął. - Hej, Alan. Popatrz na to.

Alan Cramley przerwał pogryzanie batonika Toby, zaciekawiony konspiracyjnym tonem kolegi.

- Co?

Lawrence zabrał go z powrotem do miejsca, gdzie rozsypał dorosłe glisty. Eksperymenty szybko przeszły w zawody.

Unosili tługlisty jednocześnie, potem upuszczali je na pomost i patrzyli, która pierwsza dopełźnie do końca kratownicy. Pod koniec puszczały po dwie każdy. Był to prawdziwy wyścig.

- Co tu się dzieje? - spytał nagle pan Kaufman.

Alan i Lawrence nie zauważyli, kiedy wyszedł z bocznego pomostu. Patrzył na cztery tługlisty pełznące po metalu. Za jego plecami stało kilkoro innych uczniów. Pani Segan odłączyła się od grupy i już biegła w ich stronę, aby zobaczyć, co się dzieje.

- Przewróciłem wiadro, proszę pana. Próbowaliśmy je pozbiierać. - Lawrence wystawił przed siebie zmarznięte dłonie. Z jego białych, pomarszczonych palców kapał śluz. - Przepraszam.

Pan Kaufman marszczył brwi, jakby nie do końca przekonany.

- Nie dotykajcie ich! - zawołała gorączkowo pani Segan. Prześlizgnęła się obok pana Kaufmana, wkładając grube rękawice. - Pamiętajcie, co wam mówiłam o ich naturalnej temperaturze.

Lawrence i Alan wymienili spojrzenia.

Pani Segan podniosła pierwszą tłustoglistę. Jej oczy zwężyły się niebezpiecznie, gdy zobaczyła czerwoną obrączkę na jej ciele. Podeszła do najbliższego pojemnika.

- Co wy narobiliście?! - wykrzyknęła. Wszystkie tłustoglisty miały taki sam ślad, wszystkie leżały nieruchomo. Podbiegła do kolejnego pojemnika i aż zatchnęła się z przerażenia. W trzeciej kadzi wolno falowało kilka glist - Lawrence i Alan nie zdążyli jeszcze przetestować ich wszystkich.

Kobieta odwróciła się gwałtownie. Lawrence cofnął się o krok, spodziewając się, że go uderzy. Jej twarz zastygła w grymasie wściekłości.

- Spaliliście je żywcem, wy małe... - Odwróciła się do pana Kaufmana. - Koniec wycieczki. Proszę zabrać stąd te bachory.

\*\*\*

Lawrence kilka lat temu objął w posiadanie garaż dla robotów. Kompaktowe urządzenia, które dawniej pielęgnowały ogrody w kopułach należących do jego rodziny, zostały zastąpione nowszymi, bardziej wydajnymi modelami podczas aktualizacji AS zarządzającego gospodarstwem domowym. Znalazł stary betonowy podjazd pośród krzewów pokrytych czerwonymi kwiatkami - rozrosły się tak, że utworzyły mur, niedbale zasłaniający niepotrzebne wejście. U podstawy podjazdu znajdowały się drzwi wahadłowe zamocowane na starych, zeszywniałych wysięgnikach. Otwarcie tych wrót wymagało dużo wysiłku i wytrwałości - jak na dziewięciolatka - ale Lawrence był uparty. W nagrodę ujrzał stęchłą betonową jaskinię, ciągnącą się w głąb na dobre dziesięć metrów. Strop był wysoki prawie na dwa metry, a do podłogi, ścian i sufitu przyspawano tam dziwne metalowe szyny - kiedyś znajdowały się tam ramiona zdalnych manipulatorów. Jednak wciąż było tu zasilanie i węzeł danych.

Od tego czasu zapuszczona piwnica zmieniła się w osobiste królestwo Lawrence'a. Przyniósł tam wszystko, co niezbędne do życia: wysłużoną kanapę w kolorze magenty, stertę poduszek, kilka stolików, starą perłę stacjonarną, system dźwiękowy wyposażony w zakres

decybeli, którego pozazdrościłaby mu niejedna gwiazda rocka, dwie aktywne wieże pamięci przyniesione przez ojca z biura, komplet narzędzi i pudła z zabawkami, których już od dawna nie używał. Na wszystkich ścianach - a nawet na części sufitu - nakleił płachty ekranowe. Gdy tylko wchodził, wyświetlała się na nich mozaika obrazów. Niektóre pochodziły z wież, inne z transmisji przesyłanych na żywo z różnych kamer do puli danych.

Był to jego azyl chroniący go przed rodziną i resztą Amethi. Nawet jego młodsze rodzeństwo wiedziało, że nie należy tu wchodzić bez pozwolenia.

Poszedł tam prosto po powrocie z wycieczki.

Ekranu ukazywały kilka ujęć z Templetonu pochodzących z kamer zamontowanych na szczycie różnych kopuł. Na jednym z nich widniał jasny półksiężyc Nizany oglądany z pomocą teleskopu używanego przez pobliski wydział astronomii. Drugi teleskop w tym czasie śledził Barric, trzeci spośród największych księżyców.

Lawrence nakazał perle stacjonarnej znaleźć sygnał z portu kosmicznego i przekierować go na największy ekran znajdujący się naprzeciwko kanapy. Zajmował połowę ściany. Kamera prawdopodobnie była umieszczona na wieży kontrolnej - ukazywała teraz szeroki pas startowy na tle ponurej rdzawej tundry. Nic nie lądowało ani nie startowało.

- Wyświetl mi odcinek. *Kierunek: horyzont*.

- Który? - spytał program AS.

- Obojętnie. Nie, czekaj. Sezon pierwszy, odcinek piąty. *Stworzenie-5*. Perspektywa trzecioosobowa, ta sama wersja co ostatnio. Wyświetl go na dużym ekranie i zamknij pozostałe. - Lawrence rozłożył się na kanapie i oparł stopy o poręcz. Pozostałe ekrany poczerniały. Przed nim zaczęły przewijać się napisy, a system nagłośnienia zaczął odgrywać ścieżkę dźwiękową, aż zadrżały płachty.

Znalazł *Kierunek: horyzont* dwa lata temu, gdy wysłał zapytanie, by przeszukała wszystkie katalogi firm multimedialnych na Amethi. Jego zdaniem był to najwspanialszy serial science fiction, jaki kiedykolwiek nakręcono. Nie był w pełni interaktywny, ale pozwalał na selekcję postaci, a zatem można było obejrzeć serial z punktu widzenia każdego z głównych bohaterów. A do tego nie był tak dydaktyczny jak wszystkie amethiańskie i-dramaty produkowane dla młodszego widza.

Akcja serialu toczyła się w odległej o setki lat przyszłości na pokładzie niesamowicie nowoczesnego statku *Ultima*, którego zadaniem było zbadanie spiralnego ramienia odległego od Ziemi o pół galaktyki. Wśród załogi znajdowało się kilkoro kosmitów, a dziwne planety, które odwiedzali, były naprawdę straszne. Czasem walczyli też ze złymi kosmitami - Deleksjanami, którzy próbowali im uniemożliwić powrót do domu. Importowano go z Ziemi

przed trzydziestu laty, chociaż prawa autorskie pochodziły z roku 2287. W bibliotece firmy multimedialnej znajdowało się tylko trzydzieści odcinków, a Lawrence znał je już na tyle dobrze, że niemal mógł recytować dialogi z pamięci. Nie mógł uwierzyć, że tylko tyle nakręcono. Ziemski adres pulodanowy fanklubu serialu pojawiał się w tagach w menu dodatków przy każdym z odcinków. Chłopak zapłacił zatem za transport statkiem i wysłał im wiadomość tekstową z prośbą o więcej informacji. Za każdym razem, gdy jakiś statek wracał na Amethi, Lawrence sprawdzał swój AS komunikacyjny, ale jeszcze nie dostał odpowiedzi.

*Ultima* wdała się właśnie w wielką bitwę energetyczną z błękitnym kartem wyposażonym przez Deleksjan w matrycę świadomości, gdy na ekranie ukazała się zielona ikonka oznaczająca priorytetowy skrypt. Statek zamarł, a skrypt przejechał po ekranie.

*Lawrence, przyjdź do gabinetu ojca.*

Chłopak zerknął na zegarek. Za kwadrans szósta. Jego ojciec wrócił zaledwie przed dziesięcioma minutami. Najwyraźniej pan Kaufman nie zwlekał z przesłaniem powiadomienia.

- Daj mi perłę do nauki - zwrócił się do AS.

- Jest włączona - odparł AS.

- Jestem zajęty - odkrzyknął Lawrence. Postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie. AS zainstalowany na perle stacjonarnej był bardzo sprytny.

- Lawrence, proszę, przestań. Przeczytałam wiadomość ze szkoły i nadałam jej najwyższy priorytet. Twój ojciec chce cię zobaczyć.

- No, dobrze - zgodził się chłopak niechętnie. - Już idę. Ale będziesz musiała wytłumaczyć szkolnemu AS, dlaczego tak krótko się dziś uczyłem.

- Wcale się nie uczysz.

- Właśnie, że tak. Tylko puściłem sobie *Kierunek: horyzont* w tle.

Lawrence zamknął za sobą drzwi do garażu i lawirując, przecisnął się przez krzaki. Wejście znajdowało się nieopodal skraju głównej kopuły, w której zbliżał się właśnie koniec lata. W posiadłości rodzinnej Newtonów było sześć takich konstrukcji: jedna duża pośrodku, wyposażona we własny klimat i pięć mniejszych po bokach, w których panowały zupełnie inne warunki. Była to jedna z największych posiadłości w dzielnicy Reuiza, gdzie mieszkali najbogatsi Amethianie.

Od domu dzieliło go teraz jakieś trzysta metrów. Architekt krajobrazu zdecydował się na aranżację wielopoziomową, pokrytą szachownicą angielskich trawników obrzeżonych niemal pionowymi żywopłotami i bylinami. Każdy trawnik miał własny motyw przewodni w postaci klasycznych roślin ogrodowych: jeden róże, drugi fuksje, trzeci begonie, inny znów



magnolie, hydragenie czy delfinie. Dla urozmaicenia, kilka trawników otaczały jodły górskie. Dwa wijące się zbiorniki prowadziły do płytkich, skalistych wodospadów, a z półek i wzniesień na stoku wyrastały trzciny i lilie. W narożniku każdego trawnika rosły wysokie drzewa, również dobrane ze względu na sentyment do tradycji: wierzby, świerki, brzozy, kasztanowce i modrzewie. Każde z nich miało ciężkie, opadające gałęzie - naturalnie lub też za sprawą starannego kształtowania tworzące masywne zielone spódnice, dotykające trawy. Wspaniałe kryjówki dla małych dzieci. Lawrence spędził niejedne wakacje, bawiąc się w tych ogrodach, podobnie jak teraz jego rodzeństwo.

Kopułę przecinał strumień w kształcie podkowy biegnący poza obrzeżem ozdobnych trawników, gdzie trawa rosła bujniej i kwitły stokrotki i niezapominajki. Chłopiec przeszedł przez wąski, wygięty i porośnięty mchem mostek i skierował się na brukowaną ścieżkę wiodącą do domu, na zmianę wchodząc lub schodząc po schodach znajdujących się na końcu każdego trawnika. Rezydencja Newtonów była bardzo okazała, zbudowana z żółtawego kamienia, z wielkimi wykuszami wystającymi ze ścian porośniętych kapryfolium. Po zwirowanej ścieżce okrążającej budynek spacerowało kilka paw, wlokąc za sobą długie ogony. Nic prócz ich szaleńczych, przenikliwych okrzyków nie zakłócało panującej ciszy. Ptaki rozbiegły się, gdy Lawrence przeszedł przez ścieżkę i wspiał się na schody do frontowych drzwi.

W holu było chłodno. Ciężkie wypolerowane dębowe drzwi prowadziły do oficjalnych pomieszczeń na parterze. Wszystkie meble i dekoracje były antykami. Lawrence nienawidził tych pokoi - bał się tam nawet wejść, by przypadkiem nie uszkodzić jakiejś bezcennej pamiątki rodzinnej. Jaki jest sens mieszkać w takim domu? Nie dało się z niego normalnie korzystać. Zupełnie nie przypominał domów, w jakich mieszkali jego koledzy. Wybudowanie tego wszystkiego kosztowało fortunę. Zresztą ten styl w ogóle nie pasował do Amethi. Wyglądał jak wzięty wprost z przeszłości.

Kręte drewniane schody prowadziły na pierwsze piętro. Lawrence podreptał nimi bezgłośnie, szkarłatny dywan tłumiał jego kroki.

Na górze czekała jego matka, trzymając na rękach dwuletnią Veronikę. Obrzuciła go zmartwionym spojrzeniem, ale matka zawsze taka była - wiecznie się o coś martwiła. Młodsza siostrzyczka uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ręce. Lawrence odpowiedział uśmiechem i ucałował ją w policzek.

- Och, Lawrence - westchnęła kobieta. W jej głosie zabrzmiała mieszanka dezaprobaty i udręki, która zawsze sprawiała, że zwieszał głowę ze wstydu. To było okropne uczucie - nie móc spojrzeć w twarz własnej matce. A teraz znów ją zdenerwował, a przecież była w

szóstym miesiącu ciąży i powinna odpoczywać. Sam nie miał nic przeciwko kolejnemu bratu czy siostrze, ale ciąży zawsze tak bardzo ją męczyły. Gdy próbował coś o tym wspomnieć, jego matka uśmiechała się męźnie i podkreślała, że właśnie dlatego poślubiła jego ojca - by kontynuować ród.

Dla rodziny wszystko.

- Jest bardzo zły? - spytał Lawrence.

- Oboje jesteśmy tobą bardzo zawiedzeni. Postąpiłeś okropnie. Co by było, gdyby ktoś tak potraktował Lufę?

Lufa - tak się nazywał jeden z ich psów, czarny kudłaty labrador, ulubieniec Lawrence'a. Dorastali razem.

- To nie to samo! - zaprotestował chłopiec. - Pies czuje więcej niż jakaś tam glista.

- Nie będę z tobą dyskutować. Idź do ojca. - Matka odwróciła się na pięcie i zeszła po schodach. Veronica zagulgotała radośnie i zamachała rączkami.

Lawrence wolnym krokiem udał się do gabinetu. Drzwi były otwarte, więc zapukał we framugę.

Ze środka wyszła Kristina, nowa niania. Mrugnęła do Lawrence'a porozumiewawczo, co bardzo podniosło go na duchu. Opiekunka miała dwadzieścia jeden lat i była piękna jak marzenie. Często się zastanawiał, czy aby się w niej nie kocha, ale nie miał pewności. Dużo o niej myślał - nie wiedział, czy to wystarczy. Poza tym uważał, że miłość to głupota. Jednak lubił, gdy Kristina miała dyżur: była wesoła, grała z nimi w różne gry i nie zwracała uwagi na to, kiedy wstawał albo kładł się spać. Jego bracia i siostry ją uwielbiali, co było mu bardzo na rękę, bo Lawrence nie bardzo umiał zmieniać pieluszki, przygotowywać jedzenie i wykonywać inne prace. Szkoda, że nie przychodziła częściej.

Podobnie jak reszta domu, gabinet objęty był zakazem wstępu dla dzieci. Umieszczono tam wysoki marmurowy kominek, w którym płonęły wyłącznie holograficzne płomienie. Kilka zielonych foteli. Trzeba było dobrze się wpatrzeć, by dostrzec jakieś ustępstwa na rzecz nowoczesnej techniki - dwa największe obrazy olejne były w rzeczywistości płachtami ekranowymi, a notes leżący na biurku ukrywał panel. Ściany obrzeżono regałami pełnymi oprawionych w skórę książek. Lawrence z chęcią sięgnąłby po parę dzieł klasyków (byle nie poezję) i poczytał. Jednak te książki nie służyły do czytania - jedynie do oglądania i bycia ocenianymi pod kątem wartości w dolarach.

- Zamknij drzwi - polecił ojciec.

Lawrence wykonał polecenie.

Jego ojciec siedział za biurkiem z orzechowego drewna, bawiąc się srebrnym duńskim

przyciskiem do papieru i przerzucając go z ręki do ręki. Przyjaciele mówili mu Doug - wiele osób w Templetonie walczyło o zaliczenie do tej grupy. Był dobrze po czterdziestce, choć dzięki gruntownemu prze-w-wpisaniu linii somatycznych wyglądał znacznie młodziej. Miał szczupłą budowę ciała i pogodną, uśmiechniętą twarz. Z łatwością mógł uchodzić za dwudziestopięciolatka. Jego rywale w zarządzie McArthur czasem uznawali ten uśmiech za przejaw łagodnej natury - nigdy już nie mieli szans powtórzyć tego błędu.

- W porządku - oznajmił mężczyzna. - Nie będę na ciebie krzyżeć, Lawrence. W twoim wieku to tylko strata czasu. Zwiniesz się w kłębek jak jeź i pozwolisz, by wszystko po tobie spłynęło. Gdybym nie wiedział lepiej, to powiedziałbym, że wkraczasz w wiek dojrzewania.

Lawrence zaczerwienił się gwałtownie. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Pewnie dlatego ojciec wybrał właśnie tę metodę.

- Wyjaśnij mi, co się dzisiaj stało?

- Tak tylko się wygłupiałem - bąknął Lawrence, pilnując, by w jego głosie zabrzmiała skrucha. - To tylko glisty. Nie wiedziałem, że ciepło może je zabić. Nie chciałem.

- Tylko glisty. Hmm. - Doug Newton przestał przyciskać przycisk do papieru i wpatrzył się w sufit, zamyślony.

- Te same tługlisty, które pełnią tak ważną rolę w procesie przekształcania naszego ekosystemu, tak?

- Tak, ale przecież codziennie klonują ich miliony!

Przycisk znów powędrował z ręki do ręki.

- Nie o to chodzi, synu. To już kolejny przypadek w długiej serii. Masz dwanaście lat. Rozumiem, że broisz i nie uważasz na lekcjach, w twoim wieku to normalne. To dlatego nauczyciele przesyłają nam raporty - żebyśmy mogli wyegzekwować od ciebie odrabianie prac domowych albo dać ci szlaban, kiedy nasikasz na kamery monitoringu w muzeum. Ale nie podoba mi się ta tendencja, Lawrence. Wykazujesz niepokojący brak szacunku dla wszystkiego, co robimy w tym świecie. Zachowujesz się tak, jakby rewitalizacja ekosystemu w ogóle się dla ciebie nie liczyła. Nie chciałbyś kiedyś wyjść z tej kopuły, w samej tylko koszulce i szortach? Nie chcesz zobaczyć, jak trawa rozkwita na pustyni, a lasy odrastają?

- Jasne, że chcę. - Lawrence wciąż był dotknięty uwagą o sikaniu. Nie miał pojęcia, że ojciec o tym wie.

- A zatem dlaczego nic z tym nie robisz? Dlaczego nie widać tego po twoim zachowaniu? Dlaczego zachowujesz się jak nieznośny bachor i niepotrzebnie denerwujesz swoją matkę? Chyba wiesz, że jest w ciąży i nie powinna się martwić twoimi wybrykami?

- Naprawdę tak myślę. Widziałem dzisiaj chmurę.  
- I pociągnąłeś za hamulec awaryjny. Tak, to godne podziwu.  
- To było fantastyczne. Naprawdę podobała mi się ta część ekosystemu.  
- Dobry początek.  
- Tylko że... Wiem, że TermalAtak jest ważny dla Amethi i naprawdę doceniam całą tę pracę, jaką wykonuje McArthur. Ale chyba nie dotyczy mnie to w takim stopniu jak ciebie, tato.

Doug Newton złapał przycisk do papieru i spojrzał na Lawrence'a, unosząc brew.

- O ile pamiętam, kazaliśmy ci w-wpisać ulepszoną kondycję i sprawność intelektualną. Nie zamawialiśmy żadnych modyfikacji, które pozwoliłyby ci przeżyć nago i samotnie na niezmodyfikowanej zlodowaczonej planecie. Jestem tego całkiem pewien.

- Ale, tato, ja nie chcę mieszkać na Amethi. Przynajmniej nie cały czas - dodał szybko.  
- Chciałbym brać udział w ekspedycjach międzygwiazdnych firmy McArthur.

- Co ty pieprzysz!

Lawrence poczuł, że opada mu szczęka. Jeszcze nigdy nie słyszał, by jego ojciec przeklinał. Teraz wiedział, że naprawdę napytał sobie biedy.

- Ekspedycje międzygwiazdne? - wycedził Doug Newton. - Czy to ma coś wspólnego z tym głupim serialem, który w kółko oglądasz?

- Nie, tato. Oglądam *Kierunek: horyzont*, bo to dobry serial. Ale naprawdę chciałbym latać. Wiem, że spełnię warunki. Mam dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów, których wymagają w szkole dla pilotów. Sprawdziłem pakiet aplikacyjny i ścieżkę zawodową.

- Lawrence, jesteśmy rodziną zarządu. Nie rozumiesz, co to oznacza? Zasiadam w zarządzie firmy McArthur. Ja, twój staruszek. Oznacza to, że podejmuję decyzje dotyczące całej planety. To twoja przyszłość, synu. Może nie powiedziałem tego dostatecznie wyraźnie. Może unikałem tego, żebyś mógł mieć normalne dzieciństwo i nie dręczył się wciąż tym tematem. Ale tak właśnie jest i pewnie w głębi duszy sam zdajesz sobie z tego sprawę. Może właśnie to cię tak gryzie. Przykro mi, synu, ale na tej planecie jesteś księciem krwi. To nie jest łatwe, ale zyskujesz na tym znacznie więcej, niż tracisz.

- Mogę wrócić i wtedy zostać członkiem zarządu. Dowodzenie statkiem zapewni mi najlepsze przygotowanie!

- Lawrence! - zawołał ostro ojciec, po czym opanował się i jęknął. - Dlaczego czuję się, jakbym tłumaczył dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje? Posłuchaj. Wiem, że dowodzenie statkiem wygląda na świetną zabawę. Ale tak nie jest, jasne? Latasz z Amethi na Ziemię, a potem znów z powrotem. Sześć tygodni spędzonych w hermetycznym module pod

ciśnieniem, pozbawionym okna i pełnym cudzych pierdów. Nawet nazywanie obsługi statku załogą to grzeczne kłamstwo. Ludzie na statkach albo służą za interfejs do AS, albo są mechanikami, specjalnie przeszkolonymi w przeprowadzaniu czynności konserwacyjnych w stanie nieważkości. Możesz obsługiwać AS tutaj, siedząc bezpiecznie i wygodnie w biurze albo na ławce w parku. Jeśli będziesz to robił w kabinie na statku, i to przez dłuższy czas, twoje ciało zacznie na tym cierpieć. My mamy do dyspozycji skuteczne leki pomagające, gdy cienieją ci kości, kurczą się mięśnie, a w głowie gromadzi się nadmiar wszelkich możliwych płynów. Załoganci ledwie są w stanie ukończyć lot, nie myśląc choć raz o samobójstwie - a Los wie, że wielu z nich nie poprzestaje na myśleniu. Nienawidziłem lotów na Ziemię. Przez pół drogi wymiotowałem, objąłem się o ściany, aż w końcu wyglądałem, jakbym przegrał mecz bokserski, i nie mogłem spać. Ale wycieczka na Ziemię to jednorazowa impreza - to jeszcze można wytrzymać. Jeśli spędzisz w kosmosie więcej czasu, nawet przy dłuższych urlopach, efekty się kumulują. A to tylko standardowe choroby zawodowe. Do tego dochodzi wysokie ryzyko napromieniowania. Promieniowanie kosmiczne rozerwie ci DNA na strzępy. Pamiętaj, że to najlepszy możliwy scenariusz. Nie będę nawet mówić, co cię czeka, jeśli zostaniesz inżynierem, który musi wychodzić poza pojazd. Jeśli myślisz, że żartuję albo widzę wszystko w czarnych barwach, sprawdź sobie śmiertelność i oczekiwaną długość życia wśród załogi statków kosmicznych. Mogę ci udostępnić zastrzeżone dane personelu z bazy McArthur, jeśli chcesz.

- Ale ja nie chcę latać w takich lotach, tato. Chcę zamustrować się na statek badawczy.

- Czyżby?

Lawrence'owi nie spodobał się uśmiech ojca - wyglądał tryumfalnie.

- Chcesz odkryć nowe planety, nawiązać kontakt z rozumną rasą kosmitów, i tak dalej?

- Tak.

- A gdy sprawdzałeś formularze wniosków dla załogi, to czy sprawdziłeś może, które z naszych statków przeznaczone są do wypraw międzygwiazdnych? Można to znaleźć w tym samym bloku informacyjnym.

- Tego nie napisali. Ta część operacji prowadzona jest z Ziemi. - Patrzył, jak uśmiech ojca poszerza się niepokojąco.

- Prawda?

- Nic nie jest prowadzone z Ziemi, synu, już od dwa tysiące dwieście osiemdziesiątego piątego. McArthur odwołał wszystkie wyprawy badawcze w dwa tysiące dwieście trzydziestym. Od tego czasu nie odbyła się jedna. Wiesz dlaczego?

Lawrence nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Wszystko to była jakiś absurdalna historia, wymyślona tylko po to, by zaczął się bardziej przykładać do nauki.

- Nie.

- Są za drogie. Zbudowanie i utrzymanie statku kosztuje fortunę. Naprawdę mam tu na myśli fortunę. Myszkowanie po tym kawałku galaktyki nie daje nam niczego w zamian. To inwestycyjna czarna dziura.

- Przecież mamy Amethi!

- Ach! Nareszcie wykazujesz trochę lokalnego patriotyzmu. Tak, mamy Amethi i Anyi, i Adark, i Alagon. Właśnie dlatego musiał nadejść rok dwa tysiące dwieście osiemdziesiąty piąty. Trzeba było się ich pozbyć. Kolonizacja kosztuje majątek, a udziałowcy na Ziemi nigdy nie doczekają się z tego żadnych zwrotów. Nigdy nie uda nam się wytworzyć żadnych komercyjnych produktów, które można by wysłać na odległość międzygwiazdną i sprzedać za mniejszą kwotę, niż kosztują miejscowe wyroby. Inwestycje muszą pochodzić z Ziemi. McArthur nie mógł sobie pozwolić na utrzymanie czterech planet, więc trzy z nich sprzedał Kyushi-RV i Heizark Interstellar Holding w ramach fuzji. To wyrównało sporą część naszego długu, a w dodatku zrzekliśmy się części aktywów na rzecz holdingu i przekazaliśmy akcje firmy macierzystej mieszkańcom Amethi. Było to naprawdę innowacyjne posunięcie. Dzięki temu pięćdziesiąt osiem procent akcji McArthur znajduje się w rękach mieszkańców. Oddział firmy na Ziemi, wszystkie jego zakłady i usługi finansowe, istnieje teraz wyłącznie w jednym celu: by finansować Amethi. Ponadto oferuje ziemskim udziałowcom dywidendę w postaci możliwości wyjazdu - takie świadczenia socjalne i plan emerytalny w jednym.

- Ale przecież w kosmosie jest jeszcze tyle miejsc, które trzeba odkryć i zbadać.

- Nie, synu - odparł stanowczo ojciec. - Rządowe agencje kosmiczne wysłały statki praktycznie na każdą gwiazdę, by zebrać dane na samym początku wieku międzygwiazdowego. Zbadaliśmy każdą anomalię w naszym zasięgu i odkryliśmy więcej planet, niż jesteśmy w stanie zwiedzić. To już za nami. Teraz przyszedł czas korzystać z całej tej wiedzy i doświadczenia. To nasz złoty wiek.

- W takim razie pójdę do innej firmy i dołączę do ich programu badawczego.

- Halo? Wszechświat do Lawrence'a! Nie słuchałeś tego, co mówiłem? Synu, nikt już niczego nie bada, bo nie zostało nic do zbadania. To dlatego w szkole każą ci się skupić na przedmiotach, które przydadzą ci się w zarządzaniu Amethi. Musisz wiedzieć, czego potrzeba, aby doprowadzić do końca projekt terraformacyjny. Twoja przyszłość jest tuż za rogiem i chciałbym, żebyś bardziej się na niej skupił. Jak dotąd tolerowałem twoje wybryki, ale koniec z tym. Czas, abyś zaczął spełniać oczekiwania swojej rodziny.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ostatni Kościół wybrał ten świat jako miejsce do budowy Najwyższej Świątyni, ponieważ leżał w pobliżu Mgławicy Ulodan, która słynie ze swych ciemności. Mgławice bywają uważane za najpiękniejsze obiekty w kosmosie. Są to skłębione cyklony gazów i pyłu o długości dochodzącej do kilku lat świetlnych, dlatego czasem mają w środku kilka gwiazd. Ich światło rozjaśnia je od środka, barwiąc pył i gaz na purpurowo, fioletowo albo zielono. Ale w przypadku Ulodan było inaczej. Ta mgławica składała się głównie z pyłu węglowego, czarnego jak przepaść pomiędzy galaktykami. W środku znajdowało się kilka gwiazd, w tym jedna bardzo słynna planeta, zamieszkała przez Mordiffów, ale z zewnątrz wszystkie były niewidoczne. Imperium Pierścienia nazywało ją chmurą śmierci - zwłaszcza odkąd ich statek badawczy trafił na planetę Mordiffów. Dla Ostatniego Kościoła było to idealne miejsce. Stojąc na powierzchni swojej planety i patrząc w niebo, widzieli tylko Ulodan zasłaniającą połowę słońca. Mieli wrażenie, że coś je pożera.

Statek Mozarka wylądował tam w piątym roku swojej podróży. Prawdopodobnie było to nieuniknione - każdy choć raz w życiu zastanawia się nad kwestią religii i Mozark nie był tu wyjątkiem. Zostawił statek w porcie i udał się do miasta, do Najwyższej Świątyni. W ciągu kolejnych kilku tygodni często spotykał się z prowadzącymi ją kapłanami. Powitali go z radością - chętnie witali wszystkich przybyszów - ale Mozark, jako książe, był dla nich szczególnym gościem. Przybył bowiem z królestwa leżącego w Imperium Pierścienia, gdzie było niewiele kościołów, poza tym pragnął oświecić swój lud. Z jego pomocą mogliby nawrócić wiele osób na swoją wiarę.

- Jaką wiarę? - spytał Edmund. - Czy znali tam Budę, Jezusa i Allaha?

- Nie - zaśmiała się Denise, przeczesując palcami świeżo obcięte włosy. - Nic w tym rodzaju. Pamiętajcie, że Imperium Pierścienia to bardzo stara cywilizacja. Już od dawna nie wierzyli w ludzi, którzy podawali się za wysłanników Boga albo jego dzieci. Nie jestem nawet pewna, czy słowo „kościół” dobrze oddaje, czym była ta instytucja. Było to coś w rodzaju ewangelicznej fizyki. W przeciwieństwie do innych religii, nic w ich doktrynie nie było sprzeczne z wiedzą naukową. Ich nauczanie nie mogło zatem stracić na sile, w miarę jak ludzie poznawali wszechświat. Jedno i drugie było produktem tej samej wiedzy, dzięki której Imperium Pierścienia zyskało swe wspaniałe wynalazki. Członkowie Ostatniego Kościoła

czcili czarne serce galaktyki.

Dzieci aż zatchnęły się zaskoczone. Z tyłu rozległ się krótki nerwowy szczebiot.

- Jak mogli je czcić, proszę pani? Mówiła pani, że serce galaktyki to czarna dziura!

- To prawda - przytaknęła Denise. - I właśnie tak jest w istocie. W samym środku galaktyki ziele czarna dziura, w którą wszystko wpada i z której nic nie wraca. Pożarła już miliony gwiazd i któregoś dnia pożre całą galaktykę. Ale stanie się to dopiero za wiele miliardów lat. I właśnie dlatego Ostatni Kościół badał ją i otaczał czcią. Ponieważ na końcu we wszechświecie nie będzie nic prócz czarnych dziur. Pożrą galaktyki i supergromady. Każdy atom zostanie uwięziony w nich na zawsze, aż w końcu stopią się w jedno. A potem...  
- Przerwała dla lepszego efektu.

- Co potem? - Odpowiedział jej gorączkowy okrzyk z kilkunastu małych buź.

- Właśnie dlatego narodził się Ostatni Kościół. Z powodu tej niepewności. Niektórzy astrofizycy z imperium twierdzili, że w tej chwili czarne dziury się zjednoczą i staną się jedną, a z nich narodzi się nowy wszechświat, oni zaś twierdzili, że będzie to ostateczny koniec wszystkiego. Ostatni Kościół zrzeszał ludzi, którzy wierzyli, że po zjednoczeniu nadejdzie nowy świat. Widzicie, uważali, że gdy wszystko zostanie pochłonięte przez czarne dziury, oni będą mogli wpłynąć na wynik tego procesu. Wewnątrz czarnej dziury materia jest zgniatana, aż do całkowitego zniszczenia, ale Ostatni Kościół wierzył, że energia zachowuje swój wewnętrzny wzorzec, bądź to zapisując go na zgniecionej materii, bądź to w jakiejś innej formie. Możecie to nazwać duszami. Chcieli wysłać dusze do czarnego serca, by w owej chwili, gdy nadejdzie kres czasu i uporządkowany fizyczny świat popadnie w chaos, wciąż był w tym wszystkim jakiś cel.

Pewnie już się domyślacie, że Mozarkowi bardzo się to spodobało. Cała ta koncepcja - pilnowanie, by egzystencja trwała dalej - zrobiła na nim duże wrażenie. Pomyślał, że jego królestwo mogłoby się poświęcić tej idei z dużym entuzjazmem, na pewno Endoliyn też by temu przyklasnęła. Ale potem zaczął mieć wątpliwości, te same, które dotyczą każdej religii, niezależnie od tego, jak bardzo jest racjonalna. Życie jest naturalnym produktem wszechświata - przekonanie, że jego celem jest sztucznie wpłynąć na kres czasu, wymaga wielkiej wiary. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej ewangelia Ostatniego Kościoła zdawała się wypływać z wiary w boską interwencję. Ich pierwszy fizyk-kapłan dokonał wyboru, a w swej wielkiej pysze postanowił przekonać wszystkich, by się z nim zgodzili. Mozark nie był pewien, czy powinien dokonać tej decyzji nawet w swoim imieniu, nie mówiąc już o całym królestwie. Mimo całej swej wspaniałości życie trwa bardzo krótko. Poświęcić je misji, która może okazać się nieprzydatna przez najbliższe setki miliardów lat - to wymagało po prostu



zbyt dużo wiary. Życie spędzone w służbie Ostatniego Kościoła nie byłoby spędzone mądrze, wręcz przeciwnie - zostałoby zmarnowane. Nie o to chodziło Endoliyn.

Mozark zatem znów powrócił do swojego statku i opuścił planetę, by kontynuować podróż. Odrzucił abstrakcyjną duchowość Ostatniego Kościoła, tak samo jak materialistyczne poglądy mieszkańców Miasta.

Denise powiodła wzrokiem po twarzach swoich słuchaczy. Dzieci nie były już tak zaciekawione jak wtedy, gdy opowiadała im o cudach Miasta. „Nic dziwnego - pomyślała - są jeszcze za mali, by prawić im takie kazania”.

- Już niedługo - powiedziała ściszym głosem, który od razu przyciągnął ich uwagę - opowiem wam o planecie Mordiffów i jej strasznej historii.

Planeta Mordiffów była jedną z legend Imperium Pierścienia, które sprawiały, że dzieci aż drżały z oczekiwania, ilekroć o niej wspominała. Za sprawą kilku napomknień wyobrażały ją sobie jako straszliwe piekło pełne uzbrojonych potworów. Nie było to zgodne z prawdą, ale Denise uznała, że nie ma to jak dobry straszak, gdy trzeba posprzątać zabawki.

\*\*\*

Po pracy złapała tramwaj do dzielnicy Newmarket. W miarę dwudziestominutowej przejażdżki powoli oddalała się od wielkich budynków stłoczonych wokół mariny i portów i przemieszczała się w stronę przedmieścia, gdzie ulice były szersze, a sklepy i bloki mieszkalne proste i nieozdobione. Na rogach znajdowały się długie plakaty reklamowe - nie plachty ekranowe, lecz zwykłe arkusze papieru. W bocznych uliczkach widniały rzędy niemal identycznych domków; ich wybielone ściany poddane działaniu soli i wilgoci łuszczyły się i odpadały płatami. Małe ogródki pełne były palm i paproci.

Wysiadła na przystanku przy centrum handlowym i dalej poszła pieszo. Nie było tu turystów, wyłącznie miejscowi. Spacerowała wolno, oglądając wystawy. Kilka barów wystawiło na ulicę stoliki i krzesła - ich klienci woleli przebywać w środku, gdzie oświetlenie było przyciemnione, a muzyka głośniejsza. Wokół zaciemnionego wejścia unosił się zapach marihuany i poczerwienia - ciężki i słodki. Denise wyobraziła sobie, że wylewa się poprzez próg niczym para z suchego lodu.

Gdy mijala jeden z lokali, ze środka wytoczyła się właśnie triada, mrugając w słońcu i osłaniając oczy, póki nie rozwinęły im się ciemne okulary. Zachichotali z beztroską właściwą tylko zdrowo naćpanym. Dwaj mężczyźni tuż przed trzydziestką, sądząc po kombinezonach najwyraźniej robotnicy, i jedna kobieta. Szła pośrodku, obejmując ich obu ramionami. Nie miała zbyt dobrej figury, nie była też oszałamiająco ładna. Jej język zalśnił w słońcu, gdy polizała jednego z mężczyzn w ucho, po czym pisnęła z radości. Mężczyzna zacisnął rękę na

jej pośladku.

Denise zatrzymała się gwałtownie i odwróciła głowę. Mimo upału i wilgoci nagle pokryła ją gęsia skórka. W duchu przeklęła się za podobną słabość. Po prostu cała ta sytuacja zaskoczyła ją nieprzygotowaną. Dwóch mężczyzn ciągnących za sobą kobietę. Zapowiedź seksu. Piskliwy śmiech przypominający krzyk.

„Idiotka”, pomyślała wściekle, mając ochotę uderzyć się w twarz. „Weź się w garść, dziewczyno”. Pewnie poddałaby się impulsowi, gdyby nie była tak bardzo na widoku.

To absurd, że jej ciało potrafiło być silne, a umysł - tak słaby. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy Raymond i Josep poprosili o subtelne modyfikacje neurochemiczne. Ludzka psychika była bardzo podatna na działanie chemii. Czy istniał jakiś preparat zwiększający opanowanie?

Triada zniknęła za rogiem i dopiero wtedy Denise znów ruszyła naprzód. Kilka głębokich oddechów i napięcie mięśni ramion pozwoliło odzyskać kontrolę nad zdradzieckim ciałem.

Centrum przykryte było okrągłym szklanym dachem, rozdzielając się na kształt krzyża mniej więcej w jednej trzeciej długości od wejścia. Powietrze w środku było chłodne, oczyszczone z kurzu i wilgoci. Ze sklepów dudniła muzyka i niestrudzone okrzyki sprzedawców. W większości sklepów przy wejściu sprzedawano mieszanki proteinowe: kupowali surowe cząsteczki białek z miejskich rafinerii żywnościowych i łączyli je z różnymi węglowodanami i prostymi związkami, by otrzymać odpowiedniki różnych form ziemskiego jedzenia. Były tu stragany warzywne z kolorowymi kulami udającymi owoce, rzeźnicy sprzedający odpowiedniki burgerów i steków z każdego możliwego zwierzęcia, od owiec po strusie, kramy rybne wystawiające tuszki rybne na kruszonym lodzie, sklepiki ze świeżym makaronem, chlebem, ryżem, curry, serem, czekoladą, a także dużym wyborem herbat i kaw. Zapachy rzeczywiście były kuszące. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, targując się o cenę i kosztując różnych produktów.

Denise dotarła na tyły centrum, gdzie znajdował się sklep *Świat rowerów*. Podobnie jak wszystkie sklepy w mieście, składał się z przedniej części zastawionej rowerami na sprzedaż, wciąż jeszcze owiniętych folią, i części tylnej, oddzielonej ladą, gdzie trzymano narzędzia i pudła pełne części zapasowych. Były tu trzy stanowiska robocze skupione wokół skomplikowanych stojaków utrzymujących rower na wysokości piersi. Na wszystkich znajdowały się obecnie urządzenia w różnym stopniu rozmontowania. Rower był w Memu Bay popularnym środkiem transportu, więc interes kwitł.

Zastępca dyrektora Mihir Sansome natychmiast uniósł wzrok, porzucając dziecinny

rowerek, przy którym właśnie pracował.

- Cześć. - Denise błysnęła uśmiechem. - Czy moje zamówienie już dotarło?

- Chyba tak. - Mihir spojrział na kolegów i uśmiechnął się nerwowo.

Kobieta patrzyła na niego obojętnie, niemal z naganą. Mihir odkasznął.

- Pójdę sprawdzić. - Wszedł do warsztatu i podniósł pudełko ze swego stołu roboczego. - Proszę bardzo. Sworznie wahacza zawieszenia przedniego, pięć zestawów.

- Dziękuję. - Kobieta położyła gotówkę na ladzie, układając banknoty w dwa stosiki. Pięć banknotów trafiło do kasy; większy stosik został z ręcznie zgarnięty i schowany do kieszeni sprzedawcy. Mężczyzna włożył pudełko do torby i podał Denise.

Wracając do domu z centrum, pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Mihir nie był najlepszym aktorem, ale sklep rowerowy, jego autoklawy i katalizatory okazały się bardzo użyteczne. Ryzyko, że go wykryją, było bardzo niewielkie. Nawet gdyby jego koledzy czy nawet sam właściciel dostrzegli coś nietypowego, prawdopodobnie założyliby, że chłopak wpłatał się w jakąś nielegalną aferę. Na tym polegało piękno tajnej grupy o strukturze komórkowej. Nie licząc ścisłego dowództwa, nikt z jej członków nie znał nikogo.

Nawet jeżeliby sprawdzili się najgorszy scenariusz i władze dowiedziałyby się o istnieniu komórki, prawdopodobnie zamknęliby tylko tę jednostkę. Przedmioty produkowane przez Mihira byłyby bezwartościowe dla dochodzenia. Prawdopodobnie potrafiliby im opisać Denise, ale sądził, że kobieta jest tylko kurierem. Został zwerbowany przez członków innej komórki, którzy otrzymali informację, że jego brat zginął podczas ostatniej inwazji. Po ostrożnym wybadaniu jego poglądów spytali, czy zgodzi się trochę utrudnić życie kolejnym władzom okupacyjnym. Nie będzie musiał do tego dokładać - organizacja wynagrodzi mu wszelkie koszty. Gdy już się zgodził, kontaktowali się z nim tylko za pośrednictwem zaszyfrowanych pakietów zawierających opis komponentów. No i była jeszcze Denise.

Gdyby działali jak zwyczajny ruch radykałów, prawdopodobnie przysłaliby po pudełko jakiegoś kuriera niskiego szczebla. W tym wypadku było trochę inaczej. Dane barwy indygo przeleciały Denise przed oczami, w miarę jak program Prime w jej perle przeczesywał pulę danych w poszukiwaniu komunikatów policyjnych. Były ich setki, w większości rutynowe zgłoszenia i monitoring wyznaczonych miejsc, nawet kilka operacji wydziału specjalnego. Żadna z tych rzeczy jej nie dotyczyła.

Mimo wszystko uważnie obserwowała innych pieszych, przyglądała się samochodom zaparkowanym wzdłuż ulicy, zerknęła na rowerzystów. Nikt się nią nie interesował, nie licząc kilku młodych mężczyzn. Ale była spokojna - tajniacy nie zwracaliby na siebie uwagi, a poza tym szukała głównie powtarzających się twarzy.

Tylko dwoje ludzi wsiadło z nią do tramwaju. Denise przesiadła się dwa razy, zanim przybyła do warsztatu. Chciała się upewnić, że nikt jej nie śledzi. Był to jeden z dwunastu identycznych warsztatów urządzonych w jednopiętrowym budynku przeznaczonym dla przemysłu lekkiego. Budynek wyglądał na bardzo zaniedbany, okna przysłonięto lustrzanymi ekranami albo drewnianymi panelami. Na opustoszałej ulicy słychać było ciche brzęczenie klimatyzacji prowadzącej do rampy załadunkowej przy magazynie. Nieopodal drzwi piętrzyły się stosy porzuconych opakowań. Denise nigdy nie widziała, by ktoś wystawiał śmieci na zewnątrz albo by służby oczyszczania miasta je stąd wywoziły. Jednak rozmiar i położenie stosów zmieniało się co tydzień, a zatem ktoś oprócz nich musiał korzystać z tych warsztatów.

Kazała perle sprawdzić sieć zabezpieczeń warsztatu i dowiedziała się, że okolica jest bezpieczna. Przesunęła lewą ręką nad czujnikiem i popchnęła drzwi. Znalazła się w dużym pomieszczeniu o betonowych ścianach. Było puste, nie licząc długiego warsztatu stolarskiego, stojącego pośrodku i metalowego stojaka zajmującego połowę magazynu. Oba okna i zwijane drzwi zostały zamurowane i zabezpieczone siatką węglową.

Josep siedział już przy warsztacie, wycinając cylindry ze stali nierdzewnej na tokarce elektronicznej.

- Masz je? - spytał.

- Mam nadzieję. - Kobieta rzuciła pudełko na blat i otworzyła opakowanie. Ze środka wysypało się kilkadziesiąt czarnych walców. Oboje zaczęli je oglądać.

Mihir produkował lekko stożkowate rurki z borowo-berylowego kompozytu długości około dziesięciu centymetrów. Węższy koniec był otwarty, ale podstawę zalano kompozytem, pozostawiając jedynie mały otwór pośrodku i wystający rant. Denise zastanawiała się, czy chłopak wie, że produkuje naboje. Kształt był dość jasny, chociaż użycie superwytrzymałego materiału mogło być trochę mylące.

- Nieźle - stwierdził Josep. Zaczął mierzyć łuski suwmiarką, ciekłokrystaliczny wyświetlacz zmętniał, gdy szczęki pomiarowe zacisnęły się u podstawy stożka. - Nie jest źle. Wymiary zgodne ze specyfikacją.

- W takim razie zacznę je napełniać - oznajmiła Denise. Łuski stanowiły ostatni element. Mieli już naboje, spłonki i materiał wybuchowy. Przy użyciu karabinu, który złożyli wcześniej, taki pocisk byłby w stanie przebić skórę na wylot z odległości dwóch kilometrów.

Karabin był tylko jedną z wielu broni, których planowali użyć. W całym Memu Bay przygotowywano różne bronie i pułapki. Zwykle, niewinne elementy po złożeniu w całość dawały zabójczy efekt. Tym razem, gdy zjawią się najeźdźcy, mieszkańcy będą gotowi, by

urządzić im piekło.

\*\*\*

Pluton 435NK9 musiał czekać w poczekalni przez pięć godzin. Lawrence nie miał nic przeciwko - poczekalnia była klimatyzowana, a on miał przy sobie chip pamięci z dobrze wyposażoną biblioteką. Automat z napojami był darmowy, a żołąd zaczął naliczać już od rana. Żołnierski raj. Wyciągnął nogi, kładąc je na trzech krzesłach, gdy tymczasem tablica odlotów wyświetlała te same informacje na temat opóźnień i konieczności dokonania napraw. Gdzieś za pasem startowym stał zespół mechaników, wpatrując się pytająco w otwarty luk swojego kosmolotu, próbując namierzyć jedną z pięćdziesięciu tysięcy części, na którą skarżył im się automatyczny pilot. Automatyczni piloci nieustannie monitorowali parametry każdego komponentu, porównując wyniki z wymogami Międzynarodowej Cywilnej Agencji Powietrzno-Kosmicznej. Lawrence słyszał, że firmy często powtórnie uruchamiały swoją elektronikę po zainstalowaniu zdezaktualizowanych programów AS, zyskując tym samym większą elastyczność. Przestrzeganie wymogów MCAPK oznaczało duże wydatki na konserwację.

Jeśli automatyczny pilot Z-B żądał naprawy pojazdu przed wylotem, to Lawrence'owi było to tylko na rękę. Jednak reszta żołnierzy nie powitała wymuszonej przerwy z równym entuzjazmem. Najgorzej znosił ją Hal Grabowski, najmłodszy członek plutonu, zaledwie dziewiętnastoletni. Jego doświadczenie ograniczało się do jednego poddźwiękowego lotu transoceanicznego do Australii i pięciu krótkich lotów helikopterem podczas ostatniego etapu treningu. Nigdy nawet nie był na pokładzie statku kosmicznego, nie mówiąc już o stanie nieważkości. Loty kosmiczne stanowiły dla niego wielką nowość. Chłopak nie mógł się już doczekać i, krążąc po poczekalni, nieustannie szukał jakiegoś znaku, że już niedługo wyruszą. Był to również najdobitniejszy dowód, że nigdy w życiu nie zaznał czynnej służby. Stara żołnierska maksyma - „nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika” - przeleciała Halowi wysoko nad głową, na wysokości niemal orbitalnej.

- To już trzy godziny! - narzekał chłopak. - Pierdołę to. Jeśli zaraz nie uda się tego naprawić, to chyba podstawią nam nowy kosmolot

- Aha. Pewnie tak - mruknął kapral Amersy, nawet nie podnosząc wzroku znad swojego odtwarzacza mediów.

Hal zamachał wściekle rękami i odszedł, by pomóc kogoś innego. Amersy patrzył, jak odchodzi, po czym odwrócił się i przysłał porozumiewawczy uśmiech Lawrence'owi. Obaj mężczyźni zgodnie potrząsnęli głową. Amersy był o dziesięć lat straszny od Lawrence'a, choć tylko rzednące włosy zdradzały jego wiek. Bardzo pilnował, by utrzymać dobrą

kondycję i regularnie korzystał z siłowni w bazie. Dobra kondycja stanowiła warunek konieczny - Z-B wymagał tego od wszystkich żołnierzy służących w oddziałach naziemnych. Amersy jednak do końca życia miał pozostać kapralem - nie miał ani odpowiedniego pakietu, ani znajomości. Najwyraźniej mu to nie przeszkadzało: żołd był na tyle wysoki, by zapewnić utrzymanie jego rodzinie, a zatem robił, co mógł, by utrzymać tę pracę. Lawrence'owi bardzo to odpowiadało - Amersy był najlepszym kapralem w całej Trzeciej Flocie.

Jego twarz na pierwszy rzut oka zdradzała, ile czasu spędził na linii frontu, realizując politykę realizacji aktywów Z-B. Na lewym policzku miał szeroki, jasny płat skóry, w miejscu, gdzie poparzył go koktajl Mołotowa, piętnaście lat temu podczas kampanii w Shuna, zanim jeszcze Skóry osiągnęły obecny poziom wytrzymałości. Nawet takie oparzenia nie powinny być widoczne na jego czarnej skórze. Jednak tamtego dnia szpital połowy Trzeciej Floty został wręcz przytłoczony pracą - pod koniec dnia lekarz opatrujący rannych trochę się pospieszył z wprowadzaniem wirusów regeneracyjnych. Zrobił to, co należało - przebił warstwę skóry właściwej, następnie zaszczepił nowy materiał genetyczny, który miał odbudować naskórek w miejscu obrażenia. Niestety, geny przenoszone przez wirusy były przeznaczone dla białego. Połowa policzka Amersy'ego była teraz biała; przypominała płaski nowotwór.

Amersy zawsze pozwalał nowym rekrutom zażartować z tego jeden raz. Hal, oczywiście, spróbował po raz drugi. Chłopak był wyższy nawet od Lawrence'a, miał ponad dwa metry wzrostu i mięśnie siłą dorównujące możliwościom Skóry, a jednak przez cały tydzień utykał później na nogę. Od tego czasu okazywał kapralowi najwyższy szacunek - była to w zasadzie jedyna lekcja, którą przyswoił sobie w ciągu dziewięciu tygodni, od czasu dołączenia do plutonu.

- Będą jakieś stewardesy? - spytał Edmonda Orłowa. - No wiesz, jakieś porządne cipki.

- Jesteśmy w wojsku, gówniarzu - odparł szyderczo Edmond. - Menedżerom i kadrze oficerskiej robią laskę za darmo. A ty możesz poruchać Karla.

Karl uniósł głowę i zamrugał oczami. Małeńkie kolorowe sylwetki wyświetlone na jego membranach optycznych skurczyły się i znikły. Pokazał kolegom środkowy palec.

- A statek? - nalegał Hal. - Czy w załodze są jakieś laski?

- Nie mam, kurwa, pojęcia. A nawet gdyby służyły tam tylko kobiety, to i tak dla ciebie żadna różnica. To załoga dostaje wszystko, co najlepsze, co oznacza, że nawet ich ekspres do kawy jest mądrzejszy i ładniejszy od ciebie.

- Ech, stary. To cholerna strata. Jak często dostaje się taką możliwość? Obliczyłem

sobie, że wezmę udział w sześciu, może siedmiu kampaniach. To razem czternaście lotów. Nie chcę ich zmarnować, to byłaby zbrodnia.

- Czego nie chcesz zmarnować?

- Bara-bara na obiciu. Wielki stan nieważkości. Powietrzne rodeo! - Chłopak zacisnął pięści i uniósł je błagalnie. - Chcę spróbować seksu w zero g! Każda pozycja, jakiej nie da się przyjąć na Ziemi! Rany, chyba mi stanął na samą myśl!

- Zamknij się, ty dumny zboczeńcu. Nie ma nic takiego. To wszystko mit rozpuszczony przez korporacje w czasach, gdy zaczęli robić wycieczki na orbitę. Rozumiesz? W stanie nieważkości porzygasz się natychmiast, jeśli tylko odwrócisz za szybko głowę. A jeśli spróbujesz tych hocków-klocków, o których teraz myślisz, to pocieknie ci ze wszystkich otworów. Co do jednego. A teraz zapomnij o tym i daj nam spokój.

Hal cofnął się z urażoną miną. Edmond był jego najbliższym odpowiednikiem przyjaciela w całym plutonie. Obaj często naruszali ciszę nocną, by wyrwać się na Wybrzeże.

Lawrence siedział w milczeniu, mając nadzieję, że dzieciak w końcu się zamknie. W poczekalni siedziało prócz nich jeszcze dziesięć innych plutonów, wszyscy podekscytowani perspektywą lotu. Wystarczyłby drobny pretekst, by wywołać bójkę. Lawrence nie miał ochoty dyscyplinować chłopaka na samym początku misji. Pozostali żołnierze nie sprawiali tyle kłopotów, ale oni byli starsi, wielu z ich miało też rodziny, co trochę temperowało ich dzikie porywy. I wszyscy mieli za sobą wspólną służbę.

Hal podszedł do jednego z dużych panoramicznych okien i przycisnął do niego twarz, wpatrując się z zachwytem w startujące statki. Popił łyk coli z puszki.

- Hal, lepiej przestań pić już teraz - poradził Amersy. - Gdy wyjdziemy na orbitę, lepiej nie mieć żadnego płynu w żołądku. Inaczej zwymiotujesz, nawet bez odwracania głowy.

Hal spiorunował puszkę spojrzeniem, po czym upuścił na podłogę i kopnął w stronę kosza. Nie zaryzykował innych form protestu.

„Chłopak da sobie radę”, stwierdził Lawrence. Trzeba go tylko przypilnować podczas paru pierwszych interwencji, a potem sam się nauczy ostrożności. Szkoda, że nie miał stałej dziewczyny, one zawsze wywierały dobry wpływ. Jednak obecnie, w wieku dziewiętnastu lat, Hal miał tylko jeden cel: przelecieć wszystkie dziewczyny, którym zaimponują jego mięśnie i karta kredytowa.

Po czterech i pół godziny ekran wyświetlił nowy status dla ich lotu: „wejście na pokład”. Hal wydał tryumfalny okrzyk i chwycił torbę podróżną. Reszta plutonu 435NK9 dźwignęła się z krzeseł i ruszyła w stronę bramki. Kosmolot wolno podtaczał się do

terminalu, a podróżni zebrali się przy stanowisku odlotu.

Kosmolot Xianti 5005h3 był pojazdem często używanym w komercyjnych lotach Ziemia-orbita. Firma Beijing Astronautics Company po raz pierwszy wprowadziła model 5005a w 2290 roku, a od tego czasu pojawiło się ponad czterdzieści innych wariantów, w miarę jak producent zaczął wprowadzać modele o większej pojemności i eliminować usterki. Model 5005h3 miał postać rozciągniętej delty o długości stu dwudziestu metrów i szerokości skrzydeł równej sto metrów. Siedemdziesiąt procent zajmowały zbiorniki z paliwem. Węglowo-litowy kadłub tworzył szeroką część środkową, a zgrabnie zaokrąglone boki płynnie przechodziły w skrzydła. Ich miękki kształt ostro kontrastował z ostrymi krawędziami natarcia. W jednej trzeciej długości znajdował się owalny wlot powietrza, z którego wystawał kilkumetrowy stożek aerospike.

Kilka ramion dźwigu uniosło się z płyty lotniska, ciągnąc za sobą rury i przewody, które następnie wetknęły do gniazd w kadłubie samolotu. Technicy w srebrnych kombinezonach ognioodpornych przechadzali się pod nim, oglądając olbrzymie podwozie i nadzorując proces tankowania. Wysoka wieża kratownicowa stojąca obok stanowiska tryskała czystym, białym gazem, który bezgłośnie wydobywał się z dyszy zamontowanej na szczycie i rozwiewał w powiewach ciepłego wiatru. Była to jedyna oznaka, że kosmolot używa paliwa kriogenicznego. Kadłub jakimś cudem uniknął kondensacji wilgoci podczas napełniania i schładzania zbiorników.

Dwoje pracowników Z-B z działu ds. lotów kosmicznych stało za ladą, rozdając czarne plastikowe kaski ochronne przypominające kaski rowerowe. Dopilnowali, by wszyscy pasażerowie włożyli je przed startem. Na końcu korytarza znajdowało się małe brudne okienko, przez które widać było olbrzymi pojazd. Lawrence po raz ostatni zobaczył wówczas swój kosmolot - jego srebrno-niebieskie skrzydło w całości wypełniające okno stanowiło jedyny dowód jego rozmiarów i mocy. Przechodząc obok, poczuł znajome ukłucie zazdrości. Kiedyś marzył o tym, by zostać pilotem, który poderwałby tego potwora przez atmosferę w przestworza i ku wolności.

Jednakże wszystkie lata od czasu opuszczenia Amethi nauczyły go, że nie była to prawdziwa wolność. W którymś momencie trzeba było wrócić na ziemię. To marzenie, to cudowne złudzenie, kosztowało go dwadzieścia lat życia. Kabina dla pasażerów w xianti była uderzająco podobna do analogicznych pomieszczeń w zwykłym samolocie. Ten sam zdeptany niebieskoszary dywan, nie tylko na podłodze, ale też w charakterze obicia na ścianach i suficie, szare plastikowe szafki ponad siedzeniami, małe dysze wyrzucające z siebie suche powietrze, o kilka stopni zbyt chłodne, by było to przyjemne. Na szczęście było



sporo miejsca, a siedzenia obito grubo żelopianką i rozmieszczono w rozsądnych odstępach. Brakowało tylko okien.

Lawrence dopilnował, aby cały pluton schował swoje bagaże i zapiął pasy, zanim sam się przypiął. Ekrany umieszczone z tyłu foteli wyświetliły standardowe procedury bezpieczeństwa. Lawrence nie zwrócił na niego uwagi. Nie był zblazowany, po prostu pragmatyczny. W chwili startu kosmolot miał na pokładzie prawie pięćset ton wodoru kriogenicznego. Gdyby wydarzyła się jakaś katastrofa, i tak nikt by tego nie przeżył.

Xianti dotoczył się do początku pasa, a ludzki pilot dał AS sygnał do startu. Pięć silników Rolls-Royce'a RBS8200 Turbo otworzyło przepustnice, wytwarzając ciąg o sile siedemdziesięciu pięciu ton.

Zaczęli mknąć wzdłuż pasa. Ekrany wyświetlały okolicę: rozmyta smuga zieleni ustąpiła smudze błękitu, gdy oderwali się od asfaltu. Potem olbrzymie koła schowały się przy akompaniamencie dźwięku przypominającego rozpadanie się kadłuba. Błękit ciemniał powoli.

Przy pełnym dopalaniu silniki rozwinęły prędkość Mach 2,6 w okolicy wysp Willis Islands. Wówczas włączył się scramjet, parujący ciekły wodór zaczął tworzyć skomplikowane pióropusze w skompresowanym gorącym strumieniu powietrza, a potem spalał się długim błękitnym płomieniem.

Produkował tym samym dwieście pięćdziesiąt ton ciągu, wstrząsając całą kabiną i popychając statek jeszcze wyżej poprzez stratosferę.

Lawrence zacisnął zęby, gdy przeciążenie wyraźnie się zwiększyło, a wibracje wywoływane przez scramjet sprawiły, że wszystko rozmyło się przed oczami. Ucisk w płucach zaczął wywoływać ból. Skupił się na regularnym oddychaniu. Nie było to łatwe, bo czuł już narastającą panikę. Nurkowanie na orbitę uświadomiło mu, jak bardzo jest kruchy w porównaniu do sił działających na ten statek. Jak bardzo musi polegać na starych, archaicznych programach napisanych pięćdziesiąt lat temu do obliczenia teoretycznych parametrów przyływu aerotermodynamicznego i tylko nadzieja kazała mu wierzyć, że wszystko to zadziała pod tym straszliwym obciążeniem.

Na ekranach fotelowych pojawiły się gwiazdy, a błękitna panorama ustąpiła miejsca czerni. Pilot AS zaczął zamykać przepustnicę w silniku scramjet, gdy statek osiągnął Mach 20. Znajdowali się teraz w górnych partiach atmosfery i wciąż szybowali w górę. Nawet przy tej prędkości gęstość tlenu spadała poniżej poziomu zrównoważonego spalania. Dwa małe silniki raketowe zamocowane na ogonie zastartowały, produkując po piętnaście ton ciągu każdy, co łagodnie wyniosło statek na wysokość orbitalną. Miało się wrażenie, że statek stoi

panionowo na księżycu o niskiej grawitacji. Fotel Lawrence'a zaskrzypiał, w miarę jak podpórki przyzwyczajają się do nowego rozłożenia ciężaru. Przynajmniej skończył się ten dudniący huk.

Jaskrawy biało-niebieski rąbek Ziemi przesunął się ku dolnej krawędzi ekranu, gdy silniki raketowe zgasły, zabierając ze sobą resztkę ciężaru. Każdy nerw w ciele Lawrence'a krzyczał, że spadają teraz na Ziemię, pięćdziesiąt kilometrów poniżej. Wziął kilka płytkich oddechów, przekonując się w duchu, że to całkiem normalne uczucie. Nie podziałało za dobrze, ale już wkrótce jego uwagę przyciągnęły charakterystyczne odgłosy świadczące o tym, że współpasażerowie znoszą podróż znacznie gorzej.

Przez czterdzieści minut xianti sunął naprzód, mijając Amerykę Środkową i Atlantyk. Ekran wyświetlił szybkie ostrzeżenie, a wtedy silniki raketowe znów zapracowały, wprowadzając pojazd na orbitę kołową na wysokości czterystu kilometrów. Po chwili Lawrence usłyszał kolejną serię mechanicznych jęków i stukotów. Statek otwierał małe włazy w górnej części kadłuba, przez które wysunął srebrne panele chłodnic, by w ten sposób wytracić ciepło generowane przez system podtrzymywania życia i baterie. Radar pokładowy zaczął namierzać *Moraya*. Orbitalny statek transportowy znajdował się dwadzieścia kilometrów dalej, nieco wyżej na orbicie. Pędniki manewrowe stopniowo zmieniły ich trajektorię, aż oba statki znalazły się obok siebie.

Lawrence wpatrywał się w ekran, patrząc, jak *Moray* rośnie w oczach - od małego srebrnego punkciku aż po wyraźnie zarysowany statek. Miał trzysta metrów długości i był zupełnie standardowo wyposażony. Kabiny mieszkalne miały postać pięciu stłoczonych cylindrów długości trzydziestu pięciu metrów i szerokości ośmiu. Pokryto je półmetrową warstwą pianki węglowej, która miała służyć zarówno jako tarcza termiczna, jak i ochrona przed promieniowaniem kosmicznym. Lawrence sprawdził przed startem biuletyn solarny. Aktywność plam na słońcu była umiarkowana, choć zaczynało się już tworzyć kilka nowych zakłóceń - niektóre wyglądały nawet dość poważnie. Nie powiedział o tym reszcie plutonu, ale w głębi duszy cieszył się, że podróż zajmie tylko trzydzieści godzin. Nie wierzył, że pianka może go ochronić przed czymkolwiek poważnym. Z upływem czasu jej biały kolor ściemniał, aż zmienił się w popielaty, a lata kontaktu z próżnią zniszczyły powierzchnię. Nawet na obrazie pochodzącym z kamer statku, w kiepskiej rozdzielczości, widział dziury i rysy pozostałe po zderzeniach z mikrometeoroidami.

Za kabinami mieszkalnymi umieszczono system podtrzymywania życia - kilka zbiorników filtrów i urządzeń do wymiany ciepła. Otaczał je kołnierz złożony ze srebrnych paneli chłodnicy, każdy segment został zamontowany pod takim kątem, aby światło słoneczne

nie padało na niego bezpośrednio.

Dalej znajdowała się ładownia - gruby szpaler belek, z których sterczały sworznie, zaczepy i gniazdka przewodów doprowadzających media. Przez ostatnie trzy tygodnie kosmoloty woziły kapsuły z ładunkiem na *Moraya* i jego siostrzane statki. Dostarczały je na stację Centralis w punkcie libracyjnym L4, gdzie czekały statki kosmiczne, po czym znów leciały z powrotem na niską orbitę. Nawet teraz nie było ani jednego wolnego zaczepu. Wszystkie zawierały helikoptery, jeepy, sprzęt, broń i zaopatrzenie dla sił naziemnych trzeciej floty - wszystko, czego potrzeba, by przeprowadzić misję.

Ostatnią część statku zajmował napęd. Mieściły się tam dwa małe reaktory termojądrowe Tokamak i urządzenia pomocnicze. Był to ściśle upakowany trójwymiarowy labirynt pełen zbiorników, kriostatów, nadprzewodzących magnesów, induktorów plazmy, pomp, działek elektronowych i kabli pod wysokim napięciem. Piętnaście paneli chłodzących koniecznych do obsługi napędu miało ponad sto metrów długości - wystawały z kadłuba statku niczym łopaty wielkiego śmigła. Tokamaki zasilaly napęd jonowy o potężnym ciągu. Osiem dysz wbudowano w prosty prostokąt wmontowany w dole kadłuba statku jakby od niechcenia.

*Moray* przesunął się po ekranie, gdy xianti delikatnie manewrował, zbliżając się do wieży dokującej. Silniki manewrowe dudniły nieustannie, obracając statek wokół osi, aż w końcu obie śluzy znalazły się naprzeciw siebie i zwarły się z metalicznym brzękiem.

Lawrence rozejrzył się po kabinie. Kilku żołnierzy zwymiotowało i kratownice powietrzne były teraz poplamione resztkami ich posiłku. Spojrzał na własny pluton i stwierdził, że kilku z nich jest wyraźnie niedobrze. Hał, oczywiście, rozglądał się z wyrazem najwyższego zachwytu na twarzy. Stan nieważkości najwyraźniej nie przyprawiał go o żadne sensacje. „Typowe”, pomyślał Lawrence, czując, jak puchnie mu twarz, w miarę jak w mięśniach zaczęły się zbierać płyny.

Właz do śluzy stanął otworem, głośniki w kabinie zasyczały.

- Stoimy bezpiecznie - oznajmił ludzki pilot. - Możecie opuścić pojazd transorbitalny.

Lawrence zaczekał, aż członkowie plutonu siedzącego przed nim wyjdą przez śluzę, zanim rozpiął pasy.

- Pamiętajcie, żeby poruszać się wolno - upomniał swoich ludzi. - Tutaj macie znacznie większą inercję.

Posłuchali. Rozpinali pasy bardzo ostrożnie. Minęło osiemnaście miesięcy, odkąd którykolwiek z nich znalazł się w stanie nieważkości i było to po nich widać. Leniwe ruchy nagle zmieniały się w dzikie wirowanie. Desperackie ruchy rąk, by utrzymać równowagę.

Łokcie uderzające w szafki i siedzenia. Lawrence przypiął torbę rzepem do piersi, chwycił się uchwytów zamocowanych w suficie i podążył naprzód. Wyobrażał sobie, że wspina się po drabinie. Była to dobra sztuczka psychologiczna: zawsze należało sobie wyobrazić coś pasującego do ruchów, tyle że jego nogi co chwila próbowały pojechać gdzieś na bok i obrócić go wokół osi. Napiął mięśnie brzucha, próbując utrzymać wyprostowaną postawę. Ktoś kopnął go w nogi. Gdy obejrzał się, by spiorunować wzrokiem winowajcę, zobaczył Odela Curetona, krzywiącego się przepraszająco. Jego ciało również skręcało się w bok, walcząc ze słabym chwytem rąk i obciążając nadgarstki.

- Wybacz, sierzancie - burknął mężczyzna. Widać było, że stara się opanować mdłości.

Lawrence zaczął poruszać się nieco szybciej, pamiętając, by zwolnić tuż przed służą. Zwinnie ominął narożnik i skoczył poprzez służę, zadowolony, że tak szybko wróciły mu stare nawyki.

*Moray* wyglądał w środku równie zgrzebnie co z zewnątrz: proste aluminiowe gradzie przetykane dziesiątkami rur, przewodów i uchwytów na ręce. Powietrze cuchnęło chlorem i moczem. Lawrence poczuł, że traci powonienie, w miarę jak ciężkie powietrze zatyka mu zatoki. Po drugiej stronie służy czekał na niego ktoś z załogi. Lawrence podał mu numer plutonu, a w zamian dowiedział się, które koje im przydzielono. Każdy z cylindrów był oznaczony innym kolorem. Lawrence poprowadził swoich przeklinających, niezdarnych podwładnych do żółtego. Wszędzie wokół słyszał echo głosów dolatujących z różnych włazów - żołnierze skarżyli się na złe warunki albo na złe samopoczucie, albo dlaczego ktoś nie robi czegoś z tym pieprzonym stanem nieważkości! Podczas wędrówki korytarzem Lawrence dwa razy uderzył się o ścianę, raz w łokieć i raz w kolano. Zanim doszedł do odpowiedniego przedziału, czuł już, że krwiaki zaczynają puchnąć.

Pozostali brnęli za nim, jęcząc, krzywiąc się i piorunując wszystko wzrokiem. Ich przedział miał kształt trapezu. W środku znajdowały się trzy rzędy foteli zaopatrzonych w proste pasy bezpieczeństwa, dwie toalety przystosowane do używania w stanie nieważkości, szafa pełna niekruszącego się prowiantu, szczelina kuchenki mikrofalowej i baniak wody z czterema długimi rurkami zakończonymi zaworami z nierdzewki. Ktoś nabazgrał „Nawet o tym nie myśl” na drzwiach toalety. Miejsce, które po uruchomieniu napędu jonowego miało zmienić się w sufit, było przykryte płachtą ekranową. Przymocowano ją w takim miejscu, aby było ją dobrze widać z foteli. Pośrodku lśniło logo działu bezpieczeństwa strategicznego Z-B - purpurowy symbol omega otaczający Ziemię, zwieńczony pięcioma gwiazdami.

Hal odstawił torbę, po czym przeleciał przez kabinę, wywijając salto w powietrzu.

- Kurwa, to normalnie zajebiste! Hej, wiecie jakie i-media nam tu dadzą?

- Na takim złomie nie dostajesz i-mediów - odparł ze znużeniem Odel. - To nie rejs wycieczkowy. Będziesz miał szczęście, jeśli dadzą ci czarno-białe filmy. - Potem włożył okulary - soczewki pozostały puste, ale potem włożył też zatyczki audio. Na soczewkach pojawiły się cienkie pionowe linie w kolorze purpury, gdy wywołał menu. Załadował playlistę z rockowych kawałków - od kilkusetletnich klasyków, aż po Beefbat i Tojo Wall, a potem rozsiadł się wygodnie.

Lawrence westchnął, przypinając się luźno do jednego z foteli. Mogło być gorzej. Niektóre plutony wyleciały z Caims już dziesięć dni temu. On musiał odczekać już tylko cztery dni, póki Trzecia Flota nie odleci z Centralis. A w tym czasie może dosypią dzieciakowi czegoś do jedzenia.

\*\*\*

Simon Roderick zszedł na galerię obserwacyjną pół godziny przed otwarciem portalu. W małej komorze wystającej z powierzchni Centralis tłoczyło się ponad sto osób. Z jakiegoś powodu zostawili mu wolne miejsce tuż przy grubej szybie, gdzie mógł stanąć zupełnie sam. Milczeli, choć Simon słyszał w ich umysłach pretensje i niepokój. Jak zawsze, zignorował ich bojaźliwe zachowanie. Jednakże fizyczny dyskomfort, jaki powodowało samo przebywanie na Centralis, niełatwo było zignorować.

Siła odśrodkowa nie przyprawiała go o zawroty głowy, choć często marzyło mu się jednorodne pole grawitacyjne. Centralis była na to za mała. Jej obroty wytwarzały nie więcej niż dwie trzecie g w najdalej wysuniętych punktach.

W latach siedemdziesiątych Gerard K. O'Neill, autor słynnej koncepcji „wysokiej granicy”, wymyślił kilka projektów kosmicznych „wysp”. Poczynając od prostej Sfery Bernata o średnicy czterystu metrów, aż po rajskie ogrody typu „Wyspa Trzy” - dwa połączone cylindry o długości dwudziestu kilometrów. Wszystkie z nich dawało się zbudować przy użyciu względnie prostych technik. Problemem było zebranie wystarczającej ilości materiału i sprzętu w kosmosie w czasach, gdy wystrzelenie jednego wahadłowca kosztowało dwieście milionów dolarów.

Samoloty kosmiczne wyposażone w scramjet rozwiązały problem łatwego przemieszczania się w kosmos. Odegrały wprawdzie wielką rolę w budowie niskoorbitalnych stacji i towarzyszących im modułów przemysłowych, jednocześnie ograniczyły zapotrzebowanie na dużą przestrzeń. Nawet w społeczeństwie konsumpcyjnym ilość ultra wyspecjalizowanych kryształów i chemikaliów, które dawało się wyprodukować jedynie w mikrogravitacji, była ograniczona do kilkuset ton rocznie. Tego rodzaju produkcję mogły

łatwo nadzorować niewielkie zespoły, których członkowie otrzymywali niebotycznie wysokie pensje za znoszenie nieprzyjemnych warunków życia panujących na ziemskich stacjach orbitalnych.

Dopiero w roku 2070, gdy możliwe stały się podróże nadświatłne, pojawiło się zapotrzebowanie na budowę dużych osad na orbicie. Statki kosmiczne nigdy nie były ani małe, ani tanie. Potrzeba było tysięcy ludzi, by skonstruować taką maszynę i zintegrować setki tysięcy komponentów w funkcjonalną całość. Były zbyt duże, by startować lub też lądować na powierzchni planety, a zatem należało budować je od początku w kosmosie. Dopiero wówczas wyciągnięto dzieła O'Neilla z bibliotek uniwersyteckich i przestudiowano od nowa.

Bardzo istotną zmianą, jaka zaszła od czasów O'Neilla, okazała się produkcja syntetycznej żywności. Stare projekty wysp były zdeterminowane potrzebą zapewnienia jak największej ilości ziemi uprawnej, aby wykarmić miejscową ludność. Stąd też cylindry otoczone rzędem pierścieni i eleganckim wianuszkiem modułów rolnych. Chciano zapewnić wyspie samowystarczalność. Nowe projekty odrzuciły cały ten zbędny balast. Potrzeba było tylko kilka modułów rafinacyjnych do przetwarzania ekskrementów z powrotem w proteiny. Firmy kosmiczne zachowały jednak ideę centralnego ogrodu - otwarta przestrzeń stanowiła ważny czynnik psychologiczny w przypadku załóg, które miały mieszkać na wyspach przez kilka miesięcy, a może nawet lat. Duża ilość bioty zapewniała przy tym dość niedrogi i bezpieczny system recyklowania powietrza. Jednak cała reszta - piękne krajobrazy, słodkowodne jeziora, wielkie okna, z wachlarzami mechanicznie obracanych lusterek, tropikalny klimat i przytulne rodzinne osiedle pełne willi w stylu włoskim - wszystko to skondensowano i zmodernizowano.

Centralis stanowiła podstawową bazę Z-B w punkcie libracyjnym. Miała prosty kształt cylindra, pięćset metrów średnicy i kilometr długości. Kwatery były tu równie zatłoczone co w miejskim wieżowcu o niskim czynszu, tyle że miały kształt pierścieni i zajmowały przestrzeń o wysokości pięćdziesięciu metrów przy końcu walca. Znajdujący się pomiędzy nimi ogród, podobnie jak każdy miejski park, był przepełniony i nadmiernie wypielęgnowany. Żywopłoty i drzewa rosły wysoko, zapuszczając korzenie w cienkiej warstwie tłuczonej skały i piasku, która uchodziła tu za glebę, a przewód plazmowy biegnący wzdłuż osi nigdy nie zapewniał właściwej dawki promieniowania UV. Jednak umieszczono tam także stawy z fontannami, w których pływały drogie japońskie karpie, rozstawiono stoły piknikowe, wybudowano ścieżki do biegania, boiska do bejsbola i korty tenisowe. Mieszkańcom potrzeba było jednak sporo czasu, aby przyzwyczać się do podwójnie

skrętnego toru rzuconych piłek, wymuszanego przez siłę Coriolisa.

Z dala od bezpiecznej ziemskiej atmosfery należało także pomyśleć o stałej ochronie przed promieniowaniem. Jedyne skuteczne zabezpieczenie przed promieniowaniem gamma i wysokoenergetycznymi cząstkami stanowiły duże, masywne, grube bariery. Centralis otaczała zewnętrzna kamienna tarcza o grubości dwóch metrów, upstrzona czarnymi żeberkami radiatora. Pozostawiono w niej kilka otworów łączących korytarze głównego cylindra z nieobracającą się siecią dokującą na końcach, tunele na przewody przenoszące płyny do radiatorów i odprowadzające je z powrotem, a także z galerią obserwacyjną.

Konstelacje zataczały powolny łuk, ale portal zawsze pozostawał w zasięgu wzroku. Unosił się w przestrzeni, pięćdziesiąt kilometrów od osi obrotu Centralis, niczym błękitna gwiazda polarna. Simon potrafił go wypatrzeć tylko dzięki grupie pociągów kolonialnych stacjonujących w pobliżu - wąskie srebrzyste barki lśniące odbitym światłem słonecznym, zbite w ciasną grupkę.

Z pomocą DNI odebrał dane z sensorów zamieszczonych w pociągach. Zamknął oczy i ujrzał portal dokładnie naprzeciw siebie. Był to prosty pierścień o średnicy pięciuset metrów przypominający toroid z czarnej heksagonalnej siatki, otaczający neonową rurkę świecąca słabym blaskiem. Ten widok zawsze podnosił go na duchu, umacniając wiarę w Z-B i wszystkie jej przedsięwzięcia. Portal był najbardziej zaawansowanym i kosztownym urządzeniem, jakie kiedykolwiek skonstruowała ludzkość. Tylko Zantiu-Brown dysponowała odpowiednimi zasobami, finansami i determinacją, aby je wybudować. Portale stanowiły jednorazowe bramy prowadzące do tuneli czasoprzestrzennych. Zamiast generować ciągłą kompresję przestrzenną wykorzystywaną przez zwykłe statki, portale otwierały tunel czasoprzestrzenny, którym mógł przemieszczać się dowolny pojazd. Wymagało to niezwyklej ilości energii, odpowiednio oddziałującej na czasoprzestrzeń, by stworzyć szczelinę. Dwadzieścia reaktorów jądrowych dwudziestu statków nie zdołałoby wytworzyć nawet ułamka mocy koniecznej do tej reakcji. Z-B wyprodukowała zatem izomer hafnu-178 wzbudzony do stanu o mieszanym K - rozpad do stanu podstawowego wyzwalał ogromną ilość energii, wystarczającą do zakrzywienia czasoprzestrzeni, pod warunkiem że została odpowiednio skupiona. Jednak izomer był wbudowany w mechanizm generujący tunel czasoprzestrzenny, co oznaczało, że po zakończeniu rozpadu całe urządzenie było nie tylko bezużyteczne, ale także silnie radioaktywne. Za każdym razem należało zbudować nowe.

To ograniczenie sprawiało zatem, że Z-B starała się wykorzystać każdy portal do maksimum. W rezultacie zaprojektowano pociągi kolonialne - pod względem technicznym równie prymitywne co pojazdy do transportu orbitalnego, ale znacznie przewyższające je

skalą. Wyposażone były w ten sam typ napędów - reaktory jądrowe zasilające silniki jonowe. Były proste w konstrukcji, dlatego budowano je w nieużywanych stocznich unoszących się wokół Centralis.

Tabor pociągów kolonialnych, które Simon oglądał teraz poprzez czujniki, był w pełni załadowany ładownikami, i kilometrowa kratownica, do którego je zacumowano, wyglądała jak pokryta metalowymi pąklami. Każda z ośmiuset czterdziestu kapsuł miała identyczny kształt stożka, o podstawie szerokości sześciu metrów, i pokryta była srebrzystą ablatywną pianką, pozwalającą na jedno przejście przez atmosferę planety. Były w stanie pomieścić cztery osoby, wyposażono je też w sprzęt pozwalający rozpocząć życie na nowo odkrytej planecie.

By zakwalifikować się do lotu, koloniści musieli mieć nie więcej niż trzydzieści lat (innymi słowy - być w wieku reprodukcyjnym) i posiadać odpowiedni udział w Z-B. Miliony ludzi wciąż dokładało starań, by spełnić te warunki, chociaż światy portalowe w niczym nie przypominały oryginalnych kolonii gwiazdnych. Nie mogli liczyć na żadne dalsze dostawy, żadne inne portale dostarczające sprzęt i zaopatrzenie pomagające w rozbudowie kolonii. Po przybyciu na miejsce byli zdani tylko na siebie. Jeśli chcieli skontaktować się z ziemią i innymi planetami, musieli wybudować własny napęd nadświatlny. Według najbardziej optymistycznych szacunków, taki stopień rozwoju technicznego i finansowego mogli osiągnąć najwcześniej po upływie stu lat od wylądowania, a prawdopodobnie znacznie później.

Analitycy finansowi wiecznie podkreślali, że kolonie portalowe zakładane przez Z-B stanowiły skrajnie ryzykowne przedsięwzięcia. W epoce, gdy większość lotów międzygwiazdnych miała na celu realizację aktywów, podejście Z-B zdawało się niemal anachroniczne, zwłaszcza że firma była bardzo aktywna w wyżej wspomnianej dziedzinie.

Simon cierpliwie obserwował pociągi kolonialne, czekając, aż mały cyfrowy timer na krawędzi pola widzenia odliczy czas pozostały do aktywacji. Gdy ten moment w końcu nadszedł, nie było niemal żadnych fizycznych oznak startu. Błękitne światło portalu zjaśniało o dwa rzędy wielkości, kiedy rozpoczął się rozpad izomerów. Otwór stał się zupełnie czarny, zasłaniając gwiazdy, wcześniej błyszczące pośrodku. Błękitny blask widoczny na obręczy powoli zaczął przenikać do środka, tworząc grubą warstwę fotonów. Za chwilę skrzyła się w tył, otwierając - pozornie - nieskończony tunel. Intensywność światła stopniowo malała, aż w końcu ściany tunelu czasoprzestrzennego oświetlała jedynie słaba fioletowa mgiełka, której ani ludzkie oko, ani kamera nie były w stanie ukazać wyraźnie.

Siatka skryptów i tabel wyświetlona przez DNI przekazała Simonowi znacznie więcej



informacji na temat stabilności tunelu i współrzędnych punktu końcowego, niż chciał kiedykolwiek poznać. Celem podróży była Algieba - podwójny układ żółtych olbrzymów odległy o 126 lat świetlnych. Był to najdalszy punkt, w jakim kiedykolwiek założono kolonię - blisko granicy zasięgu obecnych portali.

AS obsługujący portal odebrał sygnał boi pozostawionej przez statek badawczy, co pozwoliło potwierdzić położenie punktu końcowego, znajdującego się w odległości dziesięciu milionów kilometrów od planety docelowej. Był to świat klasy Ziemi, orbitujący wokół mniejszej z dwóch gwiazd. AS przesłał pociągom sygnał do startu.

Silniki jonowe płonęły bolesnym, niemal ultrafioletowym blaskiem, przesuując olbrzymi pojazd. Pierwsze pięć wagonów, które wślizgnęły się do tunelu, wiozło kapsuły pełne sprzętu przemysłowego i maszyn cywilnych - miały one posłużyć do budowy infrastruktury, która pozwoli kolonistom na przeżycie pierwszych lat. Za nimi podążyło dwadzieścia pociągów. Przebycie dwudziestopięciokilometrowego odcinka tunelu zabierało im niewiele ponad dwie minuty, po czym wynurzały się po drugiej stronie, skąpane w podwójnym świetle żółtych gwiazd.

Ruch danych w tunelu osiągnął maksimum, gdy pociągi odesłały komunikat potwierdzający ich status i położenie. Potem rozpad izomerów się zakończył i międzywymiarowa szczelina zapadła się w siebie.

Chłodne błękitne światło rozjaśniające zewnętrzną siatkę portalu zgasło, ujawniając skomplikowany splot złotych, czarnych i zielonkawych włókien. Blask zniknął - teraz materiały, z których wykonano osprzętowanie, przypominały zaśnieżone, kruchy antyk, tak jakby otwarcie tunelu postarzyło je o setki lat.

Ludzie zaczęli schodzić z galerii obserwacyjnej. Simon zaczekał, aż znajdzie się zupełnie sam. Przerwał połączenie z pulą danych Centralis i zapatrzył się w miejsce, gdzie unosił się martwy portal. Miał wrażenie, że nieczynny obwód wciąż wytwarza jakieś pole grawitacyjne przyciągające wzrok. Odczuwał niemal dziecięcą zazdrość wobec tych, którzy przez niego przeszli. Nie musieli się już martwić tysiącem ziemskich problemów: zanieczyszczeniem środowiska i degradacją wszystkich dziedzin ludzkiego życia. Nawet ich odejście sprawiało, że los stawał się cięższy dla tych, którzy pozostali. Zantiu-Braun osłabiła się, oferując im możliwość nowego startu. Firmę ledwie było stać na ufundowanie nowej kolonii portalowej co osiemnaście miesięcy, nawet realizacja aktywów nie pozwalała już związać końca z końcem. Za każdym razem, gdy Simon stał na galerii obserwacyjnej, patrząc, jak jego rodzina i znajomi odchodzą, jego postanowienie, by pozostać i odpierać hordy barbarzyńców, słabło coraz bardziej. Często zastanawiał się, kiedy w końcu podda się

pesymizmowi i opuści Ziemię w poszukiwaniu nowego początku. Nie wykluczał, że może się to zdarzyć już wkrótce. Miała to zagwarantować czysta bezwładność ludzkiej głupoty.

\*\*\*

*Moray* przybył na *Centralis* trzydzieści godzin po opuszczeniu niskiej orbity. *Lawrence* próbował oprzeć się głodowi i ograniczył się do jednego posiłku - dzięki temu musiał skorzystać z toalety tylko raz. Nawet jeśli przyspieszenie statku trochę pomagało, to jednak nie miał ochoty powtarzać tego doświadczenia. Jednocześnie pilnował się i pił co godzinę: podczas pracy silników jonowych na statku panowała niewielka grawitacja, a po ich wyłączeniu kilka godzin unosili się w stanie nieważkości - w tych warunkach łatwo było się odwodnić. W momencie gdy grawitacja nie ściągała wszystkich płynów w dół, jego naturalne instynkty były oszołomione i zawodne. Na szczęście sikanie przebiegało dość prosto, przynajmniej u facetów.

Kilka razy musiał przypomnieć *Halowi*, aby napił się z rurki przy baniaku z wodą, jednak poza tym to wcale nie on sprawiał najwięcej problemów. *Lewis Ward* dostał choroby kosmicznej i wymiotował za każdym razem, gdy próbował się choćby napić wody. Po kilku godzinach uchylenia się przed strumieniami soków żołądkowych *Lawrence* wezwał pokładową lekarkę. Przybyła dwadzieścia minut później i zaaplikowała pacjentowi środek uspokajający w hipospreju i powiedziała im, by dali mu coś do picia za jakąś godzinę.

- Nie pozwólcie mu jeść przez resztę podróży - ostrzegła. - *Koribu* ma pole grawitacyjne równe jednej ósmej g. Do tego czasu jakoś przeżyje. - Następnie wymknęła się za drzwi, zwinnie niczym rekin.

*Hal* parsknął zdegustowany. Kobieta miała pod pięćdziesiątkę, a dziesięć lat służby w warunkach niskiej grawitacji sprawiło, że jej ciało spuchło, a ręce i nogi stały się wydłużone i wiotkie. Wcześniej bardzo się ucieszył, słysząc o możliwości prywatnej wizyty, jednak odkąd przyszła, nie odezwał się ani słowem.

- Przepraszam, chłopaki - szepnął *Lewis*. Nogi miał przypięte jednym pasem, który pozwalał mu przybrać na wpół skuloną pozycję w fotelu. Twarz lśniła mu od potu. Podczas treningów i manewrów *Lewis* potrafił poruszać się szybciej niż ktokolwiek z plutonu. Urodził się z jakąś szczerzą zwinnością, pozwalającą mu szybko zniknąć w szczelinie za rogiem, albo w dowolnym miejscu, które mogło mu zapewnić osłonę, niezależnie od ukształtowania terenu. Jego chude ciało pokrywały węzłowate mięśnie i ścięgna, które *Lawrence* zwykle widywał u biegaczy długodystansowych. *Lewis* potrafił przebiec po dziesięciometrowej tycze, bez konieczności rozkładania rąk dla złapania równowagi. Być może właśnie dlatego choroba kosmiczna dotknęła go bardziej niż innych.

- Nie ma problemu, stary - odparł Odel Cureton. - Statystycznie rzecz biorąc, półtora z nas może cierpieć na jakąś chorobę lokomocyjną w ciągu dwudziestu pięciu godzin lotu. Skoro ty się źle czujesz, to znaczy że reszta z nas jest już bezpieczna. - Odel pełnił rolę plutonowego specja od elektroniki. Mimo trzydziestu dwóch lat na karku nie miał ukończonej żadnej wyższej szkoły ani żadnych certyfikatów, nawet od Z-B - a przynajmniej nie zaprezentował nic takiego działowi kadr. Ale biorąc pod uwagę, że przyznawał się do czterech byłych żon, i to tylko w ciągu ostatnich sześciu lat, Lawrence rozumiał, dlaczego tak bardzo stara się ukrywać swoją przeszłość. Kto wie, ile kobiet mogłoby się ustawić w kolejce do jego żołądka? Odel był typem, który starsi nauczyciele Lawrence'a nazywali mołem książkowym. Nawet jego akcent zdradzał wykształconego człowieka. Lawrence zwykle byłby podejrzliwy wobec każdego, kto przejawiał powyższe cechy - za bardzo wyglądało to jak materiał na oficera. Jednak jeśli chodziło o zachowanie na froncie, Odelowi nie można było nic zarzucić, a w końcu tylko to się liczyło. Pluton zlecał mu konserwację większości swoich urządzeń, wiedząc, że na pewno sprawi się na medal.

- Dzięki, idioto - odparł Dennis Eason. Odwrócił się i przyłożył choremu do czoła sensor medyczny, sprawdzając wynik na wyświetlaczu apteczki.

- Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? - spytał z powątpiewaniem Karl Sheahan.

Dennis postukał palcem w czerwony krzyż na ramieniu tuniki.

- W tym cała twoja nadzieja, chłopie.

- Nie mogłeś mu dać nawet aspiryny, nie wzywając tu tego wieloryba, którego nazywają lekarką.

- Nie mam upoważnienia, by dawać pacjentom cokolwiek - odparł sztywno Dennis. - Nie w obecności lekarza medycyny. To kwestia prawna.

- Tak? Ciekawe, czy to samo powiedziałaś Ntoko? Co? „Za dużo krwi - to kwestia prawna”?

- Spierdalaj!

- Dość tego - powiedział cicho Amersy. - Karl, oglądaj ten pieprzony film i przestań robić problemy.

Karl wyszczerzył zęby i elegancko okręcił się w powietrzu, lądując prosto na fotelu. Okazało się, że płachta ekranowa nie miała interaktywnych sterowników - można było na niej oglądać tylko filmy nakręcone z perspektywy trzeciej osoby. Na suficie ukazała się młoda aktorka, której właśnie oznajmiono, że trzeba pozabijać wampiry, które opanowały Brukselę. Z jakiegoś powodu oznaczało to również, że musi włożyć obcisłe skórzane wdzianko.

Hal siedział w fotelu obok Karla, wpatrując się w ekran - nawet nie słyszał kłótni

kolegów. Karl chwycił się paska i wyciągnął rękę, by poklepać go po ramieniu.

- Ty byś jej dogodził, co mówisz?

Obleśny uśmiech Hala stał się jeszcze szerszy.

Niektórzy z nich zdołali złapać po parę godzin snu w ciągu reszty lotu. Nie było to łatwe. Bez przerwy coś hałasowało, jeśli nie w ich przedziale, to w sąsiednich. Dźwięki niesły się po statku niczym odgłosy wybryków jakiegoś złośliwego ducha działającego tylko w audio. Pasażerowie miotali się po kabinie, głośno siorbiąc wodę z rurek, odgrzewając przekąski i narzekając na ich mdły smak. Potem korzystali z toalet, co zawsze kończyło się okrzykami wściekłości, a z małych pomieszczeń dolatywał nieprzyjemny zapach, za każdym razem, gdy ktoś składał harmonijkowe drzwi. Współpasażerowie próbowali tymczasem ustalić, kto z nich najgorzej pierdzi. Nic Fuccio podliczał punkty. Ci, którzy nie mogli spać, po prostu leżeli z zamkniętymi oczami, poruszając się spazmatycznie w słabym polu grawitacyjnym. W pewnym momencie wszyscy zaczęli wrzeszczeć na Denisa, żeby dał im coś na uspokojenie. Sanitariusz odmówił.

Lawrence niemal wrzasnął z radości, gdy szmatławe filmy w końcu dobiegły końca i kapitan *Moray* wyświetlił im widok z kamery zewnętrznej. *Koribu* stał jakieś pięć kilometrów dalej, otoczony ławicą mniejszych stateczków.

Nawet teraz, po dwudziestu latach służby w dziale bezpieczeństwa i odwiedzeniu jedenastu układów gwiazdnych, Lawrence wciąż dostawał kopa z adrenaliny na widok wielkich statków. *Koribu*, podobnie jak inne działające statki, został zaprojektowany do transportu kolonistów. Prawdę mówiąc, inne projekty właściwie nie istniały - nawet statki badawcze, które badały kiedyś przestrzeń międzygwiazdną wokół układu słonecznego miały ten sam układ. Różniły się tylko rozmiarem.

Ich kształt i, do pewnego stopnia, również forma, były zdeterminowane rodzajem napędu. Osiągi napędu nadświatelnego stanowiły pierwszorzędny przełom naukowy i techniczny, jednak nie przyniósł on aż takich zysków, jakich życzyliby sobie finansiści i menedżerowie korporacji. Zespół projektowy zakładał początkowo, że loty międzygwiazdne będą zajmować podobnie dużo czasu co międzykontynentalne loty samolotowe, jednak lepszą analogię stanowiłyby rejsy wielkich żaglowców. Podobnie jak portale, napęd nadświatlny generował tunel czasoprzestrzenny, kompresując strukturę czasoprzestrzeni, wykorzystując ujemną gęstość energii. Przeprowadzenie tego procesu wymagało olbrzymiej ilości mocy do samego tylko otwarcia tunelu, a jedynym praktycznym źródłem był generator termojądrowy, zatem każdy kolejny tunel był niezwykle krótki w porównaniu do odległości pomiędzy gwiazdami. Nie był to problem natury technicznej, ponieważ statek leciał poprzez tunel, który

sam generował, a zatem napęd po prostu ustalał nowy punkt końcowy, przesuując go naprzód. Było to poprawne rozwiązanie, jednak istotnie wydłużało czas podróży.

Nowoczesne statki były w stanie dotrzeć do Centauri w ciągu tygodnia, co dawało średnią prędkość nieco ponad pół roku świetlnego na dzień.

*Koribu* był jednym z tych statków. Został wybudowany jako transportowiec pasażerski przed czterdziestoma dwoma laty, w jednej z kosmicznych stoczni nieopodal Centralis. AS zajmujący się księgowością i optymalizacją kosztów w Z-B przewidział dla niego zasięg około czterdziestu lat świetlnych. Opierając się na tych założeniach, projektanci umieścili inwerter w superstrukturze przypominającej kształtem bęben o średnicy dwustu metrów, która sama zajmowała jedną trzecią kadłuba. Siedemdziesiąt procent tej powierzchni zajmowało osiem generatorów termojądrowych produkujących olbrzymie ilości mocy niezbędne w pracy napędu, co tłumaczyło, dlaczego od zewnątrz kadłub pokrywała mozaika radiatorów - srebrnych prostokątów, błyszczących jak lustra, o długości pięciu metrów, których zadaniem było wypromieniowanie wielkich ilości ciepła wytwarzanych przez układy generatorów podczas lotu.

Z uwagi na oszałamiający wpływ, jaki stan nieważkości wywierał na ludzką fizjologię - a zwłaszcza na dwadzieścia siedem tysięcy niewyćwiczonych kolonistów przez dziesięć tygodni - należało zapewnić pasażerom i załodze jakieś pole grawitacyjne. Osiągnięto to najprostszą możliwą metodą - umieszczając w środku sześć kół mieszkalnych; grubych walców o szerokości trzydziestu i średnicy dwustu metrów. Ustawiono je parami, by obracały się w przeciwnych kierunkach wokół osiowego rdzenia. W ten sposób zrównoważyły precesję. Kadłuby statków, podobnie jak wszystkich jednostek operujących poza ochronnym magnetycznym polem Ziemi, były zupełnie jednolite, bez żadnych oznaczeń. Jedyne zwykła powłoka z jasnoszarej gąbki, zarysowanej od uderzeń przelatujących cząstek i wyblakła od światła różnych gwiazd.

Przystosowanie ich do użytku działu bezpieczeństwa strategicznego stanowiło łatwe zadanie. Z-B zamieniła po prostu salony na sale gimnastyczne i pokoje do symulacji. Kilka sypialni przerobiono na magazyny Skór, a pozostałe pozostawiono bez zmian. W ten sposób można było przewieźć dwadzieścia tysięcy żołnierzy.

Za kołami mieszkalnymi znajdowała się ładownia - szeroki otwarty cylinder skonstruowany z belek ułożonych w kształt plastra miodu, tworząc głębokie sześciokątne silosy. Kiedyś znajdowały się tam moduły maszyn przemysłowych i produkty potrzebne kolonistom do utrzymania swej osady. Zmodyfikowanie silosów pod kątem realizacji aktywów wymagało tylko wymiany przyczepów.

Teraz stacjonowało tu siedem statków orbitalnych, zaledwie trzysta metrów dalej, krążąc wokół *Koribu*. Jednoosobowe wahadłowce sunęły w tę i z powrotem, od nich i do statku, otoczone błyskającą aureolą błękitnych i zielonych płomieni, wioząc ładowniki dla Trzeciej Floty, które następnie wtłaczały do przygotowanego silosu. Jeden kraniec plastra miodu został przebudowany tak, że tworzył długie, głębokie nisze. Znajdowały się tam kosmoloty - znajome smukłe nosy xianti wyglądały z cienia.

Ostatni odcinek kadłuba zajmował główny napęd - pięć silników raketowych w kształcie wydłużonych stożków długości ponad trzystu metrów, żłobkowane filigranową siecią rur i kabli. Tuż przy wierzchołku stożka umieszczono wielkie, kuliste zbiorniki deuteru wkomponowane w tę strukturę wraz ze sprzętem pomocniczym i dziesięć małych tokamaków dostarczających moc potrzebną do zapłonu silnika głównego.

*Moray* zacumował tuż za odcinkiem kół mieszkalnych, przytulając się do tunelu wystającego z ciała olbrzymiego statku. Lawrence przez dwadzieścia minut czekał, aż ucichnie zgiełk sygnalizujący, że pozostałe plutony brną z wysiłkiem poprzez kabiny statku, przechodząc do tunelu. W końcu wydano im pozwolenie na zejście.

Wędrówka poprzez pozbawione grawitacji korytarze do obracającego się toroidu przejściowego, prowadzącego do ich koła, była długa i męcząca. Wewnątrz szprychy koła, w pobliżu osi, znajdowała się winda, ledwie zdolna pomieścić dorosłego człowieka. Żołnierze ustawili się obok siebie, wpinając buty w przyczepy podłogowe. W miarę zjeżdżania grawitacja przybierała na sile, ku wielkiej uldze Lewisa. Zatrzymali się na środkowym pokładzie, gdzie grawitacja wynosiła jedną ósmą g. To wystarczyło, by uspokoić ich żołądki i przywrócić normalne krążenie. Jednocześnie poczuli niepokojące wrażenie wirowania, tak jakby cały pokład miał się zaraz przewrócić. Wyszli z windy, wyciągając przed siebie ręce, gotowi w każdej chwili oprzeć się o ścianę.

Za każdym razem, gdy wchodzili na te koła, Lawrence przysięgał sobie, że tym razem nie da się nabrać. A jednak za każdym razem jego własny organizm ostrzegał go, że zaraz się przewróci. Ostrożnie oderwał rękę od ściany.

- Dobra, wiem, że trochę was miota, ale nie zwracajcie na to uwagi. Wszystko pod kontrolą. Chodźmy do naszej kajuty.

Ruszył naprzód korytarzem, ale już po dziesięciu krokach musiał odsunąć się na bok, by nie wpaść na Simona Rodericka i jego orszak złożony z menedżerów wyższego szczebla. Przedstawiciel zarządu Trzeciej Floty był tak zajęty wydawaniem instrukcji swojemu zabieganemu asystentowi, że nawet nie zauważył przechodzących żołnierzy. Lawrence zachował kamienną twarz. Monitorował proces dochodzenia, który Roderick i Adul Quan

rozpoczęli po bójce w barze w Kurandzie. Program Prime niepostrzeżenie uzyskał dostęp do puli danych w bazie i pasywnie obserwował ruch pomiędzy programami AS i zapytaniami wysyłanymi do nieboskanu. Ich śledztwo umarło po kilku dniach z braku dowodów. Policja też niczego nie znalazła. Mimo wszystko spotkanie twarzą w twarz z przedstawicielem zarządu, który tak bardzo zainteresował się jego poczynaniami, było dość niepokojące.

Roderick i jego świta zniknęli za zakrętem. Lawrence podążył dalej, nawet nie zwalniając kroku.

Przydzielona im sypialnia była jedynie dwukrotnie większa niż ich przedział na *Morayu*. Znajdowały się w niej dwa rzędy piętrowych łóżek, z których każde wyposażone było we własną szafkę zawierającą standardowy pakiet ubrań, kilka aluminiowych stołów, krzeseł i płachta ekranowa. Obok widać było drzwi do małej łazienki.

Hal rozejrzał się wokół z niesmakiem.

- Kurna, co to ma być za gówno?

- Najlepsze kwatery w całej flocie, chłopaczku na zasiłku. Wrzuć na luz i ciesz się życiem. Karmią cię, płacą ci żołąd i nikt do ciebie nie strzela. A teraz znajdź sobie koję.

- Dostanę tu klaustrofobii. - Hal spróbował wspiąć się na górne łóżko, ale niespodziewanie natknął się na przedramię Karla.

- Na dolne, młody. - Mężczyzna uśmiechnął się wyzywająco.

- Jezus, kurwa, zapłakał. - Hal rzucił torbę na dolną koję i sam wskoczył jej śladem. - Nie wytrzymam w tej ciasnej klitce!

- Przyzwyczaj się - stwierdził bezlitośnie Lawrence. Rzucił własną torbę na górną koję i przez chwilę obserwował dziwny łuk, jaki zakreśliła. - Uspokójcie się wszyscy, wicie, jaki jest regulamin. Dowiem się, kiedy mamy posiłki, a potem dopasujemy do tego godziny ćwiczeń. Jak się czujesz, Lewis?

- Nieźle, sierzancie. Chyba doktorka miała rację.

Lawrence podszedł do małej klawiatury osadzonej w ścianie koło płachty ekranowej. Sypialnie plutonów nie zasługiwały na własny program AS, ale system operacyjny był dość funkcjonalny i łatwy w obsłudze. Wywołał podstawowe dane: kiedy mieli jeść i gdzie, jaki był lokalny czas i na kiedy zaplanowano odlot.

- Hej, a chcecie wiedzieć, dokąd lecimy? - spytał.

- Na Thallspring! - odkrzyknął Karl. - Nie wiedział pan o tym, sierzancie?

Hal spojrział na niego zaskoczony.

- A ty skąd to wiesz? To przecież ściśle tajne.

Karl potrząsnął głową.

- Kurwa, młody, ale ty jesteś tępy.

Wylot miał nastąpić za dwadzieścia dwie godziny. Lawrence odczytał z ekranu dane dotyczące Trzeciej Floty i mruknął pod nosem:

- Jezu.

- Coś nie tak? - spytał cicho Amersy.

Lawrence rozejrzał się po sypialni. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Siedem statków. Tak wygląda obecnie Trzecia Flota?

- Jak na Thallspring to świat i ludzie. Ich populacja wynosi nie więcej niż siedemnaście milionów.

- To wszystko dane szacunkowe - odparł Lawrence. - Ale nie o to się martwię.

- Statki?

- Aha. Losie! Przypomina mi się moja pierwsza misja, na Kinabikę - wywiezienie nas i sprzętu poza orbitę trwało siedem tygodni. Leciąco wtedy chyba ze trzydzieści pięć jednostek.

- Nie mamy już tylu statków. Od czasu Santa Chico.

- To nie wszystko. Druga Flota straciła dwa statki na podejściu do Nadziei Olanda. Nikt nie podejrzewał, że będą mieli zabezpieczenia pozaorbitalne. A jednak mieli.

- Chcesz się wycofać?

- Cholera, nie. Mówię tylko, że może być ciężko. Jest nas za mało.

- Damy radę. - Amery klepnął go po ramieniu. - Nawet ten dzieciak szybko się wyrobi.

- Tak, jasne. - Lawrence zaczął wywoływać różne menu, żeby zobaczyć, co jest w stanie wyświetlić. Przeczytał jeden z harmonogramów i uśmiechnął się do siebie.

- Lepiej rzućcie na to okiem - zwrócił się do plutonu. - Prawdopodobnie już nigdy nie trafią wam się takie dobre miejsca.

Ekran rozjaśnił się, ukazując obraz pobierany z jednej z zewnętrznych kamer Koribu. Zogniskowany był na portalu lśniącym mglistym błękitnym światłem na tle pustki. Wokół niego skupiły się pociągi kolonialne, niczym stado ciekawskich metalicznych ryb.

- Dwie minuty do startu - oznajmił radośnie Lawrence. Z wielu powodów nienawidził Z-B, ale musiał przyznać, że to jedno im się udało.

Zirytowany głos Hala wyrwał go z rozmarzenia.

- Co to ma, kurwa, być, jakiś radioaktywny obwarzanek? Proszę zamówić mi do niego kawkę, sierzancie... - Urwał gwałtownie, widząc miazdzące spojrzenie Lawrence'a.



Mężczyzna z trudem się pohamował, by nie natrzeć mu uszu. Nie mógł uwierzyć, że rodowity Ziemianin nigdy nie słyszał o największym przedsięwzięciu w historii ludzkości. Ale w końcu Hal był tylko nastolatkiem żyjącym z zasiłku w jakiejś podupadłej mieścinie. Lawrence miał dostęp do najlepszej edukacji, jaką mogła mu zaoferować jego rodzinna planeta, a jednak też nie miał pojęcia o istnieniu portali. Dowiedział się od Roselyn.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Po upływie pięciu lat klimat Amethi przeszedł gwałtowną ewolucję. Zmiany wywołane przez TermalAtak okrzepli i zaczęły przyspieszać, do tego stopnia, że dało się je zarejestrować gołym okiem. Mieszkańcy nazywali to Przebudzeniem. Zamiast zaskoczenia i radości na widok jednego małego obłoczka cieszyli się widokiem skrawka nieba wyglądającego zza szarawej zasłony chmur.

Teraz, gdy temperatura powietrza wzrosła do kilku stopni powyżej zera, lodowiec Barclaya emitował do atmosfery parę wodną w tempie wcześniej niespotykanym. Znad topniejącej pokrywy lodowej unosiły się wielkie obłoki, sięgając niemal tropopauzy, gdzie rozpoczynały swoją podróż wokół globu. Za nimi postępowało ciepłe, suche powietrze. Zasysane różnicą ciśnień, omiatało lód i przyspieszało proces topnienia, nakręcając ogólnoplanetarny cykl konwekcyjny.

Gdy chmury nadciągnęły nad tundrę, zaczęły ciemnieć i opadać w postaci śniegu. Jednak nim śnieżynki dotknęły ziemi, stanowiły już tylko szarawe krople. Na całej powierzchni planety zebrały się warstwy deszczu ze śniegiem, powoli topniejące do postaci wąskich strumyczków, które często zamarzały pod wpływem kolejnych opadów. Na szelfie kontynentalnym wiły się błotniste rzeki, a tymczasem dna oceanów, rowy i doliny zaczęły wypełniać się wodą. Cienka warstwa brudnego płynu toczącego się leniwie poród piasków splukiwała skorupę soli, pokrywającą planetę nieprzerwanie od czasu pojawienia się lodowca. Wpadając do coraz większych oceanów, tworzyła roztwór równie nasycony co ziemskie Morze Martwe.

Tymczasem powietrze w górze było tak pełne śniegu i gradu, że latanie stało się niebezpieczne. Kosmoloty były dość duże i mogły swobodnie poradzić sobie z niesprzyjającą aurą, ale mniejsze statki pozostawiano w hangarach. Nawet korzystanie z pojazdów kołowych stało się niebezpieczne. Ciężarówki przerobione na pługi śnieżne jeździły nieustannie wzdłuż głównych dróg, starając się oczyścić nawierzchnię. We wszystkich pojazdach pospiesznie montowano wycieraczki. Wiele projektów rewitalizacji ekosystemu wstrzymano do czasu ustania zakłóceń atmosferycznych. Owady, które według harmonogramu należało już wypuszczać, były jeszcze niesklonowane, silosy wypełnione ziarnem - zapieczętowane. Tylko organizmy wolnożyjące egzystowały po staremu, przemieszczając się pod śniegiem, póki nie

splukał ich gwałtowny strumień wody. Z braku normalnych zwierzęcych instynktów nie próbowały nawet odpełznąć dalej od nowych cieków wodnych przecinających teren.

Kolejna faza modyfikacji środowiskowych, zdaniem klimatologów, przebiegała zgodnie z planem, była tylko nieco gwałtowniejsza, niż głosiły przewidywania AS. Z nowych prognoz, zawierających zaktualizowane dane, wynikało, że obecne zawirowania potrwać najwyżej kilka lat. Nie podano konkretnej daty.

Lawrence cieszył się z Przebudzenia i śmiał się w duchu, widząc, jak przyroda niweczy pieczołowite plany firmy McArthur. Tak właśnie działała natura na prawdziwych planetach, siejąc chaos i upokarzając ludzką arogancję. Właśnie to chciał zobaczyć na własne oczy, podróżując po najróżniejszych układach gwiazdnych, gdzie obce planety miały jeszcze dziwniejszą meteorologię. Jednak po jakichś dziewięciu miesiącach oglądania czystej bieli i nisko zawieszonych chmur sam znudził się tym nowym zjawiskiem.

Właśnie tę nudę uznano za jedną z przyczyn jego obecnego zachowania. Nim jeszcze skończył szesnaście lat, ojciec zaczął wysyłać go na cotygodniowe sesje terapeutyczne u dr Melindy Johnson, psycholożki behawioralnej. Lawrence potraktował je jako jeden wielki żart. Opowiadając o swoich przeżyciach, na zmianę koloryzował albo odpowiadał na pytania krótkim „tak” lub „nie”, w zależności od tego, jak bardzo był akurat wkurzony. Prawdopodobnie pomagało mu to ukryć, jak bardzo czuł się oderwany od reszty społeczeństwa na Amethi i prawdopodobnie dlatego terapeutka nigdy nie zaobserwowała u niego żadnych postępów. Lawrence wiedział, że urodził się w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu. Wiedział, że powinien być zostać amerykańskim astronautą w latach sześćdziesiątych albo wojskowym astrofizykiem w którejś z ostatnich dekad dwudziestego pierwszego wieku, gdy statki kosmiczne wyruszyły, by odkrywać nowe światy poza układem słonecznym. Jednak wyznanie tego marzenia wyrozumiałej doktor Johnson byłoby równoznaczne z przyznaniem się do słabości. Lawrence nie zamierzał się poddawać. Psycholożka i wszystko, co sobą reprezentowała - codzienna normalność Amethi - stanowiły sedno problemu, nie zaś jego rozwiązania. A zatem kłamstwa i napady humorów za każdym razem stawały się coraz większe, z pewną ciekawością przesuwając granice akceptowalności, obmacując je, jakby była to jakaś ciekawa ranka. A jednocześnie wznosił wokół siebie skorupę upartego milczenia, która stawała się coraz grubsza za każdym razem, gdy jego ojciec krzyczał z wściekłości, a matka milcząco okazywała dezaprobatę. Chłopaka nie obchodziło nic, prócz i-mediów, nie miał w życiu żadnego celu oprócz poświęcenia na nie jak najwięcej czasu. Miał niewielu przyjaciół. Nauczyciele już dawno spisali go na straty, a rywalizacja z rodzeństwem zmieniła dom w prawdziwą strefę wojny. Do tego dochodziły:

wpływ szalejących hormonów i nienawiść do całego świata - Lawrence stał się modelowym nastolatkiem z piekła rodem.

Dlatego też zdziwił się niesamowicie, gdy któregoś dnia przy śniadaniu jego ojciec oznajmił:

- Muszę wyjechać jutro na konferencję do Ulphgarth. Chcesz jechać ze mną?

Lawrence rozejrzał się wokół, czekając, aż ktoś z rodzeństwa odpowie, póki nie zorientował się, że wszyscy patrzą na niego.

- Tak, do ciebie mówię, Lawrence. - Doug Newton skrzywił usta z pobłażliwym rozbawieniem.

- Dlaczego ja? - mruknął chłopak podejrzliwie.

- Och, jejku. - Jego ojciec potarł skronie palcami. - No właśnie, dlaczego? Może jest to nagroda za dobre zachowanie? A może za dobre stopnie? A może postanowiłem wywieźć cię na chwilę z domu, żeby rachunki za transfer danych nie osiągnęły astronomicznych wartości? Jak myślisz, Lawrence? Dlaczego miałbym robić coś miłego dla swojego najstarszego syna?

- Czemu to robisz? Naprawdę zawsze musisz być sarkastyczny? Nie możesz zapytać jak normalny człowiek?

- A co ja przed chwilą zrobiłem?

Lawrence poczerwieniał, gdy Janice i Ray zachichotali. Spiorunował ich wzrokiem, zły na siebie, że dał się tak podejść. Z drugiej strony, propozycja ojca naprawdę była niecodzienna.

- A co tam właściwie jest? - spytał nonszalancko, tak jakby w Ulphgarth po prostu nie mogło być nic ciekawego. Oczywiście nie przyznał się, że pierwszy raz w życiu słyszy tę nazwę.

- Luksusowe centrum konferencyjne, gdzie będziemy omawiać z wykonawcami ostatni etap przetargu na budowę mostu na rzece Blei.

- Ach, jasne, dzięki. Na pewno się tam przydam.

- I dlatego to ja będę uczestniczył w konferencji, a ty będziesz mógł korzystać z pięciogwiazdkowego kompleksu hotelowego umieszczonego tuż obok centrum. Jeden z moich asystentów zrezygnował z wyjazdu w momencie, gdy już opłaciliśmy mu pokój. Możesz spać tak długo, jak tylko chcesz, nawet przez całe pięć dni. Będziesz miał do dyspozycji obsługę hotelową i posiłki dostarczane do pokoju dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jest też w pełni wyposażone centrum sportowe i darmowy basen dla gości. Oświetlenie kopuły jest skalibrowane tak, by dawać klimat tropikalny, jeśli masz ochotę się opalić. W pokojach jest nieograniczony dostęp do puli danych. Co wieczór w barze odbywa się koncert

na żywo. Poza tym nie musisz mi towarzyszyć, nawet podczas posiłków. Może dasz matce odetchnąć przez parę dni, zanim zacznie się rok szkolny?

Lawrence spojrzął na matkę, która uśmiechała się dzielnie. Odkąd urodził się jego najmłodszy brat, zmarszczki na jej twarzy nie wygładzały się ani na chwilę. Wiedział, że bierze przepisane przez lekarza antydepresanty i popija je wódką, i nienawidził matki za jej słabość. Jeszcze bardziej nienawidził siebie za to, że traktuje ją tak szorstko. To wszystko przez ten cały koszmarny świat...

- Ja... aha, jasne. Super. Brzmi dobrze. Dzięki.

- „Dzięki”? Dobry Losie, na tej planecie naprawdę zdarzają się cuda.

Lawrence znów się skrzywił.

Trzy dni później... skłamałby, gdyby powiedział, że dobrze się bawi, ale przynajmniej zdołał się zrelaksować. Budynek hotelowy zajmował całą kopułę - był to piętnastopiętrowy trójkąt wyposażony w szerokie oszklone balkony, z których goście mogli obserwować tropikalny zielony park. Zdawało się, że każdy krzak i drzewo w okolicy wypuszczają jaskrawo ubarwione kwiaty. Gałęzie i liście rozwijały się z wigorem niespotykanym u zwykłych roślin - niemal widać było, jak wypuszczają kolejne lśniące pędy. Sprężysta bermudzka trawa była co wieczór koszona przez roboty ogrodowe, jednak rano i tak miał wrażenie, że stąpa po grubej warstwie gąbki.

Lawrence wyciągnął się na leżaku, zmienił kilka razy pozycję, aż w końcu było mu zupełnie wygodnie. Duże reflektory umieszczone pod sklepieniem były cieplejsze niż te, które zamontowano w kopule tropikalnej w jego rodzinnej posiadłości. Znalazł sobie idealne miejsce na brzegu wielkiego, okrągłego basenu - z dala od ludzi, ale na tyle blisko baru, by w każdej chwili móc przywołać kelnera. Co dziwne - nikt nie pytał go, ile ma lat, gdy zamawiał drinki. Wczoraj zaczął od piwa, po czym przeszedł do listy koktajli. Niektóre z nich były dość okropne, pomimo intrygujących kolorów i ozdób, i Lawrence już miał ochotę przerzucić się z powrotem na piwo. Wtedy odkrył margaritę.

Dziewczyna znów weszła do basenu. Lawrence poprawił oparcie, tak by obserwować całą okolicę, nie musząc odwracać głowy. Miał na sobie okulary lustrzane z wbudowanym interfejsem audio, łączącym go z perłą w bransolecie. Od wewnątrz szkła pokryte były membranami optronicznymi. Dzięki temu mógł pograć i obserwować ludzi w basenie, a nawet uciąć sobie drzemkę. Wczoraj właśnie grał w *Halo Gwiazdy* i żłopał piwo, gdy zauważył nieznajomą.

Miała około szesnastu lat i jasne włosy sięgające ramion. Była wysoka i miała niewiarygodnie kształtne, umięśnione nogi. Całe jej ciało było smukłe i piękne - skąpe czarne

bikini umożliwiało gruntowne oględziny.

Lawrence spędził resztę popołudnia, obserwując ją i sącząc margaritę. W basenie bawiła się cała chmara dzieciaków w różnym wieku - najstarsi byli jego rówieśnikami, najmłodszy miał siedem lat. Domyślał się, że to dzieci uczestników konferencji - ich rodzice byli akurat zajęci omawianiem budowy mostu. Nie dołączył do nich. Po pierwsze, nie był zbyt towarzyski i nigdy nie wiedział, o czym można gadać z kompletnie obcym człowiekiem. Po drugie, miał potworne kompleksy. Wcześniej nie przejmował się tym za bardzo, ale teraz, gdy miał na sobie wyłącznie kąpielówki, nagle zdał sobie sprawę, że jest znacznie cięższy od swoich rówieśników. Zdaniem szkolnego trenera, jego wzrost i budowa stanowiłyby dużą zaletę u zawodnika futbolowego, ale Lawrence nie zamierzał dołączyć do żadnej drużyny. Treningi zajmowałyby zbyt wiele czasu, który mógł przeznaczyć na i-media. Brak ćwiczeń sprawił, że do tej pory nie pozbył się dziecięcego tłuszczu. Dziwnie to wyglądało w świecie, gdzie większość dzieci poddano w-wpisom, w celu uzyskania ulepszonej fizjologii. Nie tylko blondynka tryskała zdrowiem. A jednak, nawet w tym towarzystwie wyróżniała się wyraźnie: inne dziewczyny pluskające się w basenie były dość atrakcyjne, ale ona wyglądała wprost olśniewająco. Lawrence nie był pewien, dlaczego tak go pociąga. Miała wąską twarz, szerokie usta i wyraźne kości policzkowe, jej rysy były dość atrakcyjne, ale nie wyjątkowe. Uznał, że prawdopodobnie sprawił to jej temperament - była pełna życia. Inni najwyraźniej podzielali jego zdanie, bo wokół dziewczyny uwijał się cały harem chłopaków.

Patrzył w milczeniu, jak blondynka pluska się w basenie. Potem cała grupa zaczęła skakać i nurkować, ganiać się nawzajem po obrzeżach i wpychać do wody. Rzucali do siebie piłką i co jakiś czas podbiegali do leżaków, by napić się coli. Dziewczyna przez cały czas śmiała się i krzyczała.

W pewnej chwili wynurzyła się dokładnie naprzeciw Lawrence'a, a gdy napięła mięśnie i wyszła na brzeg, na jej skórze załśniły kropelki wody. Chłopakowi zaparło dech w piersiach, gdy wyobraził sobie, że to niewiarygodne ciało drży pod jego dłońmi, podczas gdy on pieści je powoli, niespiesznie. Słodki Losie, ależ miał ochotę ją przelecieć. Poczul, że członek twardnieje mu w kąpielówkach. Szybko aktywował perłę, a membrany optroniczne ukryły widok dziewczyny za słupkiem danych astronomicznych.

Ucieczka wyglądałaby dziwnie. Poza tym widział wcześniej Naomi Karamann, leżącą na leżaku po drugiej stronie baru. Kobieta podobno była asystentką jego ojca, ale Lawrence domyślał się, że pełni tę samą rolę co opiekunki do dzieci, które zmieniały się u nich prawie co miesiąc. Naomi miała niewiele ponad dwadzieścia lat, czarną jak heban skórę i pełną

sylwetkę. Podeszła do basenu i Lawrence zobaczył, że ma na sobie szkarłatny kostium zaprojektowany raczej do uwodzenia niż do pływania. Ani razu nie widział, by wykazywała jakieś zainteresowanie konferencją. Poprzedniego wieczoru zobaczył ją w hotelowej restauracji, gdzie towarzyszyła jego ojcu podczas bankietu. Miała na sobie srebrną sukienkę bez pleców, a jej włosy lśniły drobinkami złota.

Jeśli zobaczyłaby w zachowaniu Lawrence'a coś dziwnego, z pewnością doniosłaby o tym jego ojcu. Dlatego też pozostał na leżaku, zanurzony w świetle *Halo Gwiazdy*, przyglądając się niezwykle szczegółowym wizerunkom obcych miast. Gra została sprowadzona z Ziemi i była obecnie liderem na rynku. Zespół projektantów i współpracujących z nimi AS prawdopodobnie dopracowywał ją latami. W grze występował szereg zamieszkałych układów otaczających centrum galaktyki, gdzie setki obcych ras koegzystowało w ramach pokojowej wspólnoty. Gracz wcielał się w rolę pilota statku badawczo-handlowego *Ebris*. Na każdym świecie stykał się z jakimś problemem, który mógł rozwiązać, odnajdując odpowiednie zasoby na innym świecie - niezależnie od tego, czy było to zapotrzebowanie na technologię, działalność artystyczną, surowce, leki czy nawet walory duchowe. Lawrence był właśnie w trakcie misji na planetę, gdzie hodowano organizmy roślinne żywiące się metanem, których z kolei bardzo potrzebowała pewna rasa rozumnych ośmionogów, w celu zakończenia kolonizacji nowej planety. Jednak można je było zdobyć jedynie w drodze wymiany na konkretny minerał występujący na planetach o niewielkiej grawitacji z argonową atmosferą. Aby go uzyskać, musiał najpierw skompletować zespół badawczy i wydobywczy. Następnie miał przeprowadzić misje zwiadowcze w kilkunastu różnych układach, szukając planety o właściwej charakterystyce. A to z kolei otwierało kilka nowych możliwości.

Niezwykłe bogactwo szczegółów, zarówno informacyjnych, jak i wizualnych, było wprost niewiarygodne. Gwiazdy, planety, zjawiska i gatunki zdawały się tak bardzo rzeczywiste. Nawet położenie kwazarów było poprawne. Wszystkie elementy składały się w harmonijną całość - w ciągu trzech miesięcy, odkąd ściągnął podstawową wersję, Lawrence nie znalazł ani jednej nieciągłości, ani dziury logicznej. Latając statkiem po przestworzach oświetlanego blaskiem galaktycznego serca, czuł się, jakby odbywał prawdziwą misję szkoleniową w akademii oficerskiej firmy McArthur. I wiedział, że tak właśnie mogłaby wyglądać rzeczywistość, gdyby nie głupota korporacji. Nic dziwnego, że firma, która sprowadziła tę grę, robiła na niej kokosy.

Po przeszukaniu trzech układów gwiazdnych z pomocą mikrosatelitów w końcu znalazł odpowiednią planetę. Wylądował *Ebrisem* u ujścia doliny porośniętej turkusową

trawą, akurat gdy podwójna gwiazda, zielony i żółty karzeł, chowały się za przełęczą wśród wzgórz. Jutro zamierzał dopilnować wydobycia minerału. Zauważył, że w trawie przemyka kilka potencjalnie niebezpiecznych zwierząt, załadował ich profile na komputer pokładowy, potem zapisał stan gry i wyszedł.

Po drugiej stronie basenu opalała się blondynka, rozłożona na leżaku, z wielkimi złoto-pomarańczowymi okularami na nosie. Wokół niej tłoczyło się kilkoro młodszych dzieciaków, śmiejąc się i chichocząc. Trzej najbardziej wytrwali adoratorzy siedzieli na skraju najbliższego leżaka, ściśnięci w niewygodnej pozycji. Każdy z nich starał się pokazać z jak najlepszej strony, jako czarujący, dowcipny i inteligentny rozmówca. Dziewczyna od czasu do czasu nagradzała ich żarty krótkim śmiechem. Lawrence odniósł wrażenie, że robi to raczej z grzeczności niż z prawdziwego rozbawienia.

Lód stopił mu się na dnie szklanki, zamieniając koktajl w obrzydliwą breję. Naomi Karamann zniknęła. Kilku dorosłych weszło do basenu, a od strony hotelu nadciągali kolejni.

Lawrence zabrał ręcznik i wrócił do pokoju, by zamówić sobie obiad.

To było wczoraj. Dzisiaj zjawił się na basenie bardzo wcześnie - jak na jego standardy - bo jeszcze przed dziesiątą. W nagrodę zdobył dobrze ustawiony leżak i już wkrótce zobaczył dziewczynę. Dziś miała na sobie biały kostium, ale zachowywała się równie żywiołowo co wczoraj. Lawrence mimowolnie uśmiechnął się na widok jej niewymuszonej radości. Wraz z nią przybyły dwie młodsze dziewczynki; starsza mogła mieć koło jedenastu lat, a młodsza sześć lub siedem. Domyślił się, że prawdopodobnie są siostrami - miały dość podobne rysy twarzy. To wyjaśniało, dlaczego adoratorzy blondynki bez sprzeciwu tolerowali ich obecność.

Już niedługo cała grupa zebrała się znowu. Śmiechy i okrzyki poniosły się daleko poprzez wilgotny park, gdy uczestnicy zabawy zaczęli wpychać się nawzajem do wody.

Lawrence odruchowo napiął mięśnie, gdy jeden ze starszych chłopaków popchnął blondynkę zbyt gwałtownie, jednak ona wynurzyła się z uśmiechem. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby do niej podejść, przedstawić się i zapytać, czy może dołączyć do zabawy. Z drugiej strony, wyglądałoby to dziwnie - wczoraj przez cały dzień siedział sam, co stygmatyzowało go jako nieprzystosowanego nudziarza. Co właściwie mógłby powiedzieć? „Cześć, czy ktoś chce zagrać w *Halo Gwiazdy?*”. Podejrzewał, że ta wysportowana gromadka nie interesuje się zbytnio i-mediami. A już na pewno nie blondynka.

Kazał perle uruchomić grę i natychmiast otoczyła go cienista dolina. Mały konwój poduszkojeepów wyjechał z rykiem z ładowni *Ebrisa*. On siedział w pierwszym pojeździe. Na przedniej szybie miał wyświetloną mapę satelitarną, wskazującą odpowiedni kierunek. W oddali warczały jakieś zwierzęta ukryte w błękitnej trawie.



- Cześć! Mógłbyś nam w czymś pomóc?

Lawrence kazał perle zapauzować grę. Membrany stały się przezroczyste i nagle zobaczył nad sobą dziewczynę. Stała tuż obok leżaka, ociekająca wodą i wspaniała. Pospiesznie zdjął lustrzanki i wyjął słuchawki.

- Przepraszam, co mówiłaś? - Czyżby za bardzo się na nią gapił? Lampy sufitowe były tuż ponad nimi, musiał mrużyć oczy. „Cholera, pewnie wyglądam jak kompletny kretyń”.

- Mógłbyś nam pomóc? - Wyciągnęła przed siebie piłkę. - Potrzebujemy jeszcze jednego do gry, żeby drużyny były równe.

- Drużyny? - Lawrence miał ochotę się spoliczkować. Robił z siebie straszego głupka.

- Tak. Będziemy grać w wodne polo. Brakuje nam jednego.

Miała prześliczny akcent, jej głos brzmiał miękko i melodyjnie. Skąd ona się wzięła?

- Eee, jasne. - Lawrence podniósł się i stanął przy niej, wciągając brzuch. Była tylko o kilka centymetrów niższa od niego. Z jakiegoś powodu strasznie mu się to spodobało. Dziewczyna była wcieloną doskonałością. - Ale nie grałem już od dawna. Pewnie trochę wyszedłem z wprawy.

Nigdy w życiu nie grał w polo.

- Nie szkodzi. Ja jeszcze nigdy w to nie grałem. Poza tym chyba niewielu z nas ma opanowane reguły.

- Świetnie. Chyba najlepiej będzie, jeśli stanę na bramce. W ten sposób niczego nie popsuję.

„Zapytaj, jak się nazywa! No, pytaj dupku!”.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

- Też miałam ochotę na to stanowisko.

- Jasne. W porządku. Nie ma sprawy.

Rzuciła mu piłkę, którą ledwie zdążył złapać.

- Mam nadzieję, że nie przerwałam ci niczego ważnego?

- Wskazała na lustrzanki i bransoletkę.

- Nie, nie ma problemu. Tylko przeglądałem i-media. Wszystko mam zapisane.

- Aha, okej. - Odwróciła się i ruszyła w stronę basenu.

- Mamy go! - zawołała do swoich kolegów. Harem adoratorów skwitował to wymuszonymi uśmiechami.

- Eee, jestem Lawrence.

- Roselyn - odparła dziewczyna i zanurkowała.

Przez następnych dwadzieścia minut praktycznie jej nie widział. Gra w wodne polo była prawie tak okropna, jak podejrzewał. Dwadzieścia minut stania w wodzie o pięć centymetrów za głębokiej, próbując śledzić ludzi rzucających w niego ciężką, moką piłką. Roztwór chloru pryskający w oczy. Połknął chyba z parę litrów wody. Oddychanie bolało i czuł się wyczerpany.

Gra wreszcie dobiegła końca i doszło do tradycyjnej kłótni o wynik. Prawdopodobnie wynosił dwadzieścia do trzydziestu. Lawrence przepuścił sporo goli. Wyszedł po chromowanych stopniach, trzymając się poręczy drżącą ręką.

- Wszystko w porządku?

Roselyn stała obok, wyżymając wodę z włosów.

- Aha. - Lawrence był już zbyt zmachany, by wciągać brzuch.

- Chętnie bym się czegoś napiła - stwierdziła, patrząc na niego wyczekującym wzrokiem.

Lawrence nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

- Ja też - wypalił.

Idąc do baru, czuł na sobie spojrzenia rozczarowanych adoratorów Roselyn. Kilku chłopaków próbowało zaprosić ją do kolejnej zabawy. Dziewczyna zamachała ręką i obiecała, że przyjdzie później.

- Muszę sobie zrobić przerwę - powiedziała stanowczo. - Kurczę, skąd ci ludzie mają tyle energii?

- Doskonale to rozumiem. Ja przyjechałem tu wypoczywać.

Roselyn usiadła na stołku przy samym końcu drewnianego kontuaru, co oznaczało, że nikt prócz Lawrence'a nie mógł koło niej usiąść. Z trudem opanował tryumfalny uśmiech.

- Przyjechałeś sam?

- Nie, z ojcem. Jest teraz na konferencji.

- Ach, tak. - Dziewczyna skinęła głową i zamówiła colę.

- Dla mnie też - dodał Lawrence. Bał się, że wyjdzie na szpanera, jeśli zamówi margaritę. - Skąd masz ten akcent? Nigdy nie słyszałem nic podobnego. Bardzo mi się podoba - dodał pospiesznie. Na szczęście, dziewczyna nie wyglądała na urażoną.

- Jestem z Dublina.

- Gdzie to?

Roselyn wybuchnęła śmiechem. Lawrence uśmiechnął się dzielnie, wiedząc, że znów dał plamę.

- Przepraszam - powiedziała w końcu. - Dublin to miasto w Irlandii, na Ziemi.

Przybyliśmy tu przed trzema dniami.

- Na Ziemi? - spytał z niedowierzaniem Lawrence. - Urodziłaś się na Ziemi? Jak wrażenie z lotu? Co widziałaś po drodze? - Nagle pomyślał, że to niesprawiedliwe, dwie młodsze siostry Roselyn miały już okazję przeżyć prawdziwy lot kosmiczny, podczas gdy on był na zawsze uwięziony w ochronnych kopułach pod matowym niebem.

Jej mały nos zmarszczył się zabawnie.

- Nie widziałam niczego. Na promie nie ma okien, poza tym przez całą drogę cierpiałam na chorobę lokomocyjną. Chociaż i tak miałam lepiej niż Mary. Uch, zużyliśmy chyba cały zapas papierowych ręczników, jaki mieli na statku.

- Mary?

- Moja siostra. - Wskazała na starszą z dwóch dziewczynek dokazujących w wodzie. - Młodsza to Jenny.

- Wyglądają na fajne dzieciaki.

- Naprawdę?

- O, tak. Mam pięcioro rodzeństwa. Wiem, jak to jest.

- Pięcioro? Ojej! Twoi rodzice są dobrymi katolikami?

- Eee... to jakaś religia, prawda? Na Amethi nie ma religii. Ludzie wiedzą, że wszechświat powstał naturalnie.

- Ty też tak uważasz?

- Aha. - Lawrence miał wrażenie, że dziewczyna nabija się z niego. - Czemu postanowiłyście tu przyjechać?

- Mój ojciec zmarł.

- O, kurczę. Przykro mi. Nie chciałem...

- Nic nie szkodzi. To było ponad rok temu. Zginął w wypadku samochodowym. Bardzo szybko. Lekarze w szpitalu mówili, że prawdopodobnie niczego nie poczuł. Ale ciągle za nim tęsknię, strasznie. Mieliśmy udziały w McArthur, więc mama postanowiła spieniężyć wszystko i, jak to mówią, zacząć od nowa. Cieszę się, że to zrobiła. Dublin przywodził na myśl za wiele złych wspomnień, zresztą na Ziemi jest teraz dość niefajnie. Za to tutaj bardzo mi się podoba.

- Eee, tak.

- Mówisz tak, jakbyś się ze mną nie zgadzał.

- Nie, pewnie masz rację. Miejsce, w którym się urodziliśmy, nigdy nie będzie dla nas egzotyczne. Żeby to poczuć, trzeba dokądś wyjechać.

Uśmiech Roselyn przez dłuższą chwilę nie schodził jej z ust.

- To bardzo głębokie, Lawrence. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Mówisz, że już wkrótce znudzi mi się na Amethi?

- Właściwie to nie. Zaczyna tu być bardzo ciekawie.

- Chodźmy popatrzeć! - Dziewczyna zerwała się, chwytając swoją colę.

- Na co?

- Na Amethi. Chodźmy na nią popatrzeć.

- Jasne. Okej. - Lawrence uśmiechnął się, widząc jej impulsywność.

Roselyn ruszyła poprzez trawniki i Lawrence musiał się bardzo starać, by za nią nadążyć. Bez przerwy pytała go o nazwy różnych kwiatów i krzewów. Niektóre z nich przypominały rośliny zasadzone w posiadłości Newtonów, ale Lawrence za żadne skarby nie potrafił sobie przypomnieć ich nazwy. Roselyn najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Dotarli na skraj kopuły, gdzie warstwę nullthenu zatopiono w betonie. Krusząca się powierzchnia obmurówki porośla mchem, jednak rośliny nie były w stanie utrzymać się na śliskim nullthenie. Roselyn przycisnęła się do ściany.

- Czy to miejsce nie jest cudowne? - spytała. - Mam na sobie tylko bikini, a stoję zaledwie o milimetr od arktycznej burzy.

- To zasługa technologii, nie geografii. Ale masz rację, to dość imponujące.

Lawrence wpatrywał się w jej plecy. Dziewczyna wygięła je lekko, by oprzeć ręce o cienki nullthen. Jej skóra była gładka i lekko opalona.

- Oczywiście, technologia też nie jest idealna. A w niektórych przypadkach bywa nawet niezbyt dobra.

- Jak to?

- Korporacja McArthur przewidziała ogólne rezultaty projektu TermalAtak, ale nie wyciągnęli z tego wniosków. Gdy zaczął tu padać śnieg, opad lądował na kopułach, jak na każdej stałej powierzchni. Problem polega na tym, że nullthen to izolator doskonały. Zimno nie przenika do środka, ale ciepło także nie wydostaje się na zewnątrz. A zatem śnieg zbierał się na szczycie, zwłaszcza na tych kopułach, które są bardziej płaskie. Projektanci kopuł, w których teraz mieszkamy, przewidzieli pewne udogodnienia, które miały przydać się w następnej fazie TermalAtaku, gdy zacznie padać deszcz. Nullthen potrafi wytrzymać ciężar wody spływającej ze szczytu, ale nikt nie pomyślał o zbierających się tam stertach śniegu. W każdym mieście były jakieś pęknięcia stropów i minilawiny. Bardzo niebezpieczna rzecz. Tona śniegu może cię zabić równie skutecznie co tona stali. Zginęło kilkanaście osób, wiele budynków zostało uszkodzonych. Wszystkie roboty do prac budowlanych zostały przeprogramowane do wzmacniania budynków. Trwało to parę miesięcy, kosztowało

majątek, a kierownictwo wciąż kłóci się o to, czyja to wina i jakie odszkodowanie powinni otrzymać.

Dziewczyna zerknęła na niego z niedowierzaniem, po czym spojrzała na chmurę drobinek gradu bębniących o nullthenową ścianę. Widoczna na zewnątrz tundra była zupełnie biała, nawet kępki trawy zamieniły się w białe wzgórki.

- Dla mnie to imponujące. Cały ten krajobraz powstały w wyniku ludzkiej pomysłowości.

- Gdy byłem młodszy, wyglądało to zupełnie inaczej. Wszędzie widać było tylko lodową pustynię.

- Właśnie to jest najbardziej niesamowite. Zmienić oblicze całej planety? I to nie z pomocą ekocydu?

- Ekocydu? - Lawrence zaczął podejrzewać, że powinien być bardziej uważać na lekcjach. Roselyn najwyraźniej wiedziała o świecie znacznie więcej niż on.

- Większość planet skolonizowanych przez ludzi ma własną biosferę - wyjaśniła. - A żadna z nich nie jest kompatybilna z ziemską. A zatem ludzie przybywają, wybijają wszystko strumieniem gamma albo toksynami i wprowadzają na jej miejsce własne rośliny i zwierzęta. Ekocyd to najgorszy rodzaj imperializmu.

- Przecież oczyszczane są tylko okolice ludzkich osad, nie całe planety.

- Mówisz jak prawdziwy imperator galaktyczny. Każda planeta nadająca się do zamieszkania ma swoje własne gatunki. Są niepowtarzalne w swej budowie, ponieważ ewoluowały w konkretnym środowisku, by żyć ze sobą we względnej harmonii. A potem nadchodzą ludzie i wprowadzają własne konkurencyjne gatunki. Z początku enklawy ziemskiej biologii ograniczają się tylko do ludzkich osad, ale potem populacja rośnie i osady stają się coraz większe, aż w końcu dochodzi do konfliktu z tubylcami. A wtedy zawsze uciekamy się do pomocy techniki, która daje nam nieuczciwą przewagę. W końcu życie na każdej z tych planet zostaje stłamszone przez nasze, a ostatecznie staje się kiepską kopią Ziemi. Przynajmniej tak mówią prognozy.

- Mówisz teraz o bardzo dalekiej przyszłości.

- Tak. Ale już wprowadziliśmy ten mechanizm w ruch. - Roselyn uśmiechnęła się smutno do lodowatego krajobrazu.

- Przynajmniej tutaj udało się tego uniknąć. Masz ochotę na lunch?

Lawrence usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był z tak piękną dziewczyną na spacerze w parku. Oczywiście, odpowiedź była prosta: nigdy. Nie było żadnych dziewczyn, tylko niebieskie i-media i fantazje erotyczne o koleżankach ze szkoły. A teraz miał

prawdziwą piękność na wyciągnięcie ręki - wszystko poszło tak łatwo, że zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wpadł poprzez tunel czasoprzestrzenny do jakiejś alternatywnej rzeczywistości. Roselyn była piękna, najwyraźniej go lubiła, a przynajmniej akceptowała, i dobrze się z nią rozmawiało. A może raczej, gawędziło. Nigdy tego nie robił, a już na pewno nie z dziewczyną. Jednak gdy wrócili na basen i usiedli w restauracji przy małym stoliku dla dwojga, wciąż nie mogli się nagadać. Lawrence zamówił sobie cheeseburgera z bekonem i dużą porcją frytek. Roselyn poprosiła o sałatkę z tuńczykiem.

Wyjaśniła, że zatrzymała się w hotelu tylko na kilka dni.

- To dla nas coś w rodzaju wakacji. Mama mówiła, że musimy odpocząć po locie i poczekać, aż przygotują nasz apartament. Potem przeprowadzimy się prosto do Templetonu i od razu pójdziemy do szkoły. Co za nuda.

- Mieszkam w Templetonie - wypalił Lawrence.

- To super. Może uda nam się tam spotkać. Ale najpierw będę musiała poukładać swoje sprawy. Będę chodzić do szkoły średniej Hilary Eyre, podobno jest bardzo dobra.

Chłopak przełknął kęs burgera, nie żując go przedtem, aż zabolął go przełyk.

- To moja szkoła.

- Słucham?

- Też tam chodzę!

Jego okrzyk przyciągnął kilka kosych spojrzeń adoratorów Roselyn, którzy przyszli do restauracji na lunch, mając nadzieję, że znajdą tu obiekt swego zainteresowania.

Dziewczyna uśmiechnęła się zadowolona.

- To świetnie, Lawrence. Oprowadzisz mnie i przedstawisz mi swoich kolegów. Nie ma nic gorszego, niż zacząć nowy rok w miejscu, gdzie się nikogo nie zna, prawda?

- Um, eee, tak. Też wolałbym tego unikać.

- Dzięki, Lawrence. To naprawdę miło z twojej strony,

- Nie ma problemu. - Chłopak gorączkowo rozmyślał, komu mógłby ją przedstawić. Alan Cramley mógłby się zachować i może jeszcze dwóch innych chłopaków. „Pomyślisz o tym później - powiedział sobie w duchu. - Teraz trzeba ją tylko zatrzymać. Nie spieprz tego. Nie mów nic głupiego ani żalosego. Błagam!”.

Po lunchu wrócili do basenu. Roselyn włożyła białą bluzkę i rozłożyła się na leżaku. Lawrence przyniósł ze swojego leżaka ręcznik i bransoletkę i zajął miejsce obok niej. Okazało się, że nigdy nie słyszała o *Halo Gwiazdy*. Trochę go to zaskoczyło - był przekonany, że to jeden z najpopularniejszych produktów na ziemskim rynku i-mediów. Przez dłuższą chwilę wyjaśniał jej, o co chodzi w grze, zanim jakiś instykt podpowiedział mu, że

ma się natychmiast zamknąć i zmienić temat rozmowy.

Gdy Roselyn zapytała go, jakie ma plany na wieczór, odpowiedział:

- Nie wiem. Na razie chyba żadne.

- Ja chyba wybiorę się na koncert w barze. To bardzo dobry zespół, słyszałam ich już wczoraj. A ty? Chyba nie widziałam cię na widowni.

- Nie, ja... eee, wyszedłem. Ale chętnie wybrałbym się z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko.

Dziewczyna wyglądała na usatysfakcjonowaną. Lawrence zauważył, że gdy jest zadowolona, na policzkach pojawiają jej się dołeczki. Nie był to uśmiech, raczej wyraz spokojnej aprobaty.

- A zatem jesteśmy umówieni.

Lawrence uśmiechnął się szeroko, walcząc ze sobą, by nie wrzasnąć tryumfalnie. Umówił się z Roselyn! Zaraz... ale czy to oznacza, że zaprosił ją na randkę, a ona się zgodziła? Czy, co byłoby jeszcze dziwniejsze, to ona miała ochotę się z nim umówić? Nieważne! Randka! Hurra!

- Uwielbiam tańczyć - dodała dziewczyna.

Lawrence niemal jęknął głośno.

Jak to możliwe, że umówił się z najpiękniejszą dziewczyną na Amethi, mimo że w relacjach z płcią przeciwną kompletnie sobie nie radził? Przygotowanie zabrało mu półtorej godziny. Siedem minut spędził pod prysznicem, zużywając większość mydełek i dezodorantów. Trzy minuty na ubieraniu się w jasnozielone spodnie, szarą koszulę i czarno-złotą kamizelkę - były to chyba najelegantsze ciuchy, jakie miał w szafie (mama uparła się, by je zapakował na wypadek, gdyby ojciec chciał go zabrać ze sobą na kolację - dzięki, mam!). A w końcu - osiemdziesiąt minut spędzonych z membranami na oczach, obserwując ruchy widmowego instruktora tańca. Musiał przedtem połączyć się z hotelową biblioteką i-mediów, by znaleźć instruktaż tańca, ponieważ sam nie przechowywał na swoich chipach nic podobnego. Na szczęście, znał przynajmniej podstawy - jego rodzina wydawała dwa-trzy oficjalne bale rocznie, podczas których Lawrence musiał zapraszać do tańca jakieś okropne cioteczne babcie i nieznośne dziesięcioletnie kuzynki. Musiał tylko przypomnieć sobie te ruchy.

Gdy już obejrzał się w lustrze i właśnie wychodził, zdał sobie sprawę, że nie wiedział, jaki zespół ma dziś wystąpić w barze ani jaką grają muzykę.

Drzwi otworzyła matka Roselyn, Lucy O'Keef. Była młodsza od matki Lawrence'a i znacznie bardziej energiczna. Lawrence natychmiast przypomniał sobie pewną ciotkę ze

strony ojca - jedną z tych niezależnych kobiet, które spędzały kilka miesięcy w roku, wykonując konsultacje albo projektując oprogramowanie, a przez resztę chodziły na imprezy i grały w tenisa. Inteligentna, zdrowa, pragmatyczna i miła. Zobaczył też, po kim Roselyn odziedziczyła urodę - jej matka miała ten sam mały nos i wysokie kości policzkowe.

- A zatem ty jesteś Lawrence - powiedziała. W jej głosie zabrzmiało lekkie rozbawienie.

- Tak, proszę pani.

- Wejdz. Roselyn jest już prawie gotowa.

Rodzina O'Keef zajmowała apartament złożony z trzech pokoi. Młodsze siostry siedziały w holu, chichocząc piskliwie. Roselyn przedstawiła je Lawrence'owi po lunchu i potem przez krótki czas obwąchiwali się nawzajem. Dziewczynki były irytujące, jak wszystkie małe dzieci, ale za bardzo fascynował je ten nowy świat, by stały się naprawdę nieznośne. Lawrence cierpliwie znosił ich wygłupy, powtarzając sobie w duchu, że Roselyn któregoś dnia sama będzie musiała stawić czoło jego rodzeństwu. A przynajmniej... taką miał nadzieję.

Gdy wyszła z sypialni, miała na sobie prostą granatową sukienkę ledwie sięgającą do pół uda. Wyglądała jeszcze bardziej zmysłowo niż wcześniej w bikini.

- Bawcie się dobrze - zawołała Lucy.

Bar wyglądał identycznie jak wszystkie bary w pięciogwiazdkowych hotelach w całym wszechświecie. Naprzeciw wejścia znajdował się niewielki półokrągły kontuar, nad którym na lustrzanych półkach ustawiono kilkadziesiąt butelek zawierających różne alkohole. Wokół małych stolików ustawiono pluszowe fotele i głębokie kanapy. Wysoki sufit oświetlały przyciemnione lampy. Pośrodku, na podium, obowiązkowo stało wielkie pianino, gdzie wyfrakowany muzyk zabawiał starszych gości, wykonując utwory nie młodsze niż sto lat.

Dziś jednak przewidziano spektakl nieco niższej kultury. Zespół ustawiony na podium wykonywał power ballady.

Butelki piwa chłodziły się na barze ustawione w lodowych walcach, a pod ścianą urządzono bufet. Połowę sali przeznaczono na parkiet; holoprojektory wysyłały wokół tęczowe fale, które rozбивały się o ciała podrygujących tancerzy, oblewając ich feerią olśniewającego kalejdoskopowego światła.

Lawrence cofnął się odruchowo, gdy tylko otworzyły się drzwi do windy. Nie był przyzwyczajony do takich tłumów. Dostrzegł kilka osób, z którymi grał w polo, podrygujących entuzjastycznie na parkiecie. Roselyn przesłała mu wilczy uśmiech, chwyciła



go za rękę i pociągnęła za sobą.

Okazało się, że brak umiejętności tanecznych w niczym mu nie przeszkodził. Wokół podrygiwało zbyt wiele rozgrzanych ciał, by zdołał wykonać jakikolwiek ruch, a zatem po prostu dreptał w miejscu, obserwując Roselyn. Dziewczyna tańczyła jak marzenie, kołysząc się powoli i poruszając rękami do rytmu.

Potem wzięli sobie z bufetu coś do jedzenia i chwilę rozmawiali, przekrzykując dudniącą muzykę. Roselyn piła piwo prosto z butelki. Następnie znów potańczyli. I znów się napili.

Czując, że krew dudni mu w uszach, a skórę ma lepłą od potu, słysząc w głowie upajający szum alkoholu, Lawrence objął Roselyn w pasie. Dziewczyna przyłgnęła do niego, opierając mu głowę na ramieniu, kołysząc się w takt wolnego kawałka. Zalało ją złociste światło, zmieniające się w głęboki fioleć. Uśmiechnęli się leniwie, jakby w porozumieniu. Lawrence pochylił głowę i wtedy się pocałowali.

Zespół zakończył występ o drugiej w nocy. Lawrence i Roselyn byli jedną z pięciu par pozostałych na parkiecie.

- To było cudowne - wymruczała. - Dziękuję, Lawrence.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi windy, znów się pocałowali. Tym razem była w tym jakaś gorączkowość. Lawrence wepchnął jej język głęboko w usta. Potem drzwi się otworzyły. Wytoczyli się z windy i kontynuowali pieszczoty w korytarzu. Gładził jej plecy, aż w końcu ścisnął jej pośladki. Nie miał jednak odwagi, by dotknąć jej piersi albo włożyć rękę pod spódnicę.

- Nie mogę - szepnęła Roselyn bez tchu. Polizała go szybko, aż zadrżał. - Mama będzie się zastanawiać, gdzie jestem.

Wtedy otworzyły się drzwi do jej apartamentu.

- Jutro? - szepnął Lawrence.

- Tak. Do zobaczenia na basenie. O dziewiątej.

W głowie kręciło mu się tak bardzo, że sam nie wiedział, jakim cudem trafił do windy, nie mówiąc już o własnym pokoju.

Powiedziała: „nie mogę”.

Lawrence padł na łóżko w pełnym ubraniu, pokój kołysał się niebezpiecznie. „Miała na myśli seks. Ze mną. Całowaliśmy się przez całą noc”. Gdy zamknął oczy i odetchnął głęboko, wciąż czuł na sobie jej dotyk. Skóra, której dotknęła, była rozpalona.

Ale co miała na myśli, mówiąc „tak”? Przecież powiedział tylko „jutro”? Nic innego, było to zupełnie otwarte pytanie. A ona powiedziała „tak”. Tak.

Po tej ilości piwa powinien był zasnąć natychmiast, a jednak przez kilka godzin nie zmrużył oka.

Rankiem usiadł na leżaku już za dwadzieścia ósma. Był pierwszym gościem i przechodząc przez trawnik, minął kilka robotów ogrodowych, które pospiesznie ustępowały mu z drogi. Lekka mgiełka generowana przez system irygacyjny unosiła się nad trawą, sprawiając, że źdźbła lśniły w koralowym świetle. Był to bardzo inspirujący początek dnia.

Roselyn przybyła za dziesięć dziewiąta, ubrana w luźny czarny szlafrok, na ramieniu niosła torbę. Uśmiechnęli się do siebie szeroko. Lawrence bardzo się starał, by nie wyglądać na niepewnego lub zakłopotanego.

- Wcześniej przyszedłeś - stwierdziła.
- Szkoda mi było takiego pięknego dnia.
- Wszystko w porządku? Wydajesz się trochę zmęczony.
- Wszystko w porządku. Nie mogłem spać. Stopy mnie bolały od tego tańca.
- Biedaku. - Roselyn pocałowała go w czubek głowy i usiadła na leżaku naprzeciwko.
- Jadłeś już śniadanie?

- Jeszcze nie. - Wybiegł z pokoju, gdy tylko zadźwięczał alarm. Nie umył nawet zębów - prawdopodobnie był to błąd taktyczny, w końcu planował znów ją dzisiaj pocałować.

- W takim razie wiem, czego ci potrzeba. - Podeszła do baru, który wciąż był zamknięty, i zaczęła recytować coś do słuchawki. Kilka minut później przybyło dwóch kelnerów, niosących tace.

Usiedli przy barze i z ciekawością unieśli srebrne pokrywy. Roselyn kazała mu najpierw połknąć kilka pigułek: środek na ból głowy i drugi, likwidujący podrażnienie żołądka. Pozwoliła mu tylko sączyć schłodzony sok pomarańczowy, póki leki nie zaczęły działać.

Zamówiła na śniadanie ryż preparowany, jogurt z owocami, jajecznicę z plackami ziemniaczanymi, kielbaski i kaszanę, a do tego smażony boczek, pieczarki i pomidory, a na deser naleśniki z miodem. Oprócz tego były też tosty, marmolada z czerwonych pomarańczy i dzbanek herbaty Assam.

- Pycha - powiedział lojalnie Lawrence. Zwykle wstawał dopiero o wpół do jedenastej, a na śniadanie jadł czekoladowe ciasteczka, popijając gorącą czekoladą. Jogurt z owocami okazał się dosyć kiepski, ale reszta naprawdę mu smakowała.

Roselyn posmarowała tost marmoladą. Nie zjadła nic prócz jogurtu z owocami i kawałka pieczywa.

- Najważniejszy posiłek dnia.

Jego matka zawsze to powtarzała, ale dopiero w ustach Roselyn te słowa nabrały wagi.

- Jakie masz dziś plany?

- Chcę trochę odpocząć - odparła lekko.

- Ja też.

Dziewczyna położyła łokieć na barze i oparła podbródek na dłoni, mierząc Lawrence'a dziwnym spojrzeniem.

- Zabawny z ciebie gość, Lawrence. Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo podobnego.

- Co masz na myśli?

- Zachowujesz się tak, jakbyś się mnie bał.

- Wcale nie! - zaprotestował z oburzeniem.

- Dobrze wiedzieć. Masz piękne oczy. Niesamowity kolor, coś pomiędzy szarym a zielonym.

- Och. Eee, dzięki.

Roselyn ułamała kawałek tosta i włożyła do ust.

- Twoja kolej, by wygłosić komplement. Co ci się we mnie najbardziej podoba?

Lawrence nawet nie podejrzewał, że ma dość siły woli, by nie zerknąć na jej piersi. Zamiast tego spojrzał dziewczynie głęboko w oczy.

- Nie wiedziałbym, od czego zacząć - powiedział miękko i zaczerwienił się z zakłopotaniem.

Roselyn na chwilę znieruchomiała, po czym na jej ustach wykwitł szeroki uśmiech.

- To chyba niezły początek. Jak na tak małomównego gościa, masz całkiem niezłą gadkę.

- To nie żadna gadka. Naprawdę tak myślę.

Dziewczyna położyła mu dłoń na kolanie i ścisnęła lekko.

- Słodki jesteś. Chyba po prostu cię nie doceniłam. Myślałam, że uważasz się za lepszego od nas. Siedziałeś sobie na uboczu, podczas gdy my skakaliśmy po całym basenie jak stado ogłupiałych kangurów. Miałam wrażenie, że spoglądasz na nas z góry, jak wilk obserwujący stado, zastanawiając się, kogo schrupać.

- Przykro mi to mówić, ale chyba nie znasz się na ludziach. Siedziałem na uboczu, bo nie wiedziałem, jak do was podejść. To głupie, wiem.

- Wcale nie. Nie ma nic złego w byciu sobą. Chyba po prostu miałam nadzieję, że jesteś inny niż ci pozerzy, którzy próbowali mnie zagadać przez ostatnich parę dni.

Lawrence błysnął uśmiechem.

- Jesteś jak magnes na facetów. Obserwowałem was, gdy tak siedziałem na uboczu. Na twój widok języki prawie wlokły im się po ziemi.

- Powinieneś posłuchać, co mówili! „Chętnie cię oprowadzę, dziecinko”, „Dublin chyba bardzo przypomina moją rodzinną kopułę, musisz kiedyś przyjechać w odwiedziny”. Tak jakby polietylenowa szklarnia mogła się równać z tysiącletnim miastem! Rany! Miałam wrażenie, że to wszystko jacyś ubodzy kuzyni Einsteina.

- Dlaczego? - zdziwił się ostrożnie Lawrence.

- No wiesz. - Roselyn uniosła brew. - Używali szczególnej teorii względności.

Lawrence wybuchnął śmiechem.

- Boże, jesteś niesamowita!

Dziewczyna zrobiła skromną minę i przez chwilę udawała, że sprząta tace. Przez cały czas uśmiechali się do siebie w milczeniu. Lawrence pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł się z nikim tak swobodnie.

- Miałaś jakiegoś chłopaka w Dublinie?

- Nie. Jeden bardzo mi się podobał. Umówiliśmy się parę razy. Do niczego nie doszło. No... w każdym razie do niczego poważnego, dzięki Marii. Oboje wiedzieliśmy, że wyjadę. Pod koniec zrozumiałam, że była to dla niego świetna wymówka - uważał, że wszystko odbędzie się bez żadnych zobowiązań. Nie będzie musiał się wysilać, żeby zostawić mnie dla innej. Dasz wiarę? Co za palant.

- Idiota. Na jego miejscu znalazłbym jakiś sposób, by pojechać tu z tobą. Może ukryłbym się na statku i poleciał na gapę.

- Dobra Mario, cóż ja tu znalazłam? - Poglądziła go po policzku, zupełnie jakby chciała sprawdzić, czy jest prawdziwy. - A co u ciebie, Lawrence? Masz dziewczynę? Możesz powiedzieć prawdę, nie będę robić scen.

- I tak nie byłoby o co. Nie mam nikogo.

- Teraz już wierzę, że naprawdę jestem na obcej planecie. Uwierz mi, w Dublinie chodziłbyś z trzema laskami naraz.

- Może moglibyśmy tam wrócić we dwoje?

- No proszę! Jak tylko uznam, że jesteś mądry, zaraz sadzisz jakieś głupstwo. Dublin wygląda dokładnie tak samo jak reszta Ziemi. Jest stary i wyeksploatowany. Poza tym teraz oboje jesteśmy tutaj. Na planecie, gdzie nie trzeba się przejmować starymi problemami. Nadal uważasz, że tam na górze nie siedzi jakiś wielki facet, który gra sobie w kości? Trudno mi uwierzyć, że mogłabym mieć tyle szczęścia bez powodu.

- To ja mam szczęście. - Lawrence pochylił się z determinacją i pocałował ją w usta.

Objęła go za głowę, mierzwiąc włosy i przyciągając do siebie.

Ludzie rozmawiali głośno, idąc z hotelu na basen. Lawrence i Roselyn przerwali pocałunek i spojrzeli na siebie. Chłopak w ogóle nie czuł zakłopotania. Wręcz przeciwnie - wypełniała go pewność siebie granicząca z arogancją. Oboje mieli świadomość, co właśnie rozpoczęli, i wiedzieli, że druga strona też ma tego świadomość. Było to niemal relaksujące uczucie.

- Już niedługo przyjdą moje siostry - mruknęła Roselyn.

- Świetnie.

Roześmiali się i wrócili na leżaki. Wokół basenu zjawili się nowi goście, głównie młodsze dzieci. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na Lawrence'a i Roselyn.

- Musimy odczekać pół godziny, żeby nie pływać z pełnym żołądkiem - stwierdziła dziewczyna.

- Aha. - Lawrence patrzył zachłannie, jak zdejmuje z siebie szlafrok. Dzisiaj miała na sobie szkarłatne bikini, a on pożerał ją wzrokiem bez skrępowania. Teatralnym gestem przesłała mu całusa i rozłożyła się na leżaku.

Już wkrótce zjawily się jej siostry, a Lawrence powitał je radosnym „cześć!”. Przez chwilę rozmawiali we czwórkę, a dziewczynki chichotały za każdym razem, gdy któreś z nich wspomniało o wczorajszych tańcach.

W końcu wskoczyli do basenu. Pokornie znosił psikusy dzieci próbujących wepchnąć go pod wodę albo rzucających w niego wielką piłką plażową. Mścił się, nurkując i chwytając je za kostki. Dziewczynki śmiały się i piszczwały.

Był zaskoczony, gdy Roselyn w końcu powiedziała:

- Ja już na dzisiaj dziękuję.

Rzucił piłkę, jak mógł najdalej, a Mary i Jenny rzuciły się za nią w pogoń.

Ich starsza siostra właśnie wykręcała wodę z włosów, gdy wrócił na leżak. Podał jej rękę.

- Potrzebny mi czysty ręcznik - powiedział. Poczł straszliwy zawrót głowy, gdy dziewczyna spojrzała na niego nieodgadnionym wzrokiem.

- W porządku - mruknęła. - Ale idziemy do twojego pokoju.

Wtedy na chwilę zmienił się w dawnego Lawrence'a i przez całą drogę do hotelu rzucał Roselyn nieśmiałe, ukradkowe spojrzenia. Dziewczyna była równie zakłopotana, jakby sama nie była pewna, z kim jest i dokąd idzie. W windzie znów się pocałowali, ale tym razem wypadło to niezręcznie. Gdy w końcu zamknął drzwi, ręce drżały mu z nerwów.

Roselyn wskazała na przeszklony balkon.

- Mógłbyś zaciągnąć zasłony? Wiem, że to głupie, ale...

- Wcale nie. - Lawrence niemal przebiegł przez pokój i szarpnął ciężką tkaninę. Gdy skończył, pokój wypełniło ciepłe złotawe światło, a ciało Roselyn spowijał kuszący cień. Spoglądała na duże podwójne łóżko z dziwną, zagubioną miną. Nie tego chciał. Chciał, by się uśmiechała i nalegała, aby się pospieszył.

- Posłuchaj - powiedział z rozpaczą. - Jeśli chcesz, to możemy po prostu wziąć te ręczniki.

Dziewczyna odwróciła się od łóżka i wyciągnęła do niego ręce.

- Nie - oznajmiła, gdy ich dłonie się zetknęły. - Nie chcę ręczników. - Pocałowała go i tym razem żar powrócił.

- I dobrze wiem, czego pragniesz ty.

- Ciebie.

Wyślizgnęła się z jego objęć i cofnęła o krok. Sięgnęła za plecy, odpinając klamerkę stanika. Tkanina opadła, obnażając cudownie jędrne, sterczące piersi.

- Jesteś taka piękna - wykrztusił Lawrence, tak cicho, jakby mówił do siebie. Przeklinając swoją niezręczność, zacisnął palce na jej sutkach, miętosząc ciemne guziczki. Usłyszał gwałtowne westchnienie, syk bólu. Dziewczyna skrzywiła się z dezaprobatą.

- Przepraszam, wybacz. - Poluzował uścisk, ale nie cofnął rąk. Nigdy nie sądził, że będzie tak jędrna, tak gładka, tak ciepła.

Ujęła delikatnie jego dłonie i umieściła je sobie na ramionach, by móc przed nim uklęknąć. Lawrence jęknął, gdy ściągała mu kąpielówkę. Spojrzała na jego stwardniałego członka z obojętną ciekawością, a potem przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się do niego. Gdy wstała, Lawrence gorączkowo ściągnął jej majtki. Jedną ręką ugniatał jej pierś, drugą gładził brzuch, aż w końcu dotknął włosków łonowych, a potem - mokrej, gorącej cipki.

Na wpół popchnął, na wpół położył ją na łóżku. Ich dłonie szukały się gorączkowo, otwarte usta lizały, ssaly i smakowały rozgrzane ciała. Oddech był szybki i urywany. Jej dotyk na skórze doprowadzał go do ekstazy.

Lawrence obejrzał w życiu sporo i-błękitów i wiedział, jak należy postępować. Pieścić kobietę, gładzić jej ciało, dbać o jej przyjemność. Ale teraz, w półmroku, ledwie pamiętał to, co obejrzał. Miał w łóżku najpiękniejszą i najchętniejszą dziewczynę, jaką widział w życiu, która dyszała i wiała się pod jego dotykiem. Gdy w nią wszedł, przez twarz Roselyn przemknął wyraz wahania - po chwili zastąpiła go lubieżna rezygnacja.

- A, do diabła z tym - wydyszała. - Tylko bądź ostrożny, dobrze?

- Oczywiście - obiecał. - Oczywiście. - Nawet nie przyszło mu do głowy, by zachować

się inaczej. Nie mógł uwierzyć, że cokolwiek na świecie może być tak cudowne. Jej niezwykle ciało drżało i wilo się pod nim, z jego powodu. Ujęła jego członka w dłoń, a wtedy załapała go czysta, nieskrępowana ekstaza. Zza zaciśniętych zębów co chwila wydobywały się ciche jęki i zaskoczony westchnienia.

W końcu nie był już w stanie poruszać się wolno ani delikatnie. Wbił się w nią szybko i wściekle, zupełnie jak w tej wizji, gdy po raz pierwszy ją zobaczył. Doszedł gwałtownie, drżąc na całym ciele, a ona krzyknęła.

Odtoczyli się na boki, Lawrence ledwie chwycił oddech, przytłoczony tym doznaniem. Głowa opadła mu na bok; zobaczył unoszącą się pierś Roselyn i o mało nie doszedł po raz drugi. Był zakochany, zauroczony, opętany. Był gotów dla niej zabić. Był gotów zginąć.

Uśmiechnął się, ogarnięty błogim prostodusznym szczęściem.

- Jestem twój, wiesz? Naprawdę.

Kącik ust dziewczyny uniósł się lekko, jakby nie była w stanie się uśmiechnąć. Wyraz jej twarzy był zmartwiony, niechętny.

- Co się stało? - krzyknął Lawrence przerażony.

- Lawrence... Proszę, na przyszłość bądź delikatniejszy.

Miał ochotę zwymiotować. Był najgorszym skurwielem na świecie. Skrzywdził Roselyn, jedyną osobę, która go kiedykolwiek pokochała. Skrzywdził ją!

- O, szlag! Przepraszam! - Jego ręka zawisła nad nią z wahaniem, nie miał odwagi jej nawet dotknąć. - Nie chciałem. Przepraszam! Przepraszam!

- Cśśś. Wszystko w porządku. - Dziewczyna przewróciła się na bok i pogładziła jego twarz. - Nic mi nie jest. Trochę tylko boli.

- Nigdy więcej tego nie zrobimy, przysięgam.

- Jasne, że zrobimy.

- Ale przecież cię boli... - zaprotestował.

- Lawrence, to był nasz pierwszy raz. Nauczysz... nauczymy się robić to lepiej. -

Uśmiechnęła się z przekąsem. - Reszta ludzi nie poddaje się tak łatwo, prawda?

- Prawda.

Polizała go po uchu.

- Gdybym miała z seksu tyle przyjemności, co ty teraz, to co byś zrobił? Pozbawiłbyś mnie tego?

- Och, Losie, nie. Nigdy w życiu.

- A zatem?

- Chcesz spróbować znowu? - Co dziwne, jego członek stwardniał na samą myśl.

- Nie, nie do końca. Może spróbujemy czegoś innego?

- Jasne!

I tak było już do końca wyjazdu. Trzy dni spędzone w jego pokoju, oboje nadzy w łóżku. Ciała splecione ze sobą, eksperymentujące dłonie. Gdy stawali się zbyt zmęczeni, by kontynuować, odpoczywali przez chwilę, schodzili do basenu albo na posiłek do restauracji. Po krótkim spacerze wokół kopuły wracali na górę, by znów oddawać się ćwiczeniom fizycznym. Lawrence ściągnął sobie i-sutkę, a potem entuzjastycznie wypróbowywali różne pozycje. Meble były dostatecznie solidne, by wytrzymać ich akrobacje, a wielka marmurowa wanna z jacuzzi zapewniała mnóstwo zabawy.

Jednak mogli uprawiać miłość tylko w ciągu dnia - Roselyn twierdziła, że na noc musi wracać do siebie. Lawrence nie miał jej tego za złe. W jego oczach nie mogła zrobić nic złego. W ciągu dnia była jego, a granica nocy codziennie odsuwała się coraz dalej i dalej. Któregoś dnia została z nim aż do trzeciej nad ranem.

- Nasz apartament znajduje się w kopule Leith - powiedziała, gdy tulili się do siebie na zmiętej pościeli. - Czy to daleko od ciebie?

- Nie. Dostałem na urodziny tricykl. Mogę do ciebie przyjechać w ciągu dziesięciu minut. Jeśli skorzystamy z tuneli publicznych i pójdziemy piechotą, to zajmie jakieś dwadzieścia pięć minut. To chyba nawet lepsza droga, przynajmniej teraz, póki trwa Przebudzenie. - W myślach ustalał już najkrótszą trasę, zastanawiał się, przez które kopuły trzeba będzie przejść.

- A zatem nie będzie nam się trudno spotykać? - spytała gorączkowo.

- Bardzo łatwo. - Delikatnie pogładził jej biodra, dokładnie tak jak lubiła.

Dziewczyna przytuliła się do niego i wycisnęła mu na szyi szereg krótkich, figlarnych pocałunków. Łaskotało.

- Masz mój kod pulowy?

- Tak. - Lawrence ułożył się na niej, przyciskając jej ręce do materaca. - Zadzwoń, jak tylko wejdę do domu. A potem zadzwonię za godzinę. I jeszcze raz za godzinę.

- Przepraszam. Nie chcę wyjść na zaborczą sukę. Po prostu bardzo mi zależy.

- Przyjedziesz do Templetonu następnego dnia po mnie. Zobaczymy się rano w szkole.

- Dobrze. - Skinęła głową, jakby rozmawiali o podpisaniu prawnie wiążącej umowy. - Zaczekam.

Dotarcie do Templetonu limuzyną, która przyjechała rankiem po Lawrence'a i jego



ojca, zabrało bite pięć godzin. Chłopak siedział z tyłu na skórzanej kanapie i patrzył przez szybę na grube płatki śniegu, jednak przed oczami widział tylko Roselyn: skuloną w jego objęciach i uśmiechniętą radośnie, gdy oboje rozkoszowali się swoim ciepłem.

- Czyżby zepsuła ci się perła? - spytał Doug Newton.

- Hm? - Lawrence otrząsnął się z zamyślenia. - Nie, tato, wszystko w porządku.

- Ale widzę, że jej nie używasz.

- Nie mam ochoty.

- A niech to! Lepiej od razu jedźmy na pogotowie.

- Tato?

Doug usłyszał w głosie syna napięcie i nagle skupił na nim całą uwagę. Skrypt w kolorze indygo zniknął z jego membran.

- Tak?

- Nasza rodzina ma zasady na każdą okazję.

- Posłuchaj, Lawrence, nie wymyśliłem ich specjalnie po to, by ci zrobić na złość. Istnieją po to, byśmy wszyscy mogli żyć pod jednym dachem w sposób względnie cywilizowany.

- Tak, wiem. Ale nigdy nie powiedziałeś, jakie są zasady w kwestii dziewczyn.

- Dziewczyn?

- Aha.

- Ale ty przecież... ach. Nieźle się z tym ukrywałeś, synu. Przedstawisz nam ją kiedyś?

- Nie wiem, tato. Co mówią zasady na ten temat? Wolno jej do nas przychodzić?

Doug Newton oparł się wygodnie i zmierzył syna długim spojrzeniem.

- W porządku, synu. Jesteś już na tyle duży, by mieć głos, więc nie będę cię traktował jak małe dziecko. W zamian oczekuję tego samego, jasne?

- Aha, jasne.

- Istnieją dwa zestawy zasad. Bardzo się ucieszymy, jeśli twoja przyjaciółka postanowi nas odwiedzić. Prawdopodobnie zdajesz sobie sprawę, że twoja matka zacznie na to nalegać, gdy tylko się dowie, że istnieje ktoś taki. Gdy ta młoda dama przyjdzie do nas z wizytą, możecie robić, co tylko chcecie. Grać w tenisa albo w piłkę, pływać w basenie, uczyć się razem i tak dalej. Jedno, czego nie wolno jej robić, to zostawać na noc, w każdym razie nie w twoim pokoju. Rozumiesz?

- Tak, tato.

- Drugi zestaw zasad jest bardzo prosty - dokładnie taki jak w życiu. Nie wolno dać się złapać. Ani ja, ani twoja matka, a zwłaszcza twoje rodzeństwo nie powinno być narażone na

to, że któregoś dnia wejdą do pokoju i zobaczą, że ryćkacie się jak króliki. Czy to też rozumiesz?

Lawrence wiedział, że oblał się rumieńcem, czuł, że policzki mu płoną. Wyglądało na to, że będzie to tydzień pełen fundamentalnych zmian w jego życiu.

- Rozumiem, tato. Nie obawiaj się, na pewno do tego nie dojdzie.

- Dobrze wiedzieć. Upewnij się tylko, że zamki w tej twojej jaskini działają jak należy.

- Działają.

Doug Newton potrząsnął głową z rozbawieniem.

- Jedno ci powiem synu: zawsze potrafisz mnie zadziwić. Zakładam, że to prawdziwa dziewczyna, nie jakiś i-program?

- Oczywiście, że jest prawdziwa!

- Dzięki niech będą Losowi. Ma jakieś imię?

- Roselyn O'Keef.

- Chyba nie znam żadnych O'Keefów.

- Nie pochodzą z Amethi. Dopiero co przylecieli.

- O, naprawdę? To znaczy, że muszą mieć niezłe udziały.

- Naprawdę tylko tyle cię obchodzi? Czy są bogaci?

- Szczerze mówiąc, tak, ma to pewne znaczenie. Ale jak obaj wiemy, moje zainteresowania nie są warte twojej uwagi.

- To nie tak. Po prostu... - Lawrence nie chciał powiedzieć czegoś niewłaściwego. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z ojcem w ten sposób. Cała ta szczerość sprawiła, że niemal pożałował swojego dawnego zachowania. Uznał, że ostatnio chyba traktował swoich rodziców trochę po macoszemu. Z drugiej strony, życie w rodzinie Newtonów nie było łatwe. Wszyscy ciągle czegoś od niego chcieli.

- Wiem, wiem - Doug uniósł dłonie. - Jestem potworem. Myślisz, że ja w twoim wieku myślałem inaczej? Jeśli kiedyś postanowisz porozmawiać ze swoimi dziadkami, koniecznie zapytaj, co to była za radość wychowywać takiego łobuza jak ja.

- Naprawdę?

- Jak mówiłem: jeśli postanowisz z nimi porozmawiać.

- Dobrze, tato.

- Zuch chłopak.

Gdy tylko dotarli do domu, Lawrence załadował kod pulowy Roselyn do perły stacjonarnej w swojej kryjówce i kazał AS połączyć się z tym adresem. Jej uśmiechnięta

twarz wypełniła płachtę ekranową. Drobne piegi pokrywające policzki były wielkości jego dłoni. Rozmawiali przez godzinę. Zadzwoił do niej jeszcze trzy razy, zanim poszedł spać. W nocy obudził się dwukrotnie i odruchowo szukał jej obok. Podczas tych krótkich chwil, gdy nie zdążył się jeszcze w pełni obudzić, zastanawiał się, czy Roselyn mu się przypadkiem nie śniła. Było to straszne uczucie.

Szkoła średnia Hilary Eyre znajdowała się w samym środku własnej kopuły. Był to trzypiętrowy budynek w kształcie litery H, na tyle duży, by pomieścić sale dydaktyczne dla półtora tysiąca uczniów. Tereny otaczające szkołę zajmowały głównie boiska, gdzie przez cały rok panował ten sam klimat przypominający wczesną jesień. Był to niecodzienny widok dla uczniów, którzy dorastali w mieście, gdzie każda kopuła szczyciła się swoimi ogrodami. Tutaj nie było żadnych drzew, jedynie rozległy teren porośnięty trawą, od czasu do czasu przełamaną białym słupkiem.

Jednak żaden widok nie był równie niecodzienny, co widok Lawrence'a Newtona stojącego na schodach, półtorej godziny przed oficjalnym rozpoczęciem semestru. Mimo złej pogody przyjechał do szkoły na tricyklu, aby przypadkiem się nie spóźnić. Teraz przestępował nerwowo z nogi na nogę, próbując obserwować wyloty wszystkich dziewięciu tuneli jednocześnie. Uczniowie wynurzali się z krętych jaskiń, zmierzając w stronę przeszklonego wejścia. Na dziedzińcu stało już kilka grup - przyjaciele wymieniający wspomnienia z wakacji, członkowie drużyn rozmawiający o nadchodzących meczach, obiboki, którzy nie odrobili wakacyjnych zadań i desperacko dopytywali się, skąd można je ściągnąć (tam zwykle znajdował się Lawrence), i królowie życia, rozkoszujący się swą pozycją we własnym gronie.

Zobaczył ją w momencie, gdy dzieliło ich jakieś sto metrów. Zawołał coś na powitanie i zamachał ręką, ignorując ciekawskie spojrzenia. Roselyn dostrzegła go i odmachnęła. Wtedy podbiegł do niej i objął ją, nie zwracając uwagi na tłum gapiów. Publiczne pocałunki były sprzeczne z regulaminem, ale Lawrence w ogóle się tym nie przejął.

- Przyjechałaś - powiedział.

- Tak. - Dziewczyna uśmiechnęła się nerwowo. - Nie miałam dziś nic innego do roboty.

Za bardzo zwracali uwagę, by Lawrence zdołał utrzymać swą nonszalancką maskę. Objął Roselyn ramieniem i razem weszli po schodach.

Roselyn twierdziła, że podróż z hotelu przebiegła dobrze. Apartament w kopule Leith wyglądał w porządku, tyle że były jakieś problemy z kablami sieciowymi. Poza tym wstawiono tam tylko kilka sztuk mebli, więc jej matka planowała spędzić weekend na

jeżdżeniu po sklepach.

- Czy ten strój może być? - spytała, wygładzając mankiet. Miała na sobie długą ciemną spódnicę, białą bluzkę i jasnozielony sweter. Włosy spięła emaliowaną spinką w kształcie motyla. Wyglądała bardzo elegancko i porządnie. Lawrence uznał to za kuszące.

- Wyglądasz doskonale - powiedział. Niektóre z uczennic nosiły znacznie droższe ubrania, ale i tak nie sięgały Roselyn do pięt.

Zobaczył, że Alan Cramely zerka na nich spode łba, bardziej zainteresowany Roselyn niż swoim kolegą. Chodzili z Lawrence'em do klasy, tyle że Alan niedawno stał się maniakem piłki nożnej i okazał się całkiem niezłym zawodnikiem, co, oczywiście, sytuowało go w hierarchii dziobania znacznie wyżej niż jego kolegę.

Teraz uśmiechnął się obleśnie i pokazał uniesiony kciuk. Lawrence poczuł oburzenie, widząc, że ktoś okazuje jego dziewczynie taki brak szacunku, ale zadowolenie z koleżeńskiej aprobaty szybko wygrało z irytacją. Nigdy wcześniej nie doświadczył niczego podobnego.

- I co teraz? - spytała Roselyn.

Lawrence zaprowadził ją do sekretariatu, a potem spędził resztę poranka, oprowadzając ją po budynku. Przedstawił ją tylu osobom, ilu tylko zdołał - właściwie każdemu, kogo znał. Szybko zauważył, że z Roselyn przy boku mógł liczyć na znacznie serdeczniejsze powitanie - zarówno ze strony dziewcząt, jak i chłopców.

Zjedli lunch w stołówce, po czym wrócili do holu, gdzie odbywały się zapisy na zajęcia pozalekcyjne, Roselyn zapisała się na badmintona, biegi, piłkę nożną dziewcząt, lekcje pianina i księgowości.

- A ty - na co będziesz chodzić? - spytała promiennie, gdy już obeszli wszystkie stoliki.

- Nie jestem pewien - mruknął Lawrence. Nigdy wcześniej na nic się nie zapisywał. Obeszli hol po raz drugi. Inżynieria oprogramowania wydawała się dość oczywistym wyborem. Lawrence uznał, że niezależnie od tego, jaki wybierze zawód, na pewno mu się to przyda, a poza tym pasowała do reszty sylabusu. Był także klub lotniczy - na jego widok mało nie wykrzyknął: „Nawet nie wiedziałem, że mamy coś takiego!”. Latanie zapowiadało się nieźle. Przeszedł już w życiu dość symulacji (zwykle zawierających pojedynki albo inwazję kosmitów), by wiedzieć, że spodoba mu się pilotowanie prawdziwych maszyn. Zresztą przemawiał przez niego wciąż żywy sentyment, cień dawnych ambicji, by służyć na statkach kosmicznych. Zapisał się, co wywołało uśmiech aprobaty na twarzy Roselyn. W końcu dorzucił do tego też krykieta, głównie dlatego, że trening odbywał się w tych samych godzinach co futbol kobiecy, mogliby więc wracać razem, ale też dlatego, że był to najmniej

wysiłkowy sport, jaki znalazł w ofercie.

Musieli się rozstać po południu, gdy zaczęły się lekcje. Lawrence czekał jednak w holu po ostatnim dzwonku i zaprosił Roselyn do siebie.

- Muszę ci powiedzieć - zaczął przeprasającym tonem - że mama już nie daje mi żyć. Bez przerwy nalega, żebym cię zaprosił. Mogę to odwlec przez parę dni, ale to tak jakbym chciał powstrzymać topnienie lodowca Barclaya. Nie da się tego uniknąć.

- Nie ma sprawy. Chętnie poznam twoją rodzinę.

- Tak? - spytał Lawrence ostrożnie.

- Tak.

- Och. Okej. To super. Eee, przyjechałem na tricyklu. Możemy się zabrać razem.

- Na tricyklu? Lawrence! Ja nie mam innych ubrań. Nie mogę wyjść!

- Wiem przecież. Nie jestem idiotą.

Zaprowadził ją do garażu na skraju kopuły. Jego tricykl stał samotnie na stelażu. Była to niewielka maszyna zaopatrzona w dwa tylne koła napędzane silnikiem wysokowodorowym zamkniętym w metalicznej purpurowej obudowie. Wydłużona plastikowa owiewka osłaniająca całą konstrukcję z przodu chroniła kierowcę i pasażera przed działaniem warunków atmosferycznych, jednak poza tym pojazd był otwarty po obu stronach. Trzy szerokie opony miały głęboki bieżnik, ale mimo to tricykl nie był w stanie rozwijać większej prędkości niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, nie wpadając w poślizg. Dziesięć lat temu każdy nastolatek w Templetonie miał - albo chciał mieć - taką maszynkę, ale Przebudzenie poważnie ukłóciło ich popularność. Kolejny dowód na to, że Lawrence przyszedł na świat w niewłaściwym czasie.

Sięgnął po schowka pod siodełkiem i wyciągnął dwa kombinezony termiczne.

- Widzisz?

- Och, tak. - Roselyn wywróciła oczami. - Bardzo przydatne dla kogoś w spódnicy.

- Eee... - Lawrence poczuł, że się czerwieni.

- W porządku, dam sobie radę. - Dziewczyna zaczęła podwijać materiał.

Lawrence przejechał przez służbę termalną i skierował się prosto na ulicę. Roselyn jechała „na plecak”, obejmując go mocno w pasie. Podczas lunchu padał lekki grad, ale pługi zdążyły go odgarnąć. Powierzchnia drogi była śliska od płynu niezamarzającego, tworzącego tęczkowe wzory w oleistych kałużach. Pomimo kombinezonu i hełmu Lawrence cieszył się, że ma owiewkę. Chłodny wiatr chłostał ich bezlitośnie.

Kopuły Templetonu lśniły opalizująco pod niegościnnym szarym niebem. Miasto zyskało bardziej wyrazisty, industrialny wygląd, zdawało się mniej kompletne niż w czasach

jego dzieciństwa. Delikatne kępki trawy i raulii, walczące o życie na skraju drogi, niemal zupełnie zniknęły. Wzdłuż głównych ulic, w zamrzniętym błocie, wykopano rowy i wylano betonowe rynsztoki, beztrąsko odrzucając ziemię na bok. Jedyne ślady roślinności stanowiły wstęgi alg zapychających kanały odpływowe, leniwie prześlizgujące się przez rumowisko.

Wloty powietrza umieszczone w kopułach zostały zaopatrzone w nowe filtry, by drobny śnieg i lepki śnieg z deszczem nie oblepiały wentylatorów i mechanizmów wymiany ciepła - wielkich konstrukcji z galwanizowanego metalu połączonego prymitywnymi nitami, podpartych potężnymi nogami ze stalowych dwuteowników. Podobne, wątpliwej urody ozdoby, można było zobaczyć na budynkach fabryk. Kratownice i otwory wlotowe pospiesznie zakryto dodatkowymi osłonami.

Zdaniem Lawrence'a najgorsza była rdza. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że miejskie konstrukcje w tak wielkim stopniu składają się z metalu, błędnie zakładając, że do budowy użyto jakiegoś nowoczesnego kompozytu spajającego części z pomocą skomplikowanych wiązań cząsteczkowych. Jednak rzeczywistość wyglądała inaczej - metal wciąż pozostawał najtańszym i najłatwiejszym do wykorzystania budulcem. Elementy Templetonu zostały do siebie przyśrubowane, przynitowane, przygwożdżone i przybolcowane, jak każda inna ludzka konstrukcja wybudowana od czasu Wieku Żelaza. A teraz miasto płaciło cenę tej oszczędności. Rdza spływała z każdej budowli. Brudne czerwono-brązowe plamy pokrywały każdą metalową powierzchnię, wysysając z niej siłę w niepowstrzymanym procesie utleniania.

Lawrence poczuł ulgę, gdy skręcił na podjazd prowadzący do podziemnego garażu w posiadłości Newtonów. Teraz na zewnątrz nie pozostało nic ciekawego. Amethi zapędziła ludzi z powrotem do gett, wypierając ich z terenów, które zamierzali podbić. Lawrence dowiedział się kiedyś w szkole, że podczas długich zimowych nocy kraje skandynawskie miały największy wskaźnik samobójstw na świecie. Teraz rozumiał dlaczego. Odkąd zaczęło się Przebudzenie, spędzał coraz więcej czasu w towarzystwie swoich i-filmów i gier, i nie był to przypadek.

Schody wychodzące z garażu prowadziły do kopuły półpustynnej. Roselyn rozejrzała się wokół, spoglądając na pustynię pełną ostrych głazów i białego piasku. Wokół rosły kaktusy pokryte filcowatymi kolcami, wybijające się pośród szorstkiej trawy, ich baldaszkowate kwiaty tworzyły barwne korony. Palmy i figowce otaczały spokojne stawy, gdzie na płaskich kamieniach wygrzewały się jaszczurki. Po powrocie ze szkoły powietrze w kopule wydawało się cudownie ciepłe i suche.

- Czy ktoś tu mieszka? - spytała Roselyn.

- Nie, dom jest w kopule głównej. To tylko ogród. Mamy ich sześć. - Lawrence dostrzegł jej zakłopotaną minę. - Co się stało?

Dziewczyna nie chciała mu spojrzeć w oczy, tak jakby to pytanie wytrąciło ją z równowagi.

- Proszę, powiedz!

Nagle rzuciła mu się w objęcia i wybuchnęła płaczem. Lawrence miał wrażenie, że serce mu pęknie i sam się rozplacze. Najbardziej na świecie pragnął teraz, żeby przestała. Nie sądził, że to możliwe, ale jego uczucia jeszcze przybrały na sile. I myślał, że Roselyn nawet we łzach jest piękna.

- Obiecałam sobie, że nie będę - zaszlochała.

- Czego nie będziesz? Co się stało? Czy to przeze mnie?

- Nie. Tak. Trochę.

- Co masz na myśli?

- Jestem taka słaba. Ale po śmierci taty wszystko się zmieniło. Czasem mam wrażenie, że codziennie muszę się mierzyć z czymś nowym. Nienawidzę tego. Chcę zamieszkać w jednym miejscu i robić to samo codziennie, tylko po to, by poczuć się bezpiecznie.

- Hej, wszystko w porządku. - Lawrence pogładził ją po plecach. - Przyleciałaś na Amethi i już tu zostaniesz. Uwierz mi, nie ma na świecie większej rutyny niż chodzenie do Hilary Eyre.

Dziewczyna wciąż nie chciała na niego spojrzeć.

- Sprawdziłam twoje dane.

- Tak?

- Tak. Twoja rodzina zasiada w zarządzie firmy McArthur.

- No tak. I co z tego?

- Nie powiedziałaś mi o tym.

- Jakoś się nie złożyło. Ale co to ma do rzeczy?

- Myślałam... Jesteś bogaty, masz milion różnych powiązań i przyjaciół. Wiem, jak wiele w życiu zależy od pozycji. Ja dopiero tu przybyłam, do tego wcale nie jesteśmy bogaci. Myślałam, że jestem twoją wakacyjną podrywką. Byłam przekonana, że już więcej cię nie zobaczę, a ty opowiesz o wszystkim kolegom i będziesz się śmiał z tego, jaka byłam łatwa. A jednak czekałeś na mnie dziś rano i... - Znów się rozplakała.

Lawrence ujął jej twarz w dłonie i delikatnie unióś jej głowę tak, by na niego spojrzała.

- Ani przez chwilę tak nie myślałem. Roselyn, obawiam się, że będziesz musiała mnie

znosić do końca życia, ponieważ nigdy nie znajdę sobie nikogo, kto byłby równie cudowny. Nigdy. Jeśli ktoś z nas powinien się martwić, to właśnie ja. Gdy tylko zobaczysz tych wszystkich sportowców w szkole, zdasz sobie sprawę, jaki błąd popełniłaś.

- Nie! - Dziewczyna ujęła go za głowę i przyciągnęła do siebie, a następnie pocałowała. - Nie, Lawrence. Nie chcę jakiegoś bezmózgiego sportowca. Chcę ciebie.

Przez jakiś czas stali nieruchomo, obejmując się, podczas gdy gekony i salamandry wypełniały kopułę dziwnym skrzeczeniem. W końcu Roselyn uśmiechnęła się z zakłopotaniem i otarła twarz, rozmazując ślady łez.

- Pewnie wyglądam okropnie.

- Wyglądasz pięknie.

- To miłe z twojej strony, ale przecież w tym stanie nie pójde przywitać się z twoją matką.

- Eee... w takim razie możemy najpierw zajrzeć do mojej kryjówki.

Otwierając drzwi do garażu, poczuł napływ wątpliwości. Patrząc na swoją kryjówkę z Roselyn u boku, boleśnie zdawał sobie sprawę z tego... jak dziwacznie musi wyglądać. Jego własne prywatne imperium. Zdradzało to dużo, może nawet za wiele na temat jego prawdziwej natury.

Roselyn weszła do środka i zatoczyła powolne koło, chłonąc widoki.

- To bardzo...

- Żalodne? Egocentryczne? W złym guście?

- Nie. Po prostu widać, że należy do chłopaka.

Przejechała ręką po zniszczonej skórzanej kanapie. Spojrzała na Lawrence'a.

Drzwi garażowe jeszcze nie dotknęły ziemi, gdy zaczęli zdzierać z siebie ubrania

- Co ty tu właściwie robisz? - spytała później Roselyn. Leżała na kanapie, z głową ułożoną na podołku Lawrence'a, który wciąż zmagał się ze świadomością, że w jego kryjówce jest naga dziewczyna. Te dwa elementy po prostu nie miały prawa wystąpić obok siebie. Musiał jednak przyznać, że seks w jaskini okazał się niezwykle ekscytujący. Syndrom zakazanego owocu.

- Niewiele. Przychodzę tu, żeby się zrelaksować i po prostu pobyc sam.

- Okej, to rozumiem. Czasem marzę o tym, by moje ukochane siostrzyczki nigdy nie istniały, a ostatnio spędziłam z nimi miesiąc na statku. Nie było dokąd uciec. Ale co tutaj robisz, gdy już jesteś sam?

- Nic ciekawego. Kiedyś bardzo interesowałem się elektroniką. Stąd właśnie większość tych śmieci, nie zdążyłem jeszcze wszystkich naprawić. Odrabiam tutaj lekcje.



Gram w i-gry.

- Na przykład *Halo Gwiazdy*?

- Ta jest najnowsza. - Lawrence urwał zawstydzony, ale potem się opamiętał. W końcu leżała na nim naga dziewczyna, trudno było o bardziej osobistą sytuację. - Gdy byłem młodszy, często oglądałem swój ulubiony serial na dużym ekranie.

- Jaki serial?

- Pewnie o nim nie słyszałaś. *Kierunek: horyzont*.

Roselyn zmarszczyła nos w zamyśleniu.

- Chyba mówi mi coś ta nazwa. To taki stary serial science fiction, prawda?

- Aha. O załodze statku badającego nieznaną zakątki galaktyki. Na Amethi sprowadzono tylko jeden sezon. Nigdy nie dowiedziałem się, jak to się skończyło i czy wrócili do domu.

- Mógłbyś wysłać wiadomość firmie dystrybucyjnej na Ziemi. Przesłanie pozostałych sezonów chyba nie wyjdzie drogo.

- Próbowałem się z nimi skontaktować już tysiące razy, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. Chyba po prostu firma zbankrutowała.

- Nic nigdy nie ginie z puli danych, dlatego rozprzestrzeniła się poza swoją własną planetę. Oryginalny projekt sieci był dobry, tyle że ludzie tak bardzo powiększali pojemność pamięci, że zrywała się łączność. Są w niej całe sektory, które funkcjonują niemal autonomicznie, inne z kolei same nie wiedzą, co się w nich znajduje ani nawet że istnieją. Jeśli potrzebujesz czegoś choć trochę nietypowego, musisz wysłać kilkanaście różnych zapytań i mieć nadzieję, że któryś z nich znajdzie ci jakieś metałacza. Gdy szukałam informacji na temat Amethi, niektóre dane docierały do mnie dopiero po kilku dniach. Nie było w tym nic głównonurtowego - wczesne raporty badawcze, zestawienia finansowe, te rzeczy. Specjalistyczne dane. Krążą nawet plotki o zamkniętych pulach, sektorach, które zawierają wyłącznie wewnętrzne metałacza - kontrolujące je AS nie wiedzą nawet, że nie mają wyjścia na świat.

- To jakieś szaleństwo. W naszej puli na Amethi nie da się zgubić żadnych danych. Jedna zapytanka znajdzie ci wszystko, co chcesz.

- To dlatego, że wciąż jest taka mała. Rozbicie puli ziemskiej było nieuniknione. Zbyt wiele danych, by dało się je zindeksować w jednym źródle, a im bardziej indeks jest podzielony, tym słabsze metałacza. Teraz zamierzają wprowadzić oficjalne podsektory, ale jeśli nie wiesz, gdzie znajdują się oryginalne dane, to jak można uporządkować odnośniki do nich?

- Nic dziwnego, że nie dostałem odpowiedzi.

- Jeśli chcesz, mogę wysłać wiadomość do mojej przyjaciółki i poprosić, żeby wysłała zapytanie o ten serial.

Lawrence spadł z kanapy. Oszolomiony klęczał przed Roselyn, która spoglądała na niego z zaciekawionym rozbawieniem.

- Możesz znaleźć mi pozostałe odcinki?

- Mogę się dowiedzieć, czy w ogóle gdzieś są. Rozrywka wciąż jest głównonurtowa. No, chyba że coś ma ponad sto lat, ale nawet wtedy da się znaleźć.

- Błagam. - Lawrence złapał ją za kolana. - Będę ci wdzięczny do końca życia i podpiszę to własną krwią.

- Hmm. - Roselyn przez chwilę coś rozważała, wpatrując się z roztargnieniem w sufit.  
- Jest coś, na co miałabym ochotę.

- Co tylko chcesz.

Dziewczyna wzięła go za rękę i polizała jego palce, jeden po drugim, składając pocałunek na czubku, zanim przeszła do następnego. Potem zaczęła przesuwając jego rękę po swoim ciele, aż w końcu westchnęła, gdy dotknął szczególnie wrażliwego miejsca.

- To - zamruczała gardłowo. - To lubię.

Każdego dnia po szkole przychodziła do posiadłości Newtonów. Czasem jechali na tricyklu, ale najczęściej po prostu szli tunelami. Dopiero trzeciego dnia Lawrence przedstawił ją swojej matce, braciom i siostrze. Był tym znacznie bardziej zestresowany niż jego towarzyszka i wzdrygał się za każdym razem, gdy jego matka próbowała być „miła” albo zadawała jakieś osobiste pytanie. Piorunował wzrokiem swoje rodzeństwo, ilekroć pozwolili sobie na jakiś niesmaczny żart. Roselyn zniosła to wszystko z niewymuszoną gracją, której po trosze jej zazdrościł, a po trosze podziwiał.

Gdy przedstawił Roselyn oficjalnie, nie musiał już za każdym razem przyprowadzać jej do domu, choć jego matka dała wyraźnie do zrozumienia, że powinni przychodzić na posiłki. I że byłoby miło spotkać się z jej matką przy obiedzie. Jakoś niedługo.

- Ech, rodzice - westchnął Lawrence, gdy już przekazał Roselyn tę najnowszą wiadomość. - Z własnej woli nigdy nie wyniosą się do domu opieki. Wolą zostać w domu i narobić dzieciom wstydu.

Zerknął na dziewczynę, unosząc głowę znad jej brzucha.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? Moja mama zacznie przedstawiać twojej mamie różnych obiecujących kawalerów.

Roselyn poruszyła się lekko. Przykryli kanapę kocem - obicie za bardzo przyklejało

się do nagiej skóry.

- Wątpię. - Lawrence dosłyszał napięcie w jej głosie.

- Przepraszam. Niewiele wspominasz o swoim ojcu.

- To prawda. - Roselyn westchnęła przeciągle. - Nie ma o czym opowiadać. Był wspaniałym ojcem i bardzo go kochałam. Potem któregoś dnia odszedł i cały mój świat odszedł wraz z nim. A gdy już myślałam, że odtąd moje życie już zawsze będzie kompletnie gówniane... wtedy przyleciałam tutaj. - Uszczypnęła Lawrence'a w wałeczek w okolicy pasa, aż zaczął się wiercić. - A ty na mnie czekałeś.

- To najwyraźniej mamy ze sobą coś wspólnego. Moje życie również było dość gówniane, póki cię nie poznałem. Oczywiście, nie przeżyłem nic, co mogłoby się równać z utratą ojca. Chyba w dużej mierze sam przysparzałem sobie cierpienia. Ale też łatwiej z tym skończyć.

- No cóż, wygląda na to, że ja przysporzę ci jeszcze więcej.

- Co?

- Lawrence, posłuchaj... Nie mogę ciągle tu przychodzić po szkole.

- Dlaczego? - spytał zszokowany. - Nie podoba ci się to, co robimy?

Jej uśmiech poszerzył się niebezpiecznie, gdy wspięła się na niego.

- Oczywiście, że tak. I to o wiele za bardzo. Dwa tygodnie w twoim towarzystwie i zmieniłam się w kompletną zdzirę.

- To dobrze, bo mnie też to się podoba. - Lawrence polizał ją, pragnąc posmakować jej ciała. Nawet teraz nie mógł wyjść ze zdziwienia, że Roselyn pozwala mu to zrobić. Jego własna odwaga w eksperymentowaniu też była zadziwiająca. Miał wrażenie, że gdy tylko zostają sami, znikają im wszelkie zahamowania.

Roselyn uniosła się, aby nie mógł jej dosięgnąć.

- Muszę zacząć się uczyć. Program szkolny Amethi jest ultraszybki w porównaniu ze starą dobrą Irlandią. Jeśli się nie przyłożę, to zostanę największym osłem, jakiego ta planeta kiedykolwiek oglądała.

- To niemożliwe.

- Lawrence, mówię poważnie! Muszę uczyć się w domu.

- Ucz się tutaj - zaproponował. - Mam dostęp do puli danych. Masz ze sobą perłę. Nie ma żadnego problemu. - Uniósł rękę i pomiętosił jej pierś.

Roselyn odchyliła się do tyłu, oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego sceptycznie.

- Wiesz, co się stanie, kiedy tu przyjdę. Zaczнеш się do mnie przytulać, a potem zaczniemy się migdalić i w życiu nie odrobisz lekcji. Chcesz zrobić ze mnie kompletną

idiotkę?

- Jasne, że nie. Ale... - Lawrence nie mógł znieść myśli, że będzie widywał ją tylko w szkole. - Obiecuję, że nie będę się do ciebie dobiegał, póki nie odrobisz lekcji. Słowo. Tylko przychodź tu po południu. Proszę?

- Ręczysz za to głową?

- Całkowicie.

- W takim razie zgoda.

- Super!

- Ale najpierw pójdziemy do domu. Tam będziemy się uczyć.

- Ale... ale dlaczego?

- Taka umowa. Usiądziemy sobie w salonie czy gdzieś. W ten sposób nie narazimy się na żadne pokusy.

- Ech, cholera. Niech będzie.

- A potem... - Dziewczyna pochyliła się nad nim, drażniąc się kokieteryjnie. - Potem zejdziemy tutaj, a wtedy pokażę ci, jaka jestem wdzięczna.

- Naprawdę?

W odpowiedzi polizła jego usta i w tej samej chwili poczuł, że jej sutek muska jego klatkę piersiową. Ta drobna prowokacja stanowiła cudowną udrękę.

- O, tak - szepnęła.

- Jak bardzo będziesz wdzięczna?

- Tak bardzo, że nie zdołam tego opisać. Moje usta będą zbyt zajęte.

Jęk Lawrence'a zabrzmiał prawie jak skamlenie, oczy miał półprzymknięte, a rozkosz przyprawiała go niemal o łzy. Zadrżał w oczekiwaniu, gdy ręka dziewczyny czule pogładziła jego jądra. A potem - pieprzony Losie - druga dłoń uszczypnęła go w sadło na brzuchu, a wtedy wyrwał się z jej uścisku.

Twarz Roselyn nachmurzyła się zawiedziona.

- Nie lubię tego - mruknął ze wstydem.

- Tego? - Znów sięgnęła w kierunku wałka tłuszczu.

- Tak! - odsunął się gwałtownie. - Nie trzeba mi przypominać, że mam nadwagę.

Roselyn zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała.

- Musisz zaakceptować swoje ciało. Tak jak ja.

„Ale twoje jest fantastyczne! - miał ochotę wykrzyknąć. - Podczas gdy moje...”.

- Wiem. Już od dawna zamierzałem poćwiczyć i nabrać kondycji. - Pospieszenie zamknął usta, zanim wyrwało mu się coś jeszcze głupszego.

- Naprawdę? - Roselyn rozpromieniła się i pocałowała go z entuzjazmem. - Wiesz, to byłoby naprawdę seksy!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Okres przydatności” - żargonowe określenie czasu, jaki żołnierze mogą spędzić w tranzyście, pomiędzy kolejnymi walkami, zanim ich wydajność zacznie spadać - już od wieków stanowił ważny element planowania kampanii. Zgodnie z wytycznymi Z-B, ich siły bezpieczeństwa mogły spędzić na statku pięćdziesiąt dni, bez istotnego spadku formy.

Czterdziestego dnia Lawrence zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek z plutonu 435NK9 zdoła w ogóle się zdesantować, gdy dotrą na planetę. Biurkowy ekspert, który ustalił tę pięćdziesięciodniową granicę, prawdopodobnie nigdy nie był nawet na orbicie Ziemi, nie mówiąc już o statku.

Dnia czterdziestego pierwszego o 09:30 mieli udać się do sali gimnastycznej. Biorąc pod uwagę, że reszta dnia miała być poświęcona na ćwiczenia niefizyczne i powtórki materiału dotyczącego aktualnej misji, była to najgorsza możliwa chwila na wysiłek fizyczny. Ćwiczenia wprowadzały żołnierzy w stan hiperaktywności, który utrzymywał się przez wiele godzin, sprawiając, że wszyscy byli nerwowi i drażliwi. Jednak każdy pluton musiał codziennie wyrobić półtorej godziny ćwiczeń w przedziale gimnastycznym, by zapobiec zanikowi tkanki mięśniowej i kostnej. Nie dało się tego w żaden sposób obejść.

Lawrence zdawał sobie sprawę, że ten wysiłek spieprzy mu całą resztę dnia, ale mimo to skupił się na serii pchnięć, napierając na uchwyty. Leżał na jednej ze standardowych ławeczek wykorzystujących jedynie tłoki i sprężyny. Zmienił ustawienia, zwiększając nieco opór i spróbował znowu.

Na czole wystąpił pot, serce biło szybko. Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał, pragnął, by każdy narząd pracował pełną parą. Używanie Skóry stanowiło poważne obciążenie dla ludzkiego ciała, zwłaszcza ciała, które przez pięć tygodni gniło w jednej ósmej ziemskiej grawitacji. Oczywiście eksperci do spraw okresu przydatności nie wzięli tego pod uwagę.

Rozglądając się po sali, stwierdził, że Amersy i Grabowski dają sobie niezły wycisk, ich szkarłatne podkoszulki zdążyły już przesiąknąć potem. Odel i Karl jak zawsze zadowalali się absolutnym minimum. Jones Johnson ledwie poruszał obciążnikiem, traktując te ćwiczenia jako element spędzania wolnego czasu.

„Jakie to typowe”, pomyślał Lawrence. Jones był ich mechanikiem i miał rękę do

wszelkich urzędzeń, włącznie z bronią artyleryjską. I, oczywiście, uznawał, że jego wyjątkowe zdolności w tej dziedzinie powinny zrekompensować oczywiste braki we wszystkich pozostałych. Mimo że przeszedł już trzy kampanie, do tej pory nie zrozumiał, że niezbędnym elementem walki jest praca zespołowa, której podstawę stanowiła dobra kondycja fizyczna wszystkich żołnierzy.

Lawrence wstał i niedbałym ruchem zarzucił sobie ręcznik na szyję. Podskoczył do Jonesa i chwycił się stelaża otaczającego ławeczkę, by zyskać lepszą dźwignię. Wolną ręką walnął w obciążnik, aż całe ramię przekreśliło się na zawiasach, gwałtownie zginając mężczyźnie nogi.

- Kurwa! - wrzasnął Jones.

- Właśnie wpadłeś w zasadzkę - oznajmił Lawrence. - Wybuch miny zburzył ścianę i przygniótł ci nogi zajebistym kawałem betonu, a trzech buntowników idzie w twoją stronę z maczetami. Podnieś ten kamień, jeśli chcesz przeżyć.

- Jezu! Kurwa mać!

- No dalej, ty leniwy gnoju, podnoś!

Twarz Jonesa stężała niczym gumowa maska, z całej siły starał się wyprostować nogi. Żyły wystąpiły mu na szyi.

Gdy w końcu stało się jasne, że nigdy nie podniesie ciężarków, Lawrence puścił mechanizm.

- Wiesz co, Jones? Jesteś, kurwa, kompletnie bezużyteczny. Możesz przez to zginąć, ale to akurat najmniejszy problem, jakoś znajdziemy sobie innego mechanika. Ale jeśli ty zostaniesz unieruchomiony, posypie nam się cały szyk. Masz dwa wyjścia: popraw się albo odejść. Nie zamierzam tolerować u siebie takiego zawalidrogi.

- Sierzancie, przecież to tylko pierdolona siłka. Gdybyśmy byli na patrolu, to wyszedłbym w Skórze. Ten cały program sprawnościowy to jedna wielka ściema!

- Jedyne wyjście, na jakiej możesz zawsze polegać, to twoje własne ciało.

Lawrence dostrzegł, że Hal obserwuje całą scenę z uśmiechem zadowolenia.

- A ty przestań się szczerzyć. Za sześć dni schodzimy na planetę. Każdy uśmiech, jaki odtąd zobaczysz, będzie oznaczał, że ktoś cię nienawidzi, a im szerszy uśmiech, tym większy nóż w kieszeni. Tam na dole możemy liczyć tylko na siebie nawzajem. Nikt inny wam nie pomoże. Dlatego chcę, żebyście byli w jak najlepszej kondycji. I nie chodzi mi tylko o ciało. Chcę, żebyście nabrali odpowiedniej postawy, bo, Losie dopomóż, nie mam wyjścia i muszę na was polegać.

Odwrócił się na pięcie i wrócił na własną ławeczkę. Hal znów pompował ciężarki,

dumny z tego, jak wysoko podkreślił opór i jak łatwo go przewycięzał. Amersy, który ani na chwilę nie przestał napierać na hantle, spojrział na Lawrence'a z lekkim wyrzutem. Lawrence musiał przyznać, że kapral miał rację - trochę przesadził z objeżdżaniem Jonesa. Ale tym razem oczekiwał od swojego plutonu znacznie więcej niż podczas poprzednich misji. Jeśli chciał zrealizować swój cel, musiał się upewnić, że jego ludzie będą całkowicie lojalni, a żeby to osiągnąć, musiał się nimi dobrze opiekować. Może tutaj jeszcze tego nie doceniali, ale na ziemi misje potrafiły się szybko pokomplikować. Żołnierze rekrutowali się spośród największych dupków w społeczeństwie, ale mieli dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, komu mogą zaufać, gdy zrobi się naprawdę gorąco. A na Z-B w postaci kapitana Douglasa Bryanta nie można było polegać.

Lawrence wrócił do ćwiczeń. Zobaczył, że Jones pompuje jak wściekły, i parsknął cicho, z satysfakcją. Miał szczęście, że chłopak nie próbował mu przyłożyć. Frustracja nagromadzona w ciągu długiego lotu dawała się wszystkim we znaki. Przynajmniej w Cairns mogli się wymknąć wieczorem i odreagować stres z jakąś dziewczyną na Wybrzeżu.

Po siłowni pluton miał przeznaczyć dwie godziny na ćwiczenia z przygotowania ekwipunku. Lawrence zostawił to w rękach Amersy'ego - sam musiał się stawić na spotkaniu z kapitanem. Pod koniec podróży spotykali się średnio raz dziennie.

Pokój konferencyjny miał postać prostokątnego przedziału o prostych aluminiowych ścianach. Były zupełnie puste, nie licząc jednej, na której umieszczono płachtę ekranową. Pozostali dowódcy plutonów - Wagner, Ciaran i Oakley - siedzieli już przy stole. Lawrence skinął im głową i zajął swoje miejsce. Chwilę później wszedł kapitan Douglas w towarzystwie porucznika Motluka. Dowódcy plutonów wstali, jedną ręką trzymając się krawędzi stołu, by nie oderwać się od ziemi podczas salutu.

- Spocznijsz, koledzy - oznajmił jowialnie Douglas Bryant. Miał dwadzieścia osiem lat, ukończył akademię oficerską Z-B w Tunezji. Był dość inteligentny, a jego rodzina posiadała na tyle duże udziały, by umożliwić mu szybki awans. Gdy Lawrence sprawdził jego dane, dowiedział się, że jego jedyny epizod czynnej służby obejmował misje stabilizacyjne w Afryce Wschodniej. Likwidowanie obozów buntowników, głęboko w dżungli, gdzie miejscowe plemiona wciąż walczyły z imperialistyczną korporacją odbierającą im złoża minerałów. Były to odpowiednie kwalifikacje do misji realizacji aktywów, jednak Lawrence wolałby widzieć nad sobą kogoś z prawdziwym doświadczeniem.

Gdyby był bardziej szczery wobec siebie, być może doszedłby do wniosku, że pogarda, jaką żywił dla Douglasa Bryanta, miała bardziej osobiste podłoże. Kapitan był typem człowieka, jakim równie dobrze mógł stać się Lawrence, gdyby życie ułożyło się



inaczej. Wiecznie zatroskany o kondycję i morale służących pod nim ludzi, obdarzony imponującą wiedzą i kompletnie nieświadom tego, co się naprawdę liczy.

- Ciaran, czy udało wam się rozwiązać problem z wykazem sprzętu? - spytał.

- Tak, sir - odparł dowódca plutonu 836BK5. - Błąd programu. Okazało się, że zapasy znajdowały się w odpowiednim ładowniku.

Kapitan uśmiechnął się do wszystkich.

- Zawsze winne jest oprogramowanie, prawda? Czy od czasu opuszczenia Centralis mieliśmy jakieś niewirtualne problemy?

Dowódcy uśmiechnęli się grzecznie w odpowiedzi.

- Dobrze, w takim razie pomówmy o ostatnich przymiarkach w krojeniu kombinezonów. Jak sobie radzimy? Newton, dlaczego twój pluton jeszcze nie rozpoczął?

- Ciagle jeszcze testujemy funkcje, sir. Chciałbym odłożyć krojenie do ostatniej chwili. Wprawdzie korzystamy regularnie z siłowni, ale pięć tygodni w tym polu grawitacyjnym i tak wpływa na ich rozmiary.

- Rozumiem tę argumentację, ale, niestety, musimy trzymać się procedur. Twój pluton ma się zgłosić na ostateczne przymiarki jutro o ósmej rano.

- Tak jest, sir.

- Nie mogę zaryzykować, że będą nieprzygotowani po wyjściu z kompresji.

„Jasne - pomyślał Lawrence. - Tak jakby Thallspring mogło nagle zmienić położenie”.

I tak dalej, i tak dalej. Bryant był pedantem i osobiście doglądał wszystkich drobiazgow, które każdy doświadczony dowódca zostawiłby swoim sierżantom. Chciał, by operacja toczyła się ściśle według przewidzianego scenariusza, co zdradzało, że bardziej zależy mu na tworzeniu odpowiedniego wizerunku niż przygotowaniu się na ewentualne problemy. Próbował nawet przekonać Oakleya, żeby zrezygnował z prośby o przydzielenie większej liczby teledetektorów, gdy już zejdą na ziemię. Jego pluton miał przeczesać fragment miasta złożony z wąskich uliczek i labiryntu tanich domków - dane dla tego obszaru pochodziły z map sporządzonych przed dziesięć laty. Innymi słowy, było to idealne miejsce na zasadzkę dla lokalnych chuliganów. Było jasne, że zanim Z-B dogada się z lokalną władzą i wyznaczy zastaw, miejscowi buntownicy mogą wykazywać sporo brawury. Lawrence chętnie skorzystałby z ochrony, jaką zapewniały teledetektory. Jednak mimo osławionej polityki zaangażowania pętlowego, plan przewidywał określoną liczbę sensorów, a Bryant nie widział powodu, aby zmieniać coś na tym etapie.

Oakley w końcu ustąpił i kazał perle anulować wnioski. Potem przeszli do omawiania operacji lądowania. Bryant nie chciał, by przy wyjściu z szybowców nastąpiło niepotrzebne

opóźnienie.

\*\*\*

Przez większość dnia w Memu Bay padał łagodny, ciepły deszcz - był to już drugi nietypowy opad w ciągu dwóch tygodni. Oznaczało to tyle, że Denise nie mogła wyprowadzić dzieci do ogródka - siedzieli tylko na ławkach pod daszkiem. Rano rozdała wszystkim duże media-tablety i poprosiła, by narysowały to, co przypominają im chmury. W efekcie otrzymała kolaż dziwnych istot w barwach błękitu, czerwieni i zieleni. Po południu, gdy okazało się, że nie ma szans na poprawę pogody, posadziła dzieci w szerokim półkolu, a sama usiadła pośrodku stołu.

- Chyba już czas opowiedzieć wam o planecie Mordiffów - oznajmiła. - Chociaż Mozark nigdy nie dotarł tam osobiście.

Kilkoro dzieci westchnęło głośno, pozostałe wymieniły podekscytowane spojrzenia. W dotychczasowych opowieściach o Imperium Pierścienia pojawiały się, jak dotąd, jedynie niejasne wzmianki o mrocznej historii tego ludu.

Jezella uniosła rękę.

- Proszę pani, to nie będzie zbyt okropne, prawda?

- Okropne? - Denise zacisnęła usta i przez chwilę teatralnie rozważała odpowiedź. - Nie, chyba nie, chociaż Mordiffowie toczyli straszliwe wojny, co zawsze jest złe. Z naszego punktu widzenia to przede wszystkim smutna historia. Zawsze powtarzam, że najwięcej można się nauczyć na błędach, a Mordiffowie popełnili kilka poważnych błędów. Mam nadzieję, że dzięki tej historii wy ich unikniecie. Mam mówić dalej?

- Tak! - zawołały dzieci. Kilkoro z nich obrzuciło Jezellę zirytowanym spojrzeniem.

- No dobrze. Na czym skończyłam? Mozark nigdy tam nie dotarł, chociaż przeleciał obok Mgławicy Ulodan, gdzie znajdowała się planeta Mordiffów i jej gwiazda. Jednak zanim się tam zjawił, Mordiffowie już dawno odeszli, a to, co pozostawili, nie pomogłoby mu w jego poszukiwaniach. Chociaż w pewnym sensie odkryli swój najważniejszy cel: chcieli po prostu żyć. Pod tym względem nie różnili się od nas: dzisiejsi ludzie, podobnie jak rozumne stworzenia z Imperium Pierścienia, także chcą żyć. Jednak jakimś sposobem lud Mordiffów wyewoluował na planecie leżącej pośrodku najciemniejszej, najgęstszej mgławicy w całej ówczesnej galaktyce. Znali światło dnia, tak jak my. Mgławica nie była na tyle gęsta, by całkowicie zakryć słońce. Jednak noc w ich świecie była absolutna. Nocne niebo było całkowicie czarne. Nie widzieli gwiazd. Doszli zatem do wniosku, że są w kosmosie zupełnie sami, że ich planeta i jej słońce są jedynymi obiektami w kosmosie.

- Dlaczego nie wysłali statków, by znaleźć inne gwiazdy? - spytał Edmund.

- Ponieważ nie widzieli ku temu żadnego powodu. Nie wiedzieli, że na świecie istnieje ktoś poza nimi, a obserwacja nieba tylko to potwierdzała. To właśnie doprowadziło do ich upadku, który powinien być dla nas przestrogą, ponieważ Mordiffowie rozumowali bardzo podobnie do nas, choć mieli inne ciała. Ogromne niczym dinozaury i wyposażone w chwytne kończyny, które mogły zmieniać kształt. Oznaczało to, że mogli pełzać niczym węże, zamienić kończyny w płetwy i pływać jak ryby, niektórzy archeolodzy uważają, że potrafili nawet latać, a przynajmniej szybować. Jednak pomimo to, ich cywilizacja rozwijała się dość typowo. Mieli epokę kamienia, epokę żelaza, tak samo jak my, a potem epokę pary, epokę atomu, a następnie epokę danych. Do tego czasu cały ich świat zdołał się rozwinąć i wynaleźć skuteczne leki, dzięki którym wiedli długie i zdrowe życie. Ich populacja cały czas się zwiększała, konsumując coraz więcej zasobów. Całe kontynenty zmieniły się w olbrzymie miasta. Mordiffowie budowali wyspy o szerokości wielu mil, które stanowiły jedynie pływające kompleksy budynków. Zasiedlono wszystkie tereny polarne. Nie została już ani odrobina wolnego miejsca. Wybuchły wojny, straszliwe wojny, które za każdym razem pochłaniały dziesiątki milionów ofiar. I, jak wszystkie wojny, były zupełnie bezcelowe. Mordowano całe narody, aby zwycięzcy mogli zająć ich miejsce, ale po upływie jednego pokolenia ziemia znów była pełna. A tymczasem ich wynalazki, zwłaszcza broń, stawały się coraz potężniejsze, coraz bardziej zabójcze. Wojny stały się coraz większym zagrożeniem dla całej planety. A potem, któregoś dnia, największy naród rządony przez najpotężniejszego mordiffskiego władcę odkrył, w jaki sposób otwiera się tunele.

Wokół rozległo się pełne napięcia „ooooch”.

- I co się stało później? Czy najechali Imperium Pierścienia?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie wiedzieli o jego istnieniu. Otworzyli tunel prowadzący w zupełnie innym kierunku, Widzicie, tunele czasoprzestrzenne tworzą się z zakrzywień czasoprzestrzeni. Wykorzystujemy to zjawisko, by latać do odległych gwiazd. Mordiffowie przenieśli się w czasie. Mgławica Ulodan sprawiła, że ich wizja przestrzeni była bardzo ograniczona, znano jedynie czas. Ich władca zarządził budowę wielkiego terminalu czasoprzestrzennego, w samym środku swojego kraju. Było to największe urządzenie skonstruowane przez Mordiffów. Terminal nie tylko generował tunel - dzięki specyficznej budowie był samowystarczalny. Dopóki miał odpowiednie zasilanie, ani na chwilę nie przestawał działać. Czerpał moc z zakrzywionej czasoprzestrzeni. Innymi słowy, był wieczny, prawie jak perpetuum mobile.

- Tata mówi, że to niemożliwe - rzekła kategorycznie Melanie. - Powtarza, że tylko głupcy wierzą w takie rzeczy.

- Tak, to niemożliwe - zgodziła się Denise. - Ale to najlepsze przybliżenie działania tej maszyny.

Edmund spojrział na Melanie z wyższością, a potem zwrócił się do opiekunki:

- Proszę pani, a po co władca kazał go zbudować?

- Ach. Na tym właśnie polegała tragedia Mordiffów. Gdy budowa została zakończona, władca zarządził migrację całego narodu. Wielka armada latających pojazdów zaniósła mieszkańców na terminal, miliony i setki milionów Mordiffów. A gdy już znaleźli się w środku, osobista straż władcy uruchomiła najstraszliwsze bronie, jakie kiedykolwiek wynalazł ten lud. Wszystkie naraz. Były tak potężne, że zabiły każdą żyjącą istotę i obróciły w ruinę wszystkie miasta, nawet te, które należały do narodu władcy.

Dzieci patrzyły na nią zaniepokojone.

- Każdy naród Mordiffów dysponował tą samą bronią masowego rażenia: niektóre rozsiewały śmiertelne choroby, a inne wybuchały z taką siłą, że rozrywały skorupę planety. Władca wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś postanowi ich użyć. Wszystkie narody tak desperacko potrzebowały nowych terenów i zasobów, że jeśli nie użyłyby broni przeciw swym sąsiadom, musiały same wymrzeć.

A zatem naród władcy znalazł się w tunelu, podróżując coraz dalej w czasie. Sto tysięcy lat później na powierzchnię planety przybył ich oddział zwiadowczy, który zbadał poziom radioaktywności i skalę zniszczeń. Dla nich upłynęło tylko kilka minut, odkąd wkroczyli do tunelu, jednak znaleźli jedynie jałową planetę pełną ruin budynków. Radioaktywność zdążyła już nieco spaść, a chorobotwórcze organizmy wyginęły. Zwiadowcy Mordiffów rzucili na powierzchnię bakterie i algi, po czym wycofali się do tunelu. Potem wyszli z niego po tysiącu lat, gdy bakterie zdążyły już się rozmnożyć i użyźnić glebę. Tym razem rozrzućli nasiona. Za trzecim razem pozostawili na ziemi zwierzęta i ryby. Po kolejnym tysiącu lat świat wyglądał dokładnie tak jak u progu ich Rewolucji Przemysłowej - pełen wielkich, trawiastych równin, lasów i dżungli. A wtedy cały naród władcy wynurzył się z tunelu. Spędzili tam jedynie kilka godzin, podczas gdy na zewnątrz minęło sto dwadzieścia tysięcy lat.

Rozejrzeli się wokół, patrząc na ten piękny, czysty świat i cieszyli się, dziękując swojemu władcy za ukazanie im tego wspaniałego miejsca. Wielu z nich zapomniało o tym, jaką zbrodnię popełniono, by dać im szansę na nowy start, i zaczęli odbudowywać dawne społeczeństwo. Znow zaczęli wydobywać metale i minerały z ziemi i wycinać lasy w celu rozbudowy miast. Po kilku pokoleniach niektórzy z nich zapomnieli o zasługach wielkiego władcy i utworzyli własne narody. Dwa i pół tysiąca lat później planeta znow była pokryta

miastami. A zatem ówczesny władca zrobił to samo co jego przodek. Zebrał swój naród i wysłał go poprzez terminal. Za ich plecami znów wybuchły bomby.

Ten straszliwy cykl powtórzył się jeszcze trzy razy. Ilekroć świat stawał się zbyt zatłoczony, zbyt ciasny dla milionów Mordiffów zaludniających miasta, naród władcy uciekał poprzez czas, zabijając wszystkich pozostałych. Jednak za czwartym razem zwiadowcy, których wysłano na powierzchnię planety, odkryli coś dziwnego. Na ich słońcu zaszły niepokojące zmiany. Na jego powierzchni zobaczyli puchnące ciemne plamy. Słońce zbliżało się do końca swojego cyklu i stygło coraz bardziej. Mordiffowie nigdy nie widzieli żadnej innej gwiazdy i nie wiedzieli, co się dzieje. Zawsze zakładali, że ich mały wszechświat jest wieczny i niezmienny. Ich fizycy zaczęli snuć różne teorie i prawdopodobnie szybko zrozumieli, co się dzieje - byli przecież bardzo mądrzy. Ale wiedzieć, co się dzieje, a znać rozwiązanie problemu to przecież nie to samo.

A zatem zwiadowcy zrobili pomiary, oszacowali, jak bardzo ochłodziło się powietrze i ziemia, i wrócili, by zdać raport swojemu władcy. Z początku im nie wierzył, ale potem na własne oczy zobaczył gasnącą gwiazdę. Ruiny miast zdążyły się już pokryć grubą warstwą szronu, który lśnił w słabym świetle słońca, a morza pokrywała warstwa lodu. Przez dłuższy czas władca przeklinał tę niesprawiedliwość, ale potem odzyskał panowanie nad sobą. Wysłał zwiadowców daleko w przyszłość: dwieście tysięcy, pięćset tysięcy, milion, dwa miliony, potem nawet dziesięć milionów. Wracali, przynosząc coraz bardziej zatrważające wieści: słońce stygło coraz bardziej, a potem puchło, aż stało się wielkim czerwonym potworem zajmującym jedną piątą nieba. I nic nie wskazywało na to, by miało kiedykolwiek powrócić do pierwotnego stanu.

- A czy gwiazdy tak robią? - spytała cicho Melanie. - To znaczy, czy mogą wyzdrowieć?

- Nie, kochanie, nie mogą. W każdym razie nie o własnych siłach. Krążą legendy o królestwach w Imperium Pierścienia, które modyfikowały wnętrza gwiazd w czasach, gdy imperium było u szczytu potęgi, ale to tylko legendy. A mimo całej swej wiedzy i zaawansowanej techniki, Mordiffowie nigdy nie byli tak potężni i mądrzy jak mieszkańcy imperium. A zatem władca nie miał wyboru - musiał nakazać swoim poddanym wyjście z tunelu w chwili, gdy tylko minęło działanie broni, a słońce zachowało jeszcze dość ciepła. Na swój sposób był dobrym władcą, robił, co w jego mocy. Rozkazał wybudować nowe miasta pod kopułami ochronnymi. Twierdził, że ich technologia może powstrzymać nadejście nocy. W pewnym sensie była to prawda. Mordiffowie mogli żyć na swojej planecie, chronieni przed zimnem przez kryształowe stropy. Energia jądrowa pozwalała im utrzymać światło i ciepło.

Jednak wybudowanie tych enklaw było znacznie trudniejsze niż ich starych miast, a ich utrzymanie wymagało jeszcze więcej zasobów. Było to trudne zadanie, zwłaszcza że lud Mordiffów od wielu pokoleń ewoluował do walk i podbojów. Nie znali innego życia. Po tylu latach ciągłego konfliktu mogło to dać tylko jeden wynik. Gdy tylko ich populacja zaczęła rosnąć, braki zasobów dały się odczuć boleśnie. Miasta pod kopułami zaczęły prowadzić wojny. Było to szaleństwo, ponieważ ich obecne konstrukcje były znacznie delikatniejsze niż dawne miasta na otwartej przestrzeni. A tym razem nie było już gdzie uciekać, jeśli ktokolwiek użyłby broni masowego rażenia. W przyszłości czekał ich tylko chłód i mrok.

Według archeologów zajmujących się historią imperium, ostatni z Mordiffów umarł jakieś tysiąc pięćset lat od momentu wyjścia z terminala. Imperium Pierścienia zbadało Mgławicę Ulodan dwadzieścia pięć milionów lat później i znalazło tylko nieco szczątków zachowanych wśród lodu, który pokrył całą planetę. Tyle tylko zostało z gatunku, który potrafił wypełnić całą planetę budowlami i innymi cudami.

Dzieci westchnęły i zadrżały. Wiele z nich zerknęło na niebo, by przekonać się, że ich własne słońce wciąż tam jest, równie jasne i ciepłe, co zwykle. Niebo nad Memu Bay zaczęło się przejaśniać, wiatr wiejący znad zatoki zaczął rozpędzać chmury, tworząc grube serpentyny. Ze szczelin padły szerokie biało-żółciste wiązki światła. Denise uśmiechnęła się pocieszająco, patrząc na lśniące krople wody pozostałe na liściach.

- To było straszne - stwierdziła Jezella. - Dlaczego oni wszyscy zginęli?

- Przez niefortunny zbieg okoliczności. Obecność mgławicy oznaczała, że mogli spoglądać tylko na siebie. My mamy więcej szczęścia. Wiemy, że we wszechświecie istnieją inne gwiazdy. Dzięki temu możemy postępować w sposób bardziej oświecony.

Jedna z dziewczynek zamachała ręką.

- Proszę pani, co to znaczy „oświecony“?

- To znaczy „być miłym i rozsądnym, a nie brutalnym i głupim“ - odparła, po czym uśmiechnęła się szeroko. - No dobra: kto chce iść na huśtawki? - W ogródku wciąż było mokro. Denise wiedziała, że dostanie po uszach od pani Potchansky za to, że pozwoliła dzieciom zamoczyć ubrania. Ale wiedziała, że jej podopieczni są najszcześliwsi, gdy mogą dokazywać na zewnątrz i nie chciała im tego odbierać.

Dzieci wybiegły pędem spod dachu, krzycząc i ścigając się ze sobą, każde z nich chciało się pohańcać pierwsze. Denise ruszyła za nimi wolnym krokiem. Rozmyślanie o historii Mordiffów zawsze wprawiało ją w melancholijny nastrój. Opowieść o ich tragedii za bardzo przypominała historię ludzkości. „Gdyby nie łaska Boża“, skończyliby tak samo... Denise nie wierzyła jednak w bogów, ani ludzkich, ani obcych.

Program Prime powiadomił ją o uruchomieniu priorytetowego alarmu z kosmokomu. Osiem milionów kilometrów od Thallspring zlokalizowano dwie smugi pozostałe po spalaniu plazmy. Kosmokom poszukiwał więcej informacji. Przepływ danych pomiędzy ich biurami a satelitami monitorującymi podwoił się w ciągu piętnastu sekund, a potem znów zwiększył gwałtownie.

Denise odruchowo zakryła usta ręką, wodząc oczami po swoich podopiecznych. Ich beztraskie okrzyki, chichoty i uśmiechy sprawiły, że nagle zdjął ją straszny lęk. Odchyliła głowę, wpatrując się w miejsce, którego współrzędne podał kosmokom. Leżało pod kątem dziewięciu stopni względem niej, tuż nad zachodnim horyzontem. Teraz było tam zbyt wiele chmur, by zobaczyć maleńkie błękitno-białe iskierki. Ale ona wiedziała, że tam są, a ich obecność kładła się na jej sercu groźnym cieniem, sprawiając, że świat stał się nagle ciemniejszy i groźniejszy.

A zatem zaczęło się.

\*\*\*

Kapitan Marquis Krojen odchylił się na oparcie krzesła, które lubił nazywać stanowiskiem dowódcy na mostku *Koribu*. W rzeczywistości było to niepozorne czarne krzesło biurowe wyposażone w pasy bezpieczeństwa, umocowane za stanowiskiem komputerowym. W kwadratowym przedziale umieszczono jedenaście identycznych stanowisk ustawionych po sześć w dwóch rzędach, naprzeciwko siebie. Dziewięć z nich było obecnie zajętych w oczekiwaniu na wyjście.

Gdy Krojen był jeszcze młodszym oficerem odbywającym swoje pierwsze loty, zdołał jakoś zdobyć sobie miejsce w jednym z bąbli obserwacyjnych w dziobowym przedziale napędu.

Zauroczony, wraz z pozostałymi oczekiwał na zbliżający się moment, nie zwracając uwagi na zdrętwiałe kończyny i duszne powietrze, z całych sił pragnąc zobaczyć przejście. Okazało się to równie nieciekawe jak większość rzeczy dziejących się na pokładzie statku. Tunel czasoprzestrzenny - pustka, która nie była nawet jednolicie czarna - powoli zniknął, odsłaniając światło gwiazd. Wyglądało to całkiem, jakby blady zmierzch zastępował mglisty wieczór.

To było trzydzieści lat temu. Od tego czasu nie zawracał sobie głowy bodźcami wizualnymi, preferując dokładniejsze dane widoczne na ekranach i siatce DNI. W bąblu obserwacyjnym siedziało aktualnie pięciu młodszych oficerów - była to nagroda za dobrą służbę podczas lotu. Każdy musiał przeżyć to sam.

- Przygotować się do wyjścia - ogłosił Colin Jeffries, pierwszy oficer. - Dziesięć

sekund.

Odliczanie odbywało się na tyłu wyświetlaczach, że słowne ostrzeżenia nie były potrzebne. Jednak była to odwieczna tradycja pomagająca utrzymać załogę w ryzach i utwierdzająca hierarchę łańcucha dowodzenia.

Jego DNI wyświetlił wykres obrazujący pracę AS, który zaczął wyłączać inwerter energii. Temperatura plazmy w tokamakach zaczęła spadać w miarę zmniejszania restrykcji. Poziom mocy zaczął zbliżać się do stanu krytycznego, produkując na tyle dużo prądu, by podtrzymać pracę systemów pomocniczych.

Monotonny krajobraz tunelu zaczął znikać, zastąpiony przez normalną przestrzeń kosmiczną. Holograficzne panele umieszczone na mostku powlekły się czernią, ukazując błysk gwiazd widziany z zewnętrznych kamer. AS uruchomił czujniki, kierując je na Thallspring. Kilku oficerów wiwatowało, widząc, że na panelach ukazuje się jasna błękitno-biała kula.

„Spójrzmy prawdzie w oczy: i tak nie mamy tu nic do roboty”, pomyślał Marquiz. Oficerowie na mostku stanowili mechanizm zabezpieczający, nic więcej. AS pilotował statek, ludzie podejmowali jedynie drobne decyzje oparte na ułamku informacji dostarczanych przez system za pośrednictwem paneli holograficznych i DNI. Było to streszczenie streszczenia: miliony systemów pokładowych generowały tyle danych, że potrzeba było całego ludzkiego życia, by przeanalizować wszystkie dane z jednej konkretnej chwili.

- Osiem milionów kilometrów, jak okiem sięgnąć - oznajmił Marquiz po przeanalizowaniu komunikatów DNI.

- Radar aktywny. Szukamy reszty statków.

Simon Roderick oparł się w fotelu, wpatrzony w wyświetlacze.

- Dobrze. Śledziliśmy zakrzywienie ich kompresji, gdy byliśmy jeszcze w tunelu. Myślę, że nie będą daleko w tyle.

Marquis nie odpowiedział. Wszystko, co mówił Roderick, nawet jego ton, zdradzało poczucie wyższości. Na swoim statku kapitan powinien być jedynym dowódcą i tak właśnie było na innych jednostkach. Jednak *Koribu* stanowił okręt flagowy tej kampanii, Marquis musiał zatem znosić obecność Rodericka przez cały lot. Otrzymał cały szereg dobrych rad i najróżniejszych żądań. Przedstawiciel zarządu co wieczór jadł obiad z kadrą oficerską, przez co posiłek stawał się straszliwie uciążliwy. Rozmowy przy stole były wyrafinowane, dotyczyły kultury, ekonomii, historii i polityki firmy, i ani razu nie padł w nich żaden żart. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Do tego zajmował aż pięć kabin. Pięć! Prawdę mówiąc, Marquis już mu tego nie zazdrościł. Członek zarządu spędzał większość dnia na spotkaniach z



dowódcami sił lądowych i pracownikami wywiadu - Quanem i Rainesem.

- Jak wygląda status silnika odrzutowego, kapitanie? - spytał Roderick.

- Zespół techniczny przygotowuje go do zapłonu. - Marquis starał się, by jego głos zabrzmiał grzecznie i neutralnie. Roderick miał dostęp do wszystkich danych, których mógł potrzebować - miał przecież kody dostępu. Pytanie miało jedynie podkreślać strategię, którą wybrał.

Zazwyczaj flota statków utrzymałaby swoje pozycje po wyjściu, czekając na resztę statków, zanim utworzyłaby szyk i skierowała się w stronę planety. Tym razem Roderick zdecydował, że flota nie będzie tworzyć szyku - wszystkie statki od razu rozpoczną lot do celu. Jeśli pozostaną rozrzucone, wówczas hipotetyczne zabezpieczenia pozaorbitalne będą mniej skuteczne. Statek lecący na przodzie poniesie największe straty, ale za to dostarczy pozostałym cennych informacji.

Podczas kulturalnej dyskusji przy obiedzie Marquis zauważył, że formacja statków zwiększa dostępną siłę ognia i jest w stanie wygenerować znakomitą tarczę, i w ogóle dysponuje większą liczbą możliwości niż pojedynczy statek.

- Proszę pamiętać o Santa Chico, kapitanie - odparł Roderick. - Powinniśmy uczyć się na błędach. *Tempom mutantur*. Taktyka ewoluuje równolegle z technologią.

Marquis - dzięki Bogu - uniknął kampanii w Santa Chico, ale wszyscy od początku wiedzieli, że tamta planeta jest nietypowa. Thallspring nie dysponowało takim poziomem technologii. Jeśli, jakimś cudem, dorobili się systemów pozaorbitalnych, to z pewnością były bardzo staroświeckie.

- Wyznaczono kurs na orbitę na wysokości stu sześćdziesięciu kilometrów, sir - oznajmił Colin Jeffries.

Marquis przejrzał statystykę napędu jądrowego, którą podsumował mu jego DNI. Ogólna odporność na uszkodzenia wynosiła dziewięćdziesiąt sześć procent, co było dobrym wynikiem. Przed rozpoczęciem misji spędzili trzy miesiące w dokach na Centralis, przeprowadzając drobne przebudowy. Anulowałby procedurę zapłonu tylko w przypadku, gdyby odporność spadła poniżej siedemdziesięciu procent.

- Gotów do zapłonu, panie Jeffries. Proszę wysłać komunikat do kół mieszkalnych, by przygotowały się na zmianę grawitacji.

- Tak, sir!

- Czy ktoś wie, co się dzieje na tej planecie? - spytał lekkim tonem Roderick.

Adul Quan spojrział znad stanowiska na mostku, które dostosował specjalnie do swoich potrzeb. Podłączył wiele czujników do swoich paneli holograficznych, gdzie

analizatory dokonywały interpretacji surowych danych.

- Standardowe emisje mikrofal i fal radiowych. Widzę także plamy ciepła odpowiadające znanym osadom ludzkim. Koloniści nadal tu są.

- Ach, zatem dobra wiadomość. Już niedługo sami się z nami skontaktują. Nie należy udzielać odpowiedzi. Sam porozmawiam z prezydentem, gdy już znajdziemy się na orbicie.

- Tak jest.

Bursztynowe światła zasygnalizowały zapłon silnika jądrowego.

- Sir, *Norvelle* wyszła z tunelu - oznajmił Colin Jeffries.

- Doskonale - odparł Roderick. - W takim razie udam się do swojej kajuty. Chyba nie muszę panu stać nad głową, prawda, kapitanie? Darzę pana pełnym zaufaniem.

Marquis nawet się nie odwrócił.

- Poinformuję pana o wszelkich istotnych zmianach.

\*\*\*

Jedyną rzeczą, jakiej Denise, Ray i Josep sobie nie uświadomili, to jak niewiele czasu mają do dyspozycji. Program Prime wytrałował wprawdzie alarm z kosmokomu prawie natychmiast, ale nie oznaczało to, że inne programy nie są równie szybkie. Trzeba było brać pod uwagę przecieki. Zweryfikowana obserwacja została natychmiast zgłoszona ponad stu osobom z rządu - większość z nich miała rodziny, a wszyscy mieli znajomych i kontakty w mediach.

Piętnaście minut po potwierdzeniu exodusu statków o alarmie dowiedziały się media i zaczęły bombardować biuro prezydenta prośbami o potwierdzenie i oficjalny komentarz. W stolicy Thallspring, Durrell, było już po północy, ale odpowiedź pretorian prezydenta nadeszła bardzo szybko. Pierwsze oficjalne wystąpienia, że dane z kosmokomu są obecnie analizowane, oczywiście, nie usatysfakcjonowały wyjącego tłumu, jednak wystarczyło to, by zaczęli rozprowadzać tę informację po puli danych i programach informacyjnych. Historia karmiła się wywołaną histerią, pęczniąc z każdą kolejną iteracją. Nagrania ostatniej inwazji zostały wyciągnięte z bibliotek i szczegółowo wyemitowane, przypominając mieszkańcom o tym, co kiedyś wycierpieli z rąk najeźdźców - całkiem jakby potrzebowali takich powtórek. Pół godziny później całe Thallspring wiedziało już, że statki wróciły.

W rzadkim u nich porywie odpowiedzialności prezenterzy w mediach powtarzali, że nie należy wpadać w panikę - statki wciąż znajdowały się osiem milionów kilometrów stąd. Biorąc pod uwagę, jak bardzo ludzie nasłuchiwali wszelkich komunikatów, psychologowie byli zaskoczeni tym, jak wielu zdołało całkowicie puścić tę informację mimo uszu.

Ludzka natura jest tak skonstruowana, że w chwili zagrożenia instynkt każe ludziom

jak najszybciej biec do domu. W każdym mieście ludzie wychodzili z pracy, by zatrzymać taksówkę lub wskoczyć do tramwaju; rowery i samochody wyjechały na drogi. Na całej planecie od lat nie było takich korków - od czasu, gdy po raz ostatni zjawiły się statki.

Dwudziestominutowa podróż z przedszkola do bungalowu Denise nad rzeką Nium tym razem zajęła prawie półtorej godziny. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że aż tyle osób mieszka w Memu Bay, nie mówiąc już o tym, że mieli tyle pojazdów. Straciła mnóstwo czasu, siedząc w tramwajach, czekając, aż w końcu ruszą z miejsca. Inne pojazdy nigdy nie jeździły po torach tramwajowych - teraz zablokowały je na amen. W końcu kobieta wyskoczyła ze stojącego pojazdu i ruszyła na piechotę.

Na szczęście, lokalna pula danych oparła się chaosowi, chociaż łącza zwolniły zauważalnie - połowa miasta zapchała je, próbując połączyć się z drugą połową i zapytać, gdzie jest.

Denise wysłała serię preformatowanych wiadomości ze swojej perły. Prime dostarczył zaszyfrowane pakiety do odpowiednich członków ruchu oporu, dbając o to, by nie dało się prześledzić ich trasy. Co jakiś czas otrzymywała potwierdzenia, których tekst przewijał się przez membrany, podczas gdy ona omijała w biegu samochody i ślamazarnych przechodniów.

Poza centrum natężenie ruchu było znacznie mniejsze, dzięki czemu pojazdy mogły poruszać się o wiele szybciej. Wszyscy wyłączyli swoje programy AS, a ludzcy kierowcy w ogóle nie przejmowali się ograniczeniami prędkości. Denise biegła truchtem po chodniku i przelatywała pędem poprzez skrzyżowania. Nawet jej młody wiek i wygląd nie ratował jej przed obraźliwymi gestami.

Gdy w końcu znalazła się na zwirowanej ścieżce, była już tak spocona, że bluzka i spódnica kleiły się do ciała. Ray i Josep jeszcze nie wrócili: byli na łódce, gdy kosmokom ogłosił alarm. Denise zastanawiała się, jakim cudem zdołają się przedrzeć przez zakorkowane miasto.

Wszystko, czego potrzebowali, było zawsze spakowane i pod ręką. Denise wyłączyła system alarmowy i wytaszczyła bagaże z szafy. Były to zwykłe torby sportowe na ramię, jakie ludzie zabierali ze sobą na weekendowe wyjazdy. W środku były ubrania - niektóre brudne - przybory toaletowe, pamiątki z koralu i kilka pereł bransoletkowych z załadowanymi narzędziami, których mógłby używać każdy student. Wszystkie przedmioty przeszłyby pobieżną inspekcję. Potrzebna by była szczegółowa analiza laboratoryjna, żeby wykryć coś podejrzanego. Jej perła w pierścionku przejrziała ukryte systemy i po raz ostatni sprawdziła wszystkie funkcje i stan zasilania. Po uzyskaniu potwierdzeń Denise rzuciła bagaże przy drzwiach, po czym pobiegła do swojego pokoju i ściągnęła bluzkę. Krew wciąż się w niej

burzyła, mimo że tętno serca spadło; teraz, gdy przybyły statki, wręcz rozpieła ją energia. Włożyła spraną pomarańczową koszulkę i czarne szorty, dzięki czemu zyskała więcej swobody ruchów. Obróciła na palcu złotą obrączkę zawierającą perłę, czerpiąc otuchę z tego kontaktu. Był to rytuał wojownika szykującego się do walki, jednak dawni gladiatorzy, rycerze i ninja z pewnością nie poznaliby tej areny.

Sznurowała właśnie trampki, gdy w końcu przybyli chłopcy. Pożyczyli ze szkoły jeepa z otwartym dachem. Josep siedział za kierownicą. Na końcu podjazdu zahamował gwałtownie. Ray wyskoczył z siedzenia pasażera i wrzucił bagaże na tył. Denise usiadła z tyłu. Zapinała właśnie pasy, gdy samochód ruszył, syjąc żwirem w krzaki jaśminu.

- Którędy jedziemy? - spytała.

- Uznaliśmy, że najlepsza będzie obwodnica zewnętrzna - zawołał Ray. - Jest dłuższa, ale AS sterujący ruchem twierdzi, że nadał nie ma tam zbytniego tłoku.

Denise wyświetliła sobie plan miasta. Ich bungalow znajdował się po przeciwnej stronie lotniska - może powinni byli to lepiej zaplanować? Jednak obwodnica powinna ich zaprowadzić prosto do celu.

- Jak długo? - spytała. Musiała krzyczeć. Wiatr rozwiewał jej krótkie włosy, w miarę jak mknęli po betonowej drodze obrzeżonej starannie skoszoną trawą.

- Czterdzieści pięć minut - odparł.

- Żartujesz!

W odpowiedzi uśmiechnął się ponuro.

- Damy radę.

- Okej - Denise zaczęła wydawać polecenia Prime'owi, a jej membrany wypełniły się skryptami. Z lotniska wciąż jeszcze odchodziły normalne loty. Według programów do rezerwacji, wszyscy turyści z Memu Bay próbowali właśnie przesunąć swój lot na dzisiaj. Prime połączył się z systemem rezerwacyjnym Pan-Skyways i przeszukał listę pasażerów, by znaleźć samolot do Durrell, startujący za godzinę i dziesięć minut. Tylko jedna czwarta pasażerów zdążyła się już odprawić. Kilkoro skontaktowało się z biurem linii, aby powiedzieć, że utknęli w korku i prawdopodobnie się spóźnią. „Rozsądni ludzie”, pomyślała. Wymazała nazwiska dwóch spośród nich i zastąpiła je fałszywymi nazwiskami Raya i Josepa.

- Jesteśmy - oznajmiła radośnie.

Gdy tylko trafili na obwodnicę, od razu się poprawiło - przynajmniej na początku. W tej części miasta ruch nie był duży, ale im bliżej byli lotniska, tym bardziej gęstniał. Nawet Josep musiał zwolnić, gdy oba pasy zapełniły się pojazdami.

- Skąd oni się wszyscy wzięli? - spytała Denise, rozglądając się z niezadowoleniem.

Otaczały ich duże samochody rodzinne, sedany z przyciemnionymi szybami, jeepy podobne do tego, którym jechali, półciężarówki i tracki. W każdej z nich siedział człowiek zaciskający dłonie na kierownicy z miną typu „bez kija nie podchodź”.

- Nie wiem - mruknął Josep. - Ale chyba wiem, dokąd jadą. - Gwałtownie skręcił kierownicę, omijając dużego pikapa i wyjechał na utwardzone pobocze. Uwolniony się z zatłoczonego pasa, znów przyspieszył. Koła podskakiwały na wybojach, zawieszenie klekotało głośno.

Ray uśmiechnął się, rozbawiony.

- No to miałeś prawo jazdy.

- Jedziemy kradzionym samochodem, a zresztą i tak nie mam prawa go prowadzić. A teraz uśmiechnij się do kamer.

Denise przewróciła oczami i włożyła stary rybacki kapelusz, nie zwracając uwagi na krzyki kierowców. Ruch na jezdni nieco zmalął. Przyjrzała się bagażom podróżnych. W samochodach widać było tylko walizki wrzucone na tylne siedzenie, ale kilka półciężarówek i pikapów było zarzuconych meblami, w niektórych jechały nawet domowe zwierzęta, głównie psy, szczekające w oszołomieniu. Z jakiejś przyczepy wyrzwał nawet bojaźliwy kucyk. Nie miała pojęcia, dokąd oni wszyscy zmierzają. Na tym kontynencie nie było żadnych dużych wiejskich skupisk, które mogłyby ich przyjąć. Była tylko Wielka Pętla i kilka osad rozrzuconych po Górach Mitchella. Dobrze wiedziała, co mieszkańcy tych okolic myśleli o uchodźcach z miasta.

- Cholera - mruknął Josep. Coraz więcej samochodów zaczęło zjeżdżać na pobocze. Pojazdy uwięzione na jezdni trąbiły wściekle na łamiących przepisach. Po kolejnych pięciuset metrach pobocze zmieniło się w parking. I wciąż znajdowali się ponad dwanaście kilometrów od lotniska.

- Omiń ich - zaproponował Ray.

Josep z westchnieniem uruchomił moduł zwiększonej przyczepności i zjechał z pobocza na trawę. Jechali dalej, przechyleni pod dziwnym kątem. Opony zostawiały głębokie ślady w glebie, wciąż wilgotnej po porannej ulewie. Samochody na poboczu trąbiły ze złością, gdy jeep mijał całkowicie nieruchome pasy.

Szaleńcza jazda skończyła się trzy kilometry przed lotniskiem, gdy teren po bokach jezdni zaczął się wznosić. Zbocza były zbyt strome dla jeepa, nawet przy wysokiej przyczepności.

Josep zahamował i wolno stoczył się z nasypu, aż w końcu opony dotknęły krawężnika oddzielającego pobocze. Cała autostrada stała. Ludzie wyszli z samochodów i

rozmawiali nerwowo. Denise ledwie mogła w to uwierzyć, ale tramwaje kursujące na szybkiej trasie także stały. Co odważniejsi piraci drogowi próbowali wykorzystać torowisko jako drogę, przebijając się przed barierką oddzielającą zewnętrzny pas. Na torowisku widniała długa łamana linia samochodów i półciężarówek - wyglądało to tak, jakby kilkanaście pojazdów zderzyło się w zwolnionym tempie. Kierowcy wrzeszczeli na siebie, wybuchło też kilka bójek.

- Wychodzimy! - zarządził Josep. - Jesteśmy już blisko.

Duży samolot pasażerski DB898 przeleciał nad nimi z hukiem - koła właśnie chowały się w kadłubie. Wysokowodorowe turbowiatraki zawyły głośno, gdy maszyna wzbiła się ostro w górę. Wszyscy wokół na chwilę zamarli, by popatrzeć. Większość podążyła przed siebie, jakby widok samolotu stanowił jakieś boskie wezwanie.

Denise, Josep i Ray również ruszyli szybkim truchtem, obrzucani zazdrosnym spojrzeniem przez rodziny z dziećmi i staruszków drepczących po betonie z ponurą desperacją. Dzięki b-wpisanym wzmocnieniom nie czuli ciężaru bagaży ani popołudniowego upału, utrzymali równe tempo przez całe trzy kilometry. Gdy dotarli do hali przylotów, Denise tylko lekko się spociała.

Tłum ludzi zgromadzonych przy bramkach był gęstszy niż przy wejściu na stadion w ostatnim dniu rozgrywek i znacznie bardziej niespokojny. Ludzie przepychali się, ignorując protesty albo piorunując spojrzeniem każdego, kto zwrócił im uwagę. Na olbrzymich płachtach ekranowych można było obejrzeć wywiady z przechodniami - niemal wszyscy reporterzy zadawali to samo pytanie: kiedy nasze zabezpieczenia orbitalne przerobią tych najeźdźców na radioaktywny obłok? Jakaś tajna rządowa organizacja musiała je chyba wybudować? Czyżbyśmy byli całkiem bezbronni?

Denise i jej koledzy przybyli do bramki numer trzy na pięć minut przed zakończeniem wsiadania na pokład. Tam, pośród pięciuset hałaśliwych, napierających zagniewanych ludzi Denise pocałowała i uściskała ich obu. Jeśli zaskoczyła ich ta nagła demonstracja uczuć, to nie dali nic po sobie poznać. W ciągu ostatniego roku ich zachowanie często doprowadzało ją do szału. Teraz zdała sobie sprawę, że zależy jej na nich obu prawie tak samo jak na powodzeniu misji.

- Uważajcie na siebie - mruknęła. To nie była zwykła pożegnalna formułka. To był rozkaz.

Mężczyźni uściskali ją i obiecali, że będą. Gdy nadstawili karty swoich fałszywych tożsamości, bramka otworzyła się przed nimi.

Denise prześlizgnęła się poprzez tłum i wyszła na taras obserwacyjny na dachu. Stała

tam sama. Wilgotny wiatr nadciągający z nad zatoki szarpał jej koszulkę, gdy stała przyciśnięta do barierki. Dwadzieścia minut później odrzutowiec Pan-Skyways wtoczył się na pas startowy i wzbił w niebo. Denise patrzyła, jak znika za zamglonym horyzontem, a potem uniosła głowę i spojrzała w stronę zenitu. Na błękitnym sklepieniu widniało siedem maleńkich, jasnych gwiazdek.

Rozłożyła szeroko ręce, zaciskając dłonie na gładkim, wytartym metalu. Wzięła głęboki oddech, czując, jak tlen przepływa przez jej arterie, wzmacniając przebudowane komórki. Siła fizyczna dodawała jej pewności siebie - lubiła ten stan ducha.

„Witajcie znowu - powiedziała migoczącym przybyszom. - Ale tym razem sprawy potoczą się nieco inaczej”.

\*\*\*

Simon Roderick siedział przy biurku w swojej kabinie w otoczeniu danych. Niektóre z nich pochodziły z paneli holograficznych, inne zaś z DNI. Wszystkie przepływały i wyświetlały się na żądanie. W każdej dziedzinie organizacja stanowiła klucz do sukcesu. Simon wiedział, że kapitan Krojen czuje się zdany na łaskę AS *Koribu* i jak bardzo odsuwa go to od rzeczywistego dowodzenia statkiem. Sam nigdy nie dopuściłby do takiej sytuacji. Podstawowy problem kapitana polegał na tym, że wszystkie polecenia wydawał przez swoich oficerów, czyniąc ich częścią całego procesu. Gdyby wyeliminował czynnik ludzki, natychmiast zbliżyłby się do przejęcia prawdziwej władzy nad swoimi urządzeniami.

Strumień danych otaczających Simona zmienił się ponownie, gdy ostatnie statki Trzeciej Floty weszły na orbitę na wysokości sześciuset kilometrów. Była niemal zgodna z optimum, które wyznaczył. Rzecz jasna, Thallspring nie użyło przeciwko nim żadnej broni pozaorbitalnej.

Z drugiej strony, podczas wejścia na orbitę, niemal bez przerwy bombardowano ich próbami komunikacji. W przesłanych pakietach ukryto kilka trojanów, kilka z nich było dość zaawansowanych - jak na tak odizolowany świat. AS *Koribu* rozpoznał je i natychmiast poddał kwarantannie. Żaden z nich nie był nawet w połowie tak efektywny jak Barbarzyńska Świadomość, której używali antyglobaliści na Ziemi.

Simon skupił się na obrazach napływających z satelitów obserwacyjnych, które Trzecia Flota wypuściła na orbicie Thallspring. Wyglądało na to, że ten świat poruszał się wciąż naprzód, w stałym, spacerowym tempie, od czasu ostatniej realizacji aktywów. Z map w podczerwieni wynikało, że osady rozrosły się zgodnie z oczekiwaniami, choć Durrell było znacznie większe, niż przypuszczano. W najgorszym przypadku oznaczało to dodatkowe sto tysięcy ludzi - siły lądowe zdecydowanie potrafiły dać sobie radę z taką liczbą. A co lepsze,

oznaczało to większą produkcję przemysłową. Wszyscy ci dodatkowi ludzie musieli skądś brać swoje domy, ubrania i porcje żywności.

Kilka białych plam na symulacji sprawiło, że skrzywił się z niezadowoleniem. Jego osobisty AS zauważył tę dezaprobatę i poinformował go, że transfer z trzech satelitów obserwacyjnych i jednego komunikatora geostacjonarnego zakończyły się niepowodzeniem. Wypuszczone satelity zostaną przeprogramowane, by uzupełnić te luki.

Odsunął dane planety na bok i połączył się z kapitanem Krojenem. Po chwili na holograficznym panelu pojawiła się skwaszona twarz dowódcy.

- Proszę o rozpoczęcie emisji strumienia gamma - oznajmił Simon.

- Nie wiedziałem, że już zakończyliśmy analizę - odparł Krojen. - Tam mogą być ludzie.

- Pierwsze skany nie potwierdziły obecności jakichkolwiek sztucznych konstrukcji w wybranych lokalizacjach. Moim zdaniem to wystarczająca przesłanka. Proszę o rozpoczęcie emisji - powtórzył Simon i przerwał połączenie, zanim kapitan zdążył zaprotestować i wyświetlił przed sobą schemat *Koribu*.

Zaraz za przedziałem silnika kompresyjnego zaczął się rozwijać emiter gamma. Identyczny mechanizm zamontowano na wszystkich statkach kolonijnych Z-B, jako niezbędny do stworzenia pierwszych osad. Składał się z dużego generatora promieni gamma i układu skupiającego wiązkę. Był to cylinder o średnicy piętnastu metrów i długości dwudziestu, umieszczony na końcu teleskopowego ramienia. Gdy już wysunął się z przedziału silnika, zewnętrzne segmenty cylindra otworzyły się niczym mechaniczny kwiat. Jego płatki były od środka upstrzone setkami szaro-czarnych heksagonalnych otworów dysz. Za chwilę rozłożył się kolejny rząd segmentów i jeszcze kolejny, aż w końcu utworzyły dysk o średnicy sześćdziesięciu metrów.

Pod kadłubem *Koribu* przelewał się drugi pod względem wielkości ocean na Thallspring, na horyzoncie właśnie ukazała się linia brzegowa kontynentu. Dokładnie naprzeciw statku leżało Durrell - szara plama na zielonym półksiężycu, stanowiącym enklawę ziemskiej roślinności. Resztę lądu porastały tubylcze drzewa i krzewy w kolorze akwamaryny.

Zestaw do emisji gamma obrócił się na końcu ramienia, aż w końcu skierował się w stronę osady. Małe pozycjonery wyznaczające azymut zmierzyły jego położenie i rozpoczęły namierzanie. Tokamaki umieszczone w przedziale silnika kompresyjnego zaczęły zwiększać moc, zasilając emiter wyprodukowaną energią. Ilość energii potrzebna statkowi do osiągnięcia prędkości nadświetlnej przecięła atmosferę w postaci jednej wiązki, która przy



zderzeniu z powierzchnią była nie szersza niż sto metrów.

Celem był fragment terenu położony na zachodnich obrzeżach osady, na granicy ziemskiej roślinności. Żadna żywa komórka nie była w stanie przeżyć takiej dawki promieniowania. Rośliny, zwierzęta, owady i bakterie Thallspring zginęły natychmiast, cały obszar zbrązowiał, trawa zbrązowiała i zwiędła. Gałęzie i liście zwisły bezwładnie i skuliły się pod naporem wiązki. W pniach drzew otworzyły się głębokie szczeliny, z przebitych rurek włoskowatych buchnęła z sykiem para. Zwierzęta padały na ziemię, skóra czerniała im jak pergamin, wnętrzności bulgotały, dymiąc lekko, po czym kostniały w mgnieniu oka. Nawet w głebie nic nie ocalało. Promienie gamma wdarły się głęboko w ziemię, zabijając bakterie i insekty.

Potem wiązka zaczęła się przesuwac, w tę i z powrotem, wykonując powolne ruchy wahadłowe na przestrzeni kilku kilometrów.

Simon odsunął dane emisji na dalszy plan. Skorzystał z przekaźnika geostancjonarnego Trzeciej Floty, by połączyć się z pulą danych Thallspring i poprosić o połączenie z prezydentem.

Człowiek, którego twarz ukazała się na panelu holograficznym, zbliżał się do sześćdziesiątki i miał grube rysy, wyostzone przez brak snu. Jednak gniew w jego oczach doskonale rekompensował wyraz sennego otepienia.

- Natychmiast wstrzymajcie ogień! - warknął prezydent Edgar Strauss. - Do kurwy nędzy, nie jesteśmy dla was żadnym zagrożeniem!

Simon lekko unióśł brew, słysząc przekleństwo. Gdyby tylko ziemscy politycy byli równie bezpośredni...

- Dzień dobry, panie prezydencie. Myślę, że powinienem się przedstawić. Nazywam się Simon Roderick i reprezentuję zarząd firmy Zantiu-Braun.

- Wyłączcie ten cholerny promień śmierci!

- Nic mi nie wiadomo o żadnym ogniu, panie prezydencie.

- Wasz statek do nas strzela.

Simon złożył dłonie w wieżyczkę i spojrzal na panel w zamyśleniu.

- Nie, panie prezydencie, Zantiu-Braun jedynie dokonuje aktualizacji inwestycji. Przygotowujemy fragment terenu pod dalszą rozbudowę Durrell. Chyba rozumie pan, że to dla was korzystne.

- Wsadź sobie tę inwestycję tam, gdzie słońce nie dochodzi, ty mały cycusiu.

- Czyżby zbliżały się wybory, panie prezydencie? Czy to dlatego zgrywa pan takiego twardziela?

- A co tacy jak ty mogą wiedzieć o demokracji?

- Ależ, panie prezydencie, nie ma powodu, by mnie drażnić. Muszę bardzo uważnie monitorować pracę programu sterującego emiterem. Żaden z nas chyba nie chciałby w krytycznym momencie znaleźć się w niewłaściwym położeniu?

Prezydent spojrzał na kogoś stojącego poza zasięgiem kamery, słuchał go przez chwilę, po czym jego mina jeszcze bardziej spochmurniała.

- W porządku, Roderick. Czego tym razem chcecie, sukinkoty?

- Przybyliśmy, by odebrać dywidendę. Jak pan zapewne wie.

- Dlaczego nie nazwiesz tego po imieniu? Jesteście zwykłymi piratami i wymordujecie nas wszystkich, jeśli nie spełnimy waszych żądań.

- Nikt tu nie zamierza nikogo mordować, panie prezydencie. To zbrodnia przeciw ludzkości karana śmiercią przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, a do tego całkowicie kontrproduktywna. Zantiu-Braun zainwestowała w Thallspring sporo pieniędzy. Nie chcemy zniszczyć swoich własnych aktywów.

Edgar Strauss zrobił się jeszcze bardziej nerwowy.

- Jesteśmy niezależnym światem, nie częścią waszego korpoimperium. Środki na kolonizację zostały zebrane przez izbę rozliczeniową Navarro.

- Która następnie sprzedała nam udziały w Thallspring.

- Jakiś pieprzony szwindel podatkowy na planecie dwadzieścia trzy lata świetlne stąd. To jeszcze nie daje wam prawa, by tu przychodzić i nas terroryzować.

- Nikogo nie terroryzujemy. Chcemy jedynie zabrać to, co jest nam prawnie należne. Wasz sen o domku z ogródkiem na odległej planecie spełnił się za nasze pieniądze. Nie da się uciec od zobowiązań finansowych. Najwyższy czas, byśmy zobaczyli jakieś zwroty.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Nie ma pan wyboru, panie prezydencie. Jako głowa państwa musi pan przekazać nam aktywa, które możemy upłynnić na Ziemi. Jeśli nie zdoła pan się z tego wywiązać, zostanie pan usunięty z urzędu i zastąpiony kimś, kto wykaże więcej rozsądku.

- A jeśli nikt się nie zgodzi? Myślicie, że zdołacie sterroryzować osiemnaście milionów ludzi, by przekazali swój majątek waszym gorylom?

- To niemożliwe i sam pan o tym wie.

- Jasne, że niemożliwe, bo inaczej nas pozabijacie!

- Panie prezydencie, jestem oficjalnie wyznaczonym przedstawicielem zarządu, upoważnionym do odebrania dywidendy. Wręczam panu oficjalne wezwanie do zapłaty. Teraz musi pan zadeklarować, czy pomoże mi w odbiorze dywidendy.

- Cóż, panie przedstawicielu zarządu. Jako prezydent niezależnej planety Thallspring mówię panu, że nie obowiązuje tu ziemskie prawo ani jurysdykcja żadnych ziemskich sądów. Jednak deklaruje, że poddaję się w obliczu inwazji wojskowej, która zagraża życiu i zdrowiu mieszkańców.

- To wystarczy - Simon uśmiechnął się promiennie. - Prześlę panu listę aktywów, którymi jesteśmy zainteresowani. Moi podwładni zostaną wysłani na powierzchnię planety, by dopilnować załadunku. Wspomożemy także miejscowe siły policyjne, aby zapobiec wszelkim zamieszkom. Jestem przekonany, że obaj chcemy to jak najszybciej mieć za sobą. - Przerwał połączenie z Edgarem Straussem i wydał rozkaz do zejścia.

\*\*\*

- Mamy zezwolenie na zejście - oznajmił Lawrence'owi kapitan Bryant. - Przygotuj swój pluton. Wchodzimy do szybów za dwie godziny.

- Tak, sir. Mamy już uaktualnione dane kartograficzne?

- Wsparcie taktyczne już obrabia dane z satelitów obserwacyjnych. Niech się pan nie martwi, sierżancie, dostanie je pan przed zejściem. Proszę wracać do swoich obowiązków.

- Tak jest. - Lawrence odwrócił się do plutonu. Wszyscy siedzieli na brzegach koi, wpatrując się w niego wyczekująco. - Okej, idziemy.

Hal zawył triumfalnie i wyskoczył z koi. Reszta plutonu szybko poszła w jego ślady, zmęczona lotem i ciągłymi utarczkami.

Lawrence jako pierwszy wszedł do przedziału z kombinezonami. Przedział mieszkalny był zatłoczony, ponieważ Skóry zajmowały sporo miejsca. Każda z nich została umieszczona w masywnym, przypominającym szafę pojemniku, który regularnie dostarczał jej odpowiedniej dawki tlenu i substancji odżywczych. Lawrence podszedł do szafki zawierającej jego własny kombinezon i otworzył małą szufladkę na dole. Była pusta, nie licząc plastikowej kapsułki, w której umieszczono parę membran optronicznych z pełnym polem widzenia. Włożył je na oczy i zaczął się rozbierać.

Pozostali żołnierze dowcipkowali i żartowali, rozbierając się z jednoczęściowych tunik. Lawrence nie przyłączył się do zabawy - jej pozorna beztroska skrywała napięcie, rosnące w miarę jak zbliżał się desant.

Rozebrał się do naga, nie licząc naszyjnika ozdobionego wisiorkiem z tanim hologramowym kryształem. Poglądził kciukiem zarysowaną powierzchnię i nagle uśmiechnęła się do niego siedemnastoletnia Roselyn. Technicznie rzecz biorąc, noszenie takich ozdób było sprzeczne z regulaminem, ale Lawrence nie zdejmował go już od dwudziestu lat. Wcisnął przycisk podajnika umieszczony obok szufladki. Z metalowej dyszy

wydobyła się strużka bladoniebieskiego żelu, który mężczyzna rozsmarował sobie po całym ciele. Wysmarowanie się w całości, także na głowie, pod pachami i w kroczu, zabrało mu ponad pięć minut. Potem wraz z Amersym posmarowali sobie nawzajem ramiona i plecy. Dopiero wtedy byli gotowi na włożenie kombinezonów.

Drzwi szafki otworzyły się, niosąc cichy powiew chłodnego powietrza. Lawrence położył dłoń na płycie skanera, chcąc zweryfikować budowę kości i komórek krwi. AS kombinezonu porównał wynik z danymi zapisanymi w sekcji e-alfa i potwierdził, że to ta sama osoba. Lawrence zaczekał, aż płyny odżywiające zostaną odprowadzone z kombinezonu, po czym odłączył przewody. Skrypty wysłane przez AS kombinezonu przesunęły mu się po membranach, ukazując status urządzenia. Lawrence poprawił pozycję, następnie wyjął bezwładny kombinezon z szafki. W grawitacji *Koribu* ważył wprawdzie niewiele, jednak miał podobną inercję co jego własne ciało.

Jego Skóra z pozoru niczym nie różniła się od pozostałych kombinezonów, które koledzy właśnie wyciągali ze swoich szafek. Jej elastyczny pancerz miał ciemnoszary kolor, bez żadnych widocznych szwów. Palce zostały utwardzone, tworząc lekko spiczaste zakończenia, stopy uformowano na kształt butów z twardymi podeszwami. W dotyku przypominała ludzką skórę, choć to właśnie zewnętrzna warstwa nie była w pełni biologiczna. Wykonano ją z inteligentnego poliwęglanu pokrytego warstwą cząsteczek maskujących, przeplatanych włóknem termicznym, pomagającym przekierować promieniowanie podczerwone. Nawet jeśli nieprzyjaciel zdołałby go namierzyć, pancerz był dość wytrzymały, by ochronić posiadacza przed wszystkimi pociskami z broni ręcznej i dużą liczbą pocisków artyleryjskich.

Lawrence kazał mu się otworzyć, ten zaś zrobił to gładko, przecięty szczeliną biegnącą wzdłuż piersi, od krocza aż po szyję. W środku pancerza znajdowała się warstwa syntetycznych mięśni grubości pięciu centymetrów. Włożył stopę do prawej nogi, czując, jak żel ścieka mu po skórze, a kończyna wsuwa się coraz głębiej w kombinezon. Zawsze myślał sobie, że przypomina to zanurzanie się w wielorybim tłuszczu. Potem włożył lewą stopę, jednocześnie wsuwając ręce do rękawów. Odchylił głowę i sięgnął po zwisający luźno kask. Poruszanie rękami, nawet w niewielkim zakresie, wymagało teraz dużego wysiłku, jakby próbował unieść ciężarki przy maksymalnym oporze. Powoli kask uniósł się w górę, a wtedy Lawrence wepchnął w niego głowę. Siatka była otwarta i nieaktywna, pozwalając mu zaczerpnąć oddech. Jak zawsze poczuł przyływ klaustrofobii - poruszał się z najwyższym trudem, nic nie widział i niczego nie słyszał.

Przed oczami zamrugały mu skrypty barwy indygo, a AS zgłosił, że jest gotów do

pełnej integracji. Lawrence udzielił mu pozwolenia. Szczelina w pancerzu znowu się zamknęła. Przez cały kombinezon przebiegł dreszcz, gdy syntetyczne mięśnie układały się w odpowiednim położeniu. Membrany optroniczne wyświetliły skomplikowane wzorce testowe, a potem zaczęły transmitować obrazy z czujników zamocowanych wokół kasku. Lawrence spojrział w prawo i w lewo. Kombinezon powtórzył ten ruch, dostosowując położenie czujników. Do uszu wślizgnęły mu się wtyczki audio, przez które usłyszał burczenia i narzekania reszty żołnierzy gramolących się do wnętrza swoich kombinezonów.

- Faza druga - rozkazał Lawrence.

Syntetyczne mięśnie chwyciły jego nogi i przytrzymały w sztywnym uścisku. Do zaworów w górnej części jego ud, chirurgicznie wszczepionych w żyły i tętnice udowe, podłączono niewielkie dysze. Drugi zestaw dysz został przytknięty do zaworów tętnic podobojczykowych na nadgarstkach, a ostatni - do szyi, łącząc tętnicę wspólną i żyłę szyjną wewnętrzną z układem krążenia kombinezonu. Gdy połączenia zostały fizycznie zabezpieczone, AS kombinezonu połączył się z narzędziami e-alfa zarządzającymi pracą zaworów i przełączył je w tryb aktywny. Zawory zostały otwarte i krew Lawrence'a zaczęła krążyć po mięśniach kombinezonu, mieszając się ze sztuczną krwią odżywiającą Skórę podczas pobytu w szafce. Na membranach ukazała się lista potwierdzająca nienaruszony stan kombinezonu. Wewnętrzne pęcherze z krwią zawierały duży zapas natlenionego płynu bogatego w substancje odżywcze, które można było podać do systemu krążenia w momencie wymagającym zwiększonego wysiłku. Poza tym organy Lawrence'a musiały obsłużyć mięśnie Skóry samodzielnie.

- Faza trzecia.

AS kombinezonu zaczął włączać szereg elektronicznych systemów peryferyjnych. Lawrence rozbudował ich możliwości, wgrywając swój program Prime, dzięki czemu zyskał lepszy interfejs i szybszy czas reakcji. Nikt inny nie wiedział o tej zmianie. Lawrence wciąż nie był pewien, czy Prime zostałby uznany za legalne oprogramowanie, a zresztą technicy Z-B bardzo nie lubili wprowadzania indywidualnych konfiguracji.

Faza trzecia rozpoczęła się od wyświetlenia kilku opcji sensorycznych, które użytkownik kombinezonu mógł podłączyć do siatki celowniczej. Interfejs komunikacyjny otwierał połączenia, poddając je odpowiedniemu szyfrowaniu. Filtry powietrza przesuwwały się po siatce pokrywającej kask, zapewniając ochronę przed bronią chemiczną i biologiczną. Zintegrowane systemy broni przeprowadzały sekwencje testowe. Lawrence wybrał neutralny kolor pancerza, zmieniając go z ciemnoszarego na bardziej błękitny - ludzkie oko ledwie było w stanie dostrzec tę zmianę. Wypromieniował ciepło generowane przez jego ciało i mięśnie

Skóry poprzez włókna termiczne. Pochewka na penisa powiadomiła Lawrence'a, że jest w pełni funkcjonalna i że może się odlać w każdej chwili.

Mężczyzna wstał i wypróbował szereg ruchów, które umożliwiała mu Skóra: poruszał kończynami we wszystkich kierunkach, robił skłony, zginał palce. Czujniki umieszczone po wewnętrznej stronie syntetycznych mięśni i, wspólnie z AS, poruszały kombinezon w żądanym kierunku. Lawrence przeszedł metodycznie przez różne pozycje, czując, jak uczucie klaustrofobii znika. Na jej miejscu z wolna zjawilo się zdradzieckie poczucie całkowitej niezwykłości. Nawet na Santa Chico jego Skóra nie zawiodła go ani razu. Wszystko, co pozwalało choć trochę uniezależnić się od kapitana Bryanta, było mile widziane.

Lawrence rozejrzał się po przedziale. Większość żołnierzy była już ubrana w Skóry i przeprowadzała standardowe testy. Zobaczył jednak, że Hal jeszcze nie założył kasku. Chłopak siedział na ławce, zmartwiał z nerwów. Lawrence podszedł i stanął tuż przed nim. Szybko pokazał mu uniesiony kciuk, tak by nie dostrzegła tego reszta plutonu.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał. Jego wzmocniony głos odbił się echem od aluminiowych ścian.

- Nie, sierżancie - odparł z ulgą Hal. - Dam sobie radę, dzięki.

Sięgnął za siebie rękami kombinezonu i niezdarnie namacał hełm. Potem zniknął w ciemności.

Pluton wymaszerował z magazynu kombinezonów i podążył korytarzem do zbrojowni. Każdy AS kombinezonu połączył się bezpośrednio z AS kwatermistrza, by uzyskać autoryzację na pobranie sprzętu. Po otrzymaniu przydziału Skóra Lawrence'a otworzyła się wzdłuż ramion, odsłaniając szereg mechanicznych komponentów wtopionych w mięśnie rąk, tworząc hybrydowe pistolety. Wepchnął magazynki w obudowy i patrzył, jak cienka warstwa mięśni zaczyna falować, przesuwając pociski i strzałki do odpowiednich woreczków i komór. Pistolet ogłuszający, który przypiął do paska, był największą z tych broni i najmniej zabójczą.

Z jakiejś bliżej nieznannej biurokratycznej przyczyny, AS w bazie na Cairns zdecydował, że woreczki z krwią należy rozdawać żołnierzom również w zbrojowni. Lawrence pobrał przydzielone mu cztery sztuki i schował je do kieszeni na podbrzuszu. Mogły utrzymać go w dobrej kondycji przez dodatkowych kilka godzin, gdyby trafili na wyjątkowo ciężkie warunki. Zawsze dobrze je mieć. Z drugiej strony, wiedział, że jeśli siły lądowe nie zdołają urządzić w Memu Bay bazy i koszar przed upływem pierwszego dnia, to wszystko i tak będzie bez znaczenia.

Teraz gdy pluton był już w pełni sprawny, wjechali windą na oś koła mieszkalnego, a

potem przeszli szerokim korytarzem do ładowni. Odcinek prowadzący do szybowców orbitalnych był jeszcze węższy, aż trudno było przecisnąć się tamtędy w Skórze. Wnętrze ich pojazdu - krótkiego cylindra zabudowanego dwoma rzędami plastikowych krzeseł - wcale nie zapowiadało się lepiej. Żołnierze przypięli się do siedzeń, szturchając się łokciami i klnąc na wszechobecną ciasnotę. Lawrence zajął miejsce na samym przedzie. Jego głowa znalazła się na wysokości wąskiego okna. Obok umieszczono też niewielką konsolę wyposażoną w dwa panele holograficzne, na wypadek gdyby automatyczny pilot natrafił na jakąś usterkę i trzeba było przejść na sterowanie ręczne. Jak na urządzenie, którego zadaniem było zwieźć pluton z orbity i dostarczyć w konkretne miejsce, zachowując margines błędu nie większy niż pięćdziesiąt metrów, szybowiec wyglądał zupełnie niepozornie.

Amersy zamknął właz i przypiął się do fotela. Drzenie kadłuba zdradzało, że pozostałe szybowce opuszczają właśnie swe silosy. Do startu pozostało osiem minut.

- Hej, sierżancie - zawołał Jones na kanale wspólnym.

- Zdaje się, że Karl już testuje rurkę na rzygowiny. Co nie, Karl?

- Spierdalaj, chuju.

- Uspokójcie się - upomniał ich Lawrence.

Membrany optroniczne powiadomiły go, że ma połączenie od kapitana Bryanta, które natychmiast przyjął.

- Zespół taktyczny zakończył sporządzanie map Memu Bay - oznajmił Bryant. - Są już dostępne. Każ plutonowi zainstalować nową wersję.

- Tak, sir. Jakież poważne zmiany?

- Wprost przeciwnie. Proszę się nie martwić, sierżancie, panujemy nad sytuacją. Do zobaczenia na dole. Prognoza meteorologiczna zapowiada piękną pogodę. Możliwe, że już dziś wieczorem zjemy sobie grilla na plaży.

- Mam nadzieję, sir. - Lawrence przerwał połączenie. „Dupek”, pomyślał krótko. AS kombinezonu otworzył kanał wspólny plutonu. - Dobra, mamy aktualną mapę. Zainstalujcie i zintegrujcie ją z systemem nawigacji. Nie chcę, żeby ktoś się zgubił.

- Zaznaczyli na niej jakieś przyzwoite bary? - spytał Nic.

- Hej, sierżancie, możemy się połączyć z pozostałymi? - spytał Lewis. - Żeby wiedzieć, co tam się dzieje?

- Jasne. Odel, ustaw to.

- Robi się, sierżancie.

Do lotu zostało pięć minut, Lawrence zaczął więc instalować nowe mapy na perłach neutronowych Skóry. Z ciekawości przejrzał dane, które Odel wyciągał z pul używanych

przez wojska na Durrell. Na jego membranach ukazała się niewielka siatka zawierająca podgląd filmów nakręconych z różnych szybowców. Powiększył jeden z nich, który okazał się rozchwianym obrazem z kamery dziobowej. W błękitnej pustce kołysał się wąski pasek lądu. Zewsząd padały krótkie rozkazy i komentarze.

- Żadnego ognia z ziemi - stwierdził Amersy. - To dobrze.

- Widzieliście już jakichś mieszkańców? - spytał Hal.

- Jeszcze nie. Ale zawsze musi być ten pierwszy raz.

Trzy minuty.

Lawrence odsunął nagranie i wyświetlił nową mapę Memu Bay. Wyglądała prawie identycznie jak miasto, które zapamiętał z poprzedniej wizyty. Duże obiekty, jak stadion czy port, nadal tu były. Z jakiegoś powodu wydawały się teraz mniejsze.

Nałożył starą mapę na nową i westchnął płytko, patrząc na nowy układ dzielnic. Memu Bay rozrosło się ponad wszelkie oczekiwania Z-B. Większą populację trudniej będzie utrzymać w ryzach. „Świetnie”. Mówią, że żaden plan nie jest w stanie przetrwać kontaktu z wrogiem, ale byłoby miło, gdyby po wylądowaniu na plaży ich obecna strategia miała choć trochę sensu.

Otworzył połączenie z kapitanem Bryantem.

- Sir, miasto jest znacznie większe, niż sądziliśmy.

- Nie do końca, sierżancie, najwyżej o kilka procent. Poza tym lokalizacja centrum ośrodka pozostała ta sama. Nasza strategia pozostaje bez zmian.

- Czy otrzymamy dodatkowe wsparcie?

- A niby skąd? To Durrell rozrosło się jak szalone. Prawdę mówiąc, rozważamy przesłanie im wsparcia.

- Które plutony? - spytał Lawrence z niepokojem. Nie przewidział, że mogą im zmienić przydział w trakcie misji. Wszystkie jego plany wzięłyby w łeb.

- Żadne, sierżancie - odparł zmęczonym głosem Bryant. - Proszę monitorować swoją ikonę statusu. I niech pan się już nie martwi. Większa populacja oznacza większy zastaw. Mamy dość jednostek, by przeprowadzić tę operację.

- Tak jest.

Minuta.

Wibracje, które odczuwali poprzez kadłub, nagle stały się wyraźniejsze. Gdy Lawrence sprawdził ikonę statusu, zobaczył, że szybowiec kapitana wysunął się z silosu tuż pod nimi. Potem ich własny pojazd zatrząsł się gwałtownie, sunąc w dół po szynach.

- Trzymajcie kapelusze, panienki! - zawołał Edmond. - Będziemy skakać na bungee z



aniołami, a ktoś właśnie przeciął linę!

W oknie rozbłysło światło. Lawrence zobaczył, jak oddala się od nich skraj silosu, ciemny ośmiokąt obramowany białosrebrzystym, pozbawionym połysku metalem, a po chwili kurczy się w oddali, otoczony przez inne silosy. Potem ujrzał resztę statku. Znow uśmiechnął się, podziwiając jego piękną, funkcjonalną sylwetkę. Silosy w szaleńczym tempie wyrzucały z siebie szybowce i lądowniki. Oddalały się od *Koribu* w postaci z wolna rozpadającej się chmury, lecąc w stronę planety, zwrócone tyłkiem naprzód. Lądowniki miały postać przysadzistych zaokrąglonych stożków, otoczonych kołnierzem z małych silników rakietowych, umieszczonych nieopodal czubka. Szybowce także przypominały stożki, nieco spłaszczone, by uzyskać kadłub nośny z zamontowanymi na grzbiecie zwróconymi w tył skrzydłami. Pokryto je grubą szarawą pianką izolacyjną, aby mogły bez uszczerbku przejść przez atmosferę. W tylnej części umieszczono silnik rakietowy. Szybowce, które widzieli w pobliżu, wypuszczały strumienie brudnożółtego gazu z dysz systemu reakcyjnego, obracając się podczas lotu.

AS zaczął uruchamiać własne silniki manewrowe, ustawiając je tak, by układ napędu był ustawiony równolegle do orbity. Wtedy przez okno zobaczyli Thallspring, matowy ocean pokryty strzępkami chmur; atmosfera zewnętrzna wyglądała jak srebrzysta widmowa korona, pieszcząca ciemną wodę. Memu Bay było skryte za horyzontem - od miasta wciąż dzieliła ich jedna trzecia planety.

Wokół szybowca wybuchły pomarańczowe iskry, a oddział zaczął płonąć - setki ognistych pióropuszy uniosło się nad silnikami, buchając ogniem w próżni i wybuchając kaskadą lśniących cząsteczek, jakby w skład paliwa wchodził jakiś tęczyowy płyn.

Wyświetlacz profilu lotu rozpoczął odliczanie dla ich własnego lądownika. Rakieta umieszczona w środku napędu włączyła zapłon, dając im dodatkowego kopa o mocy czterech g. Z punktu widzenia żołnierzy ubranych w ochronne pancerze była to jedynie drobna uciążliwość. Trzydzieści sekund później wszystko zakończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Małe silniki rakietowe zwiększyły moc, obracając pojazd o 180 stopni. Teraz nos skierowany był w kierunku celu. Prędkość szybowca spadła poniżej prędkości orbitalnej i pojazd zaczął łagodnym łukiem schodzić w dół.

Przez kolejnych piętnaście minut napęd rakietowy pilnował położenia pojazdu, od czasu do czasu szturchając kadłub z pomocą silników reakcyjnych. Nagle na wprost nich zapłonęło mnóstwo iskier, co oznaczało, że szybowce i lądowniki dotarły do górnej warstwy gazów. Tym razem płonęły dłużej, dając ciemny, wiśniowy płomień, i zmieniały kształty, w miarę jak ochronna pianka parowała pod wpływem tarcia. Otaczająca przestrzeń szybko

wypełniła się szarymi smugami, celującymi prosto w dół, niczym rydwany mściwych bogów.

Lawrence poczuł, że kadłub drży coraz bardziej, w miarę jak zanurza się w chemosferę. Połączenia komunikacyjne ze statkiem i satelitami transmisyjnymi osłabły. Następnie zostały przerwane, a powietrze wokół kadłuba stawało się coraz bardziej zjonizowane. AS zaczął poruszać klapami na skrzydłach, testując manewrowość pojazdu. Gdy okazało się, że gęstość ośrodka zapewnia odpowiednią kontrolę nad urządzeniem, odpalił ładunki wybuchowe umieszczone pod napędem raketowym. Eksplozja szarpnęła kadłubem; pasażerowie polecili gwałtownie w przód, na szczęście dzięki Skórom nie było to zbyt bolesne. Teraz nie było już co oglądać - szkarłatne płomienie buchające ze spalającej się pianki pełgały na szybie, rozświetlając całą kabinę.

Lecieli na ślepo z prędkością Mach 18, ciągnąc za sobą trzykilometrowy ogon plazmy, a siła grawitacji ściągała ich coraz niżej. Lawrence wiedział, że może tylko czekać i modlić się, podczas gdy AS manipulował powierzchniami nośnymi, poruszając pojazd z precyzją delfina, aby zachować równowagę w tym ponaddźwiękowym ślizgu. Zawsze najbardziej nienawidził i bał się tego momentu. Musiał wtedy zaufać najtańszemu kontrahentowi Z-B, który wybudował to urządzenie, i po prostu przeczekać.

Przyjrzał się swojemu plutonowi, wyświetlając obraz i okna danych telemetrycznych. Zgodnie z przewidywaniami tętno Amersy'ego wynosiło ponad sto, a sam kapral spokojnie mruczał jakąś pieśń gospel. Hal zadawał mnóstwo pytań, a Edmond i Dennis odpowiadali mu na zmianę, kłócili się ze sobą albo radzili mu, by się zamknął. Karl i Nic po cichu rozmawiali. Jones wyświetlił profile jeepów, które załadowano dla nich do kapsuł. Podczas gdy Odel... Lawrence powiększył jego siatkę, patrząc na dane telemetryczne. Odel kiwał głową na boki, wystukując rytm palcami na kolanie. Uruchomił osobiste pliki zapisane w pamięci Skóry. Sunąc poprzez atmosferę z dzikim wdziękiem umierającej komety, Odel kołysał się radośnie w rytm piosenki Slippy Martina.

Przy prędkości Mach 8 płomienie pokrywające kadłub zaczęły gasnąć i lądownik otoczyło jasne światło dnia. Lawrence dostrzegł resztki pianki pokrywające dziób pojazdu - czarna bulgocząca smoła, odpadająca kropelkami na boki. Antena lądownika namierzyła sygnał z satelity przekaźnikowego i nawiązała połączenie.

Po membranach Lawrence'a przesunęły się dane taktyczne. Pozostałe lądowniki przeszły hamowanie aerodynamiczne bez szwanku. Jeden z nich, pluton Oakleya, nie trafił w ląd - miał wylądować pięćdziesiąt kilometrów od brzegu. Ich AS modyfikował już trasę tak, by wylądować na jednej z największych wysp archipelagu, gdzie miał po nich przybyć helikopter.

Kapitan Bryant zaczął korygować rozmieszczenie plutonów, chcąc zrekompensować tę stratę. Pluton 435NK9 otrzymał dwie dodatkowe ulice.

- Zawsze do usług - burknął Amersy, przeglądając nowe rozkazy.

- Ocenimy sytuację dopiero na dole - oznajmił Lawrence. Obaj wiedzieli, że dodatkowe ulice zostaną kompletnie zignorowane. Podczas wykonywania misji na terenie wroga plutony mogły kierować się własną oceną sytuacji, co dawało trochę swobody. Dla Lawrence'a priorytetowym zadaniem było przeprowadzić pluton przez miasto bez żadnych incydentów.

Według danych taktycznych kapsuły opadały zgodnie z planem. Miały inny tor lotu niż lądowiki - ich trasa hamowania było dłuższa i wyższa, a następnie opadała stromo. Miały wylądować na ziemi poza granicami Memu Bay. Obserwując ich lot, Lawrence od razu dostrzegł, że rozproszyły się za bardzo i to jeszcze zanim zostały wystawione na działanie wiatru. Z doświadczenia wiedział, że prawie połowa z nich spadnie poza wyznaczonym obszarem. Odzyskanie ich wszystkich zabierze dużo czasu.

Przed sobą zobaczył gwałtownie rosnąca linię brzegową. Jednak dopiero, gdy zakrzywiona linia horyzontu wyprostowała się gwałtownie, zrozumiał, jak szybkie musi być tempo spadku. Gdy wychylił się naprzód, dostrzegł rozrzucony w dole archipelag. Wyglądało to tak, jakby na ciemny ocean spadło kilka kropel śmietany. Grzbiety koralowych gór wznoszących się z dna oceanu, leżącego ponad kilometr pod powierzchnią, utworzyły setki wysepek i atoli pokrytych białym piaskiem. Fale łamały się o rafy, pryskając pianą. Największe koralowe wyspy porastały kępki roślinności. W wodzie pomiędzy atolami widać było ciemne pagórki - podwodne rafy. Lawrence'owi natychmiast przypomniało się wybrzeże Queensland, gdzie wdrożony przez Z-B program restauracji ekologicznej pomógł uratować ginącą Wielką Rafę Barierową. Tylko błękitne zabarwienie liści zdradzało, że znajdują się na obcej planecie.

W pobliżu kontynentu wyspy koralowe były większe i porośnięte gęstym lasem. Liście roślin miały soczysty zielony kolor, a plaże osłaniały długie grzbiety martwego koralu. Wszędzie widać było drewniane pomosty sięgające w głąb oceanu. Pod palmami wybudowano małe chatki, na piasek wyciągnięto małe żaglówki i łodzie canoe.

- To zbyt piękne, żeby było prawdziwe - stwierdził Dennis. - Może po misji powinniśmy tu zostać.

- Niezły pomysł - odparł Nic. - Ale pamiętaj, że jak znajdą cię tubylcy, to zrobią z ciebie przynętę dla ryb.

Szybowiec zatrząsł się gwałtownie, gdy ich prędkość spadła poniżej Mach 1. Dziób

opadł niżej i nagle ich oczom ukazało się Memu Bay, wtulone pomiędzy szczyty niepokojąco wysokich gór. Tempo lotu sprawiało, że po naturalnej skórce Lawrence'a przebiegł dreszcz. Szybowce miały aerodynamikę godną cegły - jedyne, co pozwalało je ustabilizować, to ruch naprzód. A on właśnie zwalniał.

Port przesunął się na prawo i teraz wpatrywali się w płytką zatoczkę obrzeżoną rudawego koloru plażą. Wzdłuż brzegu biegła marmurowa promenada, oddzielając wybrzeże od budynków. Stało na niej kilka radiowozów, entuzjastycznie migających kogutami. AS znów uniósł dziób pojazdu, jeszcze bardziej wytracając prędkość. Po wyrównaniu położenia tracili wysokość w oszałamiającym tempie. Od plaży dzielił ich już tylko kilometr, a od fal - kilkaset metrów.

- Uwaga! - zawołał Lawrence. - Trzymać się!

\*\*\*

Myles Hazeldine stał na balkonie otaczającym czwartą kondygnację budynku ratusza, wpatrując się w niebo ponad oceanem. Za jego plecami stało dwóch najbliższych asystentów. Don i Jennifer towarzyszyli mu, odkąd po raz pierwszy został radnym przed dwudziestu laty - był jednym z najmłodszych radnych Memu Bay w historii. Od tamtego czasu okazywali mu pełną lojalność, nie zważając na całe to dżganie w plecy i pranie brudów, jakie od zawsze towarzyszyło polityce demokratycznej. Nawet wątpliwe etycznie umowy, jakie zawarł ze stowarzyszeniem przedsiębiorców, które wsparło finansowo jego kampanię, nie zdołało ich zrazić. Wszyscy stracili swój naiwny, młodzieńczy idealizm - prawdopodobnie już podczas pierwszej kadencji, gdy Myles wygłosił sporo żarliwych mów potępiających poprzedniego burmistrza. Obecnie tworzyli pragmatyczny, opanowany zespół, efektywnie zarządzający miastem i trzymający na dystans młodych zapaleńców próbujących krytykować władze. Do diabła - Myles wciąż był dumny z tego, jak pokierował niedawnym rozwojem Memu Bay. Było to dobrze prosperujące miasto - wysokie wskaźniki gospodarcze, niezbyt wysoki wskaźnik przestępczości... Żeby to szlag. Problemy społeczne, związki zawodowe, biurokraci, finanse, skandale - z tym potrafił sobie radzić. Ale ten kryzys przekraczał możliwości ich wszystkich.

Wiedział, że jeśli stawi heroiczny opór korporacji Zantiu-Braun, zaogni tylko sytuację, a dowódca kierujący tą inwazją i tak go wyrzuci. Nic w ten sposób nie osiągnie. Jeśli postanowi współpracować i dopilnuje, by gnoje nakradli, ile wlezie, zostanie uznany za kolaboranta i zdrajcę. Nigdy mu tego nie wybaczą.

Na czystym lazurowym niebie pojawił się rój czarnych kropek, poruszających się z niewiarygodną szybkością w kierunku plaży na wschód od miasta. Myles zwiesił głowę w

bezsilnej furii. Edgar Strauss połączył się z nim wczoraj, nakazując, by współpracował.

- Nikt z nas nie chce, żeby doszło tu do jakiejś rzeźni. Nie pozwól na to. I nie pozwól, aby pozbawili nas godności.

Kolejny polityk przytłoczony wydarzeniami, na które nie miał wpływu. Myles przez chwilę miał ochotę zapytać: „Dlaczego nie przydzielił pan środków na budowę zabezpieczeń pozaorbitalnych? Dlaczego jesteśmy tak bezbronni?“. Ale za bardzo przypominałoby to kopanie leżącego. Najlepsze pociski, jakimi dysponowało Thallspring, nadałyby się co najwyżej do stawienia symbolicznego oporu. Bóg jeden wiedział, jak bardzo zaawansowana była obecnie technologia na Ziemi. A statki Z-B z pewnością wywarłyby odwet, użyłyby ich jako pokazówki. Myles przypominał sobie poprzednią inwazję: śmierć jego syna, skąpe racje żywności wydzielane mieszkańcom przez wiele miesięcy, podczas gdy miasto z trudem usiłowało stanąć na nogi. Wszyscy widzieli także zdjęcia wypalanej ziemi na obrzeżach Durrell stanowiące bardzo jednoznaczną i przekonującą demonstrację możliwości najeźdźców.

Wiedział, co musi zrobić - dać przykład pozostałym mieszkańcom. Był całkowicie świadom, że to koniec jego kariery. Po zakończeniu inwazji będzie musiał opuścić Memu Bay. Ale z drugiej strony, wiedział to już w chwili, gdy kazał policji odgrodzić plażę, gdzie zmierzały szybowce, i spacyfikować wszelkich awanturników. Współpraca oznaczała także, że musiał minimalizować ryzyko najróżniejszych idiotycznych aktów oporu. Dzięki temu miał ocalić życie wielu ludziom, chociaż nie spodziewał się podziękowań. Może był mieszkańcom coś winien w zamian za te wszystkie szemrane umowy, które zawarł w ciągu dwudziestu lat. Ta świadomość trochę pomagała.

Podskoczył nerwowo, gdy z oddali rozległy się gromy dźwiękowe. Bardzo przypominały odgłos wybuchu. We wszystkich oknach zadrżały szyby. Zobaczył, jak stado ptaków zrywa się do lotu, trzepocząc skrzydłami w oszołomieniu.

Pierwszy szybowiec wylądował w wodzie. Przysadziste stożki spadały pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni, by na koniec uderzyć w leniwą toń, kilkaset metrów od brzegu. Fontanny wody strzeliły na wszystkie strony, ciągnąc się za kadłubem, w miarę jak pojazd ślizgał się po powierzchni, stopniowo zwalniając. Kilka szybowców wyjechało na piasek, wydając chrzęszczący odgłos i skrzęcając gwałtownie. Jeden z nich niemal dotknął promenady, zabrakło tylko kilku metrów.

- Szkoda - burknął Don.

Większość szybowców zatrzymała się w wodzie, kołysząc się na płyciznach. Włazy otworzyły się gwałtownie. Krępe, ciemne sylwetki wyskoczyły ze środka i zaczęły brodzić w

stronę brzegu, bez wysiłku brnąc poprzez wodę. Myles aż za dobrze znał ich kolor, rozmiary i siłę.

Nagle na murku promenady rozwinął się wielki transparent.

*Gińcie, jebane nazistowskie świnie.*

Jakieś dzieciaki rzuciły się do ucieczki. Policja nie próbowała ich łapać.

- Jakież to oryginalne - mruknął pod nosem Myles. Miał nadzieję, że będzie to najgorsza prowokacja, na jaką odważą się miejscowi chuligani. - Idziemy - zwrócił się do Dona i Jennifer.

Najeźdźcy wbiegali już po schodach i obstawiali deptak. Zupełnie nie zwracali uwagi na policję.

Myles zjechał windą do prywatnego apartamentu burmistrza w ratuszu. Nie lubił tego miejsca. Sufity były zbyt wysokie, a pokoje za duże. Nie nadawało się na dom rodzinny. Jednak jego własny dom znajdował się po przeciwnej stronie miasta, czterdzieści minut stąd, a zatem w dni robocze musieli mieszkać tutaj.

Szerokie drzwi balkonowe prowadziły z jego biura do małego centralnego ogrodu. Zobaczył Francine leżącą na ławce w cieniu japońskiej sosny. Miała na sobie prostą czarną sukienkę z białą lamówką. Spódniczka była krótsza, niż Myles uważał za stosowne, kończyła się wysoko ponad kolanem. Niestety, nie udało mu się przeforsować swojego zdania w tej kwestii, odkąd córka skończyła trzynaście lat. Cindy wiedziałyby, co zrobić. „Cholera, powinienem był ożenić się powtórnie. Brak czasu to takie żałosne usprawiedliwienie”.

Dziewczyna poprawiła okulary przeciwsłoneczne. Myles dostrzegł, że marszczy brwi i zrozumiał, że prawdopodobnie ogląda kanały informacyjne. Miał ochotę podejść do niej, objąć ją rękami i przyrzec, że to się wkrótce skończy i że nikt nie zrobi jej krzywdy. Prawdopodobnie na całym Thallspring dobrzy ojcowie tak właśnie pocieszali swoje dzieci.

Jednak czekali na niego urzędnicy i kierownictwo partyjne, a oni przecież też mieli rodziny. Myles spojrział jeszcze raz na patio i z ociąganiem usiadł za biurkiem.

- Na początku chcę powiedzieć, że każdy, kto chce złożyć wymówienie ze skutkiem natychmiastowym, może to zrobić bez żadnych problemów. Nie będzie to miało wpływu na waszą emeryturę ani świadczenia. - Na chwilę zapadła niezręczna cisza, ale nikt nie wystąpił naprzód. - W porządku. Dziękuję wam za wsparcie. Jak już wiecie, postanowiłem wykonać polecenie Straussa i okazać gotowość do współpracy. Ci najeźdźcy są znacznie potężniejsi od nas, a do tego pozbawieni skrupułów. Sabotowanie zakładów chemicznych czy obrzucanie ich żołnierzy kamieniami spowoduje odwet na wielką skalę, do którego nie mogę dopuścić. Musimy zatem znosić to z uśmiechem i mieć nadzieję, że w drodze powrotnej ich statki

wpadną w czarną dziurę. Sądzę, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, zdołamy wyjść z tego bez większego uszczerbku, przynajmniej jeśli chodzi o infrastrukturę. Margret?

Margret Reece, komendantka policji, przytaknęła niechętnie. Wpatrywała się w raporty sunące po jej membranach. Nie patrzyła nikomu w oczy.

- Przystudiowałam dane z ostatniego razu. Tak naprawdę interesuje ich tylko splądrowanie naszego przemysłu. Tam skupią się ich siły zbrojne. W pozostałej części miasta możemy robić, co chcemy, wszczynać zamieszki albo spalić je do gołej ziemi, oni i tak się nie przejmą. Dopóki fabryki pozostaną nietknięte, będą dostarczać stałe transporty surowców, a pracownicy zjawiają się na stanowiskach, Z-B da nam spokój.

- Dlatego musimy dopilnować, żeby tak się stało - podsumował Myles. - Reszta administracji działa jak zwykle. Żeby fabryki działały, reszta miasta musi funkcjonować w miarę normalnie.

- Zamierzają kraść też żywność? - spytała Jennifer. - Pamiętam, że ostatnim razem nie zostało jej zbyt wiele.

- Wezmą tylko tyle, ile potrzebują dla siebie - odparła Margret. - Biorąc pod uwagę, że trzydzieści procent turystów zdołało stąd umknąć, zanim zamknęliśmy lotnisko, rafinerie żywnościowe mają aktualnie sporą nadwyżkę. Kryzys, który mieliśmy tu poprzednim razem, wynikł z winy jakiegoś zbuntowanego durnia, który zbombardował dwie linie produkcyjne.

- Nie możemy dopuścić, żeby to się powtórzyło - oznajmił natychmiast Myles. - Nie dopuszczę, żeby jakiś heroiczny ruch oporu narażał życie niewinnych ludzi.

- Wątpię, żebyśmy doczekali się jakiego zorganizowanego oporu - stwierdziła Margret. - Z-B zawsze pilnuje, by zyski z kar za sabotaż przeważały nad stratami wizerunkowymi. Na wszelki wypadek obserwujemy ludzi, którzy mogą sprawiać kłopoty.

- A turyści? - spytał Don. - Wielu z nich nie zdążyło wrócić do domu. Lotnisko wygląda jak obóz uchodźców.

- Decyzja nie należy do mnie - odparł Myles. Bardzo starał się opanować gniew i mówić wyraźnie. - Gubernator powiadomi nas, czy dopuszcza transport cywilny i w jakim zakresie. Biorąc pod uwagę cel ich wizyty, prawdopodobnie będą chcieli, by wszyscy wrócili do domu i byli jak najbardziej produktywni.

- Jeden z plutonów dotarł na główny plac - oznajmiła głośno Margret. - Lada chwila tu będą.

„Tak szybko?”. Myles odetchnął głęboko. Wiele zależało od tego, jaką umowę uda mu się wypracować z gubernatorem.

- W porządku. Chodźmy z uśmiechem przywitać tych gnojków.

\*\*\*

Denise stała w tłumie zebrany na obrzeżach dzielnicy Livingstone. Ludzka ciekawość wygrała w końcu ze strachem i setki ludzi wyległy z domów, aby na własne oczy zobaczyć całe widowisko. Jednak praktycznie nie widać było dzieci. Tłum składał się głównie z dorosłych i starszych nastolatków wpatrzonych ponuro w ulice prowadzące do nabrzeża, gdzie policja ustanowiła strefę zamkniętą. Rozmowy sprowadzały się do złowróżbnych pomruków, opowieści o straszliwych możliwościach Skór i makabrycznych czynach popełnionych przez najemników podczas ostatniej inwazji.

Bary wciąż były otwarte. Większość mężczyzn trzymała w rękach puszki piwa, z których popijali regularnie, wpatrzeni w swoje okulary lub membrany, śledząc lot szybowców spadających z jasnego nieba. Atmosfera przypominała Denise dzień rozgrywek tuż przed meczem, kibice drużyny gospodarzy z trudem znosili prowokacyjne wygłupy rywali. Zwierzęcy terytorializm wciąż stanowił istotny element ludzkiej psychiki. Wiedziała, że zadziała to na jej korzyść. Sytuacja była bardzo niestabilna, a większość policji obstawiła nabrzeże i promenadę. Burmistrz martwił się, że poczciwi mieszkańcy miasta wypadną na plażę, gdy tylko wylądują szybowce. Idiota. Otwarta plaża to nie jest miejsce do walki w mieście, zwłaszcza gdy ma się przeciwko sobie dobrze wyszkolony oddział.

Jej okulary przeciwsłoneczne transmitowały nagrania ukazujące lądowanie pojazdów. Wokół zabrzmiały niezadowolone pomruki. Szybko wysłała serię zaszyfrowanych wiadomości do członków jej komórki, zebranych na ulicy. Odesłali potwierdzenia. Wszyscy byli gotowi.

U wylotu ulicy pojawili się pierwsi żołnierze Z-B. Było ich pięciu, kroczyli wolno, ale pewnie. Na widok zebranego tłumu nawet nie przystanęli.

Denise uniosła okulary i spojrzała na człowieka idącego na przedzie. Zrobiła zbliżenie. Kombinezony typu „Skóra” bardzo przypominały to, co już kiedyś widziała. Żołnierze wyglądali jak kulturyści ubrani w obcisłe kostiumy gimnastyczne. Wszyscy mieli grube palce i dziwne zgrubienia na ramieniu. Kształt hełmu trochę się zmienił - elastyczna Skóra kończyła się na wysokości szczęki, gdzie przechodziła w utwardzony pancerz osłaniający górną część twarzy i czaszkę.

Na poziomie oczu znajdował się rząd czujników. Z policzków wystawały dwa zawory skrzelowe. Jedyne widoczne uzbrojenie stanowił ciężki, nieporęczny pistolet, przypięty do paska, obok kilku woreczków („prawdopodobnie dla lepszego efektu”, pomyślała Denise). Profil cieplny był zadziwiająco jednolity. Różnice wahały się w granicach kilku stopni.

Wyszła ze zbliżenia. Ulicą podążało w ich stronę dziewięć Skór. Od strony



zgrupowanych poleciała wiązanka obscenicznych wyzwisk. Tłum falował, ale nikt nie odważył się wyjść dalej niż cztery, pięć metrów naprzód. A później nagle na środek drogi wszedł młody mężczyzna. W rękę trzymał puszkę piwa, którą opróżnił kilkoma haustami. Skóry zignorowały go. Podeszły bliżej. Wtedy demonstrant odwrócił się do nich tyłem, pochylił się i ściągnął szorty.

- Pocałujcie mnie w dupę!

Tłum zawtórował śmiechem i wyzwiskami. Kilka puszek padło na ulicę w pobliżu Skór, wirując w kółko, w miarę jak wylewało się z nich spienione piwo. Skóry wciąż podążały naprzód, milczące i niepowstrzymane. Denise musiała przyznać, że są dobrze zdyscyplinowane. Jej perła przechwytywała krótkie transfery danych z poszczególnych kombinezonów. Program Prime zabrał się do łamania szyfru.

Nad głowami tłumu przeleciał kamień i trafił jednego ze Skór prosto w pierś. Ulepszony wzrok Denise pozwolił jej dostrzec, jak zewnętrzna warstwa kombinezonu twardnieje w miejscu uderzenia. Żołnierz na chwilę przystanął, a kamień odbił się od niego, nie robiąc mu krzywdy. Wciąż nie próbowali brać odwetu. Kilku chłopaków, ośmielonych ich pozorną biernością, wypadło z tłumu i rzuciło się na żołnierzy, jakby rozgrywali mecz rugby.

Jeden ze Skór przystanął i odwrócił się do napastnika, stając z nim twarzą w twarz. Chłopak wrzeszczał coś na cały głos, rozkładając szeroko ramiona. Sekundę przed zderzeniem Skóra odstał błyskawicznie na bok i pochylił się lekko, wyciągając rękę. Złapał chłopaka za pierś i poderwał go z nieludzką siłą. Napastnik wyleciał w górę, niesiony własnym rozpędem, aż w końcu znalazł się w powietrzu, ponad żołnierzem. Jego zew bojowy zmienił się w okrzyk strachu, gdy zdał sobie sprawę, że wisi trzy metry w powietrzu, głową na dół i leci w stronę ściany pobliskiego sklepu. Tłum w milczeniu patrzył, jak gorączkowo miota kończynami. Rozległ się głuchy, wilgotny stukot i głośny trzask łamanej kości, gdy chłopak wpadł na ścianę. Jego krzyk zamilkł natychmiast.

Drugi z żołnierzy po prostu wyciągnął otwartą rękę i wskazał na swego przeciwnika. Nawet nie ruszył się z miejsca, gdy chłopak wpadł na niego z rozpędem. Wyciągnięte palce trafiły napastnika w pierś. Buchnął z nich jasny błysk wyładowań elektrycznych i po chwili chłopak runął w tył, miotając się konwulsyjnie. Potem zwałił się na chodnik w drgawkach.

Tłum warknął groźnie i zaczął otaczać Skóry. W ich kierunku poleciał grad puszek i kamieni.

\*\*\*

Lawrence wiedział, że jest źle, gdy tylko dotarł do promenady i zobaczył tłum zgromadzony na ulicy. Wolałby, żeby policja wypuściła ich na plażę. Na ulicy było ciasno, a

to mogło pociągnąć za sobą dużo ofiar.

- Zachowajcie spokój - przypomniał, głównie na użytek Hala. - Kiedyś muszą się dowiedzieć, do czego jesteśmy zdolni. Równie dobrze możemy się zaprezentować od razu. Szybka demonstracja szokowa powinna sprawić, że w przyszłości dwa razy się zastanowią.

Krzyki i obelgi zupełnie ich nie obeszły. Piwo spieniło im się u stóp, a oni przeszli ponad nim. Dobrze wymierzony kamień trafił Odela w pierś.

- Nie reaguj - rozkazał Lawrence.

- Nie powinniśmy powiedzieć, żeby się cofnęli? - spytał Hal. W jego głosie zabrzmiał cień niepewności. - Tylko ich rozzuchwałamy.

- To jeszcze nic - odparł lekceważąco Edmond. - Jeden Skóra mógłby załatwić tych alfonsów z palcem w nosie. Nie denerwuj się, młody.

Lawrence powiększył odczyty telemetryczne Hala, by sprawdzić tętno. Było wysokie, ale dopuszczalne.

- Musimy udawać niezwykłych - dodał Amersy.

- Połowa sztuki to sprawić, żeby sami w to uwierzyli. Idź śmiało naprzód. No dalej, przypomnij sobie, czego cię uczyli na szkoleniu.

Dwóch rozwścieczonych młodych ludzi wypadło z tłumu, biegnąc plutonowi naprzeciw.

- Żadnej broni! - zakomenderował Lawrence. - Lewis, poraż swojego.

Drugi zmierzał prosto na Hala. Sierżant nie powiedział ani słowa, ciekaw był, jak dzieciak sobie poradzi. Okazało się, że rzut był idealnie wymierzony. Napastnik runął prosto pod ścianę.

- Dobra robota, młody! - wrzasnął Nic.

- Ładnie - stwierdził z podziwem Jones. - Ale mogłeś odwrócić się szybciej!

- Tak, ale ty nie - odparł złośliwie Hal. - Jesteś za stary i masz słaby refleks.

- Wal się, szczeniaku.

- Zachować szyk! - rozkazał Lawrence. Nie podobał mu się nastrój tego tłumu. - Dobra robota, Hal, ale nie cieszcie się przedwcześnie, chłopcy.

Tłum napierał coraz bardziej, otaczając żołnierzy, zmierzając do czołowego starcia. Puszki i kamienie leciały teraz ze wszystkich stron.

- Potraktujesz ich strzałkami? - spytał Dennis.

- Jeszcze nie. - Lawrence przełączył się na zewnętrzny głośnik i podkreślił dźwięk. - Proszę odejść! - Zauważył, że ludzie stojący najbliżej krzywią się boleśnie i przyciskają dłonie do uszu. - Zakłócają państwo porządek, tworząc zbiegowisko. Zostałem upoważniony,

aby rozpedzić was przy użyciu odpowiednich środków. Proszę się rozejść. Gubernator i burmistrz już wkrótce powiadomią państwa o dalszych ustaleniach.

Jego mechanicznie wzmocniony głos zagłuszył potok wyzwisk. Lawrence rozejrzał się po wykrzywionych nienawiścią twarzach i przez chwilę zastanawiał się, jak by to było stanąć tutaj bez Skóry. Na samą myśl przeszły go dreszcze.

- No dobra, brać ogłuszacze. Chcę... - AS kombinezonu wyświetlił ostrzeżenie pośrodku siatki taktycznej. Czujniki namierzyły szybko zbliżający się obiekt cieplny. Koktajl Mołotowa poszybował łukiem, ciągnąc za sobą smugę błękitnego płomienia zdradzającego paliwo wysoko wodorowe. Pocisk obracał się w powietrzu i zmierzał wprost na Karla.

- Niech cię trafi - rozkazał Lawrence.

Karl zdążył już wysunąć rękę, z pancerza wystawała lufa pistoletu kaliber 9mm. Celownik laserowy namierzył mołotowa.

- O, rany - jęknął Karl. - Jak ja tego nie lubię, sierzancie.

Mołotow trafił go w hełm. Szkło rozprysło się wokół, a z wewnątrz buchał płomień, który szybko ogarnął cały kombinezon. Stojący najbliżej demonstranci wycofali się w panice. Ogień płonął coraz jaśniej, spalając pozostałe paliwo. Reszta plutonu uniosła ogłuszacze i odwidła bezpieczniki.

- Powiedz im, Karl - polecił Lawrence.

Płomienie zgasły, ukazując nienaruszoną Skórę.

- Osoba, która rzuciła ten pocisk, jest aresztowana - oznajmił Karl poprzez swój głośnik. - Proszę wystąpić naprzód. Natychmiast. - Wyjął zza paska własny ogłuszacz. - Powiedziałem: natychmiast!

Tłum znów zaczął krzyczeć i skandować. Poleciało więcej kamieni. Potem w powietrzu pojawiły się kolejne trzy mołotowy. Znów celowały w Karla.

„Ktoś tu się nieźle zorganizował”, pomyślał nagle Lawrence. Pociski zmierzały w tę samą stronę, choć wyleciały z różnych kierunków.

- Zestrzel je - rozkazał.

Karl i Amersy trafili butelki w locie. Wielkie kule ognia wybuchły w powietrzu. Płonące paliwo spłynęło na zgromadzonych w dole ludzi, którzy rozbiegli się, krzycząc z bólu. Tłum wpadł w szal i runął naprzód.

- Rozdzielić się! - wrzasnął Lawrence. Wycelował swój ogłuszacz i nacisnął spust. Plastikowy nabój uderzył mężczyznę w klatkę piersiową, impet uderzenia rzucił go na trzy osoby z tyłu. Runęli niczym ludzkie kręgle i zniknęli zdeptani przez biegnących.

Pluton utworzył okrąg. Ogłuszacze strzelały prawie bez przerwy. Z psychologicznego

punktu widzenia działały znacznie lepiej niż strzałki. Duża, groźna broń, głośny strzał i człowiek lecący w tył. Wszystko to było bardzo oczywiste, łatwe do zrozumienia i działo się na oczach obserwatorów. Każdy miał ochotę natychmiast uciec, by nie spotkało go to samo.

AS Lawrence'a zaalarmował go, że w pobliżu słychać strzały z broni palnej, w tej samej chwili uruchomił też program do analizy. Ktoś z tłumu używał strzelby powtarzalnej. Zobaczył, że Dennis zatacza się w tył, jego pancerz był całkiem utwardzony.

- Skąd to się, kurwa, wzięło?

Trzy programy AS skoordynowały swoją triangulację radiową i wskazały linię ognia. Czujniki wizualne Lawrence'a ukazały mu obraz człowieka biegnącego poprzez tłum z czymś długim i ciemnym w ręce. Przekazał obraz Lewisowi i Nicowi.

- Bierzcie go.

Żołnierze wdarli się w tłum, odpychając ludzi na boki.

Ktoś wskoczył Odelowi na plecy i chwycił za szyję, próbując go zadusić. Mężczyzna sięgnął w tył i bez wysiłku zdjął go z siebie. Dwóch demonstrantów rzuciło się na Lawrence'a. Uderzył jednego z nich, celując w ramię, potem kopnął drugiego, na tyle mocno, by usłyszeć dźwięk pękającej kości. Za każdym razem AS Skóry moderował siłę ciosów - wymierzone z pełną siłą Skóry potrafiły przebić klatkę piersiową na wylot. Jeśli uderzenie nie miało być śmiertelne, należało zawsze celować w kończyny.

Napastnicy znajdowali się teraz za blisko, by użyć ogłuszaczy. Lawrence zrobił unik, chcąc umknąć przed ciosem jakiegoś szaleńca, który zamachnął się na niego krzesłem. Ktoś strzaskał mu na ramieniu kolejną butelkę; odłamki szkła ześlizgnęły się nieszkodliwie po pancerzu Skóry.

Jones krzyknął i Lawrence zobaczył, że jego siatka zabarwia się na czerwono. Wykresy zawirowały szaleńczo, próbując zinterpretować dane. Czujniki wizualne skupiły się na nim. Jones upadał, wymachując powoli rękami. Runął na chodnik, aż płyty pękły od uderzeń pięści.

- Jones! - krzyknął Lawrence. - Status?

- Wporzo - zbulgotał Jones. - Porażenie elektryczne. W porządku. Skurwysyn poraził mnie ładunkiem. Kurwa mać, co za bydlę.

- Amersy - Lawrence zwrócił się do kaprała. - Wypuść strzałki.

Wyglądało to tak, jakby Bóg sięgnął z nieba i wyłączył wszystkich ludzi. Pierwsze szeregi atakujących zwały się na ziemię z zaskoczonymi minami, które wkrótce wygładziły się niczym u osób pogrążonych w głębokim śnie. W ciągu kilku sekund Lawrence'a i jego pluton otaczał piętnastometrowy pierścień nieruchomych ciał. Reszta tłumu wpatrywała się w

swych nieprzytomnych towarzyszy z niemym przerażeniem.

Amersy wystrzelił drugą rundę.

Wokół rozległy się spanikowane okrzyki i pozostali napastnicy rzucili się do ucieczki, znikając w zaułkach w niewiarygodnym tempie.

- Punkt dla wojowników dobra - oznajmił Edmond.

- To wariaci! - jęczał Hal. - Kompletnie im odjechało. Tak już będzie za każdym razem?

- Mam szczerą nadzieję, że nie - odparł Odel.

- Jones? - Lawrence podszedł do kolegi, który powoli usiadł na chodniku. - Wszystko w porządku?

- Kurczę, chyba tak. Większość pochłonęła izolacja. Cholerne gówno rozpieprzyło mi połowę elektroniki. Systemy zaczynają teraz wracać online. Centrala e-alfa restartuje cały AS.

Lawrence'owi wcale się to nie podobało. Kombinezon powinien ich osłonić przed każdym ładunkiem, cała elektronika była zabezpieczona przed EMP. Rozejrzał się po opustoszałej ulicy. Wiele nieprzytomnych ciał krwawiło, zobaczył też paru, którzy oberwali młotowem. Poparzenia wyglądały groźnie.

Kamienie. Młotowy. Strzelby. Prąd elektryczny.

„Ktoś nas testuje”, pomyślał. „Chcieli poznać możliwości naszych Skór”.

- Dennis, obejrzyj Jonesa, proszę.

- Tak, sierżancie.

- Czy ktoś z was widział, kto potraktował Jonesa ładunkiem?

- Byłem trochę zajęty - odparł Karl. - Przykro mi.

- W porządku, zawsze możemy przejrzeć nagrania z czujników.

- Newton? - Rozległ się głos kapitana Bryanta. - Co tam się, u diabła, stało?

- Tłum wyrwał się spod kontroli, sir. Nie sądzę, by... - Siatka wyświetlająca pomiary telemetryczne Nica Fuccia zamigotała i poczerniała. W uszach Lawrence'a rozbrzmiał przeraźliwy alarm medyczny.

- Sierżancie! - wrzasnął Lewis. - Sierżancie, trafili go! O, Jezu. O, kurwa. Trafili go!

- Dennis, do mnie! - krzyknął Lawrence. Biegł teraz pędem, poruszając się z niewiarygodną prędkością pomiędzy ciałami rozrzuconymi na ulicy, a potem skręcił w wąską uliczkę. Wskazówki nawigacyjne barwy indygo prowadziły go bezbłędnie. W lewo. W prawo. Po łuku. W prawo. Grupa ludzi po drugiej stronie wąskiej ulicy, wpatrzonych w coś na ziemi. Wdarł się pomiędzy nich, nie zwracając uwagi na okrzyki bólu.

Na brukowanej drodze leżał żołnierz w Skórze. Spod kombinezonu wypływała

ciemnoczerwona krew, tworząc gęstą, lśniąca kałużę. Pomędzy łopatkami Nica widniała dziura wielkości pięści. Była bardzo poważna, ale Skóra powinna utrzymać go przy życiu. Układ krążenia wciąż był wpięty w żyłę szyjną i tętnicę. W tak ekstremalnej sytuacji AS powinien dostarczać krew do mózgu, póki nie zjawią się sanitariusze. Snajper, kimkolwiek był, musiał o tym wiedzieć. Drugi strzał padł już w momencie, gdy Nic leżał na ziemi. Odstrzelił mu górną połowę czaszki.

Lewis klęczał na ziemi obok niego. Otworzył awaryjne zawory w dolnej części hełmu, a na pierś chlusnął mu strumień wymiocin.

- Nie żyje! - zawodził. - Nie żyje! Nie miał żadnych szans!

Lawrence rozejrzał się wokół. Cywile cofali się pospiesznie. Głowy znikaly w otwartych oknach, które potem szybko zatrzaskiwano.

- Skąd padł strzał? - spytał sierżant.

- O, Boże! O, Boże! - Lewis kołysał się w tył i w przód.

- Lewis! Skąd padł ten strzał?!

- Kurwa, nie wiem!

Lawrence rozejrzał się po opustoszałej ulicy, analizując ostatnie odczyty telemetryczne Nica. Biegł na wschód, a zatem, sądząc po ranie, został postrzelony w plecy. W pobliżu nie było żadnych okien ani balkonów, na których mógłby zacząć się strzelec. Gdy uniósł wzrok, zobaczył wieżę kościelną wystającą wysoko ponad okoliczne dachy. Stamtąd rozciągał się widok na całą ulicę, ale była oddalona co najmniej o kilometr.

\*\*\*

Myles Hazeldine miał cichą nadzieję, że gubernator okaże się rozsądnym politykiem, otwartym na kompromis, jednak rozwiła się ona jeszcze, zanim się spotkali. Stał przy głównym wejściu do ratusza, patrząc, jak odziani w Skóry najeźdźcy maszerują poprzez główny plac. Mieszkańców, którzy stanęli im na drodze, brutalnie odpychano na bok. Goryle Z-B nie zawracali sobie głowy modyfikowaniem siły kombinezonów, przez co ich ofiary leciały daleko w tył i padały z rozmachem na płyty chodnikowe.

Trójka postaci idących na czele kolumny wbiegła po szerokich schodach ratusza, a Myles w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że nie zamierzają się zatrzymać. Pospiesznie odsunął się na bok, a najeźdźcy wpadli do środka, niemal wyłamując z zawiasów ciężkie drzwi.

To nie ich siła najbardziej przeraziła Mylesa, ale czysta, świadoma arogancja.

- Hej! - zaprotestował.

- Pan jest tu burmistrzem?

Z jednej ze Skór dobiegł nadmiernie wzmocniony głos.

- Jestem demokratycznie wybranym przedstawicielem Rady Memu Bay. To znaczy, tak.

- Pójdzie pan z nami.

- Dobrze. Chciałbym najpierw...

- Teraz.

Myles odprawił swoich asystentów i wrócił do ratusza. Goryle Z-B rozstawili się przy wejściu do budynku. Twarde podeszwy stukwały o marmurowe posadzki niczym kopyta. Urzędnicy nerwowo wyglądali zza drzwi i odsuwali się szybko, gdy wysokie, obojętne postacie zaczęły przeglądać pokoje. Kilku z nich wbiegło po schodach na pierwsze piętro.

Największa grupa skierowała się prosto do apartamentu burmistrza, Myles musiał się bardzo starać, chcąc dotrzymać im kroku. Nikt nie zapytał go o drogę. Oczywiście, mieli wgrane mapy budynku.

„Powinienem był przeprojektować budynek - pomyślał. - Przynajmniej bym ich wkurzył i popsuł ten efekt nieomyślności”.

Drzwi do prywatnego gabinetu zostały otwarte i kilka Skór weszło do środka. Myles zobaczył, jak Francine zrywa się z ławki w ogrodzie. Chwyciła Melanie i przycisnęła do siebie. Myles z dumą dostrzegł, że twarz dziecka była ponura i zacięta, ale nie przerażona. Wykonał szybki, uspokajający gest.

Jeden z goryli Z-B stanął przy drzwiach i wskazał na asystentów Mylesa.

- Wy - oznajmił dudniący głosem. - Zaczekajcie na zewnątrz. - Następnie grubym paluchem przywołał Mylesa.

- A ty do środka.

Myles stanął przed własnym biurkiem, a drzwi za jego plecami zatrzaśnięto z hukiem. Jedna z postaci w kombinezonach usiadła na jego krześle. Myles skrzywił się odruchowo, gdy stare drewno sosnowe zaskrzypiało pod nadmiernym ciężarem.

- Należałoby lepiej dyscyplinować te wasze Skóry - powiedział spokojnie. - Jak tak dalej pójdzie, to w całym mieście nie ostaną się ani jedne drzwi.

Na chwilę zapadła cisza, a potem kombinezon otworzył się wzdłuż szczeliny na piersi. Cała iluzja wszechmocności zniknęła bez śladu. Mężczyzna z trudem ściągnął hełm, a gdy się wynurzył, jego twarz była pokryta lepką, niebieską mazią.

Myles uśmiechnął się rozbawiony.

- Kichnął pan tam czy co?

- Nazywam się Ebrey Zhang. Jestem dowódcą sił lądowych Z-B w Memu Bay i

okolicach, a także gubernatorem sprawującym władzę nad ludnością cywilną. Udzielę panu teraz jedynej rady, jaką otrzyma pan ode mnie podczas całej okupacji: lepiej mi się nie odszczekiwać, jasne?

Wyglądał mniej więcej tak, jak Myles się tego spodziewał. Miał około czterdziestki, azjatycki kolor skóry, wąskie oczy i rzadzące ciemne włosy. Oczy miał pokryte niezwykle grubymi membranami, przypominającymi jaszczurze łuski, przez co jego grymas wyglądał niemal komicznie. Zwykły wojskowy biurokrata próbujący stworzyć wrażenie, że doskonale nad wszystkim panuje.

- Kawa na ławę, co? - spytał Myles.

- Tak. Nie lubię polityków. Za bardzo manipulujecie słowami.

- A ja nie lubię wojsk okupacyjnych. Zabijacie za dużo ludzi.

- To dobrze. W takim razie zawrzyjmy układ. Rozmawiam z burmistrzem Mylesem Hazeldine'em, tak?

- Tak.

- Potrzebne mi kody dostępu do pańskiej sieci administracji cywilnej.

Oczywiście, w gruncie rzeczy nie były im do niczego potrzebne. Dysponując takim oprogramowaniem, prawdopodobnie mogliby przejąć kontrolę nad całą siecią w kilka sekund. Jednak żądanie miało wymiar symboliczny. Pokonany wódz barbarzyńców miał uklęknąć Cezarowi do stóp, uznając zwierzchność Rzymu.

- Oczywiście - powiedział Myles i polecił perle stacjonarnej wyświetlić kody.

Ebrey zwrócił się do jednego z pozbawionych twarzy kombinezonów.

- Skonfigurujcie interfejs i wprowadźcie nadzór nad lokalną pulą danych w ciągu dziewięćdziesięciu minut. Chcę wiedzieć, co tu się dzieje i kto może stawiać opór.

- Tak jest - odpowiedział kombinezon.

- Panie burmistrzu, oficjalnie wyznaczam pana moim zastępcą. Pańskie zadanie polega na dopilnowaniu, aby służby cywilne w tym mieście działały bez zakłóceń. Ogólnie rzecz biorąc, pańskie obowiązki pozostaną bez zmian, z kilkoma wyjątkami. Będziemy monitorować pańską pracę. Funkcjonowanie rady zostanie zawieszona. Nie zamierzam tu tolerować jakiegoś stada gadatliwych upierdliwców. Po drugie, nie wolno panu złożyć rezygnacji. Po trzecie, okaże mi pan wszelką niezbędną pomoc, aby dać przykład innym mieszkańcom. Po czwarte, mój zastępca przejmie kontrolę nad służbami policyjnymi. Obowiązujące prawo pozostanie bez zmian, nie licząc jednej dodatkowej zasady. Wszelkie próby utrudniania naszej działalności będą karane śmiercią. A pierwszy pod ścianą stanie ten mały skurwiel, który postrzelił dziś jednego z moich ludzi.



- Postrzelił?

- Zabił, ściśle rzecz biorąc. Przypuszczam, że zaraz zaprzeczy pan, by miał z tym cokolwiek wspólnego.

Myles rozejrzał się po otaczających go postaciach, desperacko pragnąc zobaczyć ich twarze.

- Nie wiedziałem o tym...

- Chwilowo przyjmę tę deklarację za dobrą monetę. Ale proszę mi uwierzyć, że już niedługo rozpracujemy ten ruch oporu, który tu zmontowaliście, i zetrzemy go z powierzchni ziemi. Nie pozwolę, aby ktoś sabotował naszą operację, a już na pewno nie w taki sposób.

- Ktoś postrzelił jednego z waszych?

- Tak. Dowódca plutonu uważa, że była to zasadzka.

- Ale... czy ten człowiek nie był ubrany w Skórę?

- Tak. To właśnie najbardziej mi się nie podoba.

- Dobry Boże.

- Tak właśnie. Przejdźmy do kolejnej kwestii. Zakładam, że słyszał pan o naszej polityce zastawowej?

Na wieść o śmierci żołnierza Myles poczuł, że serce załomotało mu w panice. Siły Z-B przebywały w Memu Bay od trzydziestu minut, a ich dowódca już zaczynał myśleć o akcjach odwetowych. Gdy usłyszał o zastawie, mięśnie klatki piersiowej zeszywniały mu gwałtownie.

- Słyszałem.

- Oczywiście. - Ebrey Zhang sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął obręcz przypominającą naszyjnik z białego, plastikowego sznurka. - Wybierzemy teraz około tysiąca osób i założymy im te naszyjniki. Każdy z nich zawiera mały aplikator neurotoksyny. Jej działanie jest zupełnie bezbolesne - w końcu nie jesteśmy dzikusami - ale całkowicie skuteczne. Powoduje śmierć w ciągu pięciu sekund od wstrzyknięcia i chyba nie muszę dodawać, że nie ma na to lekarstwa ani antidotum. Każde z tych urządzeń ma swój numer seryjny i za każdy akt przemocy skierowany przeciwko Zantiu-Braun wylosujemy jeden lub więcej numerów, które następnie zostaną nadane przez nasze satelity. Aplikator zostanie uruchomiony, a właściciel obroży umrze. W przypadku próby usunięcia lub unieszkodliwienia naszyjnika, aplikator uruchomi się automatycznie. Mechanizm ma także wbudowany dwudziestoczterogodzinny timer, codziennie resetowany przez satelity za pomocą specjalnego kodu. A zatem jeśli ktoś uzna, że może uniknąć aktywacji naszyjnika, chowając się pod ziemią albo w ekranowanym pomieszczeniu, to zyska na tym nie więcej niż

dwadzieścia cztery godziny. Jakież pytania?

- Myślę, że wyraził się pan jasno.

- To bardzo dobrze. Miejmy nadzieję, że nasza współpraca będzie owocna i unikniemy w przyszłości takich incydentów jak dzisiejszy. - Zhang w roztargnieniu potarł plastik grubymi palcami kombinezonu.

Myles nie mógł oderwać oczu od tej straszliwej rzeczy.

- Teraz mi pan to założy?

- Ależ nie, panie burmistrzu! Jakiż byłby w tym sens? Zastaw ma na celu zagwarantowanie dobrego zachowania u osób postronnych. Gdyby działacze opozycji zobaczyli pana w takim kołnierzu, natychmiast wyszliby na ulicę i obrzucili moich ludzi kamieniami. Widzi pan, panie burmistrzu - nie mam zamiaru zrobić z pana męczennika, po prostu wolałbym, żeby poparł pan tę deklarację dobrej woli jakimś pozytywnym działaniem. Niech pan pozwoli, że zademonstruję... - Obrócił się na krześle i uśmiechnął się do Francine, która wciąż stała pośrodku ogrodu.

- Nie! - wrzasnął Myles. Rzucił się naprzód, ale ciężka ręka Skóry osadziła go w miejscu. Nie mógł się poruszyć. Łzy napłynęły mu do oczu, miał wrażenie, że zaraz pęknie mu obojczyk.

Ebrey Zhang przywołał dziewczynę. Francine obrzuciła go ponurym, buntowniczym spojrzeniem, a potem postawiła siostrę na ziemi i szepnęła jej coś do ucha. Melanie przebiegła przez ogród i zniknęła w drzwiach po drugiej stronie. Francine wyprostowała się i weszła do gabinetu.

- Mam dla ciebie prezent, moja droga - oznajmił Ebrey Zhang, po czym rozwarł obręcz.

- Na litość! - wrzasnął Myles. - Ona ma tylko piętnaście lat!

Francine uśmiechnęła się dzielnie.

- Wszystko w porządku, tato. - Uklękła przed gubernatorem, który założył jej obręcz na szyję. Końcówki złączyły się ze sobą, a naszyjnik zaciskał się, aż w końcu przyległ ciasno do szyi.

- Wiem - odparł wyrozumiale Ebrey Zhang. - Chcesz mnie zabić.

Francine przebiegła przez pokój i rzuciła się na szyję Mylesowi. Mężczyzna przycisnął ją do siebie, gładząc ciemne, kasztanowe włosy.

- Jeśli coś jej się stanie, zginiesz - powiedział gubernatorowi. - I nie będzie to ani szybkie, ani bezbolesne.

\*\*\*

Patrol prowadził wzdłuż jednego z pięknych szerokich bulwarów w centrum miasta. Ulica obrzeżona była wysokimi drzewami, których korony rzucały miły cień. Karl Sheahan szedł środkiem torów tramwajowych, modląc się, by jakiś cholerny cywil spróbował go podciąć albo chociaż krzywo na niego spojrzeć. Wszystko, byle tylko zyskać pretekst, by legalnie rozwalić mu czaszkę. Chciał pomścić śmierć Nica, nieważne jakim kosztem.

Zostawili Amersy'ego i Hala przy zwłokach, reszta tymczasem kontynuowała patrol ustaloną trasą, choć Karl próbował się temu sprzeciwić. Uważał, że wszyscy powinni zostać, choćby przez szacunek. Ale sierżant był nieugięty. Ruszyli zatem swoimi ulicami, wypatrując śladów zorganizowanego oporu.

Wściekłość przynajmniej pomagała opanować nerwy. Jasna cholera, ta banda rybojebców miała spluwy, które potrafiły przebić Skórę jak bawełnianą koszulkę. Było bardzo, bardzo źle. Oznaczało to, że wszyscy byli narażeni na atak, póki ci goście z działu śledczego nie zidentyfikują broni. Karl był pewien, że w końcu to zrobią. Śledczy byli straszliwie dziwni, ale skuteczni. A tymczasem wszyscy musieli chodzić po mieście z wypiętym tyłkiem, tylko czekając na celnie wymierzonego kopa. Niedobrze. Niedobrze.

Rozglądał się uważnie, wypatrując czegokolwiek, co mogłoby choć odlegle przypominać lufę strzelby. Wysoko wznosił przy tym ogłuszacz i wyglądało na to, że jak na razie udało mu się odstraszyć ludzi. Mieszkańcy co najwyżej zerkali na niego z okien. Usłyszał parę gwizdów, ale nic poza tym. Wiadomość o strzelaninie rozlała się po lokalnej puli. Najpierw zabity żołnierz, potem masowe strzałkowanie i ulice szybko opustoszały.

Z bocznej uliczki wylazł na niego jakiś staruch, wymachując laską, jakby to on był tu panem. Karl szedł przed siebie.

- Hej, synku! - zawołał mężczyzna.

- Co?

Przybysz zatrzymał się na skraju chodnika.

- Podejdź no tu!

Karl zaklął wewnątrz hełmu i zmienił kierunek tak, by przejść obok niego.

- Czego chcesz?

- Szukam twojej matki.

Sensory Karla zogniskowały się na nim, chciał lepiej przyjrzeć się nieznajomemu. Mężczyzna naprawdę był w podeszłym wieku, skórę miał ciemną i pomarszczoną, prawdopodobnie za dużo przebywał na słońcu.

- Mojej matki?

- Tak. Słyszałem, że stręczy twoją siostrę. Chciałbym wiedzieć, ile bierze za godzinę.

Chętnie wyruchałbym kogoś z was.

Karl zacisnął pięści. AS kombinezonu musiał zmodyfikować uchwyt pistoletu, by nie zniszczyć rękojeści.

- Wracaj do wariatkowa, stary pryku - odparł, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie. Pieprzona kolonia pasożytów. Nie rozumiał, dlaczego Z-B nie może po prostu potraktować ich wszystkich strumieniem gamma i wysłać własnych ludzi do obsługi fabryk.

Laska świsnęła w powietrzu i z trzaskiem uderzyła go w plecy. Pancierz nie musiał nawet twarzenie, by uchronić go przed ciosem.

- Kurwa! Przestań! Pieprzony świr!

- Pochowają go tutaj, wiesz, synku?

Oстрыm końcem laski próbował teraz wydłubać jeden z czujników na hełmie.

- Przestań! - Karl popchnął go lekko. Mężczyzna niemal upadł, ale szybko odzyskał równowagę i znów zaatakował.

- Nie możecie zabrać ciał do domu. Za dużo ważą, a Z-B jest na to zbyt skąpa. Twój przyjaciel zostanie pochowany w naszej ziemi. A wtedy ja go wykopię, gdy już odleciecie.

- Spierdalaj! - Karl odrzucił laskę.

- Naszczamy na niego i zabierzemy czaszkę na pamiątkę. I będziemy sobie później opowiadać o tym, jak zginął, obsrany ze strachu, z rozbryzganym mózgiem.

- Tu skurwielu! - Karl rzucił się na szaleńca i zamachnął pięścią. Mężczyzna chichotał obłąkańczo.

- Karl? - Rozległ się głos Lawrence'a. - Karl, co tam się dzieje?

Pierdolony obwód telemetryczny! Karl nie wiedział, ile już razy miał ochotę go wyrwać. Odetchnął, nie opuszczając pięści.

- Złapałem ich przywódcę, sierżancie. Wie coś na temat tej broni.

- Karl, ten gość ma chyba z tysiąc lat. Puść go.

- On coś wie!

- Karl, nie daj się sprowokować. Właśnie o to im chodzi.

- Tak, sir. - Karl puścił mężczyznę, po czym zdał sobie sprawę, że jednak może się zemścić. - Wiesz co, zasańcu? Teraz ty dostaniesz pamiątkę. Co ty na to? - Otworzył sakiewkę przy pasie i wyciągnął z niej naszyjnik zastawowy. Szalony staruszek śmiał się nawet w chwili, gdy zapinał mu go na szyi, tak jakby była to najlepsza rzecz, jaka mogła go dziś spotkać.

\*\*\*

Michelle Rake spędziła cały ranek, siedząc na łóżku z kolanami przyciśniętymi do

piersi. Była wprawdzie całkowicie ubrana, ale nie potrafiła się zmusić, by choć na krok wyjść z mieszkania. Inni studenci poszli popatrzeć na najeźdźców maszerujących przez Durrell. Michelle wiedziała, jak to się skończy. Zaczną rzucać kamieniami w przybyszów z Ziemi, którzy w odpowiedzi postrzelą ich pociskami ogłuszającymi i zapną im na szyjach eksplodujące obroże.

A zatem siedziała w pokoju, śledząc wydarzenia za pośrednictwem serwisów informacyjnych, dzięki temu mogła z bliska obejrzeć spadające na miasto szybowce, z których szybko wynurzyły się tysiące Skór. I przekonała się, że miała rację. Poleciały kamienie i butelki, nawet jakieś płonące pociski. Na ulicach wzniesiono barykady, które następnie podpalono. Najeźdźcy przeszli przez nie, jakby padał na nich deszcz, nie snop iskier. Nic nie było w stanie ich zatrzymać.

Były też inne formy stawiania oporu. W wiadomościach podano, że jeden ze zbiorników wodoru w kosmodromie eksplodował. Kilka budynków administracji cywilnej podpalono; nad całą stolicą unosiły się słupy dymu. Pula danych działała wolno i czasem Michelle na kilka minut traciła połączenie, a tymczasem w elektronicznym cieniu miasta programy staczały ze sobą dziwne, niewidzialne bitwy.

Kwadrans po przybyciu lądowników pojawiły się kapsuły ze sprzętem, spadające z nieba pod wielkimi żółtymi spadochronami. Wszystkie dryfowały w stronę parków i łąk leżących na zachód od Durrell. Kamery pokazały też kilka kapsuł, których spadochrony zaplątały się w locie i cała konstrukcja runęła w dół i roztrzaskała się na ziemi, sypiąc odłamkami metalu i plastiku.

Przez cały czas miała otwarte połączenie ze swoimi rodzicami w Colmore, miasteczku położonym dwa tysiące kilometrów na południe. Wiedzieli, jak bardzo przeraziła ją ta inwazja. Właśnie zaczęła pierwszy rok studiów i nie zdobyła jeszcze zbyt wielu przyjaciół. Najbardziej ze wszystkiego chciała teraz wrócić do domu, ale komercyjne loty zawieszono już w kilkanaście godzin po zauważeniu statków. Była uwięziona w stolicy.

Co jakiś czas powtarzała sobie, że jest dorosła i musi dać sobie radę. Potem zaczynała płakać. Durrell było stolicą i najprawdopodobniej zjawilo się tu więcej najeźdźców niż gdziekolwiek indziej. W Durrell wszystko było większe, nawet potencjalne kłopoty.

Po godzinie od czasu zjawienia się lądowników połączenie z Colomore zostało odcięte. Nie mogła go w żaden sposób nawiązać ponownie. AS twierdził, że nie ma połączenia z satelitą. Nie wspominał, jak do tego doszło.

Skuliła się ciaśniej, wzdragając się przy każdym dźwięku dochodzącym z budynku. W wyobraźni widziała schody i korytarze pełne Skór i najeźdźców, którzy wywlekali studentów

z pokojów i zapinali im na szyjach wybuchające naszyjniki. Robili tak, bo wiedzieli, że to studenci zawsze przysparzają najwięcej kłopotów - kampus był permanentną wylegarnią rewolucjonistów.

Ktoś zapukał do drzwi. Michelle pisnęła ze strachu. Pukanie się powtórzyło. Dziewczyna z niepokojem wpatrywała się w drzwi. Nie miała się gdzie schować ani dokąd uciec.

Po chwili wstała z łóżka. Pukanie nie brzmiało władczo ani niecierpliwie. Wyrzucając sobie, że jest zbyt lękliwa, przeszła po wytartym dywanie i przekręciła zamek.

- Otwarte - szepnęła. Drżała na całym ciele, jakby nagle nadeszła zima, patrząc, jak drzwi uchylają się wolno. Stojący za nimi człowiek patrzył na nią pytająco. Jego obecność w tym miejscu była tak niespodziewana, że przez chwilę sądziła, iż jej rozgorączkowany mózg produkuje halucynacje.

- Josep? - mruknęła.

- Cześć, kochanie.

- O mój Boże, to ty! - Rzuciła mu się na szyję, ściskając tak mocno, jakby chciała zadusić go na śmierć. Ale... to był Josep!

Poznali się tego lata na wakacjach. Michelle świętowała właśnie swój pierwszy samodzielny wyjazd - nagrodę za pomyślne zdanie egzaminów. Wcześniej zawsze śmiała się z kliwionych wakacyjnych romansów. Ale tym razem było inaczej. Naprawdę zakochała się w tym człowieku. Czasem niemal przerażała ją własna namiętność i to, co robili razem w hotelowym łóżku. Gdy wyjechała z Memu Bay, miała wrażenie, że serce jej pękło.

Szlochała bezsilnie w jego ramionach.

- Myślałam, że to jeden z nich - bełkotała. - Myślałam, że zrobią ze mnie zakładniczkę.

- Nie, nie. - Mężczyzna gładził ją po plecach uspokajająco. - To tylko ja.

- Jak się tu dostałeś? Co tu w ogóle robisz? Och, Josep, tak strasznie się bałam.

- Mówiłem ci, że złapałem ostatni lot z Memu Bay. Mówiłem ci, że chcę do ciebie przyjechać i zdać na uniwersytet. Właśnie wyjeżdżałem ze szkoły, gdy zjawili się ci gnoje...

- Przyjechałeś... do mnie?

Mężczyzna ujął jej dłonie i zamknął je w swoich, aż przestały się trząść.

- Oczywiście. Nie mógłbym cię zapomnieć.

Znów się rozplakała.

Pocałował ją delikatnie w brew, a potem ześlizgnął się po policzku. Każde muśnięcie ust zdawało się błogosławieństwem. Był przy niej, jej wspaniały Josep, silny i niezwykły. I

nagle poczuła, że całe to zło, które spadło na jej świat, nie ma już do niej dostępu.

\*\*\*

Steve Anders ostrożnie zszedł po betonowych schodach do piwnicy pod barem. Były zdradzieckie, mocno wydeptane, pękające od wilgoci. Steve nie wiedział nawet, że pod barem znajduje się takie pomieszczenie, ale od dawna nie zaglądał do żadnego z turystycznych barów położonych wzdłuż wybrzeża. Ostrożnie ostukiwał stopnie laską, zanim postawił na nich nogę. Był już w takim wieku, że nie mógł ryzykować złamania kości.

Zaśmiał się w duchu na samą myśl. To właśnie z powodu swojego wieku znalazł się w tym miejscu. Na Boga, cieszył się, że może wspomóc walkę przeciwko tym świniom, które zabiły jego syna. Dobrze, że jego wiek w końcu okazał się zaletą.

Był to typowy składzik barowy. Pod ścianami ustawiono skrzynki pustych i pełnych butelek. Kłapa w podłodze z elektrycznym podnośnikiem do wnoszenia i wynoszenia beczek z piwem. Połamane krzesła, stare plakaty, kartony starych kufli, podarte płachty ekranowe, zrolowane i wetknięte za stertę glinianych doniczek, w których wciąż tkwiły zasuszone rośliny.

W końcu dotarł na dół i rozejrzał się wokół. Pomieszczenie oświetlał jeden zielonkawy stożek świetlny.

- Witam, panie Anders.

Zmrużył oczy, obserwując postać, która wyszła z cienia. Ładna, młoda dziewczyna.

- Znam cię - powiedział. - Pracujesz w przedszkolu.

- Lepiej nie osądzać ludzi zbyt pochopnie - odparła Denise.

- Tak, racja. Przepraszam.

- Nie ma problemu. Dziękuję panu za pomoc. Był pan bardzo odważny.

- Pff! - Wolną ręką odruchowo pogładził plastikowy naszyjnik. - To nie było trudne. Świetnie się bawiłem, drażniąc tego gówniarza.

Denise uśmiechnęła się i wskazała na krzesło. Steve przytaknął szorstko, próbując ukryć rosnące zdenerwowanie i usiadł. Patrzył, jak dziewczyna wyjmuje standardową perłę stacjonarną z płóciennej torby. Był to prostokątny kawałek czarnego plastiku, niewiele większy od jej ręki, z obudową lekko podwiniętą wzdłuż jednego brzegu. Nic nadzwyczajnego.

Położyła urządzenie na otwartej dłoni, jakby trzymała rannego ptaka. Potem zamknęła oczy, a na jej czole pojawiła się leciutka zmarszczka.

Steve Anders żałował, że nie jest sześćdziesiąt lat młodszy. Dziewczyna była zachwycająca. Jakiś chłopak nie miał nawet pojęcia, jaki z niego szczęściarz.

Perła zmieniała kształt, sztywny plastik uformował się w półksiężyc o rożkach ostrych jak igły.

- To dość nietypowe - stwierdził Steve, siląc się na lekki głos. Zanim odszedł na emeryturę, był technikiem białkowym. Nie robił nic szczególnego. Pracował w jednej z rafinerii żywnościowych w Memu Bay. Wiedział jednak, jaki stopień zaawansowania osiągnęła technologia Thallspring.

Denise zamruwała oczami.

- Tak. Jest pan gotów?

Nagle Steve poczuł przyływ wiary w powodzenie tego eksperymentu.

- Jasne. Dawaj.

Denise uniosła urządzenie i dotknęła nim naszyjnika zastawowego. Steve próbował spojrzeć w dół i zobaczyć, co się dzieje.

- Łączy się z ich systemem - wyjaśniła dziewczyna, jakby rozumiała jego obawy. - Kopiując je, możemy lepiej zrozumieć ich funkcjonowanie. Gdy już tego dokonamy, ich zabezpieczenia staną przed nami otworem.

- To bardziej przypomina filozofię niż hacking - stwierdził Steve. Czy dziewczyna miała na myśli duplikowanie oprogramowania czy sprzętu? Tak czy inaczej, nigdy nie widział podobnego gadżetu. Uznał to za ekscytujące i niepokojące zarazem.

- Już po wszystkim - oznajmiła dziewczyna z zadowoleniem.

Naszyjnik rozluźnił się, a Denise zdjęła go z szyi mężczyzny. Steve odetchnął z ulgą. Zobaczył, że z końcówek jej gadżetu wystają jakieś kable i włókna, cienkie niczym ludzkie włosy, wczepione teraz w plastikową obrożę.

Nic wyprodukowanego na Thallspring nie byłoby w stanie tego zrobić.

- To wszystko? - upewnił się.

- To wszystko.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Młyn uformował się z głośnym łupnięciem, gdy głowy zawodników filaru wewnętrznego zetknęły się ze sobą. Obaj stężeli, zaciskając zęby i dysząc ciężko, czekając, aż łącznik młyna przerzuci piłkę.

Stojąc na pozycji skrzydłowego, Lawrence nie widział prawie nic zza płataniny ubłoconych nóg. Piłka, przypominająca teraz ciemną smugę, wpadła w wąski otwór, a wtedy krzyknął z wysiłku i pomógł kolegom napierać. Młynarze rzucili się na piłkę jak dwa ludzkie młoty pneumatyczne.

Lawrence poczuł, że ślizga się w tył. Na pozycjach filarów wewnętrznych u Lairfoldów grało dwóch największych osiemnastolatków, jakich Lawrence widział w życiu. Piętnastka Hilary Eyre przegrywała niemal każdy młyn, tracąc cenne punkty.

Tym razem Nigel, młynarz Eyresów, zdołał przejąć piłkę, która cichaczem przemknęła przez drugą linię. Drużyna Lairfoldów zorientowała się, co się święci, i zaczęła obracać młyn. Rob wyrwał piłkę z drugiej linii i podał na skrzydło Eyresów, na chwilę zanim zniknął, przygnieciony masą rozwścieczonego łącznika Lairfoldów.

Młyn rozpadł się gorączkowo. Najciężsi zawodnicy rzucili się w stronę skrzydłowych, którzy przejęli piłkę. Podali ją trzy razy, zanim Alan zdążył ją chwycić, tuż przed linią przerywaną. Był drobniejszy niż większość zawodników, ale jego krępa sylwetka skrywała zaskakująco dużo siły. Pobiegł poprzez boisko znacznie szybciej, niż spodziewali się tego przeciwnicy. Dwudziestu chłopaków biegnących w jego stronę musiało zmienić kierunek, co dało mu kilka dodatkowych sekund, zanim wpadł na niego jeden ze skrzydłowych Lairfoldów. Impet zderzenia przewrócił ich obu. Piłka wyleciała w górę, zmierzając w jasno określonym celu, a Alan zdążył jeszcze krzyknąć:

- Leć, kurwa! - zanim Lawrence złapał ją, nawet nie zatrzymując się w biegu. Popędził w stronę pola przeciwnika.

Okrzyki dobiegające z pola punktowego przybrały na sile, wybuchając kaskadą wiwatów, gwizdów i tryumfalnego skandowania. Kątem oka dostrzegł ruch szkarłatno-niebieskich pomponów, które przecięły powietrze, gdy cheerleaderki Eyresów zamachały nimi energicznie. Nie mógł wypatrzeć wśród nich Roselyn. Potem zorientował się, że obrońca Lairfoldów biegnie wprost na niego - niestety, gnojek, był szybszy. Lawrence zrozumiał, że

nie zdoła zrobić przyłożenia. Po drugiej stronie pola biegł Vinnie Carlton, dotrzymując Lawrence'owi tempa, chcąc upewnić się, że nikt go nie wyprzedzi.

W ostatniej sekundzie, nim powalił go obrońca, Lawrence obrócił się i rzucił piłkę. Potem przeciwnik chwycił go za nogi. Runął na ziemię. Piłka zakreśliła łuk ponad boiskiem, powoli się obracając. Wszyscy patrzyli na jej lot w milczeniu, nawet kibice przestali wznosić okrzyki. Vinnie nadał biegł. Aż w końcu Lairfoldowie zauważyli, do czego zmierza. Jeden z ich filarów wydał wściekły okrzyk bojowy, ale wszyscy stali za daleko.

Vinnie złapał piłkę jakieś dziesięć kroków od linii. Przeskoczył ją z radosnym okrzykiem. Trzymając ją uniesioną wysoko, popędził w stronę bramki i z rozmachem walnął nią w trawę.

Tłum zawył z radości. Lawrence zaśmiał się wariacko, wygrzebując się spod wściekłego obrońcy. Żebra i barki bolały go jak cholera, w dodatku nie mógł złapać tchu, ale i tak klaskał i wył w zachwycie. Eyresi rzucili się na Vinnie'ego, który podbiegł uściskać Lawrence'a.

- Świetne podanie, stary!

- Ty byłeś lepszy.

- No to przegrywamy jednym punktem - stwierdził Alan, zawsze gotów siał defetyzm.

Lawrence potrząsnął głową.

- Chyba chciałeś powiedzieć: wygrywamy dwoma. Nie martw się. Richard da radę.

Wrócili na swoją połowę boiska, patrząc, jak Richard ubija ziemię obcasem, a potem ostrożnie stawia piłkę pionowo. Lairfoldowie ustawili się przed bramką twarzami do niego.

Jednak dla Richarda, najlepszego kopacza Eyresów, zdobycie trzypunktowego gola wymagało tylko lekkiego truchtu i szybkiego ruchu butem. Piłka przeleciała prosto między wysokimi, białymi słupkami.

Do końca meczu pozostały jeszcze trzy minuty. Eyresi postawili na taktykę. Nie oddawali pola. Starali się utrzymać piłkę w młynie.

W końcu sędzia dmuchnął w gwizdek. Obaj kapitanowie zachowali się po dżentelmeńsku i ucisnęli sobie ręce pośrodku pola. Lawrence stanął ze swoją drużyną i razem wzniesli trzykrotny okrzyk na cześć swoich przeciwników.

- Patrzcie tylko na nich - szydził Alan, schodząc z boiska. - Banda frajerów. Idźcie do domu i zabijcie się, gnojki!

Nigel zatkał mu ręką usta.

- Zachowuj się, człowieku.

- Przecież się zachowuję. - Alan uśmiechnął się krzywo. - Świetnie się bawię. Lubię,

jak takie zarozumiałe gnoje dostają po dupie.

- Nasz bohater! - John objął Vinnie'ego ramieniem i zgarnął mu włosy na oczy. - Co za bieg!

Vinnie uśmiechnął się radośnie.

- Bez Lawrence'a nie dałbym rady.

Lawrence chciał być skromny.

- Robię, co tylko mogę.

- Aha - odparł Alan. - Pod warunkiem że Roselyn ci pozwoli.

Kilka cheerleaderek biegło przez boisko, by wyjść na spotkanie swoim bohaterom. Wszystkie były ubrane w krótkie szkarłatne spódniczki i błękitne sportowe topy wiązane na szyi.

- To się nazywa powitanie - stwierdził Alan. Jego śmiech brzmiał jak atak czkawki. Rozłożył ramiona i rzucił się w stronę dziewczyn, które natychmiast rozbiegły się na boki.

Roselyn walnęła go pomponem i wyciągnęła ręce do Lawrence'a.

- Wygrałeś! - zawołała i pocałowała go w usta.

- To była praca zespołowa.

- Wcale nie. O wszystkim zdecydował twój wspaniały rzut. Wszystko widziałam. Byłeś cudowny. A teraz mnie pocałuj.

- Ja pierdołę! - burknął Alan, po czym odwrócił się na pięcie.

Lawrence i Roselyn ze śmiechem patrzyli, jak oddala się w stronę szatni.

- Ależ jesteś brudny! - poskarżyła się nagle Roselyn. Strużki zimnego, wilgotnego błota poplamiły jej kostium. - Idź się umyć.

- Tak jest, proszę pani.

- Tylko szybko. Strasznie tu zimno. - Roselyn potarła ramiona i podejrzliwie zerknęła na klimatyzatory. Szkoła zawsze zmniejszała temperaturę podczas treningów rugby i piłki nożnej, żeby gracze się nie zgrzali, ale teraz miało się wrażenie, że otwory wlotowe po prostu wpuszczają zimno z zewnątrz.

- Będiesz dziś na imprezie? - spytała Nadia. Vinnie zaborczo obejmował ją ramieniem, ale ona patrzyła tylko na Lawrence'a.

- Aha, pewnie - odpowiedział, starając się, by jego ton zabrzmiał zupełnie neutralnie. Roselyn zdawała się mieć jakieś zdolności telepatyczne, jeśli chodziło o jego myśli na temat innych dziewczyn. Nie żeby było ich wiele. Ciekawa rzecz: przez całe lata żadna dziewczyna z Hilary Eyre nawet na niego nie spojrzała, ale gdy tylko pojawiła się Roselyn, natychmiast zaczął dostawać wyraźne sygnały. I to nie tylko od Nadii.

- Do zobaczenia - oznajmiła Roselyn. Odwróciła się, po czym przybiegła z powrotem.
- Jeszcze jednego całusa.

Wykonał polecenie.

\*\*\*

- Jest już w ciąży? - spytał Alan.
- Co? Kto? - Lawrence zdążył już wziąć prysznic. Teraz suszył włosy, stojąc koło szafki.
- Roselyn.
- Nie!
- To po co wam te wszystkie ćwiczenia? - spytał Alan i zaniósł się czkającym śmiechem.
- Boże, ależ z ciebie świntuch!
- „Boże”? Ach, pożyczylesz sobie tego Boga od Roselyn.
- Spierdalaj.
- Posłuchajcie tego - zawołał Alan; jego głos poniósł się po całej szatni. - W zeszłym tygodniu trzy razy zapytałem go, czy wyjdzie wieczorem do miasta. I za każdym razem słyszałem - jego głos zrobił się płaczliwy - „Nie mogę iść, musimy się pouczyć”!
- Czego się tam uczyliście, anatomii? - spytał Rob.
- No właśnie! - zaśmiał się Nigel. - Myślałem, że już znasz wszystkie elementy na pamięć!
- Odepierdolcie się! - zawołał Lawrence, mając nadzieję, że nie uśmiecha się zbyt szeroko. To było świetne uczucie - mieć stałą dziewczynę już tak długo, by wszyscy wiedzieli, że ich związek jest nie tylko platoniczny.
- Nie przejmuj się nimi, po prostu są zazdrośni - stwierdził Vinnie. - Frajerzy bez lasek.

Lawrence uklonił mu się lekko.

- Dzięki. - Bardzo lubił Vinnie'ego Carltona. Przybył na Amethi zaledwie przed osiemnastoma miesiącami, tuż po Roselyn, ale miało się wrażenie, że zawsze tu mieszkał. Lawrence zaprzyjaźnił się z nim mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczął na nowo integrować się z własną klasą. Vinnie nie miał w Templetonie żadnej rodziny. Jego ojciec został dłużej na Ziemi, by sfinalizować kontrakty. W chwili wyjazdu jego syn miał już siedemnaście lat, a zatem mógł legalnie mieszkać bez nadzoru rodzicielskiego. Miał własne mieszkanie i umowę z jakąś firmą prawniczą, która zajmowała się jego finansami i sprawami urzędowymi. Lawrence z początku straszliwie mu zazdrościł takiego życia. Jednak wbrew

pozorom okazało się, że mają ze sobą wiele wspólnego. Chodzili razem na lekcje, należeli do klubu lotniczego (Vinnie twierdził, że na Ziemi pilotował prawdziwy samolot), uprawiali te same sporty i lubili razem grać w i. Nawet z wyglądu byli do siebie podobni, chociaż Lawrence miał jaśniejsze włosy, a Vinnie brązowe oczy, nie szarozielone.

- Wyglądacie na kuzynów - powiedziała kiedyś Roselyn.

Lawrence zbył to śmiechem.

- Niemożliwe.

Ale potem któregoś razu zapytał przyjaciela o jego rodzinę. Wtedy właśnie dowiedział się, że to Carltonowie sprowadzili *Halo Gwiazdy* na Amethi - co oznaczało, że akcje Vinnie'ego właśnie skoczyły poważnie w górę - i najwcześniej dostawali wszystkie aktualizacje. Choć po prawdzie, Lawrence nie grywał już w i tak często jak kiedyś. Nie miał na to czasu.

- Wiesz co, Alan? Trzeba ci znaleźć dziewczynę, zanim mózg ci się przegrzeje od przeładowania hormonami - dodał Vinnie. - Z każdym dniem jesteś coraz gorszy. Będziesz na imprezie, prawda?

- Pewnie, że tak. To przecież mój pomysł, nie pamiętasz?

Lawrence pamiętał, że to Roselyn i Nadia uznały, że cała drużyna powinna się gdzieś wybrać po meczu, ale postanowił o tym nie wspominać.- Powinniśmy zaprosić parę innych dziewczyn - dodał Richard.

Lawrence nie podejrzewał, żeby Richard w ogóle znał parę innych dziewczyn, ale nie skomentował. Richard chodził z Barbarą już od lat. Wystarczyłaby jedna inna dziewczyna i miałyby poważne kłopoty.

- Nie martw się o mnie, chłopie - odparł Alan swoim najbardziej irytującym głosem. - Mam niezawodny sposób na podryw.

- Jaki? - parsknął Nigel. Prawdopodobnie miało to wyjść pogardliwie, ale w jego głosie zabrzmiała nutka zainteresowania.

W szatni natychmiast zapadła cisza. Żaden z chłopaków chwilowo nie potrzebował sposobów na podryw, ale przecież nie zaszkodzi wiedzieć.

- Bardzo prosty - odparł Alan, rozkoszując się widownią. - Mój kumpel Steve, pamiętacie go, nie? Ten bystry, co zdał w zeszłym roku na uniwersytet. W każdym razie to on go wymyślił i przysięgał, że zawsze działa. Wchodzisz na imprezę, rozglądasz się wokół i namierzasz najładniejszą dziewczynę. Potem podchodzisz prosto do niej i pytasz: „Pójdiesz dziś ze mną do łóżka?”.

Na chwilę zapadła cisza, koledzy z drużyny w milczeniu rozważali jego słowa.

- Bzdura.

- Dupek z ciebie!

- Co za ściema!

Ktoś rzucił butem i trafił Alana w nogę. Chłopak krzyknął zaskoczony i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu sprawcy.

- Ej, słuchajcie. Ja wcale nie żartuję! - wykrzyknął. - Steve przysięga, że to działa. Co tydzień wrywa nową laskę. Mówię serio.

- Jasne, jasne - zakpił John. - A najładniejsza dziewczyna w pokoju patrzy na takiego toksycznego knypka jak ty i mówi: „ależ z przyjemnością!”.

- Może? - upierał się Alan. - Jeśli ma się dużo szczęścia.

- Chyba wolę się trzymać starego sprawdzonego alkoholu - mruknął Lawrence.

W szatni zapanował rozgardiasz, członkowie drużyny zaczęli się ubierać.

- Słuchajcie! - protestował Alan. - To statystyka! Czysta matematyka. Jest niezawodna.

- Ale przecież przed chwilą sam powiedziałeś, że ta supermodelka najprawdopodobniej cię splewi - zauważył Nigel.

- No i co z tego? Nie ma znaczenia. Wtedy namierzasz drugą najładniejszą i pytasz o to samo. Jeśli powie „nie”, to powoli idziesz w dół skali atrakcyjności, aż w końcu jedna z nich się zgodzi.

John spojrział na niego z politowaniem.

- Alan, żadna z nich się nie zgodzi. Nie możesz tak zapytać.

- Właśnie, że tak. Przecież laski przychodzą na imprezę w tym samym celu, tyle że my stawiamy sprawę uczciwie.

- Teraz będziesz nam robił wykład z uczciwości? - zdziwił się Lawrence. - O, słodki Losie. Koniec świata.

- Dziewczyny cenią uczciwość - upierał się Alan.

- Znacznie bardziej lubią grzeczność i komplementy - stwierdził Richard.

- Przez większość czasu, tak. Ale na imprezie? Piją alkohol, czas ucieka i nagle zdają sobie sprawę, że jeszcze nie mają partnera. Jedna z nich musi się zgodzić. Jak mówiłem, czysta statystyka.

Vinnie z rozpaczą schował twarz w dłoniach.

- Alan - powiedział poprzez palce - czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego jeszcze nie masz dziewczyny?

- Miałem już setki dziewczyn, co nie?

- Kiedy? - zaciekał się Lawrence. - Czy ten niezawodny sposób kiedykolwiek zagwarantował ci seks?

- Dzisiaj.

- Wiedziałem! Wszystko to ściema!

- Nie, chłopie! Słowo daję. Steve przeleciał już połowę lasek w kampusie. To niesamowite. Tylko trzeba mieć jaja.

- Trzeba się z jajami na rozum zamienić - mruknął ponuro John.

Alan dumnie szturchnął się palcem w pierś.

- Posłuchaj, stary. Gwarantuję, że ten sposób załatwi mi dzisiaj panienkę. To wy, smutasy, będziecie podpierać bar i wrócicie do domu sami. Mówię wam, że to działa.

\*\*\*

Impreza, jak wszystkie imprezy, zaczęła się od dobrych chęci. O siódmej trzydzieści piętnastu zawodników wraz ze znajomymi udało się do Hilliera. Znajdował się w kopule, do której wszyscy mogli łatwo przejść. Był to stary, przestronny klub urządony pod wieżowcem mieszkalnym, złożony z trzech owalnych pomieszczeń, w których urządzono hol, salę restauracyjną i salę taneczną, połączone w jednym punkcie za pomocą dużego baru. W czasach swojej świetności Hillier stanowił najpopularniejsze miejsce spotkań dla młodszych członków rodzin zarządu - była to legendarna spotkaniówka, gdzie lansowali się trendsetterzy, a rekiny basenowe czekały na swoje ofiary. Jednak z upływem czasu moda zmieniła swój obiekt zainteresowania.

Teraz zjawiali się tu coraz młodszy członkowie coraz mniej utytułowanych rodzin. Oczywiście, uważali oni, że to genialna miejscówka. Klub nie robił problemów i nie kazał pokazywać dowodów przy wejściu. Właściciele Hilliera nie mogli już pozwolić sobie na zbyt ostrą selekcję klientów, a te dzieciaki miały dostęp do naprawdę dużych pieniędzy.

Plan był taki, aby najpierw zjeść kolację, a potem przejść do picia i tańczenia. Gdy Lawrence zjawiał się w klubie, jego koledzy właśnie siedzieli w holu, popijając coś w charakterze aperitif przed udaniem się do baru.

- Spóźniłeś się - stwierdził Vinnie, który właśnie kończył drugie piwo.

- Dostałem wiadomość - powiedział skromnie Lawrence. Po powrocie z meczu przez chwilę myślał, że czeka go kolejny opieprz. Ojciec wezwał go do swojego gabinetu, a nigdy nie robił tego w innym celu. Jednak gdy zjawiał się na górze, Doug Newton trzymał w ręku płachtę z twardą kopią jakiegoś dokumentu.

- Pomyślałem, że sam chciałbyś to zobaczyć - powiedział beztrząsko.

Lawrence z obawą wziął płachtę i zaczął czytać. Był to list z Uniwersytetu w

Templetonie oferujący mu miejsce na kierunku zarządzania oraz nauk ścisłych.

Doug klepnął syna w plecy.

- Udało ci się, synu. Gratulacje! Nawet nie musiałem pociągać za żadne sznurki.

Lawrence wpatrywał się w płachtę, zachwycony i przerażony tym, co to mogło oznaczać. Wszyscy szli na Templeton - odsiew kandydatów sięgał osiemdziesięciu procent.

- Musiałbym jeszcze odpowiednio zdać ostatnie egzaminy - powiedział ostrożnie.

- Lawrence, Lawrence, co ja mam z tobą zrobić? Oczywiście, że zdasz. Obaj to wiemy. Biorąc pod uwagę, jak bardzo podciągnąłeś się w ostatnich latach, prawdopodobnie otrzymasz nawet wyróżnienie. - Ojciec ujął go za ramiona.

- Jestem z ciebie dumny. Naprawdę.

- Dzięki, tato.

- Wychodzisz dziś świętować zwycięstwo? Słyszałem, że wygraliście.

- Koledzy zaproponowali, żeby pójść do Hilliera.

- O, ta stara knajpa jeszcze działa? Dobrze, dobrze. Ale myślę, że za takie wyniki należy ci się coś więcej. Zarezerwowałem dla ciebie dziesięć dni w kurorcie Orchy. Będziesz mógł pojeździć na nartach po Barclayu. Co ty na to?

- To niesamowite! - Potem entuzjazm nieco go opuścił:

- Eee...

- To rezerwacja dla dwojga - powiedział łagodnie Doug. - Jeśli chciałbyś kogoś zabrać...

Lawrence rozejrzył się po holu.

- Gdzie jest Roselyn?

- Jeszcze jej nie widziałem - odparł Nigel i gestem poprosił barmankę o dwa piwa. Kobieta miała ponad dwadzieścia lat i była kompletnie nieczuła na jego pełne nadziei uśmiechy.

- Ach. - Lawrence rozglądał się nadal. - A gdzie Alan?

- A co ja jestem, twój osobisty trałowiec danych? Gdzieś tu jest, rozmawia z jakąś laską.

- Co takiego? - Lawrence wytrzeszczył oczy. - Chcesz powiedzieć, że ten jego sposób naprawdę zadziałał?

- Weź, kurwa, nie rób jaj! - wykrzyknął Nigel. Barmanka zmarszczyła brwi, słysząc przekleństwo i bez słowa postawiła piwo na blacie. Nigel wzdrygnął się, wpatrzony w jej plecy, po czym spiorunował Lawrence'a wzrokiem.

- Dzięki.



- Zachowujesz się jak Alan. Taka babka nigdy na ciebie nie spojrzy.

- Może jeśli zostawię duży napiwek...

- Nawet o tym nie myśl. - Lawrence podniósł szklanekę i upił łyk. Piwo było tak zimne, że prawie nie czuł smaku. - No, mów. Co tam u Alana?

- Jedna go spoliczkowała, dwie wylały na niego drinki, a kilka powiedziało, żeby się odpieprzył - zrelacjonował radośnie Vinnie. - Zastanawiamy się, czy nie obstawiać zakładów.

- Obstawiam, że uda mu się za jakieś pięć lat - stwierdził Lawrence i w tej samej chwili zobaczył Roselyn idącą przez hol. Miała na sobie zieloną sukienkę z dużym owalnym wycięciem ukazującym pępek. Za każdym razem wyglądała w niej sensacyjnie. Lawrence, jak zwykle, poczuł się niezręcznie - obawiał się, że jego marynarka z brązowym połyskiem będzie przy niej wyglądać tanio i śmiesznie.

Roselyn dotarła do baru w tej samej chwili, gdy z drugiego końca przytoczył się Alan. Z tyłu spodni wystawał mu długi pasek różowego papieru toaletowego. Połowa klientów spoglądała w oczarowaniu na tę ozdobę ciągnącą się za nim po podłodze.

- Cholera! - poskarżył się Alan. - Wszystkie udają trudne do zdobycia.

- Kto udaje? - spytała Roselyn.

- Wszystkie laski. - Alan spojrzał oskarżycielsko na kolegów. - Czyżbyście je uprzedzili?

Nigel pochylił się nad nim z męczeńskim wyrazem twarzy i odczepił papierowy ogon.

- Nie musieliśmy.

- Co to? - Alan spojrzał ze zdziwieniem na papier.

- Dzięki, pewnie uwiążł mi w rowku. Moja kolej. - Głośno strzelił palcami na barmankę. - Hej, może ktoś nas obsłuży?

- Mam dobrą wiadomość. - Lawrence zwrócił się do Roselyn.

- Ja też - odparła z uśmiechem.

- Ty pierwsza.

- Nie, ty.

Oboje się roześmieli.

- Panie przodem - zażartował Lawrence.

- Chyba się porzygam - mruknął Alan.

- Okej. - Roselyn pogrzebała w torebce i wyjęła z niej chip pamięci. - Spóźniłam się, bo ściągałam coś z AS komunikacyjnego *Eilean* - właśnie weszła na orbitę. Judith przesłała mi kolejny sezon.

Lawrence aż zakrztusił się z wrażenia. Ujął chip w dłonie i obracał go z

namaszczeniem.

- Sezon szósty? - upewnił się.

- Aha. - Dziewczyna przyjęła margaritę od Johna i ostrożnie starła sól z krawędzi kieliszka. - Ostatni.

- *Ogień piekiel.* Ostatni odcinek. Ciekaw jestem, czy wrócą do domu.

Roselyn uniosła kusząco brew.

- Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Aha, mam też trochę rzeczy ze strony fanowskiej. Kilka i-gier z tego uniwersum i sporo materiałów graficznych.

- Ekstra.

- Kurczę. - Alan wyszczerzył zęby do Roselyn. - Taka chwila... To prawie ten numer, który robił ten twój Bóg. O co tam chodziło? Aha, miał wrócić na Ziemię, tak?

- Powtórne nadejście Chrystusa. Moment objawienia w całym wszechświecie.

- Tak, właśnie. - Alan uniósł kufel. - Wznoszę toast za to, by Lawrence wreszcie zobaczył, co się stało z bandą podrzędnych aktorów, gdy w końcu poprosili o podwyżkę w siódmym sezonie.

- To była porządnie rozpisana historia! - zaprotestował Lawrence. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Nie powinien był zdradzać, że tak mu na tym zależy.

- Uuu! Miałem rację, to objawienie! Lawrence, zrób nam wszystkim przysługę i znajdź sobie jakieś hobby.

- Alan? - spytała Roselyn ciekawie. - Znasz tamtą dziewczynę?

- Którą?

- Tę tam, w niebieskiej bluzce.

- Ja? - Chłopak wskazał na nią kuflem i zaśmiał się obleśnie. - Chyba wiem, co masz na myśli. Widzę tylko dwa szczeniaczki baraszkujące w niebieskim worku.

Twarz Roselyn pozostała pogodna.

- Tak.

- W życiu jej nie widziałem, wysoki sędzie. A na pewno bym zapamiętał. - Alan dopił piwo i beknął. Na szczęście, wcześniej zamówił za dużo, miał więc pod ręką pełny kufel.

Lawrence skrzywił się nerwowo i bezgłośnie spytał Vinnie'ego: „On już tak długo?”.

Vinnie bezradnie wzruszył ramionami.

- Chyba zerkała na ciebie - stwierdziła Roselyn.

- O, kurwa! Naprawdę? - Alan roześmiał się i szturchnął Richarda w pierś. - To statystyka. - Dźwignął się ze stołka i ruszył w stronę dziewczyny. Na jej twarzy odmalował się wyraz paniki.

- Przypomnij mi, żebym cię nigdy nie wkurzał - mruknął Nigel, zwracając się do Roselyn.

Lawrence obserwował poczynania Alana, krzywiąc się mimowolnie.

- Chyba nie mogę na to patrzeć, to zbyt bolesne.

- Co chciałeś mi wcześniej powiedzieć? - spytała Roselyn.

- Ach, tak! - Lawrence'a znów ogarnęła radość. Schował chip do kieszeni. - Dostałem dzisiaj list z Uniwersytetu w Templetonie.

Roselyn patrzyła na niego wzrokiem pełnym podziwu, gdy opowiadał jej o wstępnym przyjęciu na studia i o wyjeździe w góry.

- Wiedziałam, że ci się uda, Lawrence - wymruczała cicho. - Dobra robota. - To mówiąc, pocałowała go tuż pod uchem.

- A twoja matka? - spytał z niepokojem. - Myślisz, że puści cię ze mną do Orchy?

- Zostaw to mnie. - Pocałowali się. Lawrence poczuł ostry smak margarity.

- Ej, chłopaki, chyba ktoś nas potrzebuje.

Alan był tak zaprzątnięty przygadywaniem sobie dziewczyny w niebieskiej bluzce, że nawet nie zauważył nadejścia jej partnera.

- No nie - John potrząsnął głową. - Ależ ten gość to bysior!

- Im są więksi, tym ciężiej upadają - oznajmił Rob. Był prawie tak samo pijany jak Alan.

- Byle tylko upadł na ciebie, nie na mnie - sprecyzował Nigel.

- Alan jest naszym kumplem - stwierdził bez przekonania Lawrence. Chłopak tamtej dziewczyny też miał ze sobą paru kumpli.

- Po prostu wezwijmy obsługę - nalegała Roselyn. - Niech się tym zajmą bramkarze.

- Za późno - jęknął Vinnie.

Z niedowierzaniem patrzyli, jak ich przyjaciel próbuje zastosować swoją niezawodną metodę wychodzenia z trudnych sytuacji - opowiadając dowcip o stewardzie i papudze.

- ...a wtedy zamyka się za nimi śluza i kiedy tak koziołkują poprzez kosmos, facet odwraca się do papugi i mówi: „Jak na gościa bez skafandra, to niezłe masz jaja!” - zakończył Alan i histerycznie zarechotał z własnego dowcipu.

Okazało się, że partner dziewczyny w niebieskim nie miał poczucia humoru.

Lawrence wrócił do domu o wpół do czwartej, gdy już jego ojciec i prawnik rodzinny wpłacili za niego kaucję na posterunku.

\*\*\*

Burzliwy klimat Amethi znów się zmieniał, powoli wynurzając z fazy śnieżnej. W

ciągu ostatnich kilku lat, na skutek przyspieszonego topnienia, z lodowca Barclaya wypłynęło kilka miliardów ton wody. Ciśnienie atmosferyczne uległo zmianie - otoczka gazowa planety była teraz gęstsza i cięższa, zatrzymywała też więcej ciepła. Temperatura powietrza wzrosła o kilka stopni. Po stronie planety położonej z dala od lodowca opady śniegu przeszły w opady deszczu. Chmury nad Templetonem rozpraszały się czasem na całe tygodnie, dzięki coraz silniejszym wiatrom.

Wiele osób uważało to za zły omen, przepowiadając, że Przebudzenie zakończy się nadejściem huraganów, które rozerwą kopuły na kawałki. Oficjalna wersja głosiła, że zwiększona szybkość przemieszczania się powietrza to naturalna i nieunikniona część procesów pogodowych. Wprawdzie można było się spodziewać pewnych wahań na wykresach, ale poza tym wszystko miało dążyć do równowagi.

Niezależnie od tego, czy ktoś postanowił w to wierzyć, czystsze niebo oznaczało powrót komercyjnych lotów odrzutowych. Lawrence i Roselyn złapali poranny lot z Templetonu i po piętnastu godzinach znaleźli się w Oxendale. Któregoś dnia ta miejscowość miała przekształcić się w główny ośrodek miejski w długim łańcuchu wysp pośrodku oceanu. Chwilowo jednak znajdowała się na szczycie wysokiej góry o płaskim wierzchołku - największej w łańcuchu podobnych gór wznoszących się z bagna na wpół roztopionego, słonego lodu.

Po stronie planety zwróconej w kierunku Nizany lodowiec wciąż dominował w krajobrazie. Powietrze było znacznie zimniejsze, a chmury wciąż sypały śniegiem. Odrzutowiec wylądował na pasie startowym pokrytym białym, sypkim puchem. Pasażerowie widzieli go tylko przez chwilę, potem koła dotknęły podłoża. Ostatnią godzinę lotu spędzili na przebijaniu się przez gęstą mgłę. Oxendale leżało mniej więcej kilometr ponad słonym mokradłem, co oznaczało, że było prawie bez przerwy zasłane chmurami.

Przez pół godziny czekali w holu na swoje bagaże, następnie przesiedli się na trzydziestoosobowy samolot przystosowany do warunków arktycznych. Orchy było oddalone o dwie godziny drogi. Czterdzieści minut po starcie wyszli ponad najniższą warstwę chmur i w oddali zobaczyli lodowiec Barclaya.

Amethi wciąż była zaledwie w trzech czwartych drogi do górnej koniunkcji i słońce świeciło niemal bezpośrednio na pionową ścianę lodowca. Barclay oddzielał ziemię od nieba murem bieli i srebra, ciągnącym się z północy na południe, tak jakby w krajobrazie pojawiła się szczelina, wpuszczając światło innego, ukrytego z tyłu słońca. Lawrence musiał włożyć okulary, chcąc spojrzeć bezpośrednio na lodowiec. Kolorystyka była niezwykle monotonna. Powierzchnia lodowca lśniła czystą bielą, nawet chmury zdawały się nie rzucać cieni. Z tej

odległości trudno było dostrzec jakiegokolwiek kształty. Widać było jedynie, że lód jest nierówny, pokryty długimi, łagodnymi krzywiznami. Wysoko ponad nimi niebo połyskiwało jasnym, metalicznym błękitem. Widoczny na nim półksiężyc Nizany zdawał się z gruntu obcy, jego ciemność była wręcz odpychająca. W górze wirowały pasma obłoków, prawie tak jasne jak sam lodowiec. Wszystkie mknęły w tym samym kierunku: od szelfu w stronę oceanu.

Gdy Lawrence spojrział w dół, dostrzegł jedynie wydmy ze śliskiego błota, przysypane śniegiem. Pośród nich migotała woda, tworząc niekończący się splot połączonych zmarszczek. Woda płynęła tu szybko, obmywając zbocza wąwozu i wyrwijąc z nich wielkie kawały błota. Grudy lodu unosiły się na powierzchni, kołysząc się i zderzając z taką siłą, że aż posypały się lodowe drzazgi, niektóre z nich nawet rozpadały się na pół.

Widok wywarł na Lawrensie spore wrażenie. Kiedyś myślał, że tundra otaczająca Templeton jest ponura, ale dopiero tutaj przekonał się, jak wygląda prawdziwe pustkowienie. Nie było tu żadnych terraformujących alg rosnących w kałużach błota, żadnych śladów wolnożyjących organizmów z wolna wzbogacających ziemię florą bakteryjną. Wyłącznie naturalne procesy geologiczne, wielkie wyniosłe i obojętne, nietknięte przez makiaweliczne pnącza życia.

Poczuł się mały i nieważny.

Po jakimś czasie niewielki samolot zaczął skręcać i skierował się w stronę lodowca. Jego krawędź przez większość czasu opadała stromą ścianą, jednak duże odcinki runęły, tworząc wielkie lodowe piargi. Szczyt lodowca przecinały głębokie szczeliny służące za koryta rwących rzek. Niektóre z tych kanionów miały ponad kilometr głębokości i wciąż się pogłębiały, w miarę jak strumienie topiły swe własne dno, jednak wciąż wznosiły się wysoko ponad dnem oceanu. Skraj lodowca Barclaya zdobiły obecnie najbardziej imponujące wodospady w całym znanym świecie. Ponad tysiąc rzek spadało w dół, kilkaset metrów ponad ziemią, ich wody zakreślały monumentalne łuki, po czym niknęły w poszarpanych kraterach wyłobionych przez ich własny bezlitosny prąd.

Miasteczko Orchy znajdowało się na szczycie takiej rozpadliny zwanej Rysą Conistona. Była to długa dolina o poszarpanych brzegach, ciągnąca się ponad tysiąc kilometrów na północ.

W niektórych miejscach miała ponad trzy kilometry szerokości, a jej strome brzegi przypominały alpejskie doliny we Francji i Szwajcarii. Orchy znajdowało się na szczycie szerokiego, półokrągłego klifu, a sześćset metrów niżej, na dnie rozpadliny przelewała się spieniona rzeka. Zakręt oznaczał, że woda bez przerwy wgryzała się w lód, co regularnie

powodowało lawiny. Po zastygnięciu lodowe piargi służyły jako świetne stoki, chociaż nurt w końcu podmywał je na dobre, ponownie zmieniając profil doliny. Cała Rysa Conistona miała zmienną geometrię, zmieniając się z częstotliwością kilku tygodni. Jedyne ostatni wodospad pozostawał ten sam. Nawet dopływy porzucały go czasem, po wyjątkowo nagłych i gwałtownych zmianach, wpadając do innych rzek.

Orchy przemieszczało się posłusznie, dostosowując się do kaprysów krajobrazu. Było to prawdziwe mobilne miasto, wzniesione z podłużnych modułów budowlanych, które można było przewozić na dużych naczepach. Gdy tylko stoki się stopiły, rozpadły albo zdestabilizowały, srebrzyste moduły odpinano i ciągnięto wzdłuż Rysy do następnego punktu.

Samolot wysunął płozy i prześlizgnął się po płaskim odcinku lodu wyznaczonym przez migające światła sygnalizacyjne. Wiatraki zawyły, gdy pilot AS przestawił śmigło i zatrzymał pojazd w samym środku niewielkiej śnieżycy. Obok lądowiska czekał na nich autobus, którym dotarli do hotelu Hepatcia. Wyglądał identycznie jak wszystkie inne zbitki metalowych modułów, z których wzniesiono miasto. Ułożono je na kształt grubych rybich ości, na wspornikach, dzięki którym podłogę dzieliło od lodu siedemdziesiąt centymetrów. Recepcja znajdowała się na jednym końcu rybiego kręgosłupa, bar i sala restauracyjna na drugim. Wystrój był elegancki, ale bez ostentacji. Lawrence'owi od razu skojarzył się z wyposażeniem samolotów.

Ich pokój wykonano z trzech modułów, tworzących sypialnię, małą łazienkę i coś, co goniec hotelowy uparcie nazywał werandą. Była to w zasadzie alkowa, w której umieszczono dwa rozkładane fotele i wysokie na całą ścianę okno z potrójną szybą, pozwalającą podziwiać widok na Rysę Conistona.

- Ciekawe, co powiedziałyby na to stary Barclay? - zastanawiał się Lawrence. Nad ich głowami kłębiły się ciężkie chmury, ale w świetle słońca wyglądały olśniewająco biało. Lód i śnieg migotały w słońcu i trudno było ustalić, gdzie przebiega horyzont. Orchy stanowiło centrum własnego zamkniętego wszechświata. Poprzez szkła swoich nowo nabytych ciemnych okularów Lawrence dostrzegł maleńkie ciemne figurki śmigające po ciągnących się w dole stokach.

- Chyba byłby pod wrażeniem - odparła Roselyn. Dołeczki w policzkach zdradzały, że rzeczywiście jest zadowolona.

Lawrence rozejrzał się po pokoju.

- To już nie ten standard co w Ulphgarth.

- Jakoś musimy sobie radzić. - Dziewczyna podała mu małe pudełeczko.

- Co to jest?

- Otwórz.

W środku znajdował się srebrny łańcuszek z holograficznym wisiorkiem. Gdy Lawrence podniósł go pod światło, mała Roselyn w niebieskiej sukience uśmiechnęła się do niego spod plastiku.

- Żebyś mogła być z tobą przez cały czas - wyjaśniła, zakłopotana.

- Dziękuję. - Lawrence włożył łańcuszek i zapiął z tyłu.

- Nigdy go nie zdejmę.

Ujęła go za głowę i obróciła do siebie. Pocałowali się namiętnie. Zaczął ściągać jej bluzkę.

- Zaczekaj - mruknęła. - To potrwa tylko chwilę.

Lawrence bardzo się starał nie okazywać zniecierpliwienia, gdy Roselyn podniosła torbę i weszła do łazienki.

- Ty też mógłbyś się przygotować - dodała, zasuwając za sobą drzwi. - I pamiętaj, że lubię przygaszone światło.

Przez chwilę patrzył za nią, a potem popędził zamknąć drzwi i przyciemnił szybę werandy. Ściągnął narzutę z łóżka. Zdjął spodnie, podskakując na jednej nodze, gdyż but zaczepił o nogawkę. Zaplątał się we własną koszulkę, gdy ściągał ją przez głowę. Przetawiał panel komunikacyjny w tryb czuwania. Potem rzucił się na łóżko i aż zawył z radości, gdy materac zafalował pod jego ciężarem. Uklepał poduszki i ułożył się na nich wygodnie, z rękami splecionymi za głową, szczerząc się idiotycznie do sufitu.

Dziesięć dni!

Roselyn wyszła z łazienki. Miała na sobie białą jedwabną koszulkę, która prawdopodobnie ważyła nie więcej niż dziesięć gramów. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie obawiał się jej seksualności.

- Jesteś imponująca - szepnął.

Dziewczyna usiadła na skraju łóżka. Gdy wstał, by ją objąć, uniosła palec i potrząsnęła nim lekko. Znow usiadł, choć nie wiedział, na jak długo starczy mu samokontroli.

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba - powiedziała cicho.

- Jeszcze jak... - Przerwał, widząc, że Roselyn marszczy brwi. Wyciągnęła rękę i dotknęła naszyjnika, następnie powiodła ręką po mięśniach na jego piersi. - Włożyłam to, bo chciałam ci sprawić przyjemność. Chcę, żebyś wiedział, jak wiele znaczy dla mnie ten dzień.

- Dla mnie też.

- Naprawdę, Lawrence? - Pogładziła go po podbrzuszu.

Elektryzujący erotyzm tej pieszczoty zdawał się przepiękną torturą. Lawrence poczuł,

że łzy prawie napłynęły mu do oczu. Nie był w stanie odpowiedzieć, oddychał szybko, boleśnie. Szare oczy dziewczyny wpatrywały się w jego twarz, jakby były w stanie odczytać na niej każde uczucie. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak nagi.

- Spędzimy razem noc. Rozumiesz, co to znaczy?

- Oczywiście, że tak.

- Czyżby? Ale i tak ci powiem. Oznacza to, że możemy się kochać tak długo, jak tylko wytrzymają nasze ciała. Nie będzie nic ważniejszego: żadnych lekcji, żadnego wracania do domu, żadnych obaw o to, że ktoś może wejść. Tylko ty i ja, i tyle radości, ile zdołamy sobie dać. A potem, gdy już skończymy, zaśniemy w swoich objęciach. Nigdy wcześniej tego nie zaznałam, Lawrence. I będzie to jeszcze rozkoszniejsze niż zwykle, bo przez cały czas będę wiedziała, że obudzę się przy tobie. Sam nie wiesz, jak długo na to czekałam.

Nawet w przyćmionym świetle widział podziw i nadzieję na jej twarzy.

- Ja też na to czekałem - powiedział. - Szkoda, że nic nie powiedziałaś. Może dałoby się to zrobić już wcześniej.

- Zrobiłbyś to? Dla mnie?

- Tak.

- Kocham cię, Lawrence. - Jej mina posmutniała. - A teraz wiesz już o mnie wszystko, chociaż wiem, że zachowuję się strasznie głupio.

- Nie jesteś głupia! - zaprotestował żywiłowo.

Na usta dziewczyny wypełził figlarny uśmiezek. Znowu pogładziła go po piersi.

- Ależ jesteś teraz wysportowany - mruknęła gardłowo. - To aż nieprzyzwoite.

- Myślałem, że ci na tym zależało.

- Zależało. I zaraz ci pokażę, jaka jestem wdzięczna. - Wyprężyła plecy, a potem powoli, kusząco, zaczęła rozwiązywać tasiemkę, którą zasznurowano przód koszulki.

\*\*\*

Przegapili pierwszą lekcję jazdy na nartach, ale niespecjalnie się tym przejęli. Amethi miała wejść w półcień Nizany dopiero za sześćdziesiąt godzin. Do tego momentu miało być jasno przez cały czas.

Gdy w końcu wstali z łóżka z zamiarem zjedzenia śniadania, Lawrence zadzwonił do szkoły narciarskiej, aby zorganizować kolejną lekcję. AS obsługujący recepcję poinformował go, że kolejny wolny termin przypada dopiero za pięć godzin.

Wyszli na spacer po mieście, oglądając restauracje, kawiarnie i bary. Zamiast chodników wszędzie ciągnęły się aluminiowe pomosty, także wsparte na nóżkach. Lawrence był zachwycony. Jeszcze nigdy w życiu nie widział miasta na otwartym powietrzu - poczucie



wolności było wprost upajające. Temperatura powietrza wynosiła jakieś piętnaście, dwadzieścia stopni poniżej zera. Oczywiście nie stanowiło to żadnego problemu. Oboje z Roselyn mieli na sobie nowiutkie kombinezony narciarskie pokryte siateczką termicznych włókien. Ich przewodnictwo ciepłe było regulowane przez wewnętrzny termostat, pozwalający właścicielowi ustalić temperaturę, jaką należało utrzymywać przez cały czas. Kaptury przylegały ściśle do głowy i miały dodatkowe klapy, które można było naciągnąć na twarz. Były niezbędne podczas jazdy. Chroniły przed odmrożeniami twarzy, niemniej większość ludzi nosiła je luzem, nawet w mieście.

- Masz wrażenie, że lód wysysa z twojej skóry całe ciepło! - wykrzyknął Lawrence. Wychylał się ponad barierką, spoglądając na obszar, który w Orchy uchodził za główną ulicę. Autobusy i lodowery mknęły we wszystkich kierunkach, przewożąc turystów od hotelu do samolotu.

- Dobrze wiedzieć - stwierdziła Roselyn. Każda klapka jej kaptura była mocno ściągnięta, tak że na zewnątrz widać było tylko gogle. Nawet teraz stała lekko zgarbiona, jakby walcząc z napierającym zimnem.

Lawrence zaśmiał się w odpowiedzi, po czym poszli dalej. Zajrzeli do dwóch sklepów. Jediną różnicą pomiędzy nimi były nazwiska właścicieli. Obie stanowiły franczyzę firmy zarządzającej Orchy. Oba sprzedawały ten sam sprzęt - na Amethi nie było jeszcze zbyt wielu producentów.

- Świetny interes - stwierdziła Roselyn. Zachichotała, gdy Lawrence przymierzył kaptur w obrzydliwym pomarańczowym kolorze zdobionym różowymi paskami. - Dwa świetne interesy - poprawiła.

- Chcę być widoczny na stoku - zaprotestował urażony.

- No to ci się udało.

Ruszyli dalej. Po jakimś czasie uznali, że miasto skonstruowane z identycznych modułów miało jedną wadę: nie sposób było domyślić się, co oferują, póki nie weszło się do środka. Nazwy migające ponad wejściami nie ułatwiały zadania. Połączenie się z pulą danych w poszukiwaniu wskazówek było zbyt uciążliwe i zbyt oczywiste. Poza tym mieli ochotę po prostu się przejść i pozwiedzać, jednak Orchy nie wybudowano z myślą o spacerach. To miasto nie miało żadnej własnej tożsamości. Jego jedynym zadaniem było zakwaterować i wyżywić ludzi w przerwach pomiędzy akrobacjami na stokach.

W końcu jednak znaleźli jakąś sensowną kawiarnię. *Wysoka Woda* znajdowała się tak blisko skraju rozpadliny, jak tylko pozwalały na to przepisy bezpieczeństwa. Lawrence i Roselyn usiedli przy oknie, po czym zamówili gorącą czekoladę i talerzyk duńskich

herbatników.

Lawrence sącył napój, spoglądając w niebo z tęsknym podziwem. Jeszcze nigdy w życiu nie widział Nizany na własne oczy. Tutaj, na skraju rozpadliny wisiała mu prawie nad głową ogromna tarcza przecięta wstęgami chmur. Linie barwy rdzawej czerwieni i brudnej bieli wiecznie zacierały się pośród skłębionych esów-floresów. Tysiące burz wielkości małych księżyców wiecznie szalały w górnych warstwach atmosfery. Zaburzały elegancki układ barw, zmieniając ich kolory w dziwaczne odcienie, pokrywając je plamami dziwnych chemikaliów. Z głębi co jakiś czas wypływały fale wyładowań elektrycznych, zbyt rozległe, by można je było nazwać piorunami. Całe kontynenty elektronów, narodzonych i unicestwionych w ciągu kilku mikrosekund. Ta efemeryczna iluminacja sprawiała, że Nizana nigdy nie była ciemna - zielonkawa poświata przez cały czas migotała w obrębie jonosfery, podczas gdy wyładowania elektryczne podświetlały fluorescencyjnym blaskiem rozległe łąty chmur o powierzchni tysięcy kilometrów.

- Ależ oni szybko jadą - stwierdziła Roselyn, spoglądając na narciarzy. - Myślisz, że też zdołamy się tego nauczyć?

- Hm? - Lawrence wrócił na ziemię i spojrzał za jej wzrokiem. - To źle postawione pytanie. Pamiętaj, że do nóg masz przypięte kompozytowe płyty i stoisz na szczycie góry zrobionej z lodu. Cała sztuczka polega na tym, aby nauczyć się jechać wolno.

Dziewczyna przestała wrzucać do czekolady kostki cukru i cisnęła jedną w Lawrence'a.

- Złośliwiec. Wiesz, o co mi chodzi.

- Aha. To chyba wcale nie takie trudne, zwłaszcza na oślich łączkach. Słyszałem, że po tygodniu możesz się już przenieść na lekcje dla średnio zaawansowanych.

- Wygląda strasznie, ale chyba mi się spodoba. - Roselyn patrzyła na narciarzy zjeżdżających na sam dół stoku, zatrzymujących się z wdziękiem, wzbijając fontannę śniegu. Potem wyciąg znów zaczął wciągać ich na górę. Po drugiej stronie rozpadliny widać było wąskie pęknięcia sięgające głęboko w lodowy klif, przecinające się i wijące, tworzące skomplikowany wzór. Słońce padało bezpośrednio na nie, rzucając lśniące tęcze, na zawsze uwięzione pod przejrzystą powierzchnią lodu.

Roselyn westchnęła z zadowoleniem.

- Taka jestem szczęśliwa. Mam ciebie. Mam własne życie. To zabawne, ale nigdy nie sądziłam, że dzięki wyjazdowi z Ziemi stanę się szczęśliwa. Ale wiesz? Strasznie brakuje mi jednej rzeczy.

- Czego?

- Łódek. - Potoczyła wokół gestem. - Przemysł turystyczny na Amethi zaczyna się rozwijać naprawdę prężnie. Wszystkie te resorty narciarskie i kompleksy hotelowe w samym środku głuszy i ten idiotyczny wyścig motocyklowy, który zaplanowali na przyszły rok. Ale nie ma łodzi.

- Potrzeba tylko trochę czasu. Oceany wypełniają się powoli, a na kontynentach tworzą się jeziora.

- Ha! Potrzeba będzie jeszcze z tysiąc lat, by stopić ten lodowiec. Wtedy będę albo martwa, albo zbyt stara, by się tym przejąć. Szkoda. Miło byłoby stanąć na dziobie jachtu, słuchając skrzywienia lin, i poczuć wiatr na twarzy.

- A kiedy miałaś okazję zrobić coś takiego?

- Dublin jest miastem portowym, dziękuję, że pytasz. Przeważnie zawijają tam duże statki transportujące ładunek z Anglii i Europy, ale na całym wybrzeżu są też kluby jachtowe. Pływałam jako załoga na żaglówce, całkiem dobrze szedł mi też windsurfing. - Jej szare oczy wpatrywały się gdzieś poza horyzont. - Załapałam się na to tylko jeden raz. Ale lepiej raz niż wcale.

Lawrence zgarbił się, przygnębiony.

- A ja nie załapię się już nigdy.

- Mój biedaku. - Roselyn zacisnęła wargi. - Wiesz co? Wiele razy spadłam z deski. Woda była lodowata i miała nieprzyjemny smak. Bóg jeden wie, jak bardzo zanieczyszczone jest to morze. Ale wspomnienia tak działają: człowiek skupia się tylko na przyjemnych rzeczach.

\*\*\*

Pierwsza lekcja przebiegła zupełnie standardowo. Lawrence i Roselyn spędzili dużo czasu na przewracaniu się i wstawaniu. Jednak zrobili też postępy, przynajmniej na tyle, by ześlizgnąć się po oślej łączce, nie waląc się bezwładnie na ziemię. Wtedy uznali, że jazda po głównym stoku może być naprawdę ekscytująca, i obiecali, że następnego dnia zjawią się punktualnie.

Dopiero po przybyciu do hotelu ich mięśnie zaczęły protestować przeciwko tak bezwzględnemu traktowaniu. Obolałe kostki i łydki zesztyniały im zupełnie. Barki Lawrence'a pulsowały nieprzyjemnie, jakby go ktoś pobił - prawdopodobnie przez to, że tak mocno opierał się na kijkach. Śmiejąc się i od czasu do czasu posykując, rozebrali się do naga i weszli do wanny. Wzajemne namydlenie przerodziło się w zmysłową grę wstępną, a potem w namiętny stosunek. Osuszanie się wielkimi, miękkimi ręcznikami miało podobny efekt. W końcu wrócili do sypialni, gdzie czekało na nich łóżko.

Po trzeciej rundzie miłości zamówili sobie do pokoju kolację, którą popili schłodzonym szampanem. Materac był zbyt niestabilny, by dało się jeść w łóżku, usiedli zatem na werandzie, owinięci w ręczniki, i zjadali ze smakiem.

- Te stoki będą pięknie wyglądać po zachodzie słońca - stwierdziła Roselyn.

Instruktor wspominał, że gdy Amethi wchodzi w cień księżycy, trasy oświetlane są pomarańczowymi i zielonymi lampami. Narciarze mocowali wtedy na kaskach biało-czerwone pochodnie. Podobno wyglądało to tak, jakby całe zbocze pokryły tańczące gwiazdy.

Lawrence ujął ją za rękę i ścisnął lekko.

- Zobaczmy. Koniec naszego wyjazdu przypada już w noc koniunkcji. Może wtedy będziemy już na tyle dobrzy, by jeździć po tych stokach. Mówią, że gdy jesteśmy w samym środku cienia, Nizana zaczyna płonąć jak wielka aureola, jakby słońce podpaliło skraj atmosfery.

- Już nie mogę się doczekać.

Wrócili do łóżka, biorąc ze sobą na wpół opróżnioną butelkę szampana i pudełko czekoladek. Lawrence położył się na materacu. W jednej ręce trzymał smukły kieliszek, drugą od czasu do czasu sięgał do pudełka. Roselyn przytuliła się do niego, zwinięta w kłębek.

Przez chwilę wierciła się na boki, aż w końcu przybrała całkowicie wygodną pozycję.

- No, dawaj - mruknęła.

- Dzięki. - Lawrence pocałował ją w brew, po czym zwrócił się do pokojowego AS. - Otwórz mój osobisty katalog, przejdź do sekcji rozrywkowej i odtwórz *Kierunek: horyzont*, sezon szósty, odcinek piąty. Standardowy widok z perspektywy osoby trzeciej.

- Teraz dobrze? - spytała Roselyn.

Zawsze oglądała ten serial razem z nim, choć Lawrence podejrzewał, że robi to tylko z grzeczności, nie dlatego, że sama zainteresowała się losami *Ultemy*.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedział z godnością. Roselyn przytuliła się bardziej i upiła z własnego kieliszka, gdy na płachcie pokazały się napisy, a wokół zabrzmiał charakterystyczny motyw muzyczny.

Osiemdziesiąt minut później załoga *Ultemy* zdołała zapobiec kolizji planet, która zabiłaby trzy gatunki rozumnych istot. Przedstawiciele jednego z nich byli wściekli za zniweczenie ich chwalebnej roli jako aniołów apokalipsy i zaatakowali statek z pomocą bardzo niebezpiecznej broni. Trzy osoby z załogi zginęły, w tym jedna świeżo zaręczona para.

- Siedmioro bohaterów w ciągu trzech odcinków - stwierdził z niesmakiem Lawrence.

- Tyle, ile w całym czwartym sezonie.

- Ojej. - Roselyn zacisnęła usta, by nie zachichotać. Starła się przybrać poważny wyraz twarzy. - To niedobrze, prawda?

- To raczej nie poprawia ich szans.- Och, biedactwo. - Dziewczyna uniosła się na łokciach, wspięła się na niego i wycisnęła mu na ustach mokrego całusa.

Lawrence postanowił być uparty.

- Przepraszam - zaśmiała się Roselyn. - To po prostu zabawne, że bierzesz to tak serio.

- Kiedyś brałem to naprawdę serio. Gdy byłem młodszy, ci bohaterowie byli moimi idolami. Teraz traktuję ich bardziej jak starych przyjaciół. Pokazałaś mi, że w życiu jest coś więcej niż tylko i. Ale nadal uważam, że to bardzo dobry serial.

- Och, Lawrence. - Roselyn odwróciła się do ekranu, patrząc na niego skruszona. - Nie powinnam być taka wredna. Czasem zapominam, w jak różnych warunkach dorastaliśmy.

- Hej! - Delikatnie pogładził jej plecy. - Nie potrafiłabyś się zachować wrednie, nawet gdybyś chciała.

- Chyba że wobec Alana.

Lawrence zachichotał na samo wspomnienie.

- To nie było wredne, tylko zabawne.

- To prawda. - Znowu położyła się koło niego, ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. - Poza tym masz rację. *Kierunek: horyzont* to całkiem niezły wzorzec dla nastoletniego chłopca.

- Ale chyba już z niego wyrosłem. Studiowanie zarządzania? To chyba najdalsze od tego, co kiedyś chciałem robić.

- Nieprawda. Umiejętności przywódcze pozostają te same, niezależnie od tego, jaką nazwę postanowisz im nadać. Poza tym będziesz miał dobre podstawy, jeśli kiedyś postanowisz zmienić zdanie i szkolić się na oficera floty.

- Ha! Niby po co miałbym to robić? Jest tak, jak mówił tata. Prowadzimy tylko loty pasażerskie. Przecież wiesz. Przyleciałaś na liniowcu. Ja chciałem odkrywać galaktykę, przesuwając jej granice. Teraz już za późno.

Roselyn uniosła się na łokciu.

- Tego właśnie nie rozumiem, Lawrence. Ciągłe powtarzasz, jak bardzo nienawidzisz firmy McArthur za to, że zamknęli program eksploracji kosmosu. A z drugiej strony, nigdy nie rozważyłaś, żeby robić w życiu coś innego, niż zostać na Amethi i pracować w tej firmie. To trochę schizofreniczne, zwłaszcza jak na ciebie.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Jeśli nie możesz się realizować tutaj, to po prostu wyjedź.

- Nie mam dokąd wyjechać - odparł z irytacją.

Jej zdziwione spojrzenie było równie niecierpliwe.

- Tak, może oprócz Ziemi i jej pół tuzina flot badawczych.

Mimo panującego w pokoju ciepła, bliskości Roselyn i leniwego musowania szampana we krwi, Lawrence poczuł, że zalewa go ostre, przenikliwe zimno. To, co właśnie powiedziała, nie mogło być prawdą. Bo jeśli tak, to właśnie zburzyła cały jego świat, zaprzeczyła wszystkiemu, czego dowiedział się tamtego dnia, gdy przypadkiem pozabijał tłustoglisty.

- Co powiedziałaś?

- Że powinieneś polecieć na Ziemię i wstąpić do innej firmy.

Chwycił ją za ramiona, zacisnął mocno.

- Jakiej, kurwa, innej firmy?

- Lawrence! - Roselyn spojrzała na jego ręce, a potem uniosła wzrok.

- Przepraszam. - Puścił ją, próbując opanować wzrastający gniew, który zdawał się równie potężny jak strach. - Jakiej firmy? Chcesz powiedzieć, że ktoś jeszcze utrzymuje floty badawcze?

- Oczywiście, że tak. Zantiu-Braun jest największa i najbardziej aktywna, ale Alphaston, Richards-Montanna i Quatomo wciąż prowadzą misje. Nie są już takie duże jak dawniej, zanim rozpoczęła się ta straszna „realizacja aktywów”, ale nadal wysyłają statki, by zbadać potencjalne miejsca pod kolonie. Zantiu-Braun ma też kolonie portalowe.

- Nadal zakładają kolonie? - Jego głos ucichł, aż do przerażonego szeptu.

- Tak. Lawrence, nie wiedziałeś o tym?

- Nie.

- O, kurczę. - Spojrzała na niego z zakłopotaniem. - Lawrence, ja...

- Proszę o pełny trał puli. - Chłopak zwrócił się do AS bezbarwnym głosem. - Wyślij zapytanie, które wynajdzie jak najwięcej informacji na temat obecnych ekspedycji międzygwiazdnych. Zwróć uwagę na działalność firm Alphaston, Richards-Montanna, Quatomo i Zantiu-Braun.

- Nie ma żadnych plików na temat obecnych ekspedycji międzygwiazdnych - odparł AS. - Wszelkie informacje na temat lotów kosmicznych dotyczą lotów komercyjnych i realizacji aktywów.

Lawrence parsknął mimowolnie. Zdziwienie wzięło górę nad wściekłością.

- Okłamał mnie. Mój ojciec mnie okłamał. Co za skurwieli!

- Lawrence? - Roselyn nieśmiało wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Cały ten świat to jedno wielkie kłamstwo! Wszystko, co teraz robię, to kłamstwo! - Zeskoczył z łóżka, jakby go parzyło. - Mógłbym robić to, o czym zawsze marzyłem. Mógłbym teraz być na Ziemi, w akademii oficerskiej. A co robię? Zdaję na pieprzone zarządzanie! I taki byłem szczęśliwy, że chcą mnie przyjąć, że postanowiłem to świętować. Świętować! Słodki Losie... - Uniósł pięści, szukając czegoś, co mógłby uderzyć. Ukarac. Szalejący gniew sprawił, że wszystko wydawało się tak jasne.

- Lawrence, uspokój się!

- Dlaczego?! - krzyknął. - Byłem spokojny przez cztery lata. Tego właśnie chciał. Ten zasrany... Tego właśnie chce McArthur. Zamienić wszystkich w ciche, posłuszne małe roboty, które robią, co tylko trzeba, byle tylko podnieść cenę akcji.

- Lawrence, proszę! - Roselyn była bliska łez. - Przestań.

Jej zboląły głos uruchomił w nim wszystkie mechanizmy obronne. Nie można krzywdzić Roselyn - taki był jego jedyny cel w życiu.

- Okej. - Uniósł ręce w pojednawczym geście. - Okej, masz rację. To nie twoja wina. - Okrążył pokój, nie wiedząc, czego szuka. Jednego był pewien: nie ma tu nic do roboty. - Wyjeżdżamy. Spakuj swoje rzeczy.

- Lawrence, nie możemy teraz wyjechać.

- Muszę. - Zniżył głos, aż zabrzmiał niemal błagalnie. - Słuchaj, on mnie okłamał. Tak bardzo, że zniekształcił mi cały świat. Wyrzucił do kosza wszystko, o czym marzyłem. Rozumiesz?

Powoli skinęła głową.

- Co teraz zrobisz?

- Poproszę... nie, zażadam, żeby powiedział mi prawdę. Chcę wiedzieć, czy dyplom z Amethi pozwoli mi wstąpić do akademii oficerskiej. Chcę wiedzieć, jak się tam dostać. Chcę wiedzieć, ile to kosztuje. Chcę wiedzieć.

\*\*\*

Złapali taksówkę na lotnisku Templeton. Lawrence podrzucił najpierw Roselyn do jej kopuły, po czym kazał się zawieść do posiadłości Newtonów. Gdy dotarł do domu, był już środek popołudnia, według czasu templetońskiego. Przełożenie lotu okazało się względnie proste. Pracownicy linii lotniczych przyzwyczaili się już, że wiele osób wyjeżdża z Orchy wcześniej, zmuszonych do skrócenia wycieczki przez odniesione kontuzje.

Gdy wszedł do kopuły głównej, oświetliły go lampy z pełnym widmem światła, wypełniając całą okolicę jaskrawym blaskiem. Słońce zniknęło za horyzontem Templetonu już wiele dni temu, w miarę jak Amethi zmierzała do koniunkcji dolnej. Sztuczne światło

zawsze zdawało mu się czymś niewłaściwym, tak jakby inżynierowie projektujący lampy odtwarzali widmo całkiem innej gwiazdy.

Gdy szedł przed siebie zwirowaną ścieżką, wokół niego kładły się drobne cienie. Czerwono-żółte pnące róże, otaczające kolumnienki po obu stronach ścieżki, zaczynały więdnąć, sypiąc barwnymi płatkami. Słyszał krzyki i śmiechy swoich braci i sióstr, bawiących się na trawniku, skręcił więc w prawo przy końcu alejki różanej, wybierając dłuższą drogę, byle tylko na nich nie wpaść. Nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się o jego wcześniejszym powrocie. Było to dziwne, ale odczuwał jakiś instynkt opiekuńczy wobec swojego rodzeństwa. Byli jeszcze za młodzi, by dowiedzieć się, jakim człowiekiem naprawdę jest ich ojciec. Powinni zachować swoją niewinność; Lawrence nie chciał jej niszczyć w jednym nieprzemyślanym porywie gniewu.

Gdy dotarł na piętro, usłyszał jakieś pomruki dochodzące z gabinetu. Wiedział, że jego ojciec na pewno jest u siebie, chociaż nie spodziewał się, że ktoś będzie mu towarzyszyć o tej porze.

- ...że nie dotrą nawet na stok - stwierdził jego ojciec z rozbawieniem. - Przez tydzień sami w pokoju hotelowym. Założę się, że wróci wydymany do nieprzytomności. Prawdopodobnie będę musiał wysłać po niego helikopter ratunkowy.

Miranda zachichotała.

- Przecież sam tego chciałeś.

- Tak, wiem. Kurczę, laska jest niezła w te klocki. Za tę cenę to prawie jak darmo. I do tego nogi, widziałaś?

Za tę cenę? Słowa ojca rozbrzmiewały echem w głowie Lawrence'a. Cenę?

- Aha, widziałam - przyznała Miranda. - A co? Podoba ci się?

- Pewnie, że tak. Jak już będzie po wszystkim, może nawet zapłacę jej za miesiąc ze mną.

- Co? Ty z jego dziewczyną? To dopiero perwersja, Doug. A poza tym pamiętaj, że mam od niej znacznie większe cycki. Zawsze mówiłeś, że cię to podnieca.

- No i? W ten sposób będę miał was obie. Wszystko, co najlepsze.

- Razem?

- Aha. Czasem mam ochotę na dobry trójkącik. To dopiero będzie coś. Będę mógł popatrzeć, jak robicie to ze sobą.

- Wiesz co, myślę, że mnie też się to spodoba. Roselyn wygląda tak słodziutko. Fajnie będzie ją przelecieć. Założę się, że potrafi być naprawdę ostra, jeśli tylko wiesz, jakie guziki nacisnąć.



Gdyby nie jej imię, Lawrence niemal mógłby uwierzyć, że rozmawiają o kimś innym. Że to tylko straszliwy zbieg okoliczności. Jakaś inna para na wczasach narciarskich. Inna dziewczyna, która wpadła w oko jego ojcu. Nie oni. Nie on. Nie Roselyn.

Drżącymi rękami pchnął ciężkie drewniane drzwi. Jego ojciec siedział za biurkiem, a Miranda przycupnęła przed nim na blacie. Przód sukienki miała rozpięty, a piersi wylewały się ze stanika. Prawy sutek miała przebity diamentowym sztyftem. Doug powoli lizał sterczącą brodawkę. Niechętnie uniósł głowę i napotkał wzrok Lawrence'a.

Miranda zatchnęła się gorączkowo i szybko zapięła sukienkę.

- Synu?

Lawrence chyba jeszcze nigdy nie widział, by jego ojciec był czymś zakłopotany. Wyraz szoku i poczucia winy po prostu nie pasował do tej opanowanej twarzy.

- O, rany. Posłuchaj, to o czym przed chwilą mówiliśmy...

- Tak? - Lawrence sam się zdziwił, że jaki jest spokojny. - Co, tato? Nie jest tak źle, jak myślę? To właśnie chciałeś powiedzieć?

Legendarne opanowanie Douga powróciło i na jego twarzy pojawił się smutny uśmiezek.

- Obawiam się, że nie mogę.

- Oplącałeś ją.

- To trochę bardziej skomplikowane.

- Jak? Jakim cudem? Zapłaciłeś jej?

- Posłuchaj...

Lawrence przemierzył pokój trzema szybkimi krokami, aż znalazł się przed samym biurkiem.

- ZAPŁACIŁEŚ ROSELYN, ŻEBY SIĘ ZE MNĄ PRZESPAŁA, TY GNOJU?

Doug aż cofnął się pod naporem jego furii.

- Posłuchaj: Było z tobą naprawdę źle, wiesz? Dostawałeś najgorsze stopnie w klasie, nie miałeś żadnych przyjaciół, psychiatra powiedział, że jesteś na granicy upośledzenia i nie potrafisz nawiązać kontaktu ze światem. Naprawdę się o ciebie martwiłem. W końcu jestem twoim ojcem, niezależnie od tego, jak dobrze albo źle wypełniam tę rolę.

- A więc zafundowałeś mi kurwę.

- Synu, musiałeś w końcu zdać sobie sprawę, ile może ci zaoferować takie miejsce jak Amethi. Nie mogłem pozwolić, żebyś zmarnował sobie życie. A ona zdołała do ciebie dotrzeć. Możesz ją nazywać, jak chcesz. Możesz mnie obwiniać za to, jak was poznałem. Przyznaję, że było to dosyć niskie. Ale spójrz na siebie, zobacz, jak dzięki niej wyszedłeś na

prostą. Jesteś najlepszy w klasie, grasz w szkolnej drużynie, wszyscy chcą się z tobą przyjaźnić. To właśnie ona ci pokazała, ile można w życiu osiągnąć. Kiedy mówiłem, że jestem z ciebie dumny, powiedziałem prawdę.

- Jasne, że jesteś dumny. Stałem się dokładnie taki, jak chciałeś. Po co mnie w ogóle miałeś, tato? Dlaczego się nie sklonowałeś?

- Synu, proszę, uspokój się. Wiem, że to nie jest łatwe. Sam nie podejrzewałem, że tak się w niej zadurzysz.

- Dlaczego? Przecież jest ładna. Co miałbym zrobić innego, ja, taki frajer?

- Lawrence, za jakiś czas się z tym pogodzisz. Liczę się z tym - Doug wzruszył ramionami - że znienawidzisz mnie do końca życia, ale będę z tym żyć, bo wiem, że postąpiłem słusznie.

- Nie, tato. Nie postąpiłeś. - Lawrence odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nie miał pojęcia, jak dotarł na miejsce, nie wiedział nawet, ile czasu upłynęło. Ale jakiś czas później, może jeszcze w tym samym dniu, tygodniu albo roku, stanął przed wejściem do mieszkania Roselyn. Nawet gdy w końcu je rozpoznał i zorientował się, gdzie jest, upłynęło dużo czasu, zanim zdołał podnieść rękę i zapukać.

Zabrzmiało to jak delikatne stukanie kostkami palców. Sam ledwie je usłyszał. Zapukał mocniej. A potem jeszcze mocniej. W końcu załomotał w nie pięścią, aż zadrżały we framudze.

- Otwórzcie! - wrzasnął. - Wpuśćcie mnie!

Usłyszał, że zamek kliknął, więc przestał się dobijać. Bolała go ręka. Na obtartych kostkach palców zebrały się kropelki krwi.

Otworzyła Lucy O'Keef.

- Och, Lawrence. To ty. - Ramiona jej zwiły, prawdopodobnie była przygnieciona poczuciem winy. - Twój ojciec dzwonił. Mówił, że...

- Gdzie ona jest? - warknął Lawrence.

- To chyba nie jest dobry...

- GDZIE ONA JEST?

Roselyn odsunęła matkę na bok. Jej oczy były tak czerwone, że musiała płakać już od dłuższego czasu.

Nigdy wcześniej nie wyglądała bardziej krucho i pięknie. Lawrence wpatrywał się w nią w milczeniu. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, bo teraz już wiedział, że wszystko, co usłyszał, było prawdą. Pomyślał, że jeśli usłyszy to samo z jej ust, to chyba tego nie znieśnie.

Zawrócił w stronę windy.

- Lawrence! - Roselyn wybiegła za nim. - Lawrence, nie odchódź, proszę!

Ruszył szybciej, a potem zaczął biec. Z rozmachem nacisnął guzik w ścianie. Na szczęście drzwi windy rozsunęły się natychmiast. Wszedł do środka i nacisnął parter.

- Lawrence! - Roselyn włożyła rękę między drzwi, które natychmiast zamaryły. - Tak mi przykro. Lawrence, przepraszam. Kocham cię.

- Zapłacił ci. - Myśli w jego głowie szamotały się tak gorączkowo, że ledwie zdołał wypowiedzieć te dwa słowa. - Kazał ci to zrobić.

- Nie! - zaszlochała. - Nie, Lawrence.

- Więc co? Nie zapłacił ci?

- Nie zrobiłam tego dla siebie. Nie rozumiesz. To nie tak.

- Więc jak? Czego tu nie rozumieć?

- Zrobiłam to dla Mary i Jenny.

- Twoich siostr? A co one mają z tym wspólnego?

- Nie zostało nam już nic. Na Ziemi akcje McArthur są prawie bezwartościowe. Zresztą i tak nie mieliśmy ich dużo. Nie wiesz, jak to jest być biednym. Jesteś bogatym chłopcem i dorastałeś na planecie, która jest jeszcze za młoda na takie problemy społeczne. Tylko tak zdołaliśmy się wyrwać z Dublina, uciec z Ziemi. Musiałam się... na to zgodzić.

- Jesteś częścią jego planu. Największą częścią tego kłamstwa. Nienawidzę cię!

- Nigdy cię nie okłamałam, Lawrence.

Znów wcisnął guzik, czekając, aż skończy się ta męczarnia.

- Zamknij się! Zamknij się, ty suko! Wszystko to kłamstwo. Wszystko!

- Tylko na początku. - Roselyn oparła się o ścianę, całkowicie wyczerpana. - Miałam tylko podejść i powiedzieć „cześć”. Jedno krótkie słowo. Reszta była prawdziwa. Nie potrafiłabym udawać miłości przez półtora roku. Wiesz, że mówiłam prawdę!

Drzwi windy zsunęły się ponownie. Rozpaczyliwy szloch Roselyn przeszył mu serce.

\*\*\*

Vinnie Carlton otworzył drzwi i zobaczył przed sobą Lawrence'a, opartego ciężko o ścianę.

- Chłopie, co się stało?

Lawrence nie dał po sobie poznać, że w ogóle dosłyszał pytanie. Vinnie wzruszył ramionami i podał przyjacielowi rękę, pomagając mu wstać.

- Wejdz do środka, zanim robot sprząający wrzuci cię do zsypu na śmieci - rzekł. - No chodź, przyda ci się jakiś drink. A może dziesięć.

Lawrence nie opierał się, gdy kolega zaprowadził go do pokoju i wcisnął mu do rąk

kubek herbaty. Odruchowo upił łyk, po czym zakrzuszył się gwałtownie.

- To okropne, Vin. Co to jest?

- Rum. Mnie smakuje.

Lawrence wypił jeszcze łyk, tym razem próbując ostrożnie. W zasadzie nie było takie złe.

Po chwili rozejrzał się niepewnie. Przyszedł tu, ponieważ Vinnie był jedyną osobą, do której mógł się zwrócić, nie angażując w to rodziców. Choć byli dobrymi przyjaciółmi, Lawrence rzadko przychodził do niego do mieszkania. Nigdy nie wybaczył Vinnie'emu, że nie chciał mu go użyć, żeby mogli pouprawiać seks z Roselyn.

Wszystko w jego życiu wiązało się z tą dziewczyną.

- Nie masz pojęcia, jakie to szczęście mieszkać samemu.

- Czemu?

Lawrence opowiedział mu wszystko.

Vinnie wysłuchał całej historii, a przez jego twarz przebiegały kolejno różne uczucia.

- Cholera - powiedział w końcu. - Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale... jesteś pewien?

- O, tak.

- Chryste, nie mogę w to uwierzyć. Roselyn była niesamowita. Taka... prawdziwa.

- Tak. Dziewczyny, co nie? - Lawrence powiedział to takim tonem, jakby w ogóle go to nie obeszło, jakby był to całkiem zwyczajny problem, z jakim zmagają się ludzie w każdym związku. Nie zadziało. Poczł, że lada chwila znów się załamał i nienawidził się za to.

- Aha, dziewczyny.

Ton Vinnie'ego sprawił, że Lawrence nagle rozejrzał się wokół, jakby zdał sobie sprawę, że czegoś brakuje.

- A gdzie Nadia?

- Ha! Rozstaliśmy się po tej imprezie u Hilliera. Powiedziała, że nie chce się pokazywać z kimś, kto przyniósł jej tyle wstydu. Co za suka. A co mieliśmy zrobić? Pozwolić tym fiutom, żeby zbili Alana na miazgę?

Lawrence uśmiechnął się na samo wspomnienie.

- I tak prawie im się udało.

- Prawda? Nie mam szacunku dla kogoś, kto tak się zachowuje.

Atmosfera znów stała się ponura.

- Co teraz zrobisz? - spytał w końcu Vinnie.

- Nie wiem. Nie mogę już wrócić do domu. A już na pewno nie zdołam jej więcej

spojrzeć w oczy.

- Cholera. Lawrence, wiesz, że zawsze możesz tu zamieszkać?

- Dzięki. Ale chyba nie mogę. Muszę sobie radzić dalej, wiesz? Odciać się od tego wszystkiego.

- Chcesz wyjechać do innego miasta?

- Nie. Posłuchaj, ty przyleciałeś z Ziemi. Powiedz mi jedną rzecz: czy to prawda, że niektóre firmy wciąż finansują wyprawy badawcze?

- Jasne. Chociaż nie zostało ich dużo. Nie interesowałem się tym specjalnie, ale Roselyn prawdopodobnie miała rację, jeśli chodzi o Richards-Montanna i na pewno miała rację z Zantiu-Braun. Kurczę, mają przecież na własność chyba z połowę tej pieprzonej planety.

- Dlaczego nic z tych rzeczy nie ma w puli na Amethi?

- Och, na pewno jest. Po prostu nie masz kodów dostępu.

- No dobra, ale po co to zastrzegać? Przecież to żadna tajemnica.

- Kto wie? Pewnie z czystej korporacyjnej paranoi. Nie zapominaj, że nie żyjemy w demokracji.

- Przecież żyjemy - odparł odruchowo Lawrence.

- Uczalność korporacyjna trochę różni się od tradycyjnego modelu. Twój głos liczy się proporcjonalnie do stopnia zamożności.

- Musi tak być. Przecież nie można pozwolić, żeby biedni przegłosowali sobie większe zasiłki. To byłoby gospodarcze samobójstwo.

Vinnie przycisnął palce do skroni.

- Lawrence, nie chcę się z tobą kłócić. Pamiętaj, że przyjechałem tu z własnej woli. Amethi jest spokojna i dobrze prosperuje, chociaż okupuje ten stan sporą dawką hipokryzji. Mówię tylko, że jeśli zarząd chce kontynuować tę umiarkowaną, zrównoważoną linię polityczną, to są pewne kwestie, których muszą unikać. Domyślam się, że nie chcą, aby ktokolwiek z mieszkańców nawet myślał o emigracji. Nie oni pierwsi wpadli na ten pomysł. Im więcej odkrywamy nowych planet, im więcej zakładamy kolonii, tym większa staje się pokusa emigracji i tym większe naciski, by ją ułatwić. Jeśli nie ma dokąd odejść, mieszkańcy muszą po prostu zostać w domu i pracować dla wspólnego dobra.

- Chuje.

- To nic osobistego, Lawrence. Przecież nie było tak, że ktoś dowiedział się o twojej obsesji na temat misji badawczych i odciał dostęp do wszystkich informacji na temat lotów kosmicznych w puli danych.

- Muszę stąd wyjechać! - jęknął Lawrence. - Nie mogę tu zostać. Rozumiesz to, prawda?

- Mówisz o wyjeździe na inną planetę?

- Aha. Chcę dotrzeć na Ziemię. Jeśli jest jakaś - jakakolwiek - szansa, że załapię się na jakiś program badawczy, to muszę zaryzykować. Nie będę mógł ze sobą żyć, jeśli chociaż nie spróbuję.

- Jasne. Rozumiem.

Lawrence uniósł wzrok, próbując zachować resztki godności. Nie chciał błagać.

- Pomożesz mi?

- W jaki sposób? - W głosie Vinnie'ego zabrzmiała nagła czujność.

- Tylko trochę. Jestem bogaty. Mam udziały w firmie McArthur. Przeszły na moją własność, gdy skończyłem osiemnaście lat, teraz mogę robić z nimi, co chcę. A teraz najbardziej chciałbym kupić sobie bilet na Ziemię.

- Twój staruszek nigdy na to nie pozwoli - odpowiedział po chwili przyjaciel. - Jesteś pewien, że masz dość? Moja rodzina wydała fortunę, by mnie tu wysłać.

- Na pewno wystarczy. Ale wiem też, co zrobi mój ojciec, jeśli spróbuję spieniężyć te udziały. Dlatego chciałbym skorzystać z pomocy tej firmy prawniczej, która prowadzi wasze sprawy. Są niezależni, prawda? Jeśli ktoś może mi pomóc, to właśnie oni.

- Nic ci to nie da. Jasne, że są niezależni, ale twój tatuś jest w zarządzie. Jeśli on powie, że nie możesz jechać, to nie ma na tej planecie żadnego prawnika ani żadnego sądu, który anuluje tę decyzję.

- Kurwa mać! - Lawrence poczuł, że mięśnie napinają mu się odruchowo. Jak dotąd, znosił wszystkie ciosy z niezwykłym opanowaniem, ale każda wytrzymałość ma swoje granice. Za każdym razem wściekłość stawała się silniejsza.

- Muszę stąd wyjechać! - wrzasnął na Vinnie'ego. - Muszę!

- Wiem. - Przyjaciel spojrział na niego z powątpiewaniem, jakby rozważał jakieś niewidzialne opcje. - Okej. Może jednak zdołam ci pomóc. Ale jeśli to się nie uda, to znajdziesz się po uszy w gównie.

- Mówisz, że teraz nie jestem?

- W porównaniu do tego, co może się stać? Bynajmniej.

Lawrence poczuł nagle żywe zainteresowanie. Znał Vinnie'ego na tyle, by poznać, że tym razem nie są to głodne kawałki, które sobie zwykle wciskali.

- Mów.

- Mam oprogramowanie, które nie powinno do mnie w ogóle trafić. Mówię serio.

Program nazywa się Prime i jest tak potężny, że na Ziemi zaklasyfikowano go jako broń. Wywiezienie kopii poza planetę prawdopodobnie jest karane śmiercią.

- Ja pierdolę! Do czego służy ten Prime?

- To na wół rozumny algorytm. Wystarczy, że uruchomisz go w dowolnej perle neutronowej, a on przejmie kontrolę nad każdym AS na Amethi. Nie tylko zablokuje każde zapytanie, które wyśle twój ojciec, by ustalić, gdzie jesteś, ale też wymaże wszystkie ślady z banku, kiedy wyjmiesz pieniądze na kupno biletu. Twój ojciec dowie się, że opuściłeś Amethi, dopiero wtedy, gdy prześlesz mu filmik, jak siedzisz na śródziemnomorskiej plaży, sącząc pina coladę.

- Cholera. Taki jest dobry?

- Nie będę nawet próbował dawać ci pełnego programu. Ale dostaniesz uproszczoną wersję, która załatwi ci podróż. I, pamiętaj, jak już będziesz na Ziemi, nie afiszuj się z tym softem. Prime jest bardziej zaawansowany niż cokolwiek na Amethi, ale moja wersja nie jest najnowsza. Przypuszczam, że ziemską pulę jest przed nim zabezpieczona, w każdym razie co wrażliwsze sekcje.

- Jasne. Będę pamiętał. I dzięki.

- Nie ma sprawy. Byłeś dobrym kumplem. Pamiętaj o mnie, gdy wyruszysz w swoją wielką podróż. - Wyszczrzył zęby. - No, chyba że wcześniej złapią cię z tym cackiem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dzień jak zwykle był gorący i duszny, gdy Lawrence wyprowadził pluton na szósty poranny patrol. Przebywali na Thallspring już od tygodnia, a kampania przebiegała znacznie gorzej niż wtedy, gdy ostatnim razem przemierzał te szerokie, piękne ulice. Ebrey Zhang nie użył jeszcze żadnego naszyjnika, ale Lawrence wiedział, że to tylko kwestia czasu.

„I tak nie może być gorzej niż w Santa Chico”, powtarzał sobie w duchu. Dzięki Losowi za drobne łuty szczęścia.

Obszar patrolowy plutonu 435NK9 obejmował dzielnicę Dawe. Był to teren położony w głębi łądu, przeznaczony głównie na osiedla mieszkalne. Rzędy dobrze utrzymanych podmiejskich domków pokrywały małe wzgórze znajdujące się u stóp pasma górskiego, ciągnącego się za miastem. Ulice były szerokie i czyste, obrzeżone przez wysokie świerki. Ich gałęzie splątały się gęsto, rzucając na chodnik nieregularne plamy cienia. Z Dawe do centrum miasta kursowały dwie linie tramwajowe: wielkie, niezgrabne pojazdy, dzwoniące przeraźliwie na wszystkich rowerzystów jadących po torowisku. Co ciekawe, dzwonek milczał, gdy na szynach stanął żołnierz w Skórze.

Według oficjalnej wersji, zadaniem plutonu było wspieranie regularnych pieszych patroli policyjnych. W rzeczywistości mieli podkreślać obecność Z-B.

Pluton 435NK9 posuwał się naprzód ulicą obrzeżoną małymi sklepikami. Niewielu mieszkańców wyszło na zewnątrz, a nieliczni przechodnie rzucali Skórom wrogie spojrzenia. Na każdym kroku towarzyszyły im szyderstwa i wyzwiska. Policjanci, którym towarzyszyli, kwitowali te zaczepki uśmiechem, nie próbując ukryć pogardy.

- O, kurna, co za porażka - mruknął Hal, po raz setny tego dnia.

Lawrence sprawdził wyświetlacz pozycji. Hal szedł na prawej flance.

- Nie zwracaj na nich uwagi, Hal. Jeszcze nic nam nie zrobili.

- Tak, i daj nam żyć - dodał Lewis.

- Ale tylko posłuchajcie!

Lawrence praktycznie nic innego nie robił. Przez cały ranek ścigały go okrzyki „KillBoy”. To jedno słowo, powtarzane raz za razem, miało prowokować i zastraszać, jak powiew rozżarzonego powietrza. Podobno był to pseudonim snajpera, który zastrzelił Nica zaraz po wylądowaniu.



KillBoy, współczesny Robin Hood. Zraniona, okaleczona lub prześladowana ofiara poprzedniej inwazji na Thallspring - wszystkie wersje miały swoich zwolenników. Krążył po ulicach Memu Bay, poszukując samotnych Skór. Gdy ich znalazł, jego superbroń przebijała pancerz, jakby był z prawdziwej ludzkiej skóry. Kolejny najeźdźca zaczynał gryźć piach, a dobrzy mieszkańcy Memu Bay mogli z dumą unieść głowy, wiedząc, że ich oprawcy nie wygrają tej wojny i że we wszechświecie jednak istnieje sprawiedliwość.

Lawrence'owi wcale się to nie podobało. Nie było żadnego KillBoya. W każdym razie nie była to jedna osoba, lecz jakaś podziemna grupa oporu zorganizowana przez władze i wyposażona w jakiś paskudny sprzęt. Plotki i pogłoski miały dopełnić dzieła. Ale dzięki temu miejscowi otrzymali własną ikonę, obrońcę, który ocali ich, nawet jeżeli narażą się Z-B. Niedobrze, bo ta świadomość dawała im złudne poczucie niezwyciężoności. A po tragicznym lądowaniu żołnierze Z-B byli w stanie ciągłej gotowości. Sytuacja mogła się tylko pogorszyć.

Z otwartych drzwi baru nagle dobiegła muzyka, która równie szybko ucichła. Trzej członkowie plutonu odwrócili się w tamtą stronę. Przed wejściem do baru spostrzegli trzech młodych mężczyzn, którzy pokazywali im środkowe palce.

- Chyba możemy sobie odpuścić ten lokal - stwierdził Karl. - Nie wygląda zbyt przyjaźnie.

- Żaden nie jest przyjazny - odparł Edmond.

- Ja w ogóle nie zamierzałem się tu wybierać - burknął Hal. - Rany, co za dziura. Nic się nie dzieje. Trzeba będzie kopnąć się do maryny, żeby znaleźć porządną cipkę.

Lawrence uśmiechnął się, słuchając tej pogawędki. Chłopcy mieli dzisiaj prawo do pierwszego wyjścia. Z-B opanowała szereg hoteli tuż za mariną, by zakwaterować żołnierzy. Właściwie nie było na co narzekać. Lawrence zaklepał sobie dwuosobowy pokój w czterogwiazdkowym hotelu. Duże, wygodne łóżko, balkon z widokiem na port, przyzwoita restauracja, bar, salon gier, sala gimnastyczna, basen, a nawet sauna, którą, niestety, zmonopolizowali oficerowie. Ale nie wolno im było wychodzić. Jak powiedział Ebrey Zhang, „przynajmniej dopóki sytuacja się nie uspokoi”.

Pod koniec pierwszego tygodnia dowódca uznał, że już czas. Nie było żadnych incydentów z udziałem snajpera. Produkcja w zakładach biochemicznych zaczęła osiągać poziom sprzed inwazji. Obecność przybyszów została niechętnie zaakceptowana przez miejscowych.

Poprzedniego wieczora kilka plutonów przetestowało sytuację i nic się nie stało. Dzisiaj to 435NK9 otrzymał szansę, by zaszałać.

Lawrence uważał, że to jeszcze za wcześnie. Młodszy oficerowie prawdopodobnie

przesyłali Zhangowi podkoloryzowane raporty, aż w końcu uwierzył, że w mieście rzeczywiście panuje spokój. Ale nikt nie zapytał Lawrence'a. Z drugiej strony, cieszył się, że pluton dostanie urlop - uznał, że wcześniej czy później przydadzą mu się dwa dni, aby wyjechać w głąb ładu i przeprowadzić własną misję realizacji aktywów.

W górze rozległ się warkot helikoptera TVL88 krążącego u stóp łańcucha wzgórz. Kilka Skór siedziało we władze, machając nogami i obserwując budynki. Nieruchome, pozbawione rysów gargulce, gotowe natychmiast zareagować przy pierwszych oznakach kłopotów. Helikoptery stanowiły odpowiedź Z-B na KillBoya: służyli wsparciem dla sił naziemnych, gotowi w każdej chwili otworzyć ogień. Kilku z 435NK9 zamachało.

- Na litość, ty brzydal! - ciągnął Odel. - Żadna babka z Thallspring nawet na ciebie nie spojrzy. Gdy tylko wyjdziemy do baru, wszystkie uciekną jak przed stadem szerszeni.

- Powiedz mu, kretynie! - dodał Karl.

- On ma rację, Hal - stwierdził Lewis. - Lepiej trzymaj się kombinezonu do symów z i-porno. Te laski zrobią wszystko, co chcesz.

- Niepotrzebne mi to gówno! - zaprotestował Hal. - W Queensland też nas nie lubią, ale nigdy nie miałem żadnych problemów, żeby zaliczyć laskę na Wybrzeżu.

- Ale w końcu skończyła ci się forsa, co? - spytał złośliwie Karl. - Do tego każdego ranka trzeba było latać do lazaretu po antidotum.

Połączenie wypełnił gardłowy śmiech.

- To wcale nie jest śmieszne! - obruszył się Hal. - Jaja mi pękają, jeśli nie zaliczę dzisiaj jakiejś cipki. Mówię wam, że nie będzie z tym żadnych problemów. W każdym razie dla mnie. Jestem młodszy od was i do tego lepiej zbudowany. Laski będą na mnie lecieć w każdej galaktyce. Dobry wygląd nigdy nie wychodzi z mody.

- Och, daj spokój! - zbył go Lewis. - Na pewno nie polecą na smarkatego gówniarza, który przyszedł do woja odpracować grzywnę.

- Sam się, kurwa, zgłosiłem do działu bezpieczeństwa!

- Laski wolą facetów z doświadczeniem. Prawda, Dennis?

- Bingo. Obrąłeś złą taktykę, młody. Wnosimy pewien akcent egzotyki. Jesteśmy dla nich kosmitami z innej planety. Panienki będą zaintrygowane. Na to możemy je złapać. A im więcej planet zwiedziliśmy, tym łatwiej. Wszyscy poza Halem skorzystają.

- Hej!

- Spójrz prawdzie w oczy. Nie masz szans z doświadczonymi facetami.

- Gówno prawda! Wy, stare pryki, nie zdołacie go nawet unieść, nie mówiąc już o tym, żeby wytrwać do końca. Dziewczyny wiedzą, czego chcą i tak się składa, że dziś

wieczorem przedawkują mnie.

- Zewrzeć szyk! - zakomenderował Amersy, by ukrócić przepychanki. - Dalej, Jones, zostajesz z tyłu. Dennis, podejdź bliżej, wesprzyj Odela.

- Już się robi, kapralu.

Ulica, którą patrolował Lawrence, wychodziła na mały plac ozdobiony trawnikiem otoczonym przez kwiatowe klomby. Stare roboty ogrodnicze pełzły wzdłuż grządek biało-fioletowej szalwii, przyrdzewiałe narzędzia miarowo szturchały glebę. Policjanci zwolnili kroku, zostając nieco w tyle. Zawsze tak robili, ilekroć dochodzili do większego skrzyżowania, na wypadek gdyby za rogiem czaiła się zasadzka.

Edmond i Lewis zakreślili szeroki łuk, podchodząc do witryn sklepowych, obserwując przeciwległe strony placu. Nie było zasadzki. Żadnego KillBoya. Pluton przemierzył plac, policjanci dreptali jego śladem.

- Może powinniśmy kupić jakieś miejscowe ubrania? - spytał Hal. - No wiecie, żeby wtopić się w tłum. Nie chcemy przecież wyjść na jakichś kosmicznych frajerów, co nie? W barze trzeba wyglądać stylowo.

- Hal - upomniał go Lawrence. - Skup się na aktualnym zadaniu, dobrze?

- Jasne. Przepraszam, sierżancie.

Lawrence zszedł z trawnika i przeszedł przez drogę. Nie lubił ingerować w wewnętrzne przepychanki plutonu, ale młody był zbyt tępy, by zrozumieć aluzje Amersy'ego. Przy odrobinie szczęścia znajdzie dzisiaj jakąś głupią sikse, która wpadła na pomysł, by przelecieć najeźdźcę z kosmosu. Musiał jakoś odreagować napięcie, bo zaczynał już wszystkich wkurzać.

Nagle w siatce czujników zapaliły się czerwone ikony. AS kombinezonu podłączył go do kanału komunikacyjnego plutonu Oakleya. Przed oczami rozwinęła mu się dwuwymiarowa mapa miasta, z zaznaczonym położeniem patroli. Potem nałożył się na nią skrypt z rozkazami, przesuwający się w miarę jak AS taktyczny sztabu głównego analizował incydent.

Incydent był następujący: jeden z członków plutonu Oakleya, żołnierz imieniem Foran, został ranny. Przygniótł go ceglany mur. Cywilna pula danych wykazała jakiś błąd w systemie ruchu drogowego - trzydziestotonowa automatycznie sterowana ciężarówka przerwała łączność. Odczyt telemetryczny Forana ukazywał się z przerwami, ale jak dotąd wynikało z niego, że pancerz został przebity w kilku miejscach. Oprócz tego widać było uszkodzenie narządów, kilka złamań i znaczną utratę krwi.

Sektor patrolowy Oakleya przylegał do sektora Lawrence'a.

- Rozproszyc się, wzorzec numer jeden - rozkazał swojemu plutonowi. Mogła to być klasyczna taktyka dywersyjna, co oznaczało, że cel prawdziwego ataku prawdopodobnie znajduje się znacznie dalej. Ale nie chciał podejmować żadnego ryzyka, nie w tym terenie.

Pluton zszedł z ulicy, zachowując najwyższy profesjonalizm, wbiegając do najbliższych budynków poprzez drzwi i wspinając się przez większe okna. Lawrence wbiegł do zakładu fryzjerskiego. Rząd klientek siedzących pod suszarkami na kabłąkowatych wysięgnikach zeszytniał ze strachu. Obaj policjanci zostali na zewnątrz, rozglądając się ze zdziwieniem. Siatki telemetryczne ukazywały Lawrence'owi kilku rozwścieczonych gospodarzy krzyczących na jego żołnierzy.

Przeszedł na kanał dowódczy.

- Oakley, potrzebujesz pomocy?

- Kurwa, nie wiem! No, bierzcie, bierzcie. Tamto! No, już, podnoście!

- Oakley, co się dzieje? Czy to akcja dywersyjna?

- Nie, kurwa! Spadła na niego jebana ściana! Ja pierdolę, jest wielka jak góra. W życiu tego nie podniesiemy!

Lawrence obejrzał ikony reprezentujące pluton Oakleya, wszystkie skupione w jednym miejscu.

- Nie zbijajcie się w grupę. Jeśli ten snajper jest w pobliżu, to właśnie na to czeka. Każdemu paru chłopakom odejść.

- Pierdol się, ty neurotronowy mózgu! Tam jest jeden z naszych.

- Newton - wtrącił się kapitan Bryant. - Weź paru chłopaków i pomóż im kopać. Musimy wydostać Forana.

- Sir, to chyba nie jest...

- On żyje, sierżancie. Nie pozwolę, by któryś z moich ludzi zginął. To był wypadek drogowy, nie zasadzka snajpera. Jasne?

- Tak, sir. - Lawrence wziął głęboki oddech, by odzyskać panowanie nad sobą, wiedząc doskonale, co pokazuje Bryantowi jego siatka telemetryczna. Z drugiej strony, kapitan pewnie nawet na nią nie spojrział. - Hal, Dennis, do mnie. Amersy, dokończ patrol.

Znaleźli się w wąskiej uliczce w starej dzielnicy handlowej. Po obu stronach wznosiły się pionowe ściany, z których płatami odłaziła biała farba, wzdłuż muru krzewiły się chwasty. Jedyne okna były umieszczone bardzo wysoko i zasłonięte płytami, do tego zbyt brudne, aby coś przez nie zobaczyć. Drzwi były solidne, metalowe, wszystkie zaspawano albo przynitowano do nich grube płyty. Gdy Lawrence zjawił się na miejscu, kurz jeszcze wirował, gęsty od suchych, rakotwórczych cząsteczek, i kleił się do Skóry. Wokół zebrał się tłum

cywilów, kilku zasłaniało usta chusteczkami. Wszyscy wpatrywali się w ponurą uliczkę. W górze krążyły dwa helikoptery TVL88, wysuwając naprzód magnetyczne gatlingi, niczym grube owadzie żuwaczki. Wirniki wzbijały mnóstwo kurzu.

Lawrence rozejrzał się szybko. Nigdzie w pobliżu nie było żadnych wysokich budynków, które mogłyby posłużyć za stanowisko dla snajpera. AS kombinezonu zwiększył czułość sensorów podczerwieni, gdy sierżant wszedł w obłok kurzu. Nie widział żadnych kolorów oprócz szarości, czerwieni różu - chociaż zarysy pozostawały wyraźne. Ujrzał stos śmieci usypanych pod ścianami po obu stronach ulicy: pudełka, torby i beczki. Wszystkie miały nadrukowany symbol miasta, co oznaczało, że są gotowe do zabrania. Chyba od miesiąca nie przejechała tędy żadna śmieciarka. Miejscami stosy były tak wysokie, że zasypywały nawet popękany asfalt. Lawrence musiał się przez nie przedzierać.

Uliczka skręcała gwałtownie i nagle stanął tuż przed zawałonym murem.

- Cholera, co za kicha. - Spora część ściany zawaliła się, pozostawiając po sobie strzępy siatki z tygryziej bawełny, które teraz trzepotały na wietrze. W budynku znajdował się jakiś magazyn, a może opuszczony zakład. Był to duży, pusty prostopadłościan, skonstruowany z pordzewiałych metalowych belek. Po ścianach puszczone przewody i tunele, które z czasem wygięły się i wypaczyły. Całe fragmenty zostały oddarte i teraz zwisały niebezpiecznie. Płaski betonowy sufit z paneli runął wraz ze ścianą, przygniatając dużą ciężarówkę. Po przeciwnej stronie budynków widniały zwijane drzwi, wychodzące na kompletnie zakorkowaną ulicę.

Lawrence natychmiast domyślił się, że ciężarówka zjechała z drogi, przebiła drzwi, a potem wbiła się w ścianę. W tej samej chwili, gdy Foran stanął po drugiej stronie.

Wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności.

Lawrence nie uwierzył w to ani na chwilę. Instynkty nabyte i wyćwiczone przez ostatnie dwadzieścia lat służby wyświetlały teraz ikony ostrzegawcze, znacznie silniejsze niż jakikolwiek komunikat AS.

Nad stertą gruzów krzątała się grupa Skór. Odrzucali na boki kawałki betonu wielkości człowieka z taką łatwością, jakby nic nie ważyły, wykopywali coraz głębszy krater ponad ciałem kolegi.

- Bierzmy się do roboty - zakomenderował krótko Lawrence. Dołączyli do pozostałych, usuwając z drogi fragmenty muru. Z każdego z nich sypał się tynk i okruchy cementu, niczym suchy płyn. Obłok pyłu ograniczał widoczność, nawet dla czujników Skór. Wiązki podczerwieni przestawiono na pełną moc, tworząc wirujące czerwone aureole, jakby w obłoku pyłu zapłonęły gasnące gwiazdy.

Odkopywanie trwało prawie pięćdziesiąt minut. Po pewnym czasie na dnie krateru zostało miejsce już tylko dla dwóch Skór, którzy ostrożnie podnosili kamienie i podawali je kolegom stojącym na górze. W końcu spod gruzu ukazał się kombinezon Forana. Pył zmieszany z krwią utworzył wokół niego kałużę gęstej mazi. Dodatkowe torebki z krwią i zbiorniki tlenowe ocaliły mu życie, chociaż prawie połowa jego odczytów telemetrycznych przybrała żółty kolor, a kilka narządów migąło na czerwono. Gdy go wyciągnięto, zdążył stracić przytomność.

Sanitariusze nie zrobili wiele. Po prostu podłączyli przewody w Skórze do nowych torebek z krwią. W tych warunkach Skóra zapewniała mu najbardziej stabilne środowisko z możliwych, przynajmniej dopóki nie przeniosą go na stół operacyjny.

Zanieśli go do helikoptera ratunkowego, który wylądował pośrodku ulicy, na końcu dolinki.

- Nie sądziłem, że coś może przebić naszą Skórę - powiedział głupio Hal, gdy krążyli beładnie po gruzowisku.

Gdy przestali kopać, pył z wolna opadł, pokrywając wszystko wokół bladyszara warstewką.

- To lepiej się przyzwyczajaj - odparł Dennis. - Sto ton ostrych kamieni na pewno da radę.

- Biedny sukinsyn. Wyzdrowieje?

- Mózg wciąż jest sprawny i dobrze dotleniony, więc powinien odzyskać przytomność. A co do reszty... nie wiem. Na pewno będzie musiał przejść dużo zabiegów.

- Ale przywieźliśmy protezy, prawda?

- Tak, młody, mamy całe mnóstwo części zamiennych. Przypuszczam, że będzie w stanie poruszać się o własnych siłach. A czy wróci do plutonu, to już inna sprawa. Sam wiesz, że musimy być w formie.

Nawet przy wsparciu mięśni Skóry Lawrence zdecydowanie nie czuł się teraz w formie. Odczuwał ból wywołany wysiłkiem. Na krótką chwilę obłok kurzu przywiódł mu na myśl Amethi podczas Przebudzenia, gdy mokry śnieg oblepiał wszystko wokół, cały świat zastygł w wiecznym przedwiośniu. Rozejrzał się po zaułku. Sterty śmieci były tu tak rozległe jak u wylotu uliczki. Foran musiał iść tuż przy ścianie.

Lawrence powoli przeszedł poprzez niższe partie śmieci, aż w końcu zajrzał do opuszczonego budynku. Ruch na głównej ulicy znowu się zaczął. Obok roztrzaskanych drzwi stał strażnik w Skórze. Kilku techników oglądało ciężarówkę, przesuwając odłamki betonu, usiłując zajrzeć do silnika. Obok nich stał kapitan Bryant.

- Co się stało, sir? - spytał Lawrence na zabezpieczonym kanale dowódczym.

- Jeszcze nie wiedzą - odpowiedział Bryant. - Do licha, naprawdę niepotrzebne mi takie wypadki. Sytuacja i tak wygląda kiepsko.

- To nie był wypadek, sir.

- Oczywiście, że tak, sierżancie. AS stracił panowanie nad ciężarówką, więc się rozbiła.

- Wpadła prosto na jednego z nas.

- Troska o podwładnych to chwalebna rzecz, ale tym razem przesadza pan, sierżancie. To zwykły wypadek drogowy. Tragiczny, przyznaję, ale mimo wszystko wypadek.

- Co AS zapisał w logach jako powód awarii?

- Nie zapisał niczego, sierżancie. Na tym polega problem. Elektronika ciężarówki padła.

- Oprogramowanie czy sprzęt?

- Sierżancie, będzie pan mógł zobaczyć ten raport na własne oczy, jak już będzie gotowy. Nie mamy jeszcze dostępu do bloku pamięci.

- Ale co się stało z zabezpieczeniami?

- Newton, co to, u diabła, ma znaczyć? Foran wyzdrowieje. Otrzyma najlepszą możliwą opiekę.

- Sir, po prostu nie sędzę, że to, co się wydarzyło, było dziełem przypadku.

- Dość tego, sierżancie. To nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale wypadki się zdarzają.

- Ani jedno zabezpieczenie nie zadziałało, gdy padła elektronika w ciężarówce. Sir, nawet tutejsza technologia nie jest tak przestarzała. A potem pojazd nagle skręcił z drogi i trafił prosto w drzwi.

- Sierżancie!

- A potem wpadł na ścianę, podczas gdy jeden z naszych ludzi stał bezpośrednio po drugiej stronie. Tylko kilka rzeczy jest w stanie uszkodzić Skórę. To nie jest zbieg okoliczności. To tysiąc zbiegów okoliczności, jeden za drugim.

- Dość tego, sierżancie. Właśnie z tego powodu musimy to uznać za wypadek. Nikt nie byłby w stanie zorganizować czegoś takiego. Nikt nie wiedział, kiedy Foran będzie przechodził tą uliczką. To znaczy, nikt oprócz mnie. To ja nadzorowałem rozkład dzisiejszych patroli. Chce pan powiedzieć, że to moja wina?

- Nie, sir.

- Cieszę się. Sprawa zamknięta. - Połączenie zostało gwałtownie przerwane.

Lawrence potrząsnął głową, chociaż w Skórce był to bezsensowny gest. Rozumiał,

dlaczego Bryant tak zareagował. Kapitan był zbyt słaby psychicznie, by uwierzyć w istnienie przeciwnika, który dysponował odpowiednią wiedzą i środkami do zorganizowania tak skomplikowanej pułapki. Świadomość tego faktu była bardzo niepokojąca.

\*\*\*

- Gdybyście zobaczyli dziś kogoś z Wilfrenów, pewnie wzięlibyście go za anioła. Były to majestatyczne, złote istoty. Samo przebywanie w ich obecności wywoływało nieograniczony podziw. U szczytu swej świetności królestwo Wilfrenów należało do najpotężniejszych państw w Imperium Pierścienia; co więcej, było jednym z jego założycieli. Ich lud wielokrotnie wyruszał na wyprawy, aby zbadać pas gwiazd wokół jądra galaktyki. Nawiązali kontakt z setkami różnych ras. Ich technologia należała do najbardziej zaawansowanych. Naukowcy Wilfrenów opracowali superszybki napęd gwiazdny, który następnie skopiowały inne rasy; skonstruowali także sekwencery wzorcowe, z pomocą których można było przerabiać surową materię na maszyny, budynki lub nawet żywe organizmy. I rozdawali tę wiedzę za darmo wszystkim, których spotkali, pomagając im wdrożyć ją w swoich społeczeństwach, walcząc z ubóstwem i konfliktami, które zawsze powodowały rozdzwięk ekonomiczny. Byli mądrą, łagodną rasą, znaną i szanowaną w całym imperium. Wyznaczyli standard cywilizacyjny, do którego wszyscy aspirowali, jednak bardzo niewielu zdołało go osiągnąć. Pojawiają się w każdej historii o Imperium Pierścienia, ponieważ stanowili doskonały przykład tego, co osiągnąć mogą istoty rozumne. Gdy mówimy „Imperium Pierścienia”, często odruchowo myślimy właśnie o nich. - Denise uśmiechnęła się do dzieci. Siedzieli w ogrodzie, rozłożeni na trawie, popijając ze szklanek lemoniadę i schłodzony sok pomarańczowy. Wokół ustawiono duże płócienne parasole, rzucające cienie na trawę. Dzieci chowały się pod nimi, z dala od palącego porannego słońca. Jak zawsze, wpatrywały się w Denise z zachwytem.

- Wilfrenowie zamieszkiwali ponad trzysta układów gwiazdnych. Z pomocą swoich sekwencerów wzorcowych zbudowali wspaniałe miasta i stacje orbitalne. Wyhodowali sobie zamki w głębi kosmosu; całe metropolie szybujące pośród chmur burzowych, delikatniejsze i bardziej złożone niż kłęby otaczających chmur; mieli nawet wieże słoneczne, wzniesione w soczewkowych polach siłowych i żeglowali na nich po wzburzonej powierzchni swoich słońc, jakby były to zwykłe drewniane łódki na powierzchni leśnego jeziora. Och tak, Wilfrenowie byli naprawdę niezwykli. Mieszkali w najdziwniejszych miejscach, jakby najbardziej w życiu chcieli się bawić i korzystać ze wszystkiego, co dał im wszechświat, potrafili bowiem być równie weseli, co poważni.

Ani na chwilę nie przerywając opowieści, patrzyła, jak Prime monitoruje drogę



porannych patroli Z-B. Informacje przechwycone z połączeń komunikacyjnych pomiędzy członkami plutonów były dodawane do jej pamięci przez b-wpisane neurony. Spoglądała na ich małe krzątające się ikonki i migające skrypty z lekką pogardą. Jakież to prymitywne - przecież wystarczy poznać surowe dane. Kilka Skór zbliżyło się do zaułka.

- Mozark dobrze znał reputację Wilfrenów, jeszcze zanim wyruszył w swoją wielką podróż, nic więc dziwnego, że pragnął ich odwiedzić. Jednak, wbrew swoim oczekiwaniom, im bardziej się zbliżał do ich królestwa, tym mniej dobrego słyszał od ich sąsiadów. Gdy w końcu przybył na ich rodzinną planetę, w końcu zrozumiał dlaczego.

Proste równania opisujące czas i prędkość pozwoliły jej wybrać trzy potencjalne pojazdy. Prime zainstalował się w ich systemie, wymazując swoje własne ślady w puli danych.

- Wilfrenowie byli bardzo starym gatunkiem. Długość życia poszczególnych osobników wynosiła setki tysięcy lat. Potrafili przemieszczać się szybciej i dalej niż ktokolwiek w całym imperium. Ich technologia bezperłowa ustabilizowała się na określonym poziomie. Każda rasa, z jaką nawiązali kontakt, była zadowolona i zamożna dzięki ich hojności. Nie mieli już dokąd iść, ani fizycznie, ani mentalnie. Jeśli mieli jakąś wadę, to była nią impulsywność i żywe zainteresowanie wszystkim, co ich otaczało. A jednak w pewnym momencie nie było już przed nimi żadnych tajemnic. W dawnych czasach ludzie pisali na skraju map: „Tam będą smoki”, choć tak naprawdę mieli na myśli: „Nie wiemy, co tam jest”. Na gwiazdnych mapach Wilfrenów nie było żadnych smoków - wszystkie były równie dokładne i szczegółowe, aż do krańca galaktyki. Pozostała im zatem tylko jedna droga: powrót do domu. Zapatrzili się w siebie.

Mozark wylądował na skraju miasta, którego wieże przyćmiewały nawet budowle Miasta. Niektóre z nich były tak wysokie, że ich wierzchołki wychodziły już poza atmosferę, niektóre były żywe, jak rafy koralowe, które wyrosły z ziemi, inne znów składały się wyłącznie z pól energetycznych. Zobaczył nawet budynek wzniesiony z kropel przejrzystego szafiru; wielkie elementy konstrukcyjne, szerokie na dziesięć metrów, ślizgały się i owijały wokół siebie nawzajem, choć budynek zawsze zachowywał ten sam kształt. Jednak wszystkie te budowle, oszałamiające wieże i rajskie pałace, były puste. Wilfrenowie porzucili je i zamieszkali na ziemi, pozostawiając swe domy na pastwę dzikich zwierząt i pnących roślin.

Jeden ze Skór wszedł do zaułka. Góry śmieci, które członkowie miejscowej komórki rozsypali w zeszłym tygodniu, zmusiły go, by siedł przy samej ścianie. Denise wydała ostateczny rozkaz Prime'owi, który przejął kontrolę nad ciężarówką. Pojazd odciął połączenie z AS sterującym ruchem, wysyłając przedtem komunikat o awarii, który urwał się, gdy

samochód przebił się przez barierkę. Drzwi do pustego magazynu znajdowały się naprzeciwko. Prime wymazał się z pamięci, gdy pojazd runął naprzód, niesiony inercją; trzydzieści ton masy przeleciało przez drzwi, wbijając się w tylną ścianę z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Oczywiście, rozkład budowli wzniesionych z tak niezwykle trwałych materiałów miał potrwać dziesiątki tysięcy lat. Na razie stały, równie wysokie i dumne, jak zawsze. Jednak już teraz gdzieś widać było oznaki ich nadchodzącego losu. U podnóża zebrały się liście i gałązki, tworząc żyzny kompost, na którym wyrastała coraz bujniejsza roślinność. Barwy budynków przyblakły pod warstwą kurzu i brudu. Wiatr wiejący przez setki lat naniósł piasku i ziemi na niższe piętra, aż meble stworzone z prostszych materiałów zaczęły gnić i pleśnieć.

Mozark nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przeszedł przez pola uprawne, zaorane w miejscu, które kiedyś było majestatycznym parkiem. Wilfrenowie odbiegli od swoich zwierząt ornych i przywitali go serdecznie. Kłaniając się i jękając nerwowo, ponieważ złociste istoty wciąż wzbudzały podziw, Mozark zapytał, jakie nieszczęście spotkało ich wspianą cywilizację, która zdołała przetrwać ponad tysiąc lat świetlnych. Gospodarze uśmiechnęli się, widząc jego zdumienie, i wyjaśnili, że sami postanowili z nią skończyć. Ich ciągła bitwa o nową wiedzę dobiegła końca. Wiedzieli już wszystko, czego można było się dowiedzieć. Teraz postanowili udać się zupełnie inną drogą, by poświęcić się ostatniemu elementowi ich chwalebnego dziedzictwa. Życie miało stać się proste i przyjemne. Poddali swoje ciała specjalnej modyfikacji, zmieniając jego kształt, aby jak najlepiej pasował do środowiska tej planety. Ale w przeciwieństwie do prymitywniejszych, pretechnicznych społeczeństw nigdy nie mieli cierpieć głodu ani chorób, ponieważ ich prostota była doskonale przemyślana, wykorzystywała wszystko, co tylko oferowała im ich planeta. Ich umysły wyciszały się stopniowo, aż wreszcie podziwianie zachodu słońca miało przynieść im tyle radości, co przekroczenie barier czasu i miejsca z pomocą matematyki i fizyki. Zamierzali uprawiać zboża, wychowywać dzieci i tańczyć nago w deszczu spadającym z otwartego nieba. A gdy już relikty ich przeszłości rozpadną się i powrócą do ziemi, oni sami staną się jednością ze swym światem i ze sobą nawzajem.

Mozark zapałał oburzeniem na takie marnotrawstwo, zapominając o dobrych manierach i wcześniejszym podziwie, jaki żywił dla Wilfrenów. Prosił ich - błagał - by ponownie rozważyli tę decyzję, by zwrócili się w poszukiwaniu nowych wyzwań. By znów stali się złotymi Wilfrenami, czczonymi przez wszystkich z oddali. W odpowiedzi tylko roześmiali się smutno. Jego rozumowanie - wiara, że postęp może rozwijać się tylko w

jednym kierunku, dalej i wyżej - było dla nich dowodem ograniczenia umysłowego. Oznajmili, że to ich własna natura doprowadziła ich do tego punktu. Tym właśnie byli, tego pragnęli. Proste, nieskomplikowanego życia. W tym nowym środowisku staną się szczęśliwi, bez żadnych starań. Czyż nie takie powinno być każde życie? Czyż on sam nie marzył o takim losie? Gdy opowiedział im o misji, której się wcześniej podjął - dla siebie, dla swego królestwa i dla Endoliyn - znów się roześmiali, ale tym razem jeszcze smutniej. „Podróżuj, ile chcesz - powiedzieli - ale w końcu znajdziesz się tam, gdzie my, w tym samym miejscu, z którego wyruszyłeś”. Wszechświat nie jest dość duży, by pomieścić to, czego szukasz.

Mozark wrócił na swój statek i natychmiast wystartował. Gnał przed siebie, ile mocy w silnikach, umykając z planety Wilfrenów, jakby zamieszkiwały ją potwory. Gdy znikła mu już z ekranów, przeklął złote istoty za to, że zdradziły wielkie dzieło swoich przodków. Odrzucili wszystko, co każdy Wilfren zdołał kiedykolwiek osiągnąć, odwrócili się jak rozkapryszone dzieci. W jego pojęciu była to najstraszniejsza katastrofa, tym gorsza, że tylko ktoś obcy potrafił objąć jej skalę. Wilfrenowie sami nie wiedzieli, gdzie tkwił ich błąd. Ich pęd do upadku był sprzeczny ze wszystkim, w co kiedykolwiek wierzył. Struchlał na samą myśl o tym, co powiedziałyby Endoliyn, gdyby wrócił i oznajmił jej, że prawdziwe szczęście można znaleźć tylko w najgłębszej ignorancji. A jego zdaniem to właśnie zrobili Wilfrenowie - zamykali się na rzeczywistość, niczym kwiat o zmierzchu. Pomyślał, że może jednak pokonał ich wszechświat; jego cuda okazały się dla nich zbyt przytłaczające. Wiedział, że mimo całego splendoru Wilfrenów, on sam miał silniejszą naturę i nigdy nie przystałby na podobną porażkę. Tym jednym postanowieniem wzniósł się ponad dawnych bohaterów, chociaż wiedział, że będzie bolał nad losem złotych istot do końca życia. Jakaś część magii zniknęła z wszechświata, złoto pokryło się patyną i już nigdy nie miało odzyskać dawnego blasku. Ale Mozark wciąż leciał naprzód, niezłomny w swoim postanowieniu.

Ponad ich głowami przeleciał duży, czarny helikopter, zagłuszając słowa Denise. Dzieci wybiegły spod parasoli, by popatrzeć na kosmiczny pojazd. Zmierzał w stronę dzielnicy Dawe, wysuwając z dziobu ciężkie, złowrogie działa. Był to gładki, powolny, niemal zmysłowy ruch.

Denise wyszła za nimi na słońce, patrząc, jak gorące spaliny wydobywają się z krat osłaniających turbiny. Przypominały trochę skrzela kosmicznego najeźdźcy, wypełniającego powietrze swym okrzykiem bojowym. Wzięła za rękę Wallace'a i Melanie. Dzieci zerkały niepewnie to na nią, to na mknącą maszynę.

- Jak będą tak szybko lecieć, to nie sprzedadzą żadnych lodów - zażartowała. Dzieci

wybuchnęły śmiechem, robiąc miny za odlatującym potworem. - Chodźcie. - Opiekunka uniosła rękę i okręciła pod nią Melanie. - Muszę skończyć historię. Te wstręciuchy chyba nam w tym nie przeszkodzą?

- Nie! - wrzasnęła cała grupa. Powrót pod parasole przerodził się w wyścig, pełen szturchańców i przepychanek. Denise puściła Melanie i Wallace'a, pozwalając im usiąść tuż obok siebie, żeby poczuli się ważni.

- Proszę pani, czy w Imperium Pierścienia byli tacy ludzie jak Zantiu-Braun? - spytała Jezella.

Denise powiodła wzrokiem po zmartwionych buziach dzieci.

- Nie - zapewniła. - Oczywiście, zdarzali się tacy, którzy byli źli, czasem nawet nikczemni. Ale prawa imperium były silne, a policja sprytna i czujna. Taka inwazja jak ta nie mogłaby się tam wydarzyć.

Edmund odwrócił się do kolegów i teatralnie otarł czoło, wzdychając: „Ufff”. Dzieci znów się uśmiechnęły, wiedząc, że Imperium Pierścienia jest bezpieczne.

\*\*\*

Denise wyskoczyła z tramwaju na trzecim przystanku przy ulicy Corgan, kilkaset metrów za plutonem Skór. Wiedziała, gdzie ich znaleźć, nie musiała nawet łączyć się z pulą danych. Kierowała się echem rwanych okrzyków.

*KillBoy bierze was na cel.*

*Trach! Jeb! Trach! Jeb!*

*Facet w Skórze bierze w łeb!*

*Trach! Jeb! Trach! Jeb!*

*I już gryzie ziemię trep!*

*Trach! Jeb! Trach! Jeb!*

Uśmiechnęła się w duchu. KillBoy nie był jej dziełem - jakiś bezimienny pulowy poeta wymyślił go w dniu lądowania, zaraz po śmierci żołnierza - ale niespodziewanie stał się jednym z najsilniejszych atutów organizacji.

Najczęściej skandowali młodzi ludzie. Poważni dorośli, którzy zwykle dzwonili po policję, ilekroć dostrzegali nastolatków pijących piwo na ulicy, tylko kiwali głowami z uznaniem.

Właśnie po to tu przyszła: aby zbadać nastrój przeciętnego mieszkańca Memu Bay. Tego nie była w stanie znaleźć w puli ani wyczytać w raportach. Sądząc po tej scenie, spokojni mieszkańcy miasta mieli głęboko skrytą mściwą naturę, której nie spodziewałaby się po potomkach skrajnych liberałów. Szydzenie z ludzi, którzy właśnie stracili towarzysza,

stanowiło złamanie pewnego tabu. Denise poczuła się z tym trochę nieswojo.

Dogoniła pluton i przyczała się na skraju tłumu podążającego w ślad za żołnierzami, z ciekawością obserwując ich reakcję. B-wpisane komórki nerwowe przechwyciły ich komunikację. Przez większość czasu najemnicy ignorowali okrzyki i wyzwiska. W zamian za to sami wymieniali żarty na temat gapiów. Niewybredne uwagi na temat kobiet (w tym jej samej) uzupełniane były zbliżeniami na wybrane elementy anatomiczne; mężczyźni zbywali pogardliwymi parsknięciami i fantazjami na temat domniemanych zniekształceń ukrytych pod fałdami odzieży. Dobry kontrast i prosty sposób na podniesienie morale.

Pluton wyszedł na szeroki betonowy plac położony u stóp wielkiego bloku mieszkalnego, zwykle wykorzystywanego jako plac zabaw dla dzieci. Kilkunastu chudych wyrostków kopało do siebie piłkę. Gra powoli zamarła, w miarę jak gracze przystawali, przypatrując się intruzom.

Większość gapiów zawróciła, zmierzając w stronę sklepów, barów i innych miejscówek rozrzuconych wzdłuż ulicy. Prawdopodobnie zniechęciła ich otwarta przestrzeń. Denise skryła się w kącie, tuż obok sklepu, obserwując odchodzący pluton. Dalsze śledzenie żołnierzy zwróciłoby na nią uwagę, a poza tym już dowiedziała się tego, czego chciała.

Nagle futbolówka poszybowała w powietrze. Niemal uderzyła w jednego z żołnierzy - i to samego dowódcę - ale on zręcznie się uchylił. Denise aż zamrużyła ze zdziwienia, gdy stopa mężczyzny wystrzeliła w górę i trafiła w piłkę. Odbił ją lekko, a potem wyrzucił w górę, uniósł kolano, podrzucił dwa razy, a potem delikatnie kopnął ją w stronę kolegi. Zaczęli kolejno podawać ją do siebie.

Chłopcy z bloku wpatrywali się w nich szyderczo, opierając ręce na biodrach i przybierając najróżniejsze pozy, by tylko podkreślić, że nie boją się żołnierzy.

- Oddawać piłkę! - zawołał jeden z nich. Był najwyższy ze wszystkich, miał chude kończyny i gęstą czuprynę ciemnych włosów.

- Jasne - zgodził się sierżant.

Chłopak cofnął się o krok, słysząc tę umiarkowaną zgłoszoną odpowiedź. Za chwilę żołnierz podszedł bliżej, popychając piłkę przed sobą. Gdy znalazł się tuż obok, wyrostek popełnił błąd - rzucił się wprost na piłkę. Sierżant zręcznie zrobił zwód, obrócił się i ruszył do następnego. Kolejny blok, kolejna porażka. Sierżant biegł coraz szybciej, a pozostali chłopcy rzucili się na niego, by spróbować szczęścia. Ominął trzech kolejnych, a potem kopnął piłkę ponad ich głowami. Poszybowała idealnie wymierzonym łukiem i wylądowała u stóp innego żołnierza. Mężczyzna kopnął ją mocno, a wtedy uderzyła w mur, dokładnie pośrodku dwóch białych linii wyznaczających bramkę.

Sierżant uniósł ręce.

- Łatwizna.

- Tak? - prychnął najwyższy z chłopców. - Łatwo ci mówić, bo jesteś w Skórze. Wyjdź z niej, to dopiero pogramy.

Nastąpiła krótka pauza, a po chwili Skóra sierżanta otwarła się wzdłuż szyi. Dryblas cofnął się zaskoczony, gdy ze środka wynurzyła się głowa. Jego twarz i włosy były umazane niebieskim żelem, ale wciąż się uśmiechał.

Denise uniosła rękę do ust, by zagłuszyć zaskoczone westchnięcie. Szok przebił się przez jej pancerz opanowania. To był on! To on!

- Skóry wprawdzie dają nam dodatkową siłę - wyjaśnił wesoło Lawrence - ale nie umiejętności. Żaden problem. Widzę, że niektórzy z was mają odrobinę talentu - może za dwadzieścia lat będziecie dla nas przeciwnikami.

- Spierdalaj! - wrzasnął chłopak. - Zastrzelilibyś nas, chuju, gdybyśmy nie dali wam wygrać!

- Tak myślisz? Że zabilibyśmy was z powodu głupiej gry?

- Pewnie!

- A zatem bardzo mi przykro. O ile wiem, to raczej wy do nas strzelacie.

Chłopak wzruszył niezręcznie ramionami. Lawrence skinął przyjaźnie głową.

- Jeśli chcecie spróbować swoich sił na równych prawach, to możemy się umówić. Przyjdź do nas i zapytaj o Lawrence'a Newtona. Przyjmujemy wyzwanie. Postawię wam piwo, jeśli wygracie.

- Jaja sobie robisz.

- To powiedz „sprawdzam” - Lawrence mrugnął porozumiewawczo, po czym znów zanurzył się w Skórze. - Do zobaczenia.

„Sprytne” - pomyślała Denise, gdy pluton odmaszerował, zostawiając za sobą grupkę oszołomionych dzieciaków. Łącze komunikacyjne plutonu aż dźwięczało od różnych wariacji na temat: „co to, kurwa, miało być?”.

Z drugiej strony, to bardzo w jego stylu. Lawrence miał dość sprytu i był wrażliwym humanistą. Taki ktoś zawsze spróbuje nawiązać więź porozumienia z wrogiem.

„I bardzo dobrze”, szepnęła jakaś zdradziecka część jej umysłu.

Denise zacisnęła szczęki, czując przyływ determinacji. To bez znaczenia. Nie mogła traktować go inaczej niż pozostałych. Misja nie przywidywała wyjątków.

Wróciła na Corgan Street, zastanawiając się, jak może wykorzystać ten mecz. Podczas wojny wszelkie przejawy życzliwości stanowiły słaby punkt, który mogła wykorzystać.

\*\*\*

Myles Hazeldine stał w poczekalni. Niezależnie od tego, jak pilne były wezwania i jak bardzo wściekły był Ebrey Zhang, zawsze musiał przejść ten rytuał. Nie pozwolił się wyprowadzić z równowagi, dostrzegając gorzką ironię sytuacji. W końcu była to poczekalnia przed jego gabinetem, a on zawsze kazał gościom czekać, niezależnie od tego, czy byli jego sprzymierzeńcami, czy przeciwnikami.

Jakież to było małostkowe, to podkreślanie swojej ważności. „Czy oni też się ze mnie naśmiewali?”, zastanawiał się w duchu.

W końcu drzwi się otworzyły i Ebrey Zhang gestem zaprosił go do środka. Jak zwykle, siedział za jego biurkiem. Jak zwykle, Myles poczuł przyływ wściekłości. Był to najwyraźniejszy symbol kapitulacji Thallspring.

- Ach, witam, panie burmistrzu. Dziękuję, że pan przyszedł. - Radosny uśmiech Ebreya był równie nieszczerzy, co złośliwy. - Proszę usiąść.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Myles zajął krzesło tuż naprzeciw biurka. Po bokach stanęli asystenci.

- Tak?

- Mieliśmy dziś paskudny wypadek drogowy.

- Tak, słyszałem.

Ebrey przekrzywił głowę wyczekująco.

- I?

- Jeden z waszych ludzi został ranny.

- W cywilizowanym społeczeństwie ktoś dodałby pewnie: „Przykro mi z tego powodu” albo: „Mam nadzieję, że wyzdrowieje”. Mam wrażenie, że to standardowa procedura konwersacyjna, nawet tutaj.

- W szpitalu mówili, że przeżyje.

- Proszę nie wygłaszać tej kwestii z takim rozczarowaniem. Tak, przeżyje, ale już nigdy nie wróci na linię frontu.

Myles uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Przykro mi z tego powodu.

- Niech pan się pilnuje! - warknął Ebrey. - Zamierzam dokładnie zbadać okoliczności tego wypadku. Moi ludzie będą nadzorować przebieg ekspertyzy. Jeśli odkryją coś podejrzanego, użyjemy zastawu. Wciąż panu do śmiechu, burmistrzu?

- Chyba nie mówi pan poważnie. To zwykły wypadek. Ciężarówka walnęła w ścianę.

- Tak to wyglądało, ale może właśnie dlatego, że miało tak wyglądać? Jak często

dochodzi u was do wypadków z udziałem automatycznie sterowanych pojazdów?

Myles mimowolnie zmarszczył brwi. Nigdy wcześniej nie słyszał o podobnym zdarzeniu.

- Nie jestem pewien.

- Ostatni wypadek, który zakończył się jakimikolwiek obrażeniami osób postronnych, miał miejsce piętnaście lat temu. A ofiar śmiertelnych należałoby szukać jeszcze wcześniej. Nawet wasza przestarzała elektronika potrafi prawidłowo sterować ruchem. Uważam to za bardzo podejrzane.

- Zbieg okoliczności. Proszę mi nie mówić, że wasze systemy są na nie odporne.

- Przekonamy się. - Ebrey aktywował perłę stacjonarną i zczekał, aż rozwinie się panel. Spojrzał na skrypt i zaczął go przewijać. - Hm, widzę, że zakłady Orton i Vaxme wciąż nie osiągnęły przewidywanej wydajności. Z czego to wynika, panie burmistrzu?

- Gdy wylądowaliśmy, zakład Ortona przechodził właśnie modernizację. Zażądał pan uruchomienia produkcji, zanim nowe komponenty zostały właściwie zintegrowane. Przez jakiś czas będzie gorzej, ale potem się poprawią.

- Rozumiem. - Ebrey postukał palcem w ekran, zmieniając rozmieszczenie skryptu. - A Vaxme?

- Nie wiem.

- Ale z całą pewnością znajdzie pan jakąś techniczną przyczynę. W końcu nie mógł tu zawinić czynnik ludzki?

- Dlaczego miałby? - spytał grzecznie Myles. Wiedział, że za bardzo podpuszcza Ebreya Zhanga, ale wcale się tym nie przejmował.

- Proszę zwiększyć produkcję - odparł gubernator obojętnie. - Ma pan na to dziesięć godzin. Proszę im powiedzieć wyraźnie, że nie dam się wodzić za nos.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Dobrze. - Gubernator machnął ręką w stronę drzwi.

- To wszystko.

- Nie, jeszcze nie. - Myles z przyjemnością spojrzał na rozdrażnioną minę Ebreya. - Dziś już dwa razy przesłałem tę prośbę pana asyentom, ale dotąd nie dostałem odpowiedzi. Nie rozumiem dlaczego, przecież nie krzyczę „wilki!” za każdym razem, gdy mamy problem.

- Jaką prośbę?

- Chciałbym prosić o zmianę alokacji zasobów na wydziale biomedycznym naszego uniwersytetu. Odebrał mi pan najlepszych ludzi, którzy pracują teraz nad nowymi szczepionkami w instytucie Madison.



- Nie może pan oczekiwać, że poświęcę ich dla paru tępych studentów z kiepskimi stopniami.

- Nie o to chodzi. W szpitalu przyjęto kilku nowych pacjentów na oddziale pulmonologicznym.

- No i?

- Lekarze nie są pewni, ale mają wrażenie, że to jakaś nowa odmiana gruźlicy. Jeszcze nigdy nie widzieli nic podobnego.

- Gruźlica?! - spytał Ebrey takim tonem, jakby Myles właśnie opowiedział nieprzyzwoity dowcip na pogrzebie. - To zamierzchła przeszłość. Taka choroba nie może się spontanicznie odnowić na planecie odległej od Ziemi o całe lata świetlne.

- Na razie nie wiemy, co to jest. Dlatego trzeba szybko postawić diagnozę.

- Och, na litość boską! - Ebrey wyłączył perłę. - Może ich pan wziąć na jeden dzień. Ale jeśli wyniki Madison spadną, będzie pan za to osobiście odpowiedzialny.

- Dziękuję.

\*\*\*

Zepsuta Boja przypominała tysiące innych nadmorskich barów, jakie Lawrence zwiedził w młodości - a nawet one były tragicznie przestarzałe, jeszcze zanim dotarł na Ziemię. Obsługiwała najróżniejszą klientelę, chociaż gwałtowny napływ żołnierzy Z-B zdołał zniechęcić większość miejscowych. Gdy w barze zjawił się pierwszy pluton i zaczął domagać się piwa, właściciel próbował odmówić. Byli na to przygotowani. Dowódca miał przy sobie kartę komunikacyjną z otwartym połączeniem do ratusza. Wystarczyło kilka słów na temat licencji, by nie było już żadnych problemów, jedynie cicha wrogość. Ale żołnierze byli do niej tak przyzwyczajeni, że prawie nie przeszkadzało im to w zabawie.

Lawrence i Amersy siedzieli na patio pod parasolem z liści palmowych, patrząc, jak ostatnie promienie złocistoczerwonego słońca znikają za szczytem Vangi. Obaj sączyli schłodzone piwo Bluesaucer z butelek, podczas gdy reszta plutonu okupywała bar.

- Słyszałeś, co się stało z plutonem Turega? - spytał cicho Lawrence. Żaden z jego ludzi nie stał na tyle blisko, by go usłyszeć. Czterech stało przy stole bilardowym. Edmond siedział w kącie, rozmawiając z jakimś elegancko ubranym tubylcem - Lawrence mimowolnie zmarszczył brwi. Hał, oczywiście, siedział przy barze ubrany w białą koszulkę - tak obcisłą, że podkreślała każdy mięsień, i uśmiechał się do wchodzących dziewczyn.

- Słyszałem - odparł Amersy. - Właz prawie przeciął starego Dusona na pół, kiedy próbowali otworzyć kapsułę. Ocenili, że ciśnienie w środku wynosiło dziesięć atmosfer. Pieprzona firma znów kupuje od najtańszych dostawców.

- To ściema i dobrze o tym wiesz. Nie ma możliwości, żeby kapsuła ustawiła takie ciśnienie.

- Podobno rozszczelnił się jeden zbiornik z azotem. Dysza się zapchała. To się zdarza.

- Dysza się zapchała?! Te urządzenia mają być stuprocentowo bezpieczne. Poza tym azot ze zbiornika nie jest doprowadzany do wnętrza kapsuły, przecież wiesz.

- Ale może się tam dostać, jeśli coś się zepsuje.

- Ha!

- Co znowu!

- Foran wpadł pod zepsutą ciężarówkę, prawda?

- Daj spokój! - Biała łąta na policzku Amersy'ego pociemniała. - Chyba nie mówisz poważnie! - syknął, nachylając się bliżej. - Jak można sabotować kapsułę?

- Była poza naszym zasięgiem.

- Chcesz powiedzieć, że grupa KillBoya zmieniła trajektorię lotu?

- Nie, jasne, że nie. Sama zboczyła z trasy, to się często zdarza. Ale ta kapsuła leżała pośrodku dżungli przez tydzień, zanim ją odzyskaliśmy. Mieli dość czasu, żeby ją namierzyć i pobawić się instalacją.

- To niemożliwe, stary. Żeby to zrobić, musieliby obejść nasze zabezpieczenia systemowe.

- Tak.

- Nie ma bata. Musieliby przejść przez e-alfa. Nic nie jest w stanie złamać tego szyfru.

Lawrence próbował nie myśleć o programie Prime, który wciąż miał zainstalowany w perle bransoletkowej. Nigdy nie próbował użyć go przeciw e-alfa, ale z pewnością świetnie radził sobie z drugorzędym oprogramowaniem Z-B.

- Mam nadzieję, że nie.

- Na pewno nie, Lawrence. - Głos Amersy'ego był niemal błagalny. - Gdyby potrafili złamać e-alfa, to cała korporacja stałaby przed nimi otworem. Cholera, nie zeszlibyśmy nawet z orbity.

- Aha. - Lawrence znów pociągnął łyk piwa. Było to piąte czy szóste z kolei. Całkiem niezłe, podobno warzone według jakiejś tradycyjnej skandynawskiej receptury sprzed trzystu lat. Zawierało więcej alkoholu niż piwa, do których był przyzwyczajony. - Pewnie masz rację.

Słońce zniknęło za horyzontem, powlekając Memu Bay zasłoną głębokiego tropikalnego mroku. Światła uliczne i neony otaczały marinę różową mgiełką. Ktoś rozpalił ognisko na plaży. Lawrence potoczył wzrokiem po barze, patrząc, jak bawią się jego chłopcy.

- Spójrz tylko na to. Dowodzimy bandą największych oferm w całej galaktyce.

- Chłopcy są dobrzy i doskonale o tym wiesz. Po prostu wstrząsnęła nimi ta sprawa z Nikiem.

- Może. Ale ta formacja nie jest już taka, jak bywała. Kiedyś było nas tyłu, że potrafiliśmy dopilnować, aby nie było żadnych zbiegów okoliczności w stylu rozbitych ciężarówek i kapsuł z nadciśnieniem. W dawnych czasach nikt by do nas nie strzelił, tak jak do biednego Nica...

- Lawrence...

- Naprawdę. Kiedyś po prostu szedłem z prądem. Teraz jestem na tyle dojrzały, że widzę lepiej. Dużo lepiej.

- Jezu, Lawrence. Co to ma być? Dopadł cię kryzys wieku średniego?

- Nie, to zdecydowanie co innego.

- A zatem co? Zważyłeś w swoją pracę? Jeśli tak, to może lepiej ustąpić? Nie jest dobrze, żeby dowodził ktoś, kto ma wątpliwości. Możesz...

- ...zawahać się przed strzałem? Nie ma obawy. Już dawno się z tym pogodziłem. Tylko dzięki Skórze nie musimy przechodzić tej próby każdego dnia. Nikogo nie zabijamy: technika zajmuje się tym za nas. Ogłuszamy ich i przyprawiamy o migreny, ale nie musimy mieć żadnych dylematów moralnych.

- A zatem o co chodzi?

- Moje życie. Nie powinienem tu teraz być. Kiedyś, dawno temu, dokonałem złego wyboru.

- O, kurwa. - Amersy wypił spory łyk. - Znowu mówisz o tej dziewczynie?

Ręka Lawrence'a odruchowo powędrowała do naszyjnika ukrytego pod koszulką.

- Losie, ależ byłem głupi. Nie powinienem był wyjeżdżać. Nigdy.

- Wiedziałem! Ja piernicę. Kto normalny zadrecza się z powodu jakiejś laski i to przez dwadzieścia lat? Lawrence, chłopie, ja nawet nie pamiętam swojego pierwszego razu, a co dopiero imienia tej babki.

Lawrence wyszczerzył zęby ponad butelką.

- Pamiętasz, pamiętasz.

- Okej, no dobra. Może i tak. Ale Jezu... dwadzieścia lat. Twoja laska pewnie waży teraz ze sto kilo, mieszka na przedmieściu, ępa antydepresanty i ma przynajmniej kilku byłych mężów, nie mówiąc już o wnukach.

- Nie, Roselyn na pewno zrobiła z sobą coś sensownego. Zawsze miała więcej rozumu niż ja. Poza tym ona była tylko częścią Amethi.

- Zawsze gadasz o tej planecie tak, jakby to był jakiś pieprzony raj. Po co w ogóle wyjeżdżałeś?

- Już ci mówiłem: byłem głupim fiutem. Popeliłem błąd. Miałem wszystko, czego można chcieć w życiu, po prostu nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- W młodości wszyscy jesteśmy tacy. Chryste panie, poznałeś przecież moje dzieciaki.

- Nie narzekaj, są całkiem w porządku. Szczęściarz z ciebie, że masz taką rodzinę.

- Aha. Pewnie tak.

Lawrence nie mógł opanować uśmiechu. Siedzieli razem w barze, gadając o swoich rodzinach i o tym, jak spieprzyli sobie życie. Chwila chyba nie mogłaby stać się bardziej osobista.

- Odszedłbyś stąd? - spytał powoli, starając się, by wypadło to nonszalancko.

- Skąd?

- Z plutonu. Z działu. Z firmy. Ze wszystkiego. Odszedłbyś, gdybyś mógł?

- Daj spokój, chłopie, wiesz, że mam rodzinę. Moje udziały nie są dość duże, by ją utrzymać, jeśli odejdę z pracy. Nie mogę.

- Ale gdybyś mógł? Zakładając, że nie musiałbyś się martwić o udziały?

Amersy uśmiechnął się szeroko.

- Jasne. Gdybym mógł, rzuciłbym to w cholere. Chyba każdy by tak zrobił?

- Pewnie tak - odparł Lawrence z satysfakcją. Jeśli chciał zrealizować swoją misję z powodzeniem, musiał mieć Amersy'ego po swojej stronie. - Chodźmy po piwo.

Po drodze wtoczył się na nich Edmond Orlov. Kurczowo chwycił się Amersy'ego i ledwie ustał na nogach. Uśmiechał się błogo.

- Hej, kapralu, hej, sierzancie. Supermiejscówka, co? Trochę tylko gorąco.

- Wiesz co, jest jeszcze wcześniej - stwierdził Amersy. - Musisz nauczyć się regulować tempo, chłopie.

- Jasna sprawa - Edmond zsalutował i prawie nie trafił ręką do głowy. - Tajes, panie kapralu. Proszę się nie martwić. Już się robi. - Podreptał do szafy grającej, a potem, mrużąc oczy, wsunął monetę kredytową w szczelinę. W walcowatym panelu szafy ukazała się spiralna siatka video.

- O, tak - mruknął Edmond do AS, wskazując palcem na różne siatki. - Tak, kochanie, ty. To mi daj. O rany, i to też chcę. - Z głośników popłynął głośny kawałek ska calypso. Edmond cofnął się na parkiet, przymykając oczy i wymachując rękami w rytmie, który zupełnie nie pasował do muzyki.

Tubyłcy trącali się łokciami, wskazując na samotną rozkołysaną postać. Nawet

koledzy z plutonu i inni żołnierze zaczęli się śmiać i klaskać, gdy Edmond zaczął przyspieszać.

- Przyda mi się to piwo - stwierdził Amersy i ruszył do baru.

Lawrence spojrział przez ramię na kolegę. Trzeba było coś z nim zrobić. Ale nie dzisiaj.

- Za wysoki poziom bólu - szepnął i ruszył za Amersym.

Hal wciąż siedział na wysokim stołku pośrodku lady.

Uśmiechał się do wszystkich wchodzących kobiet, ale nigdy nie trwało to długo. Koleżanki, które zjawiały się grupkami, szybko mierzyły go wzrokiem, chichotały do siebie, po czym rozsiadały się w jakimś kącie, jak najdalej od niego. Chłopak zarobił też kilka ostrzegawczych spojrzeń od ich partnerów. Samotne kobiety traktowały go tym samym pogardliwym grymasem.

- Oszukali mnie! - poskarżył się Amersy'emu, gdy kapral oparł się o ladę i spróbował przywołać barmana. - Możemy wynająć prawnika i podać ich do sądu?

- O czym ty, kurwa, mówisz?

- O tym! - burknął Hal i spojrział w dół.

Amersy spojrział na jego stopy.

- Cisną cię buty?

- Co tu się dzieje? - spytał Lawrence. - Hal, wciąż tu jesteś? Myślałem, że do tej pory zdołasz już kogoś poderwać.

- Sprzedali mi niewypał - wycedził chłopak przez zaciśnięte zęby. Uniósł lewą rękę. Na nadgarstku miał wąską, czarną bransoletkę. - Przez cały wieczór nawet nie pisnęła. Skurwysyn skasował mnie na osiemdziesiąt kredytów.

Lawrence musiał siłą powstrzymać śmiech.

- Czy to jest to, co myślę, Hal?

- To legalne, sierzancie! - zaprotestował chłopak. - Ten gość w sklepie przysięgał, że tutaj wszyscy używają PCS-ów.

- Okej. Może po prostu nie ma tu nikogo, kto podziela twoje... preferencje.

- Niemożliwe - upierał się Hal. - Wybrałem całkowitą akceptację. To znaczy, że zrobię wszystko, cokolwiek odpowiada tym dziewczynom. Pieprzone barachło nie działa!

Amersy w końcu zdołał zamówić kilka butelek Bluesaucera.

- Daj mu jeszcze chwilę - zaproponował Lawrence.

- Czekam tu już od godziny. Zresztą Edmond opowiedział mi wszystko o tej knajpie.

- Co z nią?

- Lubią... - Hal rozejrzał się dookoła, po czym zniżył głos. - Oni tu lubią trójkąty.

Lawrence aż jęknął. Można się było domyślić, że jego chłopcy opacznie rozumieją miejscową legendę.

- Chyba masz na myśli trójmałżeństwa. To trochę co innego.

- Tak, ale przecież najpierw muszą spróbować, czy im to odpowiada.

Lawrence poklepał Hala po ramieniu.

- Posłuchaj, młody. Dobrze ci radzę, dziś wieczorem lepiej zapomnij o trójkątach i bransoletkach, okej? Wokół jest mnóstwo dziewczyn. Podejdź do którejś i zapytaj, czy chce zatańczyć. - Wskazał na parkiet, po czym zorientował się, że to może nie jest najlepszy przykład. Dwóch żołnierzy podskakiwało wokół zamroczonego Edmonda, naśladując jego ruchy z groteskową przesadą. Publiczność zachęcała ich do dalszych wygłupów. - Albo postaw jej drinka - dodał szybko. - Nieważne, co powiesz, po prostu zagadaj. To bardzo skuteczne, możesz mi wierzyć.

- Może i tak zrobię - mruknął ponuro Hal. Spiorunował wzrokiem bransoletkę PCS, jakby chciał ją w ten sposób zmusić do reakcji. Mały panel wyświetlacza uparcie pozostawał ciemny.

- Powodzenia. - Lawrence i Amersy zabrali piwo i umknęli z powrotem na patio.

Po godzinie Jones Johnson rozpracował specyfikę stołu bilardowego. Jedna ze środkowych łuz miała podniszczoną krawędź, na którą trzeba było uważać, gdy celowało się z góry, a w lewym dolnym rogu blat był wyraźnie pochyły. Liznął, że teraz, gdy już to odkrył, być może zacznie zarabiać jakieś pieniądze na swoim kolegach, a może nawet na jakimś tubylcu, który przypadkiem uzna go za króla zdezelowanego stołu.

Większość plutonu stała gdzieś w pobliżu, wiwatując po udanym strzale albo wydając pełne zawodu jęki, gdy bila nie chciała jednak wpaść do dołka. Po zachodzie słońca Zepsuta Boja zaczęła się powoli wypełniać. Członkowie plutonów, którzy byli tu zeszłego wieczoru, twierdzili, że tubylcy trzymali się z daleka. Dzisiaj najwyraźniej było inaczej. Sparring bilardowy trwał. Trzy zwycięstwa. Dwie porażki (jedna strategiczna). Karl, Odel i Dennis zamówili sobie jakieś wyszukane dania i rzucili się na nie z apetytem, popijając przesłodzone końskie szczyny, które w Memu Bay uchodziły za piwo. Kije bilardowe dla wygody położyli na stole.

Po paru godzinach z Edmonda zeszła para. Opuścił parkiet i opadł na krzesło, obejmując się rękami i drżąc, tak jakby noc przyniosła znad morza powiew lodowatego powietrza. Jones stwierdził, że to nawet dobrze. Tańce Edmonda zawsze były kłopotliwe i ktoś musiał na niego uważać. Wszyscy widzieli też wymowne spojrzenie Lawrence'a, które

rzucił im przez ramię, zanim poszedł się nawalić z Amersym. Tutaj wszyscy musieli pilnować się nawzajem, tak samo jak na patrolu. Na tym polegała służba.

Dotyczyło to też młodego, który upił się już na tyle, by podejść do dziewczyn. Nikt nie słyszał, co dokładnie mówi, ale zataczał się od jednej do drugiej, bez przerwy pokazując na swoją bransoletkę. Wszystkie kobiety, do których się zwracał, zbywały go machnięciem ręki albo odwracały się plecami. Na parkiecie zaroilo się teraz od ludzi. A teraz, gdy jego podopieczny opadł z sił, Jones stwierdził, że sam chętnie znalazłby się pośród podrygujących, spoconych ciał. DJ Boi wyłączył szafę i sam przejął kontrolę nad muzyką. Tłum coraz bardziej się ożywił. Pojawiły się naprawdę atrakcyjne spódniczki. „Okres przydatności” trwał stanowczo za długo.

Jones wyszedł na parkiet wraz z Lewisem i Odelem. Nawet upojony piwem potrafił zakolysać się w rytmie. W tłumie dostrzegł dziewczynę w krótkiej bordowej sukience typu T-shirt. Dostrzegła go i odpowiedziała uśmiechem. Była bardzo młoda, nie miała nawet dwudziestki. Dodawało jej to atrakcyjności.

Przez parę minut tańczył wraz z nią, a potem objął ją i zaczął całować. Zareagowała entuzjastycznie. Rozchyliła usta i pozwoliła mu miętosić pośladki. Potem uniosła rękę i ujęła go za krocze. Nie odezwali się do siebie ani słowem.

Wtedy rozległy się krzyki. Wściekłe głosy na skraju parkietu. Tłum zafalował, jakby ktoś go rozpychał. Jones uniósł głowę, rozejrzał się.

- O, kurwa.

Wszystko przez młodego. Próbował zagadać dziewczynę, która weszła do środka z grupą przyjaciół. Był już tak pijany, że nie zauważył jej chłopaka i pół tuzina jego kumpli.

Pijany czy nie, Hal miał dość refleksu, aby odpowiedzieć na atak. Popchnięty, zatoczył się w bok, a potem wykorzystał pęd, by odwinąć się i wymierzyć cios. Wrzasnął, że mają się cofnąć. Napastnicy odpowiedzieli stekiem bluzgów na temat kosmicznych skurwysynów. Dwóch ruszyło naprzód. Hal przybrał pozę obronną, usztywniając ręce i nogi. Wyglądało to trochę głupio, bo tancerze kołyszący się z tyłu wciąż go szturchali.

A potem padł grad ciosów. Jakaś dziewczyna wrzasnęła na cały głos. Pięść Hala walnęła w czyjaś klatkę piersiową, aż poczuł prąd elektryczny biegnący od łokcia aż do ramienia. Czyjaś pięść trafiła go w policzek. Zobaczył błysk czerwieni i zatoczył się na parkiet. Krew trysnęła mu z ust.

Wszyscy klienci Zepsutej Boi nagle zorientowali się, co się dzieje: miejscowi zobaczyli, że jeden z najeźdźców - zboczeniec, który przez cały wieczór napastował dziewczyny - zaatakował jednego ze swojaków. Żołnierze z plutonu dostrzegli, że ktoś bije

ich kolegę...

Nagle cały tłum rzucił się do walki.

Jones z trudem przebijał się przez barbarzyński ścisk. Zewsząd wbijano w niego łokcie. Odpowiadał kopniakami. Ktoś zamierzył się na niego obtłuczoną butelką. Uchylił się, okręcił i kopnął z półobrotu.

Krzyki. Szał. DJ podkręcił dźwięk na cały regulator. Rozszalałe pięści i stopy. Przypadkowe cele. Jacyś ludzie zaczęli skandować: „KillBoy!”.

Jakaś dziewczyna skoczyła Jonesowi na plecy i ugryzła go w ucho. Mężczyzna ryknął wściekle i cisnął nią o filar. Zwymiotowała, padając na podłogę. Zobaczył, jak Lawrence wtacza się do środka. Błysnął nóż.

- Sierzancie! - Za jego plecami ktoś uniósł krzesło, ruch zlał się w jedną niewyraźną smugę. Jones odruchowo zablokował ramieniem, za późno. Drewniane oparcie walnęło go w czoło. Zablęskły gwiazdy, ale tylko na krótko.

Lawrence zdołał umknąć przed ciosem noża. Gdzieś w głębi mózgu miał zapisany perfekcyjny ruch defensywny; odpowiednik sprytnego manewru szachowego, który pozwoliłby mu rozbroić i pokonać swojego przeciwnika, używając do tego jedynie zgiętego palca wskazującego. Coś w tym stylu. Zaśmiał się, próbując przybrać profesjonalną pozę kung-fu. Niestety, ktoś za jego plecami runął na podłogę i podciął mu nogi, aż poleciał do tyłu. Wpadł z impetem na ścianę.

- Auć. Hej, to bolało! - Znów się zaśmiał, a potem przerwał gwałtownie, gdyż musiał zwymiotować. Dziewczyna przycupnięta obok na czworakach wrzasnęła z obrzydzeniem, kiedy bryzgi poszły na jej krótką czerwoną sukienkę. Spoliczkowała go i zerwała się na nogi. Lawrence zamachał ręką i spróbował przeprosić. Miał wrażenie, że to ważne. Nie widział już dziewczyny, więc znowu zwymiotował. Minęły całe wieki, odkąd ostatni raz brał udział w porządnej bójce barowej. Miał wrażenie, że poprzednim razem było to bardziej zabawne.

Policja wspierana przez dwa plutony Skór zjawiała się w Zepsutej Boi cztery minuty po zgłoszeniu od właściciela. Przez ten czas walka zdążyła się już przenieść na ulicę. Kilka osób wylądowało w wodzie i miało się mniej lub bardziej gorączkowo, w zależności od tego, jak bardzo było pijanych.

- Proszę natychmiast przestać! - zawołał dowódca. Użył systemu nagłaśniającego, ale i tak nikt nie zwrócił na niego uwagi. W stronę Skór poleciało kilka butelek.

Dwa plutony utworzyły luźny półokrąg wokół bijących się, policja podążała tuż za nimi. Dowódca odpiął od paska spory cylindryczny kanister i uniósł go nad głową, kierując go w stronę baru. Rozległ się głuchy stukot, a potem ze środka wyleciała siatka z bardzo



cienkiego włókna, unosząca się w powietrzu niczym mgła, po czym spadła na walczących.

Włókienka przykleiły się do ubrań i nagiej skóry, rozciągając się z każdą chwilą. Nikt nic nie zauważył.

A potem przeleciało przez nią kilka tysięcy woltów. Okrzyki bólu, sztywniejące mięśnie. Biało-fioletowe wyładowania, palce i włosy sypiące iskry. Potem cząsteczki przewodzące odpadły i prąd przestał płynąć.

Na placu boju zaległa głucha cisza. Wszędzie leżały ciała wygięte w konwulsyjnych pozach. Po dłuższej chwili porażeni prądem zaczęli chwycić powietrze. Kończyny drżały im konwulsyjnie. Nikt już nie walczył. Miejscowi z obawą patrzyli na kordon Skór. Żołnierze, których złapano w siatkę, uśmiechali się nerwowo, unosząc ręce.

- Dziękuję - powiedział krótko dowódca. - Wszyscy jesteście aresztowani. Proszę tu zaczekać - dodał, po czym pomaszzerował w stronę otwartych drzwi baru. Zużyty kanister upuścił z brzękiem na brukowaną uliczkę. Potem odpiął od paska drugi i stanął w wejściu.

- Spokój! - wrzasnął, po czym odpalił drugi kanister we wnętrzu lokalu.

\*\*\*

Lawrence obudził się, czując, że zostało mu najwyżej kilka sekund życia. Jak mogło być inaczej, skoro miał pękniętą czaszkę, a do tego ktoś polewał jego odsłonięty mózg wrzącym olejem? Jęknął słabo i się poruszył. To był błąd. Zakrztusił się w suchym odruchu wymiotnym. Zamachał rękami, aż w końcu dotknął kropelek wymiocin zwisających mu z ust na strużce śliny.

- O, kurwa mać.

Światło było boleśnie jasne i wnikało głęboko w jego rozbitą głowę. Postarał się zogniskować wzrok, nie tyle mrugając, ile łzawiąc. Niestety, uzyskał w ten sposób bardzo kiepską ostrość.

Ktoś wtrącił go do bardzo dziwnego piekła. Leżał na cienkiej szarej wykładzinie, w jasno oświetlonym pomieszczeniu przypominającym poczekalnię na lotnisku. Wokół stały rzędy czerwonych plastikowych krzeseł przyśrubowanych do podłogi. Wszędzie siedzieli ludzie, zgarbieni, milczący i obojętni. Niektórzy przyciskali opatrunki do ran i podbitych oczu; na białej gazie widać było ślady krwi. Dziewczyny w skąpych, obcisłych sukienkach opierały się o siebie nawzajem, śpiąc lub po prostu gapiąc się w przestrzeń. Na podłodze dostrzegł też wiele innych osób - zakładał, że spały, bo leżały zupełnie bez ruchu. Porządku w pomieszczeniu pilnowało kilka Skór - milczących, władczych i nieruchomych.

Wtedy dopiero dotarło do niego, co się stało. Bójka. A zatem to była poczekalnia w szpitalu. Nie piekło.

Powoli - bardzo powoli - przewrócił się na bok i usiadł. Ból załomotał mu w skroni, aż znowu poczuł mdłości. Skrzywił się, dotykając głowy. Tuż za lewym uchem wyrósł mu wielki, bolesny guz.

Amersy siedział tuż obok niego na czerwonym krześle. Biała plama na jego policzku poszarzała, oczy miał bardzo przekrwione. Do czoła przyciskał woreczek chłodzący, ramiona mu drżały.

Lewis, Odel, Karl i Dennis siedzieli tuż przy nim. Prawa ręka Odela niknęła w niebieskim futerale z apteczki pierwszej pomocy. Karl miał rozbity nos i cały podbródek zbryzgany krwią. Edmond leżał na podłodze, skulony u stóp Karla.

- O, szlag - zaskrzeczał Lawrence. - Co się...

- Złapali nas w sieć - mruknął Lewis. - Właściciel wezwał gliny.

- Świetnie. - Lawrence przerwał, by złapać powietrze.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. Nakopaliśmy tym gnojom do tyłka, póki nie nadeszli nasi i nie strzelili nam w plecy. Kurwa, po czyjej oni właściwie są stronie?

Lawrence nie zamierzał na to odpowiadać.

- Jaki status?

- Młody jest w gabinecie. - Amersy wskazał kciukiem na osłoniętą zagródkę w tylnej części sali. - Nie jest źle, w każdym razie żadnych złamań. Mamy zakaz opuszczania budynku, póki lekarze nas nie zbadają.

- Super. - Lawrence rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś poduszki, na której mógłby oprzeć głowę. - Gdzie jest Jones?

- Bóg jeden wie.

- Bardzo dobrze. W końcu sam wróci. - Wysilek związany z myśleniem i mówieniem był niesamowicie męczący.

- Obudźcie mnie, jak przyjdzie moja kolej - oznajmił, po czym znów położył się na wykładzinie.

\*\*\*

Pielęgniarka okazała się zadziwiająco życzliwa. Lawrence nie miał pojęcia, która była godzina, zanim w końcu wezwano go do zagrodki, gdzie został obejrzany i umyty. Przypuszczał, że bardzo wczesny ranek.

Kobieta obejrzała jego guza, a AS medyczny nie wykrył wstrząsu mózgu.

- Poproszę jakiegoś człowieka, żeby na to zerknął - powiedziała. - Tak na wszelki wypadek.

- Dziękuję.

- Ale to chwilę potrwa. Są teraz trochę zajęci. - Kazała mu się położyć na boku i ściągnęła mu przez głowę brudną koszulkę.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Przecież to nie pan zaczął.

- Nie. Ale powinienem zdać sobie sprawę, że to nieuniknione.

Kobieta zaczęła wyciskać na guza jakiś chłodny żel oczyszczający. Lawrence syknął, czując pieczenie.

- Każdy idiota by to panu powiedział.

- Ale ja nie jestem każdym idiotą. Jestem dowódcą.

- Czyżby? - Skrawek gazy przesunął się po skórze, zbierając nadmiar płynu.

- Tak, wiem. Proszę posłuchać: pewnie nie ma tu pani nic na ból głowy?

- To ból głowy czy kac?

- To i to. I bardzo nie lubią współdzielić miejsca.

- Tak, to zrozumiałe. Proszę to przytrzymać. - Wzięła go za rękę i przycisnęła dłoń do opatrunku. Lawrence patrzył na jej buty, gdy zmierzała w stronę szafki z lekami.

- Komuś stała się krzywda?

- Z nas czy z was?

- Wszystko jedno.

- Trzy głębokie rany klute. Jedna awaryjna procedura regeneracyjna. Ktoś pociął dziewczynie twarz...

- O, cholera.

- ...kilka złamań. Do tego ta wasza broń elektryczna wywołała drgawki u wielu osób. Ale nikt nie zginął. Dobrze i to. - Podała mu kilka fioletowych kapsulek i szklanek wody. - Proszę to wziąć.

Lawrence połknął je odruchowo i dopiero później zdał sobie sprawę, jaki był łatwowierny. Regulamin działu strategicznego był bardzo surowy w kwestii zewnętrznej pomocy medycznej, zwłaszcza w sytuacjach innych niż zagrożenie życia.

Nagle zasłonkę odsunięto na bok i do środka wpadł kapitan Bryant. Był w pełnym mundurze, bladofioletowa tkanina odcinała się wyraźnie od zaczerwienionej skóry.

- Tu jesteś, Newton.

- Przepraszam, ale muszę skończyć oględziny tego pacjenta - zaprotestowała pielęgniarka.

- Już skończone. - Bryant odsunął jej zasłonkę. - To wszystko.

Kobieta zmierzyła go oburzonym spojrzeniem i wyszła.

- Może wyjaśni mi pan, co tu się dzieje, sierżancie?

- Sir?

- Co tu się, kurwa, dzisiaj działo? Wypuściłem was na jedno piwo, a wy zaraz odgrywacie mi tu Santa Chico.

- Wybuchła jakaś kłótnia. Chyba o dziewczynę. Potem już samo poszło.

- Chyba nie muszę przypominać, że nic nie powinno było „pójść samo”. Na litość boską, powinien pan ucinać takie rzeczy w zarodku!

- Nie było mnie tam, sir. Gdybym tam był, na pewno bym zareagował.

- Powinien był pan obserwować. Jest pan dowódcą, utrzymywanie porządku to pański obowiązek.

- Byliśmy po służbie.

- Proszę nie zaczynać. Pańska służba obejmuje znacznie więcej niż tylko oficjalnie przydzielone zadania i dobrze pan o tym wie. A jeśli nie, to nie zasługuje pan na te belki.

- Sir - mruknął Lawrence z niezwykłym rozdrażnieniem. Gdyby czuł się trochę lepiej, powiedziałbym sobie „pieprzyć to” i dał Bryantowi w mordę.

- Gdzie się podziewa Jones?

- Sir?

- Jones Johnson. Pamięta go pan?

- Myślałem, że wrócił do koszar.

- Do tej pory się nie zameldował, a policja nie aresztowała go razem z resztą plutonu. Gdzie on jest?

- Nie wiem, sir. Sprawdzał pan w szpitalu?

- Oczywiście!

Lawrence przetarł oczy. Kapsułki najwyraźniej zaczynały działać. Mdłości mijały, ale poza tym czuł się straszliwie zmęczony.

- Technicznie rzecz biorąc, nie musi się meldować aż do szóstej, sir.

- Niech pan nie zgrywa mądrali, sierżancie, brak panu do tego IQ. Jones, jako jedyny z naszych żołnierzy, jest nieobecny. Mój podkomendny. Wie pan, w jakim położeniu mnie to stawia? Nie chcę dokładać do tego fiaska żadnych nowych skandali. Rozumie pan?

- Sir, chciałem tylko powiedzieć, że jeśli wyszedł z baru, zanim wybuchła bójka, to pewnie jest teraz z jakąś dziewczyną.

- Lepiej, żeby tak było. Proszę zebrać tę zgraję, którą nazywa pan plutonem i odprowadzić do koszar. Przydzielam wam podwójną ilość dyżurów domowych, a wszelkie

zniszczenia w Zepsutej Boi zostaną usunięte na wasz koszt. Oprócz tego udzielę wam oficjalnej nagany. A teraz, proszę się zbierać.

Zasłonka została gwałtownie zasunięta i kapitan zniknął.

Lawrence pokazał jego plecom wyprostowany palec, a potem jęknął nieszczęśliwie i znów opadł na stół.

\*\*\*

Jones Johnson obudził się, czując piekący ból w nadgarstkach i plecach. Poza tym było mu niepokojąco zimno.

Nic dziwnego. Wcześniej rozebrano go do naga, rozpięto na jakimś urządzeniu i przykuto za nadgarstki do owalnej ramy. Kostki przykuto do jej podstawy. Reszta pomieszczenia była zupełnie pusta. Nie widział żadnych okien, tylko proste, drewniane drzwi po lewej stronie. Ściany były betonowe i pobielone, podłogę pokrywała czarna gąbczasta mata.

Instynktownie szarpnął za kajdany. Ktokolwiek zbudował tę ramę, dobrze wiedział, co robi. Miał bardzo ograniczoną swobodę ruchów.

A co najgorsze, w ogóle nie pamiętał, jak się tu dostał. W Zepsutej Boi wybuchła jakaś bójka. Zobaczył błysk noża. A potem... krzesło?

Co się, kurwa, stało?

Zdyszał się, próbując poluzować kajdany. Na czole wyczuwał pulsujące miejsce - prawdopodobnie miał sporego guza.

- Hej! - zawołał. - Słyszycie mnie? Jest tam kto? Hej!

Przez chwilę spoglądał na drzwi, jakby spodziewał się, że ktoś zajrzy do środka, by zobaczyć, co to za hałasy. Nic z tego.

„To tylko burdel - powiedział sobie w duchu. - Miejscówka z usługami sado-maso, to wszystko. Dostałem w łeb podczas bójki, a ci gnoje, Karl i Lewis, postanowili mi zrobić dowcip. Zaraz wejdzie jakaś domina w skórze i zaczną okładać mnie po tyłku pejczem. Skurczybyki”.

- Ej, chłopaki! To już nie jest śmieszne!

Wciąż nikt nie nadchodził. Nie było też słyhać żadnych odgłosów miasta ani rozmów.

Co za gnoje.

Cholera, a jeszcze do tego chciało mu się lać.

Kto by pomyślał, że w Memu Bay mają burdel specjalizujący się w takich rzeczach? Szybko uciał tę myśl.

Jakiś czas później otworzyły się drzwi.

- Najwyższy, kurwa, czas! - wrzasnął Jones. - A teraz wyciągnijcie mnie stąd!

Do środka wszedł mężczyzna ubrany w granatowy kombinezon. Nie zwrócił na więźnia najmniejszej uwagi. Wniósł duży, ciężki szklany pojemnik, który postawił na podłodze, w nogach urządzenia.

- Hej! Hej, ty! - krzyczał Jones. - Co to ma, kurwa, być? Powiedz coś! No już, gadaj!

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł.

Jones zatrząsł się na tyle, na ile mógł. Na próżno. Kajdany ani drgnęły. Ale zauważył też, że nie zamknięto drzwi.

- Słuchajcie, zapłacę wam więcej niż oni.

Mężczyzna znów wszedł, niosąc identyczny szklany pojemnik.

Jones zaczął się pocić. Serce biło nerwowo, jakby podświadomość połapała się już, że coś tu jest bardzo nie w porządku. Jednak nie mógł przyjąć tego do wiadomości, bo natychmiast wywołałoby to atak paniki.

- Proszę! - zawołał znowu. - Co tu się dzieje?

Ale mężczyzna znów wyszedł.

Jones nie chciał o tym nawet myśleć. Byle nie to. Nie KillBoy. Coraz trudniej było mu wmówić sobie, że to tylko pijacki żart Karla i Lewisa. Nie mógł uwierzyć, że dał się zrobić jak ostatni głupek we wszechświecie i został porwany przez jakiś fanatyczny ruch oporu.

- Ale ja nic nie wiem - szepnął. - Naprawdę.

Tortury były tragicznie przestarzałe. Teraz mieli do dyspozycji preparaty, narkotyki i całe mnóstwo różnych technik. Nowoczesna, dobrze wyposażona, przyzwoicie finansowana policja i służby bezpieczeństwa miały je na wyciągnięcie ręki. Może nawet na tej planecie? Na odległym, prymitywnym Thallspring?

„To nie ma znaczenia - przekonywał się usilnie. - Z-B już pewnie przeczesuje miasto w poszukiwaniu zaginionego żołnierza. Sierżant nie pozwoli im tego odpuścić. Zawsze troszczył się o swoich ludzi. Stary dobry sierżant Newton. Lada chwila drzwi staną otworem, a pluton wpadnie do środka, biegnąc mi na ratunek”.

Milczący mężczyzna powrócił z trzecim pojemnikiem. Tym razem przyniósł ze sobą także zwój plastikowych rurek, które owinął wokół szyjki pojemnika. Jones spojrzał na niego z bezsilną furią. To był sprzęt do lewatywy. Zamierzają go zgwałcić, może nawet zbiorowo. Spróbują go złamać.

Zacisnął pięści i szarpnął się desperacko.

- Boże, nie. Nie. Nie. - Skrzywił się bezsilnie i łzy prawie pociekły mu po policzkach.

- Dlaczego właśnie ja? To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe!

Drzwi znów zamknęły się za plecami mężczyzny. Jones zaszlochał i poczuł, że schodzi z niego napięcie. Jego ciało zwisło boleśnie na ramie.

- Proszę - zwrócił się do pustego pokoju. - Nie jestem nikim ważnym. Nie musicie tego robić. Błagam.

Zaczął pociągać nosem. Żalotne. Na Ziemi uczono ich technik antyprzesłuchaniowych, poddawano ćwiczeniom wzmacniającym opór. Pokazywano, jak radzić sobie ze zmęczeniem i napięciem, jak nie dać się złapać na kłamstwie. Ale było to tylko szkolenie. Techniki nie są warte funta kłaków, gdy banda psychopatycznych terrorystów przykuwa cię nago do ramy, jakby chcieli cię ukrzyżować. Człowiek czuje się tak bezradny, że chętnie sprzedałby duszę diabłu, w którego nagle desperacko chciałby uwierzyć. Bo nie ma już innej drogi ucieczki.

Gdzie oni są? Do jasnej cholery, gdzie jego pluton?

- Wszyscy są ważni na swój sposób, panie Johnson.

Jones poderwał głowę. Do pokoju weszła piękna, młoda kobieta; miała wydłużoną, sercowatą twarz, którą każdy mężczyzna uznałby za atrakcyjną. Otaczała ją grzywa gęstych ciemnych włosów. Poruszała się jak ptak, co chwila patrząc na niego pod innym kątem. Obracała złoty pierścionek, który nosiła na palcu wskazującym.

- Proszę - wybełkotał. - Wypuście mnie.

- Nie. - Jej kateryczny ton zmroził go do szpiku kości.

- Dlaczego? Kim jesteś?

- Na tym etapie misji może mnie pan określić jako wojującą anarchistkę. Muszę pograć w Memu Bay w chaosie.

- Co? - spytał odruchowo.

Kobieta uśmiechnęła się łagodnie i postąpiła o krok bliżej. Jones stwierdził nagle, że jej bliskość zdaje mu się niepokojąco erotyczna. Wtedy podniosła zwój rurek. Jedną z końcówek ostrożnie podłączyła do najwyższego pojemnika, a potem zaczęła rozwijać resztę.

- Nie - jęknął Jones. - Jezu, błagam.

- To nie będzie bolało - uspokoiła go kobieta. - Nie jestem sadystką, panie Johnson.

Jones zacisnął pośladki z taką siłą, jakby walczył o medal olimpijski.

- Powiem wszystko, co wiem. Tylko mnie puśćcie.

- Przykro mi. Nie sprowadziliśmy tu pana na przesłuchanie. Już teraz wiem więcej na temat wszechświata, niż panu się kiedykolwiek śniło.

Mężczyzna zagapił się na nią, czując lodowaty szok nagłego zrozumienia. Kobieta nie

była rewolucjonistką, tylko zwykłą psychopatką. Musiała to być jedna z największych zbrodni wszechświata - obdarzyć tak piękną istotę obłąkaną duszą.

- Pamiętaj, że zginą ludzie! - zawył. - Wasi ludzie, ci, dla których walczyacie. Tego właśnie chcecie?

- Nikt nie zginie. Zantiu-Braun nigdy nie dowie się na pewno, czy pan żyje, czy nie. Ta niepewność przeżre ich dusze. O to mi właśnie chodzi.

Kobieta przytknęła Jonesowi rurkę do szyi. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jej końcówka ma identyczny kształt jak wylot układu krążenia w Skórze. Z cichym pstryknięciem wpięła się w zawór tętnicy szyjnej.

- To się nie uda - wychrypiał. - Jeśli chcesz mnie zabić, musisz to zrobić tradycyjnie. Nie ma tak łatwo, ty suko!

- Żegnam, panie Johnson. - Kobieta zerknęła na swój pierścionek.

Jones zaśmiał jej się w twarz. Głupia cipa, nie wiedziała, że zawory są chronione przez e-alfa. Śmiech z bulgotem przeszedł w szaleńczy krzyk, gdy zobaczył, jak jego cenna szkarłatna krew przepływa przez rurkę i wpada do naczynia.

Zobaczył, że kobieta drgnęła wyraźnie. Do oczu napłynęły jej łzy, jakby się czegoś wstydziła.

- O jednym mogę pana zapewnić - powiedziała. - Pańska esencja życiowa przetrwa i rozwinie się w świecie pozbawionym trosk. To jedno mogę panu obiecać. - Potem odwróciła się plecami.

Jones przeklinał ją, jak tylko mógł. Krzyczał. Płakał. Szlochał.

A jego krew przez cały czas płynęła przez rurkę.

„Walcz - powiedział sobie w duchu. - Chłopcy cię znajdą. Nie trać przytomności. Uratują cię przyjaciele. Wciąż jest dużo czasu. Zawsze jest jeszcze czas”.

Jedno z naczyń było już całkiem pełne. A jednak rurka wciąż była czerwona, pełna krwi wiernie pompowanej przez jego serce.

W końcu krew i reszta świata rozmyły się i pogrążyły w szarości.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lot na Ziemię trwał kilka tygodni. Lawrence nie musiał przestrzegać żadnych ograniczeń ani nużących rutynowych czynności, które towarzyszyły mu podczas wszystkich kolejnych lotów. Pasażerowie podróżujący z Amethi stanowili rzadkość: gdy *Eilean* uruchomiła silnik kompresyjny, znajdowało się ich na pokładzie tylko ośmioro. Oznaczało to, że tylko jedno koło mieszkalne było aktywne. Lawrence miał dla siebie całą kabinę rodzinną, mógł też wędrować po okolicy. Załoga zwykle nie zwracała na niego uwagi, zakładając, że to jakiś rozpieszczony bogaty smarkacz, któremu rodzina zafundowała wycieczkę na Ziemię. Ani razu nie rozmawiał z pozostałymi pasażerami, menedżerami najwyższego szczebla z korporacji McArthur, którzy przez cały czas podróży konsultowali się wyłącznie ze swym osobistym AS. Spędzał dużo czasu na sali gimnastycznej, a przez resztę dnia przeglądał bibliotekę multimediiów.

Później uznał, że tak powinna wyglądać podróż w czasach złotego wieku kosmosu - powolna i przyjemna. Jej najbliższy ekwiwalent mogłaby stanowić podróż na statku powietrznym z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Ale tam prawdopodobnie zapewniano lepsze jedzenie i ładniejsze widoki.

Wszystko byłoby idealnie, gdyby tylko zdołał zapomnieć o niej. Tymczasem samotność sprawiała, że każde najdrobniejsze wspomnienie zmieniało się w wielką wizję. Kolor wyświetlacza graficznego przypominał mu jedną z jej sukienek, dokładnie w tym odcieniu turkus. Jedzenie smakowało jak obiad, który kiedyś razem zjedli. Menu w bibliotece multimediiów przypominało mu godziny, które spędzili na przeglądaniu puli, przytuleni do siebie na kanapie w jego jaskini.

Loty kosmiczne, marzenie jego życia, stały się udręką przez miłość jego życia. Nie wyobrażał sobie gorszej ironii.

Na szczęście Ziemia go nie zawiodła. Podczas lotu orbitalnego z Gwiazdy Glencoe, bazy firmy McArthur wybudowanej w punkcie libracyjnym, spędził praktycznie całą podróż, przyklejony do szyby w punkcie widokowym, patrząc, jak planeta staje się coraz większa, zupełnie nieświadomy zagrożenia promieniowaniem. Kiedyś sądził, że widok oddalającej się Amethi - jej poszarpana powierzchnia w kolorach ochry, popiołu i bieli, przyćmiony blask Nizany odbity od lodowca Barclaya - był najpiękniejszym widokiem, jaki widział w życiu.

Jednak Ziemia i jej jaskrawa paleta żywych kolorów sprawiła, że serce ścisnęło mu się boleśnie. Wylądował w xianti, zawiedziony brakiem okien w kosmolocie.

Głównym portem korporacji McArthur był Gibraltar. Jego mieszkańcy wciąż uparcie obstawali przy swojej niezależności, dystansując się od Hiszpanii i, w miarę możliwości, nawet od Federacji Europejskiej. Ich rada państwa wynegocjowała z McArthurem umowę zapewniającą ulgi podatkowe w zamian za inwestycje infrastrukturalne i obowiązującą obie strony zasadę nieingerowania.

Lawrence puścił wszelkie kwestie polityczne mimo uszu. Gdy już wysiadł z kosmolotu i przeszedł przez salę przylotów (gdzie na krótko zainteresowała się nim ochrona, niechętna wypuszczać członka rodziny zarządu bez odpowiednich środków bezpieczeństwa), chciał jak najszybciej wyruszyć w drogę i chłonąć czar Starego Świata. Wyszedł z terminalu wybudowanego na miejscu dawnej bazy RAF-u i podążył w stronę wielkiego pasa startowego dla kosmolotów - pięciokilometrowego cementowego pomostu białego w Morze Śródziemne. Przez kilka godzin po prostu stał w zadumie na głazach obrzeżających beton, wpatrując się w wodę. Po jednej stronie rozciągała się Hiszpania - nieprzerwany rząd miejskich zabudowań ciągnących się aż po horyzont, upstrzony brązowymi plamami niskich wzgórz przełamujących czasem monotonię białych budynków. Po drugiej stronie czaiła się Afryka - ciemny, bezkształtny brzeg, granica oddzielająca morze od nieba.

Z jakiegoś powodu - w końcu przeleciał kiedyś nad połową Amethi - ta planeta zdawała mu się znacznie większa. Nie mógł się przyzwyczać do tej skali. Tyle wody, szemrzającej i chlupiącej u jego stóp. Morze wydzielało silny, charakterystyczny zapach, setki różnych woni łączących się w ostry, słonawy aromat. A powietrze... nigdy w życiu nie odczuł nic równie ciepłego, nawet w tropikalnych kopułach. W upale i wilgoci aż trudno mu było oddychać.

Dopiero gdy słońce zaszło i światła wybrzeża zamigotały nad wodą, odwrócił się i wrócił na Gibraltar. Pieniądze nie stanowiły problemu. Amethiańskie kredyty z łatwością można było wymienić w banku na dolary europejskie. Za tę kwotę mógł mieszkać w hotelu o przeciętnym standardzie przez parę miesięcy, zanim w ogóle musiałby pomyśleć o szukaniu pracy. Ale miał inny cel.

Spędził na Gibraltarze kilka dni i prawie przez cały ten czas przeszukiwał globalną pulę danych, nadrabiając braki w edukacji politycznej. Odkrył, że Roselyn rzeczywiście miała rację, jeśli chodziło o Zantiu-Braun. Pozostałe firmy redukowały liczbę operacji międzygwiazdnych, ograniczając się do niezbędnego minimum: utrzymywania kontaktu z koloniami oraz realizacji aktywów na planetach przejętych niedawno od założycieli. Z-B jako

jedyna utrzymywała małą flotę eksploracyjną i zakładała kolonie za pośrednictwem portali. Ale nawet oni nie budowali nowych statków. Wszystkie stocznie libracyjne zostały zakonserwowane albo przerobione na doki naprawcze.

Epoka podboju kosmosu naprawdę dobiegała końca, ale jeszcze trwała. Nawet przy obecnym tempie statki miały latać jeszcze przez wiele dekad.

Tydzień po przybyciu na Ziemię pojechał pociągiem do Paryża i wszedł do centrali Zantiu-Braun. Dział zasobów ludzkich, podobnie jak ochrona McArthura, był nieco zakłopotany kwestią jego pochodzenia. Jednak w końcu AS i ludzki kierownik działu zdołali go przekonać, że najlepszym sposobem dostania się do floty eksploracyjnej jest wstąpienie do ich działu astronautyki. Argumentowali, że na obecnym etapie Lawrence nie ma dość pieniędzy, by kupić sobie udział w Zantiu-Braun, który pozwoliłby mu na swobodne wybranie ścieżki kariery. Powinien zatem, podobnie jak tysiące ludzi, rozpocząć od najniższego szczebelka i zdobyć sobie udziały, pracując dla firmy. Zapewniono go, że pracownicy aplikujący na dane stanowisko mają zawsze pierwszeństwo przed osobami z zewnątrz. Brak wykształcenia uniwersyteckiego na tym etapie został uznany za nieistotny: Z-B oferowała stypendia naukowe dla wszystkich pracowników pragnących awansować. Tak się składa, dodali, że mają akurat wolne stanowiska w dziale astronautyki, które stanowiłyby świetny punkt wyjścia do ich szkoły oficerskiej. Zapytali Lawrence'a, czy rozważał kiedyś pracę w dziedzinie bezpieczeństwa strategicznego.

Dwa dni później siedział już w pociągu do Tuluzi.

Osiem miesięcy później był znów na statku kosmicznym zmierzającym w stronę układu Kinabica. On i niejaki Colin Schmidt stali się nowymi członkami plutonu 435NK9. Reszta żołnierzy miała ich w głębokiej pogardzie.

Kinabica była jednym z najwcześniejszych skolonizowanych układów. W ciągu dwóch i pół wieku osiągnęła dość wysoki status socjoekonomiczny i dorobiła się wysoko rozwiniętej bazy technologicznej. Członkowie plutonu nigdy nie dowiedzieli się, dlaczego Kaba, firma założycielska kolonii, postanowiła pozbyć się takiego aktywu. Populacja Kinabiki, obecnie sięgająca siedemdziesięciu milionów, była obecnie samowystarczalna. Nie było już żadnego sprzętu ciężkiego, żadnych fabryk biochemicznych ani rafinerii żywnościowych, których nie dało się zbudować lokalnie. Wszystko było na miejscu, zamontowane, okablowane i pracowało pełną parą.

- To dlatego, że nie płacą dywidendy - wyjaśnił Lawrence'owi kapral Ntoko. Jak każdy rekrut, Lawrence zadawał mnóstwo pytań, znacznie więcej niż Colin. Ntoko zlitował się nad żółtodziobem i udzielił mu paru odpowiedzi, co na jakiś czas go uciszyło. - Kaba

wpakowała mnóstwo pieniędzy w Kinabikę i nie dostała ani centa w zamian. Dla inwestorów całe to miejsce to jeden wielki zgniły pakiet.

- Ale to przecież wielka planeta - zaprotestował Lawrence. - Musi przynosić jakieś zyski.

- Owszem, ale tylko w ramach swojego układu gwiazdowego. Załóżmy, że wyprodukują chip pamięci o gęstości identycznej jak te, które produkujemy na Ziemi. I tak muszą go zapakować na statek i przetransportować piętnaście lat świetlnych dalej. Tymczasem każda fabryka na Ziemi, która produkuje takie chipy, musi je przewieźć najwyżej kilka tysięcy kilometrów i to pociągiem albo statkiem. Jak myślisz, która metoda zawsze będzie droższa?

- Okej. W takim razie Kinabica powinna wytwarzać coś unikatowego. Tak przecież w praktyce działa handel, na wymianie dóbr pomiędzy dostawcą i konsumentem.

- Teoretycznie tak. Ale co takiego może wyprodukować Kinabica, czego nie mielibyśmy na Ziemi? Nawet jeśli będą mieli szczęście i wyprodukują coś wyjątkowego, na przykład jakąś niezwykle zaawansowaną perłę neutronową, nasze korporacje i tak zrekonstruują ją w ciągu kilku miesięcy. Na obecnym poziomie technologii tylko produkowanie na rynek lokalny ma jakikolwiek sens. Loty kosmiczne są cholernie drogie.

- A zatem po co to robimy?

- Ponieważ realizacja aktywów to jedyna rzecz, jaka jeszcze uzasadnia prowadzenie lotów międzygwiazdowych. Na Ziemi to wszystko sprowadza się do operacji finansowych i przepisywania cyfr w arkuszach. Bardzo rzadko w grę wchodzi jakiegokolwiek pieniądź. Z-B przyjęła ujemny kapitał Kaby, aby rozwiązać własne problemy z finansowaniem lotów kosmicznych. Te dwie rzeczy świetnie się uzupełniają, jeśli tylko ktoś ma dość jaj, by dostrzec tę zależność. Siedzimy w stalowej puszcze lecącej szybciej niż pędzący foton, zamierzając zmienić całą tę piękną korporacyjną teorię finansów w brudną, namacalną praktykę. Jeśli chodzi o finansowanie naszego działu lotów, Z-B jedzie na tym samym wózku co Kaba. W ciągu ostatnich paru wieków wyłożyli bilion dolarów na różne ekspedycje i nie mają w bilansie niczego, co uzasadniałoby taki wydatek, może oprócz pięćdziesięciu statków za parę miliardów, których nie ma dokąd wysłać. Tyle że teraz mamy w księgach dług Kinabiki i możemy legalnie wykorzystać te statki do pozyskania kapitału. A ponieważ w praktyce umorzyliśmy dług inwestycyjny związany z założeniem kolonii, teraz potrzebne są nam tylko ich produkty, które moglibyśmy sprzedać na Ziemi. W ten sposób koszty produkcji w ogóle nie wchodzi w skład tego równania i wszystkie pieniądze zarobione na sprzedaży towarów z Kinabiki idą bezpośrednio na utrzymanie statków Z-B, działu bezpieczeństwa

strategicznego i obsługę długu kapitałowego. Jeśli księgowi dobrze się spiszą, to może nawet osiągniemy na tym jakiś zysk.

- Jak dla mnie to zwykłe piractwo - stwierdził Lawrence.

Ntoko zaśmiał się, widząc jego zszokowaną minę.

- Teraz kumasz, młody.

Pluton 435NK9 miał wylądować na Floydzie, dużym księżycu orbitującym wokół Kinabiki. Podczas gdy reszta plutonów Trzeciej Floty próbowała utrzymać w ryzach populację Kinabiki, oni mieli zastraszyć trzy tysiące mieszkańców Manhattan City.

Floyd był duży i miał własną atmosferę - cienką warstwę argonowo-metanową, z której po ciemnej stronie, przy dużym spadku temperatury, czasem opadały kryształy amoniaku. Nie było żadnych mórz ani jezior, cała powierzchnia pokryta była dziką gąbczastą roślinnością, przypominającą porosty z rurkowatymi liśćmi. Lepka masa pokrywała każdy centymetr księżyca, od kilku chylących się grzbietów górskich, aż po dno kraterów. Nawet głazy i przepaście nie były od niej wolne. Tubylcy nazywali to „wellsówką”, od żarłocznego marsjańskiego chwastu opisanego w *Wojnie światów*.

Gdy Lawrence spoglądał w dół z pojazdu lądowiczego, miał wrażenie, że płynie ponad oceanem pełnym gęstej mazi, pokrytej dziwnymi zmarszczkami fal, zastygniętymi w czasie, rzucającymi długie cienie. Musieli użyć silnie zmodyfikowanych lądowników księżycowych. Pojazdy te składały się zazwyczaj z cylindrycznej kabiny pod ciśnieniem, zaopatrzonej w silniki raketowe, zbiorników, sensorów, paneli termicznych i kapsuł towarowych przymocowanych do niego w sposób niemal losowy. Trzy kabłąkowate pajęcze nogi miały zamortyzować impet lądowania. Teraz cała ta niezgrabna konstrukcja została zamknięta w soczewkowatym kadłubie z kompozytów, by chronić delikatny kadłub lądownika przed działaniem atmosfery podczas zejścia z orbity. Rasa ludzka chyba jeszcze nigdy nie zbudowała czegoś, co bardziej przypominałoby latający spodek, choć, oczywiście, lądownikowi brak było eleganckiej swobody ruchów, jaką zwykle przypisywano takim pojazdom.

Słońce weszło właśnie ponad Manhattan City, rozpoczynając swój siedemdziesięciopięciogodzinny trawers nieba, gdy lądownik zakotłosał się nad portem kosmicznym. Wiązki migających światła i przyrządów naprowadzających otoczyły wyjałowioną skałę, która służyła miastu za lądowisko (obecnie ciemną i opuszczoną). Z ciemnych otworów w kadłubie buchnął obrzydliwie żółty płomień. Na podbrzuszu z trudem rozłożyły się stateczniki, pozwalając lądownikowi ustawić się na ziemi przy akompaniamencie niepokojącego skrzypienia i stłumionego ryku silników odrzutowych,

dudniących o kadłub.

Po chwili obok nich wylądował niezdarnie drugi pojazd, a potem trzeci. Wszystko wyraźnie zdradzało w nich intruzów, a najbardziej chyba rząd wahadłowców zaparkowanych po przeciwnej stronie portu - srebrzysto-białych smukłych raket stojących pionowo na zakrzywionych statecznikach, jakby wprost wyjętych ze starych wizji kosmosu, z połowy dwudziestego wieku.

Członkowie plutonu wysiedli, gramoląc się niezgrabnie po aluminiowej drabince przyspawanej do jednej z nóg. Gdy znaleźli się już na ziemi, AS sterujący mięśnioskieletem Lawrence'a zaczął walczyć ze słabą grawitacją, ograniczając swobodę każdego ruchu. Żołnierze szturchali się, ślizgali i objęli o siebie, sunąc w stronę głównej śluzy Manhattan City. Masywny pancerz włożony na mięśnioskielec sprawiał, że wyglądali, jakby specjalnie poubierali się w pękate skafandry w celu pokonania tego krótkiego odcinka.

Ledwie zmieścili się w małe, jednoosobowe śluzy.

Decyzję o budowie Manhattan City podjęto ze względu na sprzyjające warunki lokalne: połączenie zasobów mineralnych Floyda i specyficznej biochemii wellsówki. Miasto stanowiło jedynie sypialnię dla pracowników rafinerii i zakładów przetwórczych produkujących skomplikowane molekuly organiczne, wykorzystywane w przemyśle medycznym i chemicznym - wysoka wartość, niewielka masa. Idealny łup dla Z-B.

Po dotarciu do miasta misja miała się odbyć zgodnie ze standardową procedurą. Dowódca miał grzecznie przekazać ultimatum najwyższemu urzędnikowi w mieście, który natychmiast powinien zgodzić się na wszystkie warunki. Wtedy do zakładów miały wkroczyć zespoły techników i przejrzeć zasoby magazynów i specyfikacje rafinerii.

Na statek orbitujący wokół Floyda można było przewieźć mnóstwo rzeczy. Niestety jednak, bardzo niewiele z nich przechowywano w mieście. Ładunki zwykle wysyłano wprost na Kinabikę. Z jakiegoś bliżej niewyjaśnionego powodu zakłady przemysłowe Manhattan City zostały zamknięte pięć godzin po tym, jak Trzecia Flota opuściła tunel czasoprzestrzenny.

Plutony rozesłano po mieście, aby „służyły pomocą” w przywróceniu produkcji.

Drugiego dnia Lawrence wyruszył na zwiad wraz z Colinem, Ntoko i paroma kolegami z 435NK9. Podskakując i drepcząc poprzez skały porośnięte wellsówką, dotarli do niewielkiego krateru kilometr na północ od miasta. W ochronnej warstwie regolitu umieszczono tam zakład chemiczny. Żołnierze służyli jako eskorta dwóm technikom Z-B i pięciu pracownikom zakładu, którym nakazano wznowić produkcję.

Rozglądał się wokół za pośrednictwem skanera wzmacniającego obraz, chcąc jak

najwięcej zobaczyć. Jego pierwsza obca planeta. Rzeczywiście bardzo różniła się zarówno od Ziemi jak i od Amethi. Lawrence był trochę rozczarowany, że nie okazała się ciekawsza... Wellsówka sprawiała, że cała planeta wyglądała jak owinięta pianką i gotowa do zapakowania. Co chwila zerkał w górę na wielki, jaskrawy półksiężyc Kinabiki wiszący nad horyzontem, żałując, że to nie tam dostał przydział. Prawdziwy nowy świat. Oglądany w podczerwieni lśnił tajemniczym światłem.

Krater był pierwszym miejscem, nie licząc portu, gdzie dostrzegli miejsca wolne od wellsówki.

Teren przecinały prymitywne tory i bruzdy po taczkach. Pośrodku krateru znajdowało się skupisko regularnie rozmieszczonych garbów, z których każdy miał po kilkaset metrów długości. Wymienniki ciepła w postaci żłobkowanych cylindrycznych wieżyczek, stały na szczycie, przywodząc na myśl ceglane kominy z czasów rewolucji przemysłowej, odległej o czterysta lat i siedemnaście lat świetlnych. Brudna gleba, którą zasypano bunkry, upstrzona była ciemnoróżowymi pączkami wellsówki - kępy porostów z wolna rozrastały się na boki i łączyły ze sobą. W porównaniu z dywanem porastającym poprzecinane dno krateru, nowe pędy nie wyglądały zbyt zdrowo.

Śluza okazała się na tyle duża, by pomieścić całą grupę. Po przejściu całego cyklu wewnętrzny właz uniósł się, otwierając przejście do labiryntu betonowych korytarzy. Z długich, prostokątnych okien osadzonych w ścianach rozpościerał się widok na komory pełne splątanych przewodów i części maszyn. Proste stalowe drzwi prowadziły do biur, warsztatów i magazynów obrzeżonych głębokimi zbiornikami.

Żołnierze spoglądali na wszystko w zdumieniu, mimo że wyświetlacz HUD pokazywał im cały schemat instalacji. Technicy i konserwatorzy szli przed siebie zupełnie niezrażeni, zmierzając prosto do centrum sterowania. Za kilka minut zarządzający AS zaczął ich zasypywać komunikatami z pół tuzina stanowisk jednocześnie, a tymczasem tablica statusów wyświetliła schematy i fabryka ożyła.

- Myślę, że powinni panowie przeszukać resztę zakładu - powiedział główny technik do Ntoko. Innymi słowy, bardzo grzecznie kazał im spadać.

- Już się robi - zapewnił go kapral.

- Ale czego mamy tu szukać? - spytał Colin, gdy już wyszli z centrum sterowania.

- Pewnie terrorystów i rewolucjonistów - odparł Ntoko. - Spokojnie, chłopie. Dostało nam się łatwe zadanie. Połazimy po obiekcie przez sześć godzin i wrócimy do koszar. Nikomu nie stanie się krzywda.

- Myślałem, że będziemy robić coś więcej - przyznał Lawrence.

- Nigdy nie robimy nic więcej, synu - odparł radośnie Ntoko. - Plutony są tu tylko po to, żeby powstrzymać tego jednego postrzelonego anarchistę, który nie przejął się zastawem i strumieniem gamma. Wszyscy pozostali zaciskają zęby i odwalają swoją robotę. Może i nas nie lubią, ale nie sprawiają kłopotów.

- Czy często używamy strumienia gamma?

- Nigdy nie widziałem, żeby było trzeba. Wątpię, by kiedykolwiek do tego doszło.-  
Dzięki Losowi.

- To zwykła logika. Jeśli kiedyś dojdzie do sytuacji, w której trzeba będzie go użyć, to i tak będzie już po nas. Jeśli sprawy wyrwą się spod kontroli do tego stopnia, że trzeba będzie zabić pół miliona ludzi, żeby pozostali zaczęli nas słuchać, to w zasadzie nie będzie już sensu tego robić. Takie szaleństwo nigdy nie doprowadzi do niczego dobrego, co najwyżej spowoduje eskalację przemocy i zmniejszy nasze szanse na powrót do domu. Gdy tylko użyjemy strumienia gamma, mieszkańcy rzucają w nas wszystkim, co mają, byle tylko się zemścić. - Grube, opancerzone dłonie klepnęły w uda z ostrym brzękiem. - Tak czy inaczej, ja nie potrafiłbym wydać takiego rozkazu. A ty?

- Nie, sir - odparł z przekonaniem Lawrence.

- Jasne. Ale nadal będziesz musiał używać pistoletu rozbryzgowego na rozkaz.

- Na to jestem gotów, sierzancie.

- Dobry chłopak. Dobra, a teraz idźcie razem z Colinem i przeszukajcie dwa wschodnie bunkry. Upewnijcie się, że nie ma tam żadnych zbiegów próbujących umknąć przed zastawem. To całkiem prawdopodobne. Niektórzy ludzie po prostu nie mają zaufania do swoich współtowarzyszy. Smutne, ale prawdziwe.

Podążali dalej, przemierzając słabo oświetlone korytarze, skręcając w losowo wybranych miejscach. Ani podczerwień, ani detektory ruchu, ani filtry dźwiękowe - nic nie wykryło obecności innych ludzi.

- Kompletna strata czasu - burczał Colin na częstotliwości lokalnej. - Przecież tutaj nikt nie zdoła przeżyć z dala od miasta. A my mamy dokładny spis mieszkańców Manhattanu, zapisany w pamięci AS.

- Przestań narzekać. Pamiętasz, co mówił kapral. To łatwe zadanie.

- Tak, ale co nam potem wpiszą do akt? Chcę się załapać na jakąś operację, może nawet zarobić pochwałę.

- Uspokoisz się? Opanowanie całego Manhattan City bez oddania jednego strażaka to najlepsza operacja we wszechświecie. Właśnie za to dostaje się pochwały. Firma lubi, gdy wszystko idzie gładko.



- Może masz rację.

Rury biegnące nad ich głowami zaczęły bulgotać i drzeć, gdy znów popłynął nimi płyn. Przez cały ranek fabryka z wolna wracała do życia. Temperatura wzrosła nieznacznie, gdy maszyny przystąpiły do pracy. Nawet poprzez ochronne warstwy pancerza i mięśni czuli wibracje w ścianach i podłodze.

- Newton, Schmidt, do mnie! - rozkazał Ntoko. - Bunkier trzeci, sektor czwarty.

- Co się dzieje? - spytał Lawrence.

- Po prostu chodźcie tu. - Głos sierżanta zabrzmiał beznamiętnie.

Nie mogli biec. Gdyby poruszyli nogami za mocno, uderzyliby głowami prosto w sufit. Posuwali się zatem naprzód długimi krokami, wyciągając ręce w górę, by móc w każdej chwili odepchnąć się w stronę podłogi.

Gdy dotarli do bunkra numer trzy, Colin odbezpieczył karabinek.

- Zwariowałeś? - syknął Lawrence. - To broń na amunicję wybuchową. Przebija ścianę na wylot.

- Jesteśmy pod ziemią, Lawrence. Tutaj mogę zabić tylko wrogów albo skały.

- I rozwalić maszyny za miliard dolarów. - Lawrence wyjął własny pistolet rozbryzgowy, naładowany zatrutymi strzałkami. - Znasz politykę firmy. Aktywa mają priorytet.

- Zajebista polityka - burknął Colin i dorzucił kilka słów, które mikrofon w hełmie z trudem wychwytywał. Lawrence domyślił się, że to po niemiecku. Colin, ilekroć był w stresie, przechodził na swój rodzimy język. Potem przystanął, schował karabinek do kabury i wyjął maser.

Lawrence nie skomentował tego ani słowem. Postąpił naprzód i wejście do bunkra rozsunęło się przed nimi. Na wprost ciągnął się główny korytarz, przewody świetlne mrugały z dziwną, prawie hipnotyczną częstotliwością.

- Jesteśmy w bunkrze - zameldował Lawrence.

- Dobrze, a teraz zejście do nas.

HUD Lawrence'a wyświetlił plany bunkra numer trzy. Sektor czwarty znajdował się na końcu bocznego korytarza, osiemdziesiąt metrów dalej. Skierowali się w tamtą stronę.

- Myślisz, że to jakiś test bojowy czy coś? - spytał Lawrence. Wyłączył radio i mówił teraz bardzo cicho przez zewnętrzny głośnik.

- Nie jestem pewien - mruknął Colin. - Myślisz, że kapral wykręciłby nam taki numer?

- Nie wiem. Może chce tylko sprawdzić, jak zareagujemy.

- Gdyby chociaż powiedział, po co mamy tam iść...

- Może wzięli go do niewoli?
- E, nie wygłupiaj się!
- No co? To możliwe. Dlaczego...

Mikrofon Lawrence złowił nagle jakiś szelest. Detektor ruchu zarejestrował ruch cząsteczek powietrza wzdłuż głównego korytarza dokładnie za jego plecami. Obaj obrócili się gwałtownie, przykucając nisko, szukając celu bronią. Interfejs podczerwieni przeszukiwał ściany i podłogę w dużej rozdzielczości. Nie znalazł niczego.

- Co to, kurwa...

Lawrence przełączył się na bezpieczną częstotliwość.

- Czy ktoś jest z nami w bunkrze?
- AS nie autoryzował wstępu nikomu innemu. Czemu pytasz?
- Ktoś tu łązi.
- Zaczekaj chwilę.

Lawrence i Colin wyprostowali się, trzymając broń w pogotowiu.

- Może po prostu włączyła się jakaś maszyna? - zastanawiał się Colin. - Nie wiadomo, jak to może zadziałać na nasze czujniki.

- AS powinien to odfiltrować.

- Sprawdziłem w centrum sterowania - odezwał się Ntoko. - Wszyscy są na swoich miejscach. Lokalny AS przekazuje mi obrazy z czwartego sektora. Was widzę, ale poza tym nie ma tam nikogo.

- Myśleliśmy, że to może maszyny ogłupiają nasze czujniki - podsunął Lawrence.

- W porządku. Miejcie oczy otwarte. I nastawcie i-p na średnią rozdzielczość, wysoka daje czasem dziwne efekty.

- Tak jest.

Przeszli bocznym korytarzem bez żadnych niespodzianek i ruszyli dalej. Drzwi przy końcu pomieszczenia były otwarte. Lawrence nie widział wewnątrz nikogo. Była to kolejna komora pełna czarno-srebrnych urządzeń - majestatyczna instalacja, jakby wzięta wprost z siłowni statku parowego. Z przewodów sączył się jakiś gaz. Z każdym krokiem zgiełk przybierał na sile.

Nagle w drzwiach ukazała się postać w pancerzu.

- Cześć, chłopaki! - zawołał Meaney. Pomachał do nich. Coś poruszyło się za jego plecami, przysłaniając światło.

- Padnij! - wrzasnął Lawrence. Wraz z Colinem wysunęli przed siebie broń. HUD wyświetlił celownik.

Meaney zamarł w drzwiach. Sięgnął do karabinka zawieszzonego przy pasie. Ciemny kształt zakołysał się za nim, odsuwając się od światła. Potem zniknął, wślizgując się pomiędzy zwoje rur i zaworów.

- Za tobą! - wrzasnął Colin.

- Co... - Meaney już się odwracał. Karabinek miał do połowy wysunięty z kabury. Lawrence z Colinem już biegli w jego stronę, AS zmieniał nachylenie mięśnioskieletu, musieli pochylać się ostro do przodu, aby zachować równowagę w niskiej grawitacji.

- Gdzie on jest?

- Tam, w tej dziurze!

Lawrence podskoczył ostrożnie, trzymając przed sobą pistolet i celując w metalową szczelinę, gotów w każdej chwili wystrzelić. Czujniki zbadały otwór. Zielone zabarwienie obrazu w i-p wskazywało na to, że to tylko zwykły zakamarek pełen poskręcanych przewodów i kabli. W podczerwieni niektóre z rur świeciły na różowo.

Lawrence poluzował uścisk na broni i wylądował na piętach.

- Cholera! Zgubiłem go.

Wyświetlacz HUD rejestrował przyspieszoną pracę serca. W uszach słyszał szum adrenaliny. To było zbyt skomplikowane jak na zwykły test bojowy. Próbował przypomnieć sobie szkolenia dotyczące poruszania się w terenie wroga. Bądź podejrzliwy. Zawsze.

- Co wy, kurwa, wyprawiacie? - wykrzyknął Meaney.

- Rany boskie, naprawdę nie widziałeś?! - zdziwił się Colin. - Był tuż za tobą. Czujniki ci nawalają czy co?

Karabinek Meaneya zatoczył półokrąg, wskazując na krawędź maszyny.

- Co było za mną?

- Nie wiem. Coś tam siedzi.

- Gdzie?

- Jezu, co się dzieje z twoimi czujnikami?

- Nic się, kurwa, nie dzieje.

- A zatem musiałeś go widzieć!

- Co musiałem widzieć?

Ntoko wynurzył się z przejścia pomiędzy wysokimi urządzeniami. W prawej ręce trzymał pistolet rozbryzgowy.

- No dobra, bystrzaki. Co tu widzieliście?

- Nie jestem pewien, panie kapralu - przyznał Lawrence.

- Wydawało mi się, że coś się rusza za plecami Meaneya.

- Moje czujniki nic nie zarejestrowały - dodał Meaney.

- Coś? - powtórzył Ntoko. - Człowiek czy robot?

- Hm, siedziało na górze i było raczej małe - odparł powoli Lawrence, próbując przypomnieć sobie ten niewyraźny cień.

- Nie poruszało się jak robot - dodał Colin. - Było szybkie.

- To mógł być szczur - zauważył Ntoko.

- Szczur? - zdziwił się Lawrence. - A po co Kaba miałaby importować szczury, zwłaszcza na Floyda? Przecież nie są pożyteczne.

- Nikt ich nie importuje, synu. Same się zabierają na stopa - wyjaśnił Ntoko. - Znajdziesz je wszędzie tam, gdzie są ludzie. Sprytne małe skurczybyki, a do tego strasznie zajadłe.

- Na Amethi ich nie ma.

- Nie? No to mieliście dużo szczęścia. Ustaw AS tak, żeby bez przerwy monitorował okolicę pod kątem ruchu małych obiektów. Jeśli ktoś coś zobaczy, macie mnie natychmiast informować. Jasne?

- Tak jest, panie kapralu.

- Dobrze. A teraz chodźcie ze mną. - Skierował się z powrotem do przejścia, którym nadszedł.

- Co pan tu znalazł, kapralu? - spytał Colin, spiesząc za nim.

- Kurz.

- Kurz?

- Tak. Ale nie taki, jak trzeba.

Nie po raz pierwszy Lawrence żałował, że w mięśnioskielecie nie da się wzruszyć ramionami. Tajemnicze cienie zdenerwowały go wystarczająco, a teraz jeszcze kapral twierdził, że sprowadził ich tu w innym celu. Nie mógł się uspokoić. Ktoś ich śledził, był tego zupełnie pewien. Ntoko poprowadził ich w stronę otwartej przestrzeni na końcu alejki maszyn, gdzie czekał na nich Kibbo. Po drugiej stronie maszyny znajdowały się dwa wielkie cylindryczne zbiorniki osadzone w betonowej ścianie. Czubek cylindra, obok którego stał Kibbo, miał pięć metrów wysokości, w ściankach wyraźnie widać było linie, gdzie zespawano metalowe płyty. Rant przymocowano do zbiornika masywnymi śrubami wielkości pięści.

Ntoko przykucnął i gestem przyzwał do siebie Lawrence'a i Colina. Wskazał na podłogę.

- Widzicie?

Lawrence zwiększył czułość wzmacniacza światła, wiedząc, że powinien spodziewać się jakiejś anomalii. Szara betonowa podłoga pociemniała od upływu czasu i plam po chemikaliach. Rowki i drobne otwory pokrywał kurz. Zmniejszył zbliżenie. Do zbiornika prowadziła jaśniejsza ścieżka. Kółka i stopy musiały poruszać się tędy regularnie. Spojrzał na drugi zbiornik, ale kurz rozkładał się tam równomiernie.

- No i? - spytał ostrożnie. - Pewnie go ostatnio konserwowali.

- Popatrz w podczerwieni - poradził łagodnie Ntoko.

Zbiornik, do którego prowadziła ścieżka, był o pięć stopni cieplejszy niż drugi.

- Właśnie to nas zastanowiło - wyjaśnił Ntoko. - Zgodnie z wykazem przedstawionym przez AS fabryki, oba mają w środku ten sam płyn.

- A zatem co...

Tym razem wszystkie czujniki zarejestrowały ruch. Jednocześnie obrócili się w stronę obiektu, z bronią gotową do strzału. A jednak wbrew szkoleniom i podszeptom instynktu, nikt nie strzelił.

Pośród maszynierii, trzy metry nad podłogą, wypełził obcy. Zawisł na przewodach i wspornikach, aż ustawił się całkiem poziomo. W pierwszym odruchu Lawrence poczuł rozczarowanie. Kosmita wyglądał zupełnie niepozornie. Był wielkości owczarka alzackiego, miał sześć (a może osiem - nie było widać) pajęczych odnóży zginających się prawie w pół w stawie kolanowym, zakończonych małymi zrogowaciałymi kleszczami. Łuskowata skóra, pokryta lekkim meshem, miała barwę brudnej oleistej tęczy. Jediną anomalię, prawdziwą oznakę obcości, stanowiły oczy, a raczej to, co można było za nie uznać: czarne, połyskliwe wypustki po bokach, nieustannie prężące się i kierujące w różne strony. Miał też coś w rodzaju głowy: na jednym końcu korpusu widniała bulwiasta narośl, przecięta wąskim otworem.

Na wszystkich kończynach nosił opaski przypominające plastikowe bransoletki, włożone tuż przy stawach. Zdawały się połączone z tkanką jego ciała.

- Ogłaszam ogólny alarm - oznajmił spokojnie Ntoko.

- Zgłóście się, operacyjni, mamy tu kontakt. Operacyjni?

HUD Lawrence'a błyskał czerwonymi ikonami; lokalne przekaźniki sieciowe padły. Nie zwracał na to uwagi. Z maszynierii wyczołgał się kolejny obcy.

- Tam w górze - zaskrzeczał Meaney.

Po suficie ponad ich głowami szedł kolejny obcy. Jego kończyny chwyciły przewody szczypcami, niemal bez wysiłku.

Obce istoty miały osiem kończyn, Lawrence w końcu dostrzegł to wyraźnie. A zatem

nic ziemskiego. Spoglądał na stwory z mieszanką zdumienia i podziwu. Bransoletki stanowiły produkt bardzo wysoko rozwiniętej technologii. A zatem były rozumne! Właśnie miał nawiązać pierwszy kontakt z rozumnymi kosmitami!

To właśnie o takiej chwili marzył przez całe swoje życie. Zaśmiał się cicho, nerwowo, nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Szybko zabezpieczył pistolet, a potem kazał AS odszukać zasady pierwszego kontaktu. Musiały być gdzieś w pamięci.

- Panie kapralu, co robimy? - spytał Colin nerwowo, niemal piskliwie. Cofał się w stronę zbiornika, celując z broni w pierwszego kosmitę.

- Po prostu stój...

Najbliższy kosmita wysunął kończynę. W szczypcach trzymał maser o zdecydowanie ludzkiej konstrukcji. Lawrence wpatrywał się w niego tępo.

- To przecież...

Obcy wystrzelił. HUD Lawrence'a natychmiast wyświetlił schemat jego własnego pancerza. Czerwone ikonki tłoczyły się jak rozwścieczone osy, wskazując miejsca trafienia. Boczniki nadprzewodzące niemal się przepaliły, próbując rozproszyć energię.

- Ruszać się!

Lawrence rzucił się na bok, próbując wyrwać się z wiązki masera. Gwałtowny ruch uniósł go aż pod sufit. Gdy miotał się w panice, gdzieś w dole ktoś otworzył ogień z broni automatycznej, pociski wbijały się w beton i metal. Światła zgasły. Lawrence spadł na ziemię i odbił się prawie na metr. HUD poinformował go, że wiązka masera już go nie sięga. Zamachał bezsensownie pistoletem.

Pomieszczenie rozświetlał błysk z luf dwóch karabinków. W migającym żółtawym świetle rozwinęły się wielkie pióropusze pary, wydobywającej się z piskiem z przewodów. Ze szczelin wypełzało coraz więcej obcych. Dwóch taszczyło minigatlinga.

- O, kurwa! - Lawrence przetoczył się, rzucił pistolet i sięgnął po karabinek.

- Ilu? - wrzasnął Kibbo.

- Gdzie?

- Co się stało ze światłami?

W kłębach pary czujnik ruchu Lawrence'a był już bezużyteczny. W gęstniejącej zupie nawet wiązka podczerwieni z trudem znajdowała cele. I-p po prostu podświetlał kłęby mgły na jaskrawozielony kolor. Błysnęła kolejna ikonka i rozległ się dźwięk ostrzegający przed wzrastającym poziomem toksyn w atmosferze pomieszczenia.

Otworzył ogień z karabinka, wyrzucając w ciemność pociski wybuchowe. Odgłos detonacji był stłumiony przez ciężkie opary, ostry błysk zmienił się w białą poświatę.

Widoczność spadła do pięćdziesięciu centymetrów i nadal spadała.

- Wstrzymać ogień.

Lawrence skierował karabinek w stronę, z której nadchodzili obcy z minigatlingiem, i wystrzelił dwadzieścia pocisków.

- Przynieśli ciężką artylerię, kapralu! - krzyknął, czując, jak broń wibruje mu w rękach. W całym bunkrze eksplodowały pociski. Ktoś inny strzelał z broni strzeleckiej. Lawrence poczuł, że jakiś pocisk wbija mu się w pancerz, tuż pod piersią z prawej strony. Impet uderzenia wyrzucił go w górę, aż zawirował w powietrzu. Czerwone i pomarańczowe ikony kreśliły wokół niego kręgi ochronne, niczym stado holograficznych ptaków. Ból przeszył twardą powłokę i mięśnioszkielet i wniknął w żebra.

Z kanału radiowego dobiegały ogłuszające wrzaski i ochryple rozkazy. Nic już nie miało sensu. Lawrence wylądował na plecach, a impet zderzenia pozbawił go na chwilę tchu. Puścił karabinek. Coś poruszyło się pod jego nogą, wijąc się gorączkowo, rozpychając kolana. Nagły szok sprawił, że na chwilę zapomniał o bólu. Odwrócił się szybko i schylił, by chwycić to coś, co wlało mu między nogi.

Straszliwy ból wgrzył mu się w mięsień tuż ponad kolanem. Ikony ostrzegawcze informowały, że przecięto zarówno pancerz, jak i mięśnioszkielet. Dłonie z głuchym warczeniem dotknęły czegoś szerokiego, mózg Lawrence'a podpowiadał, że obiekt jest tej samej wielkości co ciało obcego. Poprzez kłęby pary dostrzegał smugę podczerwieni. Obcy trzymał ostrze elektryczne. Lawrence rzucił się naprzód i wyrwał broń z trzymających je kleszczy. Zobaczył, jak kończyna obcego łamie się szarpnięta, wziął głęboki oddech i wyprowadził cios prosto w korpus, wkładając w to całą siłę mięśnioszkieletu. Opancerzona pięść przebiła skórę stwora, miażdżąc organy wewnętrzne.

- Sufit! - ryknął Ntoko. - Przestrzel sufit! Pociski wybuchowe. Teraz!

Seria pocisków walnęła w betonowe sklepienie nad głową Lawrence'a. Jego zniszczony pancerz aż zaskrzypiał pod naporem fali uderzeniowej. Pomacał ręką podłogę, szukając własnego karabinku. Znów dostał wiązką z masera, aż czerwone symbole zatańczyły mu przed oczami. Przetoczył się z wysiłkiem na bok. Powietrze w górze przeszywały pociski z broni strzeleckiej. Jakaś galaretowata maź zalewała betonową posadzkę, oblepiając pancerz.

Odnalazł ciało obcego, przy którym upuścił broń, i przetoczył się na plecy. Z mgły wypadały ciężkie kawały betonu, poruszając się jak w zwolnionym tempie, rozbryzgując na bok gęstą maź.

- Co robimy? - spytał Meaney. - Czemu one jeszcze żyją?

Lawrence załadował kolejny magazynek. Sam miał zadać to pytanie.

- Wyłom w bunkrze - odparł Ntoko. - Zamierzam wysadzić tę dziurę i tych obcych synów prosto w kosmos.

Lawrence znów otworzył ogień. Prócz huku pocisków słyszał coraz głośniejszy piskliwy gwizd.

Nagle chemiczna mgła zrzędała, a gwizd zmienił się w udęczone wycie. Poprzez opary do środka wpadł promień światła. I-p Lawrence'a włączył filtry. Zmienił cel, pozwalając, aby pociski poszerzały szczelinę otwierającą się w suficie. Wielki, poszarpany kawał betonu wyleciał w górę, niesiony rozszerzającą się atmosferą gazową bunkra. Reszta gazu poleciała nad nim, porywając za sobą Lawrence'a. Koziółkował w powietrzu w absolutnej ciszy.

Do bunkra wpadło jaskrawe światło słoneczne, ukazując pobojuwisko. Gęste szeregi maszyn były kompletnie zniszczone, rury popękane, podzespoły rozerwane na strzępy. Z ich wnętrzości wciąż tryskały strumienie płynów i gazów, tworzyły wysokie pióropusze, po czym znikwały. Z metalowych kłów zwisało kilka trupów obcych. Wszyscy oberwali pociskami, ich śniade ciała były zmasakrowane.

- Dalej, operacyjni, mamy tu sytuację awaryjną - ponaglił Ntoko. - Proszę o natychmiastowe posiłki. Nieprzyjaciel otworzył ogień.

AS Lawrence'a potwierdził, że po otwarciu sklepienia znów udało się nawiązać komunikację. Z trudem dźwignął się na nogi, gdy operacyjni zaczęli przesłuchiwać Ntoko. Krew ciekła mu z kolana, gdzie wbiło się ostrze energetyczne. Pocieszał się, że większość pochodziła z mięśnioskieletu. Przy każdym ruchu czuł nowe paroksyzmy bólu. Dostrzegł pęknięcia w pancerzu, zewnętrzną powłokę pokrywały ślady spalenizny.

- O, szlag - jęknął boleśnie.

- Wygraliśmy! - wrzasnął Kibbo, w jego głosie zabrzmiał histeryczny ton. - Pobiliśmy tych skurwieli!

- Co to było? - spytał w osłupieniu Colin. - Skąd oni się wzięli?

- Ja pierdolę, chłopaki - zatchnął się Meaney. - Właśnie stoczyliśmy pierwszą wojnę międzygwiazdową.

- I wygraliśmy! Skopaliśmy im dupy, co?

- Jeszcze jak! Teraz już nie podskoczą naszemu plutonowi!

- Nie rozumiem - stwierdził Lawrence. - Co to miało być? Dlaczego do nas strzelali?

- A kogo to obchodzi? - odparł beztrąsko Meaney. - Rządzimy! - zawył tryumfalnie, unosząc ręce w zwycięskim geście. Potem zamarł. - O, kurwa!

Lawrence spojrzał w górę. Wokół wyrwy w dachu kłębili się obcy. Ich przednie kończyny ostrożnie macały osmalony beton. Kilku już wpełzło przez otwory, chwytając się



powykręcanych wsporników. Odpalili masery. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, mierząc z karabinków w skraj otworu.

- Kryć się! - rozkazał Ntoko. Poprowadził ich w stronę rzeżącej maszynerii, ani na chwilę nie przerywając ognia.

- To tubylcy - domyślił się Lawrence. - Nie potrzebują skafandrów, by przeżyć. Muszą być miejscowi.

- Wielka mi, kurwa, rzecz! - wrzasnął Meaney. - Czym żeśmy ich tak wkurzyli? - dodał, po czym zniknął za przysadzistym fragmentem instalacji.

- Odebraliśmy im ziemię i kobiety - odparł poważnie Lawrence.

- Dzięki, Lawrence, bardzo cenne spostrzeżenie! - wrzasnął Kibbo. - Czego chcą te kosmiczne paskudy?

Colin wystrzelił całą serię w popękany sufit, rozrywając beton i kosmitów po równo.

- Niech to, kurwa, szlag! Nie wysadziliśmy ich w powietrze. Po prostu wpuściliśmy ich do środka!

Beton i strzępki mięsa spadały w dół jak deszcz.

- Koniec ognia ciągłego - zarządził Ntoko. - Trzeba oszczędzać amunicję. Teraz ich zdejmijcie.

Lawrence wskoczył w pobliską niszę i uniósł karabinek. Celownik nakreślił wyraźne fioletowe linie na zrujnowanym stropie. Przełączył się na ogień pojedynczy i namierzył kosmitę. Jeden strzał wystarczył, by rozerwać go na strzępy. Jak na agresorów, były niezwykle delikatne. To wszystko nie miało żadnego sensu.

- Kiedy nadciągnie kawaleria, sierzancie? - spytał Colin.

- Lada chwila. Trzymaj się, chłopie.

Po raz pierwszy w życiu Lawrence zaczął się modlić. Wtulił się jeszcze głębiej w zbyt małą wnękę, zastanawiając się, czy Bóg, w którego nie wierzył, może mu się na coś przydać. Tak czy inaczej, modlitwa nie powinna zaszkodzić.

\*\*\*

Simon Roderick nie spodziewał się, że trafi podczas misji na Floyda. Z punktu widzenia Z-B księżyc stanowił tylko niewielki ośrodek przemysłowy, który łatwo było opanować i ogołocić z zasobów. Przynajmniej tak zakładano podczas planowania. Teraz założenia zmieniły się drastycznie. W rezultacie Simon musiał przecierpieć podróż w niskiej grawitacji i niewygodnym skafandrze.

Jak się okazało, te przeklęte urządzenia nie ulepszyły się ani na jotę, odkąd korzystał z nich przed ośmiu laty. Wewnętrzna powłoka trzymała jego ciało w stalowym uścisku, a

okrągły hełm dmuchał mu w twarz suchym, martwym powietrzem, aż łzawiły oczy. Plecak był za ciężki, co na Floydzie przekładało się na nadmierną bezwładność.

Prawie uległ pokusie, by pójść za przykładem swoich trzech towarzyszy i włożyć mięśnioskielec. Jednak nigdy nie mógł się zdecydować, które z tych urządzeń stanowi mniejsze zło.

Jego eskorta została na zewnątrz, podczas gdy on wszedł do śluzy fabrycznej. Po zakończeniu cyklu opuścił ją i znalazł się w ponurym betonowym korytarzu, w którym czekał na niego komitet powitalny. Sześciu żołnierzy w pełnych mięśnioskielec, niosących kilka sztuk eleganckiej i niebezpiecznie wyglądającej broni. Towarzyszyli im major Mohammed Bibi, dowódca operacji na Floydzie, i Iain Tobay z wywiadu Trzeciej Floty, a także dr McKean i dr Hendra z działu biomedycznego Z-B.

Gdy AS w skafandrze Simona potwierdził, że atmosfera w fabryce nadaje się do oddychania, mężczyzna rozszczelnił hełm.

- Czy spodziewamy się jakichś dalszych kłopotów? - spytał lekko, nie spuszczać wzroku z wyprężonych na baczność żołnierzy.

- Nie, sir - odparł Bibi. - Z drugiej strony, nie spodziewaliśmy się nawet tego incydentu.

Simon skinął głową z aprobatą. Po niespodziewanej walce major prawdopodobnie wykazywał nadmierną ostrożność, ale był to rozsądny krok.

Ruszyli naprzód, podążając identycznymi korytarzami w kierunku sekcji czwartej. Gdy tylko odsunęły się przed nimi stalowe drzwi, powietrze natychmiast się zmieniło. W miejsce standardowej mieszanki tlenowo-azotowej pojawiła się gęsta chemiczna zupa, ostro pachnąca amoniakiem. Simon zmarszczył nos z niesmakiem, co nie uszło uwagi dr. McKeana.

- Po jakimś czasie można się przyzwyczać. Dostawiliśmy dodatkowe filtry powietrza, ale uszkodzone maszyny nadal emitują trochę gazów.

- Rozumiem - odparł Simon. Wcale nie musiał tego wiedzieć. Technicy zawsze przesadzali z objaśnianiem wszystkiego.

Idąc wzdłuż alejki obrzeżonej maszynami, dostrzegał wokół coraz wyraźniejsze ślady walki. Spod urządzeń wypływał gęsty ciemny płyn, a zapach wciąż się potęgował. Metalowe części były wygięte i powykręcane, niczym wyrwane kły poczerniałe od gorąca. Na otwartej przestrzeni po drugiej stronie przejścia zobaczył, że skomplikowane urządzenia zmieniono tu w stertę złomu.

Wyrwę w suficie przysłonięto tymczasowymi plastikowymi osłonami, wokół unosił

się ostry zapach sztucznych żywic. Poprzez osłony wpadało światło słońca, zabarwione na różowo.

Zbiornik, który wywołał takie kłopoty, stał teraz otworem. Duża pokrywa została odchylona w tył na grubych hydraulicznych tłokach, niczym wejście do ogromnej skrytki bankowej. Ze środka wysunęła się rampa. Kilku pracowników Z-B uwijało się wokół, pomagając usunąć zniszczenia i pchając wózki ze sprzętem w górę i w dół pochylni.

Simon zobaczył, że kilku z nich porusza się powoli i ostrożnie, jakby coś ich bolało. Wywołał ich pliki przez swój DNI. Meaney i Newton. Obaj brali udział w strzelaninie i obaj zostali ranni, więc przydzielono ich do lżejszych (nie bojowych) zadań. Simona zainteresowało nietypowe pochodzenie Newtona.

- Jak idzie? - spytał żołnierzy.

Newton wyprostował się nad ruchomym filtrem powietrza i zasalutował. Pospiesznie zerknął na majora Bibi.

- Dobrze, sir. Dziękuję, sir - odparł.

- Tak, sir - dodał Meaney.

- Dobrze się spisaliście - ciągnął Simon. - Mięsnioszkielety nie są skonfigurowane do walki bezpośredniej.

- To dobre systemy, sir - odpowiedział Newton. Nieco się odprężył, widząc, że nikt nie zamierza mieć do nich pretensji.

- Czy ma pan jakieś sugestie w związku z wykorzystywaniem ich do walki?

- Lepsza integracja sensorów na pewno by pomogła. Może po prostu przydałyby się lepsze sensory. Odkąd AS otworzył zawory gazowe, działaliśmy na ślepo, te opary zupełnie ogłupiły i-p i czujniki ruchu.

- Musiało być wam ciężko.

- Kapral Ntoko wiedział, co robić, sir. Dzięki niemu trzymaliśmy się razem. Ale jest tak, jak pan mówi, Gdybyśmy walczyli z poważnym przeciwnikiem, mielibyśmy niezłe kłopoty.

- Rozumiem. Cóż, dziękuję za pańską opinię. Zobaczę, co da się zrobić, choć oczywiście nie spodziewam się, że projektanci posłuchają skromnego urzędnika. Nie mają nas w wielkim poważaniu.

- Ale to pan im płaci, sir. To akurat mają w poważaniu.

Simon uśmiechnął się szeroko.

- Owszem. - Gestem wskazał na ciało obcego przykryte niebieską polietylenową płachtą. - Pierwszy kontakt z obcą formą życia, Newton?

- Tak, sir. Wielka szkoda, że odbył się akurat w takich warunkach. Przez chwilę myślałem, że to prawdziwi kosmici.

- Prawdziwi? Mam wrażenie, że trudno o coś prawdziwszego niż to tutaj.

- Miałem na myśli istoty rozumne, sir. To prawdziwa zbrodnia. Wyposażono i zaprogramowano ich jak jakieś automatyczne manipulatory.

Simon poczuł lekkie zaskoczenie, widząc idealistyczny gniew tego młodego człowieka. Tylko młodzi mogli sobie pozwolić na tak radykalne poglądy. Nic dziwnego, że Newton zbuntował się przeciw swojej rodzinie.

- Chyba tak. Czy był pan już w zbiorniku?

Twarz Newtona ściągnęła się z dezaprobatą.

- Tak, sir.

- Ach, a zatem moja kolej.

- Sir?

- Tak?

- Czy zostaną ukarani?

- Kto?

- Oni... ludzie, którzy dręczyli kosmitów.

- Ach, rozumiem. Cóż, Newton, musi pan zrozumieć, że wprawdzie naszym obowiązkiem jest egzekwowanie lokalnego prawa, ale z drugiej strony, sami musimy go przestrzegać. Dzięki temu możemy legalnie przejmować aktywa, ponieważ działamy w ramach prawnych przewidzianych przez miejscowy system. Nawet jeśli tubylcy nie lubią się do tego przyznawać. Jedno, czego nie wolno nam robić, to narzucać tubylcom zewnętrznego prawa. Jeśli ich konstytucja twierdzi, że wolno sypiać z własną siostrą, to zezwalamy im na to. Niestety, mimo iż przeprowadzanie eksperymentów na zwierzętach i obcych zostało zdelegalizowane w większości krajów na Ziemi, tu jest inaczej.

- Chce pan powiedzieć, że ci ludzie nie zrobili nic złego?!

- Wręcz przeciwnie. Przypuścili atak na członków służb porządkowych podczas pełnienia obowiązków.

- A zatem co się z nimi stanie?

- Niedługo podejmę stosowną decyzję.

Wchodząc po rampie, Simon przystanął na chwilę i spojrzał na kolejnego zakrytego płachtą trupa.

- Czy zdołaliście się czegoś o nich dowiedzieć? - spytał McKeana.

- Niewiele - przyznał naukowiec. - To rdzenni mieszkańcy Floyda. Ssaki. Pod

względem organizacji społecznej stanowią coś pomiędzy stadem a rojem. Ich procesy fizjologiczne zwalniają na czas nocy, gdy temperatura spada. Żywią się wellśówką, ściśle rzecz biorąc, około dziewięćdziesięciu procent czasu spędzają na poszukiwaniu pokarmu. To wszystko.

- A zatem nie są rozumne?

- Nie, sir. Próbuje znaleźć jakieś dane w pamięci Manhattan City, ale jak na razie nie natrafiliśmy na żaden ślad. Najprawdopodobniej informacje zostały starannie zaszyfrowane. Z całą pewnością nikt na Ziemi nie wie o istnieniu takich stworzeń. Co jest dość zaskakujące. Z punktu widzenia ksenobiologii trudno przecenić wagę tego odkrycia. Kaba powinna była to ogłosić w chwili pierwszego napotkania tych stworzeń.

- Ziemski zarząd Kaby prawdopodobnie nie został o niczym poinformowany - stwierdził Simon. - Nie odkrywa się dobrej ręki podczas gry w pokera, doktorze.

Ruszył w górę rampy, w ślad za majorem Bibi. Wnętrze zbiornika zostało podzielone na dwa poziomy, z których każdy podzielono na kilka sekcji. Przypominał trochę bunkier przeciwoatomowy.

„Całkiem niezła analogia”, pomyślał Simon. Personel fabryki rzeczywiście dbał o bezpieczeństwo.

- Zakładam, że usunęliście pluskwy? - zwrócił się do majora Bibi.

- Tak, sir. Kazałem technikom przeszukać to miejsce pod kątem zabezpieczeń fizycznych, a AS fabryki został odizolowany. Wiemy, że współuczestniczył w ataku na żołnierzy, choćby dlatego, że otworzył zawory. Nasz własny AS analizuje teraz jego kod, linijka po linijce, żeby zobaczyć, jakie procedury tam zapisano. Podejrzewamy też, że dyrygował ruchami obcych. Wypuściłem też wymazowce do puli danych, by upewnić się, że nie zostały tam jakieś ukryte podprocedury. Ale to dużo obwodów do sprawdzenia, zwłaszcza w instalacji przetwórczej. Powinno się zakończyć za jakieś dziesięć godzin.

- A co z AS w Manhattan City?

- Zdecydowanie miał z tym coś wspólnego. Wymazanie go będzie trudniejsze, bo nadzoruje sporo różnych urządzeń w mieście, w tym system podtrzymywania życia. Jak dotąd zainstalowaliśmy tylko limiter i monitorujemy programy działające w puli danych.

- Dobrze. - Zatrzymali się przed ciężkimi opancerzonymi drzwiami. Po jednej stronie umieszczono skomplikowany zamek analizujący DNA, ale drzwi były lekko uchylone.

W środku znajdował się sprzęt medyczny ustawiony w wysokie kolumny. Osiem takich stosów otaczało środek podłogi.

Na każdym z nich umieszczono kulę z matowego plastiku o szerokości pięćdziesięciu

centymetrów. Wystające z nich kable i wąskie rurki znikwały we wnętrzościach stosu na różnych poziomach. Pięć z nich było zupełnie nieruchomych, podczas gdy pozostałe trzy szumiały i warczały cicho. W różnych miejscach mrgały różnokolorowe diody. Kilku techników Z-B krzątało się, rozbierając jedną z milczących kolumn. Dr Hendra gestem nakazał im wyjść. Posłuchali go bez słowa.

Simon stanął przed pierwszą aktywną kolumną, wpatrzony w plastikową kulę.

- Jakie jest pańskie zdanie na temat realności tej procedury, doktorze?

- Och, jest niezwykle realna. Szczerze mówiąc, jest znacznie bardziej efektywna niż techniki odmładzające stosowane na Ziemi.

- Naprawdę? Sądziłem, że to Ziemia prowadzi w tej dziedzinie.

- To prawda. Ale w-wpisanie całego ludzkiego ciała jest niezwykle skomplikowane. Trzeba wprowadzić nowe geny do każdej komórki każdego narządu, każdego naczynia krwionośnego, że już nie wspomnę o skórze. Geny muszą być idealnie dopasowane do miejsca przeznaczenia. Najlepsze wyniki, jakie dotąd osiągamy, to zrewitalizowanie każdego narządu w dwudziestu, trzydziestu pięciu procentach. Wystarczy, aby dostrzec poprawę, ale ogółem jest po prostu za dużo komórek, by zrewitalizować wszystkie. Dlatego też nie ma sensu przeprowadzać zabiegu więcej niż trzy razy. Rozbijamy się o prawo malejących przychodów.

- Zależy, w jakim wieku jest pacjent, gdy przechodzi pierwszy zabieg - mruknął Simon.

Dr Hendra wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Ale to raczej niespotykane, by poddawać się kuracji przed sześćdziesiątką. W dzisiejszych czasach znacznie wydajniejsze jest dokonanie w-wpisu somatycznego w celu opóźnienia procesu starzenia. Gdy człowiek ma tylko dziesięć komórek wysokości, wszystkie te nowe, lśniące ulepszone geny można w niego wpasować bezbłędnie.

Simon uśmiechnął się z wyższością.

- Oczywiście. - Akta dr. Hendry wskazywały na to, że on sam przyszedł na świat po poddaniu takiej procedurze, co, biorąc pod uwagę możliwości inżynierii genetycznej tamtych czasów, dawało mu oczekiwaną długość życia rzędu stu dwudziestu lat. Jego rodzice byli udziałowcami Z-B, pracowali na średnim szczeblu kierowniczym. Mieli szczęście, że zakwalifikowali się do tej procedury. Teraz, oczywiście, była ona dostępna dla każdego udziałowca, niezależnie od wielkości udziałów. Kolejna zachęta, aby zainwestować swoje życie w Z-B i jeden z powodów, dla których byli największą firmą na Ziemi i nie tylko.

- A jednak uważa pan tę konkretną procedurę za szczególnie wydajną?

- Istotnie. - Dr Hendra wskazał na plastikową kulę na szczycie stosu. - Po odizolowaniu mózgu można naprawić co najmniej osiemdziesiąt pięć procent struktury neuronów. I nie trzeba się przejmować naprawianiem czegokolwiek innego. Dlatego ta technika pozwala na optymalne skoncentrowanie zasobów. Odmładza się wtedy tylko jeden rodzaj komórek, choć, oczywiście, też występują one w różnych wariantach.

Simon użył DNI do zaktywowania systemu komunikacyjnego kolumny.

- Dzień dobry, dyrektorze Zawolijski.

- Dzień dobry, prokurencie Roderick - odpowiedział mózg.

- To bardzo niegrzeczne strzelać do naszych żołnierzy.

- Przepraszam. Moi koledzy i ja jesteśmy bardzo utwierdzeni w swoich przekonaniach. Wtargnięcie waszego oddziału trochę nas zaskoczyło. Kapral odkrył ten zbiornik. Chyba nie zaskoczę pana, jeśli powiem, że wolelibyśmy nie rozpowiadać o tym aspekcie życia zarządu?

- W istocie. Czy obejmuje to również zarząd waszej nowej spółki macierzystej?

- Oczywiście, że nie. Podkreślam tylko, że nie chcemy rozgłaszać tego na szerszą skalę. Koszt społeczny takiego przedsięwzięcia mógłby zostać uznany za niedopuszczalnie wysoki, przynajmniej przez pewne ludzkie facje.

- To bardzo pocieszające. Zarząd firmy, którą reprezentuję, byłby bardzo wdzięczny za pełen raport techniczny.

- Myślę, że nie będzie z tym problemu.

Osobisty AS Simona przez cały czas analizował połączenia Zawolijskiego z pamięcią podręczną puli danych w Manhattan City. Mózg niechętnie dopuścił obecność próbników i udzielił dostępu do zablokowanych sektorów pamięci. Przed oczami Simona rozwinął się plik. Tekst barwy indygo wykwitł wokół jednego obrazu w pełnym spektrum barw. Były to akta policyjne dotyczące niejakiego Duane'a Aldena, rozpoczynając od aresztowania za kradzież w sklepie, kradzież samochodu i czynną napaść. Z upływem lat szybko pojawiły się inne zarzuty: posiadanie narkotyków, włamanie, rozbój, wymuszenia i w końcu - morderstwo. To ostatnie było zresztą konsekwencją nieudanego napadu pod wpływem narkotyków. Cały ten epizod został nagrany na kamerze monitoringowej. Sprawa sądowa trwała dokładnie trzy dni. Miesiąc później odrzucono apelację skazanego. Termin jego egzekucji wyznaczono za dwa tygodnie, miesiąc po jego dwudziestych pierwszych urodzinach. Kolejne trzy tygodnie spędził na oddziale szpitalnym więzienia, gdzie lekarze poddali go starannemu detoksowi, jednocześnie wprowadzając ostry reżim zdrowotny. Duane z początku się opierał, ale strażnicy zawsze potrafili wymusić posłuszeństwo, nawet wśród najbardziej zatwardziałych

recydywistów. Jego prawnik złożył skargę na „okrutne traktowanie”, ale bez większego przekonania.

Patrząc na holograficzny obraz nagiego Duane'a Aldena, który zdawał się unosić w powietrzu pomiędzy nim a mózgiem w słoiku, Simon nie potrafił znaleźć innego określenia niż „złoty chłopiec”. Ciało Duane'a było nieskazitelne i zdecydowanie przystojne.

- Jak się domyślam, to właśnie pańskie nowe ciało - zagaił.

- Tak - przyznał Zawolijski. - Imponujący, prawda?

O kilka centymetrów wyższy niż mój poprzedni. A ta twarz... taka zdecydowana, odważna. Jestem pewien, że panie to docenią.

- Tak z ciekawości: ile ma pan lat?

- Dwieście osiem lat według rachuby ziemskiej.

- A to ciało będzie mieć numer...?

- Mój piąty zamiennik. Pozostałem w oryginale aż do sześćdziesiątki.

- Nowe ciało co trzydzieści lat. To dość ekstrawaganckie.

- Nie do końca. Od dwudziestki do pięćdziesiątki przypadają najlepsze lata życia mężczyzny.

- W modelu klasycznym, tak, ale obecnie ludzkie ciała można poddać w-wpisom zapewniającym znacznie lepszą jakość długiego życia.

- Owszem. Ale tego typu procedury somatyczne dopiero zaczynają zdobywać popularność na Kinabice. Rodzice, oczywiście, zawsze zamawiają dodatkowe modyfikacje, na przykład zwiększenie inteligencji. Tego typu osobniki są znacznie mniej skłonne do występków.

Simon zamknął plik Duane'a i zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Wierzy pan, że wyższy współczynnik inteligencji koreluje ze zmniejszoną skłonnością do działań przestępczych?

Mózg zaśmiał się w odpowiedzi.

- Raczej ze zmniejszonym prawdopodobieństwem złapania. A nawet jeśli, to dopiero po długim i wyczerpującym śledztwie. A na tym etapie już i tak nie są użyteczni dla zarządu.

- Należy wykorzystać równie inteligentnych policjantów do ich ścigania.- Za te pieniądze?

- Rozumiem pański argument. Co prowadzi mnie do następnego pytania. Czy nie prościej byłoby sklonować sobie zapasowe ciało?

- Ach, jeden z ulubionych mitów ludzkości. Czy ma pan pojęcie, jak bardzo trudny i kosztowny jest ten proces? Hodowanie człowieka in vitro do - powiedzmy - szesnastego roku



życia? Jakim cudem mielibyśmy zapobiec wykształceniu się świadomości przez tak długi okres?

- Czy to rzeczywiście byłby problem? Zakładałbym, że brak zewnętrznych bodźców nie dopuściłby do powstania jakichkolwiek myśli.

- Koherentnych myśli z pewnością nie. Ale nawet noworodki mają pewną formę świadomości. Deprywacja sensoryczna trwająca szesnaście lat prowadzi do powstania niezwykle opóźnionej świadomości. Taki konstrukt nie zasługuje nawet na miano osobowości. Ale, proszę mi uwierzyć, największym problemem i tak jest utrzymanie ciała w zbiorniku płodowym dłużej niż rok. Ono chce się urodzić i walczy ze swoim więzieniem.

- A zatem należałoby sklonować ciało pozbawione mózgu, a potem nadpisać własnym genomem.

- Ależ, proszę nie opowiadać takich rzeczy. W jaki sposób zamierzałby pan zastąpić autonomiczną kontrolę funkcji? Mechanicznie? W grę wchodzi zbyt wiele subtelności, by wyregulować to jednym chipem.

- A co z hodowaniem części osobno? Przyspieszona hodowla zapasowych narządów to sprawdzona procedura. Potem należy tylko poskładać je w jedno ciało.

- To jedynie potęguje problem o dwa rzędy wielkości. Liczba elementów, z jakich składa się ludzkie ciało, jest niewiarygodna, a mówię tu tylko o najważniejszych narządach i gruczołach. Proszę nie zapominać o systemie krążenia, skórze i szkielecie. W jakiej kolejności należałoby je zszywać, by upewnić się, że po zakończeniu procedury zachowają funkcjonalność? Ile zabiegów potrzeba, by poskładać dorosłego człowieka? Nie. To pomysł rodem z science fiction. Zapewniam pana, że rozważyliśmy te możliwości. Najefektywniejszy sposób wyprodukowania ludzkiego ciała odbywa się z pomocą niewykwalifikowanej siły roboczej. Dopóki nie opracujemy czegoś w rodzaju aktywnego nanosystemu zdolnego zintegrować struktury komórkowe albo zresetować pojedyncze nici DNA, dopóty transplantacja mózgów do ciała przestępców pozostanie najbardziej niezawodną procedurą pozyskania zdrowego, młodego ciała.

- Dobrze. Ale co z procesem regeneracji neuronów? Pewne luki w pamięci są chyba nieuniknione?

- Tak, ale nie jest to wina regeneracji. Moje braki w pamięci wynikają ze zwykłego starzenia się mózgu. Nowe neurony nie zawierają starych wspomnień. To dla nas zupełnie akceptowalne, może nawet pożądane. Mózg stanowi skończoną całość, nieważne ile poprawek w-wpiszemy przy każdym odmłodzeniu. Muszę dysponować dostateczną pojemnością mózgu, by zapisać moje nowe doświadczenia, gdy wrócę do społeczeństwa.

- Jeśli ciągle odrzuca pan przeszłość, to w końcu zapomni pan, kim był.

- Nigdy. Właśnie na tym polega piękno całej procedury. Zachowuję pełną ciągłość z poprzednimi wersjami, poczynając od dziecka urodzonego dwieście osiem lat temu, co stanowi podstawowy czynnik psychologiczny. Najsilniejsze wspomnienia człowieka są zawsze powiązane z jego tożsamością. Wydarzenia, które nas definiują, kształtują naszą osobowość. Są tak potężne, że stanowią część naszej istoty. Stają się instynktowne, niezależnie od tego, ile przejdziemy regeneracji. Z jednej strony nie pamiętam szczegółów dnia, jaki przeżyłem sto trzydzieści lat temu, ale to nieistotne, bo wiem, że jestem tym samym człowiekiem, który przeżył tamten dzień. To ciągłość świadomości, nie pamięci, jest ludzką duszą, prokurencie Roderick.

- A co z imperatywem biologicznym? Pańskie ciało nie jest z panem powiązane genetycznie. Nie może się pan rozmnażać z myślą o sobie. Wszelkie pana potomstwo będzie potomstwem Duane'a Aldena. Jakież inny może być cel pańskiej egzystencji, jeśli nie czysta próżność?

- I pan zarzuca nam, że opieramy się na klasycznych modelach? Przy takiej popularności w-wpisów, o ilu dzieciach da się powiedzieć, że naprawdę są potomstwem swoich rodziców? Ale mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie. Akurat ten aspekt odmłodzenia można rozwiązać stosunkowo łatwo. Moje jądra są klonowane i transplantowane wraz z mózgiem do każdego kolejnego ciała. W przypadku kobiet po prostu implantujemy sklonowane jajeczka. Po powrocie do społeczeństwa wszyscy w pełni korzystamy z życia. Osiągnęliśmy pełnię możliwości niedoścignioną w przypadku zwykłego życia - dwudziestolatkiem dysponujący intelektem stulatków.

- A w jakiej postaci pan powraca? Jako daleki kuzyn?

- Przybieram taką tożsamość, jaka w danej chwili jest najbardziej korzystna. Rodzinne udziały nie są zbyt skrupulatnie analizowane. Fundusze należące do rodzin członków zarządu działają niezależnie, a członkowie zarządu nie są celebrytami.

- System idealny.

- Dla nas i naszego stylu życia. Napisaliśmy konstytucję specjalnie pod niego.

- A teraz zostaliście sprzedani przez wasz ziemski zarząd.

- Ależ, prokurencie, proszę nie wymachiwać mi przed oczami tym wątłym paragrafem. Zantiu-Braun wysłała was tutaj, ponieważ ma dość statków i siły ognia, by obrabować nasz świat i bezkarnie napchać sobie kieszenie. Przyjmujemy do wiadomości waszą przewagę taktyczną.

- Miło mi to słyszeć.

- A zatem jaką umowę pan proponuje? - spytał mózg.

- Umowę?

- Pozwalającą nam egzystować bez zakłóceń. Chętnie przyjmiemy członków waszego zarządu do naszego bractwa. To dobre życie. Kinabica to bogaty, wysokorozwinięty świat, zamieszkały przez stabilną społeczność. Niczego wam nie zabraknie.

- Zarząd, który reprezentuję, nie może przyjąć tej oferty.

- Oferujemy wam praktyczną nieśmiertelność, którą przeżyjecie w warunkach plutokracji, a pan to odrzuca?

- Mamy inne cele.

- I uważa pan, że realizacja tych celów wyklucza nieśmiertelność? Trudno mi w to uwierzyć.

- To pana nie dotyczy.

- A zatem czego pan żąda?

Simon zacisnął wargi, spoglądając na mózg wzrokiem pełnym zmęczonego rozczarowania. Zręczność i możliwości zarządu Kinabiki były wprawdzie imponujące, jednak ich cele okazały się beznadziejnie przestarzałe. Bardziej odpowiadałoby im życie w epoce renesansu, a może imperium brytyjskiego. Mogliby osiągnąć wiele, a jednak wciąż oglądali się w przeszłość w poszukiwaniu wzorców, budując sobie niezdobytą fortecę pośród pogrążonego w stagnacji społeczeństwa. W ten sposób zabezpieczali jedynie to, co już mieli. Na nowej planecie, oferującej nieskończone możliwości, nie przetarli żadnych nowych ścieżek ani nie zrealizowali żadnych nierealnych marzeń. Było to naprawdę żałosne.

- Niczego od was nie chcemy - rzekł w końcu Simon. - Jak sam pan powiedział, wasza planeta jest bardzo zamożna. Dbanie o jej dobrobyt leży w interesie waszego zarządu, a to zbiega się z naszymi celami.

- Nie ma pan żadnych obiekcji co do naszych metod odmładzania?

- Żadnych. Możecie je kontynuować. Nie pożądamy waszych banałów.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minęło dziesięć minut i Simon Roderick już wiedział, że nie zapowiada się dobry dzień. Postanowił nie zajmować oficjalnego gabinetu prezydenta Straussa na czas pobytu na Thallspring. Uznał, że byłoby to zbyt sztapowe. Tak czy inaczej, to generał Kolbe był oficjalnym łącznikiem pomiędzy Z-B a najwyższym urzędnikiem na planecie. To on powinien być widoczny. Podczas gdy nieszczęsny generał usiłował udobruchać wrogo nastawione media, Simon zajął sobie wygodne biuro we wschodnim skrzydle Eagle Manor, usuwając z niego stadko asystentów prezydenta, którzy tłoczyli się wokół swojego szefa, oferując rady, przedstawiając analizy i ogólne matactwa.

Posiadłość Eagle Manor znajdowała się na wzniesieniu w samym centrum Durrell, dzięki czemu rozciągał się z niej piękny widok na miasto. Rankiem zazwyczaj można było stąd podziwiać majestatyczne budynki i zielone place skapane w słońcu, jednak dzisiaj lazurowe niebo przysłaniały gęste, ciemne chmury. Wysokie okna za jego biurkiem pokryła drobna mżawka, rozmazując ostre sylwetki odległych wieżowców. Pojazdy na obwodnicy, biegnącej skrajem rozległych terenów Eagle Manor, jechały z włączonymi reflektorami, oślepiająco błękitne światła odbijały się blaskiem od mokrego asfaltu.

Gdy tylko przybył na miejsce, jego osobisty AS wyświetlił streszczenia raportów, na których opierał się, monitorując życie w mieście. W ciągu nocy produktywność fabryk wybranych do akwizycji aktywów spadła o kilka punktów. Jednocześnie pewna liczba pracowników nie pojawiła się w pracy na swojej zmianie. Dostawy surowców także spadły. Nawet ruch uliczny zmalał, choć gdy Simon wyjrzał przez okno, spoglądając na szerokie aleje biegnące od Eagle Manor, nie potrafił dostrzec różnicy. Przed oczami przesunął mu się indygowy skrypt informujący o alarmie medycznym.

Siedząc w całkowitym bezruchu na wysokim skórzanym krześle, przeczytał raport.

- Gruźlica? - spytał z niedowierzaniem.

- Taka jest diagnoza - odpowiedział jego osobisty AS.

- I nie ma zbyt dużego marginesu błędu. W Durrell zidentyfikowano już siedemdziesiąt pięć przypadków. Szacunki przewidują, że ta liczba podwoi się przed końcem tego dnia i nadal będzie wzrastać. Otrzymujemy raporty o prawdopodobnym rozprzestrzenianiu się choroby z pobliskich okręgów i innych prowincji na całej planecie.

Wygląda to na wyjątkowo zjadliwy szczep.

- Czy ta choroba występowała tu już wcześniej?

- Nie. Nie zanotowano żadnych przypadków zachorowań od czasu pierwszego lądowania.

- A zatem, co, do cholery, spowodowało tę epidemię?

- Wstępna konkluzja lekarzy głosi, że to my jesteśmy źródłem infekcji.

- My?!

- Tak. Po konsultacji z naszym medycznym AS sądzę, że to logiczne.

- Wyjaśnij.

- Ten konkretny szczep powstał w toku kilkuset lat walki z chorobą przy użyciu coraz bardziej zaawansowanych środków. Za każdym razem, gdy naukowcy opracują nowy, silniejszy antybiotyk, by wytepić prątki tuberkulozy, one ewoluują, tworzą odporny na niego szczep. U progu dwudziestego pierwszego wieku powstały tak zwane odporne szczepy, odporne na wszystkie antybiotyki.

- O ile dobrze pamiętam, zwalczono je z pomocą nowych metabiotyków.

- To prawda. Metabiotyki powstrzymywały odporne szczepy bakterii przez prawie sto lat. Po jakimś czasie, oczywiście, mikroby uodporniły się także i na nie. Jednak do tego czasu na rynku pojawiły się genetycznie zmodyfikowane szczepionki. Od tego czasu prewencja przeciw gruźlicy stała się skuteczna. Po pojawieniu się nowego szczepu możemy po prostu odczytać jego strukturę genetyczną i przygotować odpowiednią szczepionkę. Dzięki temu nie dopuszczamy do rozprzestrzenienia się choroby.

Simon spojrzął na mokre miasto, ponuro rozmyślając o tym, do czego to zmierza.

- Ale mimo wszystko nie wyeliminowaliśmy bakterii?

- Nie. To niemożliwe. Ziemskie miasta wciąż pozostają dla nich żyzną glebą. Miejskowa służba zdrowia wciąż bada możliwość wystąpienia nowych szczepów. Po wykryciu takich mikrobow możliwe jest opracowanie nowej szczepionki w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dzięki temu zdołaliśmy uniknąć epidemii przez ponad dwieście lat.

- A co z koloniami?

- Koloniści są przed wylotem badani pod kątem wielu różnych chorób. Gdyby ktoś z nich był zarażony, natychmiast otrzymałby szczepionkę. To mało prawdopodobne, by bakcyle gruźlicy zostały przetransportowane na odległość międzygwiazdową, w każdym razie nie w postaci aktywnej.

- Czy tutaj nie mają podobnego programu prozdrowotnego?

- Nie.

- Innymi słowy, to my przywlekliśmy tę chorobę.

- To dość logiczny wniosek. Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że ktoś z naszego personelu został wystawiony na działanie mikrobow w zaawansowanej postaci. Sam był zaszczepiony albo otrzymał w-wpis somatyczny, co wzmocniło jego system odpornościowy. Teraz wszyscy na pokładzie są potencjalnymi nosicielami infekcji.

- Przecież przed każdą misją badamy członków personelu!

- Tak, ale nie pod kątem konkretnych chorób. Taka procedura została uznana za zbyt kosztowną, zwłaszcza że flota nie bierze już udziału w zakładaniu kolonii. Członkowie plutonów podlegają monitoringowi medycznemu prowadzonemu przez Skóry. Jak dotąd uznano to za wystarczające zabezpieczenie.

- Szlag. - Simon odchylił głowę na oparcie. - A zatem nie jest to zwykła gruźlica, ale superodporna gruźlica i nikt na tej planecie nie ma odpowiednich przeciwciał.

- AS medyczny uważa, że część populacji, która otrzymała w-wpisy somatyczne, okaże się odporna.

- Ile ich jest?

- Około jedenastu procent mieszkańców otrzymało w-wpisy somatyczne. Połowa z nich jest w wieku poniżej jedenastu lat.

- W porządku. Co radzi nasz AS medyczny?

- Natychmiastową produkcję i dystrybucję szczepionek. Należy też odizolować wszystkich chorych i rozpocząć przymusową kurację.

- Choroba jest uleczalna?

- Były już przypadki precedensowe. AS medyczny ma zapisane wzorce metabiotyków, które w przeszłości okazały się skuteczne. Możemy połączyć to z wirusami do regeneracji tkanki płucnej. Jednak taka procedura nie jest ani tania, ani szybka.

- Szacunkowy czas trwania?

- Do pełnego wyzdrowienia potrzeba około dwóch lat.

- Niech to szlag. A czas potrzebny na rozpoczęcie masowej produkcji szczepionek?

- Produkcję można rozpocząć w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli tylko przydzielimy jej priorytet. Wyprodukowanie preparatu w takiej ilości, by zaszczepić całą populację, potrwa trzy tygodnie.

- A co z naszym harmonogramem produkcji?

- Dokonywanie szacunków na tym etapie jest bezcelowe. Zbyt dużo zmiennych.

Interkom na biurku Simona zapiszczał.

- Prezydent Strauss chce się z panem widzieć - oznajmił asystent. - Natychmiast.

„Jasne, że tak”, pomyślał Simon.

- Proszę go wprowadzić.

- Tak jest.

- Proszę poprosić też pana Rainesa.

Gdyby miał wskazać kogoś, kto skutecznie wspomógł proces realizacji aktywów i dopilnuje integracji personelu Z-B z instytucjami państwowymi, to wybór z pewnością nie padłby na Edgara Straussa. Zwyczajowe groźby i próby szantażu nie robiły na nim wrażenia. Strauss był opryskliwy, uparty i niechętny do współpracy, czasem nawet aktywnie utrudniał im działanie. Simon nie próbował nawet założyć naszyjnika nikomu z jego rodziny: jeśli choć trochę go przypominali, to pewnie z radością weszliby w rolę męczenników.

Strauss wpadł do gabinetu z impetem szarżującego słonia.

- Wy pierdolone faszystowskie gnoje! Chcecie nas zabić! Próbujecie wymordować tę planetę i zapchać ją swoimi ludźmi.

- Panie prezydencie, to po prostu...

- Nie opowiadaj mi tu bajek, ty mały zasańcu! Cała pula o tym nadaje. Wypuściliście prątki gruzlicy, jakiś zmodyfikowany szczep, żeby skuteczniej zadziałał!

- Bakcyle nie są w-wpisane. To całkowicie naturalne organizmy.

- Jasna cholera! - Szare oczy Edgara Straussa spoglądały nieżyczliwie z jego poczerwieniałej twarzy. - Jesteśmy zupełnie bezbronni. Popelniliście ludobójstwo i skazaliście nas na długą, powolną śmierć. Powinniście byli od razu puścić strumień gamma, bo teraz możemy wam poderżnąć gardła, jednemu po drugim. Co wam teraz po waszym zastawie, he?

- Proszę się uspokoić.

Drzwi znów się otworzyły i do środka wśliznął się Braddock Raines. Pracował w wywiadzie Trzeciej Floty, miał około trzydziestu pięciu lat i niepozorny wygląd, który zwykle pozwalał mu się wtopić niepostrzeżenie w każde miejsce i ocenić sytuację przy minimalnej ingerencji miejscowych urzędników. Miał rzadki dar wzbudzania w ludziach zaufania. Wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli z nim do czynienia, mówili później, że był bardzo sympatyczny - ot, taki gość, z którym miło byłoby pójść na piwo. Simon wiedział, że zawsze może liczyć na szczegółowy raport z najtrudniejszych sytuacji.

- Kto to ma być? Wasz egzekutor? - prychnął Edgar Strauss. - Wiem, że nie zostawicie mnie przy życiu, teraz, kiedy już znam prawdę. Boicie się mnie. Jak zamierzasz to zrobić, synku? Wolisz nóż czy kulę w łeb?

Braddock aż rozdziawił usta. Był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć.

- Niech pan się zamknie albo naprawdę pana zastrzelę - warknął Simon.

Prezydent Edgar Strauss uśmiechnął się z szyderczą satysfakcją.

Simon odetchnął głęboko i usiadł, czekając, aż ochłonie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio stracił nad sobą panowanie. Ten człowiek był naprawdę niemożliwy. Jakież to typowe, że został wybrany na tak prymitywnej, zacofanej planecie jak Thallspring.

- Panie prezydencie, dopiero co poinformowano mnie o tej straszliwej epidemii. Sam jestem w szoku i głęboko ubolewam nad tym, że coś takiego mogło się zdarzyć na tak pięknej planecie. Zapewniam pana i wszystkich mieszkańców, że Zantiu-Braun zrobi, co tylko w naszej mocy, by wspomóc służby medyczne w walce z tą chorobą. Natychmiast udostępnimy wzorce szczepionek i metabiotyków. Jeśli udostępnione zostaną wszystkie konieczne zasoby, z pewnością zdołamy rozwiązać ten problem szybko i skutecznie.

- Wyprodukowanie tej szczepionki potrwa cały miesiąc, synku. Jak myślisz, ile ludzi umrze do tego czasu?

- Według naszych szacunków wyprodukowanie odpowiednich ilości preparatu zajmie maksymalnie trzy tygodnie. Jednak będzie to wymagało pełnej współpracy instytucji państwowych. Czy zapewni nam pan niezbędne wsparcie? A może woli pan, by pańscy wyborcy cierpieli niepotrzebnie?

- Czy właśnie po to była wam ta akcja? Chcecie nas zmusić do współpracy?

- Nie my wprowadziliśmy te bakterie - wycedził Simon przez zęby. - Bakcyle gruźlicy są znane z tego, że ciągle ewoluują do coraz to nowszej, nieprzyjemnej postaci. Tylko głupiec albo polityk próbowałby nas o to obwiniać. - Jego osobisty AS poinformował go, że prezydent przez cały czas odbierał strumień danych z puli, wszystkie były zaszyfrowane. Prawdopodobnie dokształcał się w kwestii gruźlicy.

- O, tak - odparł sarkastycznie. - Wasze przybycie nie ma z tym nic wspólnego, to po prostu zbieg okoliczności. Jakim badaniom kontrolnym poddaje się personel działu bezpieczeństwa strategicznego przed wylotem? Hę? No, powiedz, synku. Ludzie z dużych miast, gdzie gruźlica rozwija się od wieków. Sprawdzacie ich wszystkich, co?

Kątem oka Simon dostrzegł, że Braddock Raines krzywi się lekko, ale jego twarz nawet nie drgnęła.

- Stosujemy te same procedury na każdym statku odlatującym z Ziemi, tak jak wymaga tego prawo międzynarodowe. Bez tego nie dostalibyśmy pozwolenia na opuszczenie orbity. Czy statki Navarro także z nich korzystały?

- Oczywiście, korzystały, jak cholera! Byliśmy czyści, póki wy, gnojki, nie zaczęliście nas najeżdzać.



- A zatem dlaczego choroba nie pojawiła się podczas naszej poprzedniej wizyty?

Edgar Strauss wbił w niego nienawistne spojrzenie.

- Te szczepionki to kolejny wynalazek, który chcecie nam opchnąć. Kolejny produkt, znacznie bardziej zaawansowany niż to, czym dysponujemy.

- Na czym polega problem?

- Tuczycie nas na następny raz. To stąd ta zwodnicza szczodrość. Nawet ludzkie nieszczęścia potraficie obrócić na swoją korzyść. Te szczepionki i metabiotyki padną waszym łupem podczas kolejnej inwazji, podobnie jak wszystkie inne wynalazki, które opracujemy w tym czasie. Widziałem, ile nowych projektów udostępniście naszym firmom i uniwersytetom. Czego tam nie ma: neurotronika, oprogramowanie, biochemia, genetyka, nawet metalurgia i budowanie zakładów jądrowych. A wszystko to z dobroci serca.

- Pragniemy, by nasza inwestycja na Thallspring okazała się zyskowna. To chyba jasne, że pomagamy wam unowocześnić technologię i stan wiedzy.

- Ale wyłącznie dla zysku. Jeśli przy następnej wizycie odkryjecie, że nadal produkujemy przestarzałe systemy, to nie zbierzecie żadnej dywidendy.

- Tak pan sądzi?

- Ja to wiem i ty to wiesz.

- A zatem wystarczy z tego po prostu nie korzystać. - Simon wskazał gestem na miasto za oknem. - Proszę im to powiedzieć, panie prezydencie. Proszę ich przekonać, że niepotrzebna im najnowsza generacja oprogramowania do zarządzania pamięcią ani nowy typ hamulców. A najlepiej proszę im powiedzieć, że niepotrzebne im nowe leki.

- W końcu przegracie. Chyba o tym wiecie? Tym razem przysłaliście mniej statków. Co się stało z pozostałymi? Dlaczego nie zbudowaliście nowych? Któregoś dnia będziemy dość silni, by się wam przeciwstawić. Rośniemy w siłę, podczas gdy wy więdniecie, jak każde społeczeństwo, które chyli się ku upadkowi. Nadchodzi nasza era. Koniec lotów kosmicznych przyniesie kres tyranii.

- Proszę mi powiedzieć: czy to pana sekretarz wpadł na ten slogan, czy wymyślił go pan sam?

- Moje dzieci zatańczą na twoim grobie, ty mały zasańcu! - Edgar Strauss odwrócił się na pięcie i wymaszerował z gabinetu. Po drodze zagwizdał kilka początkowych taktów hymnu Thallspring.

Simon patrzył, jak zamykają się za nim drzwi.

- Mojego grobu nie będzie - szepnął.

- To było bardzo zabawne - stwierdził stoicko Braddock. - Chciałby pan, żeby spotkał

go jakiś wypadek?

Simon pozwolił sobie na zdawkowy uśmiech.

- Nie kuś mnie.

- A zatem po co zostałem wezwany?

- Rozpoczynamy program szczepień rekomendowany przez AS medyczny. Chcę, abyś nadzorował najważniejsze osoby spośród personelu, każdego, kto pełni istotną rolę w produkcji aktywów. Zaczynaj od załogi fabryk, ale nie pomijaj też zatrudnionych w elektrowniach i innych placówkach pomocniczych. Należy zminimalizować opóźnienia do absolutnego minimum.

- Tak jest.

\*\*\*

Pompownia wyglądała z zewnątrz bardzo niepozornie - płaskie betonowe pudełko, mierzące z każdej strony po dwadzieścia metrów, skryte za płotem z siatki, otoczone wiecznie zielonymi, kolczastymi krzewami. Znajdowało się w kącie niewielkiego kompleksu przemysłowego na przedmieściach Durrell, niewidoczne z głównej drogi, ignorowane przez pracowników kompleksu.

Nocą oświetlały je lampy halogenowe ustawione wzdłuż ogrodzenia. Jedna z nich nie działała, druga zaś migiała nieregularnie. Może była to kwestia kąta padania, ale teraz widać było znacznie więcej pęknięć w murze niż wcześniej za dnia.

Raymond obserwował bramę ze swej kryjówki w żywopłocie. Zamknięto ją na jeden łańcuch i jedną prostą kłódkę. Dotąd widział tylko zdjęcia robione z dużej odległości, więc nie był do końca pewien. Teraz potwierdził swoje obserwacje. Jedna kłódka.

Zakład oczyszczania wody niespecjalnie przejmował się kwestią bezpieczeństwa - byle tylko zniechęcić miejscową młodzież do włamywania się na teren i demolowania sprzętu. W tym celu zamontowano na ogrodzeniu kilka alarmów i czujników - a przynajmniej figurowały w wykazie zakładu.

Prime testował wszystkie aspekty wewnętrznej sieci małego zakładu, analizując każdą perlę i każdy obwód w poszukiwaniu ukrytych pułapek i alarmów. Nie ograniczał się do samej stacji. Przeczesał też całą lokalną pulę danych pod kątem łącz prowadzących do stacji - alarmów drugiego stopnia, które łączyły się z pulą dopiero wtedy, gdy intruz nieświadomie je aktywował. Nawet jeśli tam były, to Prime nie mógł ich znaleźć.

Należało ustalić, gdzie kończy się ostrożność, a zaczyna paranoja.

Raymond nakazał Prime'owi przejście do fazy drugiej. Obrazy z sensorów wizualnych i czujników podczerwieni zamarły, gdy program zinfiltrował ich procesory, choć liczniki

cyfrowe wciąż odmierzały sekundy, stwarzając wrażenie, że transmisja nadal trwa. Proces uruchomiony przez Prime'a przejął kontrolę nad zamkiem. Raymond, wciąż przyczajony w swej kryjówce, usłyszał cichy klik.

Szybko wyślizgnął się z cienia i wdrapał na płot. Szybki skręt ciała na szczycie i za chwilę wylądował na nieskoszonej trawie. Dotarcie do drzwi zajęło mu kolejne trzy sekundy. Całkowity czas ekspozycji - siedem sekund. Nieźle.

Jego oczy zmodyfikowane b-wpisami natychmiast przystosowały się do ciemności w środku; diody oświetlające panele rzucały niewielkie plamki światła. W środku znajdowało się tylko jedno pomieszczenie. Przed sobą widział pompy: pięć masywnych stalowych cylindrów umieszczonych na szerokich stelażach. Z betonowej podłogi tuż obok nich wystawały grube rury. Powietrze wibrowało rytmicznie.

Raymond zdjął plecak i wyjął ładunki wybuchowe. Podeszedł do pomp i szybko przymocował niewielkie ładunki ponad łożyskami.

Odwrot był równie cichy i zręczny jak wejście. Gdy tylko znalazł się za płotem, czujniki przy wejściu znów zaczęły transmitować prawdziwy obraz. Prime wycofał się z puli danych, wymazując wszelkie ślady swojej obecności.

\*\*\*

Czerwone i błękitne migające światła ukazały mu się na długo, zanim dotarł do pompowni. Simon spoglądał na nie poprzez przednią szybę, gdy skręcali z głównej drogi w stronę kompleksu przemysłowego. Wokół pompowni zaparkowało kilkanaście radiowozów. Wokół rozstawiono też barierki z napisem „Policja”, tworząc szeroki kordon wzdłuż zaniedbanego żywopłotu. Dookoła stali umundurowani funkcjonariusze, podczas gdy technicy i roboty prowadzili powolne przeszukanie terenu. Za barierkami kręciły się Skóry, niczym strażnicy pilnujący galerników, ani na chwilę nie mieszając się z zespołem techników. Za barierkami kłębił się tłum reporterów, wyciągając przed siebie czujniki. Musiało tu być ze dwadzieścia bezpośrednich transferów do puli, co czyniło całą operację publicznie dostępną, w każdym spektrum dostosowanym do odbioru przez ludzkie zmysły. Korzystano nawet z radarów laserowych, aby zmapować scenę w 3D. Wykrzykiwano też pytania, zarówno w stronę policjantów, jak i Skór, niezależnie od ich stopnia. Ciągłe nękanie, prawdopodobnie obliczone na sprowokowanie reakcji.

DNI Simona przesyłał mu wyniki badań techników, gdy tylko ich sensory zdobyły te dane. Siatka indygowych wykresów i tabel była przygnębiająco pozbawiona danych.

- Niewiarygodne - stwierdził Braddock Raines. Siedział w samochodzie Simona wraz z Adulem Quaniem i stamtąd obserwowali resztę gapiów. Pracownicy fabryk i biur

znajdujących się na terenie kompleksu wylegli z budynków, by na własne oczy zobaczyć akcję policji. Drżeli w porannym chłdzie, przytupywali nogami i wymieniali plotki. Większość z nich wymyślali sami.

Braddock przejął kontrolę nad samochodem i zwolnił, omijając grupki ludzi stojących na ulicy. Większość z nich w ogóle nie zwracała uwagi na przejeżdżające pojazdy.

- Chce pan wejść, szefie? - spytał Adul. - To nie będzie prywatne spotkanie.

Simon się zawahał. To prawda - i-hologramy mogły ukazać mu miejsce zbrodni praktycznie wszędzie. Poza tym miał wbudowaną niechęć do pokazywania się gdziekolwiek jako ważna figura, zwłaszcza tutaj. A jednak w całym tym sabotażu było coś bardzo niepokojącego, choć nie potrafił określić, co dokładnie. To, czego szukał, nie pokazałoby się na hologramie, nieważne, w jak dużej rozdzielczości.

- Chyba należałoby to sprawdzić.

- Dobrze. - Adul zaczął powiadamiać dowódcę plutonu o przybyciu przedstawicieli Z-B. Braddock tymczasem zaparkował najbliżej, jak się dało.

Reportrzy też zauważyli ich przybycie. Kilku z nich rzuciło się w stronę samochodu, gdy tylko otworzyli drzwi. Trzech policjantów i kilka Skór wyszło im naprzeciw, robiąc przejście dla Simona.

- Jesteście z tajnej policji Zantiu-Braun?

- Zamierzacie użyć w odwecie naszyjników zastawowych?

Simon starał się zachować neutralny wyraz twarzy, póki nie znaleźli się poza kordonem. Gdy weszli do pompowni, zmarszczył brwi, widząc skalę zniszczeń. Potem zdał sobie sprawę, że stoi w kałuży wody.

Wszystkie pompy zostały rozerwane na kawałki, ich wirniki wyrwane z obudowy. Kawałki metalu wbiły się w betonowe ściany i sufit. Ani kawałek maszynierii nie ocalał z wybuchu, nawet panele kontrolne były wygięte i potrzaskane.

Simon omiół wzrokiem to pobojuwisko.

- Kompetentne - stwierdził. - Bardzo kompetentne.

W pobliżu zobaczył kilku starszych stopniem policjantów zbitych w ciasną grupę. Ten widok trochę go rozbawił. Widział już w życiu wiele miejsc zbrodni i wszędzie obowiązywała ta sama zasada: każdy policjant wyższy stopniem od porucznika zawsze trzymał się blisko swoich kolegów. Całkiem jakby się bali, że krawężnicy ich okradną, jeśli odsuną się choć na krok.

Jego osobisty AS przeprosił policyjny AS i ustalił, kto prowadzi tę sprawę - kapitan Oisín Benson. Łatwo go było rozpoznać. Nikt inny z wyższych stopniem nie miał tak

potarganych włosów.

Oisin Benson zauważył go w tej samej chwili. Rzucił kolegom porozumiewawcze spojrzenie i odszedł na bok.

- W czym mogę pomóc?

- Chcieliśmy się tylko wstępnie rozejrzeć, kapitanie - odparł Simon. - Nie będziemy przeszkadzać.

- Może powiem inaczej - stwierdził ciężko policjant. - Kim jesteście i dlaczego uznaliście, że wolno wam tu przebywać?

- Ach, rozumiem. No cóż, przybywamy z gabinetu prezydenta, z upoważnienia generała Kolbego. Celem naszej wizyty jest ustalenie, czy był to czyn wymierzony w działalność korporacji Zantiu-Braun.

- Nie był.

- Bardzo szybko doszedł pan do tej konkluzji, kapitanie. Jakie ma pan dowody na poparcie tej tezy?

- Na ścianach nie wymalowano żadnych sloganów. Żadna podziemna organizacja nie opublikowała oświadczenia. Nie ucierpiał nikt z waszych ludzi. To zwykła sprawa cywilna.

- Czy na Thallspring często zdarzają się zamachy terrorystyczne?

Kapitan Oisin Benson uśmiechnął się zimno.

- Są mniej więcej tak rzadkie jak przypadki gruźlicy, panie Roderick.

„Tyle jeśli chodzi o anonimowość”, pomyślał Simon.

- Technicznie rzecz biorąc, kapitanie, nasze operacje ucierpiały w wyniku tego zamachu. Pompownia zaopatrywała kilka zakładów przemysłowych. Wszystkie z nich będą musiały wstrzymać produkcję, póki problem nie zostanie naprawiony.

- Ze wszystkich siedemnastu fabryk zaopatrywanych przez tę pompownię tylko pięć produkuje dla was trybut. Z drugiej strony, zakład usług komunalnych, do której ona należy, ma obecnie wytoczonych kilka spraw o nielegalne spuszczenie ścieków. Postępowanie ciągnie się od dłuższego czasu, a firma, jak dotąd, nie dokonała żadnych płatności na rzecz rodzin ofiar.

- Czy otrzymywali jakieś pogróżki?

- Owszem, kierownictwo otrzymało ich wiele, zarówno ustnie, jak i w postaci e-pakietów. Zazwyczaj dotyczą ich osobiście lub ich rodzin, jednak było też wiele pogróżek skierowanych przeciwko firmie jako takiej.

- Jakże świetnie się składa.

- Nie w smak panu prawda, panie Roderick? Zwłaszcza gdy nie współgra z pana

osobistą agendą?

Simon westchnął, zły, że musi się wdawać w publiczną sprzeczkę z tym drobnym funkcjonariuszem.

- Teraz się rozejrzemy, kapitanie. Nie będziemy już zabierać panu czasu.

- Jakież to miłe z pańskiej strony.

Brodząc w wodzie, Simon podszedł do najbliższej zniszczonej pompy. Czuł, że przemakają mu buty i skarpetki. Obok stało dwóch ludzi badających zdewastowaną maszynię: inżynier w kurtce z logo zakładu usług komunalnych i technik Z-B. Technik niechętnie skinął przybyszom głową. Inżynier w ogóle nie zwrócił na nich uwagi. W skupieniu przesuwiał wzdłuż wraku sensor wielkości dłoni.

- Coś ciekawego? - spytał Simon.

- Proste materiały wybuchowe, łatwo dostępne w handlu - odparł technik. - Nie ma tu żadnych seryjnie kodowanych molekuł, więc wątpię, aby policja zdołała coś wyśledzić. Poza tym przypuszczam, że wszystkie zostały odpalone jednocześnie. To sugeruje sygnał radiowy. Być może z zewnątrz, ale sądzę, że raczej zamontowano timer. Też z bardzo prostych komponentów. Dostępne praktycznie wszędzie.

Inżynier wyprostował się, przykładając rękę do kręgosłupa.

- Jedno mogę powiedzieć. Goście, którzy to zrobili, naprawdę znali się na rzeczy.

- Czyżby? - zainteresował się Simon. - Z czego pan to wnioskuje?

- Z rozmiarów i rozmieszczenia. Użyli minimalnego ładunku na każdą pompę. Ten budynek został zbudowany tak samo jak wszystko wokół: z najtańszych surowców. Nadaje się tylko do tego, by chronić pompy przed wiatrem i deszczem. Betonowe panele wzmacniane tygrysią bawełną. I nadal stoi. W nocy nastąpiło tu sześć eksplozji, ale zniszczyły tylko pompy. Powiedziałbym, że to niesłychanie kontrolowany wybuch.

- A zatem szukamy specjalisty?

- Tak. Wiedzieli mnóstwo o pompach. Proszę zobaczyć.

- Popukał we fragment obudowy przypominający zgnieciony kwiat. Metalowe kły były wygięte na zewnątrz. - Za każdym razem celowali w łożysko. Gdy ono poszło, wirniki rozerwały całe urządzenie od środka. Kilka tysięcy obrotów na minutę. Od cholery zabutelkowanej inercji.

- Tak, zapewne. - Simon przejrzał plik wyświetlany przez jego własny AS. - Ile czasu potrwa przywrócenie pompowni do pełnej użyteczności?

Inżynier ze świstem wciągnął policzki.

- Hm, wszelka naprawa jest, oczywiście, wykluczona. Trzeba będzie odbudować cały

obiekt. Tak się składa, że mamy w magazynie tylko dwie zapasowe pompy. Trzeba będzie podpisać umowę z producentem na budowę kolejnych. Przynajmniej sześć tygodni na wybudowanie i instalację. Ale, biorąc pod uwagę, co się dzieje, stawiałbym na jakieś osiem, może dziewięć.

\*\*\*

Po przybyciu do biura Simon zaczął czekać, aż asystent poda im herbatę, po czym spytał:

- I jak?

- Sprytne - stwierdził Adul. - I to z kilku powodów.

- Zdecydowanie nie ma wystarczających dowodów, by uzasadnić wykorzystanie zastawu - dodał Braddock.

- Wątpię, byśmy mieli jakąkolwiek możliwość wykorzystania zastawu z tym wybuchem gruźlicy na karku - stwierdził ponuro Simon. - Już i tak obwiniają nas o tę chorobę. Dodajmy do tego egzekucje zastawowe i naprawdę możemy stracić kontrolę nad sytuacją.

- Nie możemy stwarzać wrażenia, że jesteśmy bezbronni - zaprotestował Adul. - Wtedy mogą wysadzić nasze fabryki aktywów, jedną po drugiej.

- Hmm. - Simon odchylił się na oparcie, sącząc herbatę. - To właśnie mnie zastanawiało, odkąd zobaczyłem, jak dobrze przeprowadzono ten atak. Kto właściwie za tym stoi?

- Rząd - stwierdził Adul. - Strauss zmontował jakąś tajną organizację, udostępnił im wiedzę i sprzęt. Niemożliwe, żeby był to ktokolwiek inny, nie przy takim stopniu subtelności. Wystarczające, by narobić nam koło pióra, ale nie tak ostentacyjne, aby uzasadnić akcję odwetową.

- Nie jestem pewien - odparł Simon. - Jak dla mnie to zbyt subtelne, zwłaszcza jak na Edgara Straussa. On woli bardziej bezpośrednie metody.

- Dobry kamuflaż - podsunął Braddock.

- Nie - odparł zdecydowanie Simon. - Nie jest aż tak dobrym aktorem.

- Jeszcze gorzej: jest politykiem. To jeden z najbardziej śliskich, podstępnych gatunków w całej historii wszechświata.

- Nadal mi to nie pasuje. Zamachowcy, kimkolwiek są, dobrze wiedzą, co robią. A jednak nie robią nic wielkiego, dają nam tylko do zrozumienia, że istnieją. Lista działań przeciwko Z-B w Durrell od momentu wyładowania - polecił biurowemu AS. - Kategorie od drugiej wzwyż.

Przez chwilę trzech mężczyźni czytali nagłówki przesuwające się po panelu

holograficznym. Było ich dwadzieścia siedem: poczynając od zniszczenia zbiornika z wodorem w kosmodromie podczas lądowania, poprzez kilka bójek z żołnierzami na patrolu i po służbie, w restauracjach i barach, ciężarówkę wbijającą się w jeepa Z-B, pobicie techników pod nieobecność towarzyszących im żołnierzy, przecięcie kabli zasilających w fabrykach, awarie zapasowych generatorów, zniszczenie maszyn produkcyjnych przez wrogie oprogramowanie i zniknięcie dostaw surowców, aż do wybuchu w pompowni.

- Dwadzieścia siedem przypadków w ciągu trzech tygodni - stwierdził Adul. - Bywało gorzej.

- Przydziel je do odpowiednich kategorii - zarządził Simon. - Wyodrębnij incydenty, które miały wpływ na produkcję aktywów. - Spojrzał na wyniki. - Zauważyliście coś?

- A czego szukamy? - upewnił się Braddock.

- Zignorujcie sytuację, gdy nasi pracownicy zostali hospitalizowani z powodu pobicia w fabryce i wypadek drogowy, który rozbił transport biochemikaliów zmierzających do kosmodromu.

Braddock znów przebiegł listę wzrokiem.

- Ach. Cała reszta to przypadki sabotażu. Nigdy nikogo nie złapano. Żadnych śladów.

- Atak na pompownię został przeprowadzony dokładnie w ten sam sposób. Sprawca, kimkolwiek był, minął czujniki i alarmy tak, jakby ich w ogóle nie było. Nie ma żadnych śladów włamania.

- To mógł zrobić pracownik podczas ostatniej inspekcji.

- To było osiem dni temu i było ich trzech. Wszyscy musieliby być zamieszani.

- Jak bardzo efektywny był ten sabotaż? - Adul zwrócił się do AS.

Panel holograficzny wyświetlił kilka tabel. Wartości w komórkach zmieniły się szybko.

- Jezus zapłakał! - wykrzyknął Braddock, gdy zobaczył rezultat. - Dwanaście procent!

- Bardzo efektywny sabotaż - mruknął Simon. - Skataloguj wszystkie slogany i radykalne organizacje przyznające się do zamachu.

- Nie znaleziono - odparł AS.

- Przejrzyj pozostałe incydenty - ciągnął Simon. - Bójki i zamieszki. Slogany i rzekomi sprawcy.

Panel znów wyświetlił listę. Z każdego pliku wyskakiwał promienisty wzór linii kierujących do innych plików. Simon otworzył kilka losowo wybranych. Niektóre zawierały obrazy - symbole graffiti nasprejowane na murze po zakończonej walce. Większość z nich przedstawiała sztylety lub młoty rozwalające logo Z-B, resztę stanowiły napisy, wulgarnie



zachęcające najeźdźców, by wracali do domu. Podpisywano je głównie inicjałami, choć często pojawiał się też niejaki KillBoy. Niektóre zawierały pliki audio z nagranyimi wiadomościami, zniekształconymi cyfrowo, aby uniemożliwić identyfikację, które załadowano do puli danych w celu dalszego rozpowszechniania. Głosiły, że określone „działania” zostały popełnione w imieniu ludu powstającego przeciwko kosmicznemu najeźdźcy.

Simon poczuł lekki przyływ podniecenia. Rozpoczął się wielki pojedynek ze zdecydowanie godnym przeciwnikiem.

- Działają tu dwie grupy - oznajmił, wskazując na listę.

- Zwykła banda amatorów, którzy aż się rwą, by walczyć o wolność i przy okazji przyłożyć paru żołnierzom. I ktoś jeszcze. - AS znów wyświetlił listę akcji sabotażowych. - Ktoś, kto rzeczywiście wie, co robi, i nie próbuje ogłaszać się publicznie. Dobrze wiedzą, jaki jest nasz słaby punkt. Finanse. W przypadku realizacji aktywów bardzo cienka granica dzieli rentowność od jej braku. A jeśli straty i opóźnienia zaczną się kumulować, możemy nie wyjść nawet na zero.

- Coś mi się tu nie podoba - stwierdził Adul. - Ta grupa sabotażystów ukrywa się przed resztą Thallspring, ale przecież musieli wiedzieć, że wcześniej czy później my ich rozpracujemy.

- Może i wiemy swoje, ale nie potrafimy tego dowieść - odparł Braddock. - Żadna z tych spraw nie może zostać jednoznacznie sklasyfikowana jako działanie przeciw Z-B. Zawsze są inne, bardziej wiarygodne wyjaśnienia. Poza tym doskonale zatarli ślady, co jest już bardzo niepokojące.

- Wiemy, do czego zmierzają - oznajmił Simon. - Od początku było jasne, że w którymś momencie się tego dowiemy.

- To dlatego ich ataki tak trudno komukolwiek przypisać.

- Czegoś mi tu brak. - Simon pokręcił głową. - Jeśli tacy są dobrzy, to dlaczego nie działają bardziej efektywnie?

- Dwanaście procent w trzy tygodnie to pana zdaniem nieefektywne działanie?

- Weź pod uwagę, jakimi możliwościami dysponują. Gdyby chcieli, mogliby z tego zrobić pięćdziesiąt.

- Przy pięćdziesięciu procentach użylibyśmy zastawu bez względu na okoliczności.

- Mój Boże - domyślił się nagle Adul. - Myśli pan, że to oni wypuścili gruźlicę? Ta choroba ma przecież ogromny wpływ na produkcję aktywów.

- Nie wykluczałbym tej możliwości - przyznał Simon.

- Ale muszę przyznać, że to mało prawdopodobne. A co by było, gdybyśmy nie dysponowali wzorcami metabiotyków i szczepionek? Pozabijaliby własnych ludzi. To chyba nie w ich stylu.

- Ale na skutek ich działań poważnie spadła nam rentowność. Samo to oznacza, że są niezwykle efektywni.

Simon potrząsnął głową.

- Oszczędzają siły.

- Szefie, chyba nie mówi pan poważnie? Jedyne, czego dotąd nie zrobili, to nie wypowiedzieli nam otwartej wojny.

- Muszę to przemyśleć. Zawsze wiedzieli, że ich rozszyfrujemy, prawda? To jasne. Bardzo dobrze, niech będzie, dzięki sprytniej dedukcji odkryliśmy, że istnieje dobrze zorganizowana grupa próbująca sabotować akwizycję aktywów. Jaka będzie nasza odpowiedź?

- Wytropimy ich - odparł Adul.

- Oczywiście. I co jeszcze?

- Wzmocnimy środki bezpieczeństwa.

- Tak, a to poważnie ograniczy nasze zasoby, zarówno ludzkie, jak i elektroniczne.

- Myśli pan, że odsłonimy się w ten sposób na prawdziwy atak? Że to wszystko to tylko dywersja?

- Możliwe. Chociaż przyznaję, że być może ich przeceniam.

- Jeśli to ma być dywersja, to chyba nie chcę wiedzieć, jak może wyglądać prawdziwy atak.

- Zgadzam się, że ich możliwości są bardzo niepokojące - przyznał Simon. - Ale bardziej martwi mnie ich cel. Nasza obecność na Thallspring ma trzy aspekty: finansowy, ludzki i sprzętowy. Jak dotąd zdołali wpłynąć na aspekt finansowy. Gdyby chcieli sprawić, że realizacja aktywów stanie się nieopłacalna, już dawno by to zrobili.

- Musieliby się liczyć z przepadnięciem zastawu.

- Na Santa Chico też musieli. Fanatyków nic nie powstrzyma. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Pięćset, a choćby i tysiąc zabitych w zamian za uwolnienie się od nas na dobre. Wojny o niepodległość rzadko kończą się na tyłu ofiarach.

- A zatem sądzi pan, że albo my, albo statki?

- Tak. I jeśli o mnie chodzi, to stawiam na statki.

- Nigdy im się to nie uda.

Simon uśmiechnął się do młodego szpiega.

- Wiem. W tym właśnie pokładamy całą naszą nadzieję, to nasza niezdojta forteca, tak bezpieczna jak e-alfa. Statki są nie do ruszenia. Jesteśmy w stanie wykryć i zniszczyć wszystkie pociski. AS nie pozwoli żadnemu oprogramowaniu zinfiltrować pokładowych sieci. A poza tym nic nie przemknie się przez ochronę kosmodromu. Skanujemy każdy gram ładunku, a tubylcom nie wolno nawet wchodzić na teren doków.

- Ale proszę założyć, co mogłoby się stać, gdyby jakoś się tam przedostali? Albo gdyby zdobyli pozaatmosferyczną broń z Santa Chico?

- Niby jak? - spytał z niedowierzaniem Adul. - Santa Chico leży o trzydzieści lat świetlnych stąd. Nawet gdyby wysłali wiadomość zawierającą plany, to jeszcze by tu nie dotarła. A poza tym nie zauważyliśmy na orbicie żadnych generatorów obrotowych.

- Zawsze zakładamy, że Ziemia jako jedyna dysponuje flotą gwiazdą i zdolnością otwierania portali. Jeśli ktokolwiek inny miałby je skonstruować, to właśnie Santa Chico.

- Dobry Boże, jeśli Chicanie montują ruch oporu przeciwko naszym misjom...

- Tak, właśnie. Sam nie jestem o tym przekonany. Byłem na Santa Chico. Międzyplanetarna rewolucja nie współgra z ich celami społecznymi. Tak czy inaczej, tamta planeta jest obecnie zamknięta dla lotów kosmicznych. Chciałem tylko wykorzystać ich jako przykład. Takie ostrzeżenie przed zbytnim popadaniem w samozadowolenie. Jesteśmy całkowicie zależni od naszych statków. Jeśli zostaną wyeliminowane, to koniec. Jeśli stąd nie powrócimy, operacje międzygwiazdne firmy Zantiu-Braun zostaną permanentnie nadszarpnięte, może nawet doprowadzi to do zamknięcia całej tej działalności. Byłaby to katastrofa, na którą nie możemy pozwolić. Mimo całej swojej samowystarczalności nowe światy są uzależnione od dostaw nowych technologii. Ziemia wciąż pozostaje największym ośrodkiem intelektualnym i naukowym. Jakkolwiek niechętnie spoglądają na powiązania z nami, to jednak nie mogą odciąć się całkowicie.

- Myślę, że trochę pan przesadza. - Braddock uśmiechnął się nerwowo. - Wysadzić parę pomp to jedno, i przyznaję, że zrobili to perfekcyjnie. Ale od drobnego zamachu do zestrzelenia naszych statków jest jeszcze daleka droga... To niedorzeczna mrzonka.

Simon zmierzył agenta wzrokiem. Wiedział, że przekonanie go o realności tego zagrożenia nie będzie łatwe. Wszyscy w Z-B wierzyli w dogmat o niezwyciężonych statkach, nawet Quan i Rainer, siłą rzeczy najbardziej podejrzliwi członkowie Trzeciej Floty. Ochrona tej misji stanowiła prawdziwe wyzwanie i to z powodów, których wcześniej nawet nie podejrzewał.

Uniósł dłoń, uśmiechając się wyrozumiale.

- Proszę przyjąć na chwilę to założenie. Choćby po to, by wykazać jego błędność.

- Oczywiście.

Obaj z ulgą pokiwali głowami, zadowoleni z łagodnej reakcji szefa.

- A zatem rozważmy naszą strategię. Zdecydowanie należy wzmocnić ochronę w sektorze przemysłowym. Poza tym musimy obserwować potencjalne drogi prowadzące na statki. Jestem otwarty na wszelkie sugestie.

\*\*\*

Mieszkańcy Memu Bay omijali teraz patrole szerokim łukiem. Odel Cureton odbył już dostatecznie wiele patroli, by zauważyć różnicę. Wcześniej miejscowi w ogóle nie zwracali na nich uwagi. Nastolatki czasem pluły albo wykrzykiwały bluzgi, ale dorośli zwykle ich ignorowali. Nikt nigdy nie schodził im z drogi na zatłoczonym chodniku. Standardowe zachowanie. Widział to podczas każdej misji, z wyjątkiem Santa Chico. Dzisiaj miał wrażenie, jakby otaczało go jakieś niewidzialne pole siłowe, sunąc naprzód jak pług i usuwając mu ludzi z drogi. Ale jedno pozostało bez zmian: wciąż rzucano im spojrzenia pełne pogardy i wrogości, może nawet więcej niż normalnie.

Dzień po wybuchu gruźlicy nieodwracalnie zyskali status demonów z piekła rodem. Nie tylko przybyli ukraść ciężko zarobione bogactwa Memu Bay, ale też zagrażali mieszkańcom samą swoją obecnością. Demony o zabójczym oddechu, z każdym tchem wyrzucające z siebie rój zabójczych bakterii prosto w słone, wilgotne powietrze.

Skręcił w Gorse Street. Hal szedł po drugiej stronie, dotrzymując mu tempa. Dzisiaj nie towarzyszyła im policja. Posterunkowi przydzieleni do tego zadania po prostu nie zjawili się w pracy. Odel specjalnie się tym nie zmartwił. Wiedział, że podczas ulicznych patroli może całkowicie polegać na Halu. Mimo ciągłych docinków koledzy naprawdę doceniali jego umiejętności. Zobaczył, że chłopak odwraca się lekko, spoglądając na przechodzące nastolatki. Uśmiechnął się w duchu, zgadując, jakiego rodzaju obrazy Hal pobiera teraz z sensorów Skóry. Z drugiej strony, nie trzeba było wiele modyfikacji - te dziewczyny naprawdę nie miały na sobie zbyt wiele. Był to najgorętszy dzień, odkąd wylądowali. Ani jednej chmurki na niebie. Każda bielona ściana zdawała się odbijać światło słoneczne z pełną siłą. Siatka włókienek termicznych wyściełających pancerz od środka pracowała pełną parą, wypromieniowując ciepło wytworzone zarówno przez jego ciało, jak i mięśnie Skóry. Skrzelotwory chłodziły powietrze przed każdym wdechem. Nawet pancerz zmienił kolor na jaśniejszy, by częściowo odbijać promienie słońca.

Z taktycznego punktu widzenia był w dość kijowym stanie. Lśniąca pochodnia, widoczna na każdym czujniku. Odel dobrze pamiętał, co spotkało Nica.

Dotarli do końca ulicy.

- Sektor ósmy czysty - zameldował. W obecnej sytuacji codzienna rutyna przynosiła mu duży komfort psychiczny. Nikt z plutonu nie narzekał teraz na polecenia sierżanta, który naciskał, by ściśle przestrzegali protokołu. Jeśli ktokolwiek mógł ich z tego wydostać, to właśnie Lawrence Newton. Po paru ostatnich misjach Odel wiedział, że ta wiara nie jest bezpodstawna.

- Zrozumiałem. Kontynuujcie patrol - oznajmił Lawrence.

- Tak jest, sierżancie.

Odel i Hal przeszli przez drogę i skierowali się w dół Muxloe Street. Po bokach ciągnął się rząd małych sklepików, nad którymi wznosiły się wysokie surowe bloki mieszkalne. Większość stanowiły sklepy wielobranżowe, zapakowane po sufit różnymi śmieciami, jednak sama ulica była szeroka, pełna pojazdów. Sierżant po cichu skreślił z ich harmonogramu boczne uliczki i wąskie zaułki. Na głównych ulicach pełnych ludzi trudniej było zastawić pułapkę.

Przechodnie schodzili im z drogi, rzucając ostre, wrogie spojrzenia. Jakaś kobieta przyciągnęła do siebie dwójkę dzieci, osłaniając je ramionami. Przechodząc obok, Odel słyszał, jak piskliwymi głosikami dopytują się, o co chodzi.

Nagle poczuł ochotę, by przystanąć i zacząć się tłumaczyć - jej, innym, każdemu, kto zechce go słuchać - że to nie tak, że w gruncie rzeczy jest całkiem porządnym gościem. Sierżant zrobił tak kiedyś z grupką dzieciaków grających w piłkę. Ale Odel wiedział, że sam nigdy nie zdołałby tego osiągnąć. Nie znał odpowiednich słów, a w dodatku ludzie śmiali się z jego akcentu.

Szedł przed siebie. Czujniki wyświetlały cyfry w odpowiednich komórkach siatki, informując go, jak gorący jest chodnik. Słyszał, że w dawnych czasach ludzie smażyli jajka na kamieniach nagrzanym od słońca. Podejrzewał, że tutaj taka sztuka mogłaby się udać.

Kilka sklepów było zamkniętych - pięć obok siebie, stłoczonych w zrujnowanym bloku. Betonowe panelowe ściany zaczynały się rozpadać wielkimi kawałkami. Szczeliny w murze porastał szarozielony grzyb. Okna zasłonięto powyginanymi, zardzewiałymi żaluzjami. Farba odłaziła z szyldów wymalowanych nad drzwiami, tak że trudno było się domyślić, co tam wcześniej sprzedawano. Wzdłuż ściany ustawiono plastikowe worki pełne śmieci i zniszczone kartonowe pudła. Przy końcu tego śmietnika ktoś ustawił dużą szklaną butelkę pełną jaskrawoczerwonego płynu. Wokół grubej szyjki zawiązano zieloną koszulkę.

Odel już prawie minął zamknięte sklepy, gdy nagle zatrzymał się i odwrócił gwałtownie. Przechodnie spojrzeli na niego z obawą, zastanawiając się, co zrobili. Czujniki wizualne hełmu zogniskowały się na jednym przedmiocie, koszulka wypełniła całe pole

widzenia.

- Sierzancie! - zawołał Odel. - Sierzancie, coś znalazłem! Musi pan to zobaczyć!  
Sierzancie!

- Co się dzieje?

- Musi pan to zobaczyć! - Odel odwiązał koszulkę. Biały napis na piersi głosił „*m/s Srebrna Królowa* - wycieczki na rafę Cairns”.

Odel poczuł, że drży w nagrzej Skórze. Przełączył czujniki, aby wskazywały na butelkę. Ten płyn...

\*\*\*

Lawrence siedział w poczekalni, podczas gdy różni asystenci wybiegali z gabinetu burmistrza albo wbiegali do środka. Za każdym razem miał ochotę wstać, odepchnąć ich i zażądać widzenia z Ebreyem Zhangiem. Jak dotąd czekał jedyne czterdzieści pięć minut.

Po godzinie bezowocnych klótni w koszarach kapitan Bryant w końcu stracił do niego cierpliwość.

- Zna pan moją odpowiedź, sierzancie - warknął. - Na tym etapie nie mogę autoryzować żadnych działań.

- A kto może? - odciął się Lawrence. Biorąc pod uwagę sposób organizacji sił zbrojnych działu bezpieczeństwa strategicznego, była to najgorsza obelga, jaką mógł wygłosić pod adresem swego przełożonego.

Kapitan Bryant zamilkł na dłuższą chwilę.

- Daję panu zezwolenie, by przedyskutować tę sprawę z komandorem Zhangiem. Może pan odejść, sierzancie.

Niezależnie od tego, jak pójdzie spotkanie z Zhangiem, Lawrence wiedział, że u Bryanta jest już spalony. Idąc spacerem do ratusza Memu Bay, uśmiechał się do siebie. Prawdę mówiąc, gównem go obchodził i Bryant, i raport, który napisze o nim pod koniec kampanii. Czuł, że właśnie podjął ostateczną decyzję. Aż do tej chwili jego mała prywatna misja akwizycji aktywów była czysto teoretyczna. Zebrał wprawdzie wszystkie kawałki, ale on wciąż nie miał odwagi zrobić pierwszego ruchu. A potem to jedno nieprzemyślane pytanie załatwiło kwestię wszystkich dalszych decyzji.

„Jakie to typowe - pomyślał z przekąsem. - Najważniejsze decyzje w swoim życiu podejmuję pod wpływem ataków wściekłości”.

Po trzydziestu minutach czekania światła w ratuszu zamigotały i zgasły. Członkowie plutonu już dawno przyzwyczaili się do przerw w dostawie prądu. Prąd odcinano regularnie, gdy tylko ktoś przepalił kable albo rzucił mołotowem w podstację. Jednak elektrownia była,

jak dotąd, nietykalna, w końcu miasto miało jej potrzebować także po odlocie Z-B. Jednak po atakach buntowników cierpiały nie tylko koszary, ale także fabryki. Plotki głosiły, że harmonogram realizacji aktywów przebiega z dwudziestoprocentowym opóźnieniem.

Lawrence uśmiechnął się pod nosem, gdy wokół rozległy się zirytowane okrzyki. Lampy na suficie na chwilę rozjarzyły się mdłym blaskiem, jak ciemne bursztyny, a potem zaświeciły pełnym blaskiem, gdy uruchomiono zasilanie awaryjne. Jeśli ratusz był wyposażony podobnie jak hotel, to zapasowe akumulatory jeszcze nie zdążyłyby się naładować do pełna. Ratuszowy basen został opróżniony przed tygodniem, ponieważ system filtrów i podgrzewaczy zużywał cenne rezerwy mocy.

W końcu jeden z asystentów Ebreya Zhanga zaprosił go do środka. Lawrence obciągnął elegancką tunikę i przeszedł przez otwarte drzwi. Zatrzymał się przed dużym biurkiem i zasalutował. Wszystkie światła w gabinecie były zapalone.

- Witam, sierżancie - oznajmił zmęczonym tonem Ebrey Zhang. Gestem odprawił asystenta i za chwilę zostali zupełnie sami. Ebrey odchylił się na oparcie krzesła, podniósł perłę stacjonarną i zaczął się nią bawić.

- Słyszałem, że nie daje pan kapitanowi Bryantowi żyć - uśmiechnął się.

Lawrence miał nadzieję na łatwą rozmowę. Znał Ebreya Zhanga z poprzednich kampanii, gdy był jeszcze kapitanem. Uważał go za dobrego oficera - realistę, który rozumie zasady dowodzenia. Wiedział, kiedy walić w pysk, a kiedy słuchać.

- Tu chodzi o jednego z moich ludzi, sir.

- Tak, wiem. Ale zostawmy Bryanta. Jest młody, niedoświadczony i ciągle próbuje się odnaleźć. Tym razem zamienię z nim parę słów, ale to wszystko.

- Dziękuję, sir. A co z Johnsonem?

- Wiem. - Ebrey westchnął niechętnie. - Ale bądźmy realistami, Newton. Co mogę zrobić, prócz tego, co już zrobił Bryant? Jeśli tylko określi pan, gdzie mam szukać, to natychmiast wyślę helikoptery.

- On nie żyje, sir. Nie ma sensu szukać. Teraz musimy im pokazać, że nie ujdzie im to na sucho. Żaden z nas nie będzie bezpieczny, póki pan czegoś nie zrobi.

- Ach, tak, „pokazać im”. Zakładam, że ma pan na myśli tego całego KillBoya?

- Tak, sir, to bardzo prawdopodobne. To jego grupa za tym stoi. Trzeba obrócić mieszkańców przeciwko nim. Niech wszyscy zrozumieją, że mogą zginąć, jeśli ten szaleniectwo nie przestanie. Pozbawiony wsparcia tubylców będzie nikim.

- KillBoy, tajemniczy zabójca widmo.

- Sir, w ciągu ostatnich tygodni niektórzy nasi ludzie zostali postrzeleni, schwytani w

zasadzkę, okaleczeni, zranieni i hospitalizowani. Liczba ofiar prawie dobija do naszego rekordu z Santa Chico. Połowa plutonów boi się wystawić nosy z koszar. To nie jest żadne widmo, sir.

- Naprawdę sądzi pan, że jest aż tak źle?

- Tak, sir, naprawdę.

- Wiem, że na ulicach jest teraz ciężko, Newton. Ale bywało ciężiej. Pokładam nadzieję w takich ludziach jak pan. Wierzę, że dowódcy plutonów zdołają zadbać o swoich podwładnych.

- Zrobię, co tylko mogę, sir. Ale trzeba utrzymać dyscyplinę.

Ebrey kilka razy obrócił prostokątną perlę stacjonarną, wpatrując się ponuro w zwinięty panel.

- Rozumiem, co ma pan na myśli, Newton. Ale z drugiej strony, mam teraz pewien problem. Bardzo trudno będzie użyć zastawu, póki trwa ta epidemia. Społeczeństwo Thallspring i tak uważa, że mordujemy ich tymi zarazkami. Muszę mieć absolutną pewność, że zabili Jonesa Johnsona, zanim aktywuję jakiś naszyjnik.

- Sir, to jego krew. Całe cztery litry, analiza DNA zgadza się w stu procentach.

- I na tym właśnie polega problem. Gdzie jest reszta? Widzisz, Johnson mógł bez większego trudu przeżyć utratę takiej ilości krwi. Wstrzyknięcie sztucznej krwi to nie jest skomplikowana procedura. Każdy nastolatek po kursie pierwszej pomocy mógłby to zrobić. Jak myślisz, co się stanie, gdy już ogłoszę w całej puli, że bierzemy odwet za naszego zamordowanego kolegę, a potem on zjawi się żywy, już po aktywowaniu naszyjnika? Bo taką właśnie mamy sytuację. KillBoy potrafi zorganizować zamachy snajperskie i tajemnicze wypadki. Dla niego to prawdopodobnie żaden problem uwięzić jeńca na parę tygodni, póki nie wleziemy w jego sidła. Przykro mi, ale nie mogę na to pozwolić.

- On już nie wróci, sir. Został zabity - upierał się Lawrence. Chciał zadać jeszcze kilka innych pytań, na przykład, skąd zabójcy wiedzieli, gdzie zostawić butlę z krwią. Nikt prócz Z-B nie znał tras patroli, nawet miejscowa policja. Wytyczano je w centrum operacyjnym na dziesięć godzin wcześniej. Nawet on poznał ją zaledwie godzinę przed wyjściem. Jego zdaniem e-alfa było całkowicie spalone. A jednak podejrzewał, że dowódca, mimo pozorów rozsądku, zabije go śmiechem, gdy o tym usłyszy. Byłoby to o jedną teorię spiskową za wiele.

- Prawdopodobnie ma pan rację - przyznał Ebrey Zhang. - Sam wiem, jak to jest stracić członka plutonu, nawet więcej niż jednego. Wiem, co pan teraz czuje, Newton, ale nie mogę ryzykować. Bardzo mi przykro, ale mam związane ręce.



- Rozumiem, sir. Dziękuję, że mimo wszystko zgodził pan się ze mną spotkać.
- Niech pan posłucha, Newton. Pański pluton stracił już dwóch ludzi. Pozostałym już pewnie trochę puszczają nerwy, prawda?
- Nie są zadowoleni, sir.
- Pomówię z Bryantem i powiem, żeby przydzielił wam więcej wolnego.
- Dziękuję, sir.
- Poza tym może pan powiedzieć im tyle: jeszcze jeden taki incydent i nie zawaham się użyć zastawu. Od tej chwili powinni być już bezpieczni.

\*\*\*

Jeśli wybór godziny wydawał się teraz Josepowi nieco ironiczny, to nie dał tego po sobie poznać. O godzinie pierwszej w nocy port kosmiczny Durrell oświetlały setki elektrycznych świateł, przez co wyglądał jak mały fragment galaktyki, który zleciał na ziemię. Białoróżowy blask padał z okien opustoszałych biur. Jaskrawe białe światło, z domieszką fioletu, oświetlało arboretum umieszczone pośrodku budynku terminalu. Nasycony sodowo-pomarańczowy blask latarni rozlewał się szerokimi półkolami. Błękitne halogeny jarzące się na maskach nielicznych pojazdów przejeżdżających drogą. Olśniewające stożki słoneczne osadzone w wysokich łukach z monotanium, zakrzywiających się nad płytami postojowymi niczym wsporniki nieistniejącego mostu, oświetlające olbrzymie połączenie asfaltu, gdzie w milczeniu czekały smukłe kosmoloty.

Wzór cieni i świateł - w niektórych punktach światła nakładały się na siebie, w innych panowała całkowita ciemność, ale żadne nie wykazywały aktywności. Uniwersalna oznaka, że noc upływa urządzeniom na spokojnej drzemce. Na terenie kosmodromu mieszkała jedynie załoga szkielekowa zamknięta w wielkich hangarach, dogladająca miriadów różnych maszyn i czekająca na wzmożony ruch, który rozpocznie się o świcie. Pomiedzy nieruchomą instalacją przechadzali się - coraz bardziej nieliczni - żołnierze w Skórach, ci którzy wylosowali najgorszą wartę; ponurzy, zakuci w swoje niezwykłe zbroje, zmęczeni rutynowym przechadzaniem się po pustym placu, znudzeni ciągłym zaglądaniem do załogi pochylonej nad przyrządami diagnostycznymi, sfrustrowani świadomością, że po zakończeniu warty będą już zbyt zmęczeni, by cieszyć się dniem (na tyle, na ile można to robić na terytorium wroga). A jednak nie wazyli się stąd ruszyć, wiedząc, że to jedyne miejsce, które bezwzględnie musi pozostać bezpieczne, jeśli mają kiedykolwiek opuścić tę przeklętą planetę.

O tej porze kosmodrom stanowił małą enklawę nieszczęśliwych, sfrustrowanych ludzi, wypełniających swoje obowiązki w sposób znacznie poniżej wszelkich standardów. O tej godzinie przypadał także najniższy poziom aktywności w ludzkim cyklu dobowym -

klasyczna godzina nocnych ataków i zbrojnych wypadów. Chwila słabości znana każdemu dowódcy wojsk, jeszcze przed upadkiem Troi. A mimo to nikomu nie udało się przekonać swoich podwładnych do większej czujności.

A zatem Josep, uzbrojony w swoje pełne b-wpisów ciało i program Prime, oddał hołd starożytnej tradycji i wyruszył na zwiad późną nocną porą. Przejście przez ogrodzenie okazało się banalnie proste. Oczywiście, wstępu na teren portu bronił płot, światła, elektroniczne alarmy, których aktywność z pewnością nie spadała w nocy, a także strażnicy w Skórach. Gdyby chciał, mógłby przemknąć pomiędzy nimi niczym komandos, tak bezszelestnie, że nie zauważyłyby go nawet nocne stworzenia. Ale z drugiej strony - po co się męczyć, skoro tuż obok jest taka wielka brama?

O północy podjechał skuterem do bariery zagradzającej główną drogę do portu i zaparkował pojazd pomiędzy ciężarówką pełną biochemikaliów i konwojem samochodów należących do personelu pracującego na popołudniową zmianę. Przesunął kartę przez szczelinę w barierce i zdjął kask, by AS mógł dokonać weryfikacji wizualnej. Każdy bit obrazu pasował do profilu, który Prime poprzedniego dnia załadował do sieci kosmodromu. Po chwili biało-czerwona barierka uniosła się, wpuszczając go do środka.

Ostrożnie przejechał wąskimi alejkami łączącymi hangary, magazyny i biura ulokowane w północnej części wielkiej, szklano-metalowej rozgwieźdy służącej jako budynek terminalu. Thallspring nie miało rozwiniętego programu kosmicznego, jednak port był używany do realizacji szeregu projektów i przedsięwzięć komercyjnych. Wokół równika krążyło piętnaście standardowych (sześciusetkilometrowych) stacji niskoorbitalnych. Dwanaście stanowiło zakłady produkcyjne wytwarzające cenne kryształy, włókna i egzotyczne chemikalia używane przez największe konsorcja planety. Pozostałe trzy służyły jako resorty wypoczynkowe, kierujące swą ofertą do bogatych turystów, skłonnych znieść niewygodę podróży na orbitę, by podziwiać widoki, a także rozkoszować się pływaniami i seksem uprawianym w stanie nieważkości (czasem nawet łącząc jedno z drugim). Niewielka flotyła pojazdów międzyplanetarnych służyła głównie do obsługi ośrodków badawczych założonych przez rząd na kilku planetach. A w górze, sto tysięcy kilometrów nad równikiem, unosiła się asteroida Auley, schwytana osiemdziesiąt lat temu i obudowana modułami przetwórczymi. Co miesiąc produkowano tam tysiące ton najczystszej stali, którą następnie formowano w wielkie aerodynamiczne bryły, które opuszczano poprzez atmosferę, by zaopatrzyć przemysł metalurgiczny. Z rud asteroidy pozyskiwano ponadto tysiące innych, bardziej złożonych związków, które mogły powstać wyłącznie w stanie nieważkości, i wysyłało je na dół bardziej konwencjonalnymi metodami. Tego rodzaju działalność

doprowadziła do sytuacji, gdzie utrzymanie produkcji wymagało utrzymywania pięćdziesięciu kosmolotów.

Krażowniki galaktyczne stanowiły miejscowy wynalazek, a przynajmniej tak twierdziła Narodowa Korporacja Astronautyki na Thallspring, konsorcjum miejscowych firm aeronautycznych zajmujących się budową kosmolotów. Jednak osoba mająca pełen dostęp do ziemskiej puli danych natychmiast dostrzegłaby uderzające podobieństwo do Stratostara Boeing-Honda 303, który odbył pierwszy lot w 2120 roku. Osiem sztuk tych pojazdów dostarczono później na Thallspring. Niezależnie od miejsca pochodzenia kosmoloty zaopatrzone w silniki scramjet okazały się wielkim sukcesem. Były w stanie wynieść na orbitę czterdzieści pięć ton ładunku i zwieźć sześćdziesiąt ton na dół.

Zantiu-Braun wykorzystała kilka z nich do przewożenia zdobytych aktywów na oczekujące w górze statki. Biorąc pod uwagę, że większość kosmolotów regularnie kursowała na stacje, aby zaopatrzyć zakłady produkujące najbardziej wartościowe produkty, liczba pojazdów, które można było wycofać z harmonogramu, była bardzo ograniczona. Tak czy inaczej, Thallspring nie posiadało dość kosmolotów pasażerskich, by przewieźć wszystkie siły najeźdźców z powrotem na statki. Z-B przywiozła zatem czterdzieści dwie sztuki własnych Xianti 5005 w celu uzupełnienia lokalnej floty.

To właśnie te nowe nabytki najbardziej zainteresowały Josepa. Zjadł lunch w stołówce pracowniczej, siedząc przy jednym z panoramicznych okien wychodzących na płytę. Stały tam jedynie dwa towarowe xianti, obsługiwane przez załogę Z-B i roboty, reszta najwyraźniej była w trasie. Żuł powoli, chcąc mieć więcej czasu na przyjrzenie się okolicy i dostrzec, gdzie ustawiane są skrzynki, któredy biegnie najkrótsza droga z kosmolotów do budynku i gdzie są drzwi.

Po lunchu zaczął kręcić się po okolicy, chodząc po terminalu albo jeżdżąc na skuterze. Ludzie, którzy wyglądają, jakby wiedzieli, co robią, rzadko zwracają na siebie uwagę ochrony. Przez cały czas porównywał fizyczny układ portu z elektronicznym planem, które Prime wytrałował mu z puli. Zaryzykował nawet wysłanie go do AS Z-B zainstalowanego w centrum sterowania, nadzorującego operacje naziemne w kosmodromie, w tym ochronę. Rozmieszczenie alarmów i czujników natychmiast zainstalowało mu się na wizji; niczym widmowy diagram kabli i detektorów ciągnących się poprzez budynki i podziemne przewody. Następnie nadeszły rozkłady, harmonogramy i lista personelu. Josep zaczął je przeglądać, powoli redukując kolejne opcje, aż koniec końców namierzył najlepszy kosmolot, najprostszą trasę do niego, optymalny czas i drogi ewakuacyjne. Popołudnie przeszło w wieczór i gdy tarcza słoneczna zniknęła za szczytami gór, w kosmodromie zapłonęły światła. O tej godzinie

widział już znacznie mniej startów, za to więcej lądowań, gdy wielkie maszyny wracały do domu na noc.

Do pierwszej w nocy wszelki ruch na płycie zamarł. Josep przemknął się na tyłach rozległego hangaru naprawczego. Pod wysokim, łukowatym stropem stało pięć xianti i trzy krążowniki, i wciąż pozostały jeszcze cztery wolne stanowiska. W środku było ciemniej niż na zewnątrz. Stożki świetlne przymocowane do krokwi płonęły jasno, ale wiązki światła były bardzo skupione, rzucając białe kręgi na betonową podłogę. Z tyłu za nimi reszta hangaru tonęła w cieniu. Josep szedł skrajem oświetlonych obszarów, trzymając się z dala od stanowisk, przy których pracowała załoga. Kilka Skór przechadzało się po hangarze w losowych kierunkach - musiał uważać, by nie przyciągnąć ich uwagi. Całkowite omijanie oświetlonych miejsc z pewnością wzbudziłoby podejrzliwość.

Josep dotarł do jednego z wolnych stanowisk i ruszył naprzód. Tuż obok masywnych przesuwanych drzwi znajdowały się drugie, mniejsze. Podeszedł do nich i położył dłoń na płycie czujnika. Zamek zabuczał i drzwi stanęły otworem.

Dwadzieścia metrów dalej znajdował się kształtny nos kosmolotu xianti, wskazując w stronę hangaru. Wysoko w górze świeciły stożki solarne, odbijając się blaskiem od perłowo-białego kadłuba węglowo-litowego. Po obu stronach zaparkowano ciężarówki, z których wystawały przewody podłączone do gniazd znajdujących się w dolnej części kadłuba. Do przedniej śluzы powietrznej prowadziły schodki pokładowe.

Josep przeszedł po asfalcie, bardziej polegając na ikonach płynących z sieci kosmodromu niż na własnym wzroku. Kosmolotu strzegły cztery kamery. Prime zinfiltrował wszystkie, eliminując obraz jego postaci z obrazów wysyłanych do AS Z-B. Wokół smukłego pojazdu rozstawiono trzy koncentryczne kręgi czujników - żaden z nich nie zarejestrował jego obecności. W promieniu pięciuset metrów nie widać było żadnych Skór.

Prowadzące na pokład schodki były zabezpieczone zarówno hasłem zakodowanym w systemie rozpoznawania głosu, jak i biosensorem rejestrującym strukturę kośćca i naczyń krwionośnych. Było to bardzo skuteczne zabezpieczenie, jednak wszystkie pasujące wzorce znajdowały się w fortecy e-alfa. Hasło Josepa i struktura ciała odpowiadały jednemu z wariantów znajdujących się w pliku i schodki otworzyły się przed nim. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Na szczycie znajdowała się prosta ręczna zasuwa. Pociągnął ją i przekreślił.

Zapaliły się kolejne światła, oświetlając niewielką kabinę zielonym blaskiem. Ten xianti należał do modeli towarowych. Kabina była ciasna, wyposażona bardzo minimalistycznie. Zawierała dość miejsca dla pięciu oficerów systemowych i menedżerów

załadunku. W obecnej chwili znajdowały się tam tylko dwa siedzenia, przyśrubowane do podłogi uchwyty na pozostałe przykryto plastikową folią. Josep podszedł i usiadł w fotelu pilota. Zaokrąglona konsola znajdująca się tuż przed nim była zadziwiająco kompaktowa, wystawały z niej trzy panele holograficzne. Przez przednią szybę - a właściwie dwie - widać było nos pojazdu, ale niewiele poza tym. Technicznie rzecz biorąc, ani panel sterowania, ani okna nie były konieczne. Wszyscy ludzcy piloci mieli wszczepione DNI, a nawet tego używali wyłącznie do komunikacji z AS samolotu, który w rzeczywistości sterował maszyną. Konsola i wyświetlacze stanowiły wyposażenie awaryjne, choć wiele osób wolało oglądać grafiki na panelu niż ikonki w DNI. Okna miały wyłącznie aspekt psychologiczny.

Josep wyjął z sakwy przy pasie standardowy klucz imbusowy i pochylił się, aby obejrzeć podstawę konsoli. Pod spodem umieszczono kilka paneli konserwacyjnych. Otworzył dwa z nich i znalazł to, czego szukał. Perły neurotronowe zawierające AS miały postać zapieczętowanych jednostek zagrzebanych głęboko w module konserwacyjnym, ale wciąż trzeba je było podłączyć do systemu. Włożył swoją smoczą perlę w wąską szczelinę prowadzącą do złącza światłowodowego i czekał, aż zmorfuje, wsuwając igły próbników do modułu. Prime zaatakował AS autopilota.

Mogli próbować infiltracji AS pilota, wykorzystując przekaz z satelity, ale ryzyko wykrycia było zbyt wielkie. Był to jeden kanał, uważnie monitorowany przez zabezpieczone AS na statkach. Musieliby albo przejąć kontrolę nad wszystkimi AS należącymi do Z-B, albo ustanowić bezpośrednie połączenie. Nawet nie próbowali rozważać opcji pierwszej.

Przepływ danych zmienił kierunek, wgrywając cały program AS pilota na perlę. Ustalili, że przejrzą ją później, by dowiedzieć się wszystkiego o wyprowadzaniu pojazdu na orbitę, a także o wykorzystywanych przez niego kanałach komunikacyjnych i procedurach dokowania. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, Zantiu-Braun dopiero w ostatniej chwili zorientuje się, że na pokładzie nie ma ich ludzi, ale wtedy już będzie za późno.

Perła stacjonarna poinformowała Josepa, że skopiowała już cały AS. Prime zaczął wycofywać się z pereł kosmolotu, wymazując wszystkie ślady niedawnej inwazji. Próbniki wysunęły się ze szczeliny światłowodowej i schowały w obudowie. Josep zamontował panel z powrotem.

Jednak pomimo starannych przygotowań, planów i środków ostrożności wszyscy zgadzali się, że przed jednym nie zdołają się uchronić: przed niepomyślnym zbiegiem okoliczności.

Josep otwierał właśnie drzwi znajdujące się u stóp schodków, gdy przekaz z kamer umieszczonych wokół płyty postojowej ukazał mu obraz mężczyzny wychodzącego z

hangaru naprawczego. Był ubrany w luźne granatowe ogrodniczki, jakie nosili wszyscy technicy. Prime natychmiast przeprowadził identyfikację natręta. Dudley Tivon, lat trzydzieści siedem, żonaty, jedno dziecko, zatrudniony w porcie od ośmiu lat, awansowany w zeszłym roku na stanowisko zastępcy kierownika, specjalista od hydrauliki krążowników galaktycznych. Nie miał DNI, ale jego perła bransoletkowa była przełączona w stan czuwania, wciąż połączona z siecią kosmodromu. Prime wszedł do obwodu komunikacyjnego, blokując mu dostęp do puli danych.

Pozostała jeszcze chwila, którą Josep mógł wykorzystać, by schować się za schodki i skryć się przed nadchodzącym intruzem. Jednak byłoby to niepotrzebne ryzyko. Nie wiedział, w jakim kierunku teraz pójdzie Dudley Tivon ani jak długo będzie się kręcił w pobliżu. Każda sekunda spędzona w ukryciu oznaczała ryzyko natknięcia się na kogoś, kto nadszedłby z drugiej strony. W pobliżu krążyły teraz trzy Skóry.

Dlatego też wyszedł prosto na spotkanie Tivonowi. Oznaczało to dwie prawdopodobne możliwości. Albo Tivon uzna go za innego pracownika zajętego swoimi sprawami i nic nie zrobi. Josep nie przejmował się tym, że ktoś go zobaczy. Jak dotąd nie pozostawił po sobie nawet śladu, Z-B nie wiedziała nawet, że powinni szukać oznak włamania. Była też inna możliwość - że Tivon zacznie go przepytować. A wtedy...

Przez kilka sekund myślał, że jednak mu się udało, ale potem Dudley Tivon zwolnił kroku i zatrzymał się zupełnie. Zmarszczył brwi i spojrzał na Josepa, a potem na kosmolot.

Prime zawiadujący pobliskimi kamerami natychmiast zaczął generować fałszywy obraz, ukazując Dudleya Tivona idącego przez płytę postojową.

- Co tu robisz? - spytał Tivon, gdy Josep chciał go minąć.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową w stronę hangaru.

- Miałem iść do stanowiska siódmego, szefie.

- Wyszedłeś z tego kosmolotu.

- Co takiego?

- Jak się tam, u diabła, dostałeś? Nie jesteś z Z-B. Te maszynki są zabezpieczone jak stąd dotąd. Co ty tu w ogóle robisz? - Tivon uniósł rękę, na której nosił bransoletkę z perłą.

Dane z puli przepłynęły Josepowi do głowy. Żona Dudleya Tivona otrzymała naszyjnik zastawowy.

Zastępca kierownika wiedział, że Josep nie miał prawa znajdować się tam, skąd właśnie wyszedł, a nie mógł dopuścić do jakichkolwiek aktów sabotażu skierowanych przeciw Z-B. W odwecie korporacja aktywowałaby jakiś naszyjnik - równie dobrze mogła to być jego żona.

- Ja tylko... - Prawa ręka Josepa wystrzeliła naprzód, sztywne palce wbiły się Tivonowi w jabłko Adama. Szyja pękła mu pod impetem uderzenia. Jego ciało zważyło się w tył, ale Josep już za nim skoczył. Złapał zwiotczałą postać i bez wysiłku zarzucił sobie na ramię.

Skóry wciąż były daleko. Przy hangarze nikogo nie zauważył. Josep podbiegł szybko do drzwi, którymi wszedł do pomieszczenia z kosmolotem, i wślizgnął się do środka.

Piętnaście metrów dalej znajdowało się biuro, obecnie zamknięte na noc. Dotarł tam w pięć sekund, wepchnął trupa do środka, a potem rozejrzał się, by zobaczyć, czy ktoś go widział. Ani personel, ani Skóry nie zareagowali, nie uruchomiły się też żadne alarmy.

Ich plan awaryjny przewidywał takie sytuacje. Priorytetową kwestią było teraz pozbycie się ciała z kosmodromu. Na ten obszar nie powinien paść ani cień podejrzenia.

Josep wyświetlił menu obsługi robotów załadunkowych znajdujących się obecnie w hangarze naprawczym.

Obrazy z kamer zewnętrznych wciąż ukazywały Dudleya Tivona idącego poprzez płytę. W końcu otworzył drzwi do sąsiedniego hangaru i zniknął w środku.

\*\*\*

- Po ośmiu latach podróży Mozark przebył, już połowę Imperium Pierścienia. Zdążył zwiedzić setki układów gwiazdnych, mając nadzieję, że w końcu natrafi na jakąś inspirację. Nie widział już własnego królestwa - ta mała zbitka gwiazd zniknęła mu z oczu, przyćmiona oślepiającym blaskiem złota, szkarłatu i purpury bijącym od jądra galaktyki. Niewielu jego rodaków zapuściło się kiedykolwiek w te partie imperium, a jednak książę dobrze czuł się wśród ras i ludów zamieszkujących tę część galaktyki.

Mozark wprawdzie nie widział wcześniej tych stworzeń, ale dokądkolwiek się udał, zawsze potrafił się porozumieć ze swoimi gospodarzami i zrozumieć ich filozofię, zainteresowania, cele i marzenia. W pewnym sensie dodawało mu to otuchy. Miał teraz do dyspozycji mnóstwo najróżniejszych pomysłów. Niektóre uważał za wspaniałe i bardzo chciał je zrealizować po powrocie do domu. Inne jednak były tak obce, że nigdy nie próbowałby ich narzucić swojemu ludowi, choć fascynowały go czysto teoretycznie. Zdarzały się też takie, które były zbyt okropne i przerażające, by w ogóle o nich wspominać.

Edmund natychmiast podniósł rękę, tak jak przewidywała Denise.

- Tak?

- Proszę pani, a na czym one polegały?

- Te okropne, przerażające pomysły?

- Tak!

- Nie wiem, Edmundzie. A dlaczego pytasz?

- Bo sam jest okropny! - zawołała Melanie. Pozostałe dzieci zaśmiały się, wytykając kolegę palcami. Chłopiec pokazał Melanie język.

- Dość! - oznajmiła Denise, po czym milczała, póki się nie uciszyły. - Dzisiejsza historia będzie o spotkaniu Mozarka z Wędrowcami. Nie należeli oni do jednej rasy. Podobnie jak Ostatni Kościół, przyciągali swoim zapalem wiele różnych istot. W pewnym sensie stanowili przeciwieństwo tego Kościoła. Wędrowcy budowali statki. Nie takie zwyczajne, jakich używano w imperium do transportu towarów, podróży i wypraw badawczych, lecz statki międzygalaktyczne. - Spojrzała na dzieci porozumiewawczo, a one westchnęły z podziwem. - Największe maszyny, jakie mogła zrodzić technologia imperium. Najszybsze, najpotężniejsze i najbardziej zaawansowane statki, jakie kiedykolwiek widziała galaktyka. Zbudowanie takich maszyn wymagało niezwykłego wysiłku. Wędrowcy opanowali cały układ gwiazdny, który służył im jako stocznia. Jedyne gwiazda okrążana przez szereg planet mogła im zapewnić odpowiednie warunki. Mozark spędził tam miesiąc, latając swym małym stateczkiem pośród urządzeń, wędrując po tych olbrzymich katedrach techniki niczym zabłąkany turysta. Wędrowcy z dumą opowiedzieli mu o dyskach konwersyjnych wielkości oceanu, które zrzucali na gwiazdę, gdzie zanurzały się w jej najgłębszych warstwach, gdzie proces fuzji był najintensywniejszy. Było to jedyne miejsce generujące dostatecznie dużo energii, by zasilić dziesiątki tysięcy baz przemysłowych działających w całym układzie. Te kolosalne konstrukcje były częściowo ruchome, mogły nawet połykać średnich rozmiarów asteroidy. Następnie skały były trawione i rozkładane do postaci minerałów, które następnie transportowano do wież rafinacyjnych. Biomechaniczne frachtowce operujące wyłącznie w ramach tego układu zabierały produkty końcowe i przewoziły je do zakładów przetwórczych, gdzie z ich pomocą wytwarzano komponenty statków.

Ich stocznie miały rozmiary małych księżyców. Każdy ich statek międzygalaktyczny był długi na wiele mil, miał srebrno-błękitny hiperformiczny kadłub, który zbierał każdą drobinę gwiazdnego światła gwiazd, a jego cząsteczki odbijały je w postaci jednolitych koncentrycznych kręgów. Gdy stały na orbicie, były gładkie i owalne w kształcie. Jednak gdy tylko ich silniki zapłonęły, popychając je w próżnię z prędkością setki tysięcy razy większą od prędkości światła, natychmiast przeobrażały się w wąskie rapiery i wysuwały ostre, agresywnie nastawione płetwy ogonowe. Wyglądało to tak, jakby próżnia, przez którą leciały, posiadała własną atmosferę złożoną z fotonów, przez którą mogły się przedostać jedynie ich smukłe sylwetki.



Mozark, oczywiście, był oczarowany tym projektem. Wędrowcy byli największymi pionierami imperium. Ich międzygalaktyczne statki zabierały kolonistów do innych galaktyk. Tam, po drugiej stronie głębokiej nocy miały powstać nowe imperia. Wyglądało to na początek wspaniałej przyszłości, rozwijającej się w nieznanach krainach, pośród nieustannych wyzwań. W niczym nie przypominało to łatwego, miłego życia mieszkańców imperium.

Patrzył, jak zwykle statki pasażerskie dokują w pobliżu, przywożąc dziesiątki tysięcy kolonistów poszukujących nowego życia dla siebie i swoich dzieci. Przybywali z królestw leżących po przeciwnej stronie galaktyki niż sąsiednie części imperium; tysiące różnych gatunków zjednoczonych wspólnym pragnieniem włości. Za pierwszym razem, gdy zobaczył statek międzygalaktyczny zanurzający się w zeropróżnię, czuł jedynie zazdrość. Ci wędrowcy byli jego bratnimi duszami, ale on musiał zostać tutaj. Miał do wypełnienia swój własny obowiązek. Musiał powrócić do swego królestwa. W tamtej chwili, podczas gdy jego statek wciąż kołysał się, miotany gigantyczną falą energii wyemitowaną przy starcie olbrzymiego statku, najbardziej chciał przynieść swym krajanom wieści o tym niezwykłym przedsięwzięciu. Wyobraził sobie, jak można by wykorzystać zasoby królestwa do zrealizowania podobnego projektu i zabrania wszystkich w niezwykłą podróż w stronę przyszłości. Dopiero gdy obraz potężnego statku zniknął z czujników, Mozark poczuł pierwsze wątpliwości. Wyruszył na tę wyprawę, aby odnaleźć coś, na czym skorzystałby cały jego lud. Ilu z nich byłoby gotowych natychmiast rzucić wszystko i ruszyć w szaloną podróż w niezbadane rejony wszechświata? Dlaczego miałby ich do tego zmuszać? Jakże miał prawo odrywać ich od własnego świata i społeczeństwa, które tak dobrze im służyło?

Dopiero wtedy zaczął rozumieć własne rozczarowanie. Rozejrzał się wokół, spoglądając ze swego małego statku na jego wielkich, dumnych kuzynów orbitujących wokół nienazwanej planety Wędrowców, i zorientował się, że różni je tylko skala. Zarówno on, jak i koloniści byli gotowi odlecieć w nieznaną w poszukiwaniu lepszego życia. Prawdopodobnie Wędrowcy byli odważniejsi niż on, gdyż więcej ryzykowali. Jednak dla nich to lot stanowił cel sam w sobie. Kiedy dotrą do tego odległego brzegu, będą mieli do dyspozycji wszystkie wynalazki, którymi dysponowali w imperium. Nie czekały na nich żadne nowe idee, tylko kosmos, który - jak się spodziewali - będzie nieco mniej zatłoczony. Zabierali ze sobą całą kulturę imperium w postaci zbioru danych. Monokulturowa baza imperium sprawiła, że wiele krain w gruncie rzeczy było do siebie bardzo podobnych. Mozark uznał wreszcie, że koloniści nie są tak odważni jak on: po prostu uciekali od swoich problemów. On przynajmniej starał się pomóc swoim rodakom, którzy zostali w królestwie.

Denise przerwała, widząc, że dzieci spoglądają na nią z zakłopotaniem. Kilkoro z nich

zaczęło się nawet niecierpliwić - wyskubywały z ziemi źdźbła trawy i czasem zerkały na miasto leżące za murami. Nie była to opowieść, której się spodziewały, pełna wielkich przygód i straszliwych potworów. Ciągłe słuchały tylko o tym, jak Mozark odwracał się z pogardą od cudów przechodzących ich najśmielsze wyobrażenia. To ci dopiero bohater.

Kobieta zgaśniła się w duchu. Zapomniała, do kogo mówi. Mogła przecież pominąć wiele rzeczy. Historia po okrojeniu z nadmiaru filozofii wciąż nadawałaby się dla dzieci.

- A zatem stał przy oknie w swoim statku, rozmyślając o Wędrowcach i o Mieście, a nawet Mordiffach, i nagle uświadomił sobie, że już wie, co teraz robi.

- Co takiego?! - zapytała z zapalem jedna dziewczynka.

- Wróci do domu - odparła Denise. - Bo właśnie w tamtej chwili zdecydował, co powie Endoliyn i czemu poświęci resztę życia.

- Co?! - zawołał cały chór.

- Mamy piękny dzień - odpowiedziała psotnie przedszkolanka. - Powinniście iść się pobawić. Już niedługo opowiem wam, co zrobił Mozark, gdy wrócił do swego królestwa.

- Teraz!

- Nie. Powiedziałam „niedługo”.

- No to jutro!

- Może. Jeśli będziecie grzeczni.

Dzieci obiecały, że będą.

Denise pozwoliła im się rozbiec po przedszkolnym ogródku. Nie musiała spoglądać na swój wielki zegarek, dobrze wiedziała, która jest godzina. Za chwilę miał się rozpocząć mecz towarzyski.

Gniazdo b-wpisanych komórek połączyło Denise z pulą danych Memu Bay. Grę obserwowało kilku reporterów, chociaż nie było dużego zainteresowania. Bardzo niewielu użytkowników zażądało dostępu do transmisji. Kamerzyści już ustawiali sprzęt przy boisku, robiąc zbliżenie na dwie zajęte rozgrzewką drużyny.

\*\*\*

Lawrence mocno chwycił piłkę i popchnął ją prawą stopą. Podskakując lekko, potoczyła się po boisku i zatrzymała o kilka metrów od Hala, który obrzucił sierżanta zde gustowanym spojrzeniem. Oczekiwał zręcznego podania, dzięki któremu mógłby kopnąć piłkę w stronę bramki.

Chłopak gorączkowo rzucił się przed siebie, a dwóch innych, z drużyny przeciwnej, pobiegło, by go zablokować. Przez chwilę Lawrence miał wrażenie, że się pomylili i próbują grać według zasad rugby. Hal nie dotarł jeszcze do piłki, a przeciwnicy byli wysocy i biegli

szybko, wysoko unosząc nogi.

Chłopak krzyknął zaskoczony, gdy wpadli na niego, uderzając z impetem w bark.

- Kurwa mać - stęknął pod nosem.

Sędzia dmuchnął w gwizdek.

Hal spojrział na niego wyczekująco.

- Rzut wolny - burknął niechętnie mężczyzna.

- A jaką kartkę dostaną? - wykrzyknął żołnierz z oburzeniem. Sędzia odszedł na bok.

Lawrence i Wagner ujęli go pod ręce i dźwignęli kolegę na nogi.

- On chyba żartuje! - miotał się Hal. - To była przynajmniej żółta kartka!

- Tutaj grają według innych zasad - odparł Lawrence, mając nadzieję, że młody się uspokoi. Hal wyglądał, jakby zamierzał wszcząć bójkę.

Zawodnicy, którzy go zablokowali, uśmiechali się szeroko. Jeden z nich pokazał wyprostowany palec.

- KillBoy mówi, że możecie nam skoczyć.

Hal rzucił się naprzód, warcząc dziko. Lawrence i Wagner ledwie zdołali go utrzymać. Z linii autowej, za którą zgromadzili się tubylcy, rozległo się parę zachęcających okrzyków.

Po raz dziesiąty, odkąd rozpoczął się mecz towarzyski pomiędzy Leniuchami Lawrence'a i Aniołami Zemsty, Lawrence zaczął się zastanawiać, czy to rzeczywiście był dobry pomysł. Miejscowi uznali to za świetną okazję, by w majestacie prawa pokieroszować żołnierzy Z-B za pomocą kolców na butach i brutalnych bloków, na widok których każdy mistrz kung-fu złapałby się za serce.

Tuż przed pierwszym strzałem Ebrey Zhang wygłosił krótką mowę dla drużyny. Gdy już skończył się rozwodzić nad dawaniem przykładu i wzmocnieniem więzi z lokalną społecznością, zwrócił się do Lawrence'a:

- Nie chcemy tu żadnych zamieszek, sierżancie. Zróbmy to na luzie, dobrze?

- Rozkazuje nam pan przegrać, sir? - spytał Lawrence. W pewien sposób mu to pochlebiało. Dowódca najwyraźniej uznał, że mają wygraną w kieszeni. Ale widział też chłopaków, z którymi przyszło im się mierzyć. W większości byli wysocy i wysportowani. Gra zapowiadała się ostro.

- Nie, nie - odparł Ebrey miękko. - Ale nie chcielibyśmy odnieść zbyt łatwego zwycięstwa, prawda? Zostałby niesmak i tak dalej.

- Rozumiem, sir.

- To dobrze! - Ebrey klepnął go po ramieniu i dołączył do reszty kibiców Z-B.

Dobrej woli starczyło na jakieś pięć minut. Najwyraźniej zawodnicy Aniołów Zemsty

przyszli na boisko zupełnie jej pozbawieni.

Hal wykorzystał rzut wolny, podając piłkę wysokim łukiem do Amersy'ego. Kapral zaczął biec po skrzydle. Lawrence biegł równolegle do niego po drugiej stronie boiska, a dwaj Aniołowie Zemsty następowali mu na pięty. Na tyle blisko, by wpaść na niego, gdy sędzia akurat patrzył w inną stronę.

Lawrence poślizgnął się na błocie i prawie stracił równowagę. Amersy znacznie go wyprzedzał i sierżant znalazł się w fatalnym miejscu. Wiedział, że nie zdoła odebrać podania.

- Cholera! - warknął. Kryjący go zawodnicy byli zaskoczeni, gdy odepchnął ich łokciem. Na szczęście, sędzia wciąż patrzył na Amersy'ego blokowanego teraz przez przeciwników.

- Pomóżcie mu! - wrzasnął Lawrence do swojej drużyny. - Pomóżcie mu, do kurwy nędzy, wy żalodne gnojki!

- Sierzancie! - upomniał go kapitan Bryant zza linii autowej. - Nie ma potrzeby używać takiego języka.

Lawrence spiorunował go wzrokiem i zdołał wykrztusić pod nosem kilka słów.

Amersy próbował podnieść się z ziemi, gdy Aniołowie Zemsty oddalili się z piłką. Lawrence musiał przyznać, że ci wyrośnięci chuligani naprawdę potrafią panować nad piłką. Dryblowali zręcznie, z łatwością omijając pomocnika, który próbował ich zatrzymać.

„Gdzie, do chuja pana, podziała się reszta drużyny?”.

- Obrona! - wrzasnął desperacko Lawrence, wymachując rękami.

Przynajmniej obrońcy mieli jakieś pojęcie o taktyce. Dwóch biegło już naprzód, zamierzając zaatakować napastnika Aniołów. Trzech strzegło strefy gola. Dwóch pomocników zmierzało w kierunku drugiego skrzydła, kryjąc napastnika Aniołów. Lawrence zobaczył, że jeden z ich graczy zmierza w stronę otwartej przestrzeni w okolicy środkowego kręgu.

Mecz jednak nie był taki zły, a jego ludzie też potrafili grać ostro.

Mina lądowa eksplodowała pod obroncą Leniuchów na prawej stronie strefy gola. Wyrzuciła go w powietrze na trzy metry, urywając nogi i rozszarpując korpus. Lawrence rzucił się na ziemię, gdy tylko usłyszał głuchy dźwięk wybuchu. Na chwilę zapadła upiorna cisza. Potem ciało obrońcy upadło na ziemię, bezwładne ramiona miotają się groteskowo od gwałtownego uderzenia. Głowa obróciła się, patrząc niewidzącym wzrokiem w bramkę. To był Graham Chapell, chłopak z plutonu Ciarana. Krew i wnętrzności zbryzgały połowę boiska. Wciąż panowała cisza - wszyscy byli zbyt zszokowani, aby choćby pisnąć.

Lawrence rozejrzał się gorączkowo, patrząc na parujący krater wyrwany w ziemi;

natychmiast zrozumiał, co się stało. Wszyscy inni także leżeli na ziemi. Przerażony patrzył, jak piłka toczy się naprzód, podskakując na porośniętej darnią powierzchni.

„Stój - błagał w myślach. - Stój, kurwa. Stój!”.

Piłka była dostatecznie duża, by wywołać wybuch, gdyby przypadkiem trafiła na kolejną minę. Toczyła się w stronę Dennisa Easona, który wpatrywał się w nią z twarzą zastygłą ze zgrozy.

Piłka zatrzymała się pół metra od niego. Mężczyzna zaszlochał z ulgą i znów opadł na błoto.

Ludzie zaczęli teraz wrzeszczeć jak opętani, zarówno widzowie, jak i gracze, wszyscy leżeli płasko na ziemi. Personel Z-B przypominał wszystkim, by się nie ruszali, zostali na swoich miejscach - pomoc jest już w drodze.

Lawrence zacisnął pięści i wcisnął je w błoto, przeklinając swoją bezradność. Wszystkie mięśnie zeszywniały mu z przerażenia. Bez Skóry czuł się nagi i odsłonięty. Teraz mógł go zabić byle student rewolucjonista, któremu akurat zamarzyło się odgrywać bohatera. Nienawidził KillBoya. Nienawidził całego tego pieprzonego świata. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego. W najgorszym przypadku spotykał się z niechęcią i pogardą.

Przecież oni tylko grali w piłkę, na litość boską. W piłkę.

I to z ich własnymi ludźmi, przeważnie nastolatkami. Słyszał, jak zawodnicy Aniołów Zemsty skamlą z przerażenia, kilku płakało.

Czego właściwie chcieli ci ludzie? Miał ochotę wykrzyknąć to na cały głos. Z pewnością by go usłyszeli. Był przekonany, że obserwują to pobojuwisko, rozkoszując się szokiem i paniką, jaką udało im się wywołać. Z uśmiechem przekręcali nóż w otartej ranie.

Ale mógł tylko zacisnąć zęby i leżeć nieruchomo, czując, jak od błotnistej wody przemaka mu koszulka i szorty. Czekał na zbawczy dźwięk helikopterów.

\*\*\*

Do parku, gdzie rozgrywano mecz, przewieziono siedem plutonów. Śmigłowce wylądowały na pobliskich ulicach. Skóry nadchodziły ostrożnie, przeczesując ziemię czujnikami.

Na początku podeszli do Ebreya Zhanga i wyprowadzili go z boiska bezpieczną ścieżką, którą wyznaczały rurki sygnalizacyjne lśniące jaskrawym oranżem. Helikopter dowódcy odleciał z hukiem, podczas gdy pozostali żołnierze rozeszli się po parku. Powoli, pojedynczo wyprowadzali z parku ludzi, którzy drżeli z ulgi i ciężko opierali się na żołnierzach. Dotarli do Lawrence'a czterdzieści minut po przylocie. Mężczyzna wstał niepewnie i zatoczył się na bok. Na boisku migotała mozaika pomarańczowych lampek i trzy

czerwone. Jedna z nich znajdowała się cztery metry od miejsca, gdzie leżał Lawrence.

Ekipa medyczna zbierała szczątki Grahama Chapella z oczyszczonych partii boiska, wkładając je do czarnych polietylenowych worków.

- Skurwysyny - syknął Lawrence, gdy żołnierze w Skórach poprowadzili go w stronę oczekujących jeepów. - Wy pierdolone skurwysyny.

\*\*\*

Dean Blanche został wprowadzony do gabinetu burmistrza przez jednego z asystentów Ebreya Zhanga. Dowódcy wystarczyło jedno spojrzenie na twarz szefa ochrony, by wiedzieć, że przynosi złe wiadomości.

- No i? - spytał, gdy już zamknęły się drzwi.

- To były nasze miny - odparł kapitan Blanche.

- Szlag! Jest pan pewien? Niepotrzebnie pytałem... Jasne, że tak. Do ciężkiej cholery, jak to się mogło stać?

- Jeszcze nie wiemy. Według wykazu sprzętu wciąż są w magazynie. Oczywiście, sprawdziliśmy to fizycznie. Brakuje ośmiu sztuk.

- Ośmiu?! - W głosie Ebreya zabrzmiało zaniepokojenie. - A ile z nich umieszczono w parku?

Nigdy nie ufał minom lądowym. Wytyczne Z-B wymagały, aby miny były dostępne, w razie gdyby sytuacja na ziemi stała się kłopotliwa i żołnierze byliby zmuszeni bronić strategicznych obszarów przed otwartym atakiem. W praktyce zastosowanie byłoby ograniczone tylko do kosmodromu podczas ucieczki. Ebrey był wdzięczny losowi, że nigdy nie musiał wydać rozkazu użycia tych urządzeń. Te cholerstwa stanowiły śmiertelny spadek, który potrafił przetrwać całe wieki i wybierać sobie ofiary całkowicie losowo.

- Znaleźliśmy pięć i jedną zdetonowaną...

- O, Chryste. - Ebrey podszedł do małego barku umieszczonego na tylnej ścianie i nalał sobie czegoś, co miejscowi uważali za burbon. Zwykle nie pijał w obecności niższych stopniem oficerów, zwłaszcza tych z działu bezpieczeństwa wewnętrznego, ale miał dziś naprawdę zły dzień.

- Ma pan ochotę?

- Nie, dziękuję, sir.

- Jak pan chce. - Ebrey stanął przed francuskim oknem i spojrzał na nocne niebo. Była trzecia nad ranem i gwiazdy na niebie mrugały kojąco. Po minionym dniu naprawdę zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek tam powróci. - A zatem mamy trzy miny ukryte gdzieś w mieście, tylko czekające, aż ktoś na nie wlezie?

- Dwie, sir.

- Co? A tak, dwie. Jest jakaś szansa, że pluton mógłby je przegapić tam w parku?

- To możliwe, sir. Przeprowadzimy kolejne przeszukanie rano, gdy już będzie więcej światła.

- Bardzo dobrze. A teraz, na rany boskie, proszę mi powiedzieć, jak zdołali wynieść je ze zbrojowni?

- Nie jestem pewien, sir. - Blanche się zawahał. - To byłoby trudne.

- Dla kogoś spoza Zantiu-Braun.

- Tak, sir.

- Nie wierzę, że to któryś z naszych ludzi. Żadna zemsta nie jest tego warta. - Zmierzył wzrokiem zakłopotanego kapitana. - A może?

- Nie, sir. Nie zauważyłem nic tak poważnego.

- Ale brakuje nam kogoś. John Johnson, ten którego krew znaleziono w butelce. Czy to możliwe, żeby... sam nie wiem... zmienił strony?

- To możliwe, sir.

- Czy Johnson ma wstęp do zbrojowni?

- Nie wiem, sir. Wielu żołnierzy zna różne skróty pozwalające ominąć nasze oprogramowanie.

- Jasna cholera. Te zabezpieczenia czemuś służą! Zwłaszcza w przypadku broni.

- Sir, mam jeden potencjalny trop.

- Tak?

- Pozostałe miny były w trybie czuwania i zanim nastąpiła eksplozja, obie drużyny biegały po całym boisku przez trzydzieści minut. Mina została aktywowana, gdy Chapell był o krok od niej.

Ebrey rozpogodził się wyraźnie.

- KillBoy przesłał kod aktywacyjny.

- Tak, sir. Jeśli transmisja przeszła przez pulę, to możemy ją wysledzić. Oczywiście, mógł skorzystać z osobnego przekaźnika. W tym wypadku musiał stać na tyle blisko, by wysłać kod. Przejrzę pamięć wszystkich sensorów w tej dzielnicy. AS może namierzyć kogoś, kogo zachowanie odpowiada pewnemu profilowi. Tak czy inaczej, w dzisiejszych danych na pewno tkwi jakiś dowód.

- Otrzyma pan do dyspozycji wszystkie zasoby i tyle czasu AS, ile będzie trzeba. Przydzielam temu zadaniu najwyższy priorytet. Niech pan tylko znajdzie tego zdrańca. Nie

obchodzi mnie, ile to potrwa, ale zanim odlecimy, chcę zobaczyć pana KillBoya, jak zwisa ze szczytu tego ratusza.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

I znów Ziemia.

Barwny biało-błękitny świat wciąż fascynował Lawrence'a, tak samo jak podczas pierwszej wizyty pięć lat temu. Jak zawsze podczas lotu z Centralis na orbitę spędzał mnóstwo czasu, wpatrując się w obrazy generowane w czasie rzeczywistym przez czujniki wizualne statku. Gdy przelatywali nad Amerykami, obserwował szerokie pasma chmur, sunące z wdziękiem ponad zachodnim Atlantykiem, gdzie zbijały się w burzową spiralę; ich poszarpane brzegi były lśniaco białe, ale zgęstniały środek miał barwę głębokiej szarości, tak jakby mrok promieniował z jego wnętrza. Za kilka dni Wyspy Karaibskie zaczną smagać wiatr i zacinający deszcz, rozszalałe żywioły strąca liście z drzew i nadadzą wybrzeżom nowe kształty. Po raz kolejny ich mieszkańcy schronią się w domach i będą czekać, aż wyjący wiatr ucichnie. A potem wrócą do codziennego życia, traktując tę przerwę jako kłopotliwe wakacje. Palmy wypuszczą nowe liście, a ludzie znów będą pływać w morzu i opalać się na białym piasku. Uśmiechnął się do nich z wysokości swego anielskiego tronu. Tylko na świecie tak pełnym życia można się tak zaaklimatyzować. W świecie, gdzie życie pojawiło się naturalnie, gdzie symbioza pomiędzy naturą i środowiskiem stanowiła najważniejszy czynnik ewolucyjny. Zupełnie inaczej niż na Amethi.

Wciąż żywił sprzeczne uczucia dla swojej ojczyzny. Od czasu, gdy tu przybył, zdążyły nieco osłabnąć, choć większość z nich pozostała wroga. Ale od czasu do czasu wspominał chwile i miejsca, gdzie czuł się szczęśliwy. W tych wspomnieniach nie było Roselyn. Wciąż próbował nie myśleć o tej sprawie. Wciąż wiązało się z nią za dużo bólu, równie silnego i dotkliwego, co w dniu, gdy uciekł z domu.

Odruchowo dotknął wisiorka na szyi. W dniu wyjazdu z Amethi o mało go nie wyrzucił. Potem jednak postanowił go zachować, by już zawsze przypominał mu o zdradzieckiej naturze wszechświata. Obecnie stał się jego talizmanem - dowodem na to, że przeżył najgorsze, co los mu zgotował.

Xianti 5005 wylądował w kosmodromie na Cairns, w samym środku upalnego popołudnia. Nikt nie wyszedł do Lawrence'a, który szybkim krokiem minął swoich kolegów witających się z rodzinami w sali przylotów. Żony i dziewczyny rzucały się im na szyje, ściskając mocno i próbując zapanować nad łzami. Dopóki statek nie przybył z Quation na

Centralis, nikt na Ziemi nie wiedział, jak poszła kampania, kto przeżył, kto został ranny, a kto miał już nie wrócić. Wielka, klimatyzowana sala rozbrzmiewała echem ulgi i strachu. Dzieci kręciły się wokół przytulonych par, uśmiechnięte i szczęśliwe, że tata w końcu wrócił.

Lawrence pomyślał o Sandy - dziewczynie z Queensland, z którą spotykał się pomiędzy Floydem a Quation, i z pewnym przekonaniem mógłby ją określić mianem stałej partnerki. Obiecała, że na niego zaczeka, ale to było ponad dziewięć miesięcy temu. Sandy miała dwadzieścia jeden lat. Lawrence nie łudził się, że faktycznie dotrzyma słowa.

Wyszedł z budynku terminalu, wdychając czyste, morskie powietrze, po czym przystanął i spojrzął na porośnięte krzewami wzgórze za kosmodromem, ciemniejące powoli, w miarę jak słońce chowało się za ich grzbietem. Znad oceanu wiała wilgotna bryza. Krzyczały mewy. Kolejny kosmolot przeciął z hukiem powietrze, niczym powolny grzmot burzowy. Lawrence uśmiechnął się do wszystkiego, witając się z tym widokiem jak ze starym znajomym. Zapach morza zawsze przywodził mu na myśl Ziemię.

Postój taksówek znajdował się na południowym końcu terminalu. Lawrence podszedł do pierwszego samochodu i rzucił swój jedyny bagaż (sportową torbę na ramię) na tylne siedzenie podłużnej białej bańki. Taksówkę prowadził człowiek - starszy Chińczyk, który bez przerwy nawijał o tym, jak dobrze radzi sobie w tym sezonie Manchester United. Z jakiegoś powodu uznał, że Lawrence mówi z brytyjskim akcentem.

- Nigdy tam nie byłem - przyznał Lawrence.

- Ale słyszał pan o Man-U? - spytał z niepokojem kierowca.

- Słyszałem.

- Oczywiście. To najsłynniejsza drużyna na Ziemi. Oglądam każdy mecz. Zainstalowałem w mieszkaniu horyzontalny panel holograficzny, żeby widzieć całe boisko naraz. Ale żonie się to nie podoba.

- Naprawdę?

- Tak, wolałaby kupić nową kanapę. Oglądam też z membranami. Przez ostatnie trzy sezony płaciłem agentowi medialnemu drużyny za transmisję z punktu widzenia wielu graczy. Drogie, ale warte swojej ceny. Dzięki temu mogę zobaczyć, co się dzieje na ziemi. Gdy gra pierwsza jedenastka, zwykle oglądam jako Paul Ambrose. Ma bardzo dobre wyczucie piłki.

- Świetna sprawa.

- Niestety, pierwsza jedenastka gra tylko co cztery dni. W tym czasie musi mi wystarczyć druga i trzecia.

- Mhm.

- A popołudniami oglądam mecze drużyn poniżej dwudziestu jeden lat. Czasem muszę je nagrywać, jeśli akurat jestem w pracy. Moi koledzy z taksówek robią mi wtedy dowcipy. Przejżdżają obok i krzyczą, jaki jest wynik. Wtedy bardzo staram się nie słuchać. Któregoś dnia, gdy już oszczędzę dość pieniędzy, pojedę do Europy i zobaczę, jak grają na żywo. Moja żona o tym nie wie.

- Ach, tak. - Wyjechali z portu na krótką autostradę prowadzącą do miasta. Po lewej stronie znajdowały się mokradła porośnięte mangowcami, oddzielające ulicę od wybrzeża. Po prawej ciągnęły się podmiejskie apartamentowce, które pokryły teren aż do stóp wzgórza.

- Przyleciał pan z Quation?

- Aha.

- Żona po pana nie wyszła?

- Nie jestem żonaty.

- To bardzo mądrze. Niech się pan cieszy, póki można, przyjacielu. Kiedy pojedę do Europy, też nie zabiorę żony. Ma pan gdzie spać?

Lawrence mógł wrócić do koszar, wtedy miałby nocleg za darmo. Jednak cała flota miała teraz czterotygodniowy urlop, a na jego konto spłynęła już premia za kampanię i żołd za całe dziewięć miesięcy. Nie miał żadnych planów. Niektórzy z jego kolegów mówili coś o żeglowaniu, o wyspach Pacyfiku i imprezowaniu, ile wlezie, w każdym kurorcie. Colin Schmidt zaprosił go na wycieczkę po kasynach w Hongkongu i Singapurze. Inni przysięgali, że Perth wciąż zasługuje na miano imprezowej stolicy półkuli południowej - łatwo można było tam dojechać pociągiem.

- Nie - powiedział w końcu. - Nie mam. - Wcisnął przycisk i szyba opuściła się do połowy, wpuszczając wiatr i zgiełk uliczny. Naprzeciwko zaczynały się już zapalać światła Wybrzeża. Lawrence zaśmiał się na widok tandetnych neonów i hologramów, zachłannie próbujących go do siebie zwabić. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak zadowolony. Żadnych trosk, żadnych obowiązków, dużo pieniędzy i mnóstwo wolnego czasu, żeby je wydawać. To dopiero życie.

- Znam różne miejsca - podsunął taksówkarz, spoglądając na niego spod oka.

- Wierzę. W porządku, potrzebny mi porządny hotel, może nawet z basenem. Nie za drogi, ale żeby miał szerokopasmowy dostęp do sieci i obsługę pokojową przez całą dobę. I żeby się nie krzywili, jeśli przyprowadzę kogoś w gości. Jasne?

- Ach! - Taksówkarz pokiwał radośnie głową. - Znam takie miejsce.

Hotel ledwie zasługiwał na swoje dwie gwiazdki, ale miał basen, a w pokoju był też mały balkonik wychodzący na południową część Cairns. Lawrence zameldował się, po czym

wyszedł na ulicę. Obrzeżały ją małe sklepiki z przeszklonymi witrynami, które z pomocą konkurencyjnych cen zdołały zniechęcić duże sieci do inwestowania w okolicy. Kupił tam trochę ciuchów. Żadnych ekstrawagancji; proste rzeczy, które mógłby włożyć na Wybrzeżu, bez logo Z-B na piersi.

Tej nocy przespał się z dziewczyną. Była to kilkunastoletnia zapalona podróżniczka, która wyruszyła z przyjaciółmi na pieszą wycieczkę wzdłuż wybrzeży Australii. Była ładna i szczupła, miała oliwkową skórę i ciemne włosy zaplecione w drobne warkoczyki, w które wplotła kolorowe fosforyzujące paciorki. Gdy szybko poruszała głową, światełka otaczały ją niczym tęczowa aureola. Lawrence zagadał ją i odciągnął od przyjaciół, zanim zdążyli wrócić do hostelu i swoich zarezerwowanych składanych łóżek. Dziewczyna była ewidentnie zafascynowana przybyszem z obcego świata, doceniała smak zagranicznego piwa butelkowego i wykazywała żywe zainteresowanie faktem, że jej towarzysz spędził prawie rok poza Ziemią.

- Pewnie jesteś nieźle wyposzczony, co?

- Chyba tak - przyznał. - Tubylcy nie byli zbyt przyjaźni.

Gdy w końcu znaleźli się w łóżku, w jego ciemnym pokoju, nagle zaczęła przypominać wyjątkowo energicznego kangura - podskakiwała tak zapamiętale, że Lawrence przez chwilę miał wrażenie, że to stare łóżko załamie się pod ich ciężarem. Wylał trochę drogiego piwa na jej piersi i zlizął starannie, a potem ona popchnęła jego głowę, kierując ją w stronę swych ud. Znaleźli transmisję z jakiejś stacji grającej thrash rocka i próbowali pieprzyć się w rytm dudniącej muzyki, aż w końcu padli na łóżko ze śmiechem, gdy wokalista ubrany w ochraniacz na krocze wrzasnął coś o tym, że da swemu maleństwu posmakować ostrej miłości. Obsługa pokojowa przyniosła im kanapki i coś picia, więc usiedli na pościeli i karmili się nawzajem. Potem obejrzelik jakąś komedię (nie i), a w końcu znów wylądowali w łóżku.

Dziewczyna wyszła z samego rana i dołączyła do przyjaciół. Kierowali się na północ, mając nadzieję, że znajdą sobie jakąś sezonową pracę w Port Douglas, aby zapłacić za kolejny etap swej wielkiej przygody. W południe Lawrence nie potrafił już sobie przypomnieć jej imienia.

Kolejnej nocy wylądował w łóżku z inną dziewczyną. Woląa drinki od piwa i elektryczny jazz od rocka, ale poza tym była równie chętna.

Cały pierwszy tydzień urlopu wyglądał dokładnie w ten sam sposób. Spać w dzień. Zjeść porządny posiłek po południu. Wyjść na spacer. Po zachodzie słońca iść na Wybrzeże. Czasami spotykał żołnierzy z floty, a wtedy wypijali razem kilka kolejek, rozgrywali partyjkę

bilardu albo grali na automatach. Nigdy się nie upijał - to źle robiło na podryw. Raz czy dwa wyszedł nawet na parkiet, ale tylko dlatego, że jego partnerka nalegała.

Tydzień po wylądowaniu jego perła bransoletkowa odebrała wiadomość od działu administracji floty, nakazującą mu się zgłosić do bazy. Rozpatrzono jego podanie o przyjęcie do szkoły oficerskiej. Teraz musiał pojechać do Amsterdamu na wstępną ewaluację.

Usiadł na łóżku, trzymając okulary tuż przy twarzy, i raz po raz czytał wiadomość, czując coraz większą radość. Jego życie w końcu zaczęło się układać jak należy. Ojciec, Roselyn, Amethi - to wszystko była zwykła pańszczyzna. Ale teraz zasłużył sobie na miejsce na statku Z-B.

Dziewczyna leżąca w łóżku obok niego uniosła głowę i rozejrzała się po pokoju, z wyrazem klasycznego poimprezowego oszołomienia na twarzy. Potem zamrugała oczami, jakby w końcu rozpoznała Lawrence'a.

- Cześć - mruknęła.

- Cześć.

- Jakaś dobra wiadomość? - Wskazała głową na okulary.

Lawrence przez chwilę rozważał to pytanie. Miał ochotę opowiedzieć jej o wszystkim, pokazać, ile to dla niego znaczy. Takie wieści powinno się dzielić z bliskimi, a potem miło spędzić dzień, zjeść uroczysty obiad i zamówić szampana. Ale, prawdę mówiąc, jedyną osobą, która by to zrozumiała, był Ntoko. Lawrence podejrzewał, że kapral nie będzie zadowolony, gdy pijany szczęściem Lawrence Newton przerwie mu wakacje z rodziną i zacznie się przechwalać, że właśnie odchodzi z plutonu.

Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo jest samotny. Właściwie nie miał do kogo zadzwonić. Na całej tej planecie nie było nikogo, komu by na nim zależało.

Odłożył okulary na stolik, a potem przykrył ich oboje kołdrą. Kilka promieni słońca prześlizgnęło się zza zasłonek, oświetlając ich ciała. Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, czując na sobie jego wzrok. Mimo całej intymności tej sytuacji Lawrence nie czuł do niej niczego, żadnej sympatii, żadnej więzi, żadnego impulsu, by „choć spróbować”. Dziewczyna była tu tylko dlatego, że też miała ochotę na seks. Nie miał poczucia winy.

Tylko pomyśleć, że po jednej nocy z Roselyn był gotów spędzić z nią całe życie. Boże, ależ był wtedy naiwny. Zwykły wioskowy głupek. Teraz sam mógłby nauczyć ją paru sztuczek.

Jak zawsze, pojawiła się zdradziecka myśl: „Ciekawe, co ona teraz robi”.

- Nic ważnego - odpowiedział szorstko, zły, że pozwolił sobie na chwilę słabości. Przynal się bliżej i pocałował dziewczynę w ucho, a potem gardłowym szeptem powiedział,

co chciałby teraz zrobić. Powoli, jakby niechętnie, położyła się na brzegu łóżka, a potem zaczęła świętować sukces Lawrence'a w jedyny sposób, jaki mieli do dyspozycji.

\*\*\*

Linie Z-B codziennie wykonywały dwa kursy z Cairns do Paryża. Lawrence zarezerwował sobie miejsce w poddźwiękowym odrzutowcu, z postojem w Singapurze. W Paryżu przesiadł się na pociąg, który powiózł go poprzez porośnięte lasem połacie Europy aż do Amsterdamu. Wysiadł na starym Dworcu Centralnym w samym centrum miasta.

Przez panujące w Cairns upały prawie zapomniał, że na półkuli północnej jest dopiero wiosna. Wychodząc z dworca, włożył długi płaszcz, ale nie zapinał guzików, bo pogoda była słoneczna i bezchmurna.

Prins Hendrik Kade okazało się szeroką dwudziestopasmową ulicą przeznaczoną w całości dla rowerów. Lawrence jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu jednośladów naraz. Wszystkie miały lśniąco biały kolor i herb miasta wytłoczony na ramie. Wszędzie wokół dźwięczały dzwonki i Lawrence co chwila rozglądał się zaniepokojony. Dwukrotnie musiał szybko odskoczyć na bok przed rozpędzonym pojazdem. Widać było, że rowerzysta nie zamierza zwolnić.

Membrany optroniczne wyświetliły mu mapę miasta i po krótkiej decyzji Lawrence ruszył wzdłuż Dam Rak, długiej, szerokiej ulicy naprzeciwko dworca. Po torach wmontowanych w kocie łby toczyły się tramwaje. Nigdy jeszcze nie widział tak starożytnych maszyn i ze zdziwieniem stwierdził, że są w świetnym stanie. Dobrze było tak iść przez miasto i nie musieć na nic uważać. Na Quation nie zgotowano Z-B życzliwego powitania. Tutaj mieszkańcy uśmiechali się z sympatią, widząc jego fioletowy mundur.

Nie był zaskoczony. Z informacji, które pobrał z pamięci korporacyjnej, Z-B miała w Holandii wiele inwestycji. Wokół nich natychmiast wyrastało mnóstwo mniejszych firm dostarczających wsparcia. Kraj miał bardzo wysoki wskaźnik dobrobytu, nawet jak na standardy europejskie.

Pierwsze zderzenie z rzeczywistością nastąpiło, kiedy dotarł na plac, gdzie znajdowała się szkoła oficerska. Centrala Z-B w Amsterdamie mieściła się w pięciopiętrowym budynku. Wzniesiono go osiemdziesiąt lat wcześniej, ale wewnątrz urządzono z dziewiętnastowiecznym przepychem. Zamontowano też wysokie, pionowo przedzielone okna. Biorąc pod uwagę, że znajdował się on przy brukowanym placu naprzeciwko Pałacu Królewskiego, stylizacja pasowała doskonale.

Dwadzieścia metrów od głównego wejścia zebrała się grupka demonstrantów. Przynieśli ze sobą cylindryczny żelazny piecyk - chyba najprymitywniejszy model na Ziemi -

i piekli w nim ziemniaki. Z przodu, za kratą żarzyły się węgle, a poczerniały komin sprawiał, że cała konstrukcja przypominała starożytny silnik parowy. Szyld ponad stoiskiem zapraszał na ziemniaki z różnym nadzieniem, i to po bardzo niskich cenach. W rogu szyldu znajdowało się zielone kółko z wpisanym w środek stylizowanym wizerunkiem ptaka szeroko rozkładającego skrzydła.

Wyglądało na to, że nikt z przechodniów nie ma ochoty na ziemniaki. Demonstranci, w większości bardzo młodzi, przez cały czas śpiewali, co prawdopodobnie zniechęcało potencjalnych klientów. Lawrence nie znał tej piosenki, najwyraźniej była to jakaś melodia ludowa. Chropowate głosy wzmogły się, dumnie wykrzykując refren:

*Zwróćcie nam siebie*

*Zabierzcie swe złoto*

*Zwróćcie nam siebie*

*Zawróćcie swe statki*

*Zwróćcie nam siebie*

Kilkoro z nich trzymało panele holograficzne zatknięte na długich kijach, błyskające sloganami antykorporacyjnymi. Kilku znudzonych policjantów obserwowało ich z chodnika. Demonstranci gwizdali i szydzili na widok każdego, kto wchodził do budynku lub z niego wychodził. Personel Z-B przemyczał obok, starannie ich ignorując.

Gdy Lawrence wkroczył na schody, usłyszał obelgi skierowane pod swoim adresem. Uśmiechnął się i zamachał wesoło, wiedząc, jak bardzo to irytuje takich typów. Jego spojrzenie zogniskowało się na dziewczynie stojącej pośrodku grupy, ładniejszej od swoich towarzyszek. Miała drobne, subtelne rysy, które dodatkowo podkreślał skupiony wyraz twarzy. Była ubrana w staromodną granatową budrysówkę zapinaną na kołki, kaptur odrzuciła na plecy, odsłaniając kruczoczarne włosy spiętrzone w masę krótkich loków. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, a wtedy Lawrence uśmiechnął się lubieżnie i aż się roześmiał, widząc, jak spiorunowała go wzrokiem.

„Fanatycy przegranych spraw, ani krzty poczucia humoru”.

W holu za półokrągłym teakowym biurkiem siedziały trzy recepcjonistki. Jedna z nich skierowała go do szkoły, która znajdowała się w przybudówce na tyłach głównego budynku.

- Czego oni chcą? - spytał, wskazując na demonstrantów skrytych za szklanymi drzwiami.

- To regresjoniści - odparła kobieta. - Chcą, żebyśmy przestali wpływać na „ich” życie poprzez „naszą” politykę.

- Dlaczego?

Recepcjonistka spojrzała na niego z politowaniem.

- Bo nie jesteśmy demokratyczni.

- Ale przecież każdy może kupić udziały w Z-B.

- Niech im pan to powie.

Szkoła oficerska miała kształt szklanego sześcianu połączonego z centralą kilkoma mostami na trzecim i szóstym piętrze. Lawrence przeszedł dolnym łącznikiem, próbując opanować nerwy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spędzi kolejne trzy lata, ucząc się wszystkiego, od inżynierii systemów podtrzymania życia po astrologię. Ściągnięte przez niego materiały nie zawierały odpowiedzi na pytanie, dlaczego najbardziej płaski kraj świata został wybrany na teren treningowy dla załóg statków kosmicznych. Być może ktoś w korporacji miał duże wyczucie ironii.

Zgłosił się do kaprała dyżurującego w foyer i zaszalutował z rozmachem. Mężczyzna bez zainteresowania machnął ręką i wpisał go do AS administracyjnego.

- Proszę stawić się tutaj o siódmej piętnaście jutro rano - oznajmił. - Otrzyma pan wprowadzenie do testów. - Podał mu niewielką kartę. - Został pan zakwaterowany w hotelu Holiday Inn. Ma pan prawo do jednoosobowego pokoju, śniadania i obiadu. I niech pan nie próbuje płacić tym za piwo albo obsługę pokojową. Lunch podajemy tutaj, w mesie. Przydzielono pana do grupy epsilon trzy. Proszę się nie spóźnić - dodał na koniec i wrócił do swoich wyświetlaczy.

- Dziękuję. Eee... ile jest osób w grupie?

- Trzydzieści.

- A ilu studentów na roku?

Kapral obrzucił go zmęczonym wzrokiem.

- Przepracowujemy jedną grupę tygodniowo. Roczny limit przyjęć wynosi stu kadetów. Proszę sobie policzyć samemu.

Lawrence wrócił do wyjścia. Przeciętnie brali dwóch z jednej grupy. Szansa jak jeden do piętnastu. „Nie - poprawił się w myślach. - Szanse nie mają tu znaczenia. Dam sobie radę”.

Gdy wszedł do Holiday Inn, okazało się, że połowa osób w lobby jest z Z-B, a kilku z nich najwyraźniej przyjechało tu specjalnie na testy oficerskie. Rozpoznał ich z daleka. Młodzi, około dwudziestu lat, wysportowani, poważne miny, dobrze skrojone ubrania, z trudem próbujący ukryć nerwy. Domyślił się, że oni też go rozpoznali.

Tego samego dnia zszedł na dół do basenu i przepłynął milę. Jak zawsze po długim locie, kondycja trochę mu siadła, a przez ostatni tydzień nie prowadził zbyt zdrowego trybu życia. Wyszedł na brzeg całkiem zadowolony z siebie. Wysilek dodał mu pewności siebie, a



dzięki treningom Z-B przez ostatnich pięć lat był w znakomitej formie.

Lawrence nie mógł znieść myśli, że miałby zjeść kolację w hotelu. Restauracja prawdopodobnie była pełna kandydatów dokładających starań, by traktować rywala z szacunkiem.

A zatem o zmroku ruszył na krótki spacer po mieście. Centrum Amsterdamu było wspaniale zachowane. Po bokach kanału tłoczyły się malownicze stare domy, każdy z własnym wyciągiem na dachu. Mechanizmy wciąż działały. Używano ich do podnoszenia mebli, by wnieść je do środka przez okno. Na powierzchni czarnej wody pomiędzy łukowatymi mostkami unosiły się łodzie najróżniejszych typów - od maleńkich motorówek aż po dwupokładowe barki z ogrodem na dachu. Powierzchnia nabrzeża stała się tak cenna, że miasto od dwustu lat nie wydało żadnych nowych pozwoleń na barki mieszkalne. Instruktaż wspominał, że niektóre rodziny od ośmiu pokoleń mieszkały na tej samej barce.

Bar na Rembrandtplein, do którego w końcu zajrzał, serwował przyzwoite gorące dania i piwo, które podawało się za oryginalny holenderski lager. Nie było to najbardziej stylowe miejsce, ale w środku panowała miła atmosfera, a panel holograficzny wyświetlał transmisję sportową. Lawrence zajął stolik z tyłu knajpy i przejrzał menu. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że niektóre z pozycji w karcie to narkotyki, w tym kilka twardych. Lżejsze można było zamówić w charakterze garniszu.

Kelnerka przyjęła zamówienie i po chwili przyniosła kufel rzekomego lagera. Lawrence rozsiadł się wygodnie i rozejrzał wokół. Na dużym panelu po prawej stronie wyświetlano mecz Manchester United z Monako. Zachichotał i popił lagera.

Dziewczyna ze straganu demonstrantów siedziała przy barze, obrzucając go chłodnym spojrzeniem, Lawrence mało nie spadł z krzesła, ale potem uśmiechnął się i uniósł kufel, jakby salutował. Nieznajoma szybko odwróciła wzrok.

„Co za szkoda”, pomyślał. Siedziała z kilkoma dziewczynami, bez żadnych facetów. Budrysówkę przerzuciła przez oparcie krzesła. Miała na sobie cienki szkarłatny golf i absurdalnie długi szal, luźno owinięty wokół szyi, a do tego obszerne oliwkowozielone spodnie przewiązane szerokim tęczowym paskiem. Dziewczyna w takich ciuchach i w tym wieku - Lawrence uznał, że jest jakieś trzy-cztery lata młodsza od niego - mogła być tylko studentką. Pewnie studiowała filozofię albo socjologię. Coś kompletnie bezużytecznego.

Za chwilę zjawilo się jego zamówienie. Makaron z trzema serami i wędzoną szynką, plus pieczywo czosnkowe. Bez haszyszu.

Zaczął owijać nitki makaronu wokół widelca.

- I jak? Zabiłeś dziś kogoś?

Spojrzał w górę. Demonstrantka stała tuż obok niego.

„Zupełnie jak Roselyn. Zjawiła się znikąd, żeby do mnie zagadać”.

Jednak przypuszczał, że jej motywacja jest zupełnie inna.

- Ani dzisiaj, ani w ogóle - odpowiedział grzecznie. Dziewczyna miała za szeroki nos, by uchodzić za klasyczną piękność, ale w jej oczach płonął blask żywej inteligencji, analizującej i oceniającej wszystko, co widziała. I właśnie ta czysta, surowa wrogość czyniła ją bardzo atrakcyjną. Zaciągnięcie jej do łóżka byłoby niezłym osiągnięciem.

- Jesteś jednym z ich cyberżołnierzy - stwierdziła. - Masz zawory na szyi.

Mówiła z dziwnym akcentem, którego nie umiał określić.

- A ty jesteś rozpieszczoną księżniczką. Widzę, że całe dnie spędzasz na Dam, podczas gdy normalni ludzie muszą pracować na życie.

Jej policzki pociemniały z wściekłości.

- Poświęcam czas, by osiągnąć coś wartościowego: wasz upadek.

- I jak? Odnosiłeś sukces? - Lawrence słyszał kiedyś, że przeciwnictwa się przyciągają, ale to już była przesada. Miał wrażenie, że dziewczyna za chwilę obleje go drinkiem. Na szczęście nie miała broni. A może?...

- Odniesiemy - odparła.

- A kto będzie nadzorował nasze fabryki i projekty rewitalizacyjne, gdy już nas wypędzicie? Ty i twoi przyjaciele?

- Zamkniemy wasze fabryki. Nie chcemy takiego społeczeństwa.

- Ach, zielona anarchia. Ciekawa ideologia. Powodzenia w przekonywaniu ludzi.

- Marnuję tylko czas. Ty nawet nie próbujesz myśleć, po prostu recytujesz korporacyjne slogany. Zaraz powiesz mi, że jeśli chcę mieć na coś wpływ, powinnam kupić udziały.

Lawrence ugryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć; „Właśnie tak”.

- Czy twoja kariera i udziały są aż tyle, by zdobywać je kosztem ludzkiej krzywdy?

Wyglądała, jakby pytała zupełnie szczerze. Był to najgorszy rodzaj studenckiej polityki: możemy zmienić świat, trzeba tylko otworzyć się na dialog. Spróbujcie otworzyć się na dialog z oszalałym tłumem, który ciska w was koktajlami Mołotowa.

- Nigdy nikogo nie skrzywdziłem - odparł miękko.

- Brałeś udział w kampaniach, podczas których okrada się inne światy. Jeśli to nie jest krzywda, to nie wiem, co nią jest.

- Nikogo nie krzywdzimy. Poza tym nasze kampanie pomagają sfinansować

największe przedsięwzięcie ludzkości.

- Jakie?

- Zakładanie kolonii na innych planetach.

- Mój Boże! Jesteś jeszcze gorszy niż cyberżołnierz. Jesteś zwolennikiem ekocydu!

- Szczerze mówiąc, to jeszcze gorzej. Przyjechałem do Amsterdamu, żeby wstąpić do szkoły oficerskiej. Zamierzam odszukać wiele nowych planet, na których przeprowadzimy ekocyd.

Dziewczyna potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Dlaczego? - spytała, szczerze zdziwiona. - Dlaczego chcesz na to pozwolić? Właśnie dlatego was nie rozumiem. Czemu uważacie, że każdy postęp wymaga niszczenia tego, co naturalne? Jeśli odczuwacie popęd niszczenia, to dlaczego nie przekształcicie go w coś twórczego?

- Odkrywanie wszechświata to najbardziej twórcze przedsięwzięcie w historii. To punkt kulminacyjny tysiący lat ludzkiej cywilizacji.

- Loty kosmiczne to koszarne marnotrawstwo pieniędzy i zasobów. Z-B praktykuje zwykły imperializm międzygwiazdny. Takie zachowanie nie ma żadnego uzasadnienia. Mamy tu własną planetę, która desperacko potrzebuje pomocy, praktycznie w każdej dziedzinie, ale nie możemy jej udzielić, bo korporacje wykrwawiają nas na śmierć.

- Z-B przeznacza tę samą ilość pieniędzy na rewitalizację miast i środowiska.

- Ale tylko według waszych projektów rewitalizacyjnych. Kształtujecie wszystko na swoje podobieństwo, rozprzestrzeniając korporacyjną monokulturę na słabsze społeczeństwa.

- Okej, rozumiem, do czego zmierzasz. Chcesz, żeby przeznaczono więcej pieniędzy na rzeczy, które uważasz za istotne. To dość naturalne - przekonywać rządy albo korporacje, żeby sfinansowały twojego konika, albo przeciągnąć wyborców na swoją stronę. Ale posłuchaj: nigdy, przenigdy nie dostaniesz mojego głosu, bo ja zawsze zagłosuję za budową statków. A jedyne, co może mi to zapewnić w praktyce, to kupno udziału w Z-B. Przykro mi. Nie dam się przekonać. Już teraz zajmuję się tym, w co wierzę najbardziej.

- Jesteś w błędzie i w głębi serca dobrze o tym wiesz.

- Nie wiem. Obawiam się, że wszystkie twoje argumenty spływają po mnie jak woda po kacze, bo nie potrafisz wyjść poza własny ograniczony horyzont. Nie odczuwasz żadnej naturalnej ciekawości. Uparłaś się, by patrzeć tylko na najmniejszy piksel w tym obrazie. Prezentujesz zaściankowość najgorszego rodzaju.

- Dostrzegam cały ten świat i jego krzywdę.

- O, to, to! Ten świat i żaden inny. Gdyby nie loty kosmiczne, nigdy bym się nie

urodził. Jestem z innej planety - Uśmiechnął się, widząc jej zdziwienie. - Pochodzę z Amethi. Od razu dodam, że nie praktykujemy tam ekocydu. Regenerujemy całą biosferę tej planety. I myślę, że summa summarum tak wielkie osiągnięcie jest warte swoich kosztów.

- Nie urodziłeś się na Ziemi? - upewniła się dziewczyna.

- Tak, właśnie.

- A jednak przyleciałeś tu, żeby wstąpić do Z-B i rozbijać się ich statkami po galaktyce?

- Aha.

Jej śmiech był pełen czystego niedowierzania.

- Wariat z ciebie.

- Może i tak. - Lawrence odpowiedział uśmiechem. - Będziesz mi życzyć szczęścia na jutrzejszej ewaluacji?

- Nie. Tego nie mogę zrobić - odparła ze smutkiem i odwróciła się od stolika.

- Hej! - zawołał za nią. - Nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

Przez chwilę miał wrażenie, że dziewczyna go zignoruje. Ale potem spojrzała przez ramię, przeczesując palcami bujną czuprynę, aż w końcu podjęła decyzję.

- Joono - rzekła. - Joono Beaumont.

- Joono. Ładnie. Podoba mi się. Ja jestem Lawrence Newton. Życzę dobrego życia, Joono.

W końcu, zanim odeszła z powrotem do baru, pozwoliła sobie na lekkie skrzywienie kącików ust w uśmiechu.

\*\*\*

Śniadanie okazało się dokładnie tak przygnębiające, jak się wcześniej spodziewał. Hotel pełen był kandydatów do szkoły oficerskiej, wszyscy uśmiechnięci i w dobrym humorze. Lawrence dołączył do nich, nakładając tę samą oficjalną maskę, której używał w domu, gdy rozmawiał z gośćmi swojego ojca, i musiał zachowywać się jak grzeczny mały Newton. Ze zdziwieniem przekonał się, jak łatwo mu to przyszło.

Pozostali kandydaci pochodzili z rodzin kierowniczych posiadających duże udziały w Z-B, wszyscy tuż po studiach albo praktykach spędzonych w różnych działach ds. lotów. Lawrence, ubrany w mundur bezpieczeństwa strategicznego i otrząskany z lotami kosmicznymi, szybko znalazł się z centrum zainteresowania. Gdy wchodzili do budynku centrali, wciąż jeszcze opowiadał im o Florydzie i kosmitach. Po drodze rozejrzał się wokół, ale na placu nie dostrzegł żadnych demonstrantów. To jasne, było jeszcze wcześniej.

Grupa epsilon rozpoczęła od porannego wprowadzenia, półgodzinnej pogadanki

dotyczącej oczekiwań Z-B wobec przyszłych oficerów. Standardowe pitolenie o obowiązkach, przyjaźni i profesjonalizmie. Lawrence musiał słuchać takiej pogadanki za każdym razem, gdy pluton odbywał kolejny kurs szkoleniowy.

- Oczekujemy, że dacie z siebie więcej niż wszystko.

Pierwszy dzień poświęcono na testowanie refleksu. I-środowisko używane przez szkołę było chyba najnowocześniejszym, jakie Lawrence widział w życiu. Dali im pełne kombinezony stymowe - obcisłe jednoczęściowe kostiumy uszyte z piezoelektrycznych włókien - po czym wprowadzono ich do wielkiej sali wyposażonej w trzy rzędy żyrosiedzeń. Gdy już przypięli się pasami, AS rozpoczął proste ćwiczenia z koordynacji ruchowej. Z początku były bardzo łatwe. Polegały na przykład na przesuwaniu obiektów w ramach trójwymiarowych siatek, gdzie łączyli ze sobą zielono-szkarłatne symbole.

Potem szybko przeszli do kierowania pędzącymi samochodami poprzez labirynt, a program stopniowo wprowadzał ograniczenia w ruchomości kierownicy i fluktuacje w pracy silnika. Stłuczki stały się coraz bardziej brutalne. Po lunchu posadzono ich na symulatory lotu odrzutowców. Dopiero wtedy AS zaczął testować ich odporność na stres, powodując tyle awarii silnika, klap i niekontrolowanych korkociągów, że Lawrence mało się nie pochorował. Sprzęt zawodził w krytycznym momencie. W pewnym momencie w kokpicie wybuchł pożar i poprzez otwory wentylacyjne do helmu dostał się prawdziwy dym, a gorąco parzyło ręce i nogi.

Gdy w końcu było po wszystkim, Lawrence musiał się chwycić wspornika żyrosiedzenia i odczekać, aż nogi przestały się pod nim trząść. Gdy znów spotkali się w szatni, wśród pozostałych kandydatów dał się zauważyć wyraźny spadek ducha bojowego.

Kiedy wyszli z budynku centrali, padał deszcz - lekka, chłodna mżawka, zacinająca czasem w porywach wiatru. Jooną Beaumont stała na placu, z kołnierzem postawionym na sztorc, by ochronić się przed zimnem i przytupywała na bruku. Towarzyszyło jej tylko troje innych demonstrantów, nie było też straganu z ziemniakami. Trzymali transparenty, ale najwyraźniej zabrakło im ducha, by wznosić okrzyki.

Lawrence skinął jej głową, ale nie odpowiedziała. Nie był nawet pewien, czy go zauważyła.

Godzinę później, gdy przestało padać, ruszył do baru na Rembrandtplein. Tym razem nie zawracał sobie głowy wybieraniem stolika, po prostu usiadł przy barze i zamówił sok mango-jabłkowy.

Jooną zjawiała się kilka minut później. Tym razem zobaczyła go od razu. Lawrence wskazał pusty stółek obok swojego, a ona przez chwilę się zawahała. Potem podeszła,

otrząsając wodę z płaszcza.

- Strasznie zmokłaś - stwierdził. - Mogę ci postawić coś ciepłego?

Dziewczyna skinęła na barmana.

- Poproszę herbatę. I dorzuć gram, dobrze?

- Chyba wiesz, że to szkodliwe? - spytał.

- A co? Zapycha ci obwody? - odcięła się. - Ty chyba nie lubisz tracić kontroli.

- Nie, nic z tych rzeczy. To trucizna i tyle.

- Wszystkie leki to w pewnym stopniu trucizna. Dzięki temu zabijają zarazki. To wszystko jest całkowicie naturalne.

- Jasne. Jak ci minął dzień?

- Wygłosiliśmy swoje zdanie.

- Ktoś was posłuchał?

- Sama nasza obecność wystarcza.

Za chwilę zjawiała się herbata. Jooną obdarzyła barmana uśmiechem.

- Nie zapytasz, jaki mi minął dzień?

- Nie.

- W porządku - odparł Lawrence. Rzucił na ladę dziesięciodolarowy banknot Z-B, wstał i wyszedł.

W duchu zachwycał się, jaki z niego twardziel.

Jednak trochę zepsuł efekt, gdy już w drzwiach obejrzał się, by zobaczyć, jak zareagowała Jooną. Okazało się, że w ogóle. Siedziała oparta łokciami o bar i dmuchała na swoją herbatę.

Lawrence wzruszył ramionami i wkurzony ruszył w noc.

Drugi dzień polegał na rozwiązywaniu łamigłówek. AS sterujący i-środowiskiem umieścił go na małej tropikalnej wysepce długości czterystu metrów i szerokości siedemdziesięciu stóp. Wzdłuż wybrzeża rosnęły kilka palm i kolczastych krzewów, ale poza tym było tam zupełnie pusto. Lawrence dowodził pięcioosobową grupą, która wcześniej nurkowała na rafie. Jeden z nich był ciężko ranny, do tego stopnia, że nie dało się go przynieść. Cierpiał na chorobę dekompresyjną i bliżej nieokreślone obrażenia wewnętrzne, wymagał pilnej pomocy medycznej. Otaczały ich trzy wyspy. Na jednej z nich znajdował się kompleks wypoczynkowy, na drugiej opuszczony zakład pozyskujący plankton, a trzecia była opuszczona, ale akurat przebywała tam inna grupa nurków. Od kompleksu wypoczynkowego dzieliła ich największa odległość, a fabryka planktonu podobno miała na wyposażeniu doskonałe apteczki i zbliżony do AS mechanizm diagnostyczny. Mieli do dyspozycji tylko

jedną łódź, w której nie zdążyliby dotrzeć na czas do kurortu. Nie było żadnych urządzeń komunikacyjnych.

Lawrence spojrzął na mapę, porównując położenie wysp. Zostawił dwóch ludzi, którzy mieli zaopiekować się rannym, a sam ruszył łodzią na poszukiwanie drugiej grupy nurków. Poprosił ich, by popłynęli do fabryki planktonu i zabrali stamtąd apteczkę, a następnie sam ruszył do kurortu. Ponieważ był sam, wyrzucił za burtę cały nadprogramowy sprzęt i płynął tak szybko, jak tylko zdołał. Teoretycznie, apteczka przyniesiona przez nurków powinna utrzymać rannego przy życiu, póki nie nadleci helikopter z kurortu.

AS zaakceptował jego scenariusz, chociaż ratownicy z helikoptera skrytykowali go za to, że przybył osobiście. W drugiej grupie znajdował się doświadczony żeglarz, który pokonałby tę trasę szybciej. Ale ranny przeżył.

Jego druga ekspedycja prowadziła w głęboki, skalisty wąwóz z dżungli. W tych warunkach jego mały zespół poruszał się znacznie wolniej, niż sądził, w dodatku zaczęła im się kończyć żywność. Ściany wąwozu były zbyt strome, by się po nich wspiąć.

Lawrence zapytał pozostałych o ich umiejętności i dowiedział się, że jeden z członków wyprawy potrafi pływać canoe. Grupa zrąbała kilka drzew i zbudowała prowizoryczną tratwę. Następnie człowiek w canoe został wysłany w dół rzeki, by zanieść wiadomość do bazy.

Po dwóch kilometrach tratwa wpadła w silne prądy - tak gwałtowne, że nie sposób było je pokonać. Wioślarz musiał zaczekać, aż dołączy do niego reszta grupy, po czym pomoże mu w przebudowie tratwy, tak by dało się rozebrać i przenieść lądem wzdłuż trudniejszych odcinków. Idea była dobra, ale wykonanie nieprzemysłane.

Później pojawiła się arktyczna pustynia. Lawrence stał samotnie pośrodku kręgu utworzonego z różnych skrzynek. Aby dostać się do żywności, która stała na grzbiecie zwałów lodu, potrzebował sprzętu do wspinaczki, jednak przedmioty były zbyt ciężkie i za duże, by nieść je w plecaku. Potrzebne mu były sanie, które znajdowały się po drugiej stronie bezdennej rozpadliny. Aby przejść nad tą otchłanią po zarywającym się moście, potrzebował sań.

Nie potrafił tego rozgryźć. Ale zrobił, co mógł: wyjął zwój liny ze skrzynki z ekwipunkiem i spróbował przeskoczyć nad przepaścią uwieszony na linie. Niestety, runął w dół, gdy Czekan lodowy odpadł od ściany.

Potem nadszedł czas na klasyczny labirynt. AS umieścił go w pokoju wyposażonym w pięcioro drzwi, z których każde prowadziły do innych drzwi. Niebezpieczeństwa zwykle były dobrze widoczne - lekko uniesione płyty posadzki, płomienie, rozkołysane wahadło, miejsca

pod napięciem, kamienie spadające z sufitu, potykacze aktywujące strzałki, trujący mech i stada szczurów, choć były też i inne - na przykład obłok gazu albo ultradźwięki, którymi obrywał dopiero, gdy wszedł do sali. Na wszystkich drzwiach umieszczono podpowiedzi zdradzające, co jest w środku. Czasem były to cyfry, czasem symbole, znaki zodiaku, a nawet wiersze.

Miał do dyspozycji pięć rund. Jego najlepszy wynik stanowiło pokonanie ośmiu pokoi.

Podczas kolejnego testu umieszczono go na statku, w który właśnie uderzył meteor. Systemy podtrzymania życia przestawały działać, powietrze uciekało, moc spadała, sieć przerywała połączenie, nie było skafandrów i bardzo niewiele narzędzi. Musiał przejść przez silnie uszkodzony przedział statku, by dotrzeć do kapsuły ewakuacyjnej umieszczonej za kołem mieszkalnym.

Następnie AS ubrał go w skafander z niewielkim zapasem tlenu i słabym zasilaniem i posadził na niewielkiej asteroidzie. Musiał dotrzeć do statku znajdującego się po przeciwnej stronie. Miał do dyspozycji wiele różnych sensorów, które mógł wyłączyć, by zyskać więcej mocy. Mikrogravitacja asteroidy była na tyle duża, że nie mógł wzbić się w powietrze wyłącznie siłą mięśni, a z drugiej strony, wciąż musiał się zmagać ze wszystkimi problemami, jakich nastęczało poruszanie w stanie nieważkości. Umarł, gdy mały, srebrzysty pojazd był już w zasięgu wzroku.

Tego wieczoru w szatni było nawet ciszej niż poprzedniego dnia. Kandydaci wyglądali na oszołomionych i niepewnych siebie. Wszystkie rozmowy stanowiły wariacje na temat:

- Ale co zrobiłeś, kiedy...

Na placu nie było żadnych demonstrantów. Dziwne, bo pogoda znacznie się poprawiła. Po niebie przesuwały się wysokie chmury, a od lądu wiał zimny wiatr. Ale mimo wszystko było dość zimno. Lawrence pomyślał, że chętnie zjadłby pieczonego ziemniaka.

Gdy wszedł do baru, Jooną już tam była. Siedziała na swoim zwykłym miejscu, otoczona przez puste stołki. Lawrence nie był pewien, jak wyglądają teraz ich relacje, więc dla pewności usadowił się o jeden stół dalej i zamówił swój sok.

- Może powinieneś poprosić o coś mocniejszego? - podsunęła. - Wyglądasz, jakbyś miał ciężki dzień.

- Alkohol nic tu nie da. Poza tym wygląda na to, że jutro będzie jeszcze gorzej. Muszę mieć czysty umysł.

- Warto się tak męczyć?



Lawrence pociągnął długi łyk ze szklanki.

- O, tak.

- Nie wydaje mi się. Spójrz na siebie. Co oni ci dziś zrobili?

- Może powiem tak: jeśli kiedyś rozbijesz się samolotem na lodowej pustyni zamieszkałej przez ludożercze zombie, to trzymaj się blisko mnie. W porównaniu z tym, co dziś przeszedłem, to pestka.

Joona przekrzywiła głowę, obrzucając go zainteresowanym spojrzeniem.

- I jak to ma pomagać w wyborze przyszłych oficerów?

- Testuje naszą umiejętność myślenia pod presją. Przez cały dzień wrzucali nas w sam środek najróżniejszych sytuacji. - Obrócił szklankę w dłoniach, wpatrując się w nią nieszczęśliwym wzrokiem. - Niezbyt dobrze mi poszło. Sam już nie wiem, ile razy zginąłem. Ale z tego, co słyszałem od innych to chyba poradzili sobie niewiele lepiej.

- Dobry jesteś?

- Co masz na myśli?

Joona przesunęła rękę po barze, odsuwając od siebie filiżankę. Nachyliła się ku niemu z kocią gracją.

- To znaczy... jesteś żołnierzem, prawda? Bywałeś już w ciężkiej sytuacji na którejś z tych planet, które plądrowaliście?

- Tak. Ale przed wyruszeniem szkolili nas we wszystkim. Tłumaczyli, jak radzić sobie z wrogiem tłumem albo w razie napaści. Wtedy wiem, co robić.

- Tak, ale wszystko sprowadza się do tego, by zachować opanowanie, kiedy robi się gorąco. Teraz po prostu podkręcili płomień. Te sytuacje naprawdę były bez wyjścia czy po prostu dałeś ciała?

- Oho, widzę, że nie bierzesz jeńców. Pewnie w niektórych przypadkach mógłbym się spisać lepiej, gdybym lepiej znał się na inżynierii i takich tam.

- A nie przyszło ci do głowy, że te testy mogą mieć podwójny cel? Moim zdaniem testują nie tylko umiejętność myślenia, ale i charakter.

Lawrence zgarbił się na stołku.

- Pewnie tak. W takim razie mam przejebane.

- Dlaczego? - spytała z leniwym rozbawieniem. Lawrence dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaka jest naćpana.

- Bo nie mam charakteru. Sama to powiedziałaś.

- Wcale nie. Powiedziałaś, że masz niewłaściwy charakter, a to powinno się świetnie sprawdzić w takim eksperymencie. Właśnie kogoś takiego potrzebują.

- Miejmy nadzieję. Dasz radę wrócić do domu?

Dziewczyna wyprostowała się gwałtownie.

- Nie potrzeba mi twojej pomocy. Mam kartę rowerową. Wezmę sobie rower ze stojaka i fiuuu! Jestem w domu. - Spojrzała na barmana i pokiwała palcem, wskazując filiżankę.

- Jeszcze raz to samo.

Lawrence dopił sok i wstał.

- Uważaj na siebie.

Przed wyjściem podszedł do drugiego końca baru, gdzie barman właśnie parzył herbatę.

- Proszę coś dla mnie zrobić - powiedział cicho. - Gdy będzie wychodziła, proszę wezwać jej taksówkę. To powinno wystarczyć. - Położył na blacie europejską dwudziestodolarówkę.

Barman skinął głową i schował banknot do kieszeni.

- Jasne.

Trzeci dzień upłynął pod znakiem pracy zespołowej. AS podzielił kandydatów na pięcioosobowe grupy i umieścił ich we współdzielonym i-środku. Seria składała się z ośmiu testów. Przez pierwsze pięć wszyscy na zmianę pełnili funkcję dowódcy grupy, podczas ostatnich trzech wszyscy mieli równy głos.

W charakterze pierwszego ćwiczenia grupa Lawrence'a miała przepłynąć na drugi brzeg rzeki. Znajdowali się w środku dusznej, upalnej dżungli, pełnej owadów kęsających odsłonięte miejsca i bulgoczących bagien wydzielających zapach siarki. Ze środka rzeki zerkały na nich krokodyle, od czasu do czasu kłapiąc paszczami w oczekiwaniu. Na brzegu ułożono liny, beczki smaru i deski. Niestety, było ich mało - nawet ułożone jedna za drugą nie sięgnęłyby na drugi brzeg.

Dowódca grupy zaczął wykrzykiwać rozkazy. Zamierzał zbudować platformę sięgającą do połowy rzeki, a potem zabrać deski z tyłu i przymocować na przodzie. Lawrence pomagał z zapalem, chociaż wiedział, że to strata czasu. Powinni zbudować tratwę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zacząć się ociągać, albo może zawiązać węzeł luźniej niż należało. Nie byłby to otwarty sabotaż... ale skoro pomysł dowódcy i tak musiał przepaść? Tylko dwa miejsca dla kandydatów. Uznał jednak, że AS prawdopodobnie monitoruje wszystkich, szukając śladów braku zaangażowania.

Oczywiście, gdy tylko zamienili most w platformę i zaczęli budować ostatni odcinek, dwóch ludzi zaraz wpadło do wody. Krokodyle rzuciły się na nich, szeroko otwierając

paszcze.

Podczas swojej rundy Lawrence musiał umieścić ostatni głaz w prymitywnym kręgu warownym. Szybko przejrzał ekwipunek, który otrzymali, głównie tyczki, łopaty i liny, i wydał pozostałym instrukcje. Zmierzyli długość głazu i wysokość innych - dzięki temu ustalili, jak głęboki dół należy wykopać. Potem przez dłuższy czas usiłowali wsunąć głaz do dziury, używając zaimprovizowanego systemu bloczków i dźwigni. Ta część wymagała największej koordynacji. Na szczęście, wszyscy pracowali idealnie, dokładnie wykonując rozkazy Lawrence'a. Ostatecznie masywny blok stanął na sztorc. Przez chwilę kołysał się na boki, ale w końcu znieruchomiał.

Trzy ostatnie testy wprawiły go w irytację, a później w zawód. Członkowie grupy byli za bardzo pochłonięci rywalizacją. Każdy upierał się przy realizacji własnego pomysłu. Lawrence podejrzewał, że AS specjalnie dobrał zadania w taki sposób, by każdy problem miał kilka różnych rozwiązań. Kandydaci bez przerwy kwestionowali swoje decyzje, jęcząc i narzekając, zwłaszcza gdy odrzucono ich własny pomysł. Lawrence był przekonany, że to właśnie on znalazł najskuteczniejsze rozwiązanie drugiego zadania i próbował krzykiem nakłonić pozostałych do współpracy, ale jego towarzysze zareagowali otwartą wrogością. Wszyscy byli zajęci raczej rywalizacją niż współpracą. Symulacje powoli odchodziły od rzeczywistych scenariuszy. Lawrence miał świeżo w pamięci doświadczenia z własnym plutonem i wiedział, że w rzeczywistości znacznie łatwiej się dogadać.

Tego wieczoru prawie nikt się nie odzywał. Lawrence słyszał, że wśród innych zespołów podczas trzech ostatnich zadań o mało nie doszło do bójek. Przynajmniej jego własna grupa zachowywała się względnie spokojnie. Miał nadzieję, że policzą im to na plus.

Joona stała na placu. Stragan z ziemniakami znów się pojawił, podobnie jak grupka demonstrantów. Dziewczyna szybko dostrzegła Lawrence'a i ruszyła prosto na niego. Mężczyzna zbył uśmiechem zdziwione spojrzenia pozostałych kandydatów, chociaż dobrze wiedział, co im chodzi po głowie.

- To twoje - oznajmiła krótko Joona, wciskając mu dwudziestkę do ręki. - Nie potrzeba mi twojej litości.

- To nie była litość. Po prostu martwiłem się o ciebie.

- A prosiłam, żebyś się martwił?

- A jak miałabyś to zrobić? Nie wiedziałaś nawet, na jakiej jesteś planecie.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie i odeszła do swoich przyjaciół.

- Radziłam sobie doskonale, zanim się zjawileś, kosmiczny chłopczyku.

- Przepraszam, że żyję! - wrzasnął za nią Lawrence.

Czwarty dzień przeznaczony był na wywiady i ewaluacje. Lawrence'a wzięli w krzyżowy ogień dwaj wykładowcy szkoły, wypytyując go o rodzinę, pochodzenie, motywację i osobiste preferencje. Wiedział, że powinien stwarzać wrażenie grzecznego i odprężonego, uczciwego i świadomego własnych słabości, obdarzonego poczuciem humoru, a przy tym szalenie interesującego. Zaprezentowanie tego wszystkiego w jedyne półtorej godziny to nie lada wyczyn, zwłaszcza gdy człowiek opowiada historię swojego życia i koloryzuje, jak może, byle tylko inkwizytorzy uznali, że za żadne skarby nie mogą go utracić.

Drugą rozmowę odbył z asystentką zastępcy dyrektora - jowialną, starszą panią ubraną w strój rodem z zeszłego stulecia, co prawdopodobnie miało dodawać jej autorytetu. Siedzieli po przeciwnych stronach stalowobłękitnego biurka w jej gabinecie na czwartym piętrze. Z okien rozciągał się ładny widok na pobliski kanał.

Po panelu stacjonarnym przesuwali się dane, ale Lawrence nie mógł ich odczytać - panel był nachylony pod niewłaściwym kątem.

- Ma pan bardzo dobre wyniki z symulacji - stwierdziła. - Dobry refleks. Dobra orientacja przestrzenna. Wysoka zdolność logicznej analizy. Poprawna integracja z dynamiką grupy. Szybka ocena sytuacji. Chce pan to jakoś skomentować, panie Newton?

- Ostatnie trzy symulacje nas dobiły. Za duża rywalizacja.

- To prawda. Właśnie dlatego są w programie. Powiedzmy, że to miara tego, jak bardzo potrafi pan być bezinteresowny.

- A byłem?

- Zdecydowanie był pan świadom swojej sytuacji. Bardzo dojrzała reakcja. Ma pan potencjał na oficera.

- Doskonale. - Lawrence nie mógł zapanować nad wygłodniałym uśmiechem.

- Co stwarza pewien problem. Widzi pan, w tym tygodniu zależy nam nie tylko na zdolnościach kandydata. Musimy wziąć pod uwagę także wielkość jego udziałów. I, szczerze powiedziawszy, mamy tu kandydatów o podobnych wynikach, którzy posiadają znacznie większy pakiet.

Lawrence zmusił twarz, by zastygła w wyrazie grzecznego szacunku.

- Podejrzewam, że wszyscy z nich prawdopodobnie odziedziczyli te udziały. Żołnierz w mojej randze nie jest w stanie zarobić większego udziału niż ten, który teraz posiadam. Wielu członków plutonu otrzymuje jeszcze mniejszy procent, co powinno być dostatecznym dowodem mojego zaangażowania na rzecz Z-B.

- Tak, Lawrence, to godne podziwu, podobnie jak raport, który napisał o tobie dowódca. Ale liczby mówią same za siebie, musimy więc trzymać się wybranych metod

selekcji. Rozumiesz to, prawda?

Skinął głową. „To egzekucja - pomyślał nagle. - Odrzucają mnie. Nie udało się. Nie udało!". Zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

- To dobrze - odparła kobieta. - Sugeruję, byś spróbował ponownie za kilka lat. Osiągnąłeś na tyle wysoką punktację, że spokojnie przyjmemy cię na kolejną ewaluację. Do tego czasu twój udział powinien wystarczająco wzrosnąć.

- Dziękuję.

Do tego sprowadzono marzenie jego życia. „Dziękuję”. Pięć lat poświęconych firmie, z narażeniem życia. „Dziękuję”. I po to zostawił za sobą swój świat, życie, rodzinę, swoją jedyną miłość. „Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję, kurwa”.

Było zimno i słonecznie, gdy wymaszerował z budynku i zbiegł po schodach. Niebo było lazurówbłękitne i całkiem bezchmurne. Zamrugnął oczami, porażony blaskiem słońca - to pewnie dlatego oczy zaszyły mu łzami. Zwykle gdy wychodził, było już ciemno. Ludzie wchodzili mu w drogę, ale brnął naprzód, nie zważając na protesty. Tramwaje też mogły, kurwa, zaczekać. Pierdoleni rowerzyści, zawsze włożą człowiekowi w drogę.

Na szczęście, bar był prawie pusty, ale w końcu była dopiero trzecia po południu. Lawrence zdecydował, że gdy zjawi się tłum wieczornych gości, przeniesie się do hotelu i przez resztę nocy będzie zamawiał alkohol do pokoju. Rozpiął płaszcz i klapnął na stołek.

- Margarita, jeden kieliszek, jeden dzbanek. - Z rozmachem położył kilka dwudziestek na barze. - I to porządny kieliszek, z solą.

- Tak jest. - Barman nie zamierzał się sprzeczać, w każdym razie nie teraz.

Lawrence schował twarz w dłoniach i westchnął boleśnie, zdziwiony, że jeszcze nie wrzeszczy z rozpacz.

- Kurwa! Kurwa, kurwa, dupa!

Ktoś usiadł na stołku tuż koło niego. Tak jakby nie miał do dyspozycji całej reszty tej pierdolonej planety. Lawrence okręcił się ze złością, by powiedzieć intruzowi, żeby się...

- Och.

- Pomyślałam, że lepiej sprawdzę, co się z tobą dzieje - wyjaśniła Jooną z lekkim zakłopotaniem. - Prawie wpadłeś pod tramwaj.

Lawrence odwrócił się z powrotem.

- Masz tu swój moment tryumfu. Możesz się nacieszyć.

- Cierpienie innych nie powinno być powodem do radości.

- W takim razie odpuść mi to hipisowskie pieprzenie, bo szlag mnie trafi.

- Odrzucili cię.

- Aha. Teraz jasne? Odrzucili mnie. Skurwysyny.

- Powiedzieli chociaż dlaczego?

- Jestem za biedny. Wszystko się do tego sprowadza. Za małe udziały w firmie. Mam trzydziestoprocentową inwestycję w akcje Z-B. Jedna trzecia wszystkiego, co zarobię, wraca z powrotem do firmy. Czego, kurwa, jeszcze chcą?

- Nie wiem. A czego ty od nich chcesz?

- Uczciwych szans. Nie, serio, powinienem był to przewidzieć wcześniej. Wiem, jak działają korporacje i co się dla nich liczy.

Barman postawił na blacie dzbanek z drinkiem, a potem postawił kieliszek do podkładce. Był to porządnie przygotowany kieliszek do margarity, z cienką warstewką soli wokół rantu.

- A co się liczy?

- Polityka wewnętrzna. Napijesz się czy musisz zaraz wracać i pokrzyczeć na moich kumpli-cyborgów?

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie mamy stałych godzin pracy.

Lawrence skinął na barmana.

- Jeszcze jeden kieliszek.

\*\*\*

Bolesnemu przebudzeniu towarzyszył jego nieodłączny kompan: lekka dezorientacja. „Gdzie ja jestem?”. Lawrence otworzył oczy i stwierdził, że leży w podłużnym pomieszczeniu wyposażonym w kilka mebli: biurko i kilka wytartych foteli. Podłogę pokrywały gołe deski gdzieniegdzie przykryte dywanikami. Naprzeciwko znajdowało się szerokie łukowato sklepione okno zasłonięte grubymi, staroświeckimi zasłonkami. Zza skraju tkaniny do środka wpadał blask ulicznych latarni, rzucając na ścianę ponury sodowożółty blask. Ponad małym kominkiem wisiało kilka dużych wydruków; plakaty reklamujące różne wystawy i recitale poezji sprzed kilku dekad. Było to ewidentnie studenckie mieszkanie. Drzwi oświetlał jasny prostokąt. Gdy uniósł głowę, zobaczył łóżko ustawione w drugim końcu pokoju. Jona siedziała na materacu, oparta plecami o mosiężne pręty. Ramiona owinęła kółdrą. W palcach trzymała skręta, którego koniec żarzył się lekko w półmroku.

- O, cholera - mruknął Lawrence. Dobrze, że wciąż miał na sobie mundur. - Skąd ja się tutaj...

- Ja cię przyprowadziłam - odparła. W jej głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. - Najwyraźniej nadeszła moja kolej, by ratować cię z baru.

- Dzięki. - Ostrożnie usiadł na podłodze. - Jestem ci winien dwie dychy?

- Nie, kumpel pomógł mi cię załadować do tramwaju. Niedaleko jest przystanek.

- Aha, jasne.

Nie pamiętał, co się działo po trzecim dzbanku margarity. Chyba głównie narzekał na Z-B i opowiadał, jak bardzo chciałby być pierwszym człowiekiem, który wylądował na nieznanej planecie. Przejechał gumowatym językiem po suchych policzkach. W ustach czuł obrzydliwy smak. Poza tym nie było najgorzej. Tylko trochę zeszywniał od leżenia do podłódze.

- Dlaczego nie mam kaca?

- Kazałam ci wziąć aspirynę, witaminę C i wypić parę litrów wody.

- Jasne. Dzięki. - Na samą wzmiankę o wodzie zachciało mu się siku. Jooną wytłumaczyła mu, jak trafić do toalety. Na zewnątrz i do końca korytarzem...

- Postaraj się być cicho - powiedziała jeszcze, gdy wychodził. - Wszyscy śpią.

Jego zegarek pokazywał kwadrans po drugiej.

Gdy wrócił, dziewczyna wciąż siedziała na łóżku, zostało jej już tylko pół centymetra jointa.

- Chcesz macha? - spytała.

- Nie, dzięki. My cyborgi nie bierzemy, pamiętasz?

- Oczywiście.

- Posłuchaj, dzięki, że się mną zaopiekowałaś. Lepiej, eee, już pójdę.

- Naprawdę? - Zaciągnęła się głęboko. - A dokąd ci się tak spieszy?

- Chyba donikąd. Mam jeszcze trzy tygodnie urlopu. Po prostu nie chcę ci się narzucać.

- Gdybym uważała, że się narzucasz, to nie przyprowadzałam cię tutaj.

Lawrence poczuł, że ostry dreszcz przebiega mu po kręgosłupie. Podszedł do łóżka i uklęknął. Jooną milczała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Wyjął jej skręta z ręki i zaciągnął się, tak jak aktorzy na filmach. Potem zakaszłał. Dym był gorzki i drażnił gardło.

Jooną wybuchnęła śmiechem.

- Wygrałam.

- Co wygrałaś?

- Przekabaciłam cię.

- Aha. - Uśmiechnął się i wziął kolejnego macha, a potem zwrócił jej skręta. - Przekabaciłaś. Ale to nie była wyrównana walka. Ty nigdy nie wstąpiłabyś ze mną do akademii.

Potrząsnęła głową, jakby ją zbeształ, a następnie wydeła usta.

- Nie.

- Mogę zostać na noc? - spytał.

Jooną przytaknęła.

- Z tobą? - dodał miękko.

Wtedy rozchyliła kołdrę. Pod spodem była naga.

Lawrence obudził się rano i stwierdził, że jego wcześniejszą dezorientację zastąpiło inne uczucie, bardzo przypominające zakłopotanie. Klasyczny przypadek: „i co teraz?”.

Leżał na skrajku łóżka przykryty kołdrą, z plecami przyciśniętymi do ściany. Materac okazał się nieco za ciasny dla dwojga. Jooną skuliła się obok. Wyglądała teraz znacznie bardziej krucho niż wczoraj wieczorem. Była chuda, wręcz koścista, łopatki i obojczyki jej wystawały. Prawdopodobnie wcześniej nosiła wysokie obcasy. Zabawne, że dotąd tego nie zauważył.

Gdy próbował delikatnie okryć ją kołdrą, poruszyła się i obudziła. Miała bladobłękitne oczy, dziwnie kontrastujące z ciemną skórą.

- Hm - powiedziała tylko.

- Dzień dobry.

- Rzeczywiście, dzień.

Przytuliła się do niego, zamykając oczy.

Znów pomyślał: „I co teraz?”.

- Zawsze jesteś w biegu donikąd, prawda? - spytała, nie otwierając oczu.

- To cały ja.

- Właśnie zamierzałam zrobić sobie przerwę od studiów. Na uniwersytecie robi mi się trochę za duszno. Nie mam żadnego powodu, żeby wstawać.

- Studiujesz?

Dziewczyna westchnęła i usiadła.

- Tak, w Prodi. To kompletna dziura. Nie mają nawet dość pieniędzy, aby wyremontować tę rudere, a wykładowcy to jakieś czwartorzędne półgłówki, którym na prawdziwej uczelni nie pozwoliliby nawet czyścić kibli. - Zerwała się z łóżka, jakby czując nagły przypływ energii i rozsunała zasłony szybkim szarpnięciem.

Lawrence nie zwrócił jej uwagi, że jest naga - nie chciał się zachować jak własna matka. Jednak okna pokrywała skroplona para, przez którą widać było tylko kilka niewyraźnych szarych sylwetek. Jooną zadrżała i potarła ramiona. W pokoju było tak zimno, że jej oddech wzbijał się w powietrze lekką mgiełką.



- Teraz sobie po prostu wyjdiesz, co? - spytała.

- Ja też nie mam żadnych planów.

- Tak szczerze mówiąc, to myślałam o wyjeździe do Szkocji.

Lawrence nie miał pojęcia, czy to oznacza zaproszenie. Jooną zdecydowanie nie była w jego typie - nerwowa, energiczna i całkiem oddana swojej idiotycznej sprawie. Nie potrafił wyobrazić jej sobie, jak uśmiechnięta i odprężona idzie Wybrzeżem Cairns o zachodzie słońca. Ale z całą pewnością miała wyrobione zdanie. Tak jak Roselyn. Ale w przeciwieństwie do niej nie była zadowolona ze swojego życia. W tym drobnym ciele skumulowało się mnóstwo gniewu, idiotycznego, bezsensownego gniewu, chociaż oczywiście nigdy nie powiedziałaby jej tego w twarz. Była zbyt pochłonięta własnymi problemami, by spokojnie znieść krytykę. Uznał, że prawdopodobnie jest przez to trochę samotna.

Odcisnęła swoje piętno na całym pokoju. Nie tylko powietrze było tu chłodne. Lawrence domyślił się, że większość ludzi prawdopodobnie odruchowo trzymała się na dystans.

„A zatem co ja tu robię?”.

Dwoje samotnych ludzi. Może w tym tkwiło sedno sprawy, może to dlatego tak uparcie tańczyli wokół siebie w barze. Nie był to przykład przyciągających się przeciwieństw.

- Nigdy nie byłem w Szkocji - odpowiedział po chwili.

Jooną pochylała się nad blokiem grzejnym umieszczonym w głębi starożytnego kominka, podkreślając moc. Czarna powierzchnia zajarzyła się głębokim pomarańczowym odcieniem, jakby w palenisku wciąż znajdowały się węgle. Uśmiechnęła się szybko, nerwowo.

- Chcesz pojechać ze mną? - W jej głosie zabrzmiało jednocześnie zaskoczenie i nadzieja.

- Jasne. Jeśli tylko chcesz, żebym pojechał.

- Nie mam nic przeciwko. Byłoby miło.

Przez chwilę miał wrażenie, że wskoczy z nim znowu do łóżka. Jednak ona podniosła z krzesła obszerną koszulę w czerwono-zieloną kratę i narzuciła na siebie.

- Wstawię kawę do mikrofal - oznajmiła. - Muszę też przez chwilę pouprawić jogę. Pomaga mi się uspokoić. Potem możemy iść.

- Okej - odparł Lawrence. - Mogę wziąć rzeczy z hotelu po drodze na dworzec.

- Zarezerwujesz bilety na pociąg? - spytała. - Nie lubię korzystać z puli danych. Zwrócę ci pieniądze.

- Jasne. - Lawrence rozejrzał się za swoimi ciuchami, po cichu zastanawiając się, na

co tak właściwie się zgodził.

\*\*\*

Lawrence i Jooną wsiedli w ekspres jadący z Amsterdamu bezpośrednio do Edynburga, zakreślając dużą pętlę - na południe do Paryża, potem do Londynu i znów na północ, aż do Waverley. Lawrence był pod wrażeniem holenderskich krajobrazów. Stare kanały nadal były używane do osuszania łąd, a na brzegach stały wiatraki, chociaż ich skrzydła były prawie nieruchome - wiatr nie miał szans przebić się przez rozległe lasy, które przez ostatnie dwieście lat porosły tereny rolne. Trafiły się w nich różne rodzaje drzew, ale kanały przecinały je z taką regularnością, że w zasadzie bardzo przypominały pola. Nawet w obecnych czasach nie pozwolono systemowi drenażowemu popaść w ruinę, a korzenie drzew stanowiły potencjalne zagrożenie. Lawrence miał wrażenie, że spogląda na sztucznie wytworzone środowisko, które zaledwie jeden krok dzieli od Amethi. Uznał, że w pewnym sensie Holandia stanowi pierwszy przykład terraformowania na dużą skalę - ludzka technika i pomysłowość pozwoliła mieszkańcom ujarzmić obce środowisko.

Jednak wkrótce zmęczyło go patrzenie na podmokłe niziny, zwłaszcza że przy takiej szybkości zaczynały rozmywać mu się przed oczami.

- Powiedz mi, skąd ta Szkocja? - zagadnął.

Jooną oparła stopy na stoliku, nie przejmując się krytycznymi spojrzeniami pasażerów.

- Moja babcia jest Szkotką. Zatrzymamy się u niej.

- Gdzie dokładnie?

- W Fort William.

Włożył okulary interfejsowe i połączył się z pulą, żeby zobaczyć, gdzie to jest.

- Dużo czasu spędzasz na trałowaniu, prawda?

- Cóż, mam sporo luk w wiedzy. Ale ty też pewnie często się łączysz?

- Jak najmniej. Wolę książki.

- Na wszystko jest czas i miejsce. Mój tata też lubił książki; pewnie dlatego ja z nich nie korzystam. - Uśmiechnął się, widząc jej minę. - Co studiujesz?

- Ekologiczne zarządzanie.

- Aha. - Trochę go zaskoczyła. - Ale czy to nie oznacza przypadkiem, że przygotowujesz się do pracy w korporacji?

- Są korporacje i korporacje. No i są też agencje rządowe, przynajmniej z nazwy. W praktyce to nic innego jak filie korporacyjnych oddziałów do spraw odzyskiwania i rewitalizacji. Ale ja nie chcę pracować dla żadnej z nich. Wciąż można znaleźć trochę

prywatnych właścicieli, którzy wykorzystują ziemię w tradycyjny sposób. Uprawiają rolę, produkują drewno albo prowadzą stadniny. Chcę podtrzymać ten proces.

- Uprawy rolne? - spytał z powątpiewaniem Lawrence. - Myślałem, że właśnie to zniszczyło glebę?

- Uprawy na skalę przemysłową, tak. Bez umiaru lano na nią pestycydy i azotany, byle tylko uzyskać większe plony. Maszyny rolne stały się tak wielkie i ciężkie, że zaczęły niszczyć podglebie. W końcu w krajach rozwiniętych górna warstwa gleby zamieniła się w macierz utrzymującą roztwory chemikaliów i wodę, tak aby korzenie mogły ją wchłonać. Następnie korporacje opracowały technologię syntezy komórek białkowych i wykończyły rolnictwo.

- Dzięki nim przestaliśmy hodować i zabijać zwierzęta na mięso. Wyobrażasz sobie, co to było za barbarzyństwo? Jeść żywe istoty? To straszne.

- To całkowicie naturalne. Poza tym wcale nie twierdzę, że synteza komórek białkowych jest zła. Dzięki niej nikt na Ziemi nie głoduje. Ale, jak to często bywa, pociągnięto ją do ekstremum i wyeliminowano dobre alternatywy. Nie proszę o wiele. Chcę tylko, aby pozostawiono parę niezależnych ośrodków.

- W charakterze muzeów?

- Nie! To azyl dla ludzi, którzy odrzucają waszą korporacyjną monokulturową egzystencję. Jest ich więcej, niż rządy i korporacje byłyby skłonne przyznać. Jest nas więcej.

- Ach, racja. Wspólnoty miłośników natury. I co dalej? Odmówicie również korzystania z technologii medycznych opracowanych przez nasze złe korporacje?

Obrzuciła go zmęczonym spojrzeniem.

- Jakie to typowe oczerniać coś, o czym nie ma się pojęcia. Nie powiedziałam, że odrzucam wszelką technologię. Odrzucam tylko współczesny paradygmat społeczeństwa globalnego. Technologia wcale nie musi pochodzić wyłącznie z laboratoriów korporacji, które później sprzedają ją dla zysku. Można opracowywać ją na uczelniach, które udostępniłyby ją za darmo dla wspólnego dobra. Nawet małe, niezależne wspólnoty mogą wspomóc badania. Gdybyśmy wszyscy mieli wolny dostęp do danych, moglibyśmy stworzyć kulturę rozproszonych specjalizacji.

- Stara idea globalnej wioski. To miłe, ale i tak potrzebowalibyście fabryk i ośrodków miejskich. Wiesz przecież, że kultura zawsze rozkwita w sercu społeczeństwa.

- Pula danych to serce naszego społeczeństwa. Mówiąc o spójności, wciąż rozumiesz w kategoriach fizycznych. Możesz mieszkać w chatce w środku lasu i wciąż być na bieżąco ze światem.

- Ale po co miałbym tam mieszkać, skoro mogę mieszkać w mieście, spotykać ludzi, iść wieczorem do baru, pogadać z kumplami i wypić sobie drinka? Nie wszyscy mamy ochotę żyć jak pustelnicy.

- Wiem. Ale twoje korporacje nie chcą, by ktokolwiek został pustelnikiem. Próbują wymodelować nas jak małe jednostki w obwodzie elektrycznym. Nie chcę być częścią ich planu. Chcę być wolna.

- Chyba trochę przesadzasz.

Wskazała na przypinkę, którą nosiła w klapie. W środku znaczka znajdowało się oko.

- Przejrzyj na oczy - powiedziała.

Z trudem zdołał skierować rozmowę z polityki na muzykę. To zawsze był najbezpieczniejszy temat. Można było mieć różne opinie na temat zespołów, kompozytorów i wykonawców i nie rzucać się na przeciwnika z pięściami. Dowiedział się, że Jooną lubi symfonie orkiestrowe kilku klasycznych i współczesnych kompozytorów, z muzyki postelektronicznej najbardziej odpowiadała jej to, co Lawrence określał jako ballady i poezję uliczną. Miała na karcie multimedialnej kilka tysięcy godzin muzyki, ale uwielbiała koncerty na żywo. Z entuzjazmem opowiadała mu o imprezach, na których była, i zespołach, które słuchała. Gardziła i-mediami, chociaż przyznała, że ogląda kilka współczesnych seriali. Poza tym nienawidziła filmów generowanych przez AS - wolała teatry. W Amsterdamie można było znaleźć dużo niewielkich niszowych teatrów oferujących zniżki dla studentów, a trupy teatralne chętnie wystawiały w nich sztuki.

Lawrence miał ochotę powiedzieć, że sam fakt, iż tyle różnych grup utworzyło się w obrębie miasta, potwierdza jego argument dotyczący centrum kultury. Ale wciąż nie wiedział, jak Jooną zareagowałaby na takie docinki.

Zjedli lunch w wagonie restauracyjnym. Jooną wypła do posiłku butelkę wina, ale wciąż wyglądała na spiętą.

Potem zapytała go o jego hobby, a on nierozważnie przyznał się, że kiedyś oglądał *Kierunek: horyzont*. Wtedy po raz pierwszy zobaczył, jak Jooną wybucha śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że eksportują ten szajs na inne światy! - wykrztusiła. - Nic dziwnego, że masz tak pojechaną wizję lotów kosmicznych. Mój Boże, ta końcówka!

- Kończówka?

- Ostatni odcinek. Niewiarygodne, co? Ale dosyć ostre.

- Widziałaś go?

- Aha. Mówiłam ci przecież, że jako dzieciak uwielbiałam i-media. A czemu pytasz? - zmrużyła oczy, patrząc na niego ciekawie. - Nie oglądałeś go?

- Nie - mruknął pod nosem, nie chcąc zdradzać, jak wiele oznaczał dla niego ten serial. Mimo że zdążył już zupełnie wyzbyć się uczuć dla Roselyn, to nigdy nie obejrzał tych ostatnich kilku odcinków. - Na Amethi sprowadzili tylko kilka sezonów.

- O, kurczę. Możesz je sobie obejrzeć tutaj. Ominęło cię sporo zabawy.

- Ten rozdział w moim życiu jest już zamknięty. Nie mam ochoty do niego wracać.

Jooną aż uniosła brwi, słysząc jego kategoryczny ton.

- Okej.

Na szczęście nie ciągnęła tematu ani nie próbowała się z nim drażnić. Rozmowa brnęła dalej. Gadali bez końca, ale ani razu nie wspominali o seksie. Lawrence uznał, że to trochę dziwne - tak jakby ostatnia noc w ogóle się nie wydarzyła. Dziewczyna uparcie omijała temat, a Lawrence nie próbował go poruszać.

Ale wciąż miał na to wielką ochotę. Jooną była dobrą towarzyszką podróży, choć niekoniecznie sympatyczną. Jeśli okazało się, że mają rozbieżne zdania na jakiś temat, kłóciła się do upadłego, póki Lawrence nie odpuścił. Przypominał sobie rozmowy, które zwykle prowadził z kolegami w koszarach, i nie mógł uwierzyć, jak głupio wypadły w porównaniu. To właśnie ta cecha, jej przenikliwa inteligencja, wydała mu się tak bardzo atrakcyjna. A zatem chciał wiedzieć, na czym stoi, a konkretnie poznać odpowiedź na pytanie: czy zamierzała iść z nim do łóżka dzisiaj i każdego innego wieczoru? W pewnym momencie uznał, że prawdopodobnie omija temat, by go zaintrygować. Taka intelektualna gra wstępna. Chociaż zaraz potem dopadły go wątpliwości. Jooną wcale nie unikała rozmów na ważne tematy. A zatem jej milczenie było dość zagadkowe.

Lawrence zarezerwował im na noc dwuosobowy przedział sypialny. Gdy zwracała mu pieniądze za bilety, zobaczyła dokładnie, za co płaci, więc nie było mowy o żadnych nieporozumieniach. Lawrence myślał o tym przez całe popołudnie. Zrzucili tam bagaże - jego torbę i jej plecak - gdy tylko weszli do pociągu. Przedział okazał się maleńki, wszystko było w nim tak kompaktowe, jak tylko pozwalały na to nowoczesne urządzenia.

Podczas całej tej dyskusji w wagonie głównym Lawrence wiedział, że ona wie, że wrócą tam po kolacji. Rozbiorą się w tej ciasnej klitce i razem położą się na łóżku. Uznał, że to bardzo podniecająca perspektywa. Prawie jak ich pierwszy raz. Poprzednia noc, z tego, co pamiętał, nie była zbyt namiętna i nie trwała też długo - trochę obowiązkowego kotłowania i pospieszne szczytowanie. Pierwszy raz zawsze był szybki i ostry. A tutaj, w pociągu, nie dało się uniknąć wspólnego spędzenia nocy, co dodawało wszystkiemu pikanterii.

Gdy pociąg wyjechał z Paryża, przeszli znów do restauracji. Jooną zamówiła czerwone wino. Lawrence wypił dwa kieliszki, a jego towarzyszką dokończyła butelkę i

zamówiła drugą. Rozmowa zeszła na skażenie Afryki globalną monokulturą, a potem przerodziła się w rozgoryczoną tyradę. Lawrence nie wypił ani kropli z drugiej butelki. Jooną zamówiła dla siebie jeszcze brandy i dopiła ją, zanim poszli do przedziału sypialnego.

Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że klimatyzacja źle działa i w pomieszczeniu panuje przenikliwy chłód. Jooną zakołysała się na boki, niepewnie spoglądając na Lawrence'a. Zupełnie nie przypominało to jej zwykłego zachowania. Wyszczrzyła zęby, jakby chciała powiedzieć: „a zresztą” i zaczęła się rozbierać. Tym razem to on się zawahał.

- Wiesz... - powiedział niechętnie. - Sporo dziś wypiałś.

- Dam sobie radę. To nic takiego. - Zdjęła bluzę przez głowę, a potem wyciągnęła rękę, by oprzeć się o coś podczas rozpinania dzinsów.

- Jasne, że dasz. Po prostu nie musimy dziś nic robić, to wszystko.

- A właśnie, że musimy. - Jej uśmiech przeobraził się w wyzywający grymas, gdy ściągnęła majtki. - Nie rozumiesz? Musimy. Koniecznie. - Zaczęła go całować. Bijący od niej zapach alkoholu trochę go zraził, ale postarał się zareagować równie namiętnie.

- Budujemy most - wybelkotała. - My dwoje, dwa połączone światy. To oznacza, że naprawdę jesteśmy ludźmi.

Miał ochotę zapytać, co przez to rozumie, ale był zbyt zajęty rozpinaniem koszuli. Jooną usiadła ciężko na łóżku. Chłodne powietrze nie pomagało, Lawrence poczuł, że pokrywa go gęsia skórka. Położył się do łóżka i szybko przykrył ich oboje cienką kołdrą.

Dziewczyna znów zaczęła go całować, tym razem po całej twarzy i szyi, jedną dłoń zaciskając na jego członku. Łóżko było ciasne, więc opierała się łokciem o jego mostek. To, co w założeniu miało być sugestywną pieszczotą, w odbiorze przypominało raczej irytujące laskotki. Cała sytuacja była kompletnie nieerotyczna. Lawrence nie mógł uwierzyć, że przez cały dzień właśnie na to czekał.

W końcu zdołał się przetoczyć na nią. Ledwie był w stanie utrzymać erekcję, przez cały czas myślał o paru dziewczynach z Wybrzeża i o tym, jakie były pełne życia. Jooną uśmiechnęła się pijacko i jęknęła, gdy w nią wszedł.

Na szczęście cała ta pomyłka zakończyła się względnie szybko.

- O, Boże, kocham cię - wydyszała. - Właśnie tego pragnę.

- Czego? - spytał. Znalazł sobie trochę miejsca, gdzie nie musiał leżeć przyciśnięty do niej, choć teraz prawie spadał z łóżka. Gdy znów się odwrócił, dziewczyna już spała. Zaczęła chrapać.

Lawrence znalazł w bagażu ciepłą koszulkę, ubrał się, a potem przez dłuższy czas leżał na łóżku, wpatrując się w niewidoczny sufit. „To niczyja wina - powtarzał. - Po prostu

zbieg okoliczności. Ciasny przedział, zepsuta klimatyzacja, za dużo wina. Jutro będzie lepiej".

\*\*\*

Terminal kolejowy na stacji Edynburg - Waverley został wybudowany pod starym dworcem, tak że jego oryginalna struktura nie została naruszona. Zataszczyli swoje bagaże na schody ruchome, a potem na wielkie platformy ciągnące się pod łukowatymi szklano-żelaznymi dachami i przesiedli się na pociąg lokalny do Glasgow. Przez centrum miasta wciąż biegły stare tory indukcyjne, mijając stary zamek przycupnięty na szczycie skalistego wzgórza. Lawrence przyglądał mu się przez okno, mierząc wzrokiem wielkie kamienne bloki i zastanawiając się, jak, u licha, budowniczości zdołali je tam umieścić bez pomocy robotów.

Gdy już znaleźli się na przedmieściach, pociąg gładko przyspieszył do dwustu kilometrów na godzinę. Była to największa szybkość, jaką mógł rozwinąć na tym odcinku - w tej części Szkocji tory wciąż biegły tą samą trasą, jaką wyznaczono wiele setek lat temu, w epoce silników parowych. Prowadziły dokładnie skrajem wyżyn, skręcając zbyt szybko, by maszyna mogła się rozpędzić do większych prędkości. Mimo że w pobliżu nie było już żadnych farm, okręgowy parlament nigdy nie zgromadził dość funduszy na wyprostowanie trasy, tak by biegła przez dzikie łąki i zrewitalizowane lasy. Koszt wywiercenia nowych tuneli w twardej szkockiej skale i skonstruowanie wiaduktów prowadzących ponad szerokimi dolinami był zupełnie nieopłacalny przy tym natężeniu ruchu. A zatem każdy podróżnik wyruszający do Highlands przemierzał tę samą trasę co jej wiktoriańscy pionierzy. Wzdłuż torów indukcyjnych pozostawiono nawet stare tory żelazne, po których grupa entuzjastów jeździła starymi parowozami, ciągnąc za sobą dwudziestowieczne wagony dla pasażerów pierwszej klasy. Latem była to wielka atrakcja turystyczna.

Dotarli do Edynburga wczesnym rankiem, Lawrence mógł więc zobaczyć szkocką wieś w pełnym świetle dnia. Queensland i parę innych zakątków określiłby jako „surowe”, ale jeszcze nic na żadnej planecie nie wydało mu się równie zielone. Na półkuli północnej przyszła właśnie wiosna i drzewa były pełne młodych liści. Ulewne deszcze przemoczyły glebę, z której wykiełkowały soczyste żółta trawy. Lawrence usiadł przy oknie i przywarł do szyby z uśmiechem zadowolenia.

Ta cześć podróży podobała mu się najbardziej.

Niedługo potem dotarli do Glasgow, a tam przesiedli się na kolejny pociąg do Fort William. Ten jechał chyba jeszcze wolniej, ale widoki były tego warte. Lawrence nie mógł się napatrzyć na długie, dzikie łąki i jeziora o ciemnej wodzie, które zdawały się ciągnąć bez końca. Cały ten przepych uświadomił mu, w jak wielkim stopniu jest to naturalne ludzkie środowisko.

Jooną siedziała obok, obejmując go za ramię i wskazując różne ciekawe miejsca. Odkąd się obudziła, zachowywała się inaczej. Była czuła i uważna, tak jakby ta wspólna noc pozwoliła im osiągnąć nowy poziom porozumienia. Lawrence nie wiedział, co o tym myśleć, ale jej czułe gesty sprawiały mu przyjemność. Teraz bardziej wyglądali na parę, przynajmniej dla przypadkowych przechodniów.

Fort William było ostatnią stacją, położoną tuż na brzegu Loch Linnhe. Gdy wyszli na peron, Lawrence spojrzął na szczyt górujący ponad miasteczkiem. Cały stok porośnięty był sosnami, ich ciemne kształty sterczały w górę, ciasno zbite obok siebie.

- Czy to Ben Nevis?

- Nie - odparła wesoło Jooną. - To Cow Hill. Ben jest tuż za nim. Zobaczysz go z chatki babci w Benavie, jeśli pogoda będzie dobra. - Zerknęła na zmarszczoną wodę jeziora. Z południowego zachodu napływały ciemne chmury. - Chyba zanosi się na deszcz.

Jej babcia czekała na parkingu.

Jooną gorączkowo zamachała, po czym rzuciła się do niej biegiem.

Lawrence, który wcześniej wyobrażał sobie babcie Beaumont jako drobną staruszkę w kraciastej spódnicy z włosami upiętymi w kok, przystanął zaskoczony. Rzeczywiście, nie była wyższa niż Jooną, ale wyglądała jak okaz zdrowia, a jej ciemnoruda czupryna wyglądała tylko odrobinę porządniej niż u wnuczki. Ubrana była w grube sztruksowe spodnie i długi ciemnozielony płaszcz obryzany błotem. Lawrence nie wiedział, jakim cudem mogła być babcia dwudziestoletniej dziewczyny. Niemożliwe, żeby sama miała ponad pięćdziesiąt lat.

- A zatem ty jesteś Lawrence. - Mówiła z wyraźnym akcentem, ale rozumiał ją bez problemu. Podali sobie dłonie.

- Tak, proszę pani.

- I bez takich głupstw. Jestem Jackie. Chodźcie do samochodu. Muszę po drodze zabrać parę rzeczy, potem pojedziemy prosto do domu. - Popchnęła ich naprzód.

Samochód okazał się trzykołowym pikapem z owalną kabiną dla kierowcy i otwartą paką. Prawdopodobnie miał ponad dwadzieścia lat. Kompozytowe nadwozie wystrzępiło się na krawędziach, ze szczelin wystawały włókna, większe pęknięcia zalepiono plamami żywicy syntetycznych. Zaokrąglona przednia szyba pożółkła od upływu czasu i ultrafioletu, poważnie ograniczając widoczność. Nie było kierownicy, jedynie szeroki drążek.

- Ciągle działa, co? - spytała Jooną.

- Oczywiście. Alkohol cukrowy to najprostsze paliwo i do tego nie jest obłożone akcyzą. Pewnie dlatego przestali produkować ogniwa, które potrafią go spalać.

Lawrence z kamienną twarzą wspiał się na pakę pikapa. Podwozie zakołysało się, gdy



próbował znaleźć czysty kawałek podłogi, na którym mógłby usiąść. Jooną podała mu bagaże ponad tablicą rejestracyjną, a potem sama wsiadła. Wyjęła z kieszeni grubą wełnianą czapkę i rękawiczki.

- Nie martw się, to niedaleko.

- Świetnie. - Lawrence zapiął płaszcz po samą szyję, a potem wbił ręce w kieszenie.

Jackie wsiadła do szoferki i odpaliła ogniwo. Z wydechu wydobył się ostry zapach palonego cukru. Lawrence skrzywił się, czując, że łzawią mu oczy.

- Przy domu jest destylarnia - wyjaśniła Jooną. - Babcia fermentuje sobie własne paliwo. Teraz rozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc o potrzebie niezależności?

- Całkowicie.

Zaśmiała się i uściskała go, zanim pikap szarpnął i ruszył naprzód. Jackie Beaumont pojechała na północ wzdłuż A82, biegnącą środkiem Fort William. W tej części miasta po obu stronach ulicy wzniesiono budynki użyteczności publicznej. Najpierw zobaczyli szpital - nowoczesny dwupiętrowy kompleks z okrągłym srebrzystym dachem. Jego geotermalna turbina zasilająca mieściła się w małym igloo wybudowanym z boku, a na stanowiskach koło ambulatorium zaparkowano dwa helikoptery. Naprzeciwko znajdowało się centrum informacji turystycznej i muzeum. Obok nich wybudowano kilka boisk sportowych, osłoniętych wielkimi przezroczystymi kopułami, które tak bardzo przypominały Amethi, że Lawrence poczuł niespodziewany przypływ nostalgii. Budynek administracji przypominał posiadłość w stylu georgiańskim, wzniesioną z czerwonej cegły i wyposażoną w szerokie, białe okna. Jedyne łuki osłaniające podziemne garaże zdradzały prawdziwą datę jego powstania. Dalej znajdowała się szkoła, przy której zaparkował rząd autobusów. Dzieci ubrane w szaro-niebieskie mundurki biegały wokół, uganiając się za piłką albo wrywając sobie nawzajem teczki.

Tuż za teatrem Jackie skręciła na parking należący do parterowego drewnianego budynku, przypominającego długą stodołę. Przez szerokie, osłonięte markizami okna można było dostrzec najróżniejszego rodzaju sprzęt turystyczny. Rzeźbiony szyld nad drzwiami głosił *Grimmer*. Jackie wyskoczyła z szoferki i weszła do środka. Lawrence i Jooną podążyli za nią. Parking był praktycznie pusty. Toczył się po nim tylko robot sprząający, usuwając błoto i liście.

- Bardzo ładne miasteczko - stwierdził Lawrence, wchodząc do środka.

Jooną przytuliła się do niego.

- Chciałeś powiedzieć: „bogate”. Stać ich na utrzymanie wszystkich tych placówek. Wiele firm zainwestowało tutaj, budując zakłady rekultywacyjne. Poza tym jest spory ruch

turystyczny. Druga połowa miasta to same hotele. Gdy połączyć te wpływy, robi się niezła kwota.

- To chyba dobrze?

- Tylko dla tych, co mają udziały.

Jackie zabrała z lady kilka pudeł, rozmawiając jednocześnie ze sprzedawcą. Lawrence podszedł pospiesznie i wziął od niej kilka kartonów. Starsza pani uśmiechnęła się i podała mu jeszcze dwa. Były cięższe, niż się spodziewał. Z etykiet wynikało, że zawierają jakieś barwniki.

- To do wełny - wyjaśniła Jackie, gdy wracali do samochodu.

- Do wełny?

- Jestem właścicielką części stada.

- Owiec - dodała z uśmiechem Jooną. Lawrence uznał, że to dziwny pomysł.

Burza w końcu nadciągnęła i rozpoczęła się ciężka ulewa. Na niebie kłębiły się ciemne chmury. Lawrence zobaczył, jak ostatnie promienie słońca znikają za górami po drugiej stronie jeziora. Nie było ani śladu tęczy. Postawił pudła obok swojej torby i wspiął się na pakę.

Chatka Jackie znajdowała się kilka kilometrów za miastem. Babcia Joony przejechała wzdłuż Kanału Kaledońskiego, po czym skręciła na drogę gruntową prowadzącą przez zagajnik pełen brzoź, dębów i jaworów.

Chatka mieściła się pośrodku rozległego ogrodu. Był tu podłużny budynek o grubych ścianach i ołowianych ramach okiennych. Na ceglany kominie stały wysokie gliniane naczynia, a ponad nimi unosiła się smużka dymu. Lawrence niemal spodziewał się dachu krytego strzechą, ale błękitne płytki dachowe również nieźle pasowały.

Jackie wjechała samochodem do drewnianej szopy, służącej za warsztat i garaż jednocześnie. Woda wylewała się z rynien, zalewając wejście. Lawrence z chlupotem zeskoczył na betonową podłogę.

- No, do środka, dzieciaki! - zakomenderowała Jackie, zamykając szerokie drzwi. - Już was tu nie ma!

Jooną poprowadziła go do domku kuchennymi drzwiami. Kuchnię urządzono w dużym, rozległym pomieszczeniu, zajmującym przynajmniej jedną trzecią parteru. Ceglany piec wypełniała czterodrzwiowa kuchnia Aga - jadowicie zielona emalia pociemniała z wiekiem, w wielu miejscach była obtłuczona i złuszczone. Ale piec nadal działał i promieniował miłym ciepłem. Jooną zrzuciła płaszcz i oparła się o niego, chwytając się zaśniedziałej poprzeczki z przodu.

- Dobrze być w domu - westchnęła i skinęła ponaglająco na Lawrence'a.

Posłusznie stanął przed starożytnym potworem, niezbyt pewny, na co właściwie spogląda. Jona wzięła go za ręce i przyciągnęła bliżej. Poczł, że ciepło napływa mu do zziębniętych palców.

- Tak lepiej - stwierdził. - Myślałem, że ten wiatr mnie wykończy.

- Spędziłam w życiu już wiele godzin, susząc się przy Adze. Czasem nawet przynosiliśmy tu jagnięta.

- Hm?

- Jeśli matka umrze, to podgrzewacz talerzy potrafi im zapewnić właściwe ciepło. Biedactwa, przez pierwszych parę dni wymagają bardzo troskliwej opieki.

- To jest piec?

- Tak jest - odparła Jackie, która właśnie zdejmowała buty w drzwiach. - Zamontowany ponad trzysta lat temu i, jak widzisz, wciąż działa. Palnik został zmodyfikowany do spalania metanu, ale poza tym wygląda tak samo jak pierwszego dnia.

Lawrence obrzucił żelaznego giganta podejrzliwym spojrzeniem. Jeśli to prawda, to urządzenie było starsze niż kolonia na Amethi. Niesamowite.

- Weźcie gorący prysznic i zmieńcie ubrania - poradziła Jackie. - Jesteście aż sini z zimna. Mam mnóstwo gorącej wody. Jak zejdziecie, zrobię wam herbaty.

Jona skinęła głową.

- Tędy. - Znów wzięła Lawrence'a za rękę i zaczęła wyprowadzać go z kuchni.

- Widzę, że znalazłaś sobie dużego, silnego chłopca! - zawołała za nimi Jackie. - Odstąpię wam dwuosobowe łóżko!

- Babciu! - odparła z oburzeniem Jona, ale potem uśmiechnęła się do Lawrence'a, jakby szukając aprobaty. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

Gdy znów zeszli na dół, na płycie Agi gwizdał czajnik. Lawrence zdołał odszukać w bagażach jakąś czystą koszulkę, a Jona dała mu do tego gruby pomarańczowy sweter. Rękawy były za krótkie tylko o kilka centymetrów.

Usiadł przy dużym dębowym stole pośrodku kuchni, patrząc, jak Jackie przygotowuje herbatę. Używała do tego porcelanowego imbryka, do którego wrzuciła trochę ciemnych płatków, po czym zalała to wrzątkiem. Lawrence jeszcze nigdy nie widział takiego napoju.

- Dłużej się parzy, ale smakuje lepiej niż te wasze kostki do mikrofal - zapewniła kobieta, widząc jego spojrzenie. - Życie płynie tutaj dość spokojnie. Mamy czas, aby porządnie zaparzyć herbatę.

- Bardzo dobrze. Przydałoby mi się trochę spokoju.

Jackie usiadła na krześle, zerkając na panel bardzo nowoczesnego modelu perły stacjonarnej. Wyświetlał skomplikowany wzór swetra, pełen nasyconych barw. Jackie kazała mu się wyłączyć, a panel posłusznie schował się w obudowie.

- Nasza Jooną pewnie zamęczała cię opowieściami o szlachetnej rewolucji?

- Nie do końca. Ale najwyraźniej nie lubi korporacji.

- Ano. Obwinia je o swoje problemy rodzinne. Jej matka pracowała dla Govetta. Obsługują transport do zakładów rekultywacyjnych w mieście. Problem polega na tym, że stosują bardzo oświeconą politykę społeczną. Co pięć lat przenoszą pracowników w inne miejsce, żeby się nie znudzili i nie popadli w rutynę. A jej ojciec, mój Ken... cóż, nie było mowy, żeby wyprowadził się z gór. Jak to możliwe, że ta kobieta nie rozumiała jego miłości do tej ziemi... nie mam pojęcia. - Westchnęła ciężko. - A potem wziął i zabił się w Glen Coe. Wypadek na nartach. Jooną miała dwanaście lat.

- I od tej pory wychowywałaś ją sama?

- Ano. Nie chciała mieć do czynienia ze swoją matką. Uparta dziewczucha. Co prawda wzięła od niej trochę pieniędzy, kiedy zdawała na Prodi, ale to w zasadzie jedyny kontakt między nimi.

- Teraz rozumiem, dlaczego jest tak bardzo przywiązana do tego miejsca.

Jackie wlała trochę mleka do kubka, a potem nalała sobie herbaty przez sitko.

- Nie tylko do Fort William. Jest przywiązana do naszego stylu życia.

Zatoczyła krąg ręką, jakby chciała objąć całą kuchnię: pociemniałe meble i wyszorowaną kamienną podłogę. Talerze, filiżanki i szklanki stały na półkach w dużym walijskim kredensie - prawdopodobnie wszystko antyki. Ponad Agą wisiały miedziane rondle i patelnie, obok nich zawieszono pęczki suszonego rozmarynu, wydzielającego lekki ziołowy zapach. Mimo staromodnego wystroju, w pomieszczeniu dostrzegł też nowoczesną zmywarę i lodówkę, wbudowane w drewniane szafki. We wnęce za drzwiami umieszczono robota sprzątającego. Jediną rzeczą, której tu rzeczywiście brakowało, był moduł teksturalizacyjny wytwarzający żywność z podstawowych komórek białkowych. Podejrzewał, że Jackie po prostu kupuje półprodukty w sklepach. W dzisiejszych czasach wiele osób nie zwracało sobie głowy domową produkcją.

- Mam wrażenie, że nieźle sobie radzisz. Już się bałem, że spędzę wakacje w lepiance.

- Mam parę własnych projektów, ale stado przynosi dość pieniędzy, by żyć na poziomie.

- Jak to działa?

- Tu w górach jest sporo ziemi, na której wciąż nie udało im się zasadzić tych

cholernych lasów. A zatem wciąż mamy owce, pasterzy, a nawet psy. To część naszego życia, tak samo jak od wieków.

- Nie lubisz lasów? - spytał zdziwiony.

- Och, nie mam nic przeciwko. Ale jest pewna różnica pomiędzy rekultywacją a nadregresją. W dzisiejszych czasach, gdy tylko agencja ekologiczna znajdzie czysty kawałek ziemi większy od tarasu, natychmiast sadzi na nim drzewo. To bezpośrednia kontynuacja polityki zielonej fali, która wybuchła po wynalezieniu syntezatorów białek. Kiedyś uważano, że zieleń to wielka szansa na naprawienie szkód, jakie wyrządziło rolnictwo. Kupa bzdur. Rolnicy troszczyli się o swoją ziemię. Nie mieli wyboru - przecież byli od niej zależni. Poza tym, przysięgam ci, w Europie nigdy nie było aż tylu lasów, nieważne jak daleko w przeszłość by nie sięgnąć. Obecny stan wcale nie jest bardziej naturalny niż intensywne rolnictwo przemysłowe, jakie uprawiano w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku.

- Wygląda imponująco.

- Ano, to prawda. Ale nie masz pojęcia, ilu turystów się tu gubi co roku. Nawet ci, którzy biorą ze sobą perły z pełnym wyposażeniem nawigacyjnym. Idioci, wszyscy co do jednego. A my co sezon tracimy w tych lasach przynajmniej pięćdziesiąt owiec. Niby są ogrodzenia, ale nawet roboty nie są w stanie tego upilnować.

- Nie zapominaj o wilkach - dodała Joon. Weszła do kuchni ubrana w luźny niebieski szlafrok, z włosami owiniętymi zielonym ręcznikiem. Usiadła koło Lawrence'a i pocałowała go szybko w policzek. - Porywają kilkadziesiąt owiec co roku.

- Ano - przytaknęła ponuro Jackie, nalewając wnuczce herbaty. - Kolejny gatunek zrekultywowany dzięki uprzejmości agencji środowiskowych. Jakbyśmy nie mieli tu dość problemów. Ale jakoś sobie radzimy. Co roku zbieramy sporo runa i dzięki temu mamy zajęcie.

- Robicie z niego wełnę?

- Nie do końca. W okolicy jest kilka małych przędzalni zarządzanych przez spółdzielnie. To oni piorą i przędą wełnę. Potem wysyłają ją do mnie i kilku pozostałych gospodarzy. A wtedy ja dziergam z nich swetry, takie jak ten, który masz na sobie. Pozostali robią koce, poncho i czapki. Wszystko, co się da.

Lawrence spojrział na swój sweter i pogładził go ręką.

- Sama to wydziergałaś?

Jackie zaśmiała się ubawiona.

- Bez przesady, nie jesteśmy luddystami. Ja tylko projektuję wzory. W ogrodzie jest stodoła, gdzie trzymam trzy cybernetyczne maszyny dziergające. One odwalają najcięższą

robotę. Ale za to ja muszę je konserwować. Musisz wiedzieć, że świetnie sobie radzę z programem diagnostycznym i kluczem imbusowym.

- Wszyscy turyści je kupują - dodała Jooną. - Swetry z prawdziwej wełny osiągają niezłe ceny. Te głupie teksturalizatory fabryczne nie potrafią tego podrobić. Ich sztuczne włókna są zupełnie inne w dotyku. A poza tym wzory babci są najlepsze.

- A zatem na czym polega problem? - spytał Lawrence. - Robicie to, co lubicie, a reszta społeczeństwa na tym korzysta.

- Korporacje i parlament okręgowy tolerują nas tylko dlatego, że jest nas tak niewiele - odparła Jooną. Jej dobry humor zniknął bez śladu. - Nie spodobałoby im się, gdyby za wiele osób poszło w nasze ślady.

- Nie rozzuchwalaj jej, mój chłopcze - upomniała go Jackie. - A ty, moja droga, zapomnij na dziś wieczór o polityce. Mam tego po uszy na posiedzeniach stowarzyszenia. Banda nudnych, starych przyków. Powiedz mi, Lawrence: naprawdę urodziłeś się na innej planecie?

Ten wieczór okazał się najprzyjemniejszym, jaki spędził od dawna. Nic do roboty, żadnych zmartwień. Nie musiał iść na miasto, by pić albo szukać dziewczyn. Pomyślał, że tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy wieczór z rodziną. Nie tak jak oficjalne kolacje u niego w domu, na Amethi - wymuszone, pełne nakazów i zakazów. O takim życiu rodzinnym marzył, zanim rozpadł się jego związek z Roselyn.

Rzucił Joonie szybkie, spłoszone spojrzenie. Ale ona tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi. Właśnie pomagała Jackie przyrządzić makaron na kolację.

- Tradycyjne szkockie spaghetti - oznajmiła Jackie. Obie kobiety wybuchnęły śmiechem, gdy Lawrence poważnie skinął głową i powiedział, że chętnie spróbuje.

Odrzuciły jego propozycję pomocy w kuchni, a on przyjął to z cichą ulgą i gdy gospodyni wraz z wnuczką krzątały się przy blacie, zajął się głaskaniem wielkiego czarnego kocura. Patrzył, jak z ceramicznych naczyń zatkanych korkowymi krążkami wysypują się najróżniejsze składniki. Już za chwilę sos do spaghetti bolognese został zmieszany, ugotowany, posmakowany i doprawiony.

Lawrence w końcu się na coś przydał i rozpałił piecyk w saloniku. Po krótkich wysiłkach urządzenie zapłonęło jasnym płomieniem i zaczęło dawać tyle ciepła, że zdjął pożyczony sweter. Jackie podała do kolacji szkocką. Okazała się tak mocna, że Lawrence musiał rozcieńczyć swoją porcję.

Sypialnia dla gości - z podwójnym łóżkiem - miała nierówną podłogę. Lawrence przeszedł po niej ostrożnie, aż w końcu zdał sobie sprawę, że dębowe deski są tak stare, że

stwardniały jak stal. Od czasu do czasu cicho skrzypiały, ale poza tym były zupełnie nieruchome. Na łóżku nie było kołdry, tylko prześcieradło i koce, co go trochę zdziwiło. Ale najwyraźniej były to koce domowej produkcji, kolorowe, dziergane gęstym splotem, więc prawdopodobnie musiały być dostatecznie ciepłe. Z niskiego stropu zwisała jedna żarówka w ciepłym żółtym kolorze, rzucając łagodne cienie. Wiatr szumiał monotonicznie; wokół słychać było szelest drzew rosnących w ogrodzie.

Uśmiechnął się wyczekująco do Joony, gdy zamknęła drzwi i pośpiesznie zaczął się rozbierać. Dziewczyna z wahaniem rozpiniała guziki bluzki, co uznał za przejaw skromności i odkrył, że bardzo go to podnieca. Gdy skończyła się rozbierać, czekał już na nią w łóżku, przekonany, że dzisiaj w końcu będzie im przyjemnie.

- Przy świetle czy bez? - spytał.

Przez twarz dziewczyny przemknął wyraz zakłopotania.

- Bez. - W jej głosie zabrzmiało niewypowiedziane „oczywiście”. Pstryknęła wyłącznik przy drzwiach. Poprzez zasłony do środka wpadało słabe światło księżyca. Lawrence widział dziewczynę jako ciemny, zwiewny kształt posuwający się ku niemu w mroku. Pościel ugięła się pod jej ciężarem.

Natychmiast wyciągnął ku niej ręce, przesuwając dłonie po jej ciele. Ujął małe piersi i zaczął drażnić sutki kciukami. Polizał jej szyję, potem ramiona, w końcu twarz. Jej oddech przyspieszył i za chwilę całowali się namiętnie.

Nie była całkowicie pasywna - Lawrence po prostu przyzwyczaił się do bardziej odważnych partnerek. Przejął inicjatywę i zaczął szeptać jej do ucha różne sugestie, opisując poszczególne pozycje i zapewniając, jak podniecająco będzie przy tym wyglądała. Jooną w milczeniu wykonywała jego wskazówki.

\*\*\*

Obudził się, słysząc, jak jakieś obłąkane ptaki wydzierają się przeraźliwie tuż za oknem sypialni. Nawet pawie, które hodowali jego rodzice, nie robiły tyle hałasu.

Przynajmniej wiatr i deszcz ustały. Słońce podświetlało zasłony, aż przybrały jaskrawozieloną barwę.

Jooną siedziała na łóżku oparta o stertę poduszek. Z jej palców, niczym skręt, zwisała mikrosolowa rurka. Wpatrywała się w pustkę.

Lawrence przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien tego jakoś skomentować. Jasne, sam lubił się czasem napić, ale tylko towarzysko, podczas gdy jej nałogi sprawiały wrażenie, jakby znajdowały się już po niewłaściwej stronie granicy.

Zamiast tego przeciągnął się demonstracyjnie i uśmiechnął się szeroko. Nie wyobrażał

sobie nic lepszego, niż obudzić się w łóżku z nagą dziewczyną po nocy ostrego seksu. Nawet teraz na widok jej drobnych piersi poczuł rosnącą erekcję.

- Cześć - powiedział. W jego głosie zabrzmiała radosna pożądliwość.

Jooną zogniskowała na nim spojrzenie.

- A teraz zrób to sama ze sobą. - Jej głos był spokojny i chłodny niczym szkockie jezioro. - Tak mi powiedziałeś.

- Ja... eee...

- Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił. No, chyba że w porno.

- Ach. No cóż, wydawało mi się, że to dobry pomysł. Wtedy. - Twarz mu zapłonęła, gdy próbował sobie przypomnieć, co właściwie jej powiedział.

- Te wszystkie rzeczy, o które mnie prosiłeś... niektórych nawet nie umiałabym nazwać.

Lawrence desperacko zapragnął się obudzić. „Teraz. Natychmiast. Błagam”. To nie tak powinien wyglądać wspólny poranek. Parę zakłopotanych uśmiezków, milcząca zgoda, że oboje trochę daliśmy się ponieść żądzy, ale przecież jesteśmy cywilizowanymi ludźmi i nie będziemy o tym wspominać. O pewnych rzeczach nie rozmawia się głośno.

- Nie pamiętam niczego podobnego - ciągnęła. - Byłeś taki wymagający.

- Dlaczego... dlaczego nie powiedziałaś, że ci się nie podoba?

- Bo nie o to chodzi. Jesteś moim mężczyzną. Musimy się dogadać także na tym poziomie. Po prostu nie byłam gotowa na tyle rzeczy naraz.

„Jesteś moim mężczyzną”. Co to znów za gadka? Nie miał pojęcia, co teraz zrobić. Normalna dziewczyna od razu powiedziałaby mu, że trochę się zagalopował. Wystarczyłoby zwykłe „nie”. Przecież nie był zwierzęciem, szanował zdanie innych.

- Wybacz - mruknął. Zabrzmiało to, jakby się dąsał.

- Czułam się wyłączona - powiedziała żałośnie. - Chyba to mnie najbardziej zabolalo. Świetnie się bawiłeś z moim ciałem. Reszta nie była ci w ogóle potrzebna.

Z trudem powstrzymał się, żeby nie zakryć uszu rękami. Miał ochotę krzyknąć, żeby się zamknęła, ale wiedział, że to najgorsze, co mógłby zrobić. Poczucie winy stało się nieznośne i prawie przeszło w fizyczny ból. A taki był z siebie dumny podczas tej nocy. Myślał, że sprawił Joonie przyjemność.

- Powinnaś była coś powiedzieć. Przecież nie mogłem wiedzieć, co czujesz. - Sam miał wrażenie, że w jego głosie zabrzmiał wyrzut.

Dotknęła jego ramienia.

- Oczywiście, że nie.



„Co?”. Teraz już naprawdę nic nie rozumiał. Podejrzliwie zerknął na rurkę microsłową.

- Nie zrobimy tego już nigdy więcej. Okej?

- Nie, to byłaby zwykła ucieczka. A to z kolei byłoby głupie, niewłaściwe i rozpieprzyłoby nasz związek. Przez cały czas zastanawiałabym się nad tym, co tak naprawdę chcesz ze mną robić. - Mówiła ostrym monotonnym głosem, jak prokurator na sali sądowej.

Tak naprawdę to w tej chwili chciał już tylko uciec. Wskoczyć z łóżka, ubrać się, wrócić piechotą do Fort William i złapać pociąg z powrotem do cywilizacji. Ale nie chciał jej zostawiać. Nie tylko ze względu na poczucie winy, którego z pewnością dorobiłby się, uciekając w takim momencie. Ale w ciągu ostatnich kilku dni zdarzyły im się też dobre chwile, gdy rzeczywiście coś do siebie poczuli. Nie zdarzyło mu się to od czasu Roselyn.

„A poza tym... chyba wszystkie pary miewają problemy?”, pomyślał w duchu. Choć może nie tak kłopotliwe jak ten...

- To nie będzie ucieczka - powiedział powoli. - Wprost przeciwnie, to będzie inkluzja. Seks powinien być przyjemny dla nas obojga.

„Hej, dobry ruch, chłopie!”. Uznał, że to powinno ją udobruchać. Najwyraźniej załadowała sobie za dużo popularnonaukowych poradników psychologicznych.

- Tak - zgodziła się z powagą. - Tak, masz rację. Musimy najpierw omówić, co będziemy robić. Dzięki temu poznamy się lepiej.

Lawrence prawie się zatrząsł. Seks powinien być spontaniczny i przyjemny, nie kliniczny i wykalkulowany. Ale jeśli dzięki temu mógł zakończyć tę rozmowę...

- A zatem postanowione. - Pochylił się i pocałował ją szybko, niezręcznie.

- Mam zacząć? Możemy wypróbować jakąś pozycję z tych, które ćwiczyliśmy w nocy, tylko powiedz którą.

- Nie, eee, może teraz lepiej zjedzmy śniadanie.

„To wcale nie jest tchórzostwo - powiedział sobie w duchu. - To po prostu dyplomatyczne i skuteczne rozwiązanie”.

\*\*\*

Gdy tylko wszedł do kuchni, znów poczuł przypływ déjà vu. Jooną znów zrobiła się zaborcza, bez przerwy śmiała się i przytulała, co chwila całując go w policzek. Dotykała go jak najczęściej, tak jakby chciała się upewnić, że wciąż tu jest.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy jej rodzice byli katolikami. Roselyn zawsze powtarzała, że nikt nie jest w stanie przebić ortodoksyjnych katolików w kwestii poczucia winy z powodu uprawiania seksu.

„Zapomnij o Roselyn”, oznajmił twardo. Odwzajemnił pocałunek Joony i został obdarzony promiennym uśmiechem.

- Och, dzieciaki, dzieciaki. - Jackie strofowała ich ze śmiechem. - Zasłoń oczy - zwróciła się żartobliwie do Simona.

\*\*\*

Ranek był słoneczny. Lawrence sprawdził prognozę pogody i upewnił się, że do końca dnia niebo będzie bezchmurne. Pojechali do miasta na rowerach, choć gdy tylko wyjechali z lasu, Lawrence tak mocno nacisnął na hamulce, że mało nie spadł z roweru. Ben Nevis znajdował się tuż przed nimi, zajmując prawie ćwierć nieba. Szczyt góry wciąż pokryty był śniegiem, który tworzył białe poszarpane smugi na masywnych północnych grzbietach. Po stromym, prawie pionowym urwisku spływały długie wstążki lśniącej wody. U podnóży skały utworzyło się rumowisko, rozlewające się na boki niczym fala powodziowa zalewająca porośnięte trawą zbocze.

- To po prostu niesamowite - powiedział z głębi serca. Słońce odbijało się od połąci śniegu, aż musiał mrużyć oczy przed ostrym blaskiem. Stojąc w cieniu tego olbrzyma, czuł się mały i oszołomiony, chciał się przekonać, jakie to uczucie stanąć tam na szczycie. - Pewnie widać stamtąd pół Szkocji.

- Możemy wejść, jeśli chcesz.

- Chyba żartujesz. W życiu nie dojdę tam bez mięśnioskieletu. Te zbocza muszą być trudne nawet dla doświadczonych wspinaczy, a to rumowisko też nie wygląda dobrze.

- Tędy się nie wchodzi, głuptasie. Z doliny prowadzi ścieżka spacerowa. Można tam dojść w parę godzin.

- Aha, jasne. - Lawrence obrzucił górę wyzywającym spojrzeniem, po czym znów wsiadł na rower.

Jackie dała im listę potrzebnych rzeczy, które mieli kupić w mieście. Lawrence podejrzewał, że to tylko pretekst, by wysłać ich oboje na wycieczkę. Właściwie nie miał nic przeciwko.

- Ładne miasteczko - stwierdził, idąc wzdłuż głównego deptaka. Otaczające ją budynki wyglądały na zabytki sprzed czterystu lat albo na bardzo udane repliki.

- Teraz tak - przyznała Joona. - Rada miejska wyremontowała wiele ważnych, zabytkowych budowli. Obecnie mają dość pieniędzy na restaurację miasta.

- Hej, czy to oznacza, że duże korporacje w końcu zasłużyły u ciebie na pochwałę? W końcu to dzięki nim miasto zarabia dość pieniędzy.

- Wiedziałam, że ci się to spodoba. Fort William wygląda bardzo porządnie, odkąd

poddało się wpływom monokultury. Tak, jak lubisz.

- I mówisz, że to źle? Widziałem miasta w znacznie gorszym stanie, a przybyłem na Ziemię zaledwie pięć lat temu.

Dotarli do południowego krańca głównej ulicy, gdzie droga rozwidlała się na boki, omijając jezioro. Reszta miasta składała się całkowicie z domów mieszkalnych, wspinających się na stromy stok na odległość ćwierć mili. Z miejsca, gdzie stali, widać było intensywną zieloną połąć młodych brzoź przetykanych różowymi kwiatami wiśni, tworzącą przepiękny kobierzec barw. Większość trawników porastały żonkile i tulipany, zdobiąc trawę kolorowymi plamkami.

- Och, nie - odparła cicho Jooną. - To cudowne miejsce, nawet w zimie. Wszystkie te piękne domy są porządnie zbudowane i mają dobrą izolację. Jeśli ktoś kiedyś zaprosi cię do środka, to zobaczysz też, jak ładnie są urządzone. Jakies dziewięćdziesiąt pięć procent tych domów zbudowano w ciągu ostatnich dwustu lat. Zburzyli stare osiedla, które wybudowano, zanim developerzy zaczęli korzystać z robotów. Taka gęsta zabudowa zawsze miała bardzo ograniczoną żywotność. Nie to co domek babci. A zatem teraz mamy jeden dom w miejscu, gdzie kiedyś były dwa albo trzy.

- Znow poszło o pieniądze.

- Tak. Ale to nie jedyny czynnik. Od dwudziestego wieku liczba mieszkańców spadła prawie o dwadzieścia pięć procent.

- Myślałem, że liczba ludności wiejskiej zmniejszyła się już od czasów rewolucji przemysłowej.

- Bo tak było. Ale nie o to mi chodzi. Zmniejszyła się ogólna liczba ludności. Dzięki temu można mieć większy dom i ogród, nie niszcząc środowiska.

- A poza tym brak pól uprawnych pewnie też pomaga.

- Dobrze się składa, prawda?

W jej głosie zabrzmiała pogarda, więc przezornie nie odpowiedział.

Po jakimś czasie dotarli do małej kawiarenki na głównej ulicy. Kobieta za ladą powitała Joonę wylewnie i zamieniła z nią kilka szybkich słów. Lawrence znalazł wolny stolik koło okna. Za chwilę kelnerka przyniosła im gorącą czekoladę i świeżo upieczone muffinki. Potem dyskretnie podała Joonie małą papierową torebkę, którą dziewczyna szybko schowała do kieszeni. Położyła na stole trzydzieści dolarów. Nie było reszty.

Lawrence podmuchał na kubek.

- Czy Jackie wie, ile ty tego bierzesz?

- Myślisz, że jej to przeszkadza? Połowa z tego jest dla niej. Nasz styl życia zawsze

wymagał jakichś używek.

- Mimo wszystko uważam, że powinnaś trochę odpuścić.

Jej twarz zubożała gwałtownie, jakby już zdążyła wciągnąć rurkę microsolu.

- Dziękuję za troskę. Doprawdy nie trzeba.

Tego wieczoru omówili, co będą robić w łóżku. Nie było tak źle, jak się spodziewał. Odkrył nawet, że to dość elektryzujące. Prawie jakby był jej nauczycielem. Popularna męska fantazja. Przynajmniej dzięki temu ich związek nabrał równowagi.

Kilka kolejnych dni spędzili na zwiedzaniu miasteczka i okolicy. Dwa razy pojechali do teatru i raz do kina na *Titanica* Camerona. Lawrence pomagał Jackie w ogrodzie, który przez zimę jak zwykle zdążył się zapuścić. Trzeba było odpiłować kilka złamanych gałęzi. Połamały się też deski w płocie. Raz spędził cały ranek, rozmontowując i czyszcząc jej robota ogrodowego, próbując zmusić zardzewiałe części, by znów zaczęły działać sprawnie. Okazało się, że ostrza zamontowane w cylindrach kosiarki należy zdjąć i zawieźć do miasta do ostrzalni. Innym razem pomagał konserwować maszyny dziergające. Jackie trzymała je w szopie w kącie ogrodu - była to kamienna budowla, równie stara jak sam dom. Grube belki z surowego dębu podtrzymywały cienkie deszczułki, do których przybito płytki dachowe. Ale w środku było dość sucho, chociaż niezbyt ciepło. Trzy maszyny stukotały radośnie, co kilka minut wyrzucając gotowe swetry. Zmieniały bele i napełniały komory barwnikowe, a potem upychały swetry w pudłach, gotowe do odebrania.

Na początku kolejnego tygodnia wyruszyli na Ben, tak jak obiecała Jooną. Z domu Jackie do centrum turystycznego na brzegu rzeki Nevis nie było daleko, zwłaszcza na rowerze, co oznaczało, że zjawili się tam jako jedni z pierwszych. Zostawili rowery na stojaku i włożyli buty trekkingowe.

Wędrówka była znacznie łatwiejsza, niż Lawrence się spodziewał. Po przejściu mostku przy informacji turystycznej ruszyli prostą drogą biegnącą z boczem wzgórza, powoli pnąc się do góry. Była wybrukowana kamieniami, a w najbardziej stromych miejscach wykuto dodatkowo stopnie, co trochę nie pasowało do - rzekomo - dziewiczej przyrody. Jooną twierdziła, że Szkocka Agencja Środowiskowa musiała konserwować tę ścieżkę, aby nie dopuścić do erozji. Co roku przechodziły tędy tysiące turystów.

Im wyżej się wspinali, tym więcej doliny ukazywało się w dole. Tymczasem ścieżka zaprowadziła ich w gąszcz jasnozielonych paproci, które porastały tę część wzgórza. Małe drewniane mostki z łatwością pozwalały pokonać rozpadliny.

Niedługo potem ścieżka skręciła, prowadząc w głęboką, trawiastą rozpadlinę, którą płynął strumień. Spieniona woda przelewała się hałaśliwie korytem wyżłobionym w skale.

Ruszyli w kierunku wody, a potem gwałtownie zawrócili i wspięli się na ukos po stromym zboczu. Kolejny zakręt zaprowadził ich na bagnistą przełęcz, gdzie znajdowało się niewielkie torfowe rozlewisko. Lawrence rozejrzał się wokół, spoglądając na osypane rumowiskiem zbocza napierające na nich z boków i westchnął zawiedziony. Wciąż nie widział szczytu. Na chwilę zatrzymali się nad jeziorkiem, by napełnić manierki i włożyć coś ciepłego. Z każdym metrem robiło się chłodniej. Powietrze ponad rozpadliną było zupełnie czyste i rozciągały się tam imponujące widoki na okoliczne szczyty. Tutaj masyw szczytu otulonego pasemkami mgły bardzo ograniczał widoczność.

Podczas kolejnego etapu wędrówki ścieżka zygzakowała po stoku zasypałym rumowiskiem. Kępki trawy i wrzosów stały się coraz rzadsze, aż w końcu mieli pod stopami już tylko skały i surową glebę. Każdy ostry zakręt ścieżki był oznakowany kopcem kamieni. Mokry śnieg zaczął oblepiać buty Lawrence'a. Po obu stronach drogi coraz częściej pojawiały się połacie śniegu. Mgła gęstniała. Nie widział już dna doliny.

- Jak tu czysto! - stwierdził, gdy zatrzymali się na odpoczynek. - Podoba mi się.

Joono oparła się o głaz i wyjęła z plecaka manierkę.

- Myślałam, że cała twoja planeta jest czysta.

- To prawda. Ale to inny rodzaj czystości. Tu, w Szkocji, mieliście tyle przemysłu ciężkiego. Myślałem, że będą jakieś... no nie wiem, pozostałości? Strumienie pełne rdzy ze starych maszyn zatopionych w jeziorach, hałdy kopalniane, te rzeczy.

- Większość ośrodków przemysłowych wybudowano na południu. A poza tym przecież sam widziałeś zakłady rekultywacyjne pod miastem. Pracują jak mróweczki.

- Aha. - Zauważył je pierwszego dnia, gdy wjechali do miasta. Ich sylwetki lekko zaburzały krajobraz po drugiej stronie rzeki Lochy: podziemne fabryki, dziwnie przypominające zakłady chemiczne na Floydzie; długie, płaskie pagórki porośnięte soczystą trawą. Tym razem nie dostrzegł kolumnowych wymienników ciepła na szczycie - rzędy czarnych wywietrzników łatwo można było przegapić. Jediną oznaką tego, ile maszyn ukrywa się pod ziemią, były rury biegnące zboczem Creag Chail. Dwadzieścia betonowych rur wynurzających się ze zbocza góry, kilkaset metrów w górze i znikających w ziemi, zaraz za kopcami. Transportowały z Highlandów wystarczającą ilość wody, by zasilić cały kompleks rekultywacyjny.

Joono powiedziała, że wyrósł on w zasadzie z jednego zakładu przeróbki aluminium wybudowanego tu w dwudziestym wieku przy wykorzystaniu energii wodnej. W tamtym okresie parlament brukselski powoli zaczął wprowadzać ostrzejsze przepisy dotyczące recyklingu, zakład zaczął się więc rozbudowywać, powiększając się o kolejne oddziały

utyliczające inne materiały.

Teraz niemal wszystkie produkty konsumpcyjne na Ziemi były wytwarzane tak, by po zakończeniu użytkowania można je było rozbić na podstawowe składniki, które następnie poddawano recyklingowi.

W Fort William przeprowadzano chyba wszelkie możliwe procesy rozpadowe - od puszek aluminiowych, poprzez komponenty elektroniczne, szkło i beton, aż po całe spektrum polimerów. Był to jeden z najnowocześniejszych zakładów na świecie. Wykorzystywał wszystkie znane technologie: piece do wytapiania, łamacze katalityczne i w-wpisane enzymy, a nawet rozszczep jonowy w przypadku toksyn. Pociągami, statkami i barkami zwożono tu odpady z całej Europy, by zostały posortowane i przetworzone.

- Na Ziemi chyba w ogóle nie ma teraz zbyt dużo zanieczyszczeń.

- W krajach wysoko uprzemysłowionych na pewno nie, od czasu Zielonej Fali. Nawet mniej uprzemysłowione regiony jak Afryka czy południowa Eurazja są względnie czyste. Zanieczyszczanie własnego terenu nie leży w interesie korporacji.

- Wiesz co? Naprawdę nie powinnaś spoglądać na wszystko tak cynicznie. Może i mają inne cele niż ty, ale to jeszcze nie powód, żeby odsądzać ich od czci i wiary.

- Doprawdy? - Wskazała na dolinę. - Jeśli im się uda, to któregoś dnia cały świat zacznie tak wyglądać. Każdy będzie mieszkał w dużym wygodnym domu na czystym, porządnym przedmieściu.

- Aha, to straszne. Będą musieli pogodzić się z niską przestępczością i sprawną służbą zdrowia.

- Ale także z brakiem wolności. Żadnych różnic. Tylko korporacje i ich monokultura.

- Bzdura - odparł Lawrence. - Ludzie narzekali na międzynarodowe korporacje i pełzającą globalizację już w połowie dwudziestego wieku. A moim zdaniem, świat nadal wygląda na dość zróżnicowany.

- Z pozoru tak. Ale unifikacja wciąż stanowi dominujący trend. Narodowe gospodarki coraz mniej się od siebie różnią. o wszystkim decydują korporacje.

- Mnie to nie przeszkadza. Nie mam nic przeciwko, żeby inwestowali pieniądze w biednych krajach i w ten sposób rozbudowywali bazę produkcyjną. Dzięki temu każdy ma szansę kupić udziały.

- Nic się nie dzieje przypadkiem. Jeśli chcesz zdobyć przyzwoitą pracę, musisz dołączyć do inwestorów. A gdy już w to wejdiesz, to razem z rodziną.

- To prawda, rodzina inwestora odnosi korzyści z udziałów. Możesz wybrać szkołę dla dzieci, wszyscy otrzymują świadczenia medyczne, a na końcu dobrą emeryturę. Udziałowość

to wspaniały wynalazek. Zapobiega wykluczeniu, motywuje i nagradza.

- Niszczy indywidualizm.

- Wykupienie udziałów to indywidualny wybór.

- Wymuszony wybór.

- Większość wyborów życiowych tak wygląda. Spójrz na mnie. Wykupiłem udział w Z-B, bo to jedyna korporacja, która prowadzi sensowną politykę w sprawie lotów kosmicznych. Inne firmy mają inne cele. Wybór jest właściwie nieograniczony.

Joono potrzęsła głową, jakby zmęczona.

- Nigdy nie sprzedam się za ładny domek i ubezpieczenie medyczne.

Wtedy Lawrence zdał sobie sprawę, że dziewczyna odrzuca wszystko, co reprezentowała sobą jej matka.

- Cieszę się. To twoje zasady czynią cię tym, kim jesteś. I to właśnie najbardziej mi się podoba.

Uśmiechnęła się szybko i wstała z ziemi.

- Chodź. To już niedaleko.

Po pokonaniu ostatniego zygzakującego odcinka wyszli na rozległy teren pełen obluzowanych kamieni. Trasa była jednak na tyle dobrze wytyczona, że widzieli, dokąd idą, pomimo gęstej mgły. Tysiące stóp zmieniło grubą warstwę śniegu w zbitą, brunatną maź. W najwyższych partiach góry mgła tworzyła gęste obłoki, a potem niespodziewanie rzedła, gnana wiatrem. Poza tym wszystko wyglądało tak samo. Od czasu do czasu spod śniegu wystawały większe głazy. Inni podróżni pojawiali się na ścieżce niczym ciemne cienie wśród jasno podświetlonych oparów.

A potem nagle teren opadł w dół. Stali na krańcu urwiska. Baza na dole tonęła we mgle.

- Prawie jesteśmy na miejscu - oznajmiła radośnie Joono.

Pokonali ostatnich kilkaset metrów i nagle znaleźli się na szczycie Bena. Lawrence próbował ukryć rozczarowanie. Była to płaska, nieefektywna półka skalna przytulona do kolejnego urwiska. Mgła przysłaniała wszystko wokół - widoczność nie przekraczała pięćdziesięciu metrów. W ciągu wielu stuleci wybudowano tu kilka budynków, otaczających betonowy słup wyznaczający najwyższy punkt. Ze śniegu sterczały zrujnowane ściany - ślady dawnych ambicji. Żaden z budynków nie miał dachu. Jedynym obiektem, który uniknął zniszczeń, okazał się posterunek medyczny, nowoczesne kompozytowe igloo ozdobione symbolem czerwonego krzyża i anteną na szczycie. Prawie całkowicie pokrywał je śnieg. Lawrence dostrzegł kilka płaskich kamieni, opartych o jego ścianę. Gdy pochylił się nad nimi,

zdołał odczytać parę linijek wiersza, którego nie znał, potem imię i dwie daty. Dzieliło je dziewięćdziesiąt siedem lat.

- Wcale nie najgorszy monument - mruknął.

Podeszli do słupa i wspięli się na niego, by móc z czystym sumieniem powiedzieć, że rzeczywiście byli na szczycie. Mgła zaczęła rzednąć, gdy podeszli do jednej z zawałonych ścian, gdzie zwykle chronili się turyści. Osłonieni od wiatru, otworzyli pudełka z prowiantem. Okazało się, że Jackie zapakowała im na drogę kanapki z wołowiną. Lawrence nie był specjalnie głodny - zimno odebrało mu apetyt - ale i tak zaczął je pogryzać.

A potem mgła rozwiała się zupełnie, szybko więc zerwał się na nogi, by podziwiać widok.

- O, kurczę. - Naprawdę było stąd widać pół Szkocji. Góry, doliny i lasy ciągnęły się aż po zamglony horyzont. Długie nitki wody lśniły oślepiająco w promieniach słońca. Jakim cudem Amethi miałyby się dorobić takich widoków? Cały ten wysiłek na nic...

Jooną przytuliła się do niego.

- W bardzo słoneczne dni widać stąd nawet Irlandię.

- Naprawdę? A widziałaś ją? Czy to tylko bajka dla naiwnych turystów?

Trzepnęła go żartobliwie.

- Widziałam. Raz, kilka lat temu. Nie wchodzę tu przecież codziennie.

Słońce świeciło tak jasno, że Lawrence aż zmrużył powieki. Oczy łzawiły mu od wiatru.

- Zostań tu.

Powiedziała to bardzo cicho i z początku uznał, że musiał się przesłyszeć.

- Jooną... wiesz, że nie mogę.

- Oczywiście, że możesz. To właśnie my jesteśmy tym nowym społeczeństwem, którego szukasz, Lawrence. Możesz zacząć wszystko od początku. Tu, w dolinach, ludzie biorą życie we własne ręce i robią to, na co mają ochotę.

- Nie - powiedział najłagodniej, jak potrafił. - To nie dla mnie. Dobrze mi tutaj, zwłaszcza z tobą, ale w końcu muszę wrócić do siebie. Za bardzo się od was różnię.

- Nieprawda - upierała się. - Twoja bezcenna szkoła oficerska cię nie chciała, a wtedy znalazłeś mnie. To nieuniknione. Chyba sam to widzisz.

Znów ta żarliwa szczerość. Czasem czyniła ją to najsilniejszą osobą, jaką w życiu spotkał. Ale czasem zdradzała tym, jak łatwo ją zranić. Nie rozumiała, co się dzieje wokół, upierając się przy swojej własnej interpretacji.

- Przestań - poprosił. - Spędziliśmy razem cudowne wakacje i ciągle został nam



jeszcze tydzień.

- Musisz zostać, Lawrence. Kocham cię.

- Nie mów tak. Znamy się dopiero od niedawna.

- Ale czy nie widzisz, jak doskonale tu pasujesz?

- Jestem waszym gościem - powiedział zmęczonym głosem. - Co, do cholery, miałbym tu robić? Rzeźbić potworki z Loch Ness dla turystów?

- Jesteś częścią naszego życia. Mieszkałeś pod naszym dachem. Kochałeś się ze mną. Nawet jadłeś prawdziwe jedzenie. I wszystko to przyjąłeś z radością.

- Posłuchaj, Joon, spędziłem tu parę dni. To bardziej wakacyjny romans niż... - Nagle jego podświadomość wysłała ostrzegawczy sygnał. Lawrence poczuł się, jakby kopnął go prąd. - Jak to „prawdziwe jedzenie”?

- Zwyczajnie. - Błagalny uśmiech ani na chwilę nie zniknął jej z twarzy. - Warzywa wyhodowane na grządce.

- O, kurwa! - Odruchowo podniósł dłoń do ust i z przerażeniem spojrzął na nadgryzioną kanapkę. - Czy to... czy to jest...?

Nie potrafił nawet wypowiedzieć tego głośno. „Byle tylko nie to”. W szkole, na lekcjach historii, nie potrafił się wyzbyć obrzydzenia, słysząc, że jego przodkowie zmuszeni byli hodować zwierzęta na pokarm. Cała jego klasa zareagowała tak samo.

- Wołowina Aberdeen Angus - odparła spokojnie. - Najlepsza.

- Prawdziwa? - wrzasnął Lawrence.

- No jasne - odparła, jakby nie rozumiejąc jego reakcji.

- Billy Stirling hoduje stado krów na pastwiskach za Onich. Co miesiąc zabija parę sztuk. Babcia kupuje mięso tylko od niego.

Lawrence poczuł, że uginają się pod nim kolana, i runął na ziemię. Zwymiotował na śnieg, żołądek skręcił mu się boleśnie. Torsje ciągnęły się w nieskończoność. Nawet wtedy, gdy nie miał już nic w żołądku, jego mięśnie z trudem próbowały wycisnąć ostatnie krople żółci i soków żołądkowych.

Gdy w końcu uznał, że to już koniec, powoli, chwiejnie uniósł się na czworaki. Nabrał garść śniegu i przyłożył do czoła, a potem wsadził do ust, próbując zabić to straszne wspomnienie.

- Co się stało? - spytała niepewnie Joon.

- Co? - Zobaczył, że dziewczyna patrzy na niego z troską. Kilku turystów podeszło do nich, żeby zapytać, czy potrzebują pomocy. - Pytałaś, co się stało?

- Tak. - Wyglądała na kompletnie zdezorientowaną.

- Dałaś mi do zjedzenia kawałek zwierzęcia i jeszcze pytasz, co się stało?! Zwierzę! Żywą istotę! Jesteś kompletnie pojebana! Ty pieprzona... o, kurwa mać. Jak długo jadłem to gówno?

Jej twarz ściągnęła się boleśnie.

- Przecież widziałeś, jak mieszkamy, Lawrence. Myślałeś, że skąd bierzemy jedzenie?

- Pieprzyć to - wykrztusił mężczyzna i przez chwilę myślał, że znów się porzyga. Mięśnie napięły się w odruchu wymiotnym, do ust napłynęła ślina, ale teraz już naprawdę nie miał czego zwrócić. Nabrał kolejną garść śniegu i potarł nią czoło, a potem wstał powoli.

- Lawrence! - Jej głos stał się piskliwy, błagalny. Wyciągnęła rękę, by go podtrzymać. Odsunął się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! Słyszysz? Nawet, kurwa, nie próbuj!

- Zatoczył się w bok, ale potem zapanował nad ruchami i ruszył przed siebie. Jona postąpiła parę kroków naprzód.

- Lawrence! - zawołała. - Lawrence, kocham cię! Nie możesz odejść!

Zaczął biec przed siebie po ubitym śniegu.

- Daruj sobie. Nie idź za mną. To koniec. - Zatrzymał się i odwrócił, żeby spojrzeć jej w twarz. - To koniec! Rozumiesz? Odchodzę. - Spiorunował wzrokiem rozbawionych gapiów. - Dziękuję i dobranoc.

Teraz był już w stanie całkiem nieźle zapanować nad sobą i pobiegł przed siebie. Pędem pokonał zygzakującą ścieżkę. Zwolnił trochę na rumowisku i obluźwionych głazach. Biegł truchtem, aż w końcu znalazł się daleko za strumieniem przepływającym przez rozpadlinę. Nawet wtedy, gdy już kręciło mu się w głowie z szoku i wysiłku, nie przystanął. Wciąż zmierzał ku dołowi.

Wziął rower ze stojaka przy informacji i z całych sił popedałował na stację kolejową. Tam złapał popołudniowy pociąg do Glasgow, a potem przesiadł się na Edynburg Waverley i pojechał ekspresem do Paryża. Tam spędził dwa dni, czekając, aż zwolni się miejsce w locie Z-B z powrotem na Cairns. Większość czasu spędził w stanie permanentnego upojenia alkoholowego, łażąc od baru do baru w dawnej dzielnicy artystycznej, próbując zatrzeć wspomnienia tej wariatki i wszystkiego, co zjadł u niej w domu.

Nigdy więcej nie próbował skontaktować się z Joną. Ona też go nie szukała.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ebrey Zhang ustanowił w końcu całkowity zakaz opuszczania koszar po godzinie ósmej wieczorem. W ciągu ostatnich dni w jednym z klubów na wybrzeżu wybuchła kolejna bójka, kolejny z żołnierzy odniósł poważne rany od noża i to przesądziło sprawę. Ebrey wiedział, że nie zdobędzie mu to sympatii i nie podniesie morale, ale nie miał wyboru. Niezależnie od tego, jak ścisły nadzór nad żołnierzami nakazał wprowadzić (jego pierwszy dyktat głosił, że odtąd wszyscy żołnierze mogą wychodzić tylko w towarzystwie swoich podoficerów), zawsze wybuchały jakieś zamieszki, które nieuchronnie kończyły się obrażeniami, zniszczeniem mienia i konsekwentnym pogorszeniem wizerunku - choć sam musiał przyznać, że w tej dziedzinie pozostało już niewiele do zrobienia.

A zatem zwołał naradę, podczas której oznajmił swoją decyzję. Oczywiście, oficerowie natychmiast wyłuszczyli mu swoje wątpliwości. Odparł, że wziął to pod uwagę i że w ramach rekompensaty zwiększy ilość alkoholu dostępną w barach i hotelach, które zarekwirowali i przerobili na koszary. Jednak plutony odbywające nocny patrol miały teraz obowiązek zaarrestować każdego pracownika Z-B, którego spotkały na zewnątrz po wyznaczonej godzinie.

Ten jeden rozkaz kompletnie zniszczył życie Halowi Grabowskiemu. Memu Bay już wcześniej wydawało mu się nieznośne, nawet wtedy, gdy co parę dni mógł wyskoczyć na wieczór do miasta i spuścić trochę pary. Ale to był po prostu koniec świata. Większy przydział piwa nijak nie rozwiązywał problemu. Hal nigdy nie przepadał za urzynaniem się do nieprzytomności, bo i tak nie mogło się to równać z wyjściem na miasto, by choć na chwilę uciec od tych samych ludzi narzekających na te same sprawy. Koszary okazały się gorsze niż więzienie.

Może jakoś zdołałby to przeżyć, gdyby nie brak jednej absolutnie niezbędnej rzeczy. Właściwie potrzebował tylko jednego - zapewniał każdego, kto jeszcze chciał go słuchać - porządnego ruchanka. Najlepiej dużo. Ich obecne życie przypominało powolne tortury. Codziennie patrolował ulice, po których spacerowało mnóstwo skąpo ubranych dziewczyn. Śmiały się, plotkowały i doskonale się bawiły, były prawie na wyciągnięcie ręki, ale Hal nie mógł się do nich odezwać - w Skórze nie mógł się nawet uśmiechnąć. A teraz jeszcze odebrano mu jedyną okazję, by jakoś poderwać panienkę. Sierżant powiedział, że bardzo mu

przykro, ale nie może naginać reguł dla nikogo. Hal miał wrażenie, że lada chwila głowa mu eksploduje w ślad za kutasem. Nie przejmował się rozkazami. To oczywiste, że trzeba było je złamać. Pytanie tylko: jak?

Zaczekał do dwudziestej trzeciej, gdy główna kuchnia hotelowa zamknęła się na noc i obsługa poszła do domu. Żołnierz z plutonu Wagnera, rówieśnik Hala, miał bardzo podobny problem i któregoś dnia podzielił się z kolegą swoim odkryciem. Kuchenne drzwi wychodziły na małe podwórko. Ten obszar obejmował tylko jeden czujnik bezpieczeństwa - czujnik ruchu podłączony bezpośrednio do AS.

Uzbrojony w kody otrzymane od kolegi, Hal spędził pół godziny na infiltracji programu zarządzającego czujnikiem. Nie wyłączył go zupełnie - to naraziłoby wszystkich na niebezpieczeństwo. Jednak zmienił trochę procedurę diagnostyczną, każąc programowi powtórzyć ją dwieście razy zamiast tylko raz. W ten sposób proces, który zwykle zabierał około trzech sekund, teraz trwał ponad trzy minuty. Podczas sprawdzania obwodów wspierających czujnik ruchu pozostawał nieaktywny. Diagnostyka uruchamiała się automatycznie, dwanaście minut po każdej pełnej godzinie. Poprawki Hala miały obowiązywać tylko przez jedną noc, a potem skasować się o trzeciej w nocy, przywracając domyślne ustawienia.

W kuchni nie było nikogo. Hal minął blaty ze stali nierdzewnej i czekał przy drzwiach, aż w końcu zegar w jego perle bransoletkowej pokazał dwanaście po jedenastej. Dopiero wtedy otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Nie usłyszał alarmu. Podwórko miało powierzchnię trzy na piętnaście metrów. Wykorzystywano je jako magazyn, więc pełne było pustych skrzynek i beczek po piwie czekających na przyjazd śmieciarki. Hal przebiegł przez placyk, wspiął się na skrzynki i wyjrzał ponad murem. W ciemnym zaułku nie dostrzegł żadnego ruchu. Szybko podciągnął się na rękach i zeskoczył po drugiej stronie.

Miał szczęście. Dwadzieścia metrów dalej przy ulicy stała taksówka. Kierowca czytał coś z karty mediów, ale na dachu paliła się żółta lampka oznaczająca „wolny”. Hal otworzył tylne drzwi i wsiadł.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na niego w lusterku.

- Dokąd, proszę pana?

- Do maryny. - Chłopak postawił kołnierz, by ukryć zawory.

- Jasne. - Kierowca powiedział coś do AS i pojazd potoczył się naprzód. Mężczyzna lekko opierał ręce na kółku, pozwalając AS prowadzić.

- Dobrze zna pan to miasto? - zagadnął Hal.

- Jasne, urodziłem się tutaj. Raz pojechałem na wycieczkę do Durrell, ale mi się nie

podobało.

- Wie pan, ostatnio dawno nie wychodziłem na miasto. Nie znam tu zbyt wielu ludzi.

Wie pan, o co chodzi?

- Chyba tak. Jeśli ma pan ochotę na towarzystwo, to marina nada się doskonale.

- Aha, tak. Ale ja chciałbym poznać dziewczynę. To znaczy, chcę mieć pewność. Wie pan, gdzie taki gość jak ja - zakładając, że ma trochę pieniędzy - może na pewno spotkać dziewczynę?

Kierowca uśmiechnął się szeroko do lusterka.

- Hej, spokojnie, kolego. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Znam naprawdę niezły burdelik. - Wyłączył AS i zaczął kierować ręcznie.

Przybytek rozkoszy znajdował się na jednej z bardziej eleganckich ulic mieszkalnych. Był to duży, trzypiętrowy budynek oddzielony od chodnika ogródkiem. Hal otworzył furtkę odlaną z żelaza i zerknął na kierowcę. Mężczyzna pokazał uniesiony kciuk i odjechał. Na ulicy nie było nikogo.

- Pieprzyć to - burknął Hal. Pokonał trzy schodki dzielące go od lśniących czarnych drzwi i zadzwonił.

Otworzyła mu kobieta w średnim wieku ubrana w czerwoną koktajlową sukienkę. Miała stanowczo zbyt ostry makijaż, by uchodzić za zwykłą gospodynię domu. Przynajmniej upewnił się, że kierowca go nie oszukał.

- Dzień dobry - uśmiechnął się.

Kobieta zacisnęła usta i zmierzyła go spojrzeniem. Jej wzrok na chwilę zatrzymał się na zaworach wystających znad kołnierza.

- W czym mogę pomóc?

- Szukam towarzystwa na noc.

Postąpiła o pół kroku naprzód i rozejrzała się po ulicy.

- Nagrywa pan to?

- Jestem po służbie i wyszedłem nielegalnie. Jeśli ktoś się o tym dowie, sam będę miał kłopoty.

- Dobrze więc. - Kobieta zaprosiła go gestem do środka.

- Musimy być ostrożni, sam pan rozumie.

- Tak, proszę pani. W moim rodzinnym mieście jest tak samo. - Przedsiónek wyłożono marmurową posadzką. Z wysokiego stropu zwieszał się wielki kryształowy żyrandol, rzucając jasne światło. Właściwie mógł to być zwyczajny dom, tyle że ktoś owinał wszystko wokół białą gazą, nadając wnętrzu dziwnie tandetny posmak. Na końcu holu znajdowały się szerokie

schody przechodzące w zaokrąglony balkon otaczający piętro. Dwie dziewczyny ubrane w proste, białe sukienki, sznurowane z przodu, pochyliły się ponad barierką, zerkając na przybysza. Jedna z nich mrugnęła. Hal ledwie się powstrzymał, by nie zagwizdać w odpowiedzi. To rzeczywiście było dobre miejsce. Miało klasę.

- Hmm. - Właścicielka przejechała językiem po wargach pomalowanych lawendową pomadką. - Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu obcego.

Hal przez chwilę wystraszył się, że burdelmama postanowi sama go obsłużyć. Właściwie nie miałby nic przeciwko, ale wolałby kogoś młodszego.

- Może i jestem obcy, ale wciąż kompatybilny - odparł łobuzersko.

- Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałabym omówić kwestię zapłaty. Która również musi być kompatybilna. - Wymieniła kwotę, przy której Hal zawahał się chwilę. Cholerni tubylcy, wiedzieli, że musi być zdesperowany. Czując na sobie jej uważny wzrok, wyciągnął zwitek banknotów i wręczył jej większość.

- Czy ma pan jakieś specjalne życzenia? - spytała madame. - Proszę wziąć pod uwagę, że możemy zagwarantować prawie wszystko, ale chciałabym, by poinformował mnie pan o tym zawczasu. Dzięki temu unikniemy nieporozumień i innych nieprzyjemności.

- Chyba nie. Lubię proste rozwiązania, wie pani? Żadnych dziwactw.

- Rozumiem. Jest pan młodym człowiekiem. I to pełnym energii.

- Heh. Wie pani. Dbam o kondycję.

Kobieta sugestywnie uniosła brew.

- Widzę. Mamy tu kilka dam, które prawdopodobnie mają dość sił, by dotrzymać panu tempa. Choć, oczywiście, nie wszystkie.

Hal wiedział, że szczerzy się jak szympan, ale nie próbował tego ukryć. Poczł, że twardnieje już na samą myśl.

- Może Mika? - zastanawiała się madame. - Jest bardzo doświadczona. Czy to panu nie przeszkadza?

- Każdy, kto wie, co robić w łóżku, będzie okej.

- Hmm. - Madame postukała umalowanym paznokciem w wargę, jakby Hal stanowił wyjątkowo trudny problem. - Ach. Tak. Proponuję panu Avril. Jest bardzo młodziutka, to dość atrakcyjne, prawda?

- O, tak. - Hal z całej siły starał się nie wrzasnąć tryumfalnie.

- W porządku. Proszę tedy. - Madame skinęła na niego ręką i ruszyła w górę po schodach. Hal prawie następował jej na pięty. Dziewczyny stojące na piętze wydeły wargi, gdy przechodził obok.

Madame otworzyła jedne z drzwi na piętrze. Gdy chłopak w końcu zobaczył, kto na niego czeka, niemal odepchnął kobietę na bok. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. U niego w domu ta dziewczyna prawdopodobnie nie osiągnęłaby nawet wieku przyzwolenia. Była szczupła i opalona, miała kasztanowe włosy sięgające do ramion i lekki kuszący uśmiech. Ubrana była w sportowy strój: bardzo króciutkie szorty i top z lycry, wiązany na szyi, tak obcisły, by podkreślić sterczące sutki i drobne piersi.

- Jezu Chryste! - wyrwało się Halowi.

Madame skłoniła się lekko.

- Do zobaczenia - oznajmiła, po czym zamknęła drzwi.

Hal przez dłuższą chwilę gapił się na Avril, czując, że jego oddech staje się coraz gorętszy, a potem szybko przeszedł przez pokój.

\*\*\*

Zaczął się od standardowego raportu o zaginięciu. Gemma Tivon czekała na powrót męża trzy godziny dłużej niż zwykle, następnie spróbowała nawiązać połączenie z jego perłą, by zapytać, gdzie jest. Nie było odpowiedzi. AS zarządzający komunikacją w puli twierdził, że jego bransoletka nie jest nawet w trybie czuwania. Została wyłączona. Było to bardzo dziwne. Jej mąż nigdy tego nie robił, zadzwoniła więc do kosmodromu i zapytała, czy Dudley otrzymał jakieś niespodziewane nadgodziny. Kierownik działu odpowiedział, że nie, a potem nakazał ochronie sprawdzić parking i logi przy bramie. Samochód Dudleya Tivona zniknął z parkingu. Z logów przy bramie wynikało, że odmeldował się tego ranka za siedem szósta, nieco wcześniej niż zwykle.

Pracownicy kosmodromu byli sumiennymi ludźmi, a zatem natychmiast zadzwonili na policję i poprosili o przysłanie kogoś do domu Gemmy Tivon. Policja połączyła się z AS zarządzającym miejscowym ruchem ulicznym i za jego pośrednictwem przeszledziła trasę samochodu Dudleya po opuszczeniu kosmodromu. Jak zwykle ruszył główną autostradą, jakby wracając do miasta, ale potem zmienił trasę. Skręcił na obwodnicę w stronę Durell i jechał na wschód przez kolejne trzy węzły. Potem skręcił w jedną z mniejszych dróg, aż w końcu zjechał na niemonitorowaną ścieżkę prowadzącą przez las. Kosmodrom naciskał, policja wysłała więc w ten rejon kilka samochodów patrolowych i śmigłowiec obserwacyjny. Poszukiwania trwały dwie godziny, ale w końcu znaleziono w lesie samochód Dudleya zaparkowany pod wielką sosną. Wnętrze zalano łatwopalnym płynem i podpalono. Natychmiast wysłano tam ekipę śledczą i trzy kolejne radiowozy.

AS Zantiu-Braun monitorujący działania policji w całym mieście otagował tę sprawę jako ważną z powodu niejasnych okoliczności przestępstwa. Agencja wywiadowcza Trzeciej

Floty także ją otagowała, ale z innego powodu: Dudley Tivon miał powiązania ze statkami kosmicznymi, a Gemma była zastawem.

Pięć minut po otrzymaniu przez dyspozytorkę informacji, że samochód Tivona został umyślnie podpalony, pełen pakiet danych dotyczących sprawy wylądował w DNI Simona Rodericka, przesłany przez jego osobisty AS.

- Niestety, trop już ostygł - stwierdził, gdy Quan i Raines zjawili się w jego biurze. - Od czasu podpalenia minęło już kilka godzin.

- Możemy skierować tam parę naszych helikopterów, żeby pomogły w poszukiwaniach - zasugerował Quan.

- Nie - odparł stanowczo Simon. - Nie skierujemy tam niczego. Nie chcę zwracać na nas uwagi. Jeśli policja potrzebuje naszego wsparcia, to mogą o nie poprosić zwykłymi kanałami. Tak czy inaczej, odnalezienie ciała tego biedaka nic nie udowodni.

- Wyniki ekspertyzy mogą na coś wskazywać.

- Wątpię. Co więcej, nie sądzę, byśmy w ogóle znaleźli ciało. Jeśli nasi przeciwnicy mają choć krztynę rozumu, a jak podejrzewam, mają go mnóstwo, to nie zostawili ciała w lesie. A poza tym wcale nie interesują mnie metody tego zabójstwa. Wyłącznie powody.

- Przekazał im coś, a potem przestał być potrzebny - stwierdził Raines. - A może dostarczył coś do kosmodromu, na przykład bombę, i poszedł do nich po zapłatę.

- To strasznie toporne jak na tych ludzi - Simon pokręcił głową. - Tak czy inaczej, zapominacie o jego żonie. Dudley Tivon nie zaangażowałby się w żadną działalność, która mogłaby jej potencjalnie zagrozić. Nie, myślę, że po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym momencie. - Zerknął na swoich agentów. - Zróbcie mi profil aktywności z całego tygodnia. Uwzględnijcie każdy log z każdego czujnika w puli, zacznijcie od zeszłej nocy i cofajcie się stopniowo. Gdy tu wrócicie, chcę zobaczyć cały dzień tego człowieka, każdą jedną minutę. A gdy już z tym skończycie, ustawcie bezpieczne połączenie na *Koribu* i zestawcie jak najwięcej logów z danymi z nieboskanu.

Prace trwały pięć godzin, ale gdy wrócili do gabinetu Simona, byli uśmiechnięci.

- Mamy go - oznajmił Quan. Mówił stanowczym, pewnym siebie głosem, bardzo typowym dla podwładnego, który przynosi szefowi dobre wieści. - Dudley został zamordowany i to dopiero początek. - Jego DNI przekierował pierwszy zestaw danych na duży panel zamontowany na ścianie naprzeciwko biurka Simona. Pojawił się na nich obraz podzielony na pół, zsynchronizowany ze sobą. Po lewej stronie wyświetlano obraz z kamery wychodzącej na płytę postojową w kosmodromie. Po prawej znajdował się obraz z nieboskanu.



Simon odchylił się na oparcie krzesła, patrząc, jak jakiś człowiek ukazuje się na dole schodków prowadzących do Xianti 5005 w tej samej chwili, gdy Dudley Tivon wyszedł z hangaru. Po lewej stronie Dudley nadal szedł poprzez płytę, zmierzając do innego hangaru. Po prawej dwaj mężczyźni spotkali się, zamienili kilka słów i sekundę później Dudley już nie żył.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobili - przyznał z podziwem Braddock. - Ale w całej sieci kosmodromu nie ma ani śladu włamania. Kazałem nawet jednemu z naszych ludzi pójść do portu i fizycznie wyjąć obwody pamięci z kamer wokół płyty, żeby przejrzeć je na miejscu. Niczego nie znalazł. A zatem już wiemy, że sabotażysta potrafi pogrywać sobie z siecią jak prawdziwy maestro. Nie wiem, czego używają, ale to naprawdę imponujące.

- Czy pamięć tej kamery jest chroniona przez e-alfa? - spytał ostro Simon.

- Nie, ale jest zabezpieczona wysokiej jakości szyfrem. Pamięć zapasowa w AS znajduje się w fortecy e-alfa - przyznał Raines. - Ale sądzimy, że sabotaż dotyczył raczej samej kamery albo jej połączenia z siecią. Ich własny AS został podłączony do sieci, aby generować fałszywe obrazy w czasie rzeczywistym. Zaatakowali cztery kamery, przynajmniej o tym wiemy, a to wymaga sporo łącza. Nasz AS powinien był wyłapać przepływ obcych danych w ramach sieci kosmodromu. A fakt, że tego nie zrobił, może coś sugerować.

- Chce pan powiedzieć, że e-alfa jest spalone?

Raines skrzywił się, jakby nie chciał wypowiedzieć wiążącego stwierdzenia.

- Całą tę akcję można było przeprowadzić, nie łamiąc e-alfa. Ale to bardzo trudny scenariusz. Oczywiście, rozpracowanie e-alfa też nie jest łatwe. Nawet jeśli nasi przeciwnicy nie są w stanie tego zrobić, to i tak dysponują takimi środkami, że w praktyce nie ma to większego znaczenia. Ich człowiek dostał się do kosmolotu, a to chyba wystarczający dowód.

- Wyświetlił wcześniejszy plik z nieboskanu, ukazujący, jak intruz idzie poprzez płytę i kieruje się prosto na schody.

- Nie zarejestrowano żadnego wejścia w ciągu nocy - ciągnął Raines, podczas gdy postać zbliżała się do wielkiego kosmolotu. - Widzicie? Nie musiał fizycznie włamywać się do zamka przy wejściu na pokład. Oprogramowanie zostało już skonfigurowane tak, by rozpoznać go jako swego.

- Oczywiście, stworzyliście profil aktywności intruza? - upewnił się Simon.

Dwaj agenci wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Próbowaliśmy. Nie zdołaliśmy nawet ustalić, kiedy wszedł do hangaru, nie mówiąc już o samym przybyciu do kosmodromu. Jedyne dane z czujników, którym można zaufać, to nieboskan, ale jego odczyty są zbyt ograniczone, by stworzyć przyzwoity profil.

Simon zaklął w duchu. W ciągu ostatnich lat wiele razy sugerował rozbudowanie możliwości monitoringu satelitarnego podczas kampanii realizacji aktywów. Jego sugestie nigdy nie wyszły poza etap propozycji. Uczciwie musiał przyznać, że nawet sam nie był w stanie sensownie uzasadnić tak kosztownego przedsięwzięcia. Ziemia, otoczona rojem niskoorbitalnych satelitów, stanowiła wyjątkowy przypadek. Tu, w tej dziurze, najlepsze, co Z-B mogła ofiarować swym siłom bezpieczeństwa, sprowadzało się do kilku satelitów oferujących ciągły monitoring najbardziej strategicznych obiektów. W praktyce oznaczało to kosmodrom i centralę w stolicy. Niektóre strefy trochę zachodziły na siebie, ale niewiele. Spoglądając na rozmazany obraz głowy intruza, pomyślał, że mieli też trochę szczęścia - najwyraźniej ruch oporu nie zdawał sobie sprawy z istnienia małej flotyli nieboskanów. Jak dotąd była to ich jedyna przewaga.

- Ale na pewno zarejestrowaliście chwilę, gdy samochód Tivona opuszczał port.

- Tak. - Raines znów wyglądał na zadowolonego. Przekierował na panel odpowiednie pliki. Nieboskan ukazał małego robota sunącego po opustoszałej płycie o piątej nad ranem. Intruz szedł w stronę samochodu ofiary. Dotarli do niego jednocześnie, z dwóch różnych kierunków. Intruz otworzył bagażnik, a robot wrzucił do niego zapieczętowaną skrzynkę i potoczył się w swoją stronę. Cała operacja trwała pięć sekund. Robot zrobił to praktycznie w ruchu.

- Siedział tam przez czterdzieści minut, zanim w końcu wyjechał - stwierdził z podziwem Raines. - Wyjazd o piątej mógłby przyciągnąć uwagę. A zatem odczekał swoje i wyjechał kilka minut przed zwyczajową porą Tivona. Co pan na to?

Simon wpatrywał się w panel.

- Profil pojazdu?

- Wyjechał poza obszar monitoringowy nieboskanu jakieś dwanaście kilometrów za kosmodromem. Po prostu jechał główną drogą, nie zatrzymując się nigdzie.

- Mamy obraz jego twarzy?

- Niestety nie. Zwykle nie podnosił głowy. Chyba jest dość obeznany z zasadami inwigilacji. - Na panelu ukazał się obraz intruza na parkingu. Unosił lekko głowę, by obejrzeć coś, co znajdowało się ponad nim. Jego twarz powiększyła się, aż przybrała postać kolażu z rozmazanych pikseli wielkości piłek golfowych. - I to z pomocą wyostrenia dokonanego przez AS. Na tej podstawie nakreśliliśmy kilka możliwych portretów. - Na panelu pojawiło się pięć obrazów twarzy w wysokiej rozdzielczości. Za każdym razem był to mężczyzna około dwudziestu paru lat, o nijakich, niesprecyzowanych rysach.

- Na nic nam się nie przydadzą. - Ekstrapolacje zawierały zadziwiająco mało cech

charakterystycznych. Simon pomyślał, że nawet postacie w automatycznie generowanych serialach zdawały się prawdziwsze niż to. - A nawet nie włożył kapelusza - stwierdził w zamyśleniu i wymownie spojrzął na Adula Quana. - Pamięta pan, kiedy ostatnio mieliśmy taki przypadek?

- Bar w Kurandzie - odparł Quan. - Tuż przed wylotem z Ziemi. Myśli pan, że te sprawy są powiązane?

- Trudno powiedzieć jak. Każdy, kto chce uniknąć obserwacji, dojdzie w końcu do tych samych wniosków. - Skrzywił się, patrząc na rząd obojętnych twarzy, pełen podziwu dla odwagi i pomysowości intruza. W żadnej z poprzednich kampanii Simon nigdy nie zetknął się z podobnym zagrożeniem. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, dlaczego to właśnie Thallspring wydało z siebie tak zabójczy ruch oporu. - Nie, nie jestem jeszcze gotów na międzygwiazdne teorie spiskowe. Musimy skupić się na bezpośrednim zagrożeniu. Ile czasu ten człowiek spędził w xianti?

- Siedemnaście minut - odparł Quan.

- Przez ten czas mógł zrobić wszystko. Czy ten kosmolot dzisiaj latał?

- Tak, sir. Zabrał ładunek na *Norvelle* dzisiaj rano. Wylądował o trzynastej trzydzieści pięć. Załoga nie zgłaszała żadnych usterek. Obecnie jest poddawany standardowym testom przed lotem i tankuje paliwo do kolejnego lotu wyznaczonego na osiemnastą dwadzieścia. - Quan spojrzął prosto na Simona. - Mamy go zatrzymać?

- Nie. Na jakim statku ma tym razem zadokować?

- Na *Chionie*, sir.

- Zmieńcie z powrotem na *Norvelle*. Jeśli zabrał tam coś szkodliwego, to chcę jak najbardziej ograniczyć rozprzestrzenianie się tego paskudztwa.

- Tak, sir.

- Gdy już zostawią ładunek, niech zadeklarują usterkę, coś, co zmusi ich do pozostania w hangarze naprawczym *Norvelle*. Braddock, uda się pan na *Norvelle* najbliższym lotem. Przekaze pan moje instrukcje bezpośrednio kapitanowi. Gdy już pan tam będzie, proszę zebrać zespół najlepszych techników, jakich mamy. A potem rozbierzecie ten cholerny kosmolot na części, na pojedyncze łańcuchy cząsteczek, jeśli będzie trzeba. Chcę wiedzieć, co konkretnie zrobił tam nasz tajemniczy intruz i co po sobie zostawił. Jasne?

- Tak, sir.

- Dobrze. I jeszcze jedno: od tej chwili zakładamy, że e-alfa jest spalone. Dotyczy to również naszej komunikacji. Jedno, czego na pewno nie wolno nam w tej chwili zrobić, to zdradzić, ile tak naprawdę wiemy.

\*\*\*

Policja na Thallspring, podobnie jak we wszystkich ludzkich światach, miała opracowane bardzo szczegółowe procedury dotyczące postępowania w każdej sprawie, z jaką się zetknęła. Cała ta wiedza, pieczołowicie zgromadzona przez dziesięciolecia, była poddawana ciągłym aktualizacjom za pomocą takich czynników jak ustawodawstwo, zawałone sprawy sądowe, pomyślne sprawy sądowe, przebiegli prawnicy, nowe odkrycia w dziedzinie kryminalistyki, grupy lobbingowe, spartaczone procedury, prawa człowieka i ludzkie błędy. Każdy z funkcjonariuszy został wyszkolony tak, by przestrzegać tych procedur co do litery, zwłaszcza w przypadku poważnych przestępstw. Pójście na skróty zazwyczaj odbijało się niekorzystnie w sądzie.

A zatem gdy pewnej nocy, dwadzieścia pięć minut po drugiej, na posterunek policji w marinie Memu Bay wpadła młoda dziewczyna, płacząc i wrzeszcząc histerycznie, że została zgwałcona, sierżant, który akurat miał dyżur, dokładnie wiedział, co powinien zrobić. Natychmiast wezwano odpowiednio przeszkolonych funkcjonariuszy i lekarkę. Jedna z policjantek zaprowadziła ofiarę do pokoju przesłuchań, gdzie nagrała wszystkie zeznania.

Procedura wyraźnie mówiła, że jak najwcześniej należy złożyć wstępne oświadczenie. Zwykle miało to służyć identyfikacji sprawcy i jak najszybszemu wysłaniu patrolu na miejsce przestępstwa. Miała im towarzyszyć ekipa techników w celu zebrania dowodów.

Jednak tym razem zdarzyło się coś niespodziewanego. Dziewczyna bez przerwy krzyczała:

- To był obcy! Miał takie rzeczy na szyi!

Funkcjonariusze, którzy spisywali jej zeznania, natychmiast skontaktowali się z komendantem okręgu, który z kolei zadzwonił do burmistrza. Właśnie wtedy pojawiło się kolejne odstępstwo od normy, które zatarło tryby sprawnie działającego mechanizmu.

Wiele osób z najwyższego szczebla kierownictwa Z-B oraz administracji cywilnej zostało wyrwanych z łóżek i powiadomionych o tym, co zaszło na komisariacie. Nastąpiła kolejna seria telefonów. Dwaj prawnicy uważani za najlepszych fachowców w Memu Bay zostali wynajęci przez rodzinę ofiary (choć zaoferowali się, że zrezygnują z wynagrodzenia) i pospiesznie udali się na posterunek. Biorąc pod uwagę liczbę osób zamieszanych w całą sprawę, wkrótce o całym zajściu dowiedziały się media. Wszystkie firmy informacyjne konsekwentnie odmawiały przekazania choćby najdrobniejszych plotek na temat tożsamości ofiary, choć podały jej wiek - piętnaście lat. Podkreślały jednak wyraźnie, że obcy najeźdźca jest w tej sprawie głównym i, jak dotąd, jedynym podejrzanym.

Gdy w końcu na komisariat przybyli urzędnicy wraz z roztrzęsionym ojcem

dziewczyny, ofiarę przeprowadzono do małego gabinetu. W obecności prawnika, policjanta dowodzącego śledztwem i przedstawiciela Z-B lekarz pobrał próbki tego, co media określały mianem „dowodów genetycznych”. Kamery zarejestrowały także obrażenia na ciele ofiary: sińce, zadrapania, podarte ubranie i spuchnięty policzek. Gdy badanie dobiegło końca, pielęgniarka zezwolono wreszcie na opatrzenie ofiary.

Dziewczynę odesłano do domu i przydzielono jej terapeutę wyszkolonego w pracy z ofiarami napadów. Funkcjonariusze mieli przesłuchać ją jeszcze kilkakrotnie, gdy już dojdzie do siebie.

Tymczasem próbki genetyczne zostały wysłane do laboratorium kryminalistycznego w Memu Bay w celu dokonania niezwłocznej analizy w obecności starszego rangą policjanta, prawnika ofiary, sędziego śledczego, prawnika Z-B oraz technika medycznego korporacji. Wezwano naczelnikę wydziału, by osobiście nadzorowała badanie, upewniając się, że wszystko przebiega zgodnie z procedurą. Nawet ona sprawiała wrażenie nieco nerwowej, gdy umieszczała próbkę materiału genetycznego na płytce skanera. W ciągu ośmiu minut AS ustalił pełną sekwencję DNA.

Policjanci z początku przeszukali centralny rejestr przestępców w Memu Bay. Nie odnaleziono pasującej sekwencji. Sędzia śledczy autoryzował zatem uchylenie przepisów o prywatności, co pozwoliło przeszukać rejestry medyczne. Tam także nie znaleziono odpowiednika. Wówczas funkcjonariusz policji oficjalnie zwrócił się do prawnika Z-B z prośbą o przeszukanie ich własnych baz personelu. Przedstawiciel korporacji nie widział podstaw, by odmówić, był także zobowiązany do współpracy przez miejscowe prawo.

AS Z-B mógł wprowadzić zakończyć poszukiwania w ciągu kilku sekund i przesłać wynik do laboratorium kryminalistyki, jednak policjant i jego partner udali się wraz z przedstawicielem Z-B do hotelu wykorzystywanego obecnie w charakterze koszar. W trakcie jazdy policjant otrzymał pełen raport od sędziego śledczego, przesłany bezpośrednio na perłę bransoletkową. Komisarz policji uznał, że sprawiedliwości musi stać się zadość, niezależnie od tego, do jakich kruczków postanowią uciec się prawnicy Z-B.

O piątej trzydzieści wszystkie zainteresowane strony stawiły się przed oficerem pełniącym nadzór w koszarach. Mężczyzna wysłuchał żądań funkcjonariusza policji i wygłosił standardową formułkę o zapewnieniu „pełnej współpracy”. Plik zawierający informacje na temat DNA podejrzanego przekazano asystentowi i załadowano do AS w koszarach.

Siedemnaście sekund później znaleziono odpowiednik.

\*\*\*

Ebrey Zhang siedział w swoim biurze od wpół do czwartej, pijąc gorzką kawę i nerwowo pogryzając czerstwe rogaliki. Co jakiś czas otrzymał powiadomienia od prawnika i AS administracji cywilnej. Odbył także nieprzyjemną rozmowę z generałem Kolbe, w której powiadomił go, na czym stoją. Jedyną pociechę stanowił fakt, że jeszcze nie zadzwonił do niego Simon Roderick.

Z drugiej strony - powtarzał sobie w duchu - niczego im jeszcze nie udowodniono.

Dwie kamery monitorowały scenę w koszarach. Na membranach optronicznych przesuwały się wyniki wyszukiwania. Gdy pojawiło się pozytywne trafienie, dowódca zastygł gwałtownie jak rażony piorunem. Następnie cisnął swoją perłę stacjonarną przez cały gabinet.

- Kurwa mać!

Jego asystent próbował zachować spokój, co nie było łatwe. Z puli danych wylewały się wiadomości o nocnym incydencie. Na zewnątrz, przed wejściem do koszar czekała już trójka reporterów. Na szczęście, był dopiero wczesny ranek, ale już niedługo miał się tam zebrać tłum. Wyglądało na to, że to będzie długi, trudny dzień.

Na dużym ekranie naprzeciwko biurka Zhanga ukazała się postać detektywa żądającego zezwolenia na aresztowanie podejrzanego.

- Jaka decyzja, sir? - spytał niepewnie asystent.

- W porządku - westchnął z rezygnacją Ebrey. - Niech go aresztują.

Asystent przekazał decyzję swojemu AS, który przesłał ją oficerowi dyżurującemu w koszarach.

- Zbierz mi pięć plutonów w Skórach - oznajmił Ebrey Zhang. - Niech zabezpieczą posterunek, na który będą go eskortować, tak żeby nawet mysz tamtędy nie przelazła. I powtórz to wyraźnie naszemu drogiemu komisarzowi. Nie obchodzi mnie, ilu posterunkowych będzie musiał odciągnąć od innych zajęć. Nie będzie żadnego linczu.

- Tak, sir. - Asystent wyrecytował kilka szybkich instrukcji do swojego AS.

Ebrey spoglądał na scenę rozgrywającą się w koszarach. Wszyscy zachowywali się tak nienaturalnie grzecznie, że było to niemal zabawne. Ale ta zbrodnia... dobry Boże. „Ten kretyń nie mógłby nam zaszkodzić bardziej, nawet gdyby działał w zмовie z samym KillBoyem”. Dopiero wtedy pomyślał o dziewczynie i wstrząsnął się odruchowo. Ebrey Zhang też miał córkę.

- Poślijcie kogoś do niej do domu - polecił asystentowi.

- I zdejmijcie jej ten pieprzony naszyjnik.

- Tak jest, sir.

\*\*\*

Hal poruszył się niespokojnie, gdy w pokoju zapłonęły światła. W pobliżu rozbrzmiewały podekscytowane głosy. Ktoś potrząsnął go za ramię.

- Spierdalaj - mruknął niechętnie. Wciąż jeszcze śnił o Avril.

- Wstawać, szeregowy!

Zdziwiony uniósł głowę. Sierżant Wagner stał tuż nad nim, twarz miał zaciętą w wyrazie miażdżącej pogardy. Za jego plecami dostrzegł kapitana Bryanta, który zdawał się jednocześnie wściekły i trochę wystraszony. W pokoju kłębił się też tłum innych ludzi, z czego dwaj w mundurach.

- Co się... tajes, sir - wykrzyknął Hal, zrywając się na nogi. Nie zasalutował. Miał na sobie tylko spodenki i wyglądałoby to idiotycznie. Serce waliło mu jak oszalałe. „O, kurwa, zorientowali się, że naruszyłem zakaz”.

- Proszę kontynuować - Bryant skinął głową na jednego z policjantów.

Mężczyzna wystąpił naprzód.

- Pan Halford Grabowski?

- Eee, tak, sir - odparł Hal, zerkając na Wagnera, jakby spodziewał się pomocy. Jednak twarz sierżanta pozostała nieprzenikniona.

- Aresztuję pana jako podejrzanego o dokonanie gwałtu.

- Yyy... - Hal poczuł, że szczęka opada mu w oszołomieniu.

- Zgodnie z deklaracją Perlmana doradzam panu, by na tym etapie nic pan nie mówił. Otrzymałem uprawnienia, by zabrać pana stąd w oficjalnie wyznaczone miejsce, gdzie zostanie pan przesłuchany w obecności zastępcy prawnego. Proszę się ubrać.

- Chyba pan, kurwa, żartuje. Sir? - Hal zwrócił się do kapitana.

- Proszę się ubrać, szeregowy - rozkazał Bryant.

- Ja nic nie zrobiłem! To znaczy, nie to!

Policjant wyjął kajdanki.

- Chodź, synu. Nie pogarszaj sytuacji.

- Nie może mi pan tego zrobić!

- Ależ mogę.

Hal znów zwrócił się do kapitana.

- Proszę mu wytłumaczyć - jęknął błagalnie.

- Przebywając na tej planecie, podlega pan miejscowemu prawu, Grabowski. Zaznaczyliśmy to wyraźnie podczas szkolenia. A teraz proszę się ubrać albo zostanie pan zabrany na posterunek w takim stanie.

Sierżant Wagner podał mu parę spodni. Hal zaśmiał się oszołomiony i zaczął się

ubierać.

- Proszę odgrodzić ten pokój - oznajmił policjant, zwracając się do kapitana Bryanta. - Nasz zespół techników przeszuka go później w poszukiwaniu materiałów dowodowych.

- Rozumiem. Nikogo tu nie dopuścimy.

„To się nie dzieje naprawdę - myślał Hal. - To tylko sen”.

Wtedy do pokoju wszedł Lawrence Newton ubrany w krótki szary szlafrok. Przeczesał palcami zmierzwione włosy i ziewnął szeroko.

- Sierżancie! - wrzasnął Hal. - Na litość boską, niech pan mi pomoże!

Bryant ostrzegawczo uniósł palec.

- Proszę pamiętać, że nie bierze pan udziału w tej sprawie, Newton. W aresztowaniu nie może brać udział nikt z plutonu podejrzanego. Standardowa procedura. A teraz proszę wyjść.

Lawrence skinął kapitanowi głową, jakby ten mówił zupełnie oczywistości. Potem zwrócił się do detektywa:

- Jestem dowódcą jego plutonu. Jakie stawiacie mu zarzuty?

- Zabieramy go na przesłuchanie w sprawie domniemanego gwałtu.

- Ach, tak. A kiedy miało miejsce to zdarzenie?

- Dzisiaj w nocy.

- W porządku. - Lawrence spojrział na rozgorączkowanego chłopaka. - Zrobiłeś to?

- Cicho! - zawołał Bryant. - Grabowski, rozkazuję ci milczeć.

- Nie, sierżancie. Kurwa, przysięgam. Rany boskie, niech mi pan uwierzy!

Lawrence przez chwilę wpatrywał się w jego twarz.

- Wierzę.

- O, Boże! Dziękuję panu!

- Ubierz się, Hal - dodał Lawrence. - Potem musisz pójść na policję.

- Sierżancie!

- Zrób, co ci każą. Wynajmiemy prawnika i wyciągniemy cię z tego. A tymczasem nie rób żadnych problemów. Jasne?

- Tak, sir.

Hal niechętnie skończył się ubierać i pozwolił policjantom zakuć się w kajdanki. Gdy szedł korytarzem, wszyscy koledzy z plutonu wylegli już za drzwiami. Wołali, żeby się nie martwił, klepali go po ramieniu, zapewniali, że będą zeznawać na jego korzyść, że nie ma problemu. Chłopak zdołał nawet uśmiechnąć się w odpowiedzi. Zanim jeszcze zamknęły się drzwi windy, usłyszał, jak kapitan Bryant syczy wściekle:



- Newton, w moim biurze. Za pięć minut.

\*\*\*

Przed komisariatem zebrał się rozwścieczony tłum. Hal słyszał ich nawet w swojej celi. Okrzyki, skandowanie, obelgi.

Odkąd przybył na komisariat, wszyscy traktowali go bardzo grzecznie, ale widział, że to tylko fasada. Porucznik Z-B, który przyjechał z nim radiowozem, przedstawił się jako Lannon Bralow.

- Zostałem wyznaczony na twojego zastępcę prawnego - oznajmił.

- Jest pan moim prawnikiem?

- Tak.

Hal odprężył się lekko.

Po przybyciu na komisariat wprowadzono go do gabinetu lekarskiego i kazano się rozebrać. Jego rzeczy zabrano i włożono do plastikowej torby. Potem zjawił się lekarz, by pobrać próbki materiału. Lannon Bralow powiedział Halowi, że to standardowa procedura, i poradził mu, by nie robił trudności.

Chłopak położył się zatem na leżance i pozwolił się opukać i osłuchać. Zaprotestował dopiero wtedy, gdy ten konował zaczął dotykać jego fiuta. Ale Bralow ciągle powtarzał, że to normalne i że trzeba to wytrzymać. Hal pozwolił mu zatem robić, co należało, ale kazał prawnikowi obiecać, że nie powie o tym nikomu z jego plutonu. „Jezu, jeśli się o tym dowiedzą, to nie dadzą mi żyć”.

Gdy było po wszystkim, policjant dał mu jednoczęściowy kombinezon i zabrał go do celi. Jakiś czas później - Hal miał wrażenie, że minęło kilka godzin - przyszedł porucznik Bralow.

- To na czym stoimy? - spytał Hal. Był trochę wkurzony, że sierżant nie przyszedł.

- Zaraz cię przesłuchają.

- Po co? Ja nic nie zrobiłem!

Bralow uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Hal, ta dziewczyna, która cię oskarża... Znaleźli w niej twoje nasienie. Byłem przy niej, gdy pobierano próbki. Nasz własny AS zidentyfikował twoje DNA.

- To jakaś pomyłka. Nikogo nie zgwałciłem! Nie jestem, kurwa, zwierzęciem!

- Hal, rozpoczęliśmy w koszarach własne śledztwo. Wiemy, że zeszłej nocy naruszyłeś zakaz wychodzenia. Morkson powiedział nam o podwórku kuchennym i czujniku ruchu.

- O, kurwa! - jęknął Hal. Pierdolony Morkson. Co za dupek.

- Hal, posłuchaj, będę z tobą szczery. Połowa Memu Bay stoi teraz na zewnątrz i domaga się twojej krwi. Fabryki aktywów zastrajkowały. Za bramą lotniska wzniesiono barykadę. Nasze ciężarówki nie mogą przejechać. W całym mieście ludzie atakują plutony; aż dziewięć razy musieliśmy dziś użyć strzałek, a jeszcze nie ma nawet południa. A teraz powiedz mi: co, do ciężkiej cholery, zaszło dzisiaj w nocy?

- Poszedłem, kurwa, do burdelu. Jasne? To znaczy... Jezu, już od paru miesięcy nie miałem żadnej cipki. Myślałem, że zwariuję. A potem ten zakaz...

- W porządku - odparł Bralow z ulgą. Otworzył perlę stacjonarną. - Zacznij od początku.

\*\*\*

Przesłuchiwali go w dużym gabinecie zastawionym dużymi drewnianymi biurkami i skórzanymi obrotowymi fotelami. Hal wiedział, że nie jest to standardowy pokój przesłuchań. Ale powód był oczywisty - całemu zajściu przyglądało się znacznie więcej ludzi, niż wcześniej przypuszczał.

Detektyw Gordon Galliani siedział obok prawniczki, którą przedstawił jako Heather Fernandes. Reprezentowała rodzinę ofiary. Za nimi w tylnej części pokoju siedziało dwóch mężczyzn, z czego jeden z eleganckim mundurze. Hal na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim starszego stopniem policjanta. Drugi z nich ubrany był w drogi, konserwatywnie skrojony garnitur. Oczy miał podpuchnięte i zaczerwienione, jakby przed chwilą płakał. Spoglądał na wszystko wokół, z wyjątkiem Hala.

Porucznik Bralow siedział koło niego. Na przesłuchaniu zjawił się też kapitan Bryant - Hal uważał, że znacznie lepiej obyły się bez niego. Chętnie zobaczyłby swojego sierżanta albo paru chłopaków z plutonu. Przynajmniej Bryant zdążył trochę ochłonać. Nawet przywitał się ze swoim podkomendnym.

Hal usiadł naprzeciwko detektywa. Na biurku stało kilka paneli stacjonarnych, na każdym z nich rozłożony był panel holograficzny, po którym przelatowały wzorce testowe.

- Panie Grabowski, próbujemy ustalić, co tak naprawdę zaszło tej nocy - oznajmił z miłym uśmiechem Galliani. - Przesłuchanie będzie nagrywane i może zostać użyte jako dowód podczas procesu. Jak pan zapewne wie, skierowano pod pańskim adresem bardzo poważne oskarżenie.

Hal pochylił się naprzód, pokazując otwarte dłonie.

- Nikogo nie zgwałciłem, okej? Mówię szczerą prawdę. I mogę to udowodnić.

- Ach tak? - Galliani sprawiał wrażenie nieco zbitego z tropu. - Jak zamierza pan to zrobić? Zgromadziliśmy wiele obciążających pana dowodów.

- Proszę posłuchać: nie zrobiłem nic złego, po prostu wyrwałem się z koszarów po ciszy nocnej, jasne? Ale, kurwa, nie zgwałciłem żadnej dziewczyny. Poszedłem do burdelu i zostałem obsłużony. Zresztą zapłaciłem jak za zboże.

- Twierdzi pan, że był w domu publicznym?

- Tak.

- W którym? Gdzie on jest?

Hal drgnął.

- Nie jestem pewien. Pojechałem taksówką. Kierowca mi go polecił. Tylko parę minut drogi od koszar.

Galliani przez chwilę milczał.

- I to wszystko? To pana alibi?

- Aha.

- Jestem pewien, że z łatwością można by je potwierdzić - wtrącił gładko Bralow. - Mój klient wykazuje dobrą wolę i stara się współpracować.

Galliani odchylił się na oparcie i uśmiechnął pobłaźliwie.

- Synu, miałeś do dyspozycji trzy godziny czasu i dobrego prawnika. I ten stek pierdoł to najlepsze, co wymyśliłeś?

- To nie są żadne pierdoły! - zaprotestował Hal. - Poszedłem do burdelu. To był duży dom, na eleganckiej ulicy. Miał z przodu mały ogródek i żelazną furtkę. Nie znam numeru, ale na pewno bym go rozpoznał.

- Kiedy opuścił pan koszary?

- Dwanaście po jedenastej.

- A kiedy pan wrócił?

- Dwanaście po drugiej. Czujnik był wtedy nieaktywny. Dwanaście minut po każdej pełnej godzinie.

- Jeśli nie wie pan, gdzie znajdował się ten przybytek, to jak pan wrócił do koszar?

- Właścicielka wezwała mi taksówkę. Byłem na miejscu mniej więcej kwadrans po drugiej. Musiałem poczekać, aż czujnik przestanie działać.

- Czy ktoś pana widział?

- Nie, przecież nie powinienem tam być. Przyciałem się w zaułku. W środku nocy praktycznie nikt tam nie chodzi. Ale taksówkarz może za mnie poświadczyć.

- Ten sam, który zabrał pana do burdelu?

- Aha.

- Zakładam, że nie zna pan jego nazwiska ani nazwy korporacji, dla której pracuje?

Hal wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

- Nie. Ale chyba korzystał z AS, gdy jechaliśmy z koszar. Na pewno znajdziecie go w logach ruchu ulicznego.

- Na pewno to sprawdzimy.

- My także - mruknął Bralow, po czym spokojnie spojrzął detektywowi w oczy.

- A zatem podsumujmy - oznajmił Galliani. - Ustaliliśmy już, że był pan na mieście w momencie, gdy dokonano domniemanego gwałtu i że nikt nie jest w stanie potwierdzić, gdzie dokładnie pan wtedy przebywał.

- Taksówkarz może potwierdzić, i właścicielka burdelu, i Avril na pewno... - Hal wyliczał na palcach.

- Avril?

- Ta dziwka, którą posuwałem przez pół nocy. Widziałem tam też parę innych, ale nie wiem, jak się nazywają.

- Ale na pewno by je pan rozpoznał?

- Tak, bez żadnego problemu.

- A zatem teraz musimy tylko odnaleźć tę taksówkę i ten burdel, a wtedy wszystko się wyjaśni?

- Tak jest. - Hal uśmiechnął się tryumfalnie. - Dokładnie.

- A zatem jak wyjaśni pan fakt, że w pochwie ofiary znaleziono pana nasienie?

Uśmiech Hala znikł.

- Nie wiem. To jakaś sztuczka. Ktoś mnie zrobił.

- A zeznania dziewczyny? Mówiła, że zaatakował ją pan w parku Sheridan i zagroził, że aktywuje jej naszyjnik zastawowy, jeśli nie zrobi tego, co pan każe.

- Hej, to jakaś bzdura, człowieku. Nic takiego się nie stało. Nie byłem w parku Sheridan. Ona kłamie. Jest w to zamieszana!

- A zatem to jakiś spisek?

Hal zerknął na Bralowa.

- Personel Zantiu-Braun z pewnością może być narażony na atak elementu przestępczego Memu Bay - stwierdził porucznik. - A, jak wszyscy wiemy, taki element istnieje.

- Przyznaję, że kilka razy staliście się obiektem ataku chuliganów - odparł Galliani. - Ale przecież nie mamy tu do czynienia z żadnym zorganizowanym ruchem oporu.

Kapitan Bryant odkaszlnął.

- To prawda. W Memu Bay nie ma żadnego zorganizowanego ruchu oporu.

Hal obrócił się na krześle, wpatrując w kapitana z niedowierzaniem.

- Chyba pan, kurwa, żartuje! Przecież był pan na tym jebanym meczu! Widział pan, jak te gnojki od KillBoya rozerwały na strzępy Grahama Chapella! Sam pan przy tym był.

- Wciąż prowadzimy dochodzenie w sprawie tego incydentu - Bryant zwrócił się do Gallianiego. - Nie jesteśmy pewni, co tam zaszło.

- Jezus zapłakał!

- A zatem możliwe jest, że istnieje jakaś osoba lub zorganizowana grupa osób, które byłyby w stanie skierować na pana podejrzenia?

- Jasne, że tak! - przytaknął Hal. - Powinniście szukać tego skurwiela KillBoya, a nie mnie.

- A zatem ofiara gwałtu musiała działać w zмовie z tą grupą?

- Jasne. Wezwijcie ją tutaj i dobrze przyciśnijcie. Wcześniej czy później pęknie.

- To dziwne, jak szybko ta sprawa sprowadziła się do najstarszej formy konfliktu znanej ludzkiej rasie.

- To znaczy?

- Jedno z was kłamie.

- To ona, przysięgam. Oszukała was. Powiedziała to, co KillBoy jej kazał.

Galliani zamyślił się na chwilę, jakby coś rozważał. Potem wyświetlił plik załadowany na jedną z pereł stacjonarnych. Na panelu ukazała się twarz dziewczyny. Hal zdawał sobie sprawę, że detektyw obserwuje go bardzo uważnie.

- Panie Grabowski, czy widział pan już kiedyś tę osobę?

Hal zmarszczył brwi, zupełnie zdezorientowany.

- To Avril. Skąd macie jej zdjęcie?

- Avril?

- Aha, ona. Ta dziwka w burdelu. A więc wiecie, gdzie on jest? Dlaczego wcześniej udawał pan, że nie?

- Jeszcze raz: chciałbym uniknąć wszelkich niejasności. Mówi pan, że ta dziewczyna to właśnie Avril, z którą dziś w nocy odbył pan stosunek w domu publicznym?

- Od początku pan to wiedział?

- Panie Grabowski, czy dziś w nocy uprawiał pan seks z tą osobą, którą nazywa pan Avril?

- A co? Nie tak ma na imię?

- Czy uprawiał pan seks z tą dziewczyną? - Galliani niecierpliwie postukał palcem w panel.

- Jasne. Dostałem, za co zapłaciłem. Mówię panu, to ona. Dziś w nocy byłem z nią, w tym burdelu, gdzie pracuje.

Znów zapadła cisza. Detektyw zdawał się niemal zażenowany.

- Panie Grabowski, czy zauważył pan u Avril coś dziwnego?

- Na przykład co? - Hal zrobił się nieuwważny. Czuł, że coś tu śmierdzi, ale nie potrafił powiedzieć co. Naprawdę żałował, że nie ma z nimi sierżanta.

- Czy miała naszyjnik zastawowy?

To go zaskoczyło.

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- Jest pan pewien?

- Hej, widziałem znacznie więcej niż tylko jej szyję. Nie miała żadnego naszyjnika. O co tu, kurwa, chodzi?

- Chyba dowiedziałem się już wszystkiego, czego potrzebowałem na tym etapie. Dziękuję - oznajmił Galliani. - Zróbmy sobie przerwę. Bardzo chciałbym pomówić teraz z pana prawnikiem, panie Grabowski.

- Co to ma, kurwa, być? - zniecierpliwił się Hal. - Okej, przyznaję się, przeleciałem jedną dziwkę. To żadna zbrodnia. Nie była nawet za dobra. Powinienem zażądać zwrotu pieniędzy.

Ktoś w pokoju wrzasnął przeraźliwie. Hal rozejrzał się, szukając źródła tego hałasu, i w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że mężczyzna w eleganckim garniturze rzucił mu się do gardła. Był czerwony na twarzy, jego rysy wykrzywiała pierwotna furia. Wyciągał ręce przed siebie, gotów szarpać i dusić. Skoczył na Hala, który nie zdążył nawet się odsunąć. Obaj zwalili się na podłogę. Za chwilę Galliani i policjant odciągnęli napastnika. Bralow przytrzymał Hala, który już się zaczął wrywać, by oddać staremu wariatowi.

- Pojebało cię, facet?

Policjanci szybko wyprowadzili napastnika za drzwi. Mężczyzna zaczął płakać. Szlochał głośno i rozpaczliwie, było go słychać nawet przez zamknięte drzwi.

- To jakiś dom wariatów - wykrztusił Hal. - Co tu się, do chuja, dzieje?

Bralow usiadł na krześle, westchnął, po czym przysunął sobie perłę stacjonarną. Wciąż wyświetlała twarz dziewczyny.

- To ona... to właśnie domniemana ofiara.

- Avril? Niemożliwe, kurwa. Niemożliwe. Zapłaciłem za nią!

- Nie nazywa się Avril.

Hal spojrzął na drzwi, czując nagłe zaciekawienie.

- Kto to był? Ten gość, który się na mnie rzucił?

- Jej ojciec, burmistrz Memu Bay. Ta dziewczyna ma naszyjnik zastawowy. Ebrey Zhang założył jej go osobiście.

- O Jezuu, o kurwa - szepnął Hal. Ciężko usiadł na krześle obok Bralowa i poczuł prawdziwy strach. Nic już nie miało sensu.

- Poruczniku, musi mnie pan z tego wyciągnąć.

- Może być pewien problem.

\*\*\*

*Norvelle* znajdowała się na orbicie, tysiąc kilometrów ponad Thallspring. Pięciostopniowe nachylenie zapewniało jej widok na Durrell za każdym razem, gdy mijała pierwszy południk. O godzinie dziesiątej piętnaście ukazała się ponad horyzontem stolicy. Gdy tylko sensory namierzyły grupę budynków, z jednego z pięciu przedziałów komunikacyjnych wystrzelono wiązkę lasera o niskiej mocy, celując we wschodnie skrzydło Eagle Manor. Została ona wykryta przez mały odbiornik elektroniczny umieszczony na dachu, który natychmiast wysłał wiązkę w odpowiedzi. Gdy wiązki spotkały się na sensorach, ich szerokość zmniejszyła się powoli, aż w końcu nie przekraczała dwóch centymetrów w punkcie docelowym, dzięki czemu komunikacji nie dało się przechwycić. Odbiornik zamontowany na dachu był podłączony do modułu w biurze Simona Rodericka za pomocą opancerzonego światłowodu. Rozszczępienie go było niemożliwe. Konstrukcja tego systemu zapewniała najbezpieczniejsze możliwe połączenie ze statkiem - tylko pięcioro ludzi wiedziało o jego istnieniu. Simon czekał na to połączenie, odkąd przybył do pracy. Jego rutynowe zadania administracyjne zostały przekazane asystentom i AS. Prokurent Z-B spędził tymczasem godzinę na przeglądaniu plików zapisanych pod wspólną nazwą „opozycja”. Przeglądając zgromadzone dane, w myślach rozważał prawdopodobne scenariusze ataku, które z upływem czasu stawały się coraz odważniejsze. Niezależnie od przyjętych założeń wciąż nie mógł dojść, co tak naprawdę planuje przeciwnik. Żaden scenariusz nie pasował do ich imponujących możliwości. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej był przekonany, że sabotażyści nie zademonstrowali jeszcze w pełni swych możliwości - że wciąż czekają na zadanie ostatecznego ciosu.

Bezpieczny moduł komunikacyjny zadźwięczał melodyjnie, a płachta ekranowa na ścianie rozjarzyła się kolorami, ukazując kabinę na *Norvelle*. Obraz przedstawiał człowieka siedzącego na ławeczce nieważkościowej, przypiętego do niej pasami. Spojrzał do kamery i uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Dzień dobry. Wygląda na to, że tam na dole jest dziś bardzo ciepło i słonecznie.

Simon usiadł za biurkiem i spojrzął w twarz mężczyzny. Należała do niego, jednak była o piętnaście lat starsza. Tamta seria klonów, SF9, była szeroko znana ze swej flegmatyczności. Każda partia miała swoją własną cechę charakterystyczną, co przypisywano indywidualnym cechom personelu żłobkowego i przemożnym wpływom, jakie wywierał na klony podczas pierwszych lat formowania. Partia SK2, do której należał Simon w gabinecie, uważana była za bardziej porywczą, choć wciąż daleko im było do cholerycznych SC5 (których zachowanie pociągnęło za sobą gruntowną analizę metod rekrutacji personelu żłobkowego). Jednak niezależnie od swych cech indywidualnych wszystkie były całkowicie oddane kontrolowanej przez siebie firmie.

- Dzień dobry - odparł Simon SK2. - Jak wyniki?

- Dobra wiadomość jest następująca: nie znaleźliśmy bomby.

- Tak właśnie podejrzewałem. To zbyt toporne, zupełnie nie w stylu naszych przyjaciół.

- Braddock Raines był niezwykle dokładny. Kabina kosmolotu została przeskanowana i przeanalizowana aż do poziomu cząsteczkowego. Kazał też wymontować wszystkie systemy dostępu i przebadać je w laboratorium statków. Nie ma żadnego osadu genetycznego. Jednak ustalono, że ktoś otworzył panel dostępu. Na kluczach imbusowych wykryto ślady metalu. Skład stopu nie pasuje do narzędzi wydawanych naszym technikom.

- Dzięki niebu. Już zaczynałem podejrzewać, że są nieomylni.

- Ale niewiele brakuje. Panel oferuje dostęp do kilku komponentów elektronicznych, w tym ważnego węzła sieciowego. Żaden z komponentów nie nosił śladów włamania z wyjątkiem węzła. I nawet to odkryliśmy z dużym trudem. Makroskan nuklearny wykazał bardzo dziwne wzorce napięcia w strukturze molekularnej obudowy. Nasi tak zwani specjaliści do spraw fizyki ciał stałych byli zupełnie zdezorientowani. Nie wiedzieli, co mogło to spowodować.

- To ciekawe.

- Bardzo niepokojące słowo. Nie podoba mi się fakt, że Thallspring dysponuje technologią, której nie rozumiemy. Zwłaszcza kiedy używają jej przeciwko nam.

- Ich rozwój był doskonale ukryty. Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe audyty w sieci skarbu państwa. Nie znaleźliśmy żadnych funduszy państwowych, z których można by kierować środki na rozwój tajnych projektów przez ostatnie dziesięć lat.

- Nic dziwnego. Mowa przecież o ludziach, którzy mogą wejść do naszych kosmolotów, gdy tylko im przyjdzie fantazja. Nie wiem, czym dysponują, ale są to bardzo konkretne narzędzia.



- Załóżmy, że intruz zdołał się połączyć z siecią kosmolotu. Nie wnikajmy na razie jak. Co mógł dzięki temu osiągnąć?

- Na razie ćwiczymy teorie totalnego sabotażu. Goście z IT zrzucili cały AS kosmolotu na rdzeń pamięci do analizy. Jak dotąd nie znaleźli nawet jednej dodatkowej linijki kodu. Ich najlepsze domysły mówią teraz o jakichś ukrytych komendach wkompresowanych w oryginalny kod.

- Innymi słowy, nie mamy pojęcia, co ten włamywacz zrobił.

- Tak, właśnie.

- Cholera. - SK2 nie tracił czasu na rozwiązywanie tej zagadki. Na tym właśnie polegała zaleta posiadania wielu wersji pracujących nad tym samym zagadnieniem. Każde rozwiązanie, jakie zaproponowałby jego brat-klon, było identyczne z tym, do którego sam by w tym czasie doszedł. SF9 głowił się na tym już od godziny.

- Jakież zalecenia?

- To włamanie zostało dokonane w ramach jakiejś misji zwiadowczej. Zainteresowanie kosmolotami oznacza, że nasi przyjaciele pragną się dostać na górę. Wybór xianti sugeruje, że ich celem są statki. Gdyby mogli tu przylecieć, to już by to zrobili. A zatem wciąż są w fazie przygotowań. Roboczo zakładam, że skopiowali nasz AS, by przestudiować procedury.

- Rozumiem. Czego jeszcze potrzebują?

- Aby porwany samolot przeszedł niezauważony, muszą jeszcze włamać się do komunikacji. Miejmy nadzieję, że jeszcze nie zdążyli.

- Dokonam niezbędnych przygotowań. Sądziś zatem, że e-alfa jest spalone?

- Całkowicie.

- Będę musiał to wziąć pod uwagę.

- Oczywiście. Zostawiam ci dopatrzenie wszelkich szczegółów.

- Dziękuję. I wyślij Rainesa z powrotem. Będzie mi potrzebny do wdrożenia.

- Przybędzie następnym lotem. - Simon SF9 spojrział na panel. - A zatem co zamierzasz zrobić w sprawie Memu Bay?

SK2 skonsultował się z osobistym AS za pośrednictwem DNI. Codzienny raport wiał mu się do mózgu w postaci ładnie złożonego tekstu barwy indygo.

- Jasna cholera - mruknął, przeglądając sprawę Grabowskiego. Jednak powinien był przejrzeć poranne raporty od razu. Takie problemy nie powinny się wydarzać. - Co Zhang tam właściwie robi?

SF9 uśmiechnął się, smakując swe małe zwycięstwo. Każdy z Simonów lubił

zdobywać przewagę nad pozostałymi. Była to ich mała rywalizacja.

- Przeprowadzę pełne dochodzenie - oznajmił SK2.

- Nie trzeba. Już i tak pobiliśmy najniższy rekord, jeśli chodzi o tempo akwizycji aktywów. Trzeba uspokoić nastroje. Poświęćmy Grabowskiego. A potem niech Zhang weźmie ich ostro za twarz.

- Niech będzie - powiedział Simon SK2. Zirykowało go, że dał się złapać na niekompetencji w takiej sprawie.

SF9 zakończył połączenie.

\*\*\*

Po przybyciu na komisariat w marinie Ebrey Zhang przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien był włożyć Skóry. Demonstranci tłoczyli się po bokach ulicy i zdawali się niepokojąco rozgorączkowani. Dowódca sił zbrojnych zdrzął, czytając slogany wymalowane na pobliskich budynkach, z których można się było dowiedzieć, co tubylcy najchętniej zrobiliby Grabowskiemu. Przed wejściem na komisariat stało dziesięć osób w naszyjnikach zastawowych. Skuli się ze sobą łańcuchami, a na szyjach zawiesili tabliczki z napisem:

LEPSZA ŚMIERĆ NIŻ GWAŁT,  
ZABIJCIE MNIE JUŻ TERAZ.

W kierunku samochodu poleciały kamienie, puszki, butelki i coś brązowego - Ebrey miał nadzieję, że to tylko błoto. Dziesięć Skór i oddział policji w pełnych pancerzach wspólnie odpychało rozwścieczony tłum, torując pojazdowi drogę.

- O, kurwa mać! - mruknął Ebrey. Garść gęstej mazi uderzyła w szybę i rozmazała się na niej. To ewidentnie było gówno. Kierowca musiał zużyć sporo płynu do spryskiwaczy, żeby to wyczyścić.

- Żadnej poprawy - stwierdził porucznik Bralow. - Jest ich przynajmniej tylu co wczoraj.

- W fabrykach aktywów to samo - przyznał niechętnie Ebrey. - Wciąż strajkują.

- Co mówi generał?

- Żeby to jak najszybciej zakończyć.

- Łatwo powiedzieć.

- Ale ma rację. Tu chodzi nie tylko o Grabowskiego. - Ebrey wskazał na zgromadzony tłum. - Trzeba rozładować tę sytuację. Obecnie nie możemy nawet wdrożyć programu szczepień. Istny obłąd.

- Za parę tygodni rozpocznie się proces.

- Parę tygodni? To nie do przyjęcia. Czy śledztwo dobiegło już końca?

- Prawie, w każdym razie na tyle, żeby roznieść w pył alibi Grabowskiego. Oczywiście, sami to sprawdziliśmy. Nasz AS nie znalazł żadnej taksówki, która mogłaby go zabrać z koszar dokądkolwiek, nie mówiąc już o burdelu.

- A on w ogóle istnieje?

- Nie.

- Ustaliliśmy, że ulica, na której podobno wysiadł, to najprawdopodobniej Minster Avenue. Są tam tylko prywatne domy dość zamożnych rodzin. Żadnych burdeli.

- Innymi słowy, to wszystko stek łgarstw.

- Sir, ten człowiek zgwałcił Francine Hazeldine. Jedyne, co mogę zrobić, to prosić o łagodny wymiar kary.

- Ach. Generał też o tym wspominał.

- O czym?

- Nie pozostawiamy nikogo, niezależnie od okoliczności.

Porucznik Bralow rzucił dowódcy zaniepokojone spojrzenie, po czym przytaknął.

- Tak jest, sir.

Samochód przebił się przez krąg demonstrantów, otaczający komisariat i wjechał do podziemnego garażu. Detektyw Galliani już na nich czekał. Przywitał się grzecznie i oznajmił, że Margret Reece przyjmie ich na górze.

Ebrey Zhang przyjął to z kamienną twarzą, choć w środku aż się gotował. Był gubernatorem Memu Bay. To on wzywał petentów do siebie.

„Nie ma mowy”, powiedział sobie z goryczą.

\*\*\*

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Myles Hazeldine zdołał zasnąć tylko raz, gdy lekarz rodzinny podał mu końską dawkę środków uspokajających. Nawet te kilka godzin spędził, śniąc koszmary i przewracając się z boku na bok w bezsilnej furii. Czyli dokładnie tak samo jak wcześniej.

Wiedział, że musi zachować spokój, choćby dla dobra Francine. Ale było to tak potwornie trudne. A co gorsza, to ona bez przerwy go przeproszała i tłumaczyła, że trochę zasiedziała się w klubie z koleżankami. Przeproszała, że nie zadzwoniła przed wyjściem ani nie wzięła taksówki.

Chwilami czuł się tak, jakby to ona go pocieszała. A przecież powinno być odwrotnie. Kolejny dowód na to, jaki z niego beznadziejny ojciec.

Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Straszliwa bezradność przeplatała się z pierwotną furią. Obiecywał sobie, że już nigdy więcej nie spuści Francine z oczu, że będzie

jej lepiej pilnować, dokładniej chronić. Czasem miał ochotę wyrwać temu obcemu skurwielowi serce z piersi, unieść w górę i zawyc triumfalnie, czując spływający po rękach strumień gorącej krwi.

Don i Jennifer przejęli kierowanie administracją. Właściwie to nalegali, by im na to pozwolił. Pocziwa Margret Reece upierała się zaś, by nigdy więcej nie dopuścić go w pobliże podejrzanego. Za pierwszym razem mu się udało. Wykorzystał swoją pozycję, by wejść na pierwsze przesłuchanie. Ależ to było cudowne uczucie - złapać tego parszywego gnojka za gardło. Szkoda, że tak krótko.

Ale nikt nie mógł mu odmówić wstępu na to zebranie. Był to pierwszy raz, gdy Memu Bay miało wystąpić przeciw najeźdźcom i nalegać, aby wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Nie spodoba im się to, o nie. Zostaną pokonani swą własną bronią.

Czekał w biurze komendanta, niedaleko miejsca, gdzie urządzono pierwsze przesłuchanie. Komendant był już na miejscu, wraz ze swoją szefową Margret Reece i sędzią śledczym prowadzącym sprawę. Nikt z zebranych nawet nie patrzył na Mylesa, nie mówiąc już o rozmowie. Burmistrz odkrył, że wcale mu to nie przeszkadza. Nie miał nic do powiedzenia. A wszelkie wyrazy współczucia tylko przypominały mu o tym, co musiała wycierpieć jego ukochana Francine. Wiedział, że jeśli zacznie o tym myśleć, to prawdopodobnie znów się załamie.

W końcu drzwi się otworzyły i Galliani wprowadził do pokoju Ebreya Zhanga, a także zastępcę prawnego Z-B, porucznika Bralowa.

Zhang uklonił się grzecznie.

- Dzień dobry, panie burmistrzu. - Wyciągnął rękę.

Myles miał ochotę złamać mu nos. Margret Reece ostrzegęła go przed zbyt pochopnym zachowaniem, ale on doskonale pamiętał, kto założył Francine ten naszyjnik. Szefowa policji nie spuszczała z niego wzroku, podobnie jak komendant.

Zhang cofnął się, jakby trochę zmieszany.

- Dziękuję za przybycie, gubernatorze Zhang - oznajmiła Reece. - Zaprosiłam pana tutaj jako przełożonego Halforda Grabowskiego.

- Rozumiem.

- Moi podwładni zgromadzili dość dowodów, by oficjalnie oskarżyć go o gwałt na nieletniej. Sędzia śledczy wyznaczył już wstępną datę rozprawy. Niniejszym proszę pana o przekazanie podejrzanego pod jurysdykcję cywilną. Jeśli się nie mylę, to właśnie przewidują regulacje obowiązujące członków sił bezpieczeństwa strategicznego Zantiu-Braun.

- To prawda - przyznał Zhang.

- Dobrze. - Margret Reece skinęła na sędziego, który wystąpił naprzód i podsunął gubernatorowi perłę stacjonarną. Po panelu przesunął się długi tekst.

- Dziękuję. - Zhang zerknął na skrypt. - Data procesu została wyznaczona za trzy tygodnie.

- Tak - potwierdził sędzia.

- Jaki jest maksymalny wymiar kary za przestępstwo popełnione przez Grabowskiego?

- Podejrzewam, że doskonale pan to wie - odparła Margret Reece. - Jest to dożywotnie więzienie.

- Oczywiście. Istnieje jednak pewna alternatywa.

- Nie ma! - warknął Myles. - Wiedziałem, kurwa, wiedziałem, że spróbują się z tego wykręcić!

- Myles, proszę cię - upomniała go Margret. - Jaka alternatywa?

- Osądzi go nasz sąd wojskowy - odparł Zhang. - Zajmie to mniej czasu, a wyrok będzie sprawiedliwy.

- Sugeruje pan, że nasz nie będzie?

- Nic podobnego. Ale ani państwo, ani ja, nie chcemy, by jego prawnik złożył apelację, argumentując, że ława przysięgłych była uprzedzona. A biorąc pod uwagę atmosferę panującą w mieście, byłby to zasadny argument.

- Innymi słowy, chce pan, by osądzili go pańscy oficerowie?

- Tak.

- Nie ma mowy! - wrzasnął Myles. - Autoryzuj ten nakaz aresztowania! W tej chwili!

- Wasz prawnik będzie mógł dołączyć do naszego zespołu prokuratorskiego - ciągnął Zhang. - Dzięki temu upewnście się, że sprawa została poprowadzona bez zarzutu.

- Nie rozumiem - ucięła Margret Reece. - Dlaczego upiera się pan przy innym sędzie? Wygląda to tak, jakby próbował pan uzyskać dla niego łagodniejszy wyrok. A może...

- Przerwała w zamyśleniu. - Czy proponuje pan odbycie kary więzienia na Ziemi? Jeśli zostanie uznany za winnego, wolelibyście zabrać go do domu, niż pozostawiać go w naszej placówce?

- Nie do końca o to chodzi.

Myles wyprostował się gwałtownie. Mimo silnego wzburzenia wciąż zachował trzeźwość umysłu i, jak doświadczony polityk, potrafił się zorientować, kiedy przeciwnik oferuje mu jakiś układ.

- A jaką karę przewiduje za to sąd wojskowy?

Zhang spojrzał mu prosto w oczy.

- Karę śmierci.

Myles nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Kara główna została zniesiona przez konstytucję Thallspring. Jakież to dziwne, że właśnie on, strażnik liberalnej myśli ojców założycieli, otrzymał teraz możliwość sprzeniewierzenia się ich zasadom. Oczywiście, powinien odrzucić tę propozycję; taki pomysł zaprzeczał wszystkiemu, na czym opierały się fundamenty ich kultury.

- W takim razie - odparł Myles. - Zgadzam się.

\*\*\*

Prawie jedna trzecia dzieci nie przyszła tego ranka do przedszkola, co trochę zasmuciło Denise. Był piękny, pogodny dzień, słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie. Wiatr wiejący od morza ochładzał lekko ulice, na tyle, że wiele osób swobodnie spacerowało po ulicach. A zatem to nie pogoda sprawiła, że zostały w domu.

Dziś miał się rozpocząć proces Halford Grabowskiego i cała społeczność Memu Bay wstrzymywała oddech. Po ostatnich zamieszkach i niepokojach ludzie nagle odstąpili o krok. Może zszokowała ich perspektywa kary śmierci, ale nikt nie zaprotestował. Niezależnie od wydarzeń politycznych tramwaje kursowały normalnie, a większość sklepów była otwarta. Ani śladu patroli w Skórach. Sporo mieszkańców wyszło na plażę, aby cieszyć się dobrą pogodą. Denise wiedziała też, że w największych fabrykach aktywów naradzały się pospiesznie zebrane komitety pracowników, rozważając powrót do pracy.

A jednak rodzice najwyraźniej obawiali się spuścić dzieci z oczu. Na ironię zakrawał fakt, że Melanie Hazeldine pojawiła się w przedszkolu. Przyproceedziła ją Francine - przyjechały limuzyną z przyciemnionymi szybami, usadowione na tylnym siedzeniu.

Denise patrzyła z okna, jak siostry całują się na pożegnanie, a potem Melanie pobiegła do budynku przywitać się z kolegami. Nie było jej przez cały tydzień.

- Jak się masz? - spytała Denise, gdy znalazły się z Francine sam na sam.

- W porządku. - Dziewczyna uśmiechnęła się z trudem.

- Ale przyznam, że martwię się o tatę. Nie wiedziałam, że przyjmie to tak ciężko.

- Gdy ci gnoje znikną, możesz mu powiedzieć, jak było naprawdę.

- Myślisz, że powinnam?

- Nie jestem pewna. Wtedy narazisz go na kolejny szok. Jak to: jego mała córeczka wstąpiła do ruchu oporu i poświęciła się, by wspomóc sprawę?

- A rzeczywiście pomogłam? Nie wiem. Chciałam ich po prostu skrzywdzić za to, co zrobili Williamowi. Był moim bratem, ale w ogóle go nie pamiętam. Poprzednim razem byłam za mała.

Denise położyła dłonie na ramionach dziewczyny i zacisnęła je lekko, by podkreślić, jak bardzo jest wdzięczna.

- Oczywiście, że pomogłaś. Rozejrzyj się wokół i zobacz, co osiągnęłaś. Nie mają już odwagi wyjść na ulice. Wiesz, co to dla nas oznacza? Ludzie nie muszą się już kłaniać i schodzić z drogi, bo środkiem chodnika idzie banda zadufanych osiłków. Ich rozbójnicza akcja też nieźle oberwała. Możliwe, że już nigdy się z tego nie podniosą. Nie zarobią na nas ani centa. A to wszystko dzięki tobie.

- Tak. - Francine wyprostowała się i znów uśmiechnęła, tym razem z przekonaniem. - Biedny tatuś.

- Powiedz mu, jeśli myślisz, że to w czymś pomoże. Nie możemy zachowywać się jak ofiary, bo już nimi nie jesteśmy. Teraz role się odwróciły.

- Dziękuję ci, Denise. - Francine nachyliła się i pocałowała ją w policzek. - Jesteś taka odważna. Teraz musisz ich pokonać. Nie chcę, żeby moje dzieci bały się gwiazd tak bardzo jak ja od czasu Williama.

Denise uściskała przyjaciółkę.

- Nie będą. Obiecuję.

Gdy już wszystkie dzieci zjawiły się w przedszkolu, Denise posadziła je w kręgu i rozdała tabliczki medialne. Zwykle uwielbiały tę zabawę. Opiekunka puszczała piosenki, a dzieci tworzyły niezwykle wzory we wszystkich kolorach tęczy. Gdy Denise przechodziła obok, podnosiły swoje tabliczki, by się pochwalić. Kobieta czasem coś sugerowała, ale najczęściej wychwalała ich dzieła pod niebiosa.

Potem nadeszła przerwa na przekąskę - sok i ciasteczka. Denise usiadła z dziećmi, pijąc herbatę ze swojego kubka.

- Proszę pani, niech pani dokończy historię - zawołało jedno z dzieci. Za chwilę dołączył do niego cały chór głosów:

- Proszę!

Denise powoli odstawiła herbatę.

- Hm, widzicie przecież, że nie wszyscy dziś przyszli. Musiałabym opowiedzieć zakończenie dwa razy. - Wokół rozległy się radosne okrzyki.

- W porządku - skapitulowała przedszkolanka, wzdychając teatralnie. - W takim razie opowiem.

„Bo prawdę mówiąc, sama nie wiem, jak długo tu jeszcze pobędę”. Ta myśl trochę zepsuła jej nastrój. Czowała, że nawet w hipotetycznej przyszłości, pełnej oszałamiających możliwości, będzie jej brakowało tych uśmiechniętych buź. W ich wieku tak łatwo było

obdarzyć kogoś podziwem i zaufaniem. Czuła się jak oszustka i trochę ją to niepokoiło.

- Podróż Mozarka po Imperium Pierścienia trwała siedemnaście lat. Wieści o jego powrocie dotarły do jego królestwa na kilka tygodni przed powrotem wyprawy. Na wszystkich planetach odbyły się huczne zabawy, a Endoliyn wybuchnęła płaczem, bo tak bardzo tęskniła za swoim księciem. Przez ponad dziesięć lat nie otrzymała od niego żadnej wiadomości, a dziesięć lat to bardzo długo, nawet dla najwytrwalszego serca. Ale w końcu nadszedł ten dzień, gdy miliony poddanych zgromadziły się wokół wielkiego lądowiska. Czekali tam przez wiele godzin, wpatrzeni w niebo, które przecinało jądro galaktyki, ciągnące się od horyzontu do horyzontu, lśniąc srebrzystym blaskiem. W końcu dostrzegli maleńki czarny punkcik wysoko w górze. Plamka szybko rosła w oczach, aż w końcu rozpoznali jej kształt, a wtedy tłum wydał ogłuszający ryk. Statek wylądował w tym samym miejscu, z którego wystartował. Przez siedemnaście lat stało puste, czekając na jego powrót.

Pierwszy wyszedł Mozark i padł w ramiona swego ojca, który nie krył łez, witając jedynego syna. Następnie z wielkimi honorami powitano resztę załogi, bo choć nie byli tak sławni, jak ich książę, to jednak odegrali równie ważną rolę w całej wyprawie.

A potem, po zakończonej ceremonii powitalnej, Mozark udał się do pałacu, gdzie mieszkała Endoliyn, i błagał ją o przebaczenie.

- Dlaczego? - zdziwiła się Jezella. - Czy zrobił coś złego?

- Endoliyn też o to zapytała. - Denise uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Też chciała wiedzieć, za co ją przeprasza. A wtedy Mozark odpowiedział, że spędził siedemnaście lat z dala od niej, co było niewybaczalne. Gdy odleciał, byli w sobie bardzo zakochani, a tak długa rozłąka to okrutna krzywda dla ukochanej osoby. Wtedy ona zaśmiała się i powiedziała, że po tej wyprawie kocha go jeszcze bardziej. Któż inny poświęciłby tak wiele dla sprawy, w którą wierzył? A potem zadała mu pytanie, na które czekała od siedemnastu lat: co tam odkryłeś?

Mozark tak się zawstydził, że aż zwiesił głowę. „Nic - wyznał. - Nie znalazłem tam nic, czego nie zdołalibyśmy wybudować albo wymyślić sami. Zawiodłem cię całkowicie. Cała ta rzekomo szlachetna wyprawa nie zdała się na nic. Niewiele brakowało, a zmarnowałbym siedemnaście lat”.

Endoliyn trochę się pocieszyła, widząc ten promyk nadziei, i zapytała go, co miał na myśli, mówiąc „niewiele”. Mozark odpowiedział, że odkrył jedną rzecz. „Małą, trywialną, samolubną rzecz, która jest moja i tylko moja”. „Co takiego, kochany?”, zapytała Endoliyn. A wtedy książę spojrział na nią i powiedział: „Zdałem sobie sprawę, że najcenniejszą rzeczą jest życie. Nieważne, gdzie żyjesz i kim jesteś. Liczy się tylko to, by żyć pełnią życia. I wiem, że zdołam tak żyć tylko wtedy, gdy będę z tobą. To jedyna wiedza, jaką ze sobą przyniosłem.



Nie obchodzi mnie, czy moje królestwo zdobędzie chwałę, czy runie w otchłań, chcę tylko dzielić to wszystko z tobą".

A wtedy Endoliyn zaśmiała się i powiedziała, że tak, oczywiście, zgodzi się spędzić z nim resztę swego życia. A Mozark poczuł nieopisaną radość. Wkrótce pobrali się i książe został królem, a Endoliyn rządziła u jego boku jako królowa. Rządzili tak przez wiele długich lat. Niewielu poddanych pamiętało równie mądrych i życzliwych władców. Królestwo, rzecz jasna, nie popadło w ruinę, lecz służyło wszystkim swoim mieszkańcom, zapewniając pomyślność i dobrobyt.

Dzieci odczekały jeszcze chwilę, aż upewniły się, że Denise skończyła. Potem obrzuciły ją ponurym spojrzeniem. Nikt nie zaprotestował, ale kobieta wiedziała, że czuły się oszukane.

- To wszystko? - spytała Melanie.

- Obawiam się, że tak - odparła Denise. - A zatem powiedzcie mi: czego nauczyliście się z tej opowieści?

- Niczego! - zawołał jeden z chłopców. Pozostali zachichotali.

- Sami wiecie, że to nieprawda - upomniała ich Denise.

- Ja na przykład nauczyłam się wiele i myślę, że wy też. Morał tej historii jest prosty: nasza technologia to wspaniała rzecz - i pierwsza to przyznam, ale jej możliwości nie powinny nas zaślepić. Nauka nie stanowi odpowiedzi na nasze problemy. Sama z siebie nie potrafi nam dać szczęścia, może tylko ułatwić drogę do niego. Każdy z nas musi poszukać go na własną rękę w tym krótkim czasie, jakie otrzymaliśmy, by przemierzać wszechświat. Gdy będziecie dorastać, musicie się skupić na tym, co jest najważniejsze dla was samych. W przypadku Mozarka była to jego miłość do Endoliyn i potrzeba było długiej podróży po galaktyce, aby zdał sobie z tego sprawę. Gdy próbował znaleźć odpowiedź w nauce i kulturze innych ludów, sam zobaczył, jak bezsensowne są to próby. To wy stanowicie centrum wszechświata. Rodzicie się z tą myślą i jest to najtrafniejsza obserwacja, jakiej kiedykolwiek dokonacie. Jesteście najważniejszą rzeczą we wszechświecie, każde z was z osobna.

Nieco udobruchane, ale i tak ledwie-ledwie, dzieci zerwały się na nogi i popędziły do ogródka.

- Bardzo dobrze, kochanie.

Denise odwróciła się i zobaczyła, że pani Potchansky przygląda jej się, stojąc w drzwiach kuchennych.

- Dziękuję.

- Sama byłam ciekawa, jak to się wszystko skończy - przyznała starsza pani.

- A zatem podobała się pani historia?

- O, tak. Chociaż nadał uważam, że daleko jej do klasyki. Trzeba by ją obrobić, wypolerować i tak dalej. Ale cieszę się, że ją opowiedziałas.

Denise spojrzała na dzieci szalejące w ogródku.

- Może powinnam dać jakieś fajerwerki na zakończenie.

- Jeśli to prawdziwe zakończenie, to takie musi pozostać. Nie pomniejszaj swoich umiejętności, kochanie.

Denis uśmiechnęła się i wstała energicznie.

- Nigdy nie próbowałam.

- Wiem.

W głosie starszej kobiety zabrzmiało coś dziwnego. Opiekunka się zawahała.

- Jestem z ciebie taka dumna - dodała pani Potchansky. - W ciągu ostatnich paru tygodni naprawdę odwalilaś kawał dobrej roboty. Wiem, że sytuacja nie była łatwa. Dzięki takim ludziom nabieram nadziei na lepsze jutro.

- Zwycięzimy. Proszę się nie obawiać.

- Oczywiście, że zwycięzimy. Thallspring zwycięży. - Pani Potchansky wróciła do kuchni.

Denis przez chwilę słuchała brzęku kubków i talerzy ładowanych do zmywarki, zastanawiając się, o czym tak naprawdę rozmawiały.

\*\*\*

Michelle Rake dobrze się spisała, pomagając przydzielić to laboratorium Josepowi i Raymondowi. Mieściło się w kompleksie nauk przyrodniczych, w jednym ze starszych budynków, z dala od kampusu głównego. Z centralnej grupy budynków prowadziła do niego długa alejka obrzeżona krzewami ehretia. Ich długie, ciemnozielone liście rzucały na ścieżkę gęsty cień. Studenci twierdzili, że gdy na drzewach pojawią się kiście białych kwiatów, wokół roznosi się cudowny zapach, ale pora kwitnienia miała nadejść dopiero za kilka miesięcy. Wysokie drzewa i nieruchome powietrze nadawały tej części kampusu senną atmosferę, tak jakby ważne badania przeniosły się gdzieś indziej, pozostawiając jedynie kilku podstarzałych akademików, by pielęgnowali swoje rośliny pomiędzy lekko zapomnianymi budynkami.

Było to idealne miejsce do przeprowadzania i-symulacji: nieco na uboczu, a jednak w samym centrum Durrell. Sieć zamontowana w kompleksie nauk przyrodniczych była już przestarzała o kilka generacji, jednak wciąż doskonale zaspokajała ich potrzeby. Nawet teraz, gdy życie w stolicy wróciło już mniej więcej do normy, jedna trzecia studentów wciąż przebywała na zwolnieniach. Co było im bardzo na rękę - mniej ludzi mogło zakwestionować

ich obecność w budynku, zresztą botanika nigdy nie stanowiła szczególnie popularnej dziedziny.

Wzdłuż ściany laboratorium stały komory klimatyczne, rzucając blade fioletowe światło poprzez zaparowaną szybę. Niewielka chłodnia grzechotała i buczała w kącie. Dwie drewniane ławki biegnące przez środek labu zastawione były szklanymi naczyniami, jakby odbywał się tu wyjątkowo zaawansowany eksperyment w wykonaniu uczniów szkoły średniej. Na stołach pod oknami ustawiono mnóstwo glinianych naczyń pełnych suchej ziemi, w której rosły brzydkie kaktusy. Czarna kostka węzła pulowego ukryta była pod jednym ze stołów, w cieniu świeciły trzy małe pomarańczowe diody. Program Prime ufortyfikował węzeł, odgradzając go od reszty sieci, nie zwracając przy tym uwagi głównego AS. W środku kostki znajdował się układ pereł neuronowych generujący obraz *Koribu* oglądany z nadlatującego *xianti*. Josep i Raymond obserwowali symulację przy pomocy grup b-wpisanych komórek, dzięki czemu nie potrzebowali stym-skafandrów. Wszelkie bodźce były odbierane bezpośrednio przez ich mózgi. Siedzieli obok siebie na starych skórzanych fotelach, co pozwalało im na ograniczone wymodelowanie stanu nieważkości. Dla postronnego obserwatora wyglądałoby na pogrążonych w głębokim śnie, w fazie REM.

We wspólnej symulacji Josep siedział na fotelu pilota w *xianti*, podczas gdy Raymond i zasymulowana Denise przebierali się w skafandry. Przed nimi, pośrodku przedniej szyby majaczył kadłub *Koribu*, wielka maszyna, zaledwie trzysta metrów od dziobu kosmolotu. Do statku zbliżały się także dwa inne *xianti* i wrota ładowni otworzył się powoli. Małe, jednoosobowe wahadłowce wyleciały im na spotkanie, gotowe do przejęcia ich cennego ładunku.

- Żadnego fizycznego kontaktu z tym wielkim synem - stwierdził Josep w zamyśleniu.
- Na trzystu metrach włączamy alarm zgłaszający awarię.

Na panelach konsol i na przedniej szybie pojawiły się pomarańczowe wykresy zgłaszające awarię hydrauliki w siłownikach węża prowadzącego do ładowni kosmolotu. Kontroler lotów na *Koribu* zapytał, co się dzieje. Josep poprowadził rozmowę zgodnie z wytycznymi, które opracował sobie na podstawie logów z poprzednich lotów.

Gdy już AS statku odebrał i potwierdził dane z kosmolotu, załoga otrzymała pozwolenie na lądowanie w hangarze naprawczym. Zarówno w przypadku większych, jak i mniejszych uszkodzeń kosmolot zostałby odesłany na ziemię w celu odbycia inspekcji i naprawy. Konserwacja maszyn w stanie nieważkości była trudna i kosztowna i bardzo niewiele sytuacji kwalifikowało się do takiej procedury. Brak możliwości przeniesienia ładunku stanowił jeden z takich przypadków. Wspomaganie hydrauliki samolotu za pomocą

zewnętrznych urządzeń było stosunkowo proste, dzięki czemu dawało się otworzyć właz do ładowni i przetransportować ładunek. Potem właz można było zamknąć i zabezpieczyć na czas przejścia przez atmosferę. Kosmolot zostałby odesłany na Durrell na pełen przegląd. Ten scenariusz miał także jedną dodatkową zaletę - nikt nie zdołałby zobaczyć, co tak naprawdę znajduje się w ładowni.

Josep wprowadził ich do ładowni *Koribu*, Raymond tymczasem skończył zakładać skafander. Został wykonany specjalnie dla niego ze srebrzystej tkaniny, nie grubszej niż papier. Materiał był lekko elastyczny, pozwalając bez większego wysiłku wsunąć kończyny w rękawy i nogawki. Kaptur był ciaśniejszy i przypominał ochronną maseczkę sportową. Josep naciągnął go na głowę, a wąskie rurki natychmiast wsunęły się w dziurki od nosa, zapewniając dopływ powietrza. Usta miał zanurzone w czymś przypominającym suchą gąbkę, pochłaniając każdy oddech. Po zapięciu z przodu skafander ściągnął się w sobie. Josep miał wrażenie, że szczypie go całe ciało, ale potem kształtomorfowanie dobiegło końca i odkrył, że nie czuje już nawet dotyku skafandra. Powierzchnia kostiumu zmieniała kolor wraz ze zmianą przewodnictwa cieplnego, wytracając nadmiar ciepła i utrzymując temperaturę, w której czuł się najlepiej. B-wpisane grupy komórek nerwowych otrzymywały informacje z czujników umieszczonych na zewnątrz kaptura.

Na koniec podniósł czarną kurtkę bez rękawów i zapiął ją na piersi. Była to uprząż mocująca kilka rodzajów broni, plecak odrzutowy i amunicję, choć miała także kilka dysz gazowych umieszczonych na ramionach i w pasie, zapewniając lepszą zdolność poruszania w stanie nieważkości.

Denise także była już ubrana i trzymała się uchwytu tuż obok śluzy.

- Gotów - oznajmił Raymond. Wraz z Denise wpłynęli do śluzy. Wewnętrzny właz został zamknięty, a wtedy kobieta zastartowała cykl.

- Przygotować się - oznajmił Josep na bezpiecznym paśmie. - Zostało nam pięćdziesiąt metrów.

Zewnętrzne wrota zostały otwarte. Raymond zobaczył, jak obok przesuwają się sekcja maszynowni, kriogeniczne izolatory lśniły jaskrawo w świetle słońca. Chwycił się krawędzi włazu i wychylił się na zewnątrz.

Xianti zmierzał w stronę okrągłej sekcji ładowni, przypominającej wielki bęben. Setki pustych silosów otwierały się w mrok. Słońce padało pod niewłaściwym kątem, oświetlając ich wnętrza, ale Josep miał wrażenie, że w kilku dostrzega kapsuły towarowe. Naprzeciwko nich, za rzędem silosów, otwierały się olbrzymie wrota do hangaru naprawczego, odsłaniając prostokątny metalowy krater. Mechaniczne łoża wysuwały szczęki, przygotowując się do

chwycenia samolotu.

- Teraz! - zakomenderował Josep.

Raymond napiął mięśnie i odepchnął się od pojazdu. Dysze natychmiast zadziały, dodając mu prędkości. Wleciał do otwartego silosu, a wtedy dysze znów zapłonęły, zatrzymując go w miejscu. Zacisnął rękę na metalowej kracie i podciągnął się na szczyt silosu. Denise znajdowała się w silosie dwadzieścia metrów dalej. Uniosła rękę i wskazała coś w górze. Pokazał jej uniesiony kciuk i znów ruszył naprzód.

Krok za krokiem popęzli wzdłuż ładowni, aż dotarli na skraj. Piętnaście metrów przed nimi bezszelestnie obracało się pierwsze koło mieszkalne. Ściana pomarszczonej pianki przesuwała się przed oczami tak szybko, że niemal przypominała płynącą wodę. Udali się jej śladem, aż w końcu krzywizna koła stała się na tyle wyraźna, że rozviała tę iluzję.

Oboje popęzli w stronę osi i po jakichś dwudziestu metrach znaleźli się w górnej części koła. Skafander Raymonda musiał zwiększyć czułość wizualną. Luka pomiędzy kołem a przedziałem ładowni była bardzo ciemna. Od pianki pokrywającej koło prawie nie odbijało się światło.

Gdy już odzyskał sensowne pole widzenia, przekazał swoje położenie perle kontrolującej skafander, a następnie puścił się metalowej ramy i poleciał na skraj koła mieszkalnego. Gdy znalazł się metr ponad nim, dysze przy kurtce zapłonęły, popychając go w stronę zgodną z kierunkiem obracania mechanizmu. Miał wrażenie, że koło zwalnia, w miarę jak on się do niego zbliża. Z pianki wystawały najróżniejsze wypustki: przewody, rury, nawet drabinki. Chwycił się grubego metalowego kółka, a sztuczna grawitacja ściągnęła go do siebie, na szczyt koła. Jedna szоста jego wagi powróciła, przytrzymując go w miejscu.

Zobaczył, że Denise wylądowała o ćwierć koła dalej. Pokazała mu uniesiony kciuk. Raymond wstał, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Był świadom, że za krawędzią koła rozpościerał się obecnie dół. Gdyby się poślizgnął, siła odśrodkowa rzuciłaby go w pole czujników statku. Postawił kilka ostrożnych kroków w stronę środka koła i przyjrzał się strukturze urządzenia. Gdy rezonans cząsteczkowy wykrył czysty obszar, Josep odpiął z kurtki wstęgę energetyczną. Kiedy położył ją na piance, utworzyła koło o średnicy około dwóch metrów.

Sto metrów dalej Denise robiła dokładnie to samo.

Raymond odsunął się od kręgu i aktywował go kodem pulsacyjnym. Pianka została odparowana, wraz z warstwą karbonowo-tytanowego stopu znajdującego się pod spodem. Dwumetrowy fragment kadłuba koła, okrąg o średnicy dwóch metrów, wyleciał w górę, wypchnięty kolumną rozprężającego się powietrza. Z dziury zaświeciło jasne światło. Za nią

szybko podażyły papiery, ubrania, moduły elektroniczne i strumienie płynu lecące w ciemność.

Raymond zaczekał, aż wszystko ucichnie, a potem wskoczył do wnętrza koła. Znalazł się w jakimś przedsionku, otoczony przez wirujące śmiecie, pozostałe po niedawnej dekompresji. Wokół migały czerwone światła. Awaryjny panel sterujący zamknął śluzę. Perła skafandrowa odnalazła częstotliwość wewnętrznej sieci koła i Prime zaatakował węzły.

Josep podszedł do panelu awaryjnego i z pomocą Prime'a odbezpieczył zamki. Drzwi śluzy przesunęły się przed nim i mógł przejść do znajdującej się dalej komory. Panel zasunął się za nim, a właz znajdujący się z przodu stanął otworem. Załoga statku biegła wokół w panice. Prime odciął wszystkie wewnętrzne systemy komunikacyjne, następnie zgasił światła. Z punktu widzenia Raymonda nie miało to żadnego znaczenia: równie dobrze widział wszystko w podczerwieni. Uniósł pistolet e-m i zaczął strzelać.

Po zakończeniu i-symulacji Josep i Raymond jednocześnie otworzyli oczy, mrużąc je od słońca padającego przez okna laboratorium. Josep wstał pierwszy i przeciągnął się mocno.

- Nieźle - stwierdził. - Ale chyba powinniśmy zacząć ćwiczyć bardziej skomplikowane wersje.

- Aha. Chyba tak. Na razie jest bardzo łatwo.

- Może na początek niech cię zauważą, jak wychodzisz z kosmolotu.

- Świetnie.

Josep wyszczerzył zęby i spojrzał na zegarek.

- Mamy jeszcze parę godzin, zanim przyjdzie Michelle.

- Jak tam z nią idzie?

- Bardzo dobrze. Cały ten aktywizm bardzo zradyzalizował jej poglądy. Lubi pracować jako kurier. Ma wtedy poczucie, że coś osiągnęła. A Yamila?

- Nie byłem w stanie jej zwerbować, nawet na najniższym poziomie - stwierdził Raymond. - Jest zbyt lękliwa. Sama taka sugestia mogłaby ją wystraszyć, a wtedy musiałbym szukać nowego kamuflażu.

- Na tym etapie nie możemy sobie na to pozwolić.

- Wiem. Ale podejrzewa, że spotykam się z kimś innym. Bez przerwy gdzieś znikam w nocy.

- A skoro o tym mowa...

- Tak. - Raymond napełnił wodą dwa kubki, wrzucił do środka po kostce herbacianej i wstawił je do mikrofali. - Potrzebne nam klucze komunikacyjne.

Gdy przeanalizowali dane zdobyte w xianti, trochę ich to zaskoczyło. Wiedzieli, że

cała komunikacja jest szyfrowana, ale wcześniej w ogóle się tym nie zajmowali. Teraz odkryli, że nawet Prime nie jest w stanie rozpracować tego systemu. Teoretycznie rzecz biorąc, każdy szyfr dało się złamać, dysponując odpowiednią ilością czasu i mocy obliczeniowej, ale Z-B korzystała w swych kosmolotach ze szczególnie skomplikowanej techniki szyfrowania czterowymiarowego i zmieniała ją za każdym razem. Nawet dysponując taką ilością zasobów, Raymond i Josep nie zdołaliby złamać go w przewidzianym czasie.

- Szkoda, że klucze są fizyczne. Widać Z-B traktuje bezpieczeństwo lotów kosmicznych bardzo poważnie.

- Prime ciągle trałuje jakieś niejasne wzmianki na temat Santa Chico - odparł Raymond. - Nie wiem, co tam się stało, ale niewykluczone, że stracili statek na skutek użycia jakiejś miejscowej broni.

- Nic dziwnego, że popadli w taką paranoję. Jednorazowe wielowymiarowe szyfrowanie, jak rany! - Josep potrząsnął z podziwem głową. - Za parę dni wybiorę się po nie do kosmodromu.

- Ta sprawa z Dudleyem Tivonem już przycichła?

- Na to wygląda. Policja zdegradowała tę sprawę do poziomu piątego stopnia wykorzystania zasobów. Prime znalazł jakieś ślady zainteresowania w AS działu bezpieczeństwa Z-B, oznaczyli ją jako ważną dla kierownictwa wyższego szczebla. Prawdopodobnie dlatego, że Tivon pracował w kosmodromie. Ale nic w związku z tym nie robią.

- A zatem droga wolna?

- Na to wygląda.

- Dobrze. Z tego co mówiła Denise, u niej też prawie wszystko gotowe.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gdy Lawrence Newton po raz pierwszy przybył na Thallspring, uważał się już za doświadczonego weterana. Do tego czasu zdążył wyluzować się na tyle, że nieźle się bawił na planetach, na które wysłała go Zantiu-Braun. W tym przypadku bardzo pomógł fakt, że mieszkańcy nie stawiali oporu. Nadmorskie miasteczko było na tyle małe, by łatwo dało się je kontrolować, a na tyle duże, by pomieścić całkiem sporo punktów rozrywkowych. Członkowie plutonów z przyjemnością korzystali z licznych barów i klubów rozrzuconych po marinie wzdłuż wybrzeża. Nawet tubylcy niechętnie pogodzili się z ich obecnością. Ich pieniądze pomagały im przetrwać mimo braku turystów.

Kampania przebiegała w miarę sprawnie aż do piątego tygodnia, gdy jakiś szaleniec zbombardował dwie pobliskie rafinerie żywnościowe. Gubernator Z-B zmuszony był wprowadzić racjonowanie żywności i aktywować trzy naszyjniki zastawowe. Atmosfera w mieście zdecydowanie siadła, choć zakłady biochemiczne, w których dokonywano realizacji aktywów, pozostały nienaruszone.

A zatem Lawrence nie protestował zbyt, gdy sierżant Ntoko oznajmił, że patrol 435NK9 ma nazajutrz wyruszyć na patrol w głąb lądu. Następnego dnia wczesnym rankiem zebrali się przed hotelem służącym im za koszary. Konwój złożony z ośmiu jeepów zabrał trzy plutony i wyruszył w drogę w asyście pięciu dziesięcotonowych ciężarówek. Ich zadaniem było zebranie wszelkiego rodzaju aktywów, jakie znajdą po drodze. Przetoczyli się przez centrum miasta i ruszyli na wschód Wielką Pętlą.

Większość kolonistów mieszkała na terenach wysterylizowanych strumieniem gamma, jednak niektórzy woleli założyć własne osady pośród miejscowej roślinności. Te mniejsze ośrodki niemal zawsze żyły z uprawy cennych miejscowych zbóż albo wydobycia rzadkich minerałów. W górach wznoszących się za Memu Bay było kilka takich wiosek połączonych Wielką Pętlą zataczającą duży owal wokół Gór Mitchella - serii wysokich wulkanów, uśpionych już od tysięcy lat.

Trzydzieści pięć kilometrów od Memu Bay Wielka Pętla nadal miała postać szerokiej, płaskiej asfaltowej drogi. Góry Mitchella wyrastały z gęstej dżungli widocznej tuż przed maską. Lawrence siedział na fotelu pasażera. Kibbo prowadził. Górski grzbiet ciągnął się od horyzontu do horyzontu i znikał w oddali. Aktywność wulkaniczna wypchnęła w tym miejscu



olbrzymi płaskowyż biegnący równoległe do wybrzeża na długości ponad dwustu kilometrów. Wierzch tego łańcucha był dość płaski i znajdował się na wysokości około półtora kilometra nad poziomem morza. Z powodu swych rozmiarów góry miały własny mikroklimat. W dojmującym tropikalnym upale przyjemnie było poczuć na skórze powiew chłodniejszego, wilgotnego powietrza nawadniającego całą okolicę. Na niższych stokach płaskowyżu rosły najbarwniejsze rośliny, jakie dotąd widzieli na tej planecie. Z serca gór wypływały dwie główne rzeki i setki mniejszych cieków wodnych. Połowa szczytów lśniła śniegiem, który zdawał się niewiarygodnie jasny w czystym powietrzu.

- Ktoś się kiedyś wspinał na tych synów? - spytał Kibbo.

- Chyba tak - odparł Lawrence. - Widziałem, że jedno biuro podróży w mieście oferuje wycieczki trekkingowe po płaskowyżu.

- Mam nadzieję, że dadzą tym biednym turystom jakieś kombinezony wspomagające. Tam, w górze, musi być niezła jazda.

- Horombo to najwyższy szczyt, osiem kilometrów. Do tego nie potrzeba wspomagacza, wystarczy dobra bielizna termiczna. No i pewnie jeszcze skrzela tlenowe.

- Masz ochotę spróbować?

Lawrence zaśmiał się krótko.

- Nie ma mowy.

- Ja bym spróbował - stwierdził Kibbo. - Z góry musi być fantastyczny widok.

- Założę się, że przez większość czasu i tak chmury wszystko zasłaniają.

- Rany, chłopie, ale z ciebie pesymista.

Lawrence uśmiechnął się w duchu. Od nieszczęsnego incydentu, tuż po jego nieudanym podejściu do akademii, minęło sporo czasu. Wspomnienia nie były już tak bolesne, gdy próbował się im przyjrzeć na spokojnie. Wręcz przeciwnie - teraz trudno mu było zrozumieć, jak w ogóle mógł polecieć na taką dziwaczkę jak Joon. Dobry Losie, zignorował tyle sygnałów ostrzegawczych!

Czasem zastanawiał się, czy ponownie nie złożyć podania o przyjęcie do szkoły oficerskiej. Z-B była kierowana przez bandę głupich fiutów, ale i tak stanowiła jego jedyną szansę, by zrealizować swoje dawne marzenia. Mimo wszystkiego, co zaszło w ciągu ostatnich lat, Lawrence nigdy nie wyzbył się do końca tej nadziei. Poza tym wypracował sobie naprawdę niezłą opinię. Sierżant Ntoko zamierzał go zarekomendować do awansu na kaprala po zakończeniu tej kampanii. Był też zupełnie pewien, że jego udział jest już dostatecznie duży, by spełnić oczekiwania wicedyrektorki szkoły.

Innymi słowy, życie nareszcie zaczęło mu się układać i nie było w nim miejsca na

pesymizm.

Konwój zaczął piąć się w górę po górkim zboczu. Im wyżej wjeżdżali, tym drzewa po bokach drogi stawały się wyższe. Gałęzie oplatały olbrzymie pnącza, wielkie, splecione sieci rozpinały się pomiędzy pniami i konarami, tworząc gęsty, poszarpany baldachim, porośnięty kiściami złocisto-czarnych kwiatów. Wszędzie wokół spadały dojrzałe szare owoce, asfalt był aż śliski od soku. Skóry musiały odbijać tyle ciepła, że stały się niemal białe.

- Wielka Pętla, akurat - burknął z pierwszego jeepa sierżant Ntoko. Droga zmieniła się teraz w jeden wąski pas asfaltu, bezlitośnie atakowany przez kępy zielononiebieskiej mechtrawy. Często trzeba było zwalniać przed zagradzającymi ścieżkę gałęziami i odpychać je na bok z pomocą kratownic na masce. Nawet powierzchnia asfaltu stała się nierówna i popękana, odsłaniając wyschniętą, czerwonawą ziemię. Owady przypominające ziemskie termity wznosiły z niej wysokie kopce u podnóży drzew. Wydzielały lepkie spoiwo, łączące ze sobą ziarenka pyłu, przez co kopce lśniły w słońcu metalicznym purpurowo-błękitnym blaskiem.

Gdy w końcu wyjechali na szczyt płaskowyżu, powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze. Drzewa stopniowo rzedyły, choć poszczególne sztuki zdawały się nawet większe niż te na zboczach - dorastały do trzydziestu-czterdziestu metrów. Pomiedzy nimi wznosiły się olbrzymie pióropusze ostrych czerwonych trzcin, ich skórzaste mieszki nasion kołysały się na wysokości trzech, czasem nawet czterech metrów. Wielka Pętla zmieniła się tymczasem w ubitą drogę gruntową z głębokimi koleinami, wypaloną w gąszczu trzcin. Lepkie czarne grudki obrzeżały miejsca, gdzie roboty drogowe wypaliły wszystkie formy życia próbujące zaanektować wytyczony szlak. Dla lepszej orientacji co kilometr umieszczono przy drodze wąskie metalowe słupy z wysokim kolnierzem ogniów słonecznych, zasilających światła i transponder.

Lawrence znów zaczął przyglądać się górom. Stąd widać było więcej Mitchelli, wznoszących się wysoko ponad soczyście zieloną tropikalną równiną. Otaczały ją długie pasma ciemnych chmur, zalewających deszczem niższe partie stoków.

Konwój dotarł najpierw do prowincji Rhapsody. Obszar wyznaczało kilkadziesiąt szarawych hałd usypanych na całej równinie, w miejscach gdzie sprzęt górniczy wgryzł się głęboko w warstwy geologiczne, wydobywając złoża boksytów. Wydobyty materiał był wilgotny, ciemny i śliski od chemikaliów. Nic nie rosło na zdradzieckich ruchomych zboczach hałd.

Na Auley nie odnaleziono ani śladu aluminium, a schwytanie kolejnej asteroidy

byłoby nieopłacalne. Większość miast zabezpieczyła sobie zatem własne źródła, a prowincja Rhapsody wydobywała go na tyle dużo, że Memu Bay mogło nawet eksportować ten metal do innych osad.

Praktycznie w samym środku Rhapsody znajdowało się Dixon, miasteczko górnicze, a właściwie centrum inżynieryjne, gdzie konserwowano i naprawiano maszyny górnicze. Ponad jedną czwartą miasta stanowiły olbrzymie szopy ze skorodowanego kompozytu, w których ludzie i cybernetyczne konstrukty pracowali ramię przy ramieniu. Kilometr dalej znajdowała się mała elektrownia jądrowa: przysadzisty betonowy ośmiokąt o lekko wypukłym dachu. Wokół otaczały ją słupy doprowadzające czerwone przewody do wszystkich okolicznych kopalń.

Domy mieszkalne, sklepy i biura wypełniające resztę Dixon pochodziły z prefabrykatów. Rozmiary i układ były dobrane indywidualnie, ale każdą ścianę wykonano z tych samych izolowanych paneli kompozytowych, a każdy dach wyposażono w czarny kolektor słoneczny. Nawet skrzynki klimatyzacyjne stojące przy budynku wyglądały tak samo, a w środku identyczne wentylatory szumiały za rdzewiejącymi żeberkami radiatorów. Sucha, wulkaniczna gleba wypełniała powietrze czerwonym pyłem, pokrywając każdą powierzchnię patyną koloru ciemnej ochry.

Po dotarciu do końca głównej ulicy konwój natychmiast musiał się zatrzymać i wycofać. Jeden z wielkich procesorów wydobywczych był właśnie dostarczany na miejsce pracy po naprawie w hangarze. Urządzenie było dwukrotnie dłuższe niż lokomotywa i trzykrotnie szersze. Umieszczono je na jeszcze szerszym ładowaczu, którego gaśienice szerokością dorównywały wysokości Lawrence'a. Mężczyzna zagwizdał z podziwem, patrząc, jak masywna konstrukcja pełnie ulicą, aż drżą okoliczne budynki.

Kapitan Lyaute, dowódca konwoju, nakazał pojazdom zebrać się na placu głównym. Zanim zdążyli zaparkować i wyskoczyć na zewnątrz, wokół zebrał się spory tłum. Była to pierwsza wizyta Z-B na płaskowyżu i mieszkańców najwyraźniej zaciekała ich obecność. Jednak zachowali przy tym sporą dozę podejrzliwości - stali w pewnym oddaleniu od wysiadających Skór.

Lawrence miał nadzieję, że nie będą musieli demonstrować broni, w którą wyposażono ich Skóry. Dopiero po kilku bardzo nieprzyjemnych dniach żołnierzom udało się przekonać mieszkańców Memu Bay, że są niezwycczeni i najlepiej będzie po prostu wykonywać ich rozkazy. Jednak ta grupa składała się z zaprawionych w bojach górników, ciężko zarabiających na życie. Dysponowali także sporą ilością sprzętu i narzędzi, które, przy odpowiednio pomysłowym wykorzystaniu, mogły poważnie uszkodzić Skórę.

Lyaute wyrzucił z siebie kilka rozkazów i trzech żołnierzy szybko chwyciło po jednym cywilu. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, ofiarom nałożono naszyjniki zastawowe. Następnie kapitan zwrócił się do tłumu. Szybko musiał podkreślić głośność, bo tłum zaczął obrzucać go obelgami. Tubylcy miotali się z wściekłości, słuchając tego obwieszczenia - żołnierze mieli przejść przez miasto i zabrać ze sobą wszystko, co znajdą cennego. Wszelki opór spowoduje aktywację naszyjników zastawowych.

Po przejściu kilku przecznic Lawrence uznał, że cała ta wyprawa to zwykła strata czasu. W Dixon nie było naprawdę nic wartościowego. Oczywiście, mieszkańcy postrzegali to inaczej. Gdy tylko żołnierze wkroczyli do olbrzymich warsztatów naprawczych, natknęli się na ciężarówki zwożące aluminium do Memu Bay. Tyle że najwyraźniej nikt z nich nie korzystał od chwili, gdy statki najeźdźców znalazły się na orbicie. Wszystkie wypełniono po brzegi, ale był to zaledwie drobny ułamek zapasów. Lawrence i Amersy zajrzeli w głąb budynku i stanęli jak wryci. Bryły aluminium niemal sięgały dachu. Nikt nie zamierzał wysyłać wydobytej rudy na wybrzeże, gdzie mogłaby zostać skradziona przez najeźdźców.

Amersy aż się zaśmiał.

- Jakim trzeba być idiotą, by sądzić, że będzie nam się chciało taszczyć taką górę aluminium?

Lawrence nie odpowiedział. Thallspring nigdy nie słyszało o realizacji aktywów - to była ich pierwsza kampania na tej planecie. Jej mieszkańcy - zwłaszcza ci z głębi lądu - nie mieli pojęcia, co najeźdźcy mogą uznać za cenne. Próbowali chronić to, z czego żyli. Doceniał ich starania.

Po przeanalizowaniu logów z AS miasteczka okazało się, że procesory wydobywcze już od kilku tygodni pracują z minimalną wydajnością. Operatorzy nie wyłączyli ich tylko dlatego, że uruchamianie ich od początku nastęcałoby jeszcze więcej problemów.

Kapitan Lyaute wyjaśnił kierownikom kopalni, na czym polega proces realizacji aktywów i dodał, że marnują czas. W odpowiedzi tylko spiorunowali go wzrokiem.

Kilku żołnierzy wysłano do miejscowego szpitala, gdzie załadowali bagażnik jeepa lekami i szczepionkami. Do elektrowni wysłano ciężarówkę, aby przewiozła stamtąd jak najwięcej drogich części zapasowych. Lawrence i Amersy pomagali zdejmować wiertnice ze stojaków w magazynie i ładować je na ciężarówkę. Masywne stożki były nabijane długimi diamentowanymi ostrzami, które personel Z-B miał odciąć już w Memu Bay i zapakować na czekające statki.

- To całe nasze życie! - wrzasnął jeden z techników. - Jak mamy się wyżywić, jeśli nie możemy teraz pracować, wy dranie?

Lawrence nie zwrócił na niego uwagi.

- Gość ma rację - stwierdził Kibbo. - To dość małostkowe. Ostrza... no dobra, one są dość zaawansowane technicznie i do tego drogie. Ale leki ze szpitala?

- Wszędzie na planecie jest tak samo - odparł Lawrence. - Wyprodukują nowe, jak tylko wylecimy.

- Myślałem, że nasze zadanie polega na czymś innym.

- Nasze zadanie polega na tym, żeby było nas widać - uciął Ntoko. - To takie machanie flagą. Tubylcy muszą widzieć, że tu jesteśmy i że się nie patyczkujemy. Na każdej kampanii jest tak samo. Wysyłamy konwój na jakieś zadupie, żeby im pokazać, że nikt nam nie umknie. Gdybyśmy tego nie robili, te miejsca szybko stałyby się rajem dla uciekinierów i buntowników. A jedyny sposób, by opłacić te konwoje...

- To przywieźć dość towarów - domyślił się Amersy. - Taka realizacja aktywów w miniaturze.

- Widzisz, zrozumiałeś.

Lyaute zdecydował, że konwój nie zostanie na noc w Dixon. Mieszkańcy aż kipieli gniewem i mieli pod ręką zbyt wiele ciężkich narzędzi.

Gdy wracali do jeepów, Lawrence zdołał jeszcze dostrzec, jak kilku żołnierzy z innych plutonów wpycha do swoich bagaży biżuterię i domowe karty mediów.

Rozbili obóz na równinie, trzydzieści kilometrów za miastem. Następnego dnia przybyli do prowincji Stanlake obejmującej kilka wiosek rozrzuconych wzdłuż brzegu jeziora. Mieszkańcy zbierali rosnące tam glony ze względu na zawarte w nich skomplikowane związki, chętnie wykorzystywane przez zakłady biomedyczne w Memu Bay. Znaleźli tu nawet mniej rzeczy do zabrania niż w Dixon. We wszystkich wsiach korzystano z paneli słonecznych i turbin wiatrowych, nie było elektrowni. Tylko trzy z nich miały własną przychodnię. Poważniejsze przypadki transportowano do Dixon lub helikopterem do Memu Bay. Ich układy elektroniczne były tragicznie przestarzałe, a związki organiczne w surowej postaci - zupełnie bezwartościowe. Lyaute sprawdził, czy wszystkie plony wysyłane są do Memu Bay. Rzeczywiście były.

Minęli jezioro, kierując się dalej na równinę. Trzeciego dnia dotarli do prowincji Arnoon. Kilka szczytów Mitchelli wznosiło się bezpośrednio nad nią, tworząc głębokie, wijące się doliny. Przełęczę pomiędzy stokami porastał gęsty las. Z poszarpanych, ośnieżonych grani spływały wąskie pasma bieli, wijąc się wśród wysokich drzew. Wielka Pętla prowadziła poprzez najgęściej zalesione tereny. Drzewa i pnącza przez dłuższy czas zasłaniały słońce. Gołe pieńki drzew znaczyły szlak, gdzie robot drogowy wyciął przejazd;

wilgotne drewno zarastały bulwy jaskraworóżowego grzyba. Jednak nawet roboty nie były w stanie wyeliminować pnących roślin zarastających drogę. Mimo terenowego zawieszenia podróż zaczęła być uciążliwa.

- Co ci wieśniacy właściwie tu robią? - spytał Kibbo, gdy przedzierali się podskakującym pojazdem przez kolejny tunel w gąszczu. Dwie godziny drogi przez chłodny las, a jeszcze nie napotkali żadnej ludzkiej osady.

- Chyba hodują tygrysią bawełnę - odparł Amersy.

- Nie, to w prowincji Laeti - poprawił Lawrence. - W Arnoon zbierają wierzbowe włókno. To takie pnącza, które rosną tylko w tym lesie, podobno przypominają w dotyku naszą wełnę. Mają tu sporo mechanicznych krosien, które produkują ubrania i dywany. W miastach płacą za to jak za zboże - burknął niechętnie, czując nagły przypływ wspomnień. Samotni rzemieślnicy, odcięci od świata, sprzedający swoje produkty bogatym miastowym, by zachować niezależność.

W pewnym momencie doszli do wniosku, że albo słupy wyznaczające przebieg Wielkiej Pętli zostały skradzione, albo ktoś w biurze transportu postanowił rozstawiać je odtąd rzadziej. Ntoko, znów jadący na czele konwoju, polegał teraz głównie na własnej intuicji i mapach ściągniętych z ratusza Memu Bay, przestarzałych przynajmniej o dekadę. Co chwilę mijali jakieś skrzyżowania i rozstaje, które nijak nie figurowały w starych plikach.

Po południu Lawrence dostrzegł coś, co mogło być wierzbowym włóknem. Mała zielonkawa kulka przypominająca ciasno zwiniętą aksamitną koronkę, zwisająca z wysokiej gałęzi na szafirowobłękitnej szypułce. W miejscu przymocowania szypułki gałąź była prawie trzy razy szersza niż gdziekolwiek indziej. W przeciwieństwie do reszty roślinności - śliskiej i wilgotnej - wełnista kulka była zupełnie sucha, jakby nietknięta deszczem i mgłą.

Zaczęły się pojawiać regularnie. Ta pierwsza okazała się zaledwie młodziutkim okazem. Niektóre z kul, wiszące w głębi lasu, miały wysokość dorosłego człowieka, ich powierzchnia pokryta była ciemnymi porostami i pnączami. Teraz, gdy już wiedzieli, czego szukają, od czasu do czasu znajdowali także zwiędnięte szypułki przyrośnięte do wydętych gałęzi. Ich końcówki zostały równo przecięte.

Ntoko niemal wjechał w środek wioski, zanim zauważył, co się dzieje. Z początku myślał, że to tylko szeroka polana. Potem nagle przed maskę wybiegła grupka dzieci, więc szybko wcisnął hamulec. Na szczęście udało im się zatrzymać, nie uderzając nikogo. Koła pojazdu poślizgnęły się na wilgotnej mechtrawie, a dzieci pisnęły. Ze wszystkich stron otoczyły ich uśmiechnięte twarze, machające rączki i podekscytowane głosy.

Lawrence, który nie zadał sobie trudu, by zapiąć pasy, został rzucony twarzą na

przednie siedzenie. Wyprostował się oszołomiony i przeskanował polanę czujnikami. Miał wrażenie, że spogląda na wielofazowy obraz, który wyostrza się dopiero po nastawieniu odpowiedniej przesłony. Tam, gdzie wcześniej widział drzewa z nisko zwisającymi gałęziami, teraz były domy o dachach krytych strzechą z trzcin. Rośliny jakimś cudem najwyraźniej były żywe. To, co wziął za kępę krzaków, w rzeczywistości było małymi ogródkami.

- Kurczę blade! - mruknął Ntoko, wysiadając z auta. - To chyba najlepszy kamuflaż na świecie.

- Rozumuje pan jak żołnierz, sierżancie. - Lawrence wzruszył ramionami. - Ci ludzie po prostu tak mieszkają.

- Aha, akurat znasz się na takich ludziach, chłopcze.

Za zasłony listowia zaczęli wynurzać się także dorośli. Powoli podchodzili do konwoju i stawali obok swoich dzieci, czekając cierpliwie. Kapitan Lyaute wygłosił swoją mowę o tym, jak to Z-B przejęła firmę założycielską tej planety i teraz domaga się wypłaty dywidendy. Zamiast wściekłości i pogardy, jaką pamiętali z Rhapsody i Stanlake, tutaj spotkali się raczej z lekkim rozbawieniem. Nawet nałożenie naszyjników dwóm osobom nie wywołało otwartej wrogości.

Gdy żołnierze zaczęli przeszukiwać pobliskie domki, Lawrence stwierdził, że źle ocenił wieśniaków. Nie mogli być jedynie drobnymi rzemieślnikami - wnętrza domów wcale nie były tak prymitywne, jak mogłoby się zdawać. Mieli elektryczność, klimatyzację, bieżącą wodę, kuchnie wyposażone w nowoczesne urządzenia, w rodzaju lodówek, zmywarek i mikrofalówek. W salonach stały perły stacjonarne wyposażone w pełen AS, a także płachty ekranowe zdolne wyświetlić tysiące godzin multimediiów zebranych w okazałych bibliotekach.

Nie licząc tych udogodnień, to właśnie sposób wyposażenia wnętrza zadziwił go najbardziej. Wieśniacy bardzo się starali, by udekorować swoje domy według indywidualnego stylu. Wiele chat ozdobiono rzeźbami, a potem pomalowano lub owinięto włóknem wierzbowym w jaskrawych kolorach w celu podkreślenia kształtu i tekstury drewna. Rzeźby wykonane w stylu buddyjskim lub hinduistycznym przedstawiały wieloramiennych bogów i boginie spoglądających na wioskę z grzbietu węzowatych smoków. W środku preferowano raczej spokojne, nastrojowe dekoracje. Pokoje dziecięce pokryto wirem jaskrawych, fantastycznych wzorów, salony - eleganckimi abstrakcyjnymi wzorami albo klasycznymi ornamentami, sprawiając, że zdawały się miłe i przytulne. Sypialnie utrzymane były w tonacji chłodnych pastelów. Lawrence zaczął się zastanawiać, ilu z nich faktycznie

zajmuje się rzemiosłem, ktoś w końcu musiał zarabiać na życie.

Pośród chatek o spadzistych dachach znajdowały się warsztaty stolarskie, gdzie wyrabiano meble, a także kratownice i struktury wewnętrzne dla budynków. Dostrzegli także warsztaty garncarskie i jeden jubilerski. Lawrence trafił tam z łatwością, bo Skóry tłoczyły się wokół niego jak pszczoły wokół plastra miodu. Okazało się, że bardzo niewiele ozdób wykonano ze srebra, złota czy platyny, a żadnych nie ozdobiono drogimi kamieniami, niemniej jednak wyprodukowane przez amoończyków bransolety, naszyjniki, wisiorki i kolczyki były bardzo piękne, wykonane z pieczołowitością i precyzją. Większość miała otwory na perły neurotronowe. Żołnierze wpychali je sobie do szaszetek.

Lyaute spotkał się z radą wioski w pokoju, który uchodził za salę narad. Budynek wyciosano z czterech wielkich drzew o śnieżnobiałej korze, których gałęzie spleciono ciasno, by utworzyć szeroką kopułę, przepuszczającą wąskie promienie słońca, ale zabezpieczającą przed deszczem. Kapitan bardzo się zaniepokoił, słysząc, że w okolicy nie ma nic, co mogłoby się kwalifikować jako rodzaj aktywów. We wsi nie było lekarza - znaleziono tylko pięć czy sześć apteczek, wszystkie z bliskim terminem daty ważności. Podobnie jak w Stanlake, pacjentów w ciężkim stanie natychmiast transportowano do Dixon lub do Memu Bay. Lyaute zapytał, ile osób mieszka we wsi. Rada odpowiedziała, że około sześciuset. Było to znacznie więcej, niż wynikało z liczb podanych w plikach z ratusza. Tak czy inaczej, w okolicy nie wybudowano dość domów, by pomieścić wszystkich. „Wielu z nas mieszka w lesie, gdzie pracują przy zbiorach”, odpowiedziała rada. Położenie tych siedzib nie zostało podane w postaci współrzędnych na siatce, raczej serii wskazówek: „przejdź kilometr drogą wiodącą na północny zachód, skreć w prawo i przejdź znów kilometr, przepraw się przez strumień i kieruj się ku drugiemu szczytowi, patrząc od południa...”.

Lawrence był prawie pewien, że wieśniacy po cichu kpią sobie z kapitana, ale sam musiał przyznać, że ta wspólnota prawdopodobnie nie ma niczego, na czym zależałoby korporacji. Podobnie jak rudy aluminium, wierzbowe swetry, nieważne, jak bardzo kolorowe, nie stanowiły zbyt cennego ładunku.

Dowódca postanowił wysłać pluton 435NK9 w głąb lasu, aby zobaczyli, jaką technologię wykorzystuje się przy obróbce włókien. Ośrodek mieścił się daleko od wioski, zażądał zatem przydzielenia asysty przewodników. Pomimo ewidentnego rozboju, jakiego dopuścili się żołnierze w domach i warsztatach, towarzyszący im tubylcy zachowywali się życzliwie i grzecznie. Twierdzili, że gdy ich pradziadkowie osiedlili się tu przed dziesiątkami lat, przyprowadzili ze sobą buldożery i wybudowali zapory na jednym z największych strumieni spływających z ośnieżonych zboczy góry Henkin. Przy zaporze wybudowano



hydroelektrownię, która dostarczała prąd do wioski i ośrodka zbiorów. Ich własny zakład obróbki narzędzi był w stanie wyprodukować części zamienne do używanych tam urządzeń, dzięki czemu osada była praktycznie samowystarczalna.

Na widok ośrodka włókienniczego Lawrence poczuł wściekły przypływ déjà vu - pięć przestronnych szop zastawionych staroświeckim urządzeniami. Wokół leżały sterty włókien, które roboty czesały i przędły na włóczkę. Po bokach bulgotały kadzie z barwnikami i terkotały szpule.

Po zbiciu w pasemka i zapleceniu ich razem wierzbowe włókno stanowiło znakomity wodoodporny materiał. Flota niewielkich pojazdów dostawczych zwoziła swetry i poncza do Memu Bay, skąd przywoziła żywność i inne towary konsumpcyjne. W przeciwieństwie do ciężarówek z Dixon, furgonetki z Arnoon nadal kursowały po przybyciu obcych statków. Lawrence spojrzął na swetry schodzące z maszyn i stwierdził, że wzory są bardzo konserwatywne - zupełnie nie przypominały ekstrawaganckich projektów Jackie.

Trzech żołnierzy zarzuciło sobie swetry na ramiona. Lawrence uznał, że nie ma się co fatygować. Zresztą wciąż miał pewne podejrzenia i rozglądał się wokół uważnie. Cała ta idylliczna wioska wyglądała po prostu zbyt pięknie.

- Dokąd prowadzi ta ścieżka? - spytał jednego z wieśniaków. Z ośrodka włókienniczego prowadził do wioski szeroki szlak, jednak tuż obok znajdowała się wąska dróżka znikająca gdzieś w lesie.

- Do jeziora.

- Wygląda na często używaną. - Sensory Lawrence'a ukazywały liczne odciski stóp, utrwalone w wysychającym błocie. Gałęzie roślin rosnących po bokach ścieżki były przycięte.

- Co tam masz, Lawrence? - spytał Kibbo.

- Mówi, że to ścieżka do jeziora.

- A co tam jest?

Lawrence zobaczył, że przez twarz mężczyzny przemknął lekki uśmiech, jakby przez chwilę miał zamiar odpowiedzieć „woda”.

- Tylko świątynia.

- Świątynia? - zainteresował się Kibbo. - Jaka?

- To miejsce spokoju i kontemplacji, gdzie chodzimy, by pomedytować w samotności.

Kibbo przez chwilę naradzał się z Lawrence'em.

- No dobra, to zobaczmy tę świątynię.

- Jak pan sobie życzy.

Przewodnik nazywał się Duane Garcia. Miał około czterdziestki, ciemne, kręcone włosy i okrągłą twarz, na której często gościł uśmiech. Wyglądał na zdrowego i wysportowanego, jak wszyscy ludzie, spędzający dużo czasu na powietrzu. Lawrence zdał sobie sprawę, że nie widział jeszcze tu nikogo, kto nie byłby okazem zdrowia. Nawet najstarsi mieszkańcy poruszali się z łatwością, a dzieci przypominały stado iskierek.

Gdy ruszyli w głąb lasu, nadciągnęła ulewa. Błoto ochlapało Lawrence'a aż po krocze. Kropelki ogłupiały sensory wizualne, tworząc niewyraźne, rozmazane obrazy.

Duane Garcia naciągnął na głowę kaptur swetra i pogwizdywał wesoło.

- Do jakiego bóstwa należy ta świątynia? - spytał Kibbo.

- Nie czcimy żadnych bogów - odparł Duane. - Uważamy, że wszechświat powstał naturalnie.

- Amen, bracie - mruknął Lawrence.

- A zatem skąd świątynia? - naciskał Kibbo.

- To nie jest świątynia w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nazywamy ją tak, bo jej architektura miała stanowić hołd dla różnych historycznych budynków na Ziemi. Człowiek, który ją zaprojektował, był przyjacielem mojego dziadka. Podobno bardzo się zdenerwował, gdy ludzie zaczęli nazywać to miejsce świątynią.

Wyszli na szczyt niewielkiego wzniesienia i nagle las pozostał w dole. Przed nimi ciągnęło się niepokojąco strome zbocze prowadzące do gęsto zalesionej dolinki. Lawrence pomyślał, że właśnie takie miejsca jak to musiały zainspirować narodziny Shangri-La. Kenzi, drugi najwyższy szczyt Mitchelli, stał niczym milczący strażnik u wylotu dolinki - olbrzymi, poszarpany mur pokryty grubą warstwą śniegu. Poniżej granicy lodu toczyły się wodospady pokonujące setki metrów w dół, gdzie znikwały w wyższych partiach lasu, wznosząc tuman białego pyłu nieustannie otoczony tęczkami. Dolinka biegła pomiędzy dwoma wzniesieniami przylegającymi do Kenzi niczym filary. Na całej długości wypełniała ją rzeka. Każdą szczeliną płynęły drobniejsze strumyki.

Tuż przed nimi znajdowało się idealnie okrągłe jezioro kraterowe, które przyczyniło się do erozji północnego zbocza, tworząc strome urwisko. Pośrodku wznosiła się mała samotna wysepka, niczym plecy śpiącego morskiego olbrzyma. Po bokach rosło kilka drzew, ich wyblakłe na słońcu korzenie z trudem wbijały się pomiędzy głazy.

Pośrodku wyspy znajdowała się prosta budowla: pięć kolumn ze żłobionego białocznego marmuru podpierało szeroki, łukowato sklepiony dach. Poniżej wybudowano dwa rzędy kamiennych kręgów, w których mogłoby się pomieścić około dwudziestu osób. Cała budowla przywodziła na myśl greckie zabytki.

Ze świątyni prowadziła niewielka żwirowa ścieżka kończąca się przy małym, drewnianym pomoście. Identyczną konstrukcję umieszczono na brzegu jeziora, do pala przywiązano małą łódkę wiosłową.

- To wszystko? - spytał Ntoko.

- Tak - odparł Duane Garcia.

Sierżant omiół okolicę sensorami. Ścieżka prowadziła dalej po stromym zboczu. W paru miejscach spadek był naprawdę ostry, ale mieszkańcy wioski dorobili tam uchwyty. Siedemdziesiąt metrów pod nimi droga znów zniknęła w lesie i wynurzała się dopiero przy pomoście.

- Okej, widzieliśmy już dość. - Ntoko odwrócił się i ruszył z powrotem do ośrodka włókienniczego.

Lawrence wciąż stał na szczycie zbocza. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że wieśniacy coś ukrywają. Deszcz ustał, a chmury rozwiały się, odsłaniając imponujący masyw Kenzi. Włączył pełne spektrum przeszukania sensorycznego i nakierował je na świątynię. Nie zarejestrował niczego. Żadnej aktywności elektromagnetycznej. Żadnego ciepła, wyłącznie chłodny kamień. Wielkie białe-szare ptaszyska szybowwały leniwie nad taflą jeziora, odbicia podążały ich śladem po powierzchni czarnej wody.

- Cholera.

Gdy znów przełączył czujniki na najbliższą okolicę, ze zdumieniem zobaczył, że Duane Garcia wciąż na niego czeka.

- Pilnuje mnie pan?

- Oczywiście, że nie. To trudna droga i pełna rozwidleń. Nie chcielibyśmy nikogo zgubić.

Lawrence zaśmiał się pod nosem i ruszył za tubylcem.

- Ciekawe. Przysięgłbym, że właśnie to by was ucieszyło.

Duane Garcia uśmiechnął się tylko lekko.

- Przyznaję, że wasza wizyta nie należy do najprzyjemniejszych. Ale nie chciałbym, by komukolwiek przydarzył się wypadek, choćby dlatego, że wasz dowódca prawdopodobnie nie uznałby tego za zbieg okoliczności.

- To prawda. Mogę o coś spytać?

- Oczywiście.

- Gdzie znajduje się więzienie?

- Węzienie? Przykro mi, ale nie mamy tu takich rzeczy.

- Ach. A zatem w osadzie liczącej przynajmniej sześćset osób nie ma żadnych

przestępców. To prawdziwy raj.

- Obawiam się, że nie. Oczywiście, zdarzają się wykroczenia, jak w każdej społeczności. Po prostu nie uważamy ograniczenia wolności za właściwy wymiar kary. Stosujemy inne metody. Restrykcje zarówno fizyczne, jak materialne.

- Hmm. Tak dla ustalenia: nie wierzę w ten cały zen-badziej, który wcisnęliście kapitanowi. Cała ta społeczność jest zbyt idylliczna. Zwykle po trzecim pokoleniu w każdym społeczeństwie utworzonym wokół jednej centralnej zasady pojawiają się głosy sprzeciwu.

- Widział pan, jak żyjemy. Nie ma tu na co narzekać. A jeśli ktoś jest niezadowolony, zawsze może odejść.

- Hmm, nie. Nadal wam nie wierzę.

- Wydaje się pan bardzo przekonany o swojej słuszności. Dlaczego?

- Sam należę do trzeciego pokolenia kolonistów. Wiem wszystko na temat pogardy dla przestarzałych zasad.

- Może to tylko pan je tak postrzega. A może nasze zasady są bardziej atrakcyjne niż te, które pamięta pan z domu.

- Punkt dla pana - przyznał Lawrence. „Ale nadal wiem, że coś ukrywacie”, dodał w myślach.

Kapitan Lyaute zdecydował, że patrol może zatrzymać się w wiosce na noc. Wieśniacy nie prezentowali takiego ewidentnego zagrożenia jak górnicy z Dixon.

Kilka rodzin eksmitowano z domów, by zrobić miejsce dla żołnierzy. Lawrence został zakwaterowany wraz z Ntoko, Amersym i najmłodszym rekrutem 435NK9, Nikiem Fuccio.

Okna budynku wychodziły na centralną polanę, gdzie zaparkowali samochody konwoju. W środku znajdowało się kilka wygodnych sypialni, trzy łazienki, przedsionek, salon, gabinet i pokój dziecienny, pełen zabawek. Wszystkie układały się w kształt litery T.

Lawrence pomyślał o domach znajomych menedżerów Z-B, którzy musieli się pomieścić na znacznie mniejszej powierzchni. Zajął dla siebie sypialnię z przesuwanymi szklanymi drzwiami i zdjął Skórę. Z masywnej walizki zawierającej ekwipunek połowy wysunęło się osiem przewodów, które podpiął do odpowiednich gniazdek. Krew i inne płyny zaczęły krążyć po zwiotczałych syntetycznych mięśniach.

Wziął gorący prysznic, zmył z siebie niebieski żel, włożył oliwkową bluzę i szare szorty, po czym dołączył do kolegów wylegujących się na balkonie. Amersy zdążył już namierzyć barek i przyrządzić drinka na bazie soku z cytryny. Lawrence wziął sobie puszkę Bluesaucera. Piwo smakowało mu lepiej niż kiedykolwiek w Memu Bay.

Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ale teraz zobaczył, że wioskę wybudowano

na łagodnym zboczu. Połowa budynku była wsparta drewnianym rusztowaniem, aby mogła stać poziomo. Z balkonu rozciągał się widok na szeroką płytką dolinę, pokrytą lasem niczym ciemnym błękitnozielonym kocem.

- Czy wśród nas zdarzają się czasem uciekinierzy, sir? - spytał Nic, rozkładając się na leżaku.

- Nie. Za bardzo rzucamy się w oczy. A co? Snujesz plany ucieczki?

Nic wskazał gestem na polanę. Ośmiu żołnierzy w Skórach zostało na warcie, by pilnować pojazdów. Łatwa służba. Dzieciaki oglądały z zaciekawieniem samochody, a wartownicy czasem pozwalali im usiąść na siedzeniu kierowcy. Potem pojawiło się kilka dziewcząt, w wieku od kilkunastu do dwudziestu paru lat. Lawrence był pewien, że wcześniej ich nie widział. Podobnie jak turystki w Memu Bay, nie miały na sobie zbyt wiele - koszulki albo topy na ramiączkach i szorty. Doskonale pasowały do idyllicznego wizerunku wioski. Żołnierze natychmiast zaczęli je zaczepiać.

- Muszę przyznać, że to kuszące - stwierdził Nic. - Jak już zarobię odpowiednio duży udział, to mógłbym tu zamieszkać.

- Ja nie - odparł kategorycznie Lawrence.

- A czemu nie? Miałbyś pod ręką wszystko, czego ci potrzeba. Hm, ciekawe, czy ci tutaj też uprawiają te trójmałżeństwa? Ludzie ze wsi zawsze są bardziej tradycyjni niż miastowi.

Ntoko parsknął pod nosem i wskazał szklanką na piękne, wysokie dziewczyny zebrane wokół jeepa.

- Dwie takie laski wykończyłyby cię na śmierć.

- Ale jaki to byłby piękny koniec.

- Całe to „życie w zgodzie z naturą” to nic innego jak ślepy zaułek - burknął Lawrence.

- Oho, chyba nastąpiliśmy komuś na odcisk! - zaśmiał się Nic. - Co w tym złego, Lawrence? Codziennie popracują sobie przez parę godzin, a przez resztę dnia leżą plackiem, ryćkają się i sączą drinki. Tylko spójrz na nich. Wszyscy uśmiechnięci, nikt się niczym nie stresuje. Wiedzą, że dobrze wybrali.

- Widywałem już w życiu takie miejsca. Dla człowieka z zewnątrz wydają się atrakcyjne, bo wszyscy mamy ochotę na chwilę wytchnienia. Ale nie byłbyś w stanie tu mieszkać przez osiemdziesiąt lat. Po pół roku zdechłbyś z nudów.

- O, rany - jęknął Amersy. - I co jeszcze? Może wyrecytujesz jakąś mowę kapitana? Powiesz, że jesteśmy stworzeni do wyższych celów?

- Ale to prawda! - upierał się Lawrence. - Taka egzystencja nie przyczynia się w żaden sposób do rozwoju ludzkości. To forma ucieczki dla ludzi, którzy nie radzą sobie z życiem we współczesnym społeczeństwie. A ironia losu polega na tym, że są od niego całkowicie zależni. Na przykład od produktów przemysłowych wytwarzanych w mieście.

- Zawsze tak było, Lawrence - zauważył Ntoko. - Różne społeczności prowadzą różny tryb życia i wytwarzają różne rzeczy. Handel pomiędzy nimi generuje zyski. Setki lat temu były to różne narody, które potem wyewoluowały w osobne mikrokosmosy i wąsko wyspecjalizowane społeczności. Taki styl życia nie byłby możliwy przed nadejściem nowoczesnego transportu i metod komunikacji. Ta wieś jest produktem naszej cywilizacji, tak samo jak Memu Bay.

- To banda marzycieli. Powinni się obudzić i wziąć do prawdziwej roboty, tak jak my. Sierżant uniósł szklankę z rżniętego szkła.

- Mnie tam podobają się takie marzenia. Weź sobie drugie piwo i wyluzuj, Lawrence.

- Tak jest, sierżancie. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i sięgnął do lodówki. Kilkoro dzieci przechodzących koło domu wykrzyknęło coś niezrozumiałego, a on zamachał w odpowiedzi. Musiał przyznać, że takie miejsca miały swoje zalety. Podczas tej misji nigdy wcześniej nie zdołał się tak odprężyć, nawet podczas rundek po barach w marinie.

Gdyby tylko zdołał odkryć, co ukrywają mieszkańcy...

W tej samej chwili zobaczył, że jedno z dzieci, mały chłopiec, sięga w stronę krzaka rosnącego na skraju ogrodu. Odgarnął mięsiste błękitnozielone liście i odnalazł wiszący na gałązce owoc. Była to mała kulka o jedwabistej pomarańczowej skórce. Chłopiec zerwał ją szybkim ruchem i wgrzył się w nią z apetytem. Sok spłynął mu na brodę.

- Wiedziałem! - syknął tryumfalnie. - Widzieliście? - Zwrócił się do pozostałych.

- Ale co? - spytał Ntoko.

- Ten dzieciak je owoce. Prawdziwe. Z krzaka. Banda pieprzonych regresjonistów!

Ntoko zmarszczył brwi i spojrzał na dzieci znad szklanki.

- Jesteś pewien?

- Sam widziałem.

- Okropny zwyczaj.

- A jakby to było twoje dziecko?

Nic skrzywił się, wpatrzony w płyn chlupoczący na dnie szklanki.

- Hej, chyba nie nakarmili nas tym świństwem, co?

- Lepiej, żeby nie próbowali - warknął Amersy.

Lawrence znów rozłożył się na leżaku. Odkąd odkrył kompromitujący sekret wioski,

poczuł się znacznie lepiej. „Wiedziałem, że to zbyt piękne”.

Lodówka pełna była półproduktów gotowych do przygotowania. Lawrence pomyślał, że będzie musiał sprawdzić opakowania. Dzięki Losowi, wokół osady nie pasły się żadne zwierzęta. Mieszkańcy najwyraźniej nie byli aż tak zdeprawowani.

Zjedli kolację na balkonie - pieczone żeberka z mikrofali i pieczone ziemniaki. Nic przyrządził nawet parę sosów z saszetek, które znalazł w szufladzie. Każde opakowanie było szczelnie zamknięte i pochodziło z rafinerii żywnościowych w Memu Bay. Na deser podano lody czekoladowe.

Siedzieli na leżakach, spoglądając, jak słońce chowa się za wielkim łańcuchem górskim. Wioska już od późnego popołudnia była pogrążona w cieniu. Zmierzch trwał kilka godzin. Sylwetki szczytów rysowały się ostro na tle złocisto-fioletowego nieba. W końcu zabłyśły gwiazdy, mrugając jasno w chłodnym, rozrzedzonym powietrzu ponad górami. Na końcu ukazała się Droga Mleczna, przecinając niebo niczym gruby ogon komety.

Lawrence nie był pijany. Wypił tylko tyle, by lekko szumiało mu w głowie. Spał niespokojnie, co kilka minut budził się, obracał na drugi bok albo poprawiał poduszkę. O pierwszej w nocy usłyszał krzyk.

Prawie natychmiast ucichł. Lawrence przez chwilę sądził, że to końcówka jakiegoś snu, ale nie spał już od kwadransa.

Przez moment leżał, nasłuchując czujnie. Głos należał do kobiety. Teraz, gdy się skupił, dosłyszał też jakieś szuranie. Kroki na schodach. Kolejny krzyk, tym razem stłumiony.

Wyskoczył z łóżka, chwytając po drodze okulary interfejsowe. Włożył je i kazał perle bransoletkowej uruchomić funkcję amplifikacji światła. Okulary nie były specjalnie zaawansowane w tej dziedzinie - nawet nie umywały się do sensorów skóry. Jednak nieoświetlona sypialnia zarysowała mu się przed oczami w lśniących odcieniach szarości i błękitu. Wyślizgnął się przez szerokie drzwi na taras. Jego pokój znajdował się na tyłach domu, po przeciwnej stronie niż polana. Gwiazdy świeciły jasno.

Pomiędzy domami biegła dziewczynka, ośmio- może dziewięcioletnia. Miała na sobie tylko luźną białą koszulę, jej bosa stopy i kolana uwalane były błotem i sokiem z mechtrawy. Na policzkach błyszczały ślady łez.

- Jacintha! - zawołało dziecko i znów załkało. - Jacintha, gdzie jesteś? Jacintha!

Lawrence zbiegł po schodach, w duchu błagając Los, by Jacintha okazała się kotem albo innym domowym zwierzęciem.

Dziewczynka cofnęła się na jego widok.

- Nie, niech mi pan nie robi krzywdy! Proszę!

W świetle gwiazd wyglądała zupełnie jak jego młodsza siostra, Janice. „Teraz ma pewnie ze dwadzieścia... Losie, nie, dwadzieścia dwa lata. Ciekawe, co porabia?”.

Wyciągnął ręce do dziewczynki.

- Wszystko w porządku. Nic ci nie zrobię. Powiedz mi, co się stało?

Dziecko znów cofnęło się o kilka kroków.

- Nic. Nic się nie stało.

- Przed chwilą słyszałem krzyk. Czy to Jacintha krzyczała?

- Nie wiem.

- Posłuchaj, eee... nazywam się Lawrence. A ty?

- Denise - odpowiedziała ostrożnie.

- Ach, Denise. Ładne imię. A kto to jest Jacintha? - Ukradkiem rozglądał się wokół w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu. W kilku domach wciąż paliło się światło: jasne prostokąty na obrzeżach zasłon, jakby ich ramy były neonowe. Pojazdy konwoju wciąż stały zaparkowane na polanie, kilka Skór nadal stało na warcie. Nie zwracali uwagi na Lawrence'a i dziewczynę, co trochę go zaniepokoiło.

- To moja siostra - powiedziała w końcu Denise.

- Aha. A ile ma lat?

- Siedemnaście.

Lawrence zaklął pod nosem. Podejrzewał, że dobrze wie, co się teraz dzieje. Szlag by trafił kapitana za ten brak dyscypliny i niech szlag trafi całą Z-B za zatrudnianie takich mętów.

- Powiedz mi, co się stało, Denise. Ktoś zabrał Jacinthę?

- Tak - przyznała żałośnie dziewczynka. - Spałyśmy razem w domu u Pauli. - Wskazała na jeden z domków. Lawrence dostrzegł przyciśnięte do szyby dziecięce buzie.

- Mów dalej.

- Potem przyszło dwóch żołnierzy i powiedzieli, że muszą jej zadać kilka pytań. Że chodzi o bezpieczeństwo. Kazali jej iść z sobą.

- Gdzie? Widziałaś, dokąd poszli?

- Nie. Ale szli w tę stronę.

Pokazała wzdłuż rzędu domów. Lawrence miał wrażenie, że krzyk dochodził z bliskiej odległości.

- Czy ci żołnierze byli w Skórach? Wiesz, w takich dużych ciemnych kombinezonach?

- Nie.

- To dobrze - stwierdził i rzucił się biegiem we wskazanym kierunku. - Zaczekaj tutaj.



Denise zawahała się, wargi jej drżały.

- Spokojnie, nic ci nie będzie. - Indygowy skrypt przesuwiał się po szklach okularów, ukazując aktualny status konwoju. Poziom siódmy, żadnych alarmów i innych nieprawidłowości. Kazał perle połączyć się z perlą Ntoko i obudzić go. W pierwszym domu, który minął, nie paliło się światło. W drugim oświetlone było jedno okno. Lawrence wbiegł na taras. Trzech żołnierzy siedziało przy stole, grając w karty.

Trzeci budynek był oświetlony, ale zaciągnięto starannie zasłony. Lawrence wbiegł po schodach, przeskakując po dwa naraz, mimo że były mokre od rosy. Ze środka doleciały go jakieś głosy. Krótkie, gardłowe pomruki, jakie zwykle wydają podnieceni mężczyźni.

Z rozmachem otworzył drzwi balkonowe i odsunął zasłonkę. Jego podejrzenia potwierdziły się co do joty. Jacintha, siostra Denise, leżała na podłodze, z koszulką podciągniętą aż pod szyję. Jej twarz zastygła w wyrazie bezradnego przerażenia. Wokół niej stało trzech żołnierzy z 482NK3, Morteth, Laforth i Kmyre. Laforth zdążył już ściągnąć spodnie. Stał pomiędzy nogami dziewczyny i rozchyłał je na boki.

Wszyscy trzej odwrócili się, by spojrzeć na Lawrence'a. Szok i strach widoczny w ich spojrzeniach szybko przeszły w ulgę, gdy dostrzegli, że to tylko kolega z innego plutonu.

- Jezu, Newton! - burknął Laforth. - Co cię, kurwa, napadło?

- Zamknij te cholerne drzwi - dodał Morteth.

Lawrence uniósł okulary, żeby dziewczyna zobaczyła jego twarz.

- Zgwałcili cię? - spytał.

Szybko potrząsnęła głową.

- Nie. - Jej głos był wysoki, niemal piskliwy.

- Okej. Chodź ze mną. - Wyciągnął do niej rękę.

Kmyre wepchnął się pomiędzy nich i oparł ręce na biodrach, uśmiechając się wyzywająco.

- Dziewczyna jest naszym więźniem. Dołącz do zabawy albo spierdalaj.

Lawrence poczuł od niego zapach alkoholu.

- Nie rozumiesz, pojebie? Już po wszystkim. Zabawa skończona. Jasne?

- Jak może być skończona, skoro jeszcze nie zaczęliśmy, koleś?

- I nie zaczniecie. Nie po to tu jesteście. - Ominął Kmyre'a i podszedł do dziewczyny, która wciąż leżała na podłodze, rozglądając się niepewnie. Laforth wyglądał na zbitego z tropu, zerknął na Mortetha, który piorunował Lawrence'a wzrokiem. Jacintha usiadła w końcu na podłodze i obciągnęła koszulkę, by zakryć piersi.

- Chodź - powtórzył Lawrence, wyciągając rękę.

Kmyre odtrącił ją brutalnie.

- Wypierdalaj stąd albo dopilnuję, żebyś został pierwszą ofiarą tej terrorystki.

Lawrence pochylił się, jakby chciał pomóc dziewczynie wstać. I, tak jak przewidywał, w tej samej chwili Kmyre wymierzył mu kopniaka w tył kolana. Odwrócił się zwinnie, złapał go za nogę i pociągnął do góry. Kmyre wrzasnął i runął na plecy.

Morteth ryknął wściekle i rzucił się na Lawrence'a. Mężczyzna postąpił naprzód i uderzył go głową. Krzyk przeciwnika zamilkł gwałtownie, przerwany przez trzask kości. Ze złamanego nosa trysnęła krew. Jacintha wrzasnęła.

Sekundę później cios Lafortha trafił Lawrence'a w mostek. Zatoczył się w tył i zorientował się, że Kmyre znów zamierza się na niego. Tym razem spróbował złapać go w klincz. Dobre posunięcie, ale wykonanie gorsze. Przeciwnik zorientował się w porę i uderzył go kantem dłoni w prawe przedramię. Lawrence zawył z bólu, ale wciąż napierał, wykorzystując swój moment pędu, aż obaj padli na powiewającą zasłonkę. Materiał oderwał się od karnisza i obaj runęli na podłogę balkonu, zaplątani w grubą tkaninę. Kmyre kopnął wściekle. Lawrence oddał, ale bez butów niewiele mógł zdziałać.

Przez chwilę mocowali się ze sobą, ale prawe ramię Lawrence'a chwilowo było całkiem bezużyteczne i Kmyre szybko zyskał przewagę. Wtedy jednak kolano przeciwnika trafiło go w tył szyi. Mężczyzna zwałił się na bok w tej samej chwili, gdy Laforth złapał Lawrence'a za nogę i wykręcił z całej siły. Lawrence przekręcił się na bok, uderzając drugą nogą w żebra przeciwnika. Laforth upadł, pociągając za sobą Lawrence'a. Obaj zwalili się ze schodów.

Lawrence nie mógł zamortyzować wypadku, póki był spleciony w uścisku z Laforthem. Łokcie i kolana obijały mu się praktycznie o każdy stopień, po którym się stoczył. Głowa także oberwała, przed oczami widział teraz dwa razy więcej gwiazd. W końcu padli na zabłoconą mechtrawę.

Lawrence zdawał sobie sprawę, że biegiem zbliża się do niego grupa ludzi, połowę z nich stanowiły dzieci, resztę - dorośli z wioski. Nie widział nikogo ze swojego plutonu. Jacintha wciąż krzyczała, a światło z otwartych drzwi padało na cały ogródek. Najwyraźniej dźwięki bójki zaalarmowały całą wioskę.

Laforth wcale się tym nie przejął i znów wymierzył przeciwnikowi kopniaka. Lawrence przetoczył się z łatwością i odpowiedział ciosem pięści. Kiepsko wycelował, ból nie pozwalał mu się skupić. Laforth uchylił się lekko, przez co cios ześlizgnął się po ramieniu, i spróbował chwycić przeciwnika w klincz. Gdy znalazł się już blisko, Lawrence walnął go kolanem w szczękę, aż głowa poleciała mu gwałtownie w tył. Uśmiechnął się z

satisfakcją, gdy Laforth padł na ziemię, na wpół przytomny. Potem Kmyre skoczył mu na plecy i obaj wylądowali w wilgotnej mechtrawie.

- To on! - wrzasnęła Denise. - To ten człowiek!

„Świetnie - pomyślał Lawrence, blokując cios wymierzony w jabłko Adama. - Teraz wezmą mnie za gwałciiciela”.

- To istne dzikusy! - zawołał jakiś mężczyzna.

- Rozdzielcie ich! - błagała Denise. - Zrobią komuś krzywdę.

- Jacintha? Jacintha, gdzie jesteś?

Kmyre kopnął Lawrence'a w zębra, przewracając go na bok. Mężczyzna przetoczył się dwa razy i przykucnął nisko. Potem rzucił się na Kmyre'a, aż obaj znów padli na ziemię.

- Rozdzielcie ich! - krzyczała Denise. - Proszę!

- Jacintha?

- Tato? Tato, tu jestem!

- Zawołaj smoka! - prosiła Denise. - On ich zmusi, żeby przestali.

- Nie, dziecko!

- Wszystko w porządku, Jacintho? Zrobili ci krzywdę?

- Rozdzielcie ich!

- Nic mi nie jest, tato.

Kmyre wciąż siedział mu na plecach, zadając ciosy na oślep. Lawrence nie mógł zrobić wiele, prócz odpowiadania tym samym. Była to chyba najgorsza możliwa bójka - dwóch pijaków tarzających się w błocie.

- Proszę! - zawodziła Denise.

Wtedy zapłonęło oślepiające białe światło. Lawrence i Kmyre zamarli. Po chwili chwyciły ich Skóry, rozdzielając walczących siłą.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - spytał ze złością Ntoko.

Lawrence z trudem chwycił powietrze, szczęśliwy, że ktoś go podtrzymuje. Nie był pewien, czy potrafiłby ustać na własnych nogach. Za bardzo się trzęsły.

Wokół zebrało się sporo ludzi; w blasku reflektorów na hełmach Skór widać było wieśniaków z dziećmi i zaspanych żołnierzy w szortach, z każdą chwilą przybywało więcej tubylców.

- No? - ponaglił Ntoko.

- Oni... dziewczyna - wydyszał Lawrence. - Słyszałem krzyk.

- Mhm. - Ntoko zerknął na Jacinthe, teraz wtuloną w objęcia ojca. - Cholera - mruknął, spoglądając na Kmyre'a. Był umazany błotem i krwią. Laforth próbował stanąć na

nogi - ewidentnie był to bolesny proces. Morteth stał na balkonie, jedną ręką zaciskając krwawiący nos. Na koszuli miał wielką czerwoną plamę.

Ntoko skinął na sierżanta pełniącego wartę i przez chwilę obaj rozmawiali gorączkowo.

Potem zwrócili się do tłumu.

- Dobra, ludzie, koniec na dzisiaj - oznajmił Ntoko.

- Wy trzej - wycelował palcem w Mortetha, Lafortha i Kmyre'a - z powrotem do kwatery; macie tam pozostać do siódmej rano. Travers, teraz ty pełnisz wartę. Jeśli wyjdą przed wyznaczoną godziną, możesz użyć siły.

- Tak jest, sir. - Zasalutował jeden ze Skór.

Ntoko podszedł do Jacinthy i jej rodziny.

- Czy potrzeba pani pomocy medycznej?

- Nie - odparł jej ojciec, uścisk jego rąk stężał odruchowo. - W każdym razie nie od was.

Jacinta potwierdziła nieszczęśliwym skinieniem głowy.

- Dobrze więc. Czy mogą państwo teraz wrócić do domu? Zapewniam, że ten incydent nie powtórzy się więcej.

- Dziękujemy.

Lawrence nie mógł uwierzyć, że w tak prostym słowie można zawrzeć aż tyle pogardy.

Strażnicy przekazali go pod opiekę Nicowi i Amersy'emu. Wspierając się na nich, z trudem pokuśtykał do swojej kwatery. Pozostali też zaczęli się rozchodzić, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Nagle drogę zastąpiła mu Denise. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dzięki - powiedziała szybko i pobiegła za swoją rodziną, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Znalazłeś sobie nową dziewczynę. Lawrence? - zaśmiał się Nic. - Niezła laska.

- Nic mi, kurwa, nie mów.

Za chwilę w miejsce Denise pojawił się Ntoko. Ale sierżantowi wcale nie było do śmiechu.

- Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz, człowieku? Chcesz być bohaterem, to rób to w godzinach pracy.

- Sierżancie, a pan na moim miejscu zrobiłby inaczej?

- Postarałbym się o jakieś wsparcie. Niczego was nie uczą na tym szkoleniu?

- Wezwałem pana.

- Jezu.

Wchodząc po schodach na taras, Lawrence musiał chwycić się poręczy. Teraz, gdy adrenalina i endorfiny już wyparowały, nagle wszystko zaczęło go boleć. Po wejściu do salonu natychmiast padł na kanapę.

- Muszę się napić.

Kibbo otworzył mu puszkę Bluesaucera. Lawrence upił łyk i stwierdził, że to chyba jednak zbyt mało. Ntoko usiadł obok i otworzył apteczkę.

- Nie ruszaj się, bohaterze.

\*\*\*

Pomimo leków następnego ranka Lawrence miał wrażenie, że zeszywniały mu wszystkie mięśnie. Wziął gorący prysznic, co trochę pomogło. Jedna kostka wyraźnie mu spuchła. Całe ciało miał posiniaczone i pełne zadrapań. Ntoko twierdził jednak, że wszystko to powierzchowne rany.

- Nie ma powodu, żeby zwalniać cię od obowiązków.

Zjadł śniadanie z Nikiem i Amersym, którzy bezlitośnie nabijali się z jego nocnej walki. Sierżant wyszedł, gdy Lawrence był jeszcze pod prysznicem, i zjawił się, kiedy kończyli posiłek.

- Wy dwaj, spadać - zwrócił się do Nica i Amersy'ego.

- Co zamierza pan zrobić w związku z tym, co zaszło? - spytał Lawrence.

Ntoko nalał sobie kawy i usiadł naprzeciwko.

- Rozmawiałem wczoraj z kapitanem. Chce jak najszybciej uciąć sprawę.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że po powrocie do koszar ma nie być żadnej zadymy.

- Chce pan powiedzieć, że ujdzie im to na sucho? Dobry Losie, ci dranie chcieli we trzech zgwałcić siedemnastolatkę! Nie przyłożę do tego ręki.

- Wszyscy wiemy, co zamierzali, i nie ujdzie im to na sucho, ale są różne sposoby załatwiania takich spraw.

- Jakie? - spytał podejrzliwie Lawrence.

- Założmy, że zrobimy to po twojemu. Czysto, uczciwie i z publicznym praniem brudów. Morteth, Laforth i Kmyre staną przed sądem. Są winni, więc lecą do domu pod eskortą i odsiadują swoje piętnaście lat. Może być. Ale w toku postępowania organa sprawiedliwości będą chciały ustalić, dlaczego w ogóle doszło do takiego incydentu.

- To banda pijanych gnojzków. Dlatego.

- Jasne. Ale na pewno pojawią się bardziej konkretne pytania. Na przykład: dlaczego Lyaute nie wprowadził należytej dyscypliny? Jak to możliwe, że wartownicy niczego nie widzieli? Dlaczego dowódca plutonu nie zainterweniował?

- Powinien był.

- Wiem, chłopie, wiem. Ale sam wiesz, jaki mamy bajzel. Widziałeś, jak chłopaki kradną tym biednym wieśniakom różne drobiazgi z domów. Lyaute powinien był to ukrócić na samym początku, ale wolał mieć święty spokój. Dlatego było coraz gorzej, aż w końcu tych trzech dupków wycięło nam numer i teraz wszyscy siedzimy po uszy w gównie. Jeśli choć słowo na ten temat przedostanie się do oficjalnego raportu, połowa konwoju dostanie nagane.

Lawrence wypił łyk herbaty. Zdażyła już wystygnać i była chłodniejsza, niż lubił.

- Chce pan powiedzieć, że jeśli zrobię to, co uważam za słuszne, i zeznam przed dowódcą, to zrobię swoich kolegów?

- Mówiłem już, że są różne sposoby. Lyaute załatwi to innymi kanałami, jeśli tylko mu pozwolisz.

- Jakimi kanałami?

- Dobra, powiedzmy tak. Nie puszczaj pary z ust, a zakończysz tę kampanię z pochwałą w raporcie, lepszą, niż gdybyś ocalił tyłek generałowi na polu walki, i dostaniesz ładną belkę na ramię. Morteth, Laforth i Kmyre po cichu trafią na czarną listę. Zostaną zwolnieni albo odesłani do czyszczenia latryn, nie dostaną premii za kampanię i żadnych referencji od Z-B. Bez referencji żaden pracodawca na planecie nie tknie ich nawet kijem. To więzienie bez murów.

- A Lyaute zakończy tę kampanię z czystą kartą.

- Aha. On i parę innych osób, które nie zasługują na wytarzanie w błocie tylko dlatego, że on coś spieprzył. A następnym razem już będzie wiedział, jak dowodzić. Przyznaj, że to coś warte, Lawrence. Obaj wiemy, jak niewielu jest tu dobrych oficerów.

- Sierzancie, niech pan nie opowiada. Proszę mi nie wmawiać, że mam pomóc wychować tego bezużytecznego dupka.

- W porządku, chłopie. Możesz podejść do tego, jak chcesz. Ale teraz twoja kolej. Nie zdołasz przed tym uciec. Wczoraj w nocy postąpiłeś słusznie. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

- O czymś pan zapomniał.

- O czym?

- O tej dziewczynie. Co z Jacinthą?

- Co z nią?

- Trzech doborowych żołnierzy Z-B próbowało ją zgwałcić.

- Ale nie zdołali, prawda? Wszystko dzięki naszemu bohaterowi. Przeżyła szok, ale to się nigdy nie powtórzy, bo my tu nie wrócimy. Może sobie spokojnie medytować i jeść lotosy. Za pół roku będziemy już tylko złym wspomnieniem.

- I to wszystko? Ona się w ogóle nie liczy?

- To polityka, chłopie. Dziewczyna nie ma do stracenia tyle, co my. To jaka decyzja?

Lawrence uśmiechnął się szeroko, chociaż bolały go wargi. Przynajmniej sierżant rozegrał to dyplomatycznie, udając, że daje mu wybór. Dobrze wiedział, że gdyby uparł się przy swoim i obciążył Lyaute'a i pozostałych sierżantów, to sam skończyłby na czarnej liście.

Tak właśnie działały korporacje. Zawsze tak było. Zawsze tak będzie.

W milczeniu popijał zimną herbatę.

- Wygląda na to, że chyba się potłukłem, spadając ze schodów.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sąd wojskowy zebrał się w sali bankietowej hotelu Barnsdale, gdzie zakwaterowano osiem plutonów Z-B i połowę techników. Na końcu sali znajdowało się podwyższenie, zwykle używane przez orkiestrę. Dziś umieszczono tam stół i trzy krzesła dla członków składu sędziowskiego. Poniżej na parkiecie tanecznym stały dwa inne stoły. Przy jednym siedział zespół oskarżycielski pod przewodnictwem prokuratora Z-B, wspieranego przez Heather Fernandes, sędzię śledczą z Memu Bay, oraz dwóch radców prawnych. Przy stanowisku obrony znajdowały się tylko dwa krzesła - dla Hala i porucznika Bralowa.

Za nimi ustawiono pięćdziesiąt plastikowych krzeseł, by pomieścić personel Z-B, kilku przedstawicieli opinii publicznej i mediów. Pierwszy rząd zarezerwowany był dla burmistrza i osób towarzyszących - kilkorga przyjaciół, Margret Reece i detektywa Gallianiego. Nad przebiegiem rozprawy czuwało dziesięciu strażników w Skórach, ostentacyjnie ignorowanych przez cywilów. Tym razem nie było żadnych przerw w dostawie prądu, stożki świetlne błyszcząły zatem z pełną jasnością.

Gdy Lawrence przybył do sali, eskortując Hala, poczuł się nieprzyjemnie zaskoczony takim układem miejsc. Chłopak tylko rzucił okiem na salę i odruchowo skulił się w sobie.

- Przecież to pieprzona pokazówka! - warknął sierżant do Bralowa, gdy Hal akurat zajęty był czymś innym. Porucznik tylko wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

Lawrence wziął sobie krzesło z części dla publiczności i przysiadł się do stołu obrony. Uspokajająco poklepał Hala po plecach. Chłopak odpowiedział żalonym uśmiechem.

Nikt nie odważył się zwrócić mu uwagi. Lawrence zjawił się na procesie w pełnym mundurze galowym, prezentując więcej orderów niż większość oficerów. Jeśli chciał wesprzeć swojego podwładnego, nikt nie zamierzał go powstrzymać. Bryant spiorunował go tylko wzrokiem, zanim usiadł w części dla oficerów.

Choraży poprosił o ciszę. Członkowie składu sędziowskiego zajęli miejsce na podium.

Lawrence nie mógł im zarzucić, że nie przestrzegają procedur. Oskarżenie przedstawiło swoje argumenty bardzo przekonująco. Wyjaśniono sądowi szczegóły sprawy. Odtworzono kilka fragmentów przesłuchań. Sprawa wyglądała fatalnie, a minęło zaledwie dwadzieścia minut.

Detektyw Galliani został wezwany na świadka i opowiedział sądowi o alibi Hala, od



którego chłopak za nic nie chciał odstąpić.

- Czy udało się odnaleźć tę taksówkę, do której oskarżony rzekomo wsiadł? - spytał prokurator.

- Nie - odparł Galliani. - AS sterujący ruchem nie ma w logach żadnej taksówki, która przejeżdżałaby w nocy tą ulicą. A pan Grabowski bardzo dokładnie określił czas opuszczenia koszar. Sprawdziliśmy logi wszystkich taksówek w Memu Bay, które kursowały po mieście tej nocy. W chwili gdy pan Grabowski jechał do owego rzekomego domu publicznego, wszystkie znajdowały się gdzie indziej.

- Ach, tak - podchwycił prokurator. - Dom publiczny, w którym oskarżony miał tej nocy przebywać. Czy on w ogóle istnieje?

- Nie. Pan Grabowski rozpoznał ulicę Minster Avenue jako miejsce, gdzie miał znajdować się ten przybytek. Sprawdziliśmy wszystkie budynki. Są tam tylko prywatne mieszkania.

Przed dwoma dniami Lawrence sam udał się na Minster Avenue. Nie miał na sobie Skóry, włożył też cywilny strój, w tym koszulę z kołnierzykiem, żeby ukryć zawory. Przed wyjściem ściągnął zdjęcia ulicy z działu planowania miasta w ratuszu i pokazał je Halowi, który bez wahania wskazał dom numer osiemnaście.

Stojąc na ulicy, rozejrzał się starannie. Rzeczywiście, przed domem znajdował się mały ogródek odgradzony płotem z kutego żelaza, dokładnie tak jak opisywał Hal. Dalej znajdowała się fasada budynku - białe ściany, duże okna. Bardzo przypominał pozostałe budynki przy tej ulicy - typowa rezydencja wyższej klasy średniej. Lawrence aktywował perłę bransoletkową i uruchomił Prime'a. Po membranach optronicznych przesunął się indygowy skrypt, w miarę jak na wpół inteligentny program dekompresował się ze swojego bloku pamięci. Może było to tylko złudzenie, ale miał wrażenie, że jego komunikaty zdają się jaśniejsze niż standardowe ikony perły.

Otworzył połączenie z pulą danych Memu Bay i kazał Prime'owi wytrałować stamtąd dane na temat AS tego gospodarstwa domowego i logi ruchu ulicznego. Prawie natychmiast zaczęły napływać informacje. Nie wiedział, jakiego softu do zacierania śladów używała grupa KillBoya, ale był genialny, co tylko wzmogło jego przekonanie, że złamali też e-alfa.

AS spod numeru osiemnaście nie powiedział mu nic ciekawego, bo był nieaktywny od ponad tygodnia. Wciąż oczekiwał na serwisowanie. Mniejsze, niezależne sekcje sieci domowej działały w autonomicznym trybie awaryjnym, ale nie miały logów. Co dziwne, system bezpieczeństwa także był nieaktywny, czujniki nawet nie pobierały mocy.

Logi z ruchu drogowego Minster Avenue wykazały, że tamtej nocy ulicą przejechało

bardzo niewiele pojazdów. Żadna taksówka nie podjechała pod numer osiemnaście. Ale Prime wgrzył się głębiej. Pomiędzy godziną pierwszą czterdzieści osiem a drugą dziesięć w nocy natężenie ruchu zwiększyło się odrobinę.

Zaraz po wyjściu Hala.

W logach nie było nic, co mogłoby tłumaczyć tę różnicę.

- Zamykają sklepik - mruknął Lawrence. Ta niewielka anomalia prawdopodobnie nie przekonałaby sądu, który dysponował dowodem w postaci próbki DNA zdjętej z ciała ofiary. Ale jemu wystarczyło to w zupełności. Był to elektroniczny odpowiednik napisu „KillBoy tu był”, wymalowanego sprayem na całej fasadzie.

Lawrence przeszedł przez ulicę i nacisnął mosiężny dzwonek. Po dłuższej chwili otworzyła mu kobieta w fartuszkach, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

- Tak?

- Pani Elena Melchett?

- Tak. Kim pan jest?

- Lawrence Newton. Zajmuję się sprawą gwałtu dokonanego przez obcego.

Elena Melchett nie wyglądała, jakby miała ochotę na współpracę z mediami.

- I co w związku z tym?

- Hm, podejrzany twierdzi, że w momencie, gdy dokonano przestępstwa, znajdował się tu w okolicy. Może mogłaby pani to potwierdzić?

- Proszę pana, ta okropna zbrodnia została popełniona w środku nocy. O tej porze już dawno śpię. Z całą pewnością nie widziałam w pobliżu żadnego obcego.

- Tak jak podejrzewałem, Dziękuję. Eee... - Sięgnął do kieszeni, choć Elena Melchett wyglądała na coraz bardziej zniecierpliwioną. Znalazł swoją kartę mediów i uruchomił plik wizualny. - Przepraszam za zawracanie głowy, ale czy poznaje pani tego człowieka? - Karta wyświetlała zdjęcie Hala.

Elena Melchett przyglądała jej się przez chwilę.

- Nie.

- Naprawdę? To dziwne.

- Co ma pan na myśli?

Lawrence kazał karcie wyświetlić inny plik.

- To plan holu w pani domu, prawda? - Spojrzał w głąb domu, na szerokie schody prowadzące na antresolę na piętrze.

Tym razem gospodyni ledwie zerknęła na obrazek.

- Jest trochę podobny.

- Jest identyczny. Włącznie z marmurowymi kafelkami.

- Czego pan chce, panie Newton?

- Podejrzany utworzył ten obraz z pomocą programu architektonicznego. Skąd miałby wiedzieć, jak wygląda pani dom, skoro nigdy tu nie był? Sama pani twierdziła, że nie rozpoznaje jego twarzy.

- Proszę stąd wyjść! - wykrzyknęła kobieta. - Jeśli znów pana zobaczę, wezwę policję!

- Lśniące drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Prokurator kazał Halowi stanąć na miejscu dla świadków. Lawrence po raz pierwszy w życiu zrozumiał powiedzenie głoszące, że człowiek sam bywa swoim największym wrogiem. Chłopak sam się pograżał. Już samo przysłuchiwanie się jego zeznaniom było bolesne.

Prokurator zapytał go, dlaczego naruszył zakaz wychodzenia.

Hal, dobry, poczciwy, prostoduszny Hal powiedział, że brakowało mu seksu.

Prokurator chciał wiedzieć, gdzie zamierzał pójść, by temu zaradzić.

Hal znów opowiedział o burdelu na Minster Avenue, uparcie trzymając się swojej wersji wydarzeń. Być może matka nauczyła go w dzieciństwie, że zawsze trzeba mówić prawdę.

Prokurator rozniósł to alibi na strzępy, a porucznik Bralow nie był w stanie zaprezentować nawet jednego dowodu potwierdzającego wersję swojego klienta. Potem przeszli do analizy próbek genetycznych. Hal upierał się, że dziewczyna była prostytutką, a cała reszta - oskarżenie o gwałt i nieistniejący burdel - to sprawka KillBoya.

Nie przyjęto tego zbyt dobrze. Wcześniej odtworzono zeznania Francine Hazeldine. Lawrence patrzył na wyraz twarzy sędziów, gdy słuchali, jak cichym, łamiącym się głosem opisuje wydarzenia tamtej nocy, krok po kroku.

Im bardziej ciągnęła się ta farsa, tym bardziej Lawrence podziwiał geniusz strategiczny i ogrom możliwości KillBoya. Hal okazał się bajecznie łatwą ofiarą. Miał ochotę stanąć na środku sali i krzyknąć: „Może spróbujecie tego numeru ze mną?”. Z drugiej strony, wpływ takiego procesu na morale Z-B stanowiłby ostateczny tryumf tej eleganckiej strategii.

Poza tym nie mógł się uwolnić od pewnego wspomnienia. Kilka lat temu na Thallspring powinien się odbyć bardzo podobny proces. Nigdy do niego nie doszło i częściowo było to jego własną zasługą. Wówczas postanowiono raczej obejść sprawiedliwość, niż uczynić jej zadość. A teraz wróciła, chcąc wyrzucić krwawy odwet.

Lawrence przez dłuższy czas zastanawiał się, czy te dwie sprawy może cokolwiek łączyć.

„Chyba tylko Bóg z bardzo perwersyjnym poczuciem humoru", uznał w końcu.

Po pięciu godzinach zeznań i przesłuchiwania świadków sędziowie ogłosili przerwę, by omówić werdykt. Zabrało im to półtorej godziny i Lawrence uznał, że to dość dyplomatyczne, biorąc pod uwagę, że klamka zapadła, jeszcze zanim rozpoczął się proces.

Hal stanął przed podwyższeniem, wyprostowany jak struna, słuchając, jak Ebrey Zhang ogłasza decyzję sądu:

W sprawie złamania rozkazu bezpośredniego i naruszenia zakazu wyjścia: winny.

W sprawie składania fałszywych zeznań: winny.

W sprawie napadu i gwałtu na nieletniej: winny.

- Nie! - wrzasnął Hal. - To nieprawda!

Wśród publiczności rozeszło się ciche westchnienie - nie było w nim radości, lecz ciche poczucie zwycięstwa. Na przekór wszystkim przeciwnościom sprawiedliwości stało się zadość.

Hal usiadł na swoim miejscu, a porucznik Bralow - zdaniem Lawrence'a, całkiem elokwentnie - wygłosił mowę końcową, wnosząc o łagodny wymiar kary. Potem wszyscy wstali, by wysłuchać wyroku.

- Halfordzie Grabowski - oznajmił Ebrey Zhang z głęboko zmartwionym wyrazem twarzy. - Biorąc pod uwagę ohydłą naturę twojego postępu, sąd nie widzi innej możliwości, jak tylko wydać najsurowszy wyrok, jaki leży w gestii tego sądu. Niniejszym zostajesz skazany na karę śmierci.

Hal Grabowski wpadł w amok. Wykrzykiwał przekleństwa pod adresem sądu i rzucił się do ucieczki. Wszyscy, którzy stawali mu na drodze, padali pod ciosami jego potężnych rąk. Publiczność zerwała się z miejsc, także krzycząc.

Potrzeba było aż dwóch strażników w Skórach, by obezwładnić szalejącego mężczyznę i podać mu środek uspokajający. Nieprzytomnego wywleczono z sali.

Ebrey Zhang wygładził mundur i odkaszlnął znacząco.

- Wyrok zostanie wykonany jutro o świcie. Nie będzie prawa do apelacji, poruczniku Bralow. Proszę poinformować o tym swojego klienta. Ogłaszam koniec rozprawy.

Sędziowie zaczęli wychodzić z sali. Lawrence nawet się nie ruszył.

- Przykro mi - zwrócił się do niego porucznik. - Naprawdę bardzo mi przykro. Nie zasłużył na to.

Gdy nie doczekał się odpowiedzi, skinął nerwowo głową i pospiesznie wyszedł. Publiczność tłoczyła się przy drzwiach, spiesząc z powrotem do miasta i do swojego życia. Niedługo potem sala opustoszała.

Amersy i reszta plutonu 435NK9 ustawili się w rzędzie koło stanowiska obrony. Lawrence zmierzył ich po kolei wzrokiem.

- Jeśli ktoś z was chce wziąć stronę Zantiu-Braun, to lepiej niech od razu wyjdzie.

Kilku prychnęło pogardliwie, reszta po prostu czekała na wskazówki sierżanta.- Okej - stwierdził Lawrence. - Czas zacząć grać nieczysto.

\*\*\*

Tym razem Josep pojechał do kosmodromu samochodem. Przybył tam w środku popołudnia i przeszedł przez główną bramę, używając tożsamości Andyła Pyne'a, młodszego menedżera firmy cateringowej zaopatrującej blok administracyjny. AS zarządzający przydzielił mu stanowisko postojowe na parkingu numer siedem. Andył Pyne nie cieszył się wysokim statusem, musiał więc pokonać spory kawałek pieszko.

Pod pachą niósł cienką aktówkę, niezbędne akcesorium każdego menedżera. Okulary przeciwsłoneczne także były obowiązkowe, więc kupił wcześniej na straganie tanią parę. Jego jasnozielony jednoczęściowy kombinezon nie był może typowym strojem menedżerskim, ale miał na piersi firmowe logo. Włożył też buty za kostkę zamiast eleganckich pantofli. Jego wygląd z grubsza mieścił się w ramach dopuszczalnej normy.

Popołudniowe słońce padało wprost na pięcioboczny budynek administracyjny o ścianach z przyciemnianego szkła. Oglądany z tej odległości przypominał pączek tulipana. Stał w pewnym oddaleniu od pozostałych sekcji, na końcu budynku terminala, daleko od wieży kontrolnej. Miał tylko pięć kondygnacji, ale plany, które Prime wytrałował z puli, wykazały, że posiada też piętro konserwacyjne i kolejne pięć kondygnacji umieszczonych pod ziemią.

Po dotarciu do głównego wejścia musiał powtórzyć cały proces identyfikacyjny, pozwalając, by AS sprawdził mu linie papilarne i rysy twarzy. W bloku administracyjnym panowały znacznie bardziej rygorystyczne zasady bezpieczeństwa, z uwagi na znajdujący się tam obecnie personel Z-B.

Gdy znalazł się już w środku, zignorował stanowisko recepcji i dwóch stojących obok niego strażników w Skórach, i skierował się bezpośrednio w stronę rzędu wind w holu głównym. Człowiek przychodzący tu regularnie z pewnością nie zwracałby na nich uwagi. Zjechał windą na pierwszy podpoziom, gdzie znajdowały się biura konserwatorów i technika, a także stołówka. Jak dotąd wszystko zgadzało się z planami i obrazami z kamer wytrałowanymi przez Prime'a.

Josep wszedł do łazienki i zajął pustą kabinę. AS zarejestrował to za pomocą kamer bezpieczeństwa. Blok administracyjny był całkowicie pokryty kamerami, z wyjątkiem kabin

toaletowych. Zwykle nie miało to większego znaczenia: AS logował pozycje wszystkich pracowników - nie dało się niepostrzeżenie zamienić miejscami. Gdyby teraz z kabiny zamiast Andyla Pyne'a wyszedł ktoś inny, AS podniósłby alarm.

Josep nie martwił się jednak AS. Na tym etapie najbardziej obawiał się bystrych ludzkich oczu. Prime włamał się do sieci administracyjnej i zaczął edytować logi z kamer monitoringu. AS szybko zarejestrował, że w kabinie znajduje się Sket Magersan. Gdy program skończył nadpisywanie rekordów elektronicznych, Josep stanął nieruchomo i skoncentrował się. B-wpisane organelle ukryte głęboko w jego komórkach przyspieszyły pracę i zaczęły modyfikować ciało. Pigmentacja skóry zwiększyła się lekko, rysy twarzy uległy wyraźnej zmianie. Czubek nosa poszerzał, wargi spuchły. Policzki nieco opadły, a potem zeszywniały, stwarzając wrażenie bardziej płaskiej szczęki. Tęczówki nabrały jasnoorzechowej barwy.

Josep wyjął z aktówki małe lusterko i obejrzał swoją nową twarz.

Już od dłuższego czasu obserwowali Sketa Magersana, gdy pił w barach i jadł posiłki w restauracjach. Wybrano go spośród wszystkich pilotów Z-B, bo najbardziej przypominał Josepa pod względem wzrostu, wagi, wieku i ogólnego wyglądu, a zatem b-wpisane systemy mogły go emulować bez większego trudu. Miał niższy głos i mówił z akcentem południowoafrykańskim, ale bezpośrednie połączenie z perłą neurotronową z uruchomionym wokalosynteizatorem rozwiązało ten problem. Josep potrafił nawet naśladować sposób chodzenia pilota i zamasyście kołysać ramionami, gdy się spieszył.

Z lusterka spojrzął na niego Sket. Mężczyzna skinął głową z satysfakcją, szybko ściągnął z siebie zielony kombinezon i wyrzucił go na nice. Od drugiej strony wyglądał jak standardowy ciemnoszary kombinezon pilota. Miał wszystkie naszywki, workowate kieszenie przy nogawkach i gumkę w pasie.

Josep wyszedł z kabiny i przez dłuższą chwilę mył ręce, żeby kamera w łazience nagrała go wyraźnie. Prime monitorował pracę AS ochrony, ale nie zarejestrował żadnego alarmu. Mężczyzna wrócił do windy i zjechał na podziom piąty.

\*\*\*

Simon Roderick uznał, że monitorowanie skrytki z kluczami powinno być prowadzone jak najprostszyimi metodami: redukując elektronikę do absolutnego minimum i polegając wyłącznie na ludzkich obserwatorach. Jego nieufność do elektroniki była tak dalece posunięta, że nie poinformował AS ochrony o planowanej tajnej operacji. Nie powiadomił nawet personelu.

Według rekordów bloku administracyjnego, biura pod podziomem czwartym

należały do Quana i Rainesa, którzy pracowali jako logistycy Trzeciej Floty. Do ich zadań należało nadzorowanie dostaw części zamiennych ze statków tak, by maksymalnie zmniejszyć koszty. Nawet dane spływające do biur z lokalnych sieci miały wspierać ich w realizacji zadań, choć, oczywiście, trafiało tam mnóstwo nieistotnych informacji, na przykład harmonogram prac personelu i profile lotów. Typowa zasobożerność w akcji.

Simon zajmował biuro położone tuż obok. AS wpisał go jako menedżera ds. awioniki systemów kosmolotów. Potwierdzała to liczba pudeł i małych paczuszek, które co jakiś czas wnoszono do środka. Na wszystkich widniały kody kreskowe działu elektroniki.

Jedyne, czego brakowało w tych dwóch biurach, to kamer bezpieczeństwa. Simon nie chciał ryzykować, że przeciwnicy będą szpiegować jego własnych szpiegów.

Pierwsze biuro służyło im wyłącznie jako centrum obserwacyjne. Jedną ze ścian w całości pokrywały płachty ekranowe ukazujące różne miejsca w bloku administracyjnym. Każdy z nich został połączony z jedną zamontowaną na sztywno soczewką za pomocą światłowodu. Jakość obrazu ustępowała wprawdzie standardowym czujnikom, ale dzięki temu unikali kabli elektrycznych. Przepływ mocy, nieważne jak mały, był zawsze wykrywalny. Ekran miał własne zasilanie - zestaw ogniwo stojących w jednym kącie. Dzięki temu nie ciągnęli mocy z obwodów administracyjnych, co można by wysledzić poprzez pulę danych.

Adul Quan obserwował rozsuwające się drzwi na podpoziomie piątym. Z windy wyszedł człowiek w mundurze pilota Z-B.

- Kogo my tu mamy? - mruknął Adul. Procedura nakazywała weryfikować wszystkich, którzy weszli na ten poziom. Dane wyświetlane na ekranie automatycznie ładowano na perłę stacjonarną niepołączoną z lokalną siecią. Wcześniej zgrano na nie dane całego personelu. Przybysz przeszedł prosto pod soczewką obejmującą windy.

- Sket Magersan - odparł Braddock, zerkając na wyświetlacz karty.

- Zaraz. - Adul zmarszczył brwi i przejrzał wydruki. Obaj z Adulem ukradkiem narzekali na Simona Rodericka i jego nalegania, by koniecznie korzystać z drukowanych kopii. Jednak ich szef był przekonany, że e-alfa zostało złamane i wszystkie bazy danych były teraz narażone na manipulacje wroga. A zatem codziennie rano drukowano nowy harmonogram personelu. W ten sposób można było sprawdzić, kto ma prawo być w budynku, a kto jest podejrzanym.

Braddock zerknął na harmonogram Magersana, zamarł i przeczytał go uważnie.

- O, cholera. Dziś miał być na urlopie. Ostatni tydzień spędził na lotach.

Adul wyprostował się i spojrzał na pozostałe ekrany obejmujące podpoziom piąty.

- A zatem co on tu robi i to na tym poziomie?

- Dobre pytanie. - Braddock stanął obok kolegi. Patrzyli, jak Magersan idzie korytarzem, co jakiś czas pozdrawiając kogoś skinieniem głowy.

- Idzie w stronę skrytki - stwierdził podekscytowanym szeptem Adul.

- Nie mamy pewności.

- Bzdura. - Szpieg siedział niemal na skraju krzesła.

Magersan zatrzymał się przy wejściu do działu komunikacji. Podał czujnikowi hasło i przyłożył dłoń do skanera. Wzorzec głosu i naczyń krwionośnych musiały się zgadzać. Drzwi rozsunęły się przed nim.

- Sir! - Braddock ruszył w stronę sąsiedniego biura i otworzył pospiesznie drzwi. - Sir, chyba coś tu mamy!

\*\*\*

W dziale komunikacji mieściły się trzy biura połączone krótkim korytarzem. Kamery bezpieczeństwa potwierdziły, że, jak zwykle, były tam tylko dwie osoby, jedna w pierwszym pomieszczeniu i jedna w trzecim. Gdy otworzyły się zewnętrzne drzwi, Josep wślizgnął się do środka i odczekał, aż się zamkną. Prime wymazał go z obrazu nagranych przez kamery monitoringowe. Żaden z pracowników Z-B nie usłyszał dźwięku otwierających się drzwi. Josep przystanął na chwilę i rozkazał Prime zadzwonić do człowieka w pierwszym gabinecie. Było to zapytanie od działu napraw w sprawie błędu w satelitarnym module do monitorowania kosmolotów; półinteligentny program wygenerował obraz i głos osoby przełożonego.

Gdy pracownik odebrał połączenie, Josep szybko minął jego biuro i wszedł do drugiego. Prime wyłączył trzy alarmy, które uruchomił przy wejściu. Josep zamknął drzwi, zaryglował je ręczną zasuwką, a potem cicho odetchnął, czekając, czy ktoś zauważył jego manewry. Obrazy z kamer monitoringowych cały czas wyświetlały mu się pod powiekami. Obaj mężczyźni wciąż siedzieli za biurkiem.

Skrytka na klucze mieściła się za grubymi drzwiami ze stali wzmacnianymi włóknem z długołańcuchowego związku boru. Przed nadejściem Z-B przechowywano tu złoto i platynę wykorzystywane w produkcji komponentów elektronicznych w warunkach mikrogravitacji. Teraz zapasy kruszców wywieziono na statki, pozostawiając mnóstwo wolnego miejsca do przechowywania kluczy.

Na drzwiach umieszczono dwa zamki przeprowadzające głęboki skan powierzchni dłoni. Musiały być aktywowane jednocześnie przez dwie różne osoby. Josep wyjął z kieszeni spodni dwa wąskie smocze moduły i przyłożył pierwszy do zamka. Jego powierzchnia



zafalowała lekko, po czym moduł stopił się ze skanerem. Drugi przyłożył do dolnego zamka. Aktywował je jednocześnie, a wtedy magnetyczne zasuwę odsunęły się z głośnym trzaskiem. Mężczyzna wzdrygnął się odruchowo.

Pociągnął ciężkie drzwi do siebie. Skrytka miała postać ośmiometrowej sześciennego wnętrza. Gdy wszedł do środka, w stropie zapłonęły jasne lampy. Ściany zabudowano metalowymi półkami, pośrodku znajdował się metalowy stół. Na półkach dostrzegł piętnaście plastikowych skrzynek, każda w rozmiarze siedemdziesiąt na piętnaście centymetrów. Na wszystkich widniały srebrne emblematy Z-B.

Josep zdjął pierwszą skrynkę z półki i położył na blacie. Przesunął nad nią czujnikiem, ale niczego nie wykrył. W środku nie było żadnego źródła zasilania. Jeśli zdołali umieścić tam jakąś pluskwę, to Josep nie był w stanie jej zdezaktywować. Otworzył wieko. Prime poinformował go, że w puli nadal panuje cisza. Żadnych alarmów.

W środku znajdowały się trzy tace ułożone jedna na drugiej, a w nich setki chipów pamięci. Mężczyzna przeskanował je szybko, szukając właściwego numeru. Loty xianti na kolejne pięć dni zostały już rozpisane wraz z przydzieleniem odpowiednich kodów komunikacyjnych. Razem z Rayem wybrali lot mający się odbyć za cztery dni, tak by wszyscy pozostali członkowie organizacji zdążyli się przygotować.

Odnalazł odpowiedni klucz w trzeciej skrynce. Ostatnia poważna przeszkoda wyeliminowana. Reszta też nie była łatwa, ale szanse na udane przeprowadzenie misji zwiększyły się istotnie. Tak długie oczekiwanie i tyle różnych możliwości.

Odstawił skrynkę dokładnie na swoje miejsce i wyszedł ze skrytki.

\*\*\*

Simon Roderick cierpliwie czekał przy windach na podziemiu piątym. DNI otworzył mu proste połączenie audio z Adulem, obserwującym całą scenę na ekranie w swoim biurze piętro wyżej.

- Zamyka skrytkę - oznajmił Adul. - Zdejmuje gadżety z zamków. Chowa do kieszeni.

Simon zmienił ustawienie czujników. Błękitno-szary korytarz rozmył mu się przed oczami. Przecinały go długie linie jaskrawo zielonego światła czającego się wszędzie wokół. Niektóre świeciły jasno jak słońce, inne zaś były delikatniejsze, migotały w częstotliwości niemal zbyt szybkiej dla ludzkich zmysłów. Widział nawet lekki pomarańczowy blask we własnej czaszce.

Standardowe ludzkie zmysły: wzroku, dotyku, smaku i zapachu tworzą niesamowicie szerokie spektrum bodźców dostarczanych jednocześnie. Mózg analizuje je zwykle osobno, koncentrując się na jednym z nich i przesuwając pozostałe na obrzeża świadomości.

Wykorzystując tę wrodzoną zdolność programowania nerwowego, genetycy uznali, że aparat analityczny może poradzić sobie również z innymi rodzajami bodźców. Kolejne serie Rodericków zapewniły im idealne pole do eksperymentów.

Sama idea polegająca na wykształceniu zdolności widzenia wzorców elektrycznych nie była niczym nowym. Jasnowidze, szamani i oszuści już od dawna twierdzili, że potrafią wyczuć położenie północy. Odkrycie magnetyku w ludzkich komórkach mózgowych u schyłku dwudziestego wieku dało im niespodziewany prezent, pozwalając tworzyć pseudonaukowe uzasadnienia dla swojej działalności. Biorąc pod uwagę niewielką ilość odkrytego magnetyku, wydawało się bardzo wątpliwe, aby ktokolwiek z nich rzeczywiście mógł posłużyć za ludzki kompas. Nie wykryto także konkretnych powiązań między cząsteczkami i tkanką nerwową mózgu. Nadeszło to dopiero później, wraz z inżynierią genetyczną pozwalającą manipulować komórkami, włączając cząsteczki magnetyku w skład modułu tzw. ferro-pęcherzyków. Cząsteczki zawieszane w płynie surowicznym poddane działaniu pola magnetycznego generowały zauważalne impulsy magnetyczne.

Później odkryto, w jaki sposób ustawić względem siebie ferro-pęcherzyki, by określić prawidłowy obraz, a także jak najlepiej doprowadzić te impulsy do mózgu. Ostateczny projekt został dopracowany jeszcze przed wypuszczeniem serii SK2. Ich narząd zmysłu elektrycznego miał postać korony membranowej połączonej bezpośrednio z rdzeniem przedłużonym. Dzięki temu dostrzegali przewody pod napięciem albo przepływ danych. Jednak jego najważniejszą zaletą, na której szczególnie zależało Roderickom, było wyczuwanie impulsów generowanych przez inny ludzki mózg. Oczywiście, nie byli w stanie odczytać myśli, ale nawet obserwując pracę mózgu, potrafili ocenić, jak intensywny jest proces myślowy, jakie emocje nim kierują, ile pamięci wykorzystuje obserwowana osoba. Ferro-pęcherzyk był praktycznie niezawodnym wykrywaczem kłamstw. Podczas negocjacji z kierownictwem innych firm zapewniał dużą przewagę.

- Wychodzi - oznajmił Adul.

Simon ruszył naprzód. W korytarzu było kilkoro innych ludzi. Nie mógł nagle wyjść z budynku. To mogłoby zaalarmować Sketa Magersana. Simon był już poważnie zaniepokojony jego możliwościami i chciał, aby ta operacja odbyła się w sposób możliwie bezkrwawy.

Minął człowieka, którego aura była gęsta i jasna, ledwie tłumiona przez ubrania. Mózg promieniował zadowoleniem. Następny z pracowników był bardziej przyciemniony, jego aura pokryta była cieniami przypominającymi plamy słoneczne. Simon miał już na tyle wprawy, że potrafił rozpoznać objawy kaca bez zadawania dodatkowych pytań.

Sket Magersan wyszedł z działu komunikacji. Oglądany w postaci spektrum elektromagnetycznego przypominał supernową w ludzkiej skórze. Simon niemal stanął jak wryty i przez chwilę myślał, że ma do czynienia z androidem. Ale nie - wszystkie wzorce bioelektryczne były zdecydowanie ludzkie, tyle że spotęgowane o rząd wielkości. Miał też przy sobie kilka modułów elektronicznych. Otaczały je ciasno ułożone linie pola, zdradzając akumulatorki o dużej mocy.

Simon nie rozpoznał żadnego z tych urządzeń. Trudno było cokolwiek dojrzeć poprzez ostry blask elektromagnetyczny, ale wzorce wtórne indukowane przez systemy wewnętrzne były niesłychanie skomplikowane. Nigdzie nie dostrzegał wzorca typowego dla pereł neurotronowych.

Gdy mijali się w korytarzu, Sket Magersan poczuł lekkie zdenerwowanie, ale nic nie wskazywało na to, że coś podejrzewa. Simon zastanawiał się, co zdradza aktywność jego własnego mózgu. Gdyby wiedział, z czym przyszło mu się mierzyć, nigdy nie wszedłby z tym obcym do jednego budynku. To odkrycie mogło mieć większą wartość niż wszelkie aktywa zrealizowane na Thallspring. „Skąd on się, do cholery, wziął? I co wytwarza taką aurę?”. Co do jednego miał absolutną pewność - nie był to Sket Magersan, pilot figurujący w rejestrach Z-B.

- Co robimy, sir? - spytał Adul.

- Może mieć przy sobie broń, ale nie mam pewności. Postępujemy zgodnie z planem.

\*\*\*

Josep wcisnął przycisk wzywający windę. Przybyła dopiero po kilku sekundach. Z trudem się powstrzymał od nakrzyczenia na urządzenie, aby się pospieszyło. „Udało się!”. Włamał się do najlepiej zabezpieczonej placówki Z-B i skradł klejnoty koronne. Ostatnim problemem będzie przemycenie smoka pod nosem ochrony nadzorującej załadunek kosmolotów. Wraz z Raymondem opracowali już parę pomysłów. Z windy wyszedł jakiś mężczyzna i z roztargnieniem skinął głową. Josep przepuścił go, po czym wszedł do kabiny i nacisnął przycisk pierwszego podpoziomu.

Szybka zmiana w Andyla Pyne'a w toalecie. Za jakieś pół godziny będzie już w samochodzie, daleko od kosmodromu.

Nagle jego b-wpisane komórki nerwowe straciły kontakt z siecią bloku administracyjnego. „Jak to możliwe?“, zmarszczył brwi, ale światła wciąż się paliły, a winda jechała. Może jej szyb ekranował sygnał? Ale gdy zjeżdżał na dół, nic takiego się nie stało.

Josep zamrugał oczami i ciężko oparł się o ścianę. Panel kontrolny, przyciski i podświetlany schemat pięter zafalowały, jakby znajdowały się pod wodą.

„Co to ma, kurwa, być?”.

Wcisnął przycisk awaryjnego zatrzymywania. Nic. Winda wciąż jechała. Kolana ugięły się pod nim, przed oczami zatańczyły plamy. Brak powietrza. Wziął głęboki wdech, ale to nic nie dało.

Musiał się stąd wydostać. Zebrał wszystkie siły i walnął w drzwi w miejscu, gdzie spotykały się dwa skrzydła. Metal lekko się wygiął, umazany krwią. Josep uderzył znowu i wgłębienie trochę się powiększyło. Nie było żadnej szczeliny.

Znów uderzył. Ten cios nie odniósł żadnego skutku, nie usłyszał nawet odgłosu uderzenia. Oparł się czołem o drzwi. Nie były zimne, stracił już czucie. Jego ostatnia przytomna myśl była skierowana do Prime'a zainstalowanego w perle bransoletkowej i brzmiała: „pomocy”.

\*\*\*

Wieczorem spytali Hala, czy przyjmie rano księdza. Powiedział, że mogą się wyruchać jego Skórzanym fiutem. Wtedy zapytali, co chce na ostatni posiłek. Powiedział, że jajko na twardo. Potem zostawili go samego.

Świt miał nadejść o piątej dwadzieścia dwie.

O czwartej trzydzięci odwiedzili go Lawrence z Dennisem. Hal był przetrzymywany w jednej z piwnic w hotelu Barnsdale. Pod drewnianymi drzwiami stali dwaj strażnicy w Skórach. Zbrojmistrz założył też Halowi bransoletkę do zdalnego obezwładniania, tak na wszelki wypadek. Nikt nie spodziewał się większych problemów. Strażnicy zostali powiadomieni o nadejściu Lawrence'a, tuż zanim zjawił się na dole. Wraz z Dennisem pchali przed sobą mały kuchenny wózek.

- Mówił, że nie chce nic jeść - zauważył jeden ze strażników.

- Wiem - odparł Lawrence. - Ale i tak przynieśliśmy. To filet z polędwicy, jego ulubione danie. - Uniósł srebrną pokrywę, ukazując zawartość talerza.

- W porządku, proszę wchodzić.

Hal leżał na łóżku polowym w kącie, z rękami pod głową. Obejrzał się, gdy Lawrence i Dennis wtoczyli wózek do celi.

- Przecież mówiłem, że nie chcę tego gówna.

- Kucharz jest tubylcem - odparł Lawrence. - Chyba zdjęło go poczucie winy. Jeśli odwieziemy to mięso z powrotem i powiemy, że ci nie smakowało, bo za długo je grillował, to prawdopodobnie będzie potrzebował psychoterapii do końca życia. Wiesz, jak to jest z tymi liberałami.

Hal wyszczerzył zęby i podszedł do wózka. Strażnik zamknął drzwi.

- Sierzancie - powiedział cicho Hal. - Trochę myślałem nad tym, co pan mówił. Jednak poproszę o zastrzyk. To w ogóle nie boli. Będę się czuł, jakbym zasypiał. Pomyślałem, że tak będzie najlepiej.

- Przykro mi, Hal, musisz stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Wiem, że to będzie trudne. Ale to jedyne wyjście.

- Jakie wyjście?

Dennis pochylił się i odgarnął płócienny obrus. Na dolnej półce stała apteczka pierwszej pomocy.

- A po co to? - spytał Hal.

- Proste wyjście z tej kabały - odparł Lawrence. - I to mnie właśnie martwi. Ktoś może się połapać, co planujemy. Siadaj, Hal.

Dennis postawił apteczkę na podłodze i podniósł wieko. Rozwinął dwa zwoje przezroczystych plastikowych rurek i podłączył do zaworów szyjnych Hala.

- A teraz posłuchaj - powiedział Lawrence i wytłumaczył mu wszystko.

\*\*\*

Gdy pierwszy blask świtu ukazał się nad horyzontem, powietrze było jeszcze niezwykle chłodne jak na Memu Bay. Myles Hazeldine włożył ciepły wełniany płaszcz i wraz z Ebreyem Zhangiem udał się do ogrodu przy hotelu Barnsdale. Wybrano go na miejsce egzekucji, ponieważ był otoczony wysokim murem.

Myles założył, że Z-B chce ukryć egzekucję przed ciekawskim wzrokiem tubylców, ale Zhang wyjaśnił mu, że potrzebowali jakiejś osłony przed pociskami. Myles dopiero po chwili zrozumiał, co to oznacza.

- Pluton egzekucyjny? - spytał z przerażeniem. Nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek, nawet Z-B, odważyłby się na takie barbarzyństwo. Zakładał, że prawdopodobnie podadzą Grabowskiemu dużą dawkę środka uspokajającego. Skazaniec spokojnie umrze we śnie i będzie po wszystkim.

Powinien był to przewidzieć. To straszne wydarzenie nie mogło się zakończyć z cichą godnością. Teraz musiał tu stać i patrzeć, jak pociski rozrywają ludzkie ciało w fontannach krwi. To było zaprzeczenie wszelkiej ludzkiej cywilizacji. Nie czuł już nawet satysfakcji. Oczywiście, zależało mu na sprawiedliwości, ale to przypominało raczej średniowieczną zemstę.

- Skazańcowi przysługują pewne prawa - tłumaczył z zakłopotaniem Zhang. - Są trzy dopuszczalne metody egzekucji, a on może wybrać jedną. Niewiele osób wybiera pluton. - Pomimo porannego chłodu czoło dowódcy pokrywała warstewka potu.

Myles nawet nie zapytał, na czym polega trzecia metoda. Podążył śladem Zhanga na tyły hotelowego ogrodu, ani na chwilę nie odrywając wzroku od słupa wkopanego w ziemię tuż naprzeciw muru. Ziemia wokół niego była spulchniona łopatami. Z tyłu ustawiono worki z piaskiem.

Jego przodkowie umknęli z Ziemi właśnie przed tym. Ostateczny akt nieludzkiego okrucieństwa. Myles wbił drżące ręce w kieszenie. „Myśl o Francine - nakazał sobie w duchu. - Przypomnij sobie, co przeżyła”.

Ktoś wykrzykiwał rozkazy. Myles uniósł głowę.

Chorąży wyprowadził do ogrodu ośmioosobowy pluton i kazał mu się zatrzymać za linią namalowaną na trawie w odległości siedmiu metrów od słupa. Nieszczęśni egzekutorzy zostali wybrani metodą losowania. Wcześniej porozmawiał z każdym z nich na osobności, przekonując, że Grabowskiemu potrzebny jest ktoś, kto wyceluje precyzyjnie i oszczędzi mu cierpień. Że nie powinni go zawieść w takiej chwili i że wzmianka o tym obowiązku nigdy nie pojawi się w ich aktach.

Gdy już wyszli z budynku, burmistrz podziękował Allahowi w duchu, że nie będzie musiał naciskać spustu własnoręcznie. Potem nadszedł Lawrence Newton i powiedział coś cicho. Chorąży wysłuchał jego prośby i skinął głową. Myles nie wnikał, o co chodziło.

Edmond Orlov i kapral Amersy wyprowadzili skazańca do ogrodu. Twarz Hala była zupełnie pozbawiona emocji, nawet wtedy, gdy już przywiązywali go do słupa. Edmond związał mu nadgarstki z tyłu i szepnął coś do ucha. Hal uśmiechnął się lekko. Amersy zaoferował mu przepaskę na oczy, którą tamten przyjął.

Potem obaj zaszalutowali koledze z plutonu i odmaszerowali.

Chorąży spojrzął na Ebreya Zhanga, który skinął lekko głową.

- Pluton, unieść broń!

Odgłos dłoni uderzającej o kolby rozległ się w całym ogrodzie.

- Cel!

- Hej, Zhang! - zawołał Hal. - Dupa z ciebie, nie dowódca!

- Ognia!

Myles Hazeldine zwymiotował. Dźwięk ośmiu karabinów strzelających jednocześnie zupełnie go oszołomił. Przez chwilę miał wrażenie, że czas zastygł. Potem ostrożnie odwrócił głowę i zobaczył, jak ciało Grabowskiego drga spazmatycznie, rzucone impetem na słup. Z jego piersi buchnęła krew. A potem chłopak upadł na ziemię, osunął się na kolana, podtrzymywany tylko przez związane ręce. Dźwięk powrócił, Myles usłyszał przeraźliwy szum. Przed chwilą na jego oczach zamordowano człowieka. I to z jego winy. Ukłękł i

behradnie zwymiotował na wilgotną od rosy trawę.

\*\*\*

Tradycyjnie nazywano ich zespołem pochówkowym, chociaż na Thallspring nie mogło być żadnego grobu dla członków Zantiu-Braun. Wytyczne firmy dotyczące śmierci poza Ziemią przewidywały wyłącznie kremację i rozsypanie prochów.

Członkowie plutonu Grabowskiego poprosili o prawo do wykonania tej ostatniej posługi. Kapitan Bryant nie zamierzał im tego odmawiać. Naprawdę nie chciał dawać podkomendnym kolejnych powodów do buntu. Pluton egzekucyjny odmaszerował szybko do środka, a ich miejsce zajął zespół z noszami i plastikowym workiem. Rozwiązali skazańcowi ręce, podczas gdy Ebrey Zhang zajęty był podtrzymywaniem wymiotującego burmistrza. Delikatnie włożyli ciało do worka, który następnie zapięli i ułożyli na noszach.

Wynieśli go z ogrodu, gdy burmistrz i urzędnicy zaczęli wracać do hotelu. Potem zjawiał się zespół sprzątający, by usunąć słup i worki z piaskiem.

Trzeba było także zmyć krew. Po kilku godzinach po egzekucji nie pozostało już ani śladu.

Zespół pochówkowy wyniósł nosze tylnymi korytarzami na małe podwórko używane przez samochody dostawcze. Czekająca tam już furgonetka, by zawieźć ciało do krematorium. Szybko otwarto drzwi i wniesiono nosze do środka. Gdyby ktoś tam zajrzał, prawdopodobnie zdziwiłby się, widząc w karawanie tyle sprzętu medycznego. Prawie można było go pomylić z karetką.

- Jedź! - zawołał Lawrence do Lewisa.

Furgonetka wyjechała z podwórka. Dennis już rozrywał plastikowy worek.

- O, kurwa - jęknął medyk, patrząc na dziury po kulach. - Ile pocisków?

- Tylko trzy - odparł Lawrence. - Słodki Losie! - wyrwało mu się, gdy spojrzął na ciało. - Dasz radę?

Dennis aktywował już Skórę Hala leżącą w kącie furgonetki. Wyjął przewody i zaczął podłączać je do zaworów chłopaka.

- Rozetnijcie koszulkę.

Krew trysnęła z poszarpanych ran, rozlewając się na podłogę samochodu. Lawrence chwycił skalpel i przeciął tkaninę, odgarniając mokry materiał, robiąc Dennisowi miejsce do pracy. Gdy skończył, ręce ociekały mu krwią.

Po raz pierwszy naszły go wątpliwości. Wcześniej nie dopuszczał ich do siebie, skupiony na jednym celu: nie pozwolić tym draniom zamordować Hala. Chciał odnieść zwycięstwo nad KillBoyem, równie subtelne i przemyślane jak nieustanne ataki buntowników

na plutony Z-B na ulicach Memu Bay. Ale teraz, gdy na własne oczy zobaczył te rany...

Dennis próbował zatamować krwotok z przerwanych tętnic w klatce piersiowej.

- Przerobili jego serce na miazgę. Trzeba będzie osuszyć i nadmuchać płuca.

- A mózg? - dopytywał się Lawrence. - Co z mózgiem?

- Nie wiem. - Dennis spojrzał na niego z rozpaczą. - Minęło siedem minut.

Membrany optroniczne przesuwają kolejne dane niemal za szybko jak dla niego. Skóra Hala w zastraszającym tempie zużywała swoje preparaty, próbując zminimalizować uszkodzenie tkanki.

- Przecież natleniliśmy mu dodatkowo krew! - gorączkował się sierżant. - Mówiłeś, że to wystarczy.

- Powinno, powinno. - Dennis zatamował jedną tętnicę i wziął się za drugą. - Odel, jak tam?

Mężczyzna przymocowywał właśnie czujnik do czaszki rannego. Spojrzał na wyświetlacz.

- Nic. Ciągłe płaski.

- No, dawaj! - wrzasnął Dennis. Twarz miał umazaną krwią Hala, którą przypadkiem roztarł grzbietem dłoni.

- Lewis, długo jeszcze?

- Za trzy minuty będziemy na miejscu, sierżancie.

- Czy on żyje?

- Nie wiem! - warknął Dennis.

- Trzy minuty, Dennis, to wszystko. Zespół operacyjny czeka.

- Zespół operacyjny? - spytał Dennis z niedowierzaniem. - Zespół operacyjny? Jeden lekarz bez prawa do wykonywania zawodu i paru medyków polowych, a ty chcesz, żeby wykonali transplantację serca?!

- To biomechaniczne serce. Wkładasz je do środka i wciskasz przycisk.

Dennis zaśmiał się histerycznie.

- Jezu Chryste, ja pierdołę!

- Dennis, skup się! Co z Halem?

- Staram się, do cholery! - Mężczyzna miał łzy w oczach.

- Staram się.

- Hej! - zawołał Odel. - Hej, mam fale mózgowe!

Hal otworzył usta. Język zwisał mu bezwładnie, a ranny zbulgotał krwawą pianą, podchodzącą do gardła.



- Hal! - wrzasnął Lawrence. - Hal, słyszysz mnie? Słyszysz? Trzymaj się, młody.  
Wszystko w porządku. Nie damy ci zginąć.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Santa Chico. Rajska planeta.

Oglądana z orbity wręcz pulsowała kolorami. Przypominała Ziemię, ale zdawała się jaśniejsza, bardziej żywa. Nie było tu żadnych pastelów, żadnych delikatnych odcieni. Ta feeria barw sprawiała, że pustynie wydawały się niemożliwie wręcz ponure - gorące jak diabli i suche jak Mars. Granice pomiędzy ekstremalnie bogatym życiem a jałową pustką były wąskie i ostro zarysowane, co sprawiało, że kontrast zdawał się jeszcze bardziej uderzający. Oceany pokrywające połowę planety miały kolor jaskrawego szafiru. Śnieżnobiałą barwę chmur dodatkowo wzmacniała głęboka atmosfera, poprzez którą chmury mknęły pospiesznie, poruszając się w wysokich, burzliwych prądach strumieniowych.

Powietrze miało trzydzieści procent tlenu i było zabójcze dla niezmodyfikowanych istot ludzkich. Jednak dla miejscowych form życia i ich procesów biochemicznych gaz stanowił odpowiednik surowej energii jądrowej. Ewolucja, która zaszła w tym świecie, obdarzyła wszystko kolcami.

Niektórzy uważali to za wielkie osiągnięcie. Niepowtarzalna szansa, by żyć inaczej, odrzucając wszelkie konwencje krępujące społeczeństwo na Ziemi.

Jak bardzo inaczej? Kapral Lawrence Newton właśnie zaczynał zdawać sobie z tego sprawę. Kiedy kompania złożona z ośmiu plutonów przybyła do miejscowych zakładów chemicznych, zastali tylko ruiny. Kompleks przemysłowy zajmował kilka akrów. Jego wygląd tylko podkreślał oryginalność, z jaką mieszkańcy Santa Chico postanowili podejść do starych problemów. Sam nie wiedział, jak nazwać ten styl architektoniczny - po dłuższej chwili wymyślił określenie „organiczny gotyk”. Duże sekcje maszyn były żywe - organiczne membrany i bryłki stapiały się gładko z częściami metalowymi i plastikowymi. To znaczy - kiedyś były żywe. A może nadal były, ale zdeewoluowały, powracając do bardziej pierwotnych form. Nie mógł się zdecydować. Tak czy inaczej, nikt nie korzystał z tej fabryki już od dłuższego czasu.

Znajdowała się w małej dolince stanowiącej naturalny habitat gargula - niewysokiego krzewu z żółto-purpurowych gąbczastych dendrytów. W jego sokach odkryto niezwykle skomplikowane molekuly, które można było wykorzystać do produkcji szczepionek. Obecność takich związków odegrała wielką rolę w procesie kolonizacji. Roślinność Santa

Chico stanowiła naturalną farmakopeę, a prawidłowo zbierana produkowała niewiarygodną ilość substancji gotowych do wykorzystania w medycynie i farmacji. Teraz gargule powróciły do fabryki, porastając nieużywane maszyny. Lawrence dostrzegł też pęknięcia w rurach, gdzie krzewy zapuściły korzenie. Puszyste porosty pokrywały wielkie metalowe części. Różowe paciorkowate grzyby wspinały się po dźwigarach. Pnącza zarastały nawet najwyższe kominy, pokrywając je gęstą siatką.

Po opuszczeniu wąskiej ścieżki prowadzącej przez gąszcz, jeepy i ciężarówki rozjechały się na boki, zatrzymując się przy zarośniętym sprzęcie. Kapitan Lyaute zarządził przeszukanie terenu.

- Wiem, że wygląda to na kompletną stratę czasu - dodał na kanale wspólnym. - Ale musimy sprawdzić, czy da się coś odzyskać z tej sterty chłamu.

Lawrence wziął ze sobą Kibba, Amersy'ego, Nica i Jonesa i razem przeszukali przydzielony sektor fabryki. Przez godzinę włóczyli się pośród splątanej maszynerii. Wzdłuż ścieżek prowadzących pomiędzy maszynami wyrosła wysoka tygrysia trawa, gdzieniegdzie sięgająca do kolan, tak że trudno było tamtędy przejść nawet w Skórze. W górze biegly rury wyglądające, jakby były z kory, łącząc zbiorniki z budynkami rafinerii. Ciemny płyn kapał z drobnych szczelinek. Obeszli instalacje do wymiany jonowej i rozpadu jonowego wybudowane w postaci przezroczystych pieczarkowatych zbiorników wielkości bloków mieszkalnych. Metalowe pompy i zawory wystawały z ziemi w nieregularnych odstępach. Na jednym końcu sektora znajdował się budynek administracyjny - podłużne moduły opasane siecią dźwigarów. Ani śladu działającej elektryki, wybite szyby, martwe przyrządy. Gdy zajrzeli do środka przez otwarte drzwi, jakieś stworzenia szybko wpełzły do ciemnych zakamarków. Nigdzie nie było nic cennego. Nic nie działało.

Za każdym razem, gdy w oddali ukazywały się ptaki, Lawrence wzdragał się wyraźnie. Cztery lądowiki zderzyły się z wiatrodzierzbami, latającymi stworzeniami, które rozmiarem przewyższały nawet pterodaktyle. Impet zderzenia zabił je na miejscu, ale lądowiki zbczyły przy tym z trasy i runęły gdzieś w dżungłę.

Wtedy właśnie Lawrence uznał, że przybycie na tę planetę było błędem. Od chwili, gdy lądownik 435NK9 spadł do jeziora tuż obok Roseportu, miał ochotę wskoczyć do kosmosu i uciec prosto na statek. Oczywiście, pod warunkiem że jeszcze jakieś zostały. W ogóle nie miał ochoty schodzić na powierzchnię.

Na podejściu napotkali dwa rodzaje broni egzosferycznej. Jeden statek został rozbity w puch - nikt z załogi nie przeżył. Dwa kolejne zostały bardzo uszkodzone. Trudno było ukryć takie informacje przed załogą pozostałych statków.

Plotki głosiły, że z początku admirał i kapitanowie nie wiedzieli nawet, co ich zaatakowało. Sensory ukazywały gwałtowną burzę szalejącą w odległej magnetosferze planety, gdzie prądy powietrza kompresowały się i skręcały w stukilometrowe wiry wypływające wiązki zabójczych cząsteczek. Zdalnie sterowane satelity wysłane w serce magnetycznego huraganu odkryły wielkie sieci włókien złożonych z cząsteczek łańcuchowych, obracających się, by utrzymać stabilne położenie, i modyfikujących pole magnetyczne planety. Mieszkańcy Santa Chico zdołali zbudować dział energetyczne o niespotykanej dotąd skali. A przecież nawet nie była to podstawowa funkcja tego mechanizmu. Później okazało się, że sieci były w rzeczywistości prostymi systemami indukcyjnymi zasilającymi mikrograwitacyjne stacje orbitalne. Przerobienie ich na broń wymagało tylko przeprogramowania.

Gdy statki dotarły na miejsce postojowe na orbicie, okazało się, że nie mogą one namierzyć żadnych dużych ośrodków miejskich. W najlepszym przypadku można było znaleźć duże miasteczka, jak choćby Roseport. Odkryli tysiące małych osad i wiosek, wszystkie zabudowane identycznymi perłowobiałymi budynkami. Nie było też puli danych, a przynajmniej niczego, do czego flota mogłaby się podłączyć. Co z kolei oznaczało, że nie ma tu żadnego rządu centralnego, któremu Z-B mogłaby przedstawić swoje żądania, a co gorsza, nie było komu zagrozić strumieniem gamma. Prawdę mówiąc, nie wiedzieli nawet, gdzie należałoby skierować ten strumień, by zastraszyć tubylców.

Był to zaledwie przedsmak przyszłych wydarzeń.

Dla Lawrence'a decydujący moment nadszedł, gdy wyszedł na brzeg z lądownika. Celowali w rozległe jezioro znajdujące się nieopodal Roseportu, jednej z pierwszych osad. Na ostatniej prostej przednia kamera pojazdu ukazała im rząd białych domów niemal zanurzonych w szmaragdowej roślinności. Miasteczko przypominało grecką wioskę rybacką, przycupniętą na stromym stoku nad brzegiem wody.

Roseport został wybudowany przez ludzi, ale współcześni tubylcy zdecydowanie nie byli już w pełni ludźmi. Na otwartej przestrzeni pomiędzy jeziorem a budynkami kłębiły się dwunogi, trójnogi, czteronogi, nawet wijące się węzowate stwory. Były tu stwory ssakopodobne, gadopodobne, koniopodobne, psopodobne, małpopodobne, a także wielkie, potężne istoty opierające się wszelkiej ziemskiej klasyfikacji. Każdy z nich zachował kilka ludzkich cech: ręce, stawy, układ rysów twarzy, a nawet włosy w formie grzyw i pióropuszy, ale to wszystko. Większość wykształciła sobie coś w rodzaju segmentowanego egzoszkieletu, ciemnopomarańczową skorupę, elastyczną niczym gruba warstwa gumy. Niektórzy mieli zupełnie niespotykane powłoki skórne.

Żołnierze w Skórach stali w milczeniu na brzegu, wpatrzeni w tubylców, podczas gdy dziesiątki oczu i źródeł ultradźwięków przyglądały się przybyszom.

- Co to ma, kurwa, być? - spytał Ntoko i przeżegnał się odruchowo.

Powinien był się domyślić.

Kolonizacja i inwestycje na Santa Chico zostały rozpoczęte przez kilka bardzo specyficznych ziemskich firm, które uwielbiały wyzwania i zawsze atakowały je z brawurowym nowatorstwem. Większość z nich pochodziła z jednego konkretnego miejsca.

Kalifornia, nieustający lider w dziedzinie nowych technologii, zawsze przyciągała najinteligentniejszych badaczy i przedsiębiorców. Pieniądze stanowiły uniwersalną wymówkę, pozwalając ekscentrycznym geniuszom żyć, jak tylko chcieli, pod warunkiem że nikogo nie krzywdzą, a ich firma wciąż zarabia pieniądze. A zatem wykorzystując bliskość swego słynnego sąsiada - Hollywood - radośnie oddawali się konsumpcji wszelkich używek i przygód erotycznych w dowolnych konfiguracjach.

Z początku korporacyjna kultura „hipisowskiego szyku” oparta była na spręczeniu elektronicznym i oprogramowaniu, promieniując z serca technolandu, Krzemowej Doliny. Później, gdy ludzki genom w końcu został scrackowany, genetyka i biotechnologia wysunęły się na pierwszy plan. A wraz z nimi zupełnie zmieniła się definicja „niedopuszczalnego zachowania”. Zamiast ępać narkotyki, nowi władcy biotechnologii eksperymentowali sami na sobie. Komisje do spraw etyki udzielające licencji na badania prowadzone przez ich firmy składały się przeważnie ze starszych doradców, często wykazujących głęboko zakorzenione poglądy religijne. Uważali klonowanie za złe z założenia, a zmianę ludzkiego genomu za straszliwy grzech. Tego typu ograniczenia nie były w smak pionierom ruchu, wyznającym zupełnie odmienne wartości. Kilka gałęzi badawczych zeszło do podziemia.

Głównym celem było oczywiście odmłodzenie - odwieczny święty Graal biotechnologii. Do tego dochodziły modyfikacje ulepszające funkcjonowanie ciała i narządów, nowe, rozbudowane zmysły, innowacyjne metody stymulacji i przeprogramowanie motoryki kończyn. Sportowcy, zarówno zawodowi, jak i amatorzy, okazali się ich gorącymi wielbicielami. Zabiegi kosmetyczne, kalifornijskie odpowiedniki rytuałów religijnych, także stanowiły gorący temat. Podobnie jak Internet, który piętnaście lat wcześniej zburzył tradycyjne pojęcia prywatności i cenzury, nadchodząca fala quasi-legalnych produktów medycznych, genomorficznych i kosmetycznych pomogła zwalczyć opór moralistów siedzących w legislacji.

Miliarderzy leczyli się z raka i klonowali się, by tworzyć nowoczesne dynastie, zmieniali płeć, tracili na wadze bez pomocy diet i liposukcji, dodawali sobie nowe pomysły i

wydłużali czas życia o całe dekady. Tworzono organiczne SI i, w wielu przypadkach, sprzęgano je z ludźmi. Kombinezony mięśnioskieletowe (poprzedniki Skór) weszły do stałego wyposażenia rządowych sił zbrojnych i paramilitarnych oddziałów korporacyjnych. Perły neurotronowe zdominowały rynek przetwarzania danych. Tysiące nowych produktów na zawsze zmieniło miliony ludzkich żyć. A w samym sercu tego procesu znalazły się wyspecjalizowane firmy. Małe spółki wizjonerów posiadające kilka laboratoriów badawczych i dużo opcji giełdowych, opracowujące produkty, które następnie licencjonowały dużym korporacjom do produkcji masowej. To oni jako pierwsi zafascynowali się Santa Chico. Cały szereg zupełnie nowej, wysokoenergetycznej biochemii, gotowej do eksperymentów. A jedyny sposób, by dotrzeć tam fizycznie, wymagał ekstremalnych modyfikacji ich własnych procesów fizjologicznych. Nie potrzebowali obszarów wypalonych strumieniem gamma. Sami adaptowali się do atmosfery o nadmiernej zawartości tlenu. Nawet kształt ich ciał został zmodyfikowany, by lepiej przystosować się do środowiska.

Nikt nie oczekiwał, że ta konwersja zostanie przeprowadzona jednym, sprawnym posunięciem. W ciągu kolejnych pokoleń wypróbowano różne ścieżki rozwoju. Odrzucano błędne wersje, sprawdzone rozwijano dalej. Jednak powoli i konsekwentnie odchodzono w tym od ziemskiego modelu, aż w końcu kolejna generacja kolonistów mogła chodzić nago pod obcym słońcem i oddychać bez wsparcia techniki.

Wszystko to było na spotkaniu informacyjnym. Położono przy tym nacisk na adaptację na poziomie komórkowym, przez co żołnierze wyobrażali sobie zwykłych ludzi z nieco inaczej zbudowanymi płucami. Nikt nie wspomniał o tym, jak daleko mogły zajść zmiany fizjologiczne.

Patrząc na mieszkańców Roseportu, Lawrence zrozumiał, że na spotkaniu informacyjnym zaledwie liźnęli historii planety. Nie wiedział, co tu się działo od czasu założenia kolonii, ale mógł się założyć, że nie zadziała to na ich korzyść.

Z początku Santa Chico stanowiło jedyny wyjątek od reguły, według której handel międzyplanetarny stanowił zajęcie non-profit. Planeta produkowała cały szereg wysokiej jakości szczepionek, materiałów biologicznych, antywirusów, i produktów biotronicznych - wszystkie z nich były unikatowe, nowoczesne i trudne do odtworzenia. Mając do dyspozycji cały planetarny ekosystem, pełen roślin służących za surowce, ich technologowie dokonywali błyskawicznych postępów: każda kolejna partia była lepsza, skuteczniejsza niż poprzednia. Nowi osadnicy przybywali z Ziemi, a z powrotem przybywały kolejne produkty, dzięki czemu można było opłacić konserwację statków i wszelki sprzęt, jakiego zażyczyli sobie tubylcy. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat statki zaczęły przywozić coraz mniej ładunku.

Liczba kolonistów udających się w tamtym kierunku także uległa zmniejszeniu i ziemski oddział korporacji założycielskiej Santa Chico popadł w zadłużenie. Zantiu-Braun dokonała zakupu lewarowanego i wysłała Trzecią Flotę, by zrealizowała wszystkie te cenne aktywa biologiczne.

Plutonom rozkazano pomaszerować na Roseport. Przyglądająca im się tubylcza publiczność odsunęła się na bok, wydając głośnie, piskliwe i klekoczące dźwięki, jakby cała dżungla szympanсів skrzeczała naraz. AS na statku odcyfrował klekotanie jako mieszankę bardzo szybko wymawianych słów hiszpańskich i angielskich. Kapitan wysłał kilka oddziałów, by założyły naszyjniki zastawowe. Z głośników w Skórach popłynęły instrukcje. Nakazywano tubylcom zachować spokój i ostrzeżono, że w przeciwnym przypadku poniosą konsekwencje...

Natychmiast wybuchły walki.

Tubylcy zbiegli ze wzgórza, prosto w szereg Skór. Nie mieli broni, ale byli silni i niezwykle szybcy. Pod względem fizycznym łatwo mogli dorównać człowiekowi w Skórze. Był ich cały tłum, a żołnierze stali zbici w grupę, co bardzo utrudniało użycie strzałek i innych bezpiecznych broni. Istota przypominająca bezwłosego orangutana skoczyła na Lawrence'a, obalając go na ziemię. Olbrzymie, pazurzaste łapy chwyciły za hełm, jakby próbowały go ściągnąć albo - co bardziej prawdopodobne - urwać przeciwnikowi głowę. Lawrence złapał stwora za nadgarstki i spróbował oderwać je od siebie. Skóra nie miała na to dość sił. Szkolenie kompletnie go na to nie przygotowało. Skóry zawsze dawały żołnierzom fizyczną przewagę.

Odepchnął się prawą nogą, przewracając ich oboje na bok, a potem walnął istotę w mostek. Stęknęła z bólu, ale wciąż zaciskała szpony wokół szyi żołnierza. Lawrence znów uderzył i miał wrażenie, że tym razem pomarańczowy pancerz lekko się poddaje. Po paru sekundach bezowocnego mocowania nakazał Skórze wyemitować impuls elektryczny. Orangutanopodobny stwór wrzasnął, a kończyny mu zesztyniały, gdy przeleciał przez niego prąd, a potem znów podjął próbę dekapitacji Lawrence'a. Dołączyło do niego coś podobnego do małego słonia, kopiąc ofiarę w żebra. Lawrence uznał, że nie ma wyboru. Pistolet, kaliber dziewięć milimetrów, zdołał przebić pancerz i trafił orangutana niemal z przyłożenia. Pierwszy pocisk tylko go rozzłościł. Lawrence wpakował w oszalałego stwora sześć naboí, zanim tamten runął ciężko w trawę. Jaskrawoczerwona krew trysnęła z dziur po kulach w torsie i szyi.

Lawrence zatoczył się w bok, żebra bolały go od kopniaków zadanych przez małego słonia. Nie zwracał na to uwagi. Zawroty głowy i mdłości sprawiały, że nogi odmawiały mu

posłuszeństwa. Jeszcze nigdy wcześniej nikogo nie zabił. W każdym razie żadnego człowieka. A przecież tym właśnie był atakujący go stwór, nieważne jak bardzo zniekształcony. Te chytre bronie zamontowane w Skórach zawsze uwalniały go od poczucia winy.

Powietrze wokół aż zatrzeszczało dźwiękiem odpalanych broni, a potem rozbrzmiały bolesne okrzyki śmiertelnie rannych tubylców. Coś podobnego do neandertalczyka wpadło wprost na Lawrence'a i obaliło go na ziemię. Odruchowo uniósł rękę z pistoletem. Siatka celownicza zogniskowała się na czaszce prehistorycznego stwora. Od grzbietu nosa biegł rząd kościstych wyrostków, sięgający aż po czubek głowy. Wokół pulsowały błękitne żyły. Przerażająco ludzkie oczy wpatrywały się w niego dziko, aż Lawrence poczuł strach i ból tego tubylca.

- Spierdalaj! - ryknął, po czym uniósł pistolet i wypalił trzy razy w powietrze. Tubylec przetoczył się na bok, zerwał na nogi i uciekł. Lawrence pokuśtykał naprzód, czekając, aż mięśnie perystaltyczne Skóry przepchną nową amunicję i załadują magazynek.

Wszędzie wokół kłębiły się ciała, setki głosów wrzeszczały coś na kanale komunikacyjnym. Lawrence dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, co się dzieje. Walka miała się ku końcowi. Tubylcy umykali po zboczach, na ulice Roseportu, biegnąc, galopując, kuśtykając, a nawet skacząc. Pozostawili za sobą kilkadziesiąt ciał rozrzuconych na białawej skale. Niektóre unosiły się na płyciźnie, brocząc krwią i barwiąc wodę czerwienią. Wokół rozeszły się drobne zmarszczki, gdy wodne stwory zaczęły się posilać niespodziewaną zdobyczą. Lawrence jeszcze nigdy nie wyobrażał sobie takiej rzeźni. Na ziemi leżeli nie tylko tubylcy. Między ich ciałami zaplątało się także kilka Skór, z roztrzaskanymi pancerzami, broczące wnętrznościami.

Niektórzy wciąż strzelali uciekającym w plecy. Sierżanci i kapitanowie krzyczeli, by wstrzymać ogień.

- Słodki Losie - szepnął Lawrence. Wszędzie wokół widział klęczących żołnierzy którzy pootwierali hełmy, aby zwymiotować. AS Skóry poinformował Lawrence'a, że wprowadza mu do krwi kilka substancji psychotropowych, mających pomóc mu wyjść z szoku. Czuł się dziwnie oszołomiony, jakby to, co przed chwilą zaszło, nie działało się naprawdę, jakby obejrzał to w jakimś okropnym i-dramacie. Nie miał ochoty się ruszać, nawet po to, by pomóc rannym towarzyszom. Chciał tylko, żeby ktoś wyłączył ten straszny obraz i wymazał mu pamięć.

- Hej, patrz! - zawołał Nic. - Patrz, tam w górze. Jezu, Boże, co tu się dzieje?!

Lawrence zogniskował czujniki na bezchmurnym niebie. Prawie się roześmiał - był



już naćpany lekami i wszystko go bawiło. Kiedy już myślał, że gorzej być nie może... Kapsuły zrzutowe wchodziły właśnie w niższe partie atmosfery. Ich szaleńczy spadek zwolnił do prędkości poddźwiękowej. W górze rozwinęły się biało-żółte spadochrony, delikatnie opuszczając je w dół. Pomiedzy nimi szybowało stado wiatrodzierzb. Masywne krokodyle szczęki kłapnięciem przecięły wydęty kawałek tkaniny. Zęby wielkości ludzkich dłoni rozdzierały nylon bez żadnego wysiłku. Po zniszczeniu spadochronów kapsuły runęły w dół. Uderzyły w ziemię z prędkością graniczną i roztrzaskały się, sypiąc wokół odłamkami skrzyń i fragmentami sprzętu.

Po opatrzeniu rannych na tyle, na ile pozwalały na to ograniczone zasoby medyczne, samozwańczy gubernator Roseportu zebrał swoich oficerów na pospieszną naradę. Przebywali na tej planecie już od półtorej godziny i nawet nie wkroczyli do miasta, nie mówiąc już o zdobyciu zastawu. Prawie jedna trzecia kapsuł ze sprzętem została zniszczona. Tubylcy nie przypominali niczego, z czym mieli w życiu do czynienia. Kapitanowie zgłaszali także ciągłe próby sabotażu i zaatakowania statków w powietrzu. Wrogie oprogramowanie zarażało każde łącze, podczas gdy kinetyczne włócznie umieszczone na orbitach wstecznych satelitów testowały ich fizyczne osłony. Rozkaz admirała nakazywał podporządkować sobie tubylców, a potem sporządzić spis wszystkich potencjalnych aktywów.

Gubernator Roseportu zgodził się z admirałem, ale za priorytetowe zadanie uznał zabezpieczenie miejscowego portu kosmicznego. Lawrence dowodził oddziałem odpowiedzialnym za odzyskanie ocalałych kapsuł. Uznał, że mają szczęście - pluton 435NK9 nie musiał wkraczać do samego Roseportu. Gdy brnęli przed wysoką trawę, w okolicy rozbrzmiewał prawie ciągły odgłos strzelaniny i eksplozji granatów. Pośród spokojnych białych wież nie widać było prawie żadnego ruchu, ale kanał komunikacyjny dostarczał nieustających opowieści o napadach i pułapkach.

Nawet zielona równina otaczająca miasto nie była całkiem bezpieczna. W rozkołysanej tygrysiej trawie czujniki podcierwieni były prawie bezużyteczne. Tubylcy kryli się, skuleni wśród korzeni. Krępe, silne istoty zdolne uszkodzić Skórę kilkoma uderzeniami i często uciekające z życiem po obaleniu żołnierza na ziemię. Komunikacja stawała się coraz trudniejsza, pojawiły się zakłócenia. Najwyraźniej ktoś tu dysponował bardzo zaawansowaną elektroniką.

O zmroku oddział zebrał już dość sprzętu, by rozbić obóz i rozstawić liczne warty. Jeepy i ciężarówki przetransportowały ich znaleziska do portu - jedyne go pasa startowego, który odkryto na północ od miasta. Po zabezpieczeniu sobie drogi ucieczki żołnierze odprężyli się lekko.

Tej nocy światła miasta świeciły jasnym blaskiem - cytrynowożółte okna odcinały się jaskrawo na tle nocy. Po ścianach przesuwaly się dziwne, drzące cienie. W nieruchomym powietrzu rozbrzmiewaly różne dźwięki, podsycając wyobraźnię najeźdźców, którzy bez przerwy zastanawiali się, co też kombinują tubylcy.

Drugiego dnia gubernator postanowił podzielić swoje siły. Kilka plutonów miało za zadanie znów podjąć próbę opanowania miasta, podczas gdy pozostałe miały wyprawić się do fabryk. Obrazy z satelitów pozwoliły przypuszczać, że ich struktury wciąż są nienaruszone, choć większość zdawała się opuszczona. A co najlepsze, ocalała cała eskadra helikopterów taktycznych TVL88. Technicy składali je przez całą noc. Plutony przebywające w terenie mogły w każdej chwili wezwać pełne wsparcie. Gdy kompania Lawrence'a wyruszała w drogę, piloci robili właśnie zakłady, ile wiatrodzierzb uda im się zestrzelić.

\*\*\*

Lawrence przekazał Ntoko informacje o znalezionych pustych budynkach, po czym ruszyli z powrotem w stronę pojazdów. Po otrzymaniu pierwszych raportów, kapitan Lyaute uznał, że ta fabryka już nigdy nie ruszy, po czym odwołał wszystkie oddziały zwiadowcze.

- Nie rozumiem - stwierdził Kibbo. - Dlaczego tak to zostawili?

- Los jeden wie - odparł Lawrence. - Ale przynajmniej dowiedzieliśmy się, dlaczego nie eksportują już tego całego drogiego biologicznego szajsu. Po prostu już go nie produkują.

- To nie jest dobry powód, kapralu - zaprotestował Jones.

Dlaczego tak po prostu opuścili swoje fabryki? Przecież działały lepiej niż cokolwiek, co mamy na Ziemi.

- To zwierzęta, dlatego! - wzdrygnął się Kibbo. - Ślepy jesteś czy co? Nie widzieliście tych stworów, które nas wczoraj zaatakowały? To nie ludzie, to jakieś dziwadła. Cała planeta pełna dziwadeł. Żadne zwierzę nie zdoła obsłużyć fabryki. A ludzkie lekarstwa już im niepotrzebne.

- To nie zwierzęta - odparł Lawrence. - To ludzie, tylko wyglądają inaczej.

- Nie ma mowy, chłopie, to jakieś dzikusy. Nawet nie mówią, tylko skrzeczą. Zaatakowały nas bez powodu.

- Są terytorialni.

- Co?

- Strzegą swojego terytorium. Sam mówiłeś, że to zwierzęta.

- Kapral twierdzi, że nie.

- W takim razie siedzimy po uszy w gównie - skwitował Jones. - Jeśli potrafią tak walczyć, a do tego są inteligentni, to nie da się przewidzieć, jak teraz postąpią.

- Myślisz, że tego nie wiem? - burknął Amersy.

- A zatem dlaczego opuścili to miejsce? - drążył Kibbo.

- Kto to wie? - Amersy wzruszył ramionami. - Na pewno wciąż korzystają z maszyn. Sam widziałeś te światła w Roseporcie. Bez przerwy zakłócają nasze częstotliwości komunikacyjne. Pas startowy w porcie kosmicznym był dobrze utrzymany. Jeden z inżynierów, z którym gadałem dziś rano, mówił, że te kosmoloty w hangarze wciąż nadają się do lotu. Ktoś je konserwuje.

- A zatem zostali tu jacyś normalni ludzie? No i co z tego? To jeszcze nie znaczy, że jest tu coś dla nas.

Lawrence zgodził się z nim w duchu, chociaż z innych powodów. Nie uważał tubylców za zwierzęta. Może i mieli odmienne wzorce zachowań niż ludzie, ale z całą pewnością byli rozumni. Nie miał tylko pojęcia, gdzie mógłby ich umieścić na drabinie ewolucyjnej.

Kapitan Lyaute kazał wszystkim wsiadać do samochodów i wracać do kosmodromu. Gdy oznajmił gubernatorowi, że wracają, dowiedział się, że wszystkie misje eksploracyjne wróciły z pustymi rękami. Miasta zamieszkiwali agresywni tubylcy, a fabryki znajdowały się w stanie kompletnego rozkładu. Ani admirał, ani Simon Roderick nie wiedzieli, co teraz zrobić. Rozważali wysłanie statku na schwytaną asteroidę krążącą po orbicie okołobiegunowej na wysokości dwóch tysięcy kilometrów. Część przemysłu kosmicznego najwyraźniej wciąż działała, choć wiele stacji i modułów mikrograwitacyjnych zostało zniszczonych, gdy wyeliminowano sieci indukcyjne. Zawsze można było zabrać ocalały sprzęt ze stacji orbitalnych. Dzięki temu w bilansie pojawiłyby się jakiegokolwiek zyski.

Tymczasem, doradzał gubernator, należałoby prawdopodobnie wynieść plutony z powrotem na orbitę, choć trochę martwili się o zapasy wodoru w kosmodromach. W Roseporcie znajdowało się kilka pełnych zbiorników, ale sama rafineria została wyłączona. Inżynierowie właśnie analizowali jej stan, by sprawdzić, czy da się uruchomić produkcję.

Lawrence siedział za kierownicą jednego z jeepów, wioząc połowę 435NK9. Byli ósmym pojazdem w długim konwoju wracającym z powrotem tą samą drogą. Jechali powoli. Drogę zarastała tygrysia trawa i pnącza, choć ze śladów wynikało, że od czasu do czasu jeździły tędy jakieś pojazdy. Lawrence przypomniał sobie Wielką Pętlę na Thallspring i w duchu zatęsknił za czymś tak równym i płaskim.

Okolica była pagórkowata, pełna zygzakujących dolinek i krótkich, stromych zboczy. W górnych partiach grzbietów rosły wysokie drzewa, wystrzelające ponad leśne sklepienie niczym smukłe wieże. Porośnięte puszystymi fioletowymi pióropuszcami liści, wyglądały

niczym proporce średniowiecznej armii maszerującej do boju. Na dnie doliny drzewa przypominały raczej krępych osiłeków. Były niemal sferyczne, z ich srebrzystoszarej kory sterczały twarde trujące kolce, mające odstraszyć ptactwo i pasożyty. W górnej części ich pękających pni znajdowały się koncentryczne kręgi gałęzi, których skórzaste liście drżały na wietrze, powodując ciągły grzechot. Rosły blisko obok siebie, tworząc prawie jednolity mur, napierając na siebie nawzajem, tocząc wieloletnie bitwy o glebę i światło słoneczne. Przegrane osobniki były pełne dziur, a zwierzęta wiły gniazda w ich gnijącym drewnie. W szczelinach pośród rozsypującej się kory wyrastały kolonie grzybów, tworząc lśniąca feerię barw, ociekając lepkiem płynem pełnym zarodników. Paprocie i bulwiaste liście porastały leśną ściółkę, wypierając krzewy i tygrysią trawę. Z góry zwisały mięsożerne pnącza, chwytając owady drżącymi liśćmi.

Droga zagłębiła się w las kilka kilometrów za fabryką. Budowniczości próbowali za wszelką cenę omijać drzewa, prowadząc drogę bokiem, wzdłuż zbocza doliny albo strumieni. W rezultacie widoczność była tu ograniczona do dwustu-trzystu metrów.

Lawrence zmarszczył brwi, gdy konwój zaczął zwalniać. Nie widział ku temu żadnego powodu. Droga była w kiepskim stanie, ale ich pojazdy powinny bez problemu poradzić sobie z takim podłożem. Przed nimi widniał ostry zakręt prowadzący wokół stoku małego wzgórza. Ale poza tym nie było żadnych przeszkód.

- Co się dzieje? - spytał na kanale dowódczym.

- Coś się zbliża. Ziemia się poruszyła.

- Jak to „poruszyła”?

- Słyszycie? - włączył się Nic.

Lawrence nadepnął na hamulec.

- Co mam słyszeć? - Kazał AS zwiększyć wrażliwość czujników audio. Wtedy zdał sobie sprawę, że jeep lekko drży.

- To! - wykrzyknął Nic.

Receptory Skóry wykryły basowe dudnienie. - 693 i 762, wyjdźcie do przodu z bronią w pogotowiu - rozkazał kapitan Lyaute. - 541, pilnujcie tyłów.

Żołnierze wyskakiwali z jeepów, posuwając się do przodu w dwuszeregu. Z ich pancerzy wysunęły się masywne lufy.

Lawrence'owi w ogóle się to nie spodobało. Na żadnym ze szkoleń nie wspomiano, że to strefa sejsmiczna.

Stado makroreksów wypadło zza zbocza góry - żywy mur bestii o wysokości ośmiu metrów. Najmniejsza z nich ważyła około dziesięciu ton. W przeciwieństwie do ziemskich

dinozaurów, nie miały długich szyi i ogonów. Ich ciała miały postać przysadzistych cylindrów o długości piętnastu metrów, podpartych trzema parami nóg. Budowa ciała pozwalała im się poruszać za pomocą serii zsynchronizowanych skoków, podczas których wyprężały grzbiet, tak by fala przeszła przez drogę sznurów grzbietowych i każda para nóg wybijała się do przodu jednocześnie. Płaska sercowata głowa unosiła się i opadała, w miarę rytmicznego falowania ciała, a czasem kołysała się na boki i w tył na tyle, na ile pozwalała na to krótka szyja. Szczękę wieńczyły trzy zakrzywione kły, dłuższe od ludzkiego przedramienia. Dwa sterczały w górę, jeden w dół, szczęki otwierały się i zamykały w równym rytmie. Po bokach głowy widniały trójkątne płetwy. Wyglądały, jakby mogły przeciąć stal. Oczy znikwały gdzieś w pofałdowanych łukach brwiowych w górnej części czaszki.

Teraz, gdy ukazały się przybyszom w pełnym majestacie, w powietrzu rozbrzmiał ich przeraźliwy zew. Krzewy i zarośla padały jak zapalki pod naporem ich potężnych nóg.

Lawrence miał wrażenie, że leki, które wczoraj zażył, znów zaczęły działać. Pamiętał, że wzmianki o tych stworzeniach były zawarte w materiałach szkoleniowych, ale nie mógł dopuścić do siebie myśli, że oto pędzi na niego czterdzieści czy pięćdziesiąt tych bestii naraz.

- Chyba, kurwa, żartujecie - jęknął Nic. W jego głosie nie było nawet strachu.

Żołnierze jadący na czele konwoju otworzyli ogień. Lawrence nie był w stanie powiedzieć, czy pociski przebiły brudne popielate skóry stworów, bo z całą pewnością nie wywołały żadnego efektu. Ryk przybrał na sile i wtedy Lawrence uświadomił sobie, że od makroreksów dzieli go już tylko sto pięćdziesiąt metrów. Nic nie było w stanie ich zatrzymać.

Kapitan Lyaute wrzeszczał coś niezrozumiałego na kanale dowódczym. Ktoś inny gorączkowo wzywał helikoptery. Skóry biegły naprzód, brnąc poprzez wysoką trawę, podczas gdy makroreksy pędziły wprost na nich. Lawrence nadepnął na gaz i obrócił kierownicę. Nie było możliwości zawrócenia o sto osiemdziesiąt stopni, zanim stado ich zadepcze.

- Trzymajcie się! - wrzasnął i podskakując, ruszył w stronę lasu. Kątem oka dostrzegł kilka bestii szarżujących skrajem lasu. Mniejsze pnie były miażdżone przez pancerne kończyny i rozpadały się deszczem drzazg. Długie konary spadały przecięte ostrymi płetwami i leciały na boki, wirując w powietrzu.

Pierwszy rząd szarżujących bestii dopadł uciekających żołnierzy. Kły błysnęły ponad najwolniejszym z nich i przebiły jego pancerz. Bestia nawet nie zwolniła biegu. Zwłoki zostały odrzucone na bok, tryskając krwią w powietrzu. Kilku uciekinierów zniknęło pod szarżującymi nogami. Znów kłapnęły kły. Na kanale komunikacyjnym rozbrzmiewały przeraźliwe krzyki i bardzo gwałtownie cichły. Makroreksy poruszały się z fenomenalną

szybkością. Jakaś chłodna, opanowana część umysłu Lawrence'a podpowiadała, że nie zdołają tak biec długo, nawet przy tej zawartości tlenu w powietrzu. Musiały zacząć swoją szarżę zaledwie kilka sekund przed przyjazdem kompanii.

Od linii przysadzistych drzew dzieliło go tylko piętnaście metrów. Wszystko skakało mu dziko przed oczami, zawieszenie waliło w skały i ukryte bruzdy. Gorączkowo skręcił kierownicę, kierując się w stronę przesieki. Z prawej strony nadciągały makroreksy, sypiąc fontannami drzazg.

Dopiero wtedy zobaczył coś na szyi jednego ze zwierząt. Przyczajona sylwetka hybrydy człowieko-lamparta, wymachująca rękami z entuzjazmem. Usta otwierał szeroko, śmiejąc się szaleńczo, pijany radością.

Niemożliwe...

- Lawrence! - wrzasnął Amersy.

Kapral szarpnął kierownicę. Przedni błotnik zahaczył o kolczasty pień, rzucając ich gwałtownie w prawo. Lawrence z całych sił próbował utrzymać kierownicę, skręcając ją w drugą stronę. Inercja rzuciła ich w przesiekę pod niewłaściwym kątem. Jedna z opon pękła, uderzając o kamień. Lawrence z całej siły dociskał gaz, pędząc coraz dalej między drzewa. Gałęzie waliły o przednią szybę. Naprzeciw ukazał się zwalony pień. Lawrence wcisnął drugą nogą hamulec, co niewiele zmieniło. Przedni zderzak walnął w drzewo, rzucając pasażerów naprzód. Skóry momentalnie stwardniały, chroniąc wrażliwe ludzkie ciała przed uszkodzeniem.

- Wychodzić! - zarządził Lawrence. - Szybko!

Czuł się, jakby zderzenie wciąż trwało. Dźwięk łamanego drewna rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Ledwie był w stanie utrzymać równowagę na rozedrganej ziemi.

Zataczając się, brnął naprzód, mając nadzieję, że może idzie we właściwą stronę. Orientacja przestrzenna kompletnie go opuściła. Siatka AS była zupełnie niewyraźna.

Trzy metry za nim olbrzymia noga nadepnęła z rozmachem na jeepa, wbijając go w ziemię. Fala uderzeniowa sprawiła, że Lawrence stracił równowagę. Potem opancerzona kolumna znów się uniosła. Zdołał przestawić hełm, tak by sensory na chwilę ukazały mu wrak samochodu, a potem środkowe nogi bestii znów opadły. Lawrence czołgał się naprzód najszybciej, jak tylko mógł. Ostatnia para nóg przewróciła samochód o dziewięćdziesiąt stopni. Stał na zderzaku, a potem wolno runął w tył. Lawrence odwrócił się, celując z pistoletu jedną ręką, z drugiej wystawiał karabinek. Wymachując rękami, szybko rozejrzał się, chcąc ocenić skalę zniszczeń dokonanych przez makroreksa. Celownik ślizgał się po okolicy, szukając oznak zagrożenia. Teraz nadszedł ten moment, w którym oddziały tubylczej

piechoty mogły wykończyć przeciwników. Ale ani Lawrence, ani jego AS nie mogli namierzyć żadnych tubylców.

Schował broń. Wciąż słyszał dudnienie, ale teraz najgłośniejszy dźwięk w okolicy wydawało jego roztelepane serce. Siatka medyczna ukazywała mu, ile adrenaliny ma teraz we krwi. Temperatura skóry zaczęła mu powoli spadać, w miarę jak bezpośrednio zagrożenie minęło.

Wyświetlił siatkę telemetryczną, by sprawdzić, co się dzieje z jego ludźmi. Wyglądało na to, że wszyscy przeżyli szaleńczą ucieczkę z jeepa. Rozglądając się, zobaczył, jak podnoszą się na nogi. W powietrzu wirował kurz, lśniąco czerwono w promieniach słońca przebijających się przez listowie.

- Sierżancie? - zawołał Lawrence. - Nic panu nie jest?

- Kurwa mać, chłopie! - wydyszał Ntoko. - Chyba nic. To pierwsze pojazdy poniosły największe straty. Znajdowały się za blisko, by zjechać z drogi i albo pomknęły w stronę lasu, jak Lawrence, albo ludzie wyskoczyli i uciekli pieszo. Pojazdy zamykające kolumnę miały dość czasu na zawrócenie i uniknięcie stratowania, choć większość ciężarówek była za ciężka na takie manewry. Atak przetrwały w sumie cztery jeepy i jedna ciężarówka. Zginęło ponad dwudziestu żołnierzy, rozszarpanych kłami albo stratowanych na śmierć. Były także inne ofiary.

Żołnierzom, którzy bronili się na skraju lasu, udało się powalić jednego makroreksa. Połączony ogień trzech karabinów przebił jego ogromną czaszkę. Nawet wtedy stwór brnął naprzód niesiony silną inercją, aż w końcu wpadł na jedno z grubych drzew, zostawiając za sobą głęboką bruzdę wyoraną w ziemi.

Kapitan Lyaute rozkazał im rozbić obóz na skraju lasu. Z ataku ocalały pięćdziesiąt dwie osoby, z których siedemnaście było rannych, a pięć miało uszkodzone Skóry. Dwóm plutonom przydzielono zadanie zebrania wszelkiej broni i sprzętu, jaki znajdą w pobliżu. Komunikacja z kosmodromem działała sporadycznie, jakby coś działo się z przekaźnikiem satelitarnym. Prośby Lyaute'a o pilną ewakuację całej kompanii zostały odrzucone. Dwa helikoptery zostały zestrzelone. Zaatakowano również inne oddziały zwiadowcze. Gubernator zamierzał zatrzymać pozostałe helikoptery do ochrony kosmodromu.

Pluton wysłany, by ustalić, co się stało z makroreksami, zameldował, że kłębią się jakiś kilometr dalej. Nigdzie nie było ani śladu tubylców, którzy wcześniej ich dosiadali.

Lyaute ogłosił, że ułożą rannych w pozostałych jeszcze sprawnych pojazdach i wrócą prosto do kosmodromu. Zapowiadało się, że podróż przebiegnie bardzo wolno: niektóre obrażenia były naprawdę poważne, a wszyscy pozostali musieli iść obok. Jazda do fabryki

zabrała im dwie i pół godziny. Było południe. Kapitan twierdził, że zdążą wrócić przed zmrokiem. Lawrence wiedział, że to bzdura.

- Możemy poprowadzić, sir - zaoferował się Ntoko. - Sprawdzimy, czy na drodze nie ma żadnych zagrożeń.

Lyaute zgodził się ochoczo. Żaden inny sierżant nie chciał ryzykować swoich ludzi.

Lawrence przeszedł na bezpieczny kanał i spytał:

- Czemu pan to zrobił? Te dinozaury to tylko początek, na nich się nie skończy. Teraz pierwsi oberwiemy tym, co wyskoczy z krzaków.

Ntoko szedł wzdłuż rzędu odzyskanych broni. Podniósł kilka granatników i podał jeden Lawrence'owi.

- Może tak, może nie. - Mówił cicho, w skupieniu. - Spójrz na to w ten sposób: kapitan właśnie pozwolił nam wybrać sobie broń. Ustawimy się w porządnym szyku, żeby nikt nie mógł nas wziąć z zaskoczenia. Do tego będziemy wysunięci mocno naprzód.

- Rewelacja.

- Myśl, chłopie. Wpadliśmy w najgłębsze możliwe szambo, gorzej już nie będzie. Mamy ze sobą rannych, niektórzy są w ciężkim stanie. Będą spowalniać resztę grupy.

- Tak, ale...

- Widziałeś, co się dzieje? Nie wystarczy wodoru, by zabrać stąd wszystkich, Lawrence. Nawet jeśli zdołają ominąć wiatrodzierzby. Chcesz być pierwszy w kolejce czy nie?

Lawrence rozejrzał się po prowizorycznym obozie. Rannych kładziono właśnie do jeepów. Medycy zużyli już sporo preparatów, aby przygotować ich na ten etap. Kilku techników naprawiało samochód, zamieniając wygięte zawieszenie na części wyszabrowane z wraku.

Musiał przyznać, że kompania jest w kiepskim stanie. W takiej sytuacji należało przede wszystkim upewnić się, że wszyscy dotrą bezpiecznie do bazy. Taki był jego pierwszy odruch, tak uczyli na szkoleniu. Ntoko sam mu to powtarzał. Przede wszystkim chodziło o pracę dla dobra jednostki.

Teraz poczuł napływ wątpliwości i innych, niepokojących uczuć. Ratować się kosztem innych? Z drugiej strony, zawsze wykazywał lojalność przede wszystkim wobec swojego plutonu. Co on, prosty kapral mógł wiedzieć o strategii ogólnej? Nie mógł odpowiadać za wszystkich żołnierzy ani ich uratować. A zatem gdzie nakreślić granicę?

- Nie powinniśmy byli tu przybywać - powiedział jeszcze Ntoko.

Lawrence wziął od niego ciężki wyrzutnik granatów i przerzucił przez ramię torbę z



amunicją. AS Skóry połączył się z systemem naprowadzania broni.

- Aha. To prawda.

\*\*\*

Pluton 435NK9 ruszył pierwszy, podążając zarośniętą drogą prowadzącą z powrotem do Roseportu. Ntoko ustawił na przedzie Nica i Lawrence'a, a resztę za nimi, w odstępach jakichś siedmiu metrów. Sam zamykał pochód.

Instrukcje Lyaute'a nakazywały zlikwidować wszelkie potencjalne zasadzki. Nie sprawdzać zbyt dokładnie, po prostu użyć maksymalnej siły ognia, by wyeliminować tubylców. Reszta kompanii podążała kilkaset metrów za nimi.

Po dwudziestu minutach zwiększyli ten dystans do czterystu metrów. Ntoko narzucił tempo.

- Biorę na siebie wszelki opieprz od Lyaute'a - powiedział, ale nie usłyszał ani słowa. Zakłócanie było bezlitosne. Musiało to być coś bardziej skomplikowanego niż zwykła interferencja fal radiowych. Teraz byli w stanie komunikować się jedynie na odległość wzroku.

Z początku Lawrence co chwila komunikował się ze swoim AS, ściągając potrzebne dane. Mieli dość woreczków z krwią, by przetrwać dwadzieścia godzin. Szacował, że jeśli do tego czasu nie znajdzie się w kosmodromie, to prawdopodobnie i tak zginie, chociaż trochę irytowała go świadomość, że nie mogą po prostu zdjąć Skór, gdy skończą im się zapasy. Potrzebowali jakiejś ochrony przeciwko nadmiarowi tlenu. Ntoko teoretyzował, że można odłączyć hełm i używać go wyłącznie jako filtra powietrza. Mógł wciąż pozostać podłączony do zaworów szyjnych, a narządy wewnętrzne mogły go odżywić bez większego wysiłku. Lawrence wyświetlił także skany taktyczne z satelity niskoorbitalnego, próbując ustalić potencjalne miejsca ataku. Oddałby teraz całą swoją premię (choć, prawdę mówiąc, nie spodziewał się jej zobaczyć) za skan okolicy wykonany w podczerwieni w czasie rzeczywistym. Niestety, satelity niskoorbitalne przerwały komunikację już kilka godzin temu.

- Dziwię się, że ciągle pan tu z nami jest, kapralu - stwierdził Nic, brnąc przez płytki strumień. - Co się stało z pana planem, żeby przejść do chłopaków ze statków?

Lawrence miał ochotę zwalić to wszystko na Mortetha, Lafortha i Kmyre'a. Ale tak naprawdę nie oni jedni byli za to odpowiedzialni. Stali się bezpośrednim bodźcem, nie przyczyną. Gdy tylko pluton przybył na Ziemię, zostali wyrzuceni z Z-B, ponurzy i zawzięci, do końca przysięgający zemstę. Cały ten incydent w wiosce na Arnoon nie dawał mu spokoju. Może zawiniło jego własne wychowanie, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że cała trójka powinna stanąć przed sądem. Dzięki temu przynajmniej ktoś poniósłby odpowiedzialność.

Zachowując milczenie, tylko pomógł korporacji wyciszyć sprawę. Taką umowę mógłby zawrzeć jego ojciec.

- Właśnie tak działa świat - mawiał Doug Newton.

„A zatem po co, kurwa, w ogóle wyjechałem z Amethi?”.

Kiedy myślał o tamtych czasach, skupiał się tylko na Roselyn i tym, co przez nią wycierpiał. Jooną miała rację co do korporacyjnej monokultury. Każdy ludzki świat wcześniej czy później zmieniał się w bladą kserokopię Ziemi. Każdy z wyjątkiem Santa Chico.

- Dostałem awans - odparł po chwili. - Wtedy wydawało mi się to ważniejsze. Mogę odejść do działu statków, gdy tylko zechcę.

- Chyba nie - stwierdził Nic. - Po tej katastrofie nie zostaną nam już żadne statki.

Lawrence spodziewał się, że Lyaute lada chwila każe im zwolnić i zaczekać. Przez ponad półtorej godziny utrzymywał to samo tempo, podążając przed siebie szlakiem ubitej trawy. Jeepy zniknęły im z oczu. Komunikacja z Lyaute'em i dwoma porucznikami stała się urywana. Gdy tylko nawiązali połączenie, podawali swoją pozycję.

Nawet w Skórze Lawrence czuł, że ciężka, gęsta atmosfera planety działa przeciwko niemu. Przy każdym ruchu odczuwał minimalny opór. Nie była to kwestia grawitacji - Santa Chico miało 0,95 g. Wszystko przez to duszne powietrze.

Zamglenie horyzontu od blasku potężnego słońca stanowiło kolejne utrudnienie. Wszystko, co znajdowało się więcej niż kilometr dalej, falowało w ciepłe odbitym od ziemi, tworząc zniekształcające zmarszczki. Ich sensory dalekiego zasięgu były kompletnie ogłupiałe. Nadal nie mogli polegać na podczerwieni. Tubylcom wystarczyłoby w zasadzie przyciąć się w wysokiej trawie albo wśród zarośli i byłiby praktycznie niewidzialni. Pluton 435NK9 włączył radary laserowe, co chwila przeczesując pobocze bladą różowymi wiązkami. Jak dotąd zobaczyli kilka podejrzanych rzeczy, ale nic, do czego można by strzelać.

Dziesięć kilometrów od fabryki droga wynurzyła się z szerokiej doliny na lekko pofałdowaną równinę porośniętą tygrysią trawą. Na otwartej przestrzeni poczuli się lepiej, chociaż gdy Lawrence omiótł okolicę sensorami, nieustanny ruch traw kołysanych na wietrze zupełnie zdezorientował program identyfikacyjny.

- Niczego w zasięgu wzroku - zameldował.

- Ruszamy - rozkazał Ntoko.

Podążyli naprzód. Na północ od szlaku Lawrence dostrzegł sylwetki kilku makroreksów posuwających się wzdłuż strumienia. Ich skoczny ruch bardzo rzucał się w oczy, podobnie jak szarawy kolor skóry na tle jaskrawozielonej trawy. Zastanawiał się, jakie trzeba mieć jaja, żeby wspiąć się na grzbiet takiego potwora i zmusić do biegu. Doszedł do

wniosku, że znacznie większe niż on. Kto, na litość Losu, w ogóle wpadłby na taki pomysł?

- Jakiś ruch - zameldował Nic.

- Gdzie?

- Dwieście metrów na południowy wschód.

Lawrence wyświetlił siatkę telemetryczną Nica, dopasowując obrazy z sensorów do swoich własnych. Rzeczywiście coś tam było - rozmazana plama, która nie wyglądała na drzenie rozgrzanego powietrza.

- Chyba mamy cień! - zawołał do Ntoko.

- Tu też widzimy kilka - odparł sierżant.

Lawrence wyświetlił mapę taktyczną. Kilka kilometrów przed nimi znajdowało się małe skupisko budynków, z trudem dające się zaklasyfikować jako wioska. Obraz z satelity zdradzał ślady aktywności w tamtym rejonie, ale tamte dane pochodziły z poprzedniego dnia. Gdy mijali osadę rano, Lyaute nie zawracał sobie nią głowy.

- Zewrzeć szyk - zakomenderował Ntoko.

- Będziemy łatwiejszym celem - zaprotestował Lawrence na szyfrowanym łączu.

- Wiem. Ale i tak się do nas podkradają. To znaczy, że zamierzają atakować. A dzięki temu zyskamy lepszą siłę ognia.

Czujniki Lawrence'a wyłapały kilka trylujących okrzyków pośród wysokiej trawy. Miał ochotę odtworzyć jeden przez głośniki, na maksymalnej mocy. AS Skóry nie potrafił ich przetłumaczyć.

Mały złotobrazowy ptaszek leciał tuż ponad trawą, szybko zmierzając w stronę plutonu. Miał troje skrzydeł, jedno mniejsze od pozostałych, i poruszał się ruchem obrotowym, przypominającym działanie asymetrycznego śmigła. Skrzydła zakończone srebrzystymi lotkami lśniły w słońcu, tworząc powidoki w postaci błyszczących spiral w powietrzu. Nic strzelił do niego z dziewięciomilimetrówki. Ptak wybuchł krwawą mgiełką.

- W co strzelacie? - spytał natychmiast Ntoko.

- W nic, sierżancie - odparł Lawrence. - To tylko ptak.

- Nerwy na wodzy, chłopaki.

- Słyszycie to? - spytał kapral.

- Nie ufam niczemu w tym przekłętym miejscu.

Sensory Lawrence'a sygnalizowały teraz gwałtowne ruchy zbliżające się ze wszystkich stron. Tubylcy mknęli przez tygrysią trawę, biegnąc przez kilka kroków, a potem przypadając do ziemi. Żaden z nich nie podszedł bliżej niż na sto pięćdziesiąt metrów. Spomiędzy kęp traw wyleciało więcej złotych ptaszków, wypłoszonych ich manewrami.

Lawrence patrzył, jak miotają się w powietrzu. Nie był tak podejrzliwy jak Nic, ale również miał wątpliwości. Tych stworzeń było naprawdę dużo. Gdy kazał AS sprawdzić je w bazie lokalnych form życia, nie znalazł żadnego wpisu. Z drugiej strony, baza ograniczała się do kilkudziesięciu ważnych gatunków, takich jak wiatrodzierzby i makroreksy.

Ptaki trzymały się blisko siebie, tworząc stada po siedem-osiem sztuk, zataczając kręgi tuż ponad wierzchołkami traw. Im dłużej na nie spoglądał, tym większe miał wrażenie, że zmiierzają w stronę plutonu.

- Sierzancie?

- Tak, chłopie, widzę te małe gówna. Ale nie możemy strzelać do wszystkiego, co się rusza. Nie mamy dość amunicji, nawet gdybyśmy trafiali za każdym razem.

Jedna z siatek telemetrycznych nagle rozbłysła ma czerwono.

- Kurwa! - wrzasnął Kibbo.

- Co się dzieje? - Z odczytów wynikało, że jego Skóra czymś oberwała.

- Dostałem. Ech, kurwa.

Lawrence odwrócił się i zobaczył, że jakieś pięćdziesiąt metrów dalej Kibbo pada na kolana, przyciskając dłoń do przedramienia. Pluton rzucił się w jego stronę.

Po siatce telemetrycznej przesuwały się dziwne dane. Lawrence nigdy w życiu nie widział nic podobnego. Coś przebiło pancerz. Coś bardzo małego, o szerokości zaledwie kilku milimetrów. Gdyby dostał pociskiem, rozerwana tkanka powinna się momentalnie zasklepić. Ale teraz syntetyczne mięśnie otaczające ranę zaczęły się przegrzewać. Nerwy stopniowo wysiadały.

Kibbo zaczął krzyczeć. Jego odczyty medyczne kompletnie zwariowały.

- Spokój! - zarządził Ntoko. - Spokój, ludzie!

Lawrence zdążył dobiec do kolegi w chwili, gdy tamten padł twarzą w trawę. Ręce i nogi miotają się w konwulsjach, bijąc ziemię.

- To jakieś drgawki.

- A od czego jest, kurwa, program medyczny?

- To jego Skóra wpadła w drgawki.

Ntoko podbiegł do nich, Lawrence patrzył więc na niego, gdy sam dostał strzałką. Wbiła się w torbę z amunicją, którą niósł na ramieniu, i zwała go z nóg. Padł na czworaki, stękając z bólu. Zogniskował sensory na otworze wybitym w torbie.

- Co to, kurwa, było? - wrzasnął Ntoko.

- Nie wiem. - Lawrence przeszedł na podczerwień. Dziurka była wilgotna. Analiza spektrograficzna wykazała, że to jakiś nieznany węglowodór. - Cholera. Chyba jakaś broń

biologiczna. - Skóra wysunęła dyszę z aerozolem i opryskała otwór środkiem neutralizującym. Płyn zaskwierczał, zmieniając kolor na jaskrawożółty.

Kibbo wciąż wrzeszczał, wstrząsany konwulsjami. Reszta plutonu otoczyła go półkolem, nie wiedząc, co zrobić. AS Skóry ani systemy medyczne nie potrafiły zneutralizować wrogiej substancji. Potem drgawki ustały. Awaryjne zawory hełmu zostały otwarte, a ze środka wylała się krew.

- Jezu!

Żołnierze cofnęli się w popłochu, jakby obawiając się dotknięcia czerwonego płynu.

- Czy to te ptaki? - dopytywał się Nic. - Czy to one?

- Niemożliwe, chłopie - odparł Amersy.

Lawrence zaryzykował i rozejrzał się szybko wokół. W powietrzu pełno było wirujących ptaków - lśniąca rzeka mknąca przez niebo. Otoczyły pluton ciasnym kręgiem.

- Pamiętaj, że to pradziadkowie tych gości wymyślili Skóry - zauważył ponuro Nic. - Jeśli ktoś ma wiedzieć, jak nas wykończyć, to właśnie oni.

- Zestrzelić je - rozkazał Ntoko. - Wyjąć karabiny, formacja kołowa, sektory mają się pokrywać w zakresie dziesięciu stopni. Ruszać się!

Strzelali już wstając z ziemi, mierząc w oszłamiający pas punkcików miotający się wokół nich. Ptaki rozerwały szyk, szybując wyżej, tworząc lśniący pióropusz. Z takiej odległości nie sposób było namierzyć poszczególne osobniki.

Foster krzyknął i w tej samej chwili jego siatka telemetryczna błysnęła ostrzegawczo. Runął na ziemię, wierzgając kończynami. Reszta plutonu odruchowo skryła się przed strzałem.

- Zabiją nas! - wykrzyknął Jones. - Jesteśmy już martwi! Martwi!

Chrapliwe bulgotanie Fostera rozbrzmiało na kanale ogólnym.

- Lawrence, granaty zapalające. Pora zacząć korzystać z tego pieprzonego środowiska. Zasięg dwieście pięćdziesiąt metrów, idziemy półkolem. Ty bierzesz północ.

- Tak jest, sierżancie. - Lawrence przetoczył się na plecy i wymierzył granatnik na północ, poruszając lufą, aż w końcu wyświetlacz celownika potwierdził, że namierzył strefę zero. Wtedy otworzył ogień. Głuchy łomot granatów słychać było nawet poprzez hełm Skóry. Ntoko strzelał w przeciwną stronę. W powietrzu pojawiły się smużki dymu, rozmywające się w szerokie łuki rozchodzące się promieniście z kryjówki plutonu.

Gdy wybuchł pierwszy granat, przypominało to wzejście błękitnego karła. Znad trawy uniosła się aureola jaskrawego światła. Pociski stworzone do walki w normalnej atmosferze tutaj płonęły znacznie silniejszym płomieniem, spalając wielkie ilości tlenu. Zarośla

zapłonęły momentalnie.

Lawrence nadal strzelał, przesuwając lufę w równych odstępach. Oślepiające wybuchy szybko zmieniły się w jednolity mur trzeszczącego światła. Błękitne płomienie spalały nawet żywą roślinność. Soki skwierczały i parowały pod naporem żaru, pozostawiając wyschnięte badyle, które natychmiast zajmowały się ogniem.

Niecałą minutę później byli całkowicie otoczeni ogniem. Krąg zaczął płonąć do środka, chociaż sensory Lawrence'a pokazywały mu też drugi krąg, posuwający się na zewnątrz.

- Zużyj resztę granatów - polecił Ntoko. - Producent twierdzi, że torby na amunicję są ognioodporne, ale ja mu nie wierzę.

- Racja. - Lawrence zużył resztę zapalających, po czym przerzucił się na odłamkowe, odpalając je w losowo wybranych kierunkach. Gdy skończył, zdjął z ramienia torbę i rzucił ją wraz z granatnikiem w nadciągające piekło.

Ptaki odleciały, szybując wysoko ponad płomieniami. Foster leżał martwy, krew kapłała mu z otwartych zaworów i wsiąkała w ziemię.

- A teraz się przekonamy - warknął Ntoko.

- Jak się stąd wydostaniemy? - spytał spanikowanym głosem Jones. - Nie zostawiliśmy sobie żadnej drogi ucieczki.

- Na tym polega plan - odparł spokojnie Ntoko. - Musisz zaufać swojej Skórze, przyjacielu. Ogień płonie tak szybko, że już za parę sekund nas minie.

- Na litość boską, sierżancie!

- Po prostu stój spokojnie.

Lawrence miał ochotę się zaśmiać. Zrozumiał plan sierżanta, jeszcze zanim zaczął strzelać. Czas na protesty już dawno minął. Teraz musieli płynąć z prądem.

Z sensorów audio napływał głośny szum i trzask płomieni, potężniejszy z każdą chwilą. Ogień spalał suchą trawę w zastraszającym tempie. Lawrence przypomniał sobie, że na szkoleniu ostrzegano ich przed rozpalaniem ognia w tej atmosferze, ale nigdy nie sądził, że efekt będzie tak dramatyczny. W tle rozległy się krzyki. Obok nich przemknął jeden z tubylców. Był dwunożny, ręce sięgały mu do kolan. Na plecach miał długą rudą grzywę, która powiewała teraz w pędzie, tłąc się i dymiąc od padających iskier. Lawrence dostrzegł coś w rodzaju wąskiej ładownicy; w obręcze wepchnięto jakieś moduły elektroniczne.

Przerażony tubylec dostrzegł pluton i natychmiast zmienił kierunek, raczej ze strachu niż z rozsądku.

- Uciekaj, skurwysynu! - zawołał za nim Ntoko. - I tak nam nie umkniesz!

Za chwilę minęli ich jeszcze dwaj tubylcy. Jeden z nich był przysadzistym czworonogiem, prawdopodobnie z domieszką psiego DNA. Lawrence patrzył, jak biegnie w stronę pędzącej ściany ognia. A potem stwór skoczył. Mężczyzna nie mógł uwierzyć, że coś tak dużego może tak daleko oderwać się od ziemi. A jednak nawet mimo swych muskularnych członków nie wybił się dostatecznie mocno. Dzikie błękitne płomienie liznęły jego brzuch, paląc twardą pomarańczową skórę. W poczerńiałym ciele otwały się głębokie rany, z których wyciekł parujący płyn. Stwór zawył w agonii, gdy cała jego zewnętrzna powłoka zajęła się ogniem. Na szczęście śmierć była szybka. Za chwilę tubylec leżał w bezruchu tam, gdzie spadł, pośrodku pożaru.

- Ja pierdolę - szepnął Ntoko. Ogień płonął teraz niespełna pięćdziesiąt metrów dalej i nadciągał szybko. Języki płomieni miały jakieś siedem-osiem metrów wysokości.

Wyświetlacz Lawrence'a już od jakiegoś czasu pokazywał ostrzeżenia o przegrzaniu. Pancierz zabarwił się na białe, by wypromieniować jak najwięcej ciepła. Wstał powoli, zwrócony twarzą do nadciągającego ognia. Reszta plutonu też dźwignęła się na nogi. Czujniki musiały użyć podwójnych filtrów, aby zneutralizować jaskrawy blask rzucany przez płomienie.

Lawrence kazał AS wyłączyć czujniki wizualne, jakby wierzył, że dzięki temu koszmar zniknie. Oczywiście, nie zadziałało. Ciemność była jeszcze bardziej niepokojąca. Siatka barwy indygo wisiała pośrodku pustki. Cyfry oznaczające temperaturę otoczenia rozmyły się, jakby ktoś zmienił je w wyświetlacz milisekund. Od pożaru dzieliło ich już tylko dziesięć metrów.

Kilku żołnierzy odmawiało modlitwę. Lawrence żałował, że nie może się dołączyć. Ostrzeżenia o wysokiej temperaturze podawały teraz tak absurdalne liczby, że były niemal zabawne.

Rosnąca wokół trawa zwiędła gwałtownie, woda wyparowała ze wszystkich źdźbeł, które po chwili poczerńiały i zadymiały.

Następnie zapłonęła trawa u jego stóp. Ogniste tsunami zwałało z nóg. Coś chwyciło jego Skórę i zaczęło nią potrząsać. Miał wrażenie, że właśnie przeżywa eksplozję ukazaną w zwolnionym tempie.

Nic nie widział. Żaden program identyfikacyjny nie był w stanie zinterpretować chaosu otaczającego go ze wszystkich stron. Widział tylko jeden wyświetlacz ukazujący status Skóry. Wskaźniki temperatur wystrzeliły w górę jak szalone, a jednak czuł się zupełnie dobrze w tym oku cyklonu. Wstrzymał oddech i napiął mięśnie w oczekiwaniu na niechybną śmierć; potem jednak zmusił się, by oddychać spokojnie. Teraz nie mógł już nic zrobić.

Pozostawało tylko przekonać się, jak duży margines bezpieczeństwa przewidziano dla jego Skóry.

Dotknął wybrzuszenia tuż przy szyi, w miejscu gdzie znajdował się naszyjnik. Wokół pojawiły się jakieś wzory, ledwie widoczne cienie wijące się w nieznośnym świetle. Wyglądało to, jakby woda spływała po zabłoconym oknie, tworząc obrazy tego, co znajdowało się na zewnątrz.

Płomienie skurczyły się nieco, odsłaniając kompletnie poczerńiałe pogorzelisko. Spieczona gleba była upstrzona ostrymi kępkami zwęglonej trawy, wypuszczającej smużki brudnego dymu. Z góry spadał gęsty deszcz popiołu, lądując miękko na wszystkim wokół, w tym na Skórach.

Lawrence odwrócił się i zobaczył, że ogień znajduje się jakieś dziesięć metrów za nim i oddala się szybko. Reszta plutonu stała w luźnym kole, jasne sylwetki na tle ostrego blasku. Gdy uniósł rękę, zobaczył, że ma kolor matowego cynobru - siateczka termicznych włókien szybko wypromieniowywała nadprogramowe ciepło. Spojrzał na swój status i przekonał się, że zapasowe pęcherze są całe. Mając do dyspozycji także awaryjne woreczki z krwią, spokojnie mogli dotrzeć do kosmodromu.

Na kanale ogólnym zabrzmiały śmiechy i szaleńcze okrzyki radości. Wesołość zdawała się bardzo podszyta histerią.

Wokół wciąż sypało popiołem, jednak Lawrence postanowił zwiększyć czułość sensorów, próbując przejrzeć tę zasłonę. Druga fala ognia wciąż szalała z przodu. Jaskrawożółte płomienie żarłocznie pochłaniały kolejne połacie trawy, wypluwając kolumnę dymu i więcej popiołu. Nie mógł uwierzyć, że taka ilość zniszczeń może nastąpić tak szybko. Pobojowisko, które za sobą zostawili, miało już kilometr szerokości i wciąż rosło. Zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa. Oczywiście, nie miał poczucia winy. Na Santa Chico pewnie byli do tego przyzwyczajeni.

- Nie mogę się połączyć z kapitanem - stwierdził Ntoko.

- Myśli pan, że ogień ich doścignął?

- Możliwe. Skóry wytrzymają. Nie wiem jak pojazdy.

- Mamy tam wrócić i sprawdzić?

- Nie. Idziemy naprzód, chyba że dostaniemy inny rozkaz. A nawet wtedy zrobię to bardzo niechętnie.

- Jasne.

- Jedno, co nam z tego przyszło dobrego: teraz już nikt nie podkradnie się do nas niepostrzeżenie.



- Sierzancie, nie został już nikt, kto mógłby się podkraść.

- Czujniki Lawrence'a namierzyły mały wzgórek zawierający szczątki tubylca. Przypominał bryłkę węgla.

Nie mieli pojęcia, dokąd zaprowadzi ich ta droga. Sprawdzili system nawigacji bezwładnościowej i znów ruszyli naprzód. Kilku protestowało przeciwko pozostawieniu Kibba i Fostera, ale Ntoko uciszył ich, rzucając parę szorstkich słów o tym, jak to zmarli woleliby, żeby pozostali bezpiecznie dotarli do portu.

Ziemia wciąż była straszliwie gorąca w dotyku, ale dla włókien termicznych nie przedstawiało to wielkiego problemu. Od czasu do czasu mijali kępki trawy, a nawet drzewa zupełnie nietknięte przez ogień. Nie było ku temu żadnego widocznego powodu. Ot, niezrozumiałe kaprysy krajobrazu. Strumienie zbyt szerokie dla ognia, by przeskoczył na drugą stronę. Czasem nawet wysokie kolczaste drzewa o grubych, spiczastych liściach, kompletnie odpornych na działanie ognia, stojące dumnie pośrodku pogorzelniska.

Szeroki skalisty grzbiet ocalił wioskę od pożaru. Obserwowali ją poprzez nieprzerwany deszcz popiołu. Czujniki wykryły ruch pomiędzy budynkami. Ntoko uznał, że nie mogą tego zignorować.

Zanim przybyli do osady, miękka warstwa popiołu miała już kilka centymetrów grubości i pokrywała wszystko. Podmuchy wiatru wzbijały czasem w powietrzu małe fontanny, ale nie były w stanie oczyścić powierzchni. Kępy traw rosnących na skraju budynków kołysały się i drżały na wietrze, jakby próbowały zrzucić z siebie smoliste płatki. Jednak były zbyt małe, zbyt słabe, by się z nich otrząsnąć.

Wioskowe chaty miały bardzo prostą strukturę. Były to szerokie walce przykryte półokrągłymi dachami, mające nie więcej niż dwie kondygnacje. Wzniesiono je z materiału przypominającego kremowej barwy koral, o szorstkiej ziarnistej powierzchni, która jak magnes przyciągała popiół, wsysając go w każdą szczelinę. Sklepione łukowato okna pokryto grubą membraną przetykaną delikatnymi srebrnymi żyłkami.

Tubylcy byli przeważnie dwunożni, mniejsi od przeciętnego człowieka, o bujnych włosach porastających ich plecy w postaci gęstych grzyw, a w niektórych przypadkach - także ręce aż do łokci. W koszulach i kaftanach powycinali dziury, by włosy wystawały przez nie swobodnie. Dzieci stroiły się w różnobarwne paciorki.

Było także kilka wyjątków, na przykład kotowate humanoidy, z trudem utrzymujące pionową pozycję i opadające na czworaki, aby przejść choćby kilka kroków. Ośmiornicowaty olbrzym przypominający skrzyżowanie zawodnika sumo z trollem. Delikatne, wiotkie elfy, których nogi zdawały się zbyt cienkie, by podtrzymać ciała.

Nie tyle zdawali się obcy, ile prymitywni, chociaż ich skóry wyglądały na twarde i miały typowy dla Santa Chico odcień bursztynu. Żaden z dwunogów nie miał ludzkiej klatki piersiowej ani jamy brzusznej. Kościste grzbiety biegnące wzdłuż torsów wyglądały raczej owadzio. Ich twarze, sztywniejsze niż skóra, potrafiły jednak wyrażać podstawowe uczucie, choć może była to tylko kwestia oczu. Ponure spojrzenia w całym wszechświecie wyglądały identycznie.

Ntoko zabrał Lawrence'a i Amersy'ego do wioski, pozostawiając resztę plutonu na zewnątrz. Mieszkańcy wioski gapili się na nich, stojąc w otwartych drzwiach. Przechodnie rozstępowali się, robiąc im przejście. Po raz pierwszy, odkąd wylądowali, ktoś okazywał im należny respekt - choćby i pod pistoletem.

Czujniki Lawrence'a wykryły niewielką aktywność urządzeń elektronicznych w budynkach, ale nic, co wykraczałoby poza prostą perłę stacjonarną. Zdawali się żyć praktycznie pozbawieni urządzeń mechanicznych i elektronicznych. Nigdzie nie widać było żadnych pojazdów.

Tubylcy zdawali się niepewni, co mają robić dalej. Czekali, aż Skóry przedstawią im swoje zamiary. W miarę jak maszerowali w głąb wioski, coraz więcej mieszkańców zaczynało się im przyglądać, podążając w pewnej odległości z tyłu. Jeśli połowa domów nie stała opuszczona, to liczebność miejscowych zupełnie się nie zgadzała. Lawrence zastanawiał się, ilu wieśniaków dołączyło do grupy wypłaszającej ptaki z wysokiej trawy. I ilu z nich przeżyło.

Ntoko zatrzymał się u stóp wielkiego drzewa z nisko wiszącymi gałęziami.

- Ktoś mi powie, co tu się, do cholery, dzieje?

- Podpaliliście naszą ziemię - powiedział czyjś głos. Mówił z wyraźnym akcentem, ale jego melodyjny rytm zdradzał hiszpańskie korzenie.

Lawrence odnalazł wzrokiem mówiącą. Była to drobna kobieta, która nie sięgała mu nawet do ramienia. Jej gęste, bujne włosy były śnieżnobiałe, ale trudno było orzec, czy to oznaka podeszłego wieku. Miała płaską twarz z kilkoma fałdami na policzkach, co sprawiało, że jej szczęka była wyjątkowo mobilna. Ubrana była w szatę ze srebrną lamówką; z przodu szkarłatnymi i turkusowymi nićmi wyhaftowano spiralę DNA.

- Ty tu jesteś wodzem? - spytał Ntoko.

- Nie. Jestem Calandrinia. - Kobieta przeczesła włosy ręką, strzepując popiół.

- Możemy porozmawiać?

- Zabijesz mnie?

- Nie, chyba że dasz mi dobry powód.

Wieśniaczka obnażyła zęby, na tyle długie, by można je było uznać za kły.

- Mam wiele powodów, ale zostawię je na inny raz.

- Wielkie dzięki. A teraz powiesz mi, co tu się, kurwa, dzieje?

- Zaatakowaliście nas. Odpowiedzieliśmy atakiem. Czego się spodziewaliście?

- Mniejsza eskalacja przemocy byłaby dobrym pomysłem. Chyba żeście kompletnie powariowali. Wiecie, jaką siłą dysponujemy?

Calandrinia znów obnażyła zęby.

- Mniejszą niż na początku.

Lawrence odezwał się na szyfrowanym kanale dowódczym.

- Sierżancie, mogę z nią pogadać?

- Jasne, jeśli tylko uważasz, że to coś da. Nienawidzę takich mądrali.

- Dzięki. - Lawrence nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że Calandrinia zwróciła się do niego, zanim jeszcze otworzył usta.

- Chciałbym się dowiedzieć jednej rzeczy. Dlaczego opuściliście fabryki?

- A dlaczego opuszcza się jakieś miejsce, Ziemiannie? Nie są nam do niczego potrzebne. Wszystko możemy sobie wyhodować bezpośrednio.

- Ale na Ziemi wasze produkty były bardzo cenione. Dlaczego przestaliście je eksportować?

- Jeśli Ziemiannie potrzebują leków, powinni je sobie sami wyprodukować.

- No cóż. Przypomnę, że bez pieniędzy, które zarabiacie na eksporcie, nie zdołacie importować produktów, których sami nie wytwarzacie.

Kobieta wyśmiała go otwarcie.

- Jeśli ich nie wytwarzamy, to ich nie chcemy. Jeśli ich nie chcemy, to ich nie wytwarzamy.

- I to wszystko? Pożegnaliście cywilizację technologiczną na zawsze? Z radością oddaliście się regresowi? - Gdzieś w głębi duszy zastanawiał się, ile razy jeszcze zada to pytanie i na ilu planetach. Regresjoniści wciskali się wszędzie.

- Technologiczną, nie - poprawiła go Calandrinia. - Mechaniczną, tak. Po co komu maszyny? Systemy biologiczne okazały się znacznie efektywniejsze.

- Nie wszystko ma swój biologiczny odpowiednik.

- W twoim społeczeństwie być może. Ale nasze społeczeństwo jest inne. Adaptowaliśmy się, zamiast naginać świat do swojej woli. Światy są na to za duże. Dlaczego mielibyśmy mieszkać w odgradzonych osadach na martwej, nawodnionej ziemi, skoro możemy zmodyfikować się sami i cieszyć się wolnością?

- Musicie mieć na podorędziu niezłą ideologię, skoro przekonaliście ludzi, żeby zostawili przeszłość za sobą.

- To nie ideologia, to ewolucja. Wiesz przecież, że nasi przodkowie przybyli tu z zamiarem zmodyfikowania swoich ciał. Dlaczego tak cię dziwi to, co widzisz?

- Nikt nie wiedział, jak daleko zaszły te modyfikacje. Gdybyśmy wiedzieli, co tu się dzieje, nigdy byśmy nie przylecieli.

- A jednak jesteście tu. I co teraz zrobisz?

- Ja, osobiście? Wrócę do domu.

- Czemu do nas nie dołączysz? Twoim dzieciom niczego nie zabraknie. Czeka je wspaniała przyszłość.

- Wybacz, ale to mało kuszące zaproszenie. Umrę, gdy tylko zdejmę ten hełm. Ja to wiem i ty to wiesz.

- Mogłabym ci wyhodować filtr tlenu w mojej domowej macicy. Stałby się częścią ciebie. Ta Skóra nigdy ci tego nie umożliwi. Żyłbyś z nim w pełnej symbiozie.

Lawrence uniósł rękę.

- Okej, wystarczy. Nie zamierzam z wami zamieszkać, jasne?

- Dlaczego? Czego nam brakuje? Nie kpię z ciebie, naprawdę jestem ciekawa. W porównaniu z nami zdajecie się niezwykle prymitywni. Nie chciałbyś się ulepszyć, stać się częścią bogatszej, dojrzałszej kultury?

- My jesteśmy prymitywni? A które z nas mieszka w lepiance, koleżanko? Nie życzyłbym takich warunków najgorszemu wrogowi, nie mówiąc już o własnych dzieciach. Cofacie się w rozwoju szybciej, niż ludzkość wygrzebywała się ze średniowiecza. Jasne, teraz to może wyglądać całkiem niezłe. Wciąż jesteście na tyle blisko gospodarki przemysłowej, że macie wrażenie, jakby wasze życie było takie bezstresowe i karmicznie doskonałe. Za dwa pokolenia nie będziecie w stanie nawet wyleczyć zwykłego kataru, nie mówiąc już o raku. Nazywasz to pełnią życia? Ja nazywam to zdradą własnych dzieci.

- Ach! - Calandrinia znów potrząsnęła głową. - Teraz zaczynam rozumieć. Jak myślisz, ile mam lat, Ziemianinie?

- Nie mam bladego pojęcia.

- Czternaście.

Ta informacja zupełnie zbiła Lawrence'a z tropu. Nie wiedział, co to ma do rzeczy.

- Naprawdę?

- Tak. Nasi przodkowie przynieśli ze sobą nie tylko swoje zdolności biotechnologiczne. Przekazali nam także swoją filozofię. Żyć szybko, umrzeć młodo i być

pięknym nieboszczykiem. Dzięki nim mogę tego dokonać.

- Jak długo żyjecie? - Lawrence wzdragał się przed tym pytaniem, bo wiedział, że odpowiedź mu się nie spodoba.

- Zwykle około trzydziestu lat. Wyobrażasz sobie taki szmat czasu? Jakżeż on się musi ciągnąć pod koniec życia.

- To przez ten tlen, prawda?

- Oczywiście. Wszystko jest tu szybsze, bardziej dynamiczne.

- Ale... trzydzieści lat?

- Trzydzieści lat, które spędzę, żyjąc, Kochając i rozmyślając. Dlaczego uważasz, że jest w tym coś złego? Dlaczego chciałbyś żyć dłużej?

- Życie to suma doświadczeń. Przez trzydzieści lat nie zdołasz doświadczyć zbyt wiele. We wszechświecie można napotkać tyle najróżniejszych rzeczy.

- Doświadczam więcej, niż ty zdołasz przez całe swoje życie. Szybciej rosnę, szybciej się uczę, szybciej żyję. Wszyscy tacy jesteśmy. Nasz świat jest znacznie bardziej witalny niż wasza mdła biologia. Obserwacje są rzeczą względną. Mogę stąd obserwować gwiazdy, całe mnóstwo naraz, podczas gdy wy czołgacie się od jednej do drugiej w swoich blaszanych puszkach i oglądacie tylko jedną naraz. Doceniam swoje życie, Ziemiannie, choć w moim mózgu jest znacznie mniej pamięci, a znacznie więcej myśli.

- Myśli - skrzywił się szyderczo Lawrence. - Po co myśleć, skoro nic z tego nie wynika? Nic nie odkrywacie, niczego nie tworzycie.

Calandrinia z przeciągłym gwizdem odetchnęła przez zęby, podobnie jak kilku innych tubylców.

- Bez przerwy tworzymy, Ziemiannie. Myślisz, że mamy czas chodzić w ciąży i rodzić młode, tak jak wasze kobiety? Przystosowuję swoje dzieci do świata takim, jakim go znam i postrzegam.

- Mówisz teraz o kształcie ciała, prawda? Dlatego każde z was wygląda inaczej.

- Staliśmy się morfogeniczni. To największy dar, jaki przekazali nam w spadku przodkowie. Moje dzieci mogą się stać wszystkim, o czym tylko pomyślę. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to wygląda? Jeśli zobaczę drzewo, które jest tak wysokie i pełne wdzięku, że mam ochotę usiąść u jego stóp i spoglądać na nie z zachwytem, mogę stworzyć dziecko, które zdoła się wdrapać na sam czubek, śmiejąc się z radości. Gdy pływam w górskim jeziorze, spędzam tam tylko kilka cudownych chwil, ale moja córka będzie mogła nurkować w głębinie i bawić się z rybami. A gdy drzę z podziwu, gdy mija mnie wielki makrorex, mogę wchłonąć jego esencję i połączyć ją ze swoją.

- Słodki Losie. Przecież to nic innego jak zoofilia.

- Jakżeż prosty jest twój umysł. Jaki żalorny. Myślisz, że my jedni na świecie jesteśmy rozumni i świadomi swego istnienia? Skoro już żyjemy na tej planecie, musimy podzielić się z nią wszystkim, co najlepsze. Czy jesteś na to zbyt samolubny, Ziemianinie? Chciałbyś nam przeszkodzić w obudzeniu Gai?

- Nie będę wam w niczym przeszkadzał. Ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie jesteście już ludźmi.

- Dziękuję. Nie codziennie można usłyszeć taki komplement.

- Zaczekaj, no, kurna, chwileczkę - wtrącił się Ntoko. - Chcesz powiedzieć, że makroreksy są po części ludzkie i że mają samoświadomość?

- Niektóre z nich, tak. To nasi przyjaciele i pomagają nam, ilekroć o to poprosimy.

- Wiatrodzierzby też?

- Oczywiście.

- Jezu Chryste na rowerze.

- Jeśli nie zachodzicie w ciężę - spytał w zamyśleniu Lawrence - to skąd się biorą te wszystkie dzieci?

- Z domowej macicy - wyjaśniła krótko Calandrinia.

- Z domowej...? - Sierżant spojrział na przysadziste budynki wioski. - Chcesz powiedzieć, że te domy zawierają jakieś sztuczne macice?

- Czy wy w ogóle nie słuchacie? Nie ma w nich nic sztucznego, domowe macice są w pełni naturalne. Nasze domy to ostatnie ogniwo łączące to, czym byliśmy, z tym, czym jesteśmy. Powiedz mi, czy macie w swoich bazach szybkoskały?

- Aha. - AS Skóry pobrał informacje. Szybkoskały stanowiły gatunek roślin-polipów rosnących bardzo powoli jak na standardy Santa Chico. Przypominały kamyki barwy ochry, skupione w dużych koloniach. Były zupełnie ogniodporne. Ich powłoka była na tyle twarda, by oprzeć się wszystkiemu prócz szczęk makroreksa.

Calandrinia wskazała na domy.

- Nasi przodkowie zmodyfikowali te małe roślinki, aż przybrały postać konstrukcji, które dzisiaj oglądasz. Prawdziwy triumf amalgamacji genów z dwóch różnych planet. Teraz mieszkamy w żywych domach. Ich korzenie drażą ziemię głęboko w poszukiwaniu wody i składników odżywczych, a ich powłoka absorbuje światło słoneczne. Dzięki nim możemy się żywić, nie niszcząc planety, tak jak wy. Ich organy zaspokajają wszystkie nasze potrzeby, podobnie jak wasze maszyny, tyle że nasza więź jest znacznie głębsza i pełna szacunku.

- Chcesz powiedzieć: symbiotyczna.

- Ach, a jednak słuchałeś. Tak, nasze domy są częścią rodziny. Każde zapłodnione jajeczko wkładam do domowej macicy, by tam dojrzewało.

- Czy te budynki też obdarzyliście świadomością?

- Oczywiście. Jak można poślubić istotę pozbawioną myśli?

- Słuszna uwaga - odparł z sarkazmem Lawrence. - Ale czy nie za bardzo uzależniliście się od tych konstruktów? Hodują wam też żywność? Nasze satelity nie zarejestrowały żadnych działających rafinerii.

Calandrinia sięgnęła ręką i zerwała z drzewa kiść czerwonych owoców.

- Modyfikacja miejscowych roślin, by rodziły ziemskie owoce, była pierwszym i najtrudniejszym zadaniem naszych przodków. Gdy już zrozumieli, jak można połączyć dwie różne molekuly genetyczne w jedną całość, wszystko, co dziś robimy, nagle stało się możliwe. Oczywiście, tak skomplikowany proces wymagał kilkudziesięciu lat pracy, dlatego musieliśmy z wami handlować. Tak wiele elementów naszej biochemii było niekompatybilnych ze sobą - pod tym względem niczym nie różniliśmy się od innych kolonii. Stare metody, handel i maszyny zostały zachowane jeszcze przez jakiś czas, póki problem nie został rozwiązany. Teraz, jak widzicie, zostawiliśmy go już daleko za sobą.

- Ale zostały wam jeszcze długi - zauważył Ntoko.

- Chyba na twojej planecie, Ziemi. Tutaj jesteśmy jednością.

- Deklarowanie, że nie dba się o tak przyziemne sprawy jak pieniądze, to bardzo wygodny sposób unikania problemu - odparł Lawrence. - Ale wiem, że rozumiecie zasady działania techniki i gospodarki. Wciąż macie kosmoloty i systemy orbitalne. Ktoś musi je konserwować, wymieniać zepsute części i produkować paliwo. Domowe macice tego nie załatwią.

- Owszem, mieliśmy takie maszyny, póki wy ich nie zniszczyliście - odparła Calandrinia. - Niektórzy z nas mieli podobne marzenia jak ty, Lawrence. Chcieli ponieść nasze idee na inne planety. Badają możliwość zmodyfikowania naszych komórek tak, byśmy mogli żyć na pustyni rozciągającej się ponad niebem. Entuzjaści kosmosu pragną, aby nasze dziedzictwo rozkwitało na kometach i na księżycach krążących wokół naszej gwiazdy. Myślę, że to miłe marzenie, ale jego orędownicy są w mniejszości. A wasze przybycie położyło kres ich ambicjom. Zgodzili się zwrócić oczy z powrotem na Santa Chico. Pomogą nam zamknąć niebo, byście już nigdy tu nie wrócili.

- Skąd znasz moje imię?

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że to sekret.

Lawrence'owi nie podobało się jej swobodne zachowanie.

Jeśli złamali szyfr komunikacyjny - co było bardzo możliwe - mogli usłyszeć jego imię podczas rozmów. Ale odróżnienie od siebie poszczególnych osób w Skórach było bardzo trudne. Tubylcy traktowali wiele rzeczy ze zbytnią nonszalancją.

A on nie wiedział nawet, jak porozumiewają się ze sobą na większą odległość.

- Co masz na myśli, mówiąc: „zamknąć niebo”?

- Mówiłeś, że odlatujecie, co bardzo nam odpowiada. Ale potem musimy dopilnować, byście tu już nie wrócili, przynajmniej dopóki kultura waszego społeczeństwa będzie dominować na Ziemi. A żeby to zrobić, musimy ukraść niebo.

- Znów pokazała kły.

- Idziemy - oznajmił Ntoko na kanale szyfrowanym. - To strata czasu. Gdyby mogli nam czymś wklepać, to już by to zrobili. Po prostu musimy się pilnować i zabić wszystko, co spotkamy poza tą wioską.

- Racja.

- Okej, teraz już sobie pójdziemy - sierżant zwrócił się do tubylców. - Tylko nie próbujcie za nami iść. W ten sposób nie będzie żadnych nieporozumień i nikomu nie stanie się krzywda.

- Co za mądra rada, sierżancie - zadrwiła Calandrinia. - Postaramy się zrobić z niej użytek.

- Pierdolone mądrale - pieklił się Ntoko. - Szkoda, że nie możemy pieprznąć atomówką w każdego z osobna.

Pluton ruszył naprzód, podeszwy Skór wzbijały obłoki sypanego popiołu. Z kręgu trawy i drzew rosnących wokół wioski wyszli znów na pogorzelsko. Deszcz popiołu przestał już padać, przez co widoczność bardzo się poprawiła. Płomienie wciąż płonęły w oddali, wzbijając wysokie kolumny dymu, szybujące na setki metrów w górę, w stronę szarobłękitnego nieba. Jednak nie była to już jednolita ściana. Ogień rozdzielił się na brzegach rzek i wąwozów, zmieniając się w kilkadziesiąt małych języków pędzących swoimi ścieżkami.

- I co z tego zrozumiałeś? - spytał w końcu Ntoko.

- Nie jestem pewien - przyznał Lawrence. - Możliwe, że to wszystko stek bzdur i że chciała nas po prostu nastraszyć. Możliwe też, że to prawda, co byłoby jeszcze gorsze.

- Inteligentne zwierzęta, dobry Jezu. Może to akurat prawda.

- Gdzieś musiała skłamać. Gdy tu lecieliśmy, odpalili wszystko, co mieli, by zniszczyć statki. Nie mogą odciąć tej planety od reszty kosmosu.

- Cholera, szkoda, że nie mamy kontaktu z kapitanem. Powinniśmy to jakoś



przekazać.

- Przekaznik satelitarny nadal nie działa.

- Aha, wiem. Miejmy nadzieję, że gubernator zdołał utrzymać się w Roseportcie.

Przez resztę czasu Lawrence czuł, że zżera go niepokój. Jeśli Calandrinia mówiła prawdę, to trudno będzie ustalić, co im teraz najbardziej zagraża.

Do późnego popołudnia pożar zdążył przygasnąć. Dym i popiół zamgliły powietrze, a niebo pociemniało. Lawrence kilkakrotnie miał wrażenie, że widzi w oddali sylwetki wiatrodzierzb, jednak mogło to być tylko złudzenie. Tygrysia trawa zaczęła krwawić lepkiem sokiem wyciekającym z poparzonych źdźbeł. Korzenie, oczywiście, przetrwały pożar - był na tyle krótki, że prawdopodobnie rozgrzał glebę tylko na głębokość kilku centymetrów. Już niedługo pierwsze kielki miały wychylić się spod warstwy popiołu.

Pogorzelnisko kończyło się długą, wąską rozpadliną, po dnie której płynął czerwonawy strumień. Po obu stronach widniały głównie kamienie i głazy, w szczelinach rosło niewiele roślinności, co prawdopodobnie zmniejszyło intensywność pożaru. Gdy Lawrence podszedł do skraju rozpadliny, zdał sobie sprawę, że nie idzie po skale. Nic nie poruszyło mu się pod stopami, nawet kamyczki, ale z całą pewnością stał na powłoce szybkoskały.

Kiedy pluton przeprawiał się przez rozpadlinę, nad ich głowami przeleciał Xianti 5005, lecąc na wysokości poniżej kilometra. Tracił wysokość.

- A zatem wciąż mamy port - stwierdził Nic. - Dzięki Bogu.

Pół godziny później stanęli na szczycie grzbietu, z którego widać już było odległy o kilka kilometrów Roseport. Miasto nie wyglądało zbyt dobrze. Wiele domów było kompletnie zdemolowanych. Lawrence nakierował czujniki na miasto i zrobił zbliżenie. Z rozwalonych skorup sączyła się ciemna, lepka ciecz, sunąc ulicami niczym płynny asfalt. Wokół leżały sterty wnętrzości, zmiażdżonych na czerwoną galaretę. Na ulicy było zupełnie pusto.

Gdy zmienił ostrość, zobaczył, że wokół miasta rozstawiono szereg inteligentnych działek automatycznych. Oliwkowozielone kule na grubych metalowych nogach, wbitych mocno w ziemię, z każdej sterczały trzy gatlingi, obracając się w prawo i lewo, wodząc lufami po zdemolowanych domach. Gdyby ktoś spróbował opuścić miasto, zostałby rozerwany na strzępy w kilka milisekund.

Lawrence wiedział, że flota ma na wyposażeniu autodziałka, ale nigdy przedtem nie widział, by z nich korzystano. Podobnie jak miny lądowe i laserogrodzenia, była to broń ostatniej szansy.

Teraz, gdy już znaleźli się w zasięgu wzroku, szybko odzyskali łączność z kwaterą gubernatora. Ntoko zameldował powrót, dodając, że kilka godzin temu stracili kontakt z

kapitanem Lyaute'em.

Lawrence skorzystał z ponownego dostępu do danych taktycznych w bazie floty i poprosił AS kwatery głównej o aktualizację sytuacji. Okazało się, że jest znacznie gorzej, niż się spodziewali. Wokół Roseportu praktycznie przez cały czas szalały bitwy. Żołnierze, którzy wkroczyli do miasta, zostali zabici z pomocą broni chemicznej lub biologicznej. Gdy tylko nauczyli się chronić przed jednym zagrożeniem, atakowało ich coś nowego. W końcu gubernator zdecydował o rozstawieniu autodziałek, mając nadzieję, że zdołają powstrzymać tubylców aż do końca ewakuacji. A nawet teraz trzeba było się spieszyć. Makroreksy już trzykrotnie zaatakowały port. Żołnierze musieli użyć przeciwko nim inteligentnych rakiet.

Nic innego nie było w stanie ich powstrzymać. Wiatrodzierzby nie dawały spokoju kosmolotom. Samoloty musiały odpowiadać pociskami antybalistycznymi wyrzucanymi z kapsuł bojowych, by zabić napastników.

Z jedenastu kompanii wysłanych na zwiad do fabryk i obszarów przemysłowych wróciły tylko cztery. Trzy kolejne (w tym Lyaute) zameldowały, że zaatakowano je po drodze, po czym łączność się urwała. Pozostałe cztery zaklasyfikowano jako zaginione.

Wydarzenia na orbicie przebiegały równie dramatycznie. Atak wrogiego oprogramowania na statki nie ustawał. Pasma komunikacyjne zmniejszono do minimum, by AS był w stanie monitorować każdy bajt przesyłany do lokalnej sieci. Pociski kinetyczne na orbicie wstecznej zniszczyły kilka satelitów. Rój pocisków przebił się też przez osłony *Mahonii*, uszkadzając koło mieszkalne i jeden z tokamaków silnika kompresyjnego.

Przeczuwając całkowitą katastrofę, admirał zarządził całkowitą ewakuację. Plany opanowania stacji orbitalnych Santa Chico zostały zdjęte z harmonogramu.

Lawrence nie mógł się dowiedzieć, ile kosmolotów jeszcze działa. Te dane zostały zastrzeżone. Szacunki na temat przewidywanego czasu ewakuacji również utajniono, podobnie jak liczbę żyjących żołnierzy.

Ntoko wygłosił kilka krótkich słów otuchy i poprowadził pluton w stronę kosmodromu, omijając szerokim łukiem Roseport. Biegli truchtem w stronę pasa startowego, nie mówiąc praktycznie nic. Lawrence wiedział, że wszystkich zżera ten sam niepokój. Teraz naprawdę niewiele brakowało, by wyszli z tego cało. Musieli tylko dobiec do pasa. Ktoś inny zajmie się resztą - admirał albo piloci kosmolotów. Oni musieli tylko przebyć ten kawałek terenu. W połowie drogi natknęli się na szeroką połąć wypalanej ziemi. Trawa wciąż dymiała na brzegach. Pośrodku pogorzelska leżał wrak helikoptera TVL88.

Ntoko uznał, że idąc po otwartej przestrzeni, będą zbyt łatwym celem, i poprowadził ich po obrzeżach. Nadłżyli kolejnych kilka minut drogi. Co gorsza, doleciał ich też odgłos

serii z autodziałek.

Ostatnie trzysta metrów przebyli sprintem. Dyscyplina poszła w diabły. Cały pluton popędził poprzez wysoką trawę, omijając drzewa i przeskakując niskie skały, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Minęli granicę portu, gdzie żołnierze w Skórach leżeli w płytkich okopach, uzbrojeni w najcięższą przenośną broń, jaką tylko znaleźli w zbrojowni.

Ntoko zgłosił się do porucznika, który pozwolił im na godzinny odpoczynek. Otrzymali po porcji prowiantu zmielonego na pastę, dzięki czemu mogli ją zjeść, nie zdejmując hełmów. Kwatera główna podała im numer lotu. Jeśli kosmoloty utrzymają swój obecny rozkład kursów, mieli wystartować za sześć godzin.

Porucznik przydzielił im wartę przy hangarze naprawczym. Zajęli pozycje i właśnie integrowali ze Skórami nową broń, gdy słońce schowało się za horyzontem. Lawrence wybrał stelaż z inteligentnymi pociskami. Jak dotąd tubylcy nie zdołali ich ogłupić.

Ruszył w trasę, pamiętając, by poruszać się w sposób nieregularny. Dane z czujników wizualnych ukazywały mu rozmyty biało-błękitny obraz pokryty cynobrowymi kropkami z podczerwieni. Skały wolno oddawały zgromadzone w ciągu dnia ciepło. Nic nie poruszało się w trawie, nawet drobne zwierzęta. Lawrence podziękował za to Losowi.

Roseport świecił jasno w podczerwieni, rzucając koraloworóżową aurę. W żadnym z budynków nie paliły się światła. Autodziałka co kilka minut oddawały strzał. Kanał ogólny aż huczał od spekulacji, ile amunicji zostało robotom i jak długo się utrzymają.

Kosmoloty wciąż przybywały, zniżając się z hukiem z nocnego nieba w akompaniamencie ryku silników turbo pracujących na wstecznym. Czasem towarzyszyły im spektakularne zielono-szkarłatne fajerwerki, co oznaczało, że musieli użyć środków przeciwdziałania.

Godzinę po zmroku jedna z zaginionych kompanii nawiązała kontakt. Zameldowali, że przeżyli atak makroreksów i stracili wszystkie pojazdy; przez całą drogę byli też nękani przez tubylców. W międzyczasie natknęli się na inną kompanię, której straty sięgały trzydziestu procent. Razem mieli dość siły ognia na odparcie tubylców. Musieli poruszać się wolno ze względu na rannych, ale prognozowali, że za półtorej godziny dotrą do kosmodromu. W sumie było ich ponad stu dwudziestu.

Lawrence poczuł ulgę, że to nie Lyaute, który z pewnością chciałby usłyszeć, gdzie się podział jego pluton zwiadowczy i co się w ogóle stało. Wszyscy pozostali bardzo się ucieszyli. Oznaczało to jeszcze jeden lot, co opóźniało ostateczny termin odlotu o dwadzieścia minut.

Ogień z autodziałek po paru godzinach nieco osłabł, jednak Lawrence był przekonany,

że tubylcy spróbują jakoś zinfiltrować kosmodrom. Zrobił się niespokojny i nerwowy i żadne farmaceutyki Skóry nie mogły nic na to poradzić. Samotna warta na skraju kosmodromu, spędzona na wypatrywaniu nieznanymi zagrożeniami przyczajonych w trawie, stopniowo go wypalała. Okoliczny teren naszpikowany był setkami czujników zdalnych podłączonych do jego wyświetlacza. Lawrence nie darzył ich całkowitym zaufaniem - przypomniał sobie Calandrinę i jej ciche drwiny.

Dwie godziny przed planowanym odlotem zobaczył wreszcie, dlaczego zdawała się tak pewna siebie. Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Na początku myślał, że to kolejny xianti zniża lot, używając środków przeciwdziałania. Niebo przecięło kilka języków ognia i zgasło prawie natychmiast. Rozejrzył się wokół, ale nie widział termicznego śladu kosmolotu. Pojawiło się więcej smug. Nie mógł to być samolot - znajdowały się w zupełnie niewłaściwej części nieba. Lawrence zrozumiał, że to deszcz meteorytów i uśmiechnął się lekko.

Jednak zanim smugi zniknęły, z góry runął kolejny rój. Były to większe cząstki, o sporych głowach i długich ogonach migoczących w górnych partiach atmosfery. Uśmiech Lawrence'a zniknął. Rój ciągnął się daleko, z północy na południe, i wciąż rósł.

- A niech to Los! - zaklął, bo w tej samej chwili zrozumiał. *Zamkniemy niebo.*

Od hangaru biegł ku niemu żołnierz w Skórze.

- Lawrence? - To był Ntoko, z przykręconym mocno głośnikiem.

- Tak, to ja - odparł Lawrence poprzez własny głośnik.

- To oni, prawda? To o tym mówiła Calandrinia.

- Aha. Prawdopodobnie znurkowali asteroidę na orbicie okołobiegunowej, rozjebali ją na kawałki. Ten deszcz to dopiero początek.

- Niech to cholera weźmie! Ty chyba znasz się na mechanice orbitalnej i takich tam gównach. Myślisz, że statki przez to przelecą?

- Tak, ale muszą odlecieć szybko, może nawet teraz. Kaskada jeszcze się nie zaczęła. Na razie mamy tylko rosnącą chmurę kamieni na orbicie.

- Jak to: kaskada?

- Posłuchaj. Atomówka rozwaliła tę asteroidę na milion kawałków, jasne? Niektóre z nich spadną prosto w dół i spalą się w atmosferze. Właśnie to teraz oglądamy. Ale jeżeli tubylcy właściwie dobrali ładunek, to na orbicie ciągle jest kupa różnych gór, głazów i kamyczków. Teraz jeszcze latają oddzielnie, każde po własnej orbicie, ale gdy już rozejdą się na boki, zaczną się ze sobą zderzać. Gdy jeden głaz zderzy się z drugim, odprysnie od nich kaskada mniejszych kamieni, które zderzą się ze sobą i tak dalej. To reakcja łańcuchowa, która nigdy się nie skończy. Za rok ta planeta będzie otoczona powłoką z odłamków skalnych

grubości dziesięciu tysięcy kilometrów. Coś jak pierścienie Saturna, tylko sferyczne. Calandrinia miała rację. Nic przez to nie przejdzie. Zamknęli niebo. Zanim cząsteczki rozłożą się i spalą w atmosferze, upłyną tysiące lat. A może nigdy do tego nie dojdzie. Nikt jeszcze nigdy nie widział kaskady.

- Dobra, idź po chłopaków. Weźcie ten samolot. - Ntoko wskazał za siebie. - Jest zatankowany.

- Ale...

- Sam to powiedziałeś: statki muszą stąd spadać. Zabierzecie się ostatnim lotem. A teraz ruszcie dupę, kapralu.

Lawrence zwiększył głośność.

- Chłopaki, do mnie! Szybciej, no już! - Zaczął biec truchtem, a potem popędził sprintem. Ntoko też krzychał. Niedobitki plutonu 435NK9 rzuciły się w ich stronę.

Wysoko ponad ich głowami większe odłamki właśnie weszły w atmosferę. Runęły w dół w otoczce plazmy, aż w końcu zapłonęły oślepiającą aureolą, jarzącą się tym jaśniej, im niżej spadały. Czasem cząsteczki roju wybuchały raz za razem, a odłamki skał rozpadały się na coraz mniejsze fragmenty, w miarę jak przegrzane jony emitowały fale o wysokich częstotliwościach. Setki stożkowatych świetlistych pióropuszy rozbłysły na tle nocy, z wolna zmieniając barwy, aż w końcu weszły w widmo fioletu.

Połowa kontynentu była oświetlona jaśniej niż za dnia. Lawrence widział, że w porcie zapanowała panika. Żołnierze biegali na oślep, nie było łańcucha dowodzenia, rozkazów ani żadnych informacji. Nawet tubylcy wyposażeni w swe przetlenione mięśnie nie mogli ścigać się ze Skórami przy pełnej prędkości. Wszystko działo się w przyspieszonym tempie.

Sto metrów przed Lawrence'em znajdował się xianti zaparkowany na stanowisku odlotu. Silniki turbowentylatorowe już zaczynały się obracać. Przewody podające paliwo cofnęły się i zniknęły w betonie.

Schodki wciąż były na miejscu. Napierali na nie żołnierze, desperacko pragnący znaleźć się w środku. Lawrence nie miał pojęcia, ilu zdążyło już wsiąść. W ciągu pięciu sekund był na schodach. Tłoczyło się tam dwadzieścia osób, a w ich kierunku biegli kolejni.

Poprzedni kosmolot zaczął toczyć się wzdłuż pasa.

- Lawrence! - zawołał Ntoko. - Daj mi stelaż!

Lawrence oddał mu broń, a sierżant przecisnął się po schodach na dół, niosąc dwa stelaże. Poza tym kapral nie miał już pojęcia, kto jest kim - AS nie oznaczał konkretnych Skór. Cała komunikacja siadła.

- Po co?

- Uważaj na siebie, Lawrence! Dbaj o moich chłopaków!

- Sierżancie? Ntoko!

- Będę cię miał na oku! - Ntoko wyslizgnął się już z tłumu. Otworzył stelaż, który wręczył mu Lawrence, i wyciągnął kabel do transmisji danych, który podłączył do interfejsu Skóry. Otwory na szczycie stelaża płuły pomarańczowym, pulsującym ogniem.

Na drodze kołowania zaczęły się wybuchy. Żołnierze biegnący do pozostałych kosmolotów rozbiegli się, szukając schronienia. Kolejne eksplozje wstrząsnęły hangarem, w miarę jak Ntoko próbował odeprzeć szturm na dwa ostatnie samoloty. Kompozytowe panele i stalowe dźwigary padły z trzaskiem na asfalt, wzbijając kłęby kurzu i dymu. Skóry otworzyły ogień. Pociski przeciwpancerne waliły w wieżę kontrolną. Zaszczękały karabiny.

- Ntoko, na litość boską, nie rób tego! - Lawrence wciąż stał u podnóża schodów. Sensory ukazały mu sierżanta, który spokojnie maszerował w przeciwnym kierunku, zostawiając za sobą całą tę kotłownicę i niosąc w rękach dwa stelaże. Płomienie skoczyły w górę, w miarę jak z przewodów wylatywały kolejne pociski. Przez jedną chwilę Lawrence się zawahał. Jednak ludzie za jego plecami wciąż napierali, a jego instynkt samozachowawczy był zbyt silny. Wspiął się po schodach i wszedł do kabiny. Kosmolot ruszył naprzód, zostawiając za sobą schodki pokładowe. Lawrence chwycił stojącego na szczycie żołnierza i wciągnął go do środka. Następny skoczył naprzód, poprzez poszerzającą się lukę, wbijając wszystkich do śluzu. Kolejny zdołał chwycić się krawędzi wjazdu i zwiślał tam, w miarę jak kosmolot przyspieszał. Lawrence patrzył na opuszczone schody. Stojący na nich żołnierze krzyčeli przez głośniki, każąc pilotowi zawrócić. Kilka nabojęw rykoszetowało w śluzie. Lawrence uchylił się odruchowo. Potem wybuch wstrząsnął schodami i cała konstrukcja runęła, strącając stojących na niej ludzi.

- Dzięki, sierżancie - wyszeptał Lawrence.

Wszedł do xianti, a wjazd zamknął się za nim. Kabina była koszmarnie zatłoczona. Żołnierze stali w całym przejściu. Lawrence nawet nie pomyślał o dodatkowym obciążeniu. Sierżant postanowił ich osłaniać, tak jak zawsze. Musiało się udać.

Wewnątrz kabiny mógł połączyć się z wewnętrzną siecią kosmolotu. Przełączył się na kamery zewnętrzne.

Na zewnątrz wciąż padał deszcz odłamków, oświetlony jaskrawym blaskiem. Żołnierze w Skórach biegali po płycie. Wszyscy w coś strzelali. Budynkami wstrząsały eksplozje. Nisko przy ziemi snuły się dzikie kłęby dymu, a ze zniszczonych budynków buchały żywe biało-niebieskie płomienie. Xianti skręcił ostro na pas startowy. Pilot nie marnował czasu. Lawrence poczuł narastające drgania, gdy silniki osiągnęły pełną moc, a

dziób maszyny poderwał się w górę. Następnie kosmolot wzbił się w powietrze i pomknął naprzód.

Wznosili się ostro, obroty silników wchodziły na czerwone pole. Kamery samolotu ukazywały górną warstwę chmur teraz błyszczącą łagodnym srebrem od jaskrawego blasku setek ognistych kul. Gdy minęli cienką warstwę chmur, perspektywa nagle się zmieniła, aż w końcu wyglądało to tak, jakby wspinali się ponad lodową pustynią lśniąca w zimowym blasku księżyca.

Potem włączył się scramjet, wynosząc ich jeszcze wyżej. Całun chmur skurczył się, przybierając postać lśniącej mgiełki otulającej planetę. Błyszczące różowe smugi przecinały mroczną pustkę, aż w końcu zanurzały się pod nią i tam znikaly.

Przed dziobem samolotu gwiazdy zalśniły zimno na powitanie.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Do torsu Hala przymocowano kilka modułów medycznych, skupionych wokół ran i blizn pooperacyjnych. Niektóre z nich miały postać integralnych skrawków sztucznej skóry, pracowicie łąających porozrywaną warstwę naskórka, wstrzykując wirusy regeneracyjne w splot naczyń włosowatych. Były tam także bardziej złożone układy, z których wysuwały się wąskie rurki, przebijające blizny, pompujące specjalne płyny do uszkodzonych organów i odprowadzające je z powrotem, wspomagając pracę narządów, póki pacjent nie będzie gotów na przyjęcie sztucznych zamienników. Ubrano go w luźną białą koszulkę, ale moduły były zbyt duże, by dało się je całkowicie przykryć. Wyglądał, jakby wyrosły mu plastikowe nowotwory.

Siedział w wysokim skórzanym fotelu, a głowa bezwładnie opadała mu na boki, tak jakby szyja nie była w stanie jej utrzymać. Za każdym razem, gdy do pokoju wchodził któryś z jego kolegów - zarekwirowali dla niego mały pokój służbowy - chłopak uśmiechał się i wydawał z siebie radosne stęknienie. Edmond podszedł do niego i uniósł rękę, by przybić piątkę. Patrząc, jak dłoń Hala chwieje się niepewnie, próbując trafić w rękę przyjaciela, Lawrence poczuł lodowaty dreszcz. Pozostali odwrócili wzrok, przygnębieni.

Tylko Dennis patrzył na to bez mrugnięcia okiem. Lawrence wiedział, że medyk bierze ostatnio za dużo środków uspokajających.

Amersy wszedł jako ostatni. Zamknął drzwi i pokazał Halowi uniesiony kciuk. Był to zwyczajny gest, ot powitanie starego kumpla. Tylko spojrzenie, uciekające szybko w bok, zdradziło, co musiał odczuwać.

Reszta plutonu 435NK9 zwróciła się do Lawrence'a.

- Po pierwsze - oznajmił sierżant - nie martwcie się o transport Hala na *Koribu*. Mam pewien kontakt w porcie w Durrell.

Hal wydał długi, rzeźący jęk. Szczęka zaczęła mu się poruszać, jakby żuł powietrze. Gdy już odzyskał przytomność po instalacji biomechanicznego serca, stracił władzę w prawej stronie ciała. Od tego czasu czucie wracało mu powoli, jak u pacjenta po wylewie. Jeśli to byłby koniec komplikacji, Lawrence uznałby to za łut szczęścia. Jednak pomimo przetlenionej krwi doszło do uszkodzeń mózgu. Chłopak myślał powoli i z wysiłkiem, miał zaniki pamięci. Do tego dochodził paraliż mięśni. Ilekroć próbował coś powiedzieć, męczył



się tak, że przykro było patrzeć. Przez większość czasu wiedział, co zamierza powiedzieć, i wpadał w złość, bo nie mógł uformować słów. Czasem sfrustrowany walił w poręcz fotela zdrową ręką i płakał z bezsilności.

- Dziękuję, sierzancie - wybelkotał. Wypowiedzenie tych słów stanowiło tak wielki wysiłek, że aż ścięła stężyła mu na szyi.

- Po to tu jestem, Hal. - Lawrence rozejrzał się po pokoju, starając się odgadnąć nastrój pozostałych. Wszyscy byli bardzo cicho, jakby na coś czekali, ciekawi, po co ich wezwał. Od czasu procesu i egzekucji skierowali swój gniew przeciw Z-B, a konkretnie Ebreyowi Zhangowi i kapitanowi Bryantowi. Pogarda i poczucie zdrady nie objawiły się w żaden konkretny sposób, ale trudno było nimi dowodzić. Z drugiej strony, reszta plutonów w Memu Bay była podobnie niezdyscyplinowana, jednak mając pod opieką ранego Hala, 435NK9 zachował resztki więzi. Wykonywali polecenia Lawrence'a nie dlatego, że tak kazał Bryant, lecz dlatego, że sierżantowi na tym zależało.

Lawrence pomyślał, że trudno byłoby dobrać grupę lepiej nadającą się do jego prywatnej misji.

- Załatwiłem sobie ten kontakt w określonym celu i już niedługo miałem wam o tym opowiedzieć. Równie dobrze mogę to zrobić teraz. Podejrzewam, że w głębi ładu znajdują się złoża aktywów, o których Z-B nie ma pojęcia. Chcę je przejąć.

- Dla Z-B? - spytał szybko Karl.

Lawrence uśmiechnął się ponuro.

- Nigdy w życiu.

Lewis aż klasnął w dłoń.

- Zajebicie!

- To mi się podoba.

- Co to za aktywa? - spytał Amersy. Jego ton zdawał się raczej ostrożny niż zaciekawiony.

Lawrence wyciągnął perłę stacjonarną, rozłożył panel i wyświetlił obraz satelitarny obejmujący płaskowyż rozciągający się za Memu Bay.

- To jest prowincja Arnoon. Wysłano mnie tam poprzednim razem, gdy przylecieliśmy na Thallspring. Byłem w patrolu wysłanym na zwiad na prowincję. Według oficjalnych rejestrów Memu Bay, mieszkańcy Arnoon zbierają wierzbowe włókno, a potem dziergają z nich swetry, koce i inne barachło. Gdy dotarliśmy na miejsce, czekała na nas uroczą, pięciogwiazdkowa wioska o bardzo przyzwoitym standardzie życia. Widziałem takie odizolowane społeczności na różnych światach. Nic szczególnego. Ale w tym przypadku coś

mnie zastanowiło. Musicie mi uwierzyć na słowo, ale nie ma takiej możliwości, żeby zarobić na te wszystkie luksusy tylko dzięki sprzedawaniu koców. Każdy dom był dosłownie zapchany elektroniką i gadżetami, wszystkie z górnej półki. Mieszkało tam sporo ludzi, więcej, niż wynikało z rejestrów i o wiele za dużo, żeby wszyscy utrzymywali się z dziewiarstwa. Do tego nikt z nich nie był chory. Nie mówię tu o ciężkich przypadkach - nie widziałem nawet żadnego przeziębionego dzieciaka. To musiała być najzdrowsza społeczność, jaką widziałem w życiu.

- Mówisz, że muszą mieć jakieś inne źródło dochodów? - upewnił się Amersy. - Lawrence, widywałem już w życiu takie grupki. Prowadzą tam w lesie jakiś szwindel, z dała od miejskiej policji i, co najważniejsze, od fiskusa. Nie ma tam nic, co moglibyśmy zabrać.

- Nie. Ich majątek jest znacznie większy, niż można by zarobić na drobnej przestępczości. To prawdopodobnie najbogatsi ludzie na tej planecie.

- Czemu tak sądzisz?

- Domyśliłem się tego dopiero po dłuższym czasie, gdyż wykorzystali najlepszy możliwy kamuflaż: umieścili swój największy sekret na widoku. Myślałem, że to regresjoniści, bo widziałem, jak jedzą owoce z drzewa. - Lawrence uśmiechnął się lekko.

- No i co z tego? - Lewis wzruszył ramionami. - Może to naprawdę regresjoniści. Nikt inny nie robi takich świństw. Normalni ludzie jedzą produkty proteinowe.

Lawrence zachichotał.

- To tylko potwierdza moją teorię. Też dałeś się na to nabrać. Wierzby włókniste to miejscowe rośliny. Cały las jest miejscowy. Prowincja Arnoon nie została potraktowana strumieniem gamma.

- Niemożliwe! - odparł ostro Dennis. - Ziemskie rośliny nie rosną na obcej glebie. Bakterie w glebie są zupełnie niewłaściwe. Właśnie dlatego trzeba przeczesać teren wiązką gamma i zaszczerpić własne bakterie.

- Właśnie - zgodził się Lawrence. - Ale widziałem to na własne oczy. To nawet nie był ziemski krzew.

- A zatem coś się panu przywidziało, sierżancie. Ludzka biochemia nie jest kompatybilna z miejscowymi organizmami. Może i wyleciałem ze studiów, ale przynajmniej znam podstawy.

- Wiem. Ale widziałem to już wcześniej, na innej planecie. - Lawrence zwrócił się do Amersy'ego. - Pamiętasz Calandrinie?

- Trudno byłoby zapomnieć.

- Była tubylcem na Santa Chico - wyjaśnił sierżant pozostałym. - Jedli owoce rosnące

na drzewach i też uważałem ich za regresjonistów. Ale myliłem się. Calandrinia twierdziła, że biotechnolodzy, którzy wyemigrowali z Kalifornii, opracowali sposób na połączenie obcego genomu z ziemskim. To tej technologii pokolenie Calandrinii zawdzięczało swoją obecną postać, dzięki temu zdobywali żywność tradycyjnymi metodami, nie musząc polegać na rafineriach. Był to ważny element ich filozofii - wolność od maszyn. A zatem to możliwe.

Dennis skrzywił się w odpowiedzi.

- Może na Santa Chico, tak. Ale tutaj, na Thallspring? Jezu, sierzancie, najnowocześniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek wynaleziono w Memu Bay to nowy kształt deski surfingowej.

- Aha. Poza tym, według Calandrinii, potrzeba było kilku dziesięcioleci, by dokonać udanego połączenia genów. Kilka dekad pracy setek najwybitniejszych genetyków i biotechnologów z Ziemi. A jednak tutaj, pośrodku głuszy, na planecie odległej od Santa Chico o trzydzieści siedem lat świetlnych widzę dokładnie to samo. Jak mam to rozumieć?

- Myślisz, że kupili technologię łączenia genów z Santa Chico? Tak? - spytał Amersy.

- Nie mogli jej zdobyć nigdzie indziej. Poza tym potrzeba by na to dużo pieniędzy. Trzeba by polecieć stąd na Santa Chico z pełnym zestawem próbek roślinnych i bakteryjnych. Potem trzeba by zatrudnić cały zespół genetyków. W grę wchodzi naprawdę nielicha forsa. Miliardy, w dowolnej walucie.

- Santa Chico jest odcięte od świata - zauważył Edmond. - Wszyscy to wiedzą.

Lawrence potrząsnął głową.

- To musiało się wydarzyć jakieś trzydzieści, czterdzieści lat temu, może wcześniej. Wtedy, gdy Chicanie jeszcze dbali o pieniądze.

- No dobra - zgodził się Amersy. - Przyznaję, że to teoretycznie możliwe, aby wieśniacy w Arnoon hodowali drzewa rodzące ziemskie owoce. Ale skąd mieli na to forszę?

- Są dwie możliwości - stwierdził Lawrence. - Pierwsza jest taka, że to uchodźcy. Grupka miliarderów, która stworzyła sobie kolonię w kolonii. Są właściwie samowystarczalni: patrz - drzewa owocowe. Mają wysoki standard życia, który zapewnia im dostęp do towarów konsumpcyjnych produkowanych przez rozwinięte społeczności. Jedyne problemy polegają na tym, że miliarderzy tak nie postępują. Mało komu chciałoby się tyrać całe życie, by zgromadzić taką fortunę, a potem wydać ją na idylliczną wioskę w środku lasu. Ich naturalnym środowiskiem jest Ziemia, giełdy, rynki finansowe, udziały i obligacje.

- A ta druga możliwość? - spytał Odel.

- Druga możliwość jest taka, że Arnoon narodziła się dokładnie tak, jak to przedstawiają mieszkańcy. Grupka uczciwych ludzi poszukujących spokojnego życia i

zarabiających zbieraniem włókien. Formują swoją społeczność, dbają o przestrzeganie ustalonych zasad. A potem nagle znajdują coś bardzo cennego. Niewyobrażalnie cennego. I co mają zrobić? Jeśli ujawnią to przed resztą świata, prowincja zostanie zabudowana i uprzemysłowiona. Już niedługo ich mały światek zniknie z powierzchni planety. A zatem decydują się przeznaczyć ten skarb na zabezpieczenie warunków bytu.

Kilkoro z nich wykupuje sobie miejsca na pokładzie *Navarro* i leci na Ziemię. Stamtąd udają się na Santa Chico. Kilka lat później, gdy połączenie genów jest już zakończone, wracają tą samą drogą. A potem już z górki. Mogą powiększać swoją społeczność bez wiedzy miejscowych władz, ponieważ mają własne źródło żywności. Kupowanie cywilizacyjnych luksusów jest w miarę proste. Zakładają kilka hurtowni w Memu Bay, może też jedną w stolicy. To tylko przykrywki, więc mogą wysyłać towar na płaskowyż i nikt nie będzie o tym wiedział.

- Ale skąd wiedzieli o Santa Chico? - dopytywał Amersy. - Nawet my nie mieliśmy o niczym pojęcia, póki nie wylądowaliśmy.

- Nie wiedzieliśmy, jak daleko zaszły te ich modyfikacje - zauważył Lawrence. - Doskonale wiedzieliśmy o samym projekcie, przecież kolonizatorzy byli z niego najbardziej dumni. Santa Chico miała zostać skolonizowana inaczej niż wszystkie inne planety. Od początku mówili to bardzo wyraźnie i ogłaszali się z tym wszędzie. Słyszałem o nich nawet na Amethi.

- Może ty tak, ale banda zbieraczy włókna?

- Mieli dostęp do puli i pieniądze. To świetna kombinacja. Po pewnym czasie pozwala osiągnąć wszystko.

- Nie wierzę, żeby kilkaset osób potrafiło długo utrzymać taki sekret. Wcześniej czy później ktoś z nich poszedłby do mariny w Memu Bay i zamachał rulonem banknotów. Zaczęłyby się plotki.

- Nikt o tym nie wie. A zatem dochowali tajemnicy. Prosta logika.

- Nie wiem jakim cudem.

Lawrence nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. Jego zdaniem, nie dało się dyskutować z faktami.

- Hej, sierzancie - włączył się Karl. - Jak pan myśli, co to za skarb?

- To jest właśnie najciekawsze. Satelity szpiegowskie nigdy nie znalazły na płaskowyżu nic prócz boksytów. A zatem, z geologicznego punktu widzenia, to coś, czego nie powinno tam być, jakaś anomalia. Powiększ Arnoon - poleciał AS. Obraz zafalował. Ośnieżone szczyty rozmyły się, gdy obraz zogniskował się gdzieś obok. Po ekranie szybko

przeleciały połacie lasu, aż wreszcie AS skupił się na dolinie, w której mieściło się okrągłe jezioro z małą wysepką pośrodku. - Widziałem to na własne oczy, ale wtedy nie wiedziałem, na co patrzę, bo takie miejsca rzadko bywają porośnięte drzewami.

- Wielkie nieba - mruknął Odel. - Przecież to krater!

- Właśnie tak. I to zdecydowanie uderzeniowy, nie wulkaniczny. Ta wysepka to jego najwyższy szczyt. Parę tysięcy lat temu, może mniej, walnął tu kawałek jakiejś asteroidy lub komety. Od tego czasu zaszło tu bardzo niewiele erozji i ruchów tektonicznych.

- A zatem co to mogło być? - spytał Karl, wpatrując się ze skupieniem w panel.

- Założę się, że jakiś metal - odparł Lawrence. - Duża, lita bryła, która przetrwała lot przez atmosferę i impet zderzenia. Poza tym musiała się dać wydobyć.

- Jaki metal? - Karl bardzo chciał w to uwierzyć. Skrzyżowanie manny z nieba z poszukiwaniem skarbów. Wszedł w to z butami.

- Nie wiem, ale na pewno drogocenny. Złoto, platyna. A może po prostu zwykły chondryt węglisty, który pod wpływem ciśnienia i temperatury zmienił się w diamenty.

Karl klepnął Odelę w ramię.

- Słyszysz to, stary? Tam w górach leży cała kupa diamentów i tylko na nas czeka!

Odel spojrzał na niego z politowaniem.

- Nie mówię, że jest tam na pewno - zastrzegł Lawrence. - Sami musicie zdecydować. Muszę tylko wiedzieć, czy chcecie podjąć ryzyko. Jedyne, co mogę powiedzieć na pewno, to tyle, że ci wieśniacy na płaskowyżu mają mnóstwo pieniędzy i że w tym samym miejscu znajduje się krater uderzeniowy. Dla mnie to nie jest przypadek, ale nic nie gwarantuję.

- Co pan proponuje, sierzancie? - spytał Odel.

- Równy podział dla wszystkich, którzy pójną tam ze mną. Musimy też opłacić mojego informatora i pilota kosmolotu.

- A jak mamy się tam dostać? - spytał Amersy.

- Przydzielono nam patrol w głąb lądu, jutro o ósmej trzydzieści. Szacowany czas trwania: dwa dni.

- Jezu! - Amersy uśmiechnął się, zaskoczony. - Niezły ten twój informator. Patrole przydziela administracja Zhanga.

- Planowałem to już od dłuższego czasu - powiedział wymijająco Lawrence. Nawet teraz nie chciał wspominać o Primie.

- No to mamy dupochron! - ucieszył się Lewis. - Jedziemy z oficjalną misją. A wieśniacy nie bardzo mogą zaprotestować, bo najpierw musieliby przyznać, że rzeczywiście

coś tam mieli. - Spojrzał na Lawrence'a z podziwem. - Zajebicie, sierżancie. Proszę mnie dopisać.

Wszyscy odwrócili się w stronę Hala, który nagle odchrząknął głośno.

- Idę. Z. Wami - wykrztusił. - Potrzebuję. Forsy. Nie. Chcę. Tak. Życ.

Edmond poklepał go po ręce.

- Nie martw się, stary. Dostaniesz swoją działkę tak czy inaczej.

- Jeśli stąd wyjedziemy, musimy go zabrać ze sobą - zauważył Lawrence. - Nie będzie nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować. Może jechać z tyłu samochodu.

Byli trochę zaskoczeni, ale nie zaprotestowali.

- Ja też się piszę - oznajmił Karl. - Jebać Z-B. Jeśli tam w górach rzeczywiście jest jakiś cenny metal, to wreszcie uwolnię się od tych sukinsynów.

- Jestem z wam i - zadeklarował Odel.

- Ja też - dodał Edmond.

- No, chyba mnie nie zostawicie - oburzył się Dennis.

- Gratulacje - podsumował Amersy. - A zatem mamy cały skład.

\*\*\*

Denise od tak dawna trzymała emocje na wodzy, że niemal o nich zapomniała; kłębiły się, wciśnięte gdzieś w zakamarki świadomości. Wmawiała sobie, że ta odporność na dystrakcje była wynikiem b-wpisania, które wcześniej przeszła, że wraz z innymi przeróbkami zainstalowano jej obiektywność i racjonalność. Wiadomość o schwytaniu Josepa dowiodła, że tylko się łudziła. Ray zadzwonił do niej godzinę po planowanym opuszczeniu portu, zgłaszając, że ich towarzysz dotąd się nie zameldował. Potem Prime zaczął przechwytywać zaszyfrowane wiadomości przesyłane pomiędzy kosmodromem a wschodnim skrzydłem Eagle Manor, gdzie znajdowała się kwatery wywiadu Z-B. Kilka z nich wspominało o jakimś „więźniu” i zawierało prośby o przydział personelu i sprzętu, głównie z działu medycznego.

- Przygotowują się do przesłuchania - stwierdził Ray.

Denise z wysiłkiem zwalczyła rozpacz, która wypłynęła nie wiadomo skąd.

- Masz na myśli tortury? - spytała opanowanym głosem.

- Nie, raczej narkotyki i skany mózgu. Właśnie do tego potrzebują medyków.

- Możesz go stamtąd wyciągnąć?

- Nawet nie wiem, gdzie go trzymają, ale przypuszczam, że w kosmodromie. Przed kwadransem odłączyli całą lokalizację od puli. Będzie spory problem, by namierzyć go w środku. A nawet jeśli się uda, to i tak akcja ratunkowa zabrałaby wiele czasu. Będzie siedział

w najlepiej strzeżonej celi. Denise... chyba nie zdołam go uratować, nie przerywając misji.

- Rozumiem.

- Josep wiedział, że tak to się może skończyć. Wszyscy liczyliśmy się z ryzykiem.

- Tak. - przyznała Denise. „Trzymaj się misji”, dodała w duchu. - A zatem co teraz?

Myślisz, że zdołasz zdobyć klucz?

- Trzeba zaczekać i sprawdzić. Muszę wiedzieć, gdzie go złapali i czy wiedzą, po co przyszedł do portu. Tego właśnie nie rozumiem, Denise. Jakim cudem zdołali go namierzyć? Rozpracowaliśmy ich system zabezpieczeń, wszystko przewidzieliśmy.

- Kolejny Dudley Tivon - stwierdziła. - Czynniki losowe. Ktoś złapał go na gorącym uczynku.

- To dlaczego nie było alarmu? Jeśli ktokolwiek naruszy interesy Z-B, natychmiast wypuszczają serię czerwonych rakiet. Teraz było inaczej. Gdyby Prime nie przechwytywał ich wiadomości, nawet nie wiedziałbym, że wzięli jakiegoś więźnia.

- Co o tym myślisz?

- Sądząc po tym, jak działali, Josep nie zdążył nawet wysłać ostrzeżenia do puli.

Powiedziałbym, że na niego czekali.

- To niemożliwe, Ray! To by oznaczało, że nas wykryli.

- Aha. Niezbyt miła wiadomość, co?

- Nie wierzę. Musi być jakieś inne wytłumaczenie!

- Ja też nie mam ochoty w to wierzyć. Ale nie możemy sobie pozwolić na ignorowanie takich sygnałów. Nie w tej chwili.

- Ray, musimy zdobyć klucz do jednego z lotów xianti. Bez tego wszystko przepadło.

- Jeszcze nie.

- Jeśli nie zdołasz go uwolnić...

- Wiem. Josep nie pozwoli im odkryć, kim jest i co robił. Przynajmniej o to możemy być spokojni.

- Mam przylecieć do Durrell?

- Nie. Jeśli zdołam to opanować, to musisz być gotowa tam, gdzie jesteś. Muszę rozważyć następny ruch bardzo ostrożnie. Chyba od początku nie docenialiśmy Z-B. Jeśli tak, to niewykluczone, że trzeba będzie odwołać misję.

- Nie!

- Denise, spójrz prawdzie w oczy. Sytuacja nie układa się za dobrze. Z-B wróci tu znowu, za jakieś dziesięć lat. Możemy spróbować później.

- No dobrze.

- Jeszcze nie jest po wszystkim. Będę nadal monitorować sytuację i oceniać różne opcje. Próbuję nawiązać połączenie z portem. Za dwadzieścia cztery godziny wszystko się okaże.

Denise uśmiechnęła się smutno.

- Wtedy mieliśmy być już w drodze.

- Aha. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko się czegoś dowiem.

Denise nie poszła tego dnia do pracy. Zostawiła wiadomość pani Potchansky, że ma zatrucie pokarmowe, a potem kazała domowemu AS filtrować przychodzące rozmowy. Wiedziała, że nie zdoła okłamać staruszki, spoglądając jej w oczy.

Po raz pierwszy poczuła, że ich wynajęty bungalow zrobił się pusty bez Raya i Josepa. W miarę jak spacerowała korytarzami, do głowy przychodziły jej różne dziwne myśli. Że powinna wrócić do Arnoon, gdzie byłaby bezpieczna. Że mimo wszystko powinna polecieć do Durrell i uratować Josepa. Że cała ta misja to pomyłka.

„Żadna z tych myśli nie ma znaczenia”, powiedziała sobie stanowczo. A jednak wciąż napływały.

Spojrzała na drzwi do pokoju Josepa, nie wiedząc, dlaczego postanowiła stanąć tuż obok. Jej przyjaciel nie miał żyłki do urządzania wnętrz. W pokoju stało biurko, kilka zielonych skórzanych foteli, które Denise zawsze uważała za obrzydliwe i, oczywiście, dwuosobowe łóżko. Na przeciwległej ścianie zawiesił dużą płachtę ekranową, by móc oglądać filmy, leżąc na materacu. W trybie nieaktywnym ekran wyświetlał zdjęcie góry Kenzi zrobione w słoneczny, bezchmurny dzień; strzelisty, ośnieżony szczyt lśnił jasno na tle bladobłękitnego nieba. Denise nacisnęła klamkę i weszła do środka. Wyjeżdżając do Durrell, Josep zostawił w pokoju straszliwy bałagan. Narzuta leżała zmięta na podłodze przy łóżku, pościel była w nieładzie, pod łóżko wciśnięto kilka par kąpielówek. Koszulki, które nosił podczas lekcji z turystami, leżały na jednym z krzeseł, zrzucone na stos i wciąż pachnące wodą morską. Ręczniki walały się na podłodze. Przez oparcie krzesła przewieszono zestaw skrzeli.

Pomimo nawału pracy, jaki przygniótł ją tuż po inwazji, Denise zdążyła posprzątać pokoje obu przyjaciół. Ubrania i ręczniki wylądowały w pralce. Pod łóżkiem Josepa znalazła nawet dwie pary fig i stanik - i je także wyprała. Narzutę złożyła w kostkę i położyła w nogach łóżka. Ich mały domowy robot odkurzył dywan, stał kurze i wypolerował szerokie okno z widokiem na ogródek.

Nawet po posprzątaniu pokój nadal sprawiał wrażenie, jakby należał do Josepa. Denise odkryła, że ma łzy w oczach, i wytarła je gwałtownie pięścią. Usiadła na skraju łóżka,



gładząc materac. Gdy zamknęła oczy, zobaczyła go z łatwością. Wspomnienia z Arnoon, gdy był jeszcze głupiutkim dzieciakiem. Z upływem lat robił się coraz wyższy i poważniejszy. Po b-wpisaniu nabrał pewności siebie, a jego oddanie misji było równie silne. Potem lata spędzone w Memu Bay. Radosny i zawadiacki, wyrósł na atrakcyjnego mężczyznę. Wszystkie te piękne dziewczyny, które przyprowadzał do bungalowu i ciągnął do łóżka...

Denise nigdy nie przespała się ani z nim, ani z Rayem. Ich relacje przypominały raczej więź pomiędzy rodzeństwem, pełną szacunku i troski, z dużą dozą żartów i domowych psikusów.

„Może źle zrobiłam? Może powinnam po prostu rzucić się na niego? Wykorzystać ten krótki czas, jaki mieliśmy do dyspozycji? A może oboje baliśmy się tego, jak poważny może stać się ten związek, gdy już się pojawi?”.

Kompletnie bez znaczenia. Zwykle ćwiczenia z „co by było, gdyby” i bolesne wyrzuty sumienia, gdy na horyzoncie pojawiło się widmo porażki. Złajała się w myślach za podobny sentymentalizm. Ale wspomnienia nie dawały jej spokoju.

\*\*\*

Wiadomość od komórki organizacji nadeszła późnym rankiem. Programy Prime zainstalowane w różnych pulach danych pilnowały, by pakiet nie zwrócił uwagi programów monitorujących Z-B. Nawet logi przepływu danych nie zarejestrowały jego trasy.

Denise leżała skulona na łóżku Josepa, gdy AS bungalowu zaakceptował wiadomość i przekazał ją gospodyni bezpośrednio poprzez b-wpisane neurony. Poduszka pod jej policzkiem była mokra. Płakała.

W miarę jak czytała wiadomość, rozpacz zmieniała się w rozdrażnienie. Komunikat pochodził od komórki w Harkness - jednej z mniejszych dzielnic podmiejskich leżących na skraju strefy ziemskiej roślinności. Od czasu rozpoczęcia okupacji byli prawie nieaktywni. Niekiedy wypisywali na murach slogany albo przechowywali broń i sprzęt dla bardziej aktywnych jednostek z centrum. Jednak Harkness ciągnęło się wzdłuż wschodniego odcinka Wielkiej Pętli - z punktu widzenia operacji bardzo strategiczne miejsce. Ich głównym celem z założenia było obserwowanie drogi i właśnie spełnili swoje zadanie.

Pakiet zawierał informację, że dwa jeepy Z-B przejechały przez miasto i kierują się Wielką Pętlą w głąb lądu.

Denise poczuła przyływ irytacji na tych imbecylów, którzy postanowili bez powodu zawracać jej głowę, zwłaszcza w takiej chwili.

Nie było żadnych jeepów. Prime, który zainstalowała w sieci kwatery głównej Z-B, monitorował wszystkie harmonogramy zadań. Konwój zmierzający w głąb lądu zostałby

oznaczony jako priorytetowa wiadomość. Dowiedziałyby się o tym, gdy tylko biuro Ebrey Zhanga zatwierdziłoby taką czynność.

Prime działający w bungalowie automatycznie skorelował tę nową informację. Rzeczywiście, jakiś patrol miał się dziś udać w głąb lądu.

Denise gwałtownie usiadła na łóżku. Odnalazła tę misję w harmonogramie.

Prime potwierdził jej status.

Wysłała zapytanie, dlaczego program nie ostrzegł jej o tym zadaniu.

Oczekiwanie na odpowiedź było bardzo długie jak na tak potężny program - trwało aż kilka milisekund. Prime Denise nie wiedział o tym patrolu, ponieważ polecenie nie przeszło przez biuro Zhanga. Ktoś inny włączył je do harmonogramu w taki sposób, że czynność nie została zarejestrowana przez żaden program monitorujący. Prime wysłał kilka tysięcy drobnych trawlerów nawigujących w architekturze sieci, próbując namierzyć źródło tej misji. Jeden z próbników odkrył, że w AS Z-B siedzi drugi Prime.

Dwa półinteligentne systemy spoglądały na siebie obojętnie. Próby infiltracji i zhackowania okazały się niemożliwe. Były sobie równe.

- Drugi Prime? - wykrztusiła Denise.

Niemożliwe.

A jednak.

Wycofała własny program.

W sieci Z-B nie podniesiono alarmu. Nikt nie wiedział, że ruch oporu węszy po plikach. Drugi Prime nie poinformował nikogo z kierownictwa. Próbowwała to przemyśleć logicznie. Wszystkie Prime'a pochodziły tylko z jednego miejsca - z prowincji Arnoon. Ktoś z jej rodzinnych stron przybył do Memu Bay z jakąś przeciwną misją. Co też było niemożliwe. Żaden Prime nie działałby przeciw smokowi - przecież zostały przez niego stworzone.

To nie miało żadnego sensu. Skołowana, w końcu spojrzała na nazwę plutonu, który został wyprawiony z tą misją: 435NK9. Lawrence Newton!

- Niemożliwe, żeby coś wiedział - szepnęła. A jednak jechał teraz Wielką Pętlą, w patrolu nieautoryzowanym przez nikogo z Z-B.

Denise zamknęła oczy i rozważyła wszystkie dostępne opcje. Nie zostało ich tak wiele. Musiała się dowiedzieć, dlaczego Prime pomaga Newtonowi. To było najważniejsze - być może dzięki temu dowie się, jak schwytano Josepa. Odpowiedź znajdowała się w Arnoon. A Newton nie mógł tam dotrzeć.

Pobiegła do własnego pokoju i przebrała się szybko. Dżinsy, koszulka, skórzana kurtka i mała torba zawierająca jedyne dwie sztuki broni, które trzymała w bungalowie.

Ubierając się, wydała polecenia różnym komórkom, rozkazując podjąć bezpośrednie działanie przeciwko patrolowi. Prime przejrzał wykaz pobliskich pojazdów, by znaleźć jej odpowiedni transport. Pokazał jej listę możliwości, a ona wybrała najlepszą opcję. W stronę AS pojazdu poleciały odpowiednie komunikaty o nagłym wypadku. Włożyła ciężkie buty i wybiegła z domu.

\*\*\*

Lee Brack był zaskoczony, gdy AS jego motocykla nagle zaczął wyświetlać symbole ostrzegawcze na membranach optronicznych, a pojazd gwałtownie skręcił na pobocze. Nienawidził korzystać z AS. Motocyklami powinni kierować ludzie, nie jakieś pieprzone programy. Jego wielki zielono-złoty scarret zasilany trzyrdzeniowym ogniwem konwerterowym, był wyposażony w okablowanie nadprzewodzące, wielopierścieniowe silniki w piaście i wbudowane serwomotory. Potrafił osiągnąć prędkość dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na przyzwoitym, prostym odcinku. Jego żony nazywały to „pojazdem kryzysowym”, mając na myśli kryzys wieku średniego. A teraz motocykl skręcił, jakby zdalnie sterowany, zmierzając w stronę jakiegoś cholernego osiedla domków. Serwomotor znów przekręcił kierownicę, przytulając pojazd do krawężnika. Po bokach wysunęły się podpórki do parkowania.

Lee Brack zdjął kask i rozejrzał się wokół, zaskoczony.

- Jaki znowu nagły wypadek? - pieklił się. Znajdował się pośrodku podręcznikowo stereotypowej podmiejskiej ulicy. Po drugiej stronie spacerowała jakaś para starszków z labradorem. Po chwili minęła ich jakaś młoda kobieta, uprawiająca jogging. Właściwie to biegła pędem. Zatrzymała się tuż przy pojeździe Lee.

- Dzięki - powiedziała. -

- Ale za...?

Chwyciła go za kombinezon. Lee Brack został zdjęty z siodelka z taką łatwością, jakby składał się z lekkiej pianki, nie ze swego prawdziwego, prawie stukilowego ciała. Zakreślił łuk w powietrzu i wylądował na lewym barku, który przejął na siebie większość impetu. Coś w kościach i ścięgnach chrupnęło złowroźnie. Dopiero wtedy zdołał wrzasnąć.

Dziewczyna chwyciła jego kask i wsiadła na scarreta. Okrzyk bólu przeszedł we wściekły protest, gdy deska rozdzielcza zapłonęła. A hasła zabezpieczające?

- Ty suko!

Prime Denise szybko wykasował AS scarreta i zainstalował się w neurotronowych perłach zarządzających układami pojazdu. Dzięki b-wpisanym strukturom neuronowym, integrujących ją z oprogramowaniem, kobieta stała się częścią motocykla. Silniki w piastach

zapłonęły, a wtedy przekręciła kierownicę, zgrywając się z ruchem serwomotoru. Zawróciła na tyle ostro, by przejechać po asfalcie podpórką, która jeszcze nie zdążyła się schować. Poleciały iskry. Denise przyspieszyła mocno, zostawiając za sobą Lee Bracka miotającego przekleństwa.

\*\*\*

Jeepy zbliżały się do granicy obszaru wypalonego strumieniem gamma. Pasy ciemniejszej, prawie błękitnej roślinności mieszały się tutaj z ziemską trawą po obu stronach szosy. Z przodu wznosiła się dżungla miejscowych drzew, parująca po porannym deszczu. Lawrence siedział na siedzeniu pasażera w pierwszym jeepie, skąd miał dobry widok na szeroki pas asfaltu, ciągnący się daleko w przód, aż w końcu znikał między drzewami.

W końcu zostawili za sobą wioski. Skupiska budynków tłoczyły się przy drodze co kilka kilometrów i za każdym razem wyglądały identycznie - kilka sklepów wielobranżowych, obowiązkowy bar i jakieś zakłady niezbyt zaawansowanego przemysłu. Garaże dla ciężarówek stały praktycznie wszędzie, a rzędy skorodowanych olbrzymów stały przed nimi, zaparkowane na trawie. Automatyczne stacje naprawcze, po których również wały się zniszczone podwozia. Półautomatyczna walcownia stali, wypływająca dwuteowniki. Spalarnia śmieci zaopatrzona w dwa szerokie bliźniacze kominy, wypływające gęsty, tłusty dym. Na placu za budynkiem ciągnęły się hałdy odpadów. Znajdujące się w pobliżu domy były znacznie mniej eleganckie niż pobielone apartamentowce w Memu Bay. Te tutaj przypominały raczej szopy z betonowych pustaków z kompozytowym dachem, na którym ustawiono kolektory słoneczne. Dorośli siedzieli na zewnątrz, obserwując drogę. Dzieci biegały po ubitych ścieżkach, grając w berka lub w piłkę.

- Poprzednim razem tego nie było - stwierdził Lawrence, gdy mijali niewielką osadę opisaną jako Enstone. Przy ulicy ustawiono duży znak reklamujący usługi zakładu szkutniczego, zajmującego kilka akrów za rzędem domów.

- To przecież dwadzieścia kilometrów od morza! - zdziwił się Lewis.

- Taniej jest budować tutaj - wyjaśnił Amersy. - To właśnie ich gospodarka wtórna. Zawsze wyrasta wokół dobrze prosperujących ośrodków. Im większa liczba populacji, tym więcej robotników niewykwalifikowanych i sezonowych.

- Masz na myśli biednych - poprawił Dennis.

- Owszem.

Ruch uliczny na tym odcinku Wielkiej Pętli także był znacznie bardziej ożywiony, niż Lawrence pamiętał. Większość z niego stanowiły ciężarówki i dostawczaki, kursujące pomiędzy niewielkimi fabryczkami i sklepami, przewożąc materiały i towary. W tym tempie

osada już niedługo miała się przekształcić w podmiejską dzielnicę-ulicówkę.

Mijali właśnie ostatnią wioskę przy Pętli, gdy Prime Lawrence'a ostrzegł go, że inny Prime wysłał zapytania dotyczące jego patrolu. „Inny Prime?“, upewnił się Lawrence. Nie mogło być mowy o pomyłce.

„To pewnie KillBoy“, pomyślał. Było to jedyne możliwe wytłumaczenie. Co więcej - miało mnóstwo sensu. Zawsze wiedział, że ruch oporu ma do dyspozycji bardzo zaawansowane oprogramowanie. Co za ironia, że okazał się nim akurat Prime, jedyny egzemplarz, jaki napotkał w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- Przełączcie sensory na wzorzec wyszukiwania A-5 - polecił plutonowi. - Niech wasz AS przeszukuje dane wejściowe pod kątem lokalnego przepływu danych i aktywności elektronicznej. Ktoś się nami bardzo zainteresował. W pobliżu może znajdować się nieprzyjaciel.

- Skąd ty to, do diabła, wiesz? - spytał Amersy.

- Mam taki sprytny program, który potrafi wyszukiwać nielegalne zapytajki. I ktoś właśnie pytał się o nasz patrol. Ktoś spoza Z-B.

- Chryste, sierzancie - Karl gwizdnął z podziwem. - Powinni pana zrobić generałem.

- Nielichy program - dodał sucho Amersy.

- Aha. Dobra, ludzie, do roboty. - Spojrzał na siatkę telemetryczną, chcąc się upewnić, że wszyscy aktywowali czujniki. Gdy skończyli, odwrócił się i spojrzał na Hala, jadącego z tyłu. Chłopak opierał się o drzwi i wyglądał na zewnątrz. Wiatr mierzwił jego krótkie włosy, z twarzy nie schodził mu krzywy uśmiešek. Edmond siedział obok, opierając stopy na skrzynce pełnej preparatów medycznych, z których korzystały moduły Hala.

- Wszystko w porządku? - spytał Lawrence.

Edmond zamachał spokojnie.

- Pod kontrolą, sierzancie.

Minęli granicę pomiędzy roślinnością ziemską a miejscową. Oprócz nich jedynym pojazdem na drodze okazał się traktor ciągnący płaską przyczepę, sunący w stronę osady.

Gdy przejeżdżali obok, Lawrence dostrzegł, że przyczepa jest załadowana ściętymi drzewami. Przez chwilę zastanawiał się, czy to legalne. W mieście było kilka zakładów syntetyzujących drewno.

- Gaz do dechy - polecił Dennisowi, który jechał w pierwszym jeepie. - Chcę dotrzeć do Amoon przed zmrokiem.

Dennis nadepnął na gaz i samochód zaczął przyspieszać.

\*\*\*

Od czasu ostatniego telefonu Newby działał na permanentnym haju adrenalinowym i było to cudowne. Właśnie takie akcje wyobrażał sobie, gdy dołączył do ruchu oporu. Jednak od czasu rozpoczęcia inwazji proszono go tylko o to, by przechowywał jakieś ciężkie zapieczętowane skrzynki na zapleczu sklepu swojego ojca, ukryte pod skrzynkami po pustych butelkach. Czuł wprawdzie dreszcz adrenaliny, gdy przychodzili do niego jacyś obcy, podawali hasło i zostawiali albo odbierali skrzynki. Miał wtedy wrażenie, że robi coś ważnego. W ciągu dwudziestu trzech lat życia po raz pierwszy poczuł się częścią jakiejś wspólnoty.

Teraz wreszcie status komórki zmienił się na „aktywny”, a do tego przydzielono im kluczową misję. Dołączył do kolegów, Carole i Russela, którzy czekali już na zapleczu sklepu, i wsiadł do starego, poobijanego pikapa. Wszelkie plany cichej ucieczki zostały zniweczone przez ochrypli ryk starożytnego silnika paliwowego. Newby skrzywił się i wrzucił bieg, ruszając z kopyta, w tej samej chwili, gdy jego ojciec wybiegł na podwórko.

Instrukcje otrzymane i rozszyfrowane przez jego perłę bransoletkową były proste i dokładne. Zatrzymał się, by zabrać członków innej komórki. Nigdy wcześniej ich nie widział. Dwóch otyłych, bladych mężczyzn dobiegających trzydziestki - prawdopodobnie braci. Trzeci z nich był szczupły i dystyngowany, miał przynajmniej sześćdziesiątkę. Ubrany był w wyprasowane dżinsy, koszulę i krawat. Jego kapelusz z szerokim rondem także był czysty i najwyraźniej drogi. Newby natychmiast uznał go za bogatego snoba. Wszyscy znali odpowiednie hasła i nieśli zadziwiająco ciężkie skrzynki. Wecisnęli się do tyłu pikapa i ruszyli Wielką Pętlą w stronę podnóża Gór Mitchella. Newby pędził tak szybko, jak się dało.

Zasadzkę zaplanowali głęboko w dżungli, w miejscu, gdzie szosa zaczynała się wspinać na płaskowyż. Teren był otoczony niezwykle bujną roślinnością. Pnącza rosły tam praktycznie w oczach. Bitwa pomiędzy poszyciem a robotami konserwacyjnymi była równie zacięta jak zawsze. Ciągłe przycinanie ostrzami elektrycznymi sprawiało, że ściana listowia po obu stronach drogi była teraz praktycznie nieprzenikniona. W górze, gdzie ostrza nie sięgały, gałęzie splotły się ze sobą, tworząc ponury tunel. Zwisały z niego poszarpane pnącza, po których ściekała deszczówka z koron drzew. Kapały kwaśną wodą niczym botaniczne stalagmity.

Pod drzewami było tak ciemno, że Newby musiał włączyć reflektory. Gdy w końcu dostrzegli szczelinę w podszyciu po jednej stronie drogi, skręcił kierownicę i wolno przedarł się pomiędzy drzewami. Wreszcie znaleźli się jakieś sto metrów od szosy, zupełnie niewidoczni. Aramande i Rufus, dwaj bracia, których zabrał po drodze, natychmiast zaczęli przymocowywać ładunki wybuchowe do przydrożnych drzew. Robili to bardzo zręcznie.

Podczas podróży oznajmili, że czasem brali udział w nielegalnej wycince w dżungli, gdy należało szybko powalić dużo drzew. Nolan, schludny starszy pan, otworzył pozostałe cztery skrzynki. Okazało się, że zawierają wszelkie rodzaje broni, jakich Newby zawsze chciał użyć przeciw najeźdźcom. Staruszek szybkimi, wprawnymi ruchami złożył ciężki pistolet, który nazywał „gromem”. Krótka lufa miała osiem centymetrów średnicy, a mechanizm ładujący wyglądał, jakby złożono go z części kupionych w sklepie żelaznym; nie było żadnej elektroniki. Wystrzelał pociski wielkości pięści. Nolan doczepił do tego duży magazynek i podał broń zachwyconemu chłopakowi.

- Dostaniesz ten, bo zawiera ładunki wybuchowe - wyjaśnił Nolan. - Innymi słowy, nawet jeśli nie strzelasz zbyt celnie, to nie szkodzi. Zakładamy, że bezpośrednie trafienie z takiej broni jest w stanie zabić człowieka w Skórze. Jeśli wybuchnie w pobliżu, to z całą pewnością uszkodzi kombinezon. A zatem, kiedy zatrzymamy jeepy i damy ci sygnał, zacznij strzelać najszybciej, jak potrafisz. Idea jest taka, żeby zniszczyć pojazdy i przerobić Skóry na miazgę. Potem wkładasz drugi magazynek i celujesz w poszczególnych żołnierzy, jasne? - Podał Carole drugi grom. - Wasza piątka będzie ostrzeliwać ich jednocześnie, kryjąc się między drzewami. W tych warunkach trudno im będzie odpowiedzieć ogniem, ale pamiętajcie, że ich sensory są bardzo wrażliwe, do tego mają AS. Rozumiecie? Dlatego musicie atakować bez przerwy.

- A co ty zrobisz? - spytała Carole.

Nolan otworzył ostatnią skrzynkę. W środku znajdował się karabinek o lufie długości prawie półtora metra. Nawet dla niewprawnego oka Newby'ego broń wyglądała zabójczo. Staruszek wyjął ją ze skrzynki i poklepał czule.

- Ja będę celował precyzyjnie.

Newby znalazł sobie drzewo o szerokim, solidnym pniu, ponad dwumetrowej średnicy, rosnące dwadzieścia metrów od szosy. Przyczajony pomiędzy dwoma wystającymi korzeniami, wyraźnie widział przed sobą popękaną wstęgę asfaltu. Okulary interfejsowe umożliwiały mu komunikację z pozostałymi. Nolan przyniósł je ze sobą, podobnie jak broń. Były połączone ze sobą światłowodem, który mężczyzna rozwinął na poszyciu.

- W ten sposób będziemy mogli się porozumiewać, nie siejąc danymi w eter - wyjaśnił. - Dzięki temu będziemy mniej widoczni.

A zatem Newby siedział na poszyciu, w niewygodnej pozycji, ze skrzyżowanymi nogami, a koszulka kleiła mu się do ciała od tej cholernej leśnej wilgoci. Oblazły go meszkity i z radością eksploatowały to nowe źródło pożywienia. Co kilka sekund odganiał te uciążliwe owady, czując kolejne ukąszenia. Teraz, gdy już zdołał się rozejrzeć, dostrzegł, że ich lśniące

gniazda oblepiają wszystkie okoliczne pnie.

Entuzjazm trochę osłabł, a narastające zdenerwowanie poważnie podkopywało jego pewność siebie. Podskakiwał niespokojnie za każdym razem, gdy w pobliżu rozległy się piskliwe głosy ptaków. Chciał, żeby to się już skończyło. Miał wrażenie, że zaczyna go łapać skurcz w lewej łydce.

- Coś słyszę. - W tej samej chwili rozległ się szept Russela.

- Co? - odpowiedziały mu szepty pozostałych.

- Może to oni?

- W porządku - oznajmił Nolan. - Zachowajcie spokój. To będzie krótkie, hałaśliwe i bardzo brutalne. Pamiętajcie o swoim celu i nie traćcie głowy. Musimy wspierać się nawzajem. Inaczej się nie uda.

- Nie zawiodę pana. - Newby poczuł zakłopotanie, gdy zrozumiał, że powiedział to głośno.

- Wiem, synu - odparł łagodnie Nolan.

- To oni! - syknął Aramande. - Widzę ich!

- W porządku. Rufus, nie zwlekaj za bardzo.

- Wiem, co robię, człowieku.

Newby poruszył się w swojej kryjówce i uniósł groma. Skierował grubą lufę w kierunku drogi. Faktycznie, nadjeżdżał nią jeep. Jego śladem jechał kolejny. Widział siedzący w środku patrol Skór. Pierwszy jeep prawie się z nim zrównał, gdy Rufus wysadził drzewo. Była to dość prosta zasadzka. Powalone drzewo miało zablokować drogę, zmuszając kierowców, by stanęli. Następnie drugie miało runąć tuż za nimi, odcinając drogę ucieczki. Żołnierze znaleźliby się w zabójczym polu, gdzie pociski z gromów rozerwałyby ich na strzępy.

Bracia naprawdę wiedzieli, co robią. Ładunek umieszczony w drzewie wyrwał duży kawał drewna. Nie było ani nadmiernego huk, ani błysku. Drzewo runęło z trzaskiem, zrywając setki pnącz wiążących je z resztą dżungli. Wylądowało prawie prostopadle do drogi, trzydzieści metrów przed pierwszym jeepem.

Newby zerwał się na nogi, celując z groma, naciskając palcem spust. Ale pierwszy jeep nawet nie zwolnił. Zobaczył kilka pomarańczowych błysków wylatujących z wnętrza samochodu. Dwa pociski wybuchły pośrodku powalonego drzewa. Były niezwykle silne - rozniosły na strzępy dużą część pnia. Z dwóch kul ognia buchnęły szrapnele drzazg wielkości noży, tnąc i rozrywając okoliczne krzewy. Dwa pozostałe odcinki pnia zostały odepchnięte na boki przez siłę wybuchu. Droga była znów przejezdna.



- Strzelaj! - wrzasnął mu ktoś do ucha.

Drgnął zaskoczony, gdy kilkadziesiąt zabójczych drzazg przecięło powietrze wokół niego, ale i tak zdołał nacisnąć spust groma. Odrzut prawie urwał mu rękę. Bóg jeden wiedział, gdzie wymierzony był ten strzał. Po chwili odzyskał równowagę i próbował wymierzyć w pierwszego jeepa, gdy ten mijał go w pędzie. Z drugiej strony drogi eksplodowały pociski. Fala uderzeniowa została wytłumiona przez drzewa, ale i tak rzuciła nim o pień, za którym się ukrywał. Okulary interfejsowe poleciały na bok. Wrzasnął z bólu, ale nawet sam się nie usłyszał. W uszach kłuło go boleśnie, lecz wokół panowała cisza.

W dżungli załomotały kolejne wybuchy - ostry pomarańczowo-fioletowy, dziwnie pulsujący blask. Najwyraźniej używali dwóch różnych typów broni - pierwsza była znacznie silniejsza.

Nogi ledwie były w stanie go utrzymać, ale zdołał przetoczyć się na bok, aż w końcu zwrócił się twarzą do drogi. Właśnie mijał go jeep. Chłopak uniósł groma, zdziwiony, ile krwi ścieka mu po rękach. Broń zachwiała się, gdy próbował ją wycelować w pędzący samochód. Nacisnął spust. Wtedy przesunął się po nim laserowy celownik. Przez chwilę widział tylko oślepiającą zieloną mgiełkę. Coś eksplodowało w połowie drogi pomiędzy nim a jeepem. Odrzuciło go, a potem zalała go straszliwa fala gorąca. Czuł, że skóra na policzkach i czole ściąga się od żaru. Włosy zadymiły, gdy padł na ostre, kłujące poszycie.

Newby zaśmiał się albo zapłakał, nie był pewien. Płuca miał rozedrgane, gardło zaciśnięte. Całe ciało zeszytywniało mu, gdy szok na chwilę stłumił ból. Niewiele widział, przed oczami miał tylko proste sylwetki. Zamrugał oczami i zaczął pełznąć po błocie oraz połamanych gałęziach. Z trudem uniósł się i uklęknął. Po uderzeniu lasera przed oczami latały mu szare plamy. Jęknął, gdy odrętwienie ustąpiło miejsca straszliwemu chładowi, który wgryzł mu się głęboko w ciało. Następnie dostał drgawek. Jeepy zniknęły. Pośród zwalonych drzew płonął ogień. Smugi dymu owijały się wokół pni, pnąc się w stronę baldachimu z pnącz.

Jakaś ciemna plamka przemknęła obok jego głowy, tak szybko, że wziął to za jakieś złudzenie, efekt uszkodzeń wywołanych działaniem lasera. Jednak w powietrzu pozostała jasna smuga.

Newby odwrócił się, aby zobaczyć, gdzie podział się ten pyłek. Smuga zakreślała ostro, z niewiarygodną prędkością, krążąc płynnie wokół okolicznych drzew, a potem skręcała o sto osiemdziesiąt stopni. Jego mózg wysłał sygnał ostrzegawczy do płuc i strun głosowych, każąc im krzyknąć.

Ale nie zdążył.

\*\*\*

Lawrence nie pozwolił im się zatrzymać, póki jeepy nie wyjechały na szczyt płaskowyżu i nie wydostały się z dżungli. Ostatni odcinek Wielkiej Pętli zdążył erodować na tyle, że teraz przypominał raczej ścieżkę między drzewami. Asfalt popękał i rozpadł się pod wpływem ciepła wody i korzeni. Budżet miasta był zbyt ograniczony, by pozwolić sobie na ponowne kładzenie nawierzchni w tej odległości od Memu Bay. Teraz koncentrowali się już tylko na oczyszczaniu drogi. Jeżdżące tędy pojazdy miały odpowiednie zawieszenie, by dać sobie radę z błotnistą ścieżką.

Jeepy też sprawdziły się doskonale. Wyszły z zasadzki cało, z nieco tylko pokierszowaną karoserią i nadpaloną farbą. Ale silnik i koła były całe.

Dermis zatrzymał się, gdy tylko sierżant mu na to pozwolił. Koła wbiły chmurę piaszczystego kurzu.

Lawrence się odwrócił. Pocisk snajpera trafił Edmonda w szyję, przebijając pancierz Skóry. Program medyczny kombinezonu nie mógł mu już pomóc. Nabój przez chwilę wirował w jego ciele, rwąc mięśnie, naczynia krwionośne i nerwy, strzaskał nawet dwa kręgi piersiowe, zanim wyleciał przez bark. Zbyt wiele obrażeń.

Hal obejmował rękami przyjaciela przez całą ostatnią godzinę. Mimo paraliżu połowy mięśni jego zrozpaczona mina stanowiła straszny widok.

- Nie żyje - jęknął Hal. Chwycił powietrze, a potem odetchnął. - Nie żyje. Nie żyje. - Kolejny ciężki oddech. - Sierzancie. Edmond. Nie. Żyje.

- Wiem, Hal. Przykro mi.

Krew pienila się w otworze pancierza i wsiąkała Halowi w koszulkę, gdzie krzepła, przybierając postać gęstej mazi.

Amersy, Lewis, Karl i Odel wysiedli z samochodu i podeszli z wahaniem.

- O, kurwa - mruknął Lewis na kanale ogólnym. - I co teraz?

- Nie wiedziałem, że tak będzie - powiedział Odel.

- Tak, kurwa, wiedziałeś! - rzucił ostro Karl. - Sierżant przecież nas ostrzegął. Widzieliśmy tych gnojków czatujących w lesie.

- Edmond nie żyje! - warknął Odel.

- Oni też! - W głosie Karla zabrzmiała mściwa satysfakcja. - Inteligentne pociski. Przed nimi nie uciekniesz.

- Dobry Boże, nie tak to miało wyglądać! - Odel odwrócił się od samochodu, opierając ręce na biodrach.

- Musimy go pochować - oznajmił Lawrence.

- Na pewno, sierzancie? - spytał z wahaniem Dennis.

- Trzeba go pochować. Dla Bryanta i Zhanga to tylko kolejny Jones. Nie możemy go przywieźć z powrotem. Nie możemy powiedzieć, co tu zaszło.

Hal wciąż obejmował przyjaciela. Dennis musiał rozewrzeć jego rękę, używając do tego celu sporej ilości swej wzmocnionej siły. Gdy ponieśli zwłoki, z tyłu rozbrzmiewały rozpaczliwe krzyki Hala. Bezradnie miotał rękami, kołysząc całym pojazdem.

Kierując się niewypowiedzianą umową, odeszli kilkaset metrów od szosy. Amersy i Odel zaczęli kopać w piasku, pracując szybko, bez słów. Potem umieścili w wykopanym dole zwłoki zmarłego, wciąż ubrane w Skórę, i zasypali je ziemią.

- Ktoś chce coś powiedzieć? - spytał Lawrence.

- Żegnaj, stary - powiedział Karl. - Jeszcze nie skończyłem z kumplami KillBoya. Zanim stąd odleciemy, zastrzelę dla ciebie paru z nich. Przrzekam.

Amersy westchnął.

- Dziękujemy ci za te chwile, które z nami spędziłeś. Byłeś dobrym człowiekiem i nie zostaniesz zapomniany. Powodzenia w ostatniej drodze. Niech Bóg przyjmie do siebie twoją duszę.

- Amen - mruknął Dennis.

- Amen - zawtórował Lawrence.

- I co teraz? - spytał Lewis, gdy podążali z powrotem do jeepów.

- Powinniśmy dotrzeć do Arnoon za jakieś pięć godzin - odparł Lawrence.

- To znaczy, że chce pan jechać dalej? - upewnił się Odel.

- Tak.

- Ale Edmond zginął. Ci buntownicy wiedzą już, że tu jesteśmy.

- Już nie wiedzą - uciął Karl. - Oni też nie żyją. Zasłużyliśmy na te pieniądze, chłopie.

- Jeśli chcesz wracać, to wróć - powiedział spokojnie Lawrence. - Nikt cię nie zatrzyma ani nie będzie miał za złe. Od początku mówiłem, że macie wolny wybór.

- Niech szlag trafi KillBoya - zaklął Odel. - Oby skurwysyn usmażył się w piekle.

- W porządku, zaczynamy. - Lawrence zwrócił się do Dennisa. - Zajmij się Halem. Umyj go, chyba mamy też czyste koszulki. Ja poprowadzę. Odel, jedziesz z nami. Zintegruj się ze stelażem inteligentnych pocisków.

- Myśli pan, że znów zaatakują? - spytał Lewis.

- Musieliby być bardzo głupi - stwierdził Amersy.

\*\*\*

Denise zdołała utrzymać prędkość około stu czterdziestu kilometrów na godzinę,

mknąć poprzez okoliczne wioski. Kołysała się z boku na bok, płynnie synchronizując się z ruchami serwowymotoru, zręcznie wymijając zwaliste ciężarówki i rozpadające się dostawczaki. Laser scarreta, Prime i jej b-wpisane neurony tworzyły razem bardzo skuteczny mechanizm naprowadzający, pozwalający maksymalnie wykorzystać możliwości pojazdu. Rudery budynków migały po bokach, zredukowane do postaci strumienia ponurych barw na skraju pola widzenia. Kobieta nie spuszczała oczu z drogi, wypatrując przeszkód. Rowery stanowiły nieustający problem. Ludzie także stwarzali spore zagrożenie, zwłaszcza dzieci wybiegające nagle na szosę. Nie wiedziała już, ile razy wymijała je o grubość lakieru, zostawiając za sobą przeraźliwie wrzeszczącego malca.

W miarę zbliżania się do granicy ruch trochę osłabł, a przerwy między kolejnymi pojazdami stały się dłuższe. Wtedy zwiększyła dopływ mocy do silników w piastach. Skulona za starannie wyrzeźbioną elipsoidą owiewki czuła po bokach bezlitosne smaganie wiatru. Asfalt rozmazał się w lśniąca smugę pod grubymi, miękkimi oponami. Znów poczuła napływ ludzkich emocji. Ostre uderzenie adrenaliny wyzwolonej szaleńczą jazdą na granicy bezpieczeństwa. Satysfakcja drapieźnika doganiającego ofiarę. A jeszcze głębiej czaił się bolesny głód, płynący z czystego pragnienia zemsty.

Z rykiem wypadła z płytkiej dolinki i zobaczyła przed sobą otwarty teren. Pasma Gór Mitchella przecinało horyzont, wznosząc się wysoko ponad dżunglą. Była w stanie wymienić nazwy wszystkich szczytów rysujących się na tle turkusowego nieba, jednego po drugim. Nie widziała ich już od wielu miesięcy. Były jej towarzyszami z dzieciństwa i sam ich widok wystarczył, by podnieść ją na duchu. Pomimo wszelkich przeciwności wracała do domu. Samotność już wkrótce miała dobiec końca.

Oczywiście, gdy tylko wjechała do dżungli, znów musiała zwolnić. Asfalt był popękany i śliski od przejrzałych owoców. Woda zbierała się w dziurach i parowała pod wpływem ciepła. Nawet mając do dyspozycji motocykl wyposażony w aktywne systemy stabilizacji i kompensatory, musiała prowadzić ostrożnie.

Wcześniej miała jeszcze nadzieję, że zdoła dogonić jeepy, zanim wjadą w zasadzkę; może nawet minie je, by wspomóc Newby'ego, Nolana i resztę. Teraz musiała się z nią pożegnać.

Gdy Wielka Pętla zwięzła się na tyle, że korony drzew spotkały się w górze, odcinając światło słoneczne, Denise włączyła reflektory. Był to wyjątkowo ponury odcinek trasy. Miała wrażenie, że błękitnobiała wiązka światła zamiast oświetlać okolicę, dodatkowo pogłębia otaczający mrok. Poszycie porastające obrzeża szosy było pokryte śluzem i pleśnią; liście, pozbawione światła, rosły długie i powykrzywiane, miały bladą i niezdrową barwę. Jedyłą

rozwiniętą formę życia stanowiły meszkity, lęgające się tysiącami w gnijącym leśnym runie.

Motocykl toczył się środkiem zaniedbanej drogi. Jego zaawansowana konstrukcja wciąż pozwalała na komfortową jazdę po nierównej nawierzchni. Denise wyłączyła radar laserowy, by Skóry nie wykryły jej obecności. Sama starała się ich wyczuć każdym ze swych wzmocnionych zmysłów.

W końcu okazało się, że to wcale nietrudne. Gazy pozostałe po wybuchach długo unosiły się w nieruchomym powietrzu. Denise wyczuła je, jeszcze zanim przybyła na miejsce zasadzki. Wyjeżdżając zza zakrętu, dostrzegła wiązki promieni słonecznych padające z góry w miejscach, gdzie runęły drzewa. Wysunęła podpórki i zaparkowała pojazd. Ładunki wybuchowe wydarły olbrzymie wyrwy w okolicznej roślinności. Strzaskane pnie nadal dymiły. Pośrodku drogi znajdował się płytki krater, z obu stron otoczony przez resztki drzewa. Nietrudno było się domyślić, co tu zaszło. Powalone pnie miały zatrzymać samochody, uwięzić je w strefie śmierci. Tyle że Skóry wyeliminowały tę przeszkodę przy użyciu własnej broni.

Z pomocą Prime'a myszkującego w plikach Z-B dowiedziała się, że żołnierze przywieźli na Thallspring broń bardzo ciężkiego kalibru, ale nigdy wcześniej jej nie używali. Newton prawdopodobnie pobrał ją z magazynu bez czyjejkolwiek wiedzy, podobnie jak ona wcześniej podprowadziła miny przeciwpiechotne.

Było to bardzo niepokojące odkrycie. Wszystko wskazywało, że to właśnie Newton kieruje dzikim Prime'em. Co z kolei oznaczało, że musiał wiedzieć o istnieniu smoka. Ale skąd? Czyżby ktoś mu powiedział? Czy była to ta sama osoba, która dała mu program?

A teraz poprowadził swój pluton na jakąś prywatną misję w głąb lądu. Mógł istnieć ku temu tylko jeden powód.

Denise rozejrzała się po okolicy, próbując ustalić, co się stało z członkami komórki. Miała niejasną nadzieję, że dowie się od nich czegoś istotnego. Potem jednak zobaczyła powalone drzewo, zbryzgane czerwoną cieczą. Wokół niego roiała się chmara meszkitów. Padały na ziemię równie szybko jak nadlatywały; setki leżały już na ziemi, martwe. Podeszła bliżej, by się temu przyjrzeć i poślizgnęła się na jakiejś grudce o konsystencji twardej galarety. Spojrzała w dół i skrzywiła się z niesmakiem.

Okazało się, że członkowie komórki jednak nic jej nie powiedzą.

Pospiesznie wróciła do pojazdu. Perła w jej pierścionku wykorzystywała przekaźnik satelitarny, by połączyć się z Arnoon. Połączenie było zabezpieczone przez Prime'a i mocno zaszyfrowane. Nawet teraz pozostawało niewielkie ryzyko przechwycenia wiadomości, ale nie miała wyboru.

- Denise! - wykrzyknęła Jacintha. - Po co ten szyfr? Wiesz coś o Josepie? Tak się martwiliśmy!

- Obawiam się, że mamy teraz większe problemy.

\*\*\*

Nazwa „Wielka Pętla” zdawała się teraz już tylko kiepskim żartem. Nie było słupów z transponderami. Roboty konserwacyjne nie oczyszczały tego odcinka już od wielu lat. Autostrada miała tutaj postać dwóch nierównych kolein wyżłobionych w ziemi przez nieliczne ciężarówki i pikapy, które nadal przemierzały płaskowyż. A nawet one nie trzymały się oryginalnej trasy. Im większe robiły się na niej kałuże, tym chętniej kierowcy zjeżdżali w bok, by je ominąć. Na tych zakrętach tworzyły się nowe dziury, aż w końcu łuki stawały się coraz szersze.

Lawrence co chwila kręcił kierownicą, by utrzymać się na zygzakującej trasie, omijając niewidoczne przeszkody. Nie było żadnych kałuż - w tej części płaskowyżu już od dawna nie widziano żadnych opadów. Koła jeepa wzbijały obłoki kurzu, podskakując na koleinach. Pył dostawał się wszędzie. Hal musiał włożyć papierową maskę z podróźnej apteczki. Skrzela Skór co chwila wyrzucały cząsteczki brudu z membran swoich filtrów.

Lawrence nieustannie zerkał na swój wewnętrzny wyświetlacz nawigacyjny, by upewnić się, że wciąż podąża we właściwym kierunku. Nie było innej metody. Plik z mapą płaskowyżu pochodził z poprzedniej wyprawy - od tego czasu nie naniesiono na niego żadnych aktualizacji. Według niego Wielka Pętla wciąż prowadziła bezpośrednio od jednej osady do drugiej.

Gdy dotarli do prowincji Rhapsody, przez chwilę miał wrażenie, że nawet wewnętrzna mapa nie działa. Nigdzie nie widział ani śladu wydobycia boksytów. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że stożkowate wzgórki wznoszące się przed nimi to stare hałdy kopalniane - obecnie trochę wyższe i porośnięte chwastami. Roślinność miała wyraźnie cytrynowy odcień, jakby okoliczna flora chorowała na żółtaczkę.

- Ciekawe, czy zamknęli tę kopalnię na stałe - zastanawiał się.

- Nic tu się nie dzieje - stwierdził Dennis. - Może dali sobie spokój.

- To by wyjaśniało, dlaczego droga jest taka zapuszczona.

Minęli pierwsze dwie hałdy, a potem skręcili pomiędzy nie. Gdzieś w głębi leżało Dixon. Lawrence nie miał ochoty tam jechać, ale droga nie prowadziła nigdzie indziej. Pomimo swej solidnej konstrukcji jeepy nie byłyby w stanie przejechać po nieubitej ziemi.

- Ktoś za nami jedzie, sierżancie - oznajmił Lewis. -

I to bardzo szybko.

Lawrence wyświetlił siatkę telemetryczną Lewisa i uruchomił własne czujniki wizualne. Rzeczywiście, jakiś drobny pyłek pędził przez płaskowyż. Znajdował się stanowczo za daleko, by zobaczyć, co to jest, ale z całą pewnością pokonywał tę samą drogę znacznie szybciej.

- Nie spuszczać go z oka - polecił Lawrence. - Żadnych aktywnych sensorów. Ale dajcie znać, gdy tylko będzie go widać wyraźnie.

- Nie ma problemu, sierżancie.

Dixon wciąż było na swoim miejscu, a przynajmniej większość miasteczka. Pierwszą rzeczą, która przykuła uwagę Lawrence'a, był brak ogromnych warsztatów. Drzwi stały otworem, ukazując olbrzymi procesor wydobywczy stojący w środku. Betonowe prostokąty znaczyły miejsca, gdzie znajdowały się pozostałe hale, powoli zasypywane niesioną wiatrem ziemią. Jeden z nich służył obecnie za parking dla ciężarówek. Dwie z nich były zarzucone niewielką ilością aluminiowych sztab - było ich za mało, by mogły wypełnić choćby jedną ciężarówkę.

Domy pozostały na miejscu, choć większość z nich miała okna zabite deskami. Wszystkie szczeliny zasypał ziarnisty kurz. Lawrence zauważył, że zabrano wszystkie klimatyzatory, pozostawiając puste metalowe uchwyty.

Spojrzał na ośmiokątny budynek za miastem, w którym kiedyś znajdowała się elektrownia. Sieć ciągnących się wokół czerwonych przewodów zniknęła. Teraz pozostała już tylko jedna prosta linia słupów prowadzących jeden kabel przez łąkę. Gdy przeszedł na podczerwień, ściany i dach załśniły bladym koralowym różem, kontrastując z ciemnym cynobrem otaczającej ziemi.

- Mają prąd - stwierdził.

- Ktoś jest w domu? - spytał Dennis. Był tak zdenerwowany, że to wcale nie zabrzmiało żartobliwie.

- Ktoś musi być. Przecież wciąż tam pracują - dodał Odel. - Pałą się światła w hali.

- Pewnie nas zauważyli - stwierdził Karl. - Gdzieś się chowają.

- Skąd wiedzieli, że to my? - zdziwił się Amersy. - Przecież nigdzie tego nie rozgłaszaliśmy.

Jeep Lawrence'a dotarł do pierwszych budynków. Ostrożnie skierował go w stronę ulicy głównej, przeczesując okolicę sensorami, poszukując śladów jakiegokolwiek ruchu.

- Nie obchodzi mnie, gdzie są, jeśli tylko nie będą nam wchodzić w drogę. Jedziemy dalej.

- Sierżancie! - wrzasnął Odel. - Atak z powietrza!

Siatka telemetryczna Odela wyświetliła się Lawrence'owi przed oczami. Po niej przesunęły się dane. Trzy kilometry na zachód, na wysokości pięciuset metrów, utrzymywał stały poziom przy prędkości czterystu kilometrów na godzinę. Metr długości. Nie miał odpowiednika w asortymencie zbrojowni.

- Co to ma, kurwa, być? - mruknął. Przedmiot miał niewielki ślad w podczerwieni i żadnej emisji elektromagnetycznej.

- Drona zwiadowcza! - zawołał Lewis. - Śledzą nas!

„Ale kto?“, zastanawiał się Lawrence. Z jakiegoś powodu nie podejrzewał, by KillBoy korzystał z takich urządzeń. To mogli być mieszkańcy Arnoon. Mieli dość pieniędzy i odpowiednią technologię, aby strzec swojego terytorium. Mimo pewnego zaniepokojenia poczuł też radość. „A jednak miałem rację“.

- Raczej pocisk samosterujący - odparł Dennis.

- Amersy, maksymalna prędkość - oznajmił Lawrence.

- Wynośmy się stąd. Odel, weź inteligentny pocisk i zestrzel to.

- Tak jest, sir!

Lawrence przyspieszył. Główna ulica miasteczka stanowiła najlepszy odcinek drogi od czasu zasadzki. Jeep bez problemu wyciągał tu sto na godzinę. Zobaczył, że Amersy bez problemu dotrzymuje mu tempa. Ze stelaża pocisków trzymanego przez Odela wystrzelił jeden pomarańczowy pióropusz. Sensory prześledziły trasę pocisku, który wbił się w górę i zakreślił łuk, zmierzając w stronę niezidentyfikowanego obiektu... czymkolwiek właściwie był.

Mocniej docisnął gaz, wypadając na główny rynek. Siatka wyświetliła milczące ostrzeżenie, a chwilę później w jego Skórę uderzył niezwykle silny impuls elektromagnetyczny. Cała elektronika została zabezpieczona, ale fala energii i tak zdołała przeładować kilka pereł neutronowych. Funkcje, które nie były niezbędne do funkcjonowania kombinezonu, zaczęły się powoli wyłączać.

Jeep zamarł w miejscu. Wszystkie układy elektroniczne przestały pracować jednocześnie, deska rozdzielcza nawet nie zamigotała, po prostu natychmiast zgasła. Prawie zdołali przejechać przez rynek. Główna ulica skręcała tu w prawo. Lawrence skręcił kierownicę, ale przy wyłączonym silniku poruszała się ślamazarnie. Nadepnął na hamulec, opony prześlizgnęły się po sypkim piasku.

Prawy zderzak zahaczył o budynek na rogu ulicy. Maska przebiła ścianę, rozwalając kompozytową płytę na drobne odłamki. Następnie prawe przednie koło uderzyło w jeden z betonowych filarów. Nadmiernie obciążony AS Skóry nie utwardził na czas pancerza.



Kolumna kierownicy przebiła kombinezon i wbiła się w ciało, z lewej strony tuż pod żebrami.

Odel został wyrzucony z siedzenia i przeleciał przez szybę. Wpadł na ścianę budynku, rozbijając jeszcze kilka paneli. Pasy bezpieczeństwa, którymi przypięli Hala, napięły się, a potem rzuciły go z powrotem na siedzenie. Chłopak runął bezwładnie na fotel, mrugając powiekami. Na czystej koszulce pokazały się krwawe punkciki wykwitające wokół modułów medycznych. Dennis wyleciał przez drzwi. Jego pancerz stwardniał gwałtownie, gdy uderzył o nawierzchnię drogi.

Amersy zobaczył, co się dzieje, i zdołał skrócić kierownicę. Naciskanie hamulców nie miało żadnego wpływu na ich prędkość. Patrzył, jak pierwszy z jeepów wbija się w ścianę budynku. Tylne zderzak aż uniósł się w powietrze, gdy walnął w filar. Kierownica była już zablokowana, nie mógł skrócić jej bardziej. Ominął rozbitego jeepa o mniej niż pół metra, ale znalazł się w pozycji niemal prostopadłej do ulicy. Spróbował odkręcić kierownicę, czując, że koła wpadają w poślizg. Potem wpadli na coś dużego pośrodku drogi; moment pędu przewrócił samochód. Jeep był wyposażony tylko w jeden stabilizator poprzeczny, który prawie zadziałał. Amersy zobaczył, jak horyzont przechyliła się szybko, a potem ziemia zmienia się w niebo. Spadła wprost na jego hełm. Pancerz stwardniał, chroniąc go przed zabójczym ciosem. Świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. I jeszcze raz. I jeszcze...

Lewis wytoczył się z koziołkującego jeepa przy drugim dachowaniu. Skóra stwardniała mocno, pomagając mu utrzymać pozycję gwiazdy, gdy sunął po ubitej drodze, a potem wpadł na podmurówkę budynku. Skóra wypuściła go z uścisku, a wtedy runął bezwładnie na ziemię. Gdy uniósł głowę, zobaczył, że jeep zatrzymał się w końcu, leżąc na dachu, kołami do góry. Stabilizator wygiął się, więżąc Amersy'ego i Karla w środku. Mężczyzna wstał i chwiejnym krokiem ruszył w ich stronę.

Amersy w połowie był już na zewnątrz, usiłując wyczołgać się z wraku, ale podwozie przygniotło mu nogi. Lewis chwycił wrak, zapał się nogami i uniósł go w górę.

Amersy pospiesznie się wyczołgał.

- Dzięki.

- Co to, kurwa, było?

- Chyba jakaś e-bomba. Wyszadziła wszystkie obwody w jeepie. Nawet moja Skóra oberwała.

- Ja pierdołę! Skąd KillBoy miałby wziąć e-bombę?

- Diabli wiedzą. - Amersy znów spojrzał na pierwszego jeepa. - Sierzancie?

- W porządku.

- Potrzebujecie pomocy?

- Chyba nie. Jak tam u was, chłopaki?

W tej samej chwili Amersy dostrzegł kałużę krwi rozlewającą się spod jeepa.

- Jezu! Karl? Karl, słyszysz mnie?

Spojrzał na siatkę telemetryczną mężczyzny, która była niemal pusta. Jego Skóra wciąż zachowała kilka funkcji, serce także biło, ale poza tym nie widział zupełnie nic.

Obaj padli na kolana i zajrzeli w szparę pod wrakiem. Skóra Karla została rozerwana przez powykręcane fragmenty blachy. Kilka z nich wciąż wbijało się w ciało.

Amersy przeszedł na głośniki.

- Trzymaj się, Karl, zaraz cię wydostaniemy.

- Będziemy musieli przewrócić ten wrak - zauważył Lewis.

- To chyba nie będzie problem. - Chwycili go z dwóch stron. - Gotów? Dobra, unoś! - Wrak wydał ciężki metaliczny zgrzyt i przechylił się powoli. Potem dłoń Lewisa ześlizgnęła się po ramie i pojazd znów opadł o parę centymetrów.

- O, cholera - stęknął mężczyzna, opierając dłoń w innym miejscu. - Zbiornik pękł, paliwo wycieka.

- Świetnie.

Zdołali prawie przewrócić samochód na bok, gdy czujniki Amersy'ego wykryły niewielki pocisk. Białoniebieska iskra trafiła w jeepa, momentalnie zapalając paliwo wysokowodorowe. Wrak momentalnie stanął w płomieniach. Amersy i Lewis puścili go z trzaskiem.

- Padnij! - zarządził kapral, rzucając się na ziemię.

Bak eksplodował.

\*\*\*

Lawrence nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Gdy poczuł ból, uznał, że prawdopodobnie niedługo, bo kurz wciąż wirował wewnątrz wraka. Amersy wywołał go na kanale ogólnym, a on zapewnił, że z nim wszystko w porządku, choć było widać, że kłamie. Kolumna kierownicy wciąż wbijała mu się w bok. Program medyczny Skóry przewijał kolejne dane: uszkodzona tkanka, pęknięta miednica, kombinezon wciąż pompował mu inhibitory do krwi. Lawrence oparł obie dłonie na desce rozdzielczej i odepchnął się od niej. Jego ciało cofnęło się lekko, ześlizgując się z kolumny kierownicy.

Mimo działania leków przeciwbólowych Lawrence aż jęknął z bólu. Potem mięśnie Skóry zmieniły położenie, zasklepiając ranę. Wewnętrzna warstwa kombinezonu wstrzyknęła do rany antyseptyki, anestetyki i substancje wiążące. Bolesne miejsce ogarnął przyjemny chłód.

Lawrence odwrócił się, chcąc zobaczyć, co się dzieje z Halem.

- Słodki Losie. - Chłopak zwiślał bezwładnie w pasach, z głową zwieszoną na piersi. Wszystkie jego moduły medyczne zostały wypalone przez e-bombę. AS Skóry Lawrence'a nie otrzymywał od nich żadnej odpowiedzi. Na koszulce widać było niewielkie plamki krwi w miejscach, gdzie impet zderzenia powyrywał wtyczki modułów.

- Sierzancie? - Odel wykuśtykał z domu. Jedna z jego nóg miała niewłaściwy kształt. - Wszystko w porządku?

- Jasne. - Lawrence wywlókł się z siedzenia kierowcy.

- A ty?

- Żadnych problemów.

- Dobra, a teraz wyciągnijmy Hala.

- Gdzie jest Dennis?

Lawrence rozejrzał się wokół. Pośrodku drogi leżał zmasakrowany kombinezon. Drugi jeep musiał wpaść prosto na niego.

- Kurwa mać! - Siatka Dennisa była martwa.

„Nie żałuj poległych - oni nigdy nie podziękują ci za troskę. Troszcz się o bezpieczeństwo żywych”. Lawrence niemal usłyszał w myślach chrapliwy głos Ntoko.

Odpiął Halowi pasy i wyciągnął go z tylnego siedzenia.

- Przynieś apteczkę - polecił Odelowi.

Na ulicy nastąpiła eksplozja. Lawrence zobaczył kulę ognia wykwitającą ponad drugim jeepem. Wrak poderwał się w górę, niesiony siłą wybuchu.

- Amersy, kryj się. Zostaliśmy zaatakowani. Znajdź i zniszcz.

- Tak jest.

Dwaj żołnierze w Skórach leżący na ziemi obok płonącego jeepa zerwali się na nogi i biegiem rzucili w stronę najbliższych budynków.

Lawrence objął Hala ramieniem, unosząc go ostrożnie, po czym sięgnął na siedzenie po stelaż na pociski. Następnie wszedł do budynku poprzez wyłom w ścianie.

Pomieszczenie było puste. Kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do ciemnego korytarza. Po bokach miał sześć par identycznych drzwi, a przed sobą schody. Pobiegł do samego końca i kopnął w ostatnie drzwi. Był to kolejny pusty pokój. Przez szpary w deskach wpadały wąskie promienie światła. Ostrożnie posadził Hala w kącie.

Odel postawił apteczkę na podłodze i uniósł wieko.

- Mamy tu coś, co mu pomoże?

- Nie wiem. - Lawrence włączył próbnik diagnostyczny. Poczł ulgę, gdy na

urządzeniu zapalił się wyświetlacz. Impuls elektromagnetyczny nie uszkodził urządzeń, które były włączone w momencie ataku. Dane zaczęły napływać do jego AS.

W oddali rozległo się terkotanie karabinów.

- Odel, idź im pomóc.

- Się robi, sierżancie.

- Hej, bądź ostrożny, co? Te skurwysyny wiedzą, co robią.

- Ja też.

\*\*\*

Amersy biegł zaułkiem odchodzącym w bok od głównej ulicy. Niewiele rzeczy mogło mu tu zapewnić osłonę. Domy z prefabrykatów były rozmieszczone w odległości dwudziestu metrów od siebie. Układ ulic był tak przejrzysty, że niemal widać było, co się dzieje na drugim końcu miasta. Co oznaczało, że jego przeciwnicy mają dokładnie takie samo pole widzenia. A on nie miał pojęcia, gdzie ich szukać.

Lewis zanurkował do wnętrza drugiego domu przy bocznej uliczce. Amersy biegł jeszcze przez chwilę, po czym skręcił. Wyświetlił sobie mapę Dixon z zaznaczoną własną pozycją. AS oszacował z grubsza, skąd mógł wylecieć pocisk.

Dzięki połączeniu komunikacyjnemu namierzył Lewisa i naniósł na mapę również jego pozycję.

- Lewis, słuchaj, musimy ich wziąć w kleszcze. Masz dane taktyczne?

- Są online, kapralu.

- Idź przed siebie jeszcze przez sto dwadzieścia metrów. Będą trzy ulice po lewej.

Wtedy powinni się znaleźć pomiędzy nami.

- Jasne.

Lewis pobiegł truchtem trasą wyznaczoną przez AS. Karabinek wysunął się z wnęki na przedramieniu. Gdy dotarł do skrzyżowania, zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Dwa domy dalej dostrzegł jakiś ruch. Jego AS pokazał mu tę scenę w zwolnionym tempie. Była to kobieta, mniej więcej dwudziestoletnia, ubrana w dżinsy i żółty podkoszulek. W lewej ręce niosła jakiś perłowobiały cylinder. AS nie potrafił go przyporządkować do żadnej znanej broni.

Zmienił amunicję na pociski ze zubożonego uranu i strzelił prosto przez ścianę. Panel kompozytowy zdeintegrował się, gdy pocisk o wysokiej penetracji przebił go na wylot. Nic w tym budynku nie było w stanie go zatrzymać. AS Skóry wyświetlił schemat wskazujący na wysokie prawdopodobieństwo trafienia. Lewis przerwał ogień i pobiegł do miejsca, gdzie zniknęła kobieta.

- Widzę nieprzyjaciela, kapralu. Ruszam w pościg.

- Przyjąłem. Trafiłeś go?

Lewis dotarł do rogu ulicy i skoczył. Dzięki temu jego ciało nabrało trajektorii, jakiej najmniej spodziewał się przeciwnik. Przeleciał obok węgła budynku na wysokości półtora metra. Przez cały czas mierzył w dół. Sensory przeczesywały okolicę. W ścianach budynku widać było dziury pozostawione przez pociski uranowe. Trzy filary zostały strzaskane, ale nigdzie nie było widać ciała. Gdy tylko dotknął ziemi, od razu rzucił się biegiem. Wpadł za róg i przykucnął przy filarze.

- Cholera, chybiłem, kapralu.

- Okej. Zbliźmy się, muszą gdzieś tu być.

Lewis wstał i skręcił w najbliższą uliczkę, kierując się w stronę kaprala. Zdążył przejść może dziesięć kroków, gdy wyświetlacz siatki rozpadł się na chmurę niebieskich błyskawic.

- Co to ma... Jezu, tylko nie teraz!

Podczas ataku impulsem elektromagnetycznym perły neurotronowe Skóry musiały oberwać mocniej, niż mu się zdawało. Czekał, aż forteca e-alfa zrestartuje padłe oprogramowanie. Jednak rój błękitnych punkcików nagle zniknął, pozostawiając go bez jakichkolwiek danych.

- Kurwa jego mać!

Gdy kobieta wyszła zza budynku odległego o dwadzieścia metrów, niemal zatrzymał się jak wryty. Stała spokojnie, patrząc na niego.

Lewis warknął, unosząc karabinek. Nawet bez pomocy automatycznego celownika z takiej odległości był w stanie trafić choćby w groszek. Jednak strzał nie padł. Nacisnął spust raz, potem drugi i trzeci. Impuls powinien powędrować wprost do broni. Ale nic się nie stało.

Wtedy rzucił się biegiem. Jeśli liczyła na to, że nie użyje siły przeciw kobiecie, to się pomyliła.

Nagle poczuł, że w ogóle nie posuwa się do przodu. Miał wrażenie, że brodzi po uda w gęstym błocie. Po chwili zdał sobie sprawę, że mięśnie Skóry przestały go słuchać. Jego własne ludzkie nogi musiały poruszać cały kombinezon.

- Kapralu! - wrzasnął. - Kapralu, ta pierdolona Skóra padła! Kapralu!

Nie mógł się poruszyć. Mięśnie kombinezonu napięły się i stwardniały, więząc go jak w trumnie. Runął na ziemię. Z jakiegoś powodu sensory wizualne pozostały sprawne. Kątem oka zobaczył, jak kobieta wolnym krokiem zmierza w jego stronę. Zatrzymała się obok, a jej znoszone trampki prawie dotknęły jego barku.

Lewis z trudem wciągnął powietrze do płuc.

Bezpieczniki! Co się stało z bezpiecznikami? Chciał krzyknąć do kobiety, by mu pomogła i otworzyła hełm Skóry. Ale brakowało mu powietrza.

Kobieta pochyliła się lekko, jakby chciała mu się przyjrzeć. Potem uniosła dłoń ponad hełmem, szeroko rozkładając palce. Następnie zamknęła je powoli, tworząc pięść.

Lewis poczuł, że mięśnie Skóry z wolna się naciągają. Przez chwilę miał nadzieję, że to e-alfa restartuje kombinezon. Ale potem zaczęły zaciskać się nieustępliwie. Miał jeszcze dość powietrza w płucach, by krzyknąć, kiedy pękły mu żebra. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była zaciskająca się pięść.

\*\*\*

AS Lawrence'a nie potrafił pomóc Halowi - chłopak potrzebował po prostu nowych modułów. Niektóre z nich były tak specjalistyczne, że prawdopodobnie nie mieli ich nawet w Memu Bay. W apteczce znajdowały się tylko urządzenia do pierwszej pomocy i kapsułki preparatów używanych przez moduły wspomagające narządy.

Próbnik diagnostyczny wykazał nienaturalny skład krwi. AS Lawrence'a wyświetlił listę leków mogących temu przeciwdziałać, ale nie potrafił ocenić, czy taki skład krwi jest niepożądany w obecnym stanie pacjenta. Ostatecznie zdecydował się na podawanie niewielkich dawek leków.

Hal jęknął, wolno poruszając głową z lewa na prawo.

Lewis zniknął z siatki telemetrycznej Lawrence'a.

- Amersy, co tam się, kurwa, dzieje?

- Lewis zniknął. Nie wiem, co...

Głos Amersy'ego ucichł. Potem wyświetliło się ostrzeżenie, którego Lawrence nigdy dotąd nie widział. Dopiero po chwili rozpoznał symbole. Jego Prime przejął kontrolę nad perłami neurotronowymi Skóry, zastępując standardowy program AS.

- Amersy, Odel, słuchajcie. Wasze Skóry zostały zinfiltrowane przez bardzo potężne wrogie oprogramowanie. Zamknijcie wszystko i zrestartujcie system. Nie korzystajcie już z łącz komunikacyjnych. Zostały zhackowane. Powtarzam, nie korzystajcie z łącz komunikacyjnych.

Odczyt telemetryczny Odela zniknął.

- Słodki Losie. - Lawrence zażądał opisu sytuacji od swojego Prime'a i przebiegł wzrokiem indygowy skrypt. Prime zablokował próbę infiltracji jego kombinezonu. Napastnicy próbowali użyć swojego Prime'a, by zhackować jego AS, a zatem musieli przybyć z prowincji Arnoon. Prawdopodobnie kupili swoją kopię Prime'a na Ziemi - choć teraz było

już właściwie bez znaczenia, skąd ją wzięli.

Znów usłyszał terkotanie karabinka, jeśli przechwycili ich komunikację, to znali jego położenie co do milimetra. Chwytał stelaż inteligentnych pocisków i podłączył kabel transmisji danych do portu w Skórze. Prime załadował pociski.

Lawrence wstał. Prime wyświetlił mapy, na które nanosił różne scenariusze taktyczne. Sierżant był już w progu, gdy Hal jęknął żałośnie. Lawrence zacisnął zęby.

\*\*\*

Amersy zrobił dokładnie to, o co prosił Lawrence, i natychmiast wyłączył całą Skórę. Przez chwilę czuł się jak w pułapce: uwięziony w ciasnej, pozbawionej powietrza ciemności. Miał pełną świadomość tego, jak bardzo jest teraz odsłonięty na wszelkie ataki: wielka postać stojąca bez ruchu pośrodku ulicy. Potem AS rozpoczął restart. Sensory znów zaczęły działać.

Cała ta misja przerodziła się w katastrofę i to stanowczo za szybko. Nie wiedział, czym dysponują napastnicy z Arnoon, ale z całą pewnością okazało się godnym przeciwnikiem dla Skóry. Teraz wiedział, że Lawrence zdecydowanie nie docenił nieprzyjaciela. Reszta plutonu nigdy nie miała dotrzeć do swego garnca złota. Ich leniwe marzenia o powrocie z płaskowyżu z pełnymi kieszeniami zginęły razem z nimi. Teraz należało tylko ująć z życiem.

Gdy wróciła mu zdolność ruchu, natychmiast pobiegł do najbliższego budynku i wpadł do środka, nie otwierając drzwi. Szybko otworzył Skórę. Wychodząc, wydał AS kolejne instrukcje.

\*\*\*

Denise jechała prawie sto na godzinę, mijając pierwsze budynki Dixon.

- Amersy przestał nadawać - oznajmiła Jacintha. - Gangel, idź zobacz, czy jeszcze żyje.

- Mam ostatnie położenie Odela - dodała Denise. - Zajmę się nim.

- Bądź ostrożna - ostrzegła Jacintha. - Wiemy, że Prime'owi nie udało się zinfiltrować jego Skóry. Cholera, ten Newton jest dobry.

- Mów mi jeszcze.

- Eren, pomóż Denise.

- Jestem trzydzieści sekund od niej - zapewnił Eren.

Denise przyhamowała i przejechała skrajem głównego placu. Odel mógł znajdować się w każdej z bocznych uliczek. Na szczęście, łatwo było wysledzić Skórę - jej ciepło zostawiało ślad na piasku, równie wyraźny jak neonowy szyld. Czowała, że Eren idzie równoległą ulicą. Siedemdziesiąt metrów dalej na ziemi lśniły gorące ślady. Prowadziły do

jednego z budynków, drzwi jeszcze kołysały się na zawiasach.

- Mam go - oznajmiła. Zwolniła do prędkości idącego człowieka i zbliżyła się do budynku.

Po opuszczonym mieście poniosło się echo serii z karabinku.

- Amersy nadal żyje - posumowała sucho Jacintha. - To były pociski uranowe. Ostrożnie, ludzie.

Denise zatrzymała się dziesięć metrów od domu i w tej samej chwili Eren ukazał się na sąsiednim skrzyżowaniu. Zamachał lekko.

- Obstawiaj drugą stronę - poleciła. - Skóra potrafi przejść przez taką ścianę, jakby była z papieru.

- Jasne. - Eren pobiegł na tyły budynku.

Denise wyjęła z torby pistolet elektronowy. Małe urządzenie dopasowało się do kształtu dłoni, pozwalając celować instynktownie.

Znów rozległy się strzały z karabinka. Jacintha i Gangel rozpętali strzelaninę pięć przecznic dalej. Budynek znajdujący się dwadzieścia metrów za plecami Denise został podziurawiony pociskami. Jacintha i Gangel odpowiadali ładunkami e-m. Kompozytowe panele zapłonęły, w górę buchnęły ściany ognia.

- Gotów - oznajmił Eren.

Denise zsiadła z motocykla i stanęła przed drzwiami wciąż chwiejącymi się na wietrze.

„Coś jest nie tak - pomyślała. - To stanowczo za łatwe. Odeł to wyszkolony żołnierz”. Spojrzała na dach budynku.

Panele kolektora były nagrzane od słońca - podczerwień okazała się bezużyteczna. Jednak wtedy zauważyła ślady w warstwie żółtawego pyłu.

Denise okręciła się gwałtownie, unosząc pistolet e-m. Strzeliła, jeszcze nim skończyła się odwracać. Z lufy wystrzeliły maleńkie iskry i migocząc, uniosły się w górę. Potem jedna z nich trafiła w Skórę leżącą na dachu. Pchnęła masywny kombinezon naprzód, po gładkich panelach kolektora, odrywając fragment pancerza. Dwa kolejne impulsy rozerwały Skórę na kawałki.

Eren wyszedł zza rogu.

- Denise? Co się stało?

- Wskoczył na dach innego domu. To była pułapka.

- O, cholera. Dobra robota.

Znów zaterkotały karabinki. Pociski uranowe wdarły się w ściany domu, wyrywając



wielkie kawały. Jeden z pali rozpadł się niczym szrapnel pełen betonowych drzazg. Denise i Eren jednocześnie padli na ziemię.

- Jak ja nienawidzę tych karabinków - krzyknął Eren, unosząc głowę.

Denise zaryzykowała spojrzenie w stronę Amersy'ego.

- W Memu Bay nigdy nie używali zubożonego uranu.

- Ciekaw jestem dlaczego.

Kolejny budynek zapłonął od ładunków e-m. Znow rozległa się seria z karabinku. Budynki zadrżały i zachwiały się pod naporem pocisków.

- Gangel, jest po twojej lewej! - zawołała Jacintha. - Denise, pomóż!

- Już idziemy.

Eren skrzywił się z niechęcią i ruszył biegiem. Denise poszła w jego ślady, zbliżając się do pozycji siostry.

- Jest w piwnicy! - zawołał Gangel. - Cholera, znow ruszył!

Strumień ładunków e-m wytrysnął na środku skrzyżowania, gdzie zmierzała Denise. Odpowiedział mu ogień z karabinka. Kobieta znow padła na ziemię. Dwadzieścia metrów dalej pękł kolektor słoneczny - czarne lśniące odłamki posypały się na ulicę.

- Do kogo on właściwie strzela? - zastanawiała się Jacintha.

- A kogo to obchodzi? - prychnął Gangel. - W tym tempie nie zostało mu już wiele amunicji.

Pociski uranowe przebiły pięć domów. Ostatni z nich przechylił się i zawalił, podtrzymujące go pale rozsypały się w proch. Denise była gotowa znow zerwać się do biegu, ale teraz obróciła twarz do ziemi.

- Szlag! - wykrzyknęła Jacintha. - Teraz nas przycisnął.

- No to jesteśmy w dupie - stwierdził z niepokojem Eren. - Jeśli Newton znajdzie nas z tyłu, to już po nas.

- Nie mają komunikacji - przypomniała mu Denise. Żałowała, że nie może wykrzesać więcej pewności siebie. Ten pluton walczył razem już od lat, a nawet dekad. Wszyscy zostali dokładnie wyszkoleni. Jeśli ktoś z nich potrafił poradzić sobie bez komunikacji, to właśnie Newton i Amersy.

Karabinek wystrzelił krótko, a potem połączenie ze scarretem wysiadło.

- Kurwa mać! - Zdała sobie sprawę, że Jacintha znow biegnie naprzód, a Gangel pędzi w przeciwną stronę. Oboje strzelali ładunkami e-m w budynek, w którym chował się Amersy. Denise rzuciła się naprzód, wyciągając przed siebie pistolet i nie przerywając ognia. Budynek zmienił się w piekło. Wielkie, żarłoczne płomienie wylewały się z okien niemal poziomo.

Kolektor słoneczny na dachu skręcał się pod wpływem żaru. Języki ognia zwycięsko popęły szczelinami, a wtedy zadrżał i zaczął się zapadać.

Ze środka padła kolejna seria. Padając na ziemię, Denise nie mogła opanować podziwu dla kaprała, który zdołał zachować zimną krew w takiej sytuacji. Skóry były wprawdzie żaroodporne, ale stać w samym centrum pożaru, w otoczeniu wrogów i wciąż zachować taką celność - to było niebagatelne osiągnięcie.

Jedna ze ścian eksplodowała kulą ognia, a wtedy przez dziurę wypadła Skóra. Natychmiast dostała trzema ładunkami e-m, które rozerwały ją na strzępy.

Denise zmrużyła oczy, chroniąc je przed ostrym blaskiem i bijącym żarem. Skóra wybuchła inaczej, niż powinna. Jacintha najwyraźniej pomyślała to samo, bo ostrożnie zbliżyła się do szczątków, celując w nie z pistoletu.

Kolektor słoneczny w końcu spadł z dachu, syjąc kaskadą iskier. Jacintha uniosła rękę, by się osłonić. Pochyliła się nad zniszczoną Skórą.

- Kurwa mać! - Rozejrzała się gorączkowo.

- Co jest? - spytała Denise, podchodząc bliżej, wraz z Gangelem i Erenem.

- Pusta. Sukinsyn nie siedział w środku!

Denise obróciła się gwałtownie, czując, że serce wali jej z przerażenia. Bezskutecznie próbowała wycelować broń w połowę miasta naraz.

\*\*\*

Amersy przycisnął się koło filaru, uważnie obserwując, jak kobieta i jej towarzysz zmierzają w stronę strzelaniny. AS Skóry strzelał regularnymi seriami, wciąż utrzymując ogień wiązący. Dwoje napastników rzuciło się płasko na ziemię. Kaprał uśmiechnął się, skradając się w stronę lśniącego scarreta. Cholerni amatorzy, zapomnieli nawet pilnować tyłów. Przeciął deskę rozdzielczą ostrzem elektrycznym, po czym zczekał do kolejnej serii i wbił czubek broni prosto w elektronikę. Przeciął perły neurotronowe i światłowody podłączone do kompensatorów i hamulców. Bez pomocy AS (czy innego programu) maszyna będzie ślamazarna i trudniejsza do opanowania. Ale wciąż mógł przyspieszać, hamować i sterować ręcznie. Wystarczy, by dotrzeć do Memu Bay.

Wsiadł na siodełko i przekręcił manetkę.

\*\*\*

Pięć domów otaczających pustą Skórę płonęło, kompozytowe ściany syczały i topiły się pod wpływem ognia, odsłaniającego stalowy szkielet. Gęsty czarny dym bił wysoko w czyste niebo ponad płaskowyżem.

Wciąż wpatrując się w puste ulice, Denise podeszła do starszej siostry i uściskała ją

mocno.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła.
- Teraz jesteśmy razem. Wszystko będzie dobrze.
- Mam nadzieję. Strasznie to spieprzyliśmy.
- Jest teraz nagi, samotny i daleko nie ucieknie.
- Na moim motorze ucieknie nam bez trudu.
- To bez znaczenia. Nie jest już członkiem Z-B. Nie przyślą mu żadnych posiłków.
- Okej. W takim razie zostaje tylko Newton.
- I ten drugi.
- Jaki drugi? - zdziwiła się Denise.
- W pierwszym jeepie jechało ich czterech. Jeden z nich był w cywilu.
- Widziałas go dokładnie? Nie został już nikt z plutonu.
- Nie wiem.
- Może to nasz zdrajca.

Jacintha pogładziła Denise po policzku.

- Moim zdaniem, nie ma żadnego zdrajcy.
- Musi być! Mówiłam ci już, że Newton ma Prime'a.
- Nasz smok nie jest jedyny w swoim rodzaju - przypomniała łagodnie starsza kobieta.
- Ale...
- Chodź. Musimy to dokończyć.

Rozdzielili się na dwie pary, zbliżając się do rozbitego jeepa, otaczając go z przeciwnych stron.

- Newton był tu, gdy wykrył próbę infiltracji Skóry - powiedział Gangel. - A ten próbnik diagnostyczny wciąż transmituje. Nie wiem, kim jest ten czwarty, ale chyba nic nam z jego strony nie grozi.

- Myślisz, że Newton wciąż tam jest? - spytała Jacintha. Obie kobiety przycupnęły przy narożniku kolejnego domu przy głównej ulicy. Gdy Denise wychyliła się zza winkła, zobaczyła poobijany tylny zderzak jeepa. Nic się nie poruszało. Ślady ciepła były rozmyte i stygły z każdą chwilą.

- Wątpię. Ale raczej nie odszedł daleko.
- Okej. Eren, masz tam jakieś ślady ciepła?
- Nic.
- Bądź gotów. Wchodzimy do środka.
- Ja wejdę - zaoferowała się Denise. - Oslaniajcie mnie. Przebiegła pod ścianą domu,

przywierając do niej plecami.

Nerwowo chwytała powietrze, własny oddech brzmiał w jej uszach ostro, chrapliwie. Z jeepa promieniowało ciepło, silniki w piastach lśniły purpurą, ogniwa rzucały cynobrowy blask spod podwozia. Rozwaloną ścianę pokrywały rubinowe linie ognia w miejscach, gdzie pękł kompozyt. Denise wślizgnęła się do środka przez szczelinę obok jeepa, wodząc przed sobą pistoletem. Całą podłogę pokrywały ślady termiczne prowadzące do drzwi. Jacintha weszła za nią i skinęła głową.

Denise otworzyła drzwi prowadzące na korytarz. Był pusty. Drzwi prowadzące do ostatniego pokoju były lekko uchylone. Nawet bez pomocy podczerwieni dostrzegła ślady dwóch par nóg. Tylko jeden ślad prowadził z powrotem.

Perła bransoletkowa namierzyła kartę diagnostyczną nadającą ze środka. Czwarty pasażer bez wątplenia znajdował się w środku. Nie było sensu skradać się korytarzem: karabinki Skór były w stanie przebić ścianę niczym mgłą. Denise wzięła głęboki oddech, po czym przebiegła korytarz i wpadła do środka.

Zamarła.

Jacintha podążyła śladem siostry i prawie wpadła na nią po wejściu do pokoju. Denise stała sztywno pośrodku pomieszczenia, celując z pistoletu w człowieka skulonego w kącie.

- Ty nie żyjesz! - zaskrzeczała słabo Denise, wciąż celując Halowi w głowę. Był to ten sam Hal Grabowski, który niedawno stanął przed plutonem egzekucyjnym. A teraz siedział sam w opuszczonym domu w Dixon. Ręka kobiety zadrżała lekko.

- Kto to, kurwa, jest? - spytała Jacintha.

- Hal Grabowski.

- Ten gość, którego wrobiłaś w Memu Bay? Rozstrzelany przez Z-B?

- Tak - warknęła Denise i wyprostowała rękę, gotowa strzelić, choć wiedziała, że nie zdoła zabić nieprzytomnego człowieka. Potem zauważyła napis na ścianie.

**POMÓŻCIE MU BĘDĘ WIEDZIAŁ**

Próbnik diagnostyczny opierał się o podbrzusze rannego, wciąż nadając. Denise powiodła wzrokiem od niego do dużego pudła z apteczką.

Do pokoju weszli Gangel i Eren.

- Gdzie Newton? - spytał Eren. - Hej... czy to nie Grabowski?

Denise spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem, a w końcu opuściła broń. Mężczyzna podszedł do okna. Rama była otwarta. Gdy popchnął sklejkę, wychyliła się na zewnątrz.

- Wygląda na to, że Newton zwiął.

- A co z nim? - Eren wskazał na Grabowskiego.

- To już zmartwienie Newtona.

Gdzieś w pobliżu rozległ się wybuch.

Gangel zmrużył oczy i spojrzał przez szparę obok sklejki.

- To był inteligentny pocisk. Newton wysadził główny magazyn. Co on, do cholery, robi?

Denise znów spojrzała na Hala i dopiero teraz zrozumiała wiadomość.

- To nie jest prośba.

- Co takiego?

- Newton nigdy nie zostawiłby rannego kolegi na pastwę losu. Chce, żebyśmy pomogli Grabowskiemu, ale ten napis to nie jest prośba. To rozkaz.

Znów rozległ się wybuch. Budynek po drugiej stronie ulicy eksplodował, kawałki kompozytowych paneli i kolektorów słonecznych zawirowały w powietrzu i spadły jak deszcz. Z krateru uniosła się kolumna kurzu i dymu, tworząc miniaturowy grzyb.

Pokój aż zadrzał i Denise uchyliła się odruchowo. Szyba w oknie pękła, a arkusz sklejki odpadł, wpuszczając do środka światło słoneczne. Denise zobaczyła, że próbnik odpadł od ciała rannego, więc szybko schyliła się i przymocowała go znowu. Wyświetlacz ponownie zaczął podawać odczyty....

- Już dobrze! W porządku! Zgadzą się.

- Na co? - Jacintha gapiała się na nią w osłupieniu.

- Newton siedzi gdzieś w okolicy ze stelażem inteligentnych pocisków, na które prawdopodobnie załadował Prime'a. Będzie je odpalał po kolei, póki mu się nie skończą. Jeśli stąd wyjdziemy, pocisk nas namierzy i będzie po ptakach. Nawet my nie zdołamy oszukać tej broni. Jedyne miejsce, gdzie jesteśmy zupełnie bezpieczni, jedyny punkt, w który nigdy nie wyceluje, to ten pokój, w którym zostawił Grabowskiego. A jeśli nie utrzymamy go przy życiu, to zgadnijcie, który budynek wysadzi w następnej kolejności.

- Sprytny gnojek - stwierdził z podziwem Gangel.

- No co ty powiesz - burknęła Denise.

Drgnęli, gdy w pobliżu zdetonował się kolejny pocisk. Tym razem padł blisko warsztatu. Dym uniósł się ponad dachami.

- On naprawdę nie żartuje, co? - Jacintha uklękła przy Grabowskim i zadarła mu koszulkę. - Lepiej bierzmy się do roboty.

Wyjęła z kieszeni smoczy analizator i położyła go na jednym z modułów stymulujących pracę narządów. Mały plastikowy prostokąt zmiękł i zaczął otaczać

uszkodzony moduł.

- Jaki zasięg mają te pociski? - spytał Eren.

- Trzy kilometry - odparła ponuro Denise.

- To niezbyt daleko. Wiemy, że Newton został ranny. Możemy go poszukać.

- Nie wiemy, w jakim kierunku poszedł. Wystarczy, że zostawi stelaż dwa kilometry stąd i zaprogramuje go na odpalenie pocisków w regularnych odstępach czasu. Zanim skończy się ten ostrzał, może być już z dziesięć kilometrów stąd.

- Kurwa mać! - Eren spiorunował wzrokiem rannego.

- Gdy tylko skończą się te pociski, będzie po tobie, koleś!

- Tak? - Denise spojrzała na niego pytająco. - Przez parę godzin będziesz go ratował, a potem tak po prostu zabijesz?

Eren walnął pięścią we framugę.

- Nie. Chyba nie.

- Powinniśmy skontaktować się z wioską - zauważył Gangel. - Mogą przysłać tu oddział. Mając odpowiednie wsparcie, możemy wyeliminować Newtona.

- Nie - sprzeciwiła się Denise. - Za bardzo rzucalibyśmy się w oczy. Poza tym wiem, którą drogą poszedł.

\*\*\*

Lawrence był już na granicy miasteczka, gdy zobaczył motocykl pędzący Wielką Pętlą, jakieś pół kilometra dalej. Nakierował na niego sensory hełmu. Jechał na nim nagi mężczyzna, cały umazany niebieskim żelem.

Motocykl zatrzymał się, a kierowca spojrzał w jego stronę. To był Amersy. Uniósł zaciśniętą pięść i dwa razy uderzył nią powietrze.

Lawrence zaśmiał się i odpowiedział tym samym gestem. Stelaż wystrzelił kolejny pocisk w stronę miasta.

Amersy wahał się przez moment, po czym przekręcił manetkę gazu i pomknął przed siebie.

Lawrence zostawił stelaż sto pięćdziesiąt metrów od granicy miasta. Znajdował się już pomiędzy hałdami, więc bez trudu wbił go w czarne, sypkie podłoże. Upewniwszy się, że mechanizm jest stabilny, oddalił się od niego równym truchtem. Inteligentne pociski były wyrzucane w losowych odstępach czasu. Każdy był wymierzony w inny budynek, a program namierzający został dodatkowo skonfigurowany tak, by w pierwszej kolejności poszukiwać ludzkich ciał przemieszczających się ulicami.

Po odłączeniu kabla do transmisji danych miał do dyspozycji tylko jedną siatkę

telemetryczną: odczyty diagnostyczne Hala. Sądząc po tym, że jego funkcje życiowe ustabilizowały się w ciągu ostatnich dziesięciu minut, wnioskował, że przybysze z Arnoon postanowili dotrzymać umowy. Teraz pozostawało tylko pytanie: czy nadal będą leczyć chłopaka, gdy skończą się pociski?

„Przykro mi, Hal - nie mogłem zrobić nic więcej”.

Wyniesienie go z tej zasadzki byłoby niemożliwe - nie uszliby nawet dziesięciu metrów, kiedy dopadłaby ich ta dziwna broń. Lawrence nie mógł wyjść z podziwu, patrząc na możliwości tych świetlnych pocisków wystrzeliwanych przez napastników. Nie mógł ich przyporządkować do żadnej znanej broni. I nie chodziło tylko o formę - ich działanie też było niejasne. Jedyny ślad stanowiło silne pole magnetyczne rejestrowane przez jego czujniki podczas ucieczki. Nie zatrzymał się, by dokonać kolejnych odczytów.

Lawrence przyspieszył kroku. Miał dość pocisków na siedemdziesiąt minut i nawet to wymagało pozostawienia dłuższych przerw pomiędzy paroma strzałami. Obliczył jednak, że powinno to wystarczyć, by oddalić się od Dixon o jakieś dwadzieścia kilometrów. Musiał tylko iść w miarę prosto.

Nie zwalniając kroku, wyświetlił sobie mapę płaskowyżu. Minąwszy Dixon, Wielka Pętla otaczała szerokim łukiem Góry Mitchella i przecinała prowincję Arnoon prawie w najwyższym punkcie. Zaczął wytyczać bezpośrednią trasę do kraterowego jeziora. Trzeba było w tym celu przepłynąć się przez jedną rzekę, co z pomocą Skóry nie powinno być zbyt trudne. Jedyny problem polegał na tym, że pokonanie tej trasy wymagało przejścia bezpośrednio przez górę Kenzi. Powiększył mapę podgórza, próbując znaleźć jakąś drogę naokoło.

Hałdy już wkrótce ustąpiły miejsca dzikiej roślinności: kępom trzciny i wysokim drzewom. Lawrence musiał zwolnić, by ominąć trzciny. Każda w pełni wyrosnięta kępa miała od dwóch do trzech metrów wysokości. Grube mięsiste liście o ostrych jak brzytwy krawędziach nie były w stanie przeciąć Skóry, ale on sam także nie mógł się przez nie przecisnąć. Podłoże miało postać rzadkiej brązowej gleby porośniętej niskimi ostrymi chwastami o wąskich, zdrewniałych łodygach i maleńkich żółtych kwiatkach.

Po dwudziestu minutach stracił sygnał z próbnika Hala. Małe podręczne urządzenie nie było dostosowane do długotrwałych transmisji. Ostatnie odczyty sugerowały, że stan rannego bardzo się poprawił. Lawrence nie wiedział wprawdzie, co robią napastnicy, ale najwyraźniej potrafili dokazać cudów z pomocą jego skromnej apteczki.

W miarę jak oddalał się od hałd otaczających prowincję Rhapsody, teren zaczynał robić się coraz bardziej nierówny. Zbocza były długie i łagodne, a każde kolejne trochę

wyższe od poprzedniego. System nawigacji bezwładnościowej twierdził, że stopniowo zyskuje wysokość. Kępy trzciny powoli zostały w tyle, wyparte przez niskie, nastroszone krzewy o rdzawobrazowej korze. Spomiędzy nich wystawały głazy, na wpół zasypane bryły twardej, szarawej skały.

Po godzinie znów musiał zwolnić. Rana pozostała po białej kolumnie kierownicy zaczęła boleć mimo działania anestetyków. Lawrence czuł się, jakby miał kolkę, tyle że tuż nad biodrem. Prime powiadomił go, że krwawi. Substancje wiążące nie były w stanie zadziałać podczas wysiłku potrzebnego do biegu. Gdy spojrzął, zobaczył krew wypływającą z otworu w kombinezonie. Kazał Prime'owi zmienić położenie mięśni Skóry, by zasklepić ranę, a potem zaaplikować więcej środków wiążących.

Dał im chwilę, by zaczęły działać i znów ruszył biegiem. Góra Kenzi nie przybliżała się ani o krok, po prostu rosła. Jej szczyt tonął w chmurach pędzonych przez wiatr ze wschodu. Już dawno zasłoniły słońce, pograżając płaskowyż w ponurym półmroku.

Potem zaczęły go mijać wąskie pasma mgły. Najeżone krzaki lśniły od wilgoci, mimo że nie padało. Teren zakrzywiał się powoli w górę, aż w końcu zniknął w chmurach. Opary mgły pełzły po zboczach. Lawrence biegł naprzód, aż w końcu grzbiety stały się strome, a okoliczna roślinność niemal zniknęła. Temperatura na zewnątrz spadała, w miarę jak mgła stawała się coraz gęstsza. Skóra zapewniała jednak dobrą izolację. Lawrence spociał się jak mysz i co chwila wysysał łyk z poidelka. W ustach miał całkiem sucho.

Mgła otoczyła go ze wszystkich stron, ograniczając widoczność do dwudziestu metrów. Biegł jeszcze przed godzinę, po czym usiadł na oszronionym głazie. Otworzył sakwę piersiową i wyjął jeden z trzech zapasowych woreczków z krwią. Podłączył zawór do gniazda tętnicy Skóry, a wewnętrzne pęcherze zapasowe szybko wessały płyn.

Krew znów wypływała z rany, nogę miał śliską od lepkiego płynu. Skóra znów zasklepiła ranę, faszerując go anestetykami i środkiem wiążącym. Wyświetlacz informował, że mięśnie kombinezonu otaczające ranę zaczęły ulegać rozkładowi. Traciły tyle samo krwi co rana.

Siedząc na głazie, poczuł, że jego własne mięśnie zaczynają boleć. Od czterech godzin był w drodze. Cały bok miał odrętwiały, ciało mrowiło go lekko od działania leków. Miał wrażenie, że czuje, jak krew ścieka po nodze, co mogło przysporzyć mu później problemów. Nie dało się tego naprawić, nie licząc ściągnięcia całej Skóry, a zdecydowanie nie zamierzał tego robić bez użycia apteczki.

Gdy w końcu wstał, dostał takich zawrotów głowy, że niemal stracił równowagę. Przez chwilę kołysał się na boki, aż w końcu mięśnie Skóry napięły się i utrzymały go w



miejscu. Ssał poidełko, czekając, aż odzyska równowagę.

Potem ruszył spacerem, powoli przechodząc do truchtu. Miał wrażenie, że słyszy wilgotny chłupot za każdym razem, gdy stawia nogę na ziemi. Światło dnia zaczynało gasnąć, wyparte przez gęstniejącą mgłę. Ta część płaskowyżu była praktycznie jałowa. Składała się z długich zboczy zakończonych grzbietami, niemal tak pionowymi jak urwiska. Za każdym razem musiał się wspinać na głazach i rumowiskach. Krępe pazury wysuwane ze Skóry dawały mu dodatkowe oparcie na wilgotnej skale.

Noc zapadła na godzinę, zanim dotarł na szczyt grzbietu prowadzącego na przełęcz. Po lewej miał Kenzi, po prawej Henkin. Zatrzymał się u podnóża skalnej bariery i wyjął drugą torebkę z krwią. Skóra wypięła ją chciwie. Gdy czekał, aż opróżni się woreczek, ostatni skraj mgły wycofał się po zboczu. Nigdzie nie widział gwiazd. Niebo pokrywały ciemne chmury. Ich dolne partie były burzowe; kłębiły się i zwijały, jakby poruszane przeciwnymi prądami powietrza odbijanymi od górskich zboczy. Jednak nawet w tym świetle był w stanie dostrzec grzbiet. Ostatni z nich przeszedł, kierując się wyłącznie wskazaniem radaru laserowego. Szerokie pasma białych skał zygzakowały po grani, podobne do śladów olbrzyma. Lawrence przyglądał się im, próbując znaleźć łatwe podejście na górę.

Przed oczami zabłyśły mu ikonki barwy indygo. Symbole medyczne poinformowały go o stanie rany. W odpowiedzi zaordynował kolejną dawkę leków. Z okolicy żeber zaczęło promieniować chłodne odrętwienie. Od czasu do czasu drżał, wstrząsany dreszczem, a Skóra automatycznie powtarzała ten gest.

Tym razem wstał powoli i ostrożnie. Mimo tego poczuł się, jakby całe jego ciało było zrobione z galarety i trzymało się w kupie tylko dzięki Skórze. Uznał, że to idiotyczne uczucie, i zarządził podanie stymulantów. Po chwili rozjaśniło mu się w głowie, a wtedy spojrzął na grzbiet i od razu znalazł drogę.

Gdy dotarł na szczyt, przełęcz rozciągnęła się przed nim daleką równiną. Ciężkie chmury utworzyły nieprzenikniony strop pięćset metrów wyżej. Po obu stronach znajdowały się szczyty: potężne, zakrzywione masywy skalne, poprzecinane fałdami i głębokimi szczelinami. Był to odcięty świat, który nie dawał mu żadnego wyboru. Według mapy do przeciwległego krańca zostało dziesięć kilometrów. Ruszył przed siebie.

Przełęcz została zaklasyfikowana jako pustynia alpejska. Lawrence uznał, że przypomina raczej powierzchnię Marsa. Odsłonięta gleba miała rdzawoczerwony kolor i była gęsto przysypana niewielkimi kamykami przypominającymi krzemień. Nie żyły tu żadne zwierzęta ani owady; nawet małe opancerzone roślinki wyglądające spod kamieni zdawały się wymizerowane. Skóra poinformowała go, że ciśnienie jest o dwie trzecie niższe niż na

poziomie morza. Skrzela pracowały pełną parą, by wydobyć odpowiednią ilość tlenu z mroźnego powietrza.

Lawrence zdołał ująć kilometr od grzbietu, gdy zaczął padać śnieg. Nie były to duże, delikatne płatki, lecz małe, twarde kulki, którymi wiatr ciskał prosto w niego. Widział, jak odbijają się od pancerza Skóry. Widzialność spadła do siedmiu metrów. Radar laserowy był bezużyteczny. Lawrence nawet nie zawracał sobie głowy podczerwienią albo noktowizorem. Teraz pozostawała mu tylko nawigacja bezwładnościowa. Ale to wystarczało.

Póki burza nie pochłoneła go całkiem, pozostało tylko iść przed siebie, skupiając się na celu. Inne zachowanie byłoby zdradą plutonu - a tego by nie zrobił. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, co zrobi, gdy już dotrze do jeziora kraterowego. Miał pełen magazynek, ale wiedział, że przyjdzie mu się mierzyć z wieśniakami uzbrojonymi w e-bomby, broń ręczną wyrzucającą dziwne gwiazdki, Prime i biotechnologię z Santa Chico. Potrzebował leków, pomocy medycznej i krwi do odżywienia Skóry. Potem musiał tylko namierzyć źródło ich bogactwa i wymusić odstąpienie części tych zasobów. Aha, i załatwić transport.

Ślepy, samotny, ukryty w słabnącej Skórze, zagubiony w miejscu, które mogło go zabić w ciągu paru minut, Lawrence Newton wybuchnął śmiechem. Wszystko to - cała ta szalona eskapada - byle tylko zarobić na powrót na Amethi. Dom, z którego tak chętnie uciekł, by zwiedzić wszechświat. Trudno mu było w to uwierzyć, ale w tamtych czasach wierzył, że gwiazdy są fascynujące i pełne cudów. Jak to było? Co powiedziała Roselyn tamtego dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy?

Miejsce, w którym przyszliśmy na świat, nigdy nie będzie dla nas egzotyczne. Żeby to poczuć, trzeba gdzieś wyjechać.

Ale teraz znał już pełną odpowiedź: żadne miejsce, które w życiu widział, nie wydało mu się wystarczająco egzotyczne. Tamten Lawrence Newton mógłby zwiedzać wszechświat przez całe życie i nigdy nie powrócić.

„Naprawdę pałałem do siebie aż taką nienawiścią?”.

Uśmiechnął się szczęśliwy, gdy w myślach pojawiła mu się twarz Roselyn - jedyna rzecz, jaka nigdy go nie opuściła. Dotknął ręką szyi, wyczuwając mały, owalny kształt.

„Dobrze byłoby ją zobaczyć jeszcze jeden, ostatni raz”.

Chmury odpłynęły, gdy znajdował się jeszcze o kilka kilometrów od końca przełęczy, a wraz z nimi zniknął śnieg. Gwiazdy zaśniły w czystym powietrzu. Na ziemi leżała dwucentymetrowa warstwa kuleczek gradu. Skóra z chrzęstem brnęła naprzód.

Lawrence zużył ostatni woreczek, zanim dotarł do końca przełęczy. Skóra pochłaniała mnóstwo energii, by ogrzać go podczas śnieżycy. Gdy znów posażł wypustkę poidelka,

okazało się, że zbiornik jest pusty. Język zupełnie wysechł mu w ustach. Ból bez przerwy pulsował w zziębniętym boku. Anestetyki już nie polepszały sprawy. Lawrence nie był nawet pewien, czy środki wiążące działają. Noga kombinezonu była zalana krwią. Mięśnie Skóry nie były już w stanie zasklepić dziury.

I wciąż nie miał wyboru.

Teren zaczął opadać w dół, aż Lawrence spojrział w końcu na zalesione doliny prowincji Arnoon. W świetle gwiazd wyglądała pięknie i cicho, dokładnie tak, jak ją zapamiętał.

Zbocze Kenzi było z tej strony pokryte rumowiskiem ostro opadającym w dół na przestrzeni dwóch kilometrów. Lawrence zaczął schodzić. Mniejsze kamienie wyslizgiwały mu się spod stóp i z grzechotem znikwały mu z oczu. Gdy już oswoił się z niestabilnym podłożem, postanowił wykorzystać fragmenty rumowiska, poruszając się długimi susami i lądując na piętach, tak by zbocze osunęło się pod jego ciężarem. Od czasu do czasu tracił równowagę albo trafiał na duży głaz i spadał, staczając się na czele miniaturowej lawiny. Gdyby nie Skóra, ostre kamyki prawdopodobnie rozerwałyby jego ciało na strzępy, ale pancerz wciąż był cały - takie obrażenia spokojnie znajdowały się w granicach tolerancji.

W końcu rumowisko ustąpiło miejsca ostrej trawie. Lawrence ruszył spacerem w stronę linii drzew widniejącej kilkaset metrów dalej. Lewa noga była zupełnie zeszywniała, mimo że poruszały ją mięśnie Skóry. Kilka kamyków utkwiło w ranie. Lawrence zatrzymał się, by je wydłubać, po czym ruszył dalej. Okazało się, że wciąż kuleje. Wyświetlacz ostrzegał, że duża część mięśni Skóry w jego lewej nodze jest już bezużyteczna. Gdy ją obejrzał, okazało się, że krew wciąż cieknie. Prawdopodobnie sączyła się z rany w ciele. Nie było już środka wiążącego.

Zatrzymał się, gdy dotarł do drzew i pochylił, próbując zwymiotować, jednak wypluł tylko trochę kwasów żołądkowych, które dodatkowo poparzyły jego obolałe gardło. Skrzela zmieniły parametry filtrów, podając mu mieszankę o wyższej zawartości tlenu. Dzięki temu trochę łatwiej było mu oddychać.

Las szybko zgęstniał, jednak pnie drzew nie rosły tak blisko, by tworzyć nieprzebytą barierę. W charakterze poszycia pojawiały się paprocie, przez które nogi Skóry przedzierały się praktycznie bez wysiłku. Widoczność była równie zła jak podczas śnieżycy - musiał polegać na nawigacji bezwładnościowej, idąc śladem błękitnych punktów, zmierzając stale w dół.

Ciepło powoli uchodziło z niego przez dziurę w kombinezonie. Palce miał zziębnięte, nogi zimne niczym bryły lodu. Nie mógł opanować dreszczy. Wyświetlacz przypominał mu o

uzupełnieniu poziomu krwi w pęcherzach. Skrzywił się i kazał Prime'owi usunąć ikony. Za nimi pojawiły się kolejne ostrzeżenia, informujące o nadmiernym obciążeniu narządów, które nastąpiło, gdy jego ciało musiało zacząć samodzielnie natleniać krew.

Lawrence wyszedł z lasu powoli, z wysiłkiem, małymi krokami. Szedł zgarbiony, walcząc z bólem pulsującym pod żebrami. Jedną ręką zatykał dziurę wyrwaną w pancerzu.

Stanął na szczycie zaokrąglonego urwiska. Sto dwadzieścia metrów w dole falowała czarna tafla jeziora. Noktowizor zabarwił ponury nocny pejzaż na zielonkawo. Lawrence spojrzął na wysepkę. Mała kamienna świątynia wciąż znajdowała się pośrodku.

- Medytacja, akurat - mruknął Lawrence i skoczył.

Pancerz stwardniał, aby ochronić go przed upadkiem, jeszcze zanim dotknął powierzchni wody. Impet zderzenia odbił się straszliwym bólem w jego zranionym biodrze. Lawrence krzyknął wewnątrz hełmu. Przez chwilę miał wrażenie, że znów zwymiotuje. Najbardziej jednak martwił się głębokością wody u podnóży urwiska. Nie wiedział, ile wynosiła, ale nie dosięgnął dna.

Gdy z wolna wypływał na powierzchnię, noktowizory ukazały mu rojące się wokół zielonkawe bąble. Potem rozejrzał się wokół, próbując namierzyć wyspę. Gdy ją dostrzegł, uniósł nogi, tak by unosić się na plecach. Powoli poruszył stopami, od czasu do czasu pomagając sobie ruchem ręki. Kazał Prime'owi zaprogramować mięśnie Skóry tak, by naśladowały ten wzorzec ruchów. Jego własne kończyny poruszały się z trudem. W rezultacie uzyskał powolnego crawla, dzięki któremu stopniowo posuwał się w pożądanym kierunku.

Od wyspy dzieliło go jakieś siedemdziesiąt metrów. Wtedy nagle coś otarło się o niego. Sensory dotykowe pancerza pogładziły jego skórę, naśladowując to wrażenie. Lawrence drgnął i zastygł, czekając, aż doznanie się powtórzy. Gdy nic się nie stało, zaczął znów płynąć naprzód, tym razem nieco energiczniej. Rybokształtny stwór trącił jego lewą nogę. Lawrence odegnał go ręką. Wąska, spiczasta głowa na chwilę wynurzyła się na powierzchnię, a potem zanurkowała z pluskiem.

Coś otarło się o jego drugą nogę. A zatem były już dwa! Skupił się na ruchach pływackich, nie wynurzając stóp na powierzchnię, chcąc płynąć jak najszybciej. Jedna z rybokształtnych istot prześlizgnęła mu się po piersi. Przypominała nieco węgorza, ale miała bladezielone ciało, ponadmetrowej długości, z trzema wypustkami grzbietowymi biegnącymi przez całą długość korpusu. Wszystkie wibrowały lekko.

- O, kurwa! - Lawrence zamierzył się na nią w panice, ale zwierzę było za szybkie.

Spiczaste szczęki pełne wąskich zębów wbiły się w rozdarcie kombinezonu niczym młot pneumatyczny. Lawrence walnął rybę kantem dłoni. Kolejne dwie przyssały się do rany.

Mężczyzna przekręcił się i zaczął płynąć na boku, starając się utrzymać ranę ponad wodą. Jedno ze stworzeń oplątało mu nogi, wciągając ranę pod wodę. Ostre zęby wgrzyły się w odsłonięte mięśnie Skóry.

Karabinek wysunął się ze swojej wnęki. Lawrence odsunął nogę i strzelił. Pociski przeszły wodę wokół drapieźnych stworzeń. Coś trysnęło w górę, a potem wszystkie zniknęły.

Lawrence płynął ze wszystkich sił, krzycząc, by odreagować ból przeszywający jego ciało. Tafle wody pokryły złowróżbne zmarszczki. Kilka stworów rzuciło się na niego jednocześnie. Lawrence miotał się gorączkowo i na chwilę zanurkował. Ich szczęki rozszarpały mięśnie Skóry, wrywając wielkie kawałki. Nacisnął spust pod wodą, usłyszał głuchy ryk wystrzału.

Gdy w końcu uniósł głowę, od wyspy dzieliło go jakieś trzydzieści metrów. Na wyświetlaczu ukazało się ostrzeżenie o zagrożeniu biologicznym. Jakaś toksyna wsączała się do układu krążenia Skóry. Prime ustalił, że źródłem infekcji są mięśnie otaczające ranę.

„Chcą mnie otruć!”.

W tej samej chwili jedna z ryb zaczęła się związać i miotać kilka metrów dalej, chlapiąc spienioną wodą. Następnie dwie kolejne rozpoczęły podobny gorączkowy taniec.

Lawrence płynął przed siebie. Prime zamknął zawory łączące jego główne naczynia krwionośne ze Skórą. Kolejne stworzenie próbowało wcisnąć głowę w ranę. Strzelił do niego.

Zorientował się, że ściga go kilkadziesiąt drapieźników. Wiły się wszędzie wokół, przesuwały po Skórze. Stopa Lawrence'a natrafiła na stały grunt. Przez chwilę próbował złapać równowagę, po czym zaczął brodzić w stronę brzegu. Stwory wiły się wokół jego nóg, objijając się głowami o pancerz. Prime wyświetlał informacje o zatruciu. Toksyna rozprzestrzeniała się, infekując kolejne mięśnie Skóry. Program zamknął także zawory na mniejszych naczyniach krwionośnych, by nie dopuścić do skażenia.

Lawrence w końcu wygramolił się z wody. Zdołał przejść zaledwie dwa kroki po trawie, po czym runął na ziemię. Nie był w stanie poruszać nogami, niesprawna Skóra za bardzo mu ciążyła.

Spojrzał na wyświetlacz. Toksyna zainfekowała ponad jedną trzecią mięśni Skóry. Do reszty nie dochodziła krew. Szlochając z bólu, wydał ostatni rozkaz Prime'owi. Skóra rozdzieliła się gładko wzdłuż szczeliny na piersi. Lawrence zaskamlał żałośnie, ściągając hełm z głowy. Chłodne nocne powietrze lizało jego ciało. Popychał, wiercił się i powoli, z bólem, wynurzył się z martwej Skóry niczym lśniaca niebieska larwa. Przez chwilę leżał na trawie, ciężko dysząc - nie miał siły na nic więcej. Potem sięgnął lewą ręką i pomacał ranę.

Skrzywił się i usiadł wolno.

Środki wiążące zostawiły w ranie cienką warstwę białej pianki, która tymczasem zdążyła popękać i teraz odpadała całymi płatami. Ze środka sączyła się krew, ściekając po śliskiej warstwie żelu. Przycisnął do niej dłoń, mając nadzieję, że ucisk zmniejszy krwawienie, dopóki nie znajdzie czegoś, co nada się na opatrunek.

Lawrence wstał i rozejrzył się wokół. W ciemnościach zamajaczył kształt świątyni. Każdy kolejny krok stanowił coraz większe wyzwanie. Zanim dotarł do kamiennej budowli, kilka razy krzyknął z bólu. Gdy znalazł się na miejscu, część kondygnacji usunęła się, odsłaniając prowadzące w dół schody. Na samym końcu świeciło blade światło.

- Wiedziałem - mruknął.

Musiał oprzeć się o ścianę, by nie stracić równowagi. Smuga żelu znaczyła jego ślad. Krew bezustannie kapła mu pomiędzy palców i rozbryzgiwała się na schodach.

Na samym dole, dokładnie pośrodku świątyni, znajdowało się małe, puste pomieszczenie. Naprzeciw schodów umieszczono metalowe drzwi. Gdy Lawrence pokuśtykał w ich stronę, rozsunęły się przed nim, ukazując kabinę windy. Mężczyzna wszedł do środka i znalazł tam panel kontrolny wyposażony w zaledwie dwa guziki. Gdy nacisnął dolny, drzwi zasunęły się z powrotem.

Winda zjechała w dół z cichym wizgiem. Drzwi otworzyły się, ukazując półkulistą salę, której ściany wybudowano z kompozytu barwy ciemnej miedzi. Lawrence wytoczył się z kabiny, nie dbając o to, czy ktoś go zobaczy. Teraz chciał się tylko dowiedzieć, czego tak usilnie poszukiwał. To wszystko. Nic innego się nie liczyło.

Pośrodku sali znajdował się szeroki postument z mlecznego szkła, nieco przypominający ołtarz. Na szczycie spoczywał wydłużony popielaty kawałek skały, jego powierzchnia była poczerniała i pełna dziur. Środkową część przykryto złotą siatką. Koniec wskazujący w stronę windy został przycięty i wypolerowany, osadzono w nim także kawałki błękitnozielonego kryształu, błyszczące łagodnie w przyciemnionym świetle.

Lawrence zmrużył oczy, nie rozumiejąc, co się dzieje. Obok postumentu stały dwie młode kobiety. Starsza z nich uśmiechnęła się smutno i oznajmiła:

- Witaj w świątyni upadłego smoka, Lawrence. Pamiętasz mnie?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Josep szybko zebrał myśli, gdy tylko ocknął się z omdlenia. Przez chwilę leżał z zamkniętymi oczami, analizując swoje położenie. Leżał na jakimś plastikowym materacu. Był nagi - skóra dotykała plastiku. Lekki ucisk w okolicy bioder. A zatem zostawili mu bokserki. Jego nadgarstki otaczały chłodne metalowe obręcze skuwające mu ręce w odległości piętnastu centymetrów od siebie. Jakieś kajdany. Odległy gwar dużego budynku.

Gdy jego b-wpisane neurony próbowały zlokalizować perłę bransoletkową albo lokalny węzeł puli danych, wyczuwał jedynie jakieś pojedyncze oderwane sygnały, niemal poniżej progu wykrywalności. Miał wrażenie, jakby całe spektrum elektromagnetyczne zostało przytłumione. Uznał, że to prawdopodobnie efekt gazu, którym go odurzono. Możliwe, że wciąż ograniczał możliwości jego komórek nerwowych. Otworzył oczy.

Pokój okazał się niewielką celą, cztery metry na cztery, żadnych okien, tylko żeberka klimatyzatora. Leżał na ławce naprzeciwko ciężkich drzwi. Niewielka kamera umocowana na suficie celowała prosto w niego.

Cele w dziale bezpieczeństwa kosmodromu wyglądały bardzo podobnie. Możliwe, że jeszcze go nie przenieśli. W takim razie miał szansę uciec. Znał cały rozkład portu.

Wtedy jednak coś go zastanowiło. Nie wiedział o tej windzie. Poza tym musiał być jeszcze jakiś alarm - przynajmniej jeden - którego nie znaleźli w żadnym pliku, gdy planowali swoją akcję. Najprawdopodobniej Z-B zainstalowała go po przejściu kontroli nad blokiem administracyjnym. Mimo wszystko Prime powinien zarejestrować jego działanie.

Udając, że jest otepiały i oszołomiony, usiadł na materacu, pocierając głowę. Trudno było to zrobić z kajdanami na rękach. Zmarszczył brwi.

- Co jest, do cholery...

Nikt nie przyszedł, by mu to wyjaśnić. Podeszedł do drzwi, stąpając boso na chłodnych kafelkach.

- Hej! - załomotał pięścią w drzwi. - Hej, co tu się dzieje?

Na kostkach miał obtarcia pozostałe po uderzeniu w drzwi windy. Możliwe, że popełnił błąd. Jeśli zmierzyli wgłębienie pozostałe po ciosie, mogli łatwo obliczyć, z jaką siłą go zadano. A wtedy mogliby się nim bardzo zainteresować. Oczywiście, już teraz ich interesował, ale miał nadzieję, że nie zdążyli jeszcze zbadać jego ciała zbyt dokładnie.

Sekwencery wzorcowe należało chronić za wszelką cenę.

Wrócił na ławkę i usiadł. To była standardowa procedura - pozostawić więźnia na jakiś czas w niepewności, poczekać, aż zacznie się denerwować. Oczywiście, tak prymitywne sztuczki nie miały na niego wpływu, ale musiał szybko zdecydować, co dalej. B-wpisane komórki w jego policzkach i szczęce zachowały poprzedni kształt - wciąż wyglądał jak Sket Magersan. Z-B na pewno sprawdziła, co się dzieje z prawdziwym pilotem. Wiedzieli, że to próba sabotażu przeprowadzona przez ruch oporu.

Przesłuchanie przez funkcjonariuszy Z-B z całą pewnością będzie obejmować użycie sprzętu diagnostycznego, może nawet pełen skan mózgu. B-wpisane modyfikacje były bardzo subtelne, ale przy tym rodzaju badania mogły zostać ujawnione. Josep nie był nawet pewien, czy wytrzyma użycie narkotyku. B-wpisane neurony były odporne, ale nie wszechpotężne, a Z-B z całą pewnością miała do czynienia z różnymi sabotażystami na dziesiątkach różnych planet. Ich techniki zdobywania informacji musiały być imponujące.

Wybór był zatem prosty. Im dłużej pozostawał ich więźniem, tym mniejsze miał szanse na ucieczkę. Jeśli chciał stąd zwać, musiał to zrobić, zanim tamci zorientują się, do czego tak naprawdę jest zdolny.

Co sprawiło, że dotarł w tych rozważaniach do punktu wyjścia? Jak właściwie został złapany? Zaczął od początku analizować akcję.

Drzwi celi otworzyły się dopiero po dwóch godzinach, a on wciąż jeszcze nie odgadł, co uruchomiło alarm. Do środka weszło dwóch strażników w granatowych mundurach z logo Z-B na kołnierzykach. Obaj nosili hełmy z przyciemnionymi wizjerami, w dłoniach trzymali elektryczne pałki.

Jeden z nich rzucił mu biały kombinezon.

- Włóż to - polecił.

Josep rozwinął ubranie, po czym uniósł ręce i potrząsnął kajdanami.

- Najpierw musicie mi to zdjąć.

- Dobra, dobra. Zakładaj.

Rękawy miały po bokach szwy zapinane na ćwieki. Josep wszedł w dolną część kombinezonu, a jeden ze strażników zapiął mu kombinezon.

Potem wyprowadzili go do krótkiego, krętego korytarza. Josep sprawdził jego długość i wysokość stropu i od razu zorientował się, gdzie jest: w bloku administracyjnym, na drugim piętrze. Dział bezpieczeństwa miał do dyspozycji długi segment pięciobocznego budynku, tylko dla siebie. Przez głowę przemknęły mu plany pomieszczeń. Jedyne wyjścia z tej części stanowiły dwie windy i awaryjne wyjście przeciwpożarowe. Josep nie mógł skorzystać z wind



- prawdopodobnie były chronione kodem dostępu, poza tym pamiętał, co się stało, gdy ostatnim razem wsiadł do windy w tym budynku. Wyjście przeciwpożarowe stanowiło oczywiste rozwiązanie, ale prawdopodobnie też miało swoje zabezpieczenia.

- Dokąd idziemy? - spytał.

- Już niedługo się przekonasz.

Szli w kierunku przeciwnym do wind. W tej części znajdowały się tylko biura. Prawdopodobnie w którymś z nich umieścili sprzęt do przesłuchań. Wciąż nie mógł złapać sygnału z węzła puli.

Skręcili w inny korytarz. Wszędzie po bokach znajdowały się jakieś drzwi. Josep wymieniał w myślach ich nazwy: dział zarządzania kadrami, dział sprawozdawczy, jeden, dwa, trzy, inspektor, finanse. Potem zakołysał się lekko, by przenieść ciężar ciała, i kopnął strażnika po lewej. Był to idealnie wymierzony cios - trafił piętą w rzepkę kolanową. Mężczyzna wrzasnął z bólu i upadł. Jego towarzysz walnął Josepa pałką w plecy, a wypustki zapłonęły, przenosząc ładunek. B-wpisane komórki stawiały opór, nie zamykając kanałów nerwowych. Josep odwrócił się i wyrwał strażnikowi broń, a tamten aż stęknął, zaskoczony siłą więźnia. Potem wbił mu koniec pałki w brzuch. Strażnik zatoczył się, zgiął w pół, następnie upadł.

Josep wbił koniec pałki w szyję pierwszego strażnika, który właśnie próbował wstać z podłogi i tamten runął z powrotem na dywan. W drugim końcu korytarza ukazało się dwóch ludzi w mundurach Z-B, którzy rzucili się ku niemu, krzycząc ostrzegawczo. Wokół rozległ się przenikliwy dźwięk alarmu, nieznośnie rezonującego w ciasnym pomieszczeniu. Najwyraźniej AS ochrony obserwował to wszystko przez kamery monitoringu.

Josep rzucił pałką w napastników, po czym pomknął w stronę drzwi prowadzących do biura kierownika działu finansów. Nie były nawet zamknięte - dokładnie tak, jak się spodziewał. Z-B nie potrzebowała żadnego kierownika finansów; biuro okazało się całkiem puste. Pośrodku ustawiono trzy biurka zarzucone starymi chipami pamięci i stertami wydruków. Perły stacjonarne były nieaktywne. Ściana naprzeciwko drzwi w całości składała się z jednej tafli przyciemnionego szkła, wychodziła na hangary kosmodromu. Podbiegł do ostatniego biurka i podniósł je. Następnie cisnął nim w tafnię szkła. Szyba rozpadła się, syjąc burzą odłamków. Zawyły kolejne alarmy. Biurko runęło za skraj wybitej dziury, połowa wciąż znajdowała się w pokoju. Zakołysało się chwiejnie. Josep kopnął je z rozmachem, a wtedy przewaliło się przed krawędź i runęło na kwiatową rabatkę.

Drzwi do pokoju wyleciały z zawiasów, do środka wpadło kilku pracowników Z-B. Josep wyskoczył w ślad za biurkiem.

\*\*\*

Trzy kondygnacje w standardowej grawitacji Thallspring. Taki upadek roztrzaskałby kręgosłup normalnego człowieka. Uszkodzenia narządów wewnętrznych spowodowane impetem zderzenia prawdopodobnie też byłyby śmiertelne. Josep wyciągnął kajdany nad głowę, desperacko próbując zachować równowagę. Ciepłe, popołudniowe powietrze zaszumiało mu w uszach, ale wokół było zadziwiająco cicho. Lekko ugiął nogi, gdy rabatka wyskoczyła mu na spotkanie.

Stopy wbiły mu się w miękką glebę, a kolana ugięły, absorbując wstrząsy. Potem nagle poczuł, że uderza barkiem w ziemię i że nie może złapać tchu. Kości wytrzymały, choć kostka i stawy kolanowe zaprotestowały straszliwym bólem. Zamrugał szybko, gdyż oczy zasły mu łzami. Nogi miał podrapane przez kolce róż, stopy poranione odłamkami szkła. Zaskoczony personel Z-B wyglądał z pokoju poprzez wybitą szybę.

Josep przetoczył się na brzuch i nakazał swoim zmartwiałym kończynom, by zaczęły się poruszać. Z góry rozlegały się krzyki zmieszane z upartym wyciem alarmu. Mężczyzna postawił krok, potem drugi, aż w końcu wpadł na szklaną ścianę budynku. Oparł się o nią i ruszył dalej. Gdzieś z przodu znajdowały się drzwi używane przez personel konserwacyjny. Po drugiej stronie ściany ludzie wstawali zza biurka i wytykali go palcami.

Dotarł do drzwi i naparł na nie barkiem. Ugięły się lekko, ale wytrzymały. Odszedł o krok i rzucił się na nie całym ciężarem. Tym razem wyłamał zamek i znalazł się w wąskim, betonowym tunelu. Pospiesznie ruszył przed siebie, aż do pierwszego skrzyżowania. Ściany większego tunelu były upstrzone rurkami i przewodami. Stożki świetlne rozmieszczone na suficie co pięć metrów rzucały ostre, fioletowo-białe światło. Josep skręcił w lewo i rzucił się biegiem, krzywiąc za każdym razem, gdy szklana drzazga wbijała mu się coraz głębiej w ciało. Z rany kapiała krew, ale wiedział, że gdy wyjmie szkło, będzie jeszcze gorzej.

Znów skręcił w lewo, potem w prawo i znów w prawo. Dotarł do szatni. Prócz niego nie było tu nikogo. Podeszedł do rzędu szaroniebieskich metalowych szafek, chwycił za rączkę pierwszej z nich i pociągnął. Drzwiczki wygięły się wokół zasuw, a następnie odpadły. W środku wisiały przybrudzone ogrodniczki i stała para butów. Podeszedł do kolejnych kilku szafek i też wyrwał drzwi. Piąta z kolei zawierała to, czego szukał - pas z narzędziami. Wyjął ostrze elektryczne, włączył je, a potem włożył uchwyt do ust i mocno zacisnął zęby. Ostrze przecięło kajdany z głośnym zgrzytem, rzucając snop iskier.

Josep wstrzymał oddech. W betonowym tunelu rozległy się krzyki. Wrócił do pierwszej szafki, włożył buty, a potem ogrodniczki. B-wpisane organelle zaczęły rzeźbić jego ciało, odtwarzając rysy Andy'ego la Pyne'a. Nie czekając na koniec modyfikacji, chwycił pas z

narzędziami i perłę bransoletkową, którą znalazł na najwyższej półce.

Pięćdziesiąt metrów dalej znajdowała się śluza konserwacyjna prowadząca do przestrzeni pomiędzy ścianami. Elektryczny śrubokręt, który znalazł w pasku z narzędziami otworzył ją bez problemu. Josep wszedł do środka. Była to wąska przestrzeń pogrążona w zupełnej ciemności. Nawet w podczerwieni wszystko rozmywało mu się przed oczami. Ściany znajdowały się w odległości niewiele ponad metra, tworząc szczelinę pełną wsporników, przewodów i rur. Miał bardzo ograniczoną widoczność, zarówno w górę, jak i w dół. Stał na teowniku o szerokości zaledwie dziesięciu centymetrów.

Skóry i strażnicy domyślą się, że przebrał się w szatni, ale buty były zupełnie chłodne, gdy je wkładał. Ciepło jego ciała miało je ogrzać dopiero po jakimś czasie. Teoretycznie rzecz biorąc, nie powinni dojść po jego śladach aż do śluzy. Trudno było mu się poruszać w tak ciasnej przestrzeni, ale powoli zaczął ściągać z siebie więzienny kombinezon, nieustannie trzymając się ręką jakiegoś wspornika. Upuścił ubranie w mrok. Następnie wziął się za wkładanie ogrodniczek. Dwukrotnie zastygł bez ruchu, gdy ktoś przebiegał koło śluzy. Ubrany, z pasem zapiętym na biodrach, zaczął wspinać się w górę. Przez jakiś czas bezskutecznie próbował się połączyć z perłą bransoletkową. Narkotyk, którym go odurzono, najwyraźniej poczynił większe szkody, niż mu się z początku wydawało.

Znalazłszy się na wysokości drugiego piętra, ruszył w ślad za fosforyzującą koralową linią - była to oglądana w podczerwieni rura z gorącą wodą - aż dotarł do łazienki. Panele w ścianie były tu znacznie mniejsze niż w śluzie przy tunelu konserwacyjnym, służyły głównie do tego, by zapewniać dostęp do zbiorników i rur dostarczających wodę do kabin i zlewów. Odnalazł największy i przyłożył do niego ucho, nasłuchując odgłosów ze środka. Dwie osoby korzystały z pisuarów. Przynajmniej trafił na męską łazienkę. Jeden z nich został i mył ręce, drugi wyszedł natychmiast.

Josep wyjął ostrze elektryczne, by przeciąć panel. Następnie wcisnął się do kabiny, przerażony tym, ile narobił przy tym hałasu. Potem skulił się, wykonując figurę, z którą miały problem nawet jego b-wpisane kończyny, byle tylko nie wystawić głowy przez na wpół otwarte drzwi. W każdej łazience były kamery monitoringu, a każdy AS ochrony przeznaczał dużo mocy obliczeniowej na wykrywanie jakichkolwiek anomalii w budynku administracyjnym.

\*\*\*

- Pomysłowy jest - stwierdził Simon.
- Chyba byliśmy dla niego za łagodni - zauważył Adul.
- Trzeba było bardziej go napastować w tych tunelach konserwacyjnych.

- Wzmocniliśmy jego przekonanie o własnej wyższości. Spójrz na aktywność wzgórza. Jest bardzo pewny siebie.

- Byle tylko ta łatwość nie wydała mu się podejrzana.

- Nie nazwałbym tego skoku „łatwym”. Już myślałem, że chce popełnić samobójstwo, zanim przypomniałem sobie, że ma zmienioną strukturę kości - odparł Simon. - Podsuń mu kogoś o odpowiedniej budowie - polecił AS.

\*\*\*

Ktoś otworzył drzwi do toalety. Josep czekał chwilę, żeby zobaczyć, co zrobi przybysz. Kroki zmierzał do pierwszej kabiny. Josep zastukał palcami w drzwi. Kroki ucichły na chwilę

- Hej! - syknął Josep.

- Coś się stało?

- Tak.

Mężczyzna wyjrzał za drzwi i spojrzał na Josepa siedzącego na muszli klozetowej ze zwieszoną głową.

- W czym problem? - spytał i podszedł bliżej.

Lewa ręka Josepa wystrzeliła naprzód i chwyciła przybysza za marynarkę, wciągając go do środka. Jednocześnie uderzył go w szyję kantem prawej dłoni. Zamknął drzwi. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, kamera zarejestrowała tylko, że mężczyzna przystanął przy pierwszych drzwiach, a potem wybrał drugie.

Według identyfikatora przybysz nazywał się Davis Fenaroli-Reece. Josep zaczął ściągać z niego garnitur. Przebieranie się w kabynie toalety było prawie tak samo niewygodne jak zakładanie ogrodniczek w ścianie. Potem posadził Davisa Fenaroli-Reece'a na sedesie i przyjrzał mu się uważnie. Rysy twarzy znów zaczęły mu się zmieniać. Bez pomocy lustra nie potrafił osiągnąć bardzo wiernego podobieństwa, ale najbardziej martwiły go włosy. Davis Fenaroli-Reece był brunetem, podczas gdy Andyl Pyne i Sket Magersan byli jasnymi blondynami. Ostatecznie zmoczył czuprynę wodą z sedesu i przyglądał ją ręką, mając nadzieję, że zdoła oszukać AS. Na szczęście kamery nie miały aż takiej rozdzielczości, by zarejestrować zmianę tekstury.

Przez dobrą minutę majstrował przy zamku w drzwiach kabiny. Gdy w końcu wyszedł, mechanizm kliknął i wyświetlił napis „Zajęte”. Josep umył ręce i wyszedł z łazienki.

Podążył korytarzem w stronę głównej klatki schodowej. Na drugim piętrze znajdowały się biura Z-B i obsługi portu. Większość z pracowników stała przy oszklonej ścianie, patrząc na Skóry otaczające budynek.

Na zewnątrz zapadał mrok, słońce schowało się za wysokie szczyty. To oznaczało, że nie mógł być nieprzytomny dłużej niż czterdzieści, może pięćdziesiąt minut. Jednak czuł się tak głodny, jakby nie jadł przez cały dzień.

Schody zaprowadziły go bezpośrednio na czwarte piętro, gdzie znajdował się pomost prowadzący bezpośrednio do głównego budynku terminala. Na końcu pomostu stało kilka Skór obserwujących każdą osobę wychodzącą z bloku administracyjnego - tak jakby AS nie potrafił od razu rozpoznać Sketa Magersana. Nawet nie drgnęli, gdy Josep przeszedł obok.

Czterdzieści minut później znajdował się już na parkingu, w sektorze 4B i spokojnym krokiem mijał rzędy pojazdów. Z budynku terminala wyszła grupka pracowników, życzyli sobie dobrej nocy, po czym rozeszli się, każdy w swoją stronę. Josep poszedł śladem jednego z nich.

- Przepraszam?

Mężczyzna właśnie otworzył drzwi, ale zatrzymał się na moment.

- Tak?

- Zepsuł mi się samochód. To chyba silnik w piąście. Jedzie pan do Durrell?

- Jasne. - Tamten skinął głową. - Mogę pana zabrać.

- Dziękuję.

Przy szlabanie aż roіło się od Skór.

- Straszna afera - stwierdził mężczyzna, zwalniając przy stanowisku ochrony.

- Ciekawe, co się stało - dodał Josep. Przesunął identyfikator Davisa Fenaroli-Reece'a po skanerze i spojrzał w kamerę.

Szlaban uniósł się w górę.

- Ktoś próbował się włamać do skrytki - wyjaśnił kierowca. - Ale uciekł.

- O Boże. Mam nadzieję, że nie aktywują naszyjników zastawowych.

- Za coś takiego? Wątpię.

Mężczyzna rzeczywiście jechał do Durrell. Josep poprosił, aby wysadził go przy centrum handlowym w jednej z podmiejskich dzielnic. Na szczęście, Davis Fenaroli-Reece miał przy sobie dość gotówki, by zapłacić za bilet do centrum. Stamtąd miał zaledwie dziesięć minut drogi do kampusu uniwersyteckiego. Gdy dotarł do holu w akademiku Michelle, zatrzymał się na chwilę i poczekał, aż jego twarz odzyska normalne rysy.

\*\*\*

- Ach, nareszcie. Byłem ciekaw, jak wygląda naprawdę. Zobaczmy, czy mamy tę twarz gdzieś w bazie.

\*\*\*

Josep wpisał kod dostępu na panelu przy drzwiach i wszedł. W pokoju jak zawsze panował bałagan. Pomieszczenie ledwie wystarczało dla jednej osoby, a odkąd się tu wprowadził, zamieniło się w pchli targ, pełen ubrań, papierków po fast foodach, wydruków i nieumytych naczyń. Michelle siedziała na łóżku, wpatrując się w panel perły stacjonarnej leżący na łóżku. Słyszając jego kroki, poderwała głowę, na jej twarzy odbił się wyraz szoku. Rozcięcie w lewej stopie pozostawione przez odłamek szkła nagle zapiekło boleśnie. Josep skrzywił się mocno.

\*\*\*

Michelle zaskoczona uniosła głowę, słysząc odgłos otwieranych drzwi. To na pewno Josep. Tak się martwiła, że złapano go podczas wykonywania zadań dla ruchu oporu. Ulga zmieniła się w szok, gdy zobaczyła, co weszło do pokoju. Była to parodia Skóry - cienkie, wrzecionowate urządzenie z metaliczną kulą zamiast głowy. Bliźniacze czarne soczewki wpatrywały się prosto w nią.

Krzyknęła, gdy robot wyszedł na środek pokoju.

Za nim podążyły dwie prawdziwe Skóry. Michelle krzyczała nadal, gdy jeden z nich rzucił się na nią. Masywne palce zacisnęły jej się na ramieniu. Chwyciła się ramy łóżka, ale napastnik był niezwykle silny. Ściągnął ją z łóżka i pociągnął do siebie; jej obojczyk uderzył boleśnie o podłogę.

- Na pomoc! - krzyczała. - Pomocy!

- Zamknij się, kurwa. - Skóra podniósł ją z podłogi i zarzucił sobie na ramię. Michelle próbowała go kopnąć, ale stalowy uścisk mężczyzny nie zostawiał jej żadnej swobody ruchu. Jej głowa zwisała mu na wysokości połowy pleców. Odchyliła szyję do tyłu i zobaczyła, jak smukły humanoidalny robot porusza się wolno po pokoju, dotykając różnych rzeczy. Potem byli już na półpiętrze, gdzie czekały pozostałe Skóry. Studenci stali w drzwiach pokoiów, patrząc, jak wynoszą ich współlokatorkę, zbyt przerażeni, by się poruszyć albo zaprotestować.

Łzy spływały jej po policzkach. Już po wszystkim. Z-B odkryła ich małą komórkę. Teraz ją przesłuchają i zabijają. Skamlała żałośnie, gdy mężczyzna wniósł ją do windy. W środku czekali jacyś ludzie. Zaczęli przyczepiać do jej ciała jakieś przyrządy i moduły medyczne.

Michelle znów zaczęła krzyczeć. Drzwi windy się zamknęły.

\*\*\*

Na chwilę pokój rozplątał mu się przed oczami.

- Wszystko w porządku? - spytała Michelle. Wstała z łóżka i stanęła obok, patrząc na niego z troską.

Josep uniósł stopę, by nie uciskać rany. Ból natychmiast ustał.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało. Josep czekał, ale z jakiegoś powodu nie podbiegła, by rzucić mu się w objęcia. Zastanawiał się, o co może chodzić. Czyżby podejrzewała, że spotyka się z inną? „Tylko nie to - pomyślał. - Byle tylko nie teraz”.

Pocałował ją szybko, ale ona wciąż nie zareagowała.

- Jest pewien problem - oznajmił. - Muszę pogadać z Rayem. Weź rzeczy, dobrze? Muszę się stąd wyprowadzić.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie ma się czym przejmować. - Usiadł na łóżku i przyciągnął do siebie perłę stacjonarną. Jego b-wpisane neurony wciąż nie odbierały żadnego sygnału, jedynie lekkie brzęczenie w tle. Co, u licha, mogło je tak sponiewierać? Wszystkie inne b-wpisane przeróbki działały prawidłowo.

- Co się dzieje? - naciskała Michelle.

- Dobra, posłuchaj. Zadzwoił do mnie kontroler. Z-B wysłała zapytajki do sieci uniwersyteckiej, sprawdzają dane studentów. Prawdopodobnie nic takiego, ale musimy być ostrożni. Muszę się stąd na jakiś czas wyprowadzić.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też, ale musimy być ostrożni. Poradzisz sobie. A teraz przynieś rzeczy, proszę.

- Uzyskał dostęp do bloków pamięci perły i spróbował uruchomić Prime'a. Panel wyświetlił komunikat o nieprawidłowym poleceniu.

\*\*\*

Robot zdalny wydał polecenie i towarzyszący mu kod, ale perła stacjonarna nie odpowiedziała. Na panelu pojawiła się ikona nieprawidłowego polecenia.

\*\*\*

Josep wpatrywał się w nią zaskoczony.

- O, cholera! - Gdzie mógł się podziać Prime? Gdyby tylko zdołał się z nim połączyć bezpośrednio... Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Raymonda bez pośrednictwa Prime'a. Michelle wciąż stała za nim, obserwując jego poczynania.

- Przyniesiesz rzeczy czy nie? - spytał ze złością.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Niech to szlag! - Kazał perle zadzwonić do Raymonda.

\*\*\*

DNI Simona wyświetlił mu szczegółowy schemat puli danych Durrell, generator grafiki kierował się wskazówkami programu monitorującego AS. Zobaczył, jak zapytajka

lokalizująca przelatuje przez całą pulę. Josep łączył się z osobistym adresem przenośnym. Gdziekolwiek był ten człowiek, najbliższy węzeł puli miał przekierować połączenie do niego. Węzeł w dzielnicy Silchester nawiązał połączenie. Chwilę potem padła cała pula w Silchester.

- Co się stało? - spytał Simon.

AS poinformował go, że program monitorujący został wykryty i zidentyfikowany przez nieznaną program.

Simon był pod wrażeniem. Wszystkie gadżety, które odebrali Josepowi, uległy samozniszczeniu, gdy tylko technicy Z-B zaczęli je oglądać, wyparowując stopniowo od powierzchni aż do wnętrza. Analiza gazów wykazała, że zawierały niezwykle skomplikowane cząsteczki. Wygląda na to, że ich oprogramowanie było równie zaawansowane.

\*\*\*

Panel wyświetlił ikonę „Nie znaleziono odbiorcy”. Josep wpatrywał się w niego z rosnącym niepokojem. Nawet jeśli pula danych nie mogła nawiązać połączenia, Prime Raya z pewnością przechwyciłby zapytanie lokalizującą i wysłał odpowiedź.

- To nie powinno tak wyglądać.

- Może wyłączył bransoletkę? - zasugerowała Michelle.

- Może. - Josep rozejrzał się po pokoju, coraz bardziej zaniepokojony. Coś było wyraźnie nie tak. Dlaczego nie mógł połączyć się z Prime'em?

- Ray dzwonił do ciebie?

- Nie.

To też było niepokojące. Najdalej w ciągu godziny Ray zorientowałby się, że włamanie nie poszło po ich myśli. Natychmiast zadzwoniłby do Michelle.

Wstał i popatrzył jej prosto w oczy. Spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie.

Michelle nigdy tak nie robiła. Oblewała się rumieńcem albo uśmiechała czule, z radością.

- Wciąż nie przyniosłaś rzeczy - zauważył lekko.

- Mówiłam ci już: nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżał.

\*\*\*

- O, cholera - mruknął Adul. - Zaczyna coś podejrzewać.

- Wiedzieliśmy, że tak będzie - odparł spokojnie Simon. Kwestia tylko kiedy. - Spojrzał na Josepa. Wsadzili go w kombinezon do całkowitego zanurzenia w wirtualnej rzeczywistości, z wierzchu bardzo przypominający Skórę. Warstwa emitera bodźców otoczona przez sztuczne mięśnie zapewniała całe spektrum bodźców fizycznych - krople



wody padające na twarz, dotyk koszulki ocierającej się o skórę. Więzień był zawieszony pośrodku okrągłej ramy osadzonej na sprzęgłach wychylnych, co pozwalało obracać jego ciało tak, by odpowiadało położeniu w świecie stworzonym przez AS - jednak skok z okna był już na granicy możliwości urządzenia. W jego rogówki i źrenice wetknięto światłowody, pozwalając świecić prosto na siatkówkę. Obraz miał rozdzielczość zero:zero - był idealny.

Duży panel umieszczony na ścianie ukazywał symulacje wygenerowane przez AS. Jak dotąd iluzja była bezbłędna. Josep całkowicie uwierzył w realność bloku administracyjnego i podróży przez Durrell. Nawet pokój Michelle stanowił wierną replikę dzięki pomocy humanoidalnego robota zdalnego - oddawał nie tylko barwy i proporcje, ale także teksturę i temperaturę łóżka i specyfikę perły. Zduplikowanie obiektów nieożywionych zawsze było łatwe.

To interakcje z innymi ludźmi stanowiły prawdziwe wyzwanie. Jeśli był to ktoś, o kim AS nie miał żadnych informacji, ich zachowanie i odpowiedzi należało oszacować z kontekstu. Wystarczył jeden błąd, by nastąpił efekt kuli śnieżnej, a całe środowisko stało się niestabilne. W tym przypadku AS próbował generować zarówno Michelle, jak i nieznane oprogramowanie, dysponując absolutnie minimalnym zestawem danych.

Simon był jednak zadowolony z przebiegu procedury. Przekonawszy się na własne oczy, jakimi możliwościami dysponuje intruz, uznał, że standardowe techniki przesłuchań okażą się niewystarczające. Jego decyzję dodatkowo umocniły wyniki skanu przeprowadzonego na poziomie komórkowym, zanim jeszcze więzień odzyskał przytomność. Lekarze i biotechnolodzy byli zafascynowani głębokimi zmianami, jakie zaszły w ciele mężczyzny, i w żaden sposób nie potrafili ich wyjaśnić. Zarówno liczba, jak i budowa egzotycznych mikrocząsteczek była zaskakująca. Niektórzy z ekspertów wciąż jeszcze zastanawiali się, czy mężczyzna jest zmodyfikowanym człowiekiem, czy obcym, który przybrał ludzką postać.

Jednak pomimo niezwyklej sprawności fizycznej obcego jego uczucia były z gruntu ludzkie - przynajmniej takie wnioski wyciągnął Simon z krótkiej obserwacji jego umysłu. To też podsunęło mu pomysł na wirtualne oszustwo.

Jego zdaniem opłaciło się to sownie. Zyskali kilka ważnych śladów, zwłaszcza dziewczynę, która z całą pewnością była zwykłym człowiekiem.

\*\*\*

- Gdzie są rzeczy? - powtórzył Josep. - Albo nie, powiedz najpierw, co to za rzeczy?
- Nie rób tego - błagała Michelle. - Proszę.
- Kim jestem?

- Co?

- Kim ja jestem?

Jej twarz przybrała nieszczęśliwy wyraz.

- Co ty wyprawiasz?

- Jak mam na imię?

- Przestań. Sprawiasz mi przykrość.

- Mhm. Wiesz co, jak na człowieka, którego nie było w domu tylko przez kilka godzin, jestem strasznie głodny. - Pochylił się i podniósł pudełko po pizzy. W środku wciąż znajdowała się niedojedzona porcja. Wetknął ją do ust i zaczął żuć.

\*\*\*

Magnetyczny zmysł Simona wykrył falę emocji przewalających się przez mózg więźnia. Zmieniały się szybko, od dezorientacji, aż po rozgoryczoną wściekłość.

- Już wie - oznajmił z żalem Simon. - No cóż, scenariusz prawie się powiódł. Mamy dość informacji, by zbadać jego pochodzenie.

- Ale nadal nie wiemy, dlaczego chciał porwać xianti.

- Wszystko po kolei. - Uśmiech Simona zniknął, gdy w mózgu więźnia zaszła kolejna zmiana. Simon nieczęsto widywał to uczucie. I nigdy w takiej skali.

\*\*\*

- Nie ma żadnego smaku - wycedził powoli Josep. - Wiesz dlaczego, Michelle?

- Proszę, przestań. Boję się

\*\*\*

- Fatalizm - powiedział Simon, zaskoczony intensywnością uczucia. Lśniąca aura więźnia skłębiła się niczym burzowa chmura.

\*\*\*

- Nie wiedziałem, że oprogramowanie może się bać.

\*\*\*

- Wychodzić! - wrzasnął Simon i rzucił się w stronę drzwi. Za plecami miał rosnącą aurę kłębiącą się gorączkowo. Potem skurczyła się gwałtownie.

Simon dotarł do drzwi. Zdążył je nawet otworzyć.

Więzień eksplodował.

\*\*\*

Lawrence odkrył, że ciemność działa bardzo kojąco. Było mu ciepło. Leżał wygodnie, zupełnie spokojny. Nie czuł bólu. Otaczała go macica mroku, bezpieczna i opiekuńcza. W uszach rozbrzmiewało mu równe bicie serca, które uznał za własne. Oddychał bez wysiłku.

Podejrzewał, że mógłby poruszyć kończynami, gdyby tylko chciał. Ale nie chciał - przytulne, półprzytomne przebywanie w mroku było zbyt przyjemne. Tylko oczy nie chciały działać w tym miłym otoczeniu - nie ukazywały absolutnie nic.

Zaczął widzieć bez wzroku.

Wydarzenia z jego przeszłości przesuwały mu się w umyśle, bez szczególnej chronologii, jak to wspomnienia. Odwiedzał rodziców. Bawił się z braćmi i siostrami. Roselyn znów zjawiła się w jego życiu, uśmiechnięta i kochająca. Przemierzał obce światy, a za chwilę szedł przez płaskowyż w środku szalejącej śnieżycy. U stóp miał jezioro kraterowe. Rozłożył ręce i zanurkował w jego głębokich, czystych wodach.

Poczuł czyjś uśmiech, jakby ktoś sobie z niego pokpiwał. Zrozumiał, że ma do dyspozycji nie tylko swoje wspomnienia. W tym świecie znajdowały się też czyjeś inne sny.

- Hej!

- Hej, Lawrence.

- Kim jesteś?

- Ludzie z Arnoon nazywają mnie smokiem.

- Jesteśmy w Arnoon?

- Tak.

- Co się dzieje?

- Naprawiam twoje ciało.

- Jesteś lekarzem?

- Nie.

- A zatem czym?

- Chcesz mnie poznać? Zatem chodź.

Sny smoka stały się wyraźniejsze. I nagle okazało się, że wszechświat nie jest już tak ciemny.

\*\*\*

Według czasu Durrell było wpół do czwartej nad ranem, gdy kosmolot Simona wylądował. Podjechał na stanowisko postojowe i rozłożył składane schodki. Po otwarciu zewnętrznego wjazdu Simon wziął głęboki wdech. Powietrze było znacznie lepsze niż recyklowane cząsteczki na *Norvelle*, ale poza tym nie miało żadnego zapachu, nic w nim nie wydawało się szczególnie obce. Za każdym razem, gdy lądował na nowej planecie, spodziewał się, że zobaczy tam coś wyjątkowego. Za każdym razem przeżywał zawód.

Braddock Raines czekał na niego u stóp schodów. Był bardzo poważny.

- Witam na Thallspring, sir. - Pięciu żołnierzy w Skórach utworzyło wokół nich

kordon ochronny, gdy szli w stronę limuzyny.

- Dziękuję. - Simon przystanął i spojrział na wozy strażackie zaparkowane wokół bloku administracyjnego. Dziesiątki szkarłatnych i pomarańczowych świateł migwały na płycie, niczym neon ogłaszający katastrofę. Mimo wczesnej godziny przy barierkach nadal tłoczył się tłum gapiów.

Wokół bloku administracyjnego zamontowano reflektory szerokostrumieniowe, oświetlające dużą część dwóch górnych pięter, które zostały całkowicie wysadzone. Trzy niższe kondygnacje zapadły się, niszcząc większość oszklonej ściany. Na ziemi ciągnęły się wydmy usypane ze szklanych odłamków. Skóry i roboty przedzierały się przez gruzy w poszukiwaniu rannych i zwłok. Długie żurawie wozów strażackich stały na straży, opryskując wodą mokre szczątki budynku.

- Co za bałagan - mruknął Simon.

- Tak, sir - zgodził się Braddock. - W puli aż się kotłuje. Prezydent Edgar Strauss życzy sobie natychmiastowego wyjaśnienia tej sytuacji od generała Kolbego. Chce wiedzieć, kogo obciążyć winą.

- Ach, nasz dobry prezydent. Miałem z nim do czynienia tylko raz. Jak się miewa?

Braddock uśmiechnął się zakłopotany. Mimo iż posiadał klauzulę dostępu do najtajniejszych informacji Z-B, zawsze czuł się nieswojo, gdy przypomniano mu, ilu jest na świecie Simonów Rodericków.

- Obawia się, że użyjemy zastawu.

- To zrozumiałe. Biorąc pod uwagę okoliczności tego zajścia, nie mogę pociągnąć mieszkańców Thallspring do odpowiedzialności, ale Strauss nie musi tego wiedzieć. Niech generał przekaze mu, że śledztwo jest w toku. Dzięki temu mieszkańcy powinni mieć się na baczności.

Szpital kosmodromu mieścił się w niewielkim skrzydle budynku terminala. Gdy do środka wniesiono ciężko rannego Simona Rodericka, Braddock otoczył cały ten teren ciasnym kordonem. Do sali operacyjnej dopuszczono tylko personel medyczny Z-B. Potem przemianowano ją na oddział intensywnej opieki. Programiści i eksperci do spraw bezpieczeństwa starannie oglądali każdy element sprzętu, który miał zostać wykorzystany do leczenia prokurenta. Elektronika i węzły sali operacyjnej zostały odcięte od sieci kosmodromu, którą z kolei odizolowano od puli danych. Teraz sabotaż któregośkolwiek z urządzeń stał się fizycznie niemożliwy.

- Wykazaliście dużą staranność - stwierdził z aprobatą Simon, idąc korytarzem szpitala. - A co z Adulem?

- Nie żyje, sir.

- Ach, co za szkoda. Był dobrym człowiekiem.

Na korytarzu przed salą operacyjną stało trzech żołnierzy w Skórach. Jeden z nich przytrzymał Simonowi drzwi. Technik wirusowy wraz z lekarzem krzatali się po sali, monitorując aparaturę podtrzymania życia otaczającą postać na łóżku.

- Chciałbym zostać z nim sam na sam.

Roderick skinął palcem, zanim lekarz zdołał zaprotestować. Wychodząc z sali, zaskoczony technik obrzucił Simona długim, uważnym spojrzeniem.

Simon podszedł do łóżka. Dwa z dziesięciu świateł w dużej, ruchomej lampie zamontowanej na suficie świeciły w stronę aparatury. Siedemdziesiąt trzy procent ciała SK2 pokrywały oparzenia, które pokryto grubą membraną wyposażoną we własną sieć naczyń transportujących płyny, odżywiające teraz zniszczoną tkankę. Głowę miał całkowicie zakrytą, pozostawiono jedynie dwie szczeliny, jedną na usta, drugą na jedno oko, które udało się ocalić. Przewód z tlenem biegł poprzez membranę aż do resztek nosa. Lewa ręka została amputowana, podobnie jak obie nogi w kolanach.

- Słyszysz mnie? - spytał Simon.

SK2 otworzył oko.

- Pieprzony kosmiczny skurwysyn!

- Jeśli cię to pocieszy, to jest w gorszym stanie od ciebie. Wciąż zdrapują go z sufitu.

- Z jakiego sufitu? Skurwiel wysadził cały budynek. Cholera, ależ byłem głupi. Powinienem był przewidzieć, do czego jest zdolny.

- Tak, jako metoda samobójstwa bije na głowę ząb z cyjankiem. Nie wiedziałem, że ciało człowieka może zawierać tyle energii chemicznej.

- Nie człowieka. Obcego.

- Nie. Po drodze przejrzałem trochę danych. Nasi drodzy eksperci zrobili pewien postęp. Jego DNA zostało zidentyfikowane jako ludzkie. To mikrocząsteczki były obcego pochodzenia. Poza tym w tych próbkach nie było ich tak wiele, zaledwie kilkaset tysięcy, ale wygląda na to, że odtwarzają strukturę cząsteczkową komórki, w której się znajdują. Modyfikacje nie są sekwencjonowane genetycznie. Wiesz, co to oznacza.

- Obcy.

- W każdym razie ta technologia jest nam zupełnie nieznana. Wykluczaliśmy wszelkie powiązania z Santa Chico. To znacznie bardziej zaawansowane niż wszystko, czym dysponują. To działający nanosystem, zdolny odtwarzać biologię cząsteczkową.

Oddech SK2 znów zasyczał głośno.

- Znajdź ich! - jęknął. Kilka lampek zapłonęło na czerwono. - Kurwa mać, jak to boli.  
- Na razie muszą cię ustabilizować. Dopiero za dwa dni będziesz gotów na regeneracyjną terapię wirusową.

- Jaja są na miejscu?

- Podobno tak.

- Wielkie, kurwa, dzięki. Powiedzieli mi o reszcie.

- Wiem.

- Ujebało mi obie nogi.

- Dostaniesz zamienniki, jak tylko wrócimy.

- Pięknie, kurwa, pięknie.

- Mam poprosić, żeby cię zahibernowali?

- Nie. Chcę to dociągnąć do końca.

- Jak sobie chcesz.

- Oczywiście, że sobie, kurwa, chcę. Wiesz, co to oznacza?

- Przyznaję, że perspektywa działającego nanosystemu otwiera fenomenalny potencjał.

- Fenomenalny, dobre sobie - zachrypiął SK2. - Totalny. Moglibyśmy zmodyfikować całą ludzką rasę i to w czasie rzeczywistym. Żadnego czekania, aż zacofane regiony zyskają na naszych i inwestycjach, żadnej polityki zdrowotnej opartej na modyfikacjach somatycznych. Mój Boże, wygraliśmy! Teraz można będzie wdrożyć wszystko, o czym marzyliśmy. Ci głupi barbarzyńcy nie zdołają nam już przeszkodzić. Społeczeństwo przejdzie całkowicie na model gospodarki aktywno-kreatywnej.

- Miejmy nadzieję - odparł wymijająco Simon.

- Do diabła z nadzieją!

Simon z przykrością patrzył na cierpienie swego sklonowanego brata. Bardzo łatwo potrafił wyobrazić sobie, że to on leży na szpitalnym łóżku, podłączony do przyrządów. SK2 zafiksował się na wizji odkrycia nanosystemów, by nadać sens własnemu cierpieniu, sprawić, by ten ból i wyrzeczenia okazały się coś warte. Simon musiał przyznać, że rzeczywiście mogło tak być. Jednak obcy używał swojego nanosystemu w bardzo dziwny i zdecydowanie agresywny sposób.

- Wciąż nie jesteśmy pewni, jakie możliwości daje ta technologia. Jak dotąd mamy dużo domysłów podekscytowanych techników i nic konkretnego.

- Widziałem, co zrobił i czym się stał. Możemy przebudować wszystkich ludzi we wszechświecie, sprawić, by stali się zdrowi i inteligentni.

- Tak samo jak my. - Simon uznał, że chyba zdołał powiedzieć to bez ironii.

- Po to istniejemy.

- To prawda, choć nigdy nie sądziłem, że będzie to taki wielki wybuch.

„A co, jeśli ludzie nie będą chcieli poddać się modyfikacjom?“, miał ochotę zapytać, ale wiedział, że SK2 już zna na to odpowiedź. Odkrycie nanotechnologii wywołałoby bezprecedensowy rozłam w zarządzie. Jedne serie zażądają natychmiastowego wdrożenia, podczas gdy inne - na przykład jego własna - będą proponowały, by postępować ostrożnie.

Oczywiście wszystko to były wyłącznie hipotezy, chyba że rzeczywiście uda im się odnaleźć obcego i zdobyć jego technologię. Simon obrzucił SK2 zamyślnym spojrzeniem. Czy to dlatego odmówił przejścia w hibernację? Chciał dopilnować, że akwizycja zostanie zakończona powodzeniem? Sam fakt, że pomyślał coś podobnego o swoim sklonowanym bracie, poważnie go zaniepokoił.

- Cóż, teraz możemy nieco zrewidować nasz pierwotny plan, by to uwzględnić, prawda?

- To byłaby spora zmiana.

- Ale wykonalna. I bardzo pożądana.

- To prawda.

- Najpierw przesłuchaj dziewczynę, Michelle Rake. To słabe ogniwo w ich zabezpieczeniach.

- Oczywiście. Jak sądzisz, dlaczego ten obcy używa przeciwko nam swojej technologii?

- Nie wiem. Nie mamy jeszcze dość danych. To też trzeba będzie ustalić.

\*\*\*

W snach smoka było wszystko, o czym Lawrence kiedykolwiek marzył. Przyjął tę ironię z gorzkim rozbawieniem, słuchając historii Imperium Pierścienia. Wszechświat znów zafalował wokół niego, zabierając ze sobą to, co uważał za rzeczywiste. Barwne, eleganckie fakty z wolna zlewały się ze sobą, łącząc się z jego myślami, aż w końcu stały się objawieniem. W tym dziwnym stanie oświecenia unosił się śladem Mozarka, podczas gdy książę krążył od planety do planety. Lawrence zdał sobie sprawę, że w tej historii brakuje dużych fragmentów.

- Większość moich wspomnień zaginęła - powiedział ze smutkiem smok.

- A zatem to prawda? - spytał Lawrence, spoglądając na Miasto, podziwiając srebrno-kryształowe pałace wynurzające się z różowej mgły o świcie.

- To część historii.

- Jak dawno temu?

- Dziesiątki milionów lat temu, może nawet więcej. Ta informacja nie znajduje się już we mnie.

Lawrence był przekonany, że gdyby miał otwarte oczy, to by płakał. Wiedza smoka była oszałamiająca, znajomość nauki wprost niezwykła. Był tu potencjał, by osiągnąć... wszystko. Lawrence odczuwał nie tylko podziw, ale wręcz pokorę. Jego własne cele zdawały mu się teraz śmieszne i pozbawione znaczenia. A jednak smok nie próbował go osądzać, co jeszcze wzmogło w nim poczucie winy.

- Miałem nadzieję, że znajdę tu jakieś bogactwa - przyznał. - Ale nawet nie śniłem, że aż tak wielkie.

- Wieśniacy nie uważają się za bogatych.

- Ale są. Uwierz mi. Nie ma na świecie większego daru, niż poznać ciebie. Jesteś nadzieją, w którą już dawno przestałem wierzyć.

- Dziękuję. Ale to, że zdołałem odzyskać świadomość, to wyłącznie zasługa ludzi. Nie istniałbym, gdyby nie wasze wysiłki.

- Ale chciałbym wiedzieć jedno - dodał Lawrence, chociaż wstydził się tego pytania: - Jesteś pewien co do Mozarka? Te miejsca i istoty, które odwiedził podczas podróży, naprawdę istniały?

- Mam do dyspozycji tylko te wspomnienia. To one czynią mnie tym, czym jestem. Czy twoja przeszłość istnieje, Lawrence?

- Czasem chciałbym, żeby rzeczywiście nie istniała.

\*\*\*

Denise wstała o świcie, zadowolona, że mogła przespać się we własnym łóżku - jak miała nadzieję - po raz ostatni. Wyszła na balkon domu swoich rodziców, patrząc na bijący z nieba blask. Tym razem słońce ukazało się w pełnej okazałości, jako miedziany półksiężyc wznoszący się w szczelinie pomiędzy szczytami Arnao i Nallan. Wzięła to za dobry omen. Szczelina rzadko bywała wolna od mgły o tej porze dnia. Oparła się o rzeźbioną drewnianą poręcz i zapatrzyła się na wąskie doliny i poszarpane grzbiety wypełniające Arnoon. Na stokach otaczających ją gór leżała cienka warstewka mgły, tylko najwyższe drzewa wystawały ponad jej biały całun. Światło słoneczne barwiło mgłę na złocistoróżowy odcień, gdy ta pełzła po zboczach w stronę leżącej niżej równiny.

Zjadła śniadanie z rodzicami, po czym przeszła przez wioskę w stronę pawilonu ze śnieżnokr. Powietrze na płaskowyżu było znacznie chłodniejsze niż w wilgotnym nadmorskim klimacie Memu Bay. Przed wyjściem z domu włożyła sweter z wierzbowego



włókna - prezent od Jacinthy. Zaprojektował go jej mąż Lycor. Jak zawsze użył całej gamy jaskrawych kolorów, unikając przy tym krzykliwego efektu. Wzór przedstawiał zwinięte płatki w kolorach szafiru, topazu i magenty. Wyglądały, jakby ktoś rozrzucił je po czarnej wełnie. Rękawy rozszerzały się przy nadgarstkach, miały jednak małe rozcięcie, dzięki któremu mogła je podwinąć. Mimo iż chłodny wiatr dął od strony Kenzi, było jej cudownie ciepło.

Gdy tak szła, podchodzili do niej znajomi, których nie widziała już od lat. Witali się, zamieniali z nią kilka miłych słów, wygłaszali pełne otuchy deklaracje. Wszyscy podkreślali, jak bardzo przykro im z powodu Josepa, tak jakby ona cierpiała po jego śmierci bardziej niż inni. Czuła, że jest w tym coś niewłaściwego. Traktowali ją tak, jakby coś osiągnęła, a przecież prawie ściągnęła na wszystkich zgubę. Ale wykrzyczenie im tego prosto w twarz byłoby samolubne. Poza tym wciąż pozostawała nadzieja, chociaż Denise nigdy nie sądziła, że objawi im się w tak nieoczekiwanej postaci.

Zanim przybyły dzieci, przeszła się po pawilonie, przesuając ręką po korze każdego z drzew, poznając je na nowo. W dzieciństwie spędziła tu wiele czasu, bawiąc się z kolegami, grając w gry i słuchając, jak dorośli opowiadają fantastyczne historie. Dobrze się złożyło, że to właśnie ona - ta, która postanowiła zanieść ich filozofię życia do nowego świata - mogła opowiedzieć nowemu pokoleniu o ich dziedzictwie.

Dzieci zaczęły przybywać, stały małymi grupkami na pobliskiej łące, śmiejąc się i rozmawiając. Denise uśmiechnęła się odruchowo. Radość dzieci była zaraźliwa, ich radosne buzie sprawiały, że świat stawał się mniej bolesnym miejscem. Za nimi nadeszli rodzice z mniejszymi dziećmi. Zobaczyła Jacinthę i Lycora z małą Elsebeth, która dreptała pomiędzy rodzicami, trzymając ich za ręce.

W końcu, po krótkich namowach, dzieci usiadły w dużym półkolu, zwrócone w stronę Denise.

- Czy wszyscy znacie historię Mozarka i Endoliyn? - spytała.

- Tak! - wykrzyknęły w odpowiedzi.

- No cóż, w takim razie dzisiaj opowiem wam ostatnią historię o Imperium Pierścienia. Działo się ona wiele lat po zakończeniu rządów Mozarka i Endoliyn. To dość smutny czas, ponieważ wtedy imperium zaczęło podupadać. Niektórzy z mieszkańców obwiniali o to maszyny, które były już tak mądre, że potrafiły opiekować się ludźmi od chwili narodzin aż do śmierci. To nowe, rozpieszczone pokolenie nie było zainteresowane niczym prócz własnej przyjemności. Stali się dekadency, a nawet okrutni. A jednocześnie właśnie to pokolenie, ostatnie pokolenie imperium, miało do dyspozycji niewyobrażalne zasoby. Ich

maszyny potrafiły przebudowywać planety i modyfikować atomy, aby stworzyć wszystko, czegokolwiek ludzie zapragnęli. Można pomyśleć, że w takiej sytuacji ludzie będą zupełnie szczęśliwi. Ale nie. Nawet liczba planet we wszechświecie jest skończona. Zaczęli kłócić się o to, ile zasobów może posiadać jedna osoba i jak należy te zasoby podzielić i nadzorować. Z początku były to tylko kłótnie. Potem doszło do kradzieży i gromadzenia materiałów. W końcu wybuchły walki, które przerodziły się w długie zmagania znane nam jako Wojny Dekadencji. Królestwa splecione ciasną siecią powiązań zwróciły się przeciwko sobie. Zbudowali maszyny bojowe, najstraszniejsze w dziejach wszechświata, wyposażyli je w broń zdolną rozerwać planety na strzępy, a nawet unicestwić gwiazdy. Następnie te maszyny stanęły ze sobą do walki w każdym układzie słonecznym. Do ich budowy zużyto niewyobrażalnie wiele zasobów. Oznaczało to, że każdy układ gwiazdny zdobyty przez maszyny zostawał natychmiast przerobiony na fabrykę kolejnych maszyn. Aż doszło do tego, że ostatnie pokolenie zostało pozbawione zasobów, o które sami rozpętali wojnę. Bez zasobów szybko wyginęli. Maszyny bojowe walczyły ze sobą przez tysiące lat, siejąc zniszczenie pośród gwiazd, aż w końcu wyeliminowały się nawzajem, niszcząc przy tym inne rozumne rasy.

Ale dekadenci i ich maszyny bojowe nie były jedyną przyczyną upadku imperium, chociaż ponoszą za to większość winy. Reprezentowali jedynie fizyczny aspekt jego rozkładu. Wiele społeczeństw poszło śladem Wilfrenów, powoli popadając w regres, a nawet odrzucając społeczeństwo technologiczne w poszukiwaniu spokojnego, prymitywnego życia, wycofując swój udział i wsparcie dla imperium. Niektórzy jego członkowie, na przykład Wędrowcy czy Ostatni Kościół, całkiem sprawnie realizowali swoje cele. Dlatego też zwabiali do siebie najbardziej dynamiczne jednostki, najinteligentniejsze i najbardziej niespokojne, nieustannie poszukujące wyzwań - wszyscy znaleźli sobie jakąś sprawę i oddali się jej bezgranicznie. W ten sposób w ciągu kilku tysięcy lat pozbawiono Imperium Pierścienia wszelkiej witalności. Zrobili to na własne życzenie, ci sami ludzie, którzy mogli je odbudować. Pośród różnych frakcji znalazła się jedna grupa, która przewidywała upadek. Wieczni, którzy byli przede wszystkim naukowcami, badali cywilizacje z całego Imperium Pierścienia. Wtedy odkryli, że istnieje jedna rzecz wspólna dla wszystkich gatunków: cykle rozwoju i rozkładu. Niektóre trwają nie dłużej niż stulecie. Inne znów ciągną się miliony lat. Jednak życie zawsze rozwija się według tego wzorca. Gdy wybuchły Wojny Dekadencji, a imperium rozsypało się w kawałki, Wieczni postanowili się ratować. Wiele grup próbowało zrobić to samo, zakładać kolonie i tajne enklawy, w których kultywowały swe idee, tak by kiedyś znów mogły odzyskać dawną chwałę. Czasami całe królestwa kryły się za

umocnionymi barierami, by nie zarazić się rozkładem przeżerającym ich sąsiadów. Wszyscy opierali się temu, co, zdaniem Wiecznych, było nieuniknione. Naukowcy uważali, że ta walka jest z góry skazana na przegraną. I mieli rację, ponieważ w dzisiejszych czasach nie ma już Imperium Pierścienia, jedynie pogłoski i legendy o jego dawnej chwale. Ale Wieczni przetrwali.

Zamiast na próżno opierać się rozkładowi, postanowili poddać się cyklowi życia. Zmodyfikowali swoje społeczeństwo tak, by żyć w harmonii z naturą wszechświata. Biologiczne formy życia i maszyny Imperium Pierścienia zostały skonstruowane na poziomie cząsteczkowym. Wieczni zmienili się w wielkie istoty unoszące się w kosmosie. W przeciwieństwie do statków, nie potrzebowali sztucznych źródeł mocy ani wielkich stacji przemysłowych, by nadal funkcjonować. Pod wieloma względami te istoty były niezwykle proste i właśnie ta prostota pozwoliła im przeżyć i przemierzyć cały wszechświat.

Żyją także dzisiaj, na orbicie wokół wielkich czerwonych olbrzymów, napędzane ich ciepłem, żywiąc się wiatrem słonecznym. Mają olbrzymie ciała, podobne do asteroid, którym wyrosły słoneczne skrzydła o szerokości paru kilometrów. Z powodu ich kształtu i gorącego środowiska, w którym żyją, nazwaliśmy je smokami. Nawet wykluwają się z jaj. Istnieją w każdym systemie słonecznym - ciemne, zimne kule krążące po orbicie gwiazdy, czekając, aż jej życie dobiegnie końca. Potem znów rozpoczyna się cykl. Gwiazdy starzeją się i umierają, puchną, by pochłonąć swoje planety, a w końcu zmieniają się w czerwone olbrzymy. Wtedy ich ciepło dociera do jaj, oddając im swą energię. A one rosną powoli, chłonąc ciepło i strumienie jonów, aż w końcu zmieniają się w dorosłe smoki. A wtedy zaczynają słuchać wszechświata. Ich skrzydła przetykane są cząsteczkami zdolnymi odebrać fale radiowe z drugiego końca galaktyki, a nawet dalej; dzięki nim smoki słuchają, jak rosną i upadają cywilizacje. Nasłuchują samego kosmosu, narodzin i śmierci gwiazd, krzyku materii wpadającej w czarne dziury, kwazarów i pulsarów krzyczących w pustkę. Całą tą wiedzą dzielą się ze sobą nawzajem, analizują ją i zapamiętują. Czasem, z rzadka, wykorzystują ją, by zmodyfikować się na poziomie cząsteczkowym. Taka jest ich fizyczna natura, dziedzictwo Imperium Pierścienia.

Gdy w końcu gwiazdy kurczą się do postaci białych karłów, tuż przed zgaśnięciem, smoki zostają same w ciemnościach. Akceptując swoją śmiertelność, żyją zgodnie z cyklem, z tym, co naturalne. Odegrały swoją rolę i pomogły rozwinąć swój gatunek. Jak każda cywilizacja, zdobywają wiedzę, organizują ją i przekazują swym spadkobiercom. Okrążając swą ogromną gwiazdę, wysyłają w dal własne jaja, a każde z nich zawiera wspomnienia wszystkiego, co smoki uważają za ważne. Jaja lecą poprzez mrok przestrzeni

międzygwiazdnej, aż w końcu pole grawitacyjne jakiejś nowej, jasnej gwiazdy ściągnie je na swoją orbitę, by cykl mógł rozpocząć się na nowo.

- Tyle że jedno z nich spadło na ziemię, a raczej na Thallspring - dokończył Lawrence.

Dzieci odwróciły się zaskoczone. Mężczyzna opierał się swobodnie o pień śnieżnokory z rękami skrzyżowanymi na piersi. Z krzywym uśmiechem spoglądał na Denise.

Dzieci zaczęły szeptać, podekscytowane.

- To było ponad dwa tysiące lat temu - ciągnął Lawrence. Uśmiechnął się szeroko do słuchaczy, wpatrzonych w niego z podziwem. - Jajo smoka spadło z nieba niczym drzazga słonecznego światła i uderzyło w płaskowyż u podnóża Kenzi. Uderzenie było tak silne, że wyrwało krater w litej skale. Wszystkie drzewa w promieniu pięćdziesięciu kilometrów zostały wyrwane z ziemi i rozerwane przez falę uderzeniową. Ich drewno płonęło przez wiele dni, wypełniając powietrze gęstym dymem. Jednak pył skalny uniósł się do stratosfery i na długie tygodnie zasłonił słońce. Na płaskowyżu nadeszła najsroźsza zima w historii tej planety, całkowicie zasypując go śniegiem. A potem, kilka lat później, gdy śnieg stopniał, krater wypełnił się wodą. Drzewa zaczęły odrastać. A za sto lat wszystko wyglądało już tak, jak przedtem, tyle że powstało tu jezioro.

Potem przybyli ludzie i nazwali to miejsce Arnoon. Zbudowali sobie wioskę i zaczęli zbierać wierzbowe włókno. Aż w końcu, któregoś dnia...

- Któregoś dnia mój dziadek wyprawił się na zwiad, gdy jego czujniki badawcze wykryły dziwny wzorzec magnetyczny w skale pod dnem jeziora - przerwała Denise. - A zatem zaczął kopać. Jego mały robot dopiero po kilku miesiącach wykopał szyb prowadzący w głąb wyspy. Ale gdy tam dotarł, mój dziadek ujrzał fragmenty jaja. Oczywiście, nie miał pojęcia, co to jest, wiedział tylko, że to fizyczne matryce, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek stworzyli ludzie. Zaczął kopać głębiej, aż w końcu znalazł największy fragment, ten, który nazywamy smokiem.

- Do tego czasu - ciągnął Lawrence - odkrył, że struktura cząsteczkowa mniejszych fragmentów jest używana do przechowywania danych. Po wielu nieudanych eksperymentach w końcu zdołał uzyskać do nich dostęp. Gdy już odkrył, jak to zrobić, zaczął eksplorować wielki zbiór informacji zachowanych wewnątrz smoka.

- Smok wciąż spał - dodała Denise. - Nie miał nic prócz oderwanych wspomnień. Mój dziadek napisał programy, które połączyły je ze sobą. Smok powoli zaczął się budzić. Nauczył się myśleć.

Mężczyzna spojrział na nią, nie bacząc na zgromadzonych słuchaczy.

- A potem odkryliście, że to w rzeczywistości nic innego jak spójny nanosystem, wyspecjalizowany w inżynierii cząsteczkowej. Wykorzystaliście go, by zmodyfikować miejscowe rośliny tak, by rodziły ziemskie owoce. Zmodyfikowaliście siebie, by zyskać odporność na choroby. Syntezowaliście z jego pomocą urządzenia, znacznie bardziej zaawansowane niż cokolwiek, co dotąd wyprodukowała ludzkość. I zachowaliście go tylko dla siebie.

- Ponieważ smok może zmienić się tylko w to, o co go prosimy. Nie potrafi stworzyć nic nowego. Nie wie jak. Te dane zostały utracone podczas zderzenia. Każdy sekwencer wzorcowy w moim ciele był kiedyś częścią smoka, który uszczuplił się dobrowolnie, byle tylko wspomóc mnie. A potem zmniejszył się jeszcze bardziej, by uleczyć ciebie.

- Aha - przyznał Lawrence łagodniejszym tonem. - Święte oburzenie byłoby teraz trochę nie na miejscu.

Denise znów zwróciła się do dzieci.

- A zatem teraz wiecie, dlaczego żyjemy tu trochę inaczej niż reszta mieszkańców Thallspring. Pewna bardzo szlachetna istota złożyła w ofierze część siebie, by ułatwić nam życie. Mamy wobec niej olbrzymi dług. Dlatego nie możemy o nim zapomnieć i modlimy się, byśmy któregoś dnia byli w stanie go spłacić.

Dzieci wymknęły się z pawilonu, znikając pomiędzy pniami śnieżnokor. Wiele z nich podkradało się do Lawrence'a, a potem umykało z głośnym chichotem. Najwyraźniej obecność dużego, złego najeźdźcy stanowiła dla nich poważne wyzwanie. Uznał, że to dość zabawne.

Jacintha podeszła do niego, trzymając na rękach małą Elsebeth. Dziewczynka nieśmiało ukryła twarz przy szyi matki.

- Teraz już pamiętam - stwierdził Lawrence.

Kobieta skinęła głową, jakby niechętnie.

- Przykro mi, że znów musieliśmy stać się wrogami.

- Miłość i wojna. To chyba część ludzkiego cyklu.

- Mamy nadzieję, że z pomocą smoka uda nam się go przerwać.

- Wiem. Powiedział mi. - Jacintha spojrzała na siostrę, która czekała na nią z miną pełną dezaprobaty.

- Nie rób jej wyrzutów. Robi tylko to, co musi.

- Nie martw się. Ja też wiem, co mam robić.

Kobieta obrzuciła go lekko podejrzliwym spojrzeniem, po czym wróciła do Lycora. Elsebeth zamachała do niego rączką ponad ramieniem matki. Lawrence uśmiechnął się i sam

uniósł rękę, przebierając palcami.

- Mamy Grabowskiego - powiedziała bez wstępów Denise. - Oferuję ci następujący układ. Nie możesz wrócić do Zantiu-Braun, a zatem jeśli zgodzisz się z nami współpracować, sekwencer wzorcowy naprawi wszystkie uszkodzenia jego ciała, w tym mózgu, i będzie mógł zacząć nowe życie, tutaj w wiosce.

Lawrence uśmiechnął się jeszcze szerzej, aż w końcu uznał, że wygląda już dostatecznie irytująco.

- Niepotrzebny mi żaden układ. Pomogę wam tak czy inaczej.

- Co masz na myśli? - spytała powoli.

- Chcesz zabrać fragment smoka na Aldebaran, prawda? Najbliższy czerwony olbrzym, wokół którego krążą inne smoki.

- Tak - przyznała się po chwili, jakby ujawniała śmiertelną słabość. - One mogą go naprawić. Jeśli zostanie tutaj, twoi ludzie kiedyś go znajdą. Zabiorą go nam i rozłożą na części w swoich laboratoriach, by odkryć, jak działają systemy tworzące sekwencery. Nie mogę do tego dopuścić. To żywa istota, która tak wiele nam dała, a my nie mieliśmy się jak odwdzięczyć. To nasza jedyna szansa, by pomóc jej wrócić do domu.

- Moi ludzie, co?

- Zantiu-Braun albo rząd Thallspring. Ludzie, którzy nie uznają naszego stylu życia. Ludzie, których nie obchodzi nic prócz nich samych.

- Wydaje mi się, że we wszechświecie jest więcej „waszych ludzi”, niż ci się wydaje. Gdziekolwiek bym nie poszedł, wszędzie spotykam jakichś idealistów.

- Szkoda, że żaden nie potrafił cię przekonać.

- Przecież powiedziałem, że pomogę.

- Czemu? Co ci z tego przyjdzie?

- A uwierzysz, jak powiem, że robię to z czystego altruizmu? - Nie zamierzał się przyznawać, jaki szok przeżył, gdy usłyszał o Mordiffach, ani opowiadać jej o swoim innym odkryciu.

- Nie wierzę ci. Przybyłeś tu, by ukraść smoka. Tacy jak ty nie zmieniają stron tak szybko.

- Zanim tu przybyłem, nie wiedziałem o jego istnieniu. Myślałem, że macie tu kopalnię złota albo diamentów.

- Ale... - Denise obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem. - W takim razie skąd masz Prime'a?

- Od chłopaka, którego znałem na Amethi. To był porządny gość. Trochę zagubiony,

ale w tym wieku wszyscy tacy są.

- A zatem na Ziemi też jest smok.

- Nie. I właśnie dlatego wam pomogę.

\*\*\*

Michelle nie wiedziała, gdzie się znajduje ani która jest godzina. Nie była nawet pewna, jaki jest dzień tygodnia.

Gdy Skóry wywlekły ją z pokoju, została gdzieś wywieziona półciężarówką z zasłoniętymi szybami. Medycy, którzy czekali w windzie, pojechali razem z nią. Zdarli z niej koszulkę, by przystawić do ciała próbniaki. Wbili jej igły w kończyny i w brzuch, pozostawiając małe kropelki krwi. Dziewczyna krzyczała, błagała i szarpała się z całych sił. Wszystko na próżno. Jeden ze Skór przyciskał ją do podłogi, póki badanie nie zostało zakończone.

Rzucono jej z powrotem podartą koszulkę, a ona próbowała się nią owinać, by zakryć piersi. Po zakończonym badaniu mężczyźni nie zwracali już uwagi na więźniarkę leżącą na podłodze i płaczącą rozpaczliwie. Spodziewała się, że teraz ją zgwałcą, ale nic takiego się nie stało.

Cała podróż trwała piętnaście minut. Gdy wyciągnięto ją z samochodu, znalazła się w jakimś niepozornym podziemnym garażu. Poprowadzono ją do małej celi i wepchnięto do środka. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Po godzinie pomyślała, że pewnie o niej zapomnieli. Zaczęła walić w drzwi, ale nikt się nie zjawił. Znow zaczęła płakać, nie mogąc znieść, że jest taka słaba. Goryle Zantiu-Braun mogli z nią zrobić, co tylko chcieli.

Gdyby tylko pozwolili jej się zobaczyć z Jospem... Mogłaby znieść ten horror, gdyby tylko miała go przy sobie. Powoli skuliła się na prycy, przyciskając kolana do piersi. Płakała krótkimi szlochami. Dlaczego po prostu jej nie przesłuchają? Niech to się wreszcie skończy! Po jakimś czasie zapadła w sen.

Obudził ją odgłos otwieranych drzwi. Do środka wszedł żołnierz w Skórze. Michelle przycisnęła do siebie podartą koszulkę, patrząc z lękiem na ciemną, potężną sylwetkę. Nagle odkryła, że już nie spieszy się na przesłuchanie.

- Chodź ze mną. Natychmiast - oznajmił żołnierz.

Poprowadzono ją ponurymi korytarzami, aż do windy jadącej na główne piętra budynku. Pomyślała, że wygląda zupełnie jak drogi hotel - złote dywany i wypolerowane drewniane drzwi. Na ścianach wisiały duże, barwne płótna olejne. Misternie wyrzeźbione stoły, porcelanowe wazony eksponujące wielkie, starannie ułożone bukiety. Stożki świetlne

ozdobiono srebrem i rżniętym kryształem.

Nie był to hotel. W otwartych drzwiach widać było pomieszczenia biurowe. Pracujący w nich ludzie wyglądali na spiętych i zapracowanych. Niewiele osób odważyło się spojrzeć w jej stronę.

Żołnierz w Skórze otworzył w końcu drzwi prowadzące do gabinetu, w którym stało tylko jedno biurko. Siedział za nim jakiś mężczyzna ubrany w elegancki szarofioletowy garnitur, niepodobny do żadnych ubrań noszonych na Thallspring.

- Ja się nią zajmę - oznajmił.

Michelle ledwie go dosłyszała. Spojrzała w okno, za którym ciągnęły się ogrody obramowane szeroką, kolistą autostradą. Za nimi wznosiły się znajome krępe budynki zajmujące centrum Durrell. Taki widok mógł rozciągać się tylko z okna Eagle Manor.

- Nazywam się Braddock Raines - oznajmił mężczyzna. - Proszę to wziąć. - Pospiesznie zdjął marynarkę i podał ją Michelle. - Przepraszam, że tak panią potraktowano. Chłopcy z pierwszej linii frontu czasem bywają nadgorliwi, zwłaszcza w przypadku operacji o tak wysokim priorytecie.

- Operacji? - spytała bezmyślnie. Wciąż nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

- Wszystko w swoim czasie. - Mężczyzna uśmiechnął się uspokajająco i wskazał na wysokie podwójne drzwi. - Mój szef chciałby zamienić z panią kilka słów.

Za drzwiami znajdował się większy gabinet. Mężczyzna siedzący za biurkiem grzecznie skinął Michelle głową, gdy weszła do środka, po czym znów zapatrzył się na stojący przed nim panel. Trudno było ocenić jego wiek. Dziewczyna uznała, że mógł mieć koło czterdziestki, choć nosił się z gracją człowieka znacznie starszego.

Braddock poprowadził ją w kierunku kanapy i gestem poprosił, by usiadła. Osloniła się marynarką niczym tarczą.

- Nazywam się Simon Roderick - oznajmił mężczyzna siedzący za biurkiem. - Odpowiadam za sprawy bezpieczeństwa naszej operacji na Thallspring. A ty, Michelle, postąpiłaś bardzo głupio.

Dziewczyna spuściła wzrok, mając nadzieję, że nie zacznie płakać.

- Jedyne, co przemawia na twoją korzyść, to fakt, że z całą pewnością jesteś człowiekiem.

- Słucham? - wyjąkała.

- Jesteś człowiekiem, w przeciwieństwie do tego dżentelmena. - Płachta ekranowa wyświetliła twarz Josepa. - Ach, widzę, że go poznajesz.

- Tak.



- Dziękuję, Michelle. Widzę, że przynajmniej rozumiesz powagę sytuacji.

- Któregoś dnia zostaniecie pokonani! - wypaliła, zaskoczona własną śmiałością.

- Tak potężni obcy są w stanie pokonać nie tylko Zantiu-Braun. Możliwe, że całej ludzkiej rasie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Jacy znów obcy?

- Nie wiedziałaś? Twój towarzysz broni nie był w pełni człowiekiem.

- To jakiś absurd.

Nikt nie był bardziej ludzki niż Josep. Tylko człowiek potrafiłby dać drugiemu człowiekowi tyle rozkoszy i szczęścia.

- Czyżby? - Twarz Josepa zniknęła. Zastąpiła ją zbitka różnokolorowych kulek. - Wiesz, co to jest, Michelle?

- Nie.

- Zupełnie mnie to nie dziwi. Sami zresztą nie jesteśmy pewni. To rodzaj nanomaszyny wyposażonej w funkcje inżynierii cząsteczkowej. Pobraliśmy ją z krwi twojego przyjaciela.

- Co zrobiliście Josepowi?! - wybuchnęła. Łzy napłynęły jej do oczu, ale to gniew, nie strach, utrzymał je w ryzach.

- Josep? - Uśmiechnął się Simon. - Nareszcie wiemy, jak ma na imię.

Michelle poczuła, że ramiona jej opadły. Gniew wypalił się równie szybko, jak zapłonął. Jak mogła dać się tak podejść!

- Zróbcie ze mną, co chcecie - oznajmiła ponuro. - Nie zamierzam wam pomóc.

Simon obszedł biurko i usiadł na kanapie obok Michelle. Bardzo się pilnowała, by nie odsunąć się odruchowo. Nalał jej trochę herbaty ze srebrnego imbryka stojącego na stole.

- Wiesz, co możemy ci zrobić? - spytał. - Czy Josep kiedyś o tym wspomniał?

- Użyjcie narkotyków. Prawdopodobnie zgwałcicie mnie, zanim zginę.

- Na litość, cóż za okropny pomysł. Nie jesteśmy dzikusami. Tak, używamy narkotyków, a także technik hipnotycznych i stymulacyjnych, które nie są zbyt przyjemne. Nie ukryjesz przed nami niczego, wyznasz nawet swoje najgłębiej skrywane sekrety. Wiesz, dlaczego jeszcze tego nie zrobiliśmy?

- Wolicie podstępem wydobywać ze mnie imiona - powiedziała ze złością.

- Nie. Chcę, byś przekazała nam te informacje dobrowolnie. Obawiam się, że mamy mało czasu. Naprawdę nie żartowałem, mówiąc, że Josep jest obcym.

- Co mu zrobiliście?

- Nic, chociaż bardzo żałuję. Uciekł nam niedługo po schwytaniu.

- I bardzo dobrze. Już więcej go nie złapiecie.

- Bez twojej pomocy? Pewnie nie.

- W niczym wam nie pomogę. Będziecie musieli mnie przesłuchać tradycyjnie.

Michelle trzęsa się na samą myśl o ich technikach przesłuchań, ale im dłużej to przeciągała, tym więcej Josep miał czasu na ucieczkę.

- Nie spytasz, gdzie go schwytaliśmy? A może już to wiesz? Może pomogłaś mu zaplanować atak?

- Nie wiem, o czym pan mówi - upierała się, choć w jej umyśle wykielkowały okropne podejrzenia. Czasami nigdy nie wracał do domu na noc. Mówił, że jeździ jako kurier, podobnie jak reszta komórki. Tyle że ona nigdy nie musiała przewozić niczego w nocy.

Simon podniósł swoją filiżankę i wrócił na kanapę. Płachta ekranowa ukazywała teraz wiadomości z puli danych dotyczące wybuchu w kosmodromie. Z bloku administracyjnego wywożono właśnie czarne worki ze zwłokami.

- O Boże - szepnęła Michelle.

- Osiem ofiar śmiertelnych - oznajmił Simon. - W tym kolega pana Rainesa.

Braddock Raines stał obok kanapy, jego twarz nie wyrażała niczego. Michelle zerknęła na niego wzrokiem pełnym poczucia winy.

- Siedemnaścioro rannych, troje w stanie krytycznym. Nasza operacja transportowa opóźniona o kilka dni. A całe Durrell aż drży, zastanawiając się, jakich środków odwetu postanowi użyć Z-B. Obiecaliśmy w końcu użyć naszyjników zastawowych, by zapobiec wszelkiego rodzaju akcjom sabotażowym. Jak myślisz, Michelle, ilu mieszkańców Thallspring należałoby zabić, żeby twoi koledzy z ruchu oporu nie robili tego więcej? Dziesięciu?

- Niech pan przestanie.

- Pięćdziesięciu?

- Żadnego! - wykrzyknęła. - Ani jednego. To nie jego wina! To nie my. My tylko sabotujemy transporty i produkcję w zajętych fabrykach. Nie zabijamy ludzi.

- Ty nie zabijasz, Michelle. Jest pewna różnica pomiędzy twym zrozumiałym, choć żalonym, pragnieniem walki z najeźdźcami a dążeniami twych obcych sprzymierzeńców.

- Josep nie jest obcym!

- Ojej, cóż to za ironia losu. Możemy wydobyć z ciebie prawdę, jeśli tylko zapagniemy, a jednak nie możemy ci wszcześcić prawdy. Ale mnie chodzi tylko o prawdę. Ciało Josepa zostało przerobione przy użyciu obcej technologii. Wykorzystał cię do swoich celów.

- Nieprawda. Byliśmy zakochani.

- Ach! - Simon westchnął błogo. - Czy to twoja pierwsza miłość, Michelle?

- Ja... to...

- A zatem tak. Jakież to urocze.

- Nie, to nie tak! - Nawet zaprzeczając, czuła, że Roderick zna prawdę i oblała się rumieńcem.

- To standardowa technika używana przez agentów wywiadu podczas infiltracji szeregów wroga. Bardzo popularna, używana od wieków. Znajduje się jakaś nieszczęśliwa, samotną osobę pracującą tam, gdzie chcesz się znaleźć, może niezamężną kobietę w średnim wieku, a może dziewczynę, nie tak ładną jak jej rówieśnice. A może po prostu kogoś, kto źle się czuje w nowym środowisku i wszystko jest dla niego dziwne i przerażające. Wysła się za nią łowcę. Te dwie osoby spotykają się jakby przypadkiem. Nagle kobieta odkrywa, że uwodzi ją niezwykle przystojny mężczyzna, świetny w łóżku, oddany tylko jej. Ofiarowuje mu swoje serce. A wraz z tym sercem obdarza go całkowitym i bezgranicznym zaufaniem. Brzmi znajomo, Michelle?

- Nie - zaprotestowała słabo.

- Pojawił się w twoim życiu akurat wtedy, gdy przybyliśmy na tę planetę, prawda? Byłaś na pierwszym roku, nigdy wcześniej nie wyjechałaś na dłużej z domu. Miałaś kiepskie oceny. Czułaś się samotna. Poznałaś go w kampusie. Nie. Wcześniej? Ach, oczywiście, na swoich pierwszych samodzielnych wakacjach. Rodzice zafundowali ci wakacje w Memu Bay w nagrodę za zdanie egzaminów. Tak było, prawda? Tam go poznałaś. Klasyczny wakacyjny romans.

Michelle zaszlochała bezradnie. Ból, jaki wywołały te słowa, był gorszy niż każda tortura.

- On mnie kocha! Naprawdę!

- Potem nadlecieliśmy, a wtedy on pojawił się w twoim życiu, jakby za sprawą magii. Tak. Zamieszkał z tobą, oczywiście nieoficjalnie, bo nie figuruje w rejestrze uczelni. Nie figuruje nigdzie na Thallspring. Oficjalnie rzecz biorąc, nie istnieje. Wiesz, jakie to trudne, Michelle? Najpotężniejsze zapytajki nie potrafią znaleźć ani śladu twojego Josepa w całej puli danych.

- Josep jest człowiekiem! - powtarzała błagalnie Michelle. - Proszę... - Zwróciła się do Rainesa, który tylko potrząsnął smutno głową.

- Czy Josep powiedział ci, że ma taki specjalny program? - ciągnął bezlitośnie Simon.  
- Naprawdę sprytny, supertajny program, który bardzo pomoże waszej sprawie?

Michelle zaczęła zwijać się w kłębek. Głos mężczyzny rozbrzmiewał nadal, rozwalając jej świat na kawałki.

- Program znacznie lepszy, niż jakikolwiek AS na Ziemi byłby w stanie wyprodukować. Co ci powiedział: że napisało go paru studentów informatyki, którzy przypadkiem sprzyjają niepodległości Thallspring? - Simon ujął dziewczynę pod brodę i odchylił jej głowę do tyłu. Policzki miała mokre od łez. Jego zmysł elektromagnetyczny wyraźnie ukazywał fale rozpaczy szalejące w jej umyśle. - Przykro mi - rzekł łagodnie. - Naprawdę. To wszystko przeraża mnie tak samo jak ciebie.

- Prime - wyjąkała Michelle. - Ten program nazywa się Prime.

\*\*\*

Wyciągnięcie smoka z jego podziemnej jaskini stanowiło nie lada wyzwanie. Oczywiście, drogę ewakuacji przygotowano już wiele lat wcześniej. Rodzina Denise doprowadziła do podziemnej sali drugi szyb, większy niż winda, którego wylot znajdował się nieopodal kamiennej świątyni.

Lawrence siedział na ławce, patrząc, jak ukryta kłapa unosi się na magnetycznych tłokach, zabierając z sobą metr sześcienny ziemi. Pod nią z wolna ukazał się smok, wciąż spoczywający na swoim mlecznobiałym postumencie. Złota siatka indukcyjna nadal otaczała go ciasno. Słońce obijało się od lśniących drucików. Silniki elektrohydrauliczne zajęczały głośno w leśnej ciszy.

- Witaj na świecie - oznajmił Lawrence. - Podejrzewam, że nie odbierasz widzialnego światła?

- Bezpośrednio nie - odparł smok. - Odbieram jednak obrazy od ciebie i innych ludzi. Wiem, jak wygląda Arnoon. Jest bardzo piękne.

Cząsteczki sekwencera nie tylko uleczyły pęknięte biodro Lawrence'a. Zmodyfikowały także wiązkę jego komórek nerwowych, dzięki czemu zyskały możliwości porównywalne z implantem DNI. Denise nazywała to b-wpisywaniem - cząsteczki modyfikowały strukturę komórkową bezpośrednio; w-wpisanie nie było w stanie osiągnąć podobnych efektów. Wpisywanie nowego DNA działało na duże partie tkanek, niczym pistolet rozbryzgowy użyty przeciwko całym narządom lub mięśniom; ten proces był znacznie precyzyjniejszy i bardziej selektywny.

- Ale chyba nie wpisaliście tej wiązki komunikacyjnej wszystkim w okolicy? - spytał Denise.

Siedzieli razem w pawilonie przez większość poranka, zastanawiając się, jak przetransportować smoka na statek. Zachowywali się wobec siebie grzecznie i z rezerwą, nic

więcej. Zbyt wiele się wydarzyło, by mogli się zaprzyjaźnić.

- Nie - odparła. - Tylko tacy ludzie jak ja czy Raymond, czy Jacintha naprawdę tego potrzebują. Nie zamierzamy tworzyć jakiejś rasy super wojowników. Modyfikacje, którym poddajemy dzieci, są bardziej pokojowe i użyteczne.

- Zbliżone do w-wpisów somatycznych?

- Tak. Sekwencery wzorcowe z łatwością potrafią zmieniać DNA. Dajemy wszystkim odporność na raka, silniejszy system immunologiczny, sprawniejsze narządy, zwiększoną długość życia i wyższe IQ. Zmiany są dziedziczne. Za jakiś czas Arnoon nie będzie już zależne od pomocy smoka.

- A do tego jedzenie... - Na stole stała rzeźbiona drewniana misa pełna owoców. Lawrence oparł palec na krawędzi i nacisnął, aż owoce stoczyły się na jedną stronę.

- Rośliny także są zmodyfikowane - odparła Denise, najwyraźniej rozkoszując się jego zakłopotaniem. - Rodzą jadalne płody. Za sto lat w miejscu tego lasu znajdzie się sad, który nakarmi całe miasto. Nikt nie będzie potrzebował rafinerii żywnościowych. Kolejny konieczny element gospodarki przejdzie do historii.

- Konieczny element gospodarki, który uwolnił siedemdziesiąt procent ludzkości od klęski głodu. Hodowanie roślin na pokarm to straszliwie nieefektywne wykorzystanie energii.

- To zależy od kultury społeczeństwa, które chcesz wykarmić - odparła kobieta. - Społeczeństwa wysokoprzemysłowe musiały korzystać z rolnictwa przemysłowego, by wykarmić populację miast. Jeśli zamienisz miasta na rozproszone samowystarczalne wioski, takie jak Arnoon, wówczas wymagania staną się zupełnie inne.

- Świat oddzielnych społeczności połączonych pulą danych. Prawdziwa globalna wioska. Wiedza należy do wszystkich, wszyscy idą swoimi drogami. Chyba wiesz, że do tego konieczny też będzie przemysł mikroskalowy.

- Wiem. Zbadaliśmy smoka najlepiej, jak zdołaliśmy, i skopiowaliśmy wszystkie jego wspomnienia. Jeśli ofiarujemy to reszcie świata, to być może ktoś zbuduje coś podobnego do sekwencera wzorców. Oczywiście, zabierze to przynajmniej kilka dziesięcioleci, ale przecież nikt z nas nie chce, by ta zmiana dokonała się z dnia na dzień. To będzie organiczna rewolucja, wypływająca z wewnętrznej wiedzy. Gdzieś musi się udać, jeśli nie tu, to na innej planecie. Niemożliwe, by współczesna kultura stanowiła jedyny możliwy kierunek rozwoju społeczeństwa technologicznego. To niemożliwe.

Oczy Lawrence'a błysnęły łobuzersko.

- Trzeba będzie obalić mnóstwo uprzedzeń.

- Z całą pewnością. - Denise sięgnęła do misy i wzięła brzoskwinię, po czym podała ją

Lawrence'owi.

- Jesteś pewna? Jedna dziewczyna już tego próbowała i obrzygałem ją od stóp do głów.

- Urodzony romantyk z ciebie.

Mężczyzna wziął od niej owoc i wbił w niego zęby. Był słodki i mięsisty. Właściwie całkiem mu smakował.

- Na drzewach rosną nie tylko owoce - powiedziała niewinnie Denise. - Niektóre z nich rodzą mięso.

Lawrence z trudem przełknął kęs.

Przed wyjazdem odwiedził jeszcze Hala. Chłopak leżał w jednym z domków i spał spokojnie. Moduły medyczne zostały naprawione i teraz pracowicie pompowały chemikalia przez narządy. Jego cera miała znacznie zdrowszy odcień.

- Najcięższe obrażenia wewnętrzne zostały uleczone - oznajmił lekarz. - Za dzień lub dwa zaczniemy usuwać te moduły. Trochę obawiam się o to biomechaniczne serce.

- A co z nim nie tak?

- Jest dość prymitywne. Przypuszczam, że wszczepiono je tylko jako tymczasowy zamiennik. Nie jestem pewien, ile przetrwa, a gdy smok odejdzie, nie będziemy mieć dość cząsteczek sekwencera wzorcowego, by je w pełni odbudować. Za dwadzieścia lat będzie potrzebował kolejnego wszczepu.

Lawrence zaśmiał się pod nosem.

- Ciekawe, co to będzie za serce.

- Kto to wie?

- A co z mózgiem?

- Odbudowanie tkanki mózgowej zabierze więcej czasu. Stracił dużo neuronów z powodu braku tlenu. Cząsteczki wzorcowe odbudowują je najszybciej, jak mogą, ale minie kilka tygodni, zanim odzyska pełną sprawność intelektualną.

W odniesieniu do Hala to sformułowanie wydawało się nieco zabawnie.

- A czy odzyska wspomnienia?

- Nie. Nawet smok nie jest w stanie tego zrobić. Już zawsze będzie miał dziury w pamięci.

Lawrence pogładził chłopaka po głowie.

- To chyba dobrze, jeśli ma zacząć życie z czystą kartą.

- Tak.

- Proszę coś dla mnie zrobić. Niech pan usunie mu te zawory. To będzie dla niego

prawdziwa czysta karta.

- Oczywiście. Czy mam mu coś przekazać, gdy się obudzi?

- Może tylko... Nie wiem. „Powodzenia”?

Musiał przyznać, że zabrzmiało to dość głupio. Ale co mógł jeszcze powiedzieć? Chłopak zyskał szansę na nowe życie. Po co przypominać mu o przeszłości?

- Może mógłbyś nagrać wiadomość? - zasugerował smok.

- Nie. Najlepiej będzie, jeśli pozwolę mu się odciąć od wszystkiego. Poza tym jestem ostatnią osobą, która mogłaby mu dawać dobre rady. Zobacz tylko, jak spieprzyłem własne życie.

- Chyba właśnie to zwykłeś nazywać słodkim Losem.

Lawrence dotknął czoła palcami, salutując smokowi, gdy robot-podnośnik uniósł go z postumentu.

- Tu mnie masz.

Jacintha przysłała do świątyni i usiadła obok niego. Za nią nadjechał mały robot do transportu ładunków. Brzeg wyspy był ledwie widoczny spod łódek i ekwipunku przywiezionego z wioski. Lawrence miał tylko nadzieję, że satelity szpiegowskie Z-B nie zarejestrowały żadnej podejrzanego aktywności. Wieśniacy twierdzili, że śledzą wszystkie urządzenia, które statki wypuściły na niską orbitę wokół Thallspring. Jeśli mieli rację, to niebo nad wioską było teraz czyste.

- Twoja Skóra gotowa - oznajmiła Jacintha, wskazując na dużą, plastikową skrzynkę niesioną przez robota.

- Dzięki. Myślałem, że już po niej.

- Wynaleźliśmy antidotum na jad szczupakinów, jeszcze zanim dowiedzieliśmy się o smoku. Trzeba je podać szybko, wtedy nie ma problemu. Mięśnie twojej Skóry bardzo ładnie je wchłonęły, gdy już usunęliśmy skażoną krew.

- Dzięki. Te ryby przeraziły mnie na śmierć.

- Nie ma róży bez kolców. Okoliczne rzeki są pełne szczupakinów. Mnie też parę razy ugryzły.

- Nie możecie ich jakoś wytępić? Wyhodować jakiegoś wirusa?

Jacintha spoważniała wyraźnie.

- Czy moja siostra naprawdę może ci zaufać?

- Może.

- To ona jest najbliższym odpowiednikiem prawdziwego KillBoya. Byłam w drużynie, która zlikwidowała część twego plutonu. A teraz co? Zapomnimy o przeszłości? I mówi to

człowiek, który chciał wymordować cały gatunek tylko dlatego, że ma ostre zęby?

- Chłopaki z plutonu poszli tu za mną. Ty pociągnęłaś za spust, ale to ja przyprowadziłem ich pod muszkę.

- No proszę, a myślałam, że powiesz coś w stylu: „przecież znali ryzyko”.

- To też. Nie sądziliśmy, że miejscowa ludność będzie walczyć, a już na pewno nie spodziewaliśmy się oporu w głębi kraju. Ale przy każdym lądowaniu liczymy się z taką ewentualnością. Denise miała parę wypasionych gadżetów, ale jej prawdziwa przewaga tkwiła w tym, jak chętnie ludzie wstępowali do tego jej fikcyjnego ruchu oporu. Jeśli tylko tubylcy zorganizują się porządnie albo przejrzą bluff Z-B, wówczas automatycznie przegramy. Naprawdę sądzisz, że kapitan statku, człowiek z krwi i kości, wydałby rozkaz, by wyemitować strumień gamma, który zabije pół miliona ludzi? Nic z tego. Wiemy, że jesteśmy tu zdani na siebie, nie będzie żadnego wsparcia, żadnej pomocy z góry. Sam fakt, że Denise zdołała wyeliminować nas tak wielu, dowodzi jednego: czas świetności Z-B minął. Prawdopodobnie bezpowrotnie. Skóry to wytwór bardzo zaawansowanej technologii, nawet w porównaniu do waszego smoka. Ale bez wsparcia organizacyjnego, inicjatywy i determinacji sama technologia jest bez znaczenia. A nasze siły w Memu Bay nie dysponują żadnym z tych zasobów. Po Santa Chico zarząd powinien się zorientować, że realizacja aktywów to pieśń przeszłości. A jednak wciąż przy tym obstawali, próbując znaleźć słabsze cele.

- A zatem zgadzasz się z Wiecznymi? Życie to niekończący się cykl.

Lawrence odetchnął głęboko, zmęczony ciągłym powściągnięciem gniewu i rozpacz.

- Możliwe. Wiesz co? W ogóle mnie to nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, że zabiłaś moich kolegów. Nie obchodzi mnie, że zabiłem twoich towarzyszy z organizacji. Nie obchodzi mnie, czy mamy remis. Nie obchodzi mnie, że Z-B rozpada się po kawałku. Nie obchodzi mnie, że chcesz zbudować nową szlachetną cywilizację opartą na kompletnych pierdołach. Nie obchodzi mnie, że twoja siostra wariatka chce poświęcić siebie i wszystkich swoich bliskich, żeby uratować kawałek gadającej skały. Nie obchodzi mnie, że cały wszechświat jest skazany na zagładę. Nie obchodzi mnie, że galaktyka wpada w czarną dziurę. Martwiłem się o wszystko przez ostatnie dwadzieścia lat. Troszczyłem się o swój pluton. Troszczyłem się o to, co się dzieje z ludzką rasą i dokąd zmierza. Troszczyłem się o swoją karierę. Troszczyłem się o swoje życie. I patrz, jak skończyłem. Pomagając bandzie kosmicznych hipisów porwać statek. Słodki, pieprzony Losie!

- Chcesz powiedzieć, że nie możemy ci ufać?

- Masz rację, moja droga. Denise nie może mi zaufać. Ani teraz, ani nigdy. Nie lubię jej i chyba nigdy nie polubię. Ale będę szanować jej umiejętności i oczekuję w zamian



podobnego szacunku. Mogę wam obiecać jedno: możecie na mnie polegać. Bardziej niż na kimkolwiek z was. Porwę statek i polecę na Aldebaran. Możecie być tego pewni.

- Nie mam tej pewności, Lawrence.

- Ja mam. Robię to dla siebie, nie w imię twoich ideałów. W końcu dostałem szansę, by poskładać życie do kupy i przeżyć je tak, jak miałem to zrobić. Przekreślić te dwadzieścia zmarnowanych lat. Po Aldebaranie lecę do domu. Tak po prostu. I nikt ani nic mnie nie powstrzyma.

Przerwał im dźwięk zbliżającego się poduszkowca. Lawrence wbrew sobie parsknął śmiechem, widząc ten absurdalny pojazd. Wykonano go z drewna, z najlżejszego, najtwardszego drewna w Arnoon, z którego zbudowano prostą owalną platformę z kabiną na dziobie. Dwie duże śruby wznosiły się na gładkich, wysokich płetwach na rufie. Fartuch wykonano z wierzbowej wełny - cienkiej, ciasno utkanej tkaniny, z łatwością utrzymującej poduszkę powietrzną, na której unosił się pojazd. Silniki elektryczne zasilają śruby i wirniki odzyskane z maszyn porzuconych na płaskowyżu.

Lekko przesunął się po wodzie, wzbijając spod fartucha wodną mgiełkę, pozostawiając za sobą kilwater w kształcie białego szpicu, rozplywający się na boki. Gdy pojazd dotarł do wyspy, zakołysał się lekko, gdy jego dziób wjechał na brzeg, na żwir i rzadką mechtrawę. Śruby zapracowały w przeciwną stronę, zatrzymując pojazd w miejscu. Opadł na piasek z jękiem uciekającego powietrza.

Robot-dźwig niosący smoka podreptał w jego stronę. Śruby przykryła rozkładana rampa, pozwalając mu wspiąć się na pokład.

- Wszystko gotowe - oznajmiła Denise. Obrzuciła Lawrence'a i swoją siostrę nerwowym spojrzeniem, widząc, że przed chwilą się sprzeczali.

- Jasne! - odparł wesoło Lawrence. - To naprawdę zadziała?

- Oczywiście! - odparła Denise urażonym tonem. - Ćwiczyliśmy tę trasę już kilkanaście razy. Ta rzeka to najprostszy szlak prowadzący z Arnoon. Poduszkowiec zawiezie nas prosto do prowincji Rhapsody. Jedna z ciężarówek z Dixon już czeka w umówionym miejscu. Zawiezie smoka na lotnisko w Memu Bay. Będziemy tam za piętnaście godzin. Potem wszystko zależy od ciebie.

- Nie martw się, mój kontakt wysłał już po nas samolot. Gdzie kapsuła towarowa? Nie możemy załadować smoka na xianti tak, jak jest.

- Kapsuła jest w ciężarówce. RL-33, standardowa pojemność sześćdziesiąt sześć ton. Włożymy smoka do środka, gdy już będziemy na miejscu.

- W porządku. Chodźmy.

\*\*\*

Simon z odrazą odkrył, że na Thallspring nie ma żadnego transportu poddźwiękowego. Ostatecznie zarekwirował prezydencki odrzutowiec, który ledwie osiągał Mach 9. Był to przebudowany odrzutowiec pasażerski latający na krótkich trasach. Dotarcie do Memu Bay zabierało mu cztery godziny.

Spędził ten czas na korzystaniu ze swego osobistego AS, wrzucając setki zapytań do puli danych. W biurze turystycznym, z którym Michelle wybrała się nurkować na atolach, nie było żadnych pracowników imieniem Josep ani Raymond. AS nie mógł wytrałować żadnych anomalii w blokach pamięci firmy. Nie zarejestrował żadnych podmienionych plików ani żadnych dziur w logach w okresie wizyty Michelle, w okresie poprzedzającym jej przyjazd, ani też później. Nawet dane finansowe były w porządku.

- Aresztować ich - polecił Ebreyowi Zhangowi.

- Ale kogo? - zapytał gubernator Memu Bay.

- Kierownictwo tej firmy. Instruktorów nurkowania. Załogi łodzi. Sprowadzić ich wszystkich na przesłuchanie, zanim dotrę na miejsce.

- Tak, sir.

Wyraźna niechęć w głosie gubernatora zaniepokoiła Simona, szybko przejrzał więc aktualny raport z sytuacji w Memu Bay.

- Na litość boską - mruknął, śledząc wzrokiem błękitny skrypt. Tylko pomyśleć, że ostrzegął SK2, by miał oko na wszystko.

W ciągu ostatniego tygodnia Memu Bay przeżyło prawdziwą katastrofę. Realizacja aktywów osiągnęła zaledwie pięćdziesiąt procent zakładanych wartości. Dwie trzecie fabryk zorganizowało jakiś strajk. Cała administracja ratusza odeszła z pracy i odmówiła współpracy z Ebreyem Zhangiem tuż po sprawie Grabowskiego. Reszta urzędników ograniczyła się do reagowania na sytuacje alarmowe. Morale żołnierzy sięgnęło dna, trzydziestu procentom personelu postawiono zarzuty. Akty sabotażu zdarzały się codziennie. Kilka dzielnic zamieniło się w niebezpieczne getta - również dla plutonów Z-B. Naszyjniki zastawowe nie budziły już respektu. Za każdym razem brano krwawy odwet. Zhang obawiał się aktywować więcej, by nie pogarszać sytuacji.

Im więcej Simon czytał na temat tego fiaska, tym bardziej był zainteresowany. Z-B straciła kontrolę nad kolonią. Ruch oporu pod wodzą KillBoya przeprowadził pięknie zorganizowaną kampanię przeciwko najeźdźcom, osiągając szczytową fazę anarchii.

- Ale dlaczego? - spytał zaniepokojonego Braddocka Rainesa. - Co to daje naszemu kosmicie? Wyeliminowanie oddziału Zhanga nie zdoła specjalnie zaszkodzić Zantiu-Braun.

- Nie jestem pewien, czy nawet oni zdołaliby to osiągnąć - zauważył Braddock. - Fizyczne wyeliminowanie każdej Skóry w Memu Bay byłoby bardzo trudne nawet dla nich. Mogą zepchnąć żołnierzy do koszar, może nawet aż na lotnisko. Ale jeśli uderzą w nich za mocno, to chłopaki oddadzą. Problem polega na tym, że Zhang ich powstrzymuje.

- Możliwe, że masz rację - stwierdził Simon. - Odkąd patrole zniknęły z ulic, obcy może robić w mieście, co chce. A my nadal nie wiemy, co właściwie chce zrobić.

Prezydencki odrzutowiec wylądował bez przeszkód. Na lotnisku panowała pustka. Połowa budynków ciągnęła prąd z rezerw awaryjnych, dzięki członkom ruchu oporu, którzy dwa dni wcześniej przecięli kable nadprzewodzące. Żołnierze w Skórach patrolowali obrzeża terenu.

Na lotnisku czekał już na niego helikopter. Simon wspiał się do środka w tej samej chwili, gdy załadowany aktywami odrzutowiec towarowy wystartował w stronę Durrell.

Żołnierze w Skórach musieli oczyścić plac przed ratuszem, aby helikopter miał gdzie wylądować. Niezadowoleni demonstranci wznosili okrzyki i rzucali kamieniami ponad barykadą. Eskorta Simona utworzyła wokół niego ciasny kordon. Zwykle nie zwracał na nich uwagi, jednak dzisiaj ich obecność napawała go otuchą. Zwykle nie zbliżał się tak bardzo do żadnych fizycznych zagrożeń - złowrogi pomruk tłumu działał bardzo niepokojąco.

Ebrey Zhang potrafił wymienić mnóstwo przyczyn, za sprawą których Memu Bay doszło do takiego stanu, i postanowił natychmiast przedstawić Simonowi wszystkie.

- Proszę dać sobie spokój - przerwał Simon. - Doskonale wiem, czemu zawdzięczamy ten bałagan. Choć, oczywiście, ta wiedza w niczym panu nie pomoże przed komisją śledczą.

Ebrey Zhang bardzo się starał opanować grymas niezadowolenia.

- Aresztował pan pracowników biura turystycznego?

- Tak, chociaż nie było to łatwe. Moi ludzie stają się celem ataków, gdy tylko wyjdą za próg koszar.

- Nie zamierzam tolerować tej sytuacji. Będzie nam przeszkadzać w dochodzeniu. Czy może pan ogłosić stan wojenny?

- Prawdopodobnie tak, choć w niektórych dzielnicach trudno to będzie wyegzekwować.

- A zatem proszę to zrobić. Godzina policyjna obowiązuje od szóstej po południu, przepisy zaczną obowiązywać za dwadzieścia cztery godziny. Proszę upoważnić żołnierzy do użycia strzałek wobec każdego, kto znajdzie się na ulicy później. Zamknąć cały ruch pojazdów i ograniczyć dostęp do puli danych, zostawić tylko rozrywkę i oficjalne połączenia. Wszelkie akty oporu czy agresji należy tłumić siłą, przy użyciu wszelkich dostępnych

środków. Za każdy taki incydent należy aktywować jeden naszyjnik.

- Rozumiem. Ale prawdopodobnie nie zdołamy wtedy zmusić ludzi, by wrócili do pracy. Nie zrealizujemy kwot aktywów.

- To bez znaczenia, już z nich zrezygnowałem. A teraz chcę zobaczyć więźniów.

Przesłuchania przebiegały według tego samego wzorca. Początkowy opór, który szybko zniknął, gdy tylko przesłuchiwany orientował się, że Simon nie żartuje. Powoli zaczął się domyślać, co zaszło.

Josep Raichura i Raymond Jang zostali zatrudnieni na początku zeszłego sezonu. Byli to sympatyczni młodzi mężczyźni, którzy nigdy nie narzekali na brak kobiecego towarzystwa. Członkowie kierownictwa nie potrafili wyjaśnić, co się stało z plikami. Z ich pomocą osobisty AS Simona szybko wysledził substytuty. Implementacja tych widmowych tożsamości zakrawała na cud: mieli akty urodzenia, świadectwa ukończenia szkoły, rodziców (o podobnych historiach cyfrowych), konta w banku, rachunki kredytowe, rejestry medyczne i podatkowe, polisy ubezpieczeniowe i umowy najmu.

Z punktu widzenia puli danych byli bardziej prawdziwi niż połowa biedaków w Memu Bay.

Z przesłuchań wynikało, że Josep i Ray odeszli z firmy mniej więcej w chwili przybycia statków Z-B. Nikt nie potrafił przypomnieć sobie dokładnej daty.

Od tego czasu nikt ich nie widział ani nie próbował się z nimi kontaktować.

Instruktorzy, z którymi byli zaprzyjaźnieni, twierdzili, że mężczyźni pochodzili spoza miasta. Może z którejś z górskich osad, ale na pewno nie byli miejscowi.

Ktoś sądził, że mieszkali na przedmieściach u ujścia rzeki Nium. Z całą pewnością mieli jakąś współlokatorkę - kilku instruktorów próbowało ją poderwać w marinie. AS natychmiast zaczął tworzyć jej portret pamięciowy na podstawie opisów.

- Znajdźcie ten dom - nakazał Simon. - Niech Skóry przeszukają każdy dom w tej dzielnicy. Zweryfikujcie każdego mieszkańca, budynek i dziurę w ziemi. Chcę dostać pełną historię każdego budynku w ciągu ostatnich pięciu lat. Potem porównajcie to z AS.

Godzina policyjna obowiązywała już od dwóch godzin, gdy piętnaście plutonów rozpoczęło przeszukania. Jak dotąd wprowadzenie stanu wojennego okazało się bardzo udane - mieszkańcy Memu Bay zdali sobie sprawę, że Zhang nie blefuje. Większość ludzi ruszyła do domów już koło czwartej. Ponieważ drogi zamknięto punktualnie po szóstej, kilkoro kierowców było jeszcze w trasie. AS sterujący ruchem unieruchomił wszystkie pojazdy z wyjątkiem rowerów. Kierowcy pospieszyli do domu pieszo. Paru z nich oberwało strzałkami.

Zagorzali demonstranci pikietujący ratusz i koszary zostali potraktowani strzałkami

już o szóstej, bez żadnego ostrzeżenia.

Piętnaście po jedenastej Simon i Braddock otrzymali telefon dotyczący potencjalnie podejrzanej lokalizacji i natychmiast udali się helikopterem do delty Nium. Był to bungalow wynajmowany przez agencję nieruchomości. Gdy zadzwonili do drzwi, nikt nie odpowiedział. Indagowana sąsiadka zeznała, że mieszkała tam dziewczyna imieniem Denise wraz z dwójką przyjaciół, którzy wyprowadzili się przed kilkoma tygodniami. Żadna z tych informacji nie zgadzała się z danymi wytrałowanymi przez AS z puli.

W ogrodzie stało pięciu żołnierzy w Skórach, gdy Simon przybył na miejsce wraz z ekipą techników. Simon i Braddock szybko obejrzał opuszczony dom. Ktoś zostawił niedokończone śniadanie - w kuchni na blacie stała miska płatków i kubek kawy. W stalowym tosterze znajdowały się dwie nietknięte grzanki.

Braddock powąchał kubek i odsunął się zde gustowany.

- Stoi tak przynajmniej od paru dni - stwierdził.

- Zasięgnijmy opinii ekspertów. - Simon kazał jednemu z techników przeanalizować jedzenie, by ustalić, jak długo stało. - Josep został schwytany wczesnym rankiem - mruknął w zamyśleniu, gdy technicy pobierali próbki zastygłej masy płatków.

Pozostali dokonywali w tym czasie oględzin pokojów i łazienki, by pobrać próbki skóry i włosów.

Przeżrana sąsiadka zeznała, że Denise chyba pracowała z dziećmi. Nie wiedziała gdzie, ale podejrzewała, że chodzi o przedszkole.

- Przyprowadźcie mi każdego dyrektora szkoły w tym mieście - polecił Simon. - Natychmiast.

- Mam zgodność DNA - oznajmił technik. - Próbka skóry znaleziona w jednym z pokojów należy do Josepa.

- Doskonale - zamruczał Simon. Wszystko zaczynało się pięknie składać. Wszystkie wyzwania, zagadki i pościgi, z jakimi miał do czynienia w ostatnich latach, nic nie mogło równać się z tym. Jakaś niewielka część jego umysłu była dziecinnie podekscytowana perspektywą spotkania prawdziwego obcego, choć samo spotkanie mogło się zakończyć tragicznie. Może nawet wojną, sądząc z ostatnich poczynań kosmity. Simon zastanowił się chwilę. Wojna międzygwiazdowa? Jeśli handel jest nieopłacalny, to podboje byłyby tym bardziej wykluczone. A zatem dlaczego obcy zachowuje się tak wrogo?

Wiedział, że odpowiedź jest blisko. Gdyby tylko potrafił złożyć to wszystko w odpowiedniej kolejności...

Panią Potchansky przyprowadzono na przesłuchanie jako dziewiętnastą z kolei. Było

wpół do trzeciej nad ranem i Simon już jakiś czas temu przerzucił się na zbyt mocną kawę. Kofeina z wolna tłumiła jego wybuchowy temperament, wprawiając go w lekką depresję. Znosić obelgi to jedna rzecz. Jednak on widział myśli każdego z nauczycieli i zdawał sobie sprawę, jak bardzo go nienawidzą. Coś takiego potrafiło naprawdę zranić.

- Czy pracuje dla pani niejaka Denise? - spytał.

- Nie znam żadnej Denise - odparła starszka. Był to głos dyrektorki idealnej, natychmiast wywołujący u słuchaczy poczucie całkowitej niższości. Jako jedna z nielicznych przybyła w pełni ubrana. Simon przypuszczał, że nawet jego Skóry musiały czekać, póki kobieta nie wybrała odpowiedniego stroju i nie włożyła go w swoim własnym tempie.

- Ach! - mruknął z zadowoleniem. Złożył palce w wieżyczkę i oparł brodę na czubku. Na biurku zapłonął panel, ukazując obraz wygenerowany przez AS na podstawie opisów zauroczonych instruktorów.

- Czy to ona?

- Jeśli jej nie znam, to jak mogłabym ją rozpoznać?

- Ale przecież dobrze ją pani znała. Pani myśli są dla mnie bardzo cenne.

Twarz pani Potchansky nawet nie drgnęła, ale jej umysł krzyknął ostrzegawczo.

- Wie pani, że Denise była powiązana z ruchem oporu? - DNI przewinał plik z danymi kobiety.

- Jeśli to już koniec tej farsy, to chciałabym udać się z powrotem do domu. Mam nadzieję, że pana żołnierze odwiozą mnie równie szybko.

- Siadaj! - warknął Simon.

Pani Potchansky ostrożnie odsunęła krzesło, świadomie grając na zwłokę. Jej umysł ogarnęła stalowa determinacja.

- Kiedy ostatni raz ją pani widziała?

- Zna pan imię tej osoby, a jednak nie wie pan, jak wygląda. To bardzo dziwne.

- Bardzo. Zwłaszcza że nie figuruje w rejestrze pani przedszkola ani w żadnym pliku w puli.

- To pewnie trudno wam ją ścigać.

- Kiedy wyjechała? Proszę odpowiedzieć.

- Nie.

- W porządku, może pani iść. Poproszę, by odwieziono panią samochodem.

Pani Potchansky obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem.

- Dlaczego?

- Bo najwyraźniej jest pani twardą kobietą, która nic mi nie powie.

- Dlaczego?

- A gdy już panią odwiozą, pojedą po kogoś, kto będzie bardziej skłonny do współpracy. - Zawartość pliku przesunęła się po ekranie. Simon wskazał na jedno z imion. - Na przykład Jezellę.

- Co za żalosna próba szantażu. Nie zrobi pan nic podobnego.

- Zabiliśmy pani syna. Prawdopodobnie uważa nas pani za barbarzyńców, którzy nie odpowiadają przed nikim na tej planecie. I tu ma pani rację. Nie odpowiadam nawet przed nikim na Ziemi. I bardzo mi zależy na tym, by znaleźć tę dziewczynę, można nawet powiedzieć, że jestem zdesperowany. A dzieci chętnie powiedzą mi, kim ona jest i skąd się wzięła. Chce je pani na to narazić? Bo na pewno je przesłucham, jeśli nie zostawi mi pani wyboru.

- Nie widziałam jej od weekendu - powiedziała w końcu pani Potchansky.

- Dziękuję. A teraz proszę opowiedzieć mi wszystko po kolei.

\*\*\*

Ogromny odrzutowiec towarowy Pan-Skyways przebijał się przez strugi deszczu zalewającego port Durrell. Skręcił na stanowisko postojowe i zatrzymał się zupełnie. Para załśniła na kadłubach, gdy wirujące śmigła zatrzymały się powoli.

Automatyczny ciągnik przytulił się do podwozia, zamknął zaciski i zaczął holować samolot do pobliskiego hangaru. Drzwi zasunęły się za nim, po czym maszyna znalazła się w zamkniętym pomieszczeniu, kapiąc na betonową podłogę. Załoga Pan-Skyways podtoczyła schodki do wjazdu w kabinie. Ze środka wyszło dwóch członków załogi, a za nimi Lawrence Newton w mundurze sierżanta. Zatrzymał się na najwyższym stopniu, pamiętając o obecności dziesiątek kamer rozmieszczonych w hangarze. Z-B wymagała, by każdy ładunek związany z realizacją aktywów przewożony cywilnymi liniami odbywał się w obecności przedstawiciela firmy. AS sprawdzał jego twarz, porównując ją ze swoimi plikami i rozkazami Ebreya Zhanga.

Colin Schmidt czekał na niego na dole, uśmiechając się lekko.

- Witaj w Durrell.

Lawrence objął przyjaciela ramieniem.

- Dobrze znów tu trafić.

Razem obeszli kadłub i znaleźli się z tyłu samolotu.

- Myślałem, że zartujesz - powiedział po chwili Colin.

- Cała kapsuła RL-33! Ja cię kręcę! Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Dwuskrzydłowy wjazd znajdujący się w tylnej części samolotu rozchylił się z wolna.

Colin uchylił się i zajrzał w powiększającą się szczelinę. Kapsuła zajmowała połowę przestrzennej ładowni - długi, perłowobiały cylinder kompozytowy spoczywający na stelażu.

- Chyba jednak nie żartowałeś. - Colin rozejrzał się, by zobaczyć, czy nikt z obsługi cywilnej nie kręci się w pobliżu, po czym zniżył głos. - No dobra, a teraz gadaj: co to, u diabła, jest?

Lawrence sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął poskręcany kawałek skały, który zalśnił matowo w świetle stożków.

- To argentyt - wyjaśnił. - Taki srebrny minerał.

- Srebro - powtórzył Colin. Powiódł spojrzeniem od grudki trzymanej w ręku do kapsuły, a potem znów do Lawrence'a. - Żartujesz.

- Nie. Mam tu jakieś czterdzieści ton argentytu o bardzo wysokiej zawartości srebra.

- Gdzie, na litość boską, znalazłeś coś takiego?

- Na płaskowyżu. Podczas ostatniej misji miałem wrażenie, że dostrzegam coś takiego. Nikt inny nie zwrócił na to uwagi, więc siedziałem cicho.

- Ja pierdołę! - Colin roześmiał się, przysłaniając usta dłonią. - Lawrence, ty stary oszuście! Mówiłeś, że trzeba będzie przewieźć plecak.

- Gdybym powiedział, że całego xianti, w życiu byś się na to nie zgodził. A teraz masz odpowiednią motywację. Zdołasz to wynieść na orbitę?

- Tak! - Colin wciąż się śmiał. - O Boże, jasne! Czterdzieści ton srebra! Lawrence, jesteś, kurwa, niemożliwy!

- Czterdzieści ton rudy. Trzeba będzie ją rafinować, gdy dotrzemy na Ziemię.

Colin przytaknął, poważniejąc.

- Jasne. Muszę dopilnować, by przewieziono to na Caims, potem już łatwo będzie ją wywieźć z bazy. Ale, słuchaj, nie mam pojęcia, jak się rafinuje takie rudy? Co jest do tego potrzebne?

- Wszystko po kolei. Na razie skupmy się na tym, żeby przewieźć to na *Koribu*, okej? Masz dla mnie pilota?

- Tak, tak. Nazywa się Gordon Dreyer, to nasz człowiek. Potrzebuje pieniędzy i ma dość rozumu, by trzymać gębę na kłódkę.

- Super. A co z przeszmyglowaniem kapsuły przez ochronę? Jej zawartość figuruje w rejestrze jako materiał do budowy reaktora jądrowego. Nie może przejść przez żaden skaner.

- Załatwię to. W porcie codziennie przerzucają setki takich kapsuł. To jak gra w trzy kubki, tylko na większą skalę. Mam kody do weryfikacji, mogę wypisać pełen plik odprawy. AS nigdy się nie zorientuje.



- Znowu robimy skok przez płot, co?

- Aha, skok przez płot. - Colin co chwila zerkał na kapsułę wygłodzonym wzrokiem. - Cholera, Lawrence. Już wiem, jaki dom sobie za to kupię. Widziałem kiedyś taki na Riwierze. Biały, kamienny, z ogrodem, ponad sto pięćdziesiąt lat. Jak dla samego członka zarządu.

Słuchając marzeń kumpla, Lawrence odkrył, że ma zadziwiająco silne poczucie winy. Jednak dokonał wyboru już wtedy, gdy śnił sny smoka. Wszystkie jego dawne zobowiązania były teraz bez znaczenia.

Gordon Dreyer przybył sześć godzin przed zaplanowanym odlotem. Lawrence nie widział go wcześniej, ale znał ten typ człowieka. Mężczyzna pod pięćdziesiątkę, wykonujący pracę, która z pozoru zdawała się bardzo atrakcyjna, ale w rzeczywistości nużyła rutyną i nie dawała żadnych szans awansu. Colin miał za sobą dwa rozwody i teraz sporą część pensji musiał przeznaczać na alimenty. Wciąż był rozgoryczony z powodu decyzji sądu. Często imprezował, trochę za dużo pił. Oddawał się hazardowi, czasem przekraczając limit kredytowy. Jego sylwetka zdradzała, że wagą ledwie mieści się w górnych granicach dopuszczanych przez Z-B. Ciemne włosy miał starannie przycięte i ułożone tak, by ukryć lysiejące miejsca - w-wpisane kuracje torebek włosowych były poza jego zasięgiem. Uścisnął dłoń Lawrence'a i spokojnie wysłuchał propozycji. Tylko entuzjastyczna zgoda na udział zdradziła jego prawdziwy charakter.

Podobnie jak wszyscy piloci, Dreyer nadzorował przygotowania do lotu. Zaczął od przejrzania pliku xianti zaktualizowanego przez techników, upewniając się, że praca pojazdu odpowiada określonym wymogom i że dokonano wszystkich czynności konserwacyjnych. Dodał swoją autoryzację do logów, co pozwoliło maszynie przejść do kolejnego etapu: załadunku.

Gordon Dreyer poszedł obejrzeć kapsułę towarową w hangarze integracji prestartowej. Colin Schmidt kierował tego ranka logistyką załadunku, dlatego też musiał osobiście spotkać się ze wszystkimi pilotami szykującymi ładunek na codzienny lot na orbitę. Razem przechodzili wzdłuż rzędu zapieczętowanych kapsuł, omawiając problemy i specjalne wymogi. Na końcu logistyk wystawiał im plik weryfikacyjny, zawierający szczegóły dotyczące inspekcji każdej części ładunku. Dreyer dodał swoją autoryzację i podziękował Colinowi za to, że wykonuje swoją pracę.

Kapsuła RL-33 została załadowana na xianti, który następnie podhołowano na stanowisko tankowania. Gordon Dreyer poszedł do szatni pilotów, by się przebrać, zbiorniki kriogeniczne zostały tymczasem wychłodzone i napełnione ciekłym wodorem.

Lawrence i Colin podjechali do zaimprovizowanego centrum medycznego w budynku

terminalu.

- Od czasu wybuchu zakazali wstępu do szpitala - wyjaśnił Colin. - Leczą tam jakieś szczychy z wywiadu. Ochrona nikogo nie wpuszcza.

Znaleźli pusty pokój i zaczęli przyczepiać moduły medyczne do torsu Lawrence'a. Jedno ramię owinęli membraną skórną, do której doczepili jeszcze więcej modułów.

- Szkoda, że wyglądasz tak dobrze - stwierdził Colin. - Masz robić za priorytetowy ciężki przypadek.

- Słyszałem, że w dawnych czasach żołnierze żuli proch z naboju, żeby źle wyglądać.

- Chcesz trochę materiałów wybuchowych?

- Nie, dzięki. - Lawrence włożył kombinezon medyczny. Miał krótkie rękawy, przez które wystawały membrany i mniejsze moduły. Powinno to przekonać załogę portu, która zobaczy go podczas wsiadania na pokład. Prime zmodyfikował jego plik w Memu Bay, umieszczając tam raport o ataku na jego patrol. Według tych informacji Skóra Lawrence była przepalona, a on sam niezdolny do służby.

Stanowisko tankowania wyposażono w małe centrum operacyjne, w którym umieszczono rząd przyciemnionych okien wychodzących na dużego, zaparkowanego na stanowisku xianti. Schodki znajdujące się w jednym rogu prowadziły na zakryty mostek, sięgający do śluzy kosmolotu.

Gordon Dreyer był już w centrum, gdy dotarli tam Colin i Lawrence. Rozmawiał z funkcjonariuszem ochrony, który podał mu klucz komunikacyjny dla jego lotu.

- Potrzebuje pan pomocy z tą ręką? - spytał Dreyer.

- Nie, dziękuję - odparł Lawrence. - Dam sobie radę.

Nad wejściem na mostek zainstalowano kamerę. Lawrence przeszedł pod nią, czując, jak pot zbiera mu się na czole. Przynajmniej uwiarygadniało to jego rzekome obrażenia. Dreyer był zadziwiająco spokojny.

Właz do kabiny zasunął się za nimi, a wtedy Lawrence odetchnął gwałtownie. Skradanie się i kombinowanie nie było jego specjalnością.

„Sto razy wolałbym porządną walkę w starciu bezpośrednim”.

- A teraz do domu, co? - zagaił Dreyer. - Proszę usiąść i zdać się na mnie.

Lawrence usiadł bezpośrednio za pilotem tak, by widzieć wyświetlacze. Dreyer wyglądał na pochłoniętego ostatnimi rutynowymi czynnościami. Trzy minuty później zgodził się z AS kosmolotu, że czas startować. Turbosilniki marki Rolls-Royce zapaliły się z głębokim dudnieniem, które można było raczej poczuć, niż usłyszeć, a potem maszyna wytoczyła się ze stanowiska tankowania. Lot na orbitę był bliźniaczo podobny do wszystkich

innych, jakie Lawrence odbył w życiu, choć przyznał, że to ciekawe doświadczenie dla odmiany zobaczyć wyświetlacze konsoli i wyjrzeć przez wąskie okienko, nie tylko patrzeć na obrazy z kamer.

- Osiem minut do rendez-vous - oznajmił Dreyer, gdy silniki rakietowe zgasły.

- Dobrze jest. - Lawrence podniósł jeden z modułów medycznych i przystawił Dreyerowi do szyi.

- Co pan ro... - wycharczał pilot i stracił przytomność. Jego ciało pozostało na fotelu, przypięte pasami, ale ręce uniosły się powoli, aż w końcu zawisły nad konsolą.

Lawrence wykorzystał wiązkę b-wpisanych neuronów, by nawiązać łączność z siecią xianti. Prime aktywował się i usunął program pilotujący, przejmując całkowitą kontrolę nad samolotem.

- Wszystko w porządku tam z tyłu? - zawołał Lawrence.

- Nigdy nie sądziłam, że stan nieważkości jest tak okropny - odparła Denise ze swej kryjówki w kapsule. - Chyba zwymiotuję.

- Postaraj się tego nie robić. Bardzo się postaraj.

- Masz jeszcze jakieś dobre rady?

- Wychodź stamtąd, muszę włożyć kombinezon. - Prime ukazał mu obraz z kamery z ładowni na jednym z paneli na konsoli. Kapsuła wypełniała ją prawie w całości - tylko dwa metry dzieliły ją od grodzi kabiny. Lawrence zobaczył, że okrągły kawałek plastiku na końcu kapsuły zaczyna się poruszać. Potem ze środka wyczołgała się ludzka sylwetka ubrana w obcisły srebrnoszary skafander, poruszając się wolnymi, niepewnymi ruchami.

- Nic nie porusza się tak, jak powinno - poskarżyła się Denise.

Lawrence miał nadzieję, że nie jest podłączona do kamery w kabinie. Natychmiast zobaczyłaby jego szeroki uśmiech.

- Przyzwyczajasz się. Tylko pamiętaj, że inercja działa tutaj tak samo.

Krótką elastyczną smycz przypiętą do jej uprząży łączyła ją z dużą skrzynką, w której znajdowała się Skóra. Gdy już wyszła z kapsuły i znalazła sobie względne oparcie, zaczęła ciągnąć ją za sobą. Lawrence nakazał Prime'owi otworzyć zewnętrzny wjazd w śluzie ładowni. Denise dopiero po kilku minutach zdołała wciągnąć skrzynkę do środka. Sama już się nie zmieściła. Lawrence uruchomił cykl śluz i wciągnął skrzynkę do kabiny, podczas gdy kobieta czekała w ładowni.

Zdażył wciągnąć nogawki, gdy Denise pojawiła się obok i ściągnęła maskę.

- Nie powinnam była nic jeść - jęknęła. - Ani pić.

- Myślisz, że dałabyś radę zrealizować swój pierwotny plan w takim stanie?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Robiłam to wiele razy. Teraz też mogę.
- Cóż, wypróbujmy najpierw mniej zabójczą opcję.

\*\*\*

Cała flotyła helikopterów TVL88 przeleciała o świcie ponad płaskowyżem. Simon obserwował okolicę z kokpitu w pierwszej maszynie, patrząc, jak krajobraz przesuwa się pod nim w dół. Nieruchome kłęby chmur otaczały każdy ze szczytów, a jezory mgły spływały z nich do położonych niżej dolin, gdzie rozpląwały się po równinach i lasach. W tej scenie, w wierzchołkach grani i szczytach drzew wystających spod białego całunu, było coś pierwotnego.

- Zbliży się satelita - oznajmił SK2 poprzez połączenie z Durrell. - Niewiele widać, cholerna mgła wszystko zasłania.

Simon nakazał swojemu AS wyświetlić obraz satelitarny na swoich szklach lustrzanych. Po wyświetlaczu przesunęło się kilka zalesionych wzgórz oddzielonych przez rozlewiska mgły. Potem włączyła się podczerwień, ukazując trochę więcej. Pod białawą powierzchnią lśniło kilka różowych plam, zlokalizowanych mniej więcej tam, gdzie powinna znajdować się wioska Amoon.

W nocy na płaskowyżu spadł deszcz. Satelita nie był w stanie spenetrować grubej warstwy ciężkich chmur. Simon wywołał stare obrazy i zaczął przyglądać się osadzie. Jak dotąd widział tylko typową wioskę, bez żadnych śladów bardziej zaawansowanej technologii niż ich cybernetyczne przędzalnie.

AS zaczął trałować pulę, szukając wszelkich dostępnych informacji na temat prowincji Arnoon. Było tego sporo, ale, jak dotychczas, nic ciekawego. Gdy wysłał zapytania do węzłów wioski, nie znalazł nic prócz standardowych pereł domowych. Niektóre z nich były przestarzałe o kilka generacji.

Wszystko w normie.

Jednak sieć w Dixon przed trzema dniami wypadła z puli, a firma telekomunikacyjna w Memu Bay nie potrafiła wyjaśnić dlaczego. Nie wysłali jeszcze zespołu techników na płaskowyż, gdyż sytuacja w mieście wymagała pilniejszych działań.

Do tego dochodził jeszcze zaginiony patrol. Wyruszył przed trzema dniami. Z początku Simon bardzo się ucieszył, gdy AS wyświetlił tę informację, ponieważ sądził, że będzie mógł wysłać tych ludzi bezpośrednio do Arnoon. Jednak ich transpondery nie odpowiadały na sygnał z satelity. AS zauważył, że patrol miał zająć dwa dni, jednak nikt nie spostrzegł powrotu członków plutonu. Dalsza analiza pozwoliła wykryć ogromną niespójność

w logach AS sztabu. Wprawdzie wystosował on to zadanie, ale nie monitorował postępu realizacji. Nie było nawet ustalonego łańcucha dowodzenia. Ktoś majstrował w systemie.

Gdy Simon zadzwonił do kapitana Bryanta, by spytać go, co wie na temat zaginionego plutonu, zaskoczony oficer nie miał nawet pojęcia, o czym mowa. Pluton 435NK9 został wyłączony spod jego dowodzenia.

- Jak można zgubić cały pluton? - spytał z niesmakiem Simon.

W oddali ukazał się rząd stożkowatych hałd. Mgła trochę zrzędła, w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej.

- Dixon przed nami, sir - oznajmił pilot, przekrzykując szum wirnika. Simon wyłączył wyświetlacz w szklach.

Eskadra TVL88 minęła hałdy żużlu. Zwolniła, mijając miasteczko, przeczesując okolice aktywnymi sensorami.

- Na Boga, co tu się działo? - spytał zszokowany SK2.

Mgła prawie zniknęła, ukazując zdewastowane budynki.

Prawie jedna czwarta domów została zmieciona z powierzchni ziemi, ich szczątki wały się po całej okolicy.

- Jakieś starcie - domyślił się Simon. - Ktoś specjalnie celował w te budynki. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Sir! - zawołał pilot, wskazując coś przed sobą.

- Podlecmy bliżej - polecił mu Simon.

Pośrodku głównej ulicy stał spalony jeep. Drugi pojazd został wbity w ścianę jednego z nielicznych nienaruszonych budynków, otaczających rynek miasta.

- Teraz przynajmniej wiemy, co się stało z plutonem - mruknął Simon, gdy helikopter okrążył wraki. Nigdzie nie było widać ani śladu Skór. - W porządku, widziałem już dość. Lećmy do Arnoon.

\*\*\*

Ból towarzyszył mu teraz bez przerwy. Simon odmówił przyjęcia leków przeciwbólowych, chcąc zachować jasny umysł. Podejrzewał, że SF9 nie docenia wagi jego znaleziska, traktując sprawę obcego jak jakąś fascynującą intelektualną zagadkę. Ta seria egzemplarzy była dość zblazowana.

Simon zobaczył na własne oczy aurę Josepa, odczuwał jego siłę i determinację. Jedyna możliwość, by przetrwać to spotkanie, to dorównać pod tym względem obcemu. Nie mógł pozwolić, aby wymknęła im się taka szansa. Potencjał nanosystemu był po prostu oszałamiający. W rękach Zantiu-Braun taki wynalazek mógł zmienić oblicze całej ludzkości.

Josep był ich wrogiem, a jednak Simon przyłapał się na tym, że mu zazdrości. Jego zmodyfikowana postać stanowiła wspaniały ideał dla ludzi - wielokrotnie przewyższający wszystko, co można było osiągnąć z pomocą w-wpisu somatycznego.

W historii ludzkości zdarzyło się naprawdę niewiele przełomowych momentów, ale teraz właśnie nadszedł jeden z nich. Simon musiał działać i nie dopuścić, by doszło do porażki, zwłaszcza z winy czyjejś słabości. Zdobycie nanosystemu było zadaniem priorytetowym. Na szczęście, jego stan zdrowia nie uniemożliwiał dostępu do puli. A ból - ciągły, doskwierający, diaboliczny ból - tylko pchał go naprzód.

Jego DNI wyświetlał plik po pliku, gdy SF9 leciał w stronę Arnoon, AS podawał kolejne informacje, szukając błędów i przeoczeń. Nogi swędziały go niemożliwie, gdzieś w okolicy kolan, dodatkowo potęgując jego złość i rozdrażnienie. W końcu dowody, których istnienie SK2 od początku podejrzewał, zaczęły wynurzać się z puli.

- Myliłeś się co do tego patrolu - oznajmił.

- Co masz na myśli? - spytał SF9.

- Nie wiadomo, co się z nimi stało.

- Przecież widzieliśmy szczątki - przypomniał SF9. - Obcy albo grupa obcych wycięła ich w pień, bo kierowali się w stronę Arnoon.

- A potem użyli Prime'a, by to ukryć i wymazać pluton z naszych systemów.

- Tak.

- Ale ta przykrywka została zmontowana, jeszcze zanim pluton stąd wyjechał. Ktoś to zaplanował. 435NK9 mógł wyprawić się na płaskowyż bez czyjejkolwiek wiedzy. Jeśli obcy chciał powstrzymać naszych ludzi przed wyprawą do Arnoon, mógł po prostu użyć Prime'a, by zmienić rozkazy. Nikt by niczego nie podejrzewał.

- Co sugerujesz?

- Działa tu jakiś inny czynnik. - Na wyświetlaczu pojawił się nowy plik, podświetlony przez program porównujący dane, którego AS używał do analizy informacji na temat plutonu 435NK9. Poprzez ekran przewinęły się kolejne skrypty.

- Wygląda na to, że dowódca tego plutonu był już wcześniej w Arnoon. Odbił wtedy bardzo podobną trasę. Chcesz mi powiedzieć, że to przypadek?

- To wysoce nieprawdopodobne - zgodził się SF9. - Możesz wydobyć jego dane?

Simon rozkazał osobistemu AS wysłać zapytania trałujące wszelkie pliki dotyczące Lawrence'a Newtona.

\*\*\*

Eskadra TVL88 z hukiem przeleciała ponad drzewami otaczającymi wioskę Arnoon.

Pęd powietrza wytwarzany przez potężne wirniki rozwiął mgłę, odsłaniając środkową polanę. Ostatnie pasma lepkiego gazu przesunęły się pomiędzy drewnianymi chatkami o spadzistych dachach, odsłaniając je przed sensorami. Młoda kobieta w kremowym swetrze i ciemnogrnatowych dżinsach stała na balkonie jednego z domków, mocno trzymając się poręczy, by nie stracić równowagi.

Była jedyną osobą wykrytą przez sensory. Chatki były ogrzane, sprzęty domowe ciągnęły prąd. Ale nikogo nie było w środku.

Pięć helikopterów, w tym maszyna Simona, wylądowały na mokrej od rosy mechtrawie, podczas gdy pozostałe rozdzieliły się, by przeszukać okoliczny las. Wysunęły lufy karabinów, każdy z nich wyposażony był w stelaż inteligentnych pocisków.

Simon wysiadł z helikoptera, przytrzymując kłapy skórzanej kurtki, szarpane wiatrem. Trzej żołnierze w Skórach otoczyli go pospiesznie, gdy zaczął zmierzać w stronę kobiety.

Wyszła im na spotkanie, schodząc po stopniach balkonu; otaczająca ją świetlista aura upodabniała wieśniaczkę do biblijnych aniołów.

- Zakładam, że pan Simon Roderick. Nazywam się Jacintha. Witam w wiosce Arnoon.

- Sądziłem, że zastaniemy tu więcej ludzi.

- Wszyscy są w lesie. Uciekli, gdy tylko zorientowali się, że pan tu zmierza.

- Dlaczego?

- Obawiają się pana.

- To ciekawe. Mnie z kolei bardzo niepokoi wasza obecność. Ma pani niezwykłą aurę.

Jacintha na chwilę zmarszczyła brwi.

- Ach, rozumiem. Ma pan zmysł magnetyczny. Czy to dzięki temu schwytaście Josepa?

- Powiedzmy, że nauczyłem się zachowywać ostrożność w jego obecności. Choć, ostatecznie, nie na wiele się to przydało. W wyniku jego samobójstwa zginęło wiele ludzi.

- Wasze naszyjniki zastawowe zabijają ludzi całkiem bez powodu.

- Nie przybyłem tu po to, by się usprawiedliwiać albo dyskutować o tym, kto ma moralną wyższość. Chciałbym tylko porozmawiać z obcym.

- Przykro mi - odparła Jacintha - ale to niemożliwe.

- Wie pani, że to nieuniknione. Jeśli pokonacie wszystkie dwanaście helikopterów i moich żołnierzy - a wątpię, byście temu podolali - wówczas po prostu wrócimy w większej sile. I będziemy tak wracać, aż w końcu dopniemy swego.

Najbardziej niepokoił go nie tyle litościwy uśmiech kobiety, ile jej myśli. Wieśniaczka naprawdę mu współczuła. Był to ten rodzaj pobłażliwego współczucia, jaki okazałby dorosły

wobec histeryzującego niemowlaka.

Nie mógł opanować podziwu. Nie było w tym nic erotycznego, raczej uznanie dla doskonale zrównoważonej osobowości. SK2 miał rację: gdyby tylko wszyscy ludzie mogli osiągnąć tę głębię intelektualną...

- Możecie sobie wysłać nawet tysiąc statków - oznajmiła. - W niczym wam to nie pomoże.

W końcu Simon zrozumiał.

- Tu go nie ma. - Jego umysł zaczął łączyć wszystkie zdobyte informacje z oszałamiającą szybkością, która niemal przyprawiała o zawroty głowy. - Memu Bay to piekło anarchii, możecie wziąć sobie wszystko i nikt się nie dowie. Kosmolot! Wcale nie zamierzaliście wysadzać statków...

- Newton tu był - dodał SK2. - Tu, w kosmodromie. Dziś rano zaklasyfikowaliśmy go do ewakuacji medycznej.

Jacintha przekrzywiła głowę, jakby słuchając niewidzialnego głosu.

- O, kurwa! - zatchnął się Simon, obserwując przesuwane pliki. - Zatrzymaj go - polecił SK2. - Zatrzymaj ten lot. Nie pozwól Newtonowi wejść na statek.

- Za późno - oznajmiła Jacintha.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Mam awarię hydrauliki drugiego stopnia - zgłosił Lawrence, łącząc się z *Koribu*. Prime przerobił jego głos na idealną replikę szorstkiego akcentu Gordona Dreyera. - Wrota do ładowni nie odpowiadają.

- Boże, Dreyer, czy wy naprawdę nie umiecie przestrzegać prostych procedur konserwacyjnych? - burknął kontroler z *Koribu*. - Powinien pan nadzorować przygotowania i poświadczyć zdolność do lotu. Jak pan myśli, po co nam piloci? Niech pan wyczyści i zrestartuje system.

- Tak jest. Próba restartu.

Na wyświetlaczach konsol zatańczyły bursztynowe grafiki, w miarę jak Prime tworzył cyfrową symulację restartu hydrauliki. Lawrence przeprowadził fałszywą procedurę dwa razy, by dane telemetryczne otrzymane przez *Koribu* sugerowały, że stara się, jak może.

Poprzez szybę widział potężny statek unoszący się trzysta pięćdziesiąt metrów dalej. Byli akurat na poziomie przedziału napędu, gdzie światło słoneczne rozbijało się na lśniące drobinki na pomarszczonej folii termicznej, chroniącej zbiorniki z deuterem. Przed nimi znajdowały się trzy inne xianti z szeroko otwartymi wrotami do ładowni. Kapsuły towarowe wwieszone na orbitę uniosły się ze swego łoża, gotowe do odebrania, niczym ofiara niesiona przez metalowe palce. Wahadłowce techniczne uwijały się wokół nich, podobne do czarnych chromowanych żuków, wyrzucając z dysz silników manewrowych chmury szarego, ziarnistego gazu, manewrując tak, by odebrać kapsuły.

- Wciąż nie mam odpowiedzi - zgłosił Lawrence.

- Niech to cholera! W porządku, Dreyer, udzielam pozwolenia na dokowanie. Proszę lecieć do hangaru naprawczego. AS już wyznacza ścieżkę podejścia. I wielkie dzięki za spieszenie nam harmonogramu.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Prime potwierdził otrzymanie nowej ścieżki. Hipergol zapłonął w dyszach silników manewrowych, delikatnie popychając maszynę. Lawrence zobaczył, jak wstęgi gazów siarkowych rozszerzają się, otaczając cały dziób kosmolotu, xianti tymczasem zaczął obracać się z wolna. Statek zniknął mu z oczu. Sensory ukazały mu cylindryczną sekcję ładowni przesuwaną na bok. Za silosem otwierały się wrota do hangaru naprawczego. Na

krawędzi zapłonął rząd niewielkich światełek, rozjaśniając mrok w pofałdowanym metalowym otworze.

Pod kontrolą Prime'a xianti gładko wślizgnął się na pozycję - tuż ponad hangarem naprawczym. Właz w podwoziu złożył się do środka. Napęd manewrowy pracował teraz krótkimi zrywami, by wyhamować moment pędu kosmolotu względem olbrzymiego statku.

Na poziomie hangaru mechaniczne ramiona sięgały do góry, szukając sworzni w podwoziu samolotu. Wokół zamknęły się zatrzaski, przytrzymując maszynę w miejscu.

- Jesteśmy w środku - mruknął Lawrence. Ramiona chowały się z powrotem, wciągając samolot za sobą. Oboje patrzyli, jak oświetlona krawędź hangaru zostaje z tyłu.

Denise spojrzała na obrazy z zewnętrznych kamer.

- Gdzie są przewody?

- Tylko poczekaj.

Xianti zadrżał lekko, gdy w końcu znalazł się na łożu. Mniejsze macki, owinięte kablami i rurkami, przysunęły się bliżej, by przytknąć przewody do gniazd w kadłubie. Zasilanie, dane, chłodziwo, komunikacja i hydraulika - wszystko zostało podłączone i potwierdzone.

Prime wykorzystał łącze do transmisji danych i załadował się do sieci hangaru, wykasował AS i przejął kontrolę nad lokalnymi systemami. Atak na tak dużą skalę został natychmiast wykryty przez podstawowy AS *Koribu*, który otoczył zainfekowaną sieć firewallem. Odciął także dopływ mocy i mediów do przedziałów statku otaczających hangar i zamknął pierwszy rząd drzwi ciśnieniowych wzdłuż korytarza osiowego. System zasilania awaryjnego przedziału uruchomił się automatycznie, pozwalając na funkcjonowanie większości systemów pomocniczych. Prime nie mógł przywrócić przepływu mediów, ale wokół było jeszcze dość tlenu, aby utrzymać przy życiu załogę uwięzioną za zamkniętymi drzwiami.

Tunel do śluzy wysunął się teleskopowo ze ściany hangaru i zaczął zmierzać w stronę włazu w kabinie samolotu. Lawrence uniósł pistolet e-m, jednocześnie wysuwając karabinek.

- Zostań z tyłu - polecił Denise, gdy zaczepy pokrywy włazu otworzyły się ze szczękiem.

- Tak, panie dowódco.

Jej ton trochę go zirytował.

- Przecież omówiliśmy to wcześniej. Ten kombinezon jest niezły, ale nie wytrzyma tyle, co Skóra. A wiemy na pewno, że mają broń na pokładzie.

- Dobrze, w porządku - burknęła Denise.

Pokrywa wjazdu odsunęła się, odsłaniając dwudziestometrowej długości tunel wiodący do śluzy. Był ciemny, rozświetlany jedynie przez pomarańczowe lampy migające na drugim końcu. Prime uzupełnił siatkę taktyczną Lawrence'a o obrazy ze wszystkich kamer, nad którymi zdołał przejąć kontrolę. Załoga z przedziału ładowni była zupełnie zdezorientowana. Wiedzieli, że systemy dystrybucji mediów zostały wyłączone; w każdym przedziale migwały pomarańczowe lampki. Wszystkie wyjścia ewakuacyjne i wjazdy do szalup zostały otwarte. Oświetlenie przeszło w tryb oszczędzania mocy, zmniejszając moc lamp w korytarzach i przewodach, aż stały się niemal klaustrofobiczne. Nie było żadnej łączności z resztą statku - blokował ją Prime. A jednak AS najwyraźniej komunikował, że wszystko w porządku i że to tylko lokalna usterka.

Lawrence odepchnął się i poszybował tunelem, kontrolując trasę lotu, od czasu do czasu odbijając się od ścian ruchem ręki. Denise ruszyła za nim, objając się o ściany przy nieustannym akompaniamencie przekleństw.

Po drugiej stronie musieli otworzyć wjazd ręcznie. Za nim unosiło się dwóch członków załogi. Widząc człowieka w Skórze, z wdziękiem obrócili się w powietrzu i pierzchli jak przerażone ryby. Lawrence potraktował ich strzałkami. Jeszcze przez chwilę podążali przed siebie, po czym wpadli na ściany przedziału. Ich zwątlone ciała obracały się w miejscu, a kończyny sterczały na wszystkie strony.

Lawrence minął ich i zanurkował w długi korytarz wychodzący z przedziału. Po chwili natknął się na skrzyżowanie w kształcie litery D z drabinką umieszczoną w najwyższym punkcie łuku. Odepchnął się od szczebelków i ruszył w górę. Denise podążyła za nim.

Korytarz osiowy znajdował się na końcu - szeroki cylinder zaopatrzony w grube przewody dostarczające media. Przebiegał przez całą długość, łącząc tylny przedział napędu jądrowego z przednią częścią silnika kompresyjnego. Korytarze prowadzące do innych przedziałów pod ciśnieniem rozchodziły się od niego promieniście. Awaryjne drzwi ciśnieniowe rozmieszczono co czterdzieści metrów - duże, wzmocnione okręgi kompozytowe, które zwykle pozostawały otwarte.

Gdy Lawrence wychynął z łuku w korytarzu osiowym, wokół najbliższego wyjścia unosiło się pięciu członków załogi. Dwóch próbowało je otworzyć, jeden tymczasem przywarł do wizjera, próbując zajrzeć do sąsiedniego przedziału. Lawrence uniósł rękę. Poczł lekkie drżenie mięśni, gdy wyleciały strzałki.

Denise podczołgała się do wyjścia awaryjnego i przycisnęła do drzwi wstęgę energetyczną. Lawrence odsuwał na bok nieprzytomnych załogantów.

- Odsuń się - poleciła kobieta, po czym wysłała kod aktywujący. Fala czystej energii wyemitowanej przez materiał przecięła drzwi na wylot. Krawędzie kompozytu zaskwierczały i zapłonęły, w powietrzu rozszedł się gęsty czarny dym. W pobliżu zawył alarm przeciwpożarowy.

Lawrence chwycił za klamkę i kopnął w płonący okrąg. Wyleciał z framugi, obracając się jak rzucona moneta, ciągnąc za sobą smugi dymu. Kilku załogantów stłoczonych po drugiej stronie natychmiast rzuciło się do ucieczki.

Przez chwilę Lawrence mógł spojrzeć przez cały statek, aż do przedniego przedziału silnika kompresyjnego. Potem wszystkie drzwi awaryjne zaczęły się zamykać, zabłyśły pomarańczowe lampy i rozdzwoniły się syreny przeciwpożarowe. Załoganci pierzchali na boki, do innych korytarzy. Lawrence zdołał unieruchomić dwóch czy trzech, zanim zniknęli. Następnie zaczęły się zamykać także wyjścia awaryjne w bocznych korytarzach.

Dziesięć metrów za awaryjnym wyjściem ciśnieniowym znajdował się węzeł sieciowy. Denise użyła ostrza elektrycznego, by przeciąć obudowę, i ostrożnie postawiła łącze, wydobyte ze smoka na szczycie szyny danych, czekając, aż mikrowłókna prześlizgną się poprzez elektronikę i stopią ze światłowodami. Prime załadował się do sieci kolejnego przedziału.

\*\*\*

Kapitan Marquis Krojen zerwał się, obudzony alarmem. Głośność dźwięku przypominała eksplozję towarzyszącą gwałtownej dekompresji. Usiadł na materacu. Pas, którym przypiął się do koi, nie pozwalał mu odlecieć z łóżka w warunkach mikrogravitacji. Gdy w kabinie zapłonęły światła, przez chwilę rozglądał się zdezorientowany. Statki miały różne dźwięki alarmów na różne okazje. Po tylu latach służby Marquis mógłby przysiąc, że zna je już wszystkie na pamięć, a jednak tym razem musiał zaczekać, aż jego DNI odnajdzie właściwą informację.

- Intruz na pokładzie? - upewnił się.

Alarm ucichł.

- Tak, sir - potwierdził AS.

- Jezu Chryste, to muszą być jakieś ćwiczenia. Jakiś wymysł tego sukinsyna Rodericka. Niemożliwe, żeby coś takiego zdarzyło się naprawdę.

- Nie, sir - upierał się AS. - Wymazano mnie z sieci hangaru naprawczego. Uaktywniono firewalla, by ograniczyć wpływ wrogiego oprogramowania.

Marquis szarpnął za pas zakończony rzepem. Przeszedł z kabiny na mostek, poruszając się, jak najszybciej zdołał, w jednej ósmej grawitacji. Collin Jeffries, pierwszy

oficer, siedział na stanowisku dowódczym. Wyglądał na zszokowanego. Tylko trzy stanowiska były obsadzone.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - spytał Krojen, z trudem zachowując opanowanie. - Dajcie mi szybkie streszczenie.

- Jeden z xianti zgłosił awarię hydrauliki - odparł Jeffries. - Posłaliśmy go do hangaru naprawczego, a za chwilę cała sieć w przedziale została opanowana.

- Co zrobiliście? - spytał Marquis, siadając na jednym z wolnych siedzeń za konsolą. AS statku aktywował panele, wyświetlając schematy i obrazy z kamer.

- Standardowa reakcja polega na odcięciu mocy i mediów od zaatakowanego przedziału - odpowiedział AS. - Tak właśnie zrobiliśmy.

- Możesz wyświetlić obraz kosmolotu w czasie rzeczywistym?

- Nie.

- Skieruj wahadłowiec techniczny do hangaru, natychmiast - zarządził Marquis. - Chcę zobaczyć, co się stanie.

- Tak jest, sir.

- Mam na linii ochronę kosmodromu Durrell - zgłosił AS. - Ostrzegają nas przed tym kosmolotem. Podejrzewają, że został opanowany przez członków ruchu oporu.

Marquis Krojen postanowił, że nie pozwoli, by ta szokująca informacja skłoniła go do zbyt pochopnych działań. AS wyświetlił na jednym z paneli procedurę postępowania w przypadku fizycznego zagrożenia. Jeśli na pokładzie *Koribu* znalazłaby się bomba, kapitan miał zarządzić ewakuację. Ochrona potwierdziła, że grupa rebeliantów, która dotarła w pobliże statku, z pewnością mogła dysponować bombą zdolną zniszczyć go w całości.

Ale jeszcze nie wybuchła. A jeśli zamierzali wysadzić *Koribu*, to czemu wchodzili na pokład, by hackować sieć?

- Czy nasze wahadłowce techniczne nie mogłyby po prostu wyrwać stamtąd tego xianti? - spytał dowódca.

Colin Jeffries potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Nie sądzę. Te wahadłowce nie mają zbyt dużego ciągu, a zaczepy zostały zaprojektowane tak, by wytrzymać znacznie większą inercję, niż miałyby załadowany xianti. Trzeba by wejść pod spód i je przeciąć.

- Myślcie dalej. Potrzebne mi więcej opcji.

- Mamy kontakt z załogą w zaatakowanym przedziale? - spytał Marquis, zwracając się do AS. Nie potrafił się zmusić, by powiedzieć „zainfekowanym”.

- Nie, sir - odparł AS. - Nie ma żadnych otwartych łącz.

- W porządku. Niech ktoś wygląda przez wizjer w wyjściu awaryjnym. Dajcie im otwarte łącze z mostkiem.

- Tak, sir.

- Zaraz będzie przelot! - zawołał Colin Jeffries.

AS przekierował obraz z sensorów wahadłowca na panele konsoli Marquisa Krojena. Kapitan spojrział na duży, perłowobiały kształt, nie do końca wiedząc, czego się spodziewać. Maszyna zdawała się absurdalnie pasywna. Potem szybko przebiegł w myślach procedury dokowania.

- Aktywowaliśmy tunel do służby? - spytał.

- Nie, sir - odpowiedział AS. - Połączono go już po zhackowaniu sieci.

Marquis Krojen spojrział prosto na Colina Jeffriesa.

- A zatem są w środku. Jezu! Czy ochrona portu w Durrell w ogóle wie, co tam jest?

Z głośników konsoli rozległ się podekscytowany głos.

- Sir, widzę ruch w korytarzu osiowym.

- Kto mówi?

- Irwin Watson, sir, inżynier jądrowy.

- W porządku, Watson. Co pan widzi?

- Sir, to Skóra.

„Skóra?“, spytał Marquis bezgłośnie, spoglądając na Colina Jeffriesa. Oficer wzruszył ramionami.

- Co on robi? - dowódca zwrócił się znów do mikrofonu. Jeden z paneli wyświetlił mu Watsona i kilku innych stłoczonych wokół drzwi ciśnieniowych w korytarzu osiowym.

- Morduje ludzi, sir, strzela do nich! - Watson był bliski hysterii.

- Jakiej broni używa?

- Nie wiem. Ma jakiś pistolet, ale nie widziałem, czym strzela. Hej, jest z nim jeszcze jedna osoba. Ma na sobie jakiś skafander. Teraz przykładają coś do drzwi.

- Odsuńcie się natychmiast - polecił Marquis.

- Nie widzę, co to jest.

Kamera ukazała mu Watsona przyciskającego twarz do wizjera.

- Proszę odejść od drzwi. To rozkaz.

Mężczyzna odsunął się niechętnie, chwytając się poprzeczek biegnących wzdłuż korytarza. Przez drzwi przebiło się oślepiające białe światło. Za chwilę zniknęło, a zaraz za nim ukazał się czarny dym, jego gęste smugi pełżyły korytarzem, niczym strumienie ropy. Okrągły dysk płonącego kompozytu wypadł zza zasłony dymnej, prawie trafiając Watsona.

- Odciąć ten przedział - rozkazał Marquis Krojen. - Pełna izolacja fizyczna.

- Tak jest - odpowiedział AS. - Rozpoczynam zamykanie wyjść awaryjnych wzdłuż korytarza osiowego.

- Kapitanie? - Na panelach konsoli pojawiła się twarz Simona Rodericka. Tylko twarz, na neutralnym szarym tle.

- Co wyście nam tu wpuścili? - spytał ostro Marquis. Teraz już zupełnie nie zważał na etykietę. Przez zaniedbania tych wałkoni ucierpiał jego statek.

- Uważamy, że na pokładzie kosmolotu mógł znajdować się obcy - powiedział Roderick.

- Co?!

- Kosmita - wyjaśnił spokojnie członek zarządu. - Ma sprzymierzeńców wśród ludzi i prawdopodobnie spróbują porwać *Koribu*.

- Po moim trupie! - Marquis spoglądał na obraz z kamery w korytarzu osiowym. Skóra i jego towarzysz w skafandrze przeszli przez drzwi ciśnieniowe. Zatrzymali się przy panelu dostępu, a wtedy człowiek w Skórze wyjął ostrze elektryczne.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział Roderick.

- Intruzi uzyskali dostęp do węzła sieciowego - odezwał się AS. - Wrogie oprogramowanie ładuje się prosto do lokalnych pereł neurotronowych. Rekonfiguruje ich wzorce przetwarzania.

- Zatrzymaj to.

- Nie mogę wykonać polecenia. Procedury zarządzania danymi w sieci zostały zmienione. Aktywowano firewalle. Zasilanie i media odcięte.

- Dobry Jezu. - Marquis przyjrzał się schematom statku. Stracili kontakt z jedną trzecią statku - część rufowa była teraz odcięta firewallami i zamkniętymi drzwiami ciśnieniowymi. - Do czego zdolny jest ten obcy?

- Nie jestem pewien - odparł Roderick. - Ale jego technologia jest znacznie bardziej zaawansowana od naszej. Istnieje ryzyko, że nie zdołacie go powstrzymać.

- Broń w pogotowiu - rozkazał Marquis. - Każdy strzela sam.

- Mamy dziesięć karabinów i trochę pistoletów strzałkowych - stwierdził Colin Jeffries. - Odbiją się od Skóry.

- Ale może przebiją ten skafander.

- Wykryto przeciek w odciętych przedziałach ładowni - zgłosił AS.

- Jaki przeciek? - spytał z przerażeniem Marquis. Panele wyświetliły teraz obraz z zewnętrznych kamer. Z rufowych przedziałów statku były srebrzyste pióropusze lśniących,

srebrzystych gazów.

- Analiza spektrograficzna wykazuje, że to nasza atmosfera - odparł AS.

\*\*\*

Z początku lekarz odmawiał współpracy. Simon nie uciekł się do prawdziwych pogroźek, ale naprawdę niewiele brakowało, gdy lekarzowi w końcu odezwał się instynkt samozachowawczy.

- Naprawdę nie radzę panu... - powtarzał mężczyzna. Pomagał dwóm sanitariuszom pchać wózek Simona i trzy szafki zawierające sprzęt do intensywnej opieki poprzez budynek terminala. - Pana stan jeszcze nie ustabilizował się na tyle, by znieść lot kosmiczny. Proszę to rozważyć.

- Nie - burknął Simon. Słyszał, jak jego eskorta krzyczy na ludzi, by zeszli z drogi. Wokół rozbrzmiewały protesty i odgłosy szybkich kroków. Trywialne detale. Nie zwracał na nie uwagi.

Na jednym zdrowym oku umieścił membranę optroniczną, która obecnie ukazywała obraz z *Koribu* i otaczających go kosmolotów. Gaz wciąż ulatniał się z cylindrycznego przedziału ładowni. Z włazów i zaworów rozmieszczonych na całej długości silosu było ponad dwadzieścia srebrnych fontann. Połączenie ze statkiem brzęczało, przekazując wykrzyczane rozkazy i pytania. Załoganci zakładali skafandry i pobierali broń od pierwszego oficera. Jak na kontratak wobec tego intruza, wyglądało to dość żałośnie.

AS statku był zupełnie bezradny wobec programu Prime. Jeśli Newton i jego towarzysz (prawdopodobnie jeden ze zmodyfikowanych wieśniaków) będą dalej podążać korytarzem osiowym, fizycznie ładując go do każdej sekcji, już niedługo zyskają pełną kontrolę. Jego osobisty AS uznał, że to najbardziej prawdopodobna strategia. Najprostszy i najskuteczniejszy sposób porwania statku, o bardzo wysokim prawdopodobieństwie powodzenia.

Simon zobaczył małą srebrną kulę wylatującą z przedziału ładowni.

- Co to było? - spytał.

- Szalupa - wyjaśnił Marquis Krojen. - W ładowni zostało bardzo niewiele powietrza. Załoga musiała opuścić zainfekowany obszar.

Kółka wózka podskoczyły na niewielkim wybrzuszeniu w podłodze. Simon jęknął, czując przenikliwe ukłucie bólu.

- Przepraszam - powiedział doktor. Zabrzmiało to zupełnie nieszczerze.

- Czy wahadłowce techniczne mogą zamknąć przecieki? - spytał.

- Kilka z nich pewnie tak. Ale nie ma na to dość czasu.



Niektóre z pióropuszy kurczyły się powoli, tryskały coraz słabiej.

Wózek wepchnięto do windy. Zmysł magnetyczny Simona ukazał mu, że nim drzwi się zasunęły, wokół niego stłoczyło się ponad dziesięć osób.

- A niech to! - wykrzyknął Krojen. - Wysadzili kolejne drzwi ciśnieniowe. Są teraz nad pierwszym kołem.

- A gdzie są pańscy ludzie? - spytał bezceremonialnie Simon.

- Właśnie zbieram oddział. Nikt nas do tego nie szkolił, nie wiemy, jak walczyć ze Skórą.

- To się nauczcie i to szybko. - Simon zobaczył dwie kolejne szalupy odbijające od przedziału ładowni.

- Wrogie oprogramowanie ładuje się do sieci - stwierdził kapitan. - Tracimy kolejny przedział.

- Czy mogą opanować koła mieszkalne?

- Bezpośrednio nie. AS odgrodzi je firewallem. Ale opanowanie korytarza osiowego daje im dostęp do prądu i mediów przesyłanych do koła.

Winda zatrzymała się i wózek Simona został wytoczony do centrum operacyjnego koło stanowisk tankowania.

SF9 otworzył łącze komunikacyjne.

- Co ty wyprawiasz? - spytał.

Sanitariusze zaczęli pchać wózek po podjeździe do oczekującego samolotu.

- Lecę na *Norvelle* - oznajmił Simon. - Stamtąd przejmę dowództwo tej operacji.

- Nie wygłupiaj się. W tym stanie nie powinieneś przejmować dowództwa nad niczym.

- Ale jestem na miejscu, a ty nie. Znalazłbyś się na orbicie najwcześniej za kilka godzin. Wtedy byłoby już za późno.

- I tak jest za późno. Wszystko teraz zależy od kapitana Krojena.

- A zatem tym bardziej powinienem przybyć na orbitę jak najwcześniej. *Koribu* jest w strasznym stanie. Kapitan już niemal go stracił. - Simon znów krzyknął, gdy sanitariusze przenieśli wózek przez służbę. - Nie możemy go wypuścić z rąk! Nie pozwolę na to. Musimy zdobyć tę technologię. Jeśli wejdą w nadświetlną, to pójdę za nimi. Zdobędę ten sekwencer. Cały świat zostanie zaktualizowany.

- Nic podobnego. Zaczekaj, póki nie wynegocjuję jakiegoś układu z wieśniakami.

- Dobrze wiem, co ci ludzie z nami zrobią.

- To nie...

Simon przerwał połączenie. Dla pewności użył też swoich kodów dostępu, by autoryzować natychmiastową i całkowitą izolację Memu Bay od puli danych. Następnie odciął też połączenia z satelitami. Przy odrobinie szczęścia zdoła uniemożliwić swemu bratu kontakt z Z-B, przynajmniej na kilka godzin.

\*\*\*

Po odcięciu mediów korytarz osiowy stał się całkowicie zasnuty dymem, błyski pomarańczowych lamp tworzyły dziwny nimb na ścianach. Na szczęście sensory Skóry były w stanie przebić się przez tę zasłonę. Lawrence wypatrywał załogantów, którzy w każdej chwili mogli wypaść na nich z bocznych korytarzy. Jak dotąd nie napotkali żadnego fizycznego oporu.

W miarę jak posuwali się naprzód korytarzem, Prime opanowywał kolejne przedziały, jeden po drugim, tworząc przecieki i zmuszając załogę do opuszczenia statku. Z pomocą sensorów ustalił, że z pokładu wypuszczono już osiem szalup. Kamery wewnętrzne namierzyły jeszcze siedmiu załogantów: trzech czekało w szalupie, dwóch w komorach bezpieczeństwa i dwóch w skafandrach, próbując dostać się do korytarza osiowego.

- Jak sobie radzisz? - spytał smoka.

- Doskonale, dziękuję. Uzyskałem pełen dostęp do przedziału ładowni i napędu jądrowego. Prime zainstalował się we wszystkich urządzeniach elektronicznych. Wolalbym szersze pasmo niż to, które udostępnia przewód kosmolotu. Statek składa się z naprawdę dużej liczby komponentów. Nie dam rady obsługiwać naraz wszystkich.

- A naszą broń?

- Tak. Mam do dyspozycji kilka wyrzutni rakiet, laserów i działek elektronowych. Nie dysponuję jeszcze pełnym spektrum sensorów. Większość z nich znajduje się w przedziałach dziobowych. Mam zbyt mało danych, by celować precyzyjnie.

- Ale jeśli coś zacznie się zbliżać, będziesz potrafił to zestrzelić?

- Tak.

- W porządku. Już niedługo będziesz mieć dostęp do przedziałów dziobowych.

Denise załadowała Prime'a do węzła.

- Mamy kolejny przedział.

Lawrence przyjrzał się schematowi wyświetlonemu przez Prime'a. Po raz pierwszy AS *Koribu* nie odciął ich od lokalnej sieci energetycznej - zasilala koło mieszkalne.

Wyjścia awaryjne znajdujące się na szczycie każdego z kół zostały zamknięte. Prime miał kontrolę jedynie nad wielkimi magnetycznymi łożyskami otaczającymi centralny szkielet przenoszący naprężenia. Transfer danych do samych kół został zagrodzony

firewallem.

- Idź dalej - polecił Denise. - Nawiąż połączenie z silnikiem kompresyjnym. Ja się zajmę załogą.

Rozkazał Prime'owi zatrzymać ruch koła mieszkalnego. Korytarz osiowy zaskrzypiał głośno, gdy łożyska zmieniły pola magnetyczne, by zahamować ruch potężnych kół. Ściany zadrgały i zawibrowały, w miarę jak szkielet przenoszący naprężenia starał się absorbować potężny moment obrotowy. Teoretycznie rzecz biorąc, ruchy kół mieszalnych miały równoważyć się nawzajem. Wszystko było w porządku, póki działały, ale każde z nich miało dość bezwładności, by rozerwać statek, jeśli ich ruch nie zostałby idealnie zgrany. Teraz szkielet odczuł pełny efekt drobnych błędów w procesie hamowania.

Prime otworzył drzwi ciśnieniowe w jednym z bocznych korytarzy. Lawrence poszybował przez nie na obracający się toroid. Położył wstęgę energetyczną na następnych drzwiach i przepalił sobie drogę do koła mieszkalnego.

\*\*\*

Kapitan Marquis Krojen instynktownie chwycił się konsoli, gdy przez mostek nagle przebiegła fala drgań. Intruzi najprawdopodobniej uszkodzili koło mieszkalne. Nie chciał nawet myśleć, co się stało z centralnym szkieletem.

- Może wykorzystać awaryjne rezerwy mocy, by zachować kierunek obracania łożysk? - spytał AS.

- Nie, sir.

Każde pytanie, każdy pomysł na kontruderzenie spotykały się z tą samą odpowiedzią.

- Są w kole numer jeden - zameldował Colin Jeffries. - Straciliśmy kontakt.

Kapitan Krojen zacisnął zęby, by nie zakląć. Załoga na mostku używała teraz zapasowych transponderów w celu zapewnienia komunikacji pomiędzy kołami a kosmolotami na zewnątrz. Jedno z kół wyświetlonych na schemacie miało teraz postać czarnego zarysu.

Mostkiem zakołysał kolejny wstrząs, tym razem towarzyszyło mu metaliczne skrzypienie. Kapitan uznał, że nie ma sensu dłużej czekać.

- W porządku. Wprowadź nasz oddział do korytarza osiowego.

- Tak jest, sir - potwierdził ponuro Colin Jeffries i wydał rozkaz.

W skład oddziału wchodził członkowie załogi mostka uzbrojeni w karabinki i kilka laserowych spawarek. Według AS żaden z nich nie miał szans nawet uszkodzić Skóry. Cały pomysł polegał na tym, aby podczas walki zepchnąć przeciwnika do przedziału węzłowego, na skrzyżowaniu korytarzy, który podłączono do awaryjnego zasilania. Prąd o takim natężeniu miał szansę uszkodzić kombinezon, a może nawet zabić znajdującego się wewnątrz

człowieka.

Pod warunkiem, że człowiek w Skórze postanowiłby ich ścigać.

Pod warunkiem, że nie zabiłby ich wszystkich w ciągu pierwszych kilku sekund.

- Przeciek w pierwszym kole! - zawołał Jeffries. - Ten program wysadził włązy awaryjne i użył dysz przeciwpożarowych.

Na panelu ukazało się koło mieszkalne, z którego uciekało bezcenne powietrze.

- Wkładać skafandry - zarządził z goryczą kapitan. - Zezwalam na opuszczenie statku, jeśli ciśnienie w waszym kole zacznie spadać. - Zaczął ubierać się w skafander, co okazało się trudne w stopniowo malejącej grawitacji. Membrany optroniczne ukazały mu, jak oddział otwiera drzwi ciśnieniowe prowadzące w górę, w kierunku wirującego toroidu.

- Wchodzimy - zameldował porucznik dowodzący oddziałem. - W toroidzie przechodnim nie ma nikogo. Otwieram drzwi do bocznego korytarza.

Grawitacja na mostku niemal zniknęła. Przynajmniej ustały drgawki. Marquis Krojen przypiął hełm do konsoli paskiem rzepowym, tak by mieć go pod ręką.

- Nie są zablokowane?

- Nie, sir. Wychodzimy. Pełno tu dymu. Nic nie widać.

- Wycofać się - rozkazał Krojen. - On już wie, że tam jesteście, jego oprogramowanie was śledzi.

- Kogoś widzę! - Z głośnika rozległ się stłumiony dźwięk strzałów.

- Wycofać się.

- Tak jest, sir.

Siatka telemetryczna zaczęła się chwiać.

- Kombinezon... nie mogę... awaria.

- Strzelają! - wykrzyknął kolejny załogant. - Padnij!

- Odwrót!

- Tam!

- Trafił mnie! Trafił! O, kurwa, dostałem!

Porucznik wrzasnął.

- Nie mogę oddychać!

Siatka telemetryczna zniknęła.

- Ogłaszam alarm. Próba włamania - oznajmił AS.

- Tutaj? - spytał pospiesznie Marquis.

- Zarejestrowano próbę włamania poprzez łącza komunikacyjne - wyjaśnił AS. - Dla bezpieczeństwa odcięto wewnętrzne węzły koła mieszkalnego od sieci.

- A zatem nie mamy kontaktu z oddziałem?

- Nie, sir.

- Ile ofiar?

- Nie mam pewności. Elektronika zawarta w ich skafandrach została zhackowana.

Odczyty telemetryczne uzyskane po wejściu załogi do toroidu są niewiarygodne.

Marquis spojrział na obraz z kamery ukazujący otwarte drzwi ciśnieniowe. Sączył się zza nich gęsty, czarny dym, powoli wypełniając przedział. Lampki alarmu przeciwpożarowego migwały pomarańczowo.

- Czy któryś z nich zdołał wejść z powrotem do koła?

- Nie, sir.

- Straciliśmy łączność z drugim kołem - zameldował Colin.

- Przerwij łączność ze skafandrami - rozkazał Marquis. - Nie wpuszczaj tego świństwa do środka. - Spojrział na obrazy z kamer. Z drugiego koła tryskały gejzery powietrza. Miał wrażenie, że patrzy na starego przyjaciela wykrwawiającego się na śmierć.

Dotychczasową wściekłość nagle zastąpił znużony smutek.

- Opuścić statek - zarządził.

- Sir? - spytał z niedowierzaniem Colin Jeffries.

Pozostała część załogi gapiała się na niego.

- Nie możemy zrobić już nic więcej, a nie zostawię swoich ludzi na pastwę tych sukinsynów. Idźcie do szalup i odbijajcie. Potem przejdźcie do kosmolotów.

- A co z panem?

- Kapitan idzie na dno razem ze statkiem. Przecież wiesz.

- A zatem ja też zostaję.

- Colinie, proszę cię...

Panele zaczęły wyświetlać kolorowe plamy, chwilę później pociemniały. Regularny szum wentylatorów ucichł powoli. Pogasty światła. Marquis chwycił hełm i naciągnął go na głowę. Drżącymi palcami uszczelnił kołnierz. Chwycił się za poręcze krzesła w tej samej chwili, gdy nadciągnął huragan. Papiery, plastikowe kubki, tace, elektronika, spieniona woda, a nawet ubrania - wszystko to przelatywało mu przed oczami, podświetlane co chwila przez błyskającą czerwoną lampę ostrzegającą o dekompresji. Jakaś koszulka owinęła mu się wokół hełmu, trzepocząc dziko, ale kapitan nie odważył się puścić poręczy, by ją zgarnąć. Wiedział, że rwący potok pociągnąłby go za sobą. W końcu tkanina poleciała w swoją stronę.

Powietrze wylewało się na zewnątrz przez otwarty luk. Krojen widział nawet wilgotną parę, ciągnącą za sobą cienkie smugi. Wszystkie nieprzymocowane przedmioty zostały

wyssane. Analizując w myślach schemat koła, przypomniał sobie, że trzy przedziały dalej znajduje się właz awaryjny. Wrogi program musiał wysadzić zabezpieczające go zasuwę.

Dopiero po kilku minutach zaczęło się uspokajać. Gwałtowne powiewy zmalowały na sile, choć lampka dekompresyjna wciąż migiała, co więcej dołączyły do niej zielone lampki zamontowane koło włazu do szalupy, który otworzył się w podłodze. Nie mając do dyspozycji łącz komunikacyjnych, kapitan nie słyszał niczego. Włączył czołówkę, po czym odepchnął się od krzesła. Colin i pozostali poszli jego śladem. Kapitan gestem przyzwał swojego pierwszego oficera, aż zetknęli się hełmami.

- Idź do szalupy! - wrzasnął Marquis. - Wyprowadź stąd tych ludzi.

- Niech pan idzie z nami. - Głos Colina zabrzmiał jak stłumione brzęczenie.

- Nie. Rozkazałem załogantom schwytać intruza. Muszę się dowiedzieć, co się z nimi stało. Jestem za nich odpowiedzialny.

- Powodzenia, sir.

Pierwszy z załogantów poszybował do szalupy. Marquis Krojen opuścił mostek. Koła mieszkalne zawsze wydawały mu się ciasne i klaustrofobiczne. W stanie nieważkości wyglądały na dużo większe. Czerwone, pomarańczowe i zielone błyski oświetlały go ze wszystkich stron, w miarę jak sunął przez pusty, pozbawiony powietrza korytarz. Minął trzy zamknięte włazy do szalup. Niebieskie lampki potwierdzały, że pojazd bezpiecznie opuścił pokład.

Serce mu się krajało, gdy widział swój piękny statek w takim stanie. Przewody doprowadzające media popękały podczas dekompresji, rozwalając pobliskie panele. Gęste, niebieskozielone chłodziwo wyciekało z porozrywanych przewodów, tworząc małe konstelacje barwnych kuleczek, pieniających się gwałtownie, nim wyparowały w próżni. Luźne szczątki, które nie zostały wysrane na zewnątrz, utworzyły własne złowieszcze mgławice w każdym przedziale i kabinie. W większości składały się z ubrań i pogniętych plastikowych tac, choć zdarzały się też poduszki, odłamki paneli, zmiażdżone rośliny doniczkowe, a nawet sprzęty z siłowni. Krojen omijał przeszkody lub odpychał je na bok. Z pękniętej rury tryskał ukrop, wypełniając długi odcinek korytarza gęstą białą mgłą.

Nawet gdyby zdołali odzyskać statek, kapitan wiedział, że Z-B i tak nie wyłożyłaby pieniędzy na generalny remont. Tak czy inaczej, *Koribu* był już stracony.

Szyb windy prowadzący do węzła w kole był prawie czysty, dzięki czemu mógł się w nim poruszać znacznie szybciej. Gdy dotarł do pierwszego przedziału, drzwi ciśnieniowe zamknęły się za nim, lampki awaryjne zgasły i znów zapłonęło normalne oświetlenie. Kilka paneli zadrżało, zdradzając, ile szkód wyrządziła dekompresja. Systemy wewnętrzne zostały

zaprojektowane do działania w próżni. Nie dając się zastraszyć sztuczkami wrogiego programu, wszedł do korytarza pierścieniowego otaczającego węzeł i ruszył w stronę toroidu przechodniego.

Drzwi ciśnieniowe były zamknięte. Napał na nie, wiedząc, że to nie ma sensu. Z kratki osłaniającej przewody mediów bezgłośnie buchnął gęsty biały gaz.

- Jezu - mruknął wewnątrz hełmu. Najwyraźniej program przygotowywał koło dla najeźdźców. Odwrócił się szybko i odepchnął nogami. Był jeden przedział węzła, w którym mógł czuć się bezpieczniej niż pozostali. Z każdej kratki wydobywał się strumień gazów. Przedział-pułapka znajdował się tuż przed nim. Ciśnienie wynosiło już pół atmosfery.

- Ostrożnie. Tam może być niebezpiecznie.

Marquis chwycił się krawędzi wjazdu i powoli się rozejrzał.

Człowiek w Skórze unosił się leniwie wzdłuż korytarza pierścieniowego.

- Ktoś podłączył całe to miejsce do awaryjnego zasilania - dodał po chwili. W rzadkim powietrzu jego głos brzmiał metalicznie.

- Zrobiono to na mój rozkaz.

- Rozsądny pomysł jak na kogoś nieszkolonego do walki.

- Czego chcecie?

- Już mam to, co chciałem. Twój statek.

- Dlaczego? Proszę powiedzieć mi chociaż tyle.

- Zabieramy go na wycieczkę.

- Bardzo wątpię. Zdołaliście go bardzo skutecznie zniszczyć.

- To tylko powierzchowne uszkodzenia koła mieszkalnego. Napęd jest nieuszkodzony.

Więcej nam nie trzeba.

- Dokąd polecicie?

- Do rodzinnej gwiazdy obcego. Może zabierze się pan z nami? Spędził pan całe życie w kosmosie. Podejrzewam, że nie wyzbył się pan całkowicie swojej fascynacji nieznanym, nawet w służbie Zantiu-Braun.

Kapitan zawahał się chwilę, ale poczucie obowiązku było znacznie silniejsze niż dawne marzenia.

- W tej chwili interesuje mnie tylko los mojej załogi. Zabiliście oddział, który tu wysłałem?

- Nie owija pan w bawełnę, kapitanie. Ale, nie, nie są martwi, choć kilku z nich odniosło rany. Zhackowaliśmy ich skafandry i wyłączyliśmy powietrze. Musieli zdjąć hełmy. Wtedy użyłem strzałek.

- Rozumiem.

- I to ma być wdzięczność? Ach. Zaczyna się.

Światła znów przygasły. Marquis zdał sobie sprawę, że coś przekierowuje moc z tokamaków.

- Silnik kompresyjny - stwierdził zaskoczony.

- Mówiłem, że jest nieuszkodzony. Użyjemy go, gdy tylko obcy będzie w stanie przywrócić tokamakom pełną moc i przywrócić łączność z inwerterem energii. A tymczasem chciałbym prosić, żeby pomógł mi pan przetransportować swoich nieprzytomnych załogantów do szalup. Jeśli tego nie zrobimy, to będą musieli polecieć z nami. A ten statek nie wróci.

\*\*\*

Simon stracił przytomność, gdy włączono scramjet. Przyspieszenie sprawiło, że ból stał się nie do wytrzymania, nim zdążyły zadziałać naturalne mechanizmy obronne. Gdy się ocknął, był już w stanie nieważkości, a sprzęt do intensywnej opieki wydawał z siebie nagłące piski. Powoli zdołał przeczytać skrypt przesuwający się przed oczami. Wciąż nie było żadnych danych z *Koribu*. Kazał swojemu AS wyświetlić orbitalne mapy taktyczne i odczyty sensorów ze statków i satelitów.

- Dobry Boże - wyszeptał. Było dokładnie tak źle, jak się tego spodziewał.

- Proszę się nie ruszać - polecił nerwowo lekarz. - Wszystko z panem w porządku.

- Lepiej, żeby było! - warknął Simon. Okrągłe siatki taktyczne ukazywały mu czterdzieści osiem szalup, wolno oddalających się do *Koribu*. Kilka xianti zdołało do nich przybić, ale nie miały w kabinie dość miejsca dla pasażerów. Dwa z nich po prostu załadowały szalupy do ładowni i zeszły z orbity, niosąc rozbitków do Durrell. Reszta szalup oczekiwała na instrukcje: czy mają pozostać na orbicie, czekając na ratunek, czy odpalić własne silniki rakietowe i wylądować na powierzchni planety, a jeśli tak, to gdzie? Simon w ogóle nie był tym zainteresowany. Odsunął siatkę taktyczną z powrotem w tło i powiększył skany z sensorów *Koribu*. W miarę jak tokamaki nabierały mocy, z przedziału silnika kompresyjnego zaczynały się rozchodzić szerokie i potężne linie pola magnetycznego. Statek szykował się do przejścia w nadświetlną.

Kazał AS nawiązać połączenie z Sebastianem Manetem, kapitanem *Norvelle*.

- Czy może pan unieruchomić *Koribu*? - spytał. Jeśli wierzyć jego siatce taktycznej, statki dzieliło od siebie jedynie osiem tysięcy kilometrów.

- Myślę, że bylibyśmy w stanie przerwać jego osłony - odpowiedział Sebastian Manet.

- Wolałbym poczekać, aż znajdzie się dalej od szalup i kosmolotów. Mogłyby zostać



uszkodzone przez pociski defensywne albo detonację na *Koribu*.

- Nie chcę, żeby pan go zdetonował. Chcę, by go pan zatrzymał.

- Nie mamy takiej możliwości.

- Czemu nie użyje pan broni kinetycznej? Mierząc w przedział silnika kompresyjnego?

- *Koribu* zestrzeli pociski za pomocą własnych głowic nuklearnych. Nic nie przetrwa takiego bombardowania.

- Mamy przecież więcej pocisków kinetycznych niż oni głowic!

- To prawda. Ale kapitan Krojen uciekł z pokładu ostatnią szalupą. Potwierdził cel porywaczy. Zostało im jakieś piętnaście minut do przejścia w nadświatłą. Musielibyśmy oddać przynajmniej osiemnaście salw, żeby wyczerpać ich potencjał defensywny i upewnić się, że mamy szansę na trafienie. To zabrałoby jakieś czterdzieści pięć minut do godziny. W tej sytuacji nie dosięgnie ich nawet pierwsza salwa.

- Skierujcie na nich wiązkę gamma.

- Przygotowanie działa do strzału potrwa piętnaście minut.

Simon burknął z wściekłości.

- Proszę się uspokoić - upomniał go lekarz. - Nie wolno się panu denerwować. Inaczej będę musiał podać środki uspokajające.

- Jeśli zbliży się pan do mnie na krok, każę wyrzucić pana przez śluzę! - odparł Simon. - Proszę go śledzić - zwrócił się do Maneta. - Chcę wiedzieć, dokąd lecą. I proszę przygotować napęd kompresyjny *Norvelle*.

- Mówi pan poważnie?

- Tak. Zadokujemy u pana za siedemnaście minut. Gdy tylko znajdę się na pokładzie, podążymy za nimi.

\*\*\*

Simon usiadł w kabinie helikoptera, aby odebrać strumień danych przygotowanych przez jego osobisty AS. Informacje na temat próby porwania *Koribu* były skąpe, ale dane z sensorów sugerowały, że intruzi podążają korytarzem osiowym, ładując Prime'a do kolejnych przedziałów. Atmosfera zaczęła ulatniać się z ładowni. Wypuszczono szalupy.

A on nie mógł na to nic poradzić, co najwyżej rozkazać jednemu z pozostałych statków, by otworzył ogień i użył głowic nuklearnych. Nie tylko zabiłby w ten sposób całą załogę i zniszczył statek wart wiele bilionów dolarów, ale wyeliminowałby też obcego. Nie miał nic do zyskania i wszystko do stracenia. Poza tym nie miał pewności, czy którykolwiek z kapitanów wykonałby taki rozkaz.

Na siatce wyświetlacza DNI zamigotała ikona zmiany statusu. Jego osobisty AS zawsze na bieżąco aktualizował informacje dotyczące działań jego rodzeństwa. Powiększył ikonę i przeczytał skrypt z rosnącym niesmakiem.

- Co ty właściwie wyprawiasz? - spytał SK2.

Zarówno odpowiedź, jak i krótka kłótnia, która wywiązała się tuż potem, potwierdziły jego obawy. Oczywiście, istniały precedensowe przypadki rozstrzygania konfliktów pomiędzy Roderickami, ale nigdy nie słyszał o sytuacji, gdy jeden z nich zachowywałby się tak niestabilnie. W obecnym stanie SK2 prawdopodobnie nie przyjąłby żadnej decyzji ograniczającej jego władzę.

Potem zagadnienie stało się irrelewantne, ponieważ SK2 przerwał połączenie.

- Niech go szlag! - Rozdrażnienie przeszło w złość, gdy osobisty AS poinformował go, że Memu Bay zostało odcięte od globalnej puli danych. Chwilę później układ komunikacyjny AV88 stracił połączenie z satelitą. Simon próbował je nawiązać z pomocą innych helikopterów zaparkowanych na polanie w Arnoon. Satelita nie odpowiadał. Simon użył perły bransoletkowej. Wykrył nadajnik satelity, ale nie zdołał nawiązać kontaktu.

SK2 nie tylko przejął misję, ale także odizolował swego brata we wrogim terenie. Tym samym sam zrzekł się wszelkich uprawnień. Simon potrząsnął ze znużeniem głową. „Oczywiście pod warunkiem, że moi bracia z zarządu w ogóle się o tym dowiedzą”. Legalność poczynań i polityczne manewry były teraz najmniejszą z jego trosk.

Jacintha siedziała przy długim drewnianym stole w pawilonie ze śnieżnokr. Wyglądała na zupełnie spokojną, mimo obecności trzech Skór stojących dyskretnie z boku.

- Ma pan zmysł magnetyczny, a do tego jest pan klonem - stwierdziła, gdy Simon podszedł bliżej. - Fascynujące. Życie na Ziemi jest znacznie bardziej złożone, niż sądziliśmy.

Simon wskazał na ławkę po drugiej stronie stołu.

- Mogę?

- Niezależnie od pani punktu widzenia, to powód do niepokoju. Mój brat... jest w ciężkim stanie.

- Powiedziałabym raczej, że zwariował.

- Jest ranny i wciąż odczuwa dotkliwy ból, co zaćmiewa jego osąd. Stał w zasięgu wybuchu spowodowanego przez Josepa.

- Chce mnie pan wprawić w poczucie winy?

- Po prostu wskazuję ciąg przyczynowo-skutkowy.

- Najechaliście naszą planetę, oto skutek.

- Nie zamierzam brać na siebie całego ciężaru winy. Wasze działania także mają

konsekwencje. Nikt z nas nie wyszedł z tej konfrontacji zupełnie bez winy.

- Owszem - przyznała niechętnie Jacintha. - Ale teraz mamy statek. Obcy powróci do domu.

- Mam nadzieję, że jego społeczność jest dobrze uzbrojona. Mój brat nie cofnie się przed niczym, by zdobyć system nanotechnologiczny.

- Smoki nie potrzebują broni. Wszelkie groźby użyte wobec nich będą zupełnie nieskuteczne.

- Smoki? - Simon przypomniał sobie ozdobne płaskorzeźby na chatkach.

- Tak je nazywamy.

- Rozumiem. Cóż, nawet zlokalizowanie ich miejsca zamieszkania da mu niebezpieczną przewagę. Jeśli nie zdobędzie nanosystemu, wróci tutaj. Jest pani pewna, że ludzie nigdy nie zdobędą tych informacji? Jeśli nie siłą, to z pomocą handlu albo dyplomacji. Smok przekazał ją przecież wam. - Zobaczył, że kobietę zaczynają nachodzić wątpliwości. - Jeśli istnieje taka możliwość, to musi mi pani pomóc.

- W czym?

- Dopilnować, by mój brat nie zdobył tych danych jako pierwszy.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Uważam, że dostęp do nanotechnologii powinien odbyć się z zachowaniem zasady równości. To jedna z przyczyn, dla których byliśmy tak ostrożni. Gdyby dorwał się do niej któryś z waszych klonów, użylibyście ich niezgodnie z przeznaczeniem. Wie pan, że mam rację.

- Wszystkie zastosowania, których pani osobiście nie pochwała, są z definicji niezgodne z przeznaczeniem. Dlatego ludzka kultura ewoluowała właśnie tak, by większość miała wpływ na jej kształtowanie. Każdy ma głos, niewielki, to prawda, ale jednak. A może nie ufa pani całej ludzkiej rasie?

- Proszę nie wykręcać kota ogonem. Pan osobiście i Zantiu-Braun jako organizacja wykorzystalibyście tę technologię niezgodnie z przeznaczeniem. Użylibyście jej do ustanowienia monopolu i pomnożenia własnego bogactwa i wpływów, i prawdopodobnie również potęgi militarnej.

- Oczywiście, że obrócilibyśmy to znalezisko na swoją korzyść. Ale pani nawet nie zdaje sobie sprawy, do jakich celów dążymy. A może powinienem był powiedzieć: „dążę”, ponieważ to ja, w setkach egzemplarzy, opracowałem naszą politykę i od tej pory pilnuję, by ją realizowano.

- W porządku, zaciekał mnie pan. Co to za cele? Odkryć i podbić jeszcze więcej planet?

- Nie. Realizacja aktywów na dłuższą metę jest nieopłacalna. Może nawet na krótką metę. Obecne loty to niesławny koniec szlachetnego marzenia, które powoli dobiega do swego naturalnego końca.

- A cóż to za szlachetne marzenie?

- Ofiarowanie ludziom tego, czym dysponujecie obecnie wy. Czysty start na nowej planecie. To pragnienie jest na stałe wpisane w naturę wielu ludzi. Bierze się z naszej impulsywności, naturalnej ciekawości i genu włóczęgostwa, ale wypływa także z rozczarowania społeczeństwem, w którym żyjemy. O ileż łatwiej byłoby się przeprowadzić i zacząć gdzieś na nowo, niż naprawiać instytucjonalne, może nawet konstytucjonalne błędy monolitycznych systemów. Te motywacje były tak silne, że spowodowały w końcu pierwszą falę kolonizacji. Jednak od zawsze było wiadomo, że z finansowego punktu widzenia to ślepy zaułek - technologia kompresyjna po prostu nie jest w stanie udźwignąć tego marzenia. A mimo to brnęliśmy naprzód. Mieliśmy wiele sukcesów. Planety takie jak Ducaïn, Amethi i Larone stały się niezależnymi i zamożnymi demokracjami udziałowymi. Thallspring okazało się połowicznym sukcesem. Ma dług wobec Ziemi, ale poza tym jest samowystarczalne. Osobiście uważam Santa Chico za swego rodzaju sukces.

- Jeśli okazaliśmy się sukcesem, to przestańcie nas zatrzymywać. Pozwólcie nam się rozwijać swobodnie. Wykorzystajcie wszystkie swoje wpływy i uprawnienia, by zakończyć misję realizacji aktywów.

- Wiem, że nasza inwazja determinuje cały pani sposób myślenia, i bardzo mi przykro, ale konieczne zmiany trzeba przeprowadzić na bardziej podstawowym poziomie. Musimy wynieść całą ludzką rasę na inny poziom, by uwolnić się od ograniczeń, które się z nią wiążą.

- „Wynieść”?

- Tak. Ziemia ma siedem miliardów mieszkańców i jest najbogatszą planetą w ludzkim świecie. Oczywiście przy takiej liczbie ludzi pracujących w ramach społeczeństwa przemysłowego trudno o inny wynik. Ale charakteryzuje ją także najwyższy poziom ubóstwa. W miastach istnieją dzielnice, których mieszkańcy są dwudziestym pokoleniem nędzarzy. Nigdy nie wychodzą z tych gett, w przeciwieństwie do pani przodków, którzy mieli dość inteligencji i determinacji, by dotrzeć aż tutaj. Szkoły i pule danych oferują ogromne możliwości rozwoju, dają im szansę wyrwać się ze slumsów i stać się częścią gospodarki pierwotnej. Ale z jakichś powodów tego nie robią. Na jedną osobę, która do czegoś dochodzi, dziesięć innych zostaje w getcie i zakłada rodziny, przeważnie liczne. Kwitną uzależnienia,

wszechobecna przestępczość dodatkowo ich zubaża. Muszą znosić złe warunki mieszkaniowe i wychowawcze, niewydolność opieki społecznej, rozkład infrastruktury i szalejącą przemoc.

- Wiem, jak działa krąg ubóstwa.

- Powinna pani. Zaczyna działać także tutaj. Widziałem, jak gospodarka wtórna powoli wpełza do miast. Pojawia się podklasa. W tej chwili bardzo niewielka różnica dzieli ich od przeciętnych mieszkańców, ale za kilka pokoleń przepaść będzie nie do pokonania. Thallspring stanie się kopia Ziemi.

- Nieprawda.

- Ach! - uśmiechnął się. - Wierzy pani, że smocza technologia pomoże zjednoczyć świat i wybudować coś nowego i pięknego.

- Tak - odparła Jacintha. - Jeśli wprowadzimy ją stopniowo i ostrożnie, wówczas dokonane zmiany będą wywierać pozytywny wpływ na wielką skalę.

- Ach, jakież to niezwykle. Godne podziwu. Z takim podejściem mógłbym zaproponować pani miejsce w zarządzie, ponieważ ja... my również pragniemy ujrzyć pewne zmiany społeczne - nie zaś przedłużać bezsensowną ekspansję i po raz kolejny powtarzać te same błędy. Jednak żeby to osiągnąć, dokonać zmiany totalnej, musi ona wypływać z serca ludzkiej społeczności - z Ziemi. Pracujemy nad tym już od ponad stulecia. Nędzarze i członkowie podklasy muszą zniknąć. I nie mówię tego z czystego altruizmu - ściśle rzecz biorąc, postępuję bardzo samolubnie. Ci ludzie żerują na naszym odruchu współczucia - pochłaniają miliardy dolarów w zasiłkach, które zużywają na żywność i zakwaterowanie, a prócz tego pobierają kolejne miliardy w formie opieki medycznej, ponieważ ta część społeczeństwa z oczywistych względów jest najbardziej narażona na choroby. To oni sprawiają, że nasze idee i marzenia kończą się klęską. Gdybyśmy nie musieli się nimi zajmować, nasze statki wciąż wyprawiałyby się w głąb galaktyki i zakładały kolonie. Wciąż mamy jeszcze dość czasu i zasobów, aby wypróbować nowe modele życia. Wszyscy, nie tylko wy i Santa Chico.

- Mówi pan o ubogich tak, jakby byli podludźmi.

- Zależy, co rozumieć przez „ludzi”.

- Nie jestem pewna, czy pan do nich należy.

- Ależ oczywiście, że należę. Przecież troszczę się o swoją planetę. Z-B wzięła na siebie ciężar przebudowania całych społeczności, wdrażając racjonalny, udziałowy model ekonomiczny. Regresjoniści i antyglobaliści pogardzają tą koncepcją. Nazywają ją korporacyjną dyktaturą. Jednak rządy i miejscowi działacze desperacko pragną, byśmy zainwestowali w ich biedne regiony i zrewitalizowali środowisko. Nawet nasi rywale zaczęli

stosować podobne inicjatywy. Ponownie wprowadziliśmy ideę stałego zatrudnienia przez całe życie, która niemal całkowicie zniknęła w dwudziestym pierwszym wieku - postęp techniczny był tak szybki, że urządzenia i produkty stawały się przestarzałe, zanim dotarły na rynek. Obecnie postęp przebiega wolniej, a gospodarka została ustabilizowana. Nasze inwestycje pozwalają wielu regionom wzbogacić się na tyle, że wszyscy udziałowcy mają obecnie dostęp do niemal wszystkich dobrodziejstw nowoczesnej cywilizacji. A jedna z rzeczy, które zapewniamy absolutnie wszystkim, niezależnie od wysokości udziałów, to pełna opieka zdrowotna. W-wpisy somatyczne są dostępne dla wszystkich.

- Jakie w-wpisy? - spytała Jacintha, nie kryjąc pogardy.

- Takie, jakich zażyczą sobie rodzice dziecka - odparł Simon. - W efekcie osoby, które przyszły na świat w zamożnych rodzinach z klasy średniej, są silniejsze i zdrowsze. No i inteligentniejsze. To naturalne pragnienie każdego rodzica: zapewnić swojemu dziecku dobry start, poznać karty, by zyskało jak najlepsze szanse.

- I to właśnie wasz cel? Poprawić IQ całej rasy ludzkiej?

- Tak. W praktyce doprowadzimy do tego, że podklasa wymrze śmiercią naturalną. Gdy już zyskamy dostęp do stref ubóstwa, natychmiast zapewnimy wszystkim ulepszoną opiekę zdrowotną. Następna generacja otrzyma gruntowne wykształcenie, by zobaczyli, że poza ich gettem też jest jakieś życie, w którym warto uczestniczyć. Potem przejdą do zarabiania na życie, by pracować dla społeczeństwa, a nie tylko brać. Obecnie mamy na Ziemi mniej osób na zasiłku, drobnych przestępców i wyrzutków niż w ciągu ostatnich dwustu lat. Liczba ludzi wymagających państwowej opieki spada. Coraz mniej ludzi wysysa ze społeczeństwa siły witalne.

Jeśli zdołamy wprowadzić globalną udziałowość, będzie to oznaczało koniec ubóstwa i koniec wizjonerów spętanych przez przyziemne potrzeby społeczeństw. Korporacje takie jak Zantiu-Braun będą mogły rozpocząć prawdziwą ekspansję. Możemy wspólnie zbudować całą nową erę wspólnoty międzygwiazdnej, gdzie idee i koncepcje będzie można wymieniać pomiędzy układami gwiazdnymi.

- Brzmi to trochę... no nie wiem. Faszystowsko?

- Nie będziemy nikogo do niczego zmuszać. Po prostu zapewnimy wszystkim wybór i poczekamy, aż ludzka natura zrobi swoje. A poza tym chciałbym zauważyć, że wy także użyliście nanosystemów, aby usprawnić swoje ciała. Podejrzewam, że wasi przodkowie nie stronili od modyfikacji wirusowych.

- Nie zaprzeczam. Jednak nie uprawnia was to do żądania mojej pomocy.

- A powinno. Pomimo wszystkich naszych dotychczasowych wysiłków całe narody

nadal trwają przy swych starych błędach. Nawet najbardziej optymistyczne prognozy przewidują globalną udziałowość dopiero za jakieś dwa-trzy pokolenia.

A teraz okazuje się, że znaleźliście tu obcego, z którego pomocą możemy zrealizować ten cel w ciągu zaledwie kilku lat. Wszystkich marnotrawców i ignorantów, dla których żywie tak wielką pogardę, można zmodyfikować jednym ruchem, ofiarować im dar inteligencji, którego tak bardzo im brak. Jeśli to, co zrobiliśmy na Thallspirng, nazywa pani „inwazją”, to jak nazwać ten zamiar? Mówiła pani, że arnończycy zamierzają stopniowo udostępnić wiedzę smoka, tak by ludzie mieli czas ją zrozumieć i zasymilować. A gdyby stało się inaczej? Gdyby wasza wizja wymagała przymusowego wdrożenia, nie dobrowolnego wyboru? I mielibyście do dyspozycji środki jej wdrożenia?

- Nie można zmusić całego społeczeństwa, by się zmodyfikowało - wykrztusiła z przerażeniem kobieta.

- Wiem. Ale mój brat jest bardziej zdeterminowany niż ja. Mniej ustępliwy. Jego zdaniem nie ma na co czekać, jeśli tylko dysponuje się odpowiednimi środkami. A działający nanosystem mu je zapewni. Jeśli uda się śladem *Koribu* i zdoła go zdobyć, będzie miał wyłączność na tę technologię. Proszę mi teraz powiedzieć, czy pani zdaniem jego zachowanie może być zagrożeniem dla ludzkości? Czy da się zmodyfikować dorosłego człowieka tak, by zapewnić mu wyższe IQ?

- Tak. Komórki nerwowe dorosłych są przecież takie same. Sekwencer wzorcowy potrafi je tworzyć.

- A zatem ma pani wybór. Nanotechnologia smoka wcześniej czy później trafi na Ziemię. Kto ma ją tam zanieść, on czy ja?

Kobieta zaśmiała się ostro, z goryczą.

- A co za różnica?

- Proszę na mniej spojrzeć. - Kobieta zmierzyła go twardym spojrzeniem. - To ja jestem głosem rozsądku. Nie zamierzam nikogo do niczego zmuszać. Nasz cel należy zrealizować przy użyciu metod demokratycznych, klasycznych albo udziałowych. Jednak niezależnie od wyniku, zmiany i tak nadejdą, takie są konsekwencje odkrycia nowej wiedzy. To tylko okoliczności zadecydowały o tym, że dziś stoimy po przeciwnych stronach barykady. Niech to nie zakłóca pani osądu.

- O co właściwie pan prosi?

- Chcę wiedzieć, dokąd udała się ta dwójka, gdzie jest ojczyzna smoka. Chcę, żeby Prime przebił się przez ten blok komunikacyjny, tak bym mógł ściągnąć jakiś kosmolot na lotnisko w Memu Bay i polecieć bezpośrednio na statek. Muszę ich ścigać. Nie mogę

dopuszczyć, aby to mój brat posiadał tę wiedzę.

\*\*\*

Przez większość pierwszego tygodnia Lawrence i Denise byli zajęci dokonywaniem napraw i sprzątaniem śmieci z pomocą małego oddziału robotów pod kontrolą Prime'a. Koła mieszkalne znów obracały się powoli, likwidując precesję. Pierwsze z nich zupełnie zignorowali. W drugim próbowali przywrócić ciśnienie. Dopiero po trzech dniach udało im się uszczelnić grodzie. Otwarte drzwi zostały mocno uszkodzone przez gwałtowną dekompresję. Zawiasy były powykręcane, krawędzie popękane, szyny zapchane śmieciami. Wysadzone wcześniej włązy awaryjne zostały teraz uszczelnione za pomocą metalu lub arkuszy kompozytu wtopionych w odpowiednie miejsca. Ostatecznie ich mały kącik mieszkalny zajął jedną czwartą koła, z mostkiem pośrodku. Jedna ze szprych także była pod ciśnieniem, dzięki czemu mogli przejść do piasty, nie musząc zakładać skafandrów. Jednak nieczęsto korzystali z korytarza osiowego. Jeśli coś się zepsuło w przedziale kompresyjnym, naprawą zajmowały się roboty.

Po przywróceniu ciśnienia naprawili filtry powietrza i jednostki czyszczące, wymienili silniki wentylatorów, wyczyścili wymiennik ciepła i połatali przewody. Uzupelnienie atmosfery azotowo-tlenowej nie nastroczało żadnych problemów. Zbiorniki zapasowe *Koribu* były w stanie utrzymać przy życiu dwadzieścia tysięcy osób przez dwa miesiące - teraz miały wystarczyć tylko dla dwóch osób na sto cztery dni. Wody także było pod dostatkiem, dlatego nawet nie próbowali naprawiać recyklera i oczyszczalni ścieków.

Prowiant dla załogi *Koribu* zawierał wyłącznie sterylne opakowania z gotowymi produktami, całkowicie pozbawionymi bakterii, by nie doprowadzić do rozkładu żywności. Zapas jedzenia mógł im wystarczyć nawet na tysiąc lat. Denise pałała do niego szczerą niechęcią.

- Nie ma żadnego smaku! - narzekała już pierwszego dnia. Siedzieli akurat w kosmosie, robiąc sobie przerwę, podczas gdy roboty spawały i izolowały przewody kriogeniczne.

Lawrence spojrzął na oznakowanie. Kobieta wybrała sobie befsztyk chateaubriand z sosem berneńskim. Zawór uwadniający był przekonfigurowany, więc niemożliwe, żeby dodała za dużo wody.

- To pewnie przez stan nieważkości - stwierdził. - Nadmiar płynów w głowie dziwnie działa na receptory smaku. Może wyciśnij więcej roztworu soli.

- Nie chodzi tylko o smak! - Wyjęła z pojemnika kilka paczek i rozrzuciła po kabinie.  
- Zobacz! W każdym jest inna potrawa, a jednak wszystkie mają tę samą konsystencję. Jakbyś



jadł ledwo ciepłe purée z ziemniaków w dwudziestu różnych kolorach.

- Aha, jasne. Przykro mi - mruknął Lawrence. „Jeszcze sto trzy dni”, pomyślał w duchu.

Gdy w końcu przywrócili ciśnienie w przedziale mieszkalnym, stanął na mostku i ostrożnie rozpiął Skórę. Powąchał chłodne powietrze.

- Słodki Losie, nawet stan nieważkości nie jest w stanie tego zamaskować.

Denise zdjęła maskę i też się skrzywiła.

- Co to jest?

- Nie wiem, sprawdźmy.

Okazało się, że smród pochodził z więcej niż jednego źródła. Zamarznięte chłodziwo chlupotało teraz w korytarzach, wyparowując z wolna. Najpoważniejszym winowajcą okazał się recykler odpadów, postanowili więc rozwiązać problem, zamykając zawory i posyłając roboty, by spryskały cały mechanizm polimerową pianką. Resztki jedzenia pozostawione przez załogę częściowo ugotowały się w próżni, po czym zamarzły, a w końcu zgniły. Lawrence podejrzewał także, że za panelami ściennymi i sufitowymi rozkładają się martwe gryzonie i owady.

Wszystko to trzeba było uprzątnąć - wytrzeć płyny i wyrzucić biodegradowalne odpady przez śluzę. Przez jakiś czas. mieli pełne ręce roboty.

Lawrence zajął kajutę kapitana. Wyjął z szafek wszystkie rzeczy należące do Marquisa Krojena, ubrania i osobiste drobiazgi, a potem przeszukał pozostałe kabiny w poszukiwaniu pasujących ubrań. Wiele rzeczy zostało wyspanych w kosmos, ale i tak odkrył, że ciuchów starczy mu na kilka miesięcy, zanim w ogóle będzie musiał pomyśleć o praniu. Denise zajęła kabinę po przeciwnej stronie mostku.

W drugim tygodniu Lawrence zaczął przeglądać pokładową bibliotekę multimedialną. Nie miał nic innego do roboty

- Prime i roboty z łatwością obsługiwały urządzenia konieczne do funkcjonowania koła. Aktywował szafkę odżywiającą i włożył do niej Skórę, choć nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś ją włoży. Kombinezon pompował cicho płyny, zupełnie bez jego pomocy. Silnik kompresyjny działał sprawnie, podobnie jak tokamaki. Żadnego prowadzenia nawigacji. Żadnych codziennych inspekcji. I żadnych widoków.

Na początku dobrał się do muzyki i zaczął odtwarzać ją bardzo głośno. Było to dość upiorne wrażenie - dwoje ludzi zupełnie samych na statku przeznaczonym dla dwudziestu tysięcy. Muzyka częściowo wypełniała pustkę, gdy gimnastykował się na siłowni, próbując utrzymać kondycję. Później zaczęli się kłócić o dobór repertuaru. Lawrence stwierdził, że nie

pozwole, by ten konflikt wymknął się spod kontroli. Spędził w życiu całkiem sporo czasu, mieszkając w małych grupach na ograniczonej przestrzeni. Denise wychowała się na wsi i nie miała pojęcia, jakich kompromisów wymaga taka podróż. Ostatecznie pozwolił jej wybrać połowę utworów i nie komentował jej upodobań.

Mimo że trzy do czterech godzin spędzał na ćwiczeniach, wciąż pozostawało mu sporo czasu do zagospodarowania. Wrócił do biblioteki i zaczął przeglądać i-media. Nie robił tego od czasu opuszczenia Amethi. Z początku wybierał komedie, stare i nowe, ale jak długo można się śmiać z sytuacji, które zupełnie nie przystawały do jego życia? Potem zanurzył się w filmach przygodowych, ale odpuścił, gdy stały się nudne i przewidywalne. Dramaty obyczajowe działały mu na nerwy. Domyślał się, że ostatnie wydarzenia mogły wprowadzić go w kiepski stan, powodując zwiększoną wrażliwość na melodramatyczne wątki. Science fiction nie wchodziło w rachubę. Zamierzał kiedyś obejrzeć *Kierunek: horyzont*, ale nie tutaj i nie sam. Przeskakiwał zatem pomiędzy klasycznymi dramataми, dokumentami z podróży i inscenizacjami wydarzeń historycznych. Coraz częściej jednak zanurzał się w rozproszonych wspomnieniach smoka dotyczących Imperium Pierścienia albo innych miejsc i wydarzeń, które były stare już wówczas, gdy dinozaury na Ziemi dopiero wykluwały się z jaj.

W ciągu dnia każde z nich trzymało się swoich zajęć, ale przykładali wiele wysiłku, by jadać razem posiłki. Starali się różnicować jedzenie, jak tylko mogli, ale Denise za każdym razem skarżyła się na mdły smak.

- Naprawdę ją kochasz, co? - spytała kiedyś przy obiedzie, w piątym tygodniu podróży.

Lawrence rzucił jej spojrzenie zabarwione lekkim poczuciem winy. Wcześniej jak zwykle zignorował jej narzekania na kaczkę w pomarańczach. Kobieta wpatrywała się w jego szyję i wtedy zdał sobie sprawę, że pociera w palcach wisiorek. Mały hologram uśmiechnął się do niego spod porysowanej powierzchni.

- Aha - odparł. Teraz, gdy już nie było odwrotu, mógł to powiedzieć. - Bardzo.

- Szczęściara. Kiedy to było? Trzydzieści lat temu?

- Mniej więcej. - Po raz ostatni spojrzął na wisiorek i schował go pod koszulkę. - Z początku zachowałem go tylko po to, by przypominał mi, dlaczego uciekłem z domu. Żeby gniew nie wygasł. Ale z biegiem lat trochę się zmieniło. Potem zatrzymałem go, by przypominał mi tym, co reprezentowała sobą ta dziewczyna. Najszczęśliwsze dni mojego życia. Dopiero po długim czasie zrozumiałem, że nikt nie może tak zadziałać na człowieka, jeśli nie jest mu choć trochę bliski.

Denise uśmiechnęła się przyjaźnie, nieco zaskoczona tym wyznaniem.

- Mam nadzieję, że zdołasz się z nią pogodzić.

- Ależ byłem wściekły, gdy się dowiedziałem. Winiłem wszystkich wokół za sam fakt, że żyją w świecie, gdzie dzieją się takie potworności. Tylko tak potrafiłem to wyrazić. To taki szok - odkryć, że twoja ukochana osoba dała się tak wykorzystać. Ale oboje byliśmy młodzi i głupi, i ja, i ona. Bardzo chciała wyemigrować, a tylko taki układ dawał jej tę możliwość. I wiesz co? Oboje zrobiliśmy dokładnie to samo. Przez dwadzieścia lat pozwalałem Zantiu-Braun dysponować swoim ciałem, bo wierzyłem, że tylko tak zdołam zrealizować swoje marzenie.

- Naprawdę się zafiksowałeś na tych lotach kosmicznych.

- Oczywiście. Urodziłem się w kolonii. Samo moje istnienie jest owocem miłości do włości.

- To takie staroludzkie. To wieczne parcie naprzód, nie zważając na konsekwencje, byle tylko osiągnąć satysfakcję. Może Simon Roderick miał trochę racji.

- Chyba żartujesz. - Jacintha przesłała całą rozmowę z Roderickiem na *Koribu*, zanim weszli w nadświetlną. Polityka Z-B nie zszokowała Lawrence'a tak bardzo, jak powinna - a przynajmniej nie tak bardzo jak kiedyś. W końcu sam przeszedł dogłębne modyfikacje somatyczne i gdyby miał dzieci, pewnie też chciałby dla nich jak najlepiej. Po wielu latach spędzonych w służbie Z-B lepiej rozumiał ich cele. Prawdopodobnie dla obserwatora z zewnątrz wyglądało to znacznie gorzej. Mądrzejsi, bogatsi, bardziej wpływowi ludzie chcieli zmodyfikować dzieci, by mogły żyć w ich kręgu kulturowym, nie swoich rodziców. Lawrence nie był pewien, czy to ewolucja, czy raczej eugenika.

- Nie - odparła Denise. - Miał rację, gdy powiedział, że zakładając kolonie, wciąż tworzymy nowe Ziemi, i to wyłącznie dla własnych korzyści. Są zakładane jako nowe terytoria dla bogaczy, gdzie nie nękają ich stare problemy i restrykcje. Ale te problemy i ograniczenia nie przestają istnieć na Ziemi, tylko dlatego, że część ludzi odleciała. Wręcz przeciwnie, często dochodzi do pogorszenia, ponieważ to właśnie ludzie wykazujący dość energii i determinacji, by zarobić na bilet, mogliby je rozwiązać. To deklaracja polityczna: oznajmiasz, że niniejszym spisujesz resztę ludzkości na straty.

- Ludzie od zawsze wędrowali w poszukiwaniu lepszego losu. To część naszej natury. Właśnie dlatego projekt Rodericka może ostatecznie odnieść sukces - ponieważ wszyscy chcemy dla swoich dzieci jak najlepiej. Ludzie, jeśli tylko dostaną wybór, zawsze będą próbowali polepszyć swoją sytuację, po prostu nie zgadzają się z definicją tego polepszenia. To właśnie wasza polityka. Kolonizacja to też forma ewolucji. Przedstawiciele mniejszości emigrują, by żyć po swojemu, nienarażeni na prześladowania. Gdy tylko uciekają z martwego

uścisku inercji, rodzą się nowe pomysły. A ten uścisk to właśnie niezmiennie, zadowolone z siebie masy ludzkie. Nowe początki pozwalają ludzkiej kulturze podążać naprzód.

- Naprzód, to znaczy gdzie? Na wyższy poziom konsumpcjonizmu?

- I nie szkodzi, że wiele kolonii tak bardzo przypomina Ziemię. Niektóre są inne. Byłem na Santa Chico. Osobiście nie wybrałbym takiego życia, ale oni najwyraźniej są zadowoleni. Stworzyli coś nowego i za to ich szanuję. A kolonie portalowe... kto wie, jaki świat sobie budują. Znaleźliście coś, co może nam pomóc rozwinąć się w sposób wręcz niewyobrażalny. I znaleźliście to tu, pośród gwiazd, z dala od zmarniałych horyzontów Ziemi. Przez przypadek. Ale nasza podróż tutaj, w nieznaną, gdzie można spotkać inne smoki, to już nie przypadek. Tu właśnie powinniśmy być, to nasze miejsce.

- Smocze nanosystemy mogą nas wspomóc w rozwoju. Albo pomóc nam zniszczyć siebie nawzajem. To bardzo potężna technologia.

- Tak samo mówiono o innych wynalazkach. Pokolenie, które ogląda je jako pierwsze, jest przerażone, dwa pokolenia później nikt już nie rozumie, o co był ten cały cyrk. Nie jestem religijny, więc nie mogę zwrócić się do żadnego bóstwa, nie do końca wierzę nawet w przeznaczenie, ale ostatecznie mam chyba zaufanie tylko do ludzkości jako gatunku. Zniesiemy to, tak jak znieśliśmy wszystko inne, i zbudujemy coś pięknego. Historia jest po naszej stronie.

- Nie do końca. Nie rozumiesz? Ta technologia da nam szansę na wielkie zmiany, dokonywane nie raz, lecz bez przerwy. Już wkrótce przestaniemy być tym samym gatunkiem, w którym pokładasz tyle nadziei.

- Nie mówię tu tylko o ludzkiej historii. Weźmy choćby historię Imperium Pierścienia. Znali tę technologię, a zobacz, co osiągnęli. Piękno ich kultury powinno nas inspirować. Tyle różnorodności pod jednym dachem. To wspaniała wizja pokazująca nam, co możemy osiągnąć. Najwspanialsze możliwe społeczeństwo, zamieszkujące ćwierć galaktyki, trwające przez ponad milion lat!

- I gdzie są teraz? - spytała Denise łamiącym się głosem.

- Wszędzie wokół. Przecież to smoki. Najlepszy przykład umiejętności przetrwania. Od wieków żyły w harmonii ze swym środowiskiem - kosmosem wokół czerwonych olbrzymów, tak jak my wżyjemy się we własną planetę. Może któregoś dnia zostawimy nawet to i dołączymy do nich. Może nawet będziemy na tyle mądrzy, by wyciągnąć wnioski i zrozumieć, że życie nie może przebiegać statycznie.

- Jesteś marzycielem, Lawrence. Nie obchodzą cię praktyczne przeszkody. Pamiętaj, że ściga nas Roderick, który wypaczy twoje ideały i zmieni je w coś nikczemnego.

- Może właśnie tak chce los. Być może Roderickowi uda się zniewolić połowę ludzkości. Nigdy nie zdoła złapać wszystkich. I nie złapie ciebie, prawda? Ty i twój pakiet genetyczny będziecie wolni i polecicie wybudować nowy świat, gdzieś daleko, po drugiej stronie galaktyki.

Spojrzała na niego zaskoczona, jakby to on był prawdziwym obcym.

- I w ogóle nie przeraża cię ta perspektywa?

- Owszem, trochę niepokoi mój tradycyjny zmysł moralności. Ale z drugiej strony, kim jesteśmy, by oceniać, co wyjdzie z takiej ewolucji? Dlaczego od razu zakładamy, że efekty będą złe? Można poczekać i zobaczyć je na własne oczy, zamiast kierować się uprzedzeniami. Roderick uważa przecież, że postępuje słusznie. A nawet jeśli stworzy jakieś potworne zło, to i tak nie przetrwa długo. Koło ewolucji znów się obróci.

- Mnie to przeszkadza. Póki będzie istnieć, sprowadzi na ludzi niepotrzebne cierpienia.

- Ty to nazywasz cierpieniem. Mówiłem ci już, że byłem na Santa Chico. Kobieta, którą tam spotkałem, współczuła mi, że żyję dłużej niż trzydzieści lat. Jej zdaniem było to niewyobrażalne cierpienie. Myślisz, że miała rację?

- Nie możemy pozwolić, by Roderick zdobył smoczą technologię.

- Ty nie możesz. Och, spokojnie, jak przyjdzie co do czego, pomogę obsadzić działa i unieruchomić *Norvelle*. Ale wynik tego starcia jest mi zupełnie obojętny. Spędziłem ostatnich dwadzieścia lat, walcząc dla kogoś innego, z powodów, których nie rozumiałem. A dla rasy ludzkiej nie miało to żadnego znaczenia. Jednostki nie mają wpływu na bieg historii, choć lubimy myśleć, że jest inaczej.

- Bo tym razem jest inaczej.

- Twoim zdaniem tak, jego zdaniem pewnie też, ale mnie naprawdę wszystko jedno. Stoczyłem jedyną bitwę, która się dla mnie liczyła, i wygrałem, bo teraz jestem tu, na statku. I podążam w jedyne miejsce, gdzie chciałbym się znaleźć. Do domu.

Dwa tygodnie przed końcem podróży Lawrence zaczął oglądać wahadłowce. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli smoki przygarną swoje zaginione, kalekie dziecko, trzeba będzie wyjąć obcego z ładowni xianti i dostarczyć na miejsce. A zatem wszedł do maleńkiej kabiny i zaczął przeglądać procedury. Prime i smok prawdopodobnie były w stanie poradzić sobie z krótkim lotem, ale obecność ludzkiego pilota w nieznanym i wrogim środowisku prawdopodobnie mogła okazać się przydatna. Wyczyścił i ponownie napełnił zbiornik hipergolu. Naładował ogniwa do pełna. Przetestował sprawność manipulatorów. Gdy wszystko zostało podłączone, wykonał kilka symulacji, by oswoić się ze specyfiką

manewrowania kosmolotu.

- Chyba lepiej już nie będzie - powiedział trzeciego dnia. Oboje mieli zaliczone już po osiem godzin symulowanego lotu. - W końcu chyba nie spodziewamy się wielkich zagrożeń?

- Bliskość fotosfery trochę zdezorientuje systemy kontroli termicznej - odparł smok. - Ale na krótki lot powinny wystarczyć.

- Cieszysz się na to spotkanie?

- Nie jestem pewien, czy znam jakieś stany emocjonalne, które odpowiadałyby waszym.

Lawrence wpatrywał się w panele, podczas gdy Prime metodycznie włączał urządzenia.

- Masz w ogóle jakieś stany emocjonalne?

- Czynniki zewnętrzne nie wpływają na moje procesy myślowe, więc trudno mi to ocenić. Z całą pewnością nie doznaję tak ekstremalnych odczuć jak wy.

- To stary argument, jeszcze z czasów testu Turinga: wiedza i doświadczenie to zupełnie różne rzeczy. Potrafisz odczuwać gniew czy tylko go naśladować?

- Gniew w moim przypadku nie miałby żadnego zastosowania. W przypadku człowieka taka reakcja odzwierciedla wiele zmian biochemicznych w jego metabolizmie. W obliczu zagrożenia strach i gniew zwiększają refleks i, do pewnego stopnia, również siłę. Potrafią także wyeliminować wyższe procesy myślowe, redukując was do postaci zwierząt działających instynktownie. Dla waszych przaprzodków musiała to być przydatna cecha ewolucyjna. Jednak biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie nigdy nie będę musiał biec poprzez sawannę, uciekając przed tygrysem szablozębnym, uznaję, że prawdopodobnie nie potrzebuję strachu ani złości.

- A inne potrzeby?

- Ustalam priorytety. W razie zagrożenia przeznaczam część mocy obliczeniowej na wyeliminowanie zagrożenia. Im większe zagrożenie, tym więcej mocy muszę na to przeznaczyć.

- Cóż, to odpowiedź na jedno pytanie. Musisz być samoświadomą jednostką. Instynkt samozachowawczy to jedna z podstawowych cech życia.

- Mieszkańcy Arnoon mają wielki szacunek dla życia. Nauczyli mnie tego, jak bardzo jest cenne.

- A zatem ta skala priorytetów nie była odziedziczona?

- Znow muszę podkreślić, że te koncepcje są pochodną dziedzictwa kulturowego. Niewiele mam informacji na temat swojego własnego pochodzenia. Jednak wiedza na temat

Imperium Pierścienia i kolejnych cywilizacji smoków wydaje się wysoce kompatybilna z ogólnym ludzkim etosem.

Lawrence pstryknął kilka przełączników, ręcznie zatrzymując procedurę wyłączenia.

- A co będzie, jeśli nie masz racji?

- Racja także jest zależna od perspektywy kulturowej. Jednakże byłbym bardzo zainteresowany dostępem do wiedzy, którą wcześniej utraciłem. Gdy ją odzyskam, będę musiał dokonać oceny swojej ewolucji mentalnej.

- Myślisz, że potrafiłbyś tego dokonać? Ludzie z dużym trudem zmieniają poglądy. I bardzo rzadko zdarza nam się spojrzeć na coś z nowej perspektywy.

- Moje myśli biegną podobnie do waszych, ale procesy przetwarzania tych myśli już nie. Zdolność zmiany to podstawa mojej istoty, nawet w tym ograniczonym stanie. Nie wiem, co znajdziemy na Aldebaranie, ale wierzę, że zdołam się do tego dostosować.

- Też mam taką nadzieję.

- Dziękuję.

Lawrence patrzył, jak ostatnie schematy znikają z paneli. Wahadłowiec był teraz w stanie pełnej gotowości. Rozpiął pasy i zaczął podążać w stronę włazu.

- Myślisz, że smoki z Aldebarana przekażą Simonowi Roderickowi technologię sekwencera wzorcowego?

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby postąpić inaczej. Wymiana informacji leży w naszej naturze. Ale wiem, że martwi to Denise.

- Mnie też, chociaż w innym stopniu.

- Dlaczego?

- No cóż. Po pierwsze, dobrze wiem, dokąd zmierzam, i mam świadomość, że wynik starcia na Aldebaranie nie będzie mnie dotyczył tak bardzo jak Denise. Dzięki temu zyskuję pewien stopień obiektywności, niedostępny dla niej. Poza tym ona już dokonała wyboru i uznała ludzką rasę za ułomną. Ten pakiet genetyczny, który ze sobą zabrała, to kwintesencja filozofii ucieczki - byle dalej, byle tylko zostawić wszystkie problemy za sobą. Ironia losu polega na tym, że ona zarzuca mi dokładnie to samo.

- Denise realizuje niezwykle szlachetny cel.

- Oczywiście. Z pomocą tych próbek DNA może zrekonstruować Arnoon i tym razem nie będzie miała na głowie reszty Thallspring. Ale wszystko zależy od tego, czy smoki jej pomogą i czy przekażą jej te informacje, które tak bardzo chciałyby ocalić przed Roderickiem i resztą Ziemi. Nie ufa nam.

- Dlaczego miałyby to robić? Przecież was nie zna. Ziemia i jej kolonie są dla niej

równie obce jak smoki.

- Kiedyś sam byłem taki. Nie dawałem nikomu drugiej szansy. Teraz myślę sobie, że to dlatego miałem takie smutne życie.

- A zatem uważasz, że smoki powinny podzielić się z ludźmi technologią wzorcową?

- Tak uważam. Denise twierdzi, że ludzie nie będą potrafili się obchodzić z czymś, czego sami nie stworzyli, że będą nadużywać możliwości sekwencera. Ale w sumie co to za różnica, czy sami wymyśliliśmy każdy detal, czy nie? Moim zdaniem to bez znaczenia.

- Czemu tak uważasz?

- A jakie to ma uzasadnienie poza zwykłą dumą? Znamy ogólne zasady działania różnych technologii. Jeśli nie rozumiemy mechanizmów tej konkretnej, to trzeba to nadrobić. Gdy już zostanie wyjaśniona i rozłożona na podstawowe równania, nic się przed nami nie ukryje. Ale to tylko czysta technika. Z punktu widzenia etyki można to przedstawić tak: gdy Amerykanie wysłali pierwszego człowieka na księżyc, w Afryce, południowej Ameryce i Azji żyli jeszcze ludzie, którzy nigdy nie widzieli żarówki ani nie znali antybiotyków. Ba, niektórzy Amerykanie nie mieli w domu bieżącej wody ani ubikacji. Czy to znaczy, że nie powinni uzyskać dostępu do elektryczności albo nowoczesnej medycyny, bo nie wynaleźli ich sami? Może nie wymyśliła tego ich gmina, ale bez wątplenia była to część ludzkiej wiedzy. Nie mamy pojęcia, jak zbudować zeropróżniowy napęd wykorzystywany przez Wędrowców w ich statkach międzygalaktycznych, ale ta wiedza mimo wszystko istnieje, została opracowana przez istoty rozumne. Dlaczego nie mielibyśmy z niej skorzystać? Bo to droga na skróty. Bo nie musimy teraz poświęcać całych stuleci na opracowanie tych rozwiązań samemu? W jaki sposób wykorzystanie cudzych pomysłów może nam uwłaczać? Wiedzę należy cenić, nie ograniczać.

- Byłbyś znakomitym smokiem, Lawrence.

Tydzień przed dotarciem do celu zaczęli opracowywać taktykę. Prime śledził *Norvelle*, odkąd weszła w nadświatłą, dwadzieścia pięć minut po *Koribu*. Jej śladem podążał drugi statek, prawdopodobnie wiozący drugiego Rodericka, opóźniony o czterdzieści minut w stosunku do pierwszego.

- Jest bardzo uparty - stwierdziła Denise przy śniadaniu. Oboje byli w stanie śledzić dane z monitoringu statków - Prime przekazywał im je wraz z zestawem innych odczytów.

- To już wiemy. Teraz trzeba odgadnąć, co zrobi po wyjściu z nadświatłej.

- Z początku pewnie niewiele. Będzie musiał się rozejrzeć i sprawdzić, co tam jest. Podobnie jak my. To daje nam wąskie okno.

- Na co?



- Zaminowanie punktu wyjścia. Jeśli miny namierzą *Norvelle* i wybuchną tuż po wyjściu z nadświetlnej, on nawet nie zauważy, co go trafiło.

- „Oni”, jasne? Oni nie zauważą. Na pokładzie tego statku jest ponad trzysta osób załogi. Nie zamierzam ich mordować tylko dlatego, że ty nie tolerujesz wyznawców innych ideologii. To będzie kontakt pierwszego stopnia, a jeśli rozegrasz to w ten sposób, to bardzo pięknie przedstawimy się smokom, wysadzając statek swoich współpracowników. Może im się też nie spodobać, że rozrzucamy ładunki nuklearne po ich kawałku kosmosu. Opuść ten pomysł. I nie zapominaj, że kapitan Manet ma znacznie więcej doświadczenia w walkach kosmicznych niż my. Zna słabe punkty *Norvelle* i będzie miał się na baczności. Może wyjść z nadświetlnej gdzie indziej, niż się spodziewamy. Może odpalić salwę defensywną podczas wyjścia. Nie możemy sobie pozwolić na otwarte starcie.

- Nie możemy też paść na plecy i poddać się bez walki. Jesteśmy już prawie na miejscu!

- Tak, na miejscu. Przyleciałaś tu, by zwrócić smoka jego własnemu ludowi. Nie trać tego celu z oczu. Niech Roderickowie rozstrzygną to między sobą.

- Sprzedałbyś duszę za bilet do domu, co?

- Tak, ale zostawiłem ją w domu.

Przez dłuższy czas mierzyli się spojrzeniem.

- No dobrze - powiedziała w końcu Denise. - Jak proponujesz to rozegrać?

- Porozmawiać ze smokami. Wyjaśnić im, że nasza cywilizacja bardzo gwałtownie reaguje na tego rodzaju zmiany, i poprosić, by wzięły to pod uwagę. Potem będą musiały tylko odczekać trzy godziny i przekazać tę informację innym statkom.

- A jeśli Roderick każe *Norvelle* strzelać?

- To będziemy się bronić. Ale podejrzewam, że do tego nie dojdzie. Jesteśmy w rodzinnym układzie smoków i mamy na pokładzie jednego z nich. Moim zdaniem nie będą ryzykować.

- Niech będzie, ale zamierzam trzymać broń w pogotowiu. Jeśli ten gnojek spróbuje jakichś sztuczek, nie zawaham się jej użyć!

- Wiem. Ale nie zapominajmy, co się stanie po wyjściu. Tak czy inaczej, ludzka rasa zmieni się nieodwracalnie. Chciałbym, żeby tym razem nowy początek nie został zbudowany na rozlewie krwi.

\*\*\*

Ostatniego dnia w tunelu czasoprzestrzennym Denise obudziła się bardzo wcześnie. Nie czuła się tak nakręcona od dnia, gdy flota Z-B wylądowała na Thallspring. Dziś miało się

stać to, czemu poświęciła niemal całe życie, ale wydarzenia rozwinęły się zupełnie inaczej, niż oczekiwała. Tyle czasu poświęciła na planowanie, jak przetransportować smoka na miejsce. Wszelkie problemy powinny zostać wyeliminowane jeszcze na Thallspring, dając jej wolną drogę.

Wciąż miała ochotę rozrzucić miny po wyjściu z tunelu, ale wiedziała, że Lawrence - niech go szlag - jednak ma rację. Mordowanie ludzi bez ostrzeżenia... było zaprzeczeniem jej wymarzonego, nowego startu.

Jej zdaniem stanowił on wspaniałą kodę dla całego projektu powrotu smoka do domu. Kolejna ludzka kolonia, gdzieś w odległym krańcu galaktyki, dysponująca technologią wzorcową, dzięki której mogła przetrwać. Zamierzała wychować swoje dzieci w miejscu pozbawionym szkodliwych ludzkich przesądów na temat konkurencji. Gdzieś na odległej gwiazdzie, gdzie nie byłoby żadnego zagrożenia kontaminacją kulturową z Ziemi albo jej kolonii, starych czy też nowych. Tak na wszelki wypadek. Na wypadek gdyby reszta ludzkości wymazała się z historii. Na wypadek gdyby mieszkańcy Thallspring nie zaakceptowali tego daru pokojowo, lecz obrócili go na zły użytek. Na wypadek gdyby Ziemia zdobyła smoczą wiedzę i postanowiła jej nadużyć. A ta ostatnia obawa miała się ziścić lada chwila.

Cała koncepcja Nowego Arnoon zależała od woli smoków. Denise naprawdę potrzebowała ich technologii wzorcowej. Schematu ich napędów kosmicznych. Informacji o gwiazdach i nadających się do zamieszkania planetach rozsianych po galaktyce. Spodziewała się, że spędzi na Aldebaranie kilka miesięcy, a może nawet lat, pomagając smokowi z Arnoon dorastać i osiągać swą dojrzałą postać. A teraz okazało się, że ma na to zaledwie półtorej godziny.

Tak, rozrzucenie min było bardzo kuszące.

W końcu wzięła prysznic i przebrała się w czyste ubrania - bluzę i spodnie mundurowe Z-B, wcześniej należące do jakiegoś drobnego załoganta. Z podwiniętymi rękawami i nogawkami weszła poprzez mostek do saloniku oficerskiego, którego używali z Lawrence'em jako stołówki. Zobaczyła, że jej towarzysz znów buszował w nocy po kuchni. Jak zwykle, na stole stało kilka plastikowych kubków, a wokół nich widniały obrączki kiepskiej herbaty. Na talerzu i na blacie walały się pączki i resztki pączków - zwykle zjadał tylko te kawałki z dżemem. Karta medialna ukazywała końcówkę jakiejś sztuki - aktorzy zamarli w ukłonach.

Podróż trochę przypominała jej czas, gdy mieszkała w bungalowie z Josepem i Raymondem. Kazała Prime'owi uprzątnąć ten bałagan, a sama zaczęła przeglądać paczki z

jedzeniem.

Lawrence nadszedł dopiero po dłuższej chwili. Włosy miał jeszcze mokre, pewnie wyszedł spod prysznic.

- Nie mogłem spać - wyznał.

- Ja też - odparła Denise, podsuwając mu talerz. - Kanapki z jajecznicą i wędzonym łososiem.

- Dzięki - ucieszył się i zaczął jeść ze smakiem. Denise usiadła naprzeciwko, popijając z kubka herbatę.

- Masz jakiś genialny pomysł, jak uniknąć tej konfrontacji?

- Chyba nie. Przykro mi.

- Ja też nie.

- Wszystko sprowadza się do smoków. Tak naprawdę nic o nich nie wiemy. Przeglądałem wspomnienia naszego smoka dotyczące dawnych smoczycy cywilizacji. Wcale nie ma ich tak dużo. Są ograniczone do bardzo ogólnych ujęć i do tego nielicznych. Wygląda na to, że smoki pasywnie zasysają informację i wyfiltrowują z niej użyteczne fragmenty, które potem przekazują swoim potomkom. To sugeruje, że są raczej życzliwe.

- Mam nadzieję. - Denise patrzyła, jak Lawrence pałaszuje swoją porcję. - W ogóle się nie denerwujesz?

- A po co? To nic nie pomoże.

- W Memu Bay nigdy się nie denerwowałam.

- Bo wiedziałaś, co robisz. Miałaś nad wszystkim kontrolę. Witamy po drugiej stronie barykady.

- Naprawdę uważasz, że są życzliwe?

- Tak. Ale to wcale nie musi oznaczać, że są po naszej stronie. Jeśli poprosimy o pomoc przeciwko naszym współplemieńcom, automatycznie wplączemy je w ludzkie sprawy i politykę. Musimy to dobrze uargumentować.

- Skąd bierzesz całą tę filozofię? Jesteś jakimś głęboko zakonspirowanym ksenopsychologiem?

Mężczyzna dopił sok pomarańczowy i wyszczerzył zęby w szerokim, irytującym uśmiechu.

- Przypomnij mi, żebym ci kiedyś opowiedział, jak zmarnowałem swoje młode lata. Nie da się spędzić trzech lat na podróżach z *Utemą* i nie nauczyć się czegoś o psychologii obcych.

Po śniadaniu weszli na mostek. Prime przez dwie godziny przygotowywał napęd

jądrowy, by był gotowy do zapłonu tuż po wyjściu z tunelu. Ekrany konsoli włączyły się, gdy Lawrence i Denise dali priorytet na obraz z sensorów zewnętrznych.

- Widzisz to wszystko? - spytał Lawrence, zwracając się do smoka. Podczas podróży zwiększyli łącze z xianti o kilkaset światłowodów, łącząc kosmolot prosto z siecią *Koribu*.

- Tak, dziękuję - odparł smok.

- Trzydzieści sekund - oznajmiła Denise.

Lawrence patrzył na wyświetlacze, w miarę jak inwertor energii zwalniał pracę. Połowa obrazów z kamer zamiast mętnej pustki widocznej wewnątrz tunelu czasoprzestrzennego ukazywała teraz matowy karminowy blask. Druga połowa ukazywała gwiazdy lśniące w normalnej przestrzeni. Radar nie namierzył żadnych stałych obiektów w promieniu pięciuset kilometrów. Prime uruchomił kolejne sensory. Lawrence odbierał te obrazy za pomocą membran optronicznych; program ukazywał mu wszystko z perspektywy końca przedziału kompresyjnego.

*Koribu* wynurzył się z tunelu czterdzieści kilometrów ponad zamgloną fotosferą Aldebarana. Lawrence miał wrażenie, że statek szybuje ponad oceanem świetlistej czerwonej mgły. Horyzont znajdował się tak daleko, że wydawał się unosić ponad nimi. Nie było wyraźnych zakrzywień. Gwiazdy i czas stanowiły dwuwymiarowe absoluty.

Poprzez ten obraz przesunęły się błękitne symbole, z których większość dotyczyła profilu termicznego *Koribu*. Promieniowanie podczerwone bijące z gwiazdy przenikało kadłub statku. Prime uruchomił silniki pomocnicze, rozpoczynając długą powolną beczkę, by rozprzewadzić ciepło jednolicie po całej strukturze.

- Wymienniki ciepła na razie dają radę - stwierdziła Denise - ale jest cieplej, niż się spodziewaliśmy. Niewykluczone, że za jakiś czas będziemy musieli wejść na wyższą orbitę.

- Promieniowanie radioaktywne też jest silne. Duża gęstość wiatru słonecznego, duża aktywność cząsteczek. To nas uszkodzi szybciej niż temperatura.

Gdy zmienił perspektywę, by spojrzeć wzdłuż kadłuba, zobaczył blade fioletowe światelko migoczące i rzucające refleksy na folii izolacyjnej. Fosforyzujący ognik pełgał najjaśniej, prześlizgując się po metalowych częściach.

- Hej, chyba mamy tu jakąś lokalną wersję ogni świętego Elma!

- Mam nadzieję, że nasza izolacja to wytrzyma.

- Ja też. Okej, radar dalekiego zasięgu jest już włączony.

- Sześć anten wysunęło się z osłonek pośrodku przedziału ładowni. Miały postać płaskich szarych prostokątów o długości dwudziestu metrów. Zwróciły się równolegle do kadłuba i zaczęły metodycznie przeszukiwać chaos otaczający *Koribu*.

Prime wyświetlił ich znaleziska w formie wizualnej. Czterdzieści trzy kilometry dalej pojawił się jakiś stały punkt, krążący po orbicie o dwa tysiące kilometrów niższej niż *Koribu*. Pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od statku wykryto następny. Radar zmienił ostrość, by ukazać pierwszy obiekt w większej rozdzielczości. Miał z grubsza okrągły kształt, jakieś dwadzieścia kilometrów średnicy i ząbkowane krawędzie; pośrodku zdawał się znacznie grubszy niż na brzegach.

- Bardziej przypomina kwiat niż smoka - mruknął Lawrence.

Radar wykrył kolejne siedem punktów, z których ostatni znajdował się w odległości stu piętnastu tysięcy kilometrów. Wszystkie miały identyczny kształt.

- Czy to smoki? - spytała Denise, praktycznie bez tchu.

- Tak sądzę - odpowiedział smok.

- Są ich chyba tysiące!

- Miliony - poprawił Lawrence. Sama ta świadomość była niezwykle elektryzująca. Do tej pory nie wiedzieli nawet, że smoki istnieją. Zakładali, że grawitacja Aldebarana mogła przyciągnąć jaja, gdy gwiazda była jeszcze jasna i młoda, a rozszerzając się stopniowo, pomogła im się wykluc. Teraz mieli przed oczyma prawdziwy dowód. Ludzie nie byli we wszechświecie sami, a Imperium Pierścienia naprawdę istniało, gdy galaktyka była młodsza.

Wszystkie jego młodzieńcze marzenia zyskały uzasadnienie.

„TERAZ mogę wracać do domu”.

Główny teleskop *Koribu* obracał się, by wycelować w pierwszego smoka. Na tle jednolitego czerwonego blasku przypominał prosty czarny punkcik. Talerz komunikacyjny wykrył emisję sygnałów o niskiej częstotliwości na kilku pasmach elektromagnetycznych.

- Gotów? - spytała Denise. Jej głos zabrzmiał, jakby chciała dodać otuchy małemu dziecku.

- Tak - odparł smok.

- To przywitaj się z nimi.

Smok z Arnoon przesłał sygnał, po czym zaczął go powtarzać w interwałach półsekundowych. Była to prosta sekwencja symboli matematycznych przechowywanych w jego pamięci.

Smok z Aldebarana odpowiedział dłuższym sygnałem, z którego nie dało się wiele zrozumieć. Lawrence i Denise wrzasnęły tryumfalnie, klaszcząc z radości. Wiedzeni impulsem, uściskali się i szybko pocałowali, po czym znów obserwowali wymianę komunikatów.

Smok z Arnoon zaczął przysyłać przygotowane przez nich informacje. Słownik

własnego języka - na tyle, na ile go znał - wraz z odpowiednikami w języku angielskim pobranymi z puli danych. Potem wysłał obszerniejszy słownik angielskiego z powiązаныmi hasłami, tak by znaczenia i idee złożyły się w spójną całość. Jego śladem podążyły wytyczne dotyczące składni i protokołów komunikacyjnych. W końcu załączył krótki, encyklopedyczny plik dotyczący ludzi.

W ciągu trzech sekund po odebraniu ostatniego sygnału, smok z Aldebarana odpowiedział:

- Witajcie na naszej gwiazdzie. Zawsze miło jest przyjąć nowe informacje.

Lawrence uśmiechnął się pod nosem.

- Test Turinga - szepnął. - Nawet jeśli nie jest zadowolony, to rozumie jego zasadę. Próbuje być grzeczny.

Denise skinęła głową i wzięła głęboki oddech.

- Dziękuję. Bardzo się cieszymy, że mogliśmy tu przybyć. Nazywam się Denise Eburn. Czy masz jakąś nazwę?

- Jestem Pierwszy.

Spojrzała na Lawrence'a zaskoczona.

- Czy ten tytuł ma jakieś znaczenie?

- Jestem pierwszym smokiem, z jakim nawiązaliście kontakt.

- Ach, rozumiem. - Denise poczerwieniała lekko, a Lawrence uśmiechnął się złośliwie. - Pierwszy, mamy ze sobą członka waszego ludu. Jest ranny.

Sensory *Koribu* wykryły nagle istny grad sygnałów przypominających radarowe. Całe magnetyczne otoczenie statku uległo zmianie, oscylując gwałtownie. Skaner neutron wykrył emisję cząstek wykraczającą poza skalę.

- W jakiej postaci znajduje się ten osobnik? - spytał Pierwszy.

- Powiedz im - Denise zwróciła się do smoka z Arnoon. Istota zaczęła transmitować streszczenie swojej historii.

- Rozumiem - stwierdził w końcu Pierwszy. - Przynieśliście ten szczątek do nas, sądząc, że nam na nim zależy. Dziękuję wam za troskę. Obawiam się jednak, że wasza podróż była daremna.

- Co masz na myśli?

- Ten fragment zupełnie nas nie interesuje.

Denise nie wierzyła w to, co słyszy. Najwyraźniej tłumaczenie zawiodło.

- Chcesz powiedzieć, że nie możecie go naprawić?

- Nie. Nie jesteśmy zainteresowani naprawieniem ani zreformowaniem tego

fragmentu. Czy wiecie, czym on jest?

- Wiemy. To jedno z waszych jaj.

- To prawda. I jako takie jest zupełnie bez znaczenia. Co roku uwalniamy miliony jaj. Tylko drobny ułamek z nich zostaje ściągnięty przez pola grawitacyjne gwiazd. Pozostałe przepadają albo rozbijają się po drodze, tak jak ten tutaj. Niektóre są przechwytywane przez gatunki biologiczne, takie jak wasz, i wykorzystywane jako źródło informacji. Nie zajmujemy się nimi. Jeśli mogę posłużyć się pewną analogią: są dla nas równie bezwartościowe jak dla was pojedyncza komórka spermy.

- Ale... on teraz żyje. Myśli. To świadoma, rozumna istota.

- Dopiero teraz. Przedtem był to tylko z wolna rozkładający się fragment. Dopiero wy zaszczepiliście mu samoświadomość.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy byli tego robić?

- Nie. Każde z naszych jaj jest zdane na łaskę przypadku. Tylko mały ułamek całości ma szansę uformować własną cywilizację, taką jak ta. Pozostałe przyczyniają się do rozbudowania galaktycznej bazy wiedzy przy pomocy innych, bardziej zróżnicowanych metod. Fragment, który znaleźliście i wzbogaciliście, przyczynił się do poszerzenia waszej wiedzy o wszechświecie, a także naszej wiedzy o was. Pod tym względem jest to sukces.

- Wiedzieliście o nas już wcześniej?

- Zaledwie sześćdziesiąt pięć lat świetlnych dzieli nas od waszego świata - odparł Pierwszy. - Odbieramy wasze transmisje radiowe już od wieków.

Lawrence przewrócił z niesmakiem oczami.

- Świetnie.

- Może rzeczywiście ten fragment jest dla was nieistotny - spróbowała znowu Denise.

- Ale dla nas jest bardzo cenny. Czy moglibyście go naprawić?

- To pytanie nie ma sensu. Ten fragment nigdy nie mógłby się stać jednym z nas. Jego fizyczna postać jest bardzo fragmentaryczna, ale to nie wszystko. Jego pamięć także jest ograniczona. Połączenie tych dwóch elementów czyni nas tym, czym jesteśmy. Nie mamy kodu genetycznego. To przechowywane informacje pozwalają nam ewoluować i dostosowywać się do różnych warunków. By tego dokonać, potrzebujemy kompletnego zestawu wspomnień. Proszę mnie teraz, bym wziął komplet wspomnień i zintegrował ten fragment z powrotem do postaci jaja. W takim przypadku stanie się jajem, niczym więcej. Zostanie wysłany w kosmos. Jeśli wolisz, mogę rozłożyć ten fragment i wykorzystać jego molekuły do budowy nowego jaja.

- Nie! - zaprotestowała Denise. - Nie ma żadnego sposobu, by ta istota dorosła i stała

się taka jak wy?

- Musiałyby porzucić swoją obecną postać.

Kobieta pochylała się coraz niżej. Była bliska łez. Cała wioska zaryzykowała tak wiele, by zaprowadzić smoka do domu. Ludzie ginęli, by osiągnąć ten cel. Teraz cała ich wielka misja okazała się z gruntu ludzkim, sentymentalnym głupstwem; zachowali się jak dzieci rozczulające się nad kulawym szczeniakiem.

Dziwny dźwięk przerwał jej rozmyślania. Lawrence zanosił się śmiechem.

- Co?! - warknęła ze złością.

- Urażona duma zawsze boli, zwłaszcza takich idealistów. Macie te swoje przekonania i uważacie, że wszyscy tkwią w błędzie, zwykle nawet nie zezwalacie im na inne opinie. A teraz musisz się pogodzić z faktem, że sama popełniłaś błąd. Zgrzeszyłaś antropomorfizmem.

- Nieprawda! Nasz smok to istota rozumna, która zasługuje na szacunek. Nieważne, skąd się wziął, liczy się to, jaki jest. Przynosząc go tutaj, postąpiliśmy słusznie. Jego wyjątkowość sprawia, że tym bardziej na to zasługiwał. Gdybym mogła wybierać, zrobiłabym jeszcze raz to samo. Ta istota zasługuje na drugą szansę, ma prawo do życia.

- Ludzkie prawo?

- Tak jest! - warknęła. - Uniwersalne prawo. Uratowaliśmy smoka z nieistnienia, a teraz musimy go zwrócić. Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. Wiem, że mam rację, a ty możesz iść do diabła!

- Dobry Losie, ależ jesteś uparta. - Lawrence aktywował łącze komunikacyjne. - Powiedz mi, Pierwszy, czy dzielicie się wiedzą z innymi gatunkami?

Jego ton zabrzmiał tak ostro, że Denise obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Mężczyzna odpowiedział swym irytującym uśmiechem.

- Tak - odpowiedział smok.

- Każdą wiedzą?

- Tak. Na tym polega nasza egzystencja.

- A zatem nie mielibyście nic przeciwko temu, byśmy użyli sekwencera wzorcowego i rozbudowali naszego smoka w sposób, jaki uważamy za stosowny?

- Nie.

Denise uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nie tego chciała, ale przynajmniej teraz mieli szansę, by pomóc smokowi stać się czymś więcej niż tylko bezwładną masą.

- Nie martwi was, że inne gatunki mogą nadużyć takiej wiedzy? - ciągnął Lawrence. - Na przykład wykorzystać ją do budowy broni?

- Jeśli potraficie zinterpretować i zrozumieć te dane, to prawdopodobnie dysponujecie



możliwościami wybudowania broni o podobnym lub zbliżonym działaniu. Broń nie jest problemem natury technicznej. Jej źródłem jest natura danego gatunku.

- Innymi słowy, sami odpowiadamy za siebie.

- Oczywiście - przytaknął Pierwszy.

- Czy możemy poprosić o pewną pomoc w tej dziedzinie?

- W jakim sensie?

- Niedługo zjawią się tu inni przedstawiciele naszego gatunku. Nie przekazujcie im swojej wiedzy.

- Wiedza jest uniwersalna. Nikomu nie można jej odmawiać.

- Nie chcę, żebyście jej odmawiali. Ale zatrzymajcie ją dla siebie, przynajmniej przez jakiś czas. Wasza wiedza może okazać się bardzo groźna dla naszego gatunku, jeśli nie stanie się powszechna. Jeden z członków naszego ludu pragnie ustanowić monopol i eksploatować waszą technologię, by narzucać innym swoje idee. Nie uważacie, że postępuje źle?

- W tym kontekście, tak. Ale skąd mamy wiedzieć, że to właśnie ci, którzy was ścigają, pragną zdominować swoich pobratymców? Może to właśnie wy dążycie do takiego celu?

Lawrence wzruszył niezręcznie ramionami.

- No niech to cholera, uruchomiła mu się paranoja. Masz jakiś pomysł?

- Nasz smok może zaświadczyć o prawdziwości naszych intencji - podsunęła Denise.

- Jestem gotów to zrobić - potwierdził smok z Arnoon.

- To nieakceptowalne - stwierdził Pierwszy. - Procedury przetwarzania stosowane przez ten fragment są pochodną waszych algorytmów genetycznych. To wasza istota.

Denise zakłęła, wpatrując się w panel, na którym wciąż widać było sylwetkę Pierwszego - małą czarną iskrę na tle podświetlonej mgły.

- I co teraz?

- Zdajmy się na ludzką naturę - zasugerował Lawrence.

- Czy możemy podlecieć trochę bliżej? - spytał Pierwszego.

- Nasz statek nie jest przystosowany do operowania w takich warunkach. W twoim cieniu byłibyśmy bezpieczniejsi.

- Bezpieczniejsi w stosunku do czego?

- Otwartej przestrzeni. Człowiek podążający za nami może zareagować gwałtownie, ale nie zaryzykuje użycia broni, jeśli będziemy blisko ciebie.

- Niech będzie.

- A potem zaczekajmy, aż przybędzie trzeci statek. Wtedy będziecie mogli przekazać

nam te informacje jednocześnie. Osiągnęlibyśmy w ten sposób równowagę, prawda?

- Zaczekam.

\*\*\*

Simon spędził całą podróż w szpitalu polowym. Po pierwszych dwóch tygodniach lekarze rozpoczęli kurację regeneracyjną. Nowy naskórek zaczął porastać głębsze oparzenia. Cały ten proces wydawał mu się niesłychanie męczący - regeneracja najwyraźniej wysysała większość energii z reszty ciała. Na szczęście, pogoń za *Koribu* nie wymagała jego interwencji.

Kapitan Sebastian Manet był zaskoczony kursem obranym przez porywaczy.

- Zmierzają na Aldebarana - oznajmił, gdy tylko załoganci wynieśli nosze Simona z tunelu śluzowego xianti.

AS Simona przewinął dane na temat gwiazdy.

- Czerwony olbrzym? Czy są tam jakieś planety?

- Astronomowie nigdy ich nie odnaleźli - odparł Manet. - Ale nie mamy pewności. Nigdy nie było żadnych misji na Aldebarana. Nikt nie ma takiego budżetu na naukę.

- Ciekawe. A zatem obca cywilizacja istnieje i to żyje znacznie bliżej, niż nam się wydawało. Właściwie leży w kręgu naszych wpływów.

Mars na czole kapitana złagodniał lekko.

- Tylko o to chodzi?

- Tak. Ile czasu zostało nam do odlotu?

- Właśnie chciałem o tym z panem pomówić.

- Ta sprawa nie podlega dyskusji.

- Dotarcie do Aldebarana będzie trwało sto cztery dni. Ledwie starczy nam paliwa na powrót.

- Ale czy jesteśmy w stanie pokonać tę trasę?

- Ledwie-ledwie i to zakładając, że nic się nie wydarzy. Oprócz tego jest jeszcze załoga. Nikt z nich nie spodziewał się dodatkowych dwustu dni lotu... no i nie wiemy też, jak długo pozostaniemy na orbicie Aldebarana.

- Bzdura. Już ja was znam, kosmonauci. Będą zachwyceni samą perspektywą nawiązania pierwszego kontaktu.

- A co z siłami naziemnymi na Thallspring? Kiedy po nich wrócimy?

- Kapitanie, proszę powiedzieć, czy wyda pan rozkaz przejścia w nadświatłą, czy nie?

Sebastian Manet obrzucił nosze nienawistnym spojrzeniem.

- Niech będzie. Startujemy za osiem minut.

W ciągu kolejnych stu dni bardzo rzadko zamieniali ze sobą choćby słowo. Simon przez większość czasu spał - kuracja nadszarpnęła jego siły. Ilekroć był przytomny, przeglądał wszystkie dane na temat obcego z Amoon, mając nadzieję, że znajdzie coś interesującego. Codziennie sprawdzał dane programu monitorującego. *Koribu* uparcie wyprzedzał ich o dwadzieścia sześć minut i trzysta sekund. Zaczął układać własny plan wyjścia z nadświatlnej. Manetowi i jego załodze nie można było ufać, nie miał gwarancji, że nie będą się wtrącać. Osobisty AS Simona przejrzał i potwierdził wszystkie kody dostępu, dając mu pełną władzę nad statkiem.

Dziesięć dni przed wyjściem nakazał lekarzom przerwać kurację regeneracyjną. Musiał odbudować siły.

W dniu wyjścia nadal leżał w szpitalu. Wcześniej odprawił lekarzy i personel medyczny. Leżał w łóżku, zadowolony, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ból istotnie się zmniejszył. Teraz przynajmniej miał fizyczne warunki, by przeprowadzić swój plan. DNI i membrana optroniczna połączyły go z każdym sensorem zewnętrznym. Pochodzące z nich dane były obrabiane przez osobisty AS i przekierowywane na wyświetlacz, ukazując obraz z perspektywy dziobu statku. W tej chwili otaczała go bezkształtna szara mgła, w której z przodu widniał hebanowoczarny węzeł. Poprzez obraz spływały indygowo skrypty.

Simon co chwila zerkał na ten obiekt, od czasu do czasu obserwując także drugi, podążający czterdzieści minut za nim. Wiedział, że SK9 zdołał jakimś cudem dolecieć na orbitę i wsiąść na statek. Mógł mieć tylko jeden cel.

- Już niedługo - ogłosił kapitan Manet. - Wykryliśmy fotosferę.

Za punkcika oznaczającego *Koribu* wypełzła czarna mżawka, tak jakby kosmos kończył się wraz z tunelem kompresyjnym. Potem punkt zaczął się chwiać, rozszerzając się i odzyskując utraconą gęstość. A potem zniknął.

- Wyszli bardzo późno. Zostało tylko czterdzieści milionów kilometrów.

- Musimy wyjść blisko nich - polecił Simon.

- Tak, wiem. Ale zamierzam trochę zmienić kąt wyjścia. Jeśli rzeczywiście są wrodzy, to z pewnością zaminowali obszar.

Przez następne dwadzieścia pięć minut Simon patrzył, jak w jego kierunku zmierza czarna bariera fotosfery gwiazdy, i zastanawiał się, co Newton i jego koledzy porabiają w rzeczywistej przestrzeni. Gdy do wyjścia zostało zaledwie pięć minut, Manet przygotował pociski *Norvelle*. AS statku przygotował napęd jądrowy pod nadzorem załogi. W końcu czarna ściana znalazła się niepokojąco blisko i zaczęła nabierać prędkości, a następnie pękła

promieniście, pokrywając się ognistymi żyłkami. Olbrzymi statek poszybował wysoko ponad rozjarzonym karminowym smogiem, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Kolumny błękitnych cyferek przepłynęły strumieniem wokół Simona, zmieniając się w szaleńczym tempie. W promieniu pięciuset kilometrów nie było żadnych stałych obiektów. Nie dotknęła ich żadna wiązka sensora. Promieniowanie podczerwone zaczęło przenikać kadłub. Silniki chemiczne umocowane na wysokości przedziału ładowni zapłonęły jasno, rozpoczynając beczkę termiczną. Z boków wysunęły się prostokątne anteny.

Simon wykorzystał swój kod autoryzacyjny, by odpalić pociski. Drzwi ciśnieniowe na całej *Norvelle* zatrzasnęły się i zablokowały, odcinając załogę.

- Co pan robi?! - wykrzyknął kapitan Manet.

- To chyba jasne, kapitanie. *Norvelle* to mój statek i zamierzam go użyć do przeprowadzenia swojej misji. - Simon zamknął łącze i zablokował wszystkie wewnętrzne kanały komunikacyjne.

Kapitan Manet stał na mostku, patrząc bezradnie, jak jego DNI nie może uzyskać połączenia z siecią statku. Wyświetlacze pociemniały. Dwóch oficerów mostka załomotało pięściami w drzwi. Nikt ich nie usłyszał.

\*\*\*

- Słodki Losie, odpalili pociski! - wyszeptał Lawrence.

- Ale nie w nas - uspokoiła go Denise.

- A zatem w co? Ach.

- Po prostu je rozrzuć. Podejrzewam, że chcą zaatakować drugi statek.

Lawrence otworzył połączenie z Pierwszym.

- Czy teraz przystaniesz na naszą prośbę?

- Jak dotąd zachowanie tego statku potwierdza informacje o konflikcie pomiędzy wami. Przekazywanie naszej wiedzy zostanie wstrzymane aż do rozwiązania tego starcia.

- Dziękuję. - Mężczyzna zwrócił się do Denise. - Możemy przechwycić te pociski.

- Nie. Jesteśmy za daleko.

- Niech to szlag. Niech Prime skanuje punkt wyjścia. Wykorzystaj nasz talerz komunikacyjny i prześlij ostrzeżenie.

\*\*\*

Siatka celownicza namierzyła fragment przestrzeni odległy od statku o osiemnaście tysięcy kilometrów, radar *Norvelle* wykrył tymczasem szybko przyspieszający obiekt. Simon wyostrzył obraz, przeskakując naprzód. Długa, tęczowa iskra płonęła jasno na tle łagodnego

blasku fotosfery. Poruszała się szybko, zmniejszając wysokość.

- Napęd jądrowy - zgłosił AS statku. - Charakterystyka widma identyczna jak nasza.

Radar potwierdza zgodność wymiarów jednostki. To *Koribu*.

- Dokąd oni lecą?

Z olśniewającego pióropusza wysunęło się kilka linii siatki. Radar dalekiego zasięgu zaczął sięgać za nimi. Szybko znalazł cel statku.

- Stała struktura nieznanego typu - oznajmił AS. - Okrągła, bardzo regularna o średnicy dwudziestu kilometrów.

- Zejdźmy za nimi - polecił Simon.

\*\*\*

Simon Roderick siedział za kapitanem na mostku *Clichane*, czekając na zbliżający się moment wyjścia. Wyświetlacze konsolowe odliczały ostatnie sekundy. Obrazy z kamer zmieniły się w jednolity krzykliwy karmin. Oficerowie pozwolili sobie na krótkie wiwaty. DNI Simona bezpośrednio przekazał mu dane radarowe. Żadnych dużych, stałych obiektów w promieniu pięciuset kilometrów. Zauważył za to kilka małych. Czyjeś wiązki radarowe oświetlały ich kadłub. AS rozpoznał ich charakterystykę jako należącą do typu radarów zamontowanych na *Koribu* i *Norvelle*. Zaczął namierzać oba statki.

- Otrzymaliśmy wiadomość - oznajmił kapitan. - Ktoś krzyczy.

AS wykrzył bardzo potężny sygnał skierowany prosto na nich.

- Punkt wyjścia jest zaminowany! Odpalcie salwę rakietową.

- Czy to *Norvelle*? - upewnił się Simon.

- Nie ma kodu identyfikacyjnego.

Osobisty AS Simona znów sprawdził obraz radarowy.

Małe punkciki poruszały się coraz szybciej, zmierzając prosto w ich kierunku. AS *Clichane* natychmiast odpalił kontrsalwę. Pociski wysunęły się ze swoich komór w okolicy przedziału ładowni. Silniki rakietowe poderwały je naprzód, nadając im przyspieszenie rzędu sześćdziesięciu g. Sensory statku były nieco ogłupione przez wiatr jonowy i promieniowanie radioaktywne bijące z fotosfery; programy zainstalowane w pociskach próbowały to nadrabiać, ale rakiety napastników miały do dyspozycji zakłócacze i emitery sygnałów elektromagnetycznych. Obrońcy odpowiedzieli własnym gradem elektronicznych ciosów.

AS *Clichane* potwierdził, że salwa defensywna nie będzie w stanie trafić precyzyjnie. Rakiety napastników miały przerwać ich osłony. Zarządził separację. Rój pocisków rozwinął się niczym bukiet kwiatów, w miarę jak każda rakietka wyrzucała swe liczne główce. Pociski atakujące zbliżały się coraz bardziej. AS nie miał wyboru.

Olbrzymia korona ognia otoczyła *Clichane*, gdy grad atakujących głowic wybuchł pod wpływem zderzenia. Sferyczne fale uderzeniowe plazmy zderzyły się i stopiły, tworząc piekielną tarczę złożoną z czystej, wrzącej energii. Kolejne wybuchy wyrwały długie, czarne spirale w polu szalejących jonów.

W oku cyklonu znajdowała się *Clichane*, nieustannie atakowana promieniowaniem. Sensory zewnętrzne zostały oślepienie przez promieniowanie rentgenowskie, które wypaliło im obwody. Impulsy elektromagnetyczne powodowały wysokie skoki napięcia w przewodach i metalowych częściach osprzętowania. Temperatura rosła, pianka izolacyjna czerniała w oczach, a potem jej powierzchnia zaczęła się złuszczać dużymi, czarnymi płatami. Huragan cząstek elementarnych obmył podniszczony kadłub. Na mostku i w całym kole mieszkalnym rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Awaryjne zawory ciśnieniowe zaczęły uwalniać deuter ze zbiorników wokół przedziału napędowego, gdy płyn zaczął wrzeć. Panele radiatorów termicznych popękały, wypływając lepka, wrzącą ciecz wprost w huragan neutronów wirujących wokół olbrzymiego statku.

Simon chwycił się konsoli, aby nie stracić równowagi, gdy pokład zatrzęsł się gwałtownie. Głośnie, ostre, metaliczne skrzypienie rozbrzmiewało w całym kole mieszkalnym, a światła zamigotały. Alarm radiacyjny nie milkł ani na chwilę. Schematy na wyświetlaczach pokryły się czerwienią. AS z trudem próbował nadrobić masową awarię instalacji, przekierowując zasilanie, izolując przeciekające zbiorniki i pęknięte rury. Zapasowe rezerwuary termiczne absorbowwały ciepło wsączające się poprzez strukturę kadłuba. Ponad połowa silników raketowych została uszkodzona. AS odpalał pozostałe silniki krótkimi zrywami, próbując przeciwdziałać momentowi skręcającemu spowodowanemu przez większe przecieki.

Gwizd alarmu powoli ucichł. Jeden z oficerów wymiotował gwałtownie. Simon z trudem zmusił się, by puścić konsolę. Serce waliło mu jak młot.

- Nie trafili nas - powiedział z niedowierzaniem kapitan.

- Skąd pan to wie? - spytał prokurent. Nie było żadnych danych z zewnętrznych sensorów.

- Wciąż żyjemy.

Oficerowie zaczęli wykrzykiwać coś gorączkowo do AS, przebiegając palcami po klawiaturze konsol, próbując wyciągnąć użyteczne dane z okrojonej sieci. Sensory zapasowe wysunęły się ze swych osłon. AS znów wykrył dwa źródła wiązek radarowych. Oba przyspieszały.

- Ile czasu upłynie, zanim zdołamy polecieć za nimi? - spytał Simon.

- Dam panu odpowiedź w ciągu jakiegoś tygodnia.

\*\*\*

Teleskop *Koribu* pociemniał w tej samej chwili, gdy głowice nuklearne wybuchły wokół *Clichane*. Programy filtrujące zmieniały ustawienia, w miarę jak siła wybuchów słabła. Zobaczyli statek spowity w wijące się pióropusze dymu. Lśniły i migotały pod wpływem promieniowania, otaczając maszynę mgławicą spadających gwiazd. Przeciek powodował powolne obracanie się kadłuba. Lawrence nie chciał nawet myśleć, ile płynu trzeba by stracić, by poruszyć coś tak masywnego. Potem dostrzegli błysk silników wokół przedziału ładowni - to AS próbował utrzymać wysokość.

Lawrence zorientował się, że przez dłuższą chwilę wstrzymywał oddech.

- A więc żyją - stwierdził.

- Chyba że *Norvelle* znów zaatakuje - zauważyła Denise. - W tym stanie raczej nie będą potrafili się obronić.

- Czy potraficie się obronić przed takim atakiem? - spytał mężczyzna, zwracając się do Pierwszego.

- Nie - odparł smok. - Nie mamy żadnych powodów, by wyposażać się w broń. Nie posiadamy nic prócz wiedzy. I chętnie ją przekazujemy...

- Tak, wiem, żyjecie po to, by się nią dzielić - przerwał Lawrence. - A co się dzieje, gdy inne gatunki zaczynają wam zagrażać?

- Rejestrujemy wszystkie informacje na temat zagrożenia.

- I to wszystko? - upewniła się Denise. - Pamiętacie, jak was zniszczono?

- Istniejemy po to, by zdobywać i przekazywać wiedzę. Wykluwamy się w dowolnej części galaktyki i obserwujemy otoczenie. Gdy słońce ostygnie, nasza egzystencja dobiega końca. Po jakimś czasie przygarnia nas kolejne słońce. Ogólny proces przetwarzania wiedzy będzie kontynuowany, niezależnie od tego, ilu z nas zostanie eksterminowanych. Bardzo niewiele innych gatunków dysponuje bronią zdolną zniszczyć nas wszystkich. Nasze jaja prawdopodobnie zdołały już dotrzeć do innych galaktyk.

- W ogóle nie troszczysz się o to, że możesz zginąć?

- Uczucie troski jest mi zupełnie obce. Wy je znacie, ponieważ jest powiązane z waszym poczuciem indywidualności. Nie mamy świadomości zbiorowej, ale jesteśmy świadomi swojego istnienia jako cywilizacji, która może okazać się wieczna. Wszystkie nasze doświadczenia przyczyniają się do jej dalszego rozwoju. Każda indywidualność ma swój kres. Urodziliśmy się z tą świadomością.

- Osoba dowodząca drugim statkiem może zagrozić, że was zniszczy, jeśli zorientuje

się, jak bardzo jesteście bezbronni.

- W obliczu groźby przekażę mu żadaną wiedzę. Wówczas zagrożenie minie.

- Wcześniej obiecałeś, że odmówicie mu tej wiedzy.

- Tak, przy założeniu, że zagwarantuje to równowagę waszemu gatunkowi.

Twierdziliście, że trzeci statek zamierza dostarczyć naszą wiedzę całej waszej rasie. W obecnej sytuacji to niemożliwe.

- Będziemy musieli zrobić to sami - stwierdziła Denise.

- Polecieć na Ziemię i zdążyć przed *Norvelle*. Niech szlag trafi tego skurwiela Rodericka. Nie tak miało być.

Lawrence uniósł rękę.

- Pierwszy, czy pomożesz nam naprawić uszkodzony statek?

- Tak. Mogę mu udostępnić sekwencer, który zmodyfikuje się, by przeprowadzić niezbędne operacje.

- A zatem jeśli uszkodzimy *Norvelle*, równowaga zostanie przywrócona. Wtedy oba statki będą naprawiane jednocześnie. Żaden nie zyska przewagi nad pozostałym.

- Pomożesz nam stworzyć broń, która mogłaby uszkodzić *Norvelle*? - spytała szybko Denise.

- Nie - odpowiedział Pierwszy. - Ale możecie otrzymać wiedzę niezbędną do jej stworzenia.

- Jak długo to zajmie?

- Z początku musielibyście się nauczyć, jak stosować systemy wzorcowe, a potem zintegrować tę wiedzę w jedną całość, by uformować broń.

- Rozumiem. Jak długo?

- Oboje macie już podstawową znajomość systemów wzorcowych, co działa na waszą korzyść. Według moich szacunków wystarczą wam zaledwie trzy tygodnie.

Denise miała ochotę w coś uderzyć. *Koribu* i *Norvelle* były dla siebie równymi przeciwnikami. Gdyby przypuścili atak, drugi statek odpowiedziałby z taką samą siłą. Potrzebowali czegoś więcej, czegoś, co dałoby im przewagę.

- Ale przecież już macie do dyspozycji pewną broń - zauważył Lawrence.

\*\*\*

Pierwszą rzeczą, jaką potwierdziły odczyty sensorów *Norvelle*, była całkowita stabilność obcego obiektu. Mimo braku jakichkolwiek ruchów obrotowych tajemniczy dysk w jakiś sposób utrzymywał stałe położenie na orbicie w porywach szalejącego wiatru słonecznego, wiejącego nieustannie ze wzburzonej fotosfery. W miarę zbliżania okrągły



kształt rozszczepił się na dwadzieścia muszlowatych sekcji zakrzywiających się łagodnie w stronę powierzchni gwiazdy. Ich brzegi były zaokrąglone i bardzo gładkie; miały grubość kilkudziesięciu metrów. Większość masy skupiła się bliżej środka, w samym centrum otwierała się wąska szczelina.

Simon uznał, że musi to być jakiś port, chociaż nie był przekonany. Nawet jak na siedzibę obcych to miejsce wyglądało bardzo dziwnie.

Ze szczytu każdego płatka wyłoniły się trzy smukłe grzbiety lśniące ostrym szkarłatem, wypromieniowując ciepło w stronę gwiazd, sprawiając, że powierzchnia dysku stawała się chłodniejsza. AS zasugerował, że właśnie w ten sposób konstrukcja obcych generuje moc - wykorzystując różnicę temperatur. Grzbiety musiały być zatem wykonane z jakiegoś nadprzewodnika cieplnego. Simon uznał, że to interesująca technologia, ale mimo wszystko nieporównywalna z nanosystemem wzorcowym.

Silnik jądrowy *Koribu* zgasł, po czym statek zatrzymał się w cieniu obcej konstrukcji, trzy kilometry od powierzchni. Simon czekał, spodziewając się w każdej chwili zobaczyć wahadłowiec techniczny wlatujący do szczeliny.

- Co wy wyprawiacie? - mruknął pod nosem.

Radar dalekiego zasięgu wciąż skanował okolice. AS wykrył jedenaście podobnych obiektów w promieniu stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. Jeśli były to kolonie obcych, to wyglądało na to, że mają do czynienia z naprawdę dużą populacją. W orbicie czerwonego olbrzyma musiało ich być kilka milionów.

- Zdołaliśmy przechwycić jakąś komunikację między tymi konstruktami? - spytał AS.

- W spektrum elektromagnetycznym nie było niczego, ale możliwe, że używają laserów albo maserów. Aby je przechwycić, musielibyśmy znaleźć się dokładnie na drodze wiązki.

- Nieważne. - Simon dalej wpatrywał się w najbliższą konstrukcję. Gdy dzieliło ich tylko dwa tysiące kilometrów, *Norvelle* wysunęła podłużnice magnetometrów. Konstrukcja obcych stanowiła jądro rozległego pola magnetycznego. W samym środku gęstniało ono niczym pole tokamaków. Szerokie, niewidzialne pola elektromagnetyczne ciągnęły się setki kilometrów pod powierzchnią dysku zwróconą w stronę gwiazdy. Simon zmienił kalibrację głównego radaru i dostroił teleskop. AS połączył dane z obu urządzeń i zaprezentował je w postaci jednego obrazu.

Konstrukcja zbierała wiatr słoneczny i wciągała go do środka. Widział niewyraźne wiry w miejscach, gdzie strumień cząstek zmierzał w stronę ukrytego centrum konstrukcji.

Teraz wiedział już, że nie może to być kolonia mieszkalna. W takim razie musiała to

być jakaś maszyna, konsumująca cząsteczki wiatru słonecznego. Co to za urządzenie? Wiedział, że obcy mają działające nanosystemy. Najwyraźniej konwertują wiatr słoneczny do postaci jakichś artefaktów. Zdolność produkcyjna kilku milionów takich konstruktów byłaby wręcz niewyobrażalna, choć musiała być poważnie ograniczona niewielką ilością masy zasysanego pola magnetycznego. Jeśli dysponowali tak wielkimi możliwościami, to czemu działali tak nieefektywnie?

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, czym są te konstrukty.

- Otwórz połączenie z *Koribu* - poleciał AS. - *Norvelle* do Lawrence'a Newtona. Słyszysz mnie pan?

- Jasno i wyraźnie. Czy pan Simon Roderick?

- Tak jest.

- Pana klon opowiedział nam o pana zamiarach.

- Chyba nie przedstawił ich w zbyt dobrym świetle.

- Wygłosił kilka bardzo stanowczych stwierdzeń. Atak na *Clichane* tylko potwierdza jego słowa.

- Jeśli rzeczywiście wie pan o wszystkim, to nie musi pan pytać, dlaczego to zrobiłem.

- Wiem, jak pan to uzasadnia. To jeszcze nie znaczy, że się z panem zgadzam.

- Widziałem pana plik, Newton. Porzucił pan wszystko, całą swoją planetę, byle tylko latać na statkach odkrywczych. Wie pan, że ludzkość może osiągnąć znacznie więcej niż do tej pory. A teraz dzięki nam wszyscy zyskają taką szansę.

- Niezależnie, czy tego chcą, czy nie.

- To podklasa społeczna uniemożliwiła panu wymarzone loty. Ograniczali pana swobodę znacznie bardziej niż moją.

- Ja się wcale nie sprzeczą. Mówię tylko, że nie pozwolę panu przymuszać ludzi do zmian. Zarówno pan, jak i pański klon możecie otrzymać te informacje jednocześnie.

- A może pan nimi dysponować?

- Tak.

- Ja jednak podejrzewam, że nie. Ten konstrukt to nie stacja ani artefakt, prawda? To właśnie sam obcy. Jakież to imponujące. Istota złożona z czystego kosmosu.

- Tak, to obcy.

- Jeden z nich rozbił się na Arnoon, prawda? To właśnie stąd pochodzi ten krater koło wioski.

- Odrobił pan pracę domową.

- Z początku nie miało to żadnego sensu. Dlaczego obcy dysponujący nanotechnologią

miałby werbować ludzkich sprzymierzeńców i kraść statek? Teraz to jasne. Był uszkodzony i nie dysponował pełnią swych możliwości.

- A teraz przyprowadziliśmy go z powrotem do swoich.

- Co chce pan zrobić z tą technologią, Newton?

- Nic. Wracam do domu.

- W to także nie wierzę. Pana rodzina zasiada w zarządzie. Wykorzysta pan te informacje do swoich celów, tak jak ja.

- Myli się pan. Proszę wracać do *Clichane* i pomóc jej załodze. Gdy skończycie naprawiać statek, otrzymacie to, o co prosicie.

- Naprawdę udało się panu namówić obcych do pomocy? A może coś pan przede mną ukrywa? Czemu sam pan nie pomoże *Clichane*?

- Ten statek nie jest w stanie pomóc nikomu. Ledwie dolecieliśmy nim tutaj.

- A zatem jak planuje pan wrócić do domu? Czy nanosystem jest w stanie naprawić taki statek? Podejrzewam, że tak.

- Owszem.

- Ciekawe. W takim razie chyba zostaną tu i popatrzę, jak wyglądają w akcji.

Nagle zdał sobie sprawę, że to idealne rozwiązanie. Gdyby zaparkował *Norvelle* w cieniu obcego, nieopodal *Koribu*, miałby największą szansę zdobyć fizyczną próbkę technologii nanonicznej. Zaczął się zastanawiać, czy ten obcy rzeczywiście jest sprzymierzeńcem Newtona. Jak zareagowałby na próbę przechwycenia nanosystemu? Najwyraźniej atak na *Clichane* w ogóle go nie obchodził. Jednak przed podjęciem tak ostentacyjnych działań musiał przynajmniej spróbować nawiązać komunikację z obcym. Niewykluczone, że Newton tylko blefował.

Silnik *Norvelle* dostosował prędkość do prędkości obcego, a potem powoli wprowadził statek w jego cień. W końcu zgasł, a wtedy AS odpalił silniki chemiczne, by wyrównać wysokość. Znajdowali się teraz pięć kilometrów od powierzchni obcego i dwanaście kilometrów od *Koribu*. Ani Newton, ani obcy nie odpowiadali na nieustanne próby kontaktu.

Podłużnice magnetometrów wciąż śledziły tytaniczne linie pola zakrzywiające się wokół obcego. Ich wzór uległ zmianie: zaczęły się zwijać niczym płatki kwiatu o zmierzchu. Tyle że bardzo szybko.

- Co on...? - zdążył zapytać Simon.

\*\*\*

W ciągu swej studniowej podróży Lawrence wiele razy przestudiował cykl życia

smoków. Fascynowały go te stworzenia, a widok pierwszego z nich, oglądanego przez sensory statku, okazał się jeszcze bardziej elektryzujący. Podziwiał ich elegancję, a nawet filozofię życiową, mimo że w jego sytuacji okazała się bardzo frustrująca.

Wiedział, że każdy smok potrzebuje kilku stuleci, by dorosnąć do pełnych rozmiarów. Podobnie jak Simon Roderick, obserwował, jak pole magnetyczne ściąga powiewy wiatru słonecznego, magazynując je, by system wzorcotwórczy mógł je później transmutować. Był to powolny, mozolny proces, z uwagi na niewielkie ilości surowca. Część z niego zużywano na odżywienie i rozbudowanie smoczego ciała, lecz po osiągnięciu pełnych wymiarów większość przeznaczano na produkcję jaj. Stworzenie każdego z nich zabierało dużo czasu. Całą strukturę należało zbudować od zera, cząsteczka po cząsteczce, ale także załadować do niej dane z wiecznie aktualizowanej bazy wiedzy przechowywanej przez smoczą cywilizację.

Gdy jajo było już gotowe, wysyłano je w przestrzeń międzygwiazdną, by szybowało bez celu poprzez galaktykę. Jednak dorosłe smoki krążyły po orbicie Aldebarana, uwiązane grawitacją gwiazdy. Jaja nie mogły zwyczajnie odłączyć się od rodziców - inaczej krążyłyby po tej samej orbicie. A zatem w środku każdego smoka znajdowało się działło magnetyczne zdolne nadać jaju dostateczne przyspieszenie, by mogło osiągnąć prędkość ucieczki.

*Norvelle* znajdowała się pięć kilometrów od lufy, gdy Pierwszy wystrzelił. Jajo, kula o średnicy siedemdziesięciu dwóch metrów, uderzyło w delikatny mechanizm silnika kompresyjnego z prędkością ponad czterdziestu kilometrów na sekundę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wszystkie łóżka w szpitalu *Clichane* były zajęte, głównie przez ofiary poparzeń radiacyjnych podniesionych podczas ataku. Przylegające do niego kabiny także pękały w szwach. Lekarze wędrowali między łózkami, dokonując oględzin i sprawdzając, czy pacjenci dobrze się czują. Nie mieli nic więcej do roboty.

Prime, uzupełniony o zestaw oryginalnych smoczych procedur, doglądał pracy systemów wzorcowych regenerujących tkanki pacjentów. Było to znacznie bardziej aktywne zastosowanie sekwencera, niż to, które smok z Arnoon miał okazję przeprowadzać wcześniej. Sekwencer wyhodował na skórze każdego z ludzi siatkę żyłek, naczyń infiltrujących ciało, mięśnie i narządy. Cząsteczki przenikały uszkodzoną tkankę, naprawiając komórki i sekwencje DNA rozbite promieniowaniem rentgenowskim. Do prawidłowego nadzorowania każdej takiej operacji konieczna była fenomenalna ilość mocy obliczeniowej, dlatego sekwencer wyhodował także węzły przetwarzające. Wisiały pod każdym z łózek niczym liściastozielone gniazda os, połączone cienkimi wiciami z siatką żyłek.

Idąc poprzez przedział wraz z Denise, Lawrence zajrzał do kilku sal. Wszyscy spali.

- Wyglądają tak spokojnie - zauważył.

- Też tak wyglądałeś - odparła.

W kabinach przerobionych na lazaret leżeli także członkowie *Norvelle*, którzy odnieśli rany podczas uderzenia smoczego jaja. Oś statku pękła pod impetem zderzenia, a dwa koła mieszkalne wyleciały w kosmos. Ponad setka osób ewakuowała się w szalupach. Załoga pozostała w dwóch ocalałych kołach zaczęła na przylot *Koribu*, po czym udała się z nimi na *Clichane*.

Teraz dwa pozostałe statki stały zaparkowane w cieniu Pierwszego, powoli oplatane przez pasma sekwencera.

Simon Roderick czekał na nich przy kabinie z zamkniętym włazem. Po chwili bolce schowały się we framugę, a wtedy prokurent pchnął drzwi i zaprosił ich do środka.

W kabinie znajdowało się jedno łóżko, również oplecione przez systemy sekwencera. Leżał na nim SK2. Nogi i ręka powoli mu odrastały. Szafka na Skórę, którą wniesiono mu do kabiny, była opleciona żyłkami sekwencera - mechanizm zbierał komponenty organiczne i zapasy krwi, by zdobyć materiał na wygenerowanie nowej tkanki. Zwiotczałe, przezroczyste

worki przypominające kształtem kończyny zaczęły już wyrastać na końcu kikutów; w środku krążył lepki płyn.

Na widok nieprzytomnego pacjenta twarz Denise ściągnęła się wyraźnie.

- Co zamierzacie z nim zrobić? - spytała.

- Na razie zostanie wydalony z zarządu, odbierzemy mu też większość uprawnień. Z grubsza rzecz biorąc, areszt domowy. A potem kto wie? Podejrzewam, że wiele zależy od tego, jaką decyzję podejmie ziemskie społeczeństwo.

- Może być - odparł Lawrence, nie zwracając uwagi na kose spojrzenie Denise. - Nikt z nas nie zachował się w tej sytuacji jak święty.

- Nie - zgodził się Simon. - Ale też nigdy nie twierdziłem, że nim jestem.

- Jak zareagowali na to pana bracia?

- Tak jak my. Ale to bez większego znaczenia. - Obrzucił rozmówców wymownym spojrzeniem. - Kapitanowie dopilnują, by uzyskane przez nas informacje zostały udostępnione wszystkim. Planują je załadować bezpośrednio do ziemskiej puli, zanim Z-B w ogóle zorientuje się, że z ich starym statkiem dzieje się coś dziwnego. Będzie chroniony przez wzmocnioną wersję Prime'a, co powinno zapewnić równy dostęp.

- Mówi pan to niemal z dezaprobatą.

- I niemal ją odczuwam. - Simon wskazał na swojego brata. - Jesteśmy chaotyczną rasą. Jego metoda zapewniłaby nam łatwe i bezbolesne przejście tego etapu.

- A gdzie w tym zabawa? - uśmiechnął się Lawrence. - Zburzcie monokulturę, otwórzcie oczy, zwróćcie ludziom ich tożsamość.

- Ach - Simon uniósł skromnie brwi. - Mogłem się domyślić.

- Ile czasu upłynie, zanim *Clichane* będzie zdolna do lotu? - spytała Denise.

- Jeszcze dwa tygodnie - odparł Simon. - To naprawdę niezwykle. Na szczęście, mamy tu mnóstwo zbytecznej masy, którą można poświęcić na odtwarzanie brakujących komponentów. W końcu niepotrzebna nam teraz broń ani ładunek. Na pewno nie chcecie wrócić z nami? Będziecie żyć w ciekawych czasach.

- Nie - odparła krótko Denise.

Lawrence tylko się uśmiechnął.

\*\*\*

Silnik kompresyjny *Clichane* zapalił, a wtedy olbrzymi statek zniknął w nagłym rozbłysku. *Koribu* unosił się samotnie w cieniu smoka. Już nigdy nie miał stąd odlecieć - ale za to doczekał się potomstwa. Sekwencer oplótł kadłub siateczką krystalicznych rurek, wysysających z konstrukcji minerały i inne związki. Z daleka wyglądało to, jakby statek

pokrył się patchworkiem z barwnych lodowych łąt: miliony bursztynowych, rubinowych i szmaragdowych fasetek błyszczało i lśniło w poświacie ciepłego światła promieniującego od smoka. Szafirowe trąbki o nieco większej średnicy przebiły zbiorniki, wysysając płyny, by wspomóc półorganiczny wzrost tworów hodowanych po obu stronach ładowni. Z upływem dni oba spuchły, aż zaczęły przypominać poczwarki owinięte w ciasną skórę z diamentowego włókna.

Smok z Arnoon także przechodził metamorfozę. Wrota do ładowni xianti zostały otwarte w kosmos, a kapsułę przecięto w pół, odsłaniając smoka. Kryształowe wici wpełzły do hangaru i otoczyły kosmolot. Ich końce stopiły się ze strukturą cząsteczkową istoty i zaczęły przesyłać jej dane.

Denise codziennie siadała obok, myśląc wraz ze smokiem. Wokół Aldebarana nie było dla niego miejsca, istota postanowiła zatem towarzyszyć swej opiekunce i stać się częścią społeczności, która miała dopiero wykiełkować z pakietu DNA. Analizowali smocze wspomnienia, poszukując wzorców umiejętności. Zaczęli dołączać do DNA funkcje pomagające unosić się swobodnie, odczuwać w każdym spektrum, czerpać energię ze światła słonecznego, absorbować substancje stałe i zachować swoją pierwotną osobowość. Dziesiątki idei nabierały kształtu.

Po odlocie *Clichane* Lawrence spędził dziesięć dni na intensywnej kuracji wzorcotwórczej, transformując swoje ciało i resetując DNA. Wyszedł stamtąd w ciele nastolatka, bez zaworów na szyi.

Denise zmierzyła go wzrokiem, po czym wydeła usta.

- Uroczy jesteś - stwierdziła figlarnie.

Kokony poczwarek pękły, ukazując dwa statki przypominające modele z czasów Imperium Pierścienia, stworzone z pomocą sekwencera - zaokrąglone elipsoidy zaopatrzone w kołnierz płetw napędowych i tarcze energetyczne wysuwane z przedziału rufowego. Lawrence spojrział na swój pojazd z nieskrywanym entuzjazmem pasującym do jego świeżo odzyskanej młodości.

- To chyba czas się pożegnać - stwierdziła Denise.

Mężczyzna skrzywił się zakłopotany.

- Aha - przyznał, ale potem znów się uśmiechnął. - Nie, czas powiedzieć: „szczęśliwej drogi”. Bardzo możliwe, że znów się zobaczymy.

- Niech będzie, Lawrence. „Szczęśliwej drogi”. - Pocałowała go lekko. - Jak nazwiesz swój statek?

- To łatwe. *Misja Błazna*.

Denise się zaśmiała.

- Mój nazywa się *Gwiezdny Kwiat*.

- Brzmi nieźle.

Wnętrze *Misji Błazna* składało się z trzech dużych, okrągłych kabin o wklęsłych ścianach. W stanie neutralnym miały kremowy kolor i teksturę przypominającą miękką skórę. Sprzęty były w stanie zmieniać rozmiar lub wysuwać się na życzenie. Kabiny stanowiły znakomite sale projekcyjne - zapewniały obraz o zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni; można było wyświetlić tam obraz z sensorów albo i-media załadowane z biblioteki *Koribu*.

Lawrence wszedł do pierwszej kabiny, rozkoszując się standardowym polem grawitacyjnym. Pośrodku podłogi wyrósł pojedynczy wygodny fotel. Mężczyzna usiadł i polecił wyświetlić obrazy z czujników wizualnych. Przód kabiny rozpląnął się, ukazując migoczący kadłub *Koribu*.

Miał wrażenie, że korona złotych ikon systemowych płonie czystym złotem. Wybrał kilka z nich, a wtedy *Misja Błazna* powoli wynurzyła się z kokonu. Na twarz Lawrence'a wypełził głupawy uśmiech - elegancja i moc tej maszyny były wprost niewiarygodne. I to on nią dowodził. *Gwiezdny Kwiat* wynurzył się z *Koribu*. Lawrence patrzył, jak Denise podlatuje do zdemolowanego hangaru. Smok z Arnoon czekał na nią pośrodku podłogi. Eleganckie półorganiczne segmenty przylegały do jego ciała, słoneczne skrzydła były ciasno zwinięte. Spotkanie z *Gwiezdnym Kwiatem* było jak złączenie dwóch kropel wody - smok został wchłonięty w migoczący kadłub i tylko niewielkie wybrzuszenie zdradzało jego obecność. Potem statek uniósł się w górę, wychodząc z cienia Pierwszego. Lawrence widział, jak wokół jego przedziału napędowego zbierają się dziwne siły, tarcze energetyczne i płetwy lśniły niczym okruchy białobłękitnej gwiazdy. Następnie pomknął w zeropróżnię.

- Dziękuję ci za pomoc - Lawrence zwrócił się do Pierwszego.

- Poznamy twoje dalsze losy - odparł smok. - I będziemy cię pamiętać. Taka jest nasza natura.

Lawrence wybrał kurs, zanurzając się głęboko w jedno z najstarszych smoczych wspomnień. Silniki zebrały całą swą potężną moc i cisnęły *Misję Błazna* w zeropróżnię.

\*\*\*

Mgławice to jedne z najpiękniejszych obiektów na niebie, podziwiane przez wszystkich astronomów w galaktyce. Podświetlane przez gwiazdy ukryte głęboko w ich oparach, rzucają wprost magiczne wzory zmiennego, pierwotnego światła. A jednak pomimo całej swej glorii są nietrwałe. Gwiazdy, którym zawdzięczają swe eteryczne piękno,



wydzielają także silny wiatr jonowy, który z wolna rozwiewa gaz i pył. Grawitacja także odgrywa swą rolę i nieubłaganie rozrzedza chmury. Protogwiazdy spełniają odwrotną funkcję - ich świecące wiry wsysają widmowe fale, kompresując je do postaci jednego, skoncentrowanego błysku.

Ich czas życia mierzy się tylko w milionach lat - jest zupełnie zaniedbywalny w skali galaktyki.

Nawet mgławica Ulodan, jedna z najgęstszych i najciemniejszych, jakie kiedykolwiek powstały w galaktyce, zaczynała już rzednąć, gdy archeolodzy z Imperium Pierścienia odkryli planetę Mordiffów. W czasach Wojen Dekadencji była to już tylko przestrzeń międzygwiazdna o gęstości gazów niewiele przewyższającej normę. Nawet wówczas słońce Mordiffów było już tylko zimne i skurczone. Przypominało żarzący się węgielek. Dla nowo narodzonej cywilizacji smoków było zaledwie wspomnieniem.

Wiele czasu upłynęło, zanim Lawrence Newton odnalazł chłodną skorupę słońca i jego małą, samotną planetę. Ale w końcu jego piękny statek spadł z nieba i wylądował obok jedynej pozostałości po cywilizacji Mordiffów.

Mężczyzna włożył skafander i wyszedł na powierzchnię planety. Nie było powietrza - atmosfera uleciała miliony lat temu. Piasek chrzęścił mu pod butami, zamrożony na szorstką skorupę, twardszą od żelaza. Ale wciąż jeszcze było światło. Wysoko nad horyzontem jądro galaktyki utworzyło biały pełzający płomień, zajmujący prawie jedną dziesiątą nieba. Jego sylwetka rzucała ostry cień.

Był to najbardziej ponury krajobraz, jaki widział w życiu. Skaliste pagórki sterczały ostro w niebo, samotne i postrzępione; nawet kamienie zaścielające ziemię były wyszczerbione. W ciągu milionów lat zimno wysało z tej ziemi wszystkie barwy. Wiedział, że ta planeta nie ma przyszłości, ale ta wiedza mu nie przeszkadzała. Przybył tu po jej przeszłość.

Przystanął na niskim grzbiecie i spojrzał na terminus. Jakież to dziwne, że rasa tak wojownicza i okrutna potrafiła zbudować maszynę o tyle lepszą od samej siebie.

Terminus miał postać szerokiego toroidu śnieżnobiałej barwy, dolna szczelina miała trzy kilometry średnicy. Pięć olbrzymich przypór utrzymywało go na wysokości kilometra od ziemi. U podnóża każdej z nich wznosiły się skalice; miało się wrażenie, że to fale rozbijające się o klif. Ani chłód, ani entropia nie zdołały zniszczyć tej tytanicznej konstrukcji, nawet geologia nie dała jej rady. Archeolodzy Imperium Pierścienia nie mieli nawet pewności, czy terminus został wykonany z materii w zwykłym tego słowa znaczeniu. Po Mordiffach nie pozostało nic innego: ani budynki, ani pomniki. Tylko terminus, ich nieudana próba

osiągnięcia nieśmiertelności.

Ostre turkusowe światło świeciło ze środka toroidu, rzucając niegościnnie blask na zamrażający piasek. Lawrence był trochę zawiedziony, że nie widzi tunelu czasoprzestrzennego, ale błękitny blask wyglądał niczym zasłona spowijająca szczelinę.

Po chwili wrócił do *Misji Błazna*.

Usiadł na swoim fotelu w przedziale dziobowym i skierował statek w stronę toroidu. Powoli pograżył się w błękitnej mgle, przez sekundę nie widział nic, a potem znalazł się w tunelu. Za statkiem ciągnęło się bladofioletowe światło. Przed nim leżała przyszłość, miliardy lat, aż do końca galaktyki, gdy nawet terminus miał wpaść w czarną dziurę. A za nim rozciągała się przeszłość. *Misja Błazna* podążyła pod prąd historii.

\*\*\*

Trzy siostrzane planety zmierzały ku koniunkcji. Był to imponujący widok. Ich jasne półksiężycy wzeszły ponad łagodnymi wzgórzami Nowego Arnoon. Denise siedziała w cieniu rozłożystej cygny, gdy planety ustawiły się w szeregu; rudawe liście drzewa rzucały cienie na trawę. Gromadka siedzących wokół siedmiolatków wzdychała i piszczała, patrząc na niezwykle zjawisko. Mrużąc oczy, można było dostrzec wąskie delikatne zarysy planet. Srebrzyste pasma światłowłókna przedziobionego przez smoka na orbicie geostacjonarnej stawały się coraz bardziej skomplikowane, w miarę jak otaczały planetę. Wkrótce miały ogarnąć cały świat. Tej grupce dzieci naprawdę przyszło żyć w ciekawych czasach.

- Skończ bajkę! - zawołał Jones Johnson. - Proszę, Denise!

„Ale nie tak ciekawe jak te, w którym przyszło żyć innym”, pomyślała z rozbawieniem kobieta. Mały Jones zaczął się denerwować i wykrzywiać buzię.

- Dokończ! Dokończ! - zawołała reszta dzieci.

- Dobrze - zgodziła się opiekunka.

\*\*\*

Lawrence Newton próbował nie okazywać zdenerwowania, pokazując bilet przy stanowisku odprawy w budynku terminalu. Port kosmiczny w Templetonie składał się z małego kompleksu na północ od kopułowego miasta, było tam zaledwie kilka pasów startowych i pięć hangarów. Zbudowano go głównie z myślą o przybyszach, dwudziestu tysiącach naraz, za każdym razem, gdy na orbitę wchodził statek McArthur'a. Ruch idący w przeciwnym kierunku był niewielki i uważnie monitorowany.

Urzędniczka przeskanowała jego bilet i uśmiechnęła się, widząc potwierdzenie.

- Czy ma pan jakiś bagaż? - spytała.

- Eee, tylko jeden - odparł Lawrence. Widząc, że Prime osłonił go przed zapytajkami

ojca, poczuł taką ulgę, że ledwie zdołał unieść walizę. Kobieta pochyliła się i pomogła mu postawić bagaż na wadze.

- Jaki jest cel pana podróży?

- Ja, eee, rodzina wysyła mnie na uniwersytet na Ziemię - wyjąkał.

- Szczęściarz z pana - odparła wesoło urzędniczka. - Może pan teraz przejść do poczekalni, panie Newton. Pański samolot odlatuje za czterdzieści minut, jeśli tylko pługi zdążą oczyścić pas ze śniegu.

- Dziękuję. - Lawrence poczuł niewiarygodną lekkość w żołądku.

Statek kosmiczny! Przelecę się statkiem! Naprawdę!

To mogło mu wystarczyć za absolutnie wszystko.

Wyprostował się i skierował kroki w stronę poczekalni. Kątem oka dostrzegł jeszcze Vinnie'ego Carltona stojącego przy wejściu. Ukradkiem pokazał mu uniesiony kciuk. Vinnie mrugnął w odpowiedzi.

Drzwi poczekalni zamknęły się za nim. Z przodu znajdowało się okno panoramiczne ukazujące wydłużony, smukły kosmolot, który miał go zawieźć na *Eilean*. Lawrence podszedł, by się lepiej przyjrzeć.

\*\*\*

Vinnie Carlton odczekał, aż zamkną się drzwi poczekalni. Potem podszedł do taksówki i wsiadł do pierwszej z białych baniek.

- Do kopuły Leith - poleciał AS.

Na zewnątrz padał lekki grad. Vinnie oparł się o zagłówek, zamknął oczy i skupił się mocno. Rysy jego twarzy zafalowały i zaczęły się zmieniać. Nos stał się bardziej płaski, podbródek bardziej spiczasty, brwi się wyprostowały. Po chwili otworzył oczy, które teraz przybrały barwę szarozieloną. Gdy zerknął w lusterko taksówki, spojrzął na niego młody Lawrence Newton. Minęło tyle miesięcy, że ledwie się rozpoznał.

Niestety, był świadom tego, że mimo idealnej regeneracji fizycznej, którą umożliwił mu sekwencer, nigdy nie zdoła odtworzyć naiwności swojego młodszego odpowiednika. Był to nieunikniony rezultat nie tylko dwudziestu lat doświadczenia, ale i tak bliskiej przyjaźni ze swym młodszym „ja”. Przyjaźń ta okazała się zresztą znacznie trudniejsza do zniesienia, niż kiedykolwiek przypuszczał. Tyle razy miał ochotę - jako Vinnie - wymierzyć zakochanemu, bezdennie głupiemu Lawrence'owi porządne kopniaka.

Ale jakoś się opanował i przez kilka miesięcy był dla niego dobrym przyjacielem, patrząc, jak skazany na zagładę romans rozgrywa mu się pod boki. Za każdym razem, gdy wychodzili gdzieś grupą, widział strach pojawiający się w oczach Roselyn, gdy tylko

Lawrence odwrócił wzrok. Była przekonana, że w końcu się dowie. A jednak brnęła dalej, równie zdesperowana jak ten zakochany matoł, czepiając się swego kruchego szczęścia. Nie wiedział, ile już razy miał ochotę poddać się tym emocjom i szepnąć jej: „Wszystko będzie dobrze”. Ale nie mógł tego zrobić, bo tak naprawdę sam nie wiedział, czy rzeczywiście tak będzie.

Rysy młodej twarzy spoglądające na niego z lusterka taksówki ściągnęły się w nerwowy grymas - ciężar dwudziestu lat i dwóch złamanych żyć zagwarantował jego prawdziwość.

- Teraz naprawdę wróciłeś do domu - powiedział swojemu odbiciu.

Wjechanie windą na górę trwało mu całe wieki. Lawrence przypomniał sobie, jak bardzo się denerwował, gdy wylatywał z Amethi na Ziemię. To było znacznie gorsze. Wyjął z kieszeni chip pamięci i przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Ostatni odcinek *Kierunek: horyzont*. Wciąż nie obejrzał tego cholernego filmu. Czuł, że oglądanie go w samotności byłoby niewłaściwe. Podrzucił go jak monetę, po czym znów schował do kieszeni i uśmiechnął się do siebie. Drzwi windy rozsunęły się na boki, a wtedy mina mu zrzędła.

Szedł korytarzem, czując, że kolana mu drżą. Stał przy drzwiach, zbyt przerażony, by się poruszyć.

„Najeżdżałem planety. Przeżyłem szarżę makroreksów. Widziałem smoki w ich naturalnym środowisku. Wylądowałem po planecie Mordiffów. A teraz zapukam do tych drzwi”.

Zastukał delikatnie.

Drzwi otworzyła Roselyn. Na policzkach miała ślady łez.

- Jestem idiotą! - wypalił Lawrence. - Ale wiesz co, miałem sporo czasu na rozmyślania. Naprawdę dużo. I najbardziej na świecie chciałbym teraz powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

\*\*\*

Kilkoro dzieci zaklaskało z radości, spoglądając na Denise. Potem wszystkie umilkły. Uśmiechały się zadowolone.

Kobieta miała jakieś pięć sekund spokoju, nim zaczęły się pytania.

- A co ona odpowiedziała?

- Pobrali się?

- Będą żyli długo i szczęśliwie?

Denise uniosła ręce, prosząc o ciszę.

- Nie wiem, co się stało później. Ani tam, ani na Ziemi.

Ale jestem przekonana, że Lawrence i Roselyn spędzili razem wiele szczęśliwych lat. Chyba że...

- Co takiego? spytał mały Jones, a oczy prawie wyszły mu z orbit.

- No cóż, Lawrence nie chciał się w nic mieszać. Ale czasem sama wiedza może sprawić, że zostaniemy w coś wmieszani. Tego właśnie nauczyły nas smoki: tylko wiedza jest nieśmiertelna. A Lawrence wiedział, że za dwadzieścia lat *Clichane* przybędzie na Ziemię, niosąc technologię wzorcową i wspomnienia smoków. Rasa ludzka miała zmienić się na zawsze. Tymczasem on mieszkał sobie na planecie, która była jego prawdziwym domem, z dziewczyną, którą kochał. I miał swoją *Misję Błazna*. Wiedział, jak zamienić Amethi w prawdziwy raj i zaludnić je aniołami, na długo zanim Ziemia miała zyskać tę możliwość. Biedny, kochany Lawrence. Ciekawe, czy oparł się pokusie.